

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1873.

Tom pierwszy.

WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1873.





De. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава. 22 Декабря 1872 года.

№ 35/46

W drukarni Józefa Bergera przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

KAWA LITERACKA W WARSZAWIE.

(1829—1830).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

I.

Brak salonów literackich w Warszawie. Obiady uczone u Wincentego hr. Krasińskiego. Konstanty Gaszyński. Franciszek Morawski. Jaksza Marcinkowski. Poemat *Jaksajda*. Kawiarnia pod Kopciuszkiem. Artyści i literaci w niej się zbierający. Franciszek Salezy Dmochowski. Dominik Lisiecki. Ludwik Osieński. Bruno Kiciński. Alojzy Żółkowski. Kudlich. Kazimierz Brodziński. „*Suchy las*.” L. A. Dmuszewski redaktor Kuryera Warszawskiego.

W rozbudzoném życiu literackiém jakie się pojawiło od roku 1825, szczególniej w latach 1829 i 1830, niepoślednie miejsce zajmują *kawiarnie*, gdzie się wielu z pisarzy, głównie młodych zbierało i poznajmiało.

Salonów literackich Warszawa nie miała, tylko u Wincentego hrabiego Krasińskiego zbierało się liczne grono pisarzy na smaczne obiady, ale tam jedynie wybrane osoby były ich uczestnikami. Z młodzieży zaś bywał Antoni Edward Odyniec, Franciszek Salezy Dmochowski i dwaj przyjaciele syna generała Krasińskiego, Zygmunta, Konstanty Gaszyński i Dominik Magnuszewski. Piérwszy zyskał sobie



na nich rozgłos poematem dowcipnym *Jaksajda*, w którym na pośmiech oddawał zgromadzonym przeważnie *klasykom*, Jakse Marcinkowskiego, wierszopisarza, którego sobie za cel swych żartów obrało to towarzystwo uczonych. Z niego, najzdolniejszy i z prawdziwym talentem poetycznym Franciszek Morawski, ośmielił Gaszyńskiego do wyszydzenia starszego wiekiem człowieka, co mu nie chwalono, bo wówczas jeszcze wiek szanowano. Ale młody poeta, jakże nie miał iść za przykładem właśnie starszego, który tak znakomite miejsce zajmował na uczonych obiadach, gdy był świadkiem, jak przy stole u W. hr. Krasieńskiego, sam Fr. Morawski odczytał swój wiersz:

„Do milczącego Jaksy.“

„Sowo Minerwy, perło Apolla,
Szczytna topoli w poetów kłombie,
Ty, coś tak piękne grywał nam *sola*,
Na Feba trąbie.

Sławny pijaku krynic Parnaskich,
Coś *Bielawskiego*, coś *Jacka* przepił ¹⁾,
Któż ci na wieczny smutek Morawskich,
Gębę zalepił?

Był czas, gdy jeden Bóg nas prowadził,
I przyjacielskie godził nam lutnie,
A każdy z nas się na koncept sadił,
Kto lepiej utnie.

Wtenczasto, jakby Etna wzburzona,
Wiersze-ś nam miotał, wierszem grzmiął, ryczał;
Dziarski twój pegaz zadarł ogona,
Wierzgał i kwiczał.

¹⁾ Józef Bielawski, cel szyderstw Kajetana Węgierskiego, był autorem komedyi *Natręty*, którą na pierwsze otwarcie narodowego teatru w Warszawie odegrano dnia 19 listopada 1765 roku. *Jacek*, jestto Jacek Przybyłski mąż uczony, stale mieszkający w Krakowie, tłumacz Iliady, Odyssei, Luzyady, i wielu innych, pod żadnym względem nie zasługuje na porównanie z Bielawskim, i wystawianie proo jego na śmieszność, której sobie dozwolali klasyicy.

Każden ci wprowadzie łatki przypinał,
Lecz i tyś dowiódł że umiesz kąsać;
Poznał świat wówczas, co za kryminał,
Jaksą potrząsać!

I z kąd-że po tój bójce tak grackiej,
Milczysz na wieczne dni mych zatrucie;
Zapiéj! ach zapiéj! grzędę sarmackiej
Sławny kogucie!“

Znałem osobiście Marcinkowskiego: człowiek uprzejmy w obejściu, ochotnie przyjmowany, nawet po towarzystwach, miał dwie słabości, którými się odznaczał: słabość do płci pięknej, i słabość do pisania nędznych wierszy, a nawet deklamowania improwizacyi. Lubionym był pomimo to, a ja będąc studentem, patrzyłem nań z pewnym rodzajem uszanowania, wiedząc, że *drukował* swoje utwory. Z tych, kobiety chwaliły szczególniej poemat *Gorset*, którego treścią była śmierć jakiegoś hrabianki, zrzadzona przez zbyteczne ściskanie się sznurówką. Szukając polepszenia losu, przybył z Wołynia do Warszawy, z listem polecającym do Wincentego hr. Krasińskiego, nie przewidując, że w nim przywozi zarazem tę samą śmieszność, którą go obsypywano na Wołyniu. Krasiński, Koźmian, Osiński i Morawski, znaleźli w nim wyborny materyał, który dostarczy przedmiotu do zabawki i śmiechu, tak potrzebnego po dobrym obiedzie. Od tój chwili, Marcinkowski zapraszany do gościnnego pałacu generała, na każdym znajdował się obiedzie *uczonym*, znosząc cierpliwie żarty i drwiny, bo lubił dobrze zjeść i popijać wytrawnego węgryzna, którego na tym stole nie brakło.

Fr. Morawski nie dawał mu spokoju: dowiedziawszy się, że *Godebski* dawniejszy redaktor tygodnika *Wandy*, dociął jakimś żartem dowcipnym Marcinkowskiego, bierze jego obronę, i w jego imieniu pisze *odpowiedź* Godebskiemu, która jest najzjadliwszą satyrą biédnego Jaksy, i tak ją zakończy groźnie:

„Ciszéj więc bratku, gdyż naostatku,
Jak się rozjuszé i z zemstą ruszé,
Tak ci dogryzé, przez improwizé,
I taki na cię, w drwin tych odpłacie,
Lunę trzy-dniowy potop rymowy,
Ze z strachu cały, jak trup skostniały,

Świata się zrzekniesz, w piekło uciekniesz,
 A ja tam nawet, płacąc wet za wet,
 Na kark ci wsiedę, wiersze ciążę będę,
 I tak z ich hurmem, uderzę szturmem,
 Że wszystko zburzę, diabłów wykurzę:
 Sam szatan ryknie, o litość krzyknie!
 Tak wreszcie dzielny, długi, piekielny,
 Wiersz ci zawyję, że mózg ci zryje,
 Szpik ci wysuszy, piekła zagłuszy,
 I jak lew w dziczy, wieczność przeryczy.“

Marcinkowski, dla pozyskania jakiegoś stanowiska i zwrócenia uwagi, wyjednał sobie *krzyżyk miechowski*, z którym się zawsze nosił. Wspominam o tém, bo ten krzyżyk gra właśnie rolę w poemacie *Jaksajda*.

Konstanty Gaszyński w dwudziestym roku życia wszedłszy na pole literackie, zapragnął i na *uczonych obiadach* zajaśnieć: poszedł więc śladami Morawskiego, i dla zabawy gości zwyczajnych napisał ten poemat, dając mu tytuł od imienia bohatera. Treścią jego było, że duchy piekielne, oburzone sławą *Jaksy*, umysliły wykraść mu węgę poetyczną.

Wysłany *Mefistofiles* do Płocka, gdzie właśnie Jaksza Marcinkowski był inspektorem przy gimnazyum, zszedł go śpiącego smacznie po dobrym obiedzie, i zabrał się do wykonania swego posłannictwa. Ale zaledwie zbliżył się do łoża, na którym spoczywał poeta, odskoczył sparzony strasznie o *krzyżyk miechowski*, który nosił przy fraku, surducie i szlafroku, a właśnie szlafrokiem był przykryty. Ostrożnie przeto jednym różkiem ściągnął go na ziemię, i oswobodzony od groźnego wroga, usiadł wygodnie na piersiach chrapiącego autora *Gorsetu*.

„Trudów i pracy nie szczenił,
 Póty chuchał, póty dmuchał,
 Aż z Jaksy węgę wypędził.
 Wyszła z niego wena sławna,
 Ale chuda, wynędzniała,
 Suchoty cierpiała zdawna,
 Na drżących nóżkach się chwiała.
Mefistofel widząc jaśnie,
 Że mu niezadługo zgaśnie,
 Lub ustanie pośród drogi,

Ulitował się niebogi,
 I do kieszeni ją schował;
 A tak rzecz sprawiwszy ślicznie,
 Uniósł się w górę jak piórko,
 Czyli mówiąc romantycznie,
*Wraz czmychnął od klucza dziurką.*¹⁾

Budzi się Jaksza po śnie męczącym, czuje nagłą zmianę, zasiada do rymowania, nie może wszakże znaleźć i schwytać końcówek: w rozpaczy chce sobie życie odebrać. Ale bożkowie Olimpu wysyłają *Merkurego*, który zatrzymuje jego samobójczą rękę, i wprowadza na Parnas, gdzie dostaje nową wenę, którą orzeźwiony, wraca uszczęśliwiony na ziemię ¹⁾.

Ubawił serdecznie starych *klasyków* ten dowcipny poemat, chociaż w nim nie umieli dopatrzeć satyry ukrytej, że w klasycznym *Parnasie* przyjmują takich nędznych wierszokletów i bogowie Olimpu, tak niedołęzne rozdają *weny* poetyckie. Cieszyli się wielce za docinek *romantyczności*, która wstrętném widmem dla nich była: ale Gaszyński pomiarkowawszy się w pierwszym zapale młodzieńczym, lubo *Jaksajda* rozbiegła się w licznych kopijach, nigdy nie podał jej do druku.

Młodszych uczestników oburzało to szyderstwo z biédaka, który się bronić nie potrafił; ztąd też jeden z nich, F. S. Dmochowski w szlachetném oburzeniu nadesłał gospodarzowi wiersz z ostrą naganą, który zakończył temi słowy:

„Czyś go na to zaprosił do swojego stołu,
 Ażebyś go biczował za łyżkę rosołu?“

O tych *obiadach uczonych* przychodziły do nas szczegóły na zebraniach w kawiarniach literackich, o których zamierzamy obszernie pomówić, w nich bowiem całe młodsze pokolenie i najznakomitsi poeci miewali swoje salony literackie.

Najdawniejszą kawiarnią była pod znakiem *Kopciuszka*, otworzona w roku 1819 na Długiej ulicy w *domu Baldego* ²⁾.

¹⁾ Jaksza Marcinkowski w końcu 1830 roku dostał ataku paralizu na mózg, i w parę miesięcy potem umarł w domu obłąkanych u Bonifratrów w Warszawie.

²⁾ Dom ten dziś własnością p. Naimskiego będący, ma Nr. 550 hipoteczny a 20 nowy.

Tu (gdy nieznano i nie używano wcale herbaty) niemal co wieczór przychodzili *Ludwik Osipiński, Kazimierz Brodziński, Bruno Kiciński, Brykczyński, L. Dmuszewski, Kudlicz, Zdanowicz* artyści dramatyczni, *Elsner i Kurpiński* dyrektorowie opery teatru narodowego. Był tu stałym gościem i *Aloizy Żółkowski* pierwszy komik tegoż teatru i redaktor *Momusa*, który dowcipkami i anegdotami, oraz prawdziwym humorem ożywiał te zebrania i był ich, rzecz można, duszą. Tu on, nieraz zdobywał do swych *Fraszek* zasoby, lub z potocznej rozmowy brał wątek do dykteryjek swoich: tu powziął myśl do swój *Wyspy pomysłności*, którą gdy przedeklamował później, cichy Brodziński i milejący więcej Zdanowicz przyznali jednoznacznie, że chętnieby się na nią przenieśli, bo ma tyle powabów, że na sam jej opis każdy się człowiek ze smakiem obliżuje. W tej kawiarni opowiadał z humorem sobie właściwym, treść swego libretta do opery w dwóch aktach: „*Szarlatan czyli Wskreszenie umarłych*“ tak pełne dowcipu, że wszyscy dobrze się ubawili i uśmieśli, a Kurpiński zobowiązał się do napisania muzyki do niej. Spełnił swoje przyrzeczenie, a *Szarlatan* zyskał świetne powodzenie na scenie ¹⁾.

Z młodszych pisarzy bywali tu: Franciszek Salezy Dmochowski i Dominik Lisiecki. Ostatni miał już rozgłos w literaturze niemały: należał bowiem wraz z Brunonem Kicińskim do wydawnictwa kilku pism peryodycznych, jak *Tygodnika Polskiego* i *Wandy*. Wiele tłumaczył dla teatru narodowego: z tragedji: *Polieukta* Kornela i *Śmierć Cezara*, Woltera; z komedji De-

¹⁾ Po śmierci Żółkowskiego wydane zostało to libretto w roku 1828: (*Szarlatan czyli Wskreszenie umarłych*, opera w dwóch aktach napisana przez Aloizego Żółkowskiego. Dochód z tego wydania przeznaczony jest na pomnożenie funduszu na nagrobek Aloizego Żółkowskiego. Warszawa. W drukarni Józefa Węckiego 1828 r.). W 12-ce str. 132. Na czele mieści się popiersie autora, z tym dwuwierszem L. Osińskiego:

„Mistrzowskim w sztuce swojej postępując torem,
Był rozkoszą słuchaczów a grających wzorem.“

Są tu i nuty do jednej pieśni.

lavign'a: *Szkolę starców* i *Niestaly*; na współkę zaś z Fr. S. Dmochowskim Moliera: „*Kto się kocha ten się kłóci*.“ Wszystkie te sztuki zalecające się pięknym wierszem i językiem, były przedstawiane na scenie. Najwięcej imię jego rozgłosiły przekłady tragedyi Kazimierza Delavign'a: „*Nieszpory Sycylijskie*“ i *Dumania poety Alfonsa Lamartina*. Oba te utwory tak przypadły do smaku ówczesnej publiczności, to przez treść swoją ognistą, to znów jak *Dumania*, przemawiając do serc tklivych, nastrojonych rzewnością, że gdy wyszły w roku 1820 z pod prassy drukarskiej, wprędce rozkupione zostały i wyczerpnięte z obiegu handlu księgarskiego.

Elsner Józef szlachak ze wsi *Grotkowa*, blisko granicy królestwa Polskiego położonej, dyrektor opery polskiej od ostatnich lat XVIII stulecia, był znany powszechnie z wielce popularnej opery *Król Łokietek*, której libretto napisał L. A. Dmuszewski; nadto jako autor ważnej rozprawy: „*O metryczności i rytmiczności języka Polskiego*.“ (Warszawa 1818 roku).

Drugim dyrektorem opery polskiej był *Karol Kurpiński*, który do wielu oper treści krajowej J. U. Niemcewicz, pisał muzykę, a oprócz tego znanym był w literaturze jako redaktor *Tygodnika muzycznego* (1821 r.) i „*Rzutu oka na operę w Polsce*.“ Melodye jego brzmiały po kościołach naszych, bo je podkładał pod nabożne pieśni J. D. Minasowicza.

Niebrakło w tém gronie dobrej tuszy braci literatów, do tego rzędu należeli Osiński, Kiciński, Kudlicz i Żółkowski; do wychudłych Brodziński i Zdanowicz; reszta stanowiła pośrednie przejście.

Kiciński okrągłej, pełnej twarzy i czerwonych policzków, miał wzrok krótki i oczy wypukłe; niskiego wzrostu, był wielce ruchliwy: tłumaczył właśnie *Metamorfozy* Owidyusza i z upodobaniem powtarzał z nich ustępy. Osiński go zachęcał, pochwalał, i od czasu do czasu rzucał jakimś dowcipkiem, lub epigramatem. Obaj należeli do Ateuszów, gorących zwolenników filozofii Woltera, i z tymi zasadami bynajmniej się nie kryli. Pomimo to, nie lubiono wszczynać i prowadzić rozpraw dotyczących wiary i sumienia, dla tego chociaż czasem Kiciński zagaił rzecz w tym kierunku, zaraz go drudzy zawracali na drogę literatury i sztuki. A przedmiotów nie brakło nigdy, tém bardziej, gdy żywo

się zajmowano szlachetną pracą nad prawidłami bogatego języka, ażeby go nagiąć do wymogów muzyki i płynnego śpiewu.

Przed dziesięciu już laty, wyszło w tym przedmiocie ważne dzieło *I. F. Królikowskiego* (ojca naszego znakomitego artysty dramatycznego), profesora języka polskiego i literatury polskiej przy gimnazyum poznańskim, p. n. *Prozodya, czyli o śpiewności i miarach języka polskiego, z przykładami w nutach muzycznych.* Autor, jako uczony professor i jako muzyk, bo sam był biegłym skrzypkiem, rozwijał ten przedmiot jasno i zrozumiale: z téj pracy I. F. Królikowskiego korzystał Mickiewicz, jako sam przyznaje przy pisaniu owéj pieśni: „*Zkąd to wracali Litwini?*“

Teatr narodowy, związany tyłą żywotnemi ogniwami ze swoją społecznością, dla którego tak całe grono jak i Brodziński usilnie pracowali, dawał osnowy niemało do pełnéj zajęcia i uczącej pogawędki. Osiński rzucał swe myśli cò do umiejętnego tłumaczenia z obcych języków, strzeżenia czystości języka, i baczenia na potoczność wiersza i jego harmonią: w czém sam górował wówczas po nad wszystkiemi.

Brodziński ze Zdanowiczem mieli głowy małe, oblicza drobne, z wyrazem melancholijnym, byli jednego wzrostu. Dmochowski co do wzrostu i zewnętrznej postaci zbliżał się do Osińskiego i Dmuszewskiego, wraz z Dominikiem Lisieckim. Żywego usposobienia, ciągle lubił rozprawiać: pogawędkę swoją przeplatał mnóstwem wierszy, już to po większej części swoich, już i obcych, a lubił deklamować, i miał pamięć znakomitą. Dość mu było raz przeczytać lub usłyszeć głównie wierszy 200 lub 300, a powtórzył je dosłownie; prozy tak nie pamiętał.

Kudlicz nie był wcale rozmowny, ale gdy go chciano poruszyć, używano jedyne go sposobu, wspomnienia Napoleona I-go, którego gorącym był zwolennikiem. Wtedy rozwijał mu się język, rozgrzewał się nadzwyczaj i wpadał w zapał. Uprzejmy i grzeczny, stawał się nawet grubijaninem jeżeli ktoś z nieprzychylném słówkiem śmiał się odezwać o upadłym cesarzu, osadzonym na skalistej wyspie Ś-tój Heleny. Przez długi przeciąg czasu zachował wiarę głęboką, że wydostanie się z niewoli i na nowo podniesie zwycięzki sztandar.

Brodziński, który odbył kampanię 1812 roku, i cudem prawie ocalał z pod Berezyny, nie miał tego zaufania bynajmniej,

ale małowówny milczał, bo nie chciał sprzeciwiać się znakomite-mu artyście dramatycznemu, z którym go łączyły stosunki przy-jaźni. Wśród gorętszej rozprawy, trzymał się ze Zdanowiczem na uboczu.

Lisiecki przychodził tu dla dwóch swych przyjaciół Kiciń-skiego i Dmochowskiego, ale mniejszy brał udział w rozmowie, lubo chętnie bawił w tém towarzystwie, bo cenił wysoko Osiń-skiego i szukał u niego poparcia, żeby przekłady jego drama-tyczne mogły się co rychlój ukazać na scenie, a Osiński właśnie w tym czasie był dyrektorem Teatru Narodowego, objąwszy za-rząd jego po swym teściu Wojciechu Bogusławskim. Lisieckie-mu nie szło bynajmniej o jakikolwiek zarobek, bo teatr nic nie płacił, ale pragnął widziéć swoją pracę niezmarowaną da-remnie.

Całe zgromadzenie wyczekiwało tęskliwie na przybycie Żółkowskiego, wstrzymywali się nieraz ze smaczną kawą, ażeby razem ją wypić. Jeszcze był na ulicy, a już w kawiarni wie-dziano o tém, i witano go serdecznie. Każdy miał tu swoje miejsce uprzywilejowane, które zajmował: po wydatném obliczu redaktora *Momusa*, już wiedziano czy w dobrym jest humorze, lub coś go trapi. Oblicze to bowiem okrągłe, jak *księżyc w peł-ni*, wedle wyrażenia Zdanowicza, napozór nie ruchliwe, przy mocno wypukłych oczach, nabiérało szczególnie komicznego wy-razu, gdy radość i wesele czuł ten niezapomniany artysta i pi-sarz, lub gdy napadła go bojazń lub trwoga. Nikt nie zgadywał jakie uczucie grało mu w piersi, ale każdy śmiał się serdecznie, spoglądając na fizyognomię jaką wonezas nastroił.

Później towarzystwo tu zbierające się przeniosło się do kawiarni na *Suchym lesie*, na téjże ulicy, która następnie po wielu latach zachowując nazwę swoją, mieściła się na piętrze w domu *Epsteina* na Krasińskim placu ¹⁾. Ale gdym ją odwiedził o na-znaczonej godzinie, znalazłem z całego dawnego towarzystwa, tylko jednego Dmuszewskiego: Brodziński, Osiński, Zdanowicz,

¹⁾ „*Suchy las*“ dom przy ulicy Długiej Nr. 10 na prost *cerkwi*; dziś własność Aleksandra Pruzmowskiego. Zналиśmy sędziwych mieszczan warszaw-skich, którzy w dzieciennych latach pamiętali stojące jeszcze w tém miejscu osta-tnie sosny i dęby.

Żółkowski, Kudlicz, Kiciński, już spoczęli w mogiłach wraz z Lisieckim, a żyjący Dmochowski przemieszczał na wsi.

Dawny jednak zwyczaj tu zachował Dmuszewski. Na parę godzin przed zaczęciem się teatru, przychodził codziennie regularnie i zajmował swoje miejsce: już jego zwolennicy nań oczekiwali z upragnieniem. Dmuszewski zasiadłszy, podnosił na czoło złote okulary, pobębnił palcami po stole, i po téj przygrywce dopiero pytał:

— Cóż tam słychać nowego?

Zbięrał tu bowiem wiadomości do swego *Kuryera Warszawskiego*. Każdy więc z obecnych opowiadał najświeższe nowiny, wypijano kawę, i o jednéj godzinie rozchodzili się wszyscy, a Dmuszewski wolnym krokiem wracał do *Teatru Wielkiego* i *Rozmaitości*, w których był dyrektorem. Był on ostatniem ogniwem wiążącym pamięć sceny czasów Bogusławskiego i Osieńskiego, z nowym okresem teatru w Warszawie.

II.

Kawiarnia Brzezińskiej. Tomasz Święcki. Kazimierz Lux. Seweryn Goszczyński. Ludwik Nabelak, przekład jego „*Rękopismu Krolodworskiego*“. Ignacy Dobrzyński. Michał Podczaszyński. Maurycy Mochacki. Konstanty Gaszyński. Leon Zienkowiec. „Pamiętnik dla ploi pięknej“. Sonetomania. Sonety J. N. Kamińskiego. Konstanty Danielewicz. Rajnold Suchodolski. Fryderyk Szopen. Dominik Magnuszewski. Dominik Borakowski.

Drugą kawiarnią słynną z wybornéj kawy na całe nasze miasto, była tak zwana *Brzezińskiej*, od imienia jéj właścicielki. Mieściła się ona obok *poczty* na Krakowskiem-Przedmieściu ¹⁾. Cały lokal składał się z małego bufetu i wchodowego pokoju zarazem, gdzie przy kominku przygotowywała się doskonała kawa, i z dwóch, z obu stron jego pokoi większych, jeden od wazkiéj ulicy *Koziéj*, drugi od ciemnego podwórka. Były to ulubione salony dla młodzieży tak z Uniwersytetu, jak burszów,

¹⁾ Dom ten zamienionym został na *Hotel Kowieński*. (Ulica Kozią Nr. 1). Kawiarnia mieściła się na dole wszedłszy bramą, po prawej ręce.

uczniów szkół wyższych i literatów nawet poważnych wiekiem. Usługiwały tu małe dziewczęta, które następnie właścicielka bezdzietna wyposażała i za męża wydawała. Nie palono wcale fajek, a ściągało się tu zawsze liczne grono, już od pierwszej godziny w południe zwolenników kawy, a wieczorem schodzono się na smaczny ponczyk. Wszystkie ówczesne pisma jak gazety i poważniejsze dzienniki były do czytania. *Dziennik Warszawski* pod redakcją Kazimierza Ordyńca, *Pamiętnik Lacha Szyrmy*, *Rozrywki dla dzieci* Klementyny Tańskiej i inne. Ciszsza panowała wzorowa: czasami tylko przerywana tłumioną rozmową, ażeby nie przeszkadzać czytającym.

Bywał tu częstym gościem *Tomasz Święcki*, mecenas, autor dzieła: *Opis starożytnéj Polski*, które pobudziło wielu do pozajomienia się bliżej z własnym krajem. Właśnie przed rokiem wydał *drugie wydanie* téj szacownéj pracy, i mającéj niemałe znaczenie w literaturze naszéj na owe czasy. W téj edycji, w przypisku pod Warszawą, załączył opis mój odebrania tego miasta z rąk Szwedów za Jana Kazimierza. Rozprawka ta drukowana poprzednio w *Dzienniku Warszawskim*, dała mi sposobność szczęśliwą zbliżenia się i poznania osobiście Joachima Lelewela; stosunek ten utrwalił się więcéj w następnych latach.

Święcki, postacią całą przypominał dawnych kontuszowców: wzrostu wysokiego, wysmukły jak topola, żył w ścisłej przyjaźni ze *Skorochoodem Majewskim*, metrykantem, badaczem sankrytu, w co włożył znaczniejszą część swego majątku; mecenasem *Ziemięckim*, (teściem znanéj pisarki) i *Plichtą*. Wszyscy nosili się po polsku, i w jego domu poznałem ich zblizka.

Rzadszym gościem bywał tu major *Kazimierz Lusa*, bo tylko wtedy kiedy za urlopem przyjechał do Warszawy, a pełnił wówczas urząd komissarza obwodowego na prowincyi. Pracował właśnie nad historją Legionów we Włoszech i na wyspie San-Domingo, w których miał osobisty udział. Posiadał dobrze pięć języków: francuzki, niemiecki, angielski, włoski i hiszpański. Pomimo piątego krzyżyka, wyniosłego wzrostu trzymał się prosto i krzepko, lubo na obliczu pozostały wyraźne ślady przebytych trudów w obozach, pod skwarném niebem i na pontonach angielskich. Opracował zajmujący opis i szczegó-

łowy wyspy *San-Domingo*, tak pod względem jój bogactw natury, jak i historycznym ¹⁾. Należał on do tój garstki 150, która otoczona tysiącami zajadłych murzynów, pod dowództwem *Blumera* potrafiła się przedrzeć z głębi wyspy, dostać do wybrzeży morskich, i ocalić na pokładzie francuzkiego okrętu. Kiedy stale później osiadł w Warszawie, widziałem u niego stopy notat w rozmaitych językach, jakie zgromadził do tego dzieła, które wykończył zupełnie w rękopiśmie ogromnym ²⁾.

Zajęty byłem rozmową ze Świąckim, gdy wszedł do tój kawiarni młody mężczyzna dobrego wzrostu, skromnie ubrany, w szaraczkowym płaszczu bo deszcz przepadywał. Świącki wyszedł, a on znalazłszy przy moim stoliku wygodniejsze miejsce, zasiadł i zaczął czytać *Gazetę polską*. I ja jakies pismo przrzucałem: milczeliśmy oba, pusto było w kawiarni, byliśmy sami, gdy zapytał mnie nagle:

— Czy pan z Warszawy?

— To miasto moje rodzinne:—odrzekłem. A pan?

— Ja Ukrainiec!

— Cieszę się wielce że mam sposobność mówienia z mieszkańcem Ukrainy, bo może mnie pan raczy objaśnić o poecie, którego poemat był najprzód w wyjątkach drukowany przed dwoma laty bezimiennie w *Dzienniku Warszawskim* Ordyńca, którego jestem stałym współpracownikiem, a przed rokiem już z wydanej całości mieliśmy ustępy ³⁾.

¹⁾ Rękopism ten, blisko w ówieró wieku później, po śmierci K. Luxa wydrukowałem w Bibliotece Warszawskiej w roku 1854.

²⁾ Rękopism ten składał się z tysiąca dwóch stronnic, i z niego pułkownik *Piotr Bazyli Wierzbicki* towarzysz broni Luxa, pod swoim imieniem w Bibliotece Warszawskiej (Tom I z roku 1847) dał małe wyjątki, przyswoiwszy cały rękopism na swoją własność. Lux tego postąpienia z pracą tak mozolną, i tój grabieży zapomnieć nie mógł, protestował głośno i publicznie, ale już go nie odebrał.

³⁾ I. K. Ordyniec w tomie IX *Dziennika Warszawskiego* z 1827 roku ogłosił wyjątki z części 2-ój „*Zamku Kaniowskiego*.” ale bezimiennie. Poprzez niego Fr. Grzymała w *Astrei* wydrukował wiersz S. Goszczyńskiego p. n. *Przechadzka*, ale z mnóstwem błędów drukarskich. Skoro w całości ukazał się *Zamek Kaniowski* z drukarni Natana Glücksberga, Ordyniec ze wszystkich trzech pieśni dał małe ustępy. (*Dziennik Warszawski*. Tom XII, 1828 r.)

— O jakim poemacie chcesz pan mówić? — zapytał i oblicze jego pospolitych rysów, nabrało niezwykłego ożywienia. Żywy rumieniec ubarwił je, a oczy dotąd jak za mgłą, zajaśniały blaskiem ognia.

— Mówię o *Zamku Kaniowskim* i jego autorze Sewerynie Goszczyńskim.

Na chwilę zamilkł, a potem z uśmiechem zapytał, jak mi się ten utwór podobał?

— Jak mi się podobał—odrzekłem—dziwne pytanie! Czyż pan nie znasz tego utworu dzielnego, który brzmi jak brzęk stali, a oddycha krwią i pożogą. Cenię wysoko i bardzo wysoko Bogdana Zaleskiego, upajam się Mickiewiczem, ale w *Zamku Kaniowskim* przenosi mnie poeta w ową straszną chwilę *kolyszczynny*, i w całej prawdzie odsłania ten pełen grozy dramat. Ileż tam wzniosłych myśli i obrazów, a poczerpniętych z natury, świeżych jak kwiat wiosenny, a wzniosłych jak dęby wiekowe, z wybujałym wierzchołkiem w niebiosy, z których na jeden co królował puszczy wdarłszy się *Nebaba*, patrzy na świat Boży, w zadumaniu cichém i głębokiém:

„Po jego myślach młody wiek przegania,
W kwitnących barwach świetnego zarania.
Co za świat w ciszy rodzinnego sioła!
Gdy dusza grała ogniami jutrzeńki,
A wabna przyszłość, jak wróżka wesoła,
W kolój, nadziei uchylała wdzięki.
Jak wszystko pełne, jak tam wszędzie miłol
Jak dzień skąpany w jeziorze rodzinnym,
Cicho, ponętne, w marzeniach świeciło,
Przeszłość i przyszłość, szczęście i niedole:
Życie, koń wrzący, świat, kwieciste pole!
Wzburzenia duszy, cierpkie serca bole,
Wszystko się topi w uśmiechu dziecinnym! . . .“

Deklamowałem z zapalem i głośno te ustępy, których uczyliśmy się na pamięć, a które mnie zachwyciły. Widać, że donośna deklamacja moja odbiła się w bufecie, bo trzy małe kawiareczki roztworzyły drzwi i przysłuchiwały się uważnie i z niemałym zajęciem. Dostrzegł to mój nieznajomy, wyciągnął do mnie rękę, a ściskając serdecznie dłoń moją wyrzekł z radością na twarzy:—To ja jestem Goszczyński.

To było pierwsze spotkanie się moje i poznanie z tym poetą.

Za jego pośrednictwem poznałem się z *Ludwikiem Nabielakiem* jego przyjacielem, właśnie on pracował nad rozprawą p. n. *Zabytki starożytnej poezji słowiańskiej*, wraz z tłumaczeniem *Rękopisu krółodworskiego*, który odkrył w roku 1817 Wacław Hanka, i pozyskał tём ogromny rozgłos w całym świecie uczonym.

Uderzającą była postać pana Ludwika: wzrost wyniosły, krzepko zbudowany; rysy twarzy pociągłe i regularne, oko wydatne, głos donośny, silnie basowy; oblicze czerstwe, ruchy udane: wszystko stanowiło w nim wielce urodnego mężczyznę. Był to wedle ludowego a dosadnego wyrażenia „tegi chłop!“ my dodamy i piękny chłop.

Czytał mi swój wstęp jaki już przygotował do pomienionej rozprawy, w której na czele stawiał sobie pytanie, co jest poezją narodową, w każdym narodzie, a zwróciwszy główną myśl do rodzinnęj poezji odpowiadał na nie w tych słowach:

„Trzy są, mojem zdaniem, źródła do czerpania czystych pojęć o narodowości, a użytkując z takowych w wykonywującej sztuce, do tworzenia dzieł prawdziwie narodowych. Pierwsze, już nam znajome i z pomyślnym używane skutkiem stanowią *podania i pieśni gminne*. Źródło to, pomimo obfitości swojej, nie jest jednak samo przez się dostateczne, i jak pewną jedynie liczbę wyobrażeń narodowych dostarcza, tak pomaga tylko szczególniej części poezyi, *gminną zwanęj*, która oddzielnie uprawiana, szczupłą tylko cząstkę literatury narodowej stanowi. Drugiem źródłem do przyswojenia sobie cechy narodowej w dążeniu poetycznym, jest *badanie ducha narodu z jego dziejów przeszłych i położenia obecnego*. Jest ono niezbędne do wszelkich większego rodzaju utworów, szczególnie dramatycznych, gdzie wprawdzie człowiek z swemi namiętnościami zawsze ten sam pozostaje, ale jednak usposobienie czasowe i charakter narodowy, co do panującego ducha i dążności w każdym wieku, oddzielnym go od ludzi innych wieków i narodów czyni. Trzeciém nakoniec źródłem, mniej może jeszcze od poprzedzającego używaném, są *starożytne zabytki poetyczne rozmaitych pokoleń słowiańskich*.“



Następnie wspomniawszy o *Rękopiśmie królowaworskim*, o *pieśni i wyprawie Igora*, i bohatérskich *Rapsodach serbskich*, mówi o przekładzie swoim piérwszego zabytku.

„Przedstawiając te zabytki starożytnéj poezyi słowiańskiéj, nie chciałbym, aby się do nich z takim zbliżano nastrojeniem, z jakim się zwykle do czytania czegoś, przyjętym smakiem nacechowanego, przystępuje. Tu, trzeba przenieść się myślą w odległe czasy, a nadewszystko nie spuszczać z pamięci: iż nie piękności i myśli naszego wieku w nich szukamy, ale znamion, któreby nam przyrodzony narodu charakter, jego ducha i pierwotną dążność wskazywały. Kiedy bowiem w powstającym młodzieńczém uczuciu naród wydał piérwszą pieśń z natchnionego łona: w takowój pieśni musiał się cały jego charakter odbić, cała dusza objawić, bo duch jego, nie więziony przyjętymi formy ani przykładem, w sprzeczną drogę wiedziony, swobodny i najwłaściwszy swemu charakterowi mógł przyjąć kierunek. Nie małym to wprawdzie przedziałem czasu odgródzone są te zabytki od naszego wieku, ale choćby i najobszerniej rozrodził się naród, choćby jak najdalej odsunął się od swego źródła, nigdy jednak pierwotnych cech zupełnie w sobie zatrzeć nie zdoła. Naszą jest tylko rzeczą, rozpatrywać się w jego duchu, śledzić kierunek dążności, a do pierwotnych barw i zarysów, dodawać te, któreśmy na czasie i sprzyjających nam okolicznościach zdobyli.“

Piérwszym był u nas Nabelak, który zabrał się do tłumaczenia *Rękopismu królowaworskiego*. I. B. Rakowiecki wcześniej w ogólnych zarysach poznał nas w swéj *Prawdzie Ruskiéj* (Warszawa, 1820 roku. Tom I) z tym drogocennym zabytkiem i dał małe i drobne ustępy, o ile mu do badań jego były potrzebne, ale które żadnego wyobrażenia dać nie mogły o wartości poetycznej: teraz z zapalem młodzieńczym zabrał się do téj pracy Nabelak, z poczuciem całej wartości natchnienia i podniosłości ducha, w jakich te utwory wyszły z piersi nieznanych wieszczów czeskich. Znając dobrze ich język, w wiernym i dosłownym przekładzie wykończył dwa więkzsze rapsody: *Jaroslawa*, i *Zabój Stawoj a Ludiek*. Czy wykończył zamierzoną

pracę, nie wiem, bo po dwóch latach znajomości już go więcej nie widziałem ¹⁾).

Tu poznałem młodego Ignacego Dobrzyńskiego, który w równym wieku zemną już okazywał znakomity talent. Odznaczał się on urodą, pomiędzy liczném gronem młodzieży. Nie tak atletycznój budowy jak *Nabielak*, średniego wzrostu, miał oblicze piękne i nadzwyczaj sympatyczne, zwiastujące piękną duszę i najszlachetniejsze uczucia, które zachował do zgonu. Oczy czarne, pełne życia, gdy rozmawiał z zapałem, pały jak brylanty. Wesoły, cały oddany swój ukochanój sztuce, w rozmowie żywy i porywający. Przed czterema czy pięciu laty przybył z Wołynia, gdzie się urodził, do Warszawy, pełen najpiękniejszych nadziei i marzeń, że zajaśnieje dorazu talentem. Niestety! znalazł tu niespodziewane przeszkody. Jednym z jego przeciwników, co mu stanął na drodze artystycznego życia żelazną zaporą, był Karol Kurpiński dyrektor opery polskiej teatru narodowego, człowiek zasług nie małych, który niecierpiał młodych talentów, tym bardziej takich, coby go przyćmić mogły. Poznawszy w Dobrzyńskim niebezpiecznego współzawodnika, użył całej swój powagi i przewagi, ażeby go trzymać w cieniu. Z nieopisaną goryczą skarżył się wielokrotnie Dobrzyński przedemną, na tę niegodną stanowiska Kurpińskiego zawiść, a to wspomnienie przykre do ostatnich chwil swego życia przechował. Za to z wdzięcznością wspominał zawsze Józefa Elsnera, u którego razem z Szopenem brał lekcye teoryi i kompozycyi. W kilka lat później dopiero zasłynął *Symfonią* przesłaną na konkurs do Wiednia, która jeżeli mu dała chlubny rozgłos w kraju, nie wyjednała przecież odpowiedniego stanowiska zacnemu jój twórcy.

Do téj kawiarni przychodził najczęściej *Michał Podczaszynski* założyciel poważnego naukowego organu po upadku

¹⁾ Rapsody te, o których wspominam, wraz ze wstępem wydrukował w *Haliczaninie*, piśmie zbiorowém, które się u nas ukazało w połowie 1830 r. Wyszło we Lwowie t. r. pod redakcyą Walentego Chłędowskiego we 2-ch tomach. Piérwszy zdbi portret Aleksandra hr. Fredry, drugi I. N. Kamińskiego. Nabielak rodem z Galicyi i tam wychowany, w organie miejscowym ogłosił swą pracę: zapowiedziany jój ciąg dalszy już się nie ukazał.

Pamiętnika Warszawskiego, w miesięcznych zeszytach, p. n. *Dziennik Warszawski* w roku 1825. Redagował go w pierwszym roku wspólnie z Maurycem Mochnackim, a w następnym już sam. W nim pomieścił wiele rozpraw wysokości, tak oryginalnych, jak tłumaczonych lub streszczonych a dotyczących dziejów i literatury krajowej. Pomiędzy tymi, zwracała uwagę rzecz o *Rycerzach Jaszczurkowych* w Prusiech, przyczynek do dziejów polskich XV wieku, wyjaśniający nieznanne dotąd szczegóły wypadków za panowania Kazimierza Jagiellończyka, według dzieła wydanego po niemiecku przez profesora *Voigt'a*. Dzieło to podał w skróceniu, ale uzupełnił go tak ustępami z Długosza jak i wypisami z *metryk koronnych*. Mając zamiar stałe zamieszkać we Francyi, zdał własność pisma swego i redakcyę Janowi Kazimierzowi Ordyńcowi, a sam wyjechał do Paryża. Po dwóch latach pobytu zagranicą, przybył do Warszawy i w czasie swego pobytu, codziennie przychodził na kawę do *Brzezińskiej*. Tu go bliżej poznałem. Wysokiego wzrostu, smagły, drobnego oblicza, był nadzwyczaj miłym i pociągającym w obejściu. Właśnie rozpoczął już druk *dzieł Krasickiego*, dziesięć tomów w jednym, podług edycji Franciszka Dmochowskiego, tłumacza *Iliady* a przyjaciela Krasickiego; piękne to i okazałe wydanie wyszło w Paryżu z popiersiem autora w stalorycie, w roku 1830.

W czasie bytności Podczaszyńskiego w naszym mieście, zaczął odwiedzać tę kawiarnię *Maurycy Mochnacki*, *Konstanty Gaszyński*, *Leon Zienkiewicz*, dwaj ostatni redaktorzy *Pamiętnika dla płci pięknej*; *Dominik Magnuszewski*, a z nim jego przyjaciel *Fryderyk Szopen*, który wybierał się w podróż za granicę.

O każdym z nich wspomnę tu oddzielnie.

M. Mochnacki niskiego wzrostu, głowy większej niż wzrost wymagał, rysów twarzy pociągłych, i nosa orlego, nie wzbudzał w mniejszego znających sympatyj. Oblicze całe przez brodę zadartą i nos spuszczone, przypominało postać Judasza, jaką widzimy w słynnym obrazie *Leonardo da Vinci*: *Wieczery Pańskiej*.—Zyskał sobie niemały rozgłos jako współredaktor *Dziennika Warszawskiego*, z wystąpień w tém piśmie przeciw najwyższej powadze naukowej w osobie Jana Śniadeckiego, z krytyk na *Kocz-*

niki *Towarzystwa przyjaciół nauk*, i z rozpraw w *Gazecie Polskiej*, o poezji i poetach tak zwanych romantycznych. Jeżeli młodzież dzieliła jego zdanie i przyklaskiwała mu za te prace nacechowane śmiałością i wyższym poglądem, jeżeli miała wdzięczność za wydobycie z cienia zapomnienia *Maryi Antoniego Malczeskiego*, i postawienia jej na należnym stanowisku: ogromnie się nań oburzała, za zuchwałą krytykę *Walenroda Mickiewicza*, w której wykazywał niestosowność całego romansu między *Konradem i Aldoną*. Pamiętam dobrze, jak zwolennicy Mickiewicza, z gniewem i uniesieniem sarkali na krytyka za to na kawie u Brzezińskiej, i długo się uspokoić jeszcze nie mogli, bo autor *Dziadów*, powinien być nietykalny ostrzem pióra recenzenta.

Poważniejsi przecież, chociaż gorący wielbiciele wielkiego poety, zgadzali się pocichu z Mochnackim, ale głośno tego wypowiadać nie śmieli.

Przygotowywał on wtenczas dzieło „*O literaturze polskiej w XIX wieku*“ i artykuły te z *Gazety Polskiej* wcielał do niego i stosował do całości; równocześnie zaś pracował przy *Izynie* dzienniku technologicznym, pod główną redakcją *Antoniego Lelowskiego*, tłumacząc i przerabiając potrzebne artykuły, za co otrzymywał odpowiednie honorarium.

Dzieło pomienione wydał w drugiej połowie 1830 roku w Warszawie w drukarni J. Węckiego (w 8-ce str. 222). W niém już chłodniej ocenia walkę klasyków z romantykami, i oddaje należny hołd zasługom Kazimierza Brodzińskiego, powtarzając słowa Michała Grabowskiego wyrzeczone o śpiewaku *Wiesława*, że: „on pierwszy zrobił w literaturze polskiej krok stanowczy, krok olbrzymi: bo od dowcipu do myśli, od sentymentalności do czucia, od sztuki do natury.“

Wynosząc grono młodych poetów, z uznaniem mówi, a nawet z zapalem o J. U. Niemcewicu i Janie Woroniczu.

Młodzież lubo czytała z upodobaniem, jak wspomnieliśmy wszystko co wyszło z pod jego pióra, nie sympatyzowała z nim jednakże. Ścisłe tylko stosunki przyjaźni łączyły go z Bronikowskim, Podczaszyńskim, Żukowskim i wielu nie literatami, zbliżony był nadto więcej do Joachima Lelewela, zdała się zaś

sam trzymał od całego towarzystwa, jakie zbierało się na kawie pod *Kopciuszkiem* czy *Suchym lesie*.

Gaszyński, w kwiecie wieku, blondyn, twarzy okrągłej, oczu niebieskich; rumiany, pełen żywości w ruchach, lubiony był powszechnie: znajdował uprzejme przyjęcie czy to w zebraniach starych klasyków, czy najzarliwszych romantyków. Towarzysz jego *Zienkowiec Leon*, brunet, niższego nieco wzrostu, był więcej poważny i w całej postawie powolny. Obaj z początkiem 1830 roku zaczęli wydawać *Pamiętnik dla płci pięknej*, w zeszytach czteroarkuszowych w małej 8-ce, dwa razy na miesiąc, co pierwszego i piętnastego. Trzecią część jeżeli nie połowę każdego zeszytu, stanowiły na czele pomieszczone poezye. Po między temi, najwybitniej odznacza się przeważna strona *Sonetów*. Trzy lata minęło kiedy w ozdobnym wydaniu wyszły *Sonetety* Mickiewicza w Moskwie (w drukarni Uniwersytetu 1826 r.) wraz z przekładem jednego na język perski. Gorączka *sonetomanii*, przeszła w literacką epidemię: jak za balladami wielkiego poety sypały się ich setki z pod piór naśladowców, tak teraz rej jeszcze wiodły *sonety*. Zaraz w roku następnym po ukazaniu się pierwotnego wydania w Moskwie, we Lwowie przedrukowano *sonety* Mickiewicza „z *Nutami kompozycji Karola Lipińskiego*“ (1827 r. w 18-ce).

Z pomiędzy pierwszych naśladowców odznaczył się *Jan Nepomucen Kamiński*, niepospolitego talentu poeta i pisarz, dyrektor teatru Lwowskiego, który tom ich cały wydał. Wiele pomiędzy niemi było tak przesadzonych, tak koszlawo myśl nawet zdrową oddających, że serdeczny śmiech tylko wywołały. Zbiór tych nieszczęśliwych *sonetów* w liczbie aż 61 ukazał się w rok po Mickiewiczowskich ¹⁾. Na poparcie naszego zdania, tylko tu dwa z tych utworów smutnych przywiode.

¹⁾ „Sonety J. N. Kamińskiego (z godłem):

Muszki chwilowe, żyją krótką chwilę;
Dzień jeden lotu: pozwolicieś tyle?

We Lwowie. Wyciąnięto u Piotra Pillera 1827. (W 12-ce str. 70). Autor przypisał je księciu Augustowi Długoszowi Lobkowitzowi gubernatorowi królestw Galicyi i Lodomerji. Z tego dowiadujemy się, że ten książę jest potomkiem *Popiela* co go myszy zjadły.

XV.

Ach! myśli moje, korab w oceanie!
 Tłuką go fale, utracił kotwicę!
 Ciskany burzą, żaglem gwiazd dostanie,
 I piersią pruje przepastne ciemnice!
 Zawsze i zawsze w nieustannój zmianie,
 W niebie nadziei i zapomnień rzece!
 Kiedy się strzaska, czegoż się uchwycę?
 Wieloryb śmierci połknie nadspodzianie!
 Mając te chyże pomyslenia żagle,
 Te mocne liny z pojęcia jedwabiu,
 Jak próżne bańki w nicość pękać nagle,
 Żadnego wprzyszłość nie *przemycić* szczętu?
 Czyliż przecucie, ta igła korabiu,
 Nie jest wykutą z prawdy dyamentu?

XXI.

Wypiłem duszą, duszę kałamarza,
 Już pióro znaków, oko łez nie roni:
 Mój ogród spłowieł, w lasku pieśń nie dzwoni,
 Widzicie we mnie pustek gospodarza!
 Idę do grobów na pole smętarza,
 Ach! i tam pycha próżne bańki gonil
 Pawie na czele, krety na ustroni,
 Jedni, jak drudzy, pod rydlem grabarza!
 Jednych i drugich, robak jeden kąsa,
 Jeden się robak ich dziedzictwem tuczy,
 Śmierć wszystkich kości w jednym worze wstrząsa,
 Przecież wiatr pychy i po grobach huczył
 Kiedyż się głupstwo człowieka wydąsa?
 Czyliż śmierć straszna, rozumu nie uczy?

Hołd tej formie pokazanej przez twórcę *Dziadów*, widzimy hojnie oddany w *Pamiętniku dla płci pięknej*; każdy z młodych poetów i wierszopisarzy, musiał choć z tuzin ich napisać, nawet z rodziny *Koźmianów*, znanych zwolenników klasycyzmu, S. E. Koźmian napisał jeden sonet. Brodziński tylko w tej formie nie objawiał swych myśli, bo uważał ją za jarzmo niewolnicze, gniotące jej polot swobodny, a gdy mu stawiono za przy-

kład Mickiewicza odpowiadał skromnie ludowém przysłowiem:
„*Co wolno orłowi, to zasie wróblowi.*“

Dział poezji w tak obszernych rozmiarach prowadzony w tém piśmie, liczył grono nie małe współpracowników. Na czele ich, głównie co do obfitości stoi sam redaktor *Gaszyński*, po nim *Konstanty Danielewicz* przyjaciel Zygmunta Krasińskiego i nieodstępny towarzysz jego podróży za granicą: *Franciszek Kowalski* tłumacz Moliera, wówczas bawiący w Warszawie, gdy skończył guwernerkę przy Augustcie Cieszkowskim; *Jachowicz Stanisław*, *Leonard Rettel*, *Leon Ulrych* i *Leon Zienkowicz* współredaktor. Ci ostatni byli to przyjaciele i towarzysze *Gaszyńskiego*. Do rzędu ich należał *Rajnold Suchodolski*, znakomity rysownik a następnie pieśniarz, który w kwiecie wieku, w samym rozwoju poetycznego talentu zakończył życie. Z jego utworów najwięcej się podobał i zwrócił na młodego poetę uwagę, mały utwór:
„*Skon wodza Kleftów*“ pieśń nowo-grecka.

Moi wierni towarzysze,
I młodości i méj broni,
Śmierć już czuję, zdala słyszę,
Jak niszczącą kosą dzwoni.
Weźcie miecz mój doświadczony,
Którym jeszcze wrogom grozę,
I ścinajcie gaj zielony,
I z gałązek ścielcie łoże.
Na nim skończę me nadzieje,
I w dłoń świętą spowiednika
Nieugięty duch przeleję,
I ostatnią myśl grzesznika.
Na granicy naszej ziemi,
Pochowajcie mnie w żałobie,
Żebym walczyć z wrogi memi,
Nie zapomniał w zimnym grobie.
Tylko zróbcie go wysokim,
Żebym stojąc mógł zabijać:
Tylko zróbcie go szerokim,
Żebym mieczem mógł wywijać.
A gdy najdą góry nasze,
Obce ludy, obce konie,
Trupim wzrokiem ich odstraszę,
Błyskiem miecza was obronię.

Suchodolski odznaczał się pomiędzy towarzyszami swymi, zarówno wzrostem jak obliczem. Wysoki, smagły, miał twarz pociągłą, nos wydatny i oczy: wszystko zaś składało się na postać dorodnego mężczyzny.

Dział ten zasiliał niemało Brodziński, przekładem pieśni czeskich i serbskich. Wogóle jednakże nic w nich nie było takiego, coby podziw, albo poklask wywołało. Trochę ballad, trochę w rodzaju pieśni ludowych; przekłady z Walter-Skota, z Tomasza Moora, z Szyllera, z Petrarcki, jak tłumaczenie ze słowiańskich pieśni a głównie naśladownictwo Mickiewicza, J. B. Zaleskiego i S. Goszczyńskiego, stanowiło ich watek.

Z prozy oprócz udatnych wspomnień Stanisława Trembeckiego i Franciszka Karpińskiego, są drobniejszych rozmiarów zajmujące artykuły: obszernie zaś miejsce zajmują *Nowiny i Wiadomości naukowe*, w których redakcyja podawała krótkie sprawozdania o wysłanych z pod prassy nowych dziełach, z popularniejszych przytaczając nawet większe ustępy.

Pismo to, lekkie, poczytne, wybornie odpowiadające swemu tytułowi, znalazło dobre przyjęcie, tém więcej, że zeszytowych czasopismów mieliśmy mało: był tylko ciężki *Pamiętnik Lacha Szyrmy*, cel pocisków zjadliwych Maurycego Mochnackiego.

Zapijając czarną kawę czytałem gazetę, gdy drzwi się z trzaskiem otwały i weszło czterech. Na czele, żywo wbiegł Gaszyński, za nim poważnie Zienkowicz, i dwaj młodzieńcy nieznan mi wcale. Zbliżywszy się do bufetu, z najgrzeczniejszym ukłonem, z pewną przesadą wydekłomował:

— Piękna Maryniu! bóstwo serc naszych, cztery porcyjki czarnej kawy!

A zbliżywszy się do mnie, i podając rękę:

— Jak się macie? co czytacie? No! *Leona* znacie, mówił wskazując na Zienkowicza, a to *Dominik Magnuszewski* autor *Starego kawalera*, którego widziałeś na *małym teatrze*: a to *Fryderyk Szopen* nasz grajek: kochany Frydruś!

I zanim zdążyłem podać mu rękę, Gaszyński go pierwej wyściskał i ucałował.

Spojrzałem na nieznanym mi dotąd. Szopen, pociągłej twarzy, rysów wydatnych, był niższy od Magnuszewskiego, który szczupły i wątły, drobnych rysów i okrągłej twarzy,

stał w przeciwieństwie ze swym przyjacielem. Szopen miał płaszcz szaraczkowy na sobie, Magnuszewski brązowy, z kilkoma pelerynami, które się zapinały na haftki. Właśnie mu się odpięło ich kilka i peleryny odczepiły od kołnierza, wstałem więc i wróciłem wszystko do porządku, za co mi serdecznie dłoń uściśnął. To było pierwsze nasze poznanie i początek serdecznej przyjaźni.

Odtąd zacząłem bywać w domu dziada Magnuszewskiego, Dominika Borakowskiego b. Sędziego Najwyższej Instancji: w kronice miasta Warszawy zajmuje on nie jedno wspomnienie w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta.

Tutaj zbliżyłem się więc do Szopena, przychodził bowiem często pod wieczór do *pana Sędziego*, a głównie do Magnuszewskiego, którego kochał, i dla jego zadowolenia i dwóch siostr jego, grywał nieraz na fortepianie. Ale zastrzegał sobie ażeby świec nie wnoszono do sali. W pomroku przeto wieczornym najradziej improwizował z różnych tematów. Melodye Szopena do *Sielskich pieśni*, Stefana Witwickiego już były znane powszechnie i rozbiegły się po kraju.

W przed dzień swego wyjazdu, był jeszcze na kawie u Brzezińskiej, a wieczorem w *Teatrze narodowym* na *Krasieńskim placu*, i tu go ostatni raz widziałem.

(Dokończenie nastąpi).

DARWINIZM I POZYTYWIZM

w treści pism naszych.

PRZEZ

A. Tyszyńskiego.

Materalizm w obec nauki, przez Dr. Stefana Pawlickiego. 1870, Kraków.—*Prawo postępu*, studjum przyrodniczo-społeczne przez Ludwika Masłowskiego. 1872, Kraków.—*Przegląd dziejów przyrody. Studia filozoficzne*, przez Dr. Wincentego Szyszło. T. 2, 1872, Warszawa.

Darwinizm i pozytywizm, te dwa brzmienia pierwszej głośności w społecznym nam naukowym świecie, nie są bez echa i w naszej literaturze. Jaka jest rzeczywista wartość tych systematów? na to jest odpowiedzią w części już samo to ich następstwo—głośność. Jak pojmowane są u nas? i jaki, zdaniem naszym, powinienby być na nie pogład właściwy? na to właśnie chcemy tu wskazać.

Darwinizm i pozytywizm (mówimy tu naturalnie nie o pozytywizmie Schellinga, ale szkoły A. Comte'a) równie u nas jak wszędzie, zyskały w ciągu tych lat ostatnich i wyznawców i przeciwników. Wyznania te i napaści przedstawiają się też i u nas jak wszędzie w różnych odcieniach; nieraz ślepogromiące lub ślepowielbiące, ukazują się też niekiedy i w szacie rozumowanych poglądów. W liczbie tych, trzy mianowicie wybijają się dobitnie różne kierunki: jeden który potępia bezwzględnie darwinizm i pozytywizm, a razem z niemi i wszelkie badania materialne, drugi który przeciwnie uwielbia darwinizm i pozytywizm a potępia bezwzględnie wszelkie badania duchowe; trzeci wreszcie, który uwielbia zarówno darwinizm i pozytywizm jak i duchowe prawdy, i wnosi: iż postęp istotny zależy na połączeniu i pogodzeniu jednych i drugich.

Trzy pisma, których napisy wyżej przywiedliśmy, są właśnie wyrazem i odbiciem tych trzech kierunków i w téjże właśnie kolei; dwa pierwsze są to traktaty w części pobieżne i ogłoszone jako odbicia osobne z pism czasowych, trzecie jest publikacją oddzielną i wypracowaną

dziełem w gałęzi swojej; wszystkie trzy mają jednak tę wspólność, iż zdania swe wyrażają jasno, dobitnie i z wyrozumowaniem swych zasad.

Przytoczymy tu po kolei w skróceniu treść tych trzech pism. Przytoczenie to poznałomi właśnie czytelnika z treścią głównych kwestyj przedmiotu; dodane zaś następnie zdania o każdym, będą też wyrażeniem wniosków i o przedmiocie samym.

Materyalizm w obec nauki.

Materyalizm w obec nauki, jest to traktat niezbyt obszerny, podzielony na paragrafów czyli rozdziałów VIII, a w tych granicach autor (którego pióro nie jest nieznane czytelnikom Biblioteki), lubo treściwie lecz wrotnie wzmiankuje o głównych wypadkach społecznej przyrodniczej umiejętności i na czynione przez nią zarzuty pojęciom duchowym, wyraża odpowiedź.

§ 1. Z początkiem XIX wieku w nauce europejskiej zakwitnął był idealizm. Hegel i jego szkoła panowały najwyżej i rażące światło rzuciły; lecz nagle, lat temu 30 światła owe pogasły, nastąpiła ciemność, a drobne gwiazdy które zastąpiły te światła chwilowe, blyszczą, „ale jak w nocy bez księżycy nie oświecają ziemi“. Te drobne gwiazdy są to dzisiejsi (1870) materyaliści niemieccy, a mianowicie stojący na ich czele: *Moleschot*, *Kar. Vogt*, *Büchner*, *Leventhal* i inni. Głównym winowajcą i sprawcą takiego skutku jest Hegel sam, t. j. jego zasady, które loicznie rozwijane wydały podobny skutek. Materyaliści: Ludwik *Feuerbach*, który w końcu wyznał iż oślica Balaama była mędrszą niż głębcy filozofowie jego mistrzowie i że jedynym istotnym Bogiem jest ludzkość; *Max Stirner* który dowodził iż i Feuerbach był bałwochwalcą, bo wierzy w ludzkość, i *Arnold Ruge* który i ateuszów uznał za bałwochwalców bo wierzą w system, byli to zrazu Hegliści, najgorliwsi wyznawcy Hegla. Materyaliści dzisiejsi to uczniowie uczniów. „Ostatniem słowem, mówi p. Pawlicki, społecznego nam materyalizmu jest główne dzieło Büchnera *Sila i Materya*. Autor ten usuwając wszelkie nauki i wyobrażenia duchowe za jedyną istnącą prawdę przyjmuje byt odwiecznej materyi, która w odwiecznym będąc ruchu wydała świat ten i wszystko na nim“. Ale aby ocenić wartość podobnych zasad materyalistów, dosyć jest, uważa autor „porównać ich twierdzenie, z rezultatami ich nauki“.

§ 2. Wykłada system Kosmogonii według Laplace'a i wychodzącą z niego teoryę Büchnera. „Byt jest ciąglą przemianą materyi; co być nie może zniszczonem, nie mogło też nigdy być poczętém czyli stworzonem,“ ale nauka istotna, zapytuje autor, czyliż może podobnie twierdzić? Aby twierdzić iż materya nie miała początku, trzeba najprzód wiedzieć co jest materya? a cóż jest istotnie materya? Gdybyśmy nie mieli ani zmysłu widzenia ani dotykania, a tylko zmysł słuchu, tedy sądziłibyśmy że materya jest to tylko zbiór tonów, a jednak tak nie jest.

Źródłem utworów i zjawisk świata, uczy Büchner, jest i jest tylko wyłącznie *Ruch* i jego następstwa. Ruch wydaje pierwiastki czyli *siły* takie jak światłość, elektryczność, magnetyzm, ciepło i t. p. Jak materya nie ginie, tak i siła, ale z jednej przechodzi w drugą. Moleschot wykazywał jak z ciepła idzie elektryczność, z elektryczności magnetyzm i t. p. I materya i ruch tak nie miały początku, jak mieć nie będą końca. Ale *nauka*, uważa autor, niema prawa twierdzić, iż ruch nie miał początku „nauka zna tylko materyę w ruchu i o nięj twierdzi z wszelką pewnością, iż sama sobie ruchu tego nadać nie mogła“: a nadto nauka twierdzi, iż fakta ruchu wydają w końcu ustanie ruchu (czyli wieczny pokój) jak to przedstawia w skróceniu a w dowodzie praktycznym granit; co więc może mieć koniec, mogło mieć i początek.

§ 3. Materyalizm odrzucając Stwórcę, dopuszcza powstanie istot albo przez samorodztwo, albo przez wyniesienie się ich stopniowe z jednego gatunku; autor w paragrafie tym rozbięra kwestyę samorodztwa i wykazuje, iż to jest ułudą i że ci nawet którzy ogłosili byli fakt otrzymanego samorodztwa (jak n. p. *Cohn* z Wrocławia, *Cieńkowski* i inni), po bliższem doświadczeniu odwołali swoje twierdzenia.

§ 4. Wykłada teoryę Darwina, „jest to—mówi autor—fabrykat angielski, w którym jest wiele szlachetnego i wiele lichego metalu“. Darwin zajmując się wykładem przyczyn różności gatunków zwierzęcych, wyłożył pierwszy trafnie i z nawałem erudycyi zoologicznej, iż przyczynami temi są: *walka o byt* i *wyбір naturalny*; w skutek tych przyczyn zwycięstwo zostaje przy przebieglejszych, słabsze indywidua giną, silniejsze wydają nowe potomstwo, które odbijając cechy tęg przebiegłości okazują się tęg i z odcieniami zewnętrznęj zmiany. Wnioski te (uważa autor) są prawdziwe, ale następuje strona słaba. Darwin udowodnił tylko możliwość zmiany ras jednego gatunku, a zakonkludował, iż ukształcać się i wyradzać podobnie mogły gatunki z gatunków, iż owszem należy wnieść, iż te wszystkie gatunki istot jakie widzimy, wyszły z kilku typów pierwotnych, a najprawdopodobnięj i te kilka z jednego. Darwin wyraził wprawdzie w swém dziele (głoszącem tę teoryę) iż ów pierwszy gatunek wyszedł z rąk Stwórcy, i swęj teoryi rozwoju nie rozciągnął do ludzi, ale materyaliści pochwyciwszy ją dodali swój wniosek: iż z ostatnich rozwojów zwierzęcych wyszedł i człowiek, i że podobnie jak w utworze dalszych rodzajów, tak i najpierwszego niepotrzebnie jest dopuszczana udział Stwórcy.

§ 5. Teorya Darwina najskwapliwiej została pochwycona i najpracowiciej rozszerzana w Niemczech. Mianowicie Büchner i Kar. Vogt z taktyką „w której, mówi autor, niewiedzięć co więćej podziwiać, czy *savoir faire* szarlatanów, czy wytrwałość sekciarzy, rozpowszechniali i dziś jeszcze rozpowszechniają, tę cudacką teoryę“, i poważną togą wielkich uczonych chcą zakryć swe zużyte, wyszarżane, komedyanckie odzienie“ 63. Autor mówi następnie o tęg powtarzaném twierdzeniu przez materyalistów, iż różne cechy zwierząt nie dlatego istnieją, iżby je Stwórca miał przeznaczyć dla pewnych celów, lecz że wyrobiły je same; przypomina powszechnie uznawane dowody istnienia

Stwórcy, wtrąca myśl, iż gdyby nawet nowe dowody poparły hipotezę Darwina jest to jedno „bo dla potęgi i mądrości Stwórcy również było łatwo stworzyć każdy rodzaj z osobna jak kilka typów, i nakreślić prawa dalszych rozwinień“, i zwróciwszy wreszcie uwagę na pełne zawsze czci dla Boga i religii pisma wielkich uczonych: Kepplera, Newtona, Pascala, Lejbnitza, dodaje: „teraz na miejsce owych mężów pracy i modlitwy stają szarlatani bez zasad, bez nauki, bez dobrej wiary“ i szydząc z tego przed czém wielcy mistrzowie schylali czoła, prawią o ukrytych zamiarach materyi... o misterném powstawaniu istot z odwiecznego łona natury, o idei która rozwój światów popycha do postępów w nieskończoności. Szalbierze! str. 80.

§ 6. Zajmuje się kwestyą duszy. Niektórzy naturaliści dziwiejsi nawet z najznakomitszych, jak *Liebig*, *Claude Bernard*, *Wagner* i inni uznają ję byt samodzielny, ale większość uważa ją jako własność ciała i nierozłączność od ciała, „najprzedniejszym albowiem przedmiotem duszy jest myślenie, a myślenie jest niemożliwe bez mózgu i bez fosforu w mózgu“. Autor odpiérając ten zarzut zwraca uwagę, iż jakkolwiek zaprzeczyć nie można, że dusza z wielu względów zależy od ciała, ale i to jest faktem, że ciało zależy od duszy; radość, boleść, gniew i t. p. wybijają się na twarzy człowieka. Materyalne wywody o myśli są tylko wielką hipotezą. Moleschot wyrzekł sławne zdanie: „bez fosforu niema myśli; a Liebig uczynił w skutek tego uwagę: iż w takim razie kości ludzkie zawierające 400 razy więcej fosforu niż mózg, powinnyby 400 razy więcej wydzielić myśli“. Za dowód odrębności duszy od ciała stawia też autor ten wzgląd, że każdy z nas czuje się zawsze tym samym i zachowuje swą pamięć, lubo zdaniem fizyologów wszystkie cząsteczki ciała człowieka peryodycznie się odmieniają. Na zarzut, iż treść myślenia jest tylko odbiciem naszych wrażeń zmysłowych, autor między innymi odpowiada: „jakże z tym systemem wytłumaczyć w mózgu abstrakcyę, oderwane od wrażeń zmysłowych? jakież zmysł potrafiłby wywołać w mózgu *zaprzeczenie*? Czy widziano, aby w zwierciadle przedmioty odbijały co innego jak siebie samych?

§ 7. Rozważa człowieka w dziejach. Autor uważa, iż materyalistyczna nauka ciągłego postępu w dziejach jest bezzasadną, iż mianowicie taką jest teoria Buckla, który wychodzi z zasady iż prawdziwym postępowaniem jest tylko postęp wiedzy; postęp wiedzy był nieraz w kontraście z postępowaniem moralności; wiek np. Periklesa w Grecyi, Augusta w Rzymie kwitnące wiedzą, były zarazem wiekami upadku moralnego tych narodów; a w dziejach nam społecznych jeżeli spojrzymy na stosunek chrześcian do ludów amerykańskich, ujrzymy iż „podczas gdy pod panowaniem racjonalnej, matematycznej, Boga i serca pozbawionej oświaty w Północnej Ameryce, ani jedno plemię się nie ostało, pod berłem katolickiej niby tak okrutnej Hiszpanii, ani jedno nie wyginęło“.

W § 8 i ostatnim autor zbiera pokrótce wypadki do których doszedł społeczny nam materyalizm, wskazując iż jest, między innymi, *zaprzeczeniem* jawném i w nowej potęgde wszelkiej religii, wszelkiej moralności. Deputowany miasta Hamburga *Marr* w roku 1848 wołał gło-

śno „wiarą w Boga osobistego, żywego, jest główną przyczyną naszej nędzy społecznej“, a *Stirner*: niech umiera naród, niech umierają Niemcy, niech umierają wszystkie ludy, byle człowiek wyzwuty z wszelkich więzów, oswobodzony od ostatnich widziadeł religii, odzyskał całą swą niezależność. „I jakaż to będzie niezależność?“ zapytuje autor: niezależność odyńca tułającego się po lesie, i gorzej nawet, bo człowiek wyzwuty z człowieczeństwa spada niżej od zwierzęcia. Wspomniany wyżej Arnold *Ruge* woła: Francya gubi się przez religię, nawet Wolteryanie są jeszcze katolikami; w teoryi nie mogą się oni obejść bez Boga, a w praktyce wszystkie ich mowy i myśli są pełne poświęcenia, ofiary, wielkoduszności, tych zabytków starego ascetyzmu“. Po przytoczeniu takich i tym podobnych zdań, autor z uczuciem wyraża: iż „zmuszony obcować z podobnemi, nieraz zapytywał sam siebie: czyliż to jeszcze są ludzie, co piszą podobne rzeczy? i czyli to już nie jest pewną realizacją doktryny materialistów, która gdy człowieka ze zwierząt wyprowadza, daje mu w tym samym czasie, uczucia i dążności zwierzęce“, i kończąc dodaje: „Takie rzeczy drukują teraz bezkarnie w Niemczech, mówią w parlamentach, wykładają w uniwersytetach, a młodzież nasza śpieszy tam po naukę. Jak niegdyś pogańscy książęta słowiańscy zapisywali się w poddaństwo cesarzowi niemieckiemu, od którego oswobodził ich dopiero chrystyanizm, tak na odwrót dzisiejsza młodzież polska pozbywszy się katolickiej wiary, zaprzeda je w niewolę niemieckim ateuszom“.

Prawo postępu.

Prawo postępu, dziełko mało obszerniejsze od poprzedniego (str. 250) i które lubo nie czyni o niém wzmianki, miało oczywiście służyć mu za odpowiedź, wychodzi z zasad i celów wprost odwrotnych. Napisane przez tłumacza *Schöpfungsgeschichte* Heckla, jednego z najuczniejszych dzisiaj naturalistów, a zarazem jednego z najotwartszych materialistów, jest naturalnie odbiciem i streszczeniem zasad swojego mistrza. Postęp istniał oddawna w rozwijaniu się ludzkim i domyślano się bytu jego, ale dopiero August Comte oznaczył z dokładnością jakie są jego prawa ogólne, a Darwin w jaki sposób w szczególności on się uiszcza. Pierwsze wyobrażenia ludzkości były przenoszeniem do świata tych pojęć, jakie ma człowiek o sobie, i przypisywanie każdej dostrzeżonej sile znaczenia Bożego; pojęcia te były nadto nader dalekie od dopuszczania łańcucha przyczyn i skutków w stawiających się faktach, ztąd udziałem pierwotnej ludzkości były: fetyszyzm, politeizm i wiara w fatum. Wyobrażeniem następnie postępnem i najwięcej postępnem w owęj pierwszej epoce był *monoteizm*. Filozofia monoteistów (rozwinęła się ona następnie głównie w wiekach średnich) była postępną, „przypuszczała już bowiem pewną stałość w objawach przyrody, które zależą według niej od przedwiecznie zakreślonych praw Wszechmocnego Stwórcy“. 17.,

„Aczkolwiek samo założenie postawione było a priori, a wnioski nie podlegały sprawdzeniom krytyki... filozofię monoteistyczną (Bossuet) uważać musimy jako jeden z najwznioślejszych szczebli w badaniu objawów społecznych; spotykamy się bowiem tutaj po pierwszy raz z ideą loiczności w uszykowaniu faktów dziejowych, zależnych od prawa z góry im naznaczonego“. 19. Ale monoteiści objaśniając loicznie przeszłość, nie umieli objaśniać reform i mieli je za dzieło czarta; miejsce ich zastąpili więc filozofowie postępnii *metafizyczni*. Nowi ci filozofowie krytyczni dobrze objaśnili czas reform, ale nie rozumieli dziejów starożytnych i średniowiecznych „uważając te ostatnie za czasy wielkiej ciemnoty i barbarzyństwa“ 31. „Historyosofia rewolucyjna t. j. owa nowa metafizyczna) nie umiejąca widzieć postępu w monoteizmie, przepelniona nienawiścią i pogardą dla wieków średnich, nie miała także żadnej wartości i musiała upaść z braku podstaw do bytu“. 32. Całą zaletą jęj było, iż lubo nie odkryła prawa postępu, ale uznała jego byt, prawa przyczynowości. „Prawo psychiczne rozwoju ludzkości odnalazł wreszcie August Comte“. „Wykazał on mianowicie, że wszystkie objawy zewnętrzne świata rozpadają się na sześć odrębnych kategorii, rządzonych przez osobne i stałe prawa przyrodnicze; temi zaś są: matematyczna, astronomiczna, fizyczna, chemiczna, biologiczna i społeczna“ (wtrąćmy tu uwagę, iż liczba tych kategorii tak tu jest jawnie dowolna, jak np. kategorie loicznych Kanta, ztąd też sami wyznawcy szkoły wnet łatwe poczynili reformy) i dla każdej z nich istnieje oddzielna nauka abstrakcyjna (matematyka, astronomia, fizyka, chemia, biologia, sociologia) „odszukać prawo psychiczne, na mocy którego ludzkość badałaby odnośne przedmioty tych kategorii, równoważyłoby się z odnalezieniem prawa rządzącego rozwojem ludzkości, z wykryciem *prawa postępu*“. „Pracy tej, dodaje autor, podjął się także Comte i wykonał ją w mistrzowski sposób“, doszedł on: iż umysł ludzki w badaniu swém dąży od objawów najbardziej ogólnych do najwięcej szczegółowych i wytwarza najprzód pojęcia najprostsze, przechodząc powoli do coraz więcej złożonych“. 75. Gradacya ta (objasniał ją najszczegółowiej główny zwolennik Comta *Littre*) wybiła się właśnie w sprawie powyższych nauk w kolej, jak są przytoczone“. Takie jest prawo psychiczne rozwoju naszego ducha, a z uznania tego wypada, iż wszystkie nasze pojęcia, a przeto i pojęcia społeczne któremi się rządzą towarzystwa ludzkie, przechodzą trzy kolejne stany: stan *teologiczny*, stan *metafizyczny* i stan *pozytywny*. Dwie bowiem są drogi czyli sposoby, któremi tłumaczymy zjawiska świata, *podmiotowy* który zależy na tém, iż te wyobrażenia które mamy o sobie przenosimy i do wykładu świata, i *przedmiotowy* kiedy dane zewnętrzne zjawiska badamy w sobie, w ich oddzielnych własnościach. Droga podmiotowa rozpada się na dwie formy: *teologiczną*, gdy człowiek za źródło bytu poczytuje podobne sobie istoty, lub jedną *podobną sobie* istotę wszystkiém rządzącą i wszystko tworzącą, i *spekulacyjną*, gdy na miejscu tych bóstw do ludzi podobnych stawia czynność innych ukrytych sił. Lecz oto zdobywane *doświadczeniem* fakta okazują niedostateczność tej

metody, przekonywają nas bowiem stopniami, iż to tylko jest pewnym o czém przekona samo doświadczenie, a przeto iż jedynie pewną i ostateczną drogą do poznawania prawdy czyli wykładu zjawisk jest droga *przedmiotowa* czyli na doświadczeniu czerpanem z faktów świata oparta, iż taka tylko metoda jest *pozytywną*. Filozofia *teologiczna* przewodniczyła pierwszym urządzeniom społecznym, *metafizyka* była przejściem nieśmiejąc zerwać z teologią; filozofia *pozytywna* będąc formą najwyższą spekulacji ludzkich, stanie się podstawą wszystkich ostatecznych urządzeń społecznych“. 205.

Takie prawo postępu wykrył i oznaczył *Comte*, jak jednak wykonywa się ono w rozwiciu natury i w życiu społeczném, nie wiedział; objaśnił to dopiero Darwin swoją teorią *walki o byt i wyboru naturalnego*, którą ostatecznie zastosowali do człowieka, fizjologicznie Ernest Heckel, socjalnie Herbert Spencer.

Przegląd dziejów przyrody.

Przegląd dziejów przyrody Dra. Szyszłto jest książką innych rozmiarów i innego właściwie zadania, jak dwie powyższe. Jeżeli tamte mówią tylko o zasadach lub celach nauki, a o treść nauk zaczepiają tylko przygodnie, obecna przeciwnie zajmuje się wykładem saméj nauki a o ogólne zasady i cele nauk potrąca jakby tylko przygodnie. Tytuł książki ma jednak, jak to widzimy, i drugi napis *Studia filozoficzne* i autor objaśnia najprzód w przedmowie, dlaczego za przedmiot tych studiów obrał właśnie nauki przyrodzone.

„Uczucie, rozum i doświadczenie, mówi, to są trzy stopnie (jest to widzimy gradacya Comte'a) historycznego rozwoju wiedzy“, pierwszy z nich dał początek teologii, drugi filozofii, trzeci naukom doświadczalnym. Byłoby rzeczą wielce pożądaną, gdyby można zespolic te trzy kierunki, lecz, dodaje wnet autor, być to nie może, ludzkość strudzona pracą bezowocną porzuciła dwie pierwsze drogi, i uznała że ratunek jest tylko w ostatniej. „Dzisiaj dopiero zrozumiano, że chcąc wznosić świątynię wiedzy, nie od szczytu ale od fundamentów zacząć trzeba“. „Ludzie dziś opuścili górne krainy dawnych swych myśli i marzeń, poznania Boga, nieśmiertelności własnej i pierwotnych przyczyn“ (opuszczanie jakiegobądźkolwiek jestże zaletą? Sam autor, jak to niżej ujrzymy, tak właściwie nie sądzi); celem ich jest przedewszystkiem: „poznać najbliższe przyczyny zjawisk ogólnych przyrody“. Tęj drogi chce się więc trzymać i autor, i pragnąc tylko mówić o faktach ściśle naukowych, przedstawia *Przegląd dziejów przyrody*.

O szczegółach téj książki wyrazimy tu niżej zdanie ze względu jedynie na tę częśćkę jéj treści, do której odnosi się napis *studia filozoficzne*, że jednak zdanie o książce łączyć się musi i z charakterystyką ogółu książki i w niej mieć źródło, i gdy właśnie książka ta jest bezpo-

średnim wpływem darwinizmu i pozytywizmu o których tu mowa, przytaczamy tu przeto zarazem (jakkolwiek ze stanowiska tylko wypadków) i wybitniejsze szczegóły jej treści głównej.—Całość książki złożoną jest z rozdziałów XII.

Rozdział I ma napis *Rozwój nauk przyrodniczych*. Właściwie jest to rzut oka na umysły żywiej i niezawisłej rozmyślające w przeciągu wieków w różnych kierunkach, a z których to rozmyślań, największy, zdaniem autora, zebrały w końcu owoc nauki przyrodzone. We wzmiance o współczesnym stanie tych nauk, zastanowczo tu może usunięci całkiem uczeni germańscy i inni, autor ma jednak słuszną gdy mówi: iż „jakkolwiek umiejętność z dziedziny nauk przyrodzonych uważać będziemy, zawsze we Francyi dopatrzeć musimy jej twórcy lub odnowiciela“. Takimi byli istotnie w końcu zeszłego lub na początku obecnego wieku w różnych gałęziach tych nauk (zoologii, botanice, anatomii, astronomii, fizyce, mineralogii, i chemii) *Cuvier, Jusieu, Bichat, Laplace, Hay, Lavoisier* i wreszcie (w zoologii także) Jan *Lamarque* bezpośredni poprzednik Darwina.

Rozdział II *Samorodztwo*. Początkiem dziejów przyrody musi być naturalnie samobród kwestyj dotyczących powstawania przyrody, a z tych rozbióra tu autor najprzód kwestyę samorodztwa, t. j. powstawania istot organicznych samych przez się czyli z nieorganizmów. Teorya ta utworzona przy schyłku wieku zeszłego (Treviranus, Oken) i dziś jeszcze ma stronników we Francyi (Pouchet, Joly i inni), w Niemczech (Schafhausen, Büchner i inni), we Włoszech, Anglii i Ameryce. Doświadczenia nie stwierdziły jej jednak i wrócić należy do zasady, że *omne vivum ex ovo (vivo?)* czyli że wszystko żyjące z żyjącego. Teorye filozoficzne bytu, uważa kończąc ten rozdział autor, dadzą się sprowadzić do trzech głównych zasad t. j. do dopuszczania jednego pierwiastku bytu czyli monizmu (od szkoły Jońskięj do Heckla), dualizmu (Kant, Schelling) i trójizmu (Hegel, Libelt, Trentowski), i dodając wnioskowe zdanie własne wyraża „w obecnym stanie naszęj biologicznęj wiedzy, naukowy pogląd na początek bytu nie może być inny jak monistyczny, zupełnie go jednak inaczej pojmujemy od Heckla, uznającego tylko mechaniczne przyczyny i całkiem negującego istnienie pierwotnej przyczyny... Monistyczny pogląd polega według nas, na uznaniu przyczyna wyłącznie *celowych* w ogólnym ustroju całego wszechświata, na uznaniu jednęj głównej przyczyny wszechbytu.“

Rozdział III *Sila i materya*. Aby się zbliżyć do oznaczenia owęj pierwotnej przyczyny, autor rozbióra z kolei obudzane i rozwijane dziś kwestyę *O silę i materyi*. Czy materya może istnieć i zmianom podlegać bez działania na nią odrębnej siły? Czy może istnieć siła bez pierwiastku materyi w sobie? Czy też materya i siła to spólność? W starożytności oddzielano siłę od materyi (pogląd który się stawał źródłem dopuszczania bóstw), zwrot uczynił dopiero Newton, uważając siłę jako materyę nieważką. Szkoła jego uznała za siły zjawiska takie jak światło, ciepło, elektryczność magnetyzm. „Ma-

teryalność sił nie da się jednak pogodzić z dzisiejszym pojęciem siły jako przyczyny“; światło, ciepło, magnetyzm i t. p. to różne objawy gry ruchu atomów oraz materji eterycznej. („August Comte odrzucał wprawdzie byt pierwiastku eteru, ale dziś nikt już nie wątpi w jego istnienie.“) W naturze nic się nie tworzy i nic nie ginie, tylko przerabia się. Tak jest we względzie materji, tak i we względzie siły, „siła mechaniczna czyli praca wydaje ciepło, a ciepło pracę“. Siła również jak i materya przerabia się tylko, lecz nie może być ani stworzoną ani zniszczoną, i „podziwiać musimy, wtrąca tu autor uwagę, mądrość Salomona, który wyrzekł *Bóg śmierci nie uczynił... stworzył bowiem aby było wszystko... i niemasz w niem jadu zatracenia*“. „Iż siła i materya są nieśmiertelne, iż są z sobą złączone i oddzielnie istnieć nie mogą, jest to pewnik jaki zdobyła nauka naszego wieku“; „ponizającóm jednak—dodaje autor—jest to twierdzenie Büchnera, iż tylko ludzie ciasnych pojęć sądzą iż świat jest dziełem Stwórcy; powszechność praw przyrody, która świadczy o jedności materji i siły (eteru i ruchu), świadczy zarazem i o *Inteligencyi Najwyższej* która jest przyczyną wszystkiego.

Rozdział IV. *Siła żywotna*. Siła istnąca w istotach życiem obdarzonych (organicznych) ma nazwisko siły *żywotnej*; treść téj siły to jeden z głównych przedmiotów sporu dzisiejszych naturalistów. Zdaniem jednych siła ta w sobie nie istnieje, a jest tylko wypływem materji; zdaniem innych istnieje i nawet indywidualnej nieśmiertelności duszy staje się źródłem. Stronnicy różnych w tym względzie mniemań dzielą się na *animistów* t. j. uznających w ciałach byt duchowego pierwiastku oddzielnego od ciała (Hebrajczykowie, Indyanie, filozofowie greccy), na *vitalistów* którzy poczytują za duszę *materyę* nieważką (do takich oprócz Huntera i szkoły, należeli według autora, między innymi *Newton, Cuvier, Bichat*) i wreszcie *materyalistów* którzy ciało i duszę czyli materyę i siłę żywotną mają za nierozłączność; wyznawcy tego przekonania datują, mówi autor, dopiero od lat kilkunastu, a między nimi rozróżnieni być muszą: materyaliści ściśli (jak np. Büchner, Heekel, Virchow, Gavarret, Vogt, Hamholtz) którzy uznają ją za przymiot t. j. jakoby wykwit z samej materji, inni (jak *Claude Bernard*) uważają ją za siłę *oddzielną*, kształtującą, a łączącą się tylko z materyą. Uznawanie duszy jako pierwiastku oddzielnego od ciała, i któryby przeto mógł istnieć i w odłączeniu od ciała, mogło—uważa autor—spoczywać w *instynkcie* ludów pierwotnych, bliższych życia natury, i może z czasem stwierdzonóm być i *naukowicie*, lecz dotąd nie jest. Co do vitalizmu „przypuszczenie siły żywotnej jako płynu subtelnego upadło z postępem chemii.“ Na twierdzenie materyalistów iż to tylko jest w umyśle naszym o czém nas uczą zmysły, przystać także nie można, bo w tym razie, uważa autor, małyby które z wielu względów mają zmysły ostrzejsze od naszych, winnyby mieć też samą przynajmniej umysłowość. Autor przytacza następnie szereg ciekawych doświadczeń społecznych w rze-

czy śledzenia związku siły żywotnej z materją, zwłaszcza Claude Bernarda, którego twórcą nowęj filozofii doświadczałnej nazywa, i mówiąc o intelligencji, która ma źródło w mózgu, a przeto zdaje się być na pozór całkiem zależną od tego pierwiastku, taką czyni uwagę między innymi: „posiadając maszynę parową nie posiadamy jeszcze siły, ruda żelazna nie jest jeszcze magnetyzmem, a bursztynu elektrycznością, tak samo mózg nie jest intelligencyą... mając sam tylko mózg, albo krew utlenioną nie otrzymamy intelligencji: przyczyna jęj pozostanie na zawsze dla nas ukrytą... Zdanie więc Büchnera: „z materją ginie myśl“ niema podstawy loicznej“. 95. Po przytoczeniu następnie szczegółowych zdań o przedmiocie (sile żywotnej) i wykazaniu, iż niedostateczne są wszystkie, autor we wniosku mówi: „siła zatem żywotna nie jest ani całością indywidualną jako dusza, ani oddzielną substancją żywotną rozlaną w organizmie... lecz jest to *stan dynamiczny* (t. j. produkcya ruchu) bądź zarodkowej komórki, bądź organizmu całego, *nieoddzielny od organizacyi*, (wniosek ten jest trochę w sprzeczności z własną powyższą uwagą autora o *odrębności* intelligencji) wywołujący w nięj ugrupowanie atomów biologicznych“ 117.

Rozdział V. *Życie i komórka*. Jak pierwowzorem życia mineralnego jest *kryształ*, tak życia organicznego *komórka*. „Jak w naturze nieorganicznej z odmiennego ułożenia atomów powstały różne pierwiastki odmiennie co do formy i treści, tak samo i w naturze organicznej z *rozmaitego przeobrażenia się komórki pierwotnej pochodzą najrozliczniejsze formy roślinne i zwierzęce*“. Cóż to jest ta komórka? Komórka ta jak ją opisuje Schlejden, przedstawia się pod drobnowidzem jak woreczek albo kulisty pęcherzyk, pokryty ze wszech stron błoną cienką. Pod tą błoną znajduje się inna jeszcze subtelniejsza: pęcherzyk pierwotny; w każdej téż żyjącej jest jądro, które jest źródłem jęj wzrostu i reprodukcji. Komórka roślinna mało się różni od zwierzęcej (jajko). Dziś, mówi autor, nikt już nie wątpi, że rośliny i zwierzęta pochodzą z przeobrażenia się komórki. Teoryę tę rozwinęli mianowicie *Schlejden, Schwann, Kölliker, Virchow, Lejdig*. Jeszcze *Bichat* (spółczesny Cuviera) twórca anatomii ogólnej, dowiódł, iż różne funkcyje naszego życia wypływają z własności różnych tkanek i podzielił je na 21 gatunków; otóż tkanki te jak to wskazał Krause. a dowiedli Schlejden (w roślinach) i Schwann (w zwierzętach) pochodzą z przeobrażenia się komórek. Rozjaśnienie to wywarło niezmierny wpływ tak na medycynę, jak w ogóle na uprawę nauk przyrodniczych. „Kaźda komórka jest niezależną w organizmie, przebiega ona tę samą ewolucyę jak i organizm, t. j. rodzi się, wzrasta, dojrzewa i umiera. Zboczenia organizmu są to zboczenia jego komórek“. „Szybkość mnożenia się komórek jest nader potężną, podług obserwacyi Schlejdena dokonanych na grzybie purchawce olbrzymiej, okazało się, iż w minutę powstawało 20,000 nowych komórek“.

Rozdział VI. *Obieg siły i materji w przyrodzie*. Autor usiłuje tu szczegółowie wykazywać i sprawdzać że w naturze nic się nie

tworzy i nie ginie, a tylko się przeobraża, tak co do treści materji, jak też co do siły. „W naturze nieorganicznej siła zmienia ciągle swój *ruch*. w przyrodzie organicznej jej *formę*, lecz jak w jednym tak w drugim razie ilość siły zostaje niezmienna. Z jednej wspólnej kosmicznej materji utworzyły się wszystkie pierwiastki, z jednego spólnego ruchu powstały różne siły przyrodzone, tak też właśnie z jednej *pierwotnej formy* organicznej (jest nią *komórka monad*) rozrodziły się wszystkie istoty żyjące“

Rozdział VII. *Początek ziemi*. Autor po zaznaczeniu, iż „nie mamy żadnej teoryi pewnej o utworzeniu się ziemi“, wykląda następnie powszechnie znaną teoryę ukształcenia się naszego systematu planetarnego przez Laplace'a, stwierdzoną dziś zdaniem autora niewątpliwie przez doświadczenia Bunsena i Kirchoffa (naturaliści niemieccy teoryę tę uznają za wynalezioną przez Kanta, a stwierdzoną przez Laplace'a i Herschla), to jest: jak materya kosmiczna rozlana w przestrzeni począwszy się niegdyś zgęszczać wydała jądro stałe (słońce z ruchem wirowym), jak w pewnym czasie, gdy siła odśrodkowa zaczęła brać przewagę nad dośrodkową, oderwały się zeń pierścienie gazowe i dały początek nowym oddzielnym planetom z podwójnym ruchem (wirowym koło swęj osi i obrotowym około słońca) a między temi i ziemi. Ziemia w stanie gazowym błyszczała z razu ogniem jak słońce, i tylko stopniami ochładzając się, przeszła w stan płynny, i zarazem utworzyło się *jądro ziemi*, złożone (w skutek stopniowego skupiania się pierwiastków chemicznych) przeważnie z metali, a mianowicie z żelaza. „Atmosfera ziemi złożona z ciał gazowych, wody, oraz ciał stałych ulotnionych, przedstawiała czarną, gestą, straszłą masę prawie ognistego gorąca“. Ziemia sama w skutek ciągłego promieniowania i uchodzenia ciepłika ochładzała się i pokrywała skorupą granitową, „wreszcie nadszedł moment w którym mogły opaść na ziemię pierwsze wody“. Temperatura tych wód była z razu wrzącą, lecz „gdy powierzchnia ziemi tyle już ostygła, że wody zawieszony w atmosferze mogły się skroplić, wówczas masa tych wód całkiem zalała ziemię i utworzył się jeden wielki ocean od bieguna do bieguna. Według obliczenia Bischoffa w jego teoryi ciepła, aby ziemia ostygła do tego stopnia, potrzeba było do tego 350,000,000 lat. Tu nastąpiła w dalszym żywocie ziemi walka żywiołów ognia i wody czyli pierwiastków plutonicznych i neptunicznych, a jednym ze skutków była strata przez ziemię jej gładkiej powierzchni. Wody działając silnie na skały i fundamenta ziemi, kruszyły je powoli i napowrót osadzały zawarte w niej skruszone cząstki ciał; „powstała ztąd nowa formacya neptuniczna, która raz zwyciężywszy plutoniczną, nigdy już jej przewagi wzięść nie dozwoliła“. Śród tej ciągłej walki i zmian jedno zostało niezmienne, to jest: „pierwotne natężenie, jakim obdarzone zostały na początku pierwiastki ziemi“. „Wykrycie i użytkowanie siły ich potencyjnej, jest (zdaniem autora) najwznioślejszém zadaniem umysłu ludzkiego, główném zadaniem celo-

wości natury i istnienia człowieka“. „Wiek nasz, dodaje autor, pojął swe zadanie; nagromadzone przed milionem wieków skarby w węglu kamiennym, znalazły olbrzymie swe zastosowanie dla rozwoju i szczęścia ludzkości“.

Rozdział VIII. *Rozwój dziejowy ziemi*. Autor mówi tu o naukach, głównie dziś będących na dobie, to jest *geologii i paleontologii*. Jak pierwszym twórcą naukowej teorii o formacji ziemi czyli geologii był *Buffon*, tak pierwszym twórcą paleontologii czyli nauki o skamieniałościach znajdujących w pokładach ziemi był *Cuvier*. Znajdowanie w różnoczesnych pokładach ziemi resztek roślin i zwierząt skamieniałych, to jest zamienionych w kamień, rudę, węgiel lub szkło (liczba znalezionych dotąd okazów wynosi kilkadziesiąt tysięcy) rzuciło nowe światło na przeszłość ziemską i na jej rozwój. Okresy jej rozwoju przez naturalistów dzisiejszych rozmaicie są oznaczane; lecz najpowszechniejszy jest podział na trzy okresy następne: od początku się ziemi do ukazania się na jej powierzchni istot kręgowych; od pierwszych kręgowców do ukazania się człowieka, i wreszcie: od człowieka do czasów naszych. Okres 1 to jest pokładów najgłębszych a zatem najstarszych, dzielony jest zwykle (od nazwiska miejsc, gdzie były dokonane badania główne) na podpokoki: *laurentyjską, kambryjską i sylurską*; okres 2 na podpokoki czyli formacje: *dewońską, węglową, permską*; okres 3 na peryody: *lodowy, diluwialny, alluwialny*. Grubość ogólna tych pokładów wynosi 130,000 stóp, a czas uformowania się według obrachowania geologa *Volger* wymagał 648 milionów lat. Epoka laurentyjska (prócz dwuznacznego okazu znalezionego w ostatnich czasach w Kanadzie: *Eozoon Canadense*, a który jedni poczytują za zwierzę, drudzy za minerał) nie mieści jeszcze żadnych śladów żyjących istot; w kambryjskim i sylurskim są tylko wodorosty morskie, a żadnych istot roślin lądowych. W epokach kambryjskiej i sylurskiej, wnosi nauka: Europa była archipelagiem, cała przestrzeń jej od Hiszpanii do gór Uralskich była pod wodą, ukazywały się tylko jako lądy północna część Norwegii, Szwecyi i Finlandyi: „w Polsce nieodkryto dotychczas formacji kambryjskiej, formacja zaś sylurska podług profesora *Altha*, znajduje się u nas na Podolu pod Zaleszczykami, nad rzeką Zbruczą i koło Kamieńca“. W okresie drugim znaczny już postęp lądów Europy, przeważna ich część w owym czasie zupełnie oschła; wybrzeża mórz pokryły się bujną zielonością, a rozległe mszary żywiły paprocie i skrzypy w ogromne drzewa wyrastające. Pokłady węgla kamiennego dają się dziś widzieć od Szpitzberga do środka Afryki, grubość tych pokładów bywa na 40 stóp, u nas w Olkuskiem jest na 50 stóp, ogromną więc być już musiała roślinność tego peryodu i ogromną przebyć ilość pokoleń leśnych, gdy jak uważa autor, najgęstszy dzisiejszy las, gdyby się wszystek przemienił na węgiel, wydałby tylko cienką warstwę pokładu. Autor zwraca uwagę, iż dziś jest płonna obawa o wyniszczenie lasów, bo istnące pokłady węgla wystarczyć mogą ua bajeczną cyfrę lat; tudzież na to

znaczenie jakie ma węgiel, tak dla obecnej jak i przyszłej cywilizacyi przez swe zastosowanie do machin parowych, kolei żelaznych, statków parowych i t. p. i przenosząc się myślą w ową dawną wyłącznie prawie jeszcze roślinną epokę, taką wyraża uwagę: „Patrząc (wtedy) na tę olbrzymią roślinność, na te dziewicze lasy ówczesnej Europy, tak gęsto porośłe na bagnach, że ludzka noga stąpaćby w tych pustych i głuchych puszczech nie mogła, zdawałoby się, że roślinność ta nie może mieć żadnego celu; żaden kwiat nie zdobił tych puszczy jednoliściennych, śpiew ptaków nie ożywiał ich swoją melodią, ryk zwierzęcia nie rozlegał się, jedno tylko syczenie płazów wylęgających się na rozgrzanych błotach przerywało milczenie tych ponurych lasów. Któżby sądził wówczas, że to Opatrzność zgromadza materiał drogo-cenny dla przyszłego pana ziemi, który *już wówczas był przeznaczony w myśli Twórczej* jako ostatni wyraz przeobrażenia materji i siły“. W tej formacyi węglowej zjawiły się poraz pierwszy na ziemi powietrzem oddychające zwierzęta, a mianowicie owady i płazy, po osuszeniu się ziemi powstałe, i autor wylicza po kolei wszystkie ówczesne znane. Dalej określa formacje pokładów solnych, kredowych, wapiennych, siarki, z oznaczeniem w części ich miejsc w kraju naszym; (mówiąc o kopalniach Wieliczki i Bochni, zwraca uwagę na wielkość morza z którego musiały powstać, mają bowiem grubości 50 stóp, najgłębsze zaś dzisiejsze morze, wydałoby przy osuszeniu cienką tylko warstwę soli); dalej, o trzeciorzędnych formacjach piaskowców, gliny, margli, gipsu i t. p. „Europa przybrała wtedy dzisiejszy kształt, z tą tylko różnicą, iż ogromne jeziora i olbrzymie rzeki przerzynały dzisiejsze lądy. W podopoe 3 tego drugiego okresu roślinność dochodzi do najwyższego swego rozwoju. „Dąb w Polsce rośnie obok palmy, brzoza obok sosny bursztynowej w ówczesnych lasach Łomżyńskich, Ostrołęckich i Brześcia“; zwierzęta coraz więcej się ukazują, a między nimi *Dinotherium* olbrzym ówczesnego świata i największy ze zwierząt dotąd znanych. Koniec tego okresu, to okres panowania ssących na ziemi. Znikły żarłoczne płazy, kolosy, a ukazał się *człowiek*.

Zdaniem niektórych, cała kula ziemską w tym czasie okrytą została powszechnym lodem (Agasiz), lecz zdaniem większości miejsca to mieć nie mogło, a to tylko pewna, że „dzisiejsza Europa od Szpitzberga do Pireneów, od Islandyi do Sycylii i od Skandynawii do Kaukazu pokrytą była jedną masą lodową w ciągu wielu wieków“. Autor wylicza tu różne domysły i dowody naturalistów o istnieniu lodów w różnych częściach Europy, oraz różne domysły o powodach nastania epoki lodowej Lyella, Tyndalla, Arago, panny Royer (autor nazywa ją wszędzie panią Royer), nadmienając w końcu iż najwięcej zyskał stronników wykład Adhemara, iż była ona skutkiem „zmiany położenia ziemi do słońca i innych ciał niebieskich“ i że peryod podobny przyjsć musi znowu w roku 11,750 ery naszej.— Od epoki lodów przechodzi autor do epoki potopów. „Potop biblijny

nastąpił prawdopodobnie w skutek wyniesienia pasma gór środkowej Azji, Ameryki i Kaukazu“. Prądy wód potopowych były olbrzymiej potęgi, w czasie ich wiele gatunków roślin i zwierząt bezpowrotnie zginęły. Najnowsze poszukiwania odkryły ślady bytności człowieka z owymi zaginionemi zwierzętami, a przeto przed epoką potopów“. Co się tyczy starożytności rodu ludzkiego, nauka, uważa autor, nie dotąd stanowczo nie wyrzekła. Jedni oceniają, iż ród ludzki istnieje od 15,000 lat, inni że od 12,000. Również nauka nie wyjaśnia gdzie się człowiek pierwszy ukazał. Według Darwina ród nasz pochodzi z Afryki, według Heckla z Lemuryi (wyspy która istnieć miała na dzisiejszym oceanie Indyjskim), wszystko jednak przemawia za tём (klimat ciepły, spólistnienie w stanie dzikim ziarn zbożowych i t. p.) że ród ludzki powstał na wybrzeżach późniejszej Persyi, lub między rzekami Tygrem i Eufratem. W geologii do tego okresu (epoki diluwialnej) należą formacje gliny i wydmy piaskowych, grubość tych pokładów jest od 200—2,000 stóp, ziemia w tój epoce przybrała dzisiejszy kształt, a obszerne płaszczyny Azji, Europy i Ameryki zamieniły się na grunta rodzajne. Najnowsza wreszcie z formacji, tak zwana alluwialna odznacza się osadami napływowemi wód słodkich i stanowi grunt urodzajny dzisiejszy, „złożony przeważnie z piaskowców, wapieni, gliny i próchnicy“. Tam gdzie potop zalał obszerne łąki, bujną trawą porośnię, powstał dzisiejszy czarnoziem czyli próchnica południowych ziem Polski i Rosyi, z zalanych lasów powstały torfowiska. Jest to kapitał, który obecnie się nagromadza dla późniejszych pokoleń. „Process powstawania osadów wód słonych i słodkich kontynuuje się za dni naszych podobnie jak dawniej“. Dno morskie składa się obecnie po większej części ze skorupki małych muszli, tak zwanych *otwornic*. Polipy koralowe dają początek całemu wyspom na oceanie Spokojnym. Ciągła czynność natury według praw jednych, pociąga i pociągnąć będzie musiała nieustanne zmiany. Autor przytacza tu różne hipotezy o przyszłości ziemi; zdania tych którzy sądzą, iż w skutek stopniowego ochładzania się ziemi, życie istot na nię zastygnie, oraz tych którzy wnoszą, iż w skutek stopniowo zwiększającego się środka ciężkości w słońcu, ziemia nań spadnie; zdań tych obu autor sam jednak nie dzieli a wnosi, iż najwięcej zagraża ziemi „stopniowe zmniejszanie się atmosfery i wody“, ustaną deszcze, znikną rośliny, po nich zwierzęta i w końcu człowiek. „Nim jednak to nastąpi, dodaje autor, miliony pokoleń prowadzić będą dalej walkę o byt, niszcząc się wzajem. Do człowieka należy pojęcie wzniosłego posłannictwa jakie mu przez Stwórcę naznaczone zostało, a które leży w pokierowaniu tą powszechną walką, żeby równowaga między istotami przyrody nie była zachwiana“.

Rozdział IX. *Człowiek kopalny*. Ze znalezionych szkieletów ludzkich odnoszonych do epoki diluwialnej i zapatrywania się na życie dzisiejszych wyspiarzy, autor układa hipotezę o pozorze i sposobie życia pierwotnych ludzi, przytacza iż najpowszechniej przyjętym dziś podziałem

epok cywilizacji jest dzielenie jej (stosownie do pomysłu Hon'a) na 4-y okresy, t. j. *kamienia ciosanego, kamieni szlifowanych, brązu i żelaza* (mieszkania nawodne są z epoki kamieni szlifowanych) i dodaje, iż piątym peryodem cywilizacji do którego doszło tylko plemię kaukazkie jest peryod *węgla kamiennego*.

Rozdział X. *Jedność gatunku człowieka i jego stosunek do natury*. Wyraziwszy autor z góry uwagę, iż tylko zespalając badania biologiczne z psychologicznymi, czyli rozum z uczuciem, naukę z religią, poznać możemy istotę swoją, iż „wiedza w tym razie usiłując połączyć w sobie te dwa kierunki, musi być jak słońce nie tylko światłem, lecz i ciepłem razem“ rozbięra różne opinie naturalistów co do jedności lub różności gatunku ludzkiego od innych gatunków zwierzęcych, mianowicie od małp i (naśladując w tém w części Haxleya) objawia zdanie, iż to co *głównie* (?) różni człowieka od zwierząt jest nagłość skóry, „ta jedna różnica—mówi—wystarcza zdaniem mojem do oddzielenia na podstawie klasyfikacji dawniej, człowieka od małp i zaliczenia go do innego rzędu.“ Dzieli też autor zdanie biskupa z Kanterbury *Summera*, iż wielkiem rozróżnieniem ludzi od zwierząt jest *zdolność doskonalenia się*; mimo to wszystko jednak wnosi w końcu, iż „w przyszłości kiedy dzisiejszą klasyfikację zastąpi nowy układ genealogiczny oparty na embriologii... człowiek zaliczonym będzie do jednej spólnej gromady, do której wejdą małpy rękoskrzydłe, strzyżaki i owadożerne.“ Autor następnie (zgodnie z dziełem Darwina: *Pochodzenie człowieka*) wychodzi z zaprzeczenia tym którzy są zdania, iż ród ludzki jest zbiorem kilku oddzielnego pochodzenia pokoleń i przedstawia dowody, iż różne te pokolenia ludzkie są rozrodem z jednego pokolenia, to jednak jedno pokolenie (wnosi autor za Hecklem) rozrodziło się pierwotnie nie z jednej, ale z kilku jednocześnie zjawionych jednostek, wszystko—mówi—przemawia za tém, że w pewnej epoce, w pewnej rozległej miejscowości musiało jednocześnie istnieć wiele naszych praocjów, małpoludów, pochodzących od jednego i tegoż samego nieznanego nam gatunku zwierzęcego, który w epoce trzeciej oddzielił się od znanych nam dzisiaj antropomorfów czyli ludomałp bezogonowych, i stopniowo nabierał różnych cech ludzkich“ (jaśniej mówiąc autor zdaje się tu dzielić tę hipotezę Heckla, iż między gatunkiem dziś znanych małp i gatunkiem ludzi, istniały dwa gatunki przejściowe dziś zaginione: *małpoludy i ludomałpy*). Następnie mówi o powszechnie przyjętym dziś podziale istnącego rodu ludzkiego na trzy rasy czyli plemiona: czarne, żółte i białe, czyli *murzynów, mongolów i śródziemców* (pl. kaukazkie), i wynosząc to ostatnie nad inne jako najwyższy szczebel rozwicia, mówi tu między innymi: „Jak kolor biały w tęczy słonecznej jest skupieniem wszystkich kolorów, tak w białej tylko rasie znajdujemy połączenie wszystkich wyższych władz umysłu i serca...“ „stanowczo rzec można, że ta jedna rasa zerwała tradycję ze swą przeszłością (zwierzęcą) i wszelki związek z resztą tworców natury.“ „Rozdziału tego, dodaje tu autor uwagę, dokonał mianowicie mocą nauki swój Chrystus, który pierwszy podniósł i uwiecznił obce przedtém zasady braterstwa, miłości pow-

szechnej i poświęcania się za bliźnich.“ Cała też przyszłość ludzkości do tego (t. j. białego) plemienia należy. Dziś już stosunek jego do innych jest dość znaczny: na 1,350,000,000 ludzi 550,000,000 należy do rasy białej. Biali różnią się też od innych plemion przeważnie ilością mózgu. Autor wtrąca tu obserwacye nad mózgiem (źródłem myśli) i mózdzkiem (źródłem kombinacyi) i przytacza iż ciężar największy mózgu jest w rasie Niemców, a mózdzku w rasie Słowian (wtrąćmy także że i ten szczególnie przemawiały za rodowością słowiańską Kopernika). Wyniosłszy w ten sposób nad inne rasę białą, wśród tej wynosi kobiety; kobieta biała, uważa, bardziej się oddaliła od czarnej niż mężczyzna. Kobieta białą uważamy za ostatni utwór natury, „bardziej złożony i wyższy tak pod względem duchowym, jak i fizycznym od mężczyzny.“

Rozdział XI. *Znaczenie i pochodzenie gatunków w świecie organicznym.* Pierwszy *Geoffroi St. Hilaire* 1795 wypowiedział śmiałą myśl, że gatunki obecne istot poczytuje za przemianę form pierwotnych. Rozwinął to *Lamarque* (1801—1815). „W gruncie rzeczy niema między zwierzętami gatunków, są tylko różne osobniki.“ Autor poszczególnia po kolei różne dotychczasowe systemata klasyfikacyi w botanice i zoologii i dodaje, że „wszystkie one nieodpowiadają głównej zasadzie jedności praw natury i planu twórczego“. Olbrzymi postęp jaki uczyniły nauki przyrodnicze w ostatnich czasach przez zastosowanie metody doświadczałnej, dokonał głębokiego przewrotu w tej gałęzi wiedzy“. Okazało się z niego, iż przedział między gatunkami jest raczej sztuczny jak istotny. Jeszcze *Humboldt* powiedział, że rozliczne twory ziemi mimo swego pozornego rozrzucenia i odosobnienia, zostają w skrytym związku co do swego początku. „Myśl syntezy przyrody podniósł na nowo głęboki myśliciel *Darwin* i rozwinął ją w prawdziwie zdumiewający sposób. Wyniki jego badań długi czas będą jeszcze w podziw wprowadzać ludzkość śmiałością swoich poglądów.“ System, który wychodzić będzie z zasad *Darwina*, zwać się będzie genealogicznym i opartym być musi na embriologii i morfologii (t. j. nauki o formacyi kształtów); „nauka embriologii dodaje jednak autor, jest dopiero w swym pierwszym kroku a bez niej niepodobna myśleć o systemie genealogicznym. „Układ genealogiczny *Darwina* polega na tém, że wszystkie obecne gatunki powstawały jeden obok drugiego (raczej jeden z drugiego) i rozwinęły się odrębnie“ i zarazem objaśnia, iż toby sądził że według tej teoryi dopuszczać należy, iż osieł pochodzi od tygrysa, a człowiek od małpy, ten dowiódłby że nie rozumie teoryi *Darwina*. „*Darwin* bowiem powstawanie gatunków tłumaczy spólném ich pierwotném pochodzeniem, lecz weale z tego nie wynika, aby dzisiejsze gatunki miały wzajemnie od siebie pochodzić.“ „Ścisłe i niezamordowane spostrzeżenia doprowadziły go do przekonania, że wszystkie istoty pochodzą od kilku pierwotnych zarodkowych istot roślinnych i zwierzęcych, a nawet najprawdopodobniej od jednej istoty.“ „To progressyjne przeobrażenie się jednej formy organicznej odbywało się w ciągu milionów lat, bardzo powolnie, lecz ciągle i bez przerwy.“ „Teorya *Darwina* jest bardzo prosta, polega ona na powszechnie uznaném

prawie, że przyroda posiłkując się stosunkowo małymi środkami, dochodzi w ciągu wieków do olbrzymich rezultatów. Następnie wyklada autor szczegółowiej tę teorię, którą składają trzy główne zasady, a mianowicie: iż odmiany w kształtach istot są możliwe, iż *walka* między utworami organicznymi o *byt* i *wybór naturalny* (wybór natury) wydają te odmiany w osobnikach i że następnie te odmiany utrwalają się przez dziedziczenie. Dokończenie rozdziału obejmuje najoryginalniejszy dotąd przedmiot dla czytelnika, jest to bowiem według wzoru Herberta Spencera, stosowanie teorii Darwina do szczegółów życia ludzkości t. j. tak jednostek ludzkich jak ludów. We wstępie autor między innymi tu mówi: „Dziejowe wypadki szybko jedno po drugim następują, a powikłane w różny sposób odległe skutki bywają częstokroć zakryte dla nas, zanim jakieś olbrzymie następstwo nie zwróci na siebie uwagi powszechnej. W ten to niedostrzeżony sposób zmienia się panowanie jednego kierunku na panowanie drugiego. Próżne są jednak wysiłki pojedynczych ludzi jak i całych narodów, dla nadania przewagi tej lub owej władzy naszego ducha. Przewaga ta rozwija się całkiem niezależnie od woli naszej.“ Następnie szczegółowiej objaśnia jak prawo to rozwijało się lub rozwija w narodach myśliwych, rolniczych i przemysłowo-rolniczych, i w wykładzie tym między innymi mówi: „Narody rolnicze są z natury swój konserwatywnymi, stąd bardziej od innych opierają się przyrodniczemu prawu *dywergencji* czyli odmiany cech. To zachowawcze ich usposobienie stawia narody te w walce o byt w niekorzystnych warunkach w porównaniu z innymi bardziej ruchliwymi i postępowymi plemionami. Zwolennicy konserwatywności za jakąkolwiek cenę nie chcą zrozumieć, że konserwatywność w świecie moralno-umysłowym odpowiada prawu tarcia się ciał w świecie fizycznym. Wprawdzie mechanika fizyczna nas uczy, że w żadnej maszynie nie można całkowicie zniszczyć tarcia, również zapewne mechanika biologiczna z czasem wykaże, że w życiu tak pojedynczych jednostek jak i całych narodów, niepodobna będzie usunąć wpływu konserwatywności, lecz jak w pierwszym razie mechanika stara się zmniejszyć o ile możności tarcie, żeby zyskać na sile, tak w drugim razie zadaniem przyszłej nauki sociologii będzie, zmniejszenie wpływu konserwatywności w ogólnym postępie ludzkości. Zanim jednak ta świadomość naukowa nastąpi, *naturalny wybór* z tego względu niekorzystnie dziś oddziaływa na ludy rolnicze, stawiając je w zależności politycznej od ludów przemysłowo-rolniczych. Brak im ducha przedsiębiorczości, wszelkiej inicjatywy, praca ich nie rozwija twórczej strony umysłu, natomiast rzeczywiste ich usposobienie i ciągła kontemplacja natury wyrodziły w nich żywszy rozwój uczucia i wyobraźni, jak to widzimy z ich wzniosłej poezji. Uczucie powszechnego braterstwa jest wyłącznie udziałem tych ludów.— „Na najwyższym stopniu cywilizacji stoją narody przemysłowo-rolnicze, u nich jedyną walką o byt najsilniej się rozwija i podział pracy najwszechstronniej jest przeprowadzonym.“ Tu (idąc zawsze za Spencerem) autor na kilkunastu stronicach rozwija uwagę: iż Francya mimo chwilową porażkę wyżej stoi w cywilizacji od Niemiec, które ją zwyciężyły.

Co do wróżby przyszłości, autor wskazawszy tu na to prawo natury, iż postępując od tworów niższych do wyższych, rozplód coraz się zmniejsza (zaczynając od muchy, która ma wydawać co rok pół miliona potomstwa) i przytoczywszy tę charakterystyczną uwagę Spencera, iż fakt ten w skutek stopniowego zamieniania się siły żywotnej na intelektualną sprawia: iż im wyższe jest zwierzę w organizacji, tym mniejszym jego rozplód, taki między innymi wyraża wniosek: „Dzisiejsza siła genetyczna zamieni się (w wiekach przyszłych) w znacznej części na siłę indywidualną woli, uczucia, rozumu. Rozródzenie się plemion ludzkich powolniejszemu się stanie, lecz na to miejsce skutkiem pomnażania energii nerwowej, poprawy higienicznych warunków bytu, należytego użytkowania darów przyrody, ludzie staną się długowiecznymi, mniej zależnymi od cierpień fizycznych i moralnych, walka o byt przestanie być pobudką do pracy, a moralne poczucie obowiązków zajmie jej miejsce... Wówczas to nastąpi równowaga środków żywności i potrzeb materialnych człowieka i będzie to epoka powszechnej szczęśliwości.“

Rozdział XII i ostatni. *Pochodzenie człowieka.* Autor określa według ostatnich spostrzeżeń historję pojedynczej formacji jednostek ludzkich i mówi: „pojedyncza komórka w przeciągu 280 dni staje się człowiekiem, dla czegożby podobnież inna pojedyncza komórka (przechodząc stopniowe zmiany) w ciągu milionów, tysiącołeci nie miała się przeobrazić w człowieka?“ Objaśnia to morfologia. „Badania anatomii i fizjologii porównawczej wykazały, iż różniące się napozór od siebie pletwy wielorybie, nogi żabie, skrzydła ptaków, kopyta końskie i ręce goryla, w budowie swęj podobne są do rąk człowieka i wykazują jeden ściśły plan twórczy, wstrzymany tylko w rozwoju swym u istot niższych, zaś całkowity wykształcony i rozwinięty u człowieka.“ Za prototyp zwierząt kręgowych i człowieka, Darwin uznał był najprzód najniższego gatunku rybę *lanceownika* czyli *pomrównice*, lecz następnie (idąc za Hecklem) odkrytą i określoną (w Pamiętnikach Akademii St. Petersburgskiej) przez Kowalewskiego („syna“) *larwę ascydy*, która w jednej kolei wydała całe pasmo bezkręgowców, w drugiej kręgowców. Te zachwy czyli larwy ascydy są to drobne zwierzątka morskie, pływające swobodnie lub przytwierdzone do skał podwodnych, bezkształtne, niemające żadnych szczególnych przyrządów, okryte błoniastym płaszczem z dwoma otworami. „Niepodobna dziś oznaczyć tego stopniowania mówi Darwin—przez które przechodziły w swoim rozwoju zwierzęta od ryb i ziemnowodnych do płazów, ptaków i ssących;“ w szeregu przeobrażeń powstały wkońcu i małpy. Za najbliższych poprzedników ludzi uważa Darwin małpy afrykańskie, „lecz nie należy sądzić—dodaje tenże—żeby dawny nasz rodzic był podobny do któregokolwiek z żyjących dziś gatunków goryla, szympansa, orangutana i t. p. Prarodzic nasz dziś całkiem nie istnieje, nie znamy go nawet z wykopalisk dawnęj epoki.“ Ta też właśnie jest i konkluzya autora i tak ją wyraża: „Nie ulega wątpliwości, że najbliższy przodek człowieka należeć musiał do rodziny małp

starego świata wąskonosych, lecz również niewątpliwem jest, że żaden z obecnych gatunków nie może być uważany za naszego prarodzica“ 286.

Taka jest treść tych trzech pism; takie o jednym i tymże przedmiocie, t. j. o pojmowaniu darwinizmu i pozytywizmu trzy różne zdania. Zasady wnioskowania każdego z tych pism zdają się być wyrażane łącznie, usprawiedliwiane dowodnie, a jednak o ile to jest dotąd widocznem, żadne z nich nie uwieńczyło się skutkiem żądanym. Dziełko *Prawo postępu* wydane było w rok po traktacie *Materyalizm w obec nauki*, oczywiście więc dowody tego ostatniego nie były dostatecznymi do odwrócenia jego autora od zasad materyalizmu. P. Pawlicki wydał w roku obecnym broszurkę p. n. „*Człowiek i Matka*, ostatnie słowo Darwina“ która jest co do zasad dalszym ciągiem jego poprzedniej broszurki, zaś Dr. Szyszko powyższy *Przegląd przyrody* przyodziany i w studia filozoficzne; zasady więc których był tłumaczem p. Masłowski w swém *Prawie postępu*, nie były dostatecznymi widzimy ani do odwrócenia p. Pawlickiego od zasad idealizmu, ani do zatrzymania autora *Przeglądu* przy samym materyalizmie, i wreszcie zasadom wyrażonym w *Przeglądzie* tym zarzucaną jest (i nie zupełnie bezzasadnie, jak to ujrzymy) pewna sprzeczność założeń z dowodzeniami.

W czemże więc mianowicie może mieć źródło ta pewna bezskuteczność wywodów pism wyrażonych? jakie wypada uczynić wnioski o ich zasadach? czyli, jak powinnyby być uważane właściwie darwinizm i pozytywizm? o tém (dla usprawiedliwienia właśnie poniższych uwag o tych trzech pismach) musimy tu przedewszystkiem wyrazić zdanie swe własne.

W dziejach myśli od Talesa do Comte'a dwie śród innych dają się dostrzedz cechy, które odznaczyły i odznaczają drogę badania; jedna, iż wypadki tego badania czyli obszar prawd poznawanych odznacza ciągły (lubo nie zawsze jasny) postęp, i powtóre, że tę drogę badania przeplatają dwie kolejno a stale zmieniające się doby, t. j. doba przeważnie badań i czci materyi, oraz przeważnie badań i czci ducha. Przyczyna tego jest jasna. Przyjaciele jednego z tych dwóch pierwiastków (t. j. lub materyi lub ducha) pielęgnując go, wnosząc i byt jego wyłącznie we wszystkim widząc, dochodzą w końcu do zaprzeczenia nawet bytu pierwiastku drugiego; byt jednak i tego drugiego jest prawdą, następuje więc jego wskrzeszenie, wznoszenie, potępienie pierwszego, a tém samém i wywołanie znowu reakcyi nowój. Fakta takie powtórzyły się właśnie i nam spółcześnie. Koniec wieku zeszłego był tryumfem wyłącznego materyalizmu, początek wieku naszego wyłącznego idealizmu a zjawiony w końcu pierwszej połowy tegoż wieku system, o którym tu właśnie mowa, *pozytywizmu*, wniósł znowu materyalizm i ogłasza po dawnemu jego wyłączność. Pozytywizm uprzedzał wprawdzie zrazu iż nie jest materyalizmem (Aug. Comte), ale uznane przezeń za wyłączne kryterium po-

zytywniej prawdy *doświadczenie* zmysłowe, szkołę tę na czysto materialną wnet przemieniło. Świetne doświadczenia, odkrycia i stosowania w różnych gałęziach nauk przyrodniczych w okresie tym, a pod hasłem pozytywizmu właśnie dokonane, wzmogły zapał i słuszną dumę tej szkoły; a zjawiona przed 15-u laty teoria zwana teorią Darwina, pozwalająca wnieść, iż i sam człowiek (ten jedyny kamień obrazy dla czystych materialistów) jest także niczem innym w swoim nastaniu jak wypływem i wykwittem pierwiastków czysto materialnych, przez szkołę tę została pochwyconą, wzniesioną, i za ostateczny tryumf materializmu a grób idealizmu obwołaną.

Zjawienie się tej teorii Darwina zbyt jeszcze jest świeże, a powodzenie jej było zbyt nagłe, iżby i to jej znaczenie i jej następstwa ostatecznie już ocenione być mogły; poklaskali jej można uważać w ogóle, wszyscy prawie materialiści a potępili ją wszyscy idealiści; co do nas odróżnimy się w tym poglądzie znacznie od jednych i drugich. Zdaniem naszym poklask dawany tej teorii przez materialistów jest słusznym, a potępienie jej przez idealistów jest niesłusznym, ale sądzymy także iż teoria ta przyszła nie na tryumf materializmu, t. j. dzisiejszego pozytywizmu, ale na zdradę, t. j. iż przyczyni się owszem do tym przedsięgo powrotu doby duchowej.

Kilka uwag objaśni i usprawiedliwi, sądzymy, to założenie.

Przyroda ma dwie strony: zewnętrzną pojmovaną tylko zmysłami, i wewnętrzną tylko pojęciem. Teoria o której mowa jakże ocenioną być może w odniesieniu do strony jednej i strony drugiej?

Jeżeli rzucimy okiem w świat istot ziemskich i zwrócimy uwagę na ich z sobą podobność (od kwiatka do figury ludzkiej), podobność tak wielką, iż zebrawszy je wszystkie i poszykowawszy według podobieństw, dałby się zapewne ułożyć obraz w którym jedna istota od drugiej o mały tylko odcień okazałaby się różną, i jeżeli z drugiej strony zważymy, iż pozytywne ślady bytu człowieka na ziemi są stosunkowie nader niedawne a zawsze czynna natura przed bytem tym przez nieobliczone lata i wieki coś działać musiała, tworzyć dzieje i postęp; tedy nie tyle może nas dziwić nawet zjawiona dziś teoria rozwinień, jak raczej to, iż dziś dopiero znalazła swoje sformułowanie. Sformułowanie to nie tyle nawet rzecz można skutecznie Darwin, ile duch wieku. Za wzrostem ogólniej myśli (w figurze Ludzkiej) jedną z cech w naukowych badaniach wieku naszego stało się dostrzeganie łączności tam, gdzie dotąd widziany był bezład, harmonii gdzie przypadkowość, czyli *uogólnianie*. Ta łączność dostrzeżona wśród dziejów wydała *Historyozofię*, w rozróżnionych językach *Grammatykę porównawczą*, w rozpadniętych religiach jedną z najnowszych nauk *Umiejętność religij* (Marx, Em. Burnouf, Seidel i in.), w zoologii i botanice wreszcie tę właśnie teorię o której mowa. Już przy końcu wieku zeszłego i początku obecnego, liczni różnych gałęzi pisarze: naturaliści, filozofowie, poeci, wszyscy w ogóle głębiej myślący ludzie coraz dobitniej i częściej zwracali uwagę na ową wielką podobność wśród istot ziemskich, a ztąd jakąś skrytą ich łączność, gdy wydane w r. 1859 przez

Karola Darwina tylekroć wzmiankowane dzieło „*O początku gatunków*“ zwróciwszy ze szczególną erudycją w gałęzi swojej uwagę na możność przemieniania się form istot, i dołączywszy domysł o odwiecznych powodach przemian ich stopniowych, stało się gruntem tej nowej i stałej teorii, która też imię Darwina otrzymała.

Jeżeli porównamy to co wyraził Darwin w owym, oraz innych swych pismach, oraz to co dodali jego następcy i zwolennicy, tedy przyznać to trzeba, iż do przyjęcia za prawdę jego domysłu, skłaniać muszą istotnie następne względy.

Wychowanie zwierząt domowych daje widzieć ten fakt, iż różne szczegóły wychowania, jako to: różna czynność, żywność, krzyżowanie i t. p. tworzą dalej różne odcienia kształtów w jednym gatunku. W krocjach wieków istnienia natury nader różne powody mogły i musiały podobnie wpływać na różne odcienia kształtów w istnących tworach, a odcienia te i mogły i musiały ustalać się następnie przez dziedziczenie. Darwin w powyższem swém dziele objawił domysł i szczegółami swęj erudycyi poparł, iż owe stopniowe odcienia w kształtach istot powstawać mogły w skutek ich wzajemnej *walki o byt* (struggle for life) t. j. już potrzeby napaści, już potrzeby obrony (ztałd stopniowego np. formowania się *rogów, skrzydeł* i t. p.), a *wybór natury* (natural selection) już te, już inne odcienia kształtów przez dziedzictwo ustalał, rozwijał i potworzył w ten sposób przez odmęty wieków gatunki różne. Prócz tej walki o byt, mogły zapewne i musiały podobnie wpływać na zmiany i tysiączne inne powody. Istnące w ciele wielu gatunków cząstki dziś nie mające celu (jak np. oczy u istot tylko w ziemi żyjących, skrzydła u ptaków które nie latają, u mężczyzn ludzi ślady piersi, kość ogonowa i t. p.), są to wyraźnie jakieś zabytki form przemienionych.

Embriologia wreszcie czyli nauka o formacyi płodów, wykazując dziś, iż kształcenie się płodu ludzkiego w łonie matki jest przejściem od komórki przez kształty robaków, ryb i różnych kręgowców (w tygodniu 4-ym jest widoczny i ogon) do formy ludzkiej, każe wnosić iż proces ten jest skróceniem czyli miniaturą tej czynności, którą odbywała niegdyś natura na inne skale.

Te więc i tym podobne względy w połączeniu z tym, iż w rozwiciu stworzonej naty tkwi we wszystkiem nie nagłość ale powolność, nie przypadkowość lecz rozum, każą dochodzić do wniosku i za uzasadniony uznać ten domysł, iż początkiem tych wszystkich istot ziemskich jakie widzimy (od molusków do ludzi) było nie ukazywanie się ich w ciągu czasów odrębne i samorodne, lecz *ewolucya*.

Taki każe uczynić wniosek względ na zewnętrzną, lecz czyliż nie będzie przeciwnym przypuszczeniu temu pogląd duchowy?

Najpowszechniejszym i najsilniejszym dla przyjaciół ducha i wogóle dla umysłów idealnych powodem, do nieprzyjmowania i zaprzeczania prawdy teorii Darwina jest ten: iż dopuszczanie wywinienia się formy ludzkiej z form istot niższych jest zaprzeczeniem godności ludzkiej, oraz nauce wszelkich pierwotnych podań i religij ludzkich, które uczyły wszystkie, iż człowieka stworzył Bóg lub bogowie.

Pomijając religie inne, weźmy tu tylko tę, która nas najbliżej obchodzi, chrześcijańska. Religia ta czyliż istotnie z nową teorią pochodzenia nie da się zgodzić?

Nie myślimy tu wcale zbaczając do rozpraw teologicznych i dogmatycznych, lecz uczynimy tu tylko w tej kwestyi kilka uwag prostych, każdemu jasnych.

Religia chrześcijańska uczy, iż „stworzył człowieka Bóg“ i jest to istotnie twierdzenie kardynalne chrześcijańskie. Co to jest jednak w szczegółach swoich Istota Boża? i *w jaki sposób* nastąpiło owo stworzenie? to już należy do wyobrażeń własnych każdego. Na uwagę tę bliżej nastajemy, szczegół ten bowiem napozór wagi drobniej, jest jednak w istocie gruntem, jest obrotową osią wszystkich tych kwestyj i sporów o jakich tu zmienkowaliśmy, może nawet jest jedynym powodem i tu i wszędzie całego sporu pomiędzy materyalizmem i idealizmem.

Co do istoty Stwórcy nauka chrześcijańska od kart Pisma do katechizmów podręcznych uczy, iż Bóg jest „Duchem czystym;“ praktyczne jednak pojęcia ludzkie lubo twierdzenie to powtarzają usta, wyobraźnia widzą inaczej, a wyobrażenia te ściągają następnie zarzut i przeciw samej nauce i wiedzą do odstępstw. Pojmowanie bóstwa i w ogóle prawd chrześcijańskich materyalnie, jak w IV wieku chrześcijaństwa wydało *aryanizm*, w XVI *protestantyzm*, tak przy końcu wieku zeszłego i w obecnym wydaje *ateizm*. Jestto pewnym, że każdy filozof materyalista i ateista nie umiał w dzieciństwie swoim wyobrażać Boga inaczej jak materyalnie, i zaprzeczywszy następnie sam sobie, mniema iż się stał ateuszem. Jak niegdyś angielski Hobbes, tak spółcześnie nam A. Comte, L. Feuerbach, Vogt, Büchner, Heckel i in. w różnych miejscach swych pism wyrażają to, iż według nich pojęcie Bóstwa nie może być inne jak *antropomorficzne* (Heckel np. protestując przeciw dopuszczaniu istnienia Stwórcy w przyrodzie, mówi: „*Osobowy* ten Stwórca jest poprostu wymarzoną ustrojem, przybranym w szaty *człowiecze*.“ Dzieje przyrody T. I str. 180 ¹⁾). Bóg jest duchem,—a działanie duchowe jestże widzialne? Czyli więc utwory ziemi i świata zjawiły się kiedyś nagle jakby przez samorodztwo, czy się ukazywały kolejno, czy wreszcie kształciły się i rozwijały harmonijnie jeden z drugiego, udział Ducha-Stwórcy w nastaniu tém albo działaniu, jakoż i dłaczego ma się zaprzeczać? Czyliż dlatego, iż jakaś prawda lub czynność zostaje poznana bliżej, musi ginąć jej sprawca?—Kiedy więc np. K. Vogt poklaskując nowej teoryi pochodzenia dodaje, iż wypadki tej teoryi „zostawiły Boga za drzwiami,“ tedy właściwie powinien był raczej rzec: że przez wypadki te, jego osobiste wyobrażenia o Stwórcy i o stworzeniu pozostały za drzwiami.—Nauka chrześcijańska o stworzeniu czerpaną być może z księgi biblijnej *Genesis*.

¹⁾ Cytacye z *Schöpfungsgeschichte* Heckla, dla łatwiejszego sprawdzenia, podajemy tu wszędzie według przekładu pp. Masłowskiego i Czarneckiego.

Księga ta wyraża, iż P. Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, oczywiście więc za treść i istotę stanowiące człowieka uważa tylko sam *duch*; o ciele mówi iż to jest z mułu, lecz nie zaprzecza iżby i ciała innych istot nie były z tegoż pierwiastku, nie wyraża też nic ani o *czasie*, ani o *sposobie* ukształcenia się istoty ludzkiej.

Uwag tych nie czynimy bynajmniej dla naginania nauki Genesis do nowej teorii, ani też czyniąc je odróżniamy się jakąś szczególną nowością w jej wykładzie. Autor którego twierdzenia pod żadnym z tych względów nie mogą być podejrzone, pisał bowiem jeszcze w wieku IV-ym i jest uważany za mistrza nauczania katolickiego, Ś. Augustyn w tymże duchu wykladał właśnie Genesis. Wykład racjonalny Genesis, którego nie raz dotykał, znajduje się między innymi wyrażony obszerniej w ostatnich księgach jego *Confessiones*. W wykładzie tym po wyjściu z zasady (którą obszernie rozwijał w dziele *De Civitate Dei*) iż *dnie* Genesis to „w stylu Biblii“ *epoki*, i po zwróceniu uwagi iż utwór samej ziemi nie należy nawet do żadnego z tych dni, a że pomiędzy tym utworem a pierwszym dniem mogły upływać wieki bez wszelkiej rachuby, dotykając następnie bliżej samego *sposobu* stworzenia, tak mówi między innymi, „Są którzy czytając te wyrazy „Na początku stworzył Bóg“ wyobrażają sobie Boga jako wielkiego człowieka lub inną jaką wielką istotę materialną... a słowa „niech się stanie i stało się“ jako słowa które się zaczęły i skończyły, a zaledwo się ich brzmienie skończyło, *odrazu* pomieniona istota swój byt zaczynała, jeszcze oni są jako małe dzieci“... i trochę niżej: „Niekształt pierwotny był *zarodem* tych wszystkich zwierząt (t. j. istot) o których w dniach następnych, ponieważ *wszystkie te rzeczy z natury swojej ulegają odmianom czasu w skutek urzędzonej odmiany ich ruchów i postaci*“¹⁾. Büchner czyni uwagę, iż za ojca teorii Darwina może się uważać Empedokles dlatego iż uczył że szczególne słońca i światła stopniowo się rozwijały, dopiero przytoczone a podkreślone słowa Ś. Augustyna trafniej jeszcze mogłyby być położone za epigraf do tej teorii. Według nauki tej przeto, wcale nie antychrześcijańskiej, dziecinnym byłoby mniemać iż utwór dany, np. postać ludzka ukazała się niegdyś *nagle*. Jeżeli nie nagle, tedy jakiegoż mianowicie czasu wymagało jej ukształcenie się? Naszemu zdaniem patrząc na zacość istoty, która się stała godną być przybytkiem *ducha twórczego*, a licząc chwile i wieki ze stanowiska czasu t. j. na skale Boże, nieprzesadnym byłoby dopuścić, iż ukształcenie się takiej istoty nie dnia, roku lub wieku, ale wymagało raczej wieków i kroci wieków; i że procederem tego kształcenia się było stopniowe ukazywanie się tych różnych kształtów, które i dziś przeciągają się w tak wielkiej jeszcze części w swoich potomkach. O tak powstałej istocie czyliby rzec już nie można, że Bóg ją stworzył?

¹⁾ Dzieła *Confessiones* literatura nasza ma dwa przekłady, z roku 1844 Michała Szyski i z roku 1847 ks. Pękalskiego; słowa tu przytoczone, znajdują się w tém ostatniem wydaniu na str. 367 i 372.

Zapytany dziś chrześcjanin kto jego jest Stwórcą? daje odpowiedź iż „Pan Bóg“ a odpowiedź ta nie zaprzecza tej prawdzie, iż materyalne ukształcenie się jego było stopniowem przejściem w przeciągu 280 dni przez rozmaite formy w łonie matki; jeśliby przeto podobnie i narodzenie się czyli ukształcenie się fizyczne człowieka 1-o miało być przejściem np. przez 280 „dni**bożych**“ czyli przez 280,000 lat („dzień u Boga jest jako 1000 lat“ *Bibl.*), przez różne formy w łonie matki ziemi (czyli według nas na jej powierzchni), nie zaprzeczałoby to podobnie tej prawdzie i temu wyrażeniu iż „Bóg go stworzył.“ Gruntem nauki Genesis było tylko opowiedzieć krótko, praktycznie: iż rzeczy te które są, nie są dziełem przypadku, nie są zamętem, lecz że je wydał i wiedzie *Jeden* najwyższy Duch-Stwórca oraz Duch-Rządca.

Zarzut iż ta teoria pochodzenia ma ubliżać psychologicznie godności ludzkiej, jest tym więcej tylko pozorny. Fiziologia dziś uczy, iż każda cząstka ciała ludzkiego zmienia się rosnąc tak, iż przerażda się całkiem nawet ta materyalność, którą każdy na świat przynosi; indywidualność więc nasza w każdym razie ściśle jest odznaczona; nauka nadto iż postać ludzka jest szczytem ostatecznym i wykwittem rozwijania się form ziemskich, jest nie na ujmę, ale na podniesienie znaczenia takiej jednostki w obec form niższych.

Tak więc nauka chrześcijańska jeśli nowej teorii pochodzenia jawnie nie stwierdza, tedy jednak i jawnie jej nie zaprzecza (mówi przytem „*in dubiis libertas*“), nauki idealne idą ręką z religijnemi; uwagi któreśmy uczynili dostatecznemi więc sądzimy być winny do pogodzenia teorii Darwina z idealnością.

Lecz oto, spytajmy teraz, czy też teoria Darwina, o której nauka rzecz musi iż jest nader prawdopodobną, której religia nie przeczy, jest też i *pozytywnie pewną*?

Jeżeli przez pozytywną pewność jakiego faktu mamy rozumieć tylko to, co jest wsparte na kryterium dzisiejszej szkoły pozytywnej to jest na doświadczeniu, tedy teoria Darwina i jego szkoły za pozytywną pewność wcale być przyjętą nie może. Przez *fantazję* i *kombinację* można ukształcić przypuszczenie, że dzisiejsze oddzielne gatunki poformowały się przed krociami wieków jeden z drugiego, ale iżby z gatunku jednego mógł powstać drugi, iżby dziś nie istniały gatunki a tylko osobniki, tego kryterium *doświadczenia* wcale nie stwierdza. Być może, iż przed wieków miliardem gatunki które dziś tak się różnią od siebie, były więcej z sobą zbliżone, ale różne gatunki dzisiejsze z całą pozytywną pewnością różnemi są gatunkami, świadczą o tem nietylko ich cechy zewnętrzne lecz i wewnętrzne. Weźmy np. jak najróżniejsze rasy gatunku psów, a wszystkie one mają tę wyjątkową i tak szczególną wśród całego królestwa zwierząt cechę: (cechę która szukaną chyba być musi wśród milionowych tajni przedwiecznych formacyj) wierności i przywiązania do człowieka, i świadczą przeto iż są *oddzielnym* gatunkiem. Jednostki jak najmniejszych, cera, składem, umysłem, pokoleń ludzkich, wchodzić mogą

w związku małżeńskie, wydawać potomstwa, zaś jednostki gatunków zoologicznych różnych, jak to sam Darwin świadczy, nie krzyżują się z sobą, a jeśli wydadzą potomstwo, tedy albo to będzie forma dalej bezpłodna (muły), lub też w rozrodzie dalszym potomkowie wracają do formy jednego z dziadów, co zowie atawizmem. Ztąd też wielki zkadnąd wielbiciel Darwina, ale przeciwnik jego ostatecznych konkluzyj, francuski *Quatrefages*, znakomitą czyni uwagę: że bezpłodność gatunków gra tę rolę w świecie botanicznym i zoologicznym, jaką grają w świecie gwiazd prawa ciężkości i atrakcyi, to jest iż utrzymuje odległości botaniczne i zoologiczne między gatunkami. Chociaż więc za teorią Darwina przemawia prawdopodobność, prawdopodobnie jednak także dopuścićby można, iż jak na niebie jakaś pierwotność kosmologiczna, tak na ziemi jakaś pierwotność geologiczna rospłynęła się w miliony sobie podobnych ciał. I ztąd też pośród naturalistów nawet, lubo wielu gorliwych stronników, ale też niemało i przeciwników teoria Darwina znalazła. Agasiz np. (nader głośny przyrodoznawca amerykański) w dziele swém *O gatunkach i ich klasyfikacyi* w zoologii, wyraziwszy należy podziw dla wiadomości przyrodniczych Darwina i Heckla, dodaje: „żałować tylko należy, iż nie trzymają się oni ścisłej metody scyentyficznej, która zależy na tém aby z faktów pewnych wyprowadzać loiczne wnioski, nie zaś na tém, aby z fantastycznie nakręcanych faktów wyprowadzać dowolne teorye“. W literaturze niemieckiej liczącej może najgorliwszych zwolenników Darwina, i mogącej już nawet złożyć z swych publikacyj biblioteczkę Darwinijską,—zbliżenie i ocenienie tych prac mamy między innemi w niedawném dziele profesora Huber: *Nauka Darwina krytycznie oceniona*, a wniosek który tu autor po przytoczeniu ścisłym rozumowań za i przeciw zapisał w końcu jest ten: „tak więc ta teoria Darwina nie tylko jest hipotezą, ale nawet żadnego naukowego usprawiedliwienia (*keine wissenschaftliche Berechtigung*) nie mającą hipotezą“.

A jednak tak zwany dziś pozytywizm teorię tę przyjął, jako stwierdzoną jakoby doświadczeniem i za pozytywnie pewną ogłosił. Taki wniosek np. zapisał Heckel przy końcu swych *Dziejów przyrody*, chociaż na każdej prawie karcie tych dziejów, a mianowicie przy oznaczaniu i wyliczaniu kolei rozrodu roślin i zwierząt, przypomina, iż wyraża tylko *hipotezy*. Przez duch wieku wydany, a mający bez wątpienia w sobie pierwiastki prawdy darwinizm, przyszedł w ten sposób, zdaniem naszym, nie na uwieńczenie, ale owszem na zdradę pozytywizmu. Przyszedł na zdradę, okazało się bowiem, iż szkole tej i nauce niechodziło właściwie o pozytywną pewność, ale o materyalizm; wyszedł na zdradę, pierwotnym bowiem twierdzeniom pozytywizmu o niezmienności gatunków, o odwieczności na ziemi rodu ludzkiego, z gruntu zaprzeczył; wyszedł zaś mianowicie na zdradę przez wykazanie niedostateczności jego kryteriów, i przez następstwa które sprawić musi. Darwinizm jak widzieliśmy uczy, iż ród ludzki nie jest odwiecznym, iż był czas w którym nie było na ziemi żadnych nawet istot dzisiej-

szym podobnych, iż te przybywały następnie epokami o formach i przy-
miotach stopniowo wyższych, iż jest wewnętrzna solidarność z czło-
wiekiem rodów zwierzęcych, iż nadto, w loicznym rozwinięciu teorii
dopuszczać trzeba, że w rozwoju natury dalszym, przemiana i samych
ludzi w istoty kiedyś doskonalszej treści nastąpić musi i t. p. a więc
naucza nas prawie dosłownie wszystkiego, tego czego nauczała niegdyś
Biblia hebrajska (w Genesis i Proroctwach), musi więc znowu zwrócić
w nowy sposób uwagę na powagę kart tego Pisma ¹⁾, na jakieś wyż-
sze i głębsze kryteria wiedzy i prawdy w świecie istnące niż *doświad-
czenie*, i możemy już widzieć jako w ten sposób powróci wkrótce
znowu na pole badań okres duchowy i wróci w nową potęgę. Nie-
miecki pozytywizm już dziś nawet w piérwszém swém pokoleniu za-
mienił się w *probabilizm* i nie trzeba być wielkim prorokiem aby zga-
dnać, iż w pokoleniu następném (jakby przez ów „*atawizm*“) powró-
ci do *spekulacji*. Tak pełna oryginalnych myśli a tak powszechnie pokla-
skiwana dziś w Niemczech: *Philosophie des Unbewussten* Hartmanna
(*Filozofia nieświadomości*,—tkwiącej w ludziach, zwierzętach, kwiatach
i całej naturze) która jest połączeniem z całym przejęciem się tak da-
wnych kierunków spekulacyjnych, jak nowych przyrodniczych, jest
już dotykającym zwiastunem tego zwrotu śród sfery teoretycznej.

(Dokończenie nastąpi).

¹⁾ Henkel w zacęciu swych *Dziejów przyrody* wspomniawszy o Księ-
dze *Genesis* wyraził: „W hipotezie Mojżeszowej spotykamy się z dwiema do-
niosłemi i zasadniczemi ideami przyrodniczej teorii rozwoju, wyrażonemi
przytęm z zadziwiającą prostotą i jasnością: z ideą różniczkowania czyli
dyfferencyowania i z ideą postępującego naprzód rozwoju... Wykład ten za-
sługuje z naszej strony na *śluszne podziwienie*“ 1. 26. Tenże przy koń-
cu dzieła uczyniwszy uwagę, iż w obec nowej nauki wszystkie nasze instytu-
cye, społeczna i moralna organizacya, powinny być zmienione, dodaje: iż
„*zupelny i szczery powrót do przyrody* i do przyrodniczych stosunków jest
tu jedynym i koniecznym środkiem“; pomijamy tu walor recepty, ale autor
który nauczał, iż do czasu ukazania się człowieka na ziemi, każdy krok no-
wy natury był krokiem postępu, a dodaje iż to co od czasów człowieka na-
stało na ziemi już nie było we wszystkim postępném, wyraził czego nie
choiał wcale wyrazić, to jest iż od czasu ukazania się téj istoty są i ślady
upadku. August Comte i niektórzy z jego szkoły uczą, iż jak w rozwoju
natury tak i śród dziejów ludzkich istnieje *prawo harmonii wewnętrznej*, któ-
re się w faktach objawia; cóż innego, dodaóby można, nauczała i Biblia
w swoich powieściach o dziejach jednostek, rodzin, ludu i ludów? tylko
iż nazywała to prawo, dobitnie i jasno, *Sprawiedliwością Bożą*, i na istnie-
nie tego prawa nie tylko teoretycznie, ale téż w ten sposób i najpraktycz-
niej wskazywała. Filozofia pozytywna, widzimy, im więcej o swych siłach
się wznosi i zdaje się napozór oddalać od prawd religijnych, tém więcej,
lubo w innéj drodze, do nich powraca.

P O E Z Y E

KAROLA XV KRÓLA SZWEDZKIEGO.

PRZEŁOŻYL

Waw. hr. Engeström.

Wawrzyniec hrabia Engeström, którego ojczyzną jest Szwecya, z szczególném zamiłowaniem poświęca się literaturze polskiej i od lat kilku pracuje nad tém, aby nas bliżej zaznajomić z literaturą szwedzką, z jój piękniejszymi utworami i z narodem tylu wielkimi wypadkami przeszłości złączonym z nami. Niektóre pisma hr. Engeströma ogłoszone zostały drukiem, jako to: *Obrazki z podróży, Szwecya, Odczyty literackie* w jednym tomie, *Ezajasz Tegner, odczyt*. W tym czasie wyjść musiało podane do druku: *Życie Karola Lineusza* i obrazek dramatyczny oryginalny *Bukiet Haliny*. Tłumacz przygotował do publikacyi z poezyj Tegnera: *Pieśń o Karolu XII, Svea* poemat uwieńczony przez Akademią, *Azel* powieść historyczna z czasów Karola XII. Przełożył wiele poezyj Tegnera, Franzéna, Lindnera, Runeberga, Elisa Bernarda Malmström, a z dzisiejszych poetów niektóre poezye Roberta von Kraemer i hr. Snoilsky (Szweda). Prócz tego przetłumaczył: *Drobne poezye* (Smerre Dikter) Karola XV króla szwedzkiego, z których wyjątki Redakcyja w tym zeszycie przedstawia. Wszystkie te przekłady poezyi mają wyjść oddzielnie pod tytułem: *Z szwedzkiej niwy*. Prócz tego autor pracuje nad obrobieniem według źródeł historyi Karola XII i pisze Historyą literatury szwedzkiej, którą częściami Redakcyja Biblioteki Warszawskiej w piśmie swém zamieszczać będzie.

W chwili, w której podajemy do druku maleńki zbiorek tłumaczeń poezyj Karola XV, dzwięczy żalobnym głosem na *Riddersholmie* dzwona *Serafinów*, i do otwartych podwoi Pantheonu północy, ze Stock-

holmskiego zamku uroczystym pochodem, na sen wieczysty, odprowadzają zwłoki nieodżałowanego *Króla Szwecyi i Norwegii*. Czarna chorągiew powiewa nad Mälarskim grodem. Naród w żałobie, w prawdziwym i rzeczywistym smutku; bo to żałoba serca, głos czci prawdziwej i przywiązania, po najpopularniejszym monarze dziewiętnastego wieku. Niechaj więc tłumaczowi poety godzi się w tej godzinie, na pierwszej karcie poświęcić słowo wspomnienia, i serdecznym wyrazem uczcić powszechnie żalowanego człowieka! przedewszystkiem człowieka, a następnie dopiero, dobrego króla—żołnierza—artystę.

Karol XV od roku 1859, w czasie choroby króla Oskara I, jako regent sprawował rządy państwa, a dziewiątego lipca 1859 r. wstąpił na tron ojcowy jako setny z rzędu monarcha szwedzki.

Z otwartém i gorącym sercem a młodocianym zapalem wstępował na tron, wnuk Bernadotty i spadkobierca świetnego Karolingów imienia! Uczuciem sprawiedliwości i czystą miłością ojczyzny powodowany, zwyczajem królów północy, dziedzicząc berło, zapowiedział obojgu ludom zasadę postępowania swojego, obierając za godło wyrazy:

„Ojczyznę na prawie buduję!“ („Land skall med lag byggas!“).

Piękna to była wówczas postać, i piękne obojga królestw nadzieje! Gorąca dusza do czynu i sławy się wrywała; wrzało to serce pocziwém tętneń rycerskiej duszy i poetyczną fantazyą króla Karola!

Z takim sercem i charakterem, w innéj epoce, jak chorobliwy wiek XIX, Karol XV stworzony do czynu, byłby północnym stanął rycerzem i w Karolingów zasiadł szeregu.

Na uwężni zimnego rozsądku i konieczności politycznej, dusza króla Karola zapóźno, albowi może zawczasie, nad szwedzką ziemią zapanowała, i śmiało powiedziéć możemy, że szkoda zdolności i charakteru człowieka, który nie w swoim czasie ni powołaniu zrodzony, śni niecierpliwie i marzy i sam o sobie powiada:

Mnie rycerzem być się zdało,
Co z drużyną wierną, śmiało,
Na ojczyste idzie boje!

„Ciemnych włosów mych pierścienie
Jasny szyszak cisnął;—śniło,—
Oko szczęściem zaświeciło!
Oh!.. to tylko jest złudzenie!“

Panowanie w warunkach twardych obowiązków politycznych jakie podjął rycerski Karol XV, spokojne rządy północnego narodu wśród burz i gromów ościennych, były też rzeczywistém dla serca jego złudzeniem, złudzeniem, zawodem i zniechęceniem, które na dni powszedniego żywota cierpko nieraz oddziaływały. Ale mimo zawodów niecierpliwego ducha, mimo nieodpowiedniego szlachetnym porywom rycersko-poetycz-

nój fantazyi stanowiska, które niejedno w życiu człowieka usprawiedliwić może; zgasły monarcha szwedzki potrafił czynem i duchem zapisać w księdze historii kartę wieczystego wspomnienia, której ostatnim wyrazem, ta nadzwyczajna sympatya i żal serdeczny jakie do grobu mu towarzyszą, w zamian rycerskich laurów zdobiąc go sercem narodu.

Król Karol, objąwszy rządy, otworzył nową epokę rozwoju organicznego w ojczyźnie swojej, a zapowiedziawszy *że ją na prawie buduje*, ojcowiskiem okiem i bratniem sercem, bezstronnie rozpatrzył się w jej potrzebach, dążności i pragnieniu; a idąc za prądem czasu, stał się sam przodownikiem reformy, jakiej już od lat wielu Szwecya dopominała się niecierpliwie.

Nie powstrzymywał, ale owszem, umiejętnie umiał ją poprowadzić, zabezpieczając naród od niepokoїв i zawichrzeń jakie mu grozić mogły w nieuniknionem już starciu stronnictwa zachowawczego z postępem, pomiędzy którymi stając, oboje trzymał na wodzy.

W łonie Szwecyi rozwijał się właśnie przez długie lata tłumiony ten dramat parlamentarny, groźny może w następstwa, gdyby mu jeszcze stawiano zapory; dramat niełatwy do rozwiązania, bo naruszający tradycyjne przywileje narodu. Cztery odrębne stany od wieku reprezentujące parlamentaryzm szwedzki, nieodpowiadały już duchowi czasu i wymaganiom teraźniejszości.

Walka toczyła się już oddawna, a naruszając drażliwe bardzo uczucia, groziła burzą i zawieruchą.

Król Karol, jak wódz wśród boju, ocenił niebezpieczeństwo, nie zważał azali zyska przyjaciół albolii stworzy sobie niechętnych, ale rozumiał, że wszelka reforma z góry, mądrą ręką podana, jest postępem, reforma z dołu, klęską porządku narodowego! Otoczywszy się więc gronem ludzi poważnych i wytrawnych, stanął sam na czele stronnictwa postępowego, a tём samém uczynił je umiarkowanem i rozsądnem, legalnem i sprawiedliwem; byle i nadal nie przemieniło się swój ojczyźnie i nie przekraczało granic rozumu i sumienia politycznego, które przestąpić bardzo łatwo, zwłaszcza w epoce zwichniętych pojęć między-narodowej choroby XIX wieku, bo ta nie jest postępem, ale upadkiem wiary, cywilizacyi i obyczaju!

Rok 1866 stał się więc chwilą epokową dla instytucyi szwedzkich i najważniejszą godziną w politycznym zawodzie monarchy. Rozwiązano stany i nowoczesna reprezentacya dwóch izb obieralnych zastąpiła dziedziczne przywileje reprezentantów narodu.

Od samego początku panowania króla Karola, sprawa norweską była na pierwszym planie jako kwestya żywotna, i trudna była do rozwiązania. Trudna, bo była dla młodego monarchy, kwestyą niedojrzałych jeszcze idei; idei skandynawskiej, której gorącym on był przedstawicielem.

Zyczeniem jego było ścieśnić węzły łączące dotąd dwa bratnie narody; starał się doprowadzić do przejrzania ustawy unii szwedzko-norweskich i usunięcia istniejących w niej jeszcze zapór moralnych; ale

nie wybiła ostatnia potemu godzina. Król Karol rzucił do serca zdrowe ziarno idei, co mógł, uczynił, postąpił naprzód; ale jako monarcha konstytucyjny nie osiągnął upragnionego celu, bo nie ręką samowładnego pana, ani drogami przebiegłego polityka, wbrew przekonaniu i woli obojga ludów chciał stawiać sztandar swojej zasadniczej dążności. Postawił swój program nie jako król szwedzki, lecz jako syn skandynawskiej dziedziny. Nie naraził powagi rządu na klęskę parlamentarną, nie zraził sobie Norwegów, ale poszanowawszy ich wolę i prawo, przychylił serca do siebie.

Pod berłem króla Karola idea sprawiedliwości uczyniła postępy we wszystkich odcieniach i kierunkach; rozwiała zastarzałe przesady, światłem prawdziwej cywilizacji przyświecając dojrzałemu duchowi narodu. Pojęcie tolerancji, wolność sumienia i poszanowanie innowierców, w oświeconym ludzie północnym były koniecznością i konsekwencją postępu; zastąpiły więc wyłączenie zbyt surową urzędowego kościoła, który wolnością sumienia nieosłabiony, wzmacnił się raczej duchowo, poszanowawszy uczucia i przekonania współbraci. Ulepszenia więzień, zniesienie kary cielesnej, rozszerzenie opieki nad ubogimi, wolność zarobkowania, rozwój przemysłu i handlu i olbrzymie postępy kanalizacji i dróg żelaznych, są doniosłą ilustracją piętnastoletnich rządów monarchy, który dobro ojczyzny zawsze mając na celu, umiał się mądrze i poczciwie otoczyć, a dobierając współpracowników, pracował szczerze dla kraju.

Rycerski Król Karol był duszą i ciałem żołnierzem; charakter jego i całe usposobienie było potemu. Pierwszy kawalerzysta kraju swojego, lubował się w wojennym rzemiośle, snił o Karolu XII, marzył o dawnych bojach i sławę łaknął tajemnie.

Niez mordowany i zadziwiająco czynny, część życia przepędził pomiędzy zbroją swoją czeladzią,—a zdrowym instynktem żołnierskim, i zagranicznym przykładem powodowany, sokółkiem okiem widział jasno czego mu niedostaje, zrozumiał że spadkobiercy dawnych rycerzy, nie dorastają dzisiejszym wymaganiom militarystyki europejskiej.

Domagał się na tym polu tylu potrzebnej i koniecznej dla Szwecji reformy, marzył o niej, słowem i piórem gorąco upominając. W tym kierunku wystąpił jako autor pod cyfrą *C*. W dziennikach i broszurach walczył przeciw zastarzałym przesądom i nierozważnym tendencjom tak zwanych liberałów, którzy reformie wojskowej Szwecji się sprzeciwiają i militarystykę w ogóle za niepotrzebny ciężar uważają za nawykli.

Król Karol pisał jako Szwed, z serca i przekonania, czystą i zdrową miłością kraju swojego powodowany: i przyjdzie zaiste godzina, w której słowa zgasłego króla-żołnierza trafią do serca narodu.

Wspomniałem, że poczucie braterstwa skandynawskiego, myśl połączenia się ludów wspólnego szczepu w jedną moralną i polityczną całość, było charakterystyczną dążnością Króla Karola.

Był on Szwedem, Szwedem w całym znaczeniu tego wyrazu, a jako człowiek przezorny i dbały o przyszłość, Szwedem i Skandynawem

zarazem! Nie szukał podboju lecz unii duchowej, w troistej rodzinie, która krwią i interesem politycznym związana, stanowi całość w europejskiej drużynie. Tą drogą i z takim przekonaniem postępując, pracował niezmordowanie w dwoistych rządów zakresie; a spoglądając na Danią, nie dbał o jej cierniową dzisiaj koronę, ale zbliżył się do bolejącego brata, a zawarłszy jak najściślejsze przymierze uświęcił je związkiem rodzinnym, jedyną córkę swoją wydając za następcę tronu duńskiego, chcąc nazwać synem przyszłego króla narodu, którego się po-bratymcem uważał.

Gorąco i żywo czując, żywo i gorąco kochając, podzielał wszystkie uczucia ludu swojego. Kiedy walka zawrzała w świecie i luna wojennej pożogi świeciła w bratniej dziedzinie, zrywał się już do lotu, i biło serce żołnierza a szabla drżała już w niecierpliwój Szweda i Skandynawa prawicy!

Były to ciężkie dlań chwile. Król szwedzki musiał w sobie pokonać najgorętsze serca porywy, poświęcić uczucia własne, sławę wojenną, instynkt żołnierza i skandynawskie marzenie, dopełniając obowiązku monarchy, któremu przezorna i zdrowa rada otaczających go mężów stanu i konieczność polityczna, nie pozwalały samodzielnie sztandaru Szwecyi narażać.

Sklonił się więc przed konieczności potęgą, zadrżały w nim wszystkie fibry rozbolełego ducha, westchnął kilku akkordami piosenek, upuścił szablę, pędzlem i pieśnią się pocieszając.

Sympatye i niechęci jego szły porówno z uczuciem całego narodu.

Kochał Szwecyą i Skandynawią, sympatyzował z Francyą, bolał go jej moralny i polityczny upadek; szczerze nie lubił Niemców, duńskie im pamiętając pożogi, a otwarty na każdym kroku i nieumiejący udawać, uczucia swego nie taił, mniej może nawet niż na monarchę przystało.

W tym krótkim zarysie zcharakteryzowaliśmy piętnastoletnią epokę panowania króla Szwecyi i Norwegii, kolęj trudną do przebycia, ciernistą nieraz i niewdzięczną, dla człowieka z takim gorącym sercem, ognistą fantazyą i żołnierskiem usposobieniem jakie miał Karol XV!

Wspomniawszy króla, poznamy jeszcze człowieka; przypatrzymy się bliżej temu sympatycznemu charakterowi, którego ukochała Szwecya i cała Północ żałuje.

Od lat dziecińczych zarysowywał się ten charakter, pociągający wszystkich do siebie. Dziś jeszcze przypominają sobie Szwedzi mnóstwo anegdot, słówek ulotnych i drobnych wydarzeń, które w dziecku już i młodzieńcu malowały późniejsze króla zalety, zapowiadając człowieka otwartego, szczerego, pełnego prostoty i serca, uczuć gorących, szlachetnych i sprawiedliwych.

Piękna to była dusza, pełna najwznioślejszych uczuć i poetycznego serca porywu. Żywy i ognisty charakter, ale przytém łagodny i przystępny, za serce chwytał każdego. Nie gonił za popularnością, nie dbał o nią, i nic z niej sobie nie robił i może właśnie dlatego najpopularniejszym królem go nazywamy! Nigdy nic w celu zjednania sobie serca

narodu nie robił, ale co uczynił, uczynił z własnego popędu i przekonania; instynktem własnego serca czuł i pracował dla kraju, zbliżając się do ludu swojego uczuciem i wyobrażeniami.

Lekki może czasami, правда! ale serdeczny i sympatyczny, więcój był może *artystą* niż *królem*, ale był przedewszystkiem szlachetnym i poczciwym człowiekiem, z najpiękniejszymi uczuciami, których harmonią jest pieśń poety! Król Karol był artystą w duszy, kochał wszystko co piękne, był zarazem muzykiem, malarzem i poetą..

„I w niejednej życia dobie,
Gdy się dusza w piersi rwała;
W niepokoju lub żalobie,
Myśl melodyą się ozwała.“

„Kiedy burze w sercu grały,
Miasto szabli, pędzle chwycił;
Szwedzkie kreślił ideały,
I w natury księdze czytał!“

„A gdy serce mu wezbrało,
I do Boga myśl się wzbila:
To uczuciem co gorzało,
Pieśń poety przemówiła!“

Poezya od dawien dawna jest wrodzonym uczuciem królów północy.

Rodzina Wazów zapisała niejedno imię w księdze literatury szwedzkiej, która zachowuje z poszanowaniem pamiątki literackie Eryka XIV, Karola IX, psalmy Gustawa Adolfa i poemata Gustawa III króla-poety.

Z dziedzictwem korony szwedzkiej, poetyczny duch Wazów przeszedł w spuściznie na panującą dziś rodzinę Bernadottów; przystrajali natchnieniem zgasłego króla-artystę i zdobi panującego dziś króla Oskara II koroną.

Mówiąc o poezjach Króla Karola, nie szukajmy w nich potęgi wieszczą pierwszego rzędu; byłoby to pochlebstwem raczej, a nie prawdą.

Poetów, rzeczywistych wieszczów i mistrzów słowa, nie wielu w świecie! a tym co stoją w lauru literackiego koronie, pierwszeństwo iście należy. Król Karol w poezjach swoich nie był mistrzem; nie tworzył arcydzieł, nie był wieszczem, w właściwem jednostronnem znaczeniu tego wyrazu; nie był totalent—ale talencik, ale ozdobiony wielką zaletą, bo odślaniał poetyczną duszę, odślaniał serdeczne serca uczucia i bogatą fantazję artysty!

Nie zasługę więc formy mistrzowskiej, nie potęgę wieszczego słowa, ale myśl i serce poety, miłuchne dźwięki uczucia i artystyczne usposobienie podnosimy w tej lutni, która dla Szwecyi grała ulotnie. Jesz-

cze w roku 1848 napisał król Karol jako następca tronu, poemat *Fösterbröderna*, który pod tytułem *die Kampfgenossen* czyli *Towarzysze broni* w niemieckiej literaturze jest tłumaczony. W 1852 napisał *Heidi Gylfes Dotter* (Heida córka Gylfego), w 1855 *En Vikingasaga* (Saga Vikingi), później *Tre Nätter* (Trzy noce) i kilka zbiorów drobnych poezji *Smärre Dikter*, z których jeden, o ile mnie na to stało, podaje, jako malujący w urywkowych akkordach, gorącą duszę, myśl poetyczną i sympatyczny charakter poety, który mimo tak lekkiego napozór charakteru, wyrwa się pieśnią w niebiosy, sercem ucieka do Pana, kocha i chwali co pocziwie, wzniosłe, piękne i co szanować należy! i jakby zadając kłam pozorowi, po za ułomnym człowiekiem wyższym uczuciem, co na dnie duszy, spowiada. Taką spowiedzią ducha, takim akkordem wezbranego uczucia głębszego, zaśpiewał, załączony w przekładzie moim osobny poemacik *Hiertals Hem* czyli *Ojczyzna serca*; pieśń która tęsknieniem uczuciem ku niebu się wyrwywając ojczyznę w niem serca wskazuje. Poemacik ten, niewychodząc wartyścystycznego zalety, jest ulubioną i popularną piosenką szwedzką, która z wielu innemi, nie jako arcydzieło sztuki, ale jako rzewna pamiątka i słowo serdeczne ukochanego króla-artysty, pozostanie w literaturze szwedzkiej uszanowanym zabytkiem narodowego wspomnienia. Jako poeta, pisywał Król Karol ulotnie, szkicował raczej myśli i uczucia, niewiele się troszcząc o ich wykończenie.

Pełen talentu rzeczywistego, w tym samym niemal sposobie traktował malarstwo. Tak tu jak tam, był artystą, sztukę rozumiał i kochał, ale nie umiał, a raczej nie chciał pracy swojej wykończyć i opracować starannie, jakby na to zasługiwała; i szkoda, bo jeżeli (choć nie wiem) poetą był niezłym, to malarzem nazwać go było można dobrym, gdyby więcej było wykończenia i pracy w rzuconych artystycznie obrazach, którymi ozdobił muzeum narodowe, dwory zagraniczne i domy swoich przyjaciół, jako pejzażysta pełen talentu i smaku wrodzonego.

Myśląc zawsze o swój Północy i kraj rodzinny kochając, malował wyłącznie obrazy skandynawskiej natury, obierając temata pięknych okolic Północy, a przedewszystkiem Norwegii i Dalekarlii.

Jako miłośnik sztuki, jako rzeczywisty artysta i estetyk w całym znaczeniu tego wyrazu, przedstawia się Karol XV we wszystkim co go otaczało, w mieszkaniu i drogocennych zbiorach, tak na zamku Stockholmskim, jak przedewszystkiem w ulubionej swój rezydencji Ulriksdal, która jest rzeczywistym muzeum narodowym z wykwintem i smakiem pierwszego rzędu urządzonem. Dość spojrzeć na te zbiory, rozpatrzyć się w tych komnatach i ocenić uważnie szczegóły, aby poznać człowieka i artystę zarazem, aby przeczuć w nim człowieka wielkiego smaku i wykształcenia.

Ulriksdal pod Stockholmem, to żyjący duch króla Karola. Ulubiona ta rezydencya najwyraźniej go nam zarysowuje, i długo przypominać będzie tego króla, który chronił się tutaj przed etykietą dworską, co nieraz była mu ciężarem. Tutaj oddychał, zapominając że jest monar-

chę, czując się tylko sobą samym, wolnym, wesołym i uprzejmym obywatel, artystą i marzycielem!

Pomiędzy pamiątkami pracy domowej pozostała po nim Szwecyi drogocenna robota, w umiejętnie ułożonych kartach Szwecyi, z których jedna traktuje górnictwo, druga lasy a trzecia właściwą topografią północnych dziedzin narodu.

Widzimy więc że pomimo wszelkich możebnych zarzutów, zbyt może żywego temperamentu, Król Karol był w duszy człowiekiem nie tylko serdecznym i sympatycznym, ale poważnym, zajmującym się tak sprawami państwa jako też sztuką i naukami, myślicielem. Zadziwiająco był czynnym znajdując czas do wszystkiego.

W życiu domowem, w gronie poufnem był człowiekiem serca, kochał rodzinę, kochał kółko swoje domowe, przyjaciół i nieszczęśliwych, dla których miał zawsze serce i dłoń otwartą.

W 1854 roku stracił jedynego syna Karola-Oskara-Wilhelma, piętnasto-miesięczną dziecinę. Nieutulonym był wówczas w żywej boleści serca, unikał ludzi, samotnie pędził godziny, rysując gdziekolwiek się tylko dało dziecinne twarzyczki, aniolki małe, alboli imie dziecka kochane.

Każdą boleść, każdy smutek serca czuł bardzo żywo, stosownie do charakteru, który w nim pałał uczuciem.

Królowa Ludwika była dlań istnym aniołem, tak ją też często z poszanowaniem i czcią nazywał; cenił ją i przywiązany był do żony serdecznie; a kiedy w roku 1871, 30 marca, niespodzianie zamknęła powieki, uczuł sieroctwo swoje boleśnie, bo ulatywał ten jego anioł opiekuńczy, kiedy mu najwięcej potrzebna była, bo zachodziło już słońce żywota. Od tej godziny poczynają się już czarne chwile krótkiej wędrówki ziemskiej Króla Karola. Niknące zdrowie nie dawało wiele nadziei i widmo śmierci było na oczach narodu.

Wiedział Król Karol, że policzone już są od dawna krótkie jego godziny. Lato przepędził w Akwizgranie na daremną i iluzijną tylko kuracyi, bo nie było dlań już możebnego ratunku. Radzono aby na zimę do Włoch chorego wyprawić, ale król Karol tęsknił za Szwecyą, za Ulryksdałem i chciał umierać pomiędzy swymi—u siebie!

Piętnastego września parowiec Wanadis przywiózł z Kielu osłabionego króla na ziemię rodzinną, do *Malmö*. Skoro zobaczył piaszczyste Skanii wybrzeże, zawołał radośnie: „Bogu niech będą dzięki! na szwedzką ziemię wróciłem.“

Kiedy zstępował z pokładu, cała ludność wyległa ku niemu radośnie króla swojego witając, ale gdy zobaczono idącego niepewnym krokiem, bladego, w otoczeniu wspierających go towarzyszy, cisza ponura a wielomówna opanowała tłumy. W milczeniu uroczystem odprowadzono chorego do mieszkania gubernatora. Wrażenie to spostrzegł i zrozumiał król Karol, a ze łzą w oku, pierwszy raz może w życiu, do otaczających go powierników powiedział: „Widzę, że szczerze jestem kochany, czuję że im zabraknę, gdy przyjdzie moja godzina!“

Czuąc się bardzo już słabym, wyrwał się do Stockholmu, mówił że chciałby mieć skrzydła, któreby go do Ulryksdalu przeniosły aby tam mógł umierać.

Z Kopenhagi przybyła następczyni tronu duńskiego z synem, z rozrzewnieniem powitał czteroletniego wnuka i z córką długo rozmawiał.

Zbliżały się ostatnie boleści i ostatnie chwile; niemożna już było o dalszej myśleć podróży. Król Karol z mężkim spokojem i chrześcijańską rezygnacją oczekiwał więc końca doczesnego żywota. Przytomnie rozmawiał z ukochaną córką, z przyjaciółmi i otoczeniem, liczył ostatnie życia godziny, a pożegnawszy się z wszystkimi, z pobożnym westchnieniem na zawsze zamknął powieki.

I otwały się na górze
Dla Karola te wierzeje,
Gdzie w świetlanym duchów chórze,
Nieśmiertelne życie dnieje!

Gdzie *ojczyznę serca* słaWił,
Którą w pieśni nam zanucił;
Grzeszne prochy tu zostawił,
I do Boga—duchem wrócił!

W. hr. E.

MNIEJSZE POEZYE

K r ó l a K a r o l a X V .

DO SZWECYI.

(*Till Sverige*).

Północy! morzem oblana,
Wolua ojczyzna kochana,
Cicho spoglądasz dokoła;
I jako rycerz wytrawny,
Z pod dumnego patrzysz czoła
Na pełen wspomnień wiek dawny.

Okrażona wrogów rojem,
Niewzruszona stałaś bojem,
Niby z morza ciche skały;
Na twoje rozkazy gotów,
Zdązał rycerz w pole chwały
Z pod słomą krytych namiotów.

Niespożytych cnót promienie
Twoich dolin kryją cienie,
Jeszcze zdroje twe śpiewają
Hymn wolności lat minionych;
Szwedzkie łodzie kołysają
Stare pieśni wód spienionych.

Spokojem teraz uspiona,
Dawniej sławy pamięć kona,
Co po szwedzkiej ziemi płynie.
Wrą w pobliżu walki gromy,
Mogą zdążyć k'twój dziedzinie
I uderzyć w nasze domy.

Świat obiegłaś w imię chwały,
Na twém czole laury wiały!
Czyż się nie chcesz zdobić niemi?
Czy sądzisz że wywalczone
Prawo, wolność twojej ziemi?
Że posłannictwo skończone?

O Sveo! czy śpią twe dzieci
Spowite nicią tych sieci,
Które mądrość z fałszem sprzedły?
Głosy twych synów bolesne,
Czyż już w zarodku uwiędły,
Lub czy dla serca niewczesne?

O! strzegła Swidhodów proga,
Przesilna prawica Boga,
W groźnego czasu potrzebie.
Gdy obowiązek powoła,
Ona tam stanie za ciebie
Od przygód bronić dokoła.

Nie bledniej zastępie mały,
Zwycięzkie wygłoś chorały,
Przed czekającym cię ludem;
Gdy zerwiesz więzy przemocy,
Zwycięztwo osiągniesz cudem,
Wolnego światła Północy.

R U I N A.
(*Borghruinen*).

Cichy wieczór, mrok szarzeje;
Rusałeczka patrzy z toni,

Wodny wianek ma na skroni,
To się z wiatrem znów rozchwieje.

W oddalonym lasów mroku,
Poszczerbione zamku cienie,
Budzą w sercu mém widzenie
Jak w czarownych snów obłoku.

W tle półjasném na błękicie,
By w tęczowy blask odziane,
Wieżę zamku rysowane,
Fantastyczne budzą życie.

Sam zmienionym już się roję,
I rycerzem być się zdało,
Co z drużyną wierną, śmiało
Na ojczyste idzie boje.

Ciemnych włosów mych pierścienia,
Jasny szyszak ścisnął,—sniło,
Oko szczęściem zaświeciło!
Oh, to tylko jest złudzenie!

Już duch nocy, niewidomie
Tysiąc światel wiesza zdala,
I w koronę gwiazd rozpala,
Na bezdennym nieb ogromie.

Księżyc wpłynął na błękity,
Zbladło złudnych słów marzenie;
Tylko serce śle westchnienie,
Tylko szumią dębów szczyty.

Rozbudzonych wspomnień głosy,
W uciszonej nocnej dali,
Po Malaru dzwonią fali,
Świątém echem pod niebiosy.

W O D D A L I.
(*Fierran*).

Czarowne wybrzeża kochane,
Wy zagrody z ojców świata,
Za wami z serca posłane
Westchnienie moje ulata!

Łabędziu cichy, kąpany
 W czystym zatoki kryształe,
 O *Hago* ¹⁾, raj u kochany!
 Królowo zdobna wspaniale
 W *Löfvönsu* ²⁾ parki zielone;
 Za wami tęskne śle żale
 Serce w oddali więzione.

Po niebios przestrzeni
 Widzę płynące
 Żłociste chmury!
 I słyszę w zieleni
 Liściowe chóry
 Z wiatrem gwarzące.
 Wietrze co gonisz za chmury,
 Powiedz nam dokąd tak płyniesz?
 O, powiedz latawce z góry
 W jakiej przystani zawiniesz?
 Czy widziałeś w twym pochodzie
 Wdzięki *Lögarnu* urocze?
 Widziałeś kąpane w wodzie
 Brzozy płaczącej warkocze;
 Sterczących granitów bryły
 Ciemnymi mchami ubrane,
 Gdy się do ciebie tuliły
 Powiewem twoim owiane?
 Uśmiechnięte dolin łany
 Cichy pokłon ci posłały;
 I w swém łonie rozniecany
 Wonny oddech tobie dały.

Kiedy w czary te zawiniesz,
 Kiedy patrzysz na te raje,
 Czemu skrzydeł tu nie zwiniesz,
 A w dalekie pędzisz kraje?

Słyszę wiatru głos powiewny:
 „O znam go, znam!
 Nieraz widziałem

¹⁾ *Haga*. Pałacok letni z pięknym parkiem w pobliżu Sztokholmu, nad zatoką morską w pięknym położeniu, jedna z pięknych rezydencyj letnich domu królewskiego.

²⁾ *Lofö* (wyspa zielona). Wyspa na Mälarze, na której wśród prześlicznych ogrodów jest główna letnia rezydencya królewska. Pałac na wzór Wersalu zbudowany nazywa się: Drottningholm (wyspa królowej).

Gdy tędy wiałem,
 Wyspy kochane
 Falą oblane;
 Te gajów cienie,
 Skały, kamienie
 Z odwiecznych lat:
 Ten czarów świat
 W pamięci mam!"

„Tamem się rodził,
 Wychował tam!
 Gdzie z wiosną wschodził

Zielony maj!

W kwiecistym stroju
 Wonił u źródła
 I zdobił kraj,
 A ja czuwałam
 W zielonój błoni,
 I lekko wiałem
 Po kwiatów skroni;
 Z kwiatów płonących
 Puszczając się w lot;
 Brzołek płaczących
 Warkoczy splot,
 Nieraz z zapalem
 Ucałowałam.
 I w letnią noc
 Gdy blasku moc
 Przyświeca nam,
 Po lasów jarze
 Z Elfami w parze
 Bawiłem tam!

W groźnym powiewie
 Wichur się zrywa,
 I w dzikim śpiewie
 Tak się odzywa:

„Uciekaj ztąd

W bezdenny prąd,
 Śród czasu fal
 Ulatuj wdał!
 Pędem ci trzeba
 Pospieszać tam,
 Przeworzeniem nieba,
 Szalonym biegiem
 Nad ziemi szczyty,
 Nad mórz błękity,

Nad żadnym brzegiem
 Nie staniesz tam,
 Nim głosy z nieba
 Rozkażą wraz
 Że spocząć trzeba,
 Że czas już, czas!"
 Lecz gdzie spłynę,
 Gdzie zawinę
 Rzucany w świat;
 W méj pamięci
 Czarem nęci
 Wspomnienia kwiat!"

Ciche głosy i westchnienia,
 Znam ja was!
 Wy nie z kwiecia zwodnych czarów,
 Które lada chłodek zmienia,
 Nie z wędrownych wiatru gwarów
 W majowy czas;
 Wyście w sercu mém powstały
 I pieśń moją zaśpiewały;
 Na obłoku ją posłałem,
 Gdzie domowy świat mój stał;
 Niechaj świadczy jak kochałem,
 I żem smutny wracać chciał;
 Jak ptaszyna z krańca świata
 Zawsze do gniazdka ulata;
 Boś z piérwszóm tchnieniem pojęta
 Domowa zagrodo święta.

WSPOMNIENIE.

(Minnet).

I.

Kwiateczki wonne,
 Wiośniane gaje,
 Zwarzone błędną
 W tak rychły czas;
 Szczęśliwe chwile,
 Godziny słońca
 Znikają prędko,
 Mijają nas!

Nadchodzą noce
 Ponure, zimne;
 Tysiącne troski
 Jak mgły się snują
 Po sercu wraz!

*

*
 Skłoń się z pokorą,
 Czekaj cierpliwie,
 A rychło w noc
 Zajaśnieją ciche
 Gwiazdy błyszczące;
 I ducha moc
 Roztworzy święte
 Wspomnienia oczy,
 By czyste zdroje;
 W zwierciadle tam
 Kochane, miłe
 Mrugają wszystkie
 Jak dawniej nam.

WSPOMNIENIE.

(*Minnel*).

II.

Szczęśliwe serce,
 Co zachowało
 W pamięci zawsze
 Swój niewinności
 Święteczne tła;
 Zwierciadło czyste,
 Gdzie malowane
 Uczucia, myśli
 Niezachmurzone,
 By czysta iza!
 Możesz tam wzlecieć
 Niby do arki
 Gołąbek z dali.
 Możesz tam znaleźć
 Spokój i szczęście
 W żywotnej fali.
 Ale gdy cienie
 Padną dokoła
 W wspomnienia tło,

Snują się, snują
Troską, by mgłami
W wieczności dno!

* * *

Cienie pokutne
Troska, niepokój,
Ciemne straszycła
Milcząc ścigają
Szeptając nam:
Biada ci serce,
Biada, o biada!
Szukasz napróżno,
Kryjesz przed sobą
Napróżno sam!
Walczysz daremnie
Z twoją tęsknotą;
Niéma schronienia
Ani pokoju
Dla ciebie tam!

S A M O T N O Ś Ć.

(*Ensamheten*).

Samotny byłem; natura wkoło,
W całym przepychu stała wesoło,
Niby otwarta świątynia Pana,
W jasne sklepienia nieba ubrana.
Szmerzące fale i wiatru głosy
Śpiewały piękny hymn pod niebiosy,
A u stóp moich kwiatów miliony,
Wonny kobierzec łśni rozścielony.
Myśl zachwycona w górę ulata,
Gdzie jej ojczyzna pierwotna, święta,
W górze u tronu Boga poczęta.
Ale w głębi serce wzdycha
I tak mówi do mnie z cicha:

Na co tobie piękna czary,
Te lazuruwe obszary;
Na co to świetne sklepienie
W słońca ubrane promienie:
Sam jesteś, a twoich losów
Nie zmieni siła niebiosów.

W tej chwili mijając kwiaty,
W złociste barwy upstrzony,

Nadleciał motyl skrzydlaty,
 I rzecze: „Czemu się smucisz?
 Dlaczego to zadumanie?
 W rozkoszy smutek porzucisz;
 W rozkoszy jest rozwiązanie
 Zagadki życia na świecie.
 Wonnych kielichów tysiące,
 Tysiące cudów w ich kwiecie;
 Róży usteczka gorące
 Rozkosznie ciebie wołają.
 Dla nich miłość i użycie,
 Poczém rychło więdnąć mają,
 Poczém krótkie mija życie!”
 „Nie trać czasu, chwile bierz,
 Bierz co z brzegu: później z kwiatka
 Na kwiat inny chyżo spiesz
 I przemieniaj do ostatka!
 Zaspokoisz uczuć skwary,
 One trawią wiek twój złoty;
 Gdzie rozkoszy szumią gwary
 Niéma miejsca dla tęsknoty!”

Biędny motyłu, dziecino słońca
 Promieniem łaski w świat obudzony
 Na pięknych godzin letniego gońca,
 Zapadasz potem w sen nieskończony
 U bladój śmierci cichego łona.
 Nie tobie pojąc uczuć mych toni,
 Któremi dusza moja gnębiona,
 Nie wspólne drogi prowadzą nas;
 Twoja się kończy tutaj na błoni,
 W pyle rozkoszy, w zapomnień czas;
 Ona cię grzebie na wieczny skon,
 Niechybny śmierci budując tron!

Tą odpowiedzią motyl spłoszony
 Na lekkich skrzydłach z wiatrem uchodzi,
 I znów głos inny echem niesiony
 Od skały lecąc do mnie dochodzi.
 Na górskiem czole świeci korona,
 Promieniejąca w blasku purpury,
 A pod stopami gór, światło kona
 Ginąc w cień lasu, opada z chmury.
 W tym majestacie mówiła skała:
 „W samotności się tylko młodzianie
 Rodzi prawdziwa potęgi chwała!

Na burz i gromów spotkanie,
 Nieść dumne czoło się godzi!
 W cieniach tylko i zamieci
 Płonna siła się urodzi,
 Ale chwały blask nie świeci!
 Tylko piersią, by z granitu,
 Troskę życia się pokona,
 Z samotnego tylko szczytu
 Wszech potęgi łśni korona!"

Tak mówiła szara skała:
 A w wieczornej już godzinie,
 Gór korona poczerniała;
 Na jej czoło noc już płynie,
 Bo był z nieba blask korony
 Co na powrót w niebo wzięta,
 By roślinka, skały trony,
 I potęga w cień ujęta!
 Pomyślałem w tém widzeniu:
 Złudna władzo! próżne chwały,
 Ulotny potęgi cieniu,
 Jakżeście prędko mijały!

*

*
 O święta myśli! co trawisz życie,
 Ogniu, co sercu przyspieszasz bicie:
 Wy wieczne! Wam tę poświęcam kartę,
 Wam wiecznie serce moje otwarte!
 Raczej ciągłem żyć cierpieniem
 Niż za życia być kamieniem;
 Raczej przetlić ogniem z góry,
 Niżli słyszeć głos ponury
 Chłodnej dumy lub pragnienia,
 Które serce w głąz zamienia.

Smętny widzę jak zapada
 Kir wieczoru na błękiecie,
 Jak się płoni gwiazd gromada
 Błado świecąc na zenicie.
 Ustał wietrzyk, drzemią fale,
 Niby dziecię snem ujęte;
 I rozsuwa się wspaniale
 Samotności kolo święte.

D W O J E O O Z U.

(Twa Ógon).

Nad światem wkoło panują cienie,
 Niby w chaosu pierwotne czasy;

Więziona ziemia i wód przestrzenie,
 Wysokie skały, zielone lasy.
 Daremnie słońce promień rozsyła
 W około świata! Nie widać świtu.
 Daremnie gwiazda się zapaliła:
 Nie widzi oko niebios błękitu.

Tylko myśl ciężka, dzika, stargana
 Spinając skrzydła w marzenia chmurze
 Daremnie wzlata! siła złamana,
 Nie znajdzie punktu oparcia w gorze.
 I tak ciężąca w serca głębinie,
 Myśl zasepiona obrazy snuje;
 Rozpaczą, bólem leniwo płynie:
 Świat mi się cały czarno maluje.

Wtém dwojga oczu ciepłe spojrzenie,
 Potęgą blasku tak mnie oblało,
 Że w smutnej piersi opadły cienie,
 Myśl się ocknęła i światło wstało!
 Wstępuje we mnie nowe już życie,
 A dawne tylko jakby się śniło,
 I puls za pulsem falami skrycie
 Kołysze serce, by szczęściem biło.

Czy to wyższego światła promienie?
 Nie ziemskich prochów blaski gorące?
 Czyto w zwierciadle nieba widzenie
 Własnego serca marzeniem lśniące?
 Powiedzcie pięknych, wy oczu dwoje,
 Czy wy na innym zrodzone świecie?
 I czy już wiecznie, o gwiazdy moje,
 I poza grobem świecić będziecie.

K O B I É T A .

(*Quinnan*).

Czém jest kobiety dusza wstydliva?
 — Świątynią ciszy i wytrwałości;
 Klejuotem cennym wiecznej jasności,
 W którym się obraz nieba odzywa.
 Z oczu wygląda spokoju świat,
 Lice przezczysty ustroił kwiat.

A czemże miłość jój nazywamy?

— Latowém słonkiem bez mgły na niebie,
Co nas sprowadza w życia potrzebie
Z pustych bezdroży w Edenu bramy;
Gdzie Pana Boga widzimy znów,
Słuchając prawa zakonnych słów!

P Y T A N I A .

(Fragor).

Mały chłopczyna pytał nieśmiało:
„Kto to miłości dał życie?“
Spytaj dziecino słońca co wstało
I w jasnym świeci błękiecie,
Czemu w nadziemskich światłał promieniu
Nad nami płynie po nieb sklepieniu?
Pytaj morza jasnój fali,
Czemu woda jój tak płonie,
Kiedy w zachód płynąc w dali
Słonko tuli na swém łonie.

Ś P I E W A J .

(Sjung).

Gwiazda, by kropla zamarła,
Wisiała nad brzegiem chmury,
Co niebo w górze zaparła
Cieniami słońcąc lazury.
Bez słońca kwiatek usycha,
Zawieja z północy goni,
A fala powtarza zcicha
Westchnienia po morza toni.

Na niebie nagle z wyżyny
Promieniem swym wiosna zrywa
Zasłonę z ziemskiej krainy,
I drzewa wieńcem okrywa;
Skowronek wzlata po błoni,
Rad pieśni głosić przeczyste,
A w nutę którą on dzwoni
Stroją się wzgórkki kwieciste.

Duszo nie kryta cieniami,
 Serce radością zagrzane,
 Płynicie za pieśni falami
 We ślady wiosną ubrane!
 Śpiewaj, gdy jutrznia na wschodzie
 Purpurą lica ubiera;
 Śpiewaj, gdy zachód o chłodzie,
 Przed wichrem wrota zapiéra.

Śpiewaj, gdy *Ona* się zrywa,
 Twa jasnowłosa wśród wiosny;
 Śpiewaj, gdy kwiatek urywa,
 Szplatając wianek miłosny;
 Śpiewaj, gdy zachwytu wzrokiem
 W niebo Jój zajrzysz miłośnie,
 Rozpłomieniona urokiem,
 Śpiewaj o duszo radośnie!

Ucz się pieśni od ptaszyny,
 Z wiosny radość bierz nim minie;
 W zenitu wznies się wyżyny
 Zanim ciemna noc nie spłynie!
 Gdy spoczne w mogile, cieniem
 Wstanę błędząc za oczami,
 By anielskiem w grób spojrzeniem
 Przyświecały nad prochami.

WYZNANIE WIARY.

(*Trosbekännelse*).

Wierzę ja w Boga co czuwa wszędzie,
 Ojcowe na nas zsyła spojrzenie;
 W Boga który jest i był i będzie,
 Gdy wszystko strąci czas w śmierci cienie.
 Słońce w lazurach w promień ubrane,
 Księżyc co w nocy blado się płoni,
 Kwiaty w kobiercach dolin rozsiane:
 Wszystko to dary są Jego dłoni.

Wierzę ja w miłość co z nieba płynie,
 O rannój zorzy w ziemskiej dolinie,
 Co mirtem warkocz oplata zcicha,
 Leje pociechę do łez kielicha;
 Uświęca roskosz w serca świątyni
 W polarnym śniegu, w ogniach pustyni;

I wieńcem jeszcze zwyciężkim stroi,
Gdy grób otwarty przed nami stoi.

Wierzę ja w piękno, co nam strojnemi
Formy układa harmonią świata.
W obłokach, morzu, na niebie, ziemi,
Młodości cudem czarując wzłata;
A w sen poety, kiedy się schroni
Myślą ubrane w uczuć głębinie;
Kiedy lirnika piosenką dzwoni,
I w bliźniej piersi harmonią płynie.

Nie wierzę w śmierci nad duszą siły,
Ni w wieczne cienie wierzę mogiły;
Po nad grobami zejdzie świtanie,
I z prochów pójdziem w Boże mieszkanie;
Bo gdy w spoczynek słońce zachodzi,
Z górnego nieba dzień nam już wschodzi,
I przed oblicze Boga prowadzi
Duch wyzwolony bratniej czeladzi.

MELANCHOLIA.

(*Melankoli*).

Znam ja anioła — Północy dziecię,
O bladém czole, słodkiem spojrzeniu;
Samotna lubi błądzić po świecie,
I sennie marzyć u źródeł cieniu.

I chociaż wiosna nadzieją dnieje,
Ona w marzeniu chodzi schyłona,
I gdy zbliżając się wdziękiem wieje,
Tęskne wyciągam do niéj ramiona.

I wiecznie ścigam piękną w marzeniu,
Ze skał przepaści na fali tonie;
Aż w cichych gajów zielonym cieniu,
Błądzącój mojej podaję dłonie.

Odtąd już wierna idzie przez życie,
W kwieciste łąki i śnieżne drogi;
W chwilach wesela wzdychając skrycie,
W smutku czarując mi grobu progi.

Uciekaj od niéj w dalekie strony,
Jeżeli spokój ci duszy miły,

Bo gdy raz będziesz nią nawiedzony.
Więzy jój lube będą ciężyły.

Raz napotkana — serce zabrała,
W cichym akordzie — harmonia miła,
Snémby się wiecznym powtarzać chciała,
O melancholio! — to twoja siła?

D O S Ł O Ń C A.

(*Till solen*).

Niebiańskie słońce nad ziemią zwieszono!
O, zapisz w złotój twój tarczy koronie,
Że i ja równie bogate mam w łonie
Serce, miłością i wiarą złożone.

Powiedz, czy serce téż twoje bolące?
Czy skrycie trawia niesyte pragnienia?
Czy chwyta troska na ciągłe cierpienia,
Gdy w świat ten rzucasz spojrzenia gorące?

W E Ś N I E.

(*I drömen*).

Gdym we śnie cichym marzył niebiosy,
Anioł się zbliżył by lilia biały;
Z oczu promienie nieba jaśniały,
Na ustach krople srebrzystej rosy.

Po mojej stronie przystanął mile,
W latowej nocy gdy północ wiała;
Z eteru tylko gwiazda widziała
Krótkie zbliżenia naszego chwile.

Słowo co w świecie nigdy nie płynie,
Wolne po sercach naszych krążyło;
Słowo co nigdy nie przemówiło,
Powtórzył anioł we snu godzinie.

O zostań, zostań! wołałem drżący,
Nie uchodź nocy: czekaj dniu biały!
Ale od wschodu jasności wstały,
I już uleciał sen czarujący . . .

GŁOSY WIECZORA.

(Aftonröster).

Cicho, cicho leśne gwary,
 Zielonego gaju śpiewie!
 Przycichnijcie wodne swary
 W kołysanych fal powiewie!
 Luli! kwiatki małe, luli!
 Złóżcie główki kiedy pora,
 I szemranie niech utuli
 Pszczółka wkoło swego dwora.
 Gór i dolin ciche łąny,
 Oddychajcie w tym pokoju,
 Co tak słodko kołysany,
 Z niebieskiego płynie zdroju.

P O W R A C A J.

(Kom tillbaka).

Miłym promieniem gwiazda wieczoru,
 W ciemnych błękitach na niebie świeci,
 I niby lampa z Bożego dworu
 Czuwając tuli uśpione dzieci.

Milczące, cudne księżycy czoło
 Wznosi się krwawo nad wody śpiące,
 I w cichéj nocy łezkami wkoło
 Opada rosa w kwiaty drzemiące.

Powracaj z skarbem mój senny cieniu,
 Bo się bez niego cierpienie mnoży;
 Noc mą rozświecaj w jasnym promieniu:
 Do serca wracaj—Aniele Boży!

W I E C Z Ó R.

(Qvällen).

Słońce zapada ciepłym promieniem,
 W zachodu bramy już płynie;
 Powiew wieczorny ostatniem tchnieniem,
 W wiosennéj spoczął dolinie.

W cichym półświatła ustroju,
 Nic już nie mąci pokoju;
 Fałe zciszone,
 Kwiatki uspione,
 Wieczór je mrokiem ocienia.

Wieczorze cichy! próżno ja roję
 Obraz twojego spokoju,
 Pamięć, pragnienie—o, te oboje
 Osiadły u serca zdroju;
 I za każdym jego drżeniem,
 Za każdym jego westchnieniem,
 Żary gorące,
 Pytań tysiące
 Biją pod niebios sklepienia.

N O C.

(*Natten*).

Spojrzał księżyc z poza chmury,
 Na uspionej wdzięk natury,
 Po zatoce cichą wodą,
 Jak czarowne słodkie głosy,
 Tajnie płyną pod niebiosy,
 W nocnej ciszy ze swobodą!

O słuchaj!—uspionej ziemi,
 Szepcą też tony rzewnemi,
 Czarownej melodyi śpiewy.
 Serce znękanę cierpieniem,
 Ciągłe trawione pragnieniem,
 Mistyczne poją powiewy.

L A S.

(*Skuggan*).

O blasku dziennym, o jasnej porze
 Cienie las rzuca po kwietnej błoni;
 Czy on zaczekać, wstrzymać nie może,
 Nim go ponura noc nie osłoni?

O! ja pojąłem, cieniów znaczenie,
 Że nie ojczyzna, nie dom tu nam;
 Wznieś się o duszo nad ziemskie cienie
 A blask przeczysty zobaczysz tam!

Gdzie znajdziesz spokój.

(Hvar finns friden).

Powiedz gdzie spokój człowieka?
 Czy w zabaw mieszka tumanie?
 — Prędko czas zabaw ucieka,
 I próżnia po nim zostanie!

Czy znajdziesz? gdy nocna pora,
 Gdy księżyc promieniem drżącym,
 Spokój w zwierciadło jeziora,
 RzUCA, obrazem świecącym?

Nie, bo tam senne widzenie
 Pocięchą próżną omami,
 I w dalsze uchodzi cienie,
 Drasnawszy piersi kołcami.

Tam tylko spokój na ziemi,
 Gdzie ciepło serca ogrzeje,
 I z przyjaciółmi wiernymi
 W jedno pojęcie się zleje.

K W I A T Y.

(Blommorna).

Patrz jak na wzgórzach kwiateczki wstały,
 Słuchają ptaszków co rano dzwonią,
 Z zielnych czepeczków rychło wyrzwały,
 I zachwycone za światłem gonią.

Co za bogactwo w barwistém kole!
 Zachwycon patrzysz w to objawienie,
 Którém przyroda na kwiatków czole,
 Maluje wyższej myśli znaczenie.

I. *P i e r w i o s n e k.**(Sippan).*

Najwcześniej wstaje w siostrzyczek wianku,
 Ciepłym oddechem wiosny ogrzany;
 Barwami szczęścia umalowany,
 Świeci obrazkiem w życia poranku.

Zieleń nadziei strzela do góry,
I listek pierwszym ciepłem oddycha;
Wiosna wygląda z kwiatku kielicha,
Niby w uśmiechu północnej córy.

II. Niezapominajka.

(Förgät mig ej).

W zielonych, jasnych źródłach promieniu,
Pod dumnej róży stopy się zniża;
Ona się tuli w zacisznym cieniu,
A chętnie oko do niej się zbliża.

Ona pamiętką oddycha w świecie:
Skwary południa nie spala życia,
Ani je trawia chłodne zamiecie,
Bo skromna stoi pośród ukrycia.

III. Bratek.

(Penséen).

Kwiatek pamięci rosą oszklony,
Trzy jasne barwy promieniem stworzył;
Wczoraj i dzisiaj w obrazku złożył,
Co barwą jutra jest otoczony.
Złożone farby w kwiatów kobiercu,
Mówią że kwitną w tém samym sercu.

IV. Róża.

(Rosen).

Do niej się słowik z miłością tuli,
Lecz śpiew słowika jej nie rozculi;
Pstry motyl łatwiej piękną zyskuje,
Chociaż miłości ognia nie czuje.

Piękno nie zawsze za serce chwyta,
W nióm nieraz ciernią gałązka skryta,
Namiętny ogień pragnieniem trawi,
Po sercu draśnie a ból zostawi.

V. *L i l i a.*

(Liljan).

Mnie się zdawało że anioł biały
 Z spuszczoneń skrzydłem nad kwiat wzniesiony;
 Że krople rosy nieśmiało drżały,
 Bojąc się dotknąć jego korony.

Lilią zamyka w kielicha zwoju
 Głęboko, cały świat niewinności,
 O ludzie! strzeżcie duszę w pokoju,
 By nie rumienił się kwiat czystości.

Niema uczucia do porównania,
 Z serca miłością czystą i jasną;
 Kwitnie samotnie kwiatek kochania,
 Choć mu promienie nadziei zgasną.

W I O S N A.

(Vor).

Gdzie tylko spojrzę,
 Co tylko widzę:
 Gajów zielenie,
 Kwiatów kolory,
 Ptaków śpiewanie;
 Wiatru gawory,
 Źródeł szemranie,
 Natura cała
 Miłością drżąca,
 Oddycha pięknem,
 Radością — wiosną!

I w mojem własnym
 Wnętrzu poznaje,
 W serca głębinie
 Czuję na nowo,
 Jak się rozplywa,
 I że zadrżało
 I jako dzwoni:
 Wiosna w mém sercu,
 Wiosna w marzeniu,
 Wiosna w uczuciu,
 Wiosna w pamięci,

Wiosna w mych żyłach,
Wiosna w méj nucie,
W méj liry śpiewie!

Z D R Ó J.

(*Källan*).

Świecący zdroju, ty w cichéj toni
Ściesz zwierniadało w zielonym gaju ;
Niebieskie oko twego ruczaju
Głos budzi w duszy —co lirą dzwoni!
Słuchaj, jak w dali po skałach giną,
Drogę torując, wody strumieniem;
To sny miłości, co wiejąc cieniem,
Po kwiatach w cichém marzeniu płyną.

Zdarzy się czasem, że z ciemnéj chmury,
Rzucą się cienie po wód głębinie,
Ale tam jeszcze kryształem płynie
Twój skarb ukryty w ciche lazury ;
Nie sięgnie wicher błędzącym lotem,
Twego kryształu w spokojném łonie,
I tylko kwiaty w letniéj oponie
Łączą się z sobą harmonii splotem.

I błędny śpiewak tęskni do ciebie,
Zebrząc twój wiedzy, o cichy zdroju,
Na łonie niesiesz błękit pokoju,
Kiedy złowroga burza na niebie!
Twoje ciche wody w niebieskiéj toni,
Ściesz zwierniadało w zielonym gaju,
A duch rozmarzon w zachwyków raju,
Po lirze głosem piosenki dzwoni.

T A N I E C E L F Ó W.

(*Elfdansen*).

Słońce w lazurach złotym promieniem
Na niebios sklepie świecić przestało,
Wieczorna zorza zachodzi cieniem,
I ciche gwiazdy wschodzą nieśmiało.
W jeziorze fale marszczą się zcicha,
Szemrając strumień w oddali spada,
Wszystko spokojem wkoło oddycha
I w sennéj ciszy noc już zapada.

Słuchaj, czy Neken ¹⁾ stroi swe granie?
 Nie! tylko łąką muzyka płynie,
 Pieśniarza w dali słyhać śpiewanie,
 Głosy słowika w gestój dębinie,
 I z dźwiękiem śpiewu co czyste dzwoni,
 Postacie lekkie przez ciemne gaje,
 Biało-powietrzne snują się w błoni,
 Elfów czeladka cieniami wstaje.

Po letnich kłosach, po kwiatów zwoju,
 Lekkie, bielutkie nóżki stąpają;
 Po trawkach taniec w cichym nastroju,
 Bez szmeru Elfy rozpoczynają.
 Nad drzew wieńcami wiatr taktem dzwoni,
 Król i królowa w jasnej oponie,
 Śród swego ludu zasiedli w błoni,
 Oboje w białój pereł koronie.

Rosa wieczorna spadając zdrojem,
 Kryształę zlewa w kwiatów puhary,
 Królowa hojnie raczy napojem,
 I wkoło krążą Elfów nektary.
 Co raz to żywszy taniec się wszczyną,
 W łąki, doliny, wirując niesie,
 I chżyym wiatrem łańcuch rozpina,
 Szumiąc i dzwoniąc taktem po lesie.

Księżyc się patrzy z za drzew osłony,
 Gwiazdeczka błada mruży oczami,
 I tajemnicą świat napełniony,
 Cichém igraniem i marzeniami.
 Lecz skoro jasne promienie zorzy,
 Rzuca od słońca światła posłanie,
 Przez mgły i cienie nocnych przestworzy,
 Jak sen ustaje Elfów igranie.

BECKASKOG ²⁾).

Znowu tu jestem! — wolny oddycham,
 W moich zielonych gajów ogrodzie,
 I cichych godzin do których wzdycham
 Znowu używać mogę w swobodzie.

¹⁾ *Neken* rodzaj wodnego ducha, rusalki, najady.

²⁾ *Beckaskog* (Smolny las). Ulubiony wiejski zamek króla Karola XV w Skanii.

Wszystko co widzę tutaj mi znane:
 Niebieskie fale, ścieszki kryjome,
 By przyjaciele kwiatki kochane,
 Milutko patrzą na mnie znajome.

I jako dawniej widna z doliny,
 Wzgórza kwiatami pierś uwieńczona,
 A w leśnym cieniu, buki z gestwiny
 Zielone wznoszą do mnie ramiona.

Gdzie tylko spojrzę w cichój ustroni,
 Radością serce bije w niebiosy;
 Obrazów mową, świat cały dzwoni:
 Oh! jak rozumiem téj pieśni głosy!

M A R Z E N I E.

(*Drömmeri*).

W półsennój jawy lotne godziny,
 Bogate często miewam widzenia;
 Naprzemian widzę gaje, doliny,
 I chmury widzę i lekkie cienia.

Liście i kwiaty w całym rozwoju,
 Cicho się w wieńców składają sploty;
 Gaj się uśmiecha błękitem zdroju,
 Gdzie się strop nieba maluje złoty.

Widzę młodzieńca w tym pięknym świetcie,
 Jako tam idzie uradowany;
 Każde z kolei całuje kwiecie:
 Oddycha pięknem oczarowany.

Przy nim dziewczątko stoi tak hoże,
 Rumieniec w licu różą się mieni;
 Wzrok jój jak gwiazda w wieczornój porze,
 A splot, by z światła złotych promieni.

Tam na wyżynie pośród lip grona,
 Tam gdzie jeziora szemrają tonie,
 Chateńka stała odosobniona,
 Do której idą splatając dłonie.

Szemrze wiatr z lekka cichym chorałem,
 W oddali chmurę widzę jak płynie,
 I nic już więcej tam nie widziałem
 W rozwianych marzeń moich godzinie.

ŚPIEWA MIŁOŚCIĄ.

(Han sjöng om kärlek).

Śpiewa miłością! i liry wdziękiem,
 Cichym odgłosem powietrze drżało,
 Jak gdyby serce się rozlać chciało
 Po srebrnej strunie przeczystym dźwiękiem.
 Zachód purpurą lica mu pali,
 Pokój się z oka maluje toni,
 By na jeziora jasnego fali,
 Po której wichur nieśmiało goni.

Śpiewa miłością! myślą ulata
 Do téj, co w duszę poezją wlała,
 A kiedy dusza w ziemię spojrzała,
 Wszystko jój strojne różami świata!
 Zbliżka i zdala jasne wspomnienia
 Zeszły się tajną siłą zmówione,
 I wszystkie, wszystkie skryte widzenia,
 W jeden najdroższy obraz złożone.

Śpiewa miłością! chce wiarę chronić,
 Na śmierć i życie—dla ideału!
 Jój imię pisać śród fal kryształu,
 Śród gór i dolin jój echem dzwonić!
 Pismo i dźwięki uchodzą społem,
 I świat określony dlań już żyje:
 Do niej więc idzie i nad jój czołem
 Nieśmiertelności koronę wije.

C Y G A N K A.

(Ziguenerskan).

Zaszemrał wietrzyk w gestwinie,
 By oddech nocy tajemny,
 I księżyc niebios głębinie,
 Błędem spojrzeniem w świat ciemny,
 Rzucił na spiącą promienie.
 Na nagie z bronzu ramiona
 Spłynęły włosów pierścienie,
 By nocnych cieniów opona;

Piersi, by róża w rozwoju
 Senne kołysze westchnienie;
 Usteczka w marzeń nastroju,
 Rozkoszy szepcą pragnienie;
 Miłości złote widzenia,
 W snu się fantazyą ubrały.
 Słuchaj, jak cicho z uśpiania
 Dziwnym się tonem ozwały;
 Jakoby wody ze źródła,
 Albo indyjskie powiewy,
 Szepczając w sennym pokoju,
 Ciche westchnienia i śpiewy:

„Czemu tak smutne masz czoło?
 Oh! powiedz, czemu? kochany!
 Fala swawoli wesoło
 I w srebrne stroi się piany.
 Czy słyszysz ptasząt kwilenia?
 Miłosne słyhać śpiewanie;
 Oh, słuchaj cytry mój pienia,
 U mojej piersi—kochanie!“

„Jak lekko na tańca fali,
 Co wirem pojąc uniesie,
 My z sobą wczoraj bujali,
 By Elfów para po lesie!
 Pamiętam oczu płomienie,
 Za gwiazdę płomień ich stanie!
 Oh! powtórz takie spojrzenie,
 Powtórz raz jeszcze kochanie!“

„Ty jeden tylko na ziemi
 W objęcia moje ujęty,
 I tylko usta twojem
 Palący uścisk był zdjęty.
 Na ustach jeszcze gorący,
 Płomieniem w sercu zostanie,
 Uścisk to—miłością drżący,
 W objęciach moich kochanie!“

Marząc szepiała wśród ciszy,
 Śpiąc w zielnej gaju gęstwinie;
 I tylko księżyc ją słyszy,
 A z wiatrem słowo jej płynie.

OJCZYŻNA SERCA.

(Hiertats Hem).

Gdzie twa ojczyzna? ja serca pytałem,
 Czy powiesz że to narodził kraj,
 Gdzie ból i radość; gdzie drżenia doznałem;
 Gdzie twa ojczyzna? odpowiedź daj!
 Powiedz, tam może, gdzie gaje szumiały,
 Lub srebrne fala strunyka ci grały?
 „O! nie,“ odrzekło serce „nie.“

Gdzie twa ojczyzna? czy w wichrów zawiei,
 U dzikich źrójów szumiących z skał;
 Wśród dzikich łomów niedostępnej kniei,
 I tam gdzie krwawy unosi szal?
 Może na polach pośród bojów grzmotu,
 Pośród kul gradu i mieczów łaskotu?
 Z cicha odrzekło serce: „nie!“
 „Nie!“ odrzekło mi serce, „nie!“

Gdzie twa ojczyzna? pod słońcem co gorze,
 Co ma z purpury ogniastej strój,
 Co grona grzeje, w południu tam może
 Rozkosze pijesz, gdzie kwiatów rój?
 Czy tam ojczyzna, kędy w palm korony,
 I w wieczne lato świat wiecznie zielony,
 Znowu odrzekło serce: „nie!“
 „Nie!“ odrzekło znów serce, „nie!“

Gdzie twa ojczyzna? czy biegunów cienie,
 Gdzie strome skały i lodów szczyt?
 Gdzie wieczór świeci w słoneczne promienie,
 Aż znów się zleje w jutrztenki świt;
 Gdzie światła błędzą po jodłowym borze,
 I złota gwiazda i północne zorze?
 Lecz serce rzekło znowu: „nie!“
 „Nie!“ szepnęło serce, o „nie!“

Gdzie twa ojczyzna? oh!, może w tój stronie,
 Przy tój co serca oddała kwiat,
 Ucząc się krzepić w cierpienia koronie,
 Gdy w zgon nadziei zapadał w świat!

Czy to ojczyzna, gdzie senne marzenie
 Lubych obrazów układa wspomnienie?
 Skargą westchnęło serce: „nie!“
 Skargą westchnęło serce: „nie!“

Gdzie twa ojczyzna? oh! może tam, może,
 Kędy przeczuwasz szczęśliwszy kraj
 Pokoju ducha, gdy w śmiertelnej porze
 Zerwawszy węzły—obaczym raj?
 Czy to ojczyzna, kraina nieznana,
 Co świeci z góry gwiazdami zasłana?
 Serce odpowiedziało „tam!“
 „Tam!“ odpowiedziało mi „tam“

„To jest ojczyzna! odrzekło z wzruszeniem:
 „Prawa ojczyzna i drugi świat,
 „I choć mię ziemskim nęciłeś płomieniem,
 „Pamiętam chwile niebieskich lat!
 „Tam tli w popiele ta iskra święcona,
 „Co wiecznie dąży i wiecznie spragniona.
 „Do swój ojczyzny—do Boga!
 „Do swój ojczyzny—do Boga!“

Andante con moto ma non troppo.

Głos.

Gdzie twa oj - czy - zna ja ser - ca py -

Piano

ta - lem Czy po-wiesz, że to na - ro - dzin

kraj, Gdzie ból i ra - dość gdzie drze-nia do-

f *p*

zna - lem Gdzie twa oj - czy - zna od - po - wiedź

f *p*

daj Po - wiedz tam mo - że gdzie ga - je szu-

f *p*

mia - ły Lub srebr-ne fa - le stru-my-ka ci
p

gra - ły O! nie od - rze - kło ser - ce
f *diminuendo*

nie— Nie od - rze - kło ser - ce
p *f* *p*

nie!

f *con espressione*

Ped.

Detailed description: This system contains three staves. The top staff is a vocal line with a single note and the lyrics 'nie!'. The middle staff is the piano's right hand, starting with a forte (*f*) dynamic and a 'con espressione' marking. The bottom staff is the piano's left hand, with a 'Ped.' (pedal) marking.

Ped. *p* *rullentando*

Ped. *Ped.*

Detailed description: This system contains three staves. The middle staff is the piano's right hand, marked with piano (*p*) and 'rullentando'. The bottom staff is the piano's left hand, with two 'Ped.' markings.

D. C.

Detailed description: This system contains three staves. The bottom staff is the piano's left hand, ending with a double bar line. The middle staff is the piano's right hand, with a 'D. C.' (Da Capo) marking.

ODCZYTY FRANCUZKIE

W STRASBURGU.

W roku 1870 zawiązał się w Strasburgu komitet do urządzania odczytów francuzkich. W roku bieżącym w miesiącu lutym rozpoczął posiedzenie p. E. Bersier. Zdawało się, że pod rządem pruskim zadanie to stało się niemożliwem; komitet jednak rzeczony miał tyle odwagi, że dzieło swoje prowadził dalej, lubo pod nadzorem władz niemieckich, które zastrzegły osobistą odpowiedzialność mówców za słowo wyrzeczone publicznie. Mieszkańcy Strasburga odpowiedzieli licznem zebraniem na wezwanie członków komitetu. Przeszło 1500 słuchaczy liczyło posiedzenie p. Bersiera. Kobiety były w żałobie. Fundusz zebrany odesłano do Paryża dla rozdzielenia go między ofiary ostatniej wojny.

„Panowie i panie! (zaczął p. Bersier).. przed dwoma laty odpowiadając na wasze chlubne dla mnie wezwanie, rozpocząłem w tém miejscu nasze pogadanki, złożywszy wam podziękowanie za to, żeście za ceł swych zebrali obrali ścieśnienie węzłów, jakie łączyły z nami Alzację. Od tego czasu wszystko się zmieniło, z wyjątkiem serc naszych. I dziś wam dziękuję za wytrwałosc w powziętém dziele i myśli, jaka je natchnęła! Dzieje narodów mają swe koleje, które przejść muszą mimo swój woli. Nie osłabło uczucie, które nas tu zgromadziło; owszem stało się świętszém i trwalszém przez to, żeśmy wspólnie cierpieli i wspólnie przenieśli klęski tak niesłychane. Tak, nic, nic bezwarunkowo nie zdołało wydrzeć z serc naszych uczucia tego. Lecz tłummy uczucia nasze, nakażmy im dziś milczenie...“

Po tój krótkiej, ale treściwej przemowie p. Bersier traktował rzecz: *O stanowisku krytyki literackiej we Francji w ostatnich 3-eh wiekach*, wychodząc z zasady, że krytyka literacka jest zwierciadłem swego czasu, w którym się odbijają wszystkie idee i cały stan moralny danej epoki. Początek krytyki literackiej we Francji odniósł do XVII wieku, do pierwocin literatury klasycznej, której założycielem był Malherbe. Krytyka tego wieku wyrażając ogólne jego dążności, odzywała się w duchu porządku, miary, centralizacji i jedności. W polityce broniła niezależności i jedności narodowej wobec zachcianek zagranicy. Na polu religijném odradzała się powaga religii równoważona przez dysputy. Literatura również przerabiała się jednocześnie z po-

lityką i religią. Ale sąd literacki wychodził z akademii lub dworu wersalskiego.

Okolo tych dwóch ognisk gromadzili się piszący, przez co odrywając się od natury, nie rozumieli jej piękności, nie obeucjąc zaś z naturą, oddzielali się od ludu. Język ich wybredny i wyszukany stawał się sztuką naukową, ale nie własnością mass. Było to wadą, bo w narodach jak w roślinie sok żywotny idzie zawsze z dołu, nie z góry. Drugim ważnym brakiem była zupełna nieznanomość innych literatur.

Krytyka literacka XVIII wieku była dalszym ciągiem tego gustu wyłącznego i fałszywój elegancyi, nie znała tolerancyi umysłowój, jaką jej przekazała szkoła klasyczna. Stała więc na gruncie jałowym i pozba-wionym soków żywotnych.

Przebiegłszy w tym kierunku przeszłość krytyki literackiej, p. Bersier tak dalej mówił:

„Wstępujemy w wiek XIX-ty—tu się otwiera nowa era dla krytyki literackiej: ma się odrodzić i przekształcić. Przejrzyjmy w krótkości przyczyny tego przekształcenia.

Rewolucya francuzka głęboko wstrząsnęła umysłami. Obalenie tronów dawnych, pełna cudowności epopeja żołnierska pierwszego cesarstwa poruszyły w wyobraźni ludów struny, jakich dźwięku dotąd nie słyszano. Ruiny te i wielkości nadzwyczajne, przewroty i olśniewająca chwala, otwały dla myśli i marzeń niezmierzone widnokregi. Musiał więc i sam dział poetyczny i język nawet przybrać szersze rozmiary, aby określić te nowe uczucia. Przekształcenie jednak nie dokonało się odrazu.

Szermierze nasi językowi i poeci z czasów rewolucyi, nawet najzagorzalsi pozostali klasykami w swém słowie; obrazy swe czerpali ze starożytności—nowe wino kipiało w starych czarach. Nic ciekawszego jak w ustach ludzi z czasów konwencyi słyszeć wyrażenia zapożyczone z Rzymu lub Grecyi, przesiąknięte niekiedy obelżywością języka ludowego. Poeci cesarstwa opiewają Marsa, Bellonę z jej szalami, lub też wpadają w nutę sielankową i opisową, jaka najwięcej odbija w Delilu.

Główne ognisko literackie już nie istniało; dawna aula akademicka zamilkła wśród nawałnicy, i na obczyźnie ukazują się dwa umysły, z których wytrysnąć miały nowe strumienie: p. de Staël i Chateaubriand. Przed niemi jeszcze Rousseau, ten dobrowolny wygnaniec salonów paryzkich odnalazł w swój samotności naturę i żył z nią sam na sam; ciche jej obrazy i uśmiechające się wdzięki, zwabiły w ową samotnię tego mizantropa i osładzały jego wstręt do ludzi. Wstręt ten lepiej jeszcze od Rousseau'a znał Chateaubriand; pociągały go w tę stronę od czasów dzieciństwa jeszcze dziki powab i wzniosłość poezyi, jakie budził widok skał stromych i stepów ponurych Bretanii, potem oceanu, wodospadu Niagary, a w końcu dziewiczych lasów i rzek olbrzymich nowego świata. Postawy wobec podobnego obrazu wyobraźnię ognistą, drażnioną krwawym a wzniosłym dramatem rewolucyi; dajmy jej na usługi zdolność ma-

lowania niewypowiedzianą, a pojmieni potęgę owego prądu, jaki z podobnego źródła wypływał.

Tym sposobem poczęła się we Francyi pierwsza poezya liryczna, którą tak wysoko podnieść mieli Lamartin i Wiktor Hugo. Duch najbardziej samoistny zetknął się z przyrodą, a z tego zetknięcia zrodziło się natchnienie.

Zaczęto więc rozumieć naturę i poznawać obyczajną. Tęj ostatniej żaden z dotychczasowych pisarzy naszych nie badał, bo żaden nie mieszkał poza granicami Francyi. Nie można tu cytować Dekarta, który szukał w Holandyi tylko pokoiku, gdzieby się mógł zamknąć sam na sam z sobą, ani też Woltera, zostającego w dworze poczdamskim, gdzie kopijowano Wersal, a pogardzano niemczyzną jak barbaryzmem jakim. Dopiero od lat 80 widnokrąg nasz literacki otworzył się na prawdę od strony innych ludów. Początek zyskała Anglia, gdzie Chateaubriand odegrał również główną rolę. Zrozumiano naprzód Milтона, potem Szekspira, i krytyka głęboko się zdziwiła odkryciem, że ów *dziki marzyiciel* (*sauvage ivre*), którego kilka odbłyśków genialnych, raczyła znać dotąd, zadał sztuce poetyckiej Boila i Arystotelesa cios, po którym już się nigdy podnieść nie miała.

Ale do rozszerzenia naszej krytyki literackiej, najpotężniej przyczynił się wpływ Niemiec w początkach obecnego stulecia, znajdujący się w pełni rozkwitu klasycznego. Niemcy były pokonane przez Napoleona, przed którym drżała cała Europa. Wiadomo jaki urok wywierał Napoleon na naród niemiecki. Pamiętacie owe uniwersytety, które całemi ciałami przybywały dla składania powinszowań zwycięzcy, przed którym sam Goethe schylał niewolnicze czoło. Tych to właśnie obraz nigdy nam nie zapominano.

I znalazła się wówczas jedna kobieta francuzka, która wśród ciszey powszechnej ośmieliła się podjąć obronę zwyciężonych, odważyła się powiedzieć do Napoleona tryumfującego, owe nieśmiertelne słowa: N. Panie! naród nie może się stać własnością drugiego.“ A na drugi dzień po naszych zwycięztwach, nie ulekła się napisać owych słów prorocznych:

„O Francuzi, których umysł czynny, zapęd naukowy uczynił panami świata . . . po was zostaną tylko ślady potoków nawałnicy, strasznych jak bałwany morskie, a jałowych jak stepy pustyni.“

Panowie! Losy narodów są zmienne, sława wojenna najbardziej olśniewająca, ma swoje ciemne strony; zwycięztwa dawne mogą być zartarte przez klęski nowe—ale jest jedna wielkość, która przeżyje wszystko i zdolna przynieść pociechę po wielu nieszczęściach. Wielkość taka leży w tém, aby wpośród upejenia, jakie przynosi zwycięztwo nie zagłuszać głosu sprawiedliwości odwiecznej. I to właśnie stanowi cześć naszej literatury, że spełniła swe posłannictwo w chwili najkrytyczniejszej, i w tém też leży niespożyta sława p. de Staël, iż dała usłyszeć światu ów wspaniały protest.

Przypominacie sobie panowie jedną z najpiękniejszych scen teatru starożytnego: Antygona broni ciała brata swego Polinika przed Kreonem, który je chciał oddać na pastwę ptastwa polnego. Odwołuje się ona do praw przedwiecznych litości i szacunku, „praw, mówi, które nie są spisane, ale trwają po wszystkie czasy i których niktby początku naznaczyć nie potrafił.“ A kiedy ten na nią nalega, odpowiada mu:

„Jam stworzona na to, żeby kochać, a nie żeby nienawidzić.“

Słowa te wzniosłe zdały się być dewizą p. de Staël. Nie myślcie panowie, żeby ta bezstronność była skutkiem obojętności, i że w niej filozofia zabiła patryotyzm. Posłuchajmy, co pisze na wstępie do Niemiec:

„Granica ta Renu jest uroczystą. Przebywający lęka się usłyszeć te straszne wyrazy: Tyś już nie we Francyi. Naprózno by się kto silił patrzeć z bezstronnością na kraj swój rodzinny. Nie odrywają się od niego nigdy uczucia nasze, a gdy go porzucić jesteś zmuszonym, zdaje się, że ci życie wydarto z korzeniem.“

Lecz mimo téj miłości rodzinnego kraju, z jakąż szlachetną sympatyą zwraca się do Niemiec. Z jakąż cierpliwością bada ich szkoły i systematy nieznanne przed nią Francyi, w jakimże wspaniałém świetle przedstawia ich wielkich poetów, dając o nich sąd, który przyszłość stwierdziła. Niemcy nazywali ją *dobrą kobietą*. Istotnie często przychodzi się zapytać, czy dobroć ta niedoszła do optymizmu, i czy tego co opisywała nie zaprawiła częścią swój wrodzonej szlachetności. Dzieło jej sprawiło, wielkie wrażenie, Francya nagle odkryła literaturę, która współubiegała się z jej własną. Literatura ta nie prawie od niej nie wzięła, była głęboko oryginalną, samoistną, opartą na głębokiej nauce i obszernej znajomości starożytnictwa. Zrodziła się już uzbrojoną, gotową do zapasów i zdecydowaną wytrzymać je z literaturą francuzką. W Niemczech krytyka z Lessingiem i Winkelmanem wyprzedziła poezję, miała już swe teorye ustalone, a ideał zupełnie różny od naszego. Nie zdołała jednak p. Staël wzbudzić w czytelnikach tego podziwu i zapału dla wielkich dzieł z po za Renu, jakimi sama była przepełniona; buntowano się przeciwko pięknościom Goethego, jak później przeciwko dźwiękom Boethovena. Krytycy z czasów cesarstwa i restauracyi wypowiedzieli książce o Niemczech zaciętą wojnę epigrammatów. I trzeba wyznać, że krytyka niemiecka źle się brała do zyskania naszej sympatii. Wilhelm Schlegel zaczął od obrócenia Rasyna w śmieszność, od poniżenia Moliera, któremu nie przyznawał geniuszu i nad którego przekładał niejakiego Legrand pisarza nieznanego z XIII wieku, zowiąc go wielkim człowiekiem niepoznanym.

Łatwo się domyślić, jaką zgrozą na sąd podobny było przejęte uczucie francuzkie; gdybyśmy wszystko lepiej umieli, wiedzielibyśmy, że sądu takiego nie podzielały Niemcy. Wszak Goetho mówił do Ekermana! „Nietrzeba wiele żądać od tego biednego Schlegla: nie zbiera się winogron z ostu!“

Ale przyszła godzina sprawiedliwości i nie potrzebuje tu opisywać, jak za Restauracyi Francya otworzyła się na rozcież dla poezyi niemieckiej, jak malarstwo nasze przyczyniło się do spopularyzowania najpiękniejszych utworów Goethego, jak za sprawą Cousina i Quineta, filozofia niemiecka przelewała się do nas w trop za poezya; jak wreszcie krytyka nasza odrodziła się, rozszerzyła i przekształciła przy zetknięciu się i pod wpływem z ową obszerną umiętnością estetyki, która w badaniach swych objęła sztukę i literaturę wszystkich czasów i narodów.

Dwaj ludzie głównie przyczynili się do takiego przeobrażenia: Goethe i Hegel.

Wpływu Goethego nie chcę tu charakteryzować, musiałbym wyjść po za szranki mojego odczytu. S. Beuve nazwał go królem krytyków. Zasłużył on na tę nazwę nie przez czystość swojego smaku, który go często zawodził, ale przez wielkość swoich zdolności. Żaden przesąd go nie zaślepiał; w każdym kraju, w każdój epoce potrafił zrozumieć piękno pod najrozliczniejszymi kształtami. Był on, wyrażając się na sposób niemiecki, najmniej *subiektywnym* w swym sądzie, i pod tym względem stanowi kontrast z Wolterem. Ostatni wszystko mierzył sobą, i własny smak czynił sądem powszechnym. Goethe przeciwnie wznosi się i rozszerza aby stanąć na równi z przedmiotami, które chciał poznać. Dotknę tu zaraz niebezpieczeństwa podobnej metody, która chcąc wszystko zrozumieć, kończy na tém, że wszystko usprawiedliwia.

Ale Goethe był nieprzyjacielem pedantyzmu narodowego. Jakże zapomnieli ową przychylną szczerotę, z jaką zawsze traktował Francję i owe wspaniałe karty, na których malował wpływ Paryża na postęp umysłu ludzkiego. Daremnie starano się go rozdrażnić przeciwko nam, do zgonu samego śledził ze współczuciem gorącym naszą działalność literacką; nie uwierzyłby nigdy, by można wynieść jego kraj rodzinny, kosztem naszego poniżenia.

Tak więc pod tym wpływem potężnym rozszerzał się horyzont coraz bardziej. Hegel, którego tu oceniam tylko pod względem literackim, dokonał dzieła Goethego, oddając na usługi krytyki naukę najrozleglejszą, jaką mógł wytworzyć geniusz ludzki. Nie wiem, czy z wyjątkiem Leibnitza, jaki inny umysł w czasach nowszych był więcej encyklopedycznym od umysłu Hegla. Od czasów Herdera, który utworzył umiętność porównawczą religii i filozofii, nauka w Niemczech odnowiła się. Zbadano starożytność z cierpliwością i sumiennością dotąd nieznaną. Hegel usiłował w olbrzymiej syntezie streścić owoc tych dociekań. Stosując do historii sztuk swoją teorię rozwijania się, stawania się, (du devenir), która podług niego jest prawem wszechświata, ukazał w sztuce tryumf ducha nad materją. Historia należycie pojmowana, powinna w rozwijaniu się swém kolejnóm, w starciu się z materją wykrzesać z niój ideę, przenikając ją, przekształcając i owładając nią. Tą drogą Hegel prowadzi nas do Egiptu; wprowadza nas do owych świątyń, w których setki kolosów tajemniczych, ustawionych w jednój postawie, zamkniętych w kamieniu, z którego powstały, przedstawiają oczom naszym ogrom niemy, zbioro-

wy, materyalny. Następnie przenosi nas do Grecyi, pod owe niebo wiecznie pogodne, w ową błogosławioną strefę, w której panuje harmonia idealna, gdzie piękność plastyczna wyobrażając nawet boleść, pełną jest zawsze nie zmaconej pogody. Tu to panuje sztuka snycerska, w której materya staje się symbolem ideału, a jeśli podążym za nim w wieki średnie, w epokę, w której powstało malarstwo chrześcijańskie, podziwiać będziemy z nim spirytualizm, który się zwyczajko wylamuje z formy, a jednak jest bezsilnym na to, aby wypowiedzieć piękność moralną, której nie może wyrazić sztuka w całej swojej pełni.

Za przewodnictwem tego wielkiego mistrza, przechodzi się z wieku do wieku, a w tym pochodzie przez wieki i ludy, widzi się horyzont coraz bardziej oddalający się od nas. Estetyka więc tak rozumiana, staje się nauką najbardziej rozległą i najbardziej bogatą, i otwiera widoki nowe, niezmierzone. Nauka oświeca sąd krytyczny; zamiast wciskania autora w prawidła ciasne i jednostajne owego kodeksu, którego Arystoteles, Horacy i Boalo zostawiali wydania nowe, bada się go odnośnie do czasu w jakim żył, do tego co go otaczało, stawia się go w obec ideału każdej epoki. Tak dla oceny Arystofanesa trzeba poznać Ateny, aby się stać sprawiedliwym względem Moliera, należy poznać Francję monarchiczną, dla zrozumienia Szekspira lub Milтона, trzeba się przenieść w chaotyczne burze Anglii XVII wieku. Poznać i zrozumieć, to dwa odtąd warunki, jakich się wymaga dla wydania sądu sumiennego o twórcach ducha ludzkiego.

Widzicie więc panowie, że wpływ niemiecki na naszą krytykę literacką był wielkim w tym wieku; zaprzeczać tego byłoby lekkomyślnością i niesprawiedliwością. Czytajcie S'Beuv'a, M. Micheleta, Renana, Taina (że innych pominię), wszędzie w nich znajdziecie ślady wpływu tego, pośrednio lub bezpośrednio, szczerze lub ukrycie objawiającego się.

Badajcie S'Beuve'a i porównywajcie z tym potężnym umysłem najznakomitszych krytyków poprzedniego okresu; nie mówię już o Boalu, ani Wolterze, ale o Villemain'ie, który był w naszych czasach najświetniejszym przedstawicielem naszej tradycyi klasycznej, a zmierzycie sami postęp, który się dokonał. O S'Beuvie powiedzieć można, że w naszej epoce był najwspanialszym obrazem geniuszu krytycznego; nie dorównując nauką Goethemu ani Hegłowi, przewyższał ich subtelnością analizy, przenikliwością psychologiczną, znajomością ludzi i czystością smaku. Za młodu był poetą, a ci co go znali, wiedzą, z jaką drażliwością mawiał o swych wierszach; nie były one jego powołaniem, ale w pierwszych szkicach zaraz usiłuje pochwyć najdelikatniejsze odcienia uczucia. Jednocześnie pociągnięty ku medycynie a raczej fizyologii, przywykał do obserwacyi ścisłej i gruntownej, śledząc wpływ temperamentu na ducha ludzkiego

Porwany wiram odrodzenia się religijnego za czasów Restauracyi, przeniósł badawczość przenikliwą w dziedzinę tajników życia duchowego. Szukał on tu nowych skarbów dla swych spostrzeżeń, w gruncie jednak stał przy filozofii materyalistycznej, jaką odziedziczył po prze-

szłem stuleciu, a jakiej nigdy się w zupełności nie wyrzekł. Przystępny dla wszystkich prądów swojej epoki, nie będąc uczonym z rzemiosła, znając niedokładnie starożytność, nie umiejąc po niemiecku, słabo tylko po angielsku, odgadywał przez niezrównany instykt to, czego by inni przez najdłuższą pracę dociec nie byli w stanie i tym sposobem przyswajał sobie błogie owoce dociekań najnowszych. . .

Nie był jednak pedantem, nie dowierzał wszelkiemu systematowi naprzd powziętemu. Spozrzegacz cierpliwy obraca 20 razy swoje figury, chwytając je z natury, w negliżu ich życia codziennego, rysuje ich pozę, zaznacza najdrobniejsze ruchy, w których się zdradza ich indywidualność. Aby je ująć we właściwóm świetle, stawia obok nich figury inne, które są ich kontrastem; wielka pamięć dostarcza mu mnóstwo podobizn, z których tryskają rysy charakterystyczne. Styl jego pełen odcieniów nikłych, fraza rozkłada się w pewnym trybie gimnastycznym: staje się giętką, zmieniającą barwę, rozwija się w pierścienie świetne, które się znowu ścisają wkoło każdego charakteru i każdego przedmiotu.

Mniej się stara o zdanie a więcej o zrozumienie; z każdego tworu, z każdego ducha chce wybierać kwiaty. Czy mówi o Wirgiliu, czy Anakreonie, o Paskalu, czy Mussecie, o pisarzach najpoważniejszych i o poetach najbardziej lekkich, z każdego z nich czerpie pełnemi garściami samą istotę ich indywidualizmu.

Jednakże panowie! miejmy się na baczności, aby urok tego talentu jedynego nie zamknął nam oczu na niebezpieczeństwa dążności, jakiej był najświetniejszym przedstawicielem. Dążność tę nazwę *przyrodniczą* (naturaliste) i nie ubliżę S. Beuv'owi gdy powiem, że dla niego badanie człowieka redukuje się do najmiejtniejszej i najdowcipniejszej z fizjologii; wiem, że bezstronność jego wysoka, wybredny zmysł estetyczny uchronił go od niewolniczości systematu—czuć w nim jednak doktrynę filozoficzną panującą, tém niebezpieczniejszą, że się wciska wszędzie, choć się nigdzie nie ujawnia, a zwłaszcza nikomu nie narzuca.

S. Beuve należy do szkoły naturalistów, cechą więc najważniejszą tego kierunku jest poniżenie ideału moralnego, który się wyraża z kategorycznego zaprzeczenia wolności moralnej.

O! widzę ja rozmiary, w jakie się krytyka rozrosła, widzę jak usiłuje wszystko pojąć, wytłumaczyć wszystko, nawet usprawiedliwić; ale się pytam siebie, czy zachowuje ducha, a przedewszystkiem sumienie ludzkie, dla których się należy piewsze i najpoczetniejsze miejsce.

Dla szarmonizowania się z naukami fizycznymi i wyrobienia dla nich metody ścisłej, krytyka stała się jak one fatalistyczną, a lękam się o to, bo to aberracja. Wyjaśnijmy to zdanie przykładem: *Tain* wyformułował systemat dla krytyki literackiej. S. Beuve, z małemi odzieniami przyjął go za własny. *Tain* wypowiedział tylko logicznie idee, jakie dziś znajdujecie wszędzie. Sprobujmy je streścić:

Tain ma pretensję być idealistą—historja a głównie historja literatury podług niego, jest to badanie idei, jakie się w ludzkości wyrobiły.

Idee te nazywa boginiami świata ludzkiego, wiecznie żywymi, wszędzie działającymi, będącymi źródłem wszelkiej piękności i wszelkiej harmonii.

Ale idee te są fatalistycznymi, ukazują się jako konieczność, dla tego je Tain nazywa niekiedy siłami. Historia w oczach jego, jest to geometrya sił; ktoby ją poznał gruntownie, miałby moc przepowiadania.

Tym sposobem dla poznania człowieka, trzeba w nim jak w zegarze szukać sprężyny głównej, która go porusza; sprężyna ta wskaże do jakiej grupy należy? Grupa ta ma znowu swoją sprężynę, którą trzeba wynaleźć; sprężyna ta działa pod wpływem siły, która stworzyła i ukształtowała całość i wszystkie jej części. A więc niema tu miejsca dla wolności moralnej.

Pójdźmy dalej. Uderza to w oczy, jak ten systemat idealistyczny styka się blisko z materializmem. Tain dla wytłumaczenia szczegółów ucieka się ciągle do fizjologii. Indywiduum podług niego jest tém, czém je uczyniła rasa; rasę tę znowu określają warunki zewnętrzne, to, czém się karmi.

Czy zamieszka sferę gorącą lub nieumiarkowaną, czy miejsce w którym się schodzą wszyscy, zawsze się odbije na niej życie społeczne, ze wszystkimi uczuciami i przynależnościami swemi. Jeżeli zamieszkuje strefę mroźną, będzie około ogniska tworzyć rodzinę, a któż określi charakter poezji, jaki się ztąd wykluje? Nawet moralność sama jest tylko wypadkiem przyczyn zupełnie materialnych; występki i cnota są produktami jak cukier i kwas siarkowy. Zasadę tę dobrze odmalowano przez wyrażenie żartobliwe: „Powiedz mi co jesz, a powiem ci, czém jesteś.“ Była to przesada, ale pojęcia prawdziwego.

Pojęcia te nie są własnością Francji. Wyformułowała je szkoła materialistyczna niemiecka z odwagą, przez usta Büchnera i Moleschotta. W Anglii Buckle napisał historję cywilizacji, którą oparł na podstawie: „że religia i moralność nie mają wpływu na ludzkość, tylko odkrycia świata fizycznego działają na nią skutecznie i poruszają ją do postępu.“ Systemat ten opiera się na wywodach specyficznych, czerpanych ze statystyki; pokazuje, że w historii niema miejsca na to, co się nazywa wolnością moralną. Nie zadziwię panów, jeżeli powiem, że jeden z poważniejszych autorów naszego czasu, Littré, wyklucza bezwarunkowo z nauki pojęcie wolności osobistj (moralnej), istotę metafizyczną, absolut pod wszelkimi formami, i w świecie widzi tylko działanie siły jedynj, która we wszystkich swoich objawach, wyraża się przez prawa fatalizmu i konieczności.

A więc chcę temu systematowi uczynić wszelkie możebne ustępstwa, przyznając, że krytyka literacka dotąd za mało dawała pola naturze w badaniu namiętności, że instykt rasowy oraz temperament warunkują wolą mass, że fizjologia winna często przychodzić w pomoc moralności; lecz czyniąc te wszystkie ustępstwa, nie oddam tój sfery wyższj, którą nazywam dziedziną wolności i upewniam, że w niej leży prawdziwa nasza wolność, odgadnienie naszych przeznaczeń i tajemnic najbardziej dramatycznych oraz najwznieściejszych poruszeń ducha ludzkiego. I isto-

tnie uważcie panowie, dokąd nas doprowadzi system naturalistów, taki jak jest dziś formułowany? Chcą indywidualność wytłumaczyć przez grupę, grupę przez rasę, rasę przez siłę, którą się podoba nazwać idea, która jednak działa niemniej fatalistycznie. Przepraszam moich przeciwników, ale wyznam, iż w całym tym systemacie jest zwrot ku zezwierzęczeniu. Niema już filozofii, jest tylko historia naturalna ogarniająca rasy wyższe i stosującą tę samą metodę do wszystkich istot: do człowieka, do małpy, równie jak do wymoczków. Krytyka więc literacka będzie się zasadzać na zręcznym klasyfikowaniu zoologicznym, a ludzie będą tam porządkowani podług temperamentów. Będą więc rasy niższe i wyższe, różniące się między sobą tak, jak się różnią ludzie od zwierząt. Zginie idea oparta na prawie i wszelkie pojęcie oderwane i metafizyczne. Prawem będzie *to wszystko co obronionem być może*, jak to kiedyś głosił uczony profesor Berliński. Mocniejsi pokonają słabszych, a więc zrodzi się ztąd logika, że słabsi nie mieli prawa. Pod tém to godłem wystąpił tłumacz Darwina, panna Royer w przedmowie swojej, którą następnie podarła przestraszywszy się zapewne potwornością widoków, do jakich taka zasada prowadziła. Walka o byt staje się tym sposobem prawem historycznym ludzkim, jak już jest prawem historii naturalnej—biada zwyciężonym!

Czyż mam dowodzić, że w takim systemacie zginie ideał moralny! Prawa są tylko faktami Uogólnianemi. Czemże więc moralność będzie bez absolutu, bez tego, co Kant nazywał nakazem kategorycznym (*impératif catégorique*) bezwzględną powinnością ¹⁾. Żebym najzręczniejsz uogólnił czynności ludzkie, nie wyciągnę z nich prawa moralnego, które się narzuca pod powagą *axiomatu*.

Im więcej wolności moralnej, tém większa walka, tém większa pokuta! Człowiek ulega przyrodzie. Neron jest Neronem, jak tygrys tygrysem; niema różnicy istotnej między moralnością człowieka, a tém co nazywamy łagodnością zwierzęcia. Wychowanie aby było rzeczywistém, powinno się starać, aby dobrym instynktom dać przewagę nad zlemi; ale stara idea odpowiedzialności musi być odrzuconą, jako jedna z istot metafizycznych, których nauka nie zna. Krytyka dobrze rozumiana, powinna się oburzać na deklamacye ambony i szkoły; musi wszystko pojąć, a wszystko pojmovać, jest to wszystko usprawiedliwiać.

Panowie, ja nie odrzucam tego systematu; ma on dla umysłu pewien rodzaj pojęty. Jest to coś wzniosłego widzieć w świecie działanie jednej siły, której wszystkie nasze uczucia i wszystkie czynności są tylko objawami koniecznemi, i bardzo to jest narkotycznym dla krytyki literackiej tłumaczyć wszystko w człowieku przez przyczyny fatalistyczne, wszędzie ukazywać ową tajemną sprężynę, która sprawia, że człowiek myśli, działa i pragnie. Ale jest coś w głębi nas samych, co protestuje

¹⁾ Nakaz ten jako ogólna norma wszelkiego rozumnego obcowania, oznacza najwyższy bezwzględny cel i popęd działania człowieka. (P. R.)

przeciwko takim teoryom. Jestto poczucie wewnętrzne i głębokie naszej wolności, naszej odpowiedzialności. Jesteśmy wolnymi w tém znaczeniu, że kiedy działają na nas wszystkie owe siły fatalne, wszystkie powaby i pokusy, od naszej woli zależy uleść im, lub stawić czoło: my to poruszamy sprężynę ostateczną, która wprawia w ruch wszystko. Napróżno w nas wmawiać będą, napróżno my sami wyznajemy, że tu nie nie możemy: sumienie nasze zada kłam temu sofizmowi, bo w każdej godzinie, w każdej minucie działamy, sądźmy, mówimy pamiętając na naszą odpowiedzialność.

I to stanowi wielkość tragiczną naszych przeznaczeń, i tędy wymykamy się fatalizmowi. Wychwalają nam dzielność metody, jaką zdobędzie krytyka literacka stając się pozytywną, ściśle naukową, a Tain, powtarzam, nawet posunął się do zapewnienia, że przyjdzie czas, w którym człowiek będzie mógł przyszłość przewidywać. Mało mam wiary w te piękne obietnice. Ze rozszerzono zakres badań świata fizycznego. temperamentu rassy, że określono bliżej ich znaczenie, nie zatarto jednak przez to przyczyn moralnych, przez które działamy i nie wytłumaczono tajników naszej woli. Pod tym względem wszystkie metody okażą się bezsilnymi i za lat sto, podobnie jak dzisiaj, w ocenianiu tworu literackiego nie zastąpi subtelnosci, taktu i przenikliwości zmysłu estetycznego. Nie zrobią nigdy nauki ściślej z tego, co bywa udziałem wytwornym wybranych.

Jeżeli świat moralny prowadząc prawa fatalizmu, jeżeli tu jak wszędzie niema nic innego prócz wielkiego mechanizmu a odkrywanie tajemnych jego sprężyn ma stanowić zadanie krytyki; jeżeli najwznioślejsze popędy ducha są tylko skutkiem siły, która aby się nie nazwać fizyczną, być wyższą od instynktu, nie przestaje być nie mniej konieczną, nieodpartą, w cóż się obróca owe wspaniałe dramaty wewnętrzne, owe walki wyniosłe namiętności z sumieniem, natury z wola, które stworzyły najbardziej tragiczne i najgłębiej wzruszające obrazy wszystkich literatur. Już nas nie zajmie ani przebaczenie, ani żal, ani tryumf ducha nad zmysłami, już nie waruszają przyczyny ducha, te godła jego wolności, ani one krzyki, jakie się wydzierają z naszego wnętrza, bo wyrażają to, co jest istotnie boskiem w istocie ludzkiej. Jakże im mamy oddać się na wolę, jeśli w nich widzieć będziemy tylko grę mechanizmu, od którego mamy klucze?

Panowie! kiedy teoria jakaś dochodzi do takich wyników, kiedy zaprzecza tego co jest w nas tak samoistnym i widocznym, bądźcie przekonani, że jest fałszywą; nie, fizjologia zostanie tylko fizjologią; nie, wytłumaczenia poruszeń duszy nie szukaj w temperamentie albo rassic; nie, wola nie podlega utworom przypadkowym, które Büchner *silami* a Hegel *ideami* nazywa. Nie, nauka nie powinna nas prowadzić do systematów, któreby obalały sztukę najwznioślejszą a nawet moralność samą.

Nie zapominajmy jakaby broń ukuto przeciwko nam z takich teoryj. Na końcu ich spotykamy negacyę prawa, wszystko co dajecie temu, co nazywacie siłą fizyczną, to odbieracie prawu. Teoria ta niewinna w li-

teraturze, w polityce sprawiła to, na co dziś patrzeć skazani jesteśmy. Jeżeli siła idzie przed prawem, zwyciężeni zawsze mają złą sprawę. Ach! panowie wierzyłem, że objawienie dał nam chrześcijaństwo, a chrześcijaństwo pokazuje nam jednak zwyciężonego, który przez śmierć swoją założył królestwo Boga na ziemi. *Victa Deo causa placuit*. To nie siła zatryumfowała na krzyżu!

Krytyka XVII wieku była spirytualistyczna, za mało uwzględniała wpływ sił niższych i przypadkowych, które często warunkują wolę. To wszystko uznaję i zgadzam się z Tainem i S. Beuv'em, aby przyrodzie dano tu obszerniejsze miejsce, ale pod tym warunkiem, że nad wszystkimi temi siłami, które nami rządzą, na pierwszym planie postawimy wolność.

Wróćmy do naszych początków literackich. Pascal w nieśmiertelnym swem dziele wskazał nam, że w świecie są trzy rodzaje wielkości: pierwszym jest systemat siły, drugim systemat nauki, a najwznioślejszym jest trzeci t. j. porządek moralny. A więc może naród jakiś zwycięzko zużyć dwa pierwsze systematy, może z siłą połączyć naukę i przez ten straszny związek może nas tarzać w swój żelaznej dłoni; lecz gdy nawet tak zdeptani przedstawiamy ideę moralną, jeżeli idziemy w imię prawa wyższego sprawiedliwości i ludzkości, staniam się większemi od niego, albowiem nie wszystkim jest odnieść zwycięztwo; trzeba nań zasłużyć! . . .

PODRÓŻE I ODKRYCIA GEOGRAFICZNE

w 1871—1872 r.

PRZEZ

A. P.

I

Mittheilungen aus J. Perthe's geographischer Anstalt von Dr. A. Petermann. 1872. I—XL.—Geographisches Jahrbuch. IV Band von Behm. Gotha 1872.—L'année géographique par M. Vivien de Saint-Martin. Paris 1872. Das Ausland. 1872. Nr. 1—32.

Są pewne nauki, jako niektóre rośliny, co tylko w ściśle oznaczonym miejscu wzrastać i rozwijać się mogą. Stają się one po-

dobnież jak rośliny wynikiem klimatu i gleby, wyrazem pewnych potrzeb ogólnych i wypływają z warunków, w jakich się dana społeczność znajduje. Do takich nauk geografją zaliczyć należy. Uczą liczne przykłady z dziejów starożytnych, że Fenicyanie z konieczności najwiękze w poznawaniu krajów czynili postępy, że w nadmorskich koloniach greckich ziemioznawstwo szczególniejszją doznawało opieki ze strony państwa. Świadczą o tém dzieje wielkich odkryć w XV i XVI wieku, dzieje Hiszpanii i Portugalii, kiedy nadmorskie mocarstwa zaczęły szukać podbojów na wodzie. Spójrzmy na państwa obecne, tam gdzie geografia w mniej lub więcj kwitającym znajduje się stanie, a przekonamy się, że nauka nie istnieje dla nauki, ale że najżywotniejsze swe soki czerpie ze źródła praktycznego. Główną sprężynę jęj ruchu stanowi niemal wyłącznie korzyść dla kraju, dla przemysłu i handlu. Z widokami materyalnemi wiążą się oczywiście i czysto naukowe cele. Na ogólnej podstawie przygotowanej przez warunki polityczno-społeczne powstają dążności czysto naukowe, rodzi się nauka, która przyciąga do siebie ludzi bezinteresownego poświęcenia i mniej lub więcj żywe zajęcie budzi w szerszych kołach czytelników.

Jeżeli sami dotychczas czynnego nie przyjęliśmy udziału w tych rozległych pracach naukowych, starajmy się przynajmniej dowiedzieć o tém, co inni na tém polu zdziałali, jakie ważniejsze postępy zrobiła geografia na Zachodzie. Przyjętym już dawniej zwyczajem przedstawiając z téj gałęzi nauk nasze sprawozdanie, tylko rok ubiegły mieć będziemy na uwadze.

Nim ogólnym rzutem oka ogarniemy ruch, jaki wszędzie panuje w dziedzinie geograficznej nauki, przypatrzmy się wprzód bliżj rozrzuconym po wszystkich krajach ogniskom, około których gromadzą się naukowe w tym kierunku dążności, dokąd spływają jako do naczelnego zbiornika wszystkie wiadomości, zdobycze i żkąd znowu jako promienie z głównego punktu na rozległe rozchodzą się strony. Wprawdzie tu i owdzie do postępu geografii, nauki wymagającej wielkich nakładów piędźnych, nie mało się przyczyniają zasiłki ze skarbów publicznych hojnie udzielane, ale wiadomym także jest, że podobne środki służą tylko za podniętę, same zaś przez się żywszego nie są w stanie obudzić ruchu, skoro ten przez zamiłowanie do prac naukowych danego społeczeństwa podtrzymywany nie będzie. Po bliższem jednak zbadaniu stanu funduszków różnych towarzystw naukowych, przychodzimy do przekonania, że takowe więcj stoją ofiarami pojedynczych ludzi. Dobra wola, zamiłowanie do naukowych celów, chęć poświęcenia są nieraz skuteczniejszje, niż wszelkie zasiłki z góry płynące. Drogaą assocyacji prywatnej powstały te liczne towarzystwa naukowe na Zachodzie, które tak potężną okazały się być dźwignią postępu wiedzy. Ludzie jednakowych zajęć, w jednem miejscu lub kraju łączą się zrazu w niewielkie kółko, składają drobne

ofiary na rzecz wspólnego celu i powoli krzając się około urzędywistnienia swoich zamiarów, wzmagają się w siły materyalne i coraz obfitsze zbierają owoce swych prac naukowych. Junctis viribus! Tak jest, wspólnemi siłami z niepozornych zupełnie zaczątków powstają z czasem olbrzymie potęgi. Wielce dla nas uczący przedstawiają przykład te różne towarzystwa naukowe zawiązujące się na Zachodzie. Geografia nie mało zawdzięcza tym połączonym siłom naukowym. Obecnie niemal co rok nowe przybywa towarzystwo do niezbyt licznych dawniejszych. Francya, co tak gorzko teraz opłakuje swoje chwilowe zaniedbanie się w naukowój i szkolnój gałęzi wiedzy geograficznój, przykładem swym kiedyś przyświecała innym krajom. Francya, którój niejedna nauka winna swój szybszy rozrost i wyższy polot, piérwsza wystąpiła z inicjatywą, założywszy towarzystwo geograficzne w roku 1821. W hierarchii różnych tego rodzaju związków jestto najstarsze towarzystwo, bo już obchodziło pięćdziesięcioletni jubileusz swego istnienia. Ten jednak wiek poważny niestety! nie może służyć za miarę zasług położonych przez Francją na polu nauki geograficznój. Przdując innym ludom swą inicjatywą, pozwoliła się wyprzedzić przez młodsze instytucje pod względem naukowój działalności. Do obecnej chwili to towarzystwo jest jedynem na całą Francją; prócz Paryża już niema żadnego innego na prowincyi ogniska dla geografii. Tworzenie się mniejszych odrębnych kółek ma niewątpliwie swoje niedogodności, rozpraszać środki materyalne, które nagromadzone w jedném miejscu, łatwiej i skuteczniej posługiwać mogą zadaniom i celom rozleglejszym i kosztowniejszym; ale z drugieój strony rozrzucone po kraju towarzystwa dają możność gromadzenia około jednego celu sił odosobnionych a co najważniejsza, więcéj się przyczyniają do rozpowszechnienia wiadomości z dziedziny geografii i ogólniejsze budzą ku téj nauce zamiłowanie.

Zdawaćby się mogło, sądząc z niewielkieój liczby członków (około 400) towarzystwa geograficznego w Berlinie, że Niemcy nie słusznie używają tak głośnego w Europie imienia z powodu staranności, z jaką pielęgnują geografią. Istotnie, przy tak niewielkim udziale ze strony naukowego ogółu, środki towarzystwa nie mogą być znaczne, ale dla sprawiedliwego ocenienia tego, co się w Niemczech robi w gałęzi nauk geograficznych, trzeba wziąć na uwagę, że prócz Berlina są jeszcze inne towarzystwa naukowe w tym samym działające celu. Od dawna już istnieje podobny związek między naukowemi siłami we Frankfurcie nad M., w Darmstacie, w Lipsku, w Dreznie, w Kielu, a przed dwoma laty nowe znowu powstało ognisko w Monachium. Razem więc z cesarsko-królewskiém Towarzystwem w Wiedniu, które gdy dla niemieckieój pracuje literatury, do tegoż samego koła należy, Niemcy mają ośm towarzystw naukowych. Każde z tych towarzystw ma swój organ

naukowy, za pomocą którego ogłasza prace z dziedziny geografii i zasila niemi inne pisma ilustrowane i popularne, które w tysiącach egzemplarzy roznoszą wiadomości do téj gałęzi się odnoszące. To więc rozdrobnienie, rozpieczętnięcie się w skutkach swych okazuje się wielce zbawienném a lubo fundusze przez to trudniej mogą być zebrane na jakieś więkzsze przedsięwzięcie, tu wszakże i temu złemu umieją Niemcy zaradzić za pomocą składek narodowych. Podwójna ich czynność, popularyzowanie nauki i zbogacanie jęj przez wyprawy, podróże pojedyncze lub zbiorowe, jest zadziwiająca. Pod tym względem oddać im należy pierwszeństwo przed Francją. Jeżeli we Francji w stosunku do całej ludności przypada jeden członek towarzystwa na 65,000 głów, w Niemczech (nie biorąc Austrii) przypada jeden na 24,500 głów.

Ale Niemcy bynajmniej na téj drodze nie przodują: Anglia wyprzedziła w tym kierunku wszystkie inne narody. Żadne z towarzystw naukowych nie jest tak liczne jak Londyńskie Royal geographical Society, które się składa z 2,448 członków. Żadne z nich nie rozporządza tak bogatemi środkami jak angielskie, które ma rocznie dochodu z górą 300,000 złp. licząc w to i zasiłek od rządu dawany. W ciągu czterdziestoletniego swego istnienia, królewskie Towarzystwo w Londynie zawsze wielką odznaczało się ruchliwością i niemałemi już odkryciami uświetniło imię swoje w rocznikach geograficznych. Najwięcej życia objawiło pod światłym kierunkiem swego prezydenta R. Murchisona niedawno zmarłego. Prócz tego istnieje także towarzystwo w Bombay w Indyach. W Anglii przypada jeden członek towarzystwa geograficznego na 13,800 mieszkańców, tu więc nierównież korzystniejszy jest stosunek niż w Niemczech.

Wypada jeszcze słówko powiedzieć o towarzystwach innych krajów. W Ameryce istnieją takowe w Rio de Janeiro, w Meksyku i Nowym Yorku. We Włoszech dopiero w roku 1867 założono w Turynie pierwsze „kółko geograficzne“ i w tymże roku podobne towarzystwo w Rzymie. Niderlandy mają także swoje ognisko naukowe w Hadze. Co jednak najwięcej zasługuje na uwagę, że Szwajcarya, której do odkryć geograficznych, do szczególniejszego pielęgnowania tej nauki nie pobudzają żadne handlowe widoki, zdobyła się także na towarzystwo geograficzne w Genewie, które dąży do dokładniejszego zbadania całego kraju pod względem geograficznym. Siły w takim mieście jak Genewa nie są wielkie; zaledwie 75 członków należy do tego kółka naukowego. Środki są także bardzo skromne, bo nie przenoszą 1,500złp. na rok, a jednak przy tak ograniczonych środkach, jaka tam ruchliwość panuje!

Petersburskie geograficzne towarzystwo, które ma kilka odrębnych filij na prowincyi, należy po londyńskiem do najbogatszych pod względem funduszków; ustępuje mu jednak co do swęj działal-

ności naukowej, bo biorąc tylko stosunek liczebny bez względu na mniejszą lub większą wartość publikacji, w Anglii wydano w roku 1871 książek treści geograficznej 233, w Rossyi zaś w tym samym czasie 66.

Wszystkich w ogóle towarzystw, rozwijających działalność w kierunku nauki geograficznej, jest obecnie 23 w Europie, Azji i Afryce, członków zaś należy do tych towarzystw 9,067. Każde niemal z tych towarzystw ma oddzielne pisma peryodyczne, w których składa owoce swoich prac naukowych. Dla specjalistów każde z nich przedstawia odpowiednie zajęcie, dla miłośników zaś téj nauki, co nie poświęcając się wyłącznym badaniom, pragną korzystać z wiadomości o ruchu panującym w téj gałęzi wiedzy, o nowych odkryciach, o podróżach, do najcelniejszych pism ilustrowanych i kartograficznych należą: *Le Tour du Monde* (Paris), co tydzień się ukazujący, *Dra. Petermanna Mittheilungen* (Gotha), *Dra. Delitzscha Aus allen Welttheilen* (Leipzig) *Das Ausland*, i angielskie popularniejsze pismo, bardzo tanie: *Our Ocean Highways* (London).

*

*

*

Już dawno nie pamięta geografia tak ożywionego na polu swych poszukiwań ruchu jak w roku przeszłym i zaprzeszłym. Wszędzie spostrzegać się daje czynne naukowe życie, wszędzie objawia się między narodami współzawodnictwo na téj szlachetnej drodze. Ku wszystkim krańcom kuli ziemskiej spieszą podróżnicy, by zwiedzać nieznanne strony i poznawać niezbadane dotąd strefy; coraz więcej przybywa naukowych rezultatów, przy pomocy których powoli będzie można opasać kulę ziemską całym pasmem wniosków i odślonić nie jedną tajemnicę, którą natura przed wzrokiem człowieka ukrywa. Na pustych mapach geograficznych przybywają coraz nowe nazwiska dolin i wyniosłości, rzek i jezior, wsi, osad i ludności, wątpliwe dane zamieniają się na pewniki. Budującym jest zaiste widok téj olbrzymiej pracy podejmowanej zewsząd przez niestrudzonych badaczy celem wykończenia gmachu wiedzy geograficznej, dopełnienia wiadomości o powierzchni ziemi i łączenia różnych odosobnionych zjawisk łańcuchem przyczyn i skutków. Z szczególniejszym zamikowaniem zwrócono się powszechnie ku badaniu oceanografii, w czem niepoślednie miejsce zajmują wyprawy podbiegunowe.

Przed rokiem była w piśmie naszym mowa o niemieckiej wyprawie pod biegun północny, którą, jak wiadomo, od samego początku tak złowrogie ścigały losy. Od tego czasu powstały i dojrzały liczne inne przedsięwzięcia, do tego samego celu skierowane. Przedmiot wspólnych usiłowań i zabiegów—oto ów groźny i dumny Ocean Północny; jedni płyną w nadziei, że przedostaną się przez

morze około północnego bieguna, inni znowu ze skromniejszym celem zamierzają czynić niejako przygotowania przedwstępne, żeby dopiero z czasem zdobywać wieńce... lodowate. W kierunku północnym pod biegun tyle wyruszyło okrętów z różnych stron, że ze wszystkich razem możnaby utworzyć dość okazałą flotę. Żeby się nie zbłąkać w tych nazwach różnych okrętów i naczelników i tych rozmaitych kierunków, przegląd wypraw podbiegunowych według oddzielnych krajów uczynić zamierzamy.

Najpiérwszą wzmiankę Francuzom poświęcić należy, nie dlatego iżby na to z powodu swych wielkich na tém polu odkryć zasługiwali, ale iż zamiar i pomysł wyprawy podbiegunowej przez Francuzów powzięty jest jednym z najdawniejszych. Z wieku więc pierwszeństwa francuskiej ekspedycyi się należy. Kilka lat pracował Gustaw Lambert nad wprowadzeniem w życie swojej wyprawy podbiegunowej. Wieść niejrozeszła się szybko po całym uczonym świecie. Lambert nie podzielał zdania tych, co udawali się pod biegun wybierając drogę między Grenlandją a Szpicbergem, uważał za praktyczniejszą drogę przepłynąć cieśninę Berynga, trzymać się północno-wschodnich brzegów Syberyi, osiąść na brzegu ziemi Wrangla i ztamąd przy sposobnej porze puścić się przez oswobodzone z lodów wody Północnego oceanu. Wśród przygotowań i pomysłów zaszyły znane wypadki 1870 r. 4 września i oblężenie Paryża, podczas którego Lambert padł od kuli pruskiej biorąc udział w jednej z wycieczek. Lubo z nim razem projekt nie zeszedł do grobu, uległ jednak pewnej zwłoce. Już się nawet rozeszła wiadomość, że p. Lambert stanął na czele tój dawno pomyslanėj wyprawy, głoszone że niebawem statek wypłynie z Havru. W istocie przyjęła zobowiązanie nawet kierowania okrętem kapitan Mack z Norwegii, dzieln i doświadczony żeglarz na Północnym oceanie. Zdawało się więc, że wyprawę francuską za czyn spełniony i dokonany uważać należy, tymczasem bliższe i dokładniejsze wiadomości zwiastują nam tę smutną nowinę, że pomysł pozostał nadal w sferze pobożnych pragnień i że dotychczas statek żaden nie wyruszył z Havru. Ponieważ postępowanie spadkowe po śmierci Lamberta nie jest ukończone, tymczasem więc zamkniętych i uwięzionych 120 tysięcy franków spoczywa w Caisse des dépôts et consignations.

Druga francuska wyprawa Octawiusza Pavy także nie mało wywołała wrzawy w świecie naukowym. Pavy był przyjacielem poległego Lamberta i został niejako spadkobiercą jego pomysłów. Drogę przez cieśninę Berynga i posuwanie się ku północy od brzegów Syberyi uważa także za najkorzystniejszą. W tym kierunku spodziewa się dotrzeć do upragnionego celu. Głosiły dzienniki, że Pavy zbudowawszy wielce praktyczne statki, coby do pływania po morzu i jazdy po śniegu zarówno służyły, już podobno opuścił San-Francisco, zkąd najbliższa droga do Kamczatki, gdy tymczasem dochodzą znowu zkądinąd wieści, że Pavy nie wyruszywszy z miejsca, ciągle jeszcze w San-

Francisco przebywa. Może rzeczywiście pomysłowy, rzutny Francuz zrobi coś dla nauki, ale dotychczasowe usiłowania, które się jeszcze w czyn nie zamieniły, nie budzą zbyt wielkiego zaufania.

Anglicy i Amerykanie przed kilką laty, kiedy jeszcze Niemcy nie myśleli o wyprawach pod biegun, bardzo gorliwie się nimi zajmowali. W ostatnich czasach Anglicy zaniedbali to pole, dopiero w tym roku na posiedzeniu Towarzystwa geograficznego w Londynie, kapitan Sherard Osborn w żywych słowach popierał myśl wznowienia dawnych usiłowań (Athenaeum 19 maja 1872). Amerykanie zaś zagrzewani przykładem Franklina, Kana i Hayesa nie ustają na drodze, na którą raz wstąpili. Trzymają się nawet ściśle tego samego kierunku. W 1871 r. ruszyła pod biegun nowa wyprawa doprowadzona do skutku staraniem Halla. Hall już kilką razy płynął pod biegun. Należał do wyprawy, co szukała śladów zaginionego Franklina. Długie lata spędził w północnych stronach Ameryki, obcując ustawicznie z Eskimosami. Wtada ich językiem tak biegły jak rodowity Eskimos. Posiada przytém wytrwałość i hart duszy Kolumba. Z początku kiedy prosił kongres Stanów Zjednoczonych o zasiłek na wyprawę, szło mu wszystko oporem; przełamał jednak trudności, obudził słuszne ku sobie zaufanie i niebawem zgromadził i bogate zasoby pieniężne i odpowiednie grono ludzi naukowych. Pod względem wyposażenia materialnego statek Halla należy do najbogatszych. Ma żywności z sobą i tego co potrzeba do pobytu w bezludnej strefie, na przeciąg pięciu lat. Siły naukowe należą także do niepospolitych. Do grona tych, co przyjęli udział w wyprawie, przystąpił także Irlandczyk Morton, towarzysz Kana. „Polaris“ czyli tak ochrzczony statek amerykańskiej wyprawy wypłynął z Waszyngtonu w czerwcu 1871 r. Zimę przepędził w północnej stronie zatoki Baffińskiej. Hall bowiem za przykładem swoich poprzedników wybiera drogę do oceanu, inną jak Niemcy i Szwedzi. Przed swoim wyjazdem nakreślił projekt podróży, tak iż zamierzał puścić się nad zachodnim brzegiem Grenlandyi, przez wody cieśniny Baffina i zamiast płynąć prosto przez cieśninę Smith'a, zwrócić się w lewo ku zachodowi przez cieśninę Jones'a. Tu zamierzył przezimować, zostawić część załogi, a sam z dwoma towarzyszami chciał na sankach po śniegu dotrzeć aż do bieguna. Na planach oczywiście każdy żeglarz przebywa te przestrzenie z wielką łatwością. Zresztą śmiała nadzieja jest w tym razie usprawiedliwioną, skoro się na pewnym prawdopodobieństwie i na pewnych przypuszczeniach opiera. Szkoda tylko, że te przypuszczenia po większej części nie dopisują. Że amerykańska wyprawa może odnieść pewne naukowe korzyści, to nie ulega wątpliwości, będąc powierzona przewodnictwu świątego i śmiałego żeglarza, ale czy stanie u bieguna, jest to wielkie pytanie? Wprawdzie już dwie wiadomości własnoręcznie przez Halla pisane donoszą o początkowych losach. Statek „Polaris“ przybył szczęśliwie do Upernivik osady duńskiej na zach. brzegu Grenlandyi pod 73^o

pół. szer., ale od téj chwili pewniejszych jeszcze sprawozdań nie otrzymano, o co zresztą trudno; przytém prawie niepodobna ich oczekiwać, chyba dopiéro po roku lub dwóch latach—po ukończeniu wyprawy.

Do najsmielszych na téj drodze przedsięwzięć należy wspa-
niała wyprawa austriacko-węgierska. Słusznie świat naukowy spodziewa się po niej nowych nieznanych zdobyczy. Wszelkie oczekiwania są zupełnie usprawiedliwione. Nigdy jeszcze żadna wyprawa nie rozrządzała tak ogromnemi środkami, żadna z poprzednich nie była zaopatrzona w takie siły naukowe i materialne. Dobrą także przyszłość wróży nowa zupełnie droga, którą się jeszcze żaden nie puszczał żeglarz dla zwiedzenia północnych stron oceanu Lodowatego. Słowo więc o téj wyprawie.

Weyprecht i Payer, którzy jak o tém w roku przeszłym na tém miejscu donoszono, przyjmowali udział w owéj niemieckiej nieszczęśliwéj ekspedycji, wrócili szczęśliwie znowu na ląd stały Europy, bynajmniej nie ostygnawszy w swym podróżniczym zapale. Zwykle ludzie wielkiego hartu duszy, nie zrażając się niepowodzeniem i przeciwnościami, wytrwale dążą do urzeczywistnienia swych pomysłów i nieraz stają u celu swych marzeń i zabiegów. Myśl przygotowania nowéj wyprawy znalazła w Austrii życzliwe przyjęcie. Weyprecht pochodzi z Tryestu; był pierwiastkowo porucznikiem na okręcie liniowym w marynarce austriackiej. W kołach rządowych nowy projekt został życzliwie przyjęty. Flaga austriacka jeszcze nigdy nie powiewała na wodach oceanu Lodowatego. Żeglarze austriacy dotychczas nie współzawodniczyli jeszcze z Auglikami i Amerykanami na lodowatych polach północnych. Odczyty przez Weyprechta w kilku znaczniejszych miastach urządzone oświecały publiczność co do ważności tak odległej wycieczki; prywatne składki poruszyły się ze wsząd: arcy-książe Reiner stanął na czele komitetu i powoli myśl rzucona przez Weyprechta i Payera w czyn się zamieniała. Podczas gdy w Bremerhaven budowano oddzielny na ten cel statek według wszelkich wymagań nauki i doświadczenia, dwaj żeglarze Weyprecht i Payer, korzystając z hojnéj ofiary hr. Hansa Wilczka przygotowawczą, odbyli wycieczkę dla zbadania morza na przestrzeni między Szpicbergen a Nową Ziemią (Ziemia). Wrócili ztamtąd szczęśliwie, stwierdziwszy przypuszczenia, na których opierali plan swojej wielkiej wyprawy. Długoletnie ich doświadczenie, naukowe przygotowanie (Payer znany jako jeden z najgruntowniejszych badaczy gór Alpejskich), oraz nowe pomysły przywiezione z ostatniej wycieczki zalecały ich ze wszelkich miar, jako przyszłych naczelników wyprawy. Dlatego téż nie wahano się w wyborze ludzi, którymby poruczyć należało naczelne kierownictwo w wyprawie austriacko-węgierskiej. Weyprechta i Payera zaszczycono słuszném uznaniem, składając w ich ręce losy zamierzonej wyprawy.

Już od kilku miesięcy żegluje gdzieś na dalekiej północy austriacki statek „Tegethof“, może go już lody strzaskaly a może ku wielkiej dla nauki korzyści teraz zimuje gdzieś wśród lodowatej pustyni Oceanu Północnego; może z wiosną dobiegnie nas jakaś wieść o wielkich powodzeniach żeglarzy, o przebyciu bieguna północnego, ale dotychczas żadnej jeszcze niema wiadomości prócz kilku pożegnanych listów, które przez odjeżdżających z północnej Norwegii żeglarzy do Europy nadesłane zostały. Nie zawadzi może bliżej poznać szczegóły, pomysły i zamiary wyprawy, która przy przyjaznych okolicznościach tyle pięknych rokuje nadziei. Udawano się do bieguna już w różnych kierunkach, usiłowano się dostać doń to z téj to z owéj strony, tym lub innym sposobem, austriacka zaś wyprawa toruje nową drogę, która może łatwiej doprowadzi do upragnionego celu.

Wyprawa wytknęła sobie następujące zadanie, jak opiewa instrukcja dana naczelnikowi okrętu. Wyprawa zamierza zbadać nieznaną przestrzeń na północ Syberji. Jeżeli warunki lodu i brył lodowych pozwolą, starać się trzeba przedostać aż do cieśniny Berynga i znowu tą drogą wrócić. Tego idealnego celu nigdy z oka spuszczać nie wypada, a ponieważ dopięcie takowego zależy od różnych wpływów systematu rzek syberyjskich uchodzących do morza, bliżej więc trzymać się należy brzegów a mniej dbać o przedostanie się pod wyższe stopnie ku północy.

Żeby uniknąć rozproszenia sił można usiłować przedostać się do bieguna północnego, ale tylko w tym razie, jeśli się okaże, że w ciągu dwóch zim i trzech lat będzie można dopłynąć do cieśniny Berynga. Wykonanie tego zamiaru zawisło w zupełności od czasu, miejsca i od uznania naczelnika wyprawy. Za punkt wyjścia operacyi żeglarskich wybrano północny brzeg Nowéj Ziemi (Zemli).

Zwrócić należy baczną uwagę na pozostawianie po za sobą śladów kierunku, w jakim się wyprawa udała, za pomocą wznoszenia na wydatniejszych miejscach znaków, stosów kamieni i t. d.

W razie jakiegoś smutnego wypadku, gdyby okręt wypadło porzucić, należy szczególnież szukać schronienia w kierunku ujść rzek syberyjskich Jeny, Leny, Kołymy i Indygirki, dokąd téż zwrócone będą wszelkie poszukiwania. Gdyby było możliwem, życzeniem jest, aby po okrążeniu przylądka Czeluszkina, najdalej na północ Azji wysuniętego punktu, pozostawić o sobie wiadomość. Za inny tego rodzaju punkt uważać należy którąkolwiek z wysp nowosyberyjskich najdalej na północy leżących.

Hr. Hans Wilczek udaje się latem 1872 r. na wschodni kraniec Nowéj Ziemi, by tam złożyć dla bezpieczeństwa pewną część węgla i żywności. Ten skład ma służyć jako schronienie w razie jakiegoś smutnego wypadku, któryby się mógł zdarzyć jeszcze przed dotarciem do przylądka Czeluszkina. Wyprawa zaopatrzoną została w żywność na trzy lata. Dowódcą wyprawy jest porucznik Weyprecht,

Payer zaś obejmuje naczelny kierunek w wyprawach lądowych przedsięwziętych pieszo lub na sankach. W razie śmierci dowódcy, władza przechodzi na naczelnika, następnie na pomocnika i t. d. Prace naukowe tak są rozdzielone, że dowódca Weyprecht bierze na siebie obserwacje astronomiczne, fizyczne i meteorologiczne, używając do pomocy porucznika okrętu Brosza i chorążego okrętowego Edwarda Orła (Morawczyka z Nowego Iičina), porucznik Payer kieruje pomiarami, geologicznymi poszukiwaniami, Dr. Kepes (Węgier) gromadzi zbiory zoologiczne i botaniczne.

Okręt został zbudowany w Bremerhaven z funduszków rządowych. Przyrządy do maszyny parowej sprowadzono z Tryestu. Parowiec, opatrzony w żagle do korzystania z przyjaznych wiatrów, wykończony z całą starannością i posiadający wszelkie możliwe wygody, wypłynął 13 czerwca r. p. z Bremerhaven, oddając się na łaskę fal morskich i poruczając swe losy i całej osady w ręce straszego na północy żywiołu lodu i zimna. Już kilka otrzymano listów od obydwóch dowódców wyprawy, którzy, po raz ostatni korzystając z dobrodziejstw cywilizacji, z poczty na północnym kraju Norwegii, przysłali pożegnalne słowa do swoich przyjaciół. Podczas czterotygodniowej podróży aż do Tromsø w Norwegii mieli sposobność bliżej przekonać się o przymiotach swojego okrętu, o całym wewnętrznym jego urządzeniu, o służbie okrętowej, o majtkach i t. d.

Dowódca Weyprecht był zupełnie zadowolony ze swego „Tegetthoffa.“ W liście do jednego ze znajomych unosi się nad lekkością, zwinnnością okrętu. Przy zwykłym ogrzaniu kotła parowiec upływa na godzinę od 5—6 mil a spożywa tylko w tym czasie 120—130 funtów węgla. Wprawdzie w pierwszych czasach okazała się mała niedokładność, gdyż dno okrętu zaciekać zaczęło tak, iż co godzina na jeden cal wody przybywało, ale w przystani Tromsø, gdzie się cały prawie miesiąc zatrzymano, niedogodność tę usunięto. Weyprecht unosi się także nad tém, że okręt, jak rzadko kiedy okazał się wielec ładownym, co dozwoliło i zapas węgla powiększyć i o spiżarni nie zapomnieć. Na spodzie okrętu i po różnych zakątkach umieszczono w ogóle zapasu węgla 130 beczek, każda beczka (Tonne) tysiąc funtów czyli po 10 centnarów. Gdyby więc okręt został żagli swoich pozbawiony albo ich używać nie mógł, gdyby dla pośpiechu wypadło tylko przy pomocy pary się posuwać, to wtedy statek, będąc w ruchu w ciągu całej doby, mógłby o takim zapasie odbyć bez przerwy 50—60 dniową podróż. Na dwa czy trzy lata nie jest to wcale wiele, dla tego też wypadnie tym żeglarzom obchodzić się z paliwem bardzo ostrożnie a przy każdej sposobności rozwijać żagle.

O swojej załodze odzywa się tenże Weyprecht także bardzo pochlebnie. Cała ludność tej wodnej osady wynosi ogółem 24 osób. Wszyscy prawie są doświadczeni żeglarze, powiada Weyprecht. Kucharz nasz pochodzi z Gracu, w sztuce swój jest specjalnie wy-

kształcony. Gotuje wybornie, piecze również dobrze. Na kilka miesięcy przed naszą wyprawą został umyślnie wysłany do Monachium, do profesora Liebiga, który go wtajemniczył w sztukę spiesznego pieczenia chleba przy pomocy proszku właściwego, ostatecznie zaś dla dokończenia swój edukacji oddano go do Hamburga do Richersa, kupca handlującego wiktuałami, gdzie poznał dokładnie sztukę konserwowania ciasta i mięsa. Niestety, powiada Weyprecht, na krótko przed wyjazdem naszym z Bremerhaven zakochał się w jakiejś piękności portowej, do reszty swój rozum stracił, na czém my najwięcej cierpimy. Mniemam jednak, że 40° Réaum. niżej zera wyleczą go skutecznie.

Na okręcie rozlegają się wszystkie głównejsze języki węgiersko-austriackiej monarchii: niemiecki, węgierski, słowiański i włoski. Włoski jest jednak językiem panującym wśród tej różnorodnej rzeszy okrętowej: komenda odbywa się po włosku. Nasze zapasy żywności, powiada Weyprecht, są tak obfite, że na trzy lata wystarczyć mogą. Wszystko cokolwiek upolujemy, możemy na oszczędność zapisać. Za miarę do wydawania majtkom porcyj dziennych wzięto normę ustaloną na handlowych statkach niemieckich. Rano o godzinie 4-jej wydają kawę, o 8-jej zupe, o 12-jej w południe zupe, mięso i jarzynę, wieczorem herbatę; każdy zaś z majtków otrzymuje tygodniowo funt masła a wszyscy razem trzy butelki spirytualnych trunków. My zaś oficerowie codziennie pozwalamy sobie wychylić butelkę wina, oczywiście w sześciu. Skoro się dostaniemy między góry i pola lodowe, zacznie się sztuczne wyrabianie wina, wtedy i majtkowie wina dostaną. Mamy z sobą 45 wiader tego szlachetnego napoju.

Zapomniałem dodać, żeśmy także i psy z sobą wzięli. Dotychczas ta rzesza jest jeszcze wielce nieokrzesana, ztąd ją na łańcuchach trzymać wypadło. Jak tylko psy spuszcza, zaczyna się na pokładzie hałas niezmierny, wszczynają się walka zajadła, która się kończy rannymi ciosami zadawanymi sobie przez kły przeciwników. Ten sam środek, co kucharza, wyleczy także i tę niesforną rzeszę. Psy te mają służyć jako pociągowe zwierzęta podczas zimowych wycieczek na sankach, do przewożenia jeśli nie ludzi, to przynajmniej zapasów żywności.

W połowie lipca przysłał dowódca wyprawy jeszcze ostatnie od siebie pożegnalne słowa:

„Dzięki Bogu, jest to ostatni już list, który wyprawiam z Tromsö. Tą samą pocztą już 19 wysłałem. Jakie to szczęście, że na przykładku Czeluszkina, nie masz ani jednej skrzynki pocztowej! Zapewniam cię, przyjacielu, że można umrzeć od ciągłego pisania listów. Gdyby jeszcze było tak kilka miesięcy potrwało, mogłbym być na mym grobowym kamieniu umieścić napis: umarł ze zbytku korespondencji. Trzeba było widzieć, co to za radość panowała między majtkami, gdy ciągle przed sobą na nieboskłonie mieli słońce, co nigdy nie zachodziło. Nie można ich było spędzić z pokładu, mienili się być najszczęśliwsiymi z ludzi, którym miliony innych zazdrościć będą ich cie-

kawej podróży. Zapał prawdziwie młodzieńczy ogarnął ich serce, już tak daleko jesteśmy od kraju, już tak daleko na północy, żadnego jeszcze zwątpienia. Byłoby to zresztą za wcześnie. Wszak to dopiero początek. Ten zapał powoli stygnąć zacznie, jak się zbliżą lody, ciężka praca i ponura zima, która nas może jak w więzieniu zamknąć w swych lodowatych ścianach na kilka miesięcy.“

Od połowy lipca „Tegetthoff“ już pływa po wodach Północnego Oceanu. Jeżeli wyprawa zastosuje się do swojej instrukcji, jeśli ją szczęśliwie wykona, to przed zimą 1874 roku żadnych szczegółowych wiadomości od niej i o niej spodziewać się nie można.

Tymczasem zaś bliżej rozpatrzyć się wypada, w którym kierunku i dlaczego w tym a nie innym udało się pod biegun ta nowa wyprawa, która tyle pięknych z sobą uniosła nadziei.

Za punkt wyjścia obrano Nową Ziemię, ową rozległą wyspę na morzu Lodowatym północnym położoną, wprost owych olbrzymich gór Uralskich dzielących Europę od Azji. Wyspa ta jest jeszcze mało znana. Objechali ją naokoło Holendrzy w roku 1597, od tego czasu aż do ostatnich wypraw norweskich nikt podobnej nie przedsiębrał podróży. Łatwo to zrozumieć można. Najbieglejsi geografowie twierdzili i wielu jeszcze dziś twierdzi, że brzegi Nowej Ziemi i całe Karyjskie morze, które je od wschodu oblewa, są zupełnie niedostępne. Z wyjątkiem kilkunastu dni, dwóch lub trzech najdalej tygodni panuje tam podobno ciągła zima, pokrywająca całą powierzchnię wody grubą powłoką lodu. Okręt, coby w stosownej porze zdołał przybić do brzegu wyspy, niebawem na rok cały zamkniętyby został w ciężkim lodowatym więzieniu. Takie przekonanie o Nowej Ziemi odstręczało wszystkich żeglarzy i sprawiło, że dotychczas nie mamy dokładnej mapy tej wyspy, nie znamy nawet w przybliżonej mierze jej rozległości, nie znamy jej fauny, jej flory. Od Nowej Ziemi do cieśniny Berynga przestrzeń wzdłuż brzegów północnej Syberyi nie jest tak zastraszająco wielką, a jednak dotychczas jeszcze żaden żeglarz, żaden statek, żadne sanki w tym kierunku drogi tej nie przebyły. Otóż doświadczenia dwóch ostatnich lat dokonały w tych nieuzasadnionych pojęciach gwałtownego przewrotu. To, co na wiarę przyjmowano jako pewnik niezbity, czczém przypuszczeniem być się okazało. Z przedwstępnej wyprawy ku Szpicbergen podjętej wynieśli Weyprecht i Payer co do stanu wody i lodów wprost przeciwne przekonania. Przyczyniły się do utworzenia prawdziwszych w tym przedmiocie poglądów doświadczenia norweskich żeglarzy-rybaków, którzy dość czynną przed niedawnym czasem rozwinęli działalność na morzu między Szpicbergen a Nową Ziemią. Otóż Weyprecht i Payer przekonali się, że jeszcze pod jesień morze około Nowej Ziemi było zupełnie w stanie płynnym i wolnym od lodów pod 78° i 79° szer. pół., więc w odległości 11—12° od bieguna. Nawet wyżej na północ Nowej Ziemi, niekiedy temperatura wody dochodziła do 3° Cels. To spostrzeżenie stało się główną podstawą pomysłu rzuconego dla nowej wyprawy.

Ta wysoka temperatura wody w tak późnej porze roku naprowadza na domysł, że ciepły prąd wody, płynący oceanem Atlantyckim z pod równika, czyli tak zwany Golfstrom sięga swojemi wodnemi nurtami tych północnych stref Lodowatego morza i podobne zjawisko wywołuje. Jak zaś daleko sięga, jaki jest stopień ciepła tego prądu jeszcze dalej na północy, tego początkowo nie zbadano, niedaleka wszakże przyszłość wątpliwość w tym względzie rozstrzygnie. Z drugiej znowu strony węgiersko-austryacka wyprawa zwróciła uwagę nainną nie mniej ważną okoliczność, na obfite wody wylewane do oceanu północnego przez rzeki syberyjskie, wyprowadzając ztąd ten wniosek, że wody te, przybywające w tak znacznej ilości, zapewne wpływają na podniesienie temperatury w nadbrzeżnej okolicy i wstrzymują na dłuższy czas zamarzanie wody. Gdyby ten wniosek okazał się uzasadnionym, możnaby, wypłynąwszy we właściwej porze z Karyjskiego morza, przedostać się aż do cieśniny Berynga, trzymając się w niewielkiej odległości od nadbrzeżnej okolicy. Ze się w stronach bieguna północnego powyżej Syberyi znajdują jeszcze ogromne nieznanne kraje, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Już Parry w 1827 roku widział lodowe pływające góry, pokryte trawą morską, szczątkami zwierząt takich, które żyją tylko w pobliżu łądu stałego, spostrzegając drzewo pływające pokryte mułem. Nowa przeto przeszłoroczna wyprawa głównie ma na celu zbadanie drogi podbiegunowej między Nową Ziemią a cieśniną Berynga, tymczasowo zostawiając w stronie dotarcie do bieguna. Chodzi tu więc przedewszystkiem o zbadanie warunków morza, jego prądów i temperatury. Słusznie takie działania uznane zostało za najpewniejsze i najpraktyczniejsze. Gdyby się zamiary nie udały, gdyby nie można było przedostać się do cieśniny Berynga, a powrót był przez lody zagrodzony, podróżnicy mają polecone porzucić statek i na łódkach lub sankach podążać do ujść rzek syberyjskich i ztamtąd wrócić po łądzie stałym do Europy. Nie życzymy im takiej ciężkiej podróży.

Nie godzi się tu pominąć milczeniem wyprawy, która z poprzednią dość blizki ma związek, a na czele której stanął hr. Wilczek. Ze słów naszych wyżej przytoczonych wiadomo, że celem téj ekspedycji jest dostarczenie zapasów węgla i żywności dla „Tegetthoffa” i złożenie takowych na wschodnim brzegu Nowej-Ziemi. Hr. Wilczek, ziemczony magnat austryacki, uniósł się szlachetnym zapalem naukowym, oddawszy się całkowicie urzędzeniu austryackej wyprawy podbiegunowej. Na pierwszą przedwstępną ekspedycją poświęcił znaczny fundusz, na drugą wyprawę Weyprechta i Payera ofiarował również hojną ręką sumę 160 tysięcy z górą złp., prócz tego podjął dodatkową wycieczkę swoim własnym kosztem dla podtrzymania głównej podbiegunowej wyprawy. W owym zapale naukowo-podróżniczym porzucił hrabia żonę i troje dzieci i popłynął w czerwcu r. p. ku Norwegii; gdzie zebrawszy odpowiednie siły żeglarskie i naukowe ruszył z żywnością i węglem na statku żaglowym Isbjörn (Eisbär=

niedźwiedź polarny) ku Szpicbergen i Nowej-Ziemi. Dodatkowa ta wyprawa zamierza zająć się także naukowemi czynnościami, badaniem temperatury i głębokości morza, astronomicznemi wymiarami północnych brzegów Nowej Ziemi, które zaledwie w słabych dotychczas i niepewnych zarysach są znane. Nadto i geologiczne poszukiwania na wyspie mają stanowić przedmiot naukowych zajęć i pod tym względem Nowa Ziemia jest istotnie ziemią nową, nietkniętą, niezbadaną. Nie mniej ciekawemi mogą być również i zdobycze, jakie osiągnie tam sztuka fotograficzna, ile że z owych północnych stron posiadamy tylko ręczne, nie zawsze wierne krajobrazy. Sam hrabia Wilczek jest podobno niepospolitym znawcą sztuki fotograficznej, ma zresztą przy sobie także i fachowego człowieka.

Z powrotem zamyśla hr. Wilczek zawinąć do ujścia Peczory a ztamtąd odbyć podróż na sankach reniferowych do Archangielska i Petersburga.

Z innego źródła tymczasem dochodzi nas wiadomość, jakoby hr. Wilczek dotarł we wrześniu do pół-zach. brzegu Nowej Ziemi i jakoby się spotkał ze statkiem „Tegetthoff“ pod 76° 17' pół. szer., że następnie zawinął do Peczory i przez Petersburg znowu szczęśliwie wrócił do swego kraju ¹⁾.

Nowy zwrot w kwestyi bieguna północnego, zapowiadający istotnie ważne odkrycia, zawdzięcza głównie nauka spostrzeżeniom, jakie poczynili liczni żeglarze z Norwegii i Szwecyi w ostatnich trzech latach. Bez wrzawy i hałasu, bez czężej chętkliwosci płynęli ci ludzie bądź w naukowych bądź przemysłowych celach, nic niemal nie głosząc światu o swoich wielkich przedsięwzięciach i owoce swych badań i spostrzeżeń złożyli na ołtarzu nauki z całą skromnością, do której jakoś Niemcy przywyknąć nie mogą. Dla połowu ryb, jak wiadomo, wyływają rybacy skandynawskiego półwyspu na pełne morze albo na brzegi większych lub mniejszych wysp. Zwykle w tym celu wybierali wyspę Niedźwiedzią albo południową część Szpicbergen. W ostatnich jednak czasach przemysłowcy w celu większego zysku zwrócili się w inną stronę i zaczęli nawiedzać początkowo brzegi północnej Rossyi, następnie wyspę Nową Ziemię, gdzie polowali na konie, psy morskie i na niedźwiedzie. Zaczęły się rozchodzić wieści, że owe brzegi, owe wyspy dawniej za niedostępne uważane, nie przedstawiają wielkich do dostania się na nie trudności. Latem 1869 roku wypłynął kapitan Carlsen, jeden z uczestników obecnej węgiersko-austriackiej wyprawy, na niewielkiej rybackiej łodzi z północnego portu Norwegii dla wyszukania korzystniejszych miejsc do łowienia ryb. Na kruchej łódce puścić się śmiały żeglarz przez cieśninę Jugorską i wypłynął na Karyjskie morze, dotychczas tak groźne według mniemania żeglarzy z powodu wiecznych brył lodowych. Morze Ka-

¹⁾ Aus allen Welttheilen 1872. 2 heft 62.

ryjskie oblęwa od wschodu Nową Ziemię. Zachęcony powodzeniem płynął dalej nad brzegiem Syberyi aż do Białej wyspy, leżącej w odległości kilku mil od ujścia rzeki Obi. Na całej tej przestrzeni nigdzie nie spotkał lodu, nigdzie go też nie widział Carlsen jak daleko tylko oko sięgnąć mogło. Pomijając więc okoliczność, że śmiała wyprawa na rybackim żaglowym statku sięgnęła dotychczas nieznanego zagrożonego morza, wycieczka kapitana Carlsena przyniosła także dla samego żeglarza nadspodziewane, wielkie korzyści materialne. Wartość skór różnych, łoju i tranu, w tej wyprawie zgromadzonych wynosiła blisko 50 tysięcy złp. Kapitan Carlsen po powrocie zapewniał, że możnaby urządzić między Syberyą a Norwegią bezpośrednie połączenie drogą wodną, co by w handlu północnym wielkie sprowadziło ożywienie.

W swoim czasie nie zwrócono na to uwagi, nie oceniono należyte całej doniosłości wyprawy; przypisywano to szczególniejszym okolicznościom, które się rzadko przytrafiają. W tym samym roku angielski kapitan Palliser udał się jako przedsiębiorca myśliwy na północne brzegi Nowej Ziemi i doniósł zaraz, że ku swemu wielkiemu zdziwieniu mało spotykał po drodze lodu, jeśli się zaś niekiedy ukazywały bryły lodu, takowe wkrótce zupełnie znikwały. „Byłbym niewątpliwie opłynął Nową Ziemię dokoła, gdyby nam inny wypadek nie stanął na przeszkodzie: na brzegu wyspy spotkałiśmy nieszczęśliwych rozbitków jakiejś rybackiej wyprawy, których na swój statek wziąć trzeba było; w skutek czego wyczerpały się wcześniej nasze zapasy żywności i powrót do domu okazał się nagłym.“

I na te spostrzeżenia Pallisera nie zwrócono należytej uwagi, jakkolwiek zdawały się być zgodne z doświadczeniem, jakie w tych samych stronach poczynił Carlsen. Kiedy wreszcie trzeci żeglarz Johannesen z Norwegii po powrocie z podróży na morzu Karyiskiem, tak samo brzmiące nadesłał wiadomości o płynnym stanie morza, wtedy wszystkie ztąd pochodzące wieści okrzyczano jako wierutne kłamstwa, które niepowinny w błąd wprowadzać naukowych ludzi. Wyprawa Johannesena o tyle od poprzednich była ważniejszą, że dostarczyła wiadomości nie tylko o zachodnich brzegach Nowej Ziemi, ale nadto o całej rozległości Karyiskiego morza. Johannesen po dwakroć krążył po wodach tego morza, na północ i na wschód puszczając się dość daleko i co najważniejsza, na całej przestrzeni, nigdzie lodowych zapór nie spotkał, wszędzie obracał swym okrętem ze zwykłą na wodzie swobodą. To niedostępne jakoby morze, niby wiecznym pokryte lodem, od tej chwili zaliczone zostało do rzędu owych licznych bajek, jakim nieraz wierzyć każe nam nasza nieznajomość.

W następnym 1870 roku tak się ożywił ruch rybacki i myśliwy na wodach około Nowej Ziemi, że 60 okrętów wypłynęło z Norwegii w tamte strony i wszystkie znalazły te same dla żeglugi przyjazne warunki, to jest płynną, od lodów wolną powierzchnią morza w ciągu kilku letnich miesięcy.

Od téj pory spadała uczynom zasłona z oka. Błysnęła nadzieja przedostania się do bieguna od téj strony jeszcze nieznanéj. Podczas gdy w Niemczech bawiono się przygotowaniem różnych pomysłów, Szwedzi a zwłaszcza Norwegianie coraz tłumniej płynęli ku Nowéj Ziemi, goniąc za obfitym zyskiem, jaki dawał połów ryb i polowanie na dzikiego zwierza. Pośrednio korzystała na tem nauka, gromadząc coraz liczniejsze spostrzeżenia nad własnościami północnego morza, nad stanem i temperaturą wody i powietrza.

Ważne spostrzeżenia w tym względzie zawdzięcza nauka żeglarzom takim jak: Mack, Tobiesen, Johannesen, Dörma, Simonsen, Carlisen, którzy w jednym i tym samym roku, tj. 1871 w różnych miesiącach odbyli podróż bądź naokoło Nowéj Ziemi, bądź płynęli dalej na północ i wschód po wodach Karyjskiego morza. Przekroczylibyśmy granice naszego sprawozdania, gdybyśmy chcieli oddzielnie o rezultatach każdéj z tych podróży donosić, potrzebaby zresztą do tego mapp geograficznych, które się dopiero ukazały w specjalnych pismach, z jakich wiadomości nasze czerpiemy a o nie czytelnikom trudno. Poprzestajemy więc na treściwym rysie najważniejszych spostrzeżeń, jakie przez powyższych żeglarzy uczynione zostały.

W ciągu trzech lat zauważono jednostajnie powtarzające się zjawisko, mianowicie, że w letnich miesiącach brak był zupełny lodu na Karyjskiem morzu, ztąd swobodnie można było żeglować; jeżeli zaś wiatry napędziły od wschodu krę lodową, to lód był dość kruchy, niezbyt gruby, prędko topniał pod wpływem wyższej temperatury wody oraz powietrza i przez to nie tamował swobodnego ruchu okrętów. Takie powtarzające się stale zjawiska nie mogą być przypisywane chwilowemu tylko wpływom, wyjątkowym okolicznościom, pokazują przeciwnie, że prawdopodobnie rok rocznie zdarza się to samo. Mniemanie więc, jakie dotychczas w nauce panowało, jakoby morze Karyjskie było wiecznie lodem pokryte, należy już do rzędu nieuzasadnionych domysłów. Ostatnie jednak wyprawy norweskich żeglarzy dostarczyły jeszcze innych danych, nierównież ważniejszych. Wody naokoło Nowéj Ziemi sprzyjają żegludze nietylko w ciągu kilku cieplejszych tygodni w czerwcu i w lipcu, ale co ciekawsza, zostają w stanie płynnym w ciągu kilku miesięcy. Nie ma więc obawy, iżby okręt, co zaledwie zdoła wypłynąć na wody i puścić się nieco dalej na wschód i na północ, mógł być zagrożonym uwięzieniem wśród gwałtownie znowu powstającego lodu. Wprawdzie norweskcy żeglarze, o których tu właśnie mowa, nie posuwali się bardzo daleko na północ, nie docierali do zbyt wysokiego stopnia szerokości północnéj, co zresztą nie było ich zadaniem; ale Johannesen dopłynął aż pod $76\frac{1}{2}^{\circ}$ szer. pół., nigdzie nie spotkawszy żadnéj ze strony lodów zapory, a było to dnia 17 października 1871 roku. Ostatnia zaś wyprawa niemiecka, której tragiczne losy były w roku przeszłym na tém miejscu opowiedziane, dotarła nad wschodnim brzegiem Grenlandyi zaledwie do $74\frac{1}{2}^{\circ}$ szer. i tu w połowie października okręt jéj wpędzony między lo-

dy, sparaliżowany w swym biegu, wkrótce przez kry i burze strzaskany został. Grubość lodu wynosiła 15 cali. Johannesen zaś około Nowej Ziemi o dwa stopnie wyżej w tym samym czasie swobodnie pływał na żaglowym statku. Od połowy czerwca do połowy października, a zatem w ciągu czterech miesięcy, nie spotykał w swój podróży żadnej przeszkody. Dobrze więc zbudowany parowiec z nierównież większym pośpiechem mógłby z tak drogiego czasu skorzystać i puścić się znacznie dalej na wschód i północ.

Jak błędne w nauce dotychczas panowały pojęcia o tej części oceanu północnego, najlepiej wykazują wielce ciekawe spostrzeżenia przez Macka poczynione w ciągu ostatniej jego wycieczki, dotyczące temperatury wody i powietrza. Mack np. zauważył, że na wyspach Golfstrom, na północnym brzegu Nowej Ziemi pod $76\frac{1}{3}^{\circ}$ szer. półn. *średnia* temperatura w lipcu wynosiła $3^{\circ},8$ C., niekiedy zaś ciepło w słońcu dochodziło, szczególnie w drugiej połowie lipca, do 20 a nawet 37° 75 Celsjusza. Promienie więc słońca nawet pod 80° szer. północnej posiadają niezwykłą siłę, i widocznie potwierdza się to, o czém przed wielu laty donosił ze swój podróży Scoresby, jakoby na słonecznej stronie okrętu topiła się smoła, podczas gdy na cieniściej zamarzała woda. Przy takim więc stanie temperatury łatwo pojąć, że zimowe lody już w maju zamieniają się w wodę, która z kolei znówu topi lód, jaki przez wiatry napędzony od strony Syberii napływa.

Na tych spostrzeżeniach dostarczonych przez żeglarzy norweskich, przytem i na własnych, oparli pomysł swojej wyprawy Weyprecht i Payer, dwaj naczelnicy, kierujący wyprawą węgiersko-austriacką. Jeżeli się sprawdzą spostrzeżenia, jeżeli inne przypuszczenia nie zawiodą, nowa wyprawa może szczęśliwie przepłynąć po uad brzegami całej Syberii i dotrzeć aż do cieśniny Berynga. Byłaby to zdobycz niepomiernej wagi dla nauki, byłaby to chluba dla naszego wieku, nie mniejsza od tej, jaką odkryli swój czas Vasco de Gama, Bartolomeo Diaz i Kolumb.

Według instrukcyi „Tegetthoffa“ tylko przy wielce sprzyjających okolicznościach może marzyć o samym biegunie, bo główném jego jest przeznaczeniem przepłynąć od Nowej Ziemi do Berynga. Nie jemu więc prawdopodobnie dostanie się zaszczytna palma za zwycięstwo nad lodami, nie na jego masztach zawisną wieńce. . . z kryształów lodu, szronu i śniegu. . . W tych zapasach na lodowatęj arenie, gdzie owego pyłu olimpijskiego, o którym powiada Horacy, nie spotkasz w tém współzawodnictwie, Szwedzi postanowili wszystkich wyprzedzić. Przed kilku bowiem miesiącami wypłynęła także szwedzka wyprawa z wyraźnym zamiarem dostania się pod sam biegun. Więc słówko jeszcze o tej wycieczce.

Szwecya mająca cztery miliony mieszkańców i nie więcej jak 15 milionów talarów rocznego dochodu publicznego, wysłała latem przeszłego roku już piątą z rzędu znacznieszą wyprawę, dawniej na

Szpicbergen, obecnie pod biegun. Szwecya nie pozwala gnuśnić swęj marynarce. Wszak w latach pokoju można czynić zdobycze? Nauka ma swoję sławę, a żadna flota piękniejszych nie zdoła zrywać laurów, nad te, jakie dlań rosna na polu odkryć geograficznych i naukowych badań.

Rząd szwedzki nie szczędził kosztów dla urządzenia nowęj wyprawy. Ofiarował żelazny parowy statek „Polhem“ zaopatrzony go zupełnie w żywność i niezbędne przyrządy, obok tego i drugi żaglowy „Gladan“ a nadto w gotowiznie złożył 25 tysięcy talarów na pokrycie innych wydatków. Mieszkańcy jednego tylko miasta, Göteborga ze składek publicznych ofiarowali od siebie niewielką sumę, bo zaledwie 50 tysięcy talarów! . . . na cel naukowy. Szwedzka akademia zaopatrzyła wyprawę w naukowe przyrządy. Statek żaglowy „Gladan“ i drugi także żaglowy „Onkel Adam“ przeznaczone są do przewiezienia domu zimowego, który się składa z 6-ciu pokoi, kuchni, schowanka, łazienki, oraz do przewiezienia 3 budynków obserwacyjnych, 50-ciu reniferów, znacznego zapasu mchu dla reniferów i węgla jako opału.

Wyprawa bowiem, zostająca pod kierownictwem profesora Nordenskiölda, zamierza dopłynąć do wyspy Parry'ego, położonej pod 80° 40' północnej szerokości (nad Szpicbergen); złożyć tu swoje zapasy, odesłać dwa statki żaglowe i zostać na zimę, żeby ztąd w przyjaznej porze puścić się na sankach pod biegun. Professor Nordenskiöld mniema, że używanie reniferów do przewożenia żywności, zdoła zabezpieczyć się od głodu na trzy miesiące, a czas ten uważa za wystarczający, żeby się dostać do bieguna i ztamtąd znowu wrócić. Wyprawa wypłynęła już z Tromsø 21 lipca, w pierwszych dniach sierpnia znajdowała się w Green Harbour na zachodnim brzegu Szpicbergen, podążając ku wyspie Parry'ego.

Nie przesadzamy bynajmniej kierunku, jaki sobie wytknęła wyprawa szwedzka, ani sposobu, w jaki zamierzono dostać się do bieguna; co do podróży jednak na sankach mamy pewne wątpliwości, ażali się ona udać może.

Wprawdzie Anglicy: Mac Clintock, Mechem, Young, Richards, Osborn i inni, z wielkiem powodzeniem puszczali się na sankach w podbiegunowe strony północnej Ameryki, ale nienależy zapominać, że podróże swoje odbywali głównie między 75° a 77° północnej szerokości, jeden tylko Mac Clintock dotarł jeszcze o pół stopnia wyżej. Zdaje się jednak, że ocean Lodowaty północny szczególniej pod wyższymi stopniami szerokości północnej, mianowicie zaś od strony Europy, mniej korzystne dla sanny przedstawia warunki. Powierzchnia morza podobno ma być najeżona skałami lodowatymi, śnieżna zaś powłoka tak ma być krucha miejscami, że renifery toną nieraz w niezgłębioną przepaść. Dla przebycia więc choćby tylko 10° geograficznych od wyspy Parry'ego do bieguna, potrzebaby nie dwóch lub trzech miesięcy, ale przynaj-

mniej roku, a na taki przeciąg czasu należy mieć z sobą znaczne zapasy żywności, do przewożenia której trzeba by pędzić całe stado, kilkaset reniferów, a dla reniferów kilka tysięcy worków mchu. O takiej zaś karawanie trudno myśleć na bezdrożnych lodowatych stepach pustyni. Oby nasze obawy okazały się płonnemi!

Tymczasem smutne dochodzą nas wieści, za wiarogodność których wprawdzie ręczyć nie można. Wskazujemy źródło, z kąd płyną. London Illustrated News z 30 listopada roku przeszłego donosi, jakoby wyprawa szwedzka ciężkiemu uległa nieszczęściu. Podobno professor Nordenskiöld, dowódzca wyprawy, został wraz z okrętem swoim uwięziony przez bryły lodowe i całej osadzie grozi śmierć głodowa dla braku żywności. Na pierwszą o tém wiadomość w Kopenhadze, dwóch szlachetnych kupców ofiarowało swoje parowce z ogromnemi zapasami żywności, żeby jak najprędzej nieszczęśliwym ofiarom pospieszyć na pomoc. Król szwedzki nie przyjął ofiary i rząd od siebie już wysłał pocztowy parowiec dla odszukania śladów wyprawy i ocalenia od śmierci mężczyznów naukowych.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

NAUKOWA, LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Świat skandynawski. Dom Bernadottów. Królowie uozeni i artyści. Karol Jan: Zbiór listów etc. Oskar I: Dzieła z wydziału ekonomii politycznej. Oskar II: Poemat uwieczony przez akademię sztokholmską. Karol XV: Serya mapp na wystawie paryskiej, obrazy olejne, poemata osnute na mytach skandynawskich.—Poemat. Hejde, przekład francuski p. Lagrèze.—Jakób Babinet.—Teofil Gautier, poeta, powieściopisarz, dramaturg, publicysta.—Historya romantyzmu; obraz Wiktora Hugo walka z klasykami.—Dwie królowe, dramat wierszem Ernesta Legouvé z akademii francuzkiej.—Wspomnienie kronikarzy o Ingelburdze.—Listy Mazziniego do Daniela Sterna.—Dzieło p. About: „Alzacya w 1871—1872 r. — Przekład Hermana i Doroty, przez Edwarda Delinge.

W zeszcłej kronice przebiegaliśmy promieniste obszary Helady; dziś przeniesmy się do ciemnej krainy Pohija, onej tajemniczzej Hiperborei, tak strasznej dla ludów starożytnych.

Hellada i Skandynawia! jakaż różnica tych dwóch światów. Dwa te bieguny wprost przeciwne w historii ludów Europy, a jednak różnice te znikają, kiedy wpatrzymy się pilnem okiem w owe dwa społeczeństwa, greckie i skandynawskie, gdy porównamy je do sąsiednich im ludów czudskich. O ileż to bliższe Sagi normandzkie Iliadzie i Odyssei, aniżeli fiulandzkiej „Kalewali“, która przecież utworzoną już była pod wpływem żywiołów skandynawskich, to jest aryo-europejskich!

Do Skandynawii wprowadza nas poetyczny utwór króla Szwecyi i Norwegii, świeżo zmarłego Karola XV.

Rodzina Bernadottów zacząwszy od protoplasty swego Karola Jana, sławnego Bearneńczyka, podniesionego wolą narodu na tron Wazów, odznaczała się i odznacza niepospolitem światłem. Po tym znakomitym założycielu dynastyi, pozostały kilkotomowe zbiory *listów urzędowych, mów, rozpraw* i t. p. zalecające się życiem i pięknością stylu. Syn i następca jego Oskar I pracował nad ekonomią polityczną i strategią. Rozprawa jego o *wiezieniach i karach*, zwróciła powszechną uwagę. Tłumaczono ją na rozmaite języki.

Dwaj synowie Oskara poszli w ślad za ojcem, rozszerzając jeszcze koło działania. Obok ścisłych nauk matematycznych i strategicznych, obaj uprawiali poezję i sztuki piękne. W roku 1858 panujący dziś Oskar II otrzymał od akademii stocholmskiej nagrodę konkursową za posłany bezimiennie poemat: *Ur svenska Flottans minnen*. Starszy z braci zmarły niedawno Karol XV dał się poznać jako statysta, malarz i poeta. Na wystawie międzynarodowej w Paryżu w r. 1867, widziano seryę mapp hypsograficznych, przemysłowych i leśnych, wykonanych jego własną ręką. Pozostały niemniej po nim obrazy olejne, przedstawiające ważniejsze chwile z dziejów szwedzkich; oraz dzieło prozą p. t. *Towarzysze broni*, i cztery poemata drukowane bezimiennie pomiędzy 1852—1858 rokiem, gdy był jeszcze następcą tronu.

Przedmioty do tych poematów brane z mitycznych podań skandynawskich. *Saga o Wikingu* opiewa przygody po morzach i lądach jednego z tych dzielnych wodzów normandzkich, którzy w średnich wiekach z ogniem i mieczem przebiegli Europę, burząc to co przeżyło swój czas, a zarazem budując nowe państwa i sprzęgając je między sobą ścisłym węzłem. W innym znów poemacie p. t. *Hejda*, podjął autor jedną z najśliczniejszych Sag skandynawskich, o Odinie wodzu Azów, który pokonany na wschodzie przez Pompejusza, przypływa na skaliste brzegi kraju Suithiod, sprzymierza się z panującym tam Gylfem królem Jotonów czyli olbrzymów, i na stromych opokach północy zakłada sławne gniazdo, z którego okręty miały wkrótce rozlecieć się po całej Europie, od Dniepru do Sekwany, od Tamizy po Sycylijskie wybrzeża.

Z tą ostatnią powieścią chcielibyśmy zapoznać czytelników.

Odin przybywa ze starego Azgardu na północ do półnóża wielkich gór. W tym kraju siwowłosy Gylf potomek dawnych królów, zasiada jeszcze na chwiejącym się tronie, ale ramię jego osłabło, ręka nie dźwignie berła, sławny miecz zarzewiał już w pochwie. Gylf przyjmuje gościnnie wielkiego Odina wodza Azów; nie wystąpić mu już do boju, pragnie tylko odpocząć pod cieniem dawnej chwały.

Inne uczucia miotają sercem jedynej córki królewskiej. I oto wieczorem kiedy Gylf siedzi zadumany i pogląda na ostatni promień zorzy gasnącej w nocnym pomroku, przybliża się doń świeża jak kwiat Hejdea; powraca z łowów, złocisty włos uwity w pierścienie przysłania udatne jej ramiona. Patrzy z miłością na ojca; oczy jej połyskują lazurem. Dziewica przystępuje do króla gór i białą jak śnieg ręką, pieści lica jego zorane w bruzdy.

— Ojciec mój—zagadnie—prawdaż że oddajesz Azom królestwo otoczone morzami, nad którym trzymasz berło? Zkąd ta miłość twoja ku obcym? Nie dośćże to krzepkie moje ramie? Alboż to raz w czarnym ostępie leśnym powaliłam niedźwiedzia króla puszczy? Oddaj mi twój płomienisty miecz, a ja wygnam obcych przybyszów, ocałę królestwo i siwy włos twój uchronię od bezeześci!

Tak mówi piękna Hejdea. Starzec uśmiecha się słodko i wyschłą ręką pogładza śnieżną brodę.

— Widzę—odręcze łagodnie—ze w sercu twém kipi krew dzielnych synów Północy. Lecz zapasy już nie na dobie! Poprzysiągłem zgodę i pokój przybyłym Azom, miecz mój nie wyjdzie z pochwy, synowie bogów odziedziczą tę ziemię.

Jak młoda jodła co podnosi dumnie głowę nad skały pokryte białym szronem, tak ty wyrosłaś córko z krwi dzielnych zapaśników miecza. Ale szyszak zbyt twardy na dziewiche twe czoło. Kiedyś promień słoneczny stopi łód piersi twojej i napełni ją słodkiem uczuciem. Tobie dziecię zakwitnąc w pośród Azów.

Rzekł, a białe jagody dziewicy zapłonęły barwą różową, jak płoną śnieżne wierzchołki gór oblane promieniem zorzy.

Hugin i Munin cudowne kruki ukazują Odnowi uroczę miejsce na wybrzeżu ocienioném olchami. Tam stanąć ma przybytek Azów. I niebawem wspaniała świątynia Sigtuna, podnosi czoło w górę. Baszty jej sięgają do stóp niebieskiej Walhalli.

Tubylce Jotony patrzą na to z niepojętą trwogą. Godził się im olbrzymom ustąpić przed garstką przybyszów?

— Co będzie z nami?—mówią—jeśli Azy opanują wybrzeża? ssać będą szpik ziemi naszej. I cóż nam zostanie? puste skały pokryte wiecznym śniegiem! Oddajmy życie w obronę siedzib naszych.

I olbrzymy zbierają się tłumnie i niby fale morza parte szalonym wichrem spadają na brzegi Melaru.

Wielki Odin zebrał też wojownice swe druhy. Sztandar Azów który przywiódł ich z Azy powiewa im nad głową. Widok olbrzymów nie przeraża ich wcale. Umieją oni rąbać mieczem, wiedzą że bramy Walhalli otwierają się dla poległych. Odin czeka na polu bojowém jak złoty posąg na ołtarzu w Sigtunie.

Dwa zastępy rzucają się na siebie: z jednej strony przewaga siły, z drugiej potęga ducha. Thor twardym młotem powala w pień olbrzymów. Obok Odina walczy cudnie piękny młodzieniec z czołem jasném jak niebo: to syn jego Sigurlan.

Walka wre. Trzy postannice niebios spadają z obłoku na wiatronogich biegunach; to Walkyrye! Dumna Gadour i zwycięzka Rota dziki wzrok wlepiły w walczących, trzecia z nich ponura Skalda kresli na tarczy zaklętymi runami, tajemnicze wyroki losów. Zapaśnik nie rozumie tych zgłosek, rozumie je tylko bard i wysnuwa z nich wieszczę pienia.

Jak potoki z grzmiącym hukiem spadają z gór na wiosnę, tak wściekłe olbrzymy uderzają na Azów. Pod ciosem maczug pękają żelazne pancerze. Straszny Dumbar rzuca się na Odina, zylastą ręką podnosi złom granitu; tylko patrzeć przywali bohatera. Odin odwraca się, razi olbrzymia twardym mieczem. Wtedy sześcioramienny Starkotter po trupach Azów, kroczy niby olbrzymia góra co wałąc się przygniata drzewa i opoki. Wstrzymuje go piękny Sigurlan.

Już słońce pochyła się na zachód a olbrzymy i Azowie jeszcze walcą; walcą jak rozhukane fale pędzone wiatrem na skaliste wybrzeża.

Bogowie radzą w Walhalli, wyrok ich daje zwycięstwa Azom. Nowa moc wstępuje w Odina, z oczu jego wybucha płomień; gdy podniesie miecz, serca wrogów omdlewają z przestachu. I niebawem rozstrzyga się los bitwy. Dzielność ducha przemaga nad siłą. Olbrzymy uciekają, istne chmury pędzone skrzydłem burzy.

Dość już krwi. Po okropnym obrazie walki poeta stawia nam przed oczy śliczną postać dziewicy płasającej wśród wód jeziora. Siostro to naszej uroczej Świtezianki! tak piękna, że rybki wychyliły z pomiędzy sitowia główki pokryte srebrzystą łuską i patrzą z podziwem na cudowny twór boży.

Kiedy bujne pierścienie złotych jej włosów uniosą się nad fale, świecą jak promień słońca odbity na tle wody. Perły spadają z jej czoła, jak w poranek wiosenny krople rosy z barwnej korony kwiatu.

Młody Wiking patrzy z daleka na to czarodziejskie zjawisko. Stoi skamieniały. Chce się zbliżyć, istnieje jak strzelec do naszej Świtezianki. Nagle dziewczica znika pokryta lasem trzciny.

Kto był młodzieniec? To Sigurlan dorodny syn Odina. Kto dziewczica? To Hejdea nadobna córka Gylfa. Zkądże to ich spotkanie? Freja bogini miłości wysłała do nich na łuku tęczy posłannicę niebianów, młodą Lofen... Onato sprowadziła ich tajemnym poszeptem nad jezioro.

Długo młodzian stoi nad brzegiem i pyta modrej fali, kto ta czarodziejka co urzekła mu serce? Kwiat-li to nieznany, wyrosły z głębi wód, czy niebianka obłąkana z progów Walhalli? Jezioro milczy, głucho na pytania i skargi młodziana. Sigurlan oddala się, wprzód jednak ostrzem miecza kreśli znak runiczny na opoce.

Znak ten widać po dziś dzień u wybrzeży Melaru.

Nadszedł czas dorocznych ofiar: drzwi świątyni rozwarły się na oścież; pochodnie zabłyły w przybytku. Na hasło Odina kapłani wprowadzają ogromnego odyńca do świątyni pokrytego złotem i srebrem. Odin dobywa z za pasa święty nóż, zatapia go w sercu ofiary.

Pieśń obrzędowa rozlega się o ściany przybytku; czara miodu przebiega z rąk do rąk: drużyna przysięga sobie wzajemną wiarę.

Młody Sigurlan spostrzegł podczas uczy cudną dziewczicę, podobną do czarodziejki jeziora. Zdumiony goni ją cheiwym wzrokiem; język jego oniemiał, zrenice tylko błyszczą, niby słońce o wschodzie.

Ale dziewczica znikła i smutek pochmurzył czoło młodziana. Tęsknota chłodna jak szron noey jesiennj przenika do głębi jego serca.

Kilka dni upłynęło; Sigurlan spotyka znów piękną Hejdeę w gaju, blisko domu starego króla Gylfa.

— Wysłuchaj mnie—rzecze z zapalem—jestem sam, nie mam przyjaciół ani złota; mam tylko miecz w prawicy, mam tylko w sercu pożerający płomień. Poprzysiągłem sobie że wnet zdobędę kraj i berło!... zdobędę je dla ciebie... powiedz, przyjmiesz-li tę ofiarę.

Córa Gylfa nie słucha młodziana: wstręt ku obcym przybyszom przemaga w jej sercu nad rodzącem się już uczuciem. Pomieszana ucieka do świątyni, zapytuje kapłanek, znajdzie-li u stóp ołtarzy dawny spokój, którego szuka nadaremnie jak ptaszyna zburzonego gniazdeczka.

Hejdea ma się poświęcić służbie bogów. Nadszedł dzień uroczysty. Niepodległa córa północy trwoży się; żyła dotąd nie skrepowana żadnym węzłem. Słyszcy jakby głos tajemniczy: „two serce nie należy do bogów, twe serce posiada Sigurlan!“

Syn Odina chce być świadkiem uroczystości. Patrzy na piękną kapłankę w śnieżnym płaszczu, przepasaną srebrzystym pasem. Widzi jej walkę, jej boleś, widzi jak z nadludzkim wysileniem podejmuje złoty pierścień z ołtarza Thora, jak wymawia słowa przysięgi, jak łzy ciche, niby deszczyk majowy płyną po jej białych jagodach.

Prosto z obrzędu młodzian pospiesza na północ do górzystego kraju Quinland (Finlandyi).

Kapłanka tęskni u stóp ołtarzy, wędnieje jak anemon bez słońca i powietrza. Boginie z wyżyn Walhalli patrzą na cierpienia dziewicy; przejęte litością udają się razem do ojca nieśmiertelnych.

— Ojcie bogów!—zawołają błagalnie—ty, przed którym żadna myśl ludzka nie może się utaić, spojrzij na piękną Hejdeę gasnącą wśród łez i tęsknoty. Spuść na nią jedyny promyk tego światła co napęlnia twój wiekuisty przybytek. Ona pokonała w sercu ziemską miłość, zesłiżże jej w zamian iskrę mądrości.

Ojciec bogów skinął głową, przywołał Bragego, niebieskiego harfistę.

— Niechaj—wyrzecze—piękna dziewica otrzyma dar proroczy; niech zakosztuje bógiego spokoju dostępnego tylko nieśmiertelnym: sam Odin może rozwiązać jej zaklęcie.

I Brage rozwinął skrzydła, zwrócił lot ku północy.

Brage przez modre pomyka lazury,
Upada gwiazdą na Melaru łono;
Widzi nad brzegiem dziewicę uśpioną:
Z cicha się zbliża do królewskiej córy.
U jej wezglowia rój Elfów uroczy,
Srebrnemi skrzydły szeleści dokoła;
Dotyka lekko złocistych warkoczy,
I błądą chmurę zganiania sennęj z czoła.

Oh! dziwnieź piękna! jak wiosna w rozkwicie,
 Gdy z ramion śnieżne odtrąci okowy;
 Gdy piersi tchnieniem rozsziewa w krąg życie,
 I rankiem lasy uwieńcza w liść nowy.
 Smętym urokiem owiane jęj lica,
 Gładkie jęj czoło promień słońca pieści;
 Długimi rzęsy przyómniona źrenica,
 Nie błysnie żarem ani łzą boleści.
 Spokój ogarnął jęj całą istotę,
 Lecz serce bije— dusza cierpi jeszcze;
 Brage uderzył w struny liry złoty:
 Śpiewa nad seuną swe zaklęcia wieszczce.

Gdy się zbudzisz, o dziewojo,
 Oko w nieba wzniesź obszary,
 Przed źrenicą błyszczą twoją
 Nowe cuda, nowe czary;
 Nowe blaski cię otoczą,
 Od Walhalli jasnych progów;
 Zanuć wtedy pieśń proroczą:
 Objaw ziemi wolę bogów.

I bóg pieśni składa cichy pocałunek na czole królewskiej dziewicy. Hejdea budzi się nagle i oko jęj pała jak słońce. Zrywa się, śpiewa, a głos jęj natchniony brzmi jak szum potoku spadającego z gór na dolinę.

Moje żyły war rozsadza,
 Boski płomień pierś mi pali;
 Myśl zaklęta pędzi władza,
 Do rozwartych wrót Walhalli.
 Gwiazdy dzwonią w chór nademną,
 Pieśń cudowną, pieśń tajemną;
 Tam już sięga oko moje,
 Zkąd żywota płyną zdroje:
 Cuda widzę, cuda słyszę,
 Zbiegam lądy, zbiegam morza;
 To na falach się kołyszę,
 To w zaklęte mknę przestworza;
 W nieskończonym mym rozpędzie,
 Zdzieram pomrok z wieków łona,
 Z oczu spadła mi zasłona:
 Wiem co było—wiem co będzie!

I piękna Hejdea córka Gylfa zmienia się w wieszczą Walę, i śpiewa pieśń długą, tajemniczą, o początku wszech rzeczy ¹⁾.

¹⁾ Pieśń ta którą opuszczamy, jest parafrazą pieśni kosmogonicznej Wali w Eddzie skandynawskiej.

Córa królewska śpiewa pieśń proroczą,
 Krąży samotna zdaleka od ludzi;
 Odblaski nieba w jój oku migoczą,
 W piersi spragnionej skra wieszczą się budzi:
 To lotem orlim pomknie słońca blisko,
 To się do ziemi znów przytuli łona;
 Wiecznie marząca i wiecznie natchniona,
 Krąży samotna jak nocne zjawisko.
 Żyje na ziemi nie pomna o życiu,
 Na jój źrenice upadła mgła senna;
 Duch się szamocze w niój z ciałem w rozbiciu:
 To nie kobieta—lecz Walla promienna.

Długo dziewica obiega z pieśnią milczące wzgórza i doliny; aż
 nakoniec spotyka Odina, który wraca z dalekiej wyprawy. On sam
 Odin rozwiązać może zaklęcie. Na widok zaczarowanej królowny,
 serce jego uderza litością. Podnosi cudowną różczkę swoją. I oto
 sen rozwiął się jak tuman mgły; Hejdea zdziwioném okiem pogląda
 wkoło siebie i krasa młodości zakwita jak dawniej na jój lieu.

Odin prowadzi ją do domu króla Gylfa. Starzec usycha z każ-
 dym dniem, niby stuletni dąb pozbawion odżywiających soków. Hej-
 dea nie opuszcza już ojca: czuwa nad nim jak w noc zimową księżyc
 czuwa nad uśnieżoném polem.

Dnia jednego zasiadł Gylf na kurchanie ponury i milczący, po-
 dobien do tajemniczych run, w których dano czytać samym tylko
 bogom. Włosy bieluchne jak śnieg spadają na czoło zorane trudami
 żywota i brzemieniem korony. Siadł na kurchanie, w którym po-
 grzebana droga jego sercu małżonka.

Odin staje u boku starca, przynosi mu słowo otuchy.

Gylf uśmiechnął się słodko.

—Matką moją—rzecze—była zgryzota, ojcem ból, braćmi zacięte
 boje, domem straszliwa ciemność. Rad jestem że grób woła mnie na
 łono wiecznego spokoju.

I konający oddaje córkę Odinowi. Niechaj on czuwa nad nią;
 niech Azy panują w tój ziemi, niech promieniem bijącym z ich czoła
 rozjaśniają wiekuiste ciemności, jakie ją ogarnęły.

Słońce rumieni białe wierzchołki gór. Ostatni król gór kona
 przekazując dziedzictwo Azom. Zielony kurchan otworzył znowu
 ciche łono: starzec spoczął obok małżonki. Nie zarosła przeciw trawą
 ścieżka wiodąca do kurchanu: wydeptały ją stopy Hejdei. Co wie-
 czór córka idzie zapłakać na grobie rodzicielskim: gwiazdy ukazują
 jój drogę.

Trzy zimy ubiegły odkąd stary Gylf opuścił strome skały.
 Hejdea przebywa w Sigtunie. Nagle podczas dorocznych obrzędów
 jawi się mąż krzepki i rosły jak świerk, odzian niedźwiedzią skórą.

Przybywa z krańczyn Północy: opowiada jak Sigurlan syn Odina zwałczył tam Hennera króla Quensów, jak wydarł miecz z rąku olbrzyma, jak podjął jego berło.

Drużyna słuca, krew kipi w sercu dzielnych, okrzyk rozlega się po sali. Hejdea siedzi milcząca obok Odina; lica jej płoną barwą kwiatu, myśl ulata na skrzydłach między strome skały Północy do boku zwycięzkiego Sigurlana.

Oczyli przysięga wykonana bogom nie wzbraniała kapłanu ziemskich ślubów, czy też Odin miał prawo rozwiązać tę przysięgę? nie wspomina o tém poeta; opowiada tylko jak nad brzegiem Melaru Azowie gromadzą się na weselne gody, jak rogi pełne miodu przebiegają z rąk do rąk, jak bogowie sami radują się w Walhalli, jak boski harfista Brage zstępuje z błękitnych przybytków z harfą złotą, jak w pośród uczującej drużyny opiewa zwycięztwo Sigurlana i szczęście młodej pary.

Mijają lata. Sigurlan słodko panuje w Quienlandzie złączon z Hejdeą wiecznym węzłem. Szczęśliwa żona i matka patrzy z rozkoszą na syna, młodzieuchne piskłę z rodu orłów, przeczuwając w nim wielkiego bohatera.

Chmury tymczasem zbierają się na Północy: król Thyas uderza na Azów. Walka wre, szczękają miecze, krew strumieniem toczy się po wąwozach. Sygurlan ugodzony maczugą chwieje się, ma już upaść, kiedy z boku przypada młodzieuchne pachole: to Suafurlan, syn jego nieodrodny. Uderza na olbrzymów, siecze ich w pień; Thyas dobiega łodzi z garstką niedobitków. Spokojność panuje znów w kraju Quienland.

Ale młodemu orłociu nie wytrwać już w gnieździe rodzicielskiem: dopada bieguna w towarzystwie druhów, uganiania w boru dziki i jelenie. Dnia jednego sam zabłąkany w lesie słyszy chór wybiegający przez rozpadliny góry: karły kują miecz dla olbrzymów. Młodzian wdziéra się w głąb, jaskini wrywa miecz przerażonym karłom: ten miecz to sławny Tyrfing, tylekroć opiewany w Sagach.

Podczas kiedy młodzian zdobywa zaklęty oręż, łodzie Thyasa przybijają do lądu. Król nagle zaskoczony nie zdoła oprzeć się strasznej sile: pada ugodzon ręką olbrzyma.

Cudowne kruki noszą zakosną wieś pod złociste sklepienia Siktuny. Wielki Odin płynie do kraju Quienlandów. Noc zapadła. księżyc błyszczał srebrzystym sierpem, kiedy Odin przybił do lądu. Spocząwszy chwilę zapuszcza się w gęsty las: nagle posłyszysz głuchy tętent, widzi dwóch jeźdźców uzbrojonych od stóp do głowy.

— Kto jesteś błędny starcze?—zapyta jeden z nich—czemu nie siedzisz spokojnie przy ognisku pod cieniem twojej chaty?

— Młodzianie— odrzeczcie słodko Odin— śnać nie byłes jeszcze nad brzegami Melaru, kędy miecz zrumienił krwią Jotonów każdą piędź ziemi; inaczej nie pytałbyś kto ten starzec, który jawi się oczom twoim!

Słyszysz to młodzian, rzuca się do nóg starca, poznaje w nim dziada swego Odina. Tym młodzieńcem Suafurlam syn uroczej Hejdei. Odin kładzie obie ręce na głowie wnuka zwieńczonej w pierścieniach złotych włosów, wzywa Thora niech uzbroi w moc jego ramię, woła Walkirye niech towarzyszą młodemu Wilkungowi, gdy jak piorun uderzy na olbrzymów, by pomścić krew ojcowską.

Młodzian oddala się pędem strzały. Odin wspiera głowę o powalaną sosnę; twardy sen pada mu na powieki. Widzi we śnie Walhallę w pełnym blasku; słyszy złoto strunną harfę Bragego; spostrzega Thora z olbrzymim młotem i Tryę błyszczącą jak gwiazda polarna w gronie bogów. Nagle czarny tuman przysłania złociste sklepienia, ziemia drży, kolumny druzgocą się z łoskotem, zawalają przestrzeń, a z pomiędzy gruzów wyrasta krzyż sięgający czołem pod gwiazdy.

Zorza zrumieniła pół nieba, kiedy Odin ocknął się ze snu. Zatonął w krąg oczyma; serce starca uderzyło z otuchą. Wieszczy sen bynajmniej go nie trwoży, czuje się krzepkim jeszcze; śmiałym krokiem podąży naprzód, podąży między skaliste wzgórza.

Nagle zatrzymuje się. Cóż to za postać błąda i tajemnicza siedzi na złomie skały? Postać-że to żywa, czyli bóstwo zbiegłe z progów Walhalli? Długi złocisty włos spada na jej ramiona, obie ręce przyciska do piersi. Oczy modre jak błękit nieba wlepiła w siną przestrzeń, z jej ust wybiega cicha skarga.

Dla mnie na ziemi już niema czaru,
Radość mi przyemił półmrok żałoby;
Gdzie śród pustego spojrzę obszaru,
Widzę ja tylko groby i groby!

Głos co zapalał cudowną siłą,
Jak słońce czystą miłość w mém łonie,
Umilkł przygłuszon chłodną mogiłą;
Pierś nie uderza, oko nie płonie.

Wypadł miecz z ręki Wikinga dzielnej,
Rdza grobu twardą przegryzła stal!
Ból życie moje stargał śmiertelny,
Została tylko pamięć i żal..

Długo zawodzi nieszczęśliwa. Odin zbliża się, poznaje synowcę. To już nie Héjdea, lecz znowu wieszca Walla; stopą ledwie dotyka ziemi, oko jej tonie w lazurze, myśl ściga nieskończoność.

Powstajesz skały i cichym głosem śpiewa żalostną pieśń łabędzią.

Zbliża się chwila, ona już blizka
 Posady ziemi wnet się rozkruszą;
 Co w oku ludzkim jasno połyska,
 W proch się rozleci: czują to duszą!

Zbliża się chwila, zrenice moje
 Widzą przez mętne rumowisk dymy;
 Głazy runiczne pękną na dwoje,
 Ziemia pochłonie straszne olbrzymy!

Zbliża się chwila, z krwi oschną miecze,
 Zakwitnie pokój, ustąpi trwoga;
 Zdrój łask obmyje serce człowiecze,
 Świat do nowego podąży Boga.

Wala, duchem proroczym widzi przyszłość, lecz nie pragnie dla siebie tej przyszłości. Dość dla niej uroku Walhalli: zajrzała w jej progi złociste, poznaje tam ojca z białym jak mleko włosom i ukochaną matką i Sigurlama w twardej zbroicy, w błyszczącym szyszaku, z ręką opartą na rękojeści miecza. Słyszy ich głos w pogwizdzie wiatru, w szumie potoku huczącego po skałach. Wdzięra się na stromy szczyt opoki, żegna świat ostatniem spojrzeniem i rzuca się w spienione fale.

Plusnęły wody; złote pierścienie włosów unoszą się chwilę nad powierzchnią, jakby fala nie śmiała ich pochłonać. Wielka panuje cisza, Odin stoi osłupiały, długo patrzy w tajemnicze wód łono.

A potem wolnym krokiem idzie do brzegu, siada na łódź, rozwija żagle i pchany wiatrem pomyka do Syktuny.

Tam powołuje wiernych druhów: „Czas już nadszedł, Norny odmówiły mi zaszczytnego skonu na polu bitwy. Mamże czekać, aż smętna Hela powali mnie na łożo? Nigdy! niechaj miecz otworzy mi bramy Walhalli. I wy przechowujcie męztwo w piersi waszej! nie trwóźcie się krwawych zapasów, życie waleczni, wolni i szczęśliwi.“

Umilkł. Pochwyił za miecz, utkwił go w starej piersi. Krew kropla po kropli spada z wyschłych żył, a duch bohatera ulata w promieniste wrota Walhalli.

Poznanie poetycznych utworów zmarłego króla szwedzkiego zawdzięczamy panu Lagrèze, który przełożył je niedawno na język francuzki. Uczony tłumacz dodał ciekawe dopiski o mytologii skandynawskiej.

Mytologia ta, z której autor bierze motywa do swych poetycznych powieści, nabiera dziś wielkiego znaczenia z powodu postępu krytyki historycznej. Wiadomo bowiem, że imiona Azów, Wannow, Jotunów są nazwiskami ludów nie bajecznych, ale znanych w historii. Rzeoz godna uwagi, iż tradycye o Odinie znaleziono u tubylców

Ameryki. Mamy właśnie przed sobą obszerną rozprawę p. de Charney, pod tytułem: *Le mythe de Votan; étude sur les origines asiatiques de la civilisation américaine*. Nie zaniedbamy zdać sprawy z tej ważnej publikacyi.

Francya literacka i naukowa poniosła w końcu zeszłego roku dwie bardzo dotkliwe straty: w Jakóbie Babinecie, znakomitym fizyku i Teofilu Gautier, utalentowanym poecie, powieściopisarzu i publicyście. Obaj ci niezmordowani pracownicy przez lat czterdzieści z górą zasilali pierwsze przeglądy i pisma, jeden naukowemi, drugi literackimi rozprawami; obaj rzucali światło pełną ręką: Babinet wulgaryzując astronomią i inne gałęzie nauk ścisłych, Gautier wyrażając zręczną i pełną życia krytyką, smak estetyczny w narodzie.

Ocenienie prac Babineta nie do nas należy, potrzeba na to specjalnej nauki; przypomnimy tylko, że jego to rozprawy naukowe w Przeglądzie dwóch światów i Debatach, dały przed kilkunastą laty myśl nie odżałowanemu Apolinaremu Zagórskiemu do *gawęd naukowych* drukowanych w Gazecie Warszawskiej, które tak chciwie u nas czytowane bywały. Zagórski nie tłumaczył, nie kompilował nawet Babineta, nie szedł na oślep za nim; więcej wątkudostarczał mu Franciszek Arago i inni koryfeusze nauki, pamiętamy przecież jak cenił Babineta. Łatwo to wytłumaczyć: byli oni spokrewnieni duchowo; uczucie wysoko religijne ożywiającej obudwóh, łączyło ich i w pojmowaniu nauk ścisłych.

Teofil Gautier urodzony w roku 1811 w Pirenejach, należał do tej plejady karczowników, którzy z Wiktorem Hugo torowali na przebój nową drogę w literaturze. Wcześniej, bo w 19 roku życia występuje on na pole literackich zapasów: pierwszy zbiór jego poezyi nosi datę 1830 roku; ostatnie dzieło pod tytułem: *Historja romantyzmu*, drukowane w dzienniku *Bien public*, zostało przerwane w połowie; śmierć wytrąciła autorowi pióro z ręki. Pomiedzy pierwszym a ostatnim utworem widzimy długi szereg prac, objętych w około dwustu tomach najrozmaitszej treści. Są to i poezye i dramata i powieści i opisy podróży, nakoniec niezliczone sprawozdania z dziedziny literatury i sztuk pięknych.

W sztukach pięknych Gautier wytrawnym był znawcą. Artykuły jego o paryzkich wystawach, kreślone w ciągu lat 40 naprzód w *Pressie*, następnie w *Monitorze*, były niejako sądem ostatniej instancyi. Ogół szedł za zdaniem krytyka, uznanie jego więcej często-kroć znaczyło dla artysty, niż złoty medal ofiarowany mu przez urzędowych sędziów. Główną cechą krytyki Gautiera było to, że nie wyszukiwał nigdy plam na słońcu; nie szło mu o wytykanie usterek, tak niezbędnych w każdym utworze ręki ludzkiej, na każdym polu sztuki. Szukał on przedewszystkiem życia; z rzutów pędzla umiał odgadnąć

tętno, jakie poruszało pierś artysty; z pierwszych prób domyślał się twórczej potęgi, jaką czas miał rozwinać: odczuwał płomień ukryty w zaledwie tlejącej iskierce. On to pierwszy odgadł geniusz Henryka Regnaulta, wówczas kiedy sędziowie odmawiali mu wręcz medalu za drobne uchybienia przeciw formułkom szkolnym, kiedy inni krytycy zrażeni dziwactwami najoryginalniejszego z malarzy dzisiejszych, sztydzili bez litości z młodzieńczych jego utworów.

Oprócz dziennikarskich sprawozdań Teofil Gautier zbożcił historię sztuki cenionem powszechnie dziełem *Les beaux arts en Europe*. Dzieło to obejmujące wszystkie wydziały: malarstwo, rzeźbę, architekturę, skreślone z nieporównanem życiem w sposób popularny, przyczyniło się wiele do wyrobienia smaku estetycznego w dzisiejszém pokoleniu Francuzów. W licznych opisach podróży: do Włoch, Hiszpanii, Konstantynopolu i t. p. autor głównie zwraca uwagę na rozwój sztuki, na jej historią, przechowaną w pomnikach. W pierwszjej młodości Gautier kształcił się na artystę; przebywał czas jakiś w pracowni malarza Rioult, mimo że wkrótce porzucił pędzel a pochwycił za pióro; z odbytych przecie studyów pozostała mu gruntowna znajomość pierwszych zasad sztuki, rozwinięta długoletnią pracą, ożywna gorącym zamiłowaniem.

Z poetycznych jego utworów ceniona powszechnie *Legenda o Albertusie i Komedia śmierci*, poemata pełne samodzielności w pomysle, wykonane mistrzowskim wierszem. Zbiór lirycznych pieśni pod tytułem: *Émaux et Camées* zaleca się niemniej niezrównaną pięknoscą formy. Ocenienie tych utworów poetycznych zostawiamy na później: w tej chwili nie mamy wszystkich pod ręką.

Próbował Gautier sił na polu dramatycznym; tu jednak nie znalazł powodzenia, mimo że znał doskonale zasady sztuki, jak się to pokazuje z tygodniowych sprawozdań. Jego *Żydówka z Konstantyny*, grana w roku 1846 w teatrze *Porte Saint Martin* upadła po drugim czy trzecim przedstawieniu. Młody wówczas autor nie zraża się tém bynajmniej, do chóru sarkazmów dziennikarskich łączy wesoło i swój głos, szydzi w odcinku Pressy z własnego utworu w sposób tak dowcipny i tak pocieszny, że zamyka usta krytykom.

W układzie baletów nierównie był szczęśliwszy. Uroczą jego *Gizella*, obiegła całą Europę. Jakaż to poezya w tych Willach pląsających przy bladym promieniu księżycal W *Peri*, poeta stawia nam przed oczy całe bogactwo czarodziejstw wschodnich: w *Sakuntali* wprowadza nas w zakłąty świat indyjskich mytów.

Z pomiędzy licznych powieści, szczególne obudził zajęcie jego *Kapitan Fracas*, pisany z dnia na dzień i drukowany w Pressie. *Romans Mumii*, odtwarza żywy obraz starożytnego Egiptu. Jako krytyk utworów literackich, Gautier stoi tuż przy Juliuszu Janin i Ste Beu-vie. Artykuły jego zebrane w jedną całość z odcinków Pressy tworzą pełen życia obraz literatury, wielkiej części wieku XIX-tego.

Przerwana w połowie *Historja romantyzmu* należy do najważniejszych prac autora: Gautier kreśli ją z własnych wspomnień. I kogóż nie zajmują te chwile wielkiego przełomu, kiedy umysł ludzki pobnięty siłą, z której sam nie umiał zdać sprawy, wyrwał się z gniojących go więzów szkolarstwa, szedł na przebój druzgocząc wszystko co mu stało na drodze. Każda epoka ma swoich Kolumbów w świecie ducha, każda zdobywa przyszłość kosztem nadwyzwyczajnych ofiar, bohaterów i wysiłen. I cóż dziwnego, że świadkowie i współdziałacze tych olbrzymich zapasów, przeżywszy czasy walk i czasy tryumfu, wlepiając ciekawie oko w nowe drogi trzebione przez nowych zapasników, lubią opowiadać trudy i znoje, jakie sami przebyli: cóż dziwnego że opowieść ich tak zajmująca?

W tymże samym czasie, w tychże samych nawet miesiącach czytaliśmy opowieść o *Ostatnim klasyku* (w Bibliotece Warszawskiej), skreśloną zasłużonem piórem pięćdziesięcioletniego wiarusa na polu literatury i *Historjy romantyzmu* francuzkiego szermierza. Jakiż urok miało dla nas zestawienie tych walk toczonych razem nad Wisłą i nad Sekwaną, pobudzonych tą samą iskrą elektryczną, która wówczas przebiegła Europę! Czytelnikom Biblioteki znane wspomnienia K. W. Wójcickiego, któremu to tylko mamy do zarzucenia, że mówiąc o głównych zapasnikach tej olbrzymiej walki, pominął troskliwego zbieracza przysłów, pieśni i podań narodowych, autora wyborów Klechdów. Skromność to zaprawdę zbyteczna, bo czyni obraz niezupełnym. Gautier mówi obszernie sam o sobie, czego nikt za złe mu nie weźmie. Przeciwnie w tego rodzaju sprawozdaniach uwypatniona osobistość autora, kiedy ten był jednym z głównych działaczy, nadwyzczaj pożyteczna. Oby te wyrazy zwróciły uwagę czelego autora rozprawy i były dlań bodźcem do uzupełnienia tak ciekawego i pouczającego obrazu.

Rzućmy teraz choć pobieżnie okiem na *historjy romantyzmu* Teofila Gautier.

„Z pomiędzy tych—mówi autor,—którzy zasłyszawszy pobudkę Hernaniego rzucili się na stromą górę romantyzmu i tak dzielnie bronili wąwozów przeciw szturmującym klasykom, mała dziś garstka pozostała: weterani schodzą z pola codziennie jak medalionowani wiarusy Św. Heleny. I my mieliśmy zaszczyt należeć do młodych ochotników, którzy wystąpili do boju w imię ideału i wolności w sztuce, z gorącym zapalem i niezrównanem poświęceniem. Promienisty wódz stoi po dziś dzień na pół wiekowej ohwale swojej, niby posąg na spiżowej kolumnie; lecz postacie prostych szeregowców zacieraają się z dniem każdym: obowiązkiem naszym odżywić pamięć niezwykłej armii.

„Pokolenie dzisiejsze nie łatwo zrozumie gorączkę ówczesnych umysłów. Odrodzenie krążyło w powietrzu. Prąd nowy powiał z nieprzopartą siłą, wszystko zieleniło się, kiełkowało, pokrywało

liściem i kwiatem. Upajająca woń odurzala zmysły, szak liryzmu porывał wyobraźnię. Zakłęte słowo przestało być tajemnicą: odkryliśmy źródło poezyi.

„Trudno też pojąć do jakiego stopnia wycieńczenia przyszła ówczesna literatura. Malarstwo nie stało wyżej. Ostatni uczniowie Davida powłoczyli bladą farbą grecko-rzymskie pomysły: klassycy unosili się na chłodno i ziewając ohwalili to arcydzieło.“

W tym czasie Gautier nie myślał jeszcze o literaturze. Zamia-rem jego było poświęcić się malarstwu. Ale w pracowni Rioulta młodzież czytała chciwie nowe książki ożywione już nowym prądem.

„Chateaubriand — mówi autor — to praojciec romantyzmu we Francyi. W *Geniuszu Chrześcijaństwa* zrestaurował on katedrę gotycką, w poemacie *Natchez* ukazał przyrodę w całym przepychu, w *Rêné* poruszył drgającą życiem strunę namiętności. Brakło mu na nieszczęście dwóch skrzydeł tj. rymu i miary. Na owych to skrzydłach Wiktor Hugo wzbił się potężnie w górę i lotem orlim szybował po szerokich przestrzeniach liryzmu.

„Był to czas prawdziwych czarodziejstw! Walter Scott pawał w powieści; Goethe, Faustem swoim otwierał nowe, nieznanne dotąd światy. Wygrzebano zapomnianego Szekspira. Poemata Bajrona: Korsarz, Lara, Giaur, Manfred, Beppo, Don Juan wprowadzały nas w mało znany jeszcze świat wschodni. Wszystko to tchnęło młodością, barwą i wonią, promieniało uroczym blaskiem. Nowy widok krąg otwierał się przed nami!“

Prąd ten porwał wyobraźnię Gautiera. Rysując w pracowni studia akademickie, powtarzał z pamięci wiersze Wiktora Hugo. Orzeł pochwycił go w swe szpony i unosił nad poziom: posłuchajmy co mówi o nim:

„Aczkolwiek nie zaciągnąłem się jeszcze pod sztandar romantyków, należałem do nich duszą całą. Przedmowa do Kromwela (W. Hugo) świeciła w oczach moich jak tablica prawa na górze Synaj w oczach Izraelitów. Pociski klassycznego obozu miotane po dziennikach na mistrza, który był i jest w oczach moich pierwszym poetą Francyi, zapalały we mnie szalony gniew; pragnąłem doskoczyć czempredzję nie Pegaza lecz Hipogryfa Ariostowego i wyzwąć w zapasy straszną hydrę. Uczono się w teatrze Hernaniego (1830). Wrzawa po dziennikach zapowiadała wściekłą walkę. Wziąć udział w tej walce, wystąpić w niej jako nieznanym szermierz w imię dobrej sprawy i postępu, byłoby prawdziwem dla mnie szczęściem, najwyższą chludą. Ale niestety autor sam, jak mówiono rozporządzał salą na pierwsze przedstawienie i jakże tu prosić o bilet mnie, biednemu bazgraczowi? byłoby to niesłychane zuchwalstwo!

„Szczęściem Gerard Nerval, kolega mój szkolny i przyjaciel od serca przyszedł raz do mojej pracowni. Miał on już niejaki znaczenie w świecie literackim jako tłumacz Fausta, o którym Goethe wyraził się najpochlebniej. Ścisłe związany z Wiktorem Hugo był u niego jakby domownikiem. Gerard zobowiązał się rekrutować młodzież na

pierwsze przedstawienie Hernaniego. Spodziewano się gwałtownej burzy. Potrzeba było rzucić w arenę gromadę młodych lwiat przeciwko łysym zastępom rutynistów. Miał Gerard w kieszeni paczkę różowych kartek naznaczonych szczególnym znakiem: w rogu wyciśnięty był wyraz hiszpański *Hierro* (żelazo). To godło nader odpowiednie Hernanieniu znaczyło, że w walce należy być śmiałym, dzielnym i wiernym jak szpada.

„Nigdy w życiu nie czułem się szczęśliwszym, jak w chwili gdy Nerval odjąwszy z paczki sześć kartek podał mi je uroczyście, zalecając abym przyprowadził z sobą ludzi pewnych. Odpowiedziałem głową za towarzyszków. Byli to wściekli romantycy: dawno już ostrzyli zęby na akademików, gotowi poszarpać ich w kęsy.“

Opis tej walnej bitwy, która z sali teatru francuzkiego czyniła jakoby nową Farsalią, mającą rozstrzygnąć losy świata i zaprowadzić na długo nowy porządek w literaturze, — opis tej bitwy powtarzamy — zostawił Gautier na koniec, nie wiemy nawet czy przyszedł do niej, nie mając w ręku ostatnich numerów *Bien public*. Jak Homer w Iliadzie, kreśli on najsamprzód postacie zapaśników, zaczem wyprowadza ich w szranki. Zaczyna od samego Achillea tj. Wiktora Hugo. W dziwnie zajmujący sposób opowiada swe pierwsze z nim poznanie.

„Na ozele *historji romantyzmu* — mówi autor — niechajże świeci promienista postać mistrza, do którego rzekłem w młodzińszych latach, jak niegdyś Dant do Wirgilego: „ty bądź mi przewodnikiem!“

„Stan służby mojej, 30 batalii stoczonych na przedstawieniach Hernaniego, dawały mi prawo do osobistego złożenia hołdu naczelnikowi szkoły. Nie było w tém nic trudnego, Nerval gotów był zaprowadzić mnie w jego progi. Ale na myśl samą o tém drżałem przejęty niezwykłą trwogą. Lękałem się chwili, która miała spełnić najgorętsze pragnienia moje. Dzień kilkakrotnie był obrany, zawsze coś stanęło na zawadzie, a ja w obec przeszkody oddychałem pełną piersią.

„Wiktor Hugo z powodu nachodzących go tłumnie gości wyniósł się potajemnie z domu i zamieszkał czasowo jedną z ubocznych i pustych wówczas ulic w pobliżu Pól Elizejskich. Mała garstka wtajemniczonych miała przystęp do niego. Tam poprowadził mnie Gerard Nerval z dwoma towarzyszami.

„Po dwakroć wszedłem na wschody, pomału, nieśmiało, jakbym miał ołowiane obcasy u butów. Nie mogłem odetchnąć od wzruszenia, serce biło mi na gwałt, zimny pot wystąpił na skronie. Kiedy stanąłem już u drzwi i miałem pociągnąć już za dzwonek strach zdjął mnie tak wielki, że nie wiele myśląc zbiegłem na dół trzymając się poręczy i przeskakując po cztery schody na raz. Towarzysze pędzili za mną z głośnym śmiechem.

„Za trzecim razem zdobyłem się na odwagę. Prosiłem tylko Nervalą, aby mi pozwolił usiąść na schodach i złapać cokolwiek tchu w piersi. Nogi chwiały się podemną, drżałem cały jak listek. Nagle

drzwi się rozwarły i jak Febus Apollo, kiedy otwiera wrota Aurory, ukazał się kto?—sam Wiktor Hugo, opromieniony zorzą chwały swojej. Wybierał się na przechadzkę.

„Myślałem że zemdleję, istotnie jak Estera na widok Aswerusa. Hugo nie wyciągnął do mnie złotego berła jak ów perski satrapa do pięknej izraelitki, z powodu że nie miał berła, co mnie poniekąd zdziwiło. Uśmiechnął się, ale pomieszanie moje nie zgorczyło go wcale. Widok drżących pisarzyków, czerwonych jak koguty lub białych jak widma grobowe, był dla niego rzeczą zwyczajną. Zaniechał przechadzki i powrócił z nami do gabinetu.

„Hejne opowiada—ciągnie autor dalej—jak postanowiwszy poznać wielkiego Goethego ułożył sobie w głowie długą i wspaiałą przemowę, ale gdy stanął przed nim, zapomniał języka w ustach i zamiast obmyślanego komplementu wybełgotał tylko, że w drodze z Jeny do Weimaru jadł przewyborne śliwki. Jowisz poezji niemieckiej uśmiechnął się słodko. Ośli koncept przestraszonego młodziana więcej mu pochybił, niż chłodny panegiryk. Moja wymowa—dodaje Gautier—nie zdobyła się nawet na to. Milczałem jak słup, mimo że przez wiele wieczorów układałem liryczne apostrofy, którymi powitać chciałem słońce nowej plejady.“

Podczas gdy Hugo rozmawiał z towarzyszami, Gautier przyszedłszy cokolwiek do siebie pozerął go chciwie oczyma. Uważał to poeta, lecz zachwyt młodziana bynajmniej go nie gniewał.

„W armii romantycznej, zarówno jak w armii włoskiej—ciągnie Gautier—wszyscy bez wyjątku byli młodzi. Żołnierze po większej części nie mieli jeszcze pełnych lat. Najstarszy z zastępu, sam naczelny wódz skończył ledwie rok 28. W tym wieku był Bonaparte pod Arcole i W. Hugo po kampanii Hernaniego.

„Na pierwszy rzut oka uderzało w pocie ozoło majestatyczne, prawdziwie posągowe, które jakby fronton z kararyjskiego marmuru wieńczyło rysy oblicza pełne słodkiej powagi. Na tém pięknym i szerokim czole dość było miejsca na wypisanie najwznioślejszych myśli, na pomieszczenie złotych i wawrzynowych wieńców jakoby na czole Cezara. Widziałeś na niem wybity znak potęgi. Ocieniał je włos długi, jasno brunatny. Nie nosił Hugo ani brody, ani wąsów, ani faworytów. Na blade jego lica rzucały dziwny blask oczy płowe, podobne do zrenic orlich. Usta kształtnie zarysowane, spuszczone nieco w kątach, otwierając się odkrywały dwa rzędy białych zębów. Ubiór poważny, czarny, ożywiony kołnierzykiem śnieżnej bieli odwiniętym na krawat nadawał mu postać *gentelmana* angielskiego raczej niżli poety. Niktby w tym wytwornym *gentelmanie* nie odgadł naczelnika szkoły tych brodatych i grzywiastych wartogłowów, którzy byli postrachem wygolonych ludzi porządku. Takim Wiktor Hugo przedstawił się oczom moim przy pierwszym spotkaniu. Przechowuję wiernie w pamięci tę postać piękną, młodą, uśmiechniętą, otoczoną promieniem chwały.“

Skreśliwszy wierny obraz naczelnego wodza, Gautier z równym talentem szkicuje rysy młodych szeregowców. Byli to kandydaci na przyszłych malarzy, architektów i rzeźbiarzy. Wielu z nich jak Gautier porzuciło pędzel, dłuto lub ekierkę, a chwyciło się pióra. Pierś ich kipiała wulkanem. Wielbiciela i naśladowcy Huga chylił przed nim czoła jak Gwebry przed słońcem, jednego tylko nie mogli przebaczyć mistrzowi: prostota mieszczańska w ubiorze dziwnie skandalizowała młodych romantyków. Każdy z nich przemyślał, jakby nadać sobie najekscentryczniejszą postać. Ten wyglądał jak wyjęty z ram portret Velasqueza, tamten jak indyjski bohater Sokuntali, ów jak średniowieczny rycerz albo trubadur. Gautier sam przywdział czerwony kaftan Hernaniego, zapuścił długie włosy, podobne do lwiej grzywy i w tym kostiumie przetrwał do końca życia, wierny tradycjom *młodej Francji*.

Młodzież ta odbywała wieczorne posiedzenia po mansardach odwiedzając się wzajem. Wesołe to były te schadzki. Jedni powtarzali sceny z Szekspira, drudzy ustępy z Korsarza albo Lary, wszyscy niekiedy razem odgrywali Hernaniego lub Kromwela. Szybko upływały godziny, a natrątny zegar nie ostrzegał o ich przebiegu. Zegara bowiem nie było na poddaszach, miejsce jego zastępował trupi czerep postawiony na kominie między dwoma wazonikami kwiatów. Ten czerep ostrzegał że czas mija. Służył on jeszcze do innego użytku: młodzież spełniała z niego libacje na cześć mistrza, naśladując Bug'Yargala, który jak wiadomo używał takiej czaszy.

Gautier maluje z nieporównanem życiem postaci drogich towarzyszy młodości. Nad każdym z nich zastanawia się długo, nie jednemu, który padł nie dobiegłszy do mety poświęca łąc gorącą. Mówiąc z kolei o malarzu Celestynie Nautenil, opowiada jak przed pięciu laty, gdy znany ten artysta otrzymał nominacją na dyrektora szkoły w Dijon, dawni koledzy, niedobitki romantycznej armii unyślili wyprawić mu wspaniałą ucztę.

„Starzy bandyci Hernaniego i Lukrecyi Borgia—mówi autor—ci wszyscy, którzy walczyli niegdyś przeciwko hydrze klasycyzmu, tój hydrze o stu głowach łysych lub pokrytych perukami, wszyscy ci starzy wiarusy zebrali się w dniu i miejscu umówionem.

„Dawno już nie mieliśmy podobnej biesiady romantycznej! Śnieg tymczasem upadł na góry, pieprz z solą pomieszał się na brodach, nosy wyciągnęły się, poczerwieniały! Policzki niegdyś gładkie, porysowały się w zmarszczki; na obliczach kilku zaledwie pozostało jakieś słabe przypomnienie dawnych czasów. Patrząc na nich, pytałem sam siebie, czyżbym i ja tak się przedstawiał drugim, jak oni się w oczach moich przedstawiają? Wszystkoż to, co pozostało z świetnego zastępu Hernaniego, który niegdyś tak zawzięcie harcował w sali teatralnej, tak dzielnie zmógł szamoczącego się buhaja, tak zręcznie pochwycił publiczność za garę?

„Uczta rozpoczęła się smutno, jak wszystkie uczyty. Wiek przytępił zęby szermierzom: nie byłiby dziś w stanie rozszarpać żywcem żadnego akademika, ani nawet członka instytutu. Nakoniec lody pękły; wino poruszyło krew w sercach, wspomnienia odżyły, wiersze posypały się z ust. Byliśmy znów młodzi i piękni, dumni i pełni zapału!“

Wspomnienia te posiwiąłego romantyka wyjdą zapewne wkrótce w osobnym wydaniu: może być, że autor pozostawił jakieś notatki, które posłużą do uzupełnienia przerwaną a tak ciekawą publikacją.

Śmierć Gautiera dotkliwie dała się uczuć Paryżanom. Ci nawet którzy nie znali go osobiście, czytawali z żywym upodobaniem jego tygodniowe sprawozdania, a co więcej wysoko oceniali jego niezłomny charakter. Ledwie że zamknął oczy, publicyści wszelkich barw i odcieni połączyli się w jeden chór, oplakując dotkliwą wszystkim stratę. Zacięci nawet antagoniści, którzy dla różnicy opinii politycznych, bronili mu upoczywie wstępu do akademii francuzkiej, uczcili w nim pisarza i człowieka. Jules Janin gorliwy zwolennik Orleanów, skreślił najprzyjaźniej w Debatach artykuł o pracach i zasługach Gautiera, mimo że ten należał do stronnictwa Bonapartystów.

Jakkolwiek związany z cesarstwem siłą przekonania, Gautier nie był przecież dworakiem. Pozostał on bądź co bądź gorącym i jawnym wielbicielem Wiktora Hugo, pod którego chorągwią dobił się niegdyś literackiej sławy. Kiedy kilka lat temu za czasów Napoleona wznowiono Hernaniego w teatrze francuzkim, Gautier napisał gorące sprawozdanie do odcinka dziennika urzędowego. Redakcyja nie śmiała drukować artykułu. Teofil Gautier nie namyślając się ani chwili niesie artykuł do ministra, oświadcza stanowczo że niepodobna mu przemilczeć uwielbienia, jakie miał całe życie dla poety: jeśli więc artykuł jego usuniętym zostanie, prosi natychmiast o uwolnienie ze służby.

Artykuł drukowany był na wyraźny rozkaz ministra.

Po czwartym wrześniu znowu, kiedy Wiktor Hugo powrócił zwycięzko do Francyi, jeden z pierwszorzędných przeglądów pragnął ucieci go świetnym artykułem o satyrach przeciw cesarstwu p. t.: *Châtiments*. Redakcyja udała się do Gautiera, znając uwielbienie jego dla poety. Odmówił wręcz: „alboż nie wiecie—rzekł—jakie węzły łączyły mnie z domem Napoleona.“

Teofil Gautier padł ofiarą klęsk, które dotknęły Francją. Przeżył on w Paryżu smutne czasy długiego oblężenia. W skutek przeżytych wrażeń i niewygód zapadł na chorobę sercową; ta rozwijając się zwolna, doprowadziła go do grobu.

Jedna z córek Teofila Gautier odziedziczyła po ojcu talent pisarski. Mówimy tu o pani Catule Mendès, żonie jednego z najzdolniejszych dziś poetów. Druga jest także za poetą, młodym Emilem Berget, autorem ślicznych obrazków z czasów ostatniej wojny.

Dramat „Dwie królowe” akademika Legouvé'go, napisany od lat kilku, przeplatany lirycznymi chórami, przedstawiony był świeżo w Teatrze opery włoskiej z muzyką Gounoda. Najznakomitsza to nowość na polu dramatycznem.

Podajemy w treści ten piękny utwór autora Medei ¹⁾.

Rzecz dzieje się w końcu XII wieku. Filip August, król Francyi wyprawił poselstwo do Kanuta, z prośbą o rękę młodziuchnej królowny duńskiej Ingreburgi. Na czele orszaku udał się do Kopenhagi młody hrabia Landresse ze krwi królewskiej. Towarzyszy mu hr. Nevers, człowiek bez czci i wiary, daleki potomek sławnego zdrajcy Ganelona. Landresse zaślubił królownę imieniem pana swego; wnet przywiedzie ją do Amiens, gdzie czeka Filip August, już jest niedaleko w Soissons: Nevers przybywa naprzód.

Miasto Amiens przybrane świątecznie na gody, snują się wkoło mieszczanie, zonglery i żaki. Kardynał poświęca kapliczkę, w której ślub królewskiej pary ma być potwierdzony za chwilę.

Król wychodząc z kaplicy spotyka się z Neversem. Na znak pana oddalają się straż. Przebiegły Nevers spostrzega odrazu chmurę na obliczu królewskiem. „Dobrze—mówi do siebie—kiedy królowie niespokojni, najwięcej od nich zyskać można.“

Zapytany przez króla, wysławia postać i zalety Ingerburgi. Z piękności istna Wenus, z mądrości Minerwa, z powagi Diana, z niewinności uroczą Hebe.

— Do tych wszystkich tytułów—rzecze król sarkastycznie—zabraknie przecież jednego.

— Jakiego Panie?—pyta Nevers.

— Tytułu królowej Francyi!

Prędzěj Rodan z Oizą połączy swe fale,
Niz ja pojme Kanuta siostrę złotowłosą:
Na tronie moim Dunka nie zasiędzie wcale!

I zkadże ten wstręt króla do związków, których niedawno pragnął? Oto podczas kiedy poselstwo dążyło przez morze do Danii, kiedy Landresse zaślubił w imię króla młodą Ingerburgę w Kopenhadze, Filip August poznał Agnieszkę, księżniczkę z Méranii, w której czarném oku połyska zar południowego nieba... zasłyszal z jěj ust uroczą pieśń... i upojony czarem dziewicy przysięgł jěj wieczną miłość.

Król wyznaje to ulubieńcowi. Postanowił odesłać królownę do Danii.

¹⁾ Dramat Medea, tłumaczony na włoski język, przedstawiony był w Warszawie przed kilkunastu laty. Rolę głównej bohaterki odgrywała sławna Ristori.

— Ależ Panie—zawoła Nevers—król Kanut złożył nam posag królowej, jedenaście tysięcy dukatów.

— Tych nie odeszłę—rzecze Filip August—skarb mój wycieńczony, tysiące potrzeb woła. . .

— Lecz jak rozwiązać małżeństwo zawarte przed Bogiem i przed ludźmi?

— Alboż to królowie nie odsyłał małżonek?—odrzecze dumnie Filip August.—Potrzeba prawnego dowodu; ty go znajdziesz, ja cię znam. Kto mi pomoże do wywikłania się z nienawistnych węzłów, dam mu w królestwie pierwsze miejsce po sobie. Czy rozumiesz?

Zrozumiał dobrze Nevers, a co więcej, znalazł w przewrotnym umyśle nię do wysnuęcia zdradzieckiej matni.

Król wraca z orszakiem do pałacu. Nevers zostaje w cieniu drzew przed kaplicą. Po chwili przybywa Landresse. Tylko co przyprowadził Ingerburge, królowna została u bram z orszakiem niewiast dworskich.

Landresse smutno pogląda na przygotowania do obrzędu. Widzi to Nevers: zna on przyczynę téj boleści, oddawna śledzi bystrym wzrokiem każde drgnienie młodego serca.

— Tu—rzecze z szyderczym uśmiechem—masz wierny posła oddać królowi oblubienicę; szczęście twoje z wiatrem uleciało, czas jednodniowy małżonku oddalić się od nię na zawsze.

— Zkąd ta mowa?—zawoła Landresse drżący z trwogi.

— Zkąd?—powtórzy Nevers z piekielnym uśmiechem—nie udawaj przedemną. . . alboż ja nie widziałem, co zaszło w lesie Braines?

— I cóżś widział? mów!—zawoła przerażony poseł.

— Wszystko!—odpowie zimno Nevers.—Kiedy rozbito namiot królowy w cieniu oleh. . . kiedy znużona zasnęła pod namiotem. . . widziałem, jak stanąłeś u jęj wezgłowia. . .

— Mileż! ona nie skażona, jak anioł—przerwie Landresse—ona nie wie o niczem! ja sam tylko przestępny!

I jakież to przestępstwo posła? Oto Landresse upojony miłością, drżący, wpół obłąkany, podczas kiedy królowa spała pod namiotem, uciał pukel złotych jęj włosów. Widział to Nevers. . . Ingerburga nie ujdzie zguby.

Młodziuchna królowna zbliża się w orszaku duńskich dziewic. Landresse wysyła Neversa, niech oznajmi przybycie jęj królowi. Kardynał towarzyszy oblubienicy.

KARDYNAŁ (*do Ingerburgi*) Czemu szczęściem, królowo, twe oko nie świeci?

INGERBURGA. Przybywam z kraju mrozów i śnieżnych zamieci!

Pod niebem południowém blask słońca uroczy,

Oświeca razem duszę i zapala oczy;

My zaś córki północy, myślą rozmarzoną,

Gonim promień zakryty łzawą chmur zasłoną,

- Wyobraźnia téż nasza tonie w tym pomroku:
U nich szczęście na czole, a u nas łza w oku.
- KARDYNAŁ (*n. s.*) Biedna drżę. . .
- INGERBURGA (*do Landresse'a*) Tu więc, panie, mam za chwilę małą
Żegnać tych, których serce moje ukochało?
- LANDRESSE. Tak pani. . . .
- KARDYNAŁ (*patrząc na Ingerburge*). Łzy. . .
- INGERBURGA (*do kardynała*). Ach! ojczy, przebacz te łzy moje,
Mam lat szesnaście tylko, dziwnaż że się boję,
Tu sama . . . w cudzej ziemi, od swoich zdaleka! . .
- KARDYNAŁ. Pomyśl młoda królowo, tu tron ciebie czeka!
- INGERBURGA. Tron! ach on mnie przestrasza, i cóż mi po tronie?
Jam nigdy o królewskiej nie śniła koronie:
Inne czary goniłam w moich marzeń świecie.
Czy mnie tu kto ukocha?
- KARDYNAŁ. Połóż wiarę, dziecię,
W szlachetnym sercu tego, co cię nazwie żoną!
- INGERBURGA. Jego rycerskie czyny zdawna mi sławiono,
Znam je, ależ ta chwała, co mu czoło wieńczy,
Bardziej przeraża jeszcze mój umysł młodzieńczy:
Daż on mi serce swoje?
- KARDYNAŁ. Dziecię!
- INGERBURGA. Możeż słowo
Określi te przeczucia, co mi tak grobowo
Roją się w smętnej myśli... Gdy boleś mnie złamie,
Któż wesprze swém ramieniem słabe moje ramię.
Kto będzie mi obroną?
- KARDYNAŁ. Kto? Od onej chwili,
Gdy Jezus przyszedł podnieść wszystko, cokark chyli
W łzach i bólu, niewieście gdy wskazał tór nowy,
Gdy stał z niej piętno hańby dwudziestowiekowej;
Odkąd zrodzon z niewiasty, ssał mléko z jéj łona,
Chciał aby matka Ewa w Maryę przemieniona
Była światu zbawieniem! Odtąd, dziecko moje,
Niewiasta ma opiekę, ma tarczę i zbroję:
Tą tarczą dla niej kościół!
- INGERBURGA. Ojczy!
- KARDYNAŁ. Młódz junacza
Na cześć krasy niewieściej tylko harce stacza,
Boży kapłan téż kopję za niewiastę kruszy;
Lecz nie patrzy na lica, patrzy w głąb jéj duszy:
Gdy słyszy waszą skargę, albo jęk boleści,
Przybiega jako mściciel zniwagi niewieściej.

Nie ma włóczni w prawicy, ni hełmu na głowie,
 Ma tylko w ustach słowo; ale w oném słowie
 Leży grom: biada temu, w czyją pierś ugodził!
 On przybieży, ofiarę wyrwie z łez powodzi
 I rzecze: w imię Pana co na krzyżu kona,
 Szanuj ją, ona dwakroć ubłogosławiona:
 Wodą chrztu i małżeństwa ogniu świętami,
 Masz ją pod władzą twoją, nie pod stopy twemi;
 Chociażbyś między ludźmi czoło nosił górą,
 Włos z głowy jój nie spadnie ona — bożą córą!

Wtém daje się słyszeć rzewna pieśń. Dziewice duńskie zbliżają się do swój pani, którą opuszczają za chwilę; zdejmują z niej płaszcz duńskiego kroju i zasłonę dziewiczą. Z drugiej strony zbliżają się dziewice francuzkie i zarzucają purpurowy płaszcz na ramiona królowej, na głowę jój kładą złotą koronę.

Następuje kliwe pożegnanie, Ingerburga mówi do dziewic duńskich:

Bóg z wami, siostry moje, spieszcież tam radośnie,
 Gdzie ja z wami przeżyłam piękną dni mych wiosnę.
 Wnet dla was tam odkwitnie młodych serc wesele,
 Ja tylko tych uroków z wami nie podzielę;
 Brata i kraj słodkimi powitajcie słowy
 I trumnę drogiój matki w kaplicy grobowej.
 Od umarłych-że nawet wygnanie odrywa?
 Achl pozdrów jój popioły drużyno szczęśliwa!

Dziewice oddalają się. Przychodzi król z orszakiem: towarzyszy mu Nevers. Filip August wie już o wszystkim: w oku jego snadno dostrzedz ukrytą radość. Znalazł to czego pragnął, powód do zerwania wstrętnych mu związków.

Landresse ujmuje rękę Ingerburgi, oddaje ją królowi, według dworskiego ceremoniału.

- Czas do ołtarza — przypomina kardynał.
- Nigdy! — zawoła król z wybuchem.
- A to czemu?
- Ona mnie znieważyła, nie będzie żoną moją!
- Jam ciebie znieważyła Panie? — zapyta Ingerburga. A to jak?
- Wiarołomstwem! splamiłaś imię moje, zhańbiłaś nasze związki!
- Kto? królowa! — zawoła Landresse z oburzeniem.
- Milcz przeniewierco! tyś współnikiem jój winy — krzyknie król z udaną wściekłością i przywołuje strażę.
- Zedrzyjcie płaszcz z bark jego, na piersi znajdziecie oczywisty dowód zdrady. . . włosy królowej.

— Biada temu, kto mnie dotknie—zawoła Landresse, i pada na kolana przed zdumioną Ingerburgą:

Odstąpcie zuchwali!

(do Ingerburgi)

Przebacz, szalona miłość serce moje pali!
 Tak jest, do twego czoła jam śmiał podnieść dłonie;
 Tak, przestępna ta kradzież, jest tu na mém łonie:
 Ale nikt jój nie wydrze! stawię czoło śmierci!
 Przywiążcie mnie do konia, zszarpacie mnie na ówierci;
 Niechaj wichur rozwieje prochy mego ciała,
 Byleby na czci twojej skaza nie została!
 Przebacz pani, ach, wielką jam popełnił zbrodnię,
 Lecz potrafię ją zetrzeć i naprawić godnie!

I ukazuje Neverse, rzuca mu wbrew zarzut podłej zdrady. Sąd boży niech rozstrzygnie rzecz, niech okaże kto winien.

— Jutro w szrankach—rzecze król—bój śmiertelny o cześć królowej.

— Jażbym czekał do jutra—zawoła Landresse—aby hańba wrosła mi w czoło? Tu nam się rozprawić... w téjże chwili... w obec świadków zniewagi!

Następuje walka. Landresse raniony, winien zatem, według ówczesnych pojęć. Król tryumfuje w duszy.

— Wiarołomstwo Ingerburgi dowiedzione, Agnieszka—rzecze—będzie moją!

Stój królu! jest tu władza, która czuwa nad ofiarami zdrady i podstępów. Kardynał milczący świadek strasznej sceny, kończy akt krótkim ale ważnym w następstwa słowem:

— Apeluje do Rzymu!

Między pierwszym a drugim aktem upłynęło lat kilka. Filip August z każdym rokiem widzi rosnącą potęgę swą i chwałę. Już wydarł Artois z rąk Anglików, niebawem wydrze im Normandya, i przepędzi przybyszów za cieśninę. A w domowém pożyciu któż od niego szczęśliwszy? Synod w Soissons unieważnił związki z Ingerburgą z powodu pokrewieństwa. Złączony małżeństwem z Agnieszką z Meranii, król cieszy się dwojgiem pięknych dzieciak; żona pełna enót i wysokich zalet, jest prawdziwą koroną jego głowy.

Shczęście to pozorne: robak toczy serce Filipa Augusta, sumienie wyrzuca mu zbrodnię. Rzym jak miecz Damoklesa, cięży nad pyszną jego głową. Papież Innocenty nie potwierdził sądu, ogłoszonego na synodzie.

Akt drugi przenosi nas do pałacu królewskiego w Paryżu. Po jednej stronie sali siedzi Agnieszka, przy niejdwójce małych królewiat. Bakałarz czyta na głos listy nadeszłe do królowej. Po drugiej stronie sali Filip August z ulubieńcem Neversem przeglądają depesze.

W jednym z listów ksieni cystersek z Etampes, przypomina królowej pielgrzymkę majową do cudownej kaplicy Matki Boskiej. W drugim liście niezajoma jakaś ręka uwiadamia Agnieszkę, że w baszcie zamkowej w Etampes więzioną jest kobieta, imię jej pokryte tajemnicą, znać ofiara gwałtu i zbrodni.

— Muszę ją widzieć—rzecze królowa.

Pielgrzymka posłuży jej za pozór.

Król nie słyszy Agnieszki. Całą uwagę utopił w jednym z pism odebranych: list to z Rzymu podpisany ręką Innocentego.

Papież ostro wyrzuca królowi odtrącenie prawej małżonki Ingerburgi i skandaliczne związki z księżniczką Meranii.

Nie pierwsze to wyrzuty Rzymu. Filip August odpowiada zasłaniając się Synodem.

Nevers odchodzi, małżonkowie zostają sami.

W ciągu tkliwej rozmowy Agnieszka pyta króla kędy jest Ingerburga.

— W Danii—odrzuca król po chwilowém wahanii.

AGNIESZKA. Prawdaż to, jak mnie wieści dobiegły do ucha,
Że woła o swój posag, że Filip nie słucha
Jój skargi?

FILIP AUGUST. Wszak ten posag moim w moc traktatu.

AGNIESZKA. Nie oddasz go?

FILIP AUGUST. Nie oddam!

AGNIESZKA. Śmiałybys wbrew światu
Spełnić taką niesłuszność?

FILIP AUGUST. Uspokój się droga!

AGNIESZKA (*żywo*). Tu idzie o cześć twoją, musisz w imię Boga
Wypłacić ten dług święty!

FILIP AUGUST. Nigdy!

AGNIESZKA (*stanowczo*). Więc ja panie
Splącę go.

FILIP AUGUST. Ty Agnieszko?

AGNIESZKA. Zasobu mi stanie!

(*kładzie rękę na głowie dwojga dzieci*).

Mam dwoje tych dzieciątek, skarb cenny, wiesz o tém;
Oddam w zakład ich głowy, kraj sypanie mi złotem:
Splącę dług i twe imię ocalę od sromu.

FILIP AUGUST. O jakżeś ty mi droga!

Słowa Agnieszki dostatecznie malują piękną jej duszę.

Rozmowę pary królewskiej przerywa nagle przybycie cechu winiarzy paryzkich. Obyczajem średniowiecznym po ukończonem winobranii, mieszczanie, kupey i żaki śpieszą tłumnie do króla.

Przewodniczy im zongler: przy gęździe na przemian z chórem śpiewa pieśń obrzędową, podczas gdy paziowie przenoszą na tacach butelki. Był to rodzaj turnieju: wina sprzecząją się o pierwszeństwo.

- CHÓR. Oto bój się rozpoczyna:
Do zapasu... hejże wina!
- ŻONGLER. Patrzcie, wino z nad Mozeli
Złotem błyska, wzrok weseli.
A tu pierwsze z pośród wielu
Białe winko z Argentelu;
To brunatne snać wydały
Granitowe cypru skały,
A to słodko się przymila
Sycylijskie z pod Akilla;
Tu się miota szampan hardy:
Czemu przemoc pierś mu łoczy?
Tylko uchyl korek twardy,
Wnet ci pianą pryśnie w oczy!
- CHÓR. Dalej w szranki, szkoda czasu,
Hejże wina do zapasu!
- ŻONGLER. Co blasku, co woni,
Tu rubin się płoni;
Tam piana złocona,
Kto kogo pokona?
Sędziowie wzrok cheiwy
Wlepili w te dziwy.
Z miłej próby radzi wielce,
Do ust biorą po kropelce;
Piją, piją aż po chwili
Pola trupem zawalili.
- CHÓR. Dalej w szranki, szkoda czasu,
Hejże wina do zapasu!

Tę wesołą scenę przerywa koniuszy: oznajmia królowi przybycie posła od potężnego króla Kanuta.

Agnieszka zadrżała. . . odchodzi otrzymawszy od króla pozwolenie na pobożną pielgrzymkę: cel onój pielgrzymki nie wymieniony.

Wchodzi poseł przyodzian w kaptur mniszy, nasunięty na czoło; zbliża się do króla, podaje mu list opatrzone pieczęcią króla duńskiego.

— Król Kanut—rzecze poseł—zapytuje o siostrę swoją królowę Francyi, kędyż ona jest, panie!

— We Flandryi—odrzecze gniewnie Filip August.

— Przebiegłem ten kraj wzdłuż i poprzecz, nie ma jój we Flandryi!

— Ona wolna— rzecze król—udała się zapewne do cesarza.

— Zdeptałem całe cesarstwo, nigdzie ani śladu stopy królowej.

I kędyż ona panie?

— Alboż jestem jej stróżem?

POSEŁ. Kto wie?

FILIP AUGUST (z *gniewem*) Podły wasalu!

POSEŁ. Ślad naszej królowej

Od dwóch lat, królu, pomrok otacza grobowy. . .
 Od dwóch lat brat jej Kanut za gońcem śle gońca,
 Woła o Ingerburgę! Ani promyk słońca
 Nie przedarł onej chmury, co losy jej słoni.
 Jestli w więzach? czy zmarła? brat wiedzieć chce o niej..
 Chce raz przebić oczyma te czarne otchłanie.
 Gdzie ona jest? coś zrobił z ofiarą twą panie?

FILIP AUGUST. A ty, ktoś jest zuchwały, co zniewagę słowa
 Rzucasz mi wbrew... kto jesteś?... co?... ten głos.. ta
 [mowa! . . .

(*Poseł usuwa z głowy kaptur*)

Co widzę? to on, . . Landresse! (*porywa za miecz*) Jam
 [krwi twojej chciały:

Nie stanie ci za tarczę ten kaptur kłamliwy!

LANDRESSE (*spokojnie*) Jestem kapłanem, królu, mój kaptur nie kłamie,
 Obronę dać niewinnej gotowe to ramie!
 Zgubiłem ją rycerzem i pierś bije w skrusze,
 Jako szermierz Chrystusa ocalić ją muszę!

FILIP AUGUST. By ukryć złe zamiary wdziałeś ubiór mnicha,
 Przeniewierzczą miłością twoją pierś oddycha!

LANDRESSE. Miłością, rzekłeś królu, . . patrz w to zgasłe oko,
 W te bruzdy wyciśnięte na licu głęboko;
 Patrz na to czoło nagie! . . krwawe łyzy boleśoi
 Wyzarły mi źrenice. . . patrz! jam w lat trzydzieści
 Zgrzybiałym oto starcem. . . Bóg policzył w niebie
 Łzy, którem ja z ocz wylał, nim zdołałem siebie
 Odrodzić siłą bólu i pokuty żarem;
 On wié, jakim wyrzutu przygnęzion ciężarem,
 Włosiennicą i chłostą trapię nędzne ciało;
 On wié, co z téj miłości w mém sercu zostało:
 Wstręt tylko i rumieniec i kielich goryczy,
 On wié, jaką potęgą łaski tajemniczój
 Zgrzesznej piersi méj trysła skra miłości zdrowa;
 On wió, jak ta przezczysta szata Chrystusowa
 Odradza serce moje, jak wolném je czyni
 Od waszych trosk i pragnień. W téj życia pustyni
 Dwa cele dziś mi świecą: rozbroić mi trzeba
 Służbą gniew méj ofiary, pokutą gniew nieba! . .

FILIP AUGUST. Ty służyó jój? . . .

LANDRESSE.

Tak królu, na mém ręku w Rzymie
Skonał pobożny legat; w jego święte imie
Dokonał co on począł; póki śmieró nie zziębi
Kipiącej krwi w mych żyłach, póki w piersi głębi
Nie zbraknie tchu: dopóty gdziebądź zwróciś głowę,
Ujrysz mnie wszędzie królu, jak widmo grobowe
Pomiędzy nią a tobą!

Nagle wbiega koniuszy.

— Królowa—rzecze—odjeżdżając do Etampes. . . .

— Do Etampes?—zawoła Filip August piorunującym głosem—
Agnieszka w Etampes! . . . wysłać gońca! . . . zwrócić ją z drogi! . .
przyprowadzić mi konia! . . .

— Ingerburga tam. . . znalazłem ją!—rzecze do siebie Landresse.

Trzeci akt przenosi nas do Etampes. Znajdujemy tam Inger-
burgę uwięzioną w baszcie zamkowej. Komendant twierdzy przyno-
si jój pergamin.

— Co to jest?—pyta królowa.

— Twoja wolność, pani!

— Wolność?

— Podpisz tylko ten akt, a pękną rygle więzienia twego!

— Ja mam podpisać wyrok mojej hańby? Nigdy!—zawoła In-
gerburga—mój umysł dojrzał wśród pięcioletnich cierpień, gotowam
umrzeć, ale się nie upodlę! . . .

I chce rozdrzeć pismo, komendant zatrzymuje jój rękę.

Ktoś puka. . . to Agnieszka. Straż oddala się; dwie królowe
stoją naprzeciw siebie oko w oko. . . Jedna strojna w jedwabie
i klejnoty, druga obleczona brudnym łachmanem. . . jedna w pełnym
rozkwiecie urody, druga podobniejsza do cmentarnego widziadła, niż
do istoty żywej. Jedna drugiej nie zna, podejrzenie nawet nie wnika
do ich duszy, siła współczucia pociąga je z razu ku sobie.

AGNIESZKA (*zbliżając się*). Co tobie? . . . drzysz jak listek. . .

INGERBURGA.

Wątłeje pierś nasza

Gdy cierpi nazbyt długo. . . wszystko ją przestrasza.

AGNIESZKA.

Nie trwóć się! spojrzj na mnie, wszak wiek nasz jednaki.

INGERBURGA

Ozytam na czole twojem współczucia oznaki,

Ale kiedy porównam twą szatę wspaniałą,

Z łachmanem, co przysłania moje wyschłe ciało. . . .

AGNIESZKA.

Marną rzeczą jest odzież! Jeśli z głębi ducha
Przez oczy twoje płomień przeeczysty wybucha,
Łachman nim oświecony staje się purpurą!

INGERBURGA (*żywo*). Wiesz kto jestem?

AGNIESZKA.

Ja nie wiem, lecz żałoby chmurą

Powleczone twe czoło; ta źrenica łzawa,
Czyż do współczucia mego nie dają ci prawa?

Ingerburga ujęta słodyczą, Agnieszki opowiada jój smutne swe dzieje.

- Wszystkoż wyznaś mi potrzeba?
O tak, królowa Francyi, nieraz łaknie chleba!
- AGNIESZKA. Ingerburga!
- INGERBURGA. Jój widmo niech w oczy ci stanie!
- AGNIESZKA. Co? ty?!
- INGERBURGA. Twoją królową, żebraczką w łachmanie!
- AGNIESZKA. Ingerburga w tym lochu zboleła i głodna...
- INGERBURGA. Czuję boleści mej wychylałam tu do dna!
Wszystko mi już wydarli, mój płacz ich nie wzruszy:
Łaknę chleba dla ciała i chleba dla duszy...
- AGNIESZKA. Przez niego... dla mnie! Boże... ona tu w tym grobie!..
(upada na krzesło i płacze).
- INGERBURGA. Ty płaczesz?... Bóg-że siostrę przysyła mi w tobie?
Nie kryj łez, mej boleści one ulgę niosą,
Dla mej piersi spalonej te łzy bożą rosą!..
Chodź tu w moje objęcia.. *(chce ją uścisnąć).*
- AGNIESZKA. *(cofając się).* Nigdy!....
- INGERBURGA. Zkąd ta trwoga?
Ztąd-li, żeś twą królową? Patrz, jam tak uboga:
Nierówność niech zagładzi współczucia czar złoty...
- AGNIESZKA. *(zrzucając bransolety)*
Nie, nie!...
- INGERBURGA. Dlaczego stopą depezesz te klejnoty?
- AGNIESZKA. One mi nazbyt wstrętne w obec twój niedoli!
- INGERBURGA. Tyś dobra!
- AGNIESZKA. Ciebie dręczyć już król nie pozwoli:
On znać o niezém niewie...
- INGERBURGA. Nie jego w tém wino.
To jój sprawa!
- AGNIESZKA. Jój?... Boże!...
- INGERBURGA. Ohydna gadzina
W jego serce zbłąkane jad zatruty zionie..
- AGNIESZKA. O kim ty mówisz?...
- INGERBURGA. O kim? o tój, co w koronie

I w purpurze królewskiej, bez wiary, bez cześci
Zasiadła na mym tronie!

AGNIESZKA.

Co?...

INGERBURGA.

Potwór niewieści!

Nie broń tej nیکczemnicy, w tę otchłań grobową
Ona mnie pogrążyła!

AGNIESZKA.

Dość! jestem...

Królową, miała dodać; przybycie króla zdławiło głos w jej piersi! Szlachetna Agnieszka nie zrażona klątwą Ingerburgi, rzuciła się do nóg Filipa Augusta; błaga ze łzami o łaskę, raczej o sprawiedliwość dla nieszczęśliwej.

INGERBURGA. (*z uniesieniem*). Błaga o łaskę dla mnie?...

AGNIESZKA. (*do króla*)

Snać w szale rozpaczy

Mieni małżeństwo nasze...

INGERBURGA. (*przerwywając*).

O! nazwij inaczej

Ten związek...

FILIP AUGUST

Nieszczęśliwa!

INGERBURGA. (*przystępując do króla*).

Dosyć już tej nędzy,

Okaz się choć raz ludzkim: zabij mnie co prędzej!

— On ciebie nie zabije! — wyrzecz zakonnik ukazując się we drzwiach.

— Landresse! — zawoła król piorunującym głosem.

— Landresse! powtórz struchlała Ingerburga... On!... ten zgrzybiały starzec!

— Landresse umarł już, królowo! — rzecze pokutnik — poznaj we mnie mściciela sprawiedliwości Bożej!

I ukazuje królowi list papieski, opatrzony pieczęcią, mianujący go pełnomocnym legatem.

INGERBURGA. Boże!

FILIP AUGUST. (*szyderczo*). Jakież wyroki niesiesz niewzruszone?

LANDRESSE. (*ukazując Ingerburgę*). Wyrwać ją ztąd...

FILIP AUGUST.

A potem?

LANDRESSE.

Oddać jej koronę!

(*poruszenie Agnieszki*).

FILIP AUGUST. (*do Agnieszki*). Nie twóź się! (*Do Landressy*) Jakiem prawem?

LANDRESSE

Prawem Świętej Księgi!

I ukazuje Ewangelią, a potem dobywa akt papieski unieważniający małżeństwo z Agnieszką.

LANDRESSE. Oto wyrok!

AGNIESZKA.

O nieba!

LANDRESSE.

(do Agnieszki).

Przebacz biedne dziecko.

Cios ten dotknie i ciebie... tyś w matnię zdradziecką

Omotana bez woli!... niewinna twa dusza!

Rozdrzeń serce twoje powinność mnie zmusza:

Temu, kto mnie tu przysłał, wnet zadość się stanie.

(ukazując Filipa Augusta).

Ja muszę go ocalić!

AGNIESZKA.

On!

LANDRESSE.

(do króla).

Królu, mój panie!

To głos wiernego sługi raczej niż kapłana:

Nim oddałem się Bogu, miałem w tobie pana,

Wierny rycerz, jam walczył dla blasku twój chwaly;

Dzisiaj walczę, by twe imię ustrzedz od zakały;

Zgorszenie ogarnęło świat czarnymi skrzydły,

I zaraża go jadem, niby trąd obrzydły;

Wielcy pyszny kark wznoszą, kto chce dziś rozrywa

Ciężące jego barkom małżeńskie ogniwa.

W starłej Anglii, w Czechach i w cesarstwie całym

Mocarze wyuzdanym rozpasani szalem,

Jak pogańskie Klotery albo Hilperyki

Bezkarne szalonymi gorszą świat wybryki.

Na tronach bezwstydnice rozsiadły się wkoło,

A małżonka chryzmatem namaszczone czoło,

Kiedy na łzy jej naród patrzy oburzony,

Pochyla pod ciężarem cierniowej korony.

Na te słowa otucha wstąpiła w serce Ingerburgi, Agnieszka drży, Filip August milczy, patrzy w ziemię ponuro.

LANDRESSE (ciągnie dalej). Królu! promieniem chwały połyska twe imię,

Świat patrzy, jak na przyszłość ramię twe olbrzymie

Kamień gmachu wielkiego zakłada węgielny,

I z luźnych plemion sprzęga naród nieśmiertelny;

W ślad za tobą mknie chmura piorunem wezbrana,

Gdzie stąpisz... echo szepcze imię Karlomana!

Na imię Karlomana, Filip August z dumą podnosi głowę; umysł jego widocznie pomięszany, ale rozpaczliwy okrzyk Agnieszki wskroś przenika mu serce.

— Ja nie opuszczę ciebie!—woła z uczuciem i tuli ją do piersi.
Landresse pyta potrzykroć, ażali król wróci tron opuszczonej małżonce.

— Nie!—po trzykroć odpowiada Filip August.

Legat powołuje strażę wojskowe i dozorców więzienia, bierze ich na świadectwo.

LANDRESSE. W imię Pana, przed którym świat zgina kolano,
Jeśli zbrodnie w królewskim domu nie ustana,
Od Franoyi Bóg święte odwróci oblicze:
Niechajże te ogniwa prysną tajemnicze,
Co łączą ziemię z niebem! Od jutra zamknięty
Próg przybytków, z ołtarzy usunione krzyż święty;
Dzwony strącone z wierzyć z poranną już rosą
Modlitwy za umarłych Bogu nie zanosą;
W kościele płomień jasných zagaśnie pochodni,
Już kapłan nie rozwiąże grzesznika ze zbrodni;
Pieśń weselną drużyny nie wzleci ku niebu,
Na stopy powalone trupy bez pogrzebu
Nie spoczna w cichój ziemi pod ramiony krzyża.
Królul słyszałeś wyrok? godzina się zbliża:
Złamiesz-li dzielną wolą twój upór szalony?

FILIP AUGUST! *(stoi jak skamieniały, po chwili):*
Nigdy!

LANDRESSE. Biada ci Francyo! interdykt rzucony!
(Poruszenie ogólne—niektórzy upadają na kolana).

LANDRESSE. *(Zbliżając się do Ingerburgi).*
Wolną jesteś królowo!

FILIP AUGUST. Ona!

LANDRESSE. *(do dozorców nakazując).*

Puśció, strażę;

W imię sprawiedliwości!

(do Ingerburgi).

Idźmy!... Bóg nam każe!

Grom klątwy rzucony na Francją: w czwartym akcie widzimy okropne jego skutki.

Teatr przedstawia plac przed jednym z kościołów paryskich. Tłumy mieszczan roją się po ulicy, oblicza wszystkich pochmu-rzone; od czasu do czasu daje się słyszeć chór żałosny. Tu zbliżają się pielgrzymi: idą do Ziemi Świętej, przynoszą torby i kosztury, niech je pobłogosławi Boży kapłan. Kończąc... próżno! drzwi przybytku nie otworzą się dla nich!

Odeszli. Matka przynosi chore dziecko, pragnie złożyć je na ołtarzu Bogarodzicy: w Nięj jedyna otucha jej sereal—Idź biedna matko!—woła chór—próżno kołaczysz! kościół się nie otworzy!

Przychodzi grono dzieci odzianych kirem, niosą w trumnie ciało zmarłego ojca.—Ustąpcie biedne sieroty!—rzecze chór—wasmie łyzy nie skruszą tych ryglów: kościół otworzyć się nie może!

Raz przecież pękły zwarte podwoje. Zakołatał w nie sam król. I czemuż to Filip August wdryga się nagle? czemu dumny mocarz nie śmie przekroczyć tego straszного progu? Bo we drzwiach stał Landresse, bo w progu położył krzyż Chrystusowy. Król krzyżowiec miałby zdeptać święte godło? Nie może... brak mu sił... cofa się... drży... upada na kolana.

Drzwi świątyni zamykają się z trzaskiem, król powstaje z ziemi, miota klątwę na cudzoziemkę, przyczynę tylu klęsk i takiej sromoty.

— Przeklęta!—woła z królem tysiące głosów.

Ingerburga słyszy te klątwy; pokryta zasłoną i ona kołatała z drugimi w zawarte drzwi Bożego przybytku. Uniesiona rozpaczą zdziera z głowy zasłonę, wyciąga obie ręce do tłumów.

— Nie przeklinajcie mnie—zawoła—jam niewinną ofiarą!... I upada na ziemię, głową uderza w próg kościelny. Lud rzuca się na nią z wściekłym krzykiem.

Przybiega Agnieszka, zasłania Ingerburgę. Przerazony tłum ustępuje; Filip August odchodzi: zostają dwie królowe. Agnieszka przypomina o sobie, boleje tylko nad losem biednych dzieci; boleść jej przenika do głębi serce Ingerburgi.

— Wolę być ofiarą niż katem!—woła w szlachetnym uniesieniu, otwiera objęcia, przyciska do serca Agnieszkę.

Ingerburga rzeka się tronu; zakończyć dni w ciszy klasztornej: oto jedyne jej pragnienie.

Kiedy Agnieszka z dwojgiem dzieci składa dzięki szlachetnej współzawodniczce, przybywa nieprzebragany Landresse.

— Królowo—rzecze—ty nie możesz ustąpić! Nie téj Bóg wymaga po tobie ofiary. Nie o ciebie tu idzie, ty jesteś wyrazem prawa wszystkich niewiast, wyrazem prawdy bożej, wyrazem świętych ślubów małżeńskich których targać nie wolno: ty nie ucieczesz za mur klasztorny, ale siedzisz na tronie!

— Dobrze więc—zawoła Ingerburga—oddaję się w okup za prawa przyszłych siostr moich... przyjmę tę cierniową koronę, wstąpię na tę kalwaryę, którą świat zowie tronem, ale żądam jednego warunku.

— Agnieszko—rzecze—przystąp tu z dziećmi twemi. . . . Te dzieci przybieram za moje. . . będę im matką. . . ty biedna usuń się do klasztoru. . . na krótko. . . może na dni kilka. Chwile moje zliczone już na ziemi. . . niebawem ustąpię o miejsce.

Z głębi kościoła dają się słyszeć organy. . . podwoje rozmykają się nagle. . . interdykt zniesiony. . . dzwony biją. . . lud przybiega w uniesieniu radości.

Nadchodzi Filip August. . . Agnieszka składa dzieci w objęcia Ingerburgi.

— Patrz!—wyrzecz do króla—ona będzie im matką!

— Nie! ja ciebie nie opuszczę!—zawoła król powstrzymując Agnieszkę.

— Czy słyszysz?—pyta Landresse i ukazuje lud ukorzony, śpiewający chórem pieśń dziękczynną.

Król waha się. . . upada wreszcie na kolana.

— Pokonany jestem, o Boże!—szepcze cichym głosem.

— Królu, nie ty pokonany... ale ta księga zwyciężyła!—i ukazuje Ewangelię.

Podczas kiedy chór śpiewa przy dźwięku organów, Agnieszka usuwa się zwołua. Ingerburga stoi patrząc wniebo, ręce wyciąga po nad głowami dzieciak. . .

Autor podjął jeden z najdramatyczniejszych ustępów w dziejach Francji. Współzawodnictwo obu małżonek Filipa Augusta nie jest wcale poetycznym zmyśleniem, jak niemniej opieka Innocentego papieża nad pokrzywdzoną królową duńską.

Nieszczęście Ingerburgi zostało w dziejach pokryte zasłoną tajemnicy. Królowa młoda była i piękna. Wilhelm z Szampanii biskup z Reims wysławia jej niezrównane zalety... Ingerburga—mówi on—roztropnością przewyższała Sarę, mądrością Rebeke, wdziękiem Rachelę, czystością Zuzannę... Wyczerpawszy porównania z Biblii, kronikarz pod względem urody przyrównywał ją do sławnej Heleny greckiej.

Mimo tylu uroków i zalet, pierwszego dnia po zawarciu małżeńskich związków Filip August uczuł ku żonie swojej wstręt nieprzewyciężony. Nikt nie odgadł powodów tego wstrętu, wielu kronikarzy ówczesnych przypisuje go czarom, podmuchowi szatana.

Król znalazł powolnych sobie sędziów w zwołanym w tym celu synodzie. Pod pozorem dalekiego pokrewieństwa, biskupi rozwiązali małżeński związek. Nie dość że Filip August odtrącił od boku swego nieszczęśliwą Dunkę, ale jeszcze zabrał jej posąg i wtrącił ją samą do więzienia. Ingerburga doprowadzona do ostatecznej nędzy, zmuszoną była posprzedawać klejnoty i suknie.

Arcybiskup reimski, który z innymi biskupami podpisał rozwód stał się później najgorliwszym obrońcą królowej. Przytacza on w kronice list, w którym Ingerburga błaga najusilniej aby czuwał nad nią i nie dał jej wpaść w ręce innego małżonka.

Przez pięć miesięcy interdykt Innocentego III. papieża rozpościerał żałobny całun nad Francją. Przybytki zamknięte były dla wiernych, dzwony milczały, kościół udzielał tylko sakramentu chrztu i ostatniego namaszczenia.

Powrót Ingerburgi na tron zarówno tajemniczy w dziejach, jak przyczyna rozwoju. Po dwutygodniowych sporach sądowych, obrońca królowej ją przemawiał z tak cudowną siłą, że król poruszony do głębi, doskoczył nagle bieguna, pospieszył do zamku gdzie królowa była więziona, wyrwał ją z poza krat i przywiózł do Paryża trzymając ją przed sobą na tym samym koniu.

Jak wpływowi szatana przypisywano dawniej wstąpienie króla do małżonki, tak znów nagłą zmianę jego uczuć przypisywano wpływowi anioła, który głosem złotoustego mówcy tak poruszył serce królewskie.

Ingerburga odzyskała tron, lecz nie odzyskała miłości męża. Wkrótce król odesłał ją znów, wprawdzie nie za kratę więzienną, lecz na wygnanie do zamku Étampes. Starał się znowu o zerwanie ślubów, nie przełamał jednak woli Rzymu.

Prześladowana małżonka przeżyła króla. Po śmierci Filipa Augusta otoczono ją względami, jakie należały królowej.

Agnieszka z Meraui młodo zakończyła życie w klasztorze. Jedyną pocięgą w ostatnich chwilach była dla niej legitymacja dzieci. Prawo pozwalało na to uprawnienie, przez wzgląd że Agnieszka oddała królowi rękę, zwiedziona wyrokiem synodu.

Wyszły świeżo z druku *Listy Mazziniego do Daniela Sterna*, pisane w języku francuzkim od roku 1864 do 1872. Ciekawa to bardzo publikacja, uwydatnia bowiem osobistość agitatora włoskiego, który przez długi czas był przewodcą ziomków swoich na drodze socjalno politycznej, dopóki ciż ziomkowie pełniący nowym prądem nie wypredzili go i nie zostawili na uboczu. Mazzini, przepraszamy za porównanie, znalazł się w położeniu kury, która wyprowadziła kaczęta nad wodę, a gdy te zanurzyły się w jej głębi, iść dalej za nimi nie mogła i nie chciała.

Daniel Stern jak wiadomo, to pseudonim pani Maryi d'Agoult, znaniej w literaturze francuzkiej autorki *Historji Rewolucyi* 1848 r. i wielu dzieł rozmaitej treści ¹⁾.

¹⁾ Z prac Daniela Sterna tłumaczony przez nas dramat *Joanna D'arc*, drukowany był przed kilkunastu laty w Bibliotece Warszawskiej.

Przed laty dziesięciu *Revue Germanique* pomieścił pracę Daniela Sterna: o *Dancie i Goetem*. Mazzini uderzony talentem autorki napisał do niej list: odtąd zawiązała się pomiędzy nieznanymi stała korespondencya, zrazu filozoficzno-literacka, która z czasem przybrała charakter przyjacielski i poufały. Listy Daniela Sterna zaginęły w ciągu ustawicznych podróży Mazziniego, przeciwnie zaś listy Mazziniego zebrane troskliwie przez korespondentkę, ogłoszone zostały obecnie staraniem jej w Paryżu z wielkim pożytkiem nie tylko dla nauk ekonomicznych, lecz niemniej i dla krytyki literackiej. Z tych to listów pokazuje się do jakiego stopnia Mazzini przerażony był patrząc na następstwa teoryi absolutnego pozytywizmu, teoryi, do której rozszerzenia sam się przecież nie mało przyczynił.

Oto niektóre wyciągi z owych listów.

16 marca 1864 r.

„Czytam w tej chwili *Historję Rewolucyi 1848 r.* (Daniela Sterna). Wielka bezstronność, trafny sąd o ludziach i rzeczach, szeroki pogląd a szczególnie gorąca miłość ludu jaką technie całe dzieło, wszystko to czyni je bardzo ważnem. Nie jestem jednak tyle pobłażliwym dla socjalistów. Potępiasz pani dążenia komunistyczno-materyalne, szkoła ta z całą bezczelnością doprowadziła tylko do *absurdum*, złe ukryte w głębi tych wszystkich systemów absolutnych, które cofnęły prawie myśl społeczną, wspólną nam szczerym republikanom, rozumiejącym, wierzącym i miłującym. Ci ludzie: Fourier, Cabet, Louis Blank, Proudhon i t. p. mieli inteligencyą, i o ile na to *samolubstwo* ich pozwalało, miłość ludu, ale wszystkim zabrakło wiary. Wszystko to synowie Benthama. Poszukiwanie szczęścia jest dla nich jedynem życiem określeniem; *zmateryalizowali problemat świata*. Postęp ludzkości zastąpili (przebacz mi pani wyrażenie) *postępem kuchennym*, (le progrès de la cuisine de l'humanité). Ścieśnili, spaczyli wychowanie robotnika: dlatego to robotnik stał w grudniu ¹⁾ z rękoma założonemi.

„Jeżeli gdziekolwiek pozyskałem miłość, to pomiędzy robotnikami. Ale ja przemawiam do nich ze stanowiska powinności w imię praw moralnych, w imię posłannictwa jakie spełnić powołani dla Włoch. Pytania ekonomiczne przedstawiam li tylko jako *środek* niezbędny. Socjalizm we Francyi i w Anglii stawia je przeciwnie jako cel. W tém, t. j. w pojęciach o socyalizmie *obcych geniuszowi ludów europejskich*, leży według mnie tajemnica jego upadku.“

¹⁾ Przypomnienie Napolcońskiego coup. d'Etat.

12 listopada 1864 r.

„Pani i przyjaciółko moja! Otrzymałem listopadowy numer *Revue Germanique*, odczytałem karty określone ręką pani (o Dantem): piękne one są i prawdziwe. Na tém polu zupełnie się zgadzamy.

Oo do współdziałania z nami Świętych i ja wierzę w nie także. Wierzę w węzeł istniejący pomiędzy żywymi a zmarłymi; we wpływ moralny, dobroczynny dla nas tych, którzy kochali nas umierając jeśli i my kochamy ich po za grobem. Jestto ogniwo co sprzęga życie w jego różnych objawach, pierwsza nagroda dla tych którzy zachowali miłość do ostatniej chwili, pierwsza gwarancya ich postępu. Nie zdziwiłbym się, gdyby Dante miał podobną myśl widząc przewodniczkę swoją w Beatricie.“

5 grudnia 1864 r.

„Odczytałem ostatnią książkę Micheleta (Biblię ludzkości). Żałuję go. Ten człowiek którego niegdyś podziwiałem, pisze dziś dorywczo jakby go śmierć gonila. To Mazeppa w dziedzinie inteligencji. Przebiega szalonym pędem wszystko, co widział, znał, czuł, napotkał w życiu, stawiając dęby, wirując wciąż po drodze. Nigdzie skupienia, nigdzie pokoju, ani tryumfu po długich poszukiwaniach. Ta książka w gorączce napisana, wprawia czytelnika w gorączkę. Brak proporcji w podziałach: dwadzieścia stronic o Ramayanie, trzy o chrześcijaństwie, nie a nie o budyzmie i reformacji. Są karty których niepodobna zrozumieć: Babilon, Mithra, Fenicya it. p. Rzekłbyś że wszystko mieści się w Ramayanie.

„Zamiast okazać nam jak wszystkie przybytki zbudowane ręką ludzką tworzą Panteon, przez pasmo wieków prowadzący ludzkość do Boga, rzekłbyś że to łoskot walących się w gruzy świątyń, zamęt, w którym człowiek traci głowę i szuka ucieczki w zwątpieniu. I nazwałże to księgą świętą? Karty lecą pędzone uraganem w jakieś piękno dantowskie „*Bufer infernal che mai non resta*.“ Ozegóż cię naucozy, powiedz pani, ta Biblia ludzkości? Idziemyż do transformacji religijnej? do filozofii? do nowego politeizmu? czy do antropomorfizmu? Mamyż jakie prawo lub nie? Zkąd przychodzimy? Dokąd dążymy? jaką drogą? jakim mostem łączącym Boga i człowieka? Ani słowa nie znaleźć o tém!“

23 marca 1865 r.

„Ścigam pilném okiem ważny ruch objawiający się u was między robotnikami, mówię o stowarzyszeniach. Mam nadzieję że stary socyalizm nie zechce ich poprzecć. Pragnąłbym, aby ludzie którzy kierują tym ruchem, oparli go na zasadzie moralnej, na przekonaniu

o wielkiej powinności do spełnienia. W klasie roboczej widzę żywioł przyszłości, ale pod warunkiem, że nie postawi sobie za jedyny cel problemu czysto materyalego. Inaczej zrodzi się ztąd nowe mieszczaństwo.“

25 maja 1865 r.

„Tak jest, prawda że Niemcy, złe Niemcy pochłaniają nas. Nie obwiniaj pani o to instynktu Włochów; powód leży w tém, że p. Sanetis poobsadzał katedry ludźmi, z którymi jadał obiad w Zurichu lub gdzieindziej w czasach wygnania swego. Udarował nas panami Wera, Molescholt i t. p. Pierwszy uczy nas na podobieństwo Hegla chylić czoło przed czynem dokonany, drugi na podobieństwo Büchnera uznawać w gieniuszu *trochę fosforu* i nie więcej. Ale zobaczysz pani, my to wszystko kiedyś wymieciemy.“

20 lipca 1869 r.

„Oddałbym połowę życia jakie mi jeszcze zostaje, abym mógł napisać dwie książki: jedną o waszej rewolucyi 1789 r., drugą w przedmiocie religii przeciwko Comtistom, materyalistom à la Moleschott *apostolom boskości* wbrew Boga, takim *amatorom* jak Renan, *artystom brutalstwa* jak Taine i inni. Oszukają oni demokrację i burzę przyszłość.“

21 lutego 1872 r.

„Konieczność walki przeciwko wpływom jakie ajenci internacjonau chcą wywierać na nasze klasy robocze, zmusza mnie do wykazania błędów popełnionych od r. 1815 przez Francją. Dlatego chciałbym mieć jaką pracę pani, która przyznając i piętnując złe, ukazałaby zarazem źródła żywotności i powiedziała nam: „Nie rozpaczajcie o Francyi, zajmie ona właściwe miejsce wśród wielkich ludów.“ Korzystałbym z tego i powiedziałbym z mojej strony: „Nie lękajcie się, powinniśmy lubo z żalem naganiać czas obecny, lecz wierzymy w przyszłość Francyi.“

„Dlaczego Quinet, Henri Martin, Michelet, ty pani i kilku innych jeszcze nie pomyśleliście o tygodniowej publikacji, któraby dała hasło rozbudzenia, głosząc prawa duszy nad materją? Byłby to sztandar dla młodych umysłów chwiejących się, niepewnych siebie! Co do klasy roboczej, sądzisz pani jej obecne dążności tak samo jak ja; lecz aby zmienić te dążności, nie należy abdykować, wypada raczej odważnie stanąć na wyłomie.“

Ostatnie to wyrazy z korespondencji Mazziniego.

O Bajronie tak się wyraża:

„Bajron najlepiej ze wszystkich pojął Włochy, ukochał je gorąco. Inni zacząwszy od Goetego aż do waszego Taina patrzyli na nie okiem pogan. Wielbią jedynie formę. Byron zapuścił się do głębi aby pochwycić ducha. Jego wykrzyk boleści w obec Rzymu wyższy nad wszystko co napisali tamci. Oni są artystami, on jeden prawdziwym poetą.“

Dziełko p. About p. t. *Alzacya w 1871, 1872 r.* żywe zajęcie obudziło w czytelnikach francuzkich, ze strony zaś Niemców surową wywołało krytykę. Jestto opis przejażdżki po tej prowincyi nadreńskiej, która Francuzom leży dziś kamieniem na sercu.

Autor smutno zaczyna pielgrzymkę swoją. Z niewymowną boleścią zbliża się do Avremont; łzawém okiem spogląda na budę zbitą z prostych desek i zatknięty na niej sztandar konfederacyi germańskiej. Wszystko tu zresztą tak jak było: taż sama ziemia pulchna, żyzna, barwy rudawej; też same wsie, też chaty pobielone wapnem, pokryte przykopcem dachówką, napółukryte w cieniu zielonych sadów. Nic się tu nie zmieniło... tylko sztandar.

Idźmy za autorem: otóż jesteśmy w Savernie. Żołnierze przechadzają się tu i tam, rozmawiają z sobą. Niech podróżnik niemiecki przybędzie do miasteczka, niechaj zagadnie; Sewerynczyk odpowie łamaną francuszczyzną: „*moi pas poufoir Allemand!*“ i odwróci się plecyma. Dawniej mawiał lud swoim narzeczem teutońskiem, dziś wszyscy źle czy dobrze mówią między sobą po francuzku.

Pan About ukazawszy Alzacyą 1871 r. kreśli obraz Alzacyi z r. 1872. Rok jeden a jakaż dziwna zmiana! Dotąd widzieliśmy tylko puste ulice w mieście, gdy je gość nie miły nawiedził, teraz widzimy bezludne wsie, opustoszałe miasta. Autor prowadzi nas do Schlestadt. Rok temu było tu 11 tysięcy mieszkańców, ileż ich dziś zostało? ledwie cztery tysiące.

Do uroku dziełka przyczynia się wiele śliczny obrazowy styl p. About, ale bardziej jeszcze gorące uczucie tryskające z każdego słowa. Gościnność z jaką Alzatozcy przyjmowali wędrowca francuskiego, owe wykrzyki: *Vive la France*, które ściagały go na każdym kroku, czy to w polu, czy w lesie, napełniły serce jego niewymowną otuchą.

Niemcy szydzą nielitosciwie z dziełka; zowią autora opojem chauvinizmu, z całej książki jak mówią, przegląda: *Katzenjammer eines gründlich betrunken gewesenenen Chauvin.*

Mimo rozbudzonych niechęci, nigdy może Francuzi nie zajmowali się tak jak dziś literaturą niemiecką, nigdy nie badali tak pilnie ducha niemieckich autorów. Pomiedzy innymi mamy właśnie przed sobą wyborne studjum nad Goethem profesora Mézières. Obszerny tom I obejmuje życiorys wielkiego poety i genezę jego poetycznych utworów, jak niemniej dokładne ich ocenienie. W drugim, który dotąd nie wyszedł z druku, znajdziemy krytykę Faustai ostatnich utworów Gethego, oraz dokończenie ciekawej biografii. Zdamy w krótkie sprawę z tego ważnego dzieła.

W Brukselli wyszedł obecnie piękny przekład *Hermana i Dorozy* przez Edwarda Delinge. Pierwszy to przekład dokonany rymowym wierszem. Francuzi jak widać zaczynają otrząsać się z głęboko zakorzenionego przesądu, że ich język nie zdolny do odtwarzania rymem obcych utworów.

Sami Niemcy unoszą się nad pięknością tłumaczenia p. Delinge.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Przegląd najdawniejszych pomników języka polskiego, sporządził Konstanty Małkowski. Warszawa, 1872. in 4-to str. 191.

Mamy przed sobą owoc długoletniej pracy i mozolnych studjów nad najdawniejszymi pomnikami naszymi, z których jedne były już drukami ogłoszone, o innych czytająca publiczność dowiaduje się teraz dopiero z dzieła p. Małkowskiego. Dzieło to składa się z dwóch części, wcale od siebie różnych, z których jedna ma same pomniki na względzie, drugą nazwać można badaniem początków rodu Lechitów. Niepodobna w treściwym rozbiordzieła, iść wśląd za autorem i każdą myśl przez niego wypowiedzianą rozbiierać szczegółowo: rozbiór taki samby w dzieło mógł urosć; ograniczymy się więc tylko na wskazaniami głównej treści każdego ustępu.

Z rozebranych przez p. Małkowskiego pomników, główne miejsce zajmuje psalterz, zwykle zwany psalterzem Małgorzaty. O samą nazwę tego pomnika długie toczyły się spory, w których starano się zawsze wychodzić z tego niby to pewnika, że psalterz należał do rodziny królewskiej i że dostał się do miejsca dzisiejszego swego schronienia od Katarzyny Austriaczki, rozwiedzionej żony ostatniego z Ja-

giellonów. Na pierwszą okoliczność wskazywał wyrysowany na marginesie psalterza herb domu Andegaweńskiego, na drugą śmierć Katarzyny w pobliżu klasztoru Ś. Floryana w Linz, głównem mieście Wyszłej Austrii. Wniosek był ztąd bardzo naturalny: tekst polski wskazywał, że psalterz napisany został dla tego lub dla tój, kto umiał lub miał umieć po polsku; herb andegaweński, że tą osobą był ktoś z należących do domu panującego w Węgrzech, lecz przeznaczony do tronu polskiego; miejsce śmierci Katarzyny Austriaczki, że psalterz dostał się do biblioteki klasztornej właśnie od niej samėj lub dopięro po jej skonie. Skoro już przyjęto za pewnik, że umieszczenie herbu królewskiego wskazywało na rodzinę panującą w Węgrzech, przyznano za niejaką wskazówkę i wyrysowanie obok herbu litery M, która musiała być początkową imienia właściciela lub właścicielki. Co do mężczyzn dano sobie pokój w przypuszczeniu, że ci czytaniu ksiąg pobożnych się nie oddawali i wyłączną uwagę zwrócono na kobiety, które rzeczywiście w naszym pierwotnem piśmiennictwie ważną grają rolę (książeczka do nabożeństwa Nawojki, Biblia królowej Zofii). Z kobiet dwie niewiasty do domu andegaweńskiego należące nosiły imiona od litery M. się zaczynające: Małgorzata pierwsza żona Ludwika węgierskiego córka księcia morawskiego, a późniejszego króla czeskiego i cesarza niemieckiego Karola IV, oraz Marya, córka tegoż Ludwika, przeznaczona pierwotnie do tronu polskiego. Pierwszy wydawca psalterza hr. Stanisław Dunin-Borkowski oświadczył się za Małgorzatą, na zasadzie różnych *zapewne i naturalnie*, a przeciw Maryi na podstawie słusznych wniosków. Psalterz więc ochrzczony imieniem Małgorzaty ukazał się w druku i pod tym tóż tytułem zajął poważne miejsce w historii piśmiennictwa polskiego. P. Małkowski przeciwnie oświadcza się za Maryją odrzucając Małgorzatę na tój zasadzie, że ta umarła w r. 1349, a język psalterza na epokę późniejszą wskazuje. Że zaś koniecznie potrzeba było znaleźć właścicielkę z rodu andegaweńskiego, z imieniem od M. poczynającém się, przyznał więc własność królowie Maryi. Oba te przypuszczenia podaje w wątpliwość trzeci badacz tegoż pomnika, prof. W. Nehring, który w dziełku swém: O psalterzu Floryańskim (Poznań. 1871) przytacza nieznanę dotąd okoliczność, które powątpiewać każą nawet o tём, czy psalterz należał kiedy do rodziny królewskiej, a przynajmniej czy był w jej ręku i użyciu. Również, nie tylko wątpliwości, ale nawet pewności podlega że pomnik ten nie od Katarzyny Austriaczki do klasztoru Ś. Floryana się dostał. P. Nehring na odlepionėj od oprawy karcie wyczytał, że rękopism w r. 1557 należał do niejakiego Bartłomieja Siess, i że na oprawie introligator położył rok swój roboty 1564; tymczasem Katarzyna opuściła Polskę w r. 1566, i gdyby ona jeszcze jako królowa polska psalterz oprawić kazała, byłby umieszczony na okładce herb królewski. Jak to wówczas było we zwyczaju. Tymczasem nie masz go wcale a zatem i należenie do Katarzyny jest niepewne. Śród tylu wątpliwości, za najwłaściwsze uważam, nadawać pomnikowi tytuł przez pana

Nehringa proponowany, to jest Psalterza Floryańskiego, bo ten jeden jest niewątpliwy, jako pochodzący od nazwy miejsca, w którym rps. obecnie się znajduje.

Otóż pomnik ten składa się z kilku części, czyli kilku tłumaczeń dokonanych w różnych czasach, z różną ortografią i różnym charakterem pisma. Część pierwsza ciągnie się do psalmu 101, do wiersza poczynającego się od wyrazów: „napysana bądźczcze.“ Część druga ciągnie się do wiersza drugiego w psalmie 106 do wyrazów „odkopył z rąk“ nakoniec trzecia zawiera resztę rękopisu. P. Małkowski wykazał szczegółowe cechy każdą część wyróżniające. Przyznajemy badaniom tym gruntowność, trafność wniosków i nader staranne porównanie tekstów, które do tych wniosków sprawiedliwie doprowadzić musiały. Bardzo słusznymi są dowody że tłumaczenia polskiego dokonano z łacińskiego oryginału, na co wskazują naprzód zgodność z Wulgatą, spowtórę sposób tłumaczenia słów złożonych, po trzecie omyłki pochodzące z błędnego czytania słów łacińskich. Wszystkie te dowody poparte są licznymi przykładami. Dalej dowodzi p. M. że tekst czeski nie służył wcale za wzór przekładowi polskiemu, na co po odczytaniu dowodów niepodobna się niezgodzić. Następnie p. M. wykazuje, jakim wpływom ulegało tłumaczenie polskie i przychodzi do wniosku, że znać w nim wpływ języków łacińskiego, czeskiego, niemieckiego i cerkiewnego, w ortografii zaś widzi p. Małkowski wpływ pisowni niemieckiej, czeskiej i gągolskiej. Niepoddając żadnej wątpliwości dwóch pierwszych wpływów, oświadczamy się stanowczo przeciw gągolskiemu. Wniosek swój pod tym względem p. M. opiera na tém, że w drugiej części psalterza spotykamy wyrażenie dźwięku nosowego przez połączenie dwóch samogłosek eą, kiedy takie zdwojenie nie wypływa z natury polskiego wymawiania; musi zatem być naśladowaniem obcego alfabetu. Takie zdwojenie widzi p. M. w abecadle gągolskiem. Najprzód trudno się dopatrzeć tego podobieństwa, bo że *je* wyraża się przez *ea*, a *ę* przez *oę*, to podobieństwo takie jest tylko przypadkowem. I gdyby tłumacz polski miał naśladować gągolicę, to wzięłby z niej nierównie więcej a mianowicie wymyśliłby pojedyncze znaki na pojedyncze brzmienia, czém właśnie gągolica się odznacza. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że w psalterzu floryańskim widocznymi są wpływy obcych języków i te p. Małkowski przypisuje to czytaniu się tłumacza, to jego rodowości którą za niemiecką uznaje. Na poparcie ostatniego wniosku autor przytacza wiele błędów, którychby Niemiec tylko mógł się dopuścić: nigdy Polak. Co się tyczy samej redakcyi psalterza, to część drugą p. M. uważa za starożytniejszą od pierwszej i odnosi ją do połowy wieku XIII, kiedy pierwszej i trzeciej ostatnią połowę wieku XIV naznacza.

Jak wielką była praca p. M. koło tego pomnika, świadczą o tém porównania jakie robił z trzema najdawniejszemi psalterzami czeskiemi, klementyńskim z r. 1300, wittenberskim z r. 1325 i kapitulnym z r. 1350; następnie z psalterzami polskimi i z pomnikami freyzyngen-

skiem i z wieku X, które nawet w całkowitości przedrukował. Jestto najszacowniejsza praca jaka się o psalterzu floryańskim w literaturze polskiej dotąd ukazała. Nie jest to wszakże ostatnie słowo w tym najcenniejszym zabytku mowy polskiej. P. Małkowski nie widział oryginału, a ztąd wnioski swoje o różnych epokach psalterza zasadzał wyłącznie na języku i pisowni, kiedy należało mieć na względzie jeszcze i charakter pisma, sam nawet atrament i pergamin. Professor Nehring z pewnego względu poszedł dalej, mając bowiem oryginał w rękę przez całe dwa tygodnie, zbadał już zewnętrzne cechy pomnika. Dodany do jego rozprawy słowniczek z dopisaniem łacińskiego znaczenia wedle tekstu wulgaty jest wystarczającym do użytku naukowego. W doborze wyrazów przytoczonych p. Nehring miał na względzie albo materiał etymologiczny, albo też formę lub inne powody. Wszakże obie te prace połączone jeszcze nie odpowiadają wszystkim wymaganiom nauki. Gramatyka pomnika nie jest w nich ani systematycznie ani wyczerpująco rozebrana. Pod tym względem ważną przysługę literaturze tego pomnika oddali pisarze rosyjscy, najprzód p. Dubrowski, który w trzech rozprawach o języku polskim umieszczonych w Wiadomościach akademickich (Tom I arkusz XI, T. IV w dodatku arkusz XXXII), podał psalterz floryański szczegółowemu rozbiorowi tak pod względem leksykograficznym jak i gramatycznym; następnie p. Piotr Ławrowski dzisiejszy rektor Uniwersytetu Warszawskiego, napisał w r. 1858 (Petersburg) bardzo ważną i uczoną rozprawę pod tytułem: Uwagi o etymologicznych właściwościach dawnego języka polskiego. W rozprawie tej pisanej z głęboką znajomością nie tylko innych narzeczy słowiańskich w ich historycznym rozwoju, ale i w ogóle prac filologicznych na polu lingwistyki porównawczej, p. Ławrowski systematycznie rozebrał całą gramatykę polską, używając przykładów przeważnie z psalterza floryańskiego, wykazał zasługi Cegielskiego i całą bezzasadność gramatycznych uwag p. Maciejowskiego, który w swych nader błędnych wnioskach przykrył się nawet powagą takich imion, jak Bopp i Schleicher, którym o podobnych wywodach nawet się nie marzyło.

W ogóle wiele jeszcze do zrobienia na tém polu pozostaje. Trzeba przedewszystkiém wydać jak najdokładniej tekst polski, łaciński i niemiecki psalterza floryańskiego; tekst polski wydrukować podwójną pisownią tą, jaka w oryginale jest zachowana i dzisiejszą; do nich dołączyć tłumaczenie Wujka. Następnie przejść całą gramatykę z wykazaniem w której części psalterza jaka forma gramatyczna jest użytą, i nakoniec dodać słownik dokładny wszystkich wyrazów w tekście znajdujących się z przytoczeniem ich łacińskiego i niemieckiego znaczenia, podług tegoż psalterza i z oznaczeniem psalmu lub stroficy i wiersza. Do tego wszystkiego dodaną być winna podobizna różnych części pomnika i rozprawa o całym psalterzu na zasadzie tych danych, oraz szacownych prac pp. Małkowskiego, Nehringa, Dubrowskiego i Ławrowskiego. Cała rzecz dzisiaj nie jest już do wykonania

trudną, trzeba tylko czasu, szczerego zajęcia się pracą i nakładu na wydanie. O ten ostatni warunek, bodaj czy nie najtrudniej będzie.

Drugim z kolei przedmiotem pracy p. Małkowskiego jest rozbiór Symbolu wiary Ś. Atanazego. Symbol ten znajduje się w drugiej części psalterza floryańskiego i został tylko przepisany z tekstu dawniejszego, który p. M. nie waha się odnieść do pierwszych czasów chrześcijaństwa u nas. Jak późniejsze psalterze nasze były tylko kopią floryańskiego, tak i Symbol wiary drukowany w r. 1535 jest powtórzeniem z małemi odmianami tekstu, znajdującego się w tymże psalterzu floryańskim. Odmiany poczynione w wieku XVI porobiono dla zastąpienia przestarzałych wyrażeń psalterza, od których wieje rzeczywistość duch prastarłej epoki pod bardzo potężnym wpływem języka cerkiewnego.

Trzecim z kolei pomnikiem przez autora rozebrany i w całości wydrukowanym są trzy fragmenta z X wieku, znane pod nazwą Rękopisu Freisingańskiego.

Fragmenta te nie wspólnego z piśmiennictwem polskim nie mają prócz może pisowni, bo i nasza i południowosłowiańska ortografia były naśladowaniem niemieckiej z wyjątkiem dźwięków nosowych, na które u nas o przekreślone wymyślono; słoweniec czy też Niemiec po słoweńsku agendę spisując, nawet i na tę drobnostkę się nie zdobył. Jakkolwiek więc miło nam z fragmentami w dziele p. M. się spotkać nie uznajemy dostatecznego powodu do umieszczania go w dziele wyłącznie polskim pomnikom poświęconém. Usprawiedliwia takie umieszczenie po części czwarty pomnik polski podobny treścią do jednego z fragmentów; jest nim spowiedź powszechna, należąca do wieku XV i to ku jego końcowi. Za nader ważną zasługę poczytujemy p. Małkowskiemu umieszczenie przy każdym zabytku mowy naszej szczegółowej historii każdego z nich, oraz zestawienie tekstów podobnych im pomników w literaturach obcych. To nadzwyczaj ułatwia badanie i posłuży z czasem za wyborny materiał do ułożenia historii języka polskiego. Na piątém miejscu w dziele p. M. stoją kazania, które z opisu w bibliotece katedralnej Gnieźnieńskiej przechowywającego się wydał w r. 1857 w Poznaniu Tytus Działyński pod tytułem: *Zabytek dawnej mowy polskiej*. Dowody dające się zacerpnąć z samego rękopisu, każą pomnik ten odnieść do wieku XV, a mianowicie między 1404 a 1436 rokiem. Kazania te widocznie przepisywane były przez zakonnik Niemca, na co wskazuje nieznamość języka polskiego i ortografia zastosowana nie do etymologii, lecz do wymawiania. Oryginał z którego Niemcy kazania te przepisywali p. M. odnosi do wieku XIII, do czego upoważnia go obfitość starożytnych znamion dawnego narzecza, które p. M. lechickim nazywa i za znikłe uważa, połowiczne miękczenie spółgłosek oraz ścisły związek z językiem drugiej części psalterza floryańskiego, także według p. M. do połowy wieku XIII należącej. Wiele wyrazów starożytnych, w czasach późniejszych już się nie spotykających, znajduje się w kazaniach tylko

i w psalterzu; nie mała też liczba w kazaniach po raz pierwszy dopiero użytą została. Jakiż to cenny materiał do słownika polskiego, wcale nieznanym Lindemu.

Szóstym pomnikiem jest modlitewnik Nawojki, ofiarowany niegdyś przez jednego jezuitę rodzinie Goźmińskich w Poznańskim. Pomnik ten został po raz pierwszy wydany przez profesora Jana Motty w Poznaniu, pod tytułem: Książeczka do nabożeństwa, na której się modliła Ś. Jadwiga. Poznań 1823. Przedrukowano ją następnie w Krakowie (1839) i w Wilnie (1856). Imię Nawojki powtarza się w tej książeczce pięć razy, jest imieniem kobiety od męzkiego imienia Nawój, często w dyplomatach spotykanego. Mimo jednakże to wyraźne podanie imienia właścicielki modlitewnika p. Mołły przypisał go Jadwidze na tej zasadzie, że na okładce napisano że go używała *S. Hedwigis ducissa*. Literę S. wzięto za *sancta*, a ztąd i świętą Jadwigę niemkę przerobiono na polkę. Jednak litera S. mogła oznaczać i *serenissima*; że zaś księżniczki polskich z tym imieniem było w wieku XV, do którego pomnik się odnosi, dwie, więc oczywista, że modlitewnik dla jednej z nich był przepisany. F. Żochowski utrzymywał że Nawojka mogła oznaczać grzesznicę, tak nazwaną niby dlatego, że dużo nawojowała, to jest nagrzeszyła. Tymczasem żadne naciągania nie są potrzebne, skoro wiadomo, że imię Nawoja było dobrze znane a Nawojka mogła oznaczać żonę Nawoja, lub powstać tak z imienia męzkiego jak z Ludwik Stanisław, powstały Ludwika Stanisława. Modlitewnik składa się z kilku części wyraźnie różniących się między sobą językiem, do tego stopnia że cechy części 1-jej i 3-jej przypominają wiek XIII; 2-jej zaś i 4-jej wiek XV. To każe p. M. wnosić, że modlitwy ułożone były w różnych czasach i te Nawojka w jedno zebrała, przepisawszy jedne, przełożywszy sama drugie.

Na siódmém miejscu w dziele p. M. stoją pomniki sądowego i prawnego języka do 1402 r. Pomników tych jest sześć; pochodzą one z ksiąg ziemskich, poznańskich z r. 1390 i z ksiąg ziemskich brzeskich z r. 1402. Ważnemi są one nie tylko pod względem języka, ale i pod względem historyi prawa polskiego.

Ósmym pomnikiem jest pieśń Bogarodzica z rękopisu 1408 roku. Posiadamy trzy teksty tej pieśni a mianowicie z r. 1408, 1456 i z 1500. Początek jęj ułożony przez Ś. Wojciecha; dalsze strofy należą do epok późniejszych. Porównawszy doszłe do nas teksty, sprostowawszy błędy i objaśniwszy znaczenie wyrazów oraz formy gramatyczne, p. M. podał w końcu tego ustępu tekst sprostowany podług uwag w ciągu rozprawy przytoczonych. Do najdawniejszej epoki piśmiennictwa polskiego należą dwie pierwsze strofy tej pieśni, które zachowały w późniejszych nawet odpisach swe formy starożytne. Jeden w nich wyraz *bożide* dał powód p. M. do odstąpienia od tłumaczenia, jakie w Piśmiennictwie podał p. Maciejowski i zdaniem naszym p. Maciejowski znaczenie wyrazu zrozumiał jak należy. *Bożyczem* nazywali Czesi Syna Bożego i dlatego w tym miejscu gdzie wyraz ten stoi w rękopisie, być mu najwłaściwiej. Przenosić go do wiersza drugiego i jeszcze rozu-

mieć pod nim nie Syna Bożego, a Maryę Pannę jest dowolnością, która się nie da usprawiedliwić. Niemniej dowolną jest poprawka w wierszu 5-m drugiej strofy, gdzie zamiast: *oddać radzi jegoż prosimy*, p. M. pisze i objaśnia swą zmianę: *oddać radzi jąż prosimy*. Przez to jasny sens racz dać *o co* prosimy, a mianowicie na świecie zbożny pobyt a po żywocie rajski przebyt, p. M. zaciemnia i niedokładnym czyni. P. Małkowskiego w błąd wprowadza ta forma *jegoż* prosimy, skoro modlitwa do istoty nie płci męzkiej lecz żeńskiej się zanosi. P. M. spuścił z uwagi że jest to forma rodzaju nijakiego, spotykana bardzo często w polskim i w czeskim języku w genitwie przy słowie *prosić*; *prosić czego u kogo* wyrażenie czysto polskie i ogólnie słowiańskie.

Na dziewiątym miejscu stoi po raz pierwszy w druku ukazujący się pomnik: *wigilie za umarłe dusze, duszom w czyscu bardzo pomocne*. Pochodzi on ze zbiorów Romualda Hubego i według pisma należy do wieku XV. Treścią wigilii jest polski tekst *officium defunctorum* bez części pierwszej *ad vespas*. P. M. mniema że wigilie te spisane zostały przez zakonnicę reguły Ś. Franciszka i pochodzą z różnych epok, na co wskazują różne tłumaczenia psalmów. Jedno idzie wprost z psalterza floryańskiego, inne z czasów późniejszych. Pomnik wydrukowany ortografią nowszą z tego powodu, że jak powiada p. M., drukowanie pisownią oryginału przysporzyłoby trudności wydania, a zgoła żadnego nie przyniosłoby naukowego użytku. Otóż sądzimy że właśnie większy byłby użytek z zachowania ortografii pierwotnej. Najprzód już spotykamy na wstępie różnicę przypadku 7-go na rodzaj męzki i nijaki w *psalmowem śpiewaniu*, i króla w *którym* wszystko żywie. Czy tak jest w oryginale? czy też w *psalmowem* jest tylko omyłką drukarską; spotykamy raz *będzie* zamiast *będzie* i *między* zamiast *między*, są to zapewne także omyłki druku. Zresztą wiemy, że te wkraść się mogą mimo najstaranniejszą korektę.

Spodziewaliśmy się że po tym pomniku spotkamy się z innymi także znajdującymi się w zbiorze p. Hubego, bo mieliśmy sami prócz tego zabytku jeszcze dwa inne, z których jeden szczególniejsz noszący datę 1450 roku za nader ważny uważamy. Przepisaliśmy go nawet dla siebie całkowicie z zachowaniem ortografii oryginału. Są to modlitwy przy konających znane Jocherowi i Maciejowskiemu, lecz widocznie w lepszym dochowane egzemplarzu. W nim bowiem czytamy „kiedy papież Urban w grzechach się *mnożył*“, u Maciejowskiego zaś „w grzechach się *wnorzył*“, do czego autor Piśmiennictwa dodaje swoje filologiczne uwagi oczywiście błędne, bo pochodzące z błędnego odczytania tekstu. Zabytek ten wart druku. Drugim zabytkiem jest żywot panny zakonnej Eufrozyny; ten wszakże jako do wieku XVI należący ma wartość daleko niższą.

Na dziewiątym i ostatniem miejscu w dziele p. M. stoi rozbiór zabytku drukowanego w r. 1522 i noszącego tytuł: Żywot wszechmocnego Syna Bożego. Jestto utwór Baltazara Opecia a może w części i samego drukarza krakowskiego Wietora.

Stanowi on przejście od dawnych form gramatycznych do dzisiejszych, ma czas przeszły i prosty i złożony; słowo być ma w 2-jej osobie jeś i jesteś: forma podwójna bardzo częsta. Z badań autora wynika, że Opeć nie był autorem Żywota, lecz mając przez kogo innego już dokonane tłumaczenie z tekstu łacińskiego Ś. Bonawentury († 1274) przerobił je tylko i dodatkami pomnożył. Zbiór wyrazów dziś już nieużywanych a z dziełka tego wyjętych, jest także przyczynkiem do słownika starożytniej mowy polskiej. O taki słownik starać się potrzeba. Ze wszystkich żyjących języków słowiańskich ma go tylko serbski w dziele trzytomowym Daniczycza. Gdyby z dziesięciu przez p. M. rozebranych pomników zebrać w jedno te, które autor powybierał, jużby spory zbiorek się uformował, a zbiorek tém cenniejszy, że obok podane jest często i dzisiejsze znaczenie wyrazu. Streszczamy zasługę piérwszej połowy dzieła: podaje ona szczegółową historję dziesięciu najdawniejszych zabytków piśmiennictwa polskiego, zawiera mnóstwo porównań z podanemi zabytkami w innych literaturach słowiańskich, służy nakoniec za nader bogaty materiał do ułożenia gramatyki dawniej mowy polskiej, oraz słownika staropolskiego języka. Praca była mądrą i sumienną; na piérwszą cechę wskazuje sam ogrom pracy, na drugą przytaczanie podstaw na których wnioski się opierają. Mamy jeszcze zwrócić uwagę na jedną stronę dzieła, a mianowicie na ortografię. Nie każda nowość p. Małkowskiemu się udała. Najprzód unikanie króskowania samogłoski *o* nawet tam gdzie wyraźnie słychać *u*, z pozostawieniem *ó* tam gdzie na nią głos się zawiesza; ztąd w ogóle i ogólny, w szczególe i szczególny, ztąd brak kreski we wszystkich drugich przypadkach liczby mnogiej. Nowość ta niema żadnej naukowej podstawy, bo że w dawnych pomnikach samogłoski téj nie króskowano, to nie dlatego żeby jej nie pochylano w wymawianiu, lecz tylko że nie umiano z tém sobie poradzić; zupełnie tak jak nie przekreślano *l* dla dźwięku *ł*, który mimo to istnieć przecież musiał.

Drugą nowość pisania *dwuch* zamiast *dwóch*, popieraną już przez ks. Malinowskiego i Łazowskiego, w zupełności pochwalamy, nie tylko dla tego, że tu jest właściwie *dwu*, a tylko dodane zakończenie zaimkowe, które ani ortografii ani wymawiania zmieniać nie może. F. Zochowskiego tak raziło pisanie *dwóch* z pochyleniem *o* przed *ch*, że nie chcąc uznawać tu zakończenia liczby podwójnej, wolał pisać i wymawiać *dwoch*, zaprowadziwszy taki sposób wymawiania nawet między swymi przyjaciółmi i adeptami.

Wprowadzenie *o* z ogonkiem zamiast *q* jest bardzo loiczne, a w badaniach filozoficznych nawet konieczne. Czy podobna nawet, mówiąc naprzykład o języku Kaszubów, tak blizkim mowy czysto polskiej, obejść się bez takiego rozróżniania dwóch nosówek *q* i *o*, z ogonkiem, z których piérwsza mowę małopolską i kaszubską, druga wielkopolską i mazurską cechuje. Mniemam, że do tego przyjdziemy; przecież co loiczne, musi nakoniec wziąć górę.

Nakoniec pisalibyśmy się także z autorem za niekréskowaniem *e* nigdy i nigdzie i niech sobie w niektórych prowincjach wymawiają je w sposób ścieśniony jak *y* lub *z*, ale dążność mowy naszej do czystego *e* jest widoczną i musi się stać powszechną. Ścieśnianie najbardziej słyhać w mowie polskiej na pograniczach narzecza małowrossyjskiego; jego téżto wpływ, który jednak niema prawa rozpościerać się i tam, gdzie styczność żadna miejsca niema. Niektóre pisma nasze już *é* z kaszt swych drukarń powyrzucały.

Bez porównania trudniejszą jest rzeczą zdać sprawę z drugiej części dzieła p. Małkowskiego, które autor zatytułował: „Poszukiwanie narzecza znikłego.“ Rozbierając pomniki starożytnie mowy naszej, p. M. zastanawiał się często nad tém, co to była za mowa, która rozpoczęła historię naszego piśmiennictwa; miała tyle rysów wspólnych z innymi narzeczeniami słowiańskimi i w słowozbiorze i w formach gramatycznych, a następnie znikła zlawszy się z mową ludową. Rozważając z drugiej strony, że Lechici także dzieje nasze rozpoczęli i że się następnie zleli z plemionami miejscowemi, przyszedł do wniosku, że ta mowa znikła była mową znikłego téż rodu Lechitów. Ztąd naturalnie cały dalszy ciąg badań swoich skierował autor do wyszukania początku Lechitów: zkąd poszła ich nazwa, jakie były koleje ich losów, gdzie się podzieli? Treścią więc badań autora w drugiej części dzieła podanych jest ten sam przedmiot, który rozebrał kiedyś Szajnocha w Lechickim początku Polski. Ale jakże się różni poszukiwanie źródeł u jednego i drugiego a ztąd jakże odmienne rezultaty poszukiwań obu badaczy. Na jedno tylko zgadzają się oba, a mianowicie, że plemiona polskie były starobyłemi na ziemiach obecnie przez nie zajmowanych, i że Lehowie byli przybyszami. Lecz zkąd przybyli i kiedy? Szajnocha sprowadza ich z północy, a mianowicie ze Skandynawii, p. Małkowski ze Słowiańszczyzny wschodnio-południowej, zkąd mieli się rozejść czterema drogami, przez oba Bugi, przez Dźwinę i Narew, przez Wołchow i przez Dunaj; tam przynajmniej ślady ich przejścia p. M. znajduje. Jest jeszcze jeden punkt, na którym oba badacze się schodzą: jeden i drugi uważają Lechów za jakiś związek braterski, z tą różnicą, że Szajnocha ma go za rycerski, p. M. za rycersko-osadniczy, za rodzaj kolonistów, którzy się wydalili z własnej ojczyzny dla nowych krajów i nowego szczęścia. Nawet w sposobie badań zachodzi pewne podobieństwo: oba za nic przewodnią wzięli filologię indoeuropejską, tylko że Szajnocha szukał objaśnienia zagadek w językach germańskich, p. M. w sanskryckim i słowiańskich. U jednego i drugiego jest wiele prawdy i wiele naciągania.

Prawdą jest u Szajnochy, żeśmy wiele przejęli od Skandynawów i w ogóle od Germanów; fałszem jest żeśmy to *wszystko* zebrali w epoce przedhistorycznej; fałszymi są także liczne wywody słów czysto słowiańskich od wyrazów niemieckich. Prawdą jest u p. Małkowskiego, że bardzo znaczna liczba naszych imion własnych w sposób bardzo naturalny da się mową starożytnych Indyan objaśnić; fałszem jest do téj

mowy lub do narzeczy słowiańskich naciągać i to, co i historycznie i filologicznie tylko niemieckiem być mogło i było. Najzupełniejszą ma słuszność Szajnocha, wyprowadzając wyraz *szlachta* z niemieckiego, w którym w tém samym brzmieniu znaczył *ród*, *genus*, czego dowodzą i inne plemiona słowiańskie nazywając szlachtę: rodowiczami i pleniczami, to jest tłumacząc wyraz niemiecki tak jak my heer-zog przetłumaczyliśmy przez woje-woję. Za błędny uważamy wywód p. M. wyrazu szlachta od sanskryckiego *slahita*, co znaczy, rozwiązany, zwolniony. Mielibyśmy pojęcie *szlachty* przynieść z sobą aż z Indyi, my cośmy oprócz włodarza i starosty, pojęcia i wyrazy oznaczające górowanie jednych nad drugimi, przejęli tylko od niemieckich feodałów: cesarz, król, pan, ciwun, wojewoda, książę, gospodin, to są albo cudze wyrazy żywcem do nas przeniesione, albo położone jak wojewoda, lub przekręcone jak książę. Ale pójdźmy za panem M. w tym porządku, w jakim sam do wniosków swoich dochodzi.

Mając dojsć do rozwiązania kwestyi na drodze filologicznej, autor nakreśla najprzód metodę swych badań i prowadzi rzecz od pierwszych wyrazów mowy ludzkiej, a raczej mowy szczepu aryjskiego, którą w ten sposób uważa za mowę pierwszych ludzi świata. Idąc tą drogą, p. M. bada, jakie mogły być pierwsze wrażenia człowieka, a zatem i jakie wyrazy pierwsze powstały na oddanie tych wrażeń. Odmawiając więc mowy pierwszym rodzicom naszym przed ich upadkiem, nadaje ją ojcu i matce dopiero po przyjściu na świat pierwszym dziecięciu. Zatem poddaje rozbiorowi dźwięki pierwotne, które pierwiastkami nazywa, zapominając o tém, że sama spółgłoska bez towarzyszącego jęj samogłosu za pierwiastek się nie uważa i uważaną być nie może; bo że Westergaard w swém szacowném dziele: *radices linguae sanscritae*, stawia na czele pierwiastków spółgłoski same, to dla tego tylko, że w sanskryckim po każdój spółgłosce, jeżeli niema znaku ostrzegającego, domyśla się samogłoska *a*; pierwiastkami więc są; pa, ba, da, ta, a nie p. b. d. t. Zaznaczamy mimochodem błąd drukarski, w skutek którego zamiast pierwiastku p stoi k, i zamiast k czytamy p. Pierwiastek p, czyli *pa* zajmuje u p. M. pierwsze miejsce; zawiera on pojęcie pieczy, i dla tego rozrosły się z niego w językach indoeuropejskich czyli aryjskich całe grupy wyrazów oznaczających staranie, opiekę, strzeżenie, utrzymywanie, chowanie. Dokładne zestawienie tych grup każe wywodom p. M. przyznać słuszność, z tém wszakże zastrzeżeniem, że domyślanie się w słowie *ocice* (*ot*) odpadnięcia pierwotnego spółgłosu *p* nie trafia do naszego przekonania, jakkolwiek niektóre dowody silnie za tem przemawiają. Możemy na zasadzie badań p. M., słusznie wnosić, że i Słowianie niegdyś ojca *patrem* nazywali, jak matkę *matrą* czyli *macierzą*. Ztąd jedno i to samo pojęcie, *baczenia*, *pielnowania*, jedni Słowianie nazwali wyrazem *patrzeć*, od pater; drudzy *smotreti* od mater. Pomysł zupełnie nowy i bardzo trafny. Z tego pierwiastku pochodzi *piast*, ztąd piastun, ojciec; nazwę zaś żony Piasta Repki, wyprowadza p. M. z zendzkiego *rap*, weselić się, *rapaka* radość; z san-

skryckiego *rab* wszczać, jąć, objąć, i staropol. *rub* (porubstwo); *repka*, więc podług tego miałyby znaczyć: małżonka, samica. Jeżeli pierwszy wywód ma za sobą wszystkie cechy prawdopodobieństwa, za to drugi należy do kategorii domysłów i naciągów. Uderzającym jest także wywód *Gopla* od *go-pala* (*go* w sanskr. bydło, *pala*, stróż, pan, jakkolwiek trudno pojęcie pana lub stróża do jeziora przyczepić. Ale mamy za zasługę p. M. że w badaniach swych codo objaśnień najdawniejszych naszych imion własnych, udał się do mowy Indyan i Staro-persów; bo rzeczywiście źródło to okazuje się najpewniejszym i najczystszym. Mnóstwo innych jeszcze nazw starożytnych w ziemi polskiej najdokładniej sanskrytem objaśnić zdołamy. Nie możemy wszakże do tegoż pierwiastku *pa* odnieść słowo *bóg*, jak tego chce p. M. utrzymując że nasze *bóg* przeniesione zostało na pojęcie stwórcy z posiadacza *pagu* części, udziału. Wyraz ten nie u samych Słowian się znajduje; znali go i czcili starożytni Persowie i zapisali nazwę tę na swych pomnikach klinowatych i to niejednokrotnie: *baga wazarka*, bóg wielki, *bagaibis* (bogami), wymienione są w napisie Boga-stańskim (Boga-ściana-patrz Oppert'a, Spiegel'a), wykutym z rozkazu Daryjusza w roku 510 przed Chrystusem.

Podobnie rozebrany pierwiastek *d* (*da*), gdzie obok trafnych etymologicznych wywodów natrafiamy i na wywód *deus* (bóg) od *dziej* i *dział*, kiedy wszystkie trzy wyrazy *deus*, *dziej* (dobrodziej) i *dział* nie z sobą wspólnego nie mają i każde od innego pierwiastku pochodzi: *deus* od światłości, blyszczenie wspólne z *dies* (dzień); *dziej* od *dział*, robić, działać; *dział* jest pierwotnym wyrazem dzieci, które w niemowlęctwie nie mogą jeszcze pójść dalej nad zdwojenie tych samych dźwięków: tata, papa, mama, ciocia, lala, gaga (późniejsze żyza, ogień), baba, dada lub dziadzio, caca, niania, ciucia, luli, kuku, bobo i t. d. Język niemowląt z samych zdwojeń się składa i zupełnie wystarcza do wyrażenia ich potrzeb, wrażeń lub oznaczenia otaczających je istot.

Pierwiastek *k* dał p. M. materyał do wniosków najróżnorodniejszych; błąd tu leży w tém że uznając za pierwiastek samą tylko spółgłoskę powiązał z sobą najrozmaitsze i nawet wręcz sobie przeciwne pojęcia jak np. *kij* i *po-kój*, między którymi ten tylko związek zachodzi, że częstokroć pierwszy, użyty jako narzędzie sprowadza drugi, jako skutek tego użycia. Tak samo Ignacy Pietraszewski w swojej elukubracyjnój Zendaw-eście dowodził związku zamkowego *ramo* spokój z polskiem *rama* na tój zasadzie, że co jest w ramach, to w spokoju téż być musi. Jest to droga nader niebezpieczna, która wielu najuczestniejszych z kąd inąd mężów zaprowadziła na manowce. Wpadł w ten błąd i Lelwel, a błąd jego był tem fatalniejszy, że wywody swoje filologiczne opierał nawet na kształcie głosek, domyślając się pojęcia zawartego w pierwiastku nawet z brzuszczą liter, jak gdyby pismo poprzedziło mowę.

Między *kijem* a *kotem* p. M. widzi powinowactwo; od *kola* przechodzi do cerkiewnego *kolija*-dół, a mieszkańców takich *kolij* czyli do

łów, właściwie *kolein* wyżłobionych, nazywa *członami* członkami, człowiekami. My pomiędzy temi wyrazami żadnego filologicznego powinowactwa dopatrzeć się nie możemy. Tak samo błądzi p. M. wywodząc *kniga* (księga) od niem. knoche, *konaga* (konunga) od *knuć*, więc konąg (ksiądz, książę) miałyby oznaczać naczelnika *konu*, *kniewi*, i być czysto słowiańskiego pochodzenia. Nic nie pomoże naciąganie: kniądz, kniaź, książdz, są pochodzenia późniejszego, i przeszły do nas od skandynawów lub w ogólności od germanów i są w jak najzupełniejszej zgodzie z podobnemi formacyami innych wyrazów, jak wehr-ting, czyli wehr-ding rzecz do strzeżenia, wrzeciądz; messing mosiądz, pfening pieniądz. W wywodach swych idzie p. M. dalej, podając za prawo, dodamy, na niczem nie oparte, że pierwszy kto nauczył posługiwać się kijem jako narzędziem prowadzącącem pokój, musiał i sam od tegoż narzędzia przybrać sobie nazwisko. Na tej zasadzie dowiadujemy się z rozbieranego przez nas dzieła po raz pierwszy, że podany przez Nestora przewoźnik na Dnieprze Kij, od którego miała pójść nazwa Kijowa był wynalazcą kija. Wdzięczność się od nas potomków należy panu Kijowi za tak pożyteczny wynalazek.

Rozbiór pierwiastku *r* zaprowadził autora do *raju*, którego mieszkańcy zwali się *rajem*; później *rój* przedstawił się jako złożony z części osobnych, a każda zwała się *ród*; ich siedziba g-rój, grojec, gród, rząd, grzęda, rząd, radzić, raic. Do najważniejszych wszakże wniosków doprowadzają autora pierwiastki *l* i *cz*. Jak pośród poprzedzających wywodów znajdujemy bardzo wiele dowcipnych i trafnych, tak jeszcze więcej napotykamy ich przy rozbiorze tych ostatnich *l* i *cz*. Jednej rzeczy żałujemy, że p. M. posiadając rzadki zapas wiedzy filologicznej, obdarzony nadzwyczajnym darem dostrzegania związków i śmiałością sądu, wszystkich tych wrodzonych i nabytych darów nadużył. Bo i po co byłoby poszukiwania swoje Lachów macie nie prowadzącami do rzeczy epizodami i przez to na całe poszukiwanie rzucić cień niedowierzania? Jak przedtem, tak i przy pierwiastku *l*, autor mając już zawczasu wniosek sobie wytknięty, dowody swoje do niego naciąga. Chcąc dowieść, że *lach* znaczy rozłączenie, zaczyna od fałszywego aforyzmatu, że wrazenie, jakie sprawiało odpadanie szczepu wcieliło się w dźwięk *l*. Cóżby powiedział autor, czy zrzuciłby nam na zasadzie swych własnych niby pewników nieloiczną, gdybyśmy założywszy sobie dowieść wprost przeciwnego zdania, że *lach* znaczy stałego mieszkańca kraju, wcale nie przybysza, przytoczyli podobny powyższemu dowód etymologiczny: że wrazenie, jakie sprawia stały pobyt, wcieliło się w tenże sam dźwięk *l*, ztąd *leżec leg-l*, od którego źródłosłów *leg* dał właśnie nazwę plemieniu *lech*, *lechy*, *lechija*, *lach*, *lachy*. Przejście przecież bardzo naturalne. A że oba wywody są równie dobre a wnioskowski wprost sobie przeciwne, przeto ani jeden wywód ani drugi do badań naukowych posługiwać nie może. Pan M. nagromadził tyle dowodów, że Lechy byli związkiem ludzi, którzy oderwawszy się od swego pierwotnego gniazda, złożyli bractwo i poszli w różnych krajach szu-

kać chleba lub przygód, że na wywód ten możeby się kto i zgodził. W rzeczy samej, najczęściej (ale nie zawsze) plemiona miejscowe nie przychodziły do łączenia się w jedną całość bez obcych przybyszów, którzy narzucali im swoją wolę, swoje urządzenia, i nakoniec sami zlewali się z podbitymi ludami. Tak Waregowie w Rusi, Frankowie w Galii, Saksjonowie, a potem Normannowie w Brytanii, Goci w Hiszpanii, Pelasgowie w Grecyi, Bulgarowie wśród Słowian Zadunajskich, przyszli, osiedli, związali plemiona jednością polityczną i sami zleli się z nimi, przyjmując nazwę podbitych lub narzucając im swoją. Podobnie posłannictwo p. M. Lechom wśród Polan przypisuje. Oni to zdaniem autora, będąc sami rodu słowiańskiego, mieli własny swój język, który im bliższym był czasu oderwania się Lechów od reszty słowiańszczyzny, tém więcej zawierał w sobie cech wspólnych całemu szczepowi. Z postępem czasu Lechy, podług autora, stopniowo zlewali się z plemionami miejscowymi, a ztąd stopniowo też zamierała i ich mowa, ustępując miejsca narzeczom miejscowym, to wielkopolskiemu, to małopolskiemu. Trwając w swém mocném postanowieniu dowieść, że Lechowie byli jakimś obcym Polanom plemieniem, że byli dobrowolnymi wyłączeniami od ogólnej masy Słowian, p. Małkowski wyprowadza ich nazwę od *lichy* to jest nieparzysty, pozostały, zachowany w grze *cetno* i *lichy* (para i niepara), pozostawiając Czechom *cetno*, nam w niezbożnej przepowiedni oddając *lichy*.

Czyż podobna na taką etymologią się zgodzić? Mówimy tu przeciw panu Małkowskiemu i przeciw panu Szajnosze. Wiedzieli oni dobrze, że nazwy Lachów nie dawali nam nigdy pisarze zachodni, i żeśmy się sami tém imieniem nie nazywali; powinni zaś byli wiedzieć, kto mianowicie téj nazwy używał. Rusey pisarze nazywali nas Lęchami, Lachami, Lechami; Litwini Lenkas, Madjarowie czyli Węgrzy Lengyel; Albańczycy Ljachiot; Turcy Leh, Rumunie Lech, Lesz. Czyliż nie zwróciło ich uwagi najprzód, że nazwy téj dla oznaczenia Polaków używały tylko plemiona, sąsiadujące z nami ze wschodu, lub mieszkające od nas na południu; powtóre, że w nazwie *Lech* kryje się dźwięk nosowy, wyrażany przez staro-słowiańskie *Lęch* (patrz Miklosich'a słownik) litewskie Lenkas, węgierskie Lengyel? Przedewszystkiem więc, z téj nosówki zdać sobie sprawę byli powinni. Następnie, winni byli zapytać siebie i poszukać w historii, w jaki sposób jedno plemię nadaje nazwę innemu, które z niem w związkach sąsiedztwa nie zostaje? Dla czego naprzykład, Grecy nazwali całą część świata na wschód od nich leżącą, imieniem pogranicznej z ich plemionami ziemi Azji; dla czego Gallowie wszystkie ludy za Renem nazwali imieniem najbliższego sobie szczepu Alemanów; dla czego Polacy wszystkie ludy południowe nazwali Wołochami, Włochami, przenosząc najniestuszniej tę nazwę na Rumunów i Italów; dla czego lud ruski Niemietczyną nazywa wszystkie kraje niemieckie i nie niemieckie? Oto dla tego, że ludy w wiekach dawnych nie uczyły się geografii, nie odbywały dalekich podróży, a dawały dalszym plemionom też same nazwy, jakie nosiły ludy sąsiednie,

które jednych od drugich odgradzały. Jest to fakt powszechnie znany i przyjęty w nauce. Otóż i co do Lenchów, trzeba było poszukać, czy nie było pomiędzy Rusią, Węgrami, a Polanami jakiego plemienia z tą nazwą, które ich jednych od drugich odgradzało. Właśnie było a nazwa ich i siedziby dobrze są znane i w historii i w jeografii. Byli to Lemkowie, nazywani w wieku IV Limi-gantes, rodu słowiańskiego, podbici przez Sarmatów-Jazygów, których jednak jarzmo z siebie zrzucili. Mieszkali oni w wieku III i IV we wschodniej Pannonii czyli dzisiejszych Węgrzech, a potomkowie ich obecnie znani są pod nazwą Lemków, i zamieszkują powiaty: Jasielski, Sanocki i Sandecki w liczbę 122 tysięcy (w r. 1834). Otóż tych Lemków (litew. Lenkas, węg. Lengyel, starost. Lęchy) znali Litwini, Rusini i Węgrzy, i imię dobrze znanego sobie plemienia przenieśli na dalej od nich mieszkających Polan, i nie tylko na Polan; Nestor mówi wyraźnie: „że kiedy Wołosi (Celtowie), zaczęli uciemniać Słowian naddunajskich w Węgrzech, wtedy ciż Słowianie usadowili się nad Wisłą (widocznie nad górna) i przezwali się Lęchami, a od tych Lęchów otrzymali nazwę Polanie, a inni Lęcho-woje to Lutycy, a inni to Mazowszanie, a inni to Pomorzanie.“ Czyż nie jest rzeczą widoczną, że dla Nestora było to już wszystko jedno: wszystkie plemiona na północ od Lemków, wszystko to Lęchy, aż do morza Bałtyckiego. Ale czyż z tego, że nas Ruś, Litwa, Węgry nazywały Lęchami, wypada żeśmy byli nimi rzeczywiście, lub że wśród nas Lemki panowali?

Bynajmniej nas wcale to nie obchodzi, jak tam nas kto nazywa, jak nie obchodzi Teutonów że ich Niemcami, lub Italów że ich Włochami przezywamy. Całe sztuczne rusztowania uczonych, którzy Lechów szukali w Skandynawii, na Kaukazie, w Azji Mniejszej, lub przypisywali im, jak pan Małkowski, dobrowolne oddzielenie się od reszty Słowian i zamieszkanie pośród nas, niema mocnych podwalin i runąć musi. Lemkowie czy Lęhowie lub Lechy nigdy u nas nie panowali, i jeżeli gdziekolwiek na świecie utworzył się związek polityczny pomiędzy plemionami samoistnie, bez obcego w mieszania się, to właśnie tylko u nas, wśród Polan. Myśmy nie mieli ani Samona, jak Czesi i Morawianie, ani Ruryka jak Ruś, ani Kubrata albo Asparucha jak Bulgarowie; nie utworzyli z nas państwa ani Normannowie, ani Frankowie, ani Longobardy ani Wariagi; złe czy dobre było pierwotne urządzenie państwa polskiego, ale było samodzielne. Tej to samodzielności i szczęśliwej odrębności późniejszej zawdzięczamy, żeśmy ze wszystkich Słowian największą część starożytnych przechowali; myśmy nie stracili grubego ł, jak Czesi, Serbowie i inni, myśmy zachowali dźwięki pierwotne nosowe, czego z dziś żyjących Słowian żaden inny już nie posiada, a jeżeliśmy z nadto dźwięki spółgłoskowe zmiękcyli, to nie był żaden wpływ obcy, to się stało z postępem czasu, samoistnie i już za pamięci historii. Nazwa plemienia Lemków, czy Lenchów lub Lechów niema nic wspólnego z imionami Lechów lub Leszków książąt polskich. Imiona własne nasze miały i mają własność skracania się, zdrabniania, pieszcz-

nia. Tak pierwotne Leścisław, skróciło się w Lesław, zdrobniało w Lestko i Lech, śpieściło się w Leszek; Mieczysław zdrobniało w Miech, śpieściło się w Mieszko i Mieszek, i dało od Miech nazwę miastu Miechów; Cześcisław skrócone Czesław, zdrobniałe Czech; Bolesław, zdrobniałe Bolech, od czego miasto Bolechów; Czestostaw (czci-sław) zdrobniałe Czestoch, od niego miasto Czestochow dziś Czestochowa, jak od cześć, czestować kogo mówimy częstować; Stanisław, zdrobniałe Stach, od niego Staszów; Więcesław od niego skrócone Wacław, Świętosław Świętoch, Żelisław, Zelech, od niego Zelechów i inne.

A skoro zaprzeczamy, aby śród nas byli kiedy Lenchowie czy Lechy, więc nie dopuszczamy aby i mowa jaka była w ich wyłącznym użyciu, zniknąwszy następnie lub zlawszy się z narzeczaniami ludowemi. Język *żyje*, rozrasta się, ulega obcym wpływom, mówiący nim naród wzrasta, rozszerza zakres swych pojęć, zmienia kierunek swych myśli i dążeń, a ztąd powstają i zmiany, które porównane z sobą z epok bardzo jedna od drugiej odległych, zdają się jak gdyby pochodziły z dwóch różnych źródeł, jakby do dwóch odrębnych należały języków. Im czynniejszem jest naród, im żywszém życiem żyje, tém łatwiej i mowa jego zmianom podlega. Nie zrozumie Niemiec ani Francuz tej mowy, jakiej przed ośmiu wiekami używali ich przodkowie; z trudnością zrozumie ją i Polak, ale Baski w Piryneach, ale Ukraińcy, Serbowie łuzycy, zrozumieliby swoje dawne pomniki bez trudności. Nie o znikłym więc narzeczu mówić potrzeba, ale o historii języka polskiego, w jego najnaturalniejszym rozwoju, i pod tym względem dzieło p. Małkowskiego, przedstawia nieoszacowane źródło: pierwsza część będzie nader cenną pomocą przy spisywaniu historii języka z czasów piśmiennictwa; część druga poda wywody etymologiczne, które roztropny badacz mający się dopięro zjawić, potrafi sprawdzić i objaśnić niemi naszą epokę przedhistoryczną, tak jeszcze mało zbadaną, a jednak tak ciekawą.

Jan Papłoński.

O prawach kobiety, napisał Edward Prądzyński. Warszawa 1873 roku.

W tych dniach wyszło dzieło p. Prądzyńskiego pod powyższym tytułem. Nim czas przypadnie do rozbioru poglądów autora, spieszymy przedewszystkiem donieść o tej książce, jako o szanownej i znakomitej pracy, która w kwestyi równouprawnienia kobiet tak obchodzącej całą ludzkość, stanowi w literaturze naszej bardzo ważny przyczynek naukowy i przynosi nam stanowisko gruntownie obrobione. Dotąd pojedyncze artykuły po dziennikach dorywczo tylko dotykały kwestyi równouprawnienia kobiet, zwracały na nią uwagę publiczną, lecz nie wyczerpują

przedmiotu i wyczerpać nie mogą. Również niedostateczne są choć bardzo użyteczne pisma pani Dobieszewskiej: *Odczyty publiczne o wychowaniu kobiet w obec dzisiejszych dążeń społecznych*, i pani Anastazyi Dzieduszyckiej: *Kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych* oraz *Gawędy matki*. P. Prądzyński zebrał wszystkie prawie przepisy prawa jakie od najdawniejszego czasu społeczeństwo dla kobiet tworzyło i dotąd utrzymuje a zarazem zebrał zdania najznakomitszych myślicieli i własne podał spostrzeżenia. Książka p. Prądzyńskiego przedstawia następujące działy:

I Jak i dlaczego stawia się zadanie równouprawnienia kobiety?

II Rys historyczny.

III Wyzwolenie ekonomiczne kobiety.

IV Kobieta w życiu publicznym i społecznym.

V Stanowisko rodzinne kobiety.

VI Stanowisko rodzinne mężczyzny.

VII Zakończenie. Czego kobieta ma prawo domagać się od prawodawcy a czego od obyczajów.

Godło książki na tytule zamieszczone obejmuje tę myśl Tocquevill'a:

„Teraz gdy zbliżam się do końca tej książki, w której wykazałem, ile Amerykanie znakomitych dokonali rzeczy, jeśliby mnie zapytano: czemu jak miemam, przypisać należy dziwną pomyślność i wzrastającą potęgę tego ludu, odpowiedziałbym, że wyższości jego kobiet.“ W dedykacji p. Prądzyński książkę swoją poświęca:

Pracy bez zarobku, myśli bez rozwoju, woli bez czynu, zmarnowanym dobrym chęciom, oszpeconej piękności, wyszukiwanej słabości, tęsknym pragnieniom, rzewnym nadziejom, niezasłużonym łzom, opuszczonej żonie, zdradzonej kochance, uwiedzionej dziewczynie: *kobięcie bolejącej*.

W zakończeniu tak się autor odzywa:

„Dobiegłszy do kresu tych poszukiwań, pytam się samego siebie, czym celu dopiął? czym pożyteczną myśl rzucić zdołał? Gdy się kobieta o równouprawnienie upomina, w obozie przeciwników spotyka nieodbitcie szyderstwo lub zgorżone zdziwienie. Lecz ani szyderstwo to ani podziw nie wiedzą o co chodzi, nie przewidują doniosłości zadania. Usiłowałem zatem odsłonić rany jakie powodują w społecznym organizmie: upadek umysłowości kobiety, brak zarobkowych zajęć i odpowiedniego uzdolnienia, poniżenie jej prawnego stanowiska w stosunkach rodzinnych i społecznych. Usiłowałem wykazać, że bieda i ciemnota wywołują moralny upadek kobiety, wlokący za sobą całe pasmo cierpień, błędów, występków i zbrodni. Usiłowałem dowieść, że jeżeli mężczyzna staje się współnikiem tych zbrodni, to wielka część winy spada na nieszczęsne położenie, które wytwarza bezrozumne unicestwienie działalności kobiecój: działalności wychowawczej matki, działalności moralnej dziewicy, kochanki, narzeczonej i małżonki, działalności towarzyskiej i obywatelskiej całej płci niewieściej. Usiłowałem przekonać nareszcie, że jeżeli rodzinne i towa-

rzyskie życie spadło do niskiego poziomu czysto materialnych zabiegów i bezcelowych błahotek, jest to nienniknionóm następstwem duchowego úspienia kobiety.“

Z tych kilku myśli poznać już można, jakiej jest wartości dzieło i jakie uczucia ozywiają autora.

S.

Życie i obyczaje zwierząt według Brehma i innych najnowszych źródeł zebrał Wincenty Niewiadomski. Z czterdziestu rycinami (natonie) i licznymi drzeworytami w tekście. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1873 rok.

Nauki przyrodnicze i z nich nadzwyczajne hipotezy zalewają prawie wszystkie gałęzie nauk i umiejętności. Filozofia nauk przyrodniczych jest już dziś potęgą, która w walce z abstrakcją i metafizyką usuwa zastarzałe błędy i do nowych prawd prowadzi. Lecz jest to dopiero początek początku. Zapewnia ludzkości szczęście materialne a następnie wejść musi w sferę siły ducha, siły stanowiącej najwyższą własność i zdobycz ludzkości i jedyne wyższe szczęście człowieka, który nie jest automatem chociaż w ogromie światów jest tylko lichym proszkiem. Postęp w tak ważnych naukach ogarnął wszystkie ucywilizowane narody. Do prac już nagromadzonych przybywają ciągle nowe prace. I u nas zaczynają się upowszechniać nauki przyrodnicze, lecz z nich dotąd najwięcej mamy cudzych i własnych badań w formie systematu filozoficznego z rezultatami ciekawymi. Niema jednak dzieł, na których opierają się te badania, bo brak wykładu specjalnego nauk przyrodniczych według najnowszych obserwacji i odkryć. Zaradzając choć w części temu brakowi p. W. Niewiadomski w dziele teraz wydaném zebrał najnowsze spostrzeżenia odnoszące się do życia i obyczajów zwierząt. W przedmowie przytacza: „Korzystałem w tój mierze z badań znakomitych naturalistów naszej epoki, a między innymi z Brehma zoologa niemieckiego, autora pomnikowego dzieła: *Życie zwierząt*, tudzież z popularnych prac na tém polu Fonviell'a, Grimard'a i Figuiet'a. Czytelnik zapozna się tu nie tylko z ogółowym ustrojem zwierząt, ich rozmieszczeniem jeograficznóm, użytkami jakie przynoszą, lecz obok tego z cechami obyczajowemi rzesz zwierzęcych. Rozpatrywać się może w życiu tego świata, przedstawiającego zawsze strony ciekawe. „W pracy méj—mówi autor—przytaczam niektóre przygody turystów dla urozmaicenia treści, ze względu wszakże aby fakt podany składał jakie świadectwo inteligencji zwierząt lub ujawniał ich przymioty moralne: w czem naturalnie należało zrobić pewien wybór. Fakta zebrane tém są godniejsze uwagi, że pochodzą od ludzi nauki, którzy dla zbadania jestestw przyrody, nie wachali się odbywać długich i niebezpiecznych podróży. Brehm przebiegał palące pia-

ski Sahary i sawany Ameryki, Rengger zwiedzał Azją, Levingstone z głębi Afryki przesyłał swe spostrzeżenia Europie.“

Treść ta przedstawia obraz całego dzieła, które nie tylko szczegółnie zajmie młodzież, lecz zajmie również każdego miłośnika przyrody. Dla tego dzieło to zalecamy czytelnikom naszym.

S.

Wakacje na wsi, powieść naukowa dla dzieci przez A. Castillon'a, przełożył J. Chęciński, z 32-ma rycinami, nakład G. Sennewalda.

Rozmowy, obrazy, sceny, akcje składają tę powieść, która przynosi najpotrzebniejszą naukę dla młodego pokolenia. Całość dzieli się na dwie części. W pierwszej wykład o ciałach nieorganicznych, w drugiej o ciałach organicznych. W opowiadaniu popularnym, w rozmowie zwykłej domowej przedstawione są wiadomości z chemii, mineralogii, mechaniki, z nauk przyrodniczych i inne. Tu młody umysł znajduje jasne i dokładne opisy: pary, lokomotywy, balonów, maszyny pneumatycznej, fotografii, fabryki porcelany i fajansów, sztuki farbiarskiej i innych. Sam wykład takich przedmiotów byłby suchy, nużący i odpychałby młodych czytelników. Autor temu zaradził i w tém jego największa zasługa. Wykład swój o materialnych przedmiotach tak ściśle i zreżnie połączył z wypadkami życia ludzkiego, z grą namiętności, z czynami dowodzącymi czém jest godność moralna, sumienie i poświęcenie się dla bliźnich, że utworzone ztąd sceny dramatyczne budzą ciekawość i sympatyę, przelewają piękne uczucia w serca młode bogacąc jednocześnie ich wiedzę.

Najpiękniejszy ustęp z takich scen objęty jest w dzienniczku Alicyi, która opisuje jak ona i matka jej wzruszone łzami Ameny turczynki z niebezpieczeństwem życia, usunęły jej starego ojca przed pastwieniem się barbarzyńskiego Emira, jak z tego powodu wpadły w nędzę i zносиły ją bez skarg i wyrzutów.

S.

Systematyczny kurs nauk dla dzieci, Augusta Jeske.

P. A. Jeske wydaje systematyczny kurs nauk dla małych dzieci. Dotąd z kursu tego wyszło pięć książeczek, które na uwagę publiczności zasługują. Tytuły ich następujące:

1. A B C czyli nauka czytania i pisania, wyłożył metodycznie na podstawie nauki poglądowej A. J.

2. Mała stylistyka zawierająca materyały i wskazówki metodyczne do pierwszych ćwiczeń stylistycznych gramatycznych. Część I dla dzieci, które po skończeniu elementarza przechodzą do wypisów.

3. Mała gramatyka języka polskiego dla dzieci.

4. Arytmetyczka dla dzieci.

5. Arytmetyka, część I obejmująca cztery działania z liczbami całkowitemi, ułamkami zwyczajnymi i dziesiętnymi na podstawie rachunku pamięciowego.

Odezwa wydawcy p. Stanisława Arcta księgarza w Lublinie zapowiada publikacją następnych prac tego rodzaju p. Jeskego, które obejmą kurs I i II.

Zasady Pestalozzgo i własne doświadczenie skłoniło p. Jeskego do zerwania stanowczo z metodą jakiej oddawna dotąd trzymają się wydawcy w układaniu książek do początkowej nauki dla dzieci. Przewszystkiemi więc we wstępie przypomina system Pestalozzgo, ojca nowszych pedagogów, który przed stu przeszło laty wystąpił z wymowną i zwycięską protestacją przeciwko barbarzyńskiemu zwyczajowi dręczenia dzieci samą nauką czytania i pisania. „Rozwijajmy przewszystkiem umysł dziecka—wołał ten mąż światły—otwórzmy mu w tym celu oczy i uszy, rozwiążmy język, zbudźmy wszystkie władze ducha i zmysłów jego: niech to dziecko wie że istnieje, niech zna światek, w którym żyje, niech się uczy *pozierać* wkoło i *poglądać* świadomie i pożytecznie na to co podpadnie pod zmysły jego: słowem niech korzysta z wszystkich darów swoich tak samo jak i my z nich korzystać pragniemy. Dziecko to mały człowiek; potrzeby jego też same co i nasze; duch i zmysły jego też same co i nasze; prawo do normalnego, zdrowego i naturalnego rozwoju fizycznych i umysłowych sił jest toż samo co i nasze; dlategoż mu więc odmawiamy pomocy umiejętniej, rozsądniej, systematycznej, niedozwalającój robić z niego automatu, skazanego od urodzenia na katusze pracy bezczynniejszej“. Ztąd p. J. dla siebie przyjmuje następujące prawidło: na prostych, zwyczajnych przedmiotach, ma dziecko nauczyć się: patrzeć, słyszeć, wachać, smakować, czuć i postrzeżenia swoje natychmiast w mowę, w słowa przelęwać. Na tém opiera swój elementarz, po nim przystępuje do stylistyki zaczynając w niej od myśli i mowy, następnie przechodzi do gramatyki i t. d. Każda z książeczek obejmuje mnóstwo przykładów, ćwiczeń i wyjaśnień najmożniejszej i najstaranniej zebranych, które ułatwiają naukę dla dzieci, lecz szczególnie użyteczny podręcznik stanowią dla nauczycieli.

Książki kolendowe.

Przed każdym Nowym Rokiem zjawia się dla młodzieży mnóstwo książek kolendowych, na podarki i pamiątki, w pięknych a nawet wykwintnych oprawach. Prawie wszystkie przedstawiają to co młode umysły przyciągnąć i zaciekawić może, a zarazem co stanowi dla nich naukę życia. Już drugi wiek upływa jak Daniel Defoe napisał swego Robinsona Crusoe i pierwszy wskazał jakimi środkami można opanować umysł dziatwy. Odtąd mnożą się naśladowcy, z których najbliższym pierwowzoru jest Robinson Szwajcarski. Przedmiotami najbardziej dla dzieci zajmującymi są: Widoki piękne i tajemnice przyrody, zwierzęta, ptaki, płazy, gady, drzewa, krzewy, rośliny, ludzie rozmaitych ras i ich charaktery; walka o życie, o szczęście z losem, z przygodami, z ludźmi i rozkosz z widoku, kiedy wola żelazna przy uczuciach świętych dochodzi do swego celu i odnosi zwycięstwo.

W tym czasie z tego rodzaju książek najbardziej podobają się dziełka kapitana Mayne-Reide. Trzy książki tego autora przełożone zostały na język polski.

Pobył w pustyni, przez kapitana Mayne-Reide, przekład Stanisława M. Rzętkowskiego, z 24-ma rycinami Dorego, nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa, 1873.

Puszcza wodna w lesie, przez kapitana Mayne-Reide z angielskiego, z rycinami, nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa, 1873 roku.

Na spodzie okrętu, czyli podróż młodego marynarza wśród ciemności, przez kapitana Mayne Reide, tłumaczył J. Chęciński. Nakładem G. Sennewalda.

Pobył na pustyni to podróż i przygody w pustyni a raczej stepach, które się rozciągają w Południowej części Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie rzeki Arkanzas i Del Norte. Jest to Sahara pusta z rozsypanymi gdziegdzie oazami. Nad strumieniem w dolinie jednej otoczonej nieprzebytymi górami i skałami, podróżni w takiej oazie znajdują rodzinę nie mającą żadnych stosunków z resztą świata, która jednak pracą i przemysłem zastosowanym do miejscowości ustronie to na raj przerobiła. Piękny domek jaśnieje zdaleka, przy nim ogród, budynki gospodarcze. Niema krów, niema wołów. Bawoły ciągną pługi, lub spokojne pasą się na łące. Prócz konia, niema żadnego europejskiego zwierzęcia. Olbrzymie jelenie amerykańskie, daniela, antylopy, oswojone należały do osady. Przy domu zamiast psów obłąskawione wilki, niedźwiedzie, pantery. Tu rozpoczynają się opowiadania wypadków Ralfa osadnika a następnie przygody wędrowców. Książka ma na celu obznajmienie młodych czytelników z celniejszych zwierzętami pustyni i z życiem ludzi pełnem niebezpieczeństw.

W puszczy wodnej na rzece Amazonce zabłąkali się wędrowcy wśród ogromnych jezior, lasów wodą zalanych i wysp. Tu w obrazach i rozmowach przedstawiają się płazy, gady, ptaki a najwięcej stworzenia w wodzie żyjące, poczynszyszy od aligatora do rybo-krowy. Po trudach i cierpieniach w końcu ocaleni zostali przez kapitana schoneru dwu masztowego, który ich na statek swój przyjął.

„Na spodzie okrętu“ jest to wspomnienie starego marynarza o pierwszej przygodzie w młodości burzliwej. Starzec ten Filip Forster opowiada dzieciom jak w dzieciństwie swém, chociaż go wuj jako sierotę przyjął i na rolnika kształcił, on ciągle uciekał do wody do stawu, marzył o jeziorach, morzach, oceanach i sercem przyłgnał do zawodu marynarskiego. Na stawie w dzień się bawił i rzucał bułki łabędziom. Przy takiém zajęciu wpadł w wodę, lecz przytomny ujął ręką nogę łabędzia i tym sposobem dostał się na mieliznę. Mimo zakazu kąpał się w morzu i to właśnie w miejscu gdzie największy był pęd bałwanów; już tonął, przypadkiem tylko płynąca tam łódka uratowała malca. Przypadki te wcale go nie zmieniły i nie odstręczyły od wody. Ujrzał na morzu o pół mili od brzegu wysepkę skalistą, pragnał koniecznie tam popłynąć i raz porwał łódkę przywiązaną do brzegu nie pytając się o pozwolenie właściciela, puścił się sam jeden na spokojne morze. Dopłynął do wysepki, oglądał muszle i skały i kiedy się tak bawi, nagle przypada przypływ morza, całą tę wyspę zalewa. Filip wdziera się na wysoki słup sygnałowy, który stał na najwyższej skale. Walczy z morzem, traci łódkę i byłby utonął w głębiach morza, lecz szczęście że w sam czas przybył statek na wyratowanie go. Tyle nieszczęść nie poprawiło Filipa, koniecznie chciał zostać marynarzem. Poszedł pokryjomu do miasta a w porcie widząc że okręt Inca ma popłynąć do Peru, prosił majtków, kapitana, aby go na chłopca okrętowego przyjęli. Lecz kiedy wysmiany, wyszydzony jako dziecko jeszcze, z okrętu wyniesiony został, Filip zaczyna się, pilnuje pakowania, potajemnie wciska się na spód okrętu pomiędzy beczki i paki towarów i tak na spodzie sadowi się pod pięciu piętrami pak i beczek, i w ciemności ukryty płynie. Łatwo domyślić się ile w ciągu kilkotygodniowej podróży cierpiał biedny chłopczyk. Na pokarm zaledwie wykrył zaszpontowane w pace suchary, nożem wywiercił dziurkę w beczce z której pił wodę, miał ciągłą walkę ze szczurami, które go gryźć zaczęły. Z dolnego piętra pak przeciskał się coraz wyżej z wielką pracą, aż się na ostatnie piętro dostał. Po długich cierpieniach pracy i trudzie, nareszcie w rozpacz zwrócił na siebie uwagę osady przez wrzask i pukanie. Otworzono pokład, Filip wyszedł jak mieszkaniec innego świata, zbiedzony, wychudły, bez sił i zdrowia. Lecz kapitan dał mu pomoc. Filip odżył. Przyjęty do osady, pracował, posuwał się coraz wyżej w służbie, aż został dowódcą okrętu i zebrał majątek.

Prócz przekładów Mayne-Reida zasługują na uwagę z podróży.

Duch puszczy, opowiadanie z amerykańskich borów D-ra Birda, przełożył z angielskiego Wł. L. Anczyz, z rycinami. Nakład Gebetknera i Wolffa.

Przygody prawdziwe żeglarzy i podróżników pośród dzikich ludów kuli ziemskiej, zebrał Wł. L. Anczyz, z rycinami. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Nadzwyczajne sceny i straszliwe obrazy składają się na Ducha puszczy, gdzie zemsta Natana za wygładzenie przez Indyan familii jego, do najwyższych posunięta granic.

W przygodach zebrane prawdziwe wypadki jako to: Alexander Selkirk na wyspie Juan-Ferdinandes (1705—1709), Jan Staden w pierwotnych puszczech Brazylii (1549). Rozbitki, przygody rodziny angielskiej: Einmuel Crispel wśród lodów Labradoru (1736); Texas, opowiadanie; Kajetan Osculati w puszczy zalanej wodą (1847); Przygody Johna Jucksona i jego pobyt na wyspach Fidzy (1836—1842).

Nakładem redakcyi Opiekuna Domowego wyszła książeczka: *Robinson w podziemiach Paryża, opowiadanie ośmioletniej dziewczynki z czasów oblężenia tego miasta przez Prusaków, przerobione z francuzkiego przez Jadwigę O.*

Z tego opowiadania małe dzieci powezmą wyobrażenie o tych klęskach i cierpieniach jakie Paryż w ostatniej wojnie dotknęły, gdzie głód, niedostatek i śmierć wciskały się do ostatnich kryjówek podziemia.

Ze wszystkich książek dla młodego pokolenia wydanych, najpożądany jest systematyczny wykład nauki ścisłej z najnowszego stanowiska, lecz w takim sposobie aby umysły młode łatwo o prawdach takich przekonać się mogły i te na zawsze w pamięci zachowały. W tym kierunku wydana została książka, jako bardzo użyteczny podręcznik pod tytułem:

Wędrowka po niebie i ziemi. Opowiadanie o układzie wszechświata i budowie ziemi, młodemu wiekowi poświęcone przez starego przyjaciela dzieci. Warszawa 1873. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Przy niej wspomnieć należy książeczki:

Cuda Oceanu—Powiestka dla zabawy i pożytku dzieci, przełożona z francuzkiego i podopelniana przez J. Ch. z obrazkami. Nakład J. Kaufmana.

Powiestka ta obznajmia dzieci z wielu zjawiskami morskimi i z życiem żeglarzy.

Do podarków dla dzieci z książek kolendowych należy zawsze dołączyć dwie jeszcze książeczki, których wartości czas nigdy nie zmieni, to jest:

Bajki i powieстки Stanisława Jachowicza w ilustrowanej edycyi z 24 drzeworytami, rysunku: J. Kossaka, W. Gersona, H. Pikarda i H. Pilatego.

Jako zbiór nauk moralnych, szczególną prostotą, wdziękiem i siłą przemawiający do serc młodych i

Ilustrowany Skarbeczyk Polski—Historja opowiedziana wierszem przez Maryę Ilnicką.

Jako pamiątka z przeszłości, poetyczną obwiana osłoną. S.

Mikołaj Kopernik i jego układ świata przez J. Kowalczyka. (Drukiem A. Pajewskiego w 8-ce str. 119. Karta tytułowa jest ozdobioną w całym otoku pięknym drzeworytem. U góry w laurowym wieńcu jest popiersie Kopernika, po bokach lata 1473 i 1873. Na dwóch kolumnach napisy: „Na pamiątkę czterechsetnej rocznicy urodzin“. „Wstrzymał słońce, wzruszył ziemię“. U spodu glob i na nim roztwarta księga z tytułem: „De revolutioni orbium coelesti“.)

Autor, znajdujący gruntownie naukę astronomii, w rozprawie tej, która wyszła jako dodatek do pisma: „Przyroda i przemysł“, przystępnym sposobem wykłada system wielkiego astronoma, podług dzieła Kopernika „O obrotach ciał niebieskich“ a wedle przekładu J. Baranowskiego dawnego dyrektora Obserwatorium Astronomicznego w Warszawie, który wydany został w 1854 roku. Krótki życiorys jaki podaje na czele autor, jest streszczeniem biografii Kopernika przez Juliana Bartoszewicza.

Autor przedmowę swoją zamyka w tych słowach: „Oprócz życiorysu i streszczenia dzieł Kopernika, ważną także wydaje się rzeczą porównanie astronomii Kopernika z dawniejszą i późniejszą nauką tejże, i wykazanie, o ile przyczyniła się do obalenia astronomii dawniej, a podźwignięcia nowiej, z tego względu, rzecz nasza obejmuje w sobie trzy części a mianowicie: 1). Krótki życiorys Kopernika, 2). Streszczenie jego dzieła: „O obrotach ciał niebieskich.“ 3). Stanowisko Kopernika w astronomii.“ Podług tego podziału, autor jasno i zrozumiale wykłada swój przedmiot, i rzecz mniej popularną czyni dostępną dla ogółu naszej społeczności. Zasluga to nie mała, a oddawna nadaremnie oczekiwana.

R.

Klejnoty poezji polskiej, wybrane z dzieł najznakomitszych dawnych i nowoczesnych poetów przez A. F. W. Warszawa. Nakładem Józefa Kaufmana, 1872 roku. (W drukarni Jaworskiego. W 18-ce str. 346).

Przed dwudziestu blisko laty, publikacja ta, nakładem księgarza Bernsteina, wychodziła w małych zeszytach, i znalazłszy dobre przyjęcie,

wyczerpaną została. Obecnie księgarz J. Kaufman, nabywszy od pierwszego właściciela tego wydawnictwa, prawo do nowej edycji, w jednej książeczce te *klejnoty poezyi* podaje. Są tu utwory mniejszych i większych rozmiarów, trzydziestu ośmiu poetów i poetek (Maryi Ilnickiej, Gabryelli Żmichowskiej i Deotymy): nie wszystkie zasługują na nazwę tytułową, ale musimy wyznać, że mniej więcej zbieracz ich dobierał co udawniejsze.

Żałować należy, że zbiorek ten bezładnie ułożony: zaczyna I. B. Zaleski, a prawie w pośrodku dziełka, znajdujemy Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego, to Krasickiego, Naruszewicza, Węgierskiego. Dlaczegoż obok tych nie znajdujemy Karpińskiego i Książnina? Dlaczegoż ani jednego wiersza niema Mickiewicza?

Ażeby zbiorek taki miał prawdziwą wartość, należałoby objaśnić go chociażby jak najkrótszym wstępem i ułożyć chronologicznie. Wprawdzie gdzie niegdzie w nawiasach mamy krótką notatę o dacie urodzin i zgonu niektórych poetów, ale o najgłówniejszych poetach żadnej wzmianki.

Jeżeli pod względem papieru i druku publikacja staranna, dlaczegoż w końcu wydawca nie dodał spisu przedmiotów podług imion poetów: bez tego chcąc znaleźć, którego utwór, trzeba kilkaset stronnic przerzucać.

Pomimo tych stron ujemnych, dla zwolenników poezyi podręczna to książeczka, bo jak wspomnieliśmy wybór jest dosyć staranny.

R.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Grudzień 1872 r.* Wszystkie pisma wychodzące w Warszawie zapowiedziały na rok 1873, dalsze swe istnienie, do prowincjonalnych zaś organów prasy przybywa czwarty pod redakcją Antoniego Porębskiego p. n. *Tydzień*. „*Ognisko Domowe*“ mające ukazać się co tydzień od 1 stycznia 1873 rozesłało na sposób używany w Galicyi *bilety zwrotne*, w których chcący zaprenumerować to pismo, wpisuje swe nazwisko i mieszkanie, a należność przy odbiorze pierwszego numeru wniesioną być może.

— Nakładem i drukiem S. Lewentala wyszła powieść Adama Pługa „*Oficyalista*“ w trzech tomach. Z drukarni J. Ungra ukazało się obszernie dzieło Edwarda Prądzyńskiego: „*O prawach kobiety*“ (w wielkiej 8-ce str. 331) w starannem i ozdobnem wydaniu. Praca ta znakomitej wartości zasługuje na poważną i sumienną krytykę. Nakładem i drukiem J. Ungra wyszedł tom 3-ci *Ramot i Ramotek Augusta Wilkońskiego*, ilustrowany przez Fr. Kostrzewskiego. Ale ilustracja ta

nie odpowiada ani pomysłem ani wykonaniem wartości tekstu samych „Ramotek.“—Z drukarni Józefa Bergera wyszedł tom 3-ci dzieła wielce obchodzącego dzieje nasze p. n. „Monografie historyczne niektórych rodzin polskich, przez S. Kazimierza Kossakowskiego z przypisami *Juliana Bleszczyńskiego*.“ Jestto praca ostatniego, który zmarł w sile męskiego wieku z niemałą szkodą dla nauki téj gałęzi literatury historycznej; był to bowiem jedyny u nas pisarz, który naszą heraldykę umiejętnie umiał z pleśni bajek i legend krytycznie oczyszczać. Dochód z tego tomu dwaj współpracownicy i nakładcy pomienionego dzieła, wiedzeni szlachetnym uczuciem, Stanisław de Bröel hr. Plater i S. K. Kossakowski dla wdowy i sierot po zgasłym Julianie Bleszczyńskim, przeznaczyli.

— Z drukarni Kowalewskiego wyszły: „Dopełnienia historyi Prawodawstw Słowiańskich nakładem zapisu ś. p. Michała Konarskiego opracowane, i w kilku artykułach, osobne dzieła stanowiących drukiem ogłoszone przez Waclawa Aleksandra Maciejewskiego. Artykuł pierwszy zawiera: Dzieje Polski przed-Chrobrowej aż do początku panowania w niej rodziny Piasta, zaczerpnięte ze źródeł pomnikami tychże dziejów od Augusta Bielowskiego wydanemi nie objętych, i opowiedziane z uwagą na ościenne kraje, na Ruś, Litwę i Czechy, a osobliwie na starodawne i dzisiejsze Niemcy“ (w 8-ce str. VII, 190).—Znany z ozdobnego wydania wyszedł „Jana Jaworskiego *Kalendarz Ilustrowany* na rok 1873.“ Bogaty treścią dzieli się na IV działy. 1) Część kościelna i astronomiczna. 2) Rzeczy bieżące. 3) Część literacka. 4) Część informacyjno-statystyczna. Wśród wielu pięknych drzeworytów i starannie odbitych zwracają uwagę prace dłuta znakomitego rzeźbiarza *Wiktora Brodzkiego*, przedstawiające popiersie Mikołaja Kopernika i posąg wielkiego astronoma.

Kazimierz Mejer magister prawa i administracyi wydał rozprawę: „O sposobach obejmowania tronu. Rzecz z prawa państwowego“ (z drukarni „Przeglądu Tygodniowego“ w 8-ce str. 85). Rozprawa ta obejmuje następujące rozdziały: 1) Różne sposoby objęcia tronu podane przez teoryę. 2) Ogólne zasady dziedziczenia tronu. 3) O elekcji panującego. 4) Wyższość w teoryi zasady dziedziczenia tronu nad elekcją panującego. 5) O sposobie obejmowania tronu w dawniej Polsce. 6) Główniejsze zasady i formy polskiej elekcji króla. 7) Zasady obejmowania tronu w Rosyji i w prawie u nas obywatującym.

— Pomiedzy kilku rzadkościami bibliograficznymi sprzedanemi po ks. Aleksym Prusinowskim w Poznaniu, jedna z nich nabytą została do prywatnego zbioru w Warszawie (Cypryana Walewskiego), o której donieść nam należy prawdziwym znawcom bibliografii. Tą rzadkością jest: „*Postilla polska* to jest lekcye, epistoły y ewangelje niedzielne postne y które czytano bywają w wigilie Apostolskie i w inne święta Krześciańskie przez cały rok ku nauce naszéj. Teraz nowo z więtszą pilnością niżli przedtym wyrobiona, przytém passye czterzech Ewangelistów każda z osobna. Drukował Jan Daubman roku pańskiego 1568 w 8-ce 404 kart nieliczb. sygn. A—eeijj.“ Całe dziełko w bardzo pięknych oblamin-

kach drzeworytowych, cały tytuł czarno drukowany. Wydanie to nieznanne i przez żadnego z bibliografów nieopisane. Jocher w *Obrazie T. II* str. 373 Nr. 4439 opisuje Postyllę z podobnym tytułem lecz wydaną w Krakowie 1561 r. u Macieja Wierzbity, w 8-ce. Jest ona odmienną porównyując z powyższym opisem. Wydania Krakowskiego biblioteki Warszawskiej nie posiadają, ztąd trudno naocznie zrobić porównanie. Z tych powodów podajemy uczonym literatom do wiadomości, iżby wiedzieć się, czy którakolwiek z bibliotek bądź publicznych bądź prywatnych nie posiada egzemplarza *Postilli* i kto może być jej autorem?

— *Gazeta Polska* ogłosiła przedpłatę na mający wychodzić przy tém piśmie: „Wybór celniejszych dzieł nowoczesnych w zakresie historii, ekonomii politycznej, filozofii, pedagogiki i t. d. oryginalnych i tłumaczonych.

„Dziela te (czytamy w prospekcie) mające wychodzić nakładem redakcyi *Gazety Polskiej*, oddawane będą prenumeratom *po cenie kosztu* obliczonego na 1000 egzemplarzy, poszytami po 8 do 10-ciu arkuszy druku o stronnicach 16-tu w formacie 8-ki.

Wydawnictwo rozpocznie się od dzieła *Amadeusza Tierrye'go*: „Obraz państwa rzymskiego“ od założenia Rzymu, aż do końca rządów cesarskich na Zachodzie (*Tableau de l'Empire romain* i t. d. 1868).

Po niém nastąpią:

„Popularny wykład bieżących kwestyj filozoficznych“ (*Philosophische Zeitfragen populäre Aufsätze*) J. B. Meyera z r. 1870.

„Wykład nauk przeznaczony do pomocy w wychowaniu domowém“ p. Nareyżę Żmichowską, wydanie 2-gie pomnożone (piérwsze od lat kilku zupełnie wyczerpane) i t. d.

Przedpłata wraz z przesyłką za pośrednictwem poczty wynosi:

Rocznie rs. 6.

Półrocznie rs. 3.

(Przedpłata kwartalna nie jest dozwolona w wydawnictwie tego rodzaju).“ Wydawnictwo to rozpocznie się z nowym 1873 rokiem.

— Z drukarni S. Lewentała wyszła: „*Legenda o świętej Elżbiécie*. Oratorium. Muzyka Françoiszka Liszta, słowa polskie podług tekstu Krystyna Ostrowskiego, podłożył pod muzykę Maksymilian Radziszewski“ (Warszawa 1872 w 8-ce str. 23).

— Komedia Narzymskiego *Epidemia* przełożona na język rosyjski przez p. Swieczina, który jej dał tytuł *Birżewaju Epidemia*, według dziennika *Nowost* oddana już została do ceuzury w Petersburgu, i niedługo zapewne na jednej z tamecznych scen się ukaże.

— P. Feliks Kucharzewski inżynier ze Szkoły dróg i mostów w Paryżu, Warszawianin, powołany został na assystenta katedry geodezyi W. C. K. akademii technicznej we Lwowie, assystentem zaś katedry nauk inżynierskich mianowano p. Słowikowskiego. Obie posady obsadzone zostały drogą konkursu, którego ostateczny termin był oznaczony na dzień 30 listopada 1872 r. Były professor Szkoły Głównej w Warszawie, znany filolog i znakomity hellenista, Zygmunt Węclewski

mianowany został professorem filologii klasycznej w Uniwersytecie Lwowskim.

— Karol Estreicher wydał życiorys p. n.: „*Dr. J. K. Szlachtowski*.“ Rzecz czytana na posiedzeniu C. K. Towarzystwa naukowego krakowskiego dnia 5 lutego 1872 roku (w 8-ce str. 30). Jestto odbitka z tomu II pisma Zbiorowego „*Na Dziś*“ na pięknym welinie z dodaniem popiersia zmarłego w drzeworycie, który był poprzednio podany w Tygodniku Ilustrowanym.

— *Kraków, grudzień 1872.* „Nic jeszcze nie postanowiono, gdzie się ma wznosić pomnik grobowy dla Wincentego Pola. Nieczekając więc na oznaczone miejsce, zaczęto zbierać składkę w Galicyi na ten cel, i mamy nadzieję że fundusz się zbierze dostateczny, aby oddać cześć wielkiemu poecie i obywatelowi. Czy posłuchają u nas głosu powszechnego, aby mu wzniesić pomnik *na Wawelu*, jak na to zasłużył, dotąd nie wiemy. Oprócz XII pierwszych członków Akademii Krakowskiej (o których wspomniała Biblioteka Warszawska w zeszycie grudniowym r. b.) wybrano XII następnych i ci zatwierdzeni zostali przez władzę: 1. Alexander hr. Fredro (ojciec); 2. Kłaczko Julian; 3. Bielowski August; 4. Małecki Antoni; 5. Biesiadecki professor; 6. Dietl Dr. prezydent Krakowa; 7. Zmurko Izidor; 8. Szaraniewicz Izidor; 9. Supiński; 10. Pawłowski ksiądz; 11. Czerwiakowski professor; 12. Żebrawski Teofil. Trzeciej części z tej liczby zapewne nie znacze zasług naukowych, bo rozgłosu też nie mieli, ale zasługi chociaż mniejsze mieli. Po zmarłym Wincentym Polu jest miejsce opróżnione w akademii. Nasz ukochany poeta, na krótko przed zgonem zamyslał o wydaniu zupełnem prac swoich, jakby zgon rychły przeczuwał. Znając śliczne wydania J. I. Kraszewskiego zgłosił się nawet do niego w tym celu. Naukowe prace W. Pola, szczególnie etnograficzne, są niepopolitej wartości: znał on dobrze warunki potrzebne potemu i robił sumienne studia, a umysł poetyczny i inwencya wieszczca, nie mogły mu w tém zaszkodzić. Na kilka miesięcy przed ostatnią chorobą, wykończył obszerny poemat p. n. *Starosta Kislacki*. J. K. Żupański wydał go w Poznaniu. Jest to myśliwskie podanie z życia Wąsowicza, „Wielkiego łowca przed panem“, które poetycznie oddał po swojemu, jak to Pol tylko umiał. Juliusz Kossak, który z malarzy polskich jedynym może być ilustratorem Pola, wykończył dwa albumy z wyprawy myśliwskiej na niedźwiedzie. Jeden z nich przedstawia widoki z polowania w Karpatach, drugi zaś szkice humorystyczne z tej wyprawy. Oba są własnością księcia Adama Sapiehy. Nasz rzeźbiarz Leopold Steinhmann pracuje nad medalionem zmarłego Wincentego Pola, według fotografii zdjętej na krótko przed jego zgonem.—Professor Łepkowski pracuje właśnie nad zupełnem już ukończeniem dzieła swego *O grobach królów polskich*. Pamiętamy jak jeszcze w roku 1847, kiedy młodzieniaszkiem będąc wydawał przed 25 laty *Starożytności i pomni-*

ki Krakowa, rozpoczął już wtedy zbieranie materiału w tym kierunku. Bywając w Krakowie oglądaliśmy sami trzy grube teki, napełnione rysunkami, notatami, odpisami z akt kapituł, ze źródeł rękopiśmiennych. Były to przygotowane studia nad sprawą pogrzebów, grobów, monumentów i trumien królewskich, gdziekolwiek one są, czy w Krakowie, w Poznaniu, w Gnieźnie, w Płocku, w Petersburgu, w Wiedniu, i w innych miejscach. Jakże to są badania wytrwałością lat tylu przygotowane, dość powtórzyć, co Ambroży Grabowski powiedział (w drugim wydaniu książki swojej o grobach wawelskich str. 9), że Łepkowski robi tę rzecz w sposób w jakim go nikt nie poprzedził; my dodamy że mu nikt nieźródła. Po ks. biskupie Łętowskim, Raczyńskim, Gawareckim, Helelu, Muczowski, Ambrożym Grabowski, generale Załuskim, ks. M. Gładyszewiczu, kasztelanie Wężyku, Józefie Mączyńskim, Alexandrze Przędzieckim, po tych zmarłych i im podobnych ludziach tradycy, co wiele pamiętali, wiele wiedzieli, wiele się nauczyli w tym przedmiocie, któż inny z dziś żyjących, na podziemia wawelskie, poznańskie, płockie, gnieźnieńskie? Chyba nasz Stronczyński mógłby nie jedno powiedzieć, gdy długo przedmiot ten w swoich młodszych latach studyował.

Powodem poruszenia właśnie teraz tej sprawy, jest list Łepkowskiego do jednego z nakładców warszawskich, w którym pisze: że tylko na bardzo piękną edycją swojej książki przystanie, że jeśli nie ma być wytłoczoną starannie a ozdobioną fototypiami, drzeworytami, to raczej zostawi w tece rękopis, iżby czekał lepszych czasów. „Dobrze się stało (pisze Łepkowski) że się nie śpieszyłem. Książka lepszą będzie dziś, lepszą jutro, niżby była wtedy, gdybym ją przed 10 laty ogłosił. Więc jeśli się teraz nie znajdzie taki nakładca jakiego potrzebuję, niech rękopis spoczywa dłużej. Ktoś przecie wyda kiedyś. Nie zepsuje się. Ani mnie, ani pracy mojej nie wypadnie to na szkodę. Doraznych, gorączkowych edycy, dziś na jutro robionych, nie lubię i nie chcę. Długo pracując z Przędzieckim i Łętowskim, nauczyłem się patrzeć na ich poważne wydania. Zepsułem sobie smak. *Groby królów*, chociaż (co pewna) nie dla pracy mojej, to same dla siebie, są rzeczą zbyt poważną, aby się wydanie takiej książki lada edycyjką zalatwić dało. O piękność i powagę publikacyi tej, bardzo mi chodzi.“

— Znany a sumienny pracownik na polu badań archeologicznych Mathias Bersohn (z Warszawy) wydał czcinkami drukarni „Czasu“, zajmującą monografię p. n. „*Tobiasz Kohn lekarz polski w XVII wieku*“, (w 8-ce str. 53). W końcu autor dodał kilkanaście przywilejów, jakimi niektórych lekarzów żydów, w kraju naszym, królowie polscy obdarowali. Są one wyjęte z ksiąg „*Metryki koronnej*“, i pierwszy raz drukiem ogłoszone. Na czele zdobi piękny drzeworyt przedstawiający w popiersiu pomienionego lekarza.

— *Lwów. Grudnia 1872 roku.* Oczekiwane oddawna: „*Monumenta Poloniae historica*“. „*Pomniki dziejowe polskie*“, Augusta Bielowskiego: dzieło pomnikowe (tom drugi) wyszło z drukarni Zakładu

imienia Ossolińskich w wielkiej 8-ce str. 998. Księgarnia polska nakładowa i komisowa, oraz antykwarnia we Lwowie rozpoczęła wydawnictwo, w taniem wydaniu. „Dziejów powszechnych“, Szlossera. Wybor ten zrobiono dla tego, że chciano dać całość dziejów, a przystępny dla wszystkich warstw społecznych popularnym wykładem. Dział słowiański będzie uzupełniony. Fundusz po strąceniu kosztu edycji, jaki pozostanie, przeznaczonym jest na oświatę ludową.

Z drukarni Pillera, wyszedł wierszem obrazek dramatyczny Karola Pieńkowskiego p. n. „*Rozmowa szwaczki z gwiazdą*“, (w 8-ce str. 16). Treścią tego obrazka jest przedstawienie smutnego stanu młodej dziewczyny, która oddana ciężkiej pracy igły, sierota, bez opieki, umiera na poddaszu z znużenia i głodu. Jestto znaczne poruszenie przez poetę, jednej z żywotnych kwestyi, wołającej o pomoc społeczności dla tylu istot młodych dziewic, co walczą bezsilnie, z koniecznymi potrzebami życia, których żadnym wysiłkiem swęj pracy zaspokoić nie mogą, i zachowując swą godność niewiasty, znajdując zawczesną śmierć z głodu i zimna.

Zbioru powieści J. I. Kraszewskiego, który tu wychodzi, wyszło już tomów XXVII: ostatnia „*Powieść bez tytułu*“, zamyka obecnie ten poczet. Oczekujemy od wydawców wiadomości, ile tomów całość tej edycji wyniesie, a przynajmniej jakie następnie powieści, zajmą dalsze tomy.

— Czytamy w *Gazecie Warszawskiej*: „Towarzystwo pomocy naukowej zawiązało się w księstwie Cieszyńskim na Szląsku. Przed pierwszym walnym zebraniem zapisało się 160 osób na listę jego członków. Na tém zebraniu liczny udział przyjęli mieszkańcy okoliczni Cieszyna. Walne zebranie wybrało już dyrekcję Tow., do której wchodzi: ks. Franciszek Śniegów, gen. wikaryusz w Cieszynie; ks. dr. Leopold Otto, pastor w Cieszynie; ks. Ignacy Świeży, katecheta w Cieszynie; Paweł Stalmach, redaktor w Cieszynie; dr. Józef Fiszer; professor Andrzej Kotula, notaryusz; Jan Głajcar, właściciel gruntu w Skibnicy; Andrzej Tomaszek, przełożony gminy w Skibnicy; Aleksander Staszko, aptekarz w Bielsku; ks. Dominik Orel, proboszcz w Suchej Górnjej; ks. Paweł Matuszyński, proboszcz w Łękach; Andrzej Broda z Ustronia. Dyrekcya już się ukonstytuowała wybrawszy na swego prezesa ks. Ignacego Świeżego, na sekretarza Pawła Stalmacha, na kasyera Andrzeja Kotulę. Ludność słowiańska na Szląsku od wieków pod wpływem germanizmu tak dalece zatraciła swoje cechy pierwotne, iż ją prawie za zupełnie niemiecką uważano. Szlachta jużto przez związki pokrewne, już przez sąsiedztwo z Niemcami i inne okoliczności, zupełnie zniemczała; większe majątki są w rękach niemieckich, własności miejskie gdziekolwiek tylko dzierżyli Słowianie: wszystkoto zgubny wpływ wyrzucić musiało na lud, który za ledwie zachował mowę ojczystą i to bardzo zmienioną, naszpikowaną niemieczyzną. W ostatnich wszakże czasach począł się budzić zwrot ku Słowiańszczyźnie; zwrot ten datować można od lat dwudziestu kilku i wciąż

postępuje; objawia się tak dobrze w literaturze jak na sejmie w Szląsku austriackim, którego rozprawy nader są zajmujące, wreszcie w krzątanii się około zakładania towarzystw. Poczucie to rozbudziło się samorodnie. Wiadomo jak ważne taki Józef Lompa wyrabiając się z zaniebania językowego, położył zasługi; powstały drukarnie polskie i wydawały się książki religijne, stare żywoty świętych, stare ludowe powieści i podania, tłumaczenia chropowate z niemieckiego i czeskiego. Mecenasi tłumaczyli i wydawali własnym nakładem broszurki treści kronikarskiej i legendowej, które po niemiecku byli czytali, a zasmakowawszy w nich, pragnęli nieumiejącym po niemiecku rodakom uczynić je przystępnymi. Ztądto Szląsk ma tak obszerną literaturę polską straganową, którą nazwać można kolportowaną po jarmarkach i odpustach przez obraźników, introligatorów i kramarzy. Literatura ta mało uczonym jest znana. Szląsk górny posiada dziś już cztery polskie pisma, i chociaż ludność ta nie nadotała sama sobie radzić, jak na Szląsku austriackim, jednakże i tu noszą się z myślą założenia Towarzystwa naukowego, a tymczasem projektują zebrania miasteczkowe (*Wiece*) i odczyty popularne.“

— Nakładem Biblioteki Kórnickiej (hr. Jana Działyńskiego) w Poznaniu wyszedł tom I „Listów M. T. Cyncerona“ w przekładzie na język polski przez E. Rykaczewskiego. Tłumacz znany z licznych prac filologicznych, wziął sobie za zadanie oddać w polskim przekładzie wszystkie dzieła Cyncerona. W r. 1870—1871 wyszły również nakładem Biblioteki Kórnickiej trzy tomy tłumaczenia jego Mów. Wszystkich Listów Cyncerona w polskim przekładzie nie posiadamy dotąd, tém większą przeto oddali przysługę literaturze naszej i tłumacz i nakładca. Tom pierwszy obejmuje ksiąg sześć, każdą zaś z nich opatrzył tłumacz poprzedzającym je „krótkim poglądem na dzieje“ i licznemi pod tekstami umieszczonemi objaśnieniami, które do zrozumienia Listów bardzo są przydatne, prawie niezbędnie potrzebne. Druk tomu drugiego daleko już posunięty i szanowny tłumacz mimo ciężkiej choroby, zajmuje się ciągle wykończaniem przekładu reszty dzieł Cyncerona. Przedmowę do Listów podpisał: „Pisałem w Paryżu na początku r. 1871 podczas bombardowania tego miasta przez Prusaków.“

— Kuratorjum biblioteki Raczyńskich w Poznaniu powzięło w ostatnim roku administracyjnym następujące uchwały, które częścią już zostały wykonane, częścią wykonane zostaną w najbliższym czasie: 1) ustalenie całą fundacyę obejmującego etatu rocznego; 2) podwyższenie płacy wszystkich urzędników biblioteki potwierdzonych przez ministra oświaty; 3) wyznaczenie odpowiedniej kwoty, celem uzupełnienia i systematycznego powiększenia biblioteki; 4) uchwalono odezwę do rządu celem popierania i subwencyonowania téj tak ważnej dla miasta i prowincyi instytucji, która ograniczona dotąd na swe własne wcale nieznaczne środki (fundusz ten wynosi obecnie 44,049 tal.), nie może w żaden sposób sprostować swemu zadaniu; 5) w końcu uchwalono aby przystąpić do naprawy i udogodnienia budynku bibliotecznego.

— Na wystawie sztuk pięknych w Monachium zwraca na się ogólną uwagę obraz p. Józefa Brandta zatytułowany: „Obleżenie Wiednia r. 1683.“ O dziele tém naszego artysty piszą w długim artykule do wiedeńskiej *N. F. P.* „Pomijając już interes historyczny, dzieło pana Brandta jako takie zajmuje w wyższym stopniu naszą uwagę. Artysta miał przed sobą nie lada zadanie, z którego wywiązał się z wielkiem mistrzostwem. Wyszukanie oryginalnych kostiumów, przycém miał na względzie jak najściślej prawdę historyczną, wymagało już samo przez się wiele czasu i pracy. Do tego dodać należy wielkie bogactwo figur na obrazie i ujęcie mass w ten sposób, aby i najdrobniejsze postaci należycie uwydatnione zostały. Z poczuciem prawdziwie artystycznym uniknął pan Brandt wysunięcia Sobieskiego razem z całym jego orszakiem na pierwszy plan. Czytając to artysta byłby ułatwił sobie niemało pracy, równocześnie atoli obraz nie byłby dziełem przedstawiającém bitwę we właściwem tego słowa znaczeniu, lecz szablonem tylko takowego. Pojedyncze nstępy pysznie są pomyślane i wykonane. Zapół z jakim dzieło to tworzył artysta, przebija się w każdój postaci. Coś dzikiego wieje z całego obrazu. Wszystko tu żyje i porusza się. Majestatyczność formy, światło i koloryt przedstawiają się tutaj w sposób mistrzowski; cała kompozycya jest jakby z jednej ukuta bryły, nic w niej ze sztywności akademickiej, nic konwencyjonalnego. Obok rysunku, Brandt jest zarówno mistrzem w użyciu farb; dzięki swym obrazom przedstawiającym polskie i tureckie wojny, sceny z życia Czerkiesów i innych narodów, polski artysta dawno już zjednał sobie w świecie artystycznym bardzo poważne nazwisko i rozgłos. Brandt jest uczniem Fr. Adama w Monachium i wywióra wielki wpływ na koła artystyczne bawarskiej stolicy. Brandt pracuje obecnie nad ukończeniem wielkiego obrazu przeznaczonego na wystawę wiedeńską. Obraz ten, kończy korespondent, niezawodnie jaśnieć będzie na przyszłorocznej wystawie jako jedno z najznakomitszych dzieł nowoczesnej sztuki malarskiej.

— Ze sprawozdania o walnym posiedzeniu *Komissji historycznej akademii naukowej w Monachium* (7—10 października z. r.) dowiadujemy się, że z obszernego wydawnictwa p. t.: *Historya umiejętności w Niemczech* ukaza się wkrótce *Historya Filozofii* p. Zeller'a (z Berlina), *Historya ekonomii narodowej* (Gesch. der Nationalökonomie) przez Roszera (z Lipska), oraz część druga *Historji Chemii* Kopp'a (z Heidelbergi); ukazały się już *Historya Technologii* p. Karola Karmarsch, (o której krytyka niemiecka mówi z uniesieniem jako o pomnikowém dziele) i *Historya Zoologii* aż do I. Müllera i Charles'a Darwin'a przez Wiktora Carus (tomy XI i XII zbioru). Wydawnictwo kronik miejskich pod kierownictwem professora Hegla postępuje wciąż energicznie. Niemniej gorliwie prowadzi się wydawnictwo *akt sejmów cesarstwa* (Reichstagsacten), a nowe i cenne materiały do ważnej epoki cesarzów Zygmunta i Alberta II wynalazł obecnie Dr. Kerler, bibliotekarz w Erlangen. Dla przyspieszenia pracy nad epoką Fryderyka III wezwany został

do współpracownictwa Dr. Ebrard w Strasburgu. Posuwa się téż praca nad wydawnictwem *Roczników historii Niemieckiej* (Jahrbücher der deutschen Geschichte). W bieżącym (1873) roku ma się ukazać tom I, (obejmujący literę A) *Powszechnej Niemieckiej Biografii* (allgemeine deutsche Biographie). Praca ta podjęta została na wniosek Ranke'go i Döllinger'a (Reichsrath'a); biorą w nią udział wszyscy najznakomitsi historycy niemieccy; liczba współpracowników przynosi 200, redakcją naczelną prowadzi v. Liliencron.

— Wielce interesującym, nawet dla szerszych kół publiczności czytającej, jest świeżo wydany przez *Hermana Kleina* tom II-gi Podręcznika powszechnego opisu nieba, stanowiący zresztą osobne dzieło p. t.: *Gwiazdy stałe podług obecnego stanu nauki*. (Der Fixsternhimmel nach dem gegenwärtigen Zustande der Wissenschaft. Braunschweig. Vieweg. 1872 str. 373 8-in folio). Dowiadujemy się ztąd pomiędzy innymi, że podług obliczeń Karola von Littrow, bardzo dowcipnych i podlegających łatwemu sprawdzeniu, ilość gwiazd widzialnych do 16-tęj wielkości włącznie powinna wynieść 1,200 milionów. Analiza spektralna wykazuje peryodyczne wzmaganie się lub osłabienie światła gwiazd, domyśla się tworzenia się nowych gwiazd i niszczenia starych. Wiadomo zkad inąd, a nawet w kilku razach stwierdzono rachunkiem, że gwiazdy, tak zwane stałe czyli nieruchome, mają własne obroty i z czasem „rozrywają więzy prastarych gwiazdozbiorów“ (konstellacyi). W okresie, stosunkowo wcale nie długim, bo od założenia Rzymu, świetny Syryusz przesunął się na niebie przeszło o półtoręj tarcz księżycowych, Arktur przeszło o trzy, w Centaurze blisko o pięć. Gwiazda podwójna Nr. 61 w gwiazdozbiorze Łabędzia, obojdzie całe niebo w ciągu 250,000 lat, jeżeli ruch jej obecny odpowiada pozornemu obrotowi średniemu. Pokazało się nadto, że używająca w astronomii wielkiej powagi hipoteza Mädlera o spólnym obrocie całego układu słonecznego i większej części gwiazd stałych naokoło jednego punktu w grupie Plejad, upada w obec nowych spostrzeżeń, gdyż w gwiazdozbiorze Byka dostrzeżono ruch ku południowemu zachodowi, kiedy Bliźnięta i Rak dążą ku południowemu wschodowi, a wiele gwiazd mają ruch podobny do ruchu przypisywanego słońcu. To téż astronom Proktor musiał postawić wniosek, że gwiazdy posiadające ruch spólny tworzą osobne układy, chociaż wszystkie razem należą do wielkiego układu Drogi Mlecznej. Nowiny te nadchodzące z obserwatoryów astronomicznych, muszą sprawić wielkie wrażenie na umysłach filozofów i wszystkich miłośników filozofii. Jeżeli ta najstarsza, najprostsza i najdokładniejsza nauka, która drogą dedukcyi mogła czynić odkrycia w przyrodzie, a ścisłość wniosków swoich stwierdza nieomylnymi przepowiedniami, jeżeli ta nauka, powiadamy, musi wciąż sprawdzać swoje obliczenia i zmieniać hipotezy, o ileż oględniej postępować powinni badacze na polu innych nauk bardziej skomplikowanych. Nie pierwszy to raz astronomia uczy nas pokory.

— W lipcu z. r. zgromadził się w Londynie *Międzynarodowy kongres więzienny*, na wniosek Amerykanina Dra. Uajnsa (Wines). Zjechało tu wielu uczonych z rozmaitych krajów Europy i Ameryki, dyrektorów więzień, urzędników, polityków, a nawet dam, należących do stowarzyszeń poprawy małoletnich przestępców. Porządek dzienny obejmował mnóstwo kwestyi z nauki karnéj, a rozprawy przyniosły obfity plon spostrzeżeń i doświadczenia. Dyskusya wykazała wady praw angielskich co do terminów zbyt długich na karę robót ciężkich (penal servitudów), a zbyt krótkich na kary za przestępstwa przeciwko własności. (W Liwerpolu niektórzy złodzieje siadywali w więzieniu w ciągu lat kilku po 70 razy). Okazała się za to świetnie troskliwość społeczeństwa Anglii i Stanów Zjednoczonych o poprawę więźniów i los uwolnionych po odsiedzeniu kary winowajców. Najobszerniej wszakże rozwinęły się rozprawy w kwestyi o przestępcach małoletnich. Sprawozdanie z prac kongressu niedługo już zostanie drukiem ogłoszone.

— W Berlinie utworzył się „*Komitet niemiecki do zbadania Afryki Środkowej*“. Celem jego będzie zbieranie funduszków i urządzenie systematyczne wypraw naukowych od strony zachodniej pomiędzy przylądkiem Lopez Gonzalez i rzeką Kongo. Poszukiwania mają się rozciągać na całej przestrzeni od 10° szerokości północnej do 10° szerokości południowej.

— Stary „ojciec emigrantów“ niemieckich, obecnie po powrocie z Ameryki zamieszkały w m. Gotha, Edward Peltz wydaje pismo czasowe zeszytami dla użytku tych wszystkich, którzy myślą poszukiwać lepszego losu w Stanach Zjednoczonych. Tytuł pisma: *Der Pfandfinder*. Obecnie zaleca się emigrantom stan Minnesota, jako miejscowość nastroczająca najobfitsze źródła zarobkowania.

— Na r. b. wyszły dwa kalendarze popularne: *Kalendarz domowy* dla wsi i miasta J. Noskowskiego i *Kalendarz ludowy* Redakcyi *Zorzy*. Kalendarz Noskowskiego oprócz zwykłych wiadomości kalendarzowych, obejmuje: Wystawę politechniczną w Moskwie, Przegląd naszego ruchu naukowego i literackiego, Na wójtostwie, powieść K. Wł. Wójcickiego, Do imiennika panny A. J., wiersz A. Mickiewicza dotąd nie drukowany, Ballada, Piosnka Ofelii, Epilog Mirona, Opis dwóch podróży balonem w Warszawie, Plotkarki i plotkarze warszawscy, Mikołaj Kopernik, Jedna z tamtych. W kalendarzu *Zorzy* mieszczą się artykuły: Wieszczyby gospodarcze, Jak urządzić kompas, Nowe powiatki ks. Jana Wacławskiego, Poezycy J. Grejnerta, Wspomnienie o księdzu l'Epé, Jubileusz Kopernikowy, Kilka słów o Finlandyi i jej mieszkańcach, O wystawie powszechnéj wiedeńskiej.

— Wyszła z druku Nauka czterech działów arytmetycznych przez Konstantego Stachowicza. Owoc pracy z kilkunasto-letniego zawodu nauczycielskiego, jako praktyczny podręcznik do wykładu początkowej arytmetyki.

— Sadownictwo Lucasa i Medicusa, przełożył z niemieckiego Fryderyk Osterloff, z drzeworytami, nakładem Sennewalda. Jest to pożądaný podręcznik i bardzo praktyczny do uprawy owoców w naszym kraju, gdzie błogosławiona ziemia wydaje plony wszelkiego rodzaju, a przez gorszące niedbalstwo i nieumiejętność, owoce z zagranicy sprząwać musimy.

— Dotychczasowy prezes Towarzystwa naukowego krakowskiego Dr. Józef Meyer krakowianin, mianowany został przez cesarza austriackiego prezesem akademii krakowskiej; a Józef Szujski professor historii, generalnym sekretarzem.

— Dr. medycyny Zygmunt Dobieszewski znany w Warszawie jako zdolny lekarz i redaktor Kliniki, wydał we Lwowie broszurę pod tytułem: *Zdanie sprawy z dwuletniego urzędowania w wydziale krakowskim galicyjskim*. Z niej dowiadujemy się, że powołany na urządowanie a następnie na inspektora szpitali, bez żadnej winy, bez żadnego zawiadomienia o przyczynie otrzymał dymissyą od wydziału lekarskiego i w broszurze tej otwarcie odkrywając postępowanie swoje, odwołuje się do opinii publicznej.

— Teofila Lenartowicza poemat „*Spartak*“ jeden z obszerniejszych jego lirycznych utworów, tłumaczy na język włoski Hektor Marcucio, i drukiem ma ogłosić.

— Nakładem księgarni w Poznaniu J. K. Żupańskiego, zeszytami zaczęło wychodzić dzieło ś. p. Bronisława Trętowskiego p. n. *Panteon wiedzy ludzkiej lub Panteologia*, Encyklopedia wszech nauk i umiejętności, propedeutyka powszechna i wielki system filozofii. Dzieło zalecone przez Karola Libelta, jako jedno z najznakomitszych dzieł filozoficznych, jakiego nawet literatura niemiecka nie posiada. Według prospektu, Panteon składać się będzie z 30 poszytów pięcioarkuszowych, mających wychodzić co dni piętnaście.

— Karol Hoffman mąż zasłużonej Klementyny z Tańskich, redaktorki „*Rozrywek dla dzieci*“ zmarłej w roku 1845, oddał do zbiorów Akademii nauk w Krakowie, pamiątki po niej: pierścień ofiarowany jej przed wyjazdem za granicę w 1831 roku, przez związek dobroczynności Warszawianek, którego była opiekunką, kałamarz jej i stary egzemplarz „*Żywotów świętych Skargi*“, własność familijną, listy niektórych osób zostających z nią w stosunkach jak: arcybiskupa Woronicza, J. U. Niemcewicza, K. Brodzińskiego, Antoniego Góreckiego, Stefana Witwickiego, Mezofantego (po polsku), Kniaziewicz i w. i. Serce Klementyny Hoffmanowej złożone jest w katedrze krakowskiej.

— Czasopismo ilustrowane *Kłosy* od Nr. 387 obejmuje artykuły z drzeworytami: Młodość Zygmunta Augusta.—Huouli.—Wystawa Paryzka 1872 roku.—Archikatedralny kościół ormiański we Lwowie.—Opłatki.—Targ w małym miasteczku.—Zofijowka.—Aleksander Dumas (syn).—Kwarantanna

wolów stepowych w Terespolu.—Rok 1870 i 1871.—Wincenty Pol.—Boże Narodzenie, (z albumu Grotgera).—Zgubiona droga.

Prócz powyższych mieszczą się artykuły:—Dersław z Rytwian, powieść T. Jeża.—Kronika paryzka.—Listy J. I. Kraszewskiego.—Urywki higieniczne.—Drugie Cesarstwo we Francyi.—Międzynarodowy kongres w Petersburgu.—Z obcego świata.—Przeglądy teatralne.—Pokłosie.—Korespondencye.—Stanowisko kobiety w rodzinie i społeczeństwie.—O rozdrobnieniu własności nieruchomości w Warszawie.—Wiadomości z pola literatury i sztuki.—„Co ich zbliżyło“ powieść Jana Zacharjasiewicza.—Przeglądy literackie.—Przeгляд muzyczny i polityczny.—O tegorocznej wystawie obrazów we Lwowie.—Doktor Servans A. Dumasa (syna).

— *Tygodnik Ilustrowany* od Nr. 257 do 261 obejmuje artykuły z drzeworytami:—Widoki Karpat.—Paweł Konewka.—Młóczarka licząca pieniądze.—Zwaliska zamku w Odrzykoniu.—M. Gerymski.—Myśliwi w Siedmiogrodzie.—Wincenty Pol.—Katedra w Lublinie.—Dwór Modrzewiowy w Smardzewie.—Boże narodzenie w lesie.—Błogosławieni miłosierni. Jarmarkowicz koniarz.—Czterdzieści wieków.—Porwanie Heleny przez Parysa.—Karol Gilewski.—Wnętrze katedry w Lublinie.—Gracyalista.

— Prócz powyższych mieszczą się artykuły:—Morituri powieść J. I. Kraszewskiego.—Kronika zagraniczna tegoż.—Z pamiętnika podróży po Wschodzie.—Samuel ze Skrzypny Twardowski.—Notatki panny respektowej.—Rok straszny W. Hugo.—Najnowsze odkrycia i spostrzeżenia naukowe.—Przeglądy teatralne i polityczne.—Kronika tygodniowa.—Wspomnienie o pobycie Mickiewicza w Petersburgu.—Korespondencye.—Szachy.—Rebusy.

† Dnia 2 grudnia 1872 r. w Krakowie, po długiej chorobie umarł *Wincenty Pol*, jeden z największych naszego okresu poetów. W dniu 5 t. m. z rana odbyło się wyprowadzenie zwłok jego z domu w którym zakończył życie. Trumnę uwieńczoną wawrzynem poniosła młodzież akademicka do starożytnego kościoła *Najświętszej Panny Maryi*, z kąd przeniesiono na cmentarz miejscowy, do tymczasowego grobu, zanim stanie godny zasługom pomnik dla poety. Mieszkańcy Krakowa robią teraz starania u kapituły katedry krakowskiej, ażeby wyjednać miejsce na wieczny spoczynek dla zgasłego w świątyni na *Wawelu*. Jestto myśl zacna, a ś. p. Pol zarówno pracą całego życia, uczuciem jak talentem zasłużył sobie na to odznaczenie po śmierci Mohorta.

Pol urodził się dnia 20 kwietnia 1807 roku na folwarku zwanym *Firlejowszczyzna*, tuż pod Lublinem za rogatkami

Zamojskiemi położonym. Był synem Franciszka Ksawerego, cesarsko-królewsko-austryackiego radcy lubelskiego, sądu szlacheckiego i Eleonory z Longchamps. Ochrzczony dnia 2 maja tegoż roku przez księdza Jezierskiego oficyała generalnego lubelskiego otrzymał imiona Wincentego Ferreryusza, Jakuba. Do chrztu był trzymany przez Karola Scypiona dziedzica dóbr Bychawy i Nerenę z Scypionów Grabowską. Folwark Firlejowszczyzna przechodząc przez różne ręce, od roku 1860 został własnością córek naszego poety. Ojciec zaś jego posiadał nadto dom murowany w Lublinie, drugi z kolei przy bramie *krakowskiéj*, naprzeciw magistratu położony. Te są wiarogodne szczegóły zebrane na miejscu, dalszych o życiu poety dokładnych nie mamy nad te, które w pismach swoich zostawił. Stary pasiecznik był pierwszym małego pacholęcia nauczycielem, karmiąc go żywém słowem tradycyi i własnéj wiedzy. Po nim sędziwy kapłan uczył go dziejów własnego kraju i Pisma Świętego, oзнакомиł go przytém z Plutarchem. Znalazł téż przy boku swoim i *Ukraińca* co mu śpiewał dumy, opowiadał osobliwe powieści i układał do konia. Wpływ tych trzech pierwotnych nauczycieli wydatniejsze téż w utworach poety, bo jak dobrze powiedział Zygmunt Krasiniński:

„Młodość taką jest rzeźbiarka,
Co wykuwa żywot cały;
Choć przeminie sama szparko,
Cios jéj dłuta wieczno-trwały.“

Szkoly odbył we Lwowie, gdzie się ojciec jego z Lublina przeniósł; wyższe nauki pobierał w uniwersytecie wileńskim, w którym następnie wykładał literaturę niemiecką. Od roku 1833 stale osiadł w Galicyi i naprzemiany zamieszkiwał Lwów i Kraków, lubo czas jakiś gospodarzył na własnéj grzędzie. Pierwszy po *Staszicu* zapoznał nas bliżej z Tatrami i góralami badając naukowo te góry, a poetyczném spojrzeniem chwycił ich piękności i wiernie je umiał malować. Nikt tak starożytnéj Polski nie znał lepiej jak piewca *Pieśni o ziemi*. W roku 1846 kiedy w Galicyi chłopstwo uderzyło na dwory pałac i mordując, *Pol* okryty ranami w więzieniu tłumaczył *psalmy Dawida*. Wtedy utracił rękopism obszernego dzieła *Geografii*, który przygotował do druku. Spłonął on w pożarze dworu w którym zamieszkiwał. W roku 1847 objął redakcyę *czasopisma Biblioteki Ossolińskich* i naukowemi pracami wspierał. W lat cztery czy pięć późniéj zajmował katedrę w uniwersytecie Jagiellońskim, ale niedługo nią się cieszył.

Imię *Pola* stało się rozgłośném od roku 1833. Arcydziała jego postawiły go dorazu w świetnej plejadzie poetów z okresu Mickiewicza.

Liczne utwory jego pióra zebrane razem stanowiłyby zbiór kilkunastu tomów, a dzielą się na dwa główne działy: na poezją i prozę. Do pierwszego należą *Pieśni o ziemi, Obrazy z życia i podróży, Mohort rapsod rycerski, Pamiętniki Benedykta Winnickiego, Senatorska zgoda, Sejmik-general w Sądowej Wiszni 1766 roku, Wit-Stwosz, Stryjanka, Pachole hetmańskie, Szejne katarzynka, Z wyprawy wiedeńskiej Rapsod, Pieśni o domu naszym, i Powódź dramat. Do drugiego: prace jego w Geografii i Etnografii, a głównie też Sześć prelekcji o muzyce kościelnej, Pamiętnik do literatury polskiej XIX wieku, Obrazy z życia i natury, i historyczny obszar Polski. Postaramy się o szczególny wykaz bibliograficzny wszystkich prac Pola i w jednym z następnych zeszytów *Biblioteki Warszawskiej* czytelnikom podamy, wraz ze studyum nad niemi i stanowiskiem zgasłego wieszca.*

† Dnia 16 grudnia 1872 r. w Miłosławiu umarł **Seweryn hr. Mielżyński**. Urodzony w roku 1805, liczył rok 67 życia. Strata to wielce bolesna, był to bowiem jeden z najzaśniejszych obywateli w Wielkiem Księztwie Poznańskiem. Bogate mienie używał na najszlachetniejsze cele. Sam wykształcony wysoko artysta, mając wrodzony talent do rysunku i malarstwa, otworzył dom swój gościnny w Miłosławiu dla każdego malarza, dla każdego muzyka, dla każdego pisarza polskiego, który Poznańskie odwiedził. Piękny księgozbiór nabyty od Edwarda Rastawieckiego, wraz ze zbiorem obrazów, rycin i zabytków archeologicznych ofiarował Towarzystwu przyjaciół poznańskiemu. Kiedy pomienione Towarzystwo wypędzone zostało z gmachu zajmowanego przez magistrat poznański, i znajdowało się zachwiane w najsmutniejszym stanie, nie mając gdzie swoich zbiorów pomieścić, ś. p. Seweryn Mielżyński przyszedł mu z pomocą, nabył dom i ofiarował. Tak byt tego Towarzystwa utrwalił.

Dnia 20 grudnia pochowanym został w Miłosławiu. *Gazeta Warszawska* pisze: Obrzęd pogrzebowy odbył się z całą uroczystością i wspaniałością, uroczystością niezwykłą jak niezwykajne było sześćdziesięciokilkoletnie życie tego prawego człowieka, pełnego skromności i prostoty, lecz znakomitego czynami i wielkością serca. Księstwo Poznańskie w smutnym akcie pogrzebowym uczciło męża przodownika społeczeństwa, którego nieboszczyk był jednym z najwznieśliwszych filarów, obywatela jaśniejącego cnotami publicznemi, poświęconego dobru ogólnemu. Co tylko Księstwo

Poznańskie posiada najznakomitszego z mężów nauki, wszystko w mowach nad grobem oddało hołd zasługom człowieka, którego szczególnie w teraźniejszych stosunkach tej prowincyi nikt zastąpić nie zdoła. Kościół miłosławski nie mógł pomieścić wszystkich przybyłych na tę smutną i bolesną uroczystość. Duchowieństwo i świeccy, wieś i miasto, rolnictwo i przemysł, literatura i sztuka, weterani i młodź, wszyscy stawili się u mogiły zmarłego. Wszystkie prawie towarzystwa miały swych reprezentantów, bo też ś. p. Mielżyński wszystkie wspierał rozumną swą działalnością i ofiarą. Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, które osypał dobrodziejstw, reprezentowali prezes tegoż dr. Libelt i sekretarz Feldmanowski, oraz wielu członków; Towarzystwo rolnicze, Towarzystwo oświaty ludowej i inne instytucje reprezentowane były również przez swych prezesów i dyrektorów. Deputacya artystów polskich z Monachium przybyła także w osobie p. Gierymskiego. Liczne obywatelstwo zjechało z Księztwa i Prus Zachodnich. Niestrudzony pracownik na polu naszej literatury J. I. Kraszewski pośpieszył także rzucić grudkę ziemi na grób przyjaciela, z którym go serdeczne łączyły stosunki. Przemawiający przebiegłszy pracowity żywot dostojnego nieboszczyka podnosili każdy w swoim zakresie działalność i wpływ jaki wywierał, czy to w staraniu o podnoszenie i krzewienie oświaty, czy to jako artysta pełny zdolności w pielęgnowaniu i popieraniu swojskiej sztuki, czy jako rolnik gromadzący w cichości materiały i plany do założenia w Miłosławiu akademii rolniczej. Wreszcie serdecznemi słowy przemówił w imieniu obywateli Miłosławia jeden z tamtejszych mieszkańców, wzywając wszystkich do modlitwy za duszę zmarłego, który tyle dobrodziejstw świadczył całemu miastu. Poczém wszyscy udali się do pałacu z pociechą do dostojnej małżonki nieboszczyka, która tak pięknie dzieliła przez cały żywot pracę ze swym małżonkiem i usłyszeli tę budującą odpowiedź: „Chcę i muszę żyć, by spełnić wszystkie myśli i zamiary Seweryna.“ Pamięć takiego człowieka nie zaginie. Ś. p. Mielżyński zszedł bezpotomnie.“

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger

KAWA LITERACKA W WARSZAWIE.

(1829—1830).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dokończenie).

III.

Ksawery Bronikowski. — Maurycy Mochnacki i Kamil brat jego. — Pałac Teppera na Miodowej ulicy. — Fergusson Piotr Tepper bankier i Jan Stefani kompozytor muzyczny. — Bankructwo Teppera. — *Tabaczkowy surdut*. — L. Żukowski i jego rozprawa: „*O pieśniach ludu*.“ Noworocznik A. E. Odyńca „*Melitele*.“ — „*Laska proroka*“ legenda Kazimierza Brodzińskiego. — Poezye I. Bohdana Zaleskiego. — „*Fragment*.“ Józefa Korzeniowskiego. Rękopism K. Brodzińskiego z pieśniami ludu. — Andrzej Kucharski.

Ksawery Bronikowski, który nie dawno wystąpił na pole literatury, jako tłumacz Irwinga „*Przygody człowieka osłabionych nerwów*“ i „*Rozbójników włoskich*“, był przez lat kilka współpracownikiem *Gazety Polskiej* (1825—1828 roku) i wtedy go bliżej poznałem. Następnie gdy nowy organ prassy powstał, objął w nim główną redakcją. Był to *Kuryer Polski*, w zewnętrznej formie przypominający dawnego *Kuryera* z okresu *Sasów*, mając na czele jadącego na koniu pocztyliona z trąbką. Pismo to wkrótce wzięło przewagę nad innymi, i był czas że



liczyło niesłychaną na ową dobę liczbę prenumeratorów, bo pięć tysięcy z górą.

Zbliżyliśmy się więc z sobą, gdy przepędzając, poczawszy od wiosny, całe lato aż do jesieni, w Węgrzech w 1829 i 1830 r. na jego żądanie, w kształcie *listów* spisałem swoje wrażenia z tych podróży i drukowałem w *Kuryerze*.

Lubiłem Bronikowskiego wielce, bo był to człowiek serdeczny, szczerzy i zacny. Dobrego wzrostu, miłego oblicza, do razu zjednywał sobie sympatyą. Mieszkał wówczas na *Daniłowiczowskiej* ulicy, gdzie dziś *Synagoga* żydowska, i zajmował na pierwszym piętrze dwa pokoje. Pierwszy obszerny, stanowił zarazem przedpokój i salon, drugi maleńki z oknem na podwórze był sypialnym i do poufniej gawędki z bliższymi przyjaciółmi.

W tej małej komnacie poznałem lepiej Maurycego Mochnackiego, i zacząłem jako myśliciela więcej jeszcze cenić niż jako pisarza, którego utwory pióra tak mnie zajmowały. Teraz podziwiałem w nim zajmującą a nieraz porywającą wymowę, szeroką przestrzeń jego poglądów, orle myśli. Gorącym słowem rozszerzał on sferę mojej wiedzy, i wskazywał nowe, nieznanne mi obrazy i drogi, nie tylko w rzeczach literackich, ale obok tego, głęboką znajomość spraw krajowych we wszystkich kierunkach. Pomimo jednakże całego uznania, dla jego wyższości, nie mogłem obudzić w sobie dla niego zaufania, jakie miałem dla Bronikowskiego: słuchałem go z wielkim zajęciem w głębokim milczeniu, mając potem na dni kilka dosyć osnowy do dumań.

Bywał tu częstym gościem i brat jego Kamil Mochnacki, ale ten był małomówny i często zapadał w zamyślenie.

W pobliżu mieszkania Bronikowskiego wznosi się dom znany dotąd pod nazwą pierwszego właściciela bankiera *Teppera*. Pałac ten w czasach panowania Stanisława Augusta zbudował sobie *Fergusson Piotr Tepper* najświetniejszy bankier tego okresu. Rozgłos jaki sobie potrafił zjednać i zaufanie nieograniczone, z niczem się już porównać nie dadzą. Wybudował ten pałac z frontem głównym od *Miodowej* ulicy, ale przechodzącym do ulicy *Daniłowiczowskiej* oficynami swymi i wielkimi podwórzami. Jeden z dowcipnych ludzi ówczesnych, zrobił bardzo trafną uwagę, że gmach ten bez smaku artystycznego zbu-

dowany, ma kształt wielkiej skrzyni kassowej: jakoż spojrzawszy nań z dala, potwierdzić i dziś musimy to zdanie. Nie tylko magnaci polscy i szlachta, ale każdy co uciuchał sobie pracą czy oszczędnością mały kapitalik, niósł z radością do Teppera, i był nadzwyczaj szczęśliwym jeżeli go przyjąć raczył. Zbytek i hojność jego, powiększały coraz ustalone w nim zaufanie. Rozpowaiano sobie z podziwem, że żona jego bieliznę swoją do prania posyłała umyślnemi posłańcami do Paryża, bo w Polsce prac jej nie umieją. Będąc właścicielem dóbr *Falent* pod Warszawą, zaprosił na swoje imieniny króla wraz z całym dworem. Przyjmował go, jak sam wyrażał *po wiejsku*, ale stół był zastawiony po królewsku. Na tę uroczystość sprawił nowe srebro stołowe, wyrabiane w same *kłosy*, żeby obchód ten miał więcej charakter sielanki. Było to w roku 1786, a w rok później wyrobił przywilój sobie na wybudowanie nowego kościoła ewangelickiego w Warszawie, który jest ozdobą tego miasta.

Twórcy muzyki do opery Wojciecha Bogusławskiego: *Krakowiacy i Górale, Janowi Stefaniemu*, polecił napisanie dwunastu polonezów, które na sutych wieczorach u niego grane być miały. Gdy Stefani ze swymi kompozycjami przybył do Teppera, ten wprowadził go do swego skarbcu, i z jednej skrzyni napełnionej złotem, wziął obie garście dukatów, i takowe wsypał mu do kapelusza. Przypadkiem czy umyślnie kilka sztuk upadło na posadzkę; Stefani chciał się po nie schylić, lecz Tepper wstrzymał go za ramię mówiąc: „Zostaw to dla biednych.“ A zanurzwszy powtórnie rękę w błyszczącym kruszcu, wydobył jedną jeszcze garść dukatów i sypiąc je do kapelusza, wyrzekł te słowa do Stefaniego: „Nie żałuj mnie, ja nie zbankrutuję.“ Zdarzenie to szeroki miało rozgłos po całym kraju, i każdy wierzył tym słowom bankiera, jakby proroczym. A przecież nie upłynęło lat dziesięciu, gdy zbankrutował najhambniej, a z upadkiem swym zgubił tysiące polskich rodzin. Straty jakie ponieśli wynosiły na owe czasy ogromną summę do 18,000,000 zł. pol. ówczesnych. W *Archiwum Główném* Królestwa jako smutna pamiątka po Tepperze pozostały ogromne księgi rachunkowe, opraciwane w Londynie i strunami szyte!

Pałac ten sprzedany miał kilku właścicielom; znałem bogatego obywatela Zaleskiego, który go kupił: dziś jest własnością

Jana Grabowskiego. W nim-to, wchodząc głównymi wschodami, na pierwszym ich zakręcie są drzwi małe i wejście do pokojów w oficynie: tu była kawiarnia, która miała swoją techniczną nazwę: „*Dziurka*.”

Bronikowski z powodu bliskości swego mieszkania upodobał ją sobie i wraz z przyjaciółmi swemi zaczął w poobiednich godzinach nawiedzać: za jego przykładem schodzili się do niej dwaj bracia Mochnaccy, Józef Bohdan Zaleski, Ludwik Żukowski, Goszczyński, Nabelak, Maurycy Gosławski, Andrzej Kucharski niedawno powróciwszy z uczonej podróży po Słowiańszczyźnie, i kilku młodzieży, związanych stosunkami przyjaźni czy zażyłości z wymienionymi.

Pomiędzy tymi ostatnimi odznaczał się jeden, nieznanym z nazwiska, a któregośmy przezwali *tabaczkowym surdudem* dla tego, że w tej barwie surdut nosił. Średniego wzrostu, krępy, szerokich ramion, miał odrażające oblicze. Przy dużej głowie, z czarnym zarostem policzki były zapadłe, trupiiej bladeści, zeszpecone nie dziobami, ale szramami szerokimi i wypukłymi, z pośród których jaśniały błyszczące czarne oczy. Co wrzało w jego szerokiej piersi nie wiem, ale mogłem miarkować, że w niej się burzy jakieś uczucie, patrząc na te oczy, coraz jakby matowe, niby za mgłą słabo przeglądały, nagle paliły się jak rozżarzone głównie i błyszczały płomiennie. Nie był rozmownym, ale kiedy zaczął mówić i zapalał się więcej, głos jego nabierał dźwięku metalicznego, bardzo wdzięcznego dla ucha. Z mowy jego widoczna rzecz, że miał wysokie wykształcenie, sąd zdrowy o rzeczach, w pojęciach o literaturze, lubo stał stanowczo po romantyków stronie, z zapalem unosił się nad pięknnością poezyi i prozy starożytniej *Hellady*, a znał to wszystko gruntownie. O Mickiewiczu mówił jakby o dobrze znajomym sobie, A. E. Odyńcowi przepowiadał świetną przyszłość na polu poezyi, o *Tomaszu Zanie* wyrażał, że to człowiek, przed którym warto głowy pochylić: obok tego wspominał wiele szczegółów z życia Stanisława Kostki Potockiego, J. U. Niemcewicza, a były tego rodzaju, że tylko wtajemniczonym w tajniki pałacowe, mogły być wiadome. Bronikowski z nim często rozmawiał, ale gdym go zapytał kto jest? odpowiedział mi na to:

— Znam go od lat kilku, nie wiem prawdziwego jego nazwiska, lubo znam wiele dramatycznych scen z jego życia; ale to głowacz we wszystkich przedmiotach; mówi rozumnie i gruntownie.

Wiele lat mógł wtedy liczyć, trudno powiedzieć. Na tém chropawém obliczu, gdy się zamyslił, a często wpadał w zadumę głęboką, wybijało lat 40 i 50. Czasem ból jakiś wewnętrzny go szarpał, bo zwijał się prawie w kłębek na chwilę, krzywił ustami: wtedy starość blizka zgrzybiałości osiadała mu na twarzy.

Ile razy po drugiey godzinie po obiedzie przychodziłem do téj kawiarni, już go znajdowałem siedzącego w ulubionym kąciku, blisko okna i ćmiącego fajkę z długiego pieprzowego cybucha z piórkiem: czytywał gazety i dzienniki, a potem dumał.

Gdy wchodził Bronikowski, zawsze wstawał i podawał mu rękę na znak powitania, czego dla innych nie robił, i teraz razem oczekiwali na gromadkę zwyczajnych gości. Zwykle Żukowski najpierw się pojawiał. Średniego wzrostu, twarzy pociągłej, szatyn, miał cerę lica blado-żółtawą, chorobliwą. W *Meliteli* Noworoczniku A. E. Odyńca na rok 1830, dał: „*Wyjatek z pisma o pieśniach ludu.*“ Rozprawka to słaba, i pokazująca, że patrzył się na te zabytki powierzchownie, a znał je tylko ze stron rodzinnych.

Dwadzieścia lat z górą już ubiegło, kiedy *Zoryan Dołęga Chodakowski*, rozprawę swoją genialną: „*O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem*“ wydrukował. Poruszyła ona zarówno umysły pracującej młodzieży, jak następnie pierwsze pojawienie się Mickiewicza. Od niéj-to zwrócono się do badań etnograficznych nad ludem naszym, i Żukowski pracą swoją był słabym odzwem zwrotu w tym kierunku. Ale rzecz pozornie biorąc, nie zgłębiwszy jéj bynajmniej, ogólnikami ją tylko zagaił; nie patrzył on w lud blisko, nie dzielił jego zabaw i obrzędów, nie czuł jego sercem, ani śledził polotu poetycznego myśli, w jego pieśniach, melodyi i powieściach.

Pomimo tych usterków rozprawa Żukowskiego już dała mu miejsce poczesne pomiędzy literatami ówczesnymi. Wszedł on do kawiarni trzymając w ręku Noworocznik *Melitele*, tylko

co wyszły z pod prassy drukarskiej, ozdobiony popiersiem *Jana Pawła Woronicza*, a ukazując Bronikowskiemu wyrzekł:

— Panie Ksawery! wartoby o tém szeroko napisać w *Kuryerze*: śliczne bo są tu rzeczy.

Redaktor *Kuryera* skłonił głową na znak potwierdzenia jego zdania, gdy odezwał się *tabaczkowy surdut*:

— Uściskałbym tego chuchraka Odyńca, żebym go znał, za jego *Melitele*, ale on po żadnych kawiarniach nie chodzi. Tak wyborowych co do treści noworoczników nie znam w żadnej literaturze zagranicznej. Prawda, że są ozdobniejsze co do wydawnictwa tak pod względem druku, papieru jak rycin: ale co do pokarmu dla ducha jakże ubogie! Ale my po staremu, cudze łachmany bierzemy za piękny *bisior*, a na własne atłasy i aksamity patrzymy jak na kuchenne ścierki. Żeby w Paryżu albo Londynie takie bogactwo doborowych artykułów zgromadzono, jakie daje Odyniec w swojej *Melitele*, a jeszcze to przypstrzyli rycinami, okazałym drukiem i piękną oprawą, setki tysięcy rozbiegłyby się po Europie i ludzie rozdziawialiby gęby: u nas tysiąc egzemplarzy, nie wiem czy się rozejdzie.

— Przeszłoroczne wydanie—odrzekłem—już prawie całym jest wyczerpane.

Tabaczkowy surdut spojrział na mnie, wykrzywił się brzydko, jakby się gniewał, żem mu oponował, i po chwili coraz z rosnącym zapałem mówił dalej:

— I w przeszłoroczném i tegoroczném są precudne rzeczy, a jednak jakże mało o nich mówią, jak się nie umieją rozkoszować tymi kwiatami poezyi! Znacież tę cudną *Legendę Brodzińskiego: Laska proroka?* I zaczął ją deklamować:

„Nieszczęsna Sunamitka ze łzami zaklina
Proroka Elizego, by wskrzesił jój syna;
Lecz prorok pójść rozkazał słudze Gehazemu
Mówiąc: „Opasz tve biodra i pójdz do Sunemu,
„Dotknij ciała tą laską, a jeśliś szczęśliwy,
„Jeśli czujesz i wierzysz, syn jój wstanie żywy.“

Wnet Gehazy z radością w drogę się wyprawił,
Bo dawno pragnął, aby cudami się wskawił.
I gdy mu lud zabiega i ciekawie bada,
„Zmarłego idę wskrzeszać“ dumnie odpowiada.

Więc z miast i włości za nim lud ciśnie się w tłoku,
Wołając: „będziem widzieć cud w nowym proroku.“

Nowy prorok w tryumfie do Sunemu dąży,
A ujrawszy zmarłego, wkoło go okrąży:
Z powagą kładzie laskę na umarłe ciało.
Ale dziecię ni głosu, ni tchu nie wydało;
Dalej przytyka laskę ku ustom, ku czołu,
Odwraca w lewo, w prawo, od wierzchu, od dołu:
Dziecię zimne i martwe, i tak zamiast cudu,
Stanął zawstydzon wpośród szydzącego ludu.

Wkrótce prorok Elizej przybył do Sunemu,
I zmiejsca odejść kazał ludowi wszystkiemu,
I modlił się zamknięty. Wziął dziecię na dłoń,
I w gorącym objęciu tulił przy swém łonie;
Usta do ust i piersi do piersi przyłożył,
I póty tchem swym krzepił, aż w zmarłym duchu ożył.

Niczem sama chęć chwały, nauki i wzory,
Gdzie wewnątrz niema czucia i ducha pokory:
Bez nich wiary, ni cnoty, ni sztuki nie będzie.
Napróżno z dłoni mistrza odbierasz narzędzie,
Byś jak on cuda działał; jeśli ogniem świętym,
Jako on, z woli nieba nie jesteś natchniętym!“

Kiedy deklamował, niesłychana zmiana nastąpiła w jego szkaradnym obliczu. Głos z początku tłumiony, nabierał coraz więcej siły i dźwięku, a niekiedy takiej rzewności, że do głębi wzruszał. Patrzałem nań z podziwieniem: twarz trupiiej bladoci zaczęła się rumienić, a przy swém rozbarwieniu, zniknęły szramy wypukłe, i zdawały się gładkimi jak zwierciadło. Przy ustach zasiadał wdzięk nie znany, a oczy jaśniały jak dwie gwiazdy, raz promieniejące przymgloném światłem, to znowu iskrzące się jak połyski płomienia.

Mówiono mi że *tabaczkowy surdut* był nadzwyczaj lubiony przez kobiety, wskazywano mi nawet zawołane piękności, które się w nim szalenie kochały. Nigdy temu nie chciałem wierzyć: teraz dopiero zrozumiałem i uwierzyłem, że słysząc go mówiącego, szczególnież téż deklamującego, można się było w nim rozkochać.

Żukowski równie ze mną był zachwycony, Bronikowski po chwili wyrzekł:

— Cudne są to rzeczy! Ileż prawdy w téj legendzie i nauki!

Nagle *tabaczkowy surdut*, widząc moje zachwycenie, zwrócił się do mnie i uprzejmie przemówił.

— Wy mówicie że *Melitele* z przeszłego roku już rozkupiono: to dobrze; a wiecie dlaczego? Bo tam się piérwszy raz pojawił *Farys* Mickiewicza, i jego *Czaty*; bo tam Bohdana fantazyja *Rusalki*, bo tam Odyńca ballada *Wesele*: jakież to poezye! Wszyscy nauczyli się ich na pamięć: o *Legendzie* Brodzińskiego nikt nie wspomniał! Mam jednak z wydawcą na pieńku, wydrukował piękną rzecz: „*Mierzb z domu Bończa rytm Aleksandra Grabi z Wzcieklic*“ i pragnąc go przemycić jako osobliwy zabytek dawnéj poezyi polskiéj, w przypisku objaśnia, że wy dobył go z prywatnego rękopismu, gockim charakterem pisanego! Wielu prostaczków temu wierzyło, a przecież wiadomo, że jest to utwór Aleksandra Fredry, który dał nam niedawno małe arcydzieło w dramacie drobnym: „*Obrona Olsztyna*.“ Ale redaktorowi Meliteli daruję tak niewinny podstęp, kto z was zna go bliżej, niech mu w mojm imieniu za te noworoczники podziękuje serdecznie. Znam i ten noworoczник, co trzymacie go w ręku (mówił do Żukowskiego) a kilka dni temu wyszedł: tu króluje po Mickiewiczu nasz ukochany *Bohdan*. Co to za perły poezyi: „*Co mi tam*;“ poranek starego myśliwca: „*Śpiwające Jezioro*.“ „*Czajki*“ i ten przepyszny: „*Trzeci szturm do Stawiszcz*.“ Czytasz i serce drży i krew ci bije żywiéj! To mi poeta, daj mu Boże zdrowie!

Bronikowski na ostatnie słowa, uściśnął rękę *tabaczkowego surduta*, my potwierdziliśmy to zdanie, gdy on zapytał Żukowskiego, wskazując na książkę, którą trzymał wręku:

— A czytałeś Józefa Korzeniowskiego *Fragment*?

— Czytałem—odrzekł—przepyszny utwór!

— Mało powiedzieliście, to zapowiada jeden z najpotężniejszych talentów w literaturze naszéj. Co to za jeden?

— Uczeń Krzemienieckich szkół—odpowiedziałem—rodem z Galicyi, następnie guwerner Zygmunta Krasińskiego.

— Nie pamiętam—mówił dalej—dawno tak głębokiego wrażenia, jakiegom doznał czytając ten *fragment*.

— Może ci co przypomniał z przygód własnego życia—dorzucił jakby od niechcienia Bronikowski—boć to nie tajemnica, żeś mój dobrodziejku miał szczęście do płci pięknej i niejednej obalamucił główkę, a grzeszków może się znajdzie nie mała gromadka na sumieniu.

Na pierwsze słowa, *tabaczkowy surdut* zerwał się z krzesła, zbladł jeszcze więcej jak zwykle; oczy zapłonęły jak pochodnie: jednak po chwili to gwałtowne wzruszenie przeminęło, usiadł napowrót, ale piersiami zaczął robić jakby długim biegiem był zmęczony.

Bronikowski zaczął czytać: *Famiętnik dla płci pięknej*, ja nie odwracałem oczu od naszego deklamatora.

Po paru minutach wziął z rąk Żukowskiego *Melitele*, i na ostatniej jęj karcie zatrzymawszy spojrzenie, już spokojnym głosem mówił:

— Patrzcie! to znowu Bohdana: „*Pielgrzym w obcym kraju.*“ Czyż można tę śliczną dumkę czytać bez głębokiego wzruszenia. I zaczął z cicha:

Nigdyż serce stęsknione,
 Mar minionych nie prześail
 Wiecznież w jedną gdzieś stronę
 Zaczaruje me pieśni?
 Jak świat długi, szeroki,
 Z lutnią moją podróżną
 Zmieniam miejsca, widoki,
 Ale zmieniam napróżno.
 Przez miejsc tyle, chwil tyle . . .
 Każdy dla mnie zakątek,
 Wszystkie, wszystkie tu chwile
 Są bez wrażeń pamiątek.
 I to serce, o dziwo!
 Tak czujące dziś mało:
 Indziej biło tak żywo,
 Tak płomiennie kochało.
 Ach! przed mokrą powieką,
 Darmo dzień mi tu płońiel
 Wzrok, jak pieśni . . daleko,
 Wiecznie w jednej tkwi stronie.

Ku niéj tęsknię z wieczora,
 Z jutrznią tęsknię i płaczę. . .
 Bom pożegnał nie wczora,
 I nie jutro obaczę!

Głos jego lubo cichy gdy czytał, był tak wyraźny, a tak miękki, tak rzewny, tak oddawał malowniczo każdą myśl, każdy zwrot téj dumki, że na nowo nas oczarował. W ostatnich trzech strofkach zdawało się że rozłzawiony, wybuchnie głośnym płaczem; nie, on zamienił się jakby w śpiew słodki niewieści, i wśród téj melodyi szlochał boleścią zranionego serca!

Widziałem, że łzy iskrzące oczy mu zamgliły: zostawił książkę na stole, a sam powstawszy, wyszedł z kawiarni nie żegnając się z nikim, powolnym krokiem.

Gdy Bronikowski zajęty był czytaniem *Pamiętnika*, Żukowski podając mi *Melitele*, zapytał czym czytał jego rozprawę. Nie znałem jéj wówczas, rad więc byłem poznać się z nią bliżej, i pożyczyłem na dni parę; alem właśnie dnia tego był u profesora Brodzińskiego, który podarował mi mały zeszytek pieśni i przysłów ludowych, które spisał dawniej z pamięci. Wiadomo, że po śmierci jego matki, kobiety wiejskie zajmowały się jego wychowaniem, usypiając i bawiąc dziecinę pieśnią ludową. Z tego zbioru szczególnież jedna uderzyła mnie treścią swoją, a głównie téż formą artystyczną. Dobywszy z kieszeni pomieniony zeszyt, zacząłem tę pieśń najpierw mu czytać. Podaję ją tu wiernie, co do słowa z autografu K. Brodzińskiego przepisaną.

„Hej! tam na górze
 Stoją rycerze:
 Stuk, puk, w okieneczko,
 Otwórz, otwórz kochaneczko,
 Pięknéj urody,
 Daj koniom wody.
 — Nie mogę ja wstać,
 Koniom wody dać;
 Bo mi matka zakazała,
 Żebym z wami nie gadała:
 Trzeba jéj się bać.
 — Matki się nie bój,
 Siadaj na koń mój!

— Nie mam trzewiczków,
 Zimno w nóżeczki.
 — Weź-że chusteczki
 I okryj nóżeczki.
 Pojedziemy w obce kraje,
 Gdzie są inne obyczaje,
 Malowany dom.
 Malowany dom,
 Baszty ze wszech stron,
 Mosty, baszty, złote sale,
 Wszystko tam jest tak wspaniale
 Jak u rycerza.

Przez wieś jechali
 Wszyscy patrzali,
 Co to za dziewczyna
 Co za jedyna,
 Z rycerzem jedzie!
 Oj! jedzie, jedzie,
 Na złotym rzedzie,
 Sto par koni za nią,
 Jak za jaką panią,
 Za tą dziewczyną.
 Z wielką paradą,
 Po moście jadą:
 Trąbią po górach trębacze,
 Zwożą swój pani haracze,
 Wierni poddani.
 Przynieśli w dani
 Dary wielkie, dary małe,
 A Jegomość serce stałe
 Przyniósł w ofierze.
 Przyniósł w ofierze:
 A więc rycerze,
 Każdy z nich uradowany,
 Rozpoczęli różne tany
 Naprzód *polskiego*.“¹⁾

— Ależ to ballada zupełna—zawołał z podziwieniem Żukowski—zkażdze Brodziński wygrzebał tę perłę.

1) Taniec polski, polonez.

— Zapytaj go sam, ale on jęj się nauczył we dworku ojcowym, gdy go kołysały wiejskie dziewczuchy, albo niewiasty wiejskie. . .

— Poczekajcie! przypomina mi się lubo nie cała piosenka, z lat moich dziecięcych—przemówił Żukowski—nie pomnę jęj całęj, ale treść jęj dobrze pamiętam i jęj zakończenie. Przylatuje sokół i pada w ogródku przy wonnym kwiecie, a za nim Jaś, wzywa Kasienkę ażeby wyszła do niego. Wychodzi, do siadują wozu, i dziewczę opuszcza dom rodzinny i zasmuconego ojca. W drodze ptak ten ich poprzedza. . .

„Ale zdała widać w polu biały dom!
Upadł sokół pod okienkiem,
I z Kasienką i z Jasienkiem,
Roztoczył ogon!“

— To widzicie—odrzekłem—*sokół* tu daremnie nie jest wspomniany, bo on jest *godłem* prawdziwój miłości i wierności.

— Ach mój Boże! jaka to szkoda—przerwał mi—żem o tém nie wiedział; jakby to mi się przydało do mojęj rozprawy. Ale zkądże o tym wiecie? . .

— Z badania bliskiego ludu—odrzekłem—nie przy zielonym stoliku, lecz przy jego ognisku domowém, w czasie wesel i obchodów rolniczych, patrząc nań z blizka.

W tę chwilę drzwi się otwały, i ukazała się wychudła postać *Andrzeja Kucharskiego* w okularach.

Bronikowski powstał na jego powitanie, i my zbliżyliśmy się do niego.

— Dobrze żeś professor przyszedł donas,—mówił Żukowski,—bo właśnie tu rozmawialiśmy o naszych pięknych pieśniach ludowych. Zapewne professor w swoich uczonych podróżach pokrajach słowiańskich zajmowałeś się niemi, i nie mało nam ich przywiozłeś.

— Bynajmniej—odrzekł z powagą Kucharski—na takie drobiazgi nie użyteczne, nie zwracałem wcale uwagi. Moja rzecz i główne zadanie, *czysta filologia*; rozumiecie panowie: *czysta filologia!*

Umilknałem na chwilę, tak mnie odurzył swoją odpowiedzią. Wiedziałem że to uczony człowiek, przed pięciu laty wy-

dał Stanisława Zaborowskiego *Ortografię polską*, a gdy kosztem władzy edukacyjnej wysłanym został dla zwiedzenia krajów słowiańskich, w celu usposobienia się na profesora przy uniwersytecie Warszawskim języka i piśmiennictwa słowiańskiego, drukował w *Gazecie Polskiej* przez dwa lata: „*Listy z krajów słowiańskich*.” Przybywał do nas z gotową już sławą, która go poprzedziła z zagranicy. Ale gdym nieco ochłonął z pierwszego wrażenia. . .

— A cóż professor robieś—zapytałem tłumiąc gniew w sobie, za obrazę poezji ludowej, którą się tak serdecznie zajmowałem wówczas—co badaeś i z czem do nas wracasz?

Pomimo okularów, nie dojrzał mego wzruszenia Kucharski, bo spokojnie zasiadłszy miejsce *tabaczkowego surduta*, zaczął nam rozpowiadać o swoich zdobyczach naukowych, tak co do filologii, jako téż, co do najdawniejszych pomników prawodawstwa słowiańskiego.

— Rozdziawicie panowie gęby—mówił z wielkiem zadowoleniem—kiedy zobaczycie jakie *rarity* położyłem. Już pracuję nad tém, i spodziewam się że godnie odpowiem, położonemu we mnie zaufaniu władzy edukacyjnej. Com się namozolił i napracował, zanim doszedłem tajemnicy alfabetu runów słowiańskich. Dziś—zawołał z niezwykłym zapałem podnosząc rękę w górę—runy czytam tak gładko jak zwyczajne pismo: ten *sfm* przemówił do mnie wyraźnie. Tak co milczało przez tysiące lat dla tyłu, musi mówić do mnie!

— To professor widzę—rzekłem do niego—taki czarodziej, jak ów grajek ludowy, co jak zagra na czarodziejskiej fujarce, to dawno zmarli powstają z grobów zmartwychwstali, i przemawiają swoim własnym głosem i myślą.

Uśmiechnął się na to Kucharski, tak mu się to porównanie podobało, a dmuchając na filiżankę gorącej czarnej kawy, i zwołna popijając, kiwał głową.

— Szkoda jednakże—po chwili dodałem—że mając tak piękną sposobność nie poświęciłeś ani chwili na zebranie ludowej poezji, nie wpatrywaeś się na żywy ustrój społeczności tak rozmaitych pokoleń słowiańskich...

— O ile miałem wolnego czasu, i to potrosze badałem: przywiozłem zbiór pieśni serbskich *Wuka Stefanowicza Karadzicza*, i *Czelakowskiego*.

— A z naszych nic nie potrafiłeś pan zdobyć? — zapytałem.

Zamyślił się chwilę, a smakując wypitą kawę:

— Dobrze że mi pan przypominasz o tём — odrzekł — kiedy bawiłem we Lwowie, młody seminarzysta od Ś-go Jura, *Głowački*, dał mi zbiorek pieśni ludowych Rusi galicyjskiej: mogę go panu ofiarować, bo mi się to na nic nie przyda, a wiem że zajmujesz się tym przedmiotem.

Byłbym go ucałował, tak mnie tym uradował darem, a chcąc go mieć w ręku co rychléj, zapytałem:

— A kiedyż to otrzymam?

— Jutro bądź pan tutaj, a jak przyjdę na kawę, to przyniosę i oddam.

IV.

Bronikowski.—Dramat z życia „*tabaczkowego surduta*.”—Rękopism *Głowackiego*: Pieśni ludu Galicyjskiego.—Pieśń o *Doboszu* wodzu Opryszków.—Franciszek Karpiński.—„Trzy kukułki.”—Melodye ludowe.—Odwiedziny moje u *Andrzeja Kucharskiego*.—Najdawniejsze pomniki prawodawstwa słowiańskiego.

Rozeszliśmy się wkrótce, a ja gorączką niecierpliwości trawiony, zaraz po obiedzie jak najwcześniej przybyłem do kawiarni. Zdawało mi się że piérwszym będę, tymczasem z niemałym zadziwieniem, znalazłem już Bronikowskiego. Za ledwie mnie ujrzał, powstał żwawiej niż zwykle z kanapki, i biorąc mnie pod rękę zaprowadził do drugiego pokoju.

— A wiesz, żem wczoraj mimowoli kapitalne głupstwo uciał!

— Jakież to mogłeś popełnić? — zapytałem zdziwiony.

— Pamiętasz, jak nasz *deklamator* chwalił *Fragment Korzeniowskiego*, a ja bez żadnej myśli, nieczytając go nawet, tak sobie wybąkałem, że mu może przypomina jakąś przygodę z jego własnego życia. Widziałeś jak mało nie wybuchnął gwałtownie i za ledwo zdołał się poskromić. Kiedym wrócił do domu znalazłem ten tom *Meliteli*, przeczytałem najprzód ten sam

fragment, i aż pochwyciłem się za głowę. A toż to przygoda jakby co do słowa wzięta z jego życia.

— Czy to być może?

— Tak jest—ciągnął dalej Bronikowski—i djabli mnie donieśli żem go dotknął tak boleśnie. Człowiek to już niemłody, jak sam widzisz, ale gorejący jeszcze pomimo lat swoich. Służył on w głośnym pułku *Szwoleżerów*, co się wstawił w Hiszpanii zdobyciem wąwozów *Somo-Sierra*. Młodym wówczas był chłopcem, liczył zaledwie ośmnasty rok życia; w tym szwadronie znalazł przyjaciela, którego ukochał serdecznie; byli oni z sobą nie rozdzielni, jeden za drugiego oddałby z ochotą życie: jakoż wśród przygód wojennych mieli sposobność pokazać dowody téj niezłomnej przyjaźni. Jego przyjaciel słynął z urody pomiędzy wszystkimi współtowarzyszami broni, gdy nasz deklamator, zawsze był brzydki, jak go znasz, lubo nie był takim jak jest dzisiaj, bo go krasił wdzięk młodości i postać nadzwyczaj zgrabna i ruchliwa. Dostał się do niewoli i lat kilka w niej przebył, gdy piękny *Adaś*, wróciwszy do kraju a będąc majątnym, zajął się gospodarstwem, objawszy duże dobro po ojcu swoim i ożenił się wkrótce. Małżonka jego, którą znałem, była w całym znaczeniu tego wyrazu piękną, a przy piękności nadzwyczaj ponętą i powabną. Blondyna, wysokiego wzrostu, zgrabna jak sarna, oczy przesłiczne habrowe, brwi przytém czarne jaskółcze. Usteczka małe, jakby pączek rozkwitającej róży, z pod której ukazywały się drobne jak perły ząbki. Były one rzadsze: a to ma stanowić zalotność w kobiecie, i rzeczywiście pani Adamowa była zalotną. Po dwóch latach pobrania, w porze zimowej zjawia się w ich dworze jakiś podróżny w kozuchu, a była wielka zamieć śniegowa na dworze. Jakież było podziwienie *Adasia*, gdy w przybyłym poznał serdecznego swego przyjaciela, a naszego *deklamatora*. Od téj chwili zamieszkał w ich dworze. Latem państwo Adamowie wyjechali zagranicę, on rządził ich majątkiem uczciwie i sumiennie. Kiedy w grubój jesieni wrócili, i złożył tak rachunki jak pieniądze zebrane z dochodów, *Adaś* był w zachwyceniu, bo nigdy tyle gotowizny nie miał ze swego majątku. Przed świętami Bożego-Narodzenia otrzymał wiadomość o zgonie babki swój żony, i sukcesywi dużej jaka na nią, jako na jedyną wnucz-

kę spadała. Nie było czasu do stracenia, trzeba było co rychlej pospieszyć i objąć w posiadanie tak dobra jak kapitały i ruchomości. Zostawia więc pod opieką swego przyjaciela żonę i gospodarstwo. Było to ciężkie zadanie dla niego: trzeba było bawić i rozrywać młodą a tak piękną panią, wśród długich wieczorów zimowych i w pustym a tak dużym murowanym dworze. Nasz przyjaciel, który górował o wiele nad Adasiem wykształceniem umysłowem i wrodzonymi zdolnościami, a przytém ciągle pracował nad sobą usilnie; znający zarówno literaturę europejską jak i swoją na palcach, miał bogaty zasób wiedzy, ażeby znudzona w tych pustych ścianach, nie potrafił rozerwać i przynieść jój pożądaną zabawę. Jeżeli to szkaradne jego oblicze budziło w niej wstret z początku, powoli zaczęła do niego nawykać: brzydota znikała, a gdy czytał lub deklamował, znajdowała w twarzy jego wdzięk nie dostrzegany dawniej. Przeszedł grudzień i styczeń, męża nie było, pisywał wprawdzie często, ale zawsze swój powrót odwlekał. Daremnie go naglił nasz przyjaciel, ażeby co prędzej ukończył interesa, i rozweselił dom osamotniony: daremnie mu przedstawiał tęsknotę młodej małżonki, a i sama pani Adamowa z nią się przed mężem nie kryła, zaczęła jój się lękać, bo niemasz niebezpieczniejszej chwili w życiu dla młodej i pięknej kobiety zamężnej, gdy poczuje nudotę w domowych ścianach i osamotnienie.

Przeszedł karnawał w domu, pani Klara jako *słomiana wdowa*, przesiedziała w pustym dworze, z przyjacielem swego męża. Widywali się przy obiedzie, zajęty następnie gospodarstwem, przychodził dopiero gdy zmrok zapadł ciemny; ale od téj chwili do dwunastój w nocy przepędzali razem na przyjemnej rozmowie, albo téż jój czytywał wyborowe dzieła. Klara, gdy na kominku płonął ciągle ogień, zasiadała na ulubionej kanapie z robotką wręku, gdy nasz deklamator czytał jój lub opowiadał zajmująco, przygody obozowego życia, albo opisywał kraje, które poznał lepiej i w których bywał. Młoda kobieta z początku zajmowała się robotką, ale po chwili, wypadała jój z ręki, i mimowolnie patrzyła na czytającego lub opowiadającego. Znasz jego oczy błyszczące i teraz żarem, cóż mówić wówczas, gdy pokochał ją całą miłością wrzącego serca, a to uczucie dąwił w piersiach swoich. Już to nasz poczciwy *Łukasz Górni-*

cki powiedział dobrze w swoim *Dworzaniu*, że „*oczy są to wier- ni od serca postowie*“ niemi też tylko mówił. Przed potęgą tego spojrzenia znaleźć nie mogła żadnej tarczy w swęj samotności, i uległa sile magnetycznej.

Zapusty były długie, bo dopiero kończyły się pierwszych dni marca: pani Adamowa z boleścią i ze łzami przypominała sobie zeszłoroczny karnawał, w którym tak się ubawiła i wtańcowała. Teraz, opuszczona, tém większą goryczą miała serce przepełnione wśród téj walki jaką sama z sobą staczała. Listy od męża nadchodziły coraz rzadziej, były coraz krótsze i chłodniejsze. Wreszcie otrzymała od swęj dawnęj przyjaciółki obszerny list, z którego się dowiedziała, jak mąż wesoło się w ich okolicy bawi, jak rej wiedzie pomiędzy hulaszczą młodzieżą, i jak go najpiękniejsze kobiety wzajemnie sobie wydzierają. Trudno opisać boleści biednej kobiety: postanowiła się zemścić, i zemściła.

Skończyły się dni mięsopustne, gdy przed oficyną którą zamieszkiwał nasz *deklamator*, przybył pocztą jakiś niezajomy i doręczył mu list. Widać że był krótkiej treści, bo zaledwie wysiadł z bryczki, po kilku minutach zaraz odjechał. Nikt nie wiedział kto to był, i po co przybył.

Tego dnia, pani Klara jadła obiad samotna, ale jakby widziona smutném przecuciem ciągle łzy miała na oczach. Nasz przyjaciel już się przed nią nie pokazał, a o północy tajemnie dwór opuścił. O mil dwie w oznaczonej dąbrowie, rano o 9-tęj godzinie znalazł już grono dawnych kolegów, a między tymi i *Adasia*, który blade i drżący z gniewu i oburzenia wskazał mu jego i swoich sekundantów i rzekł ponuro:

— Wyzwałem pana! masz więc pierwszy strzał. Strzelaj a celnie, bo ja cię, jak mnie chybisz, zabiję jak psa!

Wiesz jaką on ma brzydką twarz i bladą, w tym dniu był jednak czerwony, widać krew uderzała silnie do serca i głowy. Nie odrzekł ani słowa, pistolet odebrał od swego sekundanta, wymierzył, a z hukiem wystrzału, padł *Adas* trupem ugodzony w samo serce. Była to chwila pełna wzruszenia, gdy morderca przybiegł do trupa, chciał tamować krew jego, okrywał gorącymi pocałunkami blade lica, głowę i ręce zimne. Ale

gdy ujrzał, że nic biédnego Adasia nie powróci do życia, zaryczał straszonym płaczem, dosiadł bryczki i zniknął bez śladu.

— Jakto! — zapytałem — nie powrócił do niej?

— Nie!

— A cóż się stało z nieszczęśliwą wdową?

— W rok i siedem tygodni, gdy zrzuciła grubą żałobę, poszła za swego kuzynka, który za nią szalał wtedy gdy się Adaś miał z nią żenić. Widzisz więc jak wielce podobny *Fragment* Korzeniowskiego, do jego przygody. Jakżeż na nim nie miał wyrzucić potężnego wrażenia, gdy mnie dreszcz przeszedł kiedym odczytał ten ustęp. Wyjął książkę z kieszeni i z cicha mi odczytał:

„W młodości przyjaciela jednego miałem,
Kochał mnie, ja go wzajem i z serca kochałem;
Wszystko mieliśmy wspólne, i z duszą gotową
Byłbym się z nim podzielił i życia połową.
O trwałości przyjaźni, o szczęściu w kochaniu,
Zawsze z sobą i zgodni w uczuciu i zdaniu
Rośliśmy, dojrzewali, jak dwa blizkie drzewa,
Których liściem splecionym jeden wiatr powiewa;
Jedną barwą okryci i zbrojni żelazem
Stanęliśmy w szeregach, i walczyli razem! . . .

Bronikowski przerwał czytanie, i mówił dalej.

— Gdybym to był w pierwój odczytał, nierozważne słowa moje nigdy by z ust nie wyszły; teraz już go prędkonie zobaczę, a może już i nigdy nie spotkam. Szkoda, bo to dzielny współpracownik!

— Jakto, to on i pisze? — zapytałem zdziwiony.

— Pisze i wybornie, bo ma biegłe i wytrawne pióro.

Teraz zrozumiałem stosunek Bronikowskiego z *tabaczkowym surdutem*. W téj właśnie chwili ukazał się Żukowski; ja wzruszony słyszaném opowiadaniem usiadłem w kąciku i piłem czarną kawę, gdy drzwi się otwarły i ukazał się *Kucharski*, dla którego przyszedłem, i oczekiwałem niecierpliwie, ale pod wrażeniem przygody naszego deklamatora zupełnie zapomniałem. *Kucharski* ujrzawszy mnie rzekł:

— Dobrze żeś pan przyszedł, oto masz kajecik Głowackiego pieśni. Proszę do siebie, to ukazę mu com zebrał w podró-

ży i jakie drogocenne zabytki, a przytém zapoznasz się ze zbiorami poezyj ludowych Serbów, Słowaków i Czechów. Mieszkam obok Uniwersytetu.

Podziękowałem mu za dar drogocenny, i spiesznie do domu wróciłem ażeby co rychlój bliżej go poznać. W małym zeszytcie mieściło się dziesięć czy dwanaście pieśni w narzeczu Rusi Galicyjskiej, który dobrze rozumiałem, wyuczywszy się tój *gwary* na Podlasiu i w Hrubieszowskiém zbierając przez dwa lata poprzednio tak piosenki jak podania miejscowe. Na czele była pieśń o *Doboszu*, słynnym wodzu opryszków w Tatrach po za Prutem. Z jakąż roskoszą odczytywałem ją kilkakrotnie, dosnuwając wyobraźnią braki jakie w niej widocznie całość wtku przerywały. Postać tego *Dobosza*, która się dziwnym zbiegiem losu skojarzyła z narodzinami poety *Franciszka Karpińskiego*, olbrzymiała w moich oczach. Wiedziałem, że w chwili, gdy świat ujrzał ten *śpiewak Justyny*, jak go zwano, *Dobosz* na czele swój bandy, napadł na *Pokuciu* dwór starego Karpińskiego. Ten, wczesnie ostrzeżony, ratował się ucieczką, ale żonę musiał porzucić: kazał więc stoły sute zastawić na przyjęcie rozbójników. *Dobosza*, przygotowanie tak gościnne ujęło za serce, kazał swoim *chłopcom* cicho się sprawić, a podjadłszy z nimi, i dawszy dukata w złocie gospodyni co ich przyjmowała, udał się do komnaty pani Karpińskiej ze słowami pokoju, prosząc, iżby na pamiątkę, że w chwili jego nawiedzin chłopiec się urodził, aby nosił jego imię Aleksy. Wystraszona matka przyrzekła to wodzowi opryszków, ale dziecie otrzymało później na chrzcie imię *Franciszka*.

Pieśń ta zaczynała się od tych wierszy:

Oj! po pid haj zełenenki,
Chodyt Dobosz mołodeńki:
Chodyt Dobosz po dołyni,
Po zełenyj murawyni,
Na *Sopiwku* vyhrywaje,
Taj na niżku nalehaje,
Topircem sia podpiraje,
I na chłopci pokłykajel..

W dalszym ciągu, *duma* ta opiewa, jak udał się do swój *lubaszki* żony *Stefana Dźwinki*, i od niego śmiertelnym wystrzałem ugodzony, każe się zanieść na *Czarną górę*, i tam kończy życie, przepowiadając swoim towarzyszom, że po jego zgonie, wszyscy poginą marnie.

Rozkoszując się tą pieśnią, anim pomyślał, że w trzy lata później, zamieszkam po nad Prutem, w pobliżu *Czarnéj hory*, że napawając się uroczym widokiem tych Tatrów, co się piętrzyły w kilka garbów coraz wyższych na czarnoziemiu Pokucia, zarówno jak w okolicach *Stryja*, znajdę żywe i ciepłe jeszcze tradycje śladów krwawych tego opryszka, który długo bezkarnie hobrował po tym kraju.

Po tój pieśni, było kilka lirycznych, a przy końcu obszerniejsza *duma*, która mnie szczególniej uderzyła tak myślą swoją jak i formą poetyczną. Oto jój treść:

„Wyleciał sokoł z lasu na pole, a potem siadł na wysokiej górze, a z góry poleciał na wysoką sosnę. Wiatr powiewa, sosna się buja“: „nie chylaj się sosno, bo mi i tak żaloszno“.

„Uderza strzała z wysokiego nieba, i zabiła syna wdowy! Niema komu, by dał znać matce, żeby przyszła pochować swe dziecko. Aż nadlatują trzy kukułki, wszystkie trzy siwuteńkie, wszystkie trzy smutneńkie. Oho! jedna upadła na końcu główki, druga na końcu nóg, a trzecia upadła na końcu serduszka; na końcu głowy, to stara matka, przy końcu nóg; siostra rodzona, przy końcu serduszka, to jego miła!

Gdzie matka płacze, tam krwawa rzeka, gdzie płacze siostra, tam krwawa krynica: gdzie płacze miła, tam sucha ścieszka!

Bo matka płacze od roku do roku, a siostra płacze, ile razy go wspomni; a miła płacze, ale już myśli o innym kochanku!“

Jakież było moje podziwienie, gdy znalazł zaraz w *Haliczaninie*, tak pobratymczą tój dumie ludowej, pieśń serbską w przekładzie Augusta Bielowskiego. Właśnie odwiedził mnie Żukowski, pokazałem mu najprzód ruską w rękopiśmie, a następnie dałem drugi tom *Haliczanina*, który w głos przeczytał:

Trzy kukułki.

Jan altaną przechadzał się z rana,
 Załamała się pod nim altana;
 Złamał rękę, potłukł sobie barki:
 Udano się do sławnéj lekarki,
 Do mieszkanki borów *Wila* młodéj ¹⁾.
 Lecz ta wielkiéj żądała nagrody,
 Prawéj ręki żądała od matki,
 A od siostry uplot włosów rzadki,
 A od żony sznur pereł maleńki.
 Matka białéj nie żałuje ręki,
 A za matką daje włosy córka;
 Lecz dać nie chce żona pereł sznurka.
 „Nie dam pereł, niech mnie Bóg ukarzel!
 Od ojca odebrałam je w darze“.
 A więc w rany *Wila* rozgniewana,
 Wlała jady, i otruła Jana!
 Trzy kukułki kukają nad strugą:
 Jedna kuka dniem i nocą długą,
 Druga w wieczór i z jutrzemką białą;
 Trzecią kuka i rzadko i mało.
 Ta, co kuka dzień w dzień, co godzina,
 Jest to matka, co straciła syna;
 Ta, co z wschodem i z zachodem słońca,
 Jest to siostra po bracie płacząca:
 Co się kiedyś niekiedyś odziewa,
 Jest to Jana żona czarnobréwał..

Gdy skończył, zadumał się i rzekł do mnie:

— Myśl jedna natchnęła obiedwie piersi, ale jakże odmiennie treścią i formą swoją. Coraz więcej widzę obszary świata ducha ludowego, o którym nawet nie marzyłem: widzę żem moją rozprawkę zawczasie drukował.

— Świat ten—odpowiedziałem—już nam odkrył pierwszy Chodakowski: pamiętajcie o nim, w dalszym ciągu swéj pracy. A jakież to bogactwo melodyi, co za rozmaitość, o której nic nie wiemy, bo tak niedbali jesteśmy, że się o ten skarbiec nie

¹⁾ *Wila*, postać mitologiczna u Serbów. Lud, prócz innych przymiotów, wierzył, że znała się na ziołach i skutecznie leczycyó umiała.

troszczymy. *Szopen* napawa się nimi, i jak mówił do *Magnuszewskiego* że to prawdziwa *Kastalska* krynica dla kompozytora; że te melode wywołają kiedyś, gdy się z nimi zapoznamy dobrze, prawdziwych muzyków narodowych, na okrzyk podziwienia i poklask cudzoziemców. Słyszałem, że słynny skrzypek *Karol Lipiński* przygotowywa melode do bogatego zbioru pieśni polskich i ruskich, które młody literat galicyjski do druku przygotowywa. Zaraz jutro pójdę do *Kucharskiego*, bo muszę mu podziękować, za dar tak piękny, który nieumiał ocenić, i zobaczę co też przywiózł ze swój kilkoletniej podróży.

Nazajutrz około południa wybrałem się do uczonego sławianofila. Mieszkał w trzecim czy czwartym domu za *Uniwersytetem Warszawskim* nn *Krakowskiem Przedmieściu*, na pierwszym piętrze; miał jeden pokój od ulicy, drugi od podwórza który mu służył za bibliotekę i za sypialnię.

Zastałem *Kucharskiego* w wielkim negliżu, ale z *fezem* ponsowym na głowie; zjadał smaczno jakieś owoce, przechadzając się w *mesztach* także ponsowych z wysokimi nosami, po pokoju.

Małom mu w nos nie parsknął śmiechem, patrząc na jego brzydką a pocieszną figurę. Twarz chuda, policzki zapadłe, oblicze bez żadnego wyrazu, oczy zamglone, pokryte okularami; łysy, ręce kościste, nogi jak badyły; czoło do połowy zasłonięne fezem, z ogromnym *fontaziem* spadającym mu na kark: wszystko stanowiło całość tak oryginalną, tak wyborną do karykatury, a tak pocieszną, że całą siłę przywołał w pomoc, żeby utrzymać jaką taką powagę w rozmowie.

Prosił siedzieć, usiadłem; *Kucharski* ciągle smakowicie zjadał i przechadzał się wzdłuż pokoju, jakby chciał swą postać udatną ukazać mi z każdej strony. Wtedy przemknęła mi po głowie myśl: czy też znajdzie on na świecie kobietę, która by zachwycona jego wdziękami, miała odwagę podać mu swą rękę?

Nareszcie, zjadłszy swoją porcję owoców, wilgotne palce wytarł o *fez* wspaniały, i przystąpił do jednej szafki dla pokazania mi swoich naukowych zdobyczy.

Wyjął na stół książki, po nich wydobyl rękopisma. Z pierwszych oprócz pieśni serbskich *Wuka Karadzicza* i *Czelakowskiego*, było wiele dzieł rzadkich do dziejów i literatury czeskiej. Z manuskryptów ukazał w kopii: „*Zakonnik serbski*, cara *Stefana Duszana Silnego* z 1390 roku. Kopia ta była sporządzona starannie, dopiero w r. 1700. Dalej *Prawa ziemi czeskiej*, przepisane ze starego rękopismu, ale przejrane i poprawione gdzie się ukazały błędy, przez *Wacława Hankę* bibliotekarza Narodowego Muzeum w *Pradze*. Do tych ostatnich należał i *Wykład na prawo ziemskie*, *Andrzeja z Duby*.

— Widzisz pan—mówił do mnie—to są ważniejsze rzeczy, jak wasze pieśni gminne. Bawcie się niemi, bo młodzi jesteście, ale to są rzeczy dla poważnych ludzi, którzy się fraszkami bawić nie umieją. Studyuję teraz te najdawniejsze pomniki prawodawstwa słowiańskiego i myślę je wydać, ale w kompletnym zbiorze. Najprzód dam *Prawdę ruską*, bo mój kodeks znacznie się różni co do porządku paragrafów od wydanej przez *Rakowieckiego*, i dodam przekład niemiecki podług dzieła *Eversa*; potem pójdzie: *Zakonnik serbski*, także z niemieckiem tłumaczeniem; dalej: *Prawo ziemi czeskiej*, wraz z wykładem tego prawa przez *Andrzeja z Duby*; dodam: *Postępowanie sądowe w ziemi czeskiej*, a każdy pomnik objaśnię i wzbogacę objaśnieniami krytycznymi, nad którymi, mój panie, trzeba dobrze głowy nasuszyć.

— Kiedyż professor myślisz to wydać?—zapytałem.

— Ho! ho! mój panie—odpowiedział potrząsając głową a z nią i fezem tak silnie, że długi i gruby fontaż, rozbujany uderzył go w oblicze i okulary zrzucił.

Jużem nie mógł się powstrzymać i parsknąłem śmiechem z całej piersi, a gdy professor okulary w fontaż zaplątane wydobrywał, rzekłem dla pokrycia mego wybuchu:

— Wierzę że do tak ogromnej pracy wiele lat potrzeba będzie.

Kucharski zbierał ze stołu rękopisma i książki, ażeby je ułożyć napowrót w szafie, gdym mu w tém pomagał, kiwając głową, ale już ostrożniej; mówił z przerwami:

— To tak, kochany panie!... nie łatwa to rzecz!... to nie spacerować sobie po wsi i zbierać piosenki, bawiąc się z pijanym chłopstwem!

Ukłoniłem mu się z dala, i tak się skończyła pierwsza moja wizyta u niego.

V.

Antoni Malozeski i jego *Marya*.—Krytyka w *Bibliotece Polskiej*.—Bronikowski i *tabaczkowy surdut*.—Pani Klara w Teatrze narodowym.—Franciszek Dmochowski tłumacz *Iliady*.—Franciszek Salezy Dmochowski syn jego.
—Franciszek Kowalski.—Cieszkowski August.

W parę dni, gdym nieco później odwiedził tę kawiarnię, już na schodach zanim drzwi otworzyłem, usłyszałem w niej niezwykle gwar, a wpośród niego kilka głosów więcej podniesionych. Kiedym stanął na progu i spojrzałem, z podziwem zobaczyłem *tabaczkowy surdut*, który do gromadki przed sobą stojącój zawołał:

— *Abos nie słyszał to, kiedy w lisi ogon trąbiono?*

Nie pojąłem znaczenia tych słów; kiedym się zbliżył więcej, ujrzałem zebranych Żukowskiego, Kucharskiego, Gaszyńskiego i Franciszka Kowalskiego, a za nimi siedzącego Bronikowskiego. Żukowski trzymając jakąś książkę z niezwykle rozognieniem mówił:

— Jak to można, o takim arcydziele takie duby smalone prawie i traktować jakby jaką klasyczną fraszkę!

— O co idzie?—z cicha zapytałem Bronikowskiego.

— A to się on gniewa o recenzje *Maryi Malczeskiego*, którą napisał Dmochowski w *Bibliotece Polskiej*, i przyniósł ten tom dzisiaj, bo wczoraj spory o nią toczono. Stare rzeczy odgrzewa. Pięć lat jak Dmochowski to napisał, no prawda nie wyniósł tego utworu pod niebiosy, ale zwrócił nań uwagę i zalety podniósł, lubo zarzuty płonne strasznie porobił. Zawsze dał swoje zdanie z własnego przekonania wypływające. Drudzy o nim nawet nie wspomnieli: dlatego *pan Piotr* zawołał na niego starym myśliwskim przysłowiem: „*abos nie słyszał to, kiedy w lisi ogon trąbiono*“.

Dowiedziałem się wtedy pierwszy raz, że nasz *tabaczkowy surdut* ma imię Piotra.

Kiedy wzrastała wrzawa, a w niej rej wodził Żukowski, *tabaczkowy surdut* powstał, zbliżył się do niego, położył mu rękę na ramieniu, a wlepiwszy swoje czarne, błyszczące oczy, magnetyczną ich siłą zamknął mu usta dorazu. Uważałem, że Żukowski rozczzerwieniony z zapału, chłódł coraz bardziej, aż niedługo szczególna bladeść wybiła na jego schorowane oblicze.

— Mój bratku! teraz kiedy wam zdjął *kurzą ślepotę Maurycy* pokazawszy całą wysoką wartość *Maryi*, to szermujesz śmiało za Malczeskim, a gdy wydał swoją *Maryę*, to nikt nie chciał egzemplarza kupić. Kiedy umarł, kilku nas tylko poszło za trumną, cośmy garstkę ziemi rzucili na martwe zwłoki wielkiego poety. Niedawno to temu, a dziś już nikt nie wie gdzie spoczywa, i ja sam pamiętam tyle tylko, że gdzieś w pobliżu ponurych katakumb. Taka to nagroda na tym świecie, dla geniuszów i wyższych ludzi, co przenoszą o całą głowę głupią gawieź.

Po tych słowach wrócił do swego stolika i usiadł pod oknem.

— A cóż?—zapytałem redaktora Kuryera Polskiego—czy już się na was nie gniewa?

— Chodźmy do drugiego pokoju—szepnął Bronikowski.

— Uważ sobie moje zadziwienie, gdy go nazajutrz zobaczył tu na kawie, siedzącego w swoim zwyczajnym kąciku, spokojnie palącego fajkę i popijającego kawę. Przywitał mnie nawet serdeczniej niż zwykle, a gdym go zaczął przeproszać za nieoględne słówko którego bym nie powiedział przeczytawszy wprzód *Fragment Korzeniowskiego*, podał mi rękę, i odrzekł z uśmiechem szuderskim nieco:

— Dziękuję ci i za to. Wzburzony wybiegłem z kawiarni: zabiegłem do *Królikarni*. Ochłonałem z wrażenia i wspomnień, a ciągnięty jakimś nieprzepatém uczuciem poszedłem do teatru. Grali Fredry, *Cudzoziemszczyznę*: główną rolę przedstawił dobrze Dmuszewski, a starego sługę wybornie *Anczyc*. Siedziałem na parterze, gdy w połowie pierwszego aktu drzwi łoży pierwszego piętra roztwały się z łoskotem, i weszła wystrojona, a zawsze cudnie piękna.....wiesz kto?

— *Klara!*—dodałem mimowolnie.

— Tak! to ona była, z nowym a już trzecim swoim mężem, widać na oko jakimś głupim elegancikiem. Z drugim żyła lat ośm czy dziesięć, z tym już lat kilka: ale Bóg ją skarał, bo nie dozwolił jęj otrzymać dostojnego imienia matki, którego tak gorąco pragnęła zawsze! Za niemi wszedł piękny, dorodny mężczyzna, lat przeszło trzydzieści mający, dla którego byli oboje ze szczególnymi uprzejmościami. Małżonkowie siedzieli na przodzie łoży, on za niemi. Ja ulokowałem się wybornie na prost ich łoży, i od tęg chwili, już nie na scenę, ale na piękną panią patrzałem. Kiedy mąż po teatrze lornetował, uważałem że pani *Klara* często zamieniała wymowne spojrzenia ze swym gościem w łoży: oho! zrozumiałem cały interes. Myślę sobie, w to mi graj; powstałem z ławki, i w antrakcie wlepiłem w nią swoje oczy. Przypadkiem spotkała ich spojrzenie, i zadrżała, a ja w duszy powtarzałem sobie z Mickiewiczem. (I zaczął swym dźwięcznym głosem deklamować:)

Ja nie nie odpowiem,
Tylko na nią cisnę okiem!
Ha! okiem! jadowitęj zmię,
Całe piekło z mych piersi przywołam do oka:
Niech będzie ślepą, martwą jak opoka,
Na wskroś okiem przebiję.
Wgryzę się jak piekielny dym pod jęj powieki,
I w głowie utkwię na wieki.
Będę jęj myśli czyste przez cały dzień brudził
I w nocy ją ze snu budził“.

Od tęg chwili gdy m ją przybił do miejsca nieruchomą pałającym moim wzrokiem, który mówił jęj wyraźnie o naszej miłości: zaczęła blednąć — i wkrótce przed końcem sztuki opuściła łożę. Wybiegłem i ja, stanąłem w podwojach. Pod ręce prowadził ją mąż i gość piękny do którego uśmiechała się wdzięcznie. Nagle ujrzała mnie... krzyknęła i omgłała. To było dosyć dla mojęj zemsty. Tęg nocy spałem wybornie, ale rano stanął mi na myśli biędny *Adaś*; poszedłem do Kapucynów i dałem na mszę żałobną za jego pocziwą duszę. Wiész Ksawery, nie modliłem się nigdy tak szczerze, chyba w czasach

moich studenckich; spłakałem się jak bóbr rzewnemi łzami, ale jakoś mi teraz spadł ciężki kamień z serca i lekko i swobodnie oddycham.

— Dziwny to człowiek!—wyrzekłem zamyślony!

— Tak, dziwny, ale wiele w téj duszy szlachetności; zdolności zaś umysłowe potężne—dodał Bronikowski.

Żukowski nie ustawał w piorunowaniu na lekkomyślną krytykę.

— A dajże już pokój, mój kochany—zawołał Bronikowski: rzecz tę już dawno załatwił Mochnacki podniesieniem znaczenia i wartości *Maryi* w *Gazecie Polskiej*: cała więc sprawa *ad acta*.

— A dajcie pokój—odezwał się pan Piotr—i pocziwemu Dmochowskiemu! Jak to źle że zapominamy zasług przeważnych i pocziwych. Dmochowski dla oświaty krajowej i literatury, więcej zrobił niż ktokolwiek z was, bo rozszerzył koło czytelników polskich książek, i to nie rozpowszechniając brudów, ale podnosząc umysły w krainę piękna. Co zaczął Bruno Kiciński dla prassy peryodycznej, to wytrwale Dmochowski prowadził dalej: wydawnictwo tłumaczeń powieści Walter-Skotta, on pierwszy rozpoczął, i nimi jak i innemi z belletrystyki od roku do roku stwarzał nowych coraz zwolenników duchowej strawy, biorących się do lekkich słodyczy, z których zawsze piękny procent przechodził na strawę cięższą i pożywniejszą dzieł naukowych. Mickiewicz dosyć mu gorącego ukropu wlał za kołnierza, a chociaż mu się odciał i wiele prawd zacnych wypowiedział, pobity z pola uchodzić musiał. Wy zapaleni romantycy, za gorąco rzeczy traktujecie, a ja wam powiem głośno i otwarcie, że starożytne *piękno* w greckiej głównie poezyi zawsze i na wieki zostanie *piękném*. Wrzeszczycie na ojca Dmochowskiego za tłumaczenie *Ilijady*, że przekładał a nie umiał po grecku: fałsz to wierutny! bo lubo nie posiadał go w takim stopniu jak łaciński, ale gładko czytał, dobrze nie tylko rozumiał, ale co więcej czuł wielkiego *Homera*. Z was żaden romantyków na taką olbrzymią pracę się nie porwie, a ja wam zaprawdę powiadam, że jest to wyborny przekład *Ilijady*, i przyjdzie czas gdy uznają wielkie zasługi tłumacza *Homera*. Polska literatura poczeka nie jedno stulecie, nim się drugi taki tłumacz pojawi.

— Ale co tam takie bajki namprawicie: już to rzecz osądzona co do Dmochowskiego w ostatniej Instancji!—odrzekł jeszcze sporem rozgrzany Żukowski.

— Na upór niema lekarstwa—chłodno pan Piotr przemówił—ale ja lepszym sędzią od waszych krytyków lekkomyślnych jestem, bo ja *doskonale* umiem po grecku, znam również i język nowo grecki, a całego Homera przewartowałem od deski do deski mała sto razy. Porównywałem tłumaczenie Dmochowskiego z oryginałem, i lepszego przekładu co do ducha i wierności w obcych literaturach nie znam!

Żukowski na takie *dictum acerbum* umilknął, Gaszyński zwrócił do innego przedmiotu rozmowę, a *tabaczkowy surdut* wstał i do drugiego pokoju poszedł po nową fajkę.

— Powiedźcie mi (z cicha do mnie przemówił Bronikowski), kto to jest ten krępy, a mała co ładniejszy od naszego pana Piotra.

— To *Franciszek Kowalski*, Podolanin, tłumacz Moliera. Musisz przecie znać jego przekład *Skapca* u Glücksberga i pomniejsze komedye. Wziął sobie za główne zadanie całego przepolszczyć *Moliera*: jak tego dokona, i jak mu się uda, przyszłość pokaże, ale dzielnie umie władać językiem, zwroty dawne i przysłowia sypie jak z rękawa, a wiecie że w przekładach komedyi, są to rzeczy niezbędne. Może chcesz się z nim bliżej poznać...

— Najchętniej, bo cenię jego talent—odrzekł Bronikowski.

— Panie Franciszku!—zawołałem, a gdy się zwrócił do nas i zbliżył—to pan Ksawery Bronikowski redaktor Kuryera Polskiego, który chciał was poznać.

Podali sobie ręce przyjaźnie i uścisnęli. Kiedy Kowalski usiadł pomiędzy nami:

— Wczoraj (mówiłem) przyszedł do mnie na fajkę i gawędę, i wiecie jakie gorące życzenie objawił? Oto patrząc na moje firanki u okien, wzdychając smutnie, rzekł do mnie:

— Terazbym niczego nie pragnął, jak tylko żebym firankę miał własną.

— A na cóżby ci się zdał—śmiejąc się odpowiedziałem; ale on z całą powagą odparł:

— Mój drogi! jakbym miał frankę swoją, to ma się rozumieć i swoje okno, a jak swoje okno to i własny pokoić, a w nim własny stolik do pisania, kilka książek, kochanego Moliera i pieprzowy cybuch, to niczym więcej już nie potrzebował. Sprzykrzyła bo mi się włóczęga i bakałarka: teraz ze Szczebrowszyna przybyłem, ale nie chce mi się tam wracać. Najmiliej mi było u *Cieszkowskich*, i zobaczycie że ten mały i słabowity *August*, to wyjdzie na znakomitego człowieka, aby mu Bóg dał zdrowie i życie. Co to za bujne a rozumne nieraz poloty myśli, a jak on je umie to wyrażać! Przyznam się panom, że nieraz w zadumienie mnie wprawiał, i ja jako pan guwerner drobnego Augustka, w duchu się przed nim korzyłem. Trochę się gniewałem na niego, że nie jest przyjacielem tak gorącym wierszy jak ja!

— Ba!—odrzekłem—rozumny człowiek! On lubi poezye a nie wiersze, a to wielka różnica.

Pan Franciszek się nieco skrzywił, czując do siebie przymówkę, ale nic nie odrzekł, zasłoniwszy oblicze swoje gestym dymem fajki.

VI.

Ferdynand Chotomski.—Jego album widoków.—Antoni Górecki.—*Pojedynek*, poemat Chotomskiego.—Edward książę Lubomirski.—Enejda trawestowana.—*Kawa pod Kopciuszkiem*.—Kodeks dla „*Towarzystwa nabycia sławy i stopni w możnowładztwie literackim*”.—przedmowa do Enejdy trawestowanej, i początek drugiej księgi.—Książd Andraszek.—Jan Kazimierz Ordyniec.—*Dziennik Warszawski i Dekameron*.—Ludwik Osiański jako Mikołaj Rej z Nagłowic.—Franciszek Grzymała.—Maurycy Gosławski.—*Duma o Nyczaju*.—*Miłość*.—Żukowski.—Józef Bohdan Zaleski.—*Zołotaja boroda*.—*Pieśń kozacza*.—*Roman z Koszary*.—*Tabaczkowy surdut*.—Ognista miotła.

W niedzielę i święta bywali tu rzadsi goście, którzy z nami codziennie nie odwiedzali tej kawiarni. Przedewszystkiem wspomnę tu o *Ferdynandzie Chotomskim*, poecie humorystycznym, i współpracowniku Brunona Kicińskiego. Piękny to był mężczyzna, i wykształcony. Służył w pułku gwardyi grenadyerów pieszych, i pomiędzy bardzo dorodnymi oficerami, odznaczał się szczególniej. Wysokiego wzrostu, udatnej i składnej postaci, oblicze więcej pociągłe, męskie, regular-

nych rysów, zawsze wesołe i uśmiechnięte. Oczy czarne, pełne życia i ognia. Cała jego postawa była tak okazała i powabna, że każda z kobiet słodko nań spoglądała. Nie dziw, że miał wielkie pomiędzy niemi powodzenie. Jako porucznik gwardyi, wziął dymisyę w stopniu kapitana, i długo wojażował po Europie. Oprócz talentu do *poezyi*, jak wówczas zdolność wysoką do pisania wierszy nazywano, rysował bardzo pięknie i celował w akwarellach. Głównie zaś poświęcał się zbieraniu widoków, bo był pejzażysta nie pospolicity. Zbiór złożony z kilkuset widoków zamków, pałaców i ruin historycznych ofiarował do Puław.

Kiedy w roku 1818 Bruno Kiciński założył czasopismo literackie: „*Tygodnik polski i Zagraniczny*,” Antoni Górecki poeta w całym znaczeniu tego słowa, który świeżym myśлом umiał dawać nowy przystrój godowy, po mistrzowsku władając dzielnym językiem, podparł go silnie. Najwięcej tworzył przy robotach fortecznych Modlina, gdzie był wykomenderowany do ich dozoru. Siedząc na usypiskach wysokich wałów, spoglądając to na niebieskie wody *Narwi*, to na białe *Wisły*, które tu się łączą razem, przy ich szmerze rzucał na papier swe wrażenia i uczucia. Przy nim stanął zaraz Chotomski, co nie mało też dopomagał utworami swojego pióra. Wielki mu w świecie literackim i w salonach warszawskich zrobił rozgłos w czterech pieśniach: *pojedynek*—*poema* jak go sam nazwał *komiczne*, bo wyrazu *humor* nie znaliśmy jeszcze wówczas, i dla nikogo nie byłyby zrozumiały. Treścią jego jak pomnę był spór *szambelana* z pułkownikiem o wyższość blondynek nad brunetkami, wyzwanie na pistolety, wyjazd do *Jeziorny*, jako do miejsca uprzywilejowanego na tego rodzaju walkę; dwa strzały na szczęście *spudłowane*, w ostatku zgoda serdeczna i podanie sobie ręki.

Takie to drobne pobudki i spory bywały powodem do pojedynków, nieraz smutno i boleśnie zakończonych. W pojedynku zginął przed kilku właśnie laty powszechnie żalowany w samym kwiecie wieku książę *Edward Lubomirski* założyciel *Instytutu Oftalmicznego* w Warszawie. Znakomity był to talent, a jego pismami zachwycałem się będąc jeszcze studentem. *Dumy rycerskie* podnosiły i zagrzewały ducha, przywiedzeniem wspomnień przeszłości. *Obraz Wiednia* był pierwszym dziełem z głębi-

szym poglądem, a porywał nas jego przekład *Fausta*, tragedyi w pięciu aktach *Klingemana*. Kiedy padł ugodzony kulą śmiertelnie w dwudziestym siódmym roku życia, w kilka lat po jego zgonie Edward Raczyński wydał jego: *Rys statystyczny i polityczny Anglii*. Spór poszedł o drobnostkę. Lubomirski na *balu ubogich* w salach ratusza naszego miasta, rozpoczął w pierwszą parę poloneza z sędziwą wojewodziną Gutakowską, która wprowadzona przez salę, prosiła go ażeby spocząć mogła. W tej właśnie chwili oficer gwardyi strzelców konnych *Grocholski* klasnął w ręce *odbijanego*, ażeby z wojewodziną stanąć w pierwszej parze; Lubomirski przeprosił go i zawrócił do krzesła dla niej przeznaczonego. *Grocholski* uważał to za *afront* zrobiony sobie i to w obec tak licznej publiczności, wyzwał więc na pojedynek. Lubomirski strzelał celnie, ale nakomendę sekundantów, gdy razem mieli strzelać do siebie, zmierzył przeciwnikowi w nogi i trafił, ten zaś ugodził go w bok a kula głęboko zagrzezła. Wieść o tym pojedynku żywo poruszyła nasze miasto, Lubomirski po kilku dniach męczarni skonał. Wszyscy czuli niepowetowaną stratę w młodym a tak zacnym i takich zdolności poległym. Opinia publiczna ostro się wyraziła na tego, co pasmo dni Lubomirskiego skrócił, ale i on biedak nie miał spokoju we własném sumieniu.

Chotomski uderzył śmiało na ten zwyczaj rozpowszechniony wówczas pomiędzy młodzieżą naszą, a pokryty powagą *rycerskiego prawa* wyzywania się o byle drobnostkę na pojedynek. Dawniej mniej były śmiertelne, gdy spotykano się na pałasze, kiedy nawet i wtedy wymawiano jeszcze cięcia w głowę i pchnięcie *sztylem* w brzuch i piersi, czego pilnie sekundanci strzegli. Teraz szable zastąpiły pistolety, i pojedynki bywały nieraz prostém morderstwem, w których zęczność i zimna krew miały wielką przewagę.

Chotomski poema swoje komiczne napisał strofami na wzór *Krasickiego*, z niego pojedyncze ustępy umieliśmy na pamięć, w których piękna i zacna myśl jaśniała. W te bowiem czasy mało dzieł wychodziło, to też każde kilkakrotnie się czytało, a z upodobańszych robiły się wyciągi lub uczono się na pamięć. Równocześnie z tym *pojedynkiem* rozpoczął trawestowanie *Enejdy Wirgiliusza* i zdaje mi się początek *pierwszej księgi*,

w tymże Tygodniku Kicińskiego wydrukował. Był on przed kilku laty *inspektorem szkół* w Kielcach, gdzie go, przyszedłszy pieszo do tego grodu, przy zbieraniu pieśni i podań ludowych bliżej poznałem. Już był żonaty pracował ciągle, a co mnie dziwiło, że palił dużo i zażywał niemniej tabakę. Tu gdy ciężką chorobą był złożony, doznałem od tego zacnego człowieka prawdziwie przyjacielskiej pomocy. Teraz od paru lat pełniąc też same obowiązki, zamieszkał w Warszawie i właśnie tylko co wydał w jednym czy w dwóch zeszytach: „*Opis ptaków Królestwa Polskiego*“ do których tak tekst jak i ryciny sam wykonał na kamieniu litograficznym.

Całe nasze kółko zebrane radośnie powitało pana *Ferdynanda*. Posadziliśmy go na najwygodniejszym, choć starym i nieco obszarpanym fotelu.

— Rzadki z was tu gość!—rzekłem do niego.

— Prawda! prawda! proszę fajki!—zawołał. Pamiętam (mówił ze zwykłym sobie uśmiechem) kiedy kawiarnia w Warszawie była *rarogiem*. Pierwsza jaka się zjawiła tu była za *Saskim ogrodem Majerhafera*, któremu przy końcu panowania August III mały plac darował. Wdowę jego starowinę znałem, znał ją i Kiciński. Skromna to była kawiarnia, dwie małe i nikczemne izdebki, ale że były jedyne w swoim rodzaju nie zbywało na odwiedzających. W kilkanaście lat potem wstawiły się dwie porządniejsze kawy: *Nejbertowej*, w domu przy drodze do *Łazienek królewskich* i *Kolsonowej* przy *Wolskich rogatkach*. Ale rzeczą wcale nową była *kawa pod Kopciuszkiem*, bo to kawiarnia literacka, zawsze pełna, jako wśrodku miasta położona. Miała w niej uorganizowane towarzystwa grających, ale poważne grono stanowiło czytających i rozprawiających. Bywało w niej wielu takich zwolenników kawy, że mogłeś ich uważać jako niezbędne sprzęty domowe; o którejkolwiek godzinie pod *Kopciuszką* zajrzałeś, od ósmej z rana do dziewiątej w wieczór, zawsze ich znalazłeś na wybranych stale miejscach, które uważali już za swoje dziedzictwo. Aż żeby tam był zajrzał jaki malarz z ołówkiem *Orłowskiego*, jakizby bogaty zbiór zgromadził karykatur i typowych figur, które coraz więcej znikają. Wiecie o poważnym towarzystwie *Łobu*, co berło krytyki teatralnej dzierżyli w swém ręku, owoż tu znajdo-

wałem i popleczników ich i przeciwników, co ostre, pełne zapалу staczali walki. Pamiętam że mało do załebków nie przyszło o tłumaczenie *Mahometa* Woltera. *Isowie* chwalili i ich stronicy, przeciwny obóz zarzucał niewierność oryginałowi. Ale nie zapomnę jak na jedno zebranie liczniejsze przyniósł jakiś dowcipniś projekt ustawy dla towarzystwa, którego celem ma być „*nabycie sławy i stopni w możnowładztwie literackiem.*“ Nie zapomnę (mówił podnosząc głos pan Ferdynand i puszczając gęste kłęby dymu z fajki) nigdy, jak autor tego projektu oddawszy czołobitność zgromadzeniu, przemówił deklamacyjnym jakby z kazalnicy głosem:

— O wy! którym najwyższe przeznaczenie dozwoliło wejść na stopień uprzywilejowanych uczonych, pomnijcie na to, że w was jedynie polega skład prawdziwego światła! Wy możecie je podług woli w cudzych mózgach wzniecać lub gasić. Wasze technienie może i niemą bryłę ogniem geniuszu ożywić, a geniusz w proch obrócić. Wy wiecie wszystko co jest, co było, co będzie. Starajcie się zachować to monopolium rozumu, które wam lata zasług zdobyły. Zatrzymajcie i zostawcie je jako najświętsze dziedzictwo potomnym, których z grona światowych wybrać racycie. Niech zawsze hasłem waszém będzie : „*Nul n'aura de l'esprit que nous et nos amis.*“

„Niech nie poświadczym nie będzie wolno bezkarnie mieć talenta i starać się o wyższą doskonałość. Tym tylko pozwólcie używać rozumu, którzy was na kłęczkach zebrać o to będą, którzy przysięgną zachowywać we wszystkim przepisy wasze, których jedynym zamiarem będzie zarabiać na korzyść waszą.“

Osiński na te słowa zmarszczył się i jakoś mu kawa choć zawsze wyborna, mniej smakowała; Żółkowski tak poważną minę nastroił, że Brodziński brał się za boki, a my wszyscy mało ze śmiechu nie popękali. Po przerwie znowu zaczął deklamować nasz projekcista:

„Wiadomo światu że dla dobra i spokojności powszechnéj, najlepsza forma rządu jest, gdy jeden stan wybranych rządzi drugimi. Z tego to powodu kasujemy rzeczpospolitę literacką. Odtąd władza w państwie naukowém w naszym gronie spoczywać będzie. Ażeby zaś zapewnić tę przewagę, składam wam już gotowy *kodeks literacki.*“

Nagle Chotomski urwał.

— Może was znudziłem?—zapytał.

— Ale nie! prosimy dalej! dalej! kończ rzecz swoją—za-
woaliśmy zgodnym chórem.

—Owóż macie główne tego prawa artykuły!—i zaczął na pal-
cach wyliczać: *Po pierwsze. Przedawnienie (praescriptio)* czyli
sposób utrzymywania się bez zasług na stopniu literata. Kto
posiada ten sekret, kto umie łudząc publiczność obietnicami
złotych gór, kto danemi wyjątkami uczyni nadzieję wielkiego
dzieła, nie myśląc wcale o pisaniu jego: taki ma prawo żądać
przypuszczenia do naszego grona. Prózno by jaki śmiałek
chciał mu zaprzeczać stopnia literata. Dość jest uchodzić za
uczonego aby być uczonym.

Powtórę. Dedykowanie dzieł swoich. Ktoby się odważył
zganąć rzecz któremu z nas poświęconą i naszém zaszczyconą
imieniem, na takiego przeznacza się kara, jak za naruszenie
pieczęci rządowej.

Po trzecie. Ofiarowanie (donatio) pisma swego na jaki
chwalebny instytut. Pisarz dzieło swoje tak poświęcający,
choćby był najmierniejszym, stawia się pod tarczą *moralności*
i zganionym być nie może.

Po czwarte. Kupno i sprzedaż (emptio et venditio). To
rozumić się ma dwojako: albo kupuje się cudze dzieło i udaje
za swoje, albo kupuje się cudza pochwała, a to albo wzajemnoś-
cią, albo monetą kurs w kraju mającą.

Po piąte. Zapis (testamentum) to jest przez pośmiertne
dopiero wydanie dzieła swego i zlecenie wydania jego jakiemu
znanemu w literaturze mężowi, którego imie solidarnie wtedy
za dobroć dzieła odpowiada.

Po szóste. Usus fructus użyteczne dzieł czytanie. Ten
sposób dzieli się na *szczególny (singularis)*, gdy autor z wielu
dzieł jedno swoje skleci i na *powszechny (universalis)*, gdy ogólnie
cudze dzieło uda za swoje.“

Ogólny poklask był podzięką za ten kodeks i zarazem zgodą
na jego przyjęcie. Kiedym się obejrzał, krzesło Osińskiego by-
ło próżne: wyniósł się cichaczem; Dmochowski z Lisieckim
chichotali na boku, a Żółkowski oświadczył, że z góry podpisuje
ten kodeks.

— Kto to był, co to prawo wymyślił?—zapytał Żukowski.

— Nie wiem—z uśmiechem odrzekł Chotomski.

— Kto autorem? kto autorem?—pytają mnie razem Bronikowski i Gaszyński.

— A któż inny jak sam Chotomski, któżby zapamiętał tak dobrze wszystkie szczegóły?

— To pan majster jest dobry, kiedy na takie zdobywasz się majstersztyki?—dorzucił Kowalski.

— To nie ja! to nie ja!—mówił Chotomski, ale na obliczu jego malowało się wewnętrzne zadowolenie.

— Albo to prawda—rzekłem do niego—trąb w kułak i mów wiwat!

— Jakże tam idzie Enejda trawestowana? —pyta Gaszyński—który w *Jawajdzie* współzawodniczył z poematami komicznymi Chotomskiego. Ta jednak wielka pomiędzy nimi była różnica, że gdy pierwszy wyszydzał znaną osobistość, drugi dotykał tylko ogólnych grzechów społeczności, a figury nieznanne wprowadzał do swego dramaciku, bo te były niezbędne.

— Enejda moja?—odrzekł Chotomski—już prawie skończona.

— Czekamy na nią z upragnieniem!—zawołał Kowalski.

Nagle od okna zabrzmiał głos nam dobrze znany *tabaczkowego surduta*:

— Kpijcie sobie z Enejdy Wirgiliusza, on sam nie wiele ją cenił, kiedy przed śmiercią chciał spalić. Ale wara! od starych Greków! Mieszczuchy rzymskie, boć przecie wiecie że narodu rzymskiego nie było na świecie, siłą pięści i rozboju jak za naszych czasów Krzyżacy, wytworzyli państwo i zostali *małpami* podbitej Grecyi. Zaprawdę powiadam wam, że dziesięć razy można trawestować czyli po polsku *przenicować* Enejdę, ale zjesz dyabła, jeżeli chociaż tak grzeszną myślą dotkniesz majestatycznego Homera. To posągowa postać, do którego stóp nie doleci żadna strzała szyderstwa!

To wymówiwszy powstał i opuścił kawiarnię.

Chotomski który już trzecią czy czwartą fajkę wykurzył, zwracając się do mnie, do Kowalskiego i Gaszyńskiego—rzekł wtedy:

— Chodźcie do drugiego pokoju, to wam przeczytam do Enejdy moją przedmowę, którą wczoraj napisałem.

Poszliśmy za nim wszyscy, a on stanąwszy przy oknie w głos zaczął:

„Oto macie Eneasza!
Miał to być rycerz nie lada,
Do miłostek i pałasza,
Jak sam o sobie powiada.
Ptaka można poznać z pierza,
Człeka dworskiego z kontusza,
A zaś naszego rycerza,
Że był sobie *dobra dusza!*
Losy go ścigały srogie,
A było to z jego winy,
Bo laźł zawsze ludziom w drogę,
Obce zwiedzając krainy.
Bądź co bądź! dawnemi laty
Zyskał sobie dobre imie,
I umarł bardzo bogaty,
Pono w *Latium* czy też w Rzymie.
A przytém, moi panowie,
Kto dzieje jego przeczyta,
Niechaj mu służy na zdrowiel
To życzy autor i kwita!“

Poklasnęliśmy mu wszyscy, a Chotomski kiwał głową z uśmiechem, zadowolony na wszystkie strony.

— Kochany panie Ferdynandzie!—rzekłem do niego—czy niemacie, albo czy nie pamiętacie początku księgi drugiej *Enejdy*. To tak ulubiona była dla naszego u Pijarów profesora księdza Andraszka...

— Tęgi filolog!—przemówił Kowalski—znam jego wydanie krytyczne pieśni naszego *Sarbiewskiego*. Słyszałem że pracuje nad gramatyką języka łacińskiego.

— Nietylko tęgi filolog, ale zacny, poczciwy i ukochany professor!—dodałem. Bywało krzyk i wrzawa w klassie, ale na głos „*idzie ksiądz Andraszek!*“ wszystko już było na swoim miejscu, cicho, jakby makiem zasiał. Nasz professor wiecie jaki otyły, chociaż dobrego wzrostu przychodzi zawsze zadyszany, siada na katedrze i oddycha chwilę. Na jego obliczu tłustém,

czerwoném, wyraz dobroci i łagodności rozlany; zażywa raz, drugi, tabakę i zaczyna lekcya. Uczyliśmy się téj drugiej księgi Enejdy na pamięć, a com się namęczył, zanim się nauczyłem skandować tak jak chciał ksiądz Andraszek, zacząwszy od tych dwóch pierwszych wierszy rozpoczynających tę księgę:

*Conticuere omnes, intentique ora tenebant,
Inde toro, pater Aeneas, sic orsus ab alto!*

— Otóż posłuchajcie, jeżeli chcecie mego tłumaczenia— przemówił Chotomski.

— Prosimy! prosimy.

Zaczął przeto deklamować z pamięci.

Naraz umilkli wszyscy rozdziawiwszy gęby,
A Enej z góry *altem* rzekł do nich przez zęby:

„Infantko!

(Bo jest w oryginale *Infandum*).

choć może na śmierć się zapłaczę,

Jak mi każesz, jak zagrasz, tak ci i zaskaczę!

I powiem jak przez smutny i srogi *certamen*,
Greki nieszczęsnej Troi, uczynili *amen!*

Widząc że źle bój idzie, co nas w końcu czeka,

Byłem tam i na wszystko patrzałem z daleka.

Mirmidony, Dolopy, Ulisa żołnierze,

I wam choć twardej duszy, na szloch się zbierze!

Już téż i noc wilgotna przerzadzała cienie;

Gwiazdy jak po kąpielu, morzyło uspienie,

(Tylko proszę nie uciąć drzymki za ich śladem,

Gdy jak z katedry Troi zajmę się wykładem).

Okropne to wspomnienie! aż się serce kraje;

Zacznę, ale nim zacznę, jak ongi *danaje*,

Skroili nam porządnie, kapoty na fraczki,

Za pozwoleniem pani, zażyję tabaczki;

Albanka myśl ożywia i koncepta tworzy,

Jak nieraz doświadczałem i twierdzą doktorzy,

Co byli wzwyczajeni zażywać tabakę,

Że nawet i choroby leczy wielorakie,

Ale wróćmy do rzeczy! Widząc Grek uparty,

Że wziąć *Ilium* nie fraszka, ani żadne żarty;

Za dyabelską poradą Jowiszowej córy,

Wystawili z jedliny szkapę nakształt góry.“

I dalej po swojemu przerobiwszy wymowny obraz dramatyczny upadku Troi, już był w większej połowie téj księgi, gdy

się drzwi roztwarły i weszło kilka nieznanomych postaci do kawiarni, a za nimi mały i nieco pękaty poczciwy *Jan Kazimierz Ordyniec* redaktor *Dziennika Warszawskiego*. Chotomski przerwał swoją deklamację i wraz z nami przesunął się na powitanie przybyłego, którego wszyscyśmy lubili wielce.

— Cóż, panie Kazimierzu?—zapytałem—czy nie myślicie o wskrzeszeniu poważnego waszego *Dziennika*, jak to mieliście na myśli?

— Trudna, mój kochany, sprawa—odrzekł Ordyniec—miałem wszystkiego 162 prenumeratorów w przeszłym roku, to nie wystarczało na najskromniejsze wydawnictwo, musiałem *Dziennik* zamknąć a i mój *Dekameron* co go zastąpił ledwo dycha także. Widzę tu kilku współpracowników *Dziennika* i korzystam, ażeby wam szczerze i serdecznie podziękować za pomoc jakąście mi zawsze chętnie dawali, tak przyjacielsko i bezinteresownie, bo wam nigdy ani grosika złamanego nie płaciłem i honorowałem tylko egzemplarzem.—Dziękuję tobie najprzód (mówił rozrzuwiony i zwracając się do mnie ściskając dłoń moją), tyś najdawniejszy i najhojniejszy współpracownik *Dziennika*, potem tobie panie *Ferdynandzie* i tobie panie *Franciszku*. I zwrócony do Chotomskiego i Kowalskiego podał im ręce do uściśnienia.

Ta scena skwasiła nam nieco dobry humor. Zbliżyłem się do niego i z cicha szepnąłem:

— Czy nie znasz Gaszyńskiego?

— Nie znam.

— A to was zapoznam bliżej, to poczciwy chłopak. Konstanty!—zawołałem dobitnie—morderco *Dekameron*a, zbliż się i uderz czołem przed jego redaktorem! On w tenczas był redaktorem, kiedy ty jak *Mórawski* pisze:

„Jeszcześ był w jajku
Mały hultajku.“

Roześmiał się poważny Ordyniec, a Gaszyński ze szczerą otartością pozdrowił go serdecznie.

Nieznajomi goście opuścili kawiarnię, zostało tylko samo nasze grono przyjaciół i znajomych dobrze. Przenieśliśmy się więc do pierwszego obszerniejszego pokoju i usadowili wygodnie.

— Idąc do was — odezwał się pierwszy Chotomski — spotkałem Osińskiego i uśmiechnąłem się pomimo woli, gdym go sobie wyobraził jak to on musiał wyglądać tak wygolony gładko, przebrany za *Mikołaja Reja z Nagłowic*.

— Co! — zawołałem śmiejąc się głośno — pan professor *literatury porównawczej*, mógłże udawać taką olbrzymią postać. A toć to był chłop jak dąb rosły, głowa jak pudło, a twarz z pół łokcia długa z ogromnie pociągłym nosem i wąsami. Możecie sobie wystawić staturę Reja, kiedy zjadał, jakby cukierek *Lesłowski* przełknął, ćwierć śliwek, geś całą i popił to dwoma garncami piwa napół z drożdżami, to było jego drugie śniadanie. Ale gdzież to udawał i przedrzeźniał Osiński pana *Mikołaja z Nagłowic*?

— Na sutym wieczorze przed czterema czy pięcią laty u hrabiostwa Kostków Potockich na imieniny Niemcewicza. Panowie i panie przybrani w kostiumy stosownie do opisu w jego powieści *Jan z Tęczyna*, przedstawiali jedną scenę, a Osiński wchodzącego poetę jako *Rej z Nagłowic*, wierszem powitalnym przyjmował na progu sali.

— Pięknym to musiał być widok — rzekł *Gaszyński* — szkoda że go nie widział.

— Może już przez całe swe życie nieto, ale nawet choćby coś podobnego nie zobaczysz mój *Konstanty!* — wymówiłem z westchnieniem. Słowa te były jakby prorocze.

W tej dobie na progu we drzwiach kawiarni ukazała się postać jakaś niska, tłustawa i krępa.

— Witamy kochanego pana *Franciszka!* — wyrzekł z uśmiechem zwykłym *Chotomski* podając mu uprzejmie rękę.

— A! szanownego redaktora — i ja zawołałem, poznawszy po pełnej twarzy ospowatej *Franciszka Grzymałę*.

Był to niepospolity publicysta, wielkich zdolności, ale straszny próżniak. Zaczął wydawać w roku 1821 w Warszawie *Sybillę* dwutygodnik polityczno-literacki, następnie *Astree*, której wyszło cztery tomy i parę zeszytów piątego. Prenumeratorem krzyczeli i narzekali na nieregularność wydawnictwa, ale chętnie czytali oba pisma, bo się odznaczały artykułami doborowemi i trzeźwym na rzeczy krajowe poglądem.

Wszyscyśmy prawie dobrze Grzymałę znali, to też rad sobie usiadł pomiędzy nami i prowadził gawędę ¹⁾.

Cisza chwilowa zaległa kawiarnią, gdy niespodzianie drzwi się roztwały: wszedł naprzód *tabaczkowy surdut*, a za nim młody dorodny mężczyzna mogący mieć około lat dwudziestu kilku, pełen życia i ruchliwy! Twarz więcej okrągła, nos ściągły, oczy w podłużnej oprawie, wzrost dobry, włosy bujne. Na obliczu malowała się szczerłość i dobroć, oraz niepospolita intelligencya, ale zarazem jakiś rzewny smutek *Tabaczkowg surdut* wprost go zaprowadził do Bronikowskiego i przedstawił mu.

— To *Mawrycy Gosławski*—wyrzekł krótko i węzłowato.

Widać że o nim z sobą poprzednio mówili, bo Bronikowski powstał i ścisnął dłoń jego życzliwie.

— Kto to? kto to?—zapytał mnie z cicha Chotomski.

— Poeta Gosławski—odpowiedziałem— przed dwoma laty drukował swoje poezye w jednym tomiku w Warszawie...

— A ja poprzednio — dodał Ordyniec — drukowałem w *Dzienniku Warszawskim* piękną jego dumę o *Nyczaju*.

— Pamiętam dobrze jój początek—i zacząłem:

„Stepy, lasy na około,
Na około straszno, ciemno!
Ha! i w duszy nie wesoło,
To i we mnie, co przedemną!“

— Szkoły odbywał w Winnikach—mówił dalej Ordyniec— tam już dał się poznać z pociągu do wierszy, których się jego koledzy uczyli na pamięć. Zdaje mi się że jest rodem z Podola. Wyszedłszy ze szkół skruszył pióro, ale nad *Zbruczem* poznał uroczą piękność i szalenie się rozkochał. Szlachetna ale nieszczęśliwa miłość zrobiła z niego, jak z Karpińskiego i Mickiewicza, poetę. Przed dwoma laty bawił w Warszawie, zapraszany do Wincentego hr. Krasieńskiego był u niego na kilku obiadach, a ujęty gościnném przyjęciem, gdy drukował swój zbiorek poezyi, przypisał mu go. Nie wiele się rozbiegło z tój

¹⁾ Françoiszek Grzymała mieszkał później przez lat wiele w Paryżu, i w czasie oblężenia w 1870 r. tój stolicy, w sędziwych latach z głodu umarł.

edycyi, bo Gosławski całe wydanie spalił potem w obec kilku swoich przyjaciół. Wtedy to poznałem tę zasnę duszę przepelnioną najszlachetniejszymi uczuciami. Często zapadał w melancholijne zadumanie, bo ze swęj miłości nie mógł się wyleczyć jeszcze, a myśl jego przykutą była do *drobnych stopek* zachwycającej dziewicy, jak mi mówił jeden z jego bliższych przyjaciół. W poemacie *Podole*, co wydrukował w owym tomiku w czterech pieśniach, w *drugiej* masz (i zwrócił się do mnie) ze szczegółami opis gminnego wesela na Podolu. Ważne są tam i przypiski.

— Znam dobrze ten tomik—mówiłem do Ordyńca—udało mi się schwytać przed spaleniem egzemplarz i pamiętam ustęp z jego wiersza: *Miłość*.

Bolesne dni moich dzieje,
Stoją w zapłakaném oku!
Widziałem méj młodości olbrzymie nadzieje,
Jak konały przy jęj boku.
Choć otwarta była przepaść,
Ona wiodła! mógłżem nie paść?
Chwile pigkne! chwile lubel!
Wy! których mnie wspomnienie zachwyca i mami,
Niechaj patrząc obecny na waszą zagubę,
Raz jeszcze westchnę nad wami!
Raz jeszcze nim zniszczenia zagarnione falą,
Zaginą obrazy wasze.

Te ognie nie pożyte co mi duszę palą,
Strumieniem łez mych zagaszę.
Napróżno! uniesione bezpowrotną rzeką,
Znikły gdzieś pochłonięte daleko... daleko!
I dusza cierpień nie syta,
Wrywa się za niemi w tamte drogie kraje,
I oko tam przybite, i myśl tam przybita,
Odjąć się ztamtąd nie daje.
I gdy przyjdzie noc wieczna zaniknąć mi powieki,
O! jeszcze będę patrzył na tę lubą stronę,
I ostatnie spojrzenie nad nią zawieszone,
Nad nią, zostanie na wieki!“

W miarę jakim deklamował, z początku z cicha, zapaliwszy się, głos coraz podnosiłem i ostatnie zwrotki tak huknąłem, że się *tabaczkowy surdut*, Bronikowski i Gosławski zwrócili ku

mojej stronie. Dwaj ostatni coś poszeptali z sobą i zaraz Bronikowski przedstawił mi autora *Podola*.

— Słyszałem jakby znajome sobie wiersze—wyrzekł do mnie Gosławski.

— Nieinaczéj mój *Maurycy*—odpowie Ordyniec—bo przecie to twoje własne.

Gosławski w pomroku wieczornym nie spostrzegł dobrze sobie znanego redaktora, to téż powitał go radośnie.

Żukowski który po swéj gorącej rozprawie o krytykę *Maryi Malczeskiego* wyszedł z kawiarni, w téj chwili wbiega napowrót i mówi zmęczonym głosem:

— Zatrzymajcie się bo idzie nasz *Bohdan* i niesie nowy utwór *Padurry*.

— Co to za Padurra?— pyta Gaszyński.—A z pod okna zabrzmiał głos *tabaczkowego surduta*.

— Alboś nie słyszał, to kiedy w lisi ogon trąbiono?

— Mój Konstanty—szepnąłem mu na ucho—nie odezwiże się z tém znowu przy Zaleskim, boby cię miał za *baj-bardzo*. Jaktol ty nie wiesz kto jest Padurra?

— Niewiadomość grzechu nie robi, ale jak Boga kocham nie słyszałem o jego nazwisku!—odpowiedział mi w uniewinnieniu.

— W przedostatnim przecie tomie *Dziennika Warszawskiego*—dodał Ordyniec—drukowałem jego dumkę *Zołotaja Borda*, napisaną na cześć Emira Wacława *Rzewuskiego*, którego u nas *turkiem* nazywano, bo chodził we wschodnim stroju.

— Mylnie tylko—mówiłem do Ordynca—podpisałeś imię Padurry, bo *Józef* to brat najstarszy w ich rodzinie, a pisał ją Tymko. Przypominam sobie téj dumki początek:

„Wzłetiw orł na dubrowi
Po pid sońcem witer hnaty,
Pryszła dumka kozakowi
Staru piśniu zaśpiwaty.“

Ledwem tych słów domówił, gdy na progu kawiarni ukazał się *Józef Bohdan Zaleski*. Nie znałem go dotąd, byłem więc wielce ciekawy ujrzeć go i sprawdzić, czy téż odpowie postacią swoją, mojej wyobraźni o nim. Wyobrażałem go sobie

albowiem średniego wzrostu, smagłego, ale chudego z obliczem bladém, oczy niebieskie wypukłe, lniane włosy, słowem w całości oglądałem urok petyczny, a gdy mówił, jakiś melodyjny głos, jak jego dumki. Można wystawić sobie moje zadziwienie, gdy na głos Żukowskiego, Ordyńca, Bronikowskiego i Gaszyńskiego: *A! pan Bohdan!* zobaczyłem mężczyznę niskiego wzrostu, szatyna z okularami i pulchnego a jak na oko dobrze podpasionego, słowem postać starego klasyka, bo w zmniejszonym formacie przedstawiał Ludwika Osińskiego.

Pocziwy Ordyniec wnet mnie z Zaleskim zapoznał, który zaledwie że się przywitał, zaraz zawołał:

— Chodźcie-no panowie! przeczytam wam nowy utwór naszego kochanego Padurry! Kiedy jakkolwiek czytam jego dumkę, zdaje mi się że znów jestem w chacie ukraińskiego chłopka na stepie, że oddycham balsamiczną wonią co ją wiatr nanosił, że słyszę owe piosenki co mnie do snu kołysały i ten język tak melodyjny, tak śpiewny! Ordyniec zaczął na ton właściwej melodii deklamować:

„Hej kozacza, w bożyj czas!
Wże hołosyt w cerkwi dzwin,
Komu sława myła z was,
Za proklatym na zdohin,
Hej! kozacza, na wraha!
Hurraha! hurraha!

Tutky hory a tam staw,
Chrabryj synu kudy shocz?
Czerrez wodu można wpływ,
Czerrez hory pereskocz!
Dalej dity na wraha,
Hurraha! hurraha!

Zbëraj koniu kopytom,
Chotiaj pina potecze,
Ja zaklaw sia korolom,
Szczu Tataryn nëwticze,
Szczu zjuszyt sia rid wraha,
Hurraha! hurraha!“

A gdy deklamował z niezwykłym zapałem, maleńka postać Ordyńca, w naszych oczach rosła i olbrzymiała.

— Co tu u nas porabia Bohdan i dlaczego tak rzadko go widzieć można?—zapytałem Żukowskiego.

— A bo on—odrzekł—mało ma czasu wolnego, zajmuje się bowiem guwernerką u pułkownika *Szembeka*.

— Ale ma czas—szepnął z cicha stojący za nami Kowalski—odwiedzać panny i rozmarzać ich młodociane serduszka swemi poezjami.

— No! co prawda to nie grzech, bogata panna czytając jego dumy i dumki rozkochała się i może nie długo nasz Bohdan stanie na ślubnym kobiercu ze swą powabną *rusalką*.

Mówił to nam na ucho Żukowski przytłumionym głosem.

Tymczasem Bohdan stanął przy stoliku, my wszyscy otoczyliśmy go wieńcem, a on dobywszy rękopisu zaczął:

„*Roman z Hoszyry.*”

Muszę was objaśnić—mówił—że to jest R. ks. Sanguszko, jeden z bohaterów doby Zygmunta Augusta, który umarł w młodym wieku, bo zaledwie miał 34 lat; poczem dźwięcznym głosem zadeklamował całą *dumą* w oryginalném narzeczu, jak napisał ją Padurra. Pomnę tylko pierwszą strofkę w tém narzeczu, ale treść cała żywo mi się w pamięci wyrzyła.

Poeta zaczynał od opisu nocy.

„Noc była ciemna, a wiatr z pól szerokich z liściem w doliny toczył czarne chmury; niekiedy księżyc z pod niebios wysokich liczył nad Bohem hordy tatarskie.

„Z miasta *Winnicy* co niegdyś zamożne po wyspach zamki budowało, a samo na górach jak wianek rozpięte, kwitło sadami i bogactwy, zrobiła puszcze orda bisurmanów. Krew ciepła lała się za kłębami dymu, a lud nieszczęsny dla *Mirzów i Hanów* po *Czarnym Szląsku* aż do Krymu popędziła.

„Jeszcze się toczył po jarach mglisty tuman, kiedy od *Uły*, czarnego rycerza kary koń, jako wiatr puścił się w pola rozkoszne, w pogoń za lotnym Tatarem! Król zwycięzcę przyjmował w murach Lublina, który wprowadził okutych pohańców uwolniwszy z Jassyru mnóstwo zabranych z wsi, miast i dworów szlacheckich niewolnika.“

Chotomski, Gaszyński i Bronikowski nie wszystko zrozumieli, to też i wrażenia jakiegośmy z Ordyńcem i Kowalskim doznawali, nie mieli. Bohdan niektóre strofki z upodobaniem powtarzał dwukrotnie, aby nam w pamięć lepiej wrześcić i nie bawiąc się dłużej, spojrzął na zegarek i z Żukowskim wyszedł a za nimi całe nasze grono.

Zostałem sam, mrok już padł dobry; wniesiono świece. Z niemałym podziwieniem mojem zobaczyłem że siedział przy oknie *tabaczkowy surdut*. Wsparł głowę na rękę, a łzy perliły mu w oczach.

Usiadłem z dala i spoglądałem nań w milczeniu. Po krótkiej chwili zwrócił na mnie oczy i nie wiem co wyczytał z mego oblicza, bo z niezwykłą uprzejmością i głosem pełnym rzewności przemówił:

— Widziałem, żeś każde słowo naszego poety zrozumiał i pojął, to też młody druhu nie dziw się i łzom moim! Nie wstydzę się tej *rosy serca*, jak je pięknie pocziwy nasz lud nazywa. Miałem ojca dzielnego wojaka, siłacza wielkiego; w boju nie znał litości, ale w obec kobiety lub dziecka płakał razem z nimi, a gdy w starym już wieku usłyszał piosnkę żołnierską, albo taką przy której zasypiał w kołysce, to się zalewał jak bóbr rzewnemi łzami. I ja mam jego naturę. Ach! ta дума Padurry poruszyła wiele strun mego serca: te które zadźwięczały boleśnie i jękliwie jak eolska arfa, czytając *Fragment Korzeniowskiego*, już są zerwane na zawsze, niczyja nie dostroi ich ręką. Pamięć o nich upowiłem w gorącą modlitwę w kościele i złożyłem do grobu na wieczny odpoczynek. Dla nich żałobna pieśń *requiem*, bo radosnego *alleluja* nie posłyszają nigdy. Ale inne struny sercowe dumą Padurry zadrgały, one odżywiają zwątlące siły, i martwieją tylko wraz z umarłym ciałem.

Wstał i pierwszy raz podał mi rękę swoją: uściśkałem ją serdecznie. Łzy ciągle błyszczały mu w czarnych oczach.

Wyszedł powolnym krokiem.

Usiadłem, dumałem, jak długo nie wiem. Roztrzeźwił mnie rozgłos z sieni, a następnie gwar kilku nieznajomych wchodzących do kawiarni: opuściłem ją więc co prędzej.

Był to wieczór, wiatery mroźny poświstywał i czasami drobne płatki śniegu nanosił. Na *Miodowej* ulicy był zwyczajny ruch i turkot dorożek i pojazdów.

Zaledwie pomiąłem mury pałacu *Teppera*, przy murze klasztornym spojrziałem w niebo.

Ciemne chmury bałwaniły, ale ponad kościołem Pijarskim horyzont był czysty i jasny, a na tle jego lazuru ukazała się ogromna miotła ognista.

Stałem i z przerażeniem spoglądałem na to zjawisko, gdy w tejże chwili uczułem ciężką rękę na moim ramieniu. Obejrzałem się: stał przy mnie *tabaczkowy surdut*, trzymał mnie za ramię lewą ręką, a prawą wskazując ognistą miotłę, którą zwolna chmura przejrzysta lekko przesłaniała, rzekł do mnie z cicha, głosem drżącym, ale szczególnie miękkim i jakby rozłzawionym; był to ten sam głos jakim deklamował dumkę Bohdana: „*Pielgrzym w obcym kraju.*“

— Bądź zdrow! uściśnij odemnie *Ksawerego*, bo już z nim się nie zobaczę, a gdy daleka przestrzeń nas na długo rozdzieli, wspomnij z czasem na biédnego Piotra.

I po tych słowach zniknął mi z przed oczu!

Warszawa, 4 grudnia
1872 r.

DARWINIZM I POZYTYWIZM

w treści pism naszych.

PRZEZ

A. Tyszyńskiego.

(Dokończenie).

Takie jest przekonanie nasze o tej teorii, która odznaczyła swą oryginalnością epokę badań dzisiejszych i stała się duszą kwestyj naukowych; a zdania nasze o stanowisku i treści pism których napisy przywiedliśmy, mogą być teraz krótkie i jasne.

Traktat pana Pawlickiego *Materyalizm w obec nauki*, jakkolwiek w zasadach, postrzeżeniach i wielu wywodach, jest—jak to i sam autor nie tai—naśladowaniem lub wyjściem z traktatów współczesnych nam pisarzy Paul Janet'a, Lange'go, Emila Caro i innych (głównie dodajmy z pierwszego z tych: *Materialisme Contemporain*), jest jednak w wykładzie ogólnym, kolorze i wielu szczegółach, zupełnie własnym autora. Odznaczony pięknym celem i pięknym piórem, mieści też jak widzieliśmy, wiele uwag i wiele myśli trafnych; ale walka autora z przeciwnikami przez to, zdaniem naszym, staje się nieraz słabą i bezskuteczną, iż do zarzutów słusznych dołącza też i niesłuszne, a do uwag dodatnich i trafnych nieraz mylne i wsteczne. P. Pawl. np. w traktacie swoim powstaje nie tylko na takie lub inne wnioski wyprowadzane z uprawy nauk przyrodzonych, ale na samą ich uprawę; nie tylko na mylne niekiedy wyobrażenia o drodze i naturze postępu, lecz na samo istnienie postępu i t. p. Wywody swe czyni jednak tymczasem jawnie w imię religii chrześcijańskiej, i w ten sposób zamiast materyalizmu (jak to było zadaniem pisma) religię tę stawi raczej ujemnie w obec nauki.

Religia chrześcijańska, jak wiadomo, wymaga *uprawy darów*, uprawy mądrości; a sama różność tych darów, różność upodobań, popędów, z jakimi się zjawiają jednostki ludzkie, świadczą o jakimś tajemnym

szyku, o jakichś tajnych celach Stwórcy tych darów. Grzebać je, byłoby to iść na przekór i tego szyku i tych celów. Autor Materyalizmu jednak, jakkolwiek w traktacie swoim opowiada dość wiernie o szczegółach społecznych nam dojsć i wywodów w gałęziach nauk przyrodzonych, ale opowiada o tej treści wszędzie na nutę ironii, jawnie naciąganej ironii. Powodu tego nawet nie rozumiemy. Miałooby to być zdaniem autora z ujmą dla Stwórcy, jeśli docieka się sposób i objaśnia stopień Jego mądrości? Gdyby sfera niebieska tak właśnie się ukształciła jak się domyślał Herschell, ziemia jak Lyell, fauna i flora jak Oken, Darwin i t. p.; Duch Stwórcy który był źródłem tych spraw i tych dziejów, czyliby się stawał mniej mądrym i mniej Wszechmocnym?

Iż postęp jest gruntem rozwoju, wyrazem szyku stworzenia i dziejów ludzkich, o tém sama nawet religia chrześcijańska naucza ze swego punktu;—a najprzód, mówi, było prawo natury, dalej Mojżesza, dalej Ewangeliczne, a to ostatnie ma się stopniowo rozrastać i rozrość w ludzkości jako szeroki krzew z ziarna gorczycznego; kiedy więc autor żartując z idei postępu woła: „Postęp! postęp, i jeszcze raz postęp! wszyscy nadstawiają uszy! czyż to nie komedia?“ tedy właściwie żart ten staje się żartem z samej idei chrześcijańskiej.

Broń ironii i połajania przydatne są nieraz w polemice, jeśli stają w assistencyi dowodów; ale użyte same szkodzą raczej swój sprawie, każąc wnosić iż to ostatnie nie mogły być wynalezione.

Tak np. kiedy autor zaprzeczając twierdzeniom uczonych naturalistów o wieczności materji, odpowiada tylko: iż „żaden uczoney“ tego nie utrzymywał; kiedy wzmiankując o ich twierdzeniach iż postęp rozwoju natury leży tylko w nierozłącznej z nią sile *materyalnej* (ruchu) woła: „szalbierze! szarlatani! i t. p.; kiedy odpowiadając na twierdzenie Büchnera iż „dla naturalisty obojętną są rzeczą religia i moralność, bo idzie mu tylko o naturę“, łaje tylko honor niemiecki i nanowo przytacza zgubne dla społeczności skutki niemoralności, którym Büchner wcale nie przeczył, tedy to wszystko są to tylko połajania a nie dowody.

Wyborną jest uwaga autora i koncentrująca odpowiedź na wszystkie prawie odpierane w traktacie zarzuty, gdy na wzór Paul Janet'a zapytując: cóż jest materja? objaśnia iż jęj nie znamy; i że przeto nie możemy dogmatycznie niczego twierdzić o tém czego nie znamy. Trafne są równie uwagi o odrębności zupełnej wielu pojęć duszy od wrażeń zmysłowych;—dodajmy do tego: iż w bycie rzeczy i *poprzedniem* i *wyższem* zawsze być musi *prawo* (a więc duchowość) nad te widome byty materialne które je wypełniają,— iż religia i moralność, te w każdym razie, ostatecznie dzieci umysłu ludzkiego a więc natury, nie mogą być uważane tém samém zająkasz odrębność od natury i t. p.,—lecz rodzaje i stopień pojęć i objęć ludzkich, są nader różne i nie jeden materyalista w najlepszej wierze jest materyalista. Ten kmiołek który szydzi za oczy z mistrza, który mu twierdzi iż to powietrze przez które jedzie wózkiem nie jest czczością, lub iż ta ziemia którą orze plugiem, obraca się,—może być tępszych pojęć niż ludzie inni, nie przeto jednak jest szal-

bierzem i szarlatanem. Wprawdzie przydomków podobnych nie szczeni i nie szczeni i materyaliści mówiąc o filozofach ducha (np. Schopenhauer o Heglu), lecz ustom tych którzy z samej zasady swojej są przeciwnikami logiki, łatwiej to wybaczone.

W traktacie swym pan Pawlicki mówi téż i mówi najwięcej o darwinizmie, to jest o *początku gatunków* według Darwina; mówi o tém, jak o wszystkim z ironią,—teorii samej nie potępił tu jednak stanowczo, dlatego zapewne, iż nie mógł jeszcze wiedzieć o ostatecznych konkluzjach jej autora. Lecz Darwin wydał następnie dodatkowe swe dzieło p. n.: *Pochodzenie człowieka*, w którym wyraźnie oświadczył, iż na wzór Haeckla teorię swą o pochodzeniu gatunków rozciąga i do rodu ludzkiego i wyliczył tylko zarazem te fizyczne i umysłowe różnice, jakie istnieją pomiędzy rodem zwierząt i rodem ludzkim. Autor Materyalizmu napisał więc także dodatek do swojej pracy i wydał go właśnie świeżo: p. n.: *Człowiek i małpa, ostatnie słowo Darwina*. Annex ten musi się uważać za dopełnienie i objaśnienie jego traktatu i wspomniemy tu o nim łącznie. W broszurce tej pan Pawlicki uprzedza najprzód, iż Darwin „który w poprzednich swych dziełach pisał o metamorfozach, sam w końcu uległ największej metamorfozie, z człowieka bowiem który wierzył w Boga, stał się ateuszem“, następnie zaś rozumując i powołując się między innymi i na świadectwa fizjologów objaśnia: iż między gatunkiem ludzi i gatunkiem małp, stanowcze istną różnice. Co do tego ostatniego twierdzenia, którego rozwinięcie jest właśnie główną treścią broszurki, dodajmy tylko: iż wyszukiwanie i zbieranie dowodów różnic między gatunkiem małp i gatunkiem ludzi (celowi temu poświęcona np. u nas i inna świeżo wydana broszurka p. n.: *Czy ludzie od małp pochodzą?* pana Romana Świerżbińskiego) zdaniem naszym jest pracą zbyt czerłą i próżną, oddzielny bowiem gatunek nie byłby oddzielnym gatunkiem gdyby nie mieścił kilku stanowczych różnic;—lecz co się tyczy zdania p. Pawlickiego o religijnem stanowisku Darwina, zdanie to jest raczej objaśnieniem zdania autora o charakterze systemu Darwina, jak dotkniętego przedmiotu. Religijne stanowisko Darwina jakież istotnie jest? W dziele *O pochodzeniu człowieka* równie jak w innych swoich, autor ten zaczepia nieraz o przedmiot religijny, i wskazać tu można na parę w tej rzeczy miejsc wcale jasnych. W rozdziale drugim np. tej ostatniej książki mówiąc o różnicy władz umysłowych ludzi i istot niższych aż kolei o pojęciach religijnych w umysłach ludzkich, Darwin wyraża: iż jakkolwiek pojęcie istności Boga nie może się uważać za wrodzone umysłom ludzkim, są bowiem pokolenia które nawet nazwiska na oznaczenie Boga nie mają, to jednak zarazem jest to faktem: „iż na pytanie czyli istnieje Stwórca i Rządca świata? wszystkie *najwięcej rozwinięte* inteligencye ludzkie odpowiadają *twierdząco*“. W rozdziale piątym znajdujemy znów takie wyrażenie: „Krzywdą jaką kościół katolicki sprawił ludzkości przez inkwizycję, *jakkolwiek zrównoważona przez inne względy*, jest nieobrachowana“. Czyż więc dlatego iż Darwin w obec spóźnioków swych Anglikanów, nawet przy wzmiance o inkwizycyi nie lękał się

wtrącić i słowa pochwały dla kościoła katolickiego, i że niezważając na ateizm swoich niemieckich przyjaciół, grzecznie im rzekł, że ich inteligencye nie należą do „najwięcej rozwiniętych“,—wniosek uczynić trzeba iż sam został ateuszem? Pan Pawlicki dla wsparcia swego twierdzenia objaśnia wprawdzie iż „treść tej książki (O pochodzeniu człowieka) zamyka się tu w tej charakterystyce pierwszych ludzi, jaką wyraził w niej Darwin, a która tak brzmi: „Pierwsi ludzie byli okryci grubą sierścią, mieli uszy śpiczaste, ruchome, nogi chwytkie, ciało zakończone muskularnym ogonem; bronili się straszliwemi kłami, a mieszkali na drzewach w jakimś kraju ciepłym i lesistym“ i po przytoczeniu tych słów dodaje: „dziwić się potrzeba iż lice tego starca (Darwina) nie zapłonęło żarem wstydu, gdy w złej godzinie przyszła mu pokusa coś podobnego napisać.“ Objasnić tu jednak wypada iż Darwin charakterystykę powyższą, która rzeczywiście prawie dosłownie na kartach jego książki istnieje, stosował, nie jak mówi pan Pawlicki do „pierwszych ludzi“ ale do „przodków ludzi“ to jest jednostek tego przypuszczalnego gatunku, z którego przypuszczalnie ród ludzki miał się rozwinąć; lecz gdyby nawet taka lub zbliżona charakterystyka istotnie odniesioną przez kogo została do pierwszych ludzi, przypuszczenie to możeby się więcej sprzeciwiało tradycyi zoologicznej niż religijnej. Według tradycyi religijnej chrześcijańskiej, pierwsze pokolenia ludzkie potop wytracił; a chociaż na obrazkach XIX wieku Adam, czyli pierwszy człowiek przedstawiany jest zawsze jako wysoki, biały i piękny mężczyzna, właściwie jednak Genesis nie niewzmiąkuje ani o barwie, ani o wzroście, ani nawet w ogóle o piękności ciała i szerokości władz umysłowych pierwszego człowieka; mówi tylko: iż ten był szczęśliwy, jakby szczęściem rośliny w niewiadomości rosnącej, a szczęściu temu wszystkie nawet wyrażone powyżej cechy, gdyby istniały, czyliżby na zawadzie być mogły? Istoty które są przyodziane w kły, ogon, piłśc i t. p., czyliż nadto istną na zawstydzenie i hańbę swojego Stwórcy? głowa ludzka czyliż się winna uważać za najmniej szlachetną część ciała dlatego że jest okryta obfitym włosiem? Nie rozumiemy więc dlaczego Darwin miałby się płonąć swego przypuszczenia? wszelki człowiek czyliż się winien rumienić wyznając: iż przed czasem nader niedawnym z pewnością był prawie niczém w łonie matki?

Dziwimy się istotnie iż umysł tak wzniosłej myśłący i pióro tak loicznie piszące jak pana Pawlickiego, które oddały tyle usług (a między innymi i nie jedną kartę tej książki o której tu mówimy) sprawie *duchowej*, działają zarazem w części i na jej szkodę, niechcąc spoglądać szerzej w istotną jej treść. Ścieśniać wyobrażenie Boga do wyobrażenia tylko Stwórcy kilku wieków i kilku faktów, nie jest to, w obec materyalistów, których skala pojęcia (dzięki teorii Darwina) tak dziś rozszerzoną została, wychodzić zwycięzko.

Metoda której się trzyma w walce z przeciwnikami pan Masłowski, autor *Prawa postępu* jest wprost przeciwną. Pan Masłowski nie łąje i nie wyszydza swych przeciwników metafizyków, i owszem oświadcza jawnie iż mają oni rozum i wielki, tylko iż rozum ten może się na-

zwać niczém w obec rozumu pozytywistów to jest ludzi, którzy go nie na fantazyi i mrzonkach ale na *doświadczeniu* zasadzają. Jak szczerze jednak i zarazem błędne prawdy może dawać takie kryterium w swém oderwaniu, dowodem właśnie sama ta książeczka autora, o której nawet nie mówilibyśmy tu obszerniej, gdyby nie to, iż zasady jej wyrażone tu krótko, jasno i z pewnym jakby zapalem (a przytem poraz pierwszy prawie w naszym języku) wydać się mogą dla nie jednej u nas myśli i młodszej i starszej nowemi i gruntownemi, i gdyby powtórnie nie to: iż będąc odbiciem i powtórzeniem zasad pozytywizmu, właściwie są one wyrażeniem zasad nader nie szczupłej dziś Szkoły.

Powiedzmyż najprzód o części teoretycznej tej broszurki, a następnie o tém co nam daje jej część stosowana.

Uwagi te musimy jednak poprzedzić jedną ogólną.

Zasady broszurki pana Masłowskiego są to w zarysie zasady filozofii pozytywnej Augusta Comte'a. August Comte, jak wiadomo, *Kurs* tej swój Filozofii (T. VI), wydawał niegdyś od roku 1830—1842, przez lat dwanaście, bez wszelkiego rozgłosu w swym kraju; ale rozgłos i poklask objawiły się następnie w Anglii,—a fakt ten zdarzył się niedługo (a przynajmniej nie tylko dla tego) „iż, jak się wyraził złośliwie któryś niemiecki krytyk, Anglicy tyle się znają na filozofii ile na muzyce,“ lecz że zasady tego systemu były to właśnie zasady własnych ich filozofów (Bakona, Locke'a i t. p.) które oddawna poksztalciły już były praktyczne charaktery angielskie. Filozofia doświadczalna Augusta Comte'a nie była to więc wcale, jak to powtarza i uczy pan Masłowski filozofia nowa,—i owszem była ona już od czasu Talesa (a zwłaszcza z całą ścisłością od Demokryta) wcale nie nowa, tylko iż ilekroć w biegu dziejów filozofii była wskrzeszana, nie trwała długo, jako pochwytowana i poklaskiwana zwykle przeważnie przez umysły jedynie młode, to jest nieznaną jeszcze istotnie innych kryteriów sądu nad zmysły swoje.—Iż to kryterium szkoły Augusta Comte'a „doświadczenie zmysłowe,“ jest istotnie i wiernóm i nader obszerném źródłem poznai człowieka, jest to faktem,—iż byt materyi, o której kryterium to mówi, jest rzetelnym bytem, fakt to jest także,—prawdy te są to wprawdzie prawdy względne, jedynie *ludzkie*, lecz zawsze *prawdy*:—tymczasem wyznawana powszechnie w pierwszej połowie naszego stulecia filozofia ducha, pragnąc dotrzeć do prawd bezwzględnych a potępiając względne, obwołała i *doświadczenie* (jako dziecko *ułudnych* zmysłów) i *materję* (jako dziecko takich doświadczeń) za fałsze i za niebyty ¹⁾. Obwołanie to było w gruncie mylném

¹⁾ Prawdy które poznaje człowiek nie mogą być, ściśle mówiąc, inne jak *względne*, każdą bowiem znamy tylko tyle, o ile nas o niej uczy nasz rozum i nasze zmysły. Gdy zaś przy tém ten rozum, te nasze zmysły jawnie ułomno są, każdą prawdę znamy więc tylko ułomnie; lub jaśniej: nie znamy żadnej. A jednak te wszystkie prawdy które poznaje człowiek, z samęj natury swęj dostatecznemi być muszą dla potrzeb i losów człowieka, jakkolwiek

i wymagało protestu; to téż właśnie było powodem iż za pierwszym po-
słyszonym poklaskiem systematu Comte'a, który i owo doświadczenie
i materję tak wysoko podnosił, i który przytem miał tak ponętne dla
przyjaciół prawdy nazwisko *pozytywnego*,— poklask ten powtórzony zo-
stał powszechnie rozgłośnieniem echem, i trwa dotąd, w całej nawet swojej
przesadzie. Trwanie to być nie może jednak przeciągłym, zasady bo-
wiem systemu jakkolwiek mają sobie przez szkołę nadaną nazwę pozy-
tywnych, w gruncie jednak są jak najmniej pozytywnymi.

Zasady te które właśnie, jak to widzieliśmy, rozwija i pan Ma-
słowski w broszurce swojej, są, najkrócej mówiąc następujące:

„Stopniami rozwoju pojęć w jednostkach ludzkich są: *fantazja*,
rozum i *doświadczenie*, ztąd tóż i w historii pojęć ludzkości wyraziły
się kolejno trzy różne stany: najprzód był okres pojęć fantastycznych
czyli religijnych, następnie rozumowych czyli metafizycznych i wreszcie
okres dzisiejszej filozofii doświadczalnej czyli pozytywizmu. Badanie
pozytywne przebiegało się wprawdzie od początków, a cechą jego najogól-
niejszą jest iż zaczynając od pojęć i poznań jak najbardziej ogółowych,
przechodzi stopniami do coraz więcej szczegółowych; cecha więc ta spra-
wiła iż rozwinęły się wśród pozytywnego badania następujące nauki i w na-
stępującej były kolei rozwijane: matematyka, astronomia, fizyka, chemia,
biologia i socjologia, (te dwie ostatnie nauki w Kursie filozofii pozytyw-
nej Augusta Comte'a miały zrazu nazwiska *fizjologii* i *fizyki socyalnej*
I, 115). Nauki mówiące o duchu i wychodzące z niego jak: *religia*,
estetyka, *etyka*, *logika* i tym podobne, nie mogą mieć wcale miejsca w rze-
dzie nauk istotnych to jest pozytywnych.“

W tém wszystkiem czyliż jest co istotnie pozytywnego?

Wiemy wszyscy iż najpierwszém źródłem pojęć dla niemowlęcia są
tylko jego *zmysły* (wzrok, smak i t. p.); że później dopiero za lat mło-
dych buja *fantazja*, a z wiekiem dopiero przybywa możliwość kombi-
nacyi przyczyn i skutków—*rozum*,—rzetelna historia rozwoju pojęć
w jednostkach jest przeto wprost przeciwną owój pozytywnej. Klasy-
fikacya i hierarchia nauk Augusta Comte'a ma wprawdzie swoją
wrozumowaną przyczynę, ale któraż z tych niezliczonych klasyfika-
cyj nauk które podają każda filozofia, każda pedagogika, nie ma swojej
wrozumowanej przyczyny? Śród licznych opozycyj które się zjawily
przeciw klasyfikacyi Comte'a, wspomnimy tu tylko o tój, która wyszła
z samego obozu pozytywistów. Herbert *Spencer* (o którym wspomina-
jąc Darwin zowie go zawsze „nasz wielki filozof“) w pismach swych:
Geneza nauki a następnie *Klasyfikacya nauk* (*Classification of the*
sciences) powstał przeciw samej zasadzie klasyfikacyi Comte'a; wszyst-
kie te pojęcia i nauki, wyraża tu, które August Comte nazwał ogólnymi,

więc mogą to nie być prawdy w *sobie* lecz są to prawdy *ludzkie*. Nazwanie to
(użyliśmy go w naszym oddzielnym piśmie *Pięćdziesiąt zasad krytyki*) samo tylko
pogodzić łącznie może krańcowe poglądy w tój rzeczy idealne i materialne.

poprzedzane były zawsze przez badania faktów *szczególnych*, a jakkolwiek istotnie badanie naukowe doszło dziś do poznawania coraz większej liczby szczegółów w naukach, to jednak z samego poznawania tych szczegółów, przychodzi do odkrywania tém większych ogólności; powstał przytém (w *Genezie*) na owe wykazywane przez Comte'a przechodzenie jakoby kolejne ludzkości przez trzy stany: *teologiczny*, *metafizyczny* i *doświadczalny*, i twierdzi, iż te nigdzie nie objawiały się kolejno, ale że owszem wszędzie i w każdej epoce, jak były tak i są dotąd „spółbytnie i wspierające się wzajem.“ Jak zaś chronologia i hierarchia, tak i samo oznaczenie liczby nauk pozytywnych przez Comte'a nie przetrwa oczywiście, jak przepowiada pan Masłowski, „bez zmiany przez długie wieki“. Już sam Comte do powyższej liczby nauk, dodał był *psychologię*, Stuart Mill *psychologię* (różną od biologii) i *loikę*; Littré odpowiadając na krytykę Spencera w *Genezie* wyznał: iż istotnie *astronomia* nie poprzedza fizyki, i nie jest różną od niej; inni żądali dodania do pozytywnych nauk *etyki*, inni *prawa* a Herbert Spencer, w nowém wydaniu dawnych swych *Fierwszych zasad* (*The first Principles*, 1871), zwróciwszy uwagę iż pojęcia religijne w poznaniach ludzkich (czyli się one znalazły w umysłach w skutek bezpośredniego natchnienia, czy w skutek ewolucyj rozumowych doświadczeń) są faktem, dodał i *Religię* ¹⁾.

A jako w oznaczeniu owych ogólnych zasad, tak i w dotykaniu bliższem ich szczegółów, tenże tu wszędzie kontrast z pozytywnością. Pierwiastek religijny—objaśnia pan Masłowski—zjawiający się w ludzkich umysłach oznaczają następnie epoki kolejne: *fetyśyzm*, *politeizm*, *monoteizm*. Nader wszakże wiadomém jest historycznie, iż pierwój był monoteizm hebrajski niż politeizm Greków i Rzymian; pierwój w Indyi cześć *Duszy najwyższej* (*Prawa Manu*), niżli trwająca dotąd cześć bogów w Benares; monoteizm wieków średnich nie był to wpływ greckiego politeizmu, ale był dalszym ciągiem hebrajskiego monoteizmu który przemógł i zwalczył, zjawiony po nim, a pragnący go wyprzeć politeizm. Określając następnie bliżej cechy tego monoteizmu i znajdując je ujemnemi, autor między innemi mówi: „Monoteizm idei o *społeczeństwie* (narodzie) nie mógł utworzyć, ani *przypuszczał* nawet możebności takiego ciała; w miejsce tego podaje on ideę ludzkości“ 48. Lud, który był głównym dziedzicem idei monoteizmu, hebrajski nazywał się ludem wybranym, więc *ludem* (jednostką społeczną), wyznawał on i opiewał i swoje znaczenie *łącznie* i swoją (ludową) missyę, gdzie więc jeżeli nie śród monoteizmu powstała była najdobitniej idea o *społeczeństwie*, i rozwijaniu się dziejów, i życia dziejów, przez społeczeństwa?

¹⁾ Wydawca naszego *Wędrowca*, pozytywista-krytyk pan Sulimirski, który w wydanej w roku zeszłym broszurce p. n. *Przegląd najnowszych plodów piśmiennictwa polskiego* na str. 36 wyraził lament: iż nie prędko się jeszcze doczekamy aby publiczność nasza doszła do zupełnego oddzielenia religii od naukowości, nieomieszcza zapewne zapłakać i nad tym upadkiem umysłu Herberta Spencera.

Jak jednak, według pana Masłowskiego, nie umiał monoteizm oznaczyć idei społeczeństwa, tak też i *moralności*. „Dwa są, uczy autor Prawa postępu czynniki moralności w naturze: *egoizm* i *altruizm*, to jest miłość siebie i miłość rasy, ale filozofia monoteizmu (dodaje) znała jeden tylko z tych czynników: *egoizm* (str. 123) i w tym duchu kreśliła tylko przepisy“. To tak przeważnie monoteiczne: „kochaj bliźniego“ gdzież się podziało? i w czym różne jest od owego tak zwanego altruizmu? Egoizm jednak, jak świadczą i doświadczenie codzienne i dzieje, jest to owszem praktycznie jedyne kryterium moralności materialistów (każące nawet poświęcać dla tej zasady, to jest dla siebie: obce mienie, obcą dobrą sławę i obce życie), mimo przeciwne deklamacje. „My dzieci XIX wieku, mówi pan Masłowski, stojąc na wyżynach umiejętności dzisiejszej, z pewną ironią spoglądamy na te usiłowania starożytnych (to jest monoteistów) do zbudowania *racjonalnej etyki*“ str. 123 i dodać był powinien — „nie piszemy żadnej“, a jeśli ją materialny dzisiejszy pozytywizm zechce kiedy napisać, wielką zagadką jest: w jakich mianowicie, takich lub innych *szczegółach* byłyby skreślone jej prawa? a większą jeszcze: kto? lub co? zmuszałoby innych do jej wykonywania?

Jak istotę monoteizmu tak jednak zna i wykląda autor broszurki i filozofię spekulacyjną. Pomijamy tu iż na str. 63 znane zdanie empiryków „*nihil est in intellectu*“ etc. podane jest za zdanie *Leibniza* (!), poczytujemy to za omyłkę druku, ale na str. 55 takie między innymi znajdujemy o filozofii spekulacyjnej w ogóle zdanie: „Filozofia spekulacyjna zbudowana na czysto podmiotowych postulatach i szukająca wszędzie absolutu, rozumiała postęp w kształcie nieograniczonym, nieodkrywszy praw jakie rządzą rozwojem ludzkości i *nieprzypuszczając bynajmniej* aby istniały *jakikolwiek podobne* prawa“. Że pominiemy innych, Hegel który wyrozumował ów spekulacyjny ruch, czyliż nie oznaczył tych „praw rządzących“ w swój *Loice*, i czyliż nawet nie przeprowadził ich bliżej w oddzielnych traktatach: o filozofii *dziejów, prawa, sztuki, religii?* i t. p. Według autora: monoteizm „nie przypuszczał nawet“ istnienia oddzielnych społeczeństw, a spekulacja „nie przypuszczała nawet“ aby mogły istnieć *jakikolwiek* prawa rozwoju. Takie *prawdy* opowiada uczniom swym *Pozytywizm*.

Ale jeśli tak mniej szczęśliwym jest pozytywizm, a z nim i autor Prawa postępu w swoich teoriach, wynagradzają to może lekcjami praktyki? W broszurce pana Masłowskiego istotnie nader wiele się mówi o praktyce, a mianowicie: o *dobrobycie*, o objawach *socyalnych*, o powiązaniu przyczyn i skutków, czyli *harmonii* i t. p.; lecz w tém wszystkim znajdujemy tu raczej wzmianki o wyrazach praktycznych, a wcale nie lekcje praktyki. Autor owszem mówi tu np.: „Założyciel szkoły pozytywnej doszedł tylko, że człowiek dąży do coraz większego dobrobytu (dójscie, jak wiadomo, wcale nienowe) lecz w jaki sposób? *zagadki tej rozwiązać nie mógł*“ 137. „Jak się ma ta teoria zastosować do objawów socyalnych? *wiedzieć nie mógł*“ 138; „Szczegóły te, mówi autor, objaśnił dopiero Darwin, przypuszczając, iż zadaniem przy-

szłości będzie uregulowanie walki o byt,— lecz w jaki sposób, dodaje pan Masłowski, to uregulowanie nastąpi? *nie myślimy rozstrzygać.*“ Co do bytu przyczyn i skutków, harmonii w dziejach,— byt ten, ten łańcuch przyczyn i skutków w którym każde ogniwo równie jest koniecznym, uznawali go daleko praktyczniej, do każdego śród dziejów faktu, kroku, najdrobniejszego szczegółu, równą praktycznie przywiązując wagę. Sam pan Masłowski wspominając np.: o przekonaniach w tym rodzaju Pascala, przytacza tę jego trafną uwagę: iż „gdyby nos Kleopatry był o ćwierć cala krótszy lub dłuższy, dziejeświata przybrałyby inną postać“ ale w szczególny sposób sam ją za nieloiczną uważa i dodaje: „łatwem byłoby dowieść, iż gdyby Kleopatra wcale nawet nosa nie miała, ludzkość jednak temi samemi szlaby tory i do tych samych doszłaby rezultatów.“ Cóż więc autor rozumie przez harmonię faktów? związek przyczyn i skutków, szyk szczegółów? A jak nie umie go rozróżniać w faktach drobnych, tak też i w większych. „Podczas, mówi, gdy już z trudnością moglibyśmy. odszukać dziś fizyologa, któryby w objawach życiowych widział przejawy ducha Bożego, śród socyologów jakże często jeszcze spotykamy się z ideą posłannictwa, z pojęciem o jakimś celu w życiu narodów? o poświęceniu za ludzkość“ i t. p. 96, 115. Według autora, postęp pojęć zależy więc nie na podnoszeniu ich do oglądania jednostki pośród różności, harmonii pośród zamętu, ale na zniżaniu ich do oglądania we wszystkim odrębności, czyli do stanowiska pojęć istot niższych. Jeżeli się nie mylimy, autor w jednym tylko razie zgadza się na istnienie harmonii, i na wielkie znaczenie każdego szczegółu, to jest kiedy jest mowa o fizyologii i biologii według Darwina, i to tylko oczewiście ma znaczenie, ta jego np. ostateczna konkluzja: „Filozofia naukowa czyli pozytywna—mówi przy końcu broszurki— będzie ostatnią z tych form przez jakie przechodzić musiał umysł ludzki; każe ona wyżej cenić *wszelki najprostszy fakt* anizeli cały kodeks dogmatów teologicznych i mrzonek metafizycznych“ 201. Autor ceni wysoko każde najmniejsze zgięcie organu w małym robaczku, każdy odcień zjawionego instynktu w nim, i słusznie,—ale i dogmata teologiczne i mrzonki metafizyczne, czyliż to nie są fakta także? i czyliż dlatego tylko chyba nie mają być cenione wysoko iż nie są *najprostsze?*

W ogólności jak tej broszurce pana Masłowskiego, tak i całej tej Szkole z której wychodzi musi być uczynionym ten stanowczy zarzut: iż przez naturę rozumie tylko połowę natury a nie jej całość. Natura ma nie tylko stronę zewnętrzną, o której wyłącznie mówi pozytywizm, lecz i wewnętrzną; wszakże np. i Biblia sama jest częścią natury.

Heckel którego zasad i rozumowań, dziełko obecne pana Masłowskiego właśnie jest ściśłem powtórzeniem, uczy, jak to już wspominaliśmy, iż obowiązkiem człowieka na polu praktyki dzisiaj jest: „powrót do przyrody“;— w tém co pan Masłowski naucza o religii, o dziejach, o moralności i t. p. pełni ściśle istotnie poradę swojego mistrza,

ale *powrót* jest to literalnie *cofanie się*, a wcale nie postęp; dziełku o którym mówimy winien więc być dać raczej pan Masłowski napis: *Prawo cofania się*, nie zaś *Prawo postępu*.

Książka Dra. Szyszły *Przegląd dziejów przyrody* nie tylko co do granic i szczegółów treści, lecz też co do zasad i skali poglądu na obszar wiedzy jest książką nader odmiennego znaczenia od dwóch poprzednich. Autor Przeglądu równie wprawdzie jak autor *Prawa postępu* wychodzi otwarcie z zasad pozytywizmu i literalnie nieraz je powtarza, dzieląc jednak zasady szkoły nie dzieli jej wniosków; jest wyznawcą i duchowych poglądów jak autor *Materyalizmu*, ale uprawy nauk przyrodniczych, jak o tem dobitnie świadczy treść książki, wcale się nie wyrzekła.

Jeżeli się nie mylimy, praca obecna Dra. Szyszły, jakkolwiek jest odbiciem w ogóle najnowszych badań i prac naturalistów niemieckich, angielskich, francuzkich i włoskich wypłynęła głównie z natchnienia (tylkoć tu pomienionej) *Natürliche Schöpfungsgeschichte* Ernesta Heckla, którego autor za stojącego dziś (z Huxlejem) na czele naturalistów uznaje. Z dzieła tego naśladowany jest napis, przeniesione ryciny, powtórzone w skróceniu rozdziały główne. Myliłby się jednak ktoby sądził iż książka ta jest tylko przerobieniem *Schöpfungsgeschichte*; prócz rozdziałów o Filogenii i Ontogenii (rozrodzie tworów i formacji płodów), które oryginalnością są Heckla, treść jej jest też wyciągiem i zestawieniem prac i innych naturalistów; uwzględniane są wszędzie pomysły i od Heckla nowsze, a nadto dodany nie w jednym psychologiczny pogląd *Claude-Bernarda* i stosowany (jak to widzieliśmy) Herberta Spencera. O naukowej stronie tej książki nie tu mówić nie mamy; wspomnijmy tylko iż mimo spotykane w niej nieraz niejaki sprzeczności w zdaniach (w zdaniach zwłaszcza przejściowych) wykład w ogóle jest wszędzie loiczny, możliwie jasny, i na naukowym przetrwaniu podejmowanej kwestyi zwykle wsparty. „Liczba poznań, jak wyraził Karol Vogt (w mowie na posiedzeniu Instytutu narodowego w Genewie, w roku 1869) tak dzisiaj jest rozszerzoną, iż i najbogatsza intelligencya ludzka, niezdolną jest znać z wyczerpaniem jednej nawet gałęzi“; autorowi więc który w swęj publikacji dał nam treść tak bogatą, z lekkich albo dwuznacznych w niej zwichnień (gdyby nawet te miejsce miały) nie uczynimy zbrodni; dodajmy tylko jeszcze dla objaśnienia, iż śród treści rozdziałów stanowiącej głównie przedstawienie i wyciąg z pola wiedzy naukowej współczesnej, spotykają się tu nieraz od czasu do czasu i pomysły autora własne, jak np. o znaczeniu istotném siły żywotnej, o przyszłym lodowym peryodzie i liczne przejściowe; zarazem zaś: iż w naturze tych, przebijają się właśnie owa naukowa właściwość naszego wieku (o której mówiliśmy wyżej) *uogólnianie*, np. gdy autor natrąca iż w miejsce liczonych już dzisiaj siedmdziesięciu pierwiastków w naturze, możnaby przyjąć *jeden* wspólny: *eter*, w miejsce pięciu zmysłów, jeden wszystkim im wspólny: *dotykanie* i t. p. Ale powtórzmy raz jeszcze, przed-

miot ten nie jest naszym przedmiotem, a na treść i bogactwo treści obecnej książki wskazaliśmy wyżej jedynie dlatego, iżby zarazem wskazać i na istnienie nie jednej dodatniej strony w obecnym pozytywizmie, gdyż jak objaśnia autor, jedynie przez uwielbienie zasad i dla wykonania reguł tej szkoły podjął się swój pracy.

To zaś na co tu głównie wskazać i o czym kilka uwag wyrazić chcemy, są to zasady i wnioski, które autor do pozytywnych dołączył.

Pomimo objaśnienia we wstępie, iż ma się trzymać ściśle zasad pozytywizmu, a dalej iż podziela we wszystkiem naukowe zasady Heckla, autor *Przeglądu natury* dodaje jednak zarazem, iż się odróżnia od Heckla w poglądzie na początek wszechbytu, iż mianowicie wychodzi z uznania „przyczyn celowych, jednej głównej przyczyny wszechbytu, jednego spólnego źródła wszechwiedzy“ I, 48. W ciągu dzieła zdaje się nieraz jakby powtarzać te słowa Huxley'a: „dlaczegoby materjalizm jak idealizm nie mógł się zgodzić z uznaniem bytu Boga, nieśmiertelności duszy i wolnej woli, nie pojmuję wcale“. Zaś nadto na str. 27 tomu II czyni wyznanie, którem nawet odróżnia się jawnie od kardynalnych zasad pozytywizmu, tak bowiem mówi: „poznać siebie możemy tylko zespalając badania psychologiczne z biologicznymi, czyli naukę z religią. Tylko zespolenie tych dwóch dróg dać nam może całkowite pojęcie prawdy“.—Z wnioskiem tym, z tём założeniem, nie myślimy naturalnie bynajmniej walczyć, lecz oto mamy to właśnie do zarzucenia książce autora, iż mimo te założenia i cele, w ciągu treści albo je gubi z pamięci, albo gorliwie nawet na osłabienie tych własnych celów działać się stara.—Autor *Przeglądu dziejów przyrody* uznaje np. istnienie *Stwórcy* oraz iż świat ten z Jego woli się począł; wszakże szydzi zarazem z wyobrażeń pierwotnych ludzi, którzy dopuszczali cudowność, wierzyli w nadprzyrodzony początek ziemi, iż „Bóg to jest który ciska gromy, sprowadza burze“ i t. p. i potwierdza zdanie Büchnera, iż nigdzie nie znaleziono dotąd w naturze śladów interwencji wyższej“ I, 181. Sprzeczność ta, stosownie do pomysłu autora niema być wprawdzie sprzecznością. Według autora *Przeglądu*, *Stwórca* raz stworzył naturę i prawa jej nadał a odtąd dopełniają się tylko te prawa bez wszelkiego już udziału woli *Stwórcy*; lub jaśniej: Bóg autora jest tylko Duchem *Stwórcą*, ale nie Duchem *Rządzą* w przyrodzie.

Wyobrażenie takie może być istotnie logiczne teoretycznie, lecz właściwie nie może się uważać za zgodne z rzeczywistością. Duch-*Stwórca* jeśli był raz *Duchem-Stwórcą* musi się téż nieodbitcie uważać zarazem i *Duchem-Rządzą*, bo chociażby i te wszystkie rozwicia fizyczne i te dzieje moralne na które patrzemy, rozwijaniem się tylko były raz im nadanych praw, to jednak naturalnie *Stwórca* tych praw musi się zarazem uważać i za *Stwórcę* i tych ich następstw. Jeżeli pierwotna wola wydała pewne przyczyny, iżby z tych wypłynęły takie nie inne skutki, dlaczegoż wtedy właśnie kiedy się te skutki ziszczają, wola owa za nie była ma się uważać? I owszém, z tego właśnie iż ludzkie pojęcie widzi

ziszczanie się faktów (zwłaszcza wśród dziejów ludzkich) które leżały wyraźnie w pomysłu ogólnej Harmonii, i widzi razem że na wydanie tych faktów złożył się szereg poprzednich, które sprawiane były przez ludzi w celach zupełnie innych, *bez wiedzy* wypadku;—dochodzi i musi uznać istnienie i działanie bez przerwy i woli wyższej, Woli jakiegś i Siły wszechmądrej, wszechwiedzącej, wszechszykującej lub jednym słowem *Bożej* ¹⁾. Byt tej woli przy zwrocie uwagi do dziejów, widzi dobitnie każdy historyzof, a przy zwrocie uwagi na siebie, nieraz nawet filozof naturalista, chociażby i pozytywista w godzinę dobrą. „Badacz natury, mówi np. Tyndall, kiedy przemienie chwila jego naukowej podniety, a jej miejsce zajmie zimna rozwaga, trwoży się tej Istoty która i dała mu byt i *prrowadzi go*, a której niezdolny jest ani analizować ani pojąć.“ Powód dla którego autor Przeglądu usuwa od wyobrażenia Istoty Najwyższej wyobrażenie przymiotu *rzędu* jest zapewne (jak to było powodem i dla wielu innych) trudność złączenia swobody woli z wypełnianiem się jednoczesnym i wyższej, wszakże i byt jednej i drugiej jest jawnym i fakt ten nie może być zaprzeczanym jedynie przez to, iż być nie może objętem takie złączenie. Nasze pojęcie ludzkie jawnie ułomnym jest i wszystko to co jest bliżej Boże, jako np. bezpoczęcie się czasu, przestrzony, same pierwiastki natury i t. p. równie być nie mogą pojęte albo objęte, nie dlatego jednak nie istną lub nie są prawdą. Autor powstaje też, rzekliśmy na ten wyraz *nadprzyrodzonosc*. „Umysł ludzki, mówi np., doszedł do obalenia wszelkich dotychczasowych podań o nadprzyrodzonym początku naszej planety“ *I. 181*. Cóż jest jednak właściwie nadprzyrodzonosc? Nadprzyrodzonym, nadnaturalnym, zwiemy to co przechodzi granice znaney nam natury. Autor uznaje stworzenie, uznaje początek ziemi. „Siłę i materję, mówi, uważamy jako *stworzone* i obdarzone pewnemi własnościami na *początku*“ *I. 181*. Jeżeli więc był kiedyś (chociażby dajmy przed miliardem lat) ten początek, cóż było przed tym początkiem? było coś, takie lub inne, co poprzedzało a więc *przechodziło* granice znaney nam natury, więc było *nadnaturalnym*. Heckel w swych *Dziejach przyrody* wspominając „o chwili tej *nie pojętej dla nas*, w której, jak mówi, z samozapłodem moner rozpoczęło się życie na naszej plane-

¹⁾ Z tej to właśnie wyszliśmy prawdy w oddzielnym wydanem a tu dopięro wspomnianem piśmie naszym *Zasady krytyki* objaśniając w drodze *praktycznej*, jak ludzkość w rozwiciu swoim kreśliła *bezwiednie* epoki *harmonijne*, a ztąd wskazując iż jedynie rzetelnym kryterium sądu być może, „kryterium *następstw*“ t. j. wychodzące w zdaniu o faktach ze stanowiska *następstw*, które są dziełem już nie ludzkiej nieświadomości, ale jakiegś *znającej się w sobie Świadomości*. Nie wiedzieliśmy wtedy iż jednocześnie ta sama prawda w drodze *teoretycznej*, ale w odniesieniu do całej natury i wsparta całą pomocą loicznej spekulacji niemieckiej (podniesionej tu przy tém o wielki stopień do jasności i praktyczności), przeprowadzoną także została w oddzielnym piśmie o którym tu wyżej wspominaliśmy. (*Philosophie des Unbewussten* Edwarda Hartmanna).

cie,“ *I. 186*, uważa w inném miejscu iż „to co było przedtém, nie może uczonego obchodzić, bo jest już za granicami ludzkiego pojęcia.“ To co nieobchodzi uczonego, czyż musi znikać z bytu? i czyż dlatego ta tak nazywana przez nas nadprzyrodzoność ma być niebytem, iż jest lub była nadzmysłową lub nadpojętą?

Stojąc jednak teoretycznie śród Szkoły, autor potępia zkolei „kriterium powagi“ a to tylko za pozytywną prawdę uznaje, co przez pozytywne doświadczenie jest stwierdzoném. Pomijamy tu względy, iż podstawą doświadczeń są nasze ulomne zmysły, iż się znalazła w uznaniach ludzkich nie jedna prawda, którą dopiero *następne* doświadczenia sprawdziły, ale postawimy tu tylko pytanie takie: jeżeli doświadczenie dało nam poznać jaką pozytywną prawdę, prawda taka czyliż przestaje prawdą być dla następców? Jeśli nie, tedy snad i kriterium gotowej powagi nie zawsze jest fałszem.

W dowód prawdy zasady swój, autor wskazuje jak nieraz pozytywnie zdobywane prawdy jawnie okazują się sprzeczne z naukami powagi; powaga np., mówi, uczyła nas o *jednym* naszym *praojcu*, lecz nauka dochodzi, iż lubo ród ludzki jest ściśle jeden, ale zaczęło go wiele pierwotnych praojców; — powaga uczyła nas o *upadku* „a ta teorya upadku uczyniła była na długi czas niemożliwem bezstronne badanie prawdy“ *II. 27*. — Co do pierwotnego praojca zwróćmy uwagę, iż jak byt jednego pierwotnego praojca tak i byt *kilku pierwotnych* w równym stopniu wychodzą za sferę natury nam znanéj i naszych pojęć, i że wreszcie sama nauka ewulucyjna żadnego pewnego wniosku w rzeczy téj nie wyrzekła; jeżeli np. Heckel tak się wyraża właśnie jak autor, Darwin zdaje się być bliższym uznawania *jednego* spólnego przodka ludzkiego rozrodu, Huxley twierdzi wyraźnie o jednéj pierwotnéj parze“ i t. p. — Co do kwestyi upadku jest to kwestya szczególnie dziś zaniedbana. Istnienie w naturze *zła*, cierpień, kalectwa, śmierci, a nadto w rodzie ludzkim i dzisiejszym i dawniejszym (jak są świadectwa w dziejach) *braku*, jakby koniecznego, *szczęścia* w losie jednostek (zjawiane szczęście wnet krzyżuje kontrast), są to fakta; ta ujemność jest wyraźnie przybytkiem śród majestatu bytu, a więc *upadkiem*; naturalisci dzisiejsi zajęci jedynie badaniem dodatnich stron bytu nie zważają nawet na ten byt ujemności. Naszém zdaniem już samo *dostrzeżenie* i *kuszenie* się o *wykład* takiego faktu (t. j. tego bytu) za zaletę uznać się musi. Jeżeli więc w księdze dawnéj, którój nauka była dotąd powagą, znajdujemy i to dostrzeżenie i ten wykład, przymiot taki czyliż ma być na ujme jój powagi? W każdym zaś razie ta teorya *upadku*, nie rozumiemy w czémby szkodzić mogła badaniom geologicznym.

Do tych i tym podobnych twierdzeń nie zagnął więc, zdaniem naszym autora żaden mus naukowy a następstwo ich nader jawnie musi być sprzeczne z tym głównym celem, który sobie założył i który tak jawnie wyraził, t. j. godzenia nauk biologicznych z religijnymi.

Téj téż barwy są wszystkie zboczenia autora do rozumowań, a których w ciągu dzieła jest tyle. Wszędzie widne cześć dla ducha, dla psychologii i wszędzie także cześć dla zasad pozytywizmu materyalnego.

Tę dwuznaczność zdaje się w końcu objaśniać autor, t. j. pozwala się nam domyślać powodu tej dwuznaczności.

P. Szyszko uważa oczywiście iż do poznania prawdy może nas tylko doprowadzić droga prawdy, że zaś tę drogę prawdy te tylko dają nauki które dobitnie są prawdą, a temi według autora są tylko przyrodnicze, tych więc tylko i tych wyłącznie kształcenie za jedynie skuteczną drogę poczytuje. Wnosimy to przynajmniej z tych słów które autor z powodu wzmianki o naukach metafizycznych przy końcu swój pracy wyraził.

„Wówczas—mówi tu autor—kiedy filozof przyrodnik postępując z wolna krok za krokiem zdobywa coraz nowe prawdy, coraz bardziej rozszerza widnokrąg swój wiedzy, trzymając się ściśle prawdy przedmiotowej, faktów określonych; metafizyk pomijając mozolną drogę obserwacji i doświadczenia, chce odrazu przeniknąć i poznać tajemnice przyrody na drodze wyłącznie spekulacyjnego myślenia. Przyrodnik dzisiaj jakkolwiek nie zaprzecza nauki innym w ich specjalnej pracy, z pewnością jednak ubolewaniem spogląda na psychologa usiłującego poznać prawa rządzące duchem nie zbadawszy wrzódów praw rządzących materją.“

Jesteśmy jak najdalej od zaprzeczania zalet i licznych pod nader licznymi względami korzyści, dla życia ludzi, wypływających z uprawy nauk przyrodniczych; ale jest to szczególne złudzenie szkoły pozytywnej, gdy sądzi iż się opiera na faktach i drogą tylko ściślej prawdy we wszystkiem widzę rozwija. Świat zewnętrzny jak świat wewnętrzny w *równym* stopniu są zagadką dla naszych pojęć, a zdobywana stopniami znajomość faktów śród obu tych światów, w równej mierze jest daleką od wyczerpania. Weźmy książkę samego autora, która z kwestyj które tu po kolei dotykał otrzymała tu pozytywny swój wniosek? Odpowiedź zapiszemy tu własnymi wyznaniem autora. W rozdziale *O materji i sile* autor mówi: „Nigdy nie poznamy materji i siły“ *I. 60*. W rozdziale *O sile żywotnej*: „siły żywotnej niepodobna dowieść, nie wiemy czy ona istnieje“ *I. 68*. W rozdziale *O początku ziemi*: „nie mamy żadnej teoryi pewnej o utworzeniu się ziemi“ *I. 181*. W rozdziałach *O pochodzeniu ludzi*: „co się tyczy starożytności rodu ludzkiego, nauka nic jeszcze w tym względzie stanowczo nie wyrzekła“ *I. 265*. „Spór ten (czy należy odnieść człowieka do rzędu małp) nie jest dotąd stanowczo rozstrzygnięty“ *II. 30*. „Teorya stopniowego rozwoju nie tylko jest pożyteczną, ale jest dziś konieczną hipotezą“ *II. 94*, zawsze zatem *hipotezą*. System planetarny Laplace'a autor uważa wprawdzie za dostatecznie sprawdzony, ale Heckel (którego wszakże sam autor uznaje za czoło dzisiejszych naturalistów) po przytoczeniu go w *Dziejach przyrody* dodaje: „Wszystko to wprawdzie *mogło być inaczej*, ale dopóki ktoś“ etc. A jak się ma rzecz z wnioskami w kwestyach ogólnych tak równie i w szczegółowych. Epoki geologiczne, lata formacji pokładów, sama pewność powstania ich z takich lub takich pierwiastków, oznaczane przymioty i formy istot kopalnych i t. p., czemże właściwie są jeżeli nie zbiorem hipotez? Pozytywista geolog śmieje się dzisiaj wprawdzie z ograniczenia historyka, kiedy ten bytowi rodu ludzkiego nie wiecój jak kilka

tysięcy przyznaje lat i zowie go zwolennikiem mrzonek; co do nas wyznajemy istotnie że, za *pozytywne* świadectwa bytu człowieka poczytujemy raczej doszłe do nas dzieła rąk jego: pisma i sztuki, zaś przeciwnie domysły naturalistów poczytujemy za mrzonki. Weźmy np. jeden z domysłów takich pierwszy lepszy. Oto w jaskini jakiejś na lądzie Europy (przepraszamy jeśli nam nie we wszystkiem służy tu pamięć) znaleziony został szkielet zwierzęcia który uznano za szkielet słońia południowego, a ua nim nacięcia nożem. Słoń południowy zaginał w epoce jakichś pokładów które istniały najmniej od kilkunastu tysięcy lat, nacięcia nożem świadectwem są iż były to nacięcia narzędziem i ręką *człowieka*, wniosek więc pozytywny (według pozytywistów)tu jest: iż ród ludzki istniał od kilkunastu tysięcy lat. Na wniosek ten ileż się to jednak właściwie składa hipotez. Że ów szkielet byt to szkielet słońia południowego, jest to hipoteza (wiadomo że ów tak długo sławny w nauce *sobie współczesnej* szkielet „człowieka — świadka potopu,“ *homo diluvii testis* według nauki nam współczesnej okazał się szkieletem salamandry, a któż zaręczy za zasady nauki przyszlęj?)¹⁾; że owe starożytne pokłady w których zaginał słoń południowy były starożytności takiej a takiej, jest to hipoteza (jak oznaczenie *przyczyn* tak i *czasów* formacyi nader jest przypuszczalne, naturalista *Geppert* w *Geschichte der Urwelt* przytacza iż widział ciała roślinne w ciągu lat dwóch, a sukno przy działaniu gorącej pary w lat sześć na węgiel przemienione); że słoń południowy zaginał w owych pokładach jest to hipoteza, ziemia bowiem zaledwo w $\frac{1}{10,000}$ części paleontologicznie dotąd zbadana i właśnie nader świeżo czytaliśmy wiadomość, iż Agasiz w którymś kącie Ameryki odkrył żyjące *trylobity* gatunek skorupiaków, który uważał się dotąd za zaginiony w epoce dewońskiej;—iż owe wreszcie nacięcia były to nacięcia jakiegoś przedwiecznego noża to także hipoteza, i niektórzy z samych naturalistów dzisiejszych uznali że mogły to być ślady zębów zwierzęcych wysysających szpik a inni (Schmidt) iż były to nacięcia społecznego nam noża oczyszczającego kość starą.

Na takich jednak tylko lub tym podobnych faktach wspiera się obrachunek dzisiejszy o istnieniu przedwiecznych ludzi. Miłość własna lubi mieć dawnych przodków i nie twierdzimy wcale iżby takielub inne domysły i dowody o tój dawności nie pozyskały kiedyś pewniejszych podstaw, lecz jak dotąd nie są one wcale pozytywnemi.

Budować na takich faktach nie jest to więc wcale, jak się wyraził we wstępie autor, budować „na fundamentach.“ Psycholog któryby dla rozpoczęcia badania praw rządzących duchem czekał pierwój zbadania praw rządzących materyą, za długo musiałby czekać, bo jak to napomyka nieraz i sam autor i jak się wyraża przytoczony przezeń we wstępie psycholog naturalista Claude Bernard, nie nastąpi podobno to *nigdy*.

¹⁾ Śród wszystkich dzisiejszych okazów *człowieka kopalnego*, niema ani jednego, którego starożytność byłaby bez wszelkiego protestu.

W ogóle więc, błąd w oznaczaniu stosunku Stwórcy do stworzeń, walka z powagą bez uzasadnienia, poniżanie i odpieranie nauk duchowych, sprzeczność między założeniami a wykonaniem, te są zdaniem naszym strony ujemne obecnych studyów filozoficznych D-ra Szyszły, o ile filozoficznych.

Autor który literaturze naszej dał książkę tak odznaczoną bogactwem poznań w swojej gałęzi, który wydaniem jej mimo wszelkie mogące być w niej ujemności, stanął odrazu na czele krajowych pozytywistów;—i który zwłaszcza w tej książce założył był cel tak dodatni,—tém więcej za obowiązek miał czuwać i nad harmonią psychologicznych swych twierdzeń, chociażby treść ta była i najdrobniejszą częścią kart jego pracy.

W taki sposób w trzech tych pismach reprezentujących trzy różne umiejętnościowe dzisiejsze kierunki u nas, odbiły się darwinizm i pozytywizm. Górująca wewnętrzna wartość książki Dra. Szyszły zdaje się być zarazem wskazówką, iż ten cel i kierunek którego się trzyma, t. j. kierunek zalecający nie jednostronność ale wszechstronność, największą też ma przed sobą przyszłość. Gdy zaś autor tej książki gorliwie wyznaje darwinizm, a wyznając i pozytywizm odróżnił się stanowczo we wnioskach skłoniwszy je ku duchowym, tedy książka ta Dra. Szyszły może też służyć za nowy dowód twierdzenia które wyraziliśmy wyżej, iż darwinizm wyszedł na zdradę pozytywizmu.

10 listopada 1872 r.

PODRÓŻE I ODKRYCIA GEOGRAFICZNE

w 1871—1872 r.

PRZEZ

A. P.

II.

Mittheilungen aus J. Perthe's geographischer Anstalt von Dr. A. Petermann. 1872. I—XI.—Geographisches Jahrbuch. IV Band von Behm. Gotha 1872.—L'année géographique par M. Vivien de Saint-Martin. Paris 1872. Das Ausland. 1872. Nr. 1—32.

Ku zbadaniu bieguna północnego głównie w ostatnich latach zwrócone były usiłowania nauki geograficznej. W tym kierunku najczynniejsza obudziła się działalność tak pojedynczych ludzi jako i zbiorowych sił towarzystw geograficznych. Fizyka ziemi już w coraz pełniejszych przedstawia nam się zarysach, skoro o magnetyzmiej, o ostosunku wód do lądu, o temperaturze wody, o głębokości dna morskiego coraz dokładniejsze zebrane zostały wiadomości. Z każdym rokiem bogatszych plonów na tém polu spodziewać się należy. Ożywiony wszakże ruch, jaki się w dziedzinie wiedzy geograficznej spostrzegać daje, nie ku jednemu li zwrócony był celowi. Lubo biegun północny wywołał liczne i kosztowne przedsięwzięcia naukowe, nie leżały przecież i inne niwy nauki odłogiem; owszem na tak rozległej jak cała kula ziemska przestrzeni, wszędzie czynnym się ukazuje badawczy umysł podróżników. Do najodleglejszych zakątków sięgnęła ciekawość, zwiedzano nieprzebyte pustynie, przedzierano się przez bezdrożne szczyty śniegiem kryte, wstępowano w dziewicze kraje, dotychczas spoczywające we mgle niewiadomości, i gdybyśmy o wszystkich tych usiłowaniach i owocach tych poszukiwań mieli rozpowiedzieć, nie prędkoby nam się wysnuł opowieści wątek. Ale nie to nas w kłopot wprawia, ale raczej zbytnia obfitość materiału, gdy nam mówić wypada

o różnorodnej pracy w rozległym królestwie ziemioznawstwa. Prace te, które na tak obszernej rozrzucone są przestrzeni, są w istocie rozstrzelone jako promienie, co się na wsze strony z jednego ogniska rozchodzą; ztąd trudność nie mała w ogólnym rzucie oka objąć te rozgałęzione daleko a nieraz niczem z sobą niepowiązane objawy życia i działalności na obszarach geograficznej wiedzy. Poprzestać więc wypadnie na skreśleniu jedynie wydatniejszych postępów i ciekawszych podróży, co w niniejszym przeglądzie wedle oddzielnych części świata z kolei uczynić zamierzamy.

Nawiasowo wspominamy tu jeszcze o biegunie, ale przeciwnie, nie północnym lecz południowym. Stuszném byłoby zupełnie zapytanie, jakie czytelnik sobie zadać może, czy południowy biegun jest już tak dokładnie zbadany, że o podróżach w tamte strony nic nie słyhać? Od czasu wyprawy młodszego Rossa, która przed 30-tu blisko laty takie żywe budziła w publiczności zajęcie, lodowate morze na południowym biegunie ziemi poszło niemal w zupełne zapomnienie. Nie brak tam bynajmniej pola do bardzo ważnych odkryć, przeciwnie większe nawet zagadki wyczekują rozwiązania; znaczniejsze obszary południowego morza nigdy okrętu nie widziały, ale w badaniach nad owemi stronami panuje najzupełniejszy obecnie zastój. Do południowego bieguna nikt nie dotarł, tak samo jak i do północnego; ale co ważniejsza, cała niemal przestrzeń w około bieguna zaczynając już od 70° pół. szer. jest krainą zupełnie nieznaną, gdy tymczasem od strony Europy znacznie więcej posunięto się pod biegun. Niewiadomo, czém sobie objaśnić tę obojętność dla stron południowych. Tu i tam jednakie są zagadki, jednaka ważność naukowych badań i ich wyników a trudności bynajmniej nie różne. Podobnież lody, nieraz olbrzymie lodowe góry, które tamują przejazd i drogę pod biegun zagradzają. Zwrot ku biegunowi północnemu chyba bliskością Europy wytłumaczyć można. Z północnych przystani Norwegii, z kąd zawsze w danym razie łatwiej o pomoc, już nie daleka podróż pod biegun, wtedy gdy nierównież większe odległości dzielą nadmorskie kraje Europy od południowej Ameryki, Ziemi Ognistej lub wysp Australii. Tę więc prawdopodobnie okoliczności przypisać należy to pierwszeństwo, jakie dano biegunowi północnemu przed południowym w wyprawach naukowych lat ostatnich. Przed kilku laty wystąpił Dr. Neumayer w obronie bieguna południowego, dowodził piśmiennie, jak wielkie dla nauki zapewnia korzyści wyprawa w tamte strony podjęta, pragnął wywołać nowych bohaterów, coby stanęli obok Cooka, Bellinghausena, Weddella, Rossa, ale głos ten przebrzmiał w Europie bez echa. Nawet niedawno wydał tenże uczone oddzielne piśmko ¹⁾ z mapą morza lodowatego południowego, żeby obznajmiwszy dokładnie uczonych ze stanem badań, ku no-

¹⁾ Die Erforschung des Süd-Polar-Gebietes. Berlin. 1872.

wym ich zachęcić, ale daremnie. Wszędzie głucho, uwaga wszystkich skierowana ku wodom nad Norwęgą, ku Nowej Ziemi, ku północnemu morzu.

Zwróćmy się teraz do Azji, téj kolebki prastarój cywilizacji, tego pierwotnego gniazda ludów europejskich. Mimo blizkie węzły, jakie od niepamiętnych czasów łączą te dwie ościenne części świata, Azja tylko od strony, którą ku Europie jest zwrócona, w pewniejszych zakresła się rysach. Ale wschodnie jój brzegi, jój środkowe szczególniej kraje giną zupełnie w pomroku. Są całe przestrzenie ogromne, niezmierne, o których świat naukowy żadnej nie posiada wiadomości. Są inne znowu rozległe obszary, których obraz osnuty został na błędnych całkowiec pojęciach. W badaniu tych ciemnych, zagadkowych krain nie tyle główną rolę gra interes naukowy, ile więcjéj pobudzają ku naukowej działalności widoki polityczne, handlowe, nadzieje zdobyczy terytoryalnych i zysku materyalnego. Dobrze przynajmniej, że w ślad za zaborczemi dążnościami idą naukowe badania. Anglicy z rzadkim zapałem posuwają się z Indyi ku środkowej Azji; Rossya także zmierza ku tym stronom bystrym krokiem. Anglia wytyka drogi, mierzy odległości, bada warunki miejscowe dla zasilenia handlu; Rossya także szuka nowych źródeł bogactwa przyrody, miejsc wymiany wzajemnej. Wśród tych zabiegów nauka swoje żniwo odbywa. Zwycięzkie posuwanie się Rossyi w głąb Azji, shołdowanie plemion kirgiz-kaisackiej hordy, podbicie krainy około Aralskiego jeziora i wkroczenie w granice dawnego państwa Aleksandra W. pobudziły naukową działalność, wywołały nie jedną wyprawę i w ogóle na zbadanie pod względem geograficznym rozległych posiadłości w Azji pilniejszą zwróciły uwagę. Weniukow, niezmordowany pracownik, uczony przytém podróżnik, dokonał bardzo ważnych obliczeń topograficznych wszystkich zauralskich posiadłości Rossyi, i przedstawił, o ile środki naukowe pozwoliły, dość dokładny obraz tych krajów pod względem rozległości. Przestrzeń to nie mała, jeśli w ogóle wynosi razem z wyspami 14,000,000 kilometrów kwadratowych czyli zgórą 26,000 mil kwadratowych. Syberyjska sekcyja towarzystwa geograficznego w Petersburgu gorliwie zajmowała się meteorologicznymi obserwacyami we wschodniej Syberyi, naukowe badania rozpoczęto także w południowej części, szczególniej pod względem przyrodniczym w okolicach jeziora Bajkału. Tu się odznaczyli w ostatnich latach ziomkowie nasi Czekanowski, który poświęcał się geologicznym poszukiwaniom okolic nadbajkalskich a Dybowski, był profesor Szkoły Głównej wraz z Godlewskim zoologiczne w tychże stronach czynili badania, jak świadczą o tém ich prace pomieszczone w Pamiętnikach Towarzystwa geograficznego.

Poszukiwania i podróże nie zamknęły się li w granicach politycznych Rossyi. Owszem Syberya służyła często tylko jako podstawa

operacyjna, jako punkt wyjścia do dalszych, wielce ważnych wycieczek. Podejmowano wyprawy celem zwiedzenia przyległych krajów na całej niemal południowej granicy Syberji i pilnie rozglądano drogi, gościńce, mierzone odległości, kreślono poraz pierwszy mapy krajów zupełnie nie znanych a wchodzących w skład państwa chińskiego. Te skrzętne prace dostarczyły nauce nie mało ciekawych danych. Z czasem więcej z nich skorzysta polityka. Mandżuryą rossyjską i chińską zwiedził archimandryta Palladyusz, przebywający stale w Pekinie jako głowa tamecznej missyi. Z Pekinu udał się do kraju nad Amurem i z powrotem znowu wrócił do Pekinu, na duńskim statku, zawinąwszy do przystani nadmorskiej Szanghai. Poszukiwania etnologiczno-archeologiczne, jakie archimandryta czynił, dotyczą głównie Amursko-Usurskiego kraju. Po tej drodze, z Pekinu na Amur po raz pierwszy puścił się Palladyusz, lubo już poprzednio te strony zwiedzał Williamsom, angielski missyjonarz, ale nie zupełnie dokładnie zebrał wiadomości. Dziennik podróży, prowadzony przez Palladyusza a ogłoszony w Pamiętniku Towarzystwa geograficznego (IV Tom 1871) mieści w sobie wiele ciekawych szczegółów o tym pogranicznym między Rossyą a Chinami pasie. Autor wybornie kreśli krajobraz zwiedzanych przez siebie stron, przepłatając swą opowieść historyczno-etnograficznemi uwagami nad Mandżuryą, która jak wiadomo, ciekawą jest jeszcze i z tego względu, że stała się kolebką obecnie w Chinach panującej dynastji, i dziś po słońdowaniu przez Rossyą Amurskiego kraju, nowój nabiera wagi pod względem handlowym jako ościenna prowincya.

Żywe także zajęcie budzi śmiała a nie mniej dla nauki ważna podróż po wschodnio-południowej Mongolii odbyta przez kapitana Przewalskiego, który już poprzednio nie mało położył zasługi około zbadania Amurskiej krainy. Miał on sobie poruczone przez towarzystwo geograficzne i przez ministryum wojny zwiedzenie południowych granic Mongolji, górnego biegu Żółtej rzeki, kraju Ordos i Kukunooru, w głębi Chin położonych. Wyruszywszy z Petersburga w sierpniu 1870, przez Syberyą udał się do Kiachty, ziąd w grudniu do Pekinu, a w następnym 1871 roku z początkiem wiosny puścił się w drogę. Po rocznej podróży wrócił w styczniu 1872 do Pekinu dla chwilowego odpoczynku i nabrania znowu świeżych sił do zniesienia dalszych trudów. Jeszcze nie posiadamy całkowitego opisu tej wyprawy, zaledwie kilka listów zostało ogłoszonych, które się z wielkim zajęciem czytają. To co dotychczas kap. Przewalski podał do wiadomości, rokuje plon bardzo obfity. Jestto prawdziwa przyjemność nawet i dla niespecyalnie zajmującego się geografją, kiedy na miejsce błędnych wiadomości wpływają dokładniejsze dane, kiedy na ciemne, nieznane strony padają promienie pierwszjej wiedzy. Mamy przed sobą opis podróży Przewalskiego z Kiachty do Pekinu. Komuż nieznana jest Kiachta, poniżej Bajkału, owa pograniczna stacya wy-

miennego handlu? Żeby się ztąd dostać do Pekinu, trzeba przebyć owę straszną pustynię Gobi, która się wzdłuż ciągnie na przestrzeni kilkuset mil, w przecięciu zaś północno-południowym szerokość jej z górą 90 mil wynosi. Powierzchnia tego stepu, powiada Przewalski, odznacza się jednostajnym charakterem; żadnego tu nie spotkasz urozmaicenia, wszędzie z wolna podnoszą się wzgórza wzajemnie w łagodnych łącząc się liniach. Większe zaś równiny stanowią wybitną cechę środkowej czyli właściwej pustyni. W jednej i drugiej części brak zupełny zbiorników wody. Podczas dżdżystej pory tworzą się chwilowo jeziora i rzeki, które niebawem wysychają w czasie letnich skwarów. Grunt pustyni Gobi składa się z grubo ziarnistego czerwonego piasku, pomieszanego niekiedy z drobnymi kamykami. Na brak roślinności skarżyć się nie można, nie wiele jest miejsc, któreby jej zupełnie były pozbawione; ale miejscami trawiasta powłoka, wznosząc się nie więcej jak jedną stopę nad ziemią, zaledwie w stanie jest jako tako zasłonić czerwony grunt. Tylko w dolinach, przez które płyną podczas deszczu strugi i potoki, roślinność w bujniejszym przedstawia się stanie. Lasów brak zupełnie w Gobi, rzadko kiedy spotkasz u stóp góry lub nad brzegiem wyschniętego potoku jakieś drzewko samotnie stojące. Mongołowie oddają mu cześć religijną. Im się podróżnik głębiej zapuszcza w pustynię, tém rzadziej po drodze spostrzeżenie ludzkie istoty, które tu nędzny prowadzą żywot. Tylko zahartowany na wszelkie zmiany powietrza Mongoł i wierny jego towarzysz, wielbłąd, są w stanie utrzymać się w téj bezwodnej i bezleśnej pustyni, którą letnie słońce rozgrzewa jako pod równikiem, a mroz zimowy mrozi podbiegunowém zinnem. W ogóle Gobi swoją postacią jednostajną czyni na podróżniku przygnębiające wrażenie. Przez kilka tygodni ciągle jeden niezmienny przedstawia się oczom obraz: to nieprzejrzone przestrzenie żółtą trawą pokryte, to znowu ponure skały lub płaskie wzgórza, na których niekiedy ukazują się postacie zwinnéj antylopy. Noga za nogą wloką się objuczone wielbłądy, przebywają setki wiorst i ustawicznie bez przerwy, zawsze jeden i ten sam widok jednostajnego, obumarłego stepu. Kiedy skwarne słońce zajdzie a na pogodnym niebie zabłysną iskrzące się gwiazdy, wtedy nastaje chwila wypoczynku. Znużone wielbłądy ryczą z radości, kładą się w około namiotów poganiaczy, co sobie przyprowadzają nie zbyt smaczną wieczerzę. Tylko jeszcze godzina, a człowiek i zwierzę tu spoczęły snem głębokim, do około cisza grobowa, jak gdyby świat tu wymarł.

Ku południowym brzegom pustyni zmienia się krajobraz. Nagle się wznosi dość wysoko płasko-wzgórze z urodzajniejszym gruntem, woda lubo dość rzadko się spotyka, gromadzi się jednak już w stałych zbiornikach. Nareszcie zaczyna się dziedzina Cachorskich Mongołów, którzy nierównie są zamożniejsi od swych północnych ziomeków Kalkas. Już częściej po drodze spotyka podróżnik jurty, to pojedyn-

czo stojące, to znów w większą całość zgromadzone; droga się rozszerza, wązka ścieżka, co przez Gobi prowadzi, zamienia się na wygodniejszy gościniec. Na samym krańcu płaskowzgórza (połudn.) stromo piętrzą się olbrzymie góry, stercząc ostro najeżonemi skałami, urwiskami, między którymi wązkie przesuwają się szczeliny lub szerokie, bezdenne niemal otwierają się przepaście i doliny. Wzdłuż tego grzbietu gór, który stanowi graniczną miedzę między Mongolią a właściwemi Chinami, ciągnie się ów sławny chiński mur, który wspaniały przedstawia widok. Długości ma z górą 400 mil. Co to za olbrzymie dzieło! Nasze tunele, nasze koleje, mosty rzeczne wydają się w obec tego ogromu jako prace Liliputów. Żeby ocenić właściwie tę budowę istnie Tytanów, trzeba własnymi widzieć oczyma owe strome góry, owe niezmierzone wąwozy, doliny, przepaście, przez które ciągnie się ten olbrzymi mur graniczny. Wewnątrz Chin jeszcze drugi, staranniejszy nawet poprowadzony jest mur; ten jednak nie tyle przedstawiał do zwalczania trudności, ile zewnętrzny. Ma on na cztery sążnie grubości, sześć wysokości. Składa się z płyt granitowych, kryty jest cegłą. Na wydatniejszych miejscach wznoszą się czworoboczne silne wieże, niby zamki obronne.

Podróż Przewalskiego z Kiachty do Pekinu, z której kilka ciekawszych szczegółów przytoczyliśmy, rzuca jaśniejsze światło na wschodnią część Mongolii, jakkolwiek kierunek ten drogi z Kiachty przez Urgę i Kałgan, dawniej, chociaż mniej dokładnie był już znany. Od niepamiętnych bowiem czasów tędy prowadził główny trakt handlowy, tą drogą zawsze szły towary z Chin do północnej Azji, tu był gościniec, co od wieków łączył dwa ościennie kraje. Kiedy Rosyja zaczęła baczniejszą poświęcać uwagę swym handlowym stosunkom z południowymi w Azji sąsiadami, najpilniejszą było rzeczą zbadać drogi, któreby karawany do Chin a mianowicie do Pekinu udawać się mogły. Już za czasów Piotra W. przedsiębrano odpowiednie w tym celu wyprawę. W obecnym stuleciu po dłużej w pracach tego rodzaju pierwsze rozpoczął nowe poszukiwania J. Klaproth, sławny znawca Chin. Wśląd za nim puszczali się Tymkowski, Bunge, w jednej z wycieczek przyjmował udział prof. Kowalewski, nasz rodak, sędziwy dziekan wydziału filologii w tutejszym Uniwersytecie. W ostatnich czasach Szyszmarew (1868) odznaczył się gruntownymi na tém polu badaniami. Wszystkie dotychczasowe podróże brały za główny punkt wyjścia Kiachtę. Kiachta była niejako ogniskiem, główną bramą, przez którą wkraczano do Chin. Okazało się jednak, że również dogodniej a bezporównania bliżej możnaby skorzystać z innej drogi, do Pekinu prowadzącej, mianowicie z górniczych okręgów gór Ałtajskich—z Semipalatyńska i Ust-Kamienogorska przez Kobdo i Uliassutai czyli przez zachodnią część Mongolii. Ztąd wyruszył śmiały angielski podróżnik Th. W. Atkinson (1846—53) i dotarł do środkowej Mongolii, zwiedziwszy jęj kraje, w których dotychczas noga Europejczyka nigdy nie postąpiła. Po krętych drogach, wśród

licznych niebezpieczeństw odbył on podróż, która pod względem swęj rozległości może jedyną jest w rocznikach odkryć geograficznych w Azji. Długość linii podróźnej przez Atkinsona w ciągu siedmiu lat przebytej wynosi nie mniej jak 8500 mil! I dziwna rzecz, ta podróż wykonana z takim ogromnym mozołem, wysiłkiem, prawie żadnej nie przyniosła korzyści nauce geograficznej, nie dostarczyła żadnych danych naukowych. Atkinson nie oznaczał matematycznie punktów, nie mierzył odległości, nie kreślił mapy zwiedzanych przez siebie prowincyj. Nie miałem, powiada w swoich wspomnieniach z podróży, na celu pisania naukowego dzieła. Jedynem mojem życzeniem było narysowanie krajobrazów, widoków Syberyi i Mongolii, obrazów, których nie zna zupełnie oko Europejczyka. Jakoż Atkinson pozostał wiernym swemu założeniu w ciągu całej swęj wycieczki, której charakter turystyczny, powiemy nawet artystyczny wziął górę nad naukowym. Dopiero w ostatnich latach, kiedy Rossya coraz dalej posuwać zaczęła swoje granice ku Himalajom i ku Indyom, naukowe w tamtych stronach poszukiwania ruchliwszego nabrały życia. Bardzo ważne owoce wydała podróż w 1870 roku przedsięwzięta w celu handlowo-politycznym przez konsula Pawlinowa. P. Pawlinow został mianowany konsulem w 1865 roku w Kuldży, w chanacie mongolskim, uznającym zwierzchnictwo Chin. Z powodu jednak gwałtownego powstania, w skutek którego Kuldża w perzynę obróconą została, na miejsce urzędowania swego udać się nie mógł. Poruczono mu więc zbadać drogę w północno-zachodniej Mongolii, przypierającą jedną ścianą do Tomskiej gubernii i gór Ałtajskich. Z Semipalatyńska puścił się więc Pawlinow w czerwcu 1870 roku w wskazanym kierunku. Stał się niebawem w Suoku, w pierwszej pogranicznej miejscowości, już do Chin należącej. Ztąd przez Kobdo dotarł aż do miasta Uliassutai. Gwałtowne powstanie, które w kilka dni po przybyciu konsula wybuchło i wkrótce całą okolicę ogarnęło, zmusiło Pawlinowa do spiesznej ucieczki. Jeden z pomocników oddziału topograficznego Matusowski, zaskoczony po drodze nagłemi wypadkami, nie będąc w stanie połączyć się z konsulem, puścił się oddzielną ścieżką i pe manowcach przez strome góry Tannu-ola w północnej Mongolii wrócił znowu do Semipalatyńska z bogatemi zasobami podróżnych spostrzeżeń. Dziś już posiadamy a to po raz pierwszy, jakiś rys mapy Mongolii, którą z dostarczonych mu materyałów nakereslił Wenjukow.

Tym więc sposobem w coraz dokładniejszych kształtach występują środkowe kraje Azyi, które dotychczas w niezbadanej spoczywały promocy. Już nam teraz dokładniej są znane zarysy Mongolii. Na zachód Mongolii, w kierunku ku nam leży, jak wiadomo Turkestan, Tartarya i te chanaty, które dziś z głównem miastem Taszkentem przez Rossyą podbite, jęj zwierzchność uznają. Już i na te kraje spływa ją promienie badań geograficznych. W roku 1870 zwiedził Struve chanat Kokański, oznaczył liczne punkta pod względem astro-

nomicznym, Taszkent, Kodżent, Kokan, Margelan i przygotował materiały niezmiernéj dla kartografii wagi. Poszukiwania te poprowadziły do ciekawych odkryć, między innymi do odnalezienia źródeł ważnych rzek jak Syr-Daria i Sariszan. Z zajęciem Kuldży przez wojska rosyjskie granice Cesarstwa sięgnęły daleko w głąb Azji. Przypuszczać można, że bliskość ważnych miejsc handlowych wywoła w tych nowych prowincjach ożywiony ruch komunikacji handlowej, że tém samém i geograficzna nauka będzie zbierać bogate plony. Jak rosyjscy podróżnicy z zapałem ku środkowej Azji wraz z zdobywczym posuwają się orężem, tak z drugiej strony Anglicy podążają na spotkanie ku temu samemu zmierzając celowi. Niebawem dwa mocarstwa spotkają się na obcym gruncie. Już nie wielka dzieli je wzajem ściana, wysokie góry położone między Himalają a chińskimi Tszian-Szan. Nader ciekawa rzecz, jaka téż to między odgranicza dwa niezadługo może sąsiednie mocarstwa: Anglią w Indyach i Rosyją w Kokanie? Jak wielką może być ta pograniczna ściana? Otóż twierdził Humboldt, a któżby Humboldta zdaniu się sprzeciwiał, że w owych stronach, które dziś ten graniczny pas stanowią, ciągnie się pasmo gór w kierunku południka, niby zaporą między Tszian-Szan a Himalają. Mniemanie o takim kierunku tych gór, Bolordagiem zwanych, dotychczas utrzymywało się w całej sile. Owóz podróże ostatnich lat przez Anglików i rosyjskich uczonych podjęte sprawdziły najzupełniejszy przewrót w pojęciach naszych o systemacie gór w środkowej Azji. Środkowa Azja stała się jako podbiegunowe strony ogniskiem geograficznych badań i jeżeli jednych zapala myśl dotarcia aż do bieguna, tak w Azji znowu celem najgorętszych pragnień jest przebycie płaskowzgórza *Pamiru*, stanowiącego owę kolosalną wyniosłość, nad którą wyższej nie masz w Azji. Jestto ogniwo łączące Himalaję z Tszian-Szanem. Na te szczyty wdzierali się niedawno Abdul-Medżyd, w roku 1869 Haymart i Shaw, Mongomerie, a od strony przeciwległej Weniukow, Sewiercow. Najważniejsze jednak zdobycze poczynił w roku 1871 Fedczenko, które pod względem orografii Azji na równi postawić można obok znakomitych badań w Afryce około odszukania źródeł Nilu.

Listy Fedczenki z téj podróży pisane zawierają w sobie, prócz wiadomości dotyczących ważnych odkryć geograficznych, w wysokim stopniu ciekawe opisy miejscowości, ludzi i ich zwyczajów. Sprawozdawczy nasz przegląd nie daje nam możności dzielenia się z czytelnikiem tym materiałem opisowym w całej jego pełni. Ale oto kilka rysów: Fedczenko udał się do Kokanu. Miał posłuchanie u Chana. Przedstawienie skończyło się na tém, że podróżnik podał mu list pisany w imieniu generał-gubernatora, chan przeczytał go i odrzekł: *jakszy* (dobrze). Pokazano zwiedzającym komnaty chańskiego pałacu i przygotowano piśmienny rozkaz do władz miejscowych, by wszędzie pomoc podróżnikom okazywano.

Oto kształt tego listu: „Urzędem, Aminom, Serkerom i wszelkim zgoła urzędnikom okręgów: Margilan, Andidżan, Szalarchan, Arawan i Bulak-baszy oraz miast Usz, Utsz-Kurgan, Tszemian, Ssoch, Ispara, Czarku i Waruch niniejszem nasz najwyższy rozkaz ogłaszamy: Sześciu Rosssyan, między nimi jedna kobieta, odbywają wraz z siedmiu posługaczami podróż celem zwiedzenia gór, w skutek czego polecamy, przyjmować ich wszędzie jako gości, bronić ich od napadu koczowników i starać się o to, aby pomienieni Rosssyanie wesoło i spokojnie dokonali zamierzonej wycieczki. Rozkaz nasz ma być z całą ścisłością wykonany.“

Opatrzony takim listem polecającym puścić się Fedczenko w dalszą drogę i zwiedził znaczną część południową i wschodnią chanatu kokańskiego i znowu wrócił do Taszcentu. Lubo nie dotarł do płaskowzgórza Pamiru, zbadał jednak łańcuch gór Alajskich, odkrył nowe pasmo, które bezpośrednio dotyka się Pamiru. Ostateczny wniosek z téj wycieczki da się treściwie w tym oto kształcie przedstawić. Niemasz żadnego samoistnego pasma gór Bolor. Jest tylko miasto i rzeka tego nazwiska, ztąd Humboldt przeniósł je na domniemany osobny pień górzysty. To co dziś geografowie nazywają pasmem gór Bolorskich, niby w kierunku południka łączących Himalaję z Tszian-Szanem, jest właściwie tylko północno-zachodnią odnogą Himalajów.

Przejdźmy teraz z kolei do sąsiedniego państwa, do cesarstwa Niebieskiego. Lubo Chińczycy nieźle swój kraj znają, nie znają go wszakże Europejczycy, którzy na owo olbrzymie mocarstwo, co niemal trzecią część ludności na całej kuli ziemskiej obejmuje, patrzą jeszcze zawsze przez szkło uprzedzeń i dziwacznych opinii, jakie kiedyś rozchodziły się po Europie szerzone przez usta misjonarzy. Dziś coraz więcej zwracają uczeni uwagę na Chiny, które z czasem potężne zajmą stanowisko. Dziś coraz więcej nikną owe bajeczne, przesadzone o Chińczykach pojęcia i ustępują miejsca dokładniejszym doniesieniom. Między podróżnikami współczesnymi, co się zbadaniu Chin poświęcili, pierwsze miejsce zajmuje Richthofen, który wszersch i wzdłuż zwiedził Chiny i bezustannie jeszcze nowe podejmuje wycieczki w różnych kierunkach po cesarstwie Niebieskiem. Z początkiem 1870 roku wyruszył Richthofen z Kantonu i przebiegł w północno-wschodnim i zachodnim kierunku całą przestrzeń od Kantonu do Pekinu. Ztąd udał się do Japonii, gdzie bawił blisko rok cały i w 1871 roku z Pekinu znowu puścił się w drogę dla zwiedzenia zachodnich prowincyj Chin. Kilka drobniejszych z opisu téj podróży, które na przytoczenie zasługują, do wiadomości czytelnika tu podajemy: „Przybyłem do miasta Siangtan, powiada podróżnik, w środkowych Chinach. Miasto to ma milion mieszkańców, jest najważniejszym punktem handlowym dla środkowych Chin.

„W sąsiedniej prowincyi Hu-pe spotykałem wielce poczciwych Chińczyków. Nieraz samotnie się przechadzam, idę od wsi do wsi. Wprawdzie na widok mojej osoby powstaje zbiegowisko, Chińczycy się patrzą, ale nikt mnie nie zaczepia: na twarzach spostrzegam łagodny i przyjazny uśmiech. Jużby to, co prawda, w naszych siołach niemieckich żaden Chińczyk nie mógł tak spokojnie spacerować. Ciekawe są uwagi, jakie nasuwa Richthofen pod koniec swoich sprawozdań. „Kiedy miesiąc za miesiącem, powiada, przebywam te strony i kraje, które większa dzieli odległość niż przestrzeń między Petersburgiem a Rzymem, kiedy widzę ludność tak gęsto rozsiadaną, jak w żadnym może z państw europejskich, a przecięciowo więcej wykształconą jak kiedyś nasza ludność przed dobą kolei żelaznych, kiedy się nadto rozważę, że liczba mieszkańców tego cesarstwa przewyższa ludność całej Europy i widzę szczątki dawniej dziś skostniałej cywilizacji, oraz niezwykle zdolności ku przyjęciu ziarna zdrowszej cywilizacji, tudzież ogrom bogactwa narodowego: to z podziwem spoglądam na wielkość zadania, jakie tu ma przed sobą Europa. Chiny same przez się żadnego kroku nie czynią naprzód, wszelki bodziec z zewnątrz przychodzić musi. Postęp jest zniechędzony, ale staje się nieodzownym, koniecznym. Co się z tego stanie, nikt przewidzieć nie zdoła. Gdyby Chińczycy w miarę swego rozsądku duchowo także rozwinięci byli, gdyby posiadali odpowiednie meztwo i energią, mogliby śmiało zawojować i zgnieść świat cały; tego wszakże obawiać się nie należy, jakkolwiek wyznać trzeba, że czeka ich w historii bardzo ważna rola nie tylko w Azji, gdzie się coraz potężniej rozwijają kosztem innych szczepów, ale i w Ameryce. Kwestya chińska stanie się niebawem w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki dolegliwszą od kwestyi murzyńskiej“.

Udał się Richthofen w dalszym ciągu swój podróży nad brzegi rzeki Żółtej, nazywanej w Rocznikach chińskich nader charakterystycznie „kłopotem chińskim“, gdyż rzeka ta od niepamiętnych czasów zrządała ogromne spustoszenia i niedawno, bo w 1869 r. zasypała swym piaskiem przestrzeń 150 mil kwadratowych w prowincyi Ho-nan. Nieco poniżej tej prowincyi w dolinie rzeki La-ho odkrył Richthofen okolice, której geologiczne formacje nadały wybitną a ciekawą cechę. Nad brzegami rzeki wznoszą się na 1000 stóp wysokości góry, po za którymi ciągnie się pochyła równina „miła oku a licznym ożywiona płodem“. Pokład tych wyniosłości składa się z gliny szczególniejszego rodzaju, w skład której wchodzi przeważnie pierwiastki wapienne i która pionowo się łamie i rozpada. Na całej tej przestrzeni, powiada nasz podróżnik, nie ujrzyysz ani jednego domku, żadnej chaty, a jednak ludu tyle co w ulu. Ludzie wygrzebują sobie mieszkania w gliniastym pokładzie, który się nadaje do takiej przeróbki, posiadając dostateczną moc i spoistość. Nawet austerye są podziemne. W szerokich i wysokich podziemiach mieszczą się konie i wozy, po obu

zaś stronach stajen i wozowni wydrążone są izby i sypialnie. Mieszkania te można bardzo chędogo utrzymać, w zimie są ciepłe, latem zaś chłodne. Wentylacja nie jest co prawda dostateczna, ale też wymagania pod tym względem Chińczyków są bardzo skromne. Ulice składają się z podziemnych wydrążonych korytarzy, niekiedy na sto stóp w głąb' ziemi zapuszczone, u góry i u dołu jednako szerokie. Czasami znowu ciągną się ulice tuż u powierzchni nad szczeliną, i nie grożą bynajmniej oberwaniem się lub zsunięciem. Gdy się z doliny podnosimy ku owym gliniastym wzgórzom, spotykamy po drodze w tysiące stron krzewiące się parowy. Po nad nimi wisi ziemia, niby sklepienie w kształcie tarasów, ale w tym sposobie, że każdy taras pionowo spada ku głębszemu. Z parowu widać tylko ciemno-żółte ściany, niby schody się pnące, niekiedy poprzedziurawiane przez mieszkania a ożywione jak mrowisko. Gdy z góry rzucisz okiem, zginą ci z widoku owe ściany i ujrzysz tylko wtedy bujne zielone niwy, bo glina ta jest bardzo urodzajna. Wszystkie niemal rodziny mieszkają na swoich zagonach albo raczej pod zagonami. Czasami w skutek swój pionowej kłupkowatości wyosobni się z całej masy glinowej jakaś stercząca wyniosłość, wtedy na nią wznoszą zwykle świątynię, otoczoną warownym murem. Do takiej świątyni tylko przez kręcone podziemne chodniki dostać się można. Służy ona podczas rokосу jako miejsce schronienia dla ludności. Akwarelista mógłby w tej okolicy znaleźć nie mało istotnie malowniczego materyału“.

Porzucmy jednak Richthofena i jego ciekawe opisy, i wracajmy spiesznie do ogólnych dziejów, bo daleką mamy przed sobą jeszcze drogę. Nie będziemy już korzystać z opisów, jakie w swych podróżach po chińskim cesarstwie umieścili angielscy misyjonarze Hollingworth, Cuningham i Youd; pominiemy odkrycia przez misyjonarza Curdwella poczynione, zamilczymy o francuzkim opacie Armandzie Dawidzie, który kosztem Paryżkiego Muzeum odbywa podróż po Chinach i niezmiernie ciekawemi zbiorami z bogactw zoologicznych gabinetów Paryża: czas już zajrzeć do Japonii.

Na Japonią zwrócone są oczy całej Europy. Niestychane dokonują się w jój całym układzie polityczno-społecznym przewroty. Japonia zmierza szybkimi krokami do wysokiego celu. Co chwila jakąś niespodzianką darzy Europę, która też najchętniej przyjmuje z tej dziedziny wiadomości. W sprawozdaniach z podróży po tém państwie tło geograficzne zupełnie ginie wśród doniesień o polityczno-społecznych przemianach. Japonia wabi więc do siebie uczonych podróżników, jedni z nich jak Adams, konsul Troup, obaj Anglicy, Hübner, Niemiec, zwiedzali wyspę Nipon, inni znowu przyległą wyspę Jesso. Nawet Amerykanie zwrócili się w te strony i pod kierunkiem generała Horacego Capron odbyli w 1871 roku podróż celem zbadania wyspy Jesso pod względem przyrodniczym. Ale i w tych opisach górują wiadomości o bieżących wypadkach. Niech

więc i nam dozwoloném będzie z tego pola kilka przedstawić szczegółów. Rząd japoński poruczył księdzu Northrup z Newhaven z Ameryki północnej zająć się urządzeniem i kierownictwem wyższych szkół w różnych częściach cesarstwa. Zadaniem jego obecnie najgłówniejszém jest przygotowanie odpowiedniej liczby nauczycieli. Japoński poseł Mori w Waszyngtonie urządza seminarya dla nauczycieli, Northrup, dzielny i doświadczony pedagog chce około stu uzdolnionych odpowiednio nauczycieli wziąć ze sobą do Japonii. Nauka ma się odbywać w języku angielskim, a nauczyciele tyle się tylko po japońsku nauczyć mają, ile potrzeba niezbędnie dla ułatwienia sobie stosunków w życiu domowém i towarzyskiém. Northrup zamierza zastosować alfabet łaciński do japońskiego języka. Japońska literatura składa się głównie z dzieł poetycznych i historycznych; rozległe pole nauk ścisłych i społecznych stanowi dotychczas dla japońskiego narodu niedostępną, nieznaną księgę. Kilka podręczników z umiejętności przyrodniczych już przetłumaczono na japoński, ale nadal wszystkie nauki mają być wykładane w języku angielskim. W Japonii panuje najzupełniejsza swoboda religijna. Tolerancją rządu najlepiej cechuje następane zdarzenie. Jeden z Japończyków, kształcący się w północnej Ameryce, doniósł swemu rządowi o przyjęciu przez siebie religii chrześcijańskiej. Ponieważ był stypendystą rządowym, otrzymując rocznie tysiąc dollarów, tracił swe prawo według dawniejszego postanowienia do pobierania nadal zapomogi. Wiedział o tém, co go czeka. Tymczasem niebawem otrzymuje odpowiedź, że rząd uznając jego szczere i otwarte doniesienie, gotów raczjć powiększyć niż odebrać stypendyum.

W zachodnio-południowej części Azji nie mniej ruchliwe jak w innych częściach objawiało się życie na polu badań geograficznych. Do dokładniejszej znajomości półwyspu Arabskiego, mianowicie krajów między cieśniną Bab-el-Mandeb i Ormuz przyczyniły się znakomicie prace Maltzana, który wypełnić i poprawić postanowił puste lub błędne mapy południowej Arabii, jakie dotychczas posiadała nauka. Mapy te powiększjć części przedstawiały się jako *tabula rasa*. W powziętym więc celu osiadł Maltzan w mieście Adenie, zkąd czynił w 1870—1871 roku wycieczki w sąsiednie okolice, o dalszych zaś zbierał wiarogodne wiadomości z ust miejscowych Arabów, którzy na rozkaz angielskiego gubernatora z najodleglejszych ściągali stron dla dawania objaśnień. Maltzan urządził u siebie rodzaj bióra śledczego, zapisywał wszelkie udzielane mu wskazówki, uwagi, opowieści, odznaczał odległości miejsc, kierunek dróg, pytał o stan danego kraju, jego urządzenia, bogactwo, plody, ludność, zwyczaje i obyczaje; tym sposobem, posiadając gruntowną znajomość arabskiego języka, był w stanie dać dokładniejszy kartograficzny obraz jednćj części Arabii na przestrzeni

przynajmniej dwóch tysięcy mil kwadratowych. Na uwagę zasługuje także podróż Józefa Halévy w Jemenie, podjęta z polecenia francuskiej Akademii napisów. Halévy zwiedził w 1870 roku zachodnią część półwyspu, zebrał 685 napisów sabejskich i dostarczył wiele szczegółów dotyczących topografii i stanu socjalnego przejranych przezeń okolic. Liczne były także poszukiwania w Syryi i Palestynie po obu stronach Jordanu. Wiktor Guérin znany z poprzednich swych poszukiwań archeologicznych w Grecyi, Egipcie, Tunisie i Palestynie (1863) zwiedził z polecenia rządu francuskiego Samaryą i większą część Galilei. Odkrył on między innymi grób Makkabeuszów w ruinach około wsi El-Medich. Ryszard Burton badał okolice Damaszku, a obecnie wszedł na nowe pole, działając razem z Londyńskim i New-Yorkskim towarzystwem, które się zawiązały celem dokonania jak najdokładniejszych pomiarów w całej Palestynie.

* * *

W Afryce badania geograficzne idą odmiennym zupełnie torem aniżeli w Azji. W Azji podróżnicy wynajdują drogi handlowe, mierzą odległości, szukają udogodnień dla komunikacji: poszukiwania w ogóle posługują celom politycznym bądź Anglii, bądź Rossyi. W Afryce przedstawiciele nauki geograficznej mają inne dążności na widoku. Tu przedmiotem zabiegów stają się systemata rzek, wyśledzenie ich początków, ich rozgałęzionych odnóg, ich połączeń, takich rzek jak: Niger, Zambezi, Cunene, Limpopo. Od niepamiętnych zaś czasów aż do obecnej chwili pierwsze zawsze miejsce w tych poszukiwaniach zajmuje ów historyczny Nil, którego źródła gdzieś giną w nieznanach górach i dolinach i dla nauki sfinksową zagadką dotąd być nie przestały. Sfinks ten pożarł już nie jednego podróżnika. Zdawało się nieraz, że już, już trafną, znaleziono odpowiedź; tymczasem dotychczas żaden jeszcze nie znalazł się Edyp.

Najświeższe usiłowania celem zbadania okolic górnego Nilu podjęte zostały przez Sir Samuela Bakera ¹⁾, obecnie Baszę-Balera, który w 1870 roku wyruszył z nubijskiego miasta Chartum na okrętach, by płynąć dalej ku źródłom. Wyprawa ta mniej miała na widoku naukowe cele. Nie ulega wątpliwości, że przeważały w tém przedsięwzięciu pobudki politycznej natury. Wycieczka pożądaných dla nauki nie wydała owoców. Baker spotkał dziwne przeszkody. Na Białej rzece pod 9° 26' szer. pół. utworzyły się trawiaste zapory, które żegluga na wodzie niemożliwą czyniły. Postanowiono przeto skorzysnąć ze wschodniej odnogi wpadającej do rzeki Białej, z rzeki znanej pod nazwą Żyrafy. Na 34 statkach wyruszył Baker, niebawem w swój żegludze powstrzymany z powodu niskiego stanu wody, znowu wrócił do pierwotnego miejsca. Rozłożył obóz w Taufikija u ujścia

¹⁾ Podróżnik angielski, znany z odkrycia w 1863 r. wielkiego jeziora środkowej Afryki— Albert N'Yanza.

rzeki Żyrafy, wyczekując przyjaźniejszej pory. Ztąd powtórnie puścił się wodą na 59 statkach i po niezmiernych wysiłkach dotarł do Gondokoro i w imieniu wice-króla Egiptu wziął w posiadanie kraj Bari. Bariczyzy nie chcieli uznać panowania egipskiego. Wywiązały się krwawe nieporozumienia, krajowcy odmówili wszelkiego dowozu żywności, cała osada składająca się z tysiąca ludzi cierpiała głód i niedostatek. Do obozu zakradły się niszczące choroby i co gorsza, duch nieuległości. Tak głoszą ostatnie wieści, jakie otrzymano przed kilku miesiącami w Europie. Dotychczas wyprawa kosztowała już z górą dwa miliony talarów. Z Sir Samuelem Bakerem połączył się w celach naukowych p. de Bizemont, oficer marynarki francuskiej, zalecony wice-królowi Egiptu przez cesarza Napoleona; ale dobre jego zamiary spełzły na niczem, gdyż w Chartum doszły go wiadomości o wybuchu wojny między Francją a Prusami, co go do pospiesznego powrotu do kraju skłoniły. Pomińmy jednak te wszystkie usiłowania, które pożądanego nie odniosły skutku, a zastanówmy się raczej nad tém, co istotnie z wielką dla nauki korzyścią dokonaniem zostało.

W badaniach nad wschodnio-środkową Afryką, zaiste nikt tak znakomitych nie poczynił odkryć, nikt tylu nie zbogacił materyałami nie tylko wiedzę geograficzną ale i umiejętności przyrodnicze, co niezmodowany na tém polu Dr. Jerzy Schweinfurth. Podróże jego pod względem śmiałości pomysłu, wytrwałości w wykonaniu, rezultatów zbogacających naukę, przeszły oczekiwania wszystkich. Schweinfurth jest z powołania botanikiem, ale obok tego nie mniej znawcą etnografii w wysokim stopniu, posiada nadto gruntowną znajomość geologii i fizyki. Jego więc pole badań ma szerokie granice, które objąć są w stanie każdy kraj pod najróżnorodniejszymi względami. Ta strojna naukowego przygotowania, jakie posiada podróżnik, podnosi wartość jego prac w dziedzinie geograficznej. Schweinfurth sięgnął daleko w głąb Afryki. Trudnoby nam było prowadzić czytelnika w ślad za nim po miejscach i okolicach, które na żadnej nie znajdują się mapie a nazwami swojemi, zupełnie nowemi bynajmniej się nie przyczyniły do wyjaśnienia tych ciemnych nieznanych krajów. Poprzestajemy więc na ogólniejszém odznaczeniu kresów, do których dotarł Schweinfurth. W podróż ruszył on w 1869 roku z kraju Djurów i doszedł niemal do równika pod 25°52' długości wschodniej od Paryża, gdyż stanął w niewielkiem już oddaleniu od ekwatora a mianowicie pod 3°23' półn. szerokości. Zwiedził między innemi kraj Niam-Niam na południe Djurów i odbył podróż wzdłuż i w poprzek kraju Dar Fertit (między 8° a 7° półn. szer.), w którym nigdy jeszcze nie powstała noga Europejczyka. I wśród jakich to ciężkich okoliczności prowadził Schweinfurth swe naukowe prace! W grudniu 1870 goszcząc w mieście Seriba Ghattas, stracił wśród płomieni gwałtownego pożaru, który ogarnął miasto, wszystkie swoje przyrządy, narzędzia i zbiory. Szczęściem, że poprzednio już był znaczną część swych botanicznych i kranologicznych skarbów wysłał do Berlina. Stracił nawet podczas pożaru swój zegarek, który mu przez długi

czas służył do mierzenia odległości. Puścił się więc w podróż bez żadnej pomocy. Przestrzeń wymierzał krokami. Wymiarkowawszy na mokrym nadbrzeżnym piasku, że każdy krok jego wynosi przeciętnie 0,7 metra, liczył podczas drogi swoje kroki zwykle do 100 i 500. Po 5-jej setce kładł między palce rąk patyczki. 8-my patyczek oznaczał 4 tysiące kroków. W ten sposób zabezpieczał się od pomyłki i dokładnie mógł rysować mapę kraju, odległości miejsc, szerokość rzek i t. d. W Dar-Fertit zrobił Schweinfurth z górą milion kroków.

Gdyby Dr. Schweinfurth był w prostym kierunku jeszcze dalej pod równik się posunął, byłby mógł podać rękę onemu podróżnikowi, którego imię zajaśniało w rocznikach geografii takim świetnym blaskiem, że zaćmiło wiele innych głośnych nazwisk, a którego przez długi czas mniemaną śmierć opłakiwał cały świat uczony. Dr Schweinfurth byłby się spotkał na wspólnym polu puszukiwań z Drem Dawidem Livingstone; pierwszy docierał do równika od północy, drugi zaś od południa: obydwaj w kierunku jednego i tego samego południka. Livingstone żyje, Livingstone nie zginął! wieści ta z szybkością błyskawicy obiegła całą Europę, wszędzie ogólną budząc radość. I nie dziw, bo już od lat tylu (1859) znaną była działalność tego nieustraszonego podróżnika, który oczom naszym odsłonił tyle nieznanych krain środkowej Afryki, który tyle szczepów na jaw wyprowadził, o jakich nigdy wiadomości nie było. Kogóż nie zachwyciły opowieści o krajach i ludach nad Zambezi, opowieści, co nie tylko wabiły nowością przedmiotu ale oraz niewysłowionym wdziękiem małowicznego słowa (*Narrative of an expedition to the Zambezi and its tributaries. London 1865*)? Radość więc była powszechną, kiedy pierwsze do Europy nadeszły wiadomości, z których się okazało, że wieści o zamordowaniu Livingstone'a nad zachodnim brzegiem jeziora Niassa były zupełnie bezzasadne. Dzieje odszukania tyle głośnego podróżnika sprawiły, że uwaga publiczności więcej była i jest zwróconą ku temu, jakim sposobem i gdzie został odnaleziony Livingstone, aniżeli ku dziedzinie jego geograficznych odkryć. I jest to dość naturalne, bo nie każdy może mieć pod ręką dokładniejsze mapy, na których mógłby się pomiarkować wśród tysiąca najdziwniejszych nazw miejscowości w odkrytych krajach, gdy tymczasem więcej zaciekawiają w takim razie okoliczności towarzyszące odszukaniu śladów znakomitego męża. Czyniąc zadość temu usposobieniu, i my przedewszystkiem dotknijemy kilku słowami dziejów odnalezienia Livingstone'a.

Ostatnie listy, jakie pisał do Kirka konsula w Zanzibarze, datowane były z lipca 1868 roku. Odtąd nastąpiło w ciągu kilku następujących lat najzupełniejsze milczenie, które potwierdzać się zdawało wiadomości o domniemanej jego śmierci. Wielkie zasługi przez Livingstone'a położone około zbadania środkowej Afryki pobudziły w końcu współziomków do przedsięwzięcia wyprawy celem zbadania bliższych okoliczności, wśród jakiej mogła śmierć jego nastąpić. Re-

daktor New-Yorskiej gazety „Herald“ wpadł na myśl, by posłać w tamte strony korespondenta swego, Amerykanina Stanleya i przez sprawozdania jego z podróży zwrócić uwagę publiczności na wydawany przez siebie dziennik. Koszta takiej podróży, którą brał sam redaktor na swój rachunek, mogły kilka tysięcy funtów szterlingów wynosić. Nakład wrócił się, jak wiadomo, z niemalym procentem. Jednocześnie także powzięto i królewskie Towarzystwo geograficzne w Londynie zamiar wyprawienia w podobnym celu odszukania Livingstonea oddzielną ekspedycyą. Stanley popłynął na wschodni brzeg Afryki do Zanzibaru, z kąd najbliżej można było dotrzeć do miejsca, w którym w ostatnich latach bawił Livingstone. Ztąd 5 lutego 1872 roku ruszył w głąb' Afryki w kierunku jeziora Tanganjika w towarzystwie 22 żołnierzy i 82 tragarzy. Walczył z ciężkimi po drodze przeszkodami, rozruchy w Unianiembe zatrzymały go na czas dłuższy, dotarł nareszcie do Udżidzi nad wschodnim brzegiem Tanganiki i tu nastąpiło owo szczęśliwe spotkanie z Livingstonem, z którym Stanley przepędził aż do końca roku kilka miesięcy, poświęciwszy je wspólnym z nim podróżom nad brzegami wspomnianego jeziora. New-Yorski Herald pomieszczał od czasu do czasu korespondencye przesyłane z Zanzibaru a z wielką czytane ciekawością. Przed rokiem wrócił Stanley z Afryki, wydawszy opis swojej podróży i dzieje odszukania Livingstonea. Książka jego: *How I found Livingstone* (Jak znalazłem Livingstonea) została w kilka dni rozchwytaną. Przygotowują już drugie wydanie. Niestety, z pierwszego nie byliśmy w stanie korzystać. Podobno rozkupiono 10 tysięcy egzemplarzy, które niezawodnie pokryły najzupełniej koszta podróży. Z początku przyjmowano z niedowierzaniem wiadomości Stanleya o odszukaniu Livingstonea. Przypuszczano, że to jest mistyfikacya, bo w istocie własnoręcznych listów lub doniesień za pośrednictwem Stanleya nie odebrano. Niebawem jednak nadeszły długo oczekiwane listy do przyjaciół pisane, które usunęły wszelkie podejrzenia. Nadto Stanley przyjmował udział na posiedzeniach Towarzystwa geograficznego w Londynie i w sprawozdaniach ustnych złożył niezbite dowody, że był istotnie nad brzegami jeziora Tanganjika i wraz z Livingstonem podróżował. Zapalony zaś podróżnik afrykański pozostał jeszcze na czas pewien, by uzupełnić swoje poszukiwania.

Wróćmy jeszcze na chwilę do dziejów nader ciekawych ekspedycy angielskiej, z poruczenia i kosztem Tow. geograficznego podjętej. Stał na jej czele porucznik Dawson i Henn, przyjął w niej udział i Oswell syn Livingstonea. W kwietniu 1872 r. przybyli szczęśliwie do Zanzibaru; ztąd popłynęli do przeciwległej przystani handlowej Bagamoyo. Zaczęły się między naczelnikami dziwne niesnaski, nieporozumienia. Czas upływał bezowocnie. Tymczasem ku wielkiemu zdumieniu przybyli do nich słudzy Stanleya, niosąc wieść o spotkaniu się z Livingstonem. Nowe więc kłótnie między członkami angielskiej wyprawy, nareszcie przybył i Stanley; Anglicy zniechęceni, po

kilkomiesięcznej bezczynności, wrócili do Europy, niosąc z sobą miasto Livingstona, Stanleja. Było to w końcu maja roku przeszłego. Wielcy ludzie do małych rzeczy!

Poszukiwania Livingstona, o których tylko w ogólnych zarysach wiadomość dajemy, z obawy by czytelnika nie wprowadzić w labirynt ciemnych krajów, dotyczyły głównie środkowej, podrównikowej Afryki, rozciągały się na obszerne pole między 12° a 0° szerokości połud. Jestto rozległe płaskowzgórze środkowej Afryki, kraina jezior ogromnych.— Wiktoryi Niansa, leżącego na równiku, poniżej Tanganjiki, i dawniej już znanego więcéj na południe położonego Niansa. W ostatnich latach to środkowe jezioro, Tanganjika i przyległe okolice stały się główną widownią naukową działalności sławnego podróżnika. System rzek tworzący się wśród tego wodozbioru był przedmiotem szczególniejszej uwagi Livingstona. Tu śledził źródła, odnogi, rozgałęzienie rzek i przyszedł wreszcie do przekonania, że odkrył płaskowzgórze, z którego biorą początki olbrzymie rzeki Afryki Nil, Congo, Czambeze, (nie należy mieszać z rzeką Zambezi). Więc źródła Nilu są nam znane, dotychczas ukryte przed nauką, w niedoścignionej głębi! Tymczasem jednak te radośne odkrycia budzą nieufność w kołach specjalistów geografów. Petermann, znany ze swéj wielkiej nauki, po zbadaniu sprawozdania Livingstona i porównaniu innych danych, twierdzi stanowczo, że angielski podróżnik czyni zbyt śmiałe domysły co do Nilu, którego nie wysłedził w dalszym jego biegu i że raczej odszukał źródła inné, również zagadkowej co do jéj początków rzeki, Congo. Więc i nadal jeszcze źródła Nilu sfinksową pozostają zagadką.

Pole poszukiwań Livingstona, szczególniej jego pierwiastkowe nad brzegami rzeki Zambezi, graniczy poniekąd z prowincją, którą za przedmiot swoich badań wybrał drugi, nie mniej śmiały i szczęśliwy podróżnik Karol Mauch. Mauch może służyć za wzór zagorzałego podróżnika, oddanego swemu ulubionemu zajęciu z zamiłowaniem i poświęceniem istnego apostoła nauki. Już dawniej odbywał podróże po południowej Afryce niemal o własnych siłach tj. własnym kosztem, a środki posiadał i posiada bardzo ograniczone. Raz już wrócił do Europy wyczerpany zupełnie pod względem pieniężnym, pracą własną zebrał trochę grosza i znów popłynął, by wśród mozołu i ciągłych prywacyi dalej pracować dla nauki. Poniżej rzeki Zambezi nad wschodnim brzegiem Afryki, naprzeciwko wyspy Madagaskar podróżował w ostatnich latach. W końcu 1870 roku bawił w Transwalskiej Rzeczypospolitej i stąd na początku następnego roku puścił się w kierunku północno-wschodnim, przebył rzekę Limpopo, która wpada do morza zwanego kanałem Mozambique i w tych okolicach nowych zupełnie kilka gościł miesięcy, znosząc cierpliwie najróżnorodniejsze przygody. Po kilkakroć został okradziony przez swoich przewodników krajowców, przez nich porzucony, wpadał w ręce band zbójcekich, wydostał się szczęśliwie, błąkał się po kraju, nieznając języka miejscowego, nakoniec szczęśliwym trafem znalazł

godne za swe trudy wynadgrozienie. Odszukał złote pola, wypełnił swoje kieszenie drogim kruszcem, który później na pieniądze wymienił i we wrześniu 1871 roku odszukał dziwne zwaliska zamków w Zimbae czyli Zimbabwy. Miejscowość ta znaną była z dzieł portugalskich XVI wieku, gdyż Portugalczycy mieli w tych stronach (około Sofali) swoje kolonie, ale właściwie znano ją li ze słyszenia. Nikt z Portugalczyków tych zamków nie widział na własne oczy. Na pierwszą o nich wiadomość w Europie udzieloną listownie przez Maucha, powstały domysły, domniemania i śmiałe wnioski. Miał to być kraj Ofir, z kąd Salomon dostawał złoto i srebro. „Albowiem, mówią kroniki czyli Paralipomenon IX. 21, okręty królewskie chodziły na morze z sługami Hyramowymi; raz we trzy lata wracały się téż okręty z morza, przynosząc złoto i srebro, kości słoniowe, i koczkodany i pawy.“

Wróćmy jednak do rzeczy. Oto słowa wyjęte z listu Maucha, piszącego 13 września 1871 roku: „Zimbabwy leży pod 20°, 14' szer. pół i 31°, 48' dług. Od tutejszych mieszkańców dowiedziałem się, że sami dopiero od lat 40 osiedli w tych stronach, które poprzednio były zupełnie niezamieszkałe a dawniej jeszcze siedzieli tu w okolicach ruin—Barotse, którzy następnie przenieśli się dalej na północ. Oni to ze czcią religijną spoglądali na zwaliska, tak iż nawet później jeszcze przybywali tam ludzie, by się do nich modlić. Trudno jednak było odszukać to, co niegdyś stanowiło przedmiot nabożeństwa, gdyż obecni mieszkańcy do zwalisk nawet zbliżyć się nie chcą. Ogólne tu jest mniemanie, że w tych stronach niegdyś mieszkali biali ludzie i teraz jeszcze spotykają się ślady żelaznych narzędzi, których nigdy czarni nie sporządzali. Gdzie się ta biała ludność podziała, czy została wypędzoną, wymordowaną, czy przez choroby wyniszczoną, nikt tego objaśnić nie był w stanie. Tak daleko sięgają wiadomości teraźniejszych mieszkańców, zwanych Makalaka. A teraz do zwalisk. Przy pospiesznym przeglądzie na dość rozległym obszarze nie było czasu zająć się rozgrzebywaniem gruzu celem odszukania jakichś napisów, któreby o wieku i pochodzeniu zwalisk świadczyć mogły. Gdyby te gmachy byli Portugalczycy wzniesli, byłiby im niewątpliwie swoim zwyczajem nadali miano portugalskie, prawdopodobniej więc już je zastali i częściowo może je odnowili.

Zwaliska podzielić można na dwie grupy: jedne z nich sterczą na granitowej stromiej skale, drugie zaś wznoszą się na nieco wyniosłym tarasie. Przedziela je nie wielka dolina. Na szczycie skały zachowały się ślady z granitu wykutój, z płyt kamiennych ułożonej obronnej wieży, na pochyłości zaś rozrzucone są olbrzymie zwaliska. Dziś wśród tego nieładu gruzu i kamieni trudno oznaczyć, jakie mieć mogła przeznaczenie ta budowla, ale prawdopodobnym być się zdaje domysł, że tu się wznosiła niezdojta twierdza, ku czemu za skazówkę służą okrągłe i zygzakowate kształty murów. Wszystkie mury bez wyjątku składają się z granitowych kamieni, bez żadnego spojenia. Płyty spoczywają jedne na drugich. W niektórych miejscach

grubość muru wynosi od 8—10 stóp. Najciekawszy mur znajduje się na brzegu skalistego urwiska, i dziwna, na wysokość przynajmniej 30 stóp zachował się w zupełnie dobrym stanie. Na szczytach murów gdzieś tam słupy granitowe pozostały, jeden z nich odznacza się starannie rzeźbionymi ozdobami. Cała okolica, wśród której się wznoszą zwałiska, miłe sprawia wrażenie. Nie brak jej wody, jest żywną, wznosi się nad poziom morza na 4000 stóp. Poniżej niej słomianej chaty płynie strumyk ku dolinie, gdzie rośnie ryż; cieniście drzewa i ciągły powiew wiatru łagodzą skwar podzwrotnikowy; ryż i zboże uprawiają mieszkańcy, hodują owce, kozy i bydło. Dalsze poszukiwania dadzą mi możność zebrania większej liczby szczegółów.“

Nie zdaje się ulegać wątpieniu, powiada Petermann (Mittheilungen IV 125), objaśniając znaczenie odkrytych przez Maucha zwałisk, że to są szczątki dawniej kolonii, tu założonej celem zbierania złota na pobliskich złotych polach. Południowo afrykańskiemu ludowi nigdyby nie przyszło do głowy stawiać olbrzymie mury, bo nawet cesarze z Monomotapa, którzy sprowadzali z Indyi Persyi przedmioty do ozdoby swoich komnat i których książęcy zbytek nawet Portugalczycy podziwiali, mieszkali zwykle w wiejskich chatach z gliny, drzewa słomy. Również pewnem jest, że w czasie kiedy tam przybyli portugalscy żeglarze, ruiny te już istniały a co więcej, zdaje się, znali je tylko ze słyszenia. Gdyby to było dzieło dawniejszych Arabów, byłoby się zachowało o tém podanie. Ruiny te więc sięgają odległej starożytności i dość uzasadnionem wydaje się domniemanie tych, co sądzą, iż kraj ten jest owym biblijnym Ofrem nad indyjskiem morzem leżącym, z kąd Salomon, jak wyżej przytoczono, na okrętach sprowadzał złoto i srebro, kości słoniowe, koczkodany i pawy. Domniemania te jednak tak długo pozostaną, zdaniem naszym, tylko śmiaćmi domysłami, dopóki nie uda się Mauchowi odszukać napisów, coby zagadkę o pochodzeniu zwałisk w pewniejszy nieco rozwiązać mogły sposób.

Z podróży po Afryce godną jest jeszcze uwagi po kilkakroć wznawiana wycieczka na wyspę Madagaskar przez Grandidier'a, który w ciągu trzech lat (1867—1870) zgromadził niezmiernie ważny a nowy materiał, rzucający jasne światło na tę ogromną wyspę, o której, jak przekonywają próbki udzielone przez Grandidier, najbłędniejse dotychczas utrzymywały się w nauce wiadomości. Dzieło zapowiedziane przez tego podróżnika, ma się w 10—12 tomach (in quarto) ukazać, stanowić będzie istotnie epokę w literaturze geograficznej dotyczącej Madagaskaru.

Północna i zachodnia Afryka nie zwabiła do siebie w ostatnich dwóch latach głośniejszych podróżników ani też niedała pola do ożywionej działalności.

Australia pod względem podróży i odkryć w niej geograficznych, w ostatnich latach mniej była szczęśliwą od Afryki. Chyba tylko celem udogodnienia komunikacji, odszukania pastwisk dla trzód owiec, celem odnalezienia zaginionego Dr. Leichhardta przedsiębrano różnorodne wycieczki. Pod względem komunikacji godnym jest wzmianki fakt niesłychanie ważny, przeprowadzenie telegrafu, który łączy obecnie Australią z Europą. Dzieje drutów telegraficznych oswoiły nas z wielce śmiałymi pomysłami. Jeżeli można było wpaść na myśl poprowadzenia telegraficznej linii wszerz przez ocean Atlantyczny dla powiązania Europy z Ameryką, to zamiar zatknięcia słupów na stałym lądzie w pustyniach i bezludnych puszczech mniej śmiałym wydać się musi. Jeżeli pierwsze przedsięwzięcie z bogactwem techniki i dziś już doprowadziło do pewnej doskonałości sztukę umieszczania drutów na dnie morskiem, z czasem także mniej trudności do zwalczania pod powyższym względem przedstawiać będą piaszczyste knieje i stepy bezludnych krajów. W Australii istotnie trzeba było pokonywać olbrzymie przeszkody, biegłemu Stuartowi udało się dopiero za trzecim razem z nielicznym poczetem pomocników przebyć wszerz Australią od jednego do drugiego brzegu. Nieraz trzeba było brać z sobą zapasy żywności, wodę, by nie umrzeć z głodu w piaszczystej pustyni; co gorsza, wypadło nawet ciągnąć za sobą kilkanaście mil stopy telegraficzne, których dostarczyć nie mogła bezleśna okolica. A kiedy dziecko było już na ukończeniu, alisci niszczą je dzicy, podpalając stopy, albo wywracają je wezbrane podczas ulewniej pory potoki górskiej wody. Połączenie telegraficzne rozpoczęte we wrześniu 1870 roku jest już obecnie ukończone, dzięki energicznej pomocy, jaką okazał telegraficznej ekspedycji bogaty kupiec Elder z Adelaidy, z południowo-wschodniego brzegu Australii, posławszy jej śpiesznie 20 wielbłądów z żywnością i przyrządami telegraficznymi. Druty dziś idą od południa Australii na północ aż do portu Darwina, z kądem przez morze przechodzi drugi także nie dawno położony drut aż na wyspę Jawę a ztąd do Europy. Koszta budowy na lądzie stałym Australii wynoszą z górą półtora miliona talarów. Za depeszę o 20 wyrazach płaci się z Australii do Europy 64 talary.

Na wyspach oceanu Wielkiego, w Nowej Gwinei i Polinezyi Holendrzy i Anglicy przedsiębrali cząstkowe badania naukowe, założono kilka stacyj misyjnych. W literaturze dotyczącej piątej części świata ukazało się obecnie ciekawe pod każdym względem dzieło: *Ozeanien u. die Inseln der Südsee*. Leipzig 1873, z licznymi ilustracyami, które do poznania tych krajów według najnowszych badań dzielnie przyłożyć się może.

Przejdźmy w końcu do rozległej Ameryki, gdzie także jeszcze pozostało bogate dla geografii źniwo. Z obawy, by zanadto nie znużyć czytelnika tym przeglądem, co jako w kalejdoskopie najróżnorodniejsze przedstawia widoki, już się w szczegółowe wdawać nie będziemy opisywanie licznych podróży. Poprzestaniemy raczej na zwróceniu uwa-

gi na jedną z wycieczek naukowych w Północnej Ameryce, której się udało odkryć prawdziwe dziwy świata. Mówimy tu o krainie, co zjednana sobie uroczy nazwę, „krajny cudów.“ Źródłał górnego Yellowstone i Madison River, rzek wpadających do Missuri, w granicach związkowego terytorjum Montana i Wyoming w Północnej Ameryce, odkryto rozkoszne okolice, obfitujące w nieprzeliczone a wspaniałe, niewysłowione piękności natury. Już w roku 1856 jednej z ekspedycji w sąsiednie strony zostającej pod kierunkiem generała Warrena, opowiadał przewodnik cudowne rzeczy, które sprawdzić postanowiono. Zaszły rozmaite przeszkody, daremnie usiłowano przedostać się przez śnieżne szczyty przyległych gór; dopiero najnowsze czasy szczęśliwsze pod tym względem były, zdarły zasłonę z tajemniczój krainy i ukazały światu cuda natury. W roku 1869 zebrano już szczegółowsze wiadomości od śmiałych podróżników, którzy pobudzeni pogłoskami o owych okolicach, zwiedzili je i sprawozdaniami swemi sprawili to, że ze strony rządu urządzoną została wyprawa pod kierunkiem prof. Haydena geologa, celem zebrania dokładnych na miejscu wiadomości i zbadania téj krainy pod wszelkim względem. Rząd Stanów Zjednoczonych, mając na uwadze, że rozkoszna widownia wulkanicznój działalności ziemi z postępem czasu i napływem ludności mogłaby uleść zupełnemu przekształceniu, albo wpaść w ręce spekulantów, postanowił, całą przestrzeń ogłosić jako nietykalną narodową własność. Przedstawiciele narodu w obu izbach w grudniu 1871 roku silnie popierali wniosek, który ostatecznie uchwalono i całą prowincyą w około rzeki Yellowstone przyniesiono narodowi w darze. Motywa ustawy uchwalonej w marcu 1872 roku są rzeczywiście piękne, szczupłość miejsca, niestety, przytoczyć ich nam nie pozwala. Cała okolica, głosi ustawa, ma być jako park narodowy uważana. Opiekę nad nim powierzono sekretarzowi spraw wewnętrznych, który właściwe wyda rozporządzenia celem zabezpieczenia drzew, zwierzyny, źródeł, od swawolnej ręki. Przestrzeń parku wynosi 168 mil □ niem. czyli tyle, co cały Szlezwik. Znaczne nad poziom wyniesienie, dochodzące do tysiąca stóp, w skutek tego bardzo ostra zima nie sprzyjają rozwojowi rolnictwa. Stanie to również na przeszkodzie hodowli bydła. Tylko więc bogactwo minerałów mogłoby zwabić osadników w te strony, lubo szlachetnych kruszców zapewne tam niema, skoro przyległe góry wyraźnie wulkanicznym odznaczają się charakterem. Czyste, orzeźwiająjące powietrze otacza szczyty wyniosłości, burze i wichry są rzadkie, temperatura jednak obniża się niekiedy do 3° C. i żaden miesiąc w roku nie jest wolny od przymrozków.

Gorące źródła i wspaniałe fontanny wytryskującej z wnętrza ziemi wody stanowią właśnie owe cudowne zjawisko natury. Ale nietylko oko podróżnika, artyści lubować się może tym widokiem, ciepła para, gorąca woda z łona ziemi bijąca niesie ulgę cierpieniom, uzdrowia chorych, tak iż wątpić się nie godzi, że za kilka lub kilkanaście lat amerykański park narodowy nad rzeką Yellowstone stanie

się sławném miejscem, dokąd ze wszech stron świata zjeżdżać się będą ulgi potrzebujący chorzy.

Na liczne grupy rozpadają się te źródła, wodotryski, te dymiące ogniska.

W północnej części parku (pod 45° szerokości północnej między 110—111 zachodniej długości) nad rzeką Gardiner River, na pochyłości góry znajduje się jedna z najciekawszych na świecie grup gorących źródeł. Wapienny osad z pary wodnej osadza się w około na przestrzeni dwóch mil kwadratowych angielskich. W jednym miejscu wypływa strumień o sześciu stopach szerokości, o dwóch głębokości. Temperatura wody wynosi 52°—55° C. Jest to najobfitsze źródło całej okolicy. Podczas naszego tu pobytu, powiada profesor Hayden w swem tymczasowém sprawozdaniu, zebrało się tu dość znaczne grono ludzi z cierpieniami skórnymi i ci doznawszy cudownych skutków wody, nie mieli dość słów na wyrażenie swych uwielbień. Woda zdaje się pomagała także i tym osobom, które cierpiały na zadawniony wiewiór.

Od tego źródła puściliśmy się w górę po kredowych skałach i odszukaliśmy ślady dawniejszych źródeł, które niegdyś z zadziwiającą siłą czynne być musiały. Strome pagórek na przestrzeni całej mili pokryty był grubą skorupą, która mimo że na nią rosły jodły i cedry, odznaczała się jeszcze swą pierwotną, cudowną pięknoscą architektoniczną. Dostaliśmy się na szczyt góry. Tu nagle odskonił się oczom naszym widok najwspanialszego dzieła sztuki, ale nie sztuki ludzkiej, lecz samej natury. Przed nami ukazał się pagórek na 200 stóp wysoki, z wapiennych złożony osadów, piętrzący się w górę jak schody tarasu, podobny zupełnie do zamrożonej zlodowaciałej kaskady. Olsniewająca śnieżna białość góry skłoniła nas do nadania jej nazwy: White Mountain Hot Spring, czyli gorące źródło białej góry. Boczne ściany wzgórza ozdobione były licznymi wydrążeniami w półkolistym kształcie, brzegi ich sterczały niekiedy na 6—8 stóp a tak wspaniale wyrzeźbiła je ręka natury, takimi cudnymi kryształowemi upiększyła je perły, że oko podróżnika, do tego widoku przykute, oderwać się od niego nie może. Do podniesienia uroku przyczyniało się tło, białe jako śnieg a przechodzące w różne odcienia róży, szmaragdu, błękitu, którym nie dorównają najżywsze barwy anilinu.

Na szczycie wzgórza znowu wodotryski gorące, woda spływa po spadzistości, niekiedy tworzą się małe z wystającemi brzegami zbiorniki, zwłaszcza jeśli prąd wody jest silniejszy; w przeciwnym razie powstają tysiące takich wodozbiorów, które czarującą stronę widoku stanowią. Woda zawiera w sobie dużo wapna, prócz tego nieco sody, ałunu i magnezyi.

Idziemy dalej i znowu przed nami biją to na prawo, to na lewo wspaniałe wodotryski; tam wznoszą się kłęby dymu, jak gdyby w fabryczném miejscu a tu bliżej koło nas wre i kipi pod ziemią

jak w kotle. I znowu wydrążenia, w których się zbiera płynąca ze źródeł woda. Ich brzegi ujęte niby w porcelanowy wieniec o nieskalanęj czystości. W przezroczystęj wodzie łamią się promienie z kryształów siarki. W niewielkiem oddaleniu od nas gdzie-niegdzie na górze stoją samotne jodły. Między dwoma wzgórzami spotykam dolinę, w której niegdyś potężnie grały siły podziemne; dziś one w ruch wprawiają kilka źródeł bijących w górę w promieniu o 2—4 stóp. W cudownęj grze kolorów, jaka się tu przed zdumioném roztacza okiem, tkwi urok niewysłowiony. Maleńkie otwory, z których tryska woda, otacza zrąbek, jak gdyby z porcelany ułożony, ozdobiony emalią; w szerszém wiencu osiadły kryształy siarki a woda spływająca ku dolinie mieni się, jak gdyby na spodzie najszlachetniejsze spoczywały kamienie. Prócz ognistych barw minerałów tworzy sąsiednia roślinność najdelikatniejsze zielone odcienia, w źródłach bowiem znajdują się drobne rośliny, w strumyku zaś ciągną się długie jedwabiste roślinne nitki, niby z najdelikatniejszëj kaszmirskiëj wysnute wełny. Niekiedy osiadają nitki na dnie strumyka, pokrywają się wapnem, tworzą rodzaj gałązkowych krzewów, które żywo przypominają białe korale.

W dolinie samęj rzeki Yellowstone, która środkiem parku płynie, spotykamy inne nie mniej wspaniałe widoki natury. Są to wodospady, nieraz od siebie odległe zaledwie na ćwierć mili. Słowa nie są w stanie dać pojęcia o majestacie takiego obrazu, tylko oko zdoła objąć to, co natura tu przedstawia, tę piękność, godną najwyższego zachwytu. Nieco wyżej „górnęj katarakty“ płynie rzeczka przez zieloną dolinę, tocząc spokojnie i zwolna swoje wody. Z niczegoby się nie domyślił, że niebawem fale rzucą się w nieprzejrzaną przepaść, aliści nagle dolina się kończy i z wysokości 140 stóp spadają fale wody i uspokoiwszy się nieco na przestrzeni niespełna ćwierci mili, znów ze stromęj skały, z wysokości 350 stóp rzucają się w straszliwą głębinę. Woda rozpryskuje się na biało-śnieżne, do pereł podobne krople, wznoszą się mgliste obłoki, nasycające wilgocią bazaltowe ściany, na których bujna powstaje roślinność. Łoskot wód spadających rozlega się w powietrzu jak grzmot nadciągająćej zdala burzy.

Zbyt wiele wymagałoby miejsca, gdybyśmy, korzystając z obszernego sprawozdania professora Haydena, chcieli szczegółowo mówić o wszystkich pięknościach tęj cudownęj krainy. Trzebaby wzmiankę uczynić o siarczanych źródłach, o innych znowu, które wyrzucają muł na 20 stóp w górę, o stawach, jeziorach, o innych wodospadach, a wybór między temi ciekawemi przedmiotami jest prawie niepodobny. Wszystko obudza niesłychane zajęcie. Więc chyba jeszcze kilka słów o jeziorze Yellowstone, które utworzyła rzeka w niewielkiëj od swego źródła odległości w samym środku parku.

Przybyliśmy nad jezioro, słowa Haydena, i stanęliśmy obok nad brzegiem w przejrzystém miejscu gęstego jodłowego lasu.

Przed nami rozwijał się okiem nieprzejrzany obraz spokojnego wód zwierciadła, modrą odznaczającego się barwą. Wspaniały widok, jaki mi się poraz pierwszy w życiu przedstawił! Z którejkolwiek spojrziałem strony, wszędzie jednaka piękność. W przeciągu północno-południowym długość jeziora wynosi około 22 mil, szerokość miejscami od 10—15. Na łódce, którą przynieśliśmy z sobą, odbywaliśmy częste wycieczki, nieraz bawiąc się rybołóstwem. Nad zachodnim brzegiem jeziora ciągnie się na trzy mile długie pas ziemi, tryskający tysiącem źródeł gorących, lejkowate kraterki niektórych źródeł tak daleko sięgały w głąb jeziora, że niejednemu z nas udało się na wędkę złapać pstrąga i w téjże chwili ugotować go na wędce we wrzącej wodzie płynącego tuż źródła.

Professor Hayden obiecuje wydać niebawem rozprawę z naukowym wyjaśnieniem, dotyczącą wieku oraz sposobu powstania tych wulkanicznych formacji i zjawisk, zamierza przytem dać szczegółowy opis całej podróży i opis zrozumialszym uczynić przez dołączenie odpowiednich map i rysunków. Będzie to niewątpliwie wielce nauczająca praca, z której za rok w następnym przeglądzie skorzystać nie omisszamy dla dopełnienia obecnego słabego zarysu.

Teorye powstawania aerolitów.

PRZEZ

Dra Winc. Szyszło.

Aerolity czyli kamienie powietrzne, (zwane inaczéj gwiazdami spadającami, kamieniami piorunowemi, niebieskimi, księżycowemi, meteorami, bolidami, meteorytami), znane były w odległej starożytności. Już w VII wieku przed naszą erą, w kronikach chińskich znajdujemy nie wątpliwe podania o aerolitach, jak to jednogodnie stwierdzają Biot i Rémusat. W późniejszym czasie dokładne wiadomości o meteorytach, spotykamy u filozofów greckich na 470 lat przed Nar. Ch., jednakże istnienie ich naukowo stwierdżoném zostało zaledwie w końcu XVIII wieku przez fizyka Chladniego.

Przebiegając historię różnych teoryj o pochodzeniu aerolitów, przekonywamy się jak jest szkodliwą w naukowych poszukiwaniach

ślepa wiara w powagi. Arystoteles, ten istotny prawodawca starożytnej wiedzy, nie uznawał kosmicznego pochodzenia aerolitów, były to podług niego kamienie ziemskie przenoszone w miejsca odległe przez burzę powietrzną. Fałszywe te jego pojęcia, na czas długi podały w wątpliwość istnienie aerolitów. Pomimo licznych i niewątpliwych świadectw, pomimo wielu rzeczywistych dowodów, pochodzenie kosmiczne aerolitów nie było uznanem w nauce w ciągu przeszło dwudziestu wieków. „Napróżno — powiada Humboldt, — przez dwadzieścia pięć wieków kroniki historyczne wspominały o kamieniach z nieba spadłych; napróżno przytaczano ów aerolit, którego towarzysze Korteza widzieli jak spadł w Cholula na pobliską piramidę, lub owych ludzi pozabijanych przez aerolity, a mianowicie: braciszka w Kremonie 4 września 1511 roku, zakonnika w Medyolanie w 1650 roku i dwóch majtków szwedzkich w 1774 roku.“ Wszystko to poszło w niepamięć i początek kosmiczny aerolitów przed Chladni'm należał do rzędu bajecznych wymysłów wyobraźni greckiej. Wprawdzie Halley w roku 1636 przyznawał już pochodzenie kosmiczne spadającym meteorom, lecz uczeni współcześni nie zwrócili całkiem uwagi na jego teorię. Chladni zatem pierwszy ustalił w nauce przekonanie o istnieniu aerolitów i uznał je za ciała kosmiczne przybywające do nas z odległych przestrzeni. Długo jeszcze Akademia Umiejętności w Paryżu nie chciała uznać teorii Chladni'ego, dopiero wtenczas, gdy w departamencie de l'Orne dnia 26 kwietnia 1803 roku spadł olbrzymi meteor w obecności Biot'a, który zjawisko to dokładnie opisał i naukową powagą swoją zdołał wreszcie przekonać i tych członków akademii, którzy jeszcze nie uznawali kosmicznego pochodzenia aerolitów. Fałszywe uprzedzenia tak dalece były utrwalone, że wielu członków akademii sprzeciwiało się publicznemu ogłoszeniu debatów o tym przedmiocie, by nienarazić tém naukowej powagi samego zgromadzenia. Stało się to zaledwie na wyraźne żądanie samego Laplace'a.

Co się tyczy powstawania aerolitów, w tym względzie od czasów starożytnych do obecnych, różne teorie wygłaszane były o ich pochodzeniu i tworzeniu się. Jak we wszystkiem tak i tu, uderza nas głębokie i jasne zapatrywanie się na tę kwestyą filozofów greckich.

Szkola Jońska uznawała kosmiczne pochodzenie aerolitów najzupełniej zgodnie z dzisiejszemi wyobrażeniami. Anaxagoras utrzymywał, że przestrzenie niebios są usiane ciemnymi ciałami (kamieniami), mogącemi spowodować zaćmienie księżyca. Wszystkie te ciała podług niego, są oderwane od ziemi siłą obrotowego rozpędu, tak zwaną dziś siłą odśrodkową ¹⁾. W podobny sposób opisuje budowę świata Diogenes z Apolonii. Zdaniem jego, obok gwiazd widzialnych krążą w przestrzeni niebios niewidzialne, ciemne kamienie; te ostatnie podług niego mogą spadać na zie-

¹⁾ Siłę odśrodkową czyli rozpęd obrotowy, najpierwszy uznał Eupedo-
kles. Siłę dośrodkową Symplicyusz w 37 roku po narodzeniu Chrystusa.

mię. W późniejszym czasie pojęcia o aerolitach, znacznie się cofnęły wstecz, skutkiem fałszywego poglądu Arystotelesa. Od czasu epoki mędrca ze Stagiry, do końca XVIII wieku nic godnego nie zaszło w tej kwestyi. Przez dwadzieścia przeszło wieków, żadna nowa teoria nie powstała, uprzedzenia nabyte w ciągu tak długiego czasu, zamknęły oczy na istotę rzeczy. Dopiero twórca akustyki Chladni w 1794 roku podał nową teorię aerolitów. Podług niego aerolity mają pochodzenie kosmiczne i są prawdopodobnie cząstkami nieznanej nam planety, albo też niezależnie uformowanymi asteroidami, w przestrzeniach międzyplanetarnych. Opinię tę podzielał Humboldt ¹⁾ i większa część dzisiejszych uczonych, jakoto: Schreibers, Haidinger, Reichenbach, J. Rose, Büchner, Kesselmeier, Quetelet, A. Herschel, L. Smith, Ig. Domeyko (Prof. Uniw. w Chili), Bogusławski, Woehler, Th. Graham.

Inną teorię powstawania aerolitów podał Olbers w 1795 roku. Podług niego, aerolity pochodzą z księżyca skutkiem wyrzutów wulkanicznych naszego satelity. Teorię tę podzielał nieśmiertelny Laplace w 1802 roku. Wielki filozof, możliwość tego wypadku starał się matematycznymi wywodami stwierdzić. Utrzymał on, że jeśli ciała będą wyrzucone na księżycu z siłą 7,377 stóp na sekundę, wówczas ciała te nie wrócą na powrót na księżyc, lecz spadną na ziemię, (skutkiem siły przyciągania ziemi), po 70 godzinach, z prędkością półtory mili na sekundę ²⁾.

Powaga zdania znakomitego matematyka, rychło znalazła wielu zwolenników, pomiędzy innemi: Fourcroy, Berzelius, Vauquelin, Prechtl, podzielali tę opinię. Za tym jego zdaniem w części przemawiało to, że skutkiem braku atmosfery, wulkany księżyca mogą posiadać o wiele potężniejszą siłę, aniżeli to ma miejsce na ziemi. Wiadomo bowiem z obliczeń D-ra Peters'a, dokonanych na wybuchu wulkanicznym Etny, że największa prędkość wyrzucających kamieni z krateru, wynosi zaledwie 1250 stóp na sekundę. Niemniej na korzyść tej teorii przemawiało i to, że w meteorytach spada częstokroć ku nam rodzime czyste żelazo. To niejako usprawiedliwiałoby przypuszczenie Laplace'a, pochodzenia aerolitów z księżyca, gdzie brakuje całkiem wody i atmosfery. Teoria ta jednak, nie może się utrzymać w obecnym stanie nauki, już to dlatego, że wulkany na księżycu nie mogą w żaden sposób posiadać podobnej siły rzutu, już to, że aerolity spadają peryodycznie w dniach sierpniowych i listopadowych (10 sierpnia i 12 listopada); lecz najgłówniej temu się sprzeciwia

¹⁾ A. Humboldt. Cosmos, p. 121. „Wszystkie bryły meteoryczne tak dawne jak i tegoczesne, uważać należy za ułamki jądra, które się rozdzieliło przez pęknięcie.“

²⁾ Olbers jednakże nie zgadzał się na podaną przez Laplace'a prędkość, z jaką mógłby kamień wyciąć nie wrócić na księżyc. Podług niego, potrzeba do tego początkowej prędkości wynoszącej do 35,000 na sekundę.

chyżość aerolitów znacznie przewyższająca wyliczenia Laplace'a, oraz kierunek ich biegu wsteczny—od wschodu na zachód.

Bracia Deluc, opierając się na podobieństwie składu chemicznego niektórych aerolitów do masy wulkanicznej ziemskiej ¹⁾, utrzymywali, że aerolity pochodzą z wulkanów ziemi. Teorya ta, również nie mogła się utrzymać w nauce, bądź że niepodobna przypisać wulkanom takiej siły rzutu, bądź, że ich skład chemiczny całkiem jest różny od lawy wulkanicznej. Najbardziej jednak to przypuszczenie obala, stwierdzone przez znanego geologa D'Orgueil w 1867 roku, obecność płynnej materii złożonej z węgla, wodoru i tlenu, ulegającej fermentacji od ciepła ²⁾. Zatem meteoryt podobny, koniecznie musiał znajdować się w temperaturze niskiej, gdyż w przeciwnym razie, materia ta albo ulotniłaby się, lub też uległaby fermentacji.

W naszym stuleciu Egem, a w starożytności Fusinieri, utrzymywali, że aerolity są pochodzenia atmosferycznego i powstają skutkiem związków chemicznych, dokonywających się w górnych strefach naszej atmosfery. Za zdaniem Egem'a, przemawiała nieco ta okoliczność, że układ krystaliczny niektórych aerolitów zbliżony jest bardzo do naszych minerałów. Takim jest aerolit z Juwenas, zawierający w sobie kryształy drobnoziarniste, złożone z perydotu, piroxenu i labradoru. Nie możemy jednak, jak słusznie zauważył Newton ³⁾, przyznawać wyłącznie niklowi, żelazu, perydotowi i piroxenowi, aerolitów, cechy wyłączne ciał ziemskich. Teorya Egem'a w dzisiejszym stanie wiedzy przyrodniczej nie ma podstawy naukowej. Znaczna wysokość w jakiej postrzegać się dają bolidy (kule ogniste), przemawia przeciwko teorii Egem'a. Niemniej ważnym zarzutem przeciwko tej teorii jest niezmierna chyżość biegu, z jaką spadają aerolity. Chyżości takiej nigdy by nie mogły nabyć ciała spadające na ziemię z jej własnej atmosfery. Również nie zgadza się z tą teorią, znajduwane w meteorytach czyste rodzime żelazo, którego całkiem brakuje na ziemi, i które w tym stanie pozostałoby nie mogło w obec tlenu powietrza.

Przenoszenie się zaś aerolitów z planety na planetę, jako też tworzenie się ich skutkiem wpływów magnetycznych słońca, jak to niektó-

¹⁾ To się odnosi szczególnie do niektórych związków krzemionkowych oliwину, labradoru etc.

²⁾ Daubrée, Progrès de la Géologie. 1867, str. 114. „La presence du charbon à l'état de combinaison oxy-hydrogénée et analogue à celles qui resultent de la décomposition des matières végétales, a conduit à recherches, si les météorites charbonneuses ne renfermeraient des restes ayant appartenu à des êtres vivants.“

³⁾ Turnor opisując pamiętniki Newtona powiada: „he took all the planets, to be composed of the same matter with this earth, but variously concocted.“

rzy sądzą, niemożliwem jest z przyczyny przewagi siły ciężenia do środka planety, nad wpływami magnetycznymi słońca, mogącego li tylko oddziaływać na całą masę planety, nie zaś na oddzielne jej cząsteczki unoszące się w powietrzu. Takie interweniowanie siły magnetycznej słońca nie ma miejsca. Cząsteczki ziemi, unoszące się w powietrzu są pod wyłącznym wpływem ziemi i słońce im tylko może nadawać nowe życie na téjże saméj ziemi.

Przed niedawnymi jeszcze czasy hipoteza Chladni'ego utrzymywała się w nauce w braku innéj pewniejszój, nie możemy tego powiedzieć o teraźniejszym stanie téj wiedzy. Nauka dziś jest już na drodze stanowczego wyjaśnienia téj kwestyi.

Już przed kilkadziesiątu laty A. Humboldt utrzymywał, że „jest wielkiem prawdopodobieństwem, iż większa część tych ciał kosmicznych w biegu swoim przelatuje blisko naszej atmosfery, a potém dalszy bieg odbywa na około słońca, nie doznawszy innego wpływu od przyciągania ziemi, prócz zmiany w mimosrodzie ich drogi.“ W ten sam sposób wyrażał się Arago. „Potwierdza się zatém, mówił on, coraz więcej, bytność pierścienia złożonego z milionów drobnych ciał, których drogi spotykają płaszczyznę ekliptyki około punktu, w którym się ziemia znajduje corocznie między dniem 9 a 11 sierpnia i 11 a 13 listopada. Jestto nowy świat planetarny, który się nam zaczyna objawiać.“ Zdanie to w zupełności podzielał astronom Faye, który nadto przypuszczał: że przy przejściu ziemi przez pierścień asteroidów w miesiącach sierpniu i listopadzie, jedne z tych ciał padają na ziemię, inne zaś stają się rzeczywistemi jej satelitami. Tym sposobem wybornie dałoby się wytłumaczyć codzienne ukazywanie się gwiazd spadających. Zważywszy wszakże, na niezmierną szybkość ruchu aerolitów przechodzącą w dwójnasób szybkość ruchu ziemi na około słońca, musimy odrzucić hipotezę francuzkiego astronoma; szybkości bowiem podobnej nie mogłyby nigdy nabyć ciała będące satelitami ziemi.

Niejasne domysły Humboldt'a, Arago i Faye'go znalazły dziś wyjaśnienie w teorii astronoma włoskiego Schiaparelli'ego, jedynéj która nam dziś tłumaczy powstawanie aerolitów. Zdaniem jego, aerolity i gwiazdy spadające tworzą się z obłoczków kosmicznych będących treścią komet. Pierścień zatém o którym mówi Arago, nie jest czém inném jak tylko masą kometarną, którój forma, skutkiem siły ciężenia do słońca, przyjęła odmienny kształt wydłużony i droga jej (o rozciągniętéj elipsie) przecina drogę ziemi, powodując wówczas zjawisko spadania gwiazd. Jeżeli pierścień kometarny jest całkowicie zamknięty, wówczas zjawiska spadających gwiazd będą się ponawiały co rok regularnie w czasie przejścia ziemi przez drogę kometarną, w przeciwnym razie nastąpi to tylko wtedy, gdy punkt przecięcia drogi ziemskój z drogą komety wypadnie w miejscu, masą kometarną zapelnioném. Schiaparelli zastanawiając się nad przyczynami peryodycznego ukazywania się gwiazd spadających tak zwanych perseidów i leonidów (w miesiącach sierpniu i listopadzie), spostrzegł ścisły stosunek pomiędzy drogami perseidów i leonidów, a drogami komet z r. 1862 i 1866. Wypadek ten doprowadził go do wniosku, że

komety są właściwie jedynem źródłem gwiazd spadających, meteorów i kamieni meteorycznych. Teorya ta znalazła znakomite potwierdzenie w deszczu gwiazdzistym, w d. 27 listopada w r. zeszłym, który podług spostrzeżeń astronomów Secchi'ego i Gallégo pochodził skutkiem przejścia ziemi przez masę komety Biela. Za pomocą tej teoryi pojąć możemy wiele zjawisk przedtem niezrozumianych, jak na przykład zmniejszanie się, a nawet znikanie niektórych komet, jak również peryodyczność w ukazywaniu się gwiazd spadających i meteorów.

Przy spadnięciu meteorów towarzyszą zwykle zjawiska świetlne skutkiem silnego ich ogrzania się. Jeśli to bywa w nocy, wtedy meteory oświetlają daleką przestrzeń na wzór słońca i można je obserwować na przestrzeni 500 wiorst i więcej. Wypadek podobny miał miejsce we Francyi w 1864 r. Meteor z Tarn et Garonne, był widzialny w departamencie Eure (Gisors), również świetny meteor spadł w naszym kraju w 1868 r. jest tego dowodem. Podobne kule ogniste (bolidy) wszedłszy do naszej atmosfery przebiegają ją z niezmierną szybkością dochodzącą podług obliczeń p. D'Orgueil, do 30 wiorst na sekundę. Brandes i Benzenberg prędkość ich biegu podnoszą od $4\frac{1}{2}$ do 9 mil geograficznych; wyrównywiają zatem w prędkości biegu zwykłym planetom. Aerolity bardzo rzadko spadają przy pogodnym niebie, zwykle ukazanie się ich poprzedza czarna, gęsta chmura, z której wypadają rozgrzane lub rozpalone kamienie. Objawy światła przy spadaniu meteorów trwają zaledwie kilka minut i następnie meteor gaśnie, wydając jednocześnie straszliwy grzmot na podobieństwo strzałów działowych. Wówczas meteor rozpada się na części skutkiem raptownego przejścia niektórych jego pierwiastków w stan lotny i padając na ziemię, zagłębia się w niej częstokroć na kilka stóp a niekiedy na kilkanaście.

Przy spadaniu bolidów zdarza się nieraz, że części ich odlatują w górę i nikną dla oczu postrzegacza. Ztąd Ohladni utworzył dziwną hipotezę o wznoszeniu aerolitów z dołu w górę napowrót. Zależy to podług niego skutkiem oddziaływania rozmaitej gęstości warstw powietrza. Obserwacje jednak Bessel'a wykazały niewłaściwość takiego zapatrywania się. Sprawdzone bowiem, że to zniknięcie jednego i tegoż samego meteoru, bywa niejednostajne dla każdego obserwującego na odległych od siebie przestrzeniach.

Analiza chemiczna dokonana przez Berzelius'a, Boussingault'a i D'Orgueil'a, wykazała dotąd 22 ciał pierwiastkowych, a mianowicie: 1) żelazo, 2) krzem, 3) nikiel, 4) magnez, 5) siarkę, 6) tlen, 7) wodór, 8) węgiel, 9) i 10) tlenki chromu i manganu, 11) wapń, 12) glin, 13) sól, 14) potas, 15) miedź, 16) chlor (kwas solny), 17) cynę, 18) arsen, 19) fosfor, 20) azot, 21) tytan i 22) kobalt. Te z nich które są wyłącznie złożone z żelaza i niklu, nazywają się meteorytami, inne zaś mające skład chemiczny bardziej złożony zowią się aerolitami.

Wykrycie w aerolitach azotu przez Berzelius'a i Boussingault'a jak również węgla i wodoru, w żelaznym meteorycie, przez Reichenbach'a i Th. Graham w r. 1867, wywołało wielką dyskusję pomię-

dzy przyrodnikami. Trzymając się dawnych fałszywych poglądów przyrodnicy uznawali azot, wodór i węgiel, za pierwiastki organiczne, i nie chcieli przez pewien czas uznać ich pochodzenia kosmicznego. Grafit meteoryczny zawierający w sobie te pierwiastki, uważanym był jako grafit nasz zwyczajny pochodzenia ziemskiego. Wątpliwości te niedługo trwały. Reichenbach badając grafit meteoryczny i porównując go z grafitem ziemnym wykazał ogromną różnicę w ich gatunkowym ciężarze. Wówczas gdy ciężar grafitu ziemnego nie przechodzi nigdy 2,50; ciężar zaś grafitu meteorycznego równa się 3,56. Nieco później znaleziono oddzielne kawałki węgla pogrążone w massie żelaza meteorycznego, odtąd kosmiczne pochodzenie grafitu nie podlega już kwestyi.

Stosownie do składu chemicznego aerolitów zmienia się ich gatunkowy ciężar. Wszelkie jednak możliwe zmiany tego ciężaru są zawarte w granicach między 3—8. Widzimy zatem że kamienie powietrzne zawsze są cięższe od naszych, ponieważ gatunkowy ciężar ziemnego granitu wynosi zaledwie $2\frac{1}{2}$.

Aerolity spadają w znacznej ilości na ziemię; francuzki geolog Daubrée ¹⁾, przypuszcza średnio do 700 aerolitów w ciągu roku. To obliczenie zgadza się z podanem już poprzednio przez Schreiber'sa. Olbers, podnosi liczbę spadających meteorów do 6-ciu na godzinę; Quetelet podaje 8; Reichenbach zaś oblicza przecięciowo na wiele milionów w ciągu roku.

Największy meteoryt żelazny obserwował Pallas w swój podróży na Syberyi w pobliżu Krasnojarska,—wnosił on kilkadziesiąt pudów żelaza. Największy dotąd aerolit, ważący około 14,000 funtów, spadł w Brazylii. W starożytnych kronikach historycznych, spotykamy wzmiankę o olbrzymiej bryle spadłej w Aegos Patamos (w Grecyi), o której zgodnie wspominają: Plutarch, Diogenes i Anaxagoras. Arystoteles jednak, nie uznał kosmicznego pochodzenia tej bryły i widział w tym niezaprzeczoną fankie, tylko kamień uniesiony przez burzę.

W naszym kraju niejednokrotnie spadały kamienie meteoryczne. Prawdziwy deszcz kamienny spadł w 1776 roku na Wołyniu w pobliżu Owruca. W powiecie Dynaburskim w 1820 r. 12 lipca, w majątku Lüksne spadł kamień ważący 40 funtów; wreszcie pamiętny wszystkim ostatni meteor w 1868 r., który na znacznej przestrzeni usypał ziemię ułamkami swemi.

Meteorytów kopalnych dotąd nigdzie nie odkryto; nie przemawia to jednak wcale, żeby w dawnych czasach geologicznych, kamienie meteoryczne nie spadały. Przypisać to raczej należy ubóstwu naszych paleontologicznych zbiorów, i nie licznym jeszcze poszukiwaniom geologicznym.

¹⁾ Daubrée. Progrès de la Géologie. 1867.

W starożytności i wiekach średnich, mówiono wiele o spadaniu żab, materyj galaretowatych, lub innych mass organicznych ¹⁾; przekonano się jednak obecnie, że tego rodzaju badania policzyć należy do bajek w dziedzinie meteorologii, którym już dziś nikt nie uwierzy. U Greków było nawet podanie o lwie spadłym z księżycą w Nemei. Zdaje się że opinię tę podzielał i filozof z Klazomeny Anaxagoras.

Spadanie aerolitów w tak znacznej ilości w ciągu długich geologicznych okresów, musiałoby spowodować widoczną zmianę obwodu ziemi a tém samym i różnicę naszej doby. Powolnie działająca ta przyczyna w ciągu wielu tysiącleci milionów lat, powiększyłaby niewątpliwie masę ziemi. Podług zaś praw mechaniki niebieskiej, powiększona masa ziemi, powinna by proporcjonalnie mieć powiększoną siłę ciężenia. Skutkiem tego nastąpiłoby przyspieszenie średniego obiegu naszego satelity i droga eliptyczna księżycą, doznawałaby znacznej zmiany przechodząc stopniowo w kołową.

Tymczasem obliczenia dokonane przez wielkiego matematyka Laplace'a, na ruchu księżycą, wykazały że od 2,000 lat nasza doba nie zmieniła się ani na $\frac{1}{100}$ część sekundy. Z tego wynika, że stosunek oddziaływania ziemi na księżyc w ciągu tego czasu nie uległ najmniejszej zmianie.

Być może że ta równowaga zachowuje się skutkiem padania podobnych meteorów na księżyc, słońce i inne planety, być może zależy to od innych przyczyn: wiedzieć nie możemy. W ścisłych naukach lepiej jest przyznać się do niewiadomości, aniżeli budować wątpliwe hipotezy.

¹⁾ Mamy tu na względzie spadanie żab uznawane fałszywie za zjawisko kosmiczne; wypadek ten istotnie ma miejsce, lecz zależy wyłącznie od przyczyn tellurycznych.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

NAUKOWA, LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Korrespondencya Henryka Regnault, wydana przez Artura Duparc.—Ruch dramatyczny w tegoczesnej Grecyi.—Komedye Angelos Wlachos: *Córka Epi-syera*, *Zasadzka na zięcia*, *Małżeństwo w skutek deszczu*, *Kapitan gwardyi narodowej*.—Teatr turecki Karagueis.—Przekład Moliera przez Achmed Vefik Effendi.—Protestacya profesora Francka przeciw germanizowaniu szkół francuskich.—Nowy kierunek sztuki dramatycznej we Francyi: zdanie p. St. Reni Taillandier.—Odwiedziny w pracowni malarza, dramacik Franciszka Coppée.

Z pomiędzy nowych publikacyj francuskich wybieramy dziś najsympatyczniejszą i najżywotniejszą; mówimy tu o listach Regnaulta, młodego malarza poległego pod Buzenvalem, w którym Francya prze-czuwała twórcę nowej szkoły. Nieraz już mówiliśmy o tym ge-nialnym młodzianie; wróćmy się jeszcze do niego z powodu tych dziwnie pięknych listów, godnych zaprawdę stanąć obok listów pani de Sévigné, a według nas, o tyle bardziej zajmujących, że widzimy w nich nie świat dworski Ludwika XIV z jego sztucznym blaskiem, ale wewnątrzny świat młodego artysty, zakochanego w ideale, uga-niającego piękno z zapałem i niezmordowaną wytrwałością.

Wartość listów Regnaulta stanowi głównie to, że pisane tak sobie, bez najmniejszej pretensyi, z całą szczerością i prostotą. Nie znaleźć w nich ani jednego sztucznie obmyślonego frazesu; prawdziwy to zdroj żywej wody, świeży, wonny, pełen siły odradzają-ciej. W czasach dzisiejszej posuchy literackiej, gdzie częstokroć jałowość myśli zastępują sztuczne frazesa, te listy prawdziwym są skarbem; uczyć bowiem, jak pisać aby poruszyć serca czytelników. Ale żeby tak pisać jak Regnault, potrzeba mieć jak on, duszę peł-ną zapału, wiary i uczucia, wylewającego się mimowoli na zewnątrz; potrzeba, jak on rzucać na papier gorące słowa, nie wiedząc o tém, że się pisze..... do druku!

Nie sama tylko psychiczna strona czyni listy młodego ma-larza tak dziwnie zajmującemi. Uderza nas samodzielny pogląd

jego na sztukę; sąd o wielkich mistrzach włoskich i hiszpańskich, których badał na miejscu, tak w Rzymie jak w Madrycie. Porywa nas młodzieńczy jego zapał w obec nieśmiertelnych arcydzieł geniuszu ludzkiego. Tęm bardziej oceniamy ten zapał, tę miłość prawdziwego piękna, że dziś niestety nowy prąd pcha młodych artystów na bezdroża, zwane przez nich nowymi drogami.

Jeśli kto odkrył dziś nowe drogi w malarstwie, to niewątpliwie Regnault, który harmonię kolorów podniósł do tak idealnej potęgi. Zobaczymy przecież z jakim uniesieniem mówi artysta o mistrzach włoskich XVI wieku, jak się czuje upokorzonym w obec stał Rafaela, w obec fresków Michała Anioła w kaplicy Sykstyńskiej. A jednakże Henryk Regnault zarówno z towarzyszami słuchał w akademi sztuk pięknych wykładu profesora estetyki Taina; a jednak o młode jego ucho odbijały się słowa tak ponętne dla zarozumiałości młodzieńczej: że każdy uczeń sztuk pięknych przerósł dziś głową Rafaela, bo dobywa ideał z życia, z ziemi, nie szukając go w błękitach, poza obrębem ziemskiej rzeczywistości, jak to czynił mistrz włoski. Słowa te, przebrzmiały nad młodym artystą, jak mroźny wiatr przebrzmiewa bez śladu nad rozwijającym się pączkiem, tak pełnym siły żywotnej, że mu nie zaszkodzić nie może.

Wydawca tych prześlicznych listów pan Duparc dopełnił je szczegółami z życia artysty. Nie będziemy powtarzać tych szczegółów, wiele z nich bowiem zapisaliśmy natychmiast po śmierci Regnaulta, inne podczas wystawy jego utworów, które podziwialiśmy zeszłej wiosny w Paryżu. Damy tu tylko niektóre ustępy z owych listów, żywo malujących tę piękną duszę, pełną zapału i prawdziwej poezji.

Dwudziesto dwu letni młodzian po dwakroć już próbował sił w obrazach konkursowych, pragnąc zdobyć sobie stypendyum rzymskie. Prózne zabiegil! Areopag artystów zauważył jego *Weturę przed Koryolanem i Orfeusza wydzierającego Eurydykę z piekieł*, ale nie dał spodziewanej nagrody. Niepodległy umysł nie mógł napiąć się do wymaganych formulek szkolnych; zanadto odstępował od programu. Zresztą przedmioty same nie dosyć porywały wyobraźnię artysty, aby wykrzesać z niej twórczą iskrę. Po dwukrotnym zawodzie Regnault nie traci energii, skupia się w duchu, przeistacza niejako, jak kryzalida nim zmieni się w motyla. Ten dziwny stan duszy maluje on wybornie w liście z 1865 r.

„Szczególna metamorfoza odbywa się we mnie. Stałem się rozmarzony, zamknięty. Dlaczego? nie wiem. Chciałbym otoczyć się tym obłokiem, co niewidzialnym czynił Eneasza. Często nie mogę mówić. Jakżebym rad, aby drodzy moi chcieli zrozumieć to milczenie! Jestem jak ów biedny nietoperz, co w dzień biały szamocze się i rozбивa po kątach“.

„W miarę jak badam słowo sztuki, tak bogate i nie skończono-
ne w różności swojej, mowa powszednia jest mi nieznośną. Ra-

zi mnie jój proza, jój brzydota. O gdybyż to, gdyby artyści i poeci mogli usłać sobie gniazdo wysoko powyżej chmur i tam chronić się w chwilach natchnienia! Szmer świata nie zmąciłby tam ciszy, dym ziemski nie zbrudził przezystego błękitu; dźwięk tylko dzwonów, potrącająco z lekka powietrzne sfery, dopełniałby cudownej harmonii.“

„Dziwnaż to dla mnie chwila! Pragnę podnieść się w sztuce o szczebel wyżej, a czuję w sobie niemoc. Światy nieznane dotąd roztaczają się przedemną, wierzchołki gór wychylają czoła z poza chmury, promień słońca rozświeca mi ciemne otchłanie; czuję się jakby wtajemniczonym w nowe cuda; wzrok mój nie zniesie takich blasków: nie starczy tchu w mój piersi! Wznoszę się, rosnę, lecz odkrywam więcej, niż ogarnie moja pierś i żrenica“.

W takiemto usposobieniu ducha zabrał się młodzian do trzeciej pracy konkursowej. Przedmiotem jój była scena z Iliady: *Thetis przynosząca oręż Achillesowi*. Wywiązał się z ogólnem podziwieniem. Sąd jednomyślnie przyznał mu złoty medal i stypendyum rzymskie.

Upojony radością, zużony pracą, laureat wyjeżdża na brzegi Bretanii. Chce pełną odetchnąć piersią, ożywozém powietrzem Atlantyku. W kilka dni po wyjeździe otrzymuje telegram; ojciec donosi, że matka ciężko chora. Przybiega co tchu, niestety za późno! już nie zastaje żywej! Bolesć syna objawia się w dziwnie przejmującym sposob.

„Nie znałeś matki mojej—pisze do przyjaciela—szkoda, wielka szkoda! Nie przyszło mi nigdy na myśl, że mogę ją kiedyś utracić. Widziałem w niej istotę tak wzniosłą, tak prawdziwie uduchowioną, że nie przypuszczałem, aby miała uleść powszechnym prawom. 4 września odjeżdżałem do Bretanii. Ucałowałem drogą matkę; rzekłem: do rychłego widzenia! Ona zalecała mi, abym nie bawił długo, skoro za trzy miesiące mam się puścić w podróż do Rzymu. Pisała do mnie codzień: ostatni list był krótki. Nazajutrz siostra doniosła o chorobie, we dwa dni ojciec wezwał mnie telegrafem“!

W następnym miesiącu Regnault utracił ukochaną ciotkę. Bolesnie dotknął go nowy cios obok nie zagojonej rany.

„Przyslij mi długi list—pisze do przyjaciela—ty wiesz, jak to smutno, kiedy pustki robią się w domu, kiedy widzisz dwa opróżnione fotele u ogniska, dwa nie zajęte miejsca u stołu; kiedy nie masz matki, aby zrana powitać ją słodkim uściskiem, wieczorem powiedzieć jój dobranoc.“

„Odjeżdżam za dwa miesiące: kto mnie pożegna, kto pobłogosławi? a kiedy powrócę, kogóż tak uszczęśliwi mój powrót, jakby uszczęśliwił matkę drogą?“

Wyjechał Regnault do Rzymu 2 marca 1867. Podróż odbył razem ze znakomitym malarzem Hebert, nowomianowanym dyre-

ktorem szkoły francuzkiej w Rzymie. W drodze zwiedzał pilnie arcydzieła pędzla, dłuta i architektury, rozrzucone po miastach włoskich: Genui, Florencyi i t. p. Wszystko co widzi porywa go, zachwyca; listy do ojca, brata i przyjaciół tchną najwyższym zapałem.

Przed podróżą Regnault wczytywał się pilnie w dzieje starożytnéj Romy, téj wielowładnéj pani i mistrzyni świata. Prze czytane księgi tak nastroiły bujną jego wyobraźnię, wystawiał sobie coś tak tytanicznego, tak nadzwyczajnego, że wobec rzeczywistości wszystko tu zmalało w jego oczach. Zobaczmy, jak kreśli pierwsze wrażenie w liście do przyjaciela.

„Z poszanowaniem stąpałem po tych ulicach, po tych placach, gdzie każdy kamień opowiada jakiś tryumf lub zbrodnię. Ale dziwiły mnie szczupłe rozmiary tych gmachów, które myśl moja dostrajała do miary wspomnień, jakie uprzytomniają. Łuk tryumfalny Tytusa wydał się w oczach moich dziećcem bawidełkiem, obok tego łuku jaki zbudowałem był w mojej głowie. Ta droga tryumfalna prowadząca kręto na Kapitol, zdziwiła mnie tylko nędznym rozmiarem swoim. Nie pojmuję zaprawdę, jak po téj nikczemnej drodze stąpały Maryusze i Cezary!

„Nie mogę téż zrozumieć jakim sposobem lud rzymski, pan świata, mógł poprzestać na tém małym forum; jak te olbrzymobohatery nie porozbijały sobie czaszek pod łukami owych bram tryumfalnych, jak o ciasne ich ściany nie pokruszyły się trofea, nie podusiły te trzody niewolników, przykute do woza zwycięzcy! Samo Kolisseum tylko odpowiada ideałowi wielkości, jaki pojmuje dusza moja.“

W obec pomników starożytnego Rzymu, artysta ściga myślą olbrzymie pomniki architektury egipskiej i assyryjskiej, przypomina sławny mur Niniwy, po którym dwadzieścia wozów mogło toczyć się rzędem, przypomina stare świątynie indyjskie o 20-tu piętrach i nieprzeliczonych tarasach. I myśl jego zwraca się mimo woli w ów zaczarowany świat Wschodu, który miał się stać najgorętszym celem jego pragnień.

Inaczej przecież działa na artystę widok arcydzieł chrześcijańskiej sztuki. Oto ustęp z listu nakreślonego pod pierwszym wrażeniem.

„Wychodzę z Watykanu. Padłem na twarz przed freskami kaplicy Sykstyńskiej i przed *stanzami*. Jestem przygnębiony. Wobec tego olbrzyma Michała Anioła trudno mi odetchnąć. Jego sufit ugodził mnie piorunem. Utwór ten przechodzi wszystko, cokolwiek wymarzy myśl rzeźbiarza, malarza i poety.“

Z każdym dniem po każdych odwiedzinach wyrasta podziw jego dla Michała Anioła. Ale widok arcydzieł Buonarottiego nie dodaje mu bodźca, przeciwnie napełnia go trwogą. Michał Anioł to w oczach Regnaulta jakiś straszny czarodziej! „Nie śmiem go dotknąć—mówi—żeby płomień nie buchnął nagle i nie spalił mnie na proch.“

„Zwiedziłem stanze Rafeala—pisze dalej—zacząłem od bitwy Konstantyna. Ten utwór nie zachwycił mnie: zapchaany, bez efektu; później znajduję w nim pewnie mnóstwo pięknych szczegółów. Zresztą malował to Julio Romano; łatwo to zgadnąć, gdy przychodzimy do Heliodora, Attyli i innych *stanzów* wykonanych ręką samego mistrza. Przepyszne rzeczy! wielki to olbrzym ten Rafael.“

Z większym przecież uniesieniem Regnault podziwia Buonarrotiego. Łatwo to zrozumieć. Młodzian zuchwały w pomysłach, dziki nawet, lepiej mógł pojąć potęgę Michała Anioła, niż idealny urok Rafaela.

Bazylika św. Piotra wydała się w oczach jego zbyt małą: podczas uroczystości wielkanocnych, dopiero zrozumiał on całą jej piękność. Z zachwyceniem pisze do ojca: „Stałem w sieni, kiedy wielkie drzwi otworzono. Promienie słońca przedzierając się przez kłęby dymu, oświecały wnętrze świątyni jakby ogniem bengalskim i w dwójnasób powiększały jej rozmiar. Środkiem nawy szła ku nam procesja kardynałów i biskupów wszelkich narodowości, na czele orszaku niesiono papieża na tronie pod purpurową zasłoną. Nie widziałem nic piękniejszego tak pod względem religijnym, jak artystycznym. Chwila ta nie wyjdzie mi z pamięci.“

Nasyciwszy oczy widokiem arcydzieł, Regnault zabiera się do pracy. Wkrótce wysłał do Paryża portret kobiety ogromnych rozmiarów. Portret ten zwrócił powszechną uwagę na wystawie 1868 r. krytycy jęli krzyczeć kopię. Teofil Gautier stanął silnie po stronie artysty, podziwiając harmonią kolorytu i bogactwo draperyj. Paul St. Victor wystąpił przeciw niemu. Co w oczach pierwszego było twórczą samodzielnością, drugi nazwał ekscentrycznym kaprysem.

Wszystkie dzienniki biorą udział w tej sprawie: jedne podnoszą Regnaulta pod niebiosa, drugie strącają go do rzędu pospolitych bazgraczy, odmawiając mu nie tylko talentu, lecz zdrowego nawet rozsądku. I cóż odpowie na to młodzian? Zobaczmy list do przyjaciela.

„Naszem prawem nie jest zdrowy rozsądek, ale fantazya. A jeżeli *absurdum* ma nas doprowadzić do celu, pytam, czemu strzedz się tego *absurdum*? Gdybyśmy rozmowali w malarstwie, mój Boże, któżby śmiał dotknąć pędzla? Rozmowanie oziębia tylko zapał, staje nam kamieniem na drodze! Chceszli rozumować, patrząc na arcydzieła mistrzów? Znajdziesz tam mnóstwo rzeczy, które są, bo są tak sobie bez przyczyny. Dobrze z nimi i koniec na tém! Sztuka powinna przedewszystkiem słuchać głosu uczucia i śmiało stawiać czoło rozumowaniu.“

Sędziowie nie przyznają medalu; nie zraza to młodego artysty. Jako stypendysta szkoły rzymskiej obowiązany w ciągu czteroletniego kursu posyłać co rok nowy utwór do paryzkiej akademii sztuk pięknych, obiera przedmiot z podań greckich: *Automedona wiodącego boskie konie Achillesowi*. Zobaczmy jak sam opisuje ten obraz.

„Niebo całe pokryte chmurami, wały morza barwy ołowianej jeżą się już i kipią. Błady promień słońca pada na stromą skałę. Konie odgadują, że bohater powiedzie je do boju, że bój ten będzie ostatnim. Szarpia się też i wydzierają z rąk Automedona. Jeden z nich staje dębem; niby czarne widmo odbija na tle chmury.“

„Wiele pracowałem tej zimy—pisze młodzian—lecz bez wielkiej korzyści. Ale gromadzę pilnie zasoby, kto wie, może kiedyś wyjdzie coś z tego odmetu. Po moich rozhukanych biegunach i niebie pochmurnem, chciałem odtworzyć miękkie kształty niewieście i błyskawicę złotych warkoczów amerykanki. Pracowałem, szukałem, lecz napróżno!“

Kiedy Regnault pracuje w Rzymie, rozbiega się po Paryżu wieść, że go zamordowano. Telegramy sypią się jak grad. Dowody troskliwości poruszają młodziana, odpowiada przyjacielowi listem humorystycznym:

„Wdzięczny ci jestem za zamartwienie, jakie ci sprawiła śmierć moja: widzę z radością, że nie sam tylko czarny charcik poszedłby za moim pogrzebem. Cieszy mnie to tém mocniej, że nigdy nie czułem się mniej umarłym i zamordowanym jak teraz. Nie pojmuję do prawdy, czemu by kto chciał mnie mordować? Chyba znęciłyby kogo *siedm sous* pozostałe z miesiąca. Nie lękam się zazdrości mężów, pomsty ojców i braci, bo odkąd jestem we Włoszech, nie wiem nawet czy tu są kobiety? Musiałaby jakiś jakaś pomyłka, a ja takiej pomyłki wcale nie chcę. Kiedy kolega L. pokazał mi depeszę, ani się domyślałem, że w Paryżu śpiewają *de profundis* na moję intencję. Aż tu drugą przynosi mi dyrektor. Gdyby nadeszła jeszcze trzecia, byłbym w końcu uwierzył iż mnie zamordowano.“

Wkrótce potem rozchodzi się wieść w Rzymie o gwałtownym wybuchu Wezuwiusza. Młody Regnault pośpiesza na miejsce z kolegami. Party ciekawością, przez stopy gorącego popiołu dociera jak może najwyżej: „Oudny widok—pisze do ojca z zachwyceniem. Co 10 minut krater wyrzuca z siebie czarny słup, podobien do olbrzymiego drzewa, rozświetlony tysiącem ognistych kamieni, które spadają z hukiem, tocząc się po gładkiej pochyłości. Najpiękniejszy to bukiet fajerwerku, jaki w życiu widziałem!“

List ten pełen ciekawych szczegółów, drukowany był w Monitorze. W parę dni przeczytał go młody Regnault, ujrzał podpisane nazwisko swoje.

„Tyżeś tu ojciec podał list mój do druku?—pisze z oburzeniem. To być nie może! Ktoś go porwał bez wiedzy twojej. Wściekam się! Możnaż tak ośmieszyć kogo? Tego mi tylko brakowało. Biada mi! zostałem dziennikarzem.“

Inne dzienniki powtórzą ten list z Monitora! Powie kto, że zajmuję świat sobą, że rozgłosiłem z umysłu wieść o mojej śmierci, aby zwrócić uwagę na obraz, który gotuję na wystawę.“

Coby rzekł biedny Regnault gdyby przewidział, że wszystkie listy jego będą kiedyś w ręku publiczności, że wszystkie dzienniki stokroć będą powtarzać jego imię.

Z pomiędzy mnóstwa listów datowanych z Rzymu, czytamy jeden pisany do stariej niewidomej babki. Jakaż w nim prostota, jak głębokie uczucie. Tu nie przemawia już artysta, ale kochający, pieszczony jak widać wnuczek. Donosi o swoim zdrowiu, o sposobie życia, o godzinach śniadania i obiadu, o przejażdżkach kołno, słowem o wszystkim co może zaspokoić serce babuni. Nie pisze aby zbyć z obowiązku, przeciwnie zatrzymuje się nad każdym szczegółem; list to najdłuższy może z całego zbioru.

Z jakąż boleścią dowiaduje się młodzian w kilka tygodni potem, że niewidoma babunia już nie żyje; jak rzewnie oplakuje stratę.

„Oios za ciosem—pisze do ojca—dotyka biedną rodzinę naszą. Dwa lata temu liczna i szczęśliwa, dziś tak już zdziesiątkowana! Ze strachem patrzę w przyszłość.

„Jak mi żal, że będąc w Paryżu tak zaniedbywałem babkę drogą. O jakżebym chciał okupić te godziny bezmyślnie spędzone zdala od was, kiedy mogłem być szczęśliwy przy boku waszym. Ileż to wspomnień nagromadziłbym w sercu! a dziś wszystko przepadło. Jak ja mogłem nie nakreślić portretu babuni? Miałem czas na to nie raz, lecz dziesięć razy. W głowie mojej wszystko leży na przewrót; nie umiem nic wykonać w swoim czasie. Żyję z dnia na dzień jak szalenciec i t. p.“

Sztuka nie zabija uczucia, przeciwnie podsycą je i karmi. Dowodem na to Regnault.

Nadeszły skwary letnie. Klimat rzymski szkodliwie oddziałał na zdrowie młodziana. Ustawy szkoły pozwalały uczniom przebywać gdzie chcą, byleby nie w Paryżu. Regnault popłynął do Hiszpanii. W Burgos zjechał się z młodym kolegą Clairin, z którym żył odtąd nierozłącznie. Tu dowiaduje się o ślubie jednego z przyjaciół; pisze do niego przesłiczny list, lekki, swobodny, wesoły. Oto malenki urywek:

„Masz więc twoje słoneczko, twoją gwiazdkę, twoją drogę mleczną, twój koralik, twoją różyczkę, twój fijołek, twoją oazę na pustyni, twoją kropelkę rosy, twoją jagódkę, twoją malinkę, twoją krynicę żywej wody, twoją gazellę, twoją gołąbkę, twoją łódkę na oceanie życia, twoją deszczulkę zbawczą, twój eden!“ Opuszczamy połowę epitetów: i te starczą aby okazać bogactwo młodego serca. I. Regnault miał także swoją gwiazdkę, zostawił ją w Paryżu; przemysłał o niej, nigdy przecież nie wspomina jej imienia.

Hiszpania porywa młodzieńczą jego wyobraźnię. Z romantycznej ziemi Cyda, zachwycony przysyła list za listem. Zwiedza przepyszne katedry, podziwia rzeźby i grobowce: „Kto nie widział—pisze—grobu Alonza brata Izabelli katolickiej, u Kartuzów w Borgos, ten nie wie czym jest prawdziwa rzeźba.“

W Toledo nowy zachwyt: „Uderzam czołem—pisze—oto arcydzieło arcydzieł! posążek wykuty z drzewa ręką Alonza Cano, św. *Franciszek z Assizu* zagrzebany w skarbcu kościelnym. Święty podniósł w górę obie ręce, głowę ma pokrytą kapturem, oczy zwrócone w niebo, usta półotwarte do modlitwy. Nic w życiu nie widziałem piękniejszego. Jakież to wyraz nadmysłowy, nadziemski! Patrząc na to arcydzieło, możnaby doprawdy oszaleć!“

Przybywa do Madrytu; zbiega muzeum. Velasquez czaruje go w dziwny sposób. „Chciałbym go—mówi—całkiem połknąć. To pierwszy malarz na świecie! I czemuż nie użył cudnego talentu na oddanie wyższych przedmiotów? Jakieżby wrażenie sprawił dramat wylany z prawdą i prostotą właściwą wielkiemu mistrzowi, bez tych stucznych efektów, jakich szuka dzisiejsza szkoła? Jeśli nie postąpię w Madrycie o jakie dwadzieścia mil, gotowem się powiesić.“

Kiedy młodzian pracuje w najlepsze, widnokrag polityczny pochmurza się, Izabella ucieka do Francji. Zamykają się drzwi muzeum. Artysta biega po ulicach Madrytu; nowe nieznanne typy wpadają mu pod oko. Listy z owych dni szalonych niemniej ciekawe jak szkice rzucone na papier i płótno ręką młodego artysty. Oto kilka wyjątków:

„Cudowne widowisko! Każdy Hiszpan w łachmanach czy paltoście, boso czy w łapciach, czuje się znów szlachetnym *caballero*; każdy żebrak wy dobył z kąta pergaminy i wywodzi ród swój od jakiegoś granda hiszpańskiego. Trzebaż go tu widzieć zespadą u boku, z karabinem wspartym o ramię i torbą ładunków u pasa. Trzyma straż jak grenadier starej armii, biada złodziejowi gdy wpadnie w jego ręce; położy go na miejscu choćby mu był bratankiem, albo synem.

„Onegdaj generał Serrano wszedł do Madrytu z admirałem Topete. Trzydzieści tysięcy zbrojnego ludu przyjmowało u bram zwycięzców. Nigdy wojsko nie szło w lepszym porządku, z większą godnością. Rzekłbyś, że to trzydzieści tysięcy książąt przebranych w łachmany za uliczników.

„Jutro pracuję na posterunku, poznałem się ze strażą; piliśmy razem, krzychałem z nimi *viva la soberania nasonal!* Znajdę więc powolne modele.

„Prim powrócił z Londynu; mianowano go już ministrem wojny. Lud przepada za nim tak, że mu nocą nie daje zmrzyć oka. Chóry śpiewają mu wciąż pod oknami, muzyka gra marsze tryumfalne, okrzyk *viva!* rozlega się po mieście.

„Wczoraj rada ministrów odebrała ciekawy list od cesarza Mrokańskiego. Sułtan pragnie zasiąść na tronie hiszpańskim, przypomina że przez wieki Hiszpanie i Maurowie tworzyli jeden lud, połączony ścisłym węzłem i szczęśliwy z takiej jedności. Dodaje, że tylko fanatyzm Izabelli katolickiej wypędził Arabów z półwyspu; dziś więc

kiedy nowa Izabella wygnana, a wolność wyznań stała się prawem, on występuje jako kandydat do korony.

„Poznałem twarz z generałem Milanż. Pyszna postać, rysy piękne, typowe, twarz ogorzała, brwi czarne, włosy białe bujne, zjeżone jak szczotka nad czołem. Długie wąsy, także białe, bujają z pod wielkiego nosa. Wszystko to na drobnem ciele, zakończonem parą ogromnych butów. Szkiecowałem go w sali muzeum w całej postawie, gdyż mi szło koniecznie o te buty. Clairin tymczasem malował popiersie, a księżna D. lepiła medalion z gliny. Biedny Milanż ledwie wytrwał pod strzałami sześciu ognistych źrenic, mierzących razem w niego. To prawdziwy klejnot ten generał; wyborny człowiek, a mimo to zapyżony, jak kot kiedy się gniewa.“

Z pomiędzy mnóstwa szkiców i obrazów wykonanych w Madrycie, największą miał zjednać artyście sławę portret generała Prima, a raczej jak słusznie powiedział Gautier, obraz uosabiający żywo dzisiejszą Hiszpanię. Patrzmy, jak Regnault opisuje ojcu ten obraz.

„Prim wjeżdża konno na wzgórek. Stanąwszy na wierzchołku, zatrzymuje konia, pokłonem wita ziemię ojczystą. Na drugim planie, zbrojny lud kataloński niesie tryumfalnie sztandary.

„Ubiór generała prosty, lecz malowniczy: tunika ciemno-szafirowa, pas czerwony ze złotem, rękawy szamerowane galonami; siedzi na pysznym andaluzie gniadój maści.“

Nowość napotykanych co krok przedmiotów, myśl, że potrzeba wkrótce pożegnać się z niemi, budzi w artyście niesłychaną energię. Pracuje bez chwili wypoczynku.

„Ochciałbym—pisze do ojca—połknąć całe muzeum madryckie. Chciałbym połknąć wszystkie *posady* (gospody) przy ulicy Toledo, wszystkie muły, wszystkie osły, wszystkie te pocieszne przedmioty, które co chwila wpadają mi pod oko.

„Życzliwość, z jaką przyjęto w Paryżu pierwszą moją przesyłkę, dodaje mi ostrogi.

„Co pewna, to że otwieram oczy jak mogę najszerszej, że pakuję w pamięć jak najwięcej przedmiotów i zamykam ją na kłódkę, by nic z niej nie uciekło. Żał mi gdy pomyślę, ile czasu utraciłem w przeszłości. Jest czego żałować! Żyłem bezmyślnie, odtąd będzie inaczej!

„Jutro nie mam dla siebie ani minutki. Przed ósmą kończę głowę żebraka, dziś właśnie rozpoczętą. Około południa idę do prywatnego zbioru zobaczyć przepyszny obraz Goya; później maluję portret pani B. w różowym kostiumie hiszpańskim. O czwartej spieszę do antykwaryusza kupić piękną płachtę cygańską, o której mi mówiono; o piątej mam lekcję gitary, o szóstej obiad, o siódmej jeszcze do pracowni. I to tak dzień w dzień! Czemuż tak zawsze niestety nie było?“

Hiszpania jakoś dziwnie przypadła do myśli artyście. Wszystko, co tu spotyka potrąca strunę jego duszy. Miło tu żyć, pisze w jednym z listów, świat nie dosyć ocenia tę piękną Hiszpanią! To drogocenna kopalnia dla malarza. Zostawiając nawet na boku kraj i mieszkańców, starzy mistrze hiszpańscy więcej mnie tu nauczą, jak takie nieprzystępne olbrzymy, jak Rafael i Michał Anioł. Mistrze tutejsi snadniej przypuszczają cię do poufałości, dobroduszniej ukażą ci swoje tajemnice; możesz bażgrać swobodnie pod ich okiem, nie zdepczą cię z pogardą. Oni brali za treść wszystko, cokolwiek podpadło im pod oczy: i żebraków, i karłów, i dzieci, i konie, i łachmany i rycerskie pancerze; wszystko im dobre, wszystko godne ich pędzla. Dla mnie Velasquez, to Molier w malarstwie; styl jego łatwy, poprawny bez przesady, język czysty, prosty. O Velasquez, Velasquez!

Zima zbiegła jak sen na bezustannej pracy. Niepodobna zliczyć tych wszystkich szkiców, które wykonał Regnault w ciągu pięciomiesięcznego pobytu w Madrycie. Do najważniejszych prac tej epoki, oprócz portretu Prima, należy wielka kopia z Velasqueza: *Poddanie miasta Bredy*.

Zapalony w poszukiwaniu nowych typów, znalazł ich mnóstwo pomiędzy cyganami. Zrazu szło mu trudno, zabobon religijny stawał tu na przeszkodzie. Cygan lęka się czarów przywiązanych do sztuki; sądzi że umrze, jeśli rysy jego odtworzone zostaną bądź pędzlem, bądź też dłutem. Umiał Regnault przełamać ich przesąd, zaprzyjaźnił się z nimi; zaproszony w kumy odwiedzał ich ostoje pod Madrytem. W jednym liście czytamy ciekawy obraz życia tych koczowników.

„Onegdaj—pisze—odwiedziłem rodziców mojego chrześniaka. Ojciec sam był mi przewodnikiem. Noc zapadła, kiedyśmy przybyli na miejsce. Cygan wprowadził mnie do długiego domu bez piętra, podzielonego na małe izdebki. Każda rodzina ma osobną. W pośrodku stoi *brassero* napełnione zarzewiem; wszyscy siedzą skuleni wkoło ogniska; dzieci wpołnagie, w koszulach podartych w łachmany. Osły przechadzają się po izdebkach skubiąc słomę z sienników.

„Clairin był z nami. Przynieśliśmy trzy butelki wina, rozdaliśmy je pomiędzy tych biedaków. Ożywili się w mgnieniu oka. Piękny młodzieniec począł przygrywać na gitarze, drugi śpiewał piosenkę cygańską, kobiety wybijały takt klaskając w ręce, dzieci tańczyły. Siedzieliśmy wszyscy na ziemi, mała lampka oświecała ten obraz.

„Cyganie zajmują się handlem, a raczej szacherką: wymieniają muły i osły. Żony ich obiegają miasto, wróżą i ciągną kabałę. Mimo nędzy tak mężczyźni jak kobiety stroją się w rozmaite świecideła: każdy cygan ma srebrne guziki u westki, łańcuszek u zegarka, kanda cyganka kolozyki złote w uszach.

„Przepadają za mną, jakbym należał do rodziny. *Sennor don Enrique* jest w wielkiej czci pomiędzy tem biednym cygaństwem. Niech mnie który z nich spotka w mieście, dopiero to witają i sypią najprzesadniejsze życzenia: „Idź z Bogiem i Najświętszą Panną! Niech Bóg usuwa wszelkie zapory z drogi twój! Niech niebo spadnie nam na głowę, byle ciebie złe nie dotknęło! Bodajbyś nigdy nie umarł!“ I wierzą temu co mówią, biada temu, kto by chciał z nich żartować.

„Podziwiają mój talent malarski, unoszą się nad moją zręcznością. Zachwyciłem ich kiedyś, chodząc na rękę z nogami w górę, i przeskakując przez stos powiązanych krzesel. Nigdy tego jak mówią, nie widzieli! Znalazłem przecież ludzi, którzy potrafili mnie pojąć.“

Wesoły młodzian bierze chętnie udział w zabawach i uroczystościach ludu hiszpańskiego, najgwarliwszego ze wszystkich, jakie znamy. Nie opuszcza nigdy walki byków; gdziekolwiek jest, chciwie przygląda się malowniczym gruppom, szkicuje wszystko, co napotka. Maskarada uliczna w ostatki, *pogrzeb sardyńki w środę popieleową* nowego dostarczą mu wątku. W liście do ojca obszernie opisuje te zabawy, przeplatane nieraz komiczną jakąś sceną. Powtarzamy z nich jedną:

„Było to w ostatni wtorek o szóstej wieczorem. W Madrycie kapłan powołany do chorego jedzie powozem; służba kościelna otacza go z pochodniami i dzwonkami. Noc już zapadła; tłum masek powracając z Prado ciągnął szeroką ulicą. Nagle dały się słyszeć dzwonki; kto żyw upada na kolana. Nic pocieszniejszego jak te maski z ogromnemi głowami wielbłądów, małp, diabłów, anglików i t. d. pochylone pobożnie i bijące się w piersi.“

Pomimo zwykłej wesołości, smutne jakies przeczucie leży na dnie młodego serca.

„O mało się wczoraj nie otrułem — pisze do ojca z Madrytu. Szarpany głodem i gorączkową chęcią pracy, nie puszczać z rąk pędzłów, biorę co żywo kawał chleba, czas nagli, chwytam ze stołu nóż, którym czyszcze paletę; nieszczęściem była na nim farba! Dostałem najokropniejszych kurczów. Dziś zdrów jestem, ale *napisano* jak widać, że mam umrzeć gwałtowną śmiercią.“

Pobył w Madrycie zrazu miły, zasepił się w końcu dla Regnaulta. Portret Prima ściągnął mu wprawdzie gorące pochwały artystów, lecz nie przypadł do smaku generałowi. Prim żalił się, czemu nie wymyty, nie wyczesany? czemu z odkrytą głową otoczony ulicznym motłochem? Napróżno Regnault przekładał mu, że wolał raczej odtworzyć w nim bohatera niż malowaną lalkę: nic to nie pomagało!

„Spostrzegłem — pisze młodzian — że generał ma zamiar wyrzucić pod strych moje płótno: otóż więc strych za strych, niechże lepiej będzie pod moim!“

Rozdrażniony, zabiera portret, nazajutrz wyjeżdża do Rzymu... ale otóż i nowy kłopot. Regnault liczył na kilka tysięcy franków, które miał otrzymać za swoją pracę. „O czemuż to—pisze do ojca—niema na kolejach i statkach szóstej klasy! Musiałem jechać trzecią! mroźny wiatr dość mi i tak dokuczył.“

„Niechże—dodaje—ten kłopot pieniężny zostanie między nami. Gdyby się rzecz rozniosła, jakiś nieproszony przyjaciel gotówby ująć się mojej krzywdy, a dzienniki cheiwe skandalu spadłyby hurmem na Prima i szarpały go bez litości. Pomyślałby że ja szukam zemsty w taki nizezemny sposób.“

Godniej pomścił się szlachetny Regnault. Wyprawił portret na wystawę, otrzymał poklask całego Paryża i pierwszy medal złoty. Chór dziennikarskich uniesień dobiegł niewątpliwie do Madrytu. Jakże musiał Prim czuć się upokorzonym, że wypuścił z rąk arcydzieło!

W Rzymie młody artysta czuje się jakby nie swój. Praca obowiązkowa w przepisanych godzinach cięży mu; w listach jego znać jakiś gorączkowy niepokój. Radby wszystko widzieć, wszystko zbadać do gruntu, wykonać czem prędzej, co rozpocznie, jakby przeczuwał, że mało ma czasu przed sobą. Przemyślając o nowej wycieczce do Hiszpanii i Marocco, pracuje nad *Judytą*, zajmuje się *Herodiadą*.

„Myśl jedna ściga mnie bez ustanku—pisze do przyjaciela—boję się, aby nie utknąć w drodze, nim zobaczę wszystko co chcę widzieć, nim potrafię skorzystać z tego, com widział. Dręczy mnie, że nie mogę czytać w przyszłości, że nie wiem, czy mnie czas nie zawiedzie. Gdybym ja mógł powiedzieć sobie: Za trzy lub cztery lata wrócisz z bogatym łupem, nauczysz się wielu rzeczy, a potem będziesz miał przed sobą ćwierć wieku, aby to wszystko spożytkować! byłębym rad! ale umrzeć w początku drogi, to rzecz smutna. Oóż robić... zobaczmy!“

Paryż tymczasem podziwia portret Pryma, koledzy donoszą o tryumfach.

„Lękaś się—pisze Regnault do jednego z nich—aby tryumf nie zawrócił mi głowy? bynajmniej! Nie jestem dzieckiem; pierwszy lepszy artykuł dziennikarski nie zdoła mnie upoić. Jam więcéj wart niż myślisz! Wiesz-li czego ja pragnę? Oto, żeby p. Henryk Regnault, mój mistrz, powiedział do mnie kiedyś: rad z ciebie jestem chłopczel! Niechże jednak ta chwila ucieka odemnie, bo wiem, że zacznę upadać od dnia, kiedy będę z siebie zadowolony.“

Bądź co bądź jednak Regnault czuje, że szczebel po szczeblu wdziera się coraz wyżej.

„Wszystko—pisze—com dotąd wykonał nie liczy się za nic. Zacznę dopióro liczyć od mojej *Herodyady*. Cały dzień karczuję zawzięcie. Precz zabawy i przejażdżki konne i gimnastyka, i miłe niegdyś muzykalne wieczory! Pędzel tylko i pędzel, nic więcéj!“

Podczas kiedy pracuje gorączkowo nad Herodyadą, czyli sławną *Salome*, Paryż ogląda chciwie *Judytę* przyslaną z Rzymu do pałacu sztuk pięknych. Krytycy unoszą się nad dziełem, publiczność zachwycona, malarz tylko nie rad sam z siebie. „Brzydzą się—piwsze—tym bezecnym obrazem: to prawdziwy rak, co mnie toczy. Jedyną zaletą w nim prostota: znać nie szukałem efektu, ale też nie znalazłem nic, co się zowie!

„Zachodzę w głowę odebrawszy stosy pochwał dziennikarskich. Poszaleli chyba ci Paryżanie, że się tak mną zajmują: nie mają jak widać, nic do roboty. Wdzięczny im jestem, ależ doprawdy przebie-
rają miarę w pochwałach!“

Wykończa Regnault swoją *Salome*, tę czarodziejkę z nożem, tak dziką, tak straszną w bezmyślności swojej, tę palącą satyrę, którą zamysła rzucić w oczy pijanemu rozpustą społeczeństwu. Zwątlony na siłach zbytnią pracą, opuszcza znowu Rzym; z przyjacielem Clarin pośpiesza morzem do południowej Hiszpanii, do celu gorących swych pragnień. Przebiega Walencją, Alikant, Murecją, Sewillę, i Kordubę, zdumiony podziwia na każdym kroku ślady cywilizacji arabskiej. Przybywa nakoniec do Grenady, poznaje cud cudów ... Alhambrę.

„Moja niebiańska oblubienica, Alhambra wzywa mnie!—pisze do księżnej Kolonny;— przysłała mi gońca, słoneczny promień, z wieścią, że się przybrała już na gody i gotowa mnie przyjąć. Sławię ciebie i kocham Mahomecie, bo ty jesteś ojcem mojej uwielbionej Alhambry!“

„Niechaj ziemia wstrzyma się na swój osi, niechaj gwiazdy spadają z nieba, niech miasta rozsypią się w gruzy, niech góry schylą czoła ku dolinom, mniejsza o to, byleby ocalała moja Alhambra!“

Jesień zbiegła artyście w zaklętym pałacu Maurów. „Żyjemy tu—pisze do ojca—w najszcześniejszych warunkach. Nie chodzimy nigdy do miasta, nie nas nie odrywa od pracy. Kraj w rewolucyi; rząd nie zajmuje się Alhambra, bo też Hiszpania nie ma dziś rządu. Dzięki temu bezkrólewiu my panujemy w Alhambrze. Gdyby nie ta paleta i pędzel, gotówbym doprawdy uwierzyć, że Abu-Abdil-lah, ostatni król Grenady.“

Pod wpływem tych czarodziejstw, Regnault przemysła o nowym obrazie: będzie to dzieło godne Alhambry, apoteoza cywilizacji arabskiej. Zajęty myślą swoją szkiecuje przepyszne krużganki i dziedzińce, bada szczegóły najwspanialszej w świecie architektury. Aby wywiązać się z zadania, potrzeba zaczerpnąć mu żywej wody ze źródła; bądź co bądź musi poznać społeczeństwo arabskie, zbadać żywe typy Maurów, napaść oczy widokiem ich koni, ich oręży, blaskiem ich ko-bierców, ich makat. Pośpiesza przez morze do Maroko.

Brzeg afrykański zachwyca młodziana: świat nowy nieznaną porówna jego wyobraźnię. Postanawia zamieszkać w Tangerze; nabycie na własność pałacyk maurytański pod miastem, cudo z tysiąca

i jednej nocy, urządzi w nim wytworną pracownię, ściany pokrywa sam freskami. Nie braknie zasobów, złoto płynie mu do rąk, za *Salomę* przysłano mu 14000 fr. i to na niewidzialne.

„Wybornie mi w Tangerze—pisze do ojca—mogę tu swobodnie pracować. Nie zrywam bynajmniej z Grenadą, pośpieszę tam, skoro stopnieją śniegi.

„Uczę się po arabsku od Theleba. Mamy w tych dniach święto Rhamadan: procesye, przejażdżki paszy, pąsy negrów, muzykę arabską i t. p. Jest z czego namalować sto obrazów.“

Po Rhamadanie nowa uroczystość: *Pascua del carnero*. „Zabijają dziś barana—pisze Regnault—na grobie świętego, za miastem. Maur zarzuca go na plecy, tłum popędza go biczem, inni sypią za nim kamieniami. Biedak musi przebiec tak całe miasto pod chłostą i gradem pocisków. Jeżeli baran porusza się jeszcze, zaczem go wniosą do meczetu, znak to pomyślnego żniwa. Lud krzyczy i płąsa z radości, w przeciwnym razie niechybny nieurodzaj.

„Zdarza się niekiedy, że i człowiek niosący barana, padnie ugodzony: wówczas inny go zastępuje. W tym roku wielka radość, zbioru nie chybią. Baran stanąwszy u celu, podniósł jeszcze łapę do góry.“

Regnault oczarowany miejscem pobytu swego. „Ilekróć wyjdę na taras—pisze do przyjaciela—patrzę z zachwytem na śnieżnobiałe miasto, zstępujące do morza, jak olbrzymie schody albo stado mew białych. Na sąsiednim tarasie murzynki rozpościerają kobierce, maurytanki rozwieszają na sznurach żółte, różowe i zielone kaftany, bramowane srebrem, fulary w żywych barwach; oczy moje widzą nareszcie czarodziejskie uroki wschodu!

„Słońce inaczej tu świeci niż u nas; myślę ze strachem o powrocie do Europy. Przyjdzie mi znów patrzeć na te domy szare i wypełzłe, na te bezbarwne tłumy, snujące się po ulicach miast naszych.

„Ale zaczem powrócę, muszę wskrzesić do życia typy starych Maurów w dawnym ich przepychu, blasku i grozie, jakich nie znaleźć ich na ziemi. Potem Tunis . . . potem Egipt . . . potem Indyę!

„Z zachwytu w zachwyty drzeć się będę coraz wyżej i wyżej; pierś i oko napoję cudami tak szczodrze, tak obficie, że tego zasobu starczy mi na resztę dni moich. Kiedy za powrotem do Paryża zechcę widzieć jasno w koło siebie, zmrużę tylko powieki, a wtedy staną mi przed oczyma i Maurzy i Fellahy i kolosy granitowe i słonie wykute z marmuru, i złociste pałace, i błękitne jeziora; słowem cały Wschód zaklęty, czarodziejski.“

Tak marząc gromadził artysta szkice do wielkiego obrazu, którym zamierzał wskrzesić uroczy świat Maurów i uniesmiertelnić imię swoje. Niespodziewane jednak trudności stawały mu na drodze kamieniem. Trudno było o model. Maurowie z Maroko, najfanatyczniejsi ze wszystkich muzułmanów; przepisy Koranu ściśle tu prze-

strzegane. Oko chrześcijanina ani żyda nigdy nie wniknie do wnętrza ich meczetu, albo w obręb ich domu. Stopa Maura nie przekroczy progu chrześcijańskiego. Niechby kto spostrzegł kobietę na rozmowie z gjaurem, schwyciłby ją za barki, powiodł do *casba* i przepuścił przez straszną, śmiertelną nieraz chłostę.

Pomimo tych trudności, a może z ich powodu, dzięki wrodzonej ciekawości nieodrodných cór Ewy, Regnault zniewolił sobie kilkanaście białych i czarnych Maurytanek; dziewczęta przychodziły pozować, zrazu nieśmiało, potem tłumnie, mało ważąc przepisy Alkoranu.

Nadeszła wiosna roku 1870, czarodziejska w tym kraju czarów, piękna jak młodość i nadzieja, tém piękniejsza, że miała być ostatnią! Podczas kiedy Paryż zdumionem okiem pogląda na *Salome*, drogą perłę wystawy, kiedy krytycy głoszą tryumf młodego mistrza, zapowiadając światu nową gwiazdę na widnokregu sztuki, Regnault pośpiesza z Tangeru do Alhambry. Plan arcydzieła dojrzewa w myśli jego, kształtuje się coraz wydatniej, szczegóły występują. Całość stworzona, trzeba tylko chwycić za pędzel: artysta woła o płótno, niecierpliw się pierwsz, pierwsz jego kipi natchnieniem, powraca do Tangeru, zamyka się w pracowni... Tu nic mu nie przeszkodzi, tu nie spocznie aż wykona cud cudów!

I gdzież ten cud? pozostał on w piersi artysty, przesytej kulą pruską pod Buzenvalem! Nadeszło płótno zapóźno już niestety! Parowiec który przywiózł to płótno gorąco upragnione, przywiózł zarazem echo dział, bijących pod Sawerną!

Wszystko co pozostało z ostatniej myśli mistrza, której czas nie dozwolił przyobledz w formę, to zarys obrazu skreślony w liście do przyjaciela. Przytaczamy ten list, świadczący o twórczej wyobraźni, tak prawdziwie artystycznej w wielkiem słowa znaczeniu.

Granada 22 maja 1870 roku.

„Kąpię się w złoto-różowym blasku mojej niebiańskiej Alhambry. Kto poznał tę słodką czarodziejkę, chętnie powraca do niej. Tem chętniej tu przebywam, że w przyszłym moim obrazie Alhambra lub inny pałac tego rodzaju ważną odegra rolę.

„Pragnąłbym przynajmniej przed śmiercią stworzyć poważne i wielkie dzieło, o jakim śnię w tej chwili. Śmiało wystąpię do zapasu z trudnościami; czerpnę w nich tém większą podniętę. Jakikolwiek będzie los tej walki, gdy przybędziesz do Tangeru zastaniesz mnie nad ogromnym płótnem; chcę odtworzyć na niem całą charakterystykę panowania Arabów w Hiszpanii; uwydatnić oblicza tych starych Maurów, w których kipiała jeszcze wrząca krew Mahometa.

„Myślę, że znajdę w historii jakiś fakt dziejowy, albo przynajmniej jakies imię, które da się przyczepić do mego utworu i będzie dla wielu ponętą. Bądź co bądź, zacznę zawsze, a jeśli zdołam ochrzcić mój obraz, zanim się z nim rozstanę, tém lepiej. W prze-

ciwnym razie wymyślę rzecz i odeślę krytyków do 59,999 rozdziału historii arabskiej, zniszczonej podczas pożaru lub oblężenia miasta.

„Olbrzymia brama błękitna, wysadzona złotem, rozwarta szeroko, wychodzi na galerią; u stóp galerii płynie rzeka albo jezioro. Niech krytycy zgadują, co to za pałac. Nie jest to ani Alhambra, ani Alkazar sewilski; dla mnie pałac bez wody nie jest prawdziwym pałacem“.

„Król maurytański wjeżdża konno w bramę, przybrany w pancerz i drogocenne tkaniny Wschodu; rumak strojny także w pyszny rząd pozłociсты. Postawa króla zimna; patrzy w przestrzeń nie wiadomo gdzie, jak egipski sfinks, lub jakiś bożek indyjski; słowem, jak wybrańiec niebios, potomek proroka, syty hołdu i dymu kadzidel. U stóp jego, a raczej u stóp konia, bohater, naczelnny wódz, głęboko ukorzony składa zwyoiężki oręż. Tylko co zdobył dla pana swego nowy kraj albo miasto; oddaje bogaty łup temu, przed którym wszystko drży i pada na kolana.

„Na schodach z białego marmuru pokrytych pysznymi kobiercami, czeka najpiękniejszy kwiat rycerstwa. Młodzi Maurowie niosą w rękę zdobyte na wrogu sztandary; jeden z nich trzyma szpadę chrześcijańskiego wodza albo króla. Do podnóża galerii tylko co przybiły dwie łodzie: z jednej wysiada Naib z orszakami, w drugiej murzyni trzymają straż nad gronem najcudniejszych brank chrześcijańskich. U rudla pierwszej łodzi przybita głowa wodza lub króla gaurów. Wszędzie kapie złoto, połykują bławaty: gdzie rzuci okiem, wytworny przepych, czarodziejski urok, cuda architektury, cuda urody niewieściej.. W pośród tego zimny despotyzm, obojętność, pycha mahometańska... Król raczy zaledwie spojrzeć na zwyciężkiego wodza.

„Wrota świątyni rozmykają się, bożyszcze występuje, tłumy padają na twarze.

„Za chwilę wrota zamkną się znów, bożyszcze wróci do przybytku, zasiądzie na złotolitych wezłowiach, lwica utaskawiona lizać mu będzie stopy, dwie ulubione niewolnice zapalą kadzidła w *kassoletach* i moczarz zapomni wieczorem, że zdobył nowy kraj, nowe miasto!

„*Pogarda dla chrześcian* wyrażona w tém, że rycerstwo nie wie dzie przed majestatem innych łupów, prócz szpady, chorągwi i brank. Nie widać tu skrzyń pełnych złota. Co emirowi po tém? Ma on dość własnych skarbów, potrzebaż mu złota paów chrześcijańskich?

„*Cywilizacya arabska* oddana w artystycznym przepychu wszelkich przedmiotów. Widziałem w muzeum madryckim broje Maurów nierównie wytworniejsze od zbroi chrześcijańskich z tej epoki, całe pokryte złotogłowiem.

„*Okrucieństwo* poświadczone głową zatknięą u łodzi: głowy podrzędniejszych dowódców przybite zostały na bramach zdoby-

tego miasta. Ubiór niewiast na wpeł zszarpany świadczy niemniej o okrucieństwie: znać porwano je gwałtem.

„Szalony jestem, że ci opisuję ten obraz, zobaczysz go przecie niezadługo.

„Musi to być dzieło co się zowie. Gdy je wykonam, wezmę torbę i kosztur pielgrzymi, pójdę uczcić Bramę i Siwę... ale nim to nastąpi, muszę stworzyć rzecz znakomitą.

„Nie zapomnij Indyi... ztamąd powrócim ludźmi... dotąd uczyłem się tylko chodzić... jeść... Bądź gotów na jesień 1871 roku. Pośpieszmy tam młodzi, aby doświadczyć wrażeń, napić się promieni słonecznych, znieść blask marmurów i złotogłowiu; powrócmy młodzi, aby tworzyć z młodzieńczą siłą... „

Huk dział rozbudził artystę z zakłętego snu, wytrącił mu z rąk pędzle, oderwał go od stalug.

Kilka tygodni upłynęło, jakaż to w nim przemiana! Zobaczymy list do ojca, nakreślony dorywczo w sierpniu.

„Od czasu tych wypadków w głowie mojej taki panuje zamęt, że nie wiem nawet, czy pisałem do ciebie ojcze drogi.

„Tysiące najsmutniejszych wieści dochodzi tu przez Madryt, Londyn i Lizbonę. Odwołują niektóre i potwierdzają znowu. Cemu wierzyć? Oddalenie straszne jest w takich chwilach.

„Niepodobna malować! czekamy gorączkowo na każdy statek z Gibraltaru, rzucamy się chciwie na dzienniki, na listy; biegamy do legacyi, aby się coś dowiedzieć! Wlepiamy oczy w mapę... śledzimy strategiczne obroty, porównywamy depezesz, słowem jesteśmy jak szaleni.

„Nie zatrzymuj ojeze Eugeniusza (brata); ja także pragnę pośpieszyć do obozu. Jeśli rzeczy zły wezmą obrót, nie będę tam ostatnim. Kto żyw, niech pochwyć za oręż; imię Francuza nie ma być wyrazem samolubstwa, gnuśności i spodlenia“!

Z bijącym sercem czeka Regnault na nowy statek; spostrzegadym z tarasu, co temu pospiesza do przystani: ze łzami dowiaduje się o klęsce wissemburgskiej, o bitwie pod Richshoffen... nowy parowiec przynosi wieść Sedanu! Armia wyparta, Niemcy depezą; w tryumfie ziemię starych Gallów, spiesznym marszem idą na Paryż!

Nie czeka dłużej; odpływa z młodym Clairin. Ledwie stanął w Paryżu, wdziewa mundur, zaciąga się do wojska, walczy jak prosty żołnierz, zrazu wierzy jeszcze w zwycięstwo, wkrótce zasłona spada mu z oczu, smutek ogarnia jego serce.

„Straciliśmy—pisze—mnóstwo ludzi; potrzeba nam lepszych i pewniejszych; odrodzić się jest koniecznością! Smutne doświadczenie ma być nauką dla nas. Dziś już nie wolno żyć dla siebie! Niedawno jeszcze było w obyczaju nie wierzyć w nic, jedno w użycie i szaf zgubnych namiętności. Niech samolubstwo uciecze od nas, a z niem razem ta nieszczęsna chełpliwość, gardząca wszystkim co dobre i szlachetne.“

Słowa te pisał Regnault w styczniu na kilka dni przed katastrofą, w nich przekazał jakoby testament młodym artystom, ucząc ich jakimi drogami szukać prawdy i piękna, jak uganiać promienisty ideał.

W ostatnim liście do narzeczonej panny Breton, opisuje mroźną noc styczniową spędzoną na posterunku. „Dosyć już o tém — kończy — wkrótce ogrzeję się u ogniska waszego. Kocham cię, kocham mój kraj i to mnie utrzymuje.“

W parę dni potem Regnault padł ugodzony ostatnią kulą pruską, w przeddzień kapitulacji Paryża.

Wydawca listów dopełnił dzieło stalorytem, wyobrażającym piękne rysy natchnionego artysty. W końcu dodał spis szczegółowy prac Regnaulta wykonanych pędzlem, piórem, ołówkiem i wiszorem w ciągu lat dziesięciu. Spis ten obejmuje utworów z górą trzysta!

Rozbudzający się coraz bardziej ruch umysłowy w Atenach zwraca na siebie uwagę tak Niemiec, jak i Francji. Najsilniejszym objawem tego ruchu są nowe utwory dramatyczne. Zbiór komedji wierszem poety Angelos Wlachos wydany w roku zeszłym, zjednał autorowi gorące poklaski i wieńce konkursowe.

Rzecz dziwna zaprawdę, że *najbliżsi* potomkowie tych z których świat czerpał i czerpie dotąd natchnienie w każdym wydziale sztuki, zbudziwszy się z twardego snu, pierwsze objawy życia okazali w naśladownictwie obcych, dalekich ludów. Mieli kogo naśladować w domu własnym nowi Hellenowie: dosyć im było rzucić oczyma w przeszłość; dość było poruszyć śmietniki Aten i Koryntu, zagrzebane w nich kapitele i płaskorzeźby, nie byłyby im przypomniały Sofoklesów i Arystofanów? Ale aby spojrzeć w oczy olbrzymom, potrzeba wprzód podnieść głowę nad poziom. Nie Sofoklesów też ani Arystofanów naśladowali rozbudzeni Hellenowie, lecz trajedye Woltera a nawet nędzne farse wodwelistów francuskich.

Nazwaliśmy Nowogreków *najbliższymi* potomkami Helenów starożytnych, niepodobna bowiem przyznawać im prostego spadkobierstwa ze krwi i ducha po dawnych Epaminondesach, Eschylesach, Periklesach i t. p. mimo że język ich tak zbliżony do dawnego, mimo że noszą imiona starożytnych bohaterów. Kiedy Fallermajer pierwszy wykazał, że dzisiejsi Grecy są raczej potomkami Słowian i Albańczyków, taki popłoch rzucił w Atenach, tyle obudził nienawiści ku sobie, że muszono być ratować się ucieczką. A przecież w samych objawach odrodzonej literatury helenskiej silnie on znajduje poparcie.

Zostawiając zresztą na boku starożytność, nowocześni Grecy jak wszystkie narody góralskie mają wrodzony instynkt dramatyczny, widzimy to z ich pieśni ludowych, które zarówno jak pieśni Serbów i Albańczyków mają formę dramatyczną częstokroć dyalogowaną.

Nie odrazu jednak Grecy zaczerpnęli w tym rodzimym żywiole podczas kiedy Fauriel badając pilnie ducha ich pieśni, torował drogi przyszłym filologom i etnografom, literaci nowogrecy nie zgadywali skarbów nawet jakie mają pod ręką i rzucili się na osłep w obce naśladownictwa.

Pierwszy z nich Rizos Neroulos jął tworzyć tragedye według powszechnie przyjętych form. Jego *Aspazya* napisana wierszem z chórami, odgrywana odr. 1811 po teatrach greckich, w Bukareszcie, Jassach, Odessie i Korfu wywoływała ogólne poklaski. W *Policeńie* pięcioaktowej trajedyi wyżej jeszcze postąpił. Śladem jego poszło kilku innych; Atanazy Krystopoulos liryk nowogrecki zwany nowoczesnym Anakreonem, wślawił się trajedją p. t. *Achilles*. Mikołaj Pikkolos, który długi czas przebywał w Paryżu wziął za przedmiot Demostenesa, porwanego ze świątyni przez zbirów macedońskich. Inni tłumaczyli trajedye Woltera i komedye włoskie Goldoniego.

Powyższe utwory lubo zaczerpnięte z tradycyj greckich, były powtarzamy prostem naśladownictwem klasycznej szkoły francuzkiej. Wojna o niepodległość otworzyła poezyi rozleglejszy widnokrąg. Nie dziw że wysiłki, które zapalały wyobraźnię Bajrona i Delavigna, musiały tém silniej porywać myśl samychże poetów nowogreckich. Jakoz w r. 1826 pojawił się w Nauplii dramat trzyaktowy prozą p. t. *Nikirate*, osnuty na wytrwałym oporze Missolonghi. Dramat ten napisała kobieta Ewanthia siostra Kairisa; była ona w Nauplii kiedy przybyły do miasta szczątki bohaterskiej załogi. Soutzo, utworzył inną tragedye p. t. *Markos Botzaris*, biorąc za przedmiot zgon tego walecznego wodza. Śmierć generała Karaiskakis zabitego w Pyrei w r. 1827, dała pobudkę do dramatu poecie Giovanni Zamberios. Dla tego to dramatu powstał pierwszy teatr w odrodzonej Grecyi. Urządzono go na wyspie Syra. Obyczajem starożytnych, a raczej dla braku aktorów, sam autor odgrywał pierwszą rolę.

Przed ogłoszeniem niepodległości narodowej, teatra greckie istniały tylko w Bukareszcie i Jassach, pod protekcją gospodarów Mołdawii i Wołoszczyzny, zarówno jak w Odessie i Korfu. W tych miastach kształcili się młodzi Hellenowie, oni to w braku aktorów występowali w dramatach i trajedjach, odgrywając nawet role kobiet. Odkąd Grecya odzyskała byt samodzielny, powstały teatra tak w Atenach jak i w innych miastach, lecz żaden z nich nie podniósł się wyżej. Mimo że literaturze nie brakło utworów oryginalnych, owe teatra przedstawiały tylko tłumaczone włoskie komedye i wodwile francuskie. Aby odeprzeć tę powódź cudzoziemczyzny, pełen talentu poeta Angelos Wlachos zabrał się do pisania komedyj w duchu czysto narodowym. Oddając wiernie obyczaje miejscowe, biorąc typy z dzisiejszego społeczeństwa, Wlachos technął nowe życie w teatr grecki i odrodził go z gruntu. Ztąd pochodzi wielka wziętość, jaką pozyskał w gronie ziomków.

Angelos Wlachos lubo jeszcze dosyć młody zajmuje pierwsze miejsce wśród literatów nowogreckich. Obok talentu poetycznego przysługują mu wszechstronne wykształcenie naukowe. Zamiłowany w pracy umysłowej, porzucił wysoki urząd w ministerstwie wychowania publicznego, a oddał się wyłącznie literaturze.

Nie mając lat dwudziestu wydał pierwszy zbiór poezyi p. t. *Zorza*, następnie poemat *Godziny*, w którym opiewa harmonijnym wierszem śmierć Zalokostasa i inny poemat: *Fidyasz i Perikles*, tłumaczony po dwakroć na język francuski. Wykonał także piękny przekład *Medytacyi poetycznych* Lamartina, poprzedzony pełną zapamiętaną dedykacją na cześć tego poety. Rozprawa jego o Homerze zjednała mu koronę akademicką w r. 1865. W rok potem wydał nowy zbiór poezyi lirycznych zaszczycony także nagrodą konkursową. Obznajmiony również z językiem niemieckim jak francuskim, przetłumaczył wierszem dramat *Hadryan* poety niemieckiego Pawła Heissa, a następnie *Clavio* Goethego. Z prac jego filologicznych znana i oceniona powszechnie: *Gramatyka języka nowogreckiego* po niemiecku (wydana dwakroć u Brockhousa), tudzież *Nowogrecka chrestomatya* z komentarzami niemieckimi, jak niemniej ogłoszony świeżo *Słownik nowogrecko-francuski*. Oprócz tego niezmiernie w pracy pisuje stale do wszystkich literackich przeglądów, tłumaczy powieści francuskie i niemieckie.

Zbiór *komedji narodowych*, Wlachosa wydany w r. 1871 obejmuje cztery komedye wierszem, którym krytyka wysokie przyznaje zalety.

Pierwsza z nich: *Córka Episyera* przedstawia typ kobiety, jaki napotkać można tak w Atenach jak w każdym innym kraju. Panienska ta nauczyła się na pensyi paplać po francusku, grać trochę na fortepianie i powraca do domu z zupełnie przewróconą głową, czytuje romanse, a co gorsza marzy o zaślubieniu bogatego i świetnie postawionego młodziana. Odrzuca zabiegi kupczyka któremu sprzyja ojciec, podoba jej się lepij lokaj z ambasady; bierze go za sekretarza bo nosi jasne rękawiczki i ma złoty galon na kapeluszu. Matka biegła gospodyni z dobrą sercem a lekką głową podziwia w córce wszelkie doskonałości. Ojciec jednak rozsądny kupiec widzi po niewczasie jak chybiłoby wychowanie jedynaczki, wyrzuca sobie że wyrwał córkę z właściwego jej koła. Typy wyborne: ten ojciec spanoszony mieszczanin, rad ze stanu swego, bo zawdzięcza mu dobry byt; ta matka co zawistnym okiem patrzy na wystrojone panie i marzy o świetnym małżeństwie dla córki; ten młody kupczyk mędrszy od pryncypała swego, ogładzony wpływem nowych pojęć: wszystkie te osoby prawdziwe, wzięte z życia.

Druga komedya wierszem p. t. *Zasadzka na zięcia*, uwieczniona na konkursie poetycznym 1870 r. przedstawia typy z wyższego społeczeństwa nowogreckiego. Jest tu najprzód Grek, pozytywista, Lykides, człowiek któremu doświadczenie stępiło serce a zaostrzyło ro-

zum. W długoletnich walkach z ludźmi zatracił prawie pojęcie dobra, wierzy tylko w to co pożyteczne i pozytywne, *umie wystrugać strzałę z każdego drzewa*, sztydzi ze wszystkiego, z każdej rzeczy pragnie skorzystać, każdą wodę obrócić na młyn własny. Jedyna struna drga w jego sercu: przywiązanie do bratanki. Węzły rodzinne—utrzymuje autor—tak silne są w społeczeństwie greckim, że natopkać je nawet w sercach najprzewrotniejszych. Obok zimnego realisty występuje wyborna swatka ciekawa, podstępna, gadatliwa, miesza się w cudze sprawy, wie co się stało w każdym domu, roznosi ploteczki po mieście. Wchodzi tu także przemysłowiec, który spanoszył się nie przebierając w środkach; wycofawszy się z interesów szuka wrażeń w filizance kawy, cygarze, dzienniku i kartach. Jest tu i młodzieniec z głową zapaloną, który przebył lat kilka w Wiedniu i Paryżu, zkąd zamiast długich wąsów przywiózł ogromne bokobrody. Stara się o katedrę w uniwersytecie, nim ją otrzyma, aby nie tracić czasu poluje na serca panien. Matka młodziana Kritis, kobieta nerwowa, niespokojnego ducha, żyje w ciągłym odmiecie: jedyną jej cnotą przywiązanie do syna. Chytry Lykides zarzuca na nią sieci i zniewala ją zrzęcznie na stronę bratanki swojej Lizy. Typ Lizy najudatniejszy ze wszystkich, głowa jej rozmarzona romansami, ale serce złote; idąc za radą stryja chce być i kokietką, lecz nie może wytrwać do końca w roli, serce bierze górę nad fałszywem rozumowaniem.

Trzecia sztuka także uwieńczona: *Małżeństwo w skutek deszczu*, przypomina treścią lekkie komedye francuskie. Ztąd to kilku krytyków zarzuciło autorowi plagiat. Obrażony autor ogłosił przez dzienniki, że przeznaczą wysoką nagrodę temu kto wykaże oryginał jego sztuki. Nie odkryto go mimo usilnych zabiegów, powinowactwo ducha nie dało się udowodnić.

Ostatnia z czterech komedyj najbardziej ze wszystkich nacechowana miejscowem piętnem, nosi tytuł: *Kapitan gwardyi narodowej*.

Główna w niej osoba Thesias przedstawia typ człowieka bez zasługi, okciwego dostojenstw i zaszczytów. Autor wyszydza dowcipnie chorobę panującą w społeczeństwie ateńskim. Thesias chce bądź co bądź aby o nim mówiono, stara się o tytuł kapitana gwardyi; niech tylko przekroczy próg pójdzie na przebój dalszą drogą, zostanie deputowanym i ministrem. Aby osiągnąć cel gorących pragnień oddaje siostrę człowiekowi, którym gardzi. W żonie jego autor przedstawia wytworną elegantkę salonową, w siostrze sentymentalną pannę. Wysoka komika cechuje ten utwór, któremu głównie Angelos Wlachos zawdzięcza swoją wziętość między ziomkami.

Podczas kiedy Grecy krzątają się pilnie około odrodzenia teatru narodowego, Turcy w Konstantynopolu urządzają niemniej

sceniczne widowiska, nieznane dotąd u nich. Do lat ostatnich teatr muzulmański zwany *karagueis* składał się wyłącznie z pantomin, cieniów chińskich i maryonetek. *Karagueis* turecki, ogólnie mówiąc, przypomina nasze jasełka. Występują tu rozmaite figury, bardzo często przedstawiające w komiczny sposób efendich, paszów, wezyrów, słowem najwyższych dygnitarzy państwa. Sam tylko sułtan wolny od żartobliwych pocisków, jako uosobienie władzy bożej na ziemi.

Od kilku dopiero lat powstał właściwy teatr turecki w Stambule, pod opieką sułtana Abdul-Azis. Odgrywają na nim komedye Moliera, tłumaczone na język turecki. Uczony Achmed Wefik Effendi, wychowany we Francyi, później ambasador turecki w Paryżu, przełożył nasamprzód *Jerzego Dandina*, następnie zaś *Przymuszone małżeństwo* i *Lekarza mimo woli*. Tłumacz nie znajdując w mowie tureckiej wielu wyrażen do oddania Molierowskiego dowcipu, zmuszony był posiłkować się hojnie językiem nowogreckim: w ogóle język ten zalewa dziś tureckie piśmiennictwo.

Mimo tych wpływów językowych możemy być pewni, że literatura nowogrecka nie oddziałała tak na ottomańską, jak starogrecka oddziałała na rzymską w swoim czasie. Różnice rdzenne dwóch plemion nie dopuszczają takiego wpływu, któryby zresztą nie był pożądanym. Niechaj każdy naród wyrabia właściwą sobie cywilizacją na prawach fizyologiczno-psychicznych, stosownie do swych usposobień i tradycyj.

Nie tak radykalna różnica istnieje między Francuzami a Niemcami, przecież i tu ślepe naśladownictwo do smutnych doprowadziłoby rezultatów. Zrozumieli to doskonale Francuzi. Pierwszy z uczonych Henri Martin zwrócił uwagę na niebezpieczne dla Francyi poddanie się wpływom geniuszu niemieckiego. Ostatnie kłęski przypisuje on w znacznej części usiłowaniu wielu uczonych ziomek swoich, którzy zerwawszy z tradycją podjęli sztandar filozofii germańskiej i pod nim chcieli rozwijać myśl narodową.

Stało się, co zresztą łatwem było do przewidzenia: Francuzi nie utworzyli systematów filozoficznych, jak Niemcy, ale sparaliżowali własny dziejowy pochód. Kilkudziesięciu utalentowanych pisarzy ściśle połączonych w imię Hegla, musiało w rzeczy samej zbić z tropu geniusz narodowy, tak wprost przeciwny niemieckiemu.

Na jednem z ostatnich posiedzeń instytutu profesor Frank podjął myśl Henri Martin i dzielną wymowę zadał stanowczy cios zgubnemu kierunkowi naśladownictwa. Na dobie też była owa protestacya, złe bowiem zaszło tak daleko, że niektórzy uczeni chcieli wprowadzić żywcem do szkół systemat wychowania przyjęty u są-

siadów. Do tych należy p. Bréal, autor świeżo wydanego dzieła: *L'Instruction publique en France*.

Dzieło to przedstawiono na posiedzeniu. Korzystał z okoliczności Franek: tknięty do żywego odpowiedział z prawdziwem natchnieniem:

„Według pana Bréal—rzekł wymowny professor—potrzeba nam szukać w Niemczech wzorów i mistrzów! I jakież to te wzory? Dysertacje filologiczne! I jacyż to ci mistrzowie? nieprześlągane pedagogi! Pedagogio! filologio! co po was w szkołach naszych? jakież przynosicie nam dobrodziejstwa? jakichże wychowawców nam obywateli? jakich utworzycie nam ludzi serca?”

„Niechże Niemcy idąc za popędem własnego geniuszu kopią, grzebią, urwą tu i tam co się uda, to doktrynę, to kawał ziemi; niechaj w czasie pokoju przeżuwają okruchy filologiczne z tą ociężałością, charakteryzującą ród kreci: to ich rzecz, a nie nasza. My Francuzi nie otrzymaliśmy w podziale tego rodzaju zdolności, i wcale ich nie potrzebujemy. Nasz geniusz nakazuje nam patrzeć z góry i sięgać daleko; zdarza nam się może podnosić wzrok w zbyt odległe wyżyny, poza krańce dostępnych oczom widnokręgów. Wszelka zaleta ma swoją przesadną stronę: przeciw takim to przesadom oddziaływać należy, ale szanując źródło twórczych pobudek.

„Francya ma uczucia piękna i dobra; społeczeństwo nasze bardziej niż każde inne posiada w geniuszu swoim a nawet w instynkcie wrodzoną miłość sprawiedliwości, uznanie arcydzieł, a co więcej znaczy, wysokie poczucia moralne, którego próżnoby szukać w Niemczech. U nas wszyscy rodzą się synami książąt: dla niejakich próżnostek, nieodłącznych od samopoznania wrodzonej wyższości, mająż wnuki nasze abdykować ze swęj arystokracji umysłowej i moralnej... a rodzić się synami pedantów?”

„Coby zyskali nasi uczniowie na dyssekcjach filologicznych na rozróżnianiu wariantów tekstu Sofoklesa i Eurypidesa? To rzecz akademii nie zaś uczniów. Tu praca ta na właściwym gruncie, tam, pocha w trzęsawiska i błoto. Działkom naszym potrzebny płomień nauki, nie dym erudycji. Czego Francya ma prawo żądać po nich? Oto niech szukają natchnienia w arcydziełach klasyków, czerpią w nich uczucie piękna, dobra i prawdy; niech się uczą, jak podnosić serca w górę, jak ścigać okiem promienisty ideał; niechaj dowiodą światu, że szlachetny lud może chwilowo uleść przemocy niższego od siebie ludu, a mimo to przerastać go wzniosłością poglądów, wielkością zasad i prawdziwą godnością uczuć“.

Te gorące słowa profesora Francka spowodowały jakoby *sursum corda* w całym kole akademickim, czuli wszyscy, jakoby przewiał nad nimi starożytny duch galski, wywołany zaklętym słowem czarodzieja.

Poważna krytyka we Francyi zajmuje się pilnie potrzebą radykalnej reformy na polu sztuki dramatycznej. Powtórzyliśmy już w tym względzie słuszne skargi Juliusza Janin; niemniej surowo sądzi rzecz pan Claretie. Ten wyrzuca szczególnieź niebaczność podrzędnym krytykom, którzy niestety, tak we Francyi jak i wszędzie przyczyniają się do wprowadzenia w błąd opinii publicznej: „powstajecie wszyscy—woła Claretie—na skandaliczny kierunek dzisiejszego teatru, a przecież niech się pojawi sztuka nacechowana myślą moralną, wołacie: jakież to nudne, jak ekliwe, jak bezbarwne! I gdzież wasza loika?“

Najsilniej ze wszystkich wystąpił St. Reni Taillandier, z powodu nowego dramatu wierszem p. t. *Helena*, przez p. Pailleron; posłuchajmy słów tego wytrawnego krytyka, zdanie jego bowiem już samo przez się charakteryzuje zwrot pożądany.

„Nie idzie nam—mówi Taillandier—o ścieśnienie dramatycznego horyzontu; przeciwnie, chcielibyśmy rozszerzyć go ile można, zwrócić myśl autorów do przepomnianych tradycyj, wskazać im do zdobycia nowe sfery. Dlatego to wołamy na młodych poetów którzy jak Pailleron, mają się zająć odrodzeniem sceny francuzkiej: nie zamykajcie się w ciasnym kole miłosnych intryg; świat szeroki stoi dla was otworem. Żyjemy w czasach burzliwych; dajcie nam dzieła któreby porwały wyobraźnię, poruszyły do głębi serca, a szczególnieź któreby mogły oświecić młode pokolenie tak bardzo dziś obałamucone. Po tém wszystkiém cośmy wycierpieli, gdy tyle nierozwiązanych pytań ciśnie nas tak dotkliwie, gdy tyle obowiązków powołuje do czynu, czas-że na komedye i dramata anegdotyczne? Komedia w wielkiem znaczeniu słowa, niewyczerpaną jest jak życie. Ona maluje człowieka, jakim był po wszystkie wieki, a obok tego, na odwiecznym tle charakteru ludzkiego, wyrzeźbia nowe rysy wywołane wpływem okoliczności bieżących. Alboż to niema innych osób oprócz żony i męża? Zabrakłoż to w społeczeństwie pedantów, skąpców, obłudników, mizantropów, zarozumiałców, pyszałków, dworaków, słowem mnóstwa postaci typowych, całkiem innych jak typy Molierowskie? nie maż-to dziś nowych zbroczeń, nowych wad i śmieszności? a z drugiej strony czyż nie dostrzegamy w ludzkich sercach zacnych popędów i wzorów sympatycznych, których poezya dramatyczna bynajmniej nie dotknęła?“

„Poznajcie miasto! (Paryż) wołał Boileau na autorów dramatycznych, a ja dodaję: poznajcie Francją! Niechaj postać jęj przyświeca i żyje w każdym utworze przedstawianym na deskach teatralnych. Niema potrzeby zwać jęj po imieniu, a przecież niech myśl o nięj nie opuszcza na chwilę tak poety jak i słuchaczów. Niechaj każdy pisarz dramatyczny, położy na dziele swoim piętno, któreby mówiło: pracując myślałem o Francyi! Do tęj Francyi wszystko odnosić nam wypada: nasze uciechy jak i nasze boleści, nasz śmiech szczerzy i uczciwy zarówno jak poważne myśli nasze!“

Te kilka słów dostatecznie malują nowy zwrot dramaturgii francuskiej.

Z pomiędzy młodych pisarzy, na których najwięcej liczyć można w rozbudzonym kierunku, stawiamy na czele Franciszka Coppéa. Dotąd mamy tylko maleńkie jego obrazki dramatyczne, najczęściej jedno aktowe, jak *Przechodzień*, *Dwie boleści*, *Opuszczona*, *Czyni coś powiniem* i t. p. Wszystkie te miniaturowe dramaciki, nacechowane ząną myślą, powszechnie się podobały w Paryżu. Ostatni z nich *Czyni coś powiniem*, zamieszczony przez nas w wrześniowej kronice, doczekał się w przeciągu jednego roku dwudziestu wydań, co dosyć wymownie świadczy o usposobieniu publiczności francuskiej.

Dziś dajemy w przekładzie ostatni utwór Coppégo: *Rendez vous*, w którym pozwalamy sobie zmienić tytuł: nie jest to bowiem właściwa schadzka, jak się czytelnicy przekonają z samejże treści.

ODWIEDZINY W PRACOWNI MALARZA.

Dramacik w jednym akcie

O S O B Y:

RAJMUND.

HRABINA.

(Rzecz dzieje się w Paryżu).

Teatr przedstawia pracownię malarza. Sprzęty skromne, gdzieniegdzie jednak przedmioty zbytkowe świadczą że młody artysta zaczyna używać powodzenia. Na ścianach porozwieszane szkice i obrazy, gipsy na konsolkach, pułki rzeźbione, pełne książek i albumów. Na kominie kwiaty w wazonach. Po lewej stronie sztalugi, na nich rozpoczęty krajobraz. Po prawej ręce kanapa. Drzwi w głębi, drugie z boku przysłonięte firanką. Niema wcale okien, pracownia oświetlona z góry.

S O E N A I.

RAJMUND (sam). (Siedzi na kanapie, nagle spogląda na zegar i rzuca cygaro).

Piąta!... ona nie przyjdzie... łudzę się daremnie;

Chciała pani hrabina zażartować ze mnie.

(słucha) Znowu turkot... czy powóz u drzwi się zatrzyma?

Przejechał i ten jeszcze... jak niema, tak niema.

Wypalę cygaretko...

(kręci cygarko i chodzi wielkim krokiem po pracowni).

Czekać nudna sprawa.

Onegdaj rzekła do mnie: „jam bardzo ciekawa

Poznać pańską pracownię; zobaczyćby warto
 Chwalone krajobrazy: w sobotę przed czwartą
 Przyjdę, jeśli mi jaka nie stanie zapora.“
 Czas się wlecze... wiek cały przeżyłem od wczora.
 Nie przyjdzie już!... *(po chwili)*

W tém życiu jak wszystko się mieni!

Pomnę wycieczkę na wieś, rok temu w jesieni,
 Z drużyną towarzysów... Wesołe to czasy:
 Pijem wino co tylko wyciśnięte z prassy,
 Jakby stado jeleni biegamy po lesie
 Z fajką, w błękitnych bluzach; wiatr daleko niesie
 Nasze pieśni w chór zlane z głośniami okrzyki.
 Ktoby wtedy powiedział, że ten Sylwan dziki
 Ten wesoły towarzysz, ta pałka szalona,
 Z kocią bródką i z długim włosiem Absalona,
 Po wieńcach na wystawie zebranych majowej,
 Tak się niespodziewanie przerodzi w kształt nowy;
 Ze ustrojon w frak czaruy zaczęł rok przemianie,
 Podam ramię do walca prześlicznej hrabinie;
 Że zachwycony czarem jęj cudnej urody
 Zakocham się po uszy jak studencik młody;
 Ktoby to był przewidział? przecież tak się stał
 Tak, ja kocham hrabinę: kocham duszą całą.
 Miło mi, gdy wieczorem uperfumowany,
 W perłowych rękawiczkach, w progi ukochanej
 Wchodzę, słodko powitan milutkim uśmiechem:
 Czasem coś mi poszepnie że miłość ta grzechem.
 Znam męża, to pan wielki; gdy przystąpię do nięj,
 On z zapałem wysławia zalety swych koni.
 Jakże ona mój talent podnosi wysoko!
 Jakim dziwnym urokiem połyska jęj oko
 Gdy rozmawia o sztuce, o źródle bogatém
 Mych natchnień artystycznych. Poprzestać mi na tém!
 Precz z mojęj wyobraźni tą mrzonką dziecinna;
 Nie, ona przyjsć nie może, ona niepowinna!
 Prózne chęci niech serce głęboko pogrzebie,

(patrzy w obraz na sztalugach)

Ciężko jakoś przepływa ta chmurka po niebie:
 Do pracy...

(Bierze w jedną rękę paletę i kijek, w drugą pędzel, zbliża się do sztalug, potem przysłuchuje się pilnie)

Ha! co słyszę... po jedwabiu chrzęście:
 Poznałem ją... to ona... ol jakież to szczęście!

(Idzie ku drzwiom w głębi, któremi wchodzi Hrabina)

S C E N A II.

RAJMUND—HRABINA.

HRABINA. To ja!

RAJMUND. Tyżes tu pani?

HRABINA.

Cicho mów pan tylko,
 O mało nie uciekłam odedrzwi przed chwilką:
 Mnie samą na ulicę wybiedz pokryjomu!
 Szczęściem stała karetka nie daleko domu,
 Wpadłam do niej, chcę wołać: tchu schwyćcie nie mogę.
 Niegodziwy ten stangret odgadł moją twogę!
 Uśmiechnął się, galopem—rzecz—co koń skoczy!
 (na stronie) Nikezemnik!

RAJMUND.

HRABINA.

Zapuşciłam wualkę na oczy,
 Śmiałam się w głębi duszy, gdy na trotuarze
 O trzy kroki znajome napotykam twarzę;
 Jak to było zabawnie: to dla mnie rzecz nowa!

RAJMUND.

HRABINA.

Już się nie spodziewałem.
 Czyż nie dałam słowa?
 Dobrych przyjaciół moich nigdy nie zawiodę.

RAJMUND.

HRABINA.

RAJMUND.

Jam przyjacieli!
 Pan wątpisz?
 Moje serce młode
 Nie śmie ufać zbyt czynie; w prostocie dziecięcój
 Rzekłem sobie: to kaprys chwilowy, nie wigcój!
 Przebacz jeśli stęskniony przemyślałem smutno,
 (ukazując sztalugi)

Jakież to, ledwie farbą powleczone plótno
 Może mieć urok dla niej? czyżby ona chciała
 Dla mnie tu przyjść jedynie? Precz ta myśl zuchwała!
 Przyrzekła mi—to prawda,—ale chcęci nasze
 Z gałązki na gałązkę, jak bezmyślne ptasze
 Przelatują częstokroć i nikną bez wieści!
 Jak uroczą nadzieja kiedy serce pieści!
 Lecz ufać jój nie śmiałem...

HRABINA.

Źle, nieufność rani
 Serce dobrych przyjaciół!...

RAJMUND.

HRABINA.

RAJMUND.

HRABINA.

RAJMUND.

HRABINA.

RAJMUND.

HRABINA.

Ah! przebac mi pani!
 (przysuwając fotel) Daruj, zapomniałem!
 (siadając) Daruję!

Jam dziś szczęścia uniesiony szalem!
 (ironicznie) To się zowie nieśmiałość... słowa pełne zdrady.
 Tak, mam tyle wad różnych!

I jakież to wady?

RAJMUND. Chcesz wiedzieć? więc ciekawość główną moją winą...
Pozwól mi niech zapytam, po coś tu hrabino
Przyszła do méj pracowni?

HRABINA. Szczególne pytania!

RAJMUND. Niedorzeczne, mów lepiej... tak?

HRABINA. Bynajmniej paniel

RAJMUND. Powiedz?

HRABINA. Niebezpieczeństwo ma tyle uroku!

RAJMUND. Więc po to?

HRABINA. Gniewu iskra połyska w twém oku!

Ale zarty na stronę, mówmy szczerze lepiej:
O zwycięstwie nademną, niech cię myśl nie ślepi,
Ani ty, ni ktoś inny, swych czarodziejstw siłą
Nie sprawił, by to biedne serce uderzyło!
Mamże ja tylko serce? wątpię o tém prawie,
Czasem zdrzy słabiutko... ja słucham ciekawie
I mówię zadumana: co potém mój Boże!

Dziwisz się przyjacielu, potępisz mnie może,
Czyż to pojmie twa dusza, uczucia spragniona?
Jam ten kwiat, co w cieplarni chwieje się i kona,
Więdnije bez powietrza, schnie bez rosy świeżej,
I zieloną łodygą w górę nie wybieży!
W świecie, głziem ja zrodzona, w tym szczęśliwym świecie,
Który mi niesie hołdy i wieńce mi plecie,
Ja wątłej samotna z półumarlém sercem.
Ten buduar kosztownym wysłany kobiercem,
Ta łoża aksamitem wybita czerwono,
Ta karetka hrabiowską ozdobna koroną,
Te łowy, gdy na koniu sunę ptaka lotem,
One wspaniałe bale, gdy błyszcząca złotem
Króluję w pośród tłumów, kiedy rozpląsana
Pomykam jak sylfida w objęciu młodziana,
Kiedy róże na licu zakwitną mi złudne:
O! jakże mi to wszystko nieznośne, jak nudne!

Mnież te nędzne mamidła do szczęścia podnieją?
Głos tajemny mi szepcze, ja byłam kobietą,
Zmieniliście mnie w lalkę, uczyli od młodu
Uśmiechać się i kłamać, gdy serce drży z chłodu
Przywoływać do oka żar sztuczny i skrycie
Szydzić z tych co mi wierzą... ha! takie to życie;
Świat dał to... to nie życie, to sen gorączkowy!
Dość tego, zbyt się nudzę, ja chcę z czary nowój
Zakosztować napojul ja ocknąć się muszę!

Oceniam, przyjacielu, twoją prostą duszę;
Twoje serce młodzieńcze technie szczerym zapalem,
Tyś mnie nigdy nie nudził płaskim madrygałem,

- Nie wzdychał mi nad głową, jak czyniło wielu;
 Więc gdy bardzo się znudzę, pozwól przyjacielu
 Siąść tu, gdyś u twych stalug z ręką na palecie,
 Niech w tym przybytku sztuki zapomnę o świecie;
 Z tobą rozmowa idzie swobodniej i prościej;
 Ty mi nigdy nie będziesz prawił o miłości!
 Pozwól pani być szczerym.
- RAJMUND. Tak, mów pan otwarcie!
 HRABINA.
 RAJMUND. Prawdaż to?
 HRABINA. Szczera prawda.
 RAJMUND. Więc szukasz w tym żarcie,
 Roztargnienia wśród nudy? i dlatego jedno
 Przychodzić chcesz i dręczyć moją duszę biedną!
 HRABINA. Dręczyć?
 RAJMUND. Chcesz mnie na próby wciąż wystawiać nowe,
 Narządzać na codzienne męki tantalowe,
 I chcesz bym odpowiedział: dziękuję ci pani!
 Lecz ja nie martwym głazem, spojrzenie twe rani
 Moją pierś; czy rozumiesz? lecz ja kocham ciebie!
 HRABINA. Żegnajcie sny zrodzone w moich marzeń niebie!
 Przyjaźń to rajskie ptasze, kwiat obcy dla ludzi!
 Jakże umysł oburza, jakąż litość budzi
 Owa w sercu mężczyzny pycha niesłychana;
 Okaż tylko współczucie—pada na kolana,
 Przysięga że nas kocha, że chce umrzeć raczej,
 Niżli żyć w takich mękach wśród szafu rozpaczy!
 Na te kłamstwa niegodne mój umysł się zżyma,
 Na przyjaźń u mężczyzny w sercu miejsca niema!
 Podajem szczerze rękę—on myśli o zdradzie,
 Na rękę judaszowski pocałunek kładzie.
 RAJMUND. Jeśli kocha i cierpi starczy—ż moc człowieka,
 By ukryć w sercu miłość? cóż czynić?
 HRABINA. Niech czeka!
 RAJMUND. To zbyt długo...
 HRABINA. Jak czasem!
 RAJMUND. Uroczę twe słowol
 Oczyń co chcesz—ja przystaję z pochyloną głową,
 Lecz ciężko...
 HRABINA. Zgoda, w sercu więc umowę spiszem:
 Będziesz mi przyjacielem, wiernym towarzyszem,
 W codziennych pogadankach pod przyjaźni strażą,
 Nigdy się twoje usta wspomnieć nie pozwą,
 O uroczym serc związku, o szczęściu we dwoje;
 Gdybyś miał się zapomnieć, spojrzeniem ukoję

- Twe niewczesne zapędy i na czystsą nutę
Nastroję twą piosenkę...
- RAJMUND. O! dziecko zepsute,
Prowadź mnie, jam posłuszny pod twoim rozkazem:
I od czegoż zaczniemy?
- HRABINA. Obejdźmy więc razem
Tę pracownię malarską...
- RAJMUND. Chcesz pani, jam gotów!
Lecz nie wiele ciekawych znajdziesz tu przedmiotów,
Chyba ten Donatello, patrz, zajmie cię może,
Lub ta chińska pagoda...
- HRABINA. (*ukazując gabinet napół zasłonięty firanką*). Tam ktoś jest...
- RAJMUND. To manekin... nie więcéj... patrz! [mój Boże!
- HRABINA. Jakie straszdyłło!
Powiedz mi, a to w ramach dziwne malowidło
Co znaczy?
- RAJMUND. Są to szkice wykonane w Rzymie
Według mistrzów...
- HRABINA. Co znaczą te fajki olbrzymie?
- RAJMUND. Przebacz mi!
- HRABINA. Dla jednego, doprawdy za wiele.
- RAJMUND. Czasem się do pracowni zejda przyjaciele,
Pojmujesz... samotnemu ciężko żyć, niestety!
- HRABINA. Nie trać pan czasu próżno... dalej do palety!
Sama obejrzę pilnie obraz Donatella.
Co widzę? jakiś adres... ha... panna Adela,
Montmartre! pan mi przebaczy że patrzę ciekawie.
- RAJMUND. To model do obrazu, który na wystawie
Zjednał mi złoty medal.
- HRABINA. Nie moja w tém wina,
Wypadało ten adres wziąć z po nad komina,
Schować do pularesu.
- RAJMUND. Wierz mi, mówię szczerze:
To model.
- HRABINA. Mniejsza o to, ja wierzę, ja wierzę!...
- RAJMUND. Szczera prawda słów moich ciebiez nie przekona?
Tym słowom i zazdrośna wierzyłaby żona.
- HRABINA. Rzecz śmieszna, do zazdrości mamże jakie prawo?
- RAJMUND. A jednak!
- HRABINA. Dosyć o tém.
- RAJMUND. Poglądam z obawą
Na tę chmurkę na czole.
- HRABINA. Do sztalug artystol
(*przyglądając się obrazowi na sztalugach*).
Co to jest?
- RAJMUND. Marynarka...
- HRABINA. Tak, ławę piaszczystą,

Spostrzegam tu i może... przed laty ja trzema,
 Byłam w Dauwille... Oh! dla mnie morze wdziałku niema,
 Noszono wtedy łaskę i przystrojon pióry,
 Okrągły kapelusik z czasów Pompadury,
 Na wyścigach sławiono tryumf Gładyatora;
 Okropnie się znudziłam, brzydka była pora:
 Cały miesiąc deszcz padał, szaruga i błoto,
 Świat bankierski panował—gdzie rzucę okiem:—złoto;
 Łańcuchy u zegarków błyskały wspaniale.

(patrzy na obraz)

Podobna barwa nieba... te wzburzone fale,
 Te skały, wszystko było tam jak w tym obrazku.
 RAJMUND. Ilem tu słodkich godzin przedumał na piasku!
 Nie znane tu kassyna, wyścigi, ni stroje;
 Czém dla mnie te uludy? dość gdy pierś napoję
 Ożywném technieniem morza, kiedy mi doleci
 Do ucha okrzyk majtków, pieśń rybackich dzieci.
 Trzy miesiące mi zbiegło, niby sen uroczy;
 Co dzień o wschodzie słońca gdym rozemknął oczy,
 Przybiegam tu, oczyma ogarniam w swobodzie,
 Niezmierzony widnokrąg i rybackie łodzie
 Ładuję aby ulżyć biedakom roboty,
 I patrzę jak cudownie odbłask słońca złoty,
 Maluje w letni ranek te fale kipiące;
 Poglądam chciwém okiem na żagli tysiące,
 Uroczo kołysane chłodnemi powiewy,
 Co po sinéj przestrzeni bielą się jak mewy.
 Nieraz, pomnę, sam jeden przybiegam tu nocą.
 Kiedy gwiazdy na niebie i w morzu migocą,
 Gdy w skał twarde krawędzie bije z pluskiem woda,
 Wsłuchuję się w szum fali i moja pierś młoda
 Podwójném bije tętnem: rzecz cudowna morzel
 HRABINA. Pięknie się pan wyrażasz: przyroda mieć może,
 Wielki powab dla pana!

RAJMUND. Gdybyś pani chciała
 Poznać tę czarodziejkę! moja dusza cała,
 Upojona rozkoszą w jéj uroku tonie,
 I ona mi śle wzajem barwy, dźwięki, wonie,
 Przyroda matka dobra wierną działwę pieści,
 Zgania chmury z jéj czoła, z oka łązy boleści;
 Kocha tych którzy w zamian oddali jéj życie,
 Bo kwiat lubi gdy w pełnym widzím go rozkwicie,
 Bo cudniéj śpiewa słowik w swój leśnej zaciszcy,
 Gdy wie, że dźwięki pieśni ktoś zdala posłyszcy;

Bo cudniej gwarzy strumień, gdy wie że pogwaru,
Słucha przyjazne ucho.

HRABINA.
RAJMUND.

Prawda.

Ile czaru

Dadzą ci nasze lasy ciemne i milczące,
Murawy rozpostarte kobiercem na łące,
Przetykane kwiatami, uperlone rosą,
Dęby, co w górę czoła rosochate niosą;
Gdziekolwiek rzucisz okiem, tyleż cudów, tyle
Patrz na złociste muszki, na barwne motyle,
Na chmury co się kłębią po modrym błękitcie.

HRABINA.

Opodal od przyrody ubiegło mi życie,
Nie dziw się, że jój czarów tak jak ty nie esnie;
Miesiąc jeden, pamiętam, przebyłam w Badeniu,
Miesiąc inny u morza i miesiąc miodowy,
U podnóży alpejskich; wybiegły mi z głowy
Te uroczę wspomnienia łąk, pól i błękitu.
Ach! ta nieznośna zorza! miałam jój do sytu,
Kiedy po całej nocy w wagonie spędzonej,
Oslepił mi źrenice brzydki pas czerwony,
Rozpostarty na niebie.

RAJMUND.

Krzywdzisz pani zorzę,

Ona tak dziwnie piękna!

HRABINA.

Doprawdy? ha! może...

Kiedyż jój cudny urok serce mi poruszy,
Zimny świat wczesnie skrzywił polot mojej duszy;
Wypaczył wyobraźnią, ostudził mi serce,
Nad murawę ja miękkie przekładam kobierce,
Nad zorzę połysk gazu milój wzrok mój wabi,
Nad szum dębów i jodeł wolę chrzęst jedwabi.
Czyż dusza uwikłana w te ułudne sieci
Oswobodzić się zdoła? czyż w górę uleci
Z poza kraty więziennój w przestrzenie bez końca,
Do powietrza, do rosy, do światła, do słońca!
Gdybyś ty była wolną!

RAJMUND.

HRABINA.

To co?

RAJMUND.

Wiosna bliska,

Jakże cudnie marcowe już słońce połyska!

HRABINA.

I cóż?

RAJMUND.

Są pod Paryżem łąki, gaje świeże,
Jeśli nam pierś zamiera w miejskiej atmosferze,
Możemy ją napoić ozywczą ziół wonią;
Tam zaszumią nam drzewa, tam kłosa zadzwonią:
Tam.....

HRABINA.

Proszę nie przepomnieć zawartej umowy!

RAJMUND.

Powiedz, w czym przekroczyłem twój zakaz surowy?

- Mówiłżem o miłości? pragniesz pani przeocie
 Poznać cuda przyrody nieznane w twym świecie;
 Wskazuję tylko sposób... twa chęć mnie ośmiela.
- HRABINA. A czy pojedzie z nami i panna Adela?
 RAJMUND. Szydźisz ze mnie...
 HRABINA. Bynajmniej, ale nie czas jeszcze:
 Niechaj miną marcowe przymrozki i deszcze;
 Niech słońce po śnie długim wprzód rozchmurzy lice,
 (*oglądając się*) Jakto? nie masz tu wcale okna na ulicę?
 Jabył umarła z nudów w takiej dziurze ciemnej:
 Czy tak lubisz samotność?
- RAJMUND. Kto chce z duszy własnej
 Motać wątek, niech wrażeń zewnętrznych nie szuka,
 Skupienia się i pracy potrzebuje sztuka.
- HRABINA. Wielkie słowa!
 RAJMUND. Ja sztukę pojmuję surowo!
 HRABINA. (*oglądając pędzle*)
 Powiesz pewnie żem dziecko z roztrzępaną głową,
 Wszystkiego muszę dotknąć: mój umysł ciekawy!
 Ależ bo to cudowne tój sztuki objawy!
 Pęczek włosów obsadzon w drewnie albo w piórze,
 Wystarczy by odtworzyć pioruny i burze,
 I poranek majowy, i kwiaty na łące,
 Rozhukane bałwany, i dziwów tysiące:
 Malarstwo to rzecz piękna!
- RAJMUND. Przyroda cudniejsza!
 Sztuka ją naśladowuje, lecz powab jój zmniejsza,
 Ona tylko aktorką, w jój barwy się stroi,
 Oto róż i bielidło na palcie mojej..
- HRABINA. Wymalować krajobraz... powiedz czy to trudno?
 RAJMUND. Nadzwyczaj!
- HRABINA. A więc sztuka rzeczą bardzo nudną?
 RAJMUND. Inaczej ona memu przedstawia się oku!
 To mój sen promienisty, w żywota pomroku
 Wyśniony w głębi ducha, co go w kształty sprzęga
 Zakłeta w pierś artysty, ta twórcza potęga,
 Skra Boża, podsycana w ciężą pracą wytrwałą,
 Nim ideał wyśniony zdoła oblec w ciało
 I wydobyć go na jaw z po za formy mglistej:
 O! wierz mi, nie ma szczęścia nad szczęście artysty!
- HRABINA. Zdumiewasz mnie!
 RAJMUND. Ta rozkosz pewno ci nie znana,
 Jak to błogo do pracy obudzić się z rana!
 Wyższego nad to szczęścia nie znaleźć już w świecie,
 Śpiewam pieśń gdy rozrabiam farby na palecie,

Pod tknięciem pędzla kształty coraz nowe rosną,
 Jak kwiaty gdy słońeczko rozbudzi je wiosną;
 Oddalam się, powracam, alem nie rad jeszcze,
 Głowa płonie mi żarem, pierś zbiegają dreszcze,
 A wтім myśl błyskawicą mignie mi przed okiem:
 Zawołam: *Eureka!* i jednym poskokiem
 Przebiegam pafl pafl! pędzlem na prawo i lewo:
 Widnokrąg się oddalił, przybliżyło drzewo!
 Nie pomnę że na dworze śnieżna zamieć pruszy,
 Na obrazie mym wiosna; tam pod cieniem gruszy
 Gotówbym zasiąść z fajką... ale przebacz pani,
 Znudziłem cię...

HRABINA. Bynajmniej! wy ludzie wybrani
 Macie wasz piękny Eden, i kwiaty w nim świeże.
 O! trudniej żyć w duszącej mojej atmosferze!
 Z dnia na dzień, bez zajęcia!

RAJMUND. Widzę, moje słowa
 Zasmuciły cię pani...

HRABINA. O nie! siła nowa
 Zgnuśniała w bezczynności porywa mi duszę!
 Ja tak nie wytrwam dłużej... ja pracować muszę!

RAJMUND. Chcesz, odkryję ci pani tajemnicę sztuki?

HRABINA. Zapóźno, już odwykłam dawno od nauki; -
 Lecz chciałbym mi wskazać inną do działania drogę!
 Bądź co bądź, ja w próżniactwie żyć dłużej nie mogę.

RAJMUND. *(po chwili namysłu).*
 Już wiem... godna tej myśli twoja dusza młoda,
 Ale ty się obrazisz... szkoda... wielka szkoda!

HRABINA. Powiedz!

RAJMUND. Skoro twój rozkaz mówić mnie ośmiela,
 Ta co mieszka na Montmartre... tak, owa Adela...

HRABINA. *(żywo)* Co?

RAJMUND. Chceszli stłumić w sercu nudę i tęsknotę?
 Każ się tam zawieźć jutro; weź dwie sztuki złote:
 W ciemnej, wązkiej uliczce jest dworek ubogi,
 W sieni znajdziesz drabinę, wstąp na nią bez trwogi,
 Uchwyc poręcz z powrozu... tam na piątém piętrze...

HRABINA. I cóż?

RAJMUND. O! nie wesołe tej izdebki wnętrze,
 Na jej widok twe oko zaleje się łzami;
 Lecz dobrze w oczy nędzy popatrzeć czasami!
 Tam mieszka ta biedaczka, a przy niej brat mały:
 Jak matka czuwa nad nim; zarobek swój cały
 Oddaje by go odziać i nakarmić w głodzie,
 Żyją biedne sieroty w miłości i zgodzie.

Chłopiec chodzi do szkoły, ona ślepnie z pracy,
 I często kęsa chleba nie mają biedacy;
 Drzą z chłodu, na kominie wygasło ognisko,
 A tu kwartał nadechodzi, Wielkanoc już blisko:
 Jedź do nich jutro pan! niech cię nie przestrasza
 Ulica pełna śmieci i zaduch poddaszał
 Popieść chłopca, do małej wyrzecz słodkie słowo;
 Powiedz, że ich za miesiąc odwiedzisz na nowo,
 I zostaw im odchodząc złoto na kominie:
 Uczyn tak, a daremno dzień twój nie przemienie!

HRABINA. (*poruszona*). Tyś szlachetny, Bóg w tobie znać przykład
 Dzięki cil... a jam z ciebie niebacznie szydziła! [mi zsyła,

RAJMUND. To cała moja zemsta! Nad biedną rodziną
 Będiesz czuwać jak anioł? wszak prawda hrabino?

HRABINA. Widzisz, oto ich adres zdejmuję ze ściany!

RAJMUND. W naiwny jakoś sposób dramat rozwiązany!

HRABINA. Podajmy sobie ręce przyjacielu młody!

RAJMUND. (*całując rękę hrabiny*) Pozwól ją ucałować!

HRABINA. Nie pomnisz ugody?

Twoje miejsce u sztalug...

RAJMUND. U twych kolan raczej.

HRABINA. (*zatrzymując go*).

Nie waż się pan!

RAJMUND. O przebacz!

HRABINA. Co ta śmiałość znaczy?

(*bierze album z półek*).

Wolnoż mi go obejrzeć?

RAJMUND. Nie udatne szkice!

HRABINA. (*na stronie przeglądając kartki*).

Popęłniłam błąd wielki, wstyd płoni mi lice:
 Hrabia człowiek szlachetny i zaony jak mała,
 On mi dał imię swoje, i ufność swą całą;
 W nieznane dotąd koło moja myśl się zwraca,
 Te słowa miłosierdzie, przyroda i praca
 Słodko brzmią w duszy mojej, czas uderzyć w skrzydła,
 Mój postępek niebaczny... ta próżność obrzydła,
 Mogła mnie łatwo zgubić... i omotać w sieci;
 Jego serce...

RAJMUND. Ty marzysz!

HRABINA. (*ukazując kartki*) O! przesliczne dzieci.

Jakąż te krajobrazy tchną wiejską prostotą!
 Z jak szczerą się ta młodzież zabawia ochotą,
 A ta stara kumoszka w wieśniaczej odzieży,
 Jak żwawo przy kominie skubie kaczkę z pierzy!
 Wyborna!

RAJMUND. (*przyglądając się*) Ach! to moja matka ukochana!
 HRABINA. Przebacz!... co słowo rzeknę, muszę zranić pana.
 Niegodziwy ten język...

RAJMUND. Nie lękaj się pani,
 Ani mnie ni mój matki to słowo nie zrani;
 Tęj poczciwej kumoszce o gniewie się nie śni,
 Od rana do wieczora pracuje przy pieśni:
 A jak ona mnie kocha! jaka pyszna z syna.
 Pomnę kiedym chłopięciem brał węgiel z komina,
 I wciąż kreślił na ścianach białych i podłodze,
 Ona mi nie stanęła kamieniem na drodze:
 Bądź-że chłopce malarzem, gdy ci tak sądzono!
 Rzecz, pobłogosławi, i znów za wrzeczono.
 Poszedłem, ona pieśnią odgania tęsknotę;
 Gdy jęj dał rok po roku dwa medale złote,
 Była to, była radość! krząta się od rana,
 Sprasza gości na ucztę, mera i plebana,
 Niechajże biorą udział w jęj szczęściu i chlubie.

(*pokazując album*).

Dla nich to droga matka ową kaczkę skubiel!
 Dla nich zamiata izbę, rozpala ognisko!
 Chwali się sławnym synem: o złote matczyńsko!

(*całuje album*).

HRABINA. (*z uczuciem*) Święte węzły rodzinne! to jedno mnie może
 Uniewinnić!

RAJMUND. Co mówisz?

HRABINA. Sądzę się... mój Boże!

Siórotka od lat ośmiu chowana za kratą,
 Dzieckiem za mąż wydano dziedziczkę bogatą,
 Wczesnie bez doświadczenia pchnięto w wir światowy,
 W odmęt zbytków, obłędów... ztąd szal... zawrot głowy!

RAJMUND. Cóż?

HRABINA. Słuchaj przyjacielu, cierpliwości chwila!
 Jeśli tu czasem widzisz pięknego motyla,
 Jak przez otwartą szybę zabłąka się latem,
 I barwiste skrzydełka rozpostrze nad kwiatem,
 Patrzysz na cudne barwy, na chyże podloty,
 A gdy odleci motyl twój błękitno-złoty,
 Cóż wtedy?... my szaleni gdy wiatr w polu gonim.

RAJMUND. A więc?

HRABINA. Zapomnij drogi tak o mnie jak o nim!

(*zabiera się do wyjścia*).

RAJMUND. Chcesz odejść! czyżbym ciebie obraził?

HRABINA. Nie, wcale,
 Z szczerą w sercu przyjaźnią z tych miejsc się oddalę.

Wpadłam tu jakimś szaleńcem fantastycznym parta;
 Lecz dziś w pasmie dni moich odwraca się karta:
 Od ścian twojej pracowni woń ożywcza wieje,
 Twój głos wytknął mi życia poważne koleje;
 Wskazał jak w powinności znaleźć szczęścia źródło,
 W miłosierdziu jak duszę odrodzić wychłodłą;
 Odchodzę rozbudzona siłą twój podniety!
 Dzięki ci!

RAJMUND. *(na stronie)*. Mnież nawracać światowe kobiety?
(głośno) Ja nie miałem téj myśli. Kocham cię!

HRABINA. Daremnie
 Ohcesz udawać gorszego niż jesteś, ty we mnie
 Wyżej cenisz zwrot myśli nad wdzięki motyle,
 Tyś lepszą mnie uczynił... jam winna ci tyle!
 Dzięki ci przyjacielu! *(chce odejść)*

RAJMUND. Jeszcze chwilę tylko!
 HRABINA. Ohcesz-że zacne twe dzieło zburzyć jedną chwilką?
 RAJMUND. Słodkiem słowem zbolałą chcesz ukoić duszę!
 HRABINA. Żegnam cię przyjacielu, ja odejść ztąd muszę,
(ukazując serce)

Nową życia pobudkę tu mi echo dzwoni,
 Rozłączmy się z uśmiechem i uściskiem dłoni.

(Rajmund chwytą rękę hrabiny i całuje z uczuciem. Hrabina wysuwa rękę, odchodzi, dając znak aby się uspokoił).

S C E N A III.

RAJMUND sam *(po chwili milczenia)*.

Naszydziłby świat ze mnie! czém śmiech pusty świata;
 Spełniłem com powinien: to moja zapłata!

(Zastona spada).

DO REDAKCYI
BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ.

Pięć nieznanych, choć drukowanych sonetów Mickiewicza.

Autor mało znanego w r. 1849 w Wilnie wydanego zbiorku poezyi p. n. „Dwie miłości, Aerolit“, pan Ludwik Podbereski udzielił mi w tych dniach wiadomości że wydrukowane tam na str. 131—134 pod napisem „z nie moich moje“ pięć sonetów są utworem Mickiewicza, że bywając przed r. 1849 w Kniźlówku nad rzeką Świętą w Wilkomierskiem u pana Szacfajera, syna ś. p. Walentego (o którym wiadomość podaje Encyklopedia), p. P. znalazł tam tradycję domową, iż Mickiewicz będąc nauczycielem w Kownie (1820—1822), bywał na wakacyach w Kniźlówku jako dobry znajomy Wal. Szacfajera i zostawił tam dziewięć czy dwanaście sonetów, z tych pięć własną ręką poety pisanych i poprawianych udzieleno p. P. do przeczytania i skopiowania; p. P. korzystając z tego pozwolenia, przepisał sonety i zmieniwszy niektóre wyrażenia, wydrukował wkrótce w swoim Aerolicie.

W poniższym tekście który z Aerolita wypisuję, staram się idąc za wskazówkami p. P., ile ma się rozumieć pamięć jego sięga, przywrócić pierwotne brzmienie sonetów, w przypisach zamieszczam zmienione wyrażenia, jak one są wydrukowane w Aerolicie.

SONET I.

Dość tego! Jutro musi paść wyrok mój doli;
Jutro, czyli mię kocha, sam u niej zapytam,
Raj albo potępienie w jój oczach wyczytam,
Jak w tę okropną dobę serce się wyboli!

Pójdę i stanę przed nią, czule ją powitam,
Samotną błagać będę o kres mój niedoli,
Przypadnę do nóg, w oczy utkwię wzrok sokoli:
Przeniknę do jój duszy i cień myśli schwytam!

Jutro ma śmierć lub życie w jej ustach zawisnie;
 Jedno słowo, a wszystkie troski moje miną:
 Świat, ludzie, niebo, wieczność dla mnie zginą;

Jedno słowo, a rozpacz jad mi w serce wciśnie,
 Już dla mnie więcéj drugie jutro nie zabłyśnie:
 Teżé nocy snem wiecznym oczy me zapłyną.

SONET II.

Czyje czoło od młodu orało cierpienie,
 Kto wcześnie z czary nieszczęśé pił rozpaczy jady;
 Czyją myśl zamąciły gorzkich wspomnień gady,
 W tym już czucie zamarło, znikł powab istnienia.

Już go więcéj nie łudzą marne urojenia,
 Dziko patrzy na rzadkie dawnych uczuć ślady;
 Życie mieni ciężarem, tęskni do zagłady,
 I klnąc dołé, przeklina pierwszą chwilę tchnienia.

Serce jego jak lawa we wnętrzu wulkanu,
 Wrzało niegdys zapalém uczuć namięjętnych,
 Dziś stygnąc do nicości dąży oceanu;

A lzy, co czasem sączy pośród dumań smętnych,
 Same do mogilnego spływają kurchanu,
 Do wód morza Martwego tak podobne mętnych.

SONET III.

Aż dotąd usta moje okuło milczenie,
 Dotąd niemy, wybladły, z nieczułością głazu,
 Że cię kocham nad niebo, nie rzekłem ni razu,
 Tylkoś w oczach czytała moje ubóstwienie,

I dawno ci nie tajne były me płomienie.
 Lecz dziś żądam od ciebie uczuć twych obrazu;
 Na wydanie ich dosyć jednego wyrazu,
 Tym rozstrzygniesz na wieki moje przeznaczenie.

— Dobrze, lecz kiedy powiem kto jest dla mnie miły,
 Dla kogo serce bije, kto ręki méj panem,
 Przysiąż mi że nie będziesz nad sobą tyranem!

— Rozumiem, dosć już! Słuchać daléj niéмам siły...
 — Ach luby, jak ty miotasz okiem obląkanem...
 — Żegnaj mi! Stój, gdzie idziesz? dokąd? Do mogiły!

SONET IV.

O luba! Raz gdym siedział smutno zamyślony,
 W kościele przy twój ławce i u twego boku;
 Kiedym całą mą duszą w twém utonął oku,
 Ponuro z wieży jękiły pogrzebowe dzwony.

Tyś milczała, jam westchnął gorzko po dawnemu,
 Dźwiękiem głuchym ostatni dzień zabrzmiał w mém łonie,
 Uczułem że już blizki, załamane dłonie:
 Wówczas i tyś westchnęła, ale nie wiem czemu!

Tyś rzekła, iż cię zawsze przeraża to brzmienie.
 Nie czujesz burzy we mnie, pomyślałem sobie
 I piersi moje nowe rozdarło westchnienie.

Luba! kiedy jak kamień zimny legnę w grobie,
 Za miłość pogardzoną, za wieczne cierpienie:
 Niech żałobny jęk dzwonnemu mnie przypomni tobie!

SONET V.

Bądź zdrowa, ty coś w zamian lubemi uśmiechy,
 Słodziła zimnym wzrokiem zadawane męki;
 Coś w kolój z uwielbianej podawała ręki
 Nektar szczęścia, jad żalu i balsam pociechy!

O jakże czas lotnemi uniósł mi pośpiechy
 Chwile, w których się twemi nasycając wdzięki,
 Ku ich czci nie uczone nuciłem piosenki,
 Smutnie tylko wtórzono własnej duszy echy!

Dziś prócz nich, wszystko znikło jak senne marzenia!
 Czyjaż mi teraz dobroć łez nagrodzi zdroje?
 Kto myśl natchnie, dla kogo znów lutnię nastroje?
 Milczec będzie niemotą wiecznego milczenia,
 Lub gdy dźwięk wznowi postrzał nowego cierpienia,
 To będzie chyba żalność, albo imię twoje.

W sonecie I. wiersz 7, zamiast *sokoli*, Aerolit ma *mój woli*.

W son. II. w. 10, dziwnym się wydaje (nie litewski zresztą) pro-
 wincjonalizm *namiejętnych*, nigdzie indziej u M. niespotykany.

W son. II. w. 14, p. P. nie jest pewnym czy było *morza Martwego*,
 czy *Martwego morza*.

Sonet III. wiersz 2, zamiast *z nieczułością glazu*, Aerolit ma
z bezczułością plazu.

Son. IV. w. 11, zam. *westchnienie*, Aer. ma *zdręczenie*.

Son. V. w. 7, zam. *nie uczone*, Aer. ma *nie myślane*.

Son. V. w. 12, p. P. nie zaręcza czy cały wiersz jest bez zmiany.

Nie mogąc wchodzić tu w rozbiór pytań, dlaczego p. P. w Aerolice nie wymienił autora powyższych sonetów, dlaczego niczyjój dotąd uwagi nie zwrócił na ten zabytek mistrza, jakim prawem pozwolił sobie zmieniać tekst jego w kilku miejscach i nazwać sonety „z swoich swojemi“, nie wątpiąc zkadinań o rzetelności wskazówek p. P. pośpieszam przesłać Szanownej Redakcyi Biblioteki te poezye, w nadziei, że bieglejsi i świadomsii odemnie nie omieszkają wyrzec o ich oryginalności, oraz nie odmówią wskazówek co do stosunków Mickiewicza z ś. p. Wal. Szacfajerem i t. p.

Wreszcie, w imię drogiej dla nas pamięci Mickiewicza, czuje się w obowiązku wezwać panów Szacfajerów, synów ś. p. Walentego (o których tyle tylko wiem że nie mieszkają oddawna w Knizłówku), aby raczyli drogą czasopismów zawiadomić publiczność, czy nie posiadają jeszcze autografu i w takim razie czyby nie byli łaskawi przyczynić się do ustalenia tekstu ogłaszających się obecnie oraz wydobycia na jaw dalszych czterech czy siedmiu sonetów.

8 listopada 1872 r.

Podzittwie.

Jan Karłowicz.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej dla wyjaśnienia tych wątpliwości udała się do współredaktora swego pisma A. E. Odyńca, (do którego opinii odwołał się téż i p. J. Karłowicz w oddzielnym swoim liście) i przytacza dosłownie co pisze o tych utworach. „O ile mi wiadomo, Mickiewicz nie był nigdy w tak blizkich stosunkach z p. Szacfajerem, światłym i zacnym zkadinań człowiekiem, aby miał w jego domu wakacje przepędzać. Czy jednak nie był w nim kiedy, o tém z pewnością powiedzieć nie mogę. Ale co się tyczy sonetów, nie waham się stanowczo ich autentyczności zaprzeczyć. Ktokolwiek znał Mickiewicza, wie dobrze że poezyj swoich téj treści nietylkoby nie przepisał dla obcych, ale by ich nawet sam przed najbliższymi swymi przyjaciółmi nie czytał. Nie mówię o wartości czterech piérwszych, w których widać istotnie tu i owdzie dość zgrabne naśladownictwo późniejszych jego sonetów, ale piąty, jest najbardziej przekonującym dowodem apokryficzności poprzednich. Jest on bowiem napisany przezemnie samego w latach piérwszój mojej młodości i należy do rzędu tych ramot, które później poszły do pieca. Ale i w tym nawet dwa przedostatnie wiersze nie są wcale moje, a i ostatni zmieniony. Kto więc mógł jeden fałszywie Mickiewiczowi narzucać, nie zasługuje na wiarę i co do innych.“

Warszawa, d. 26 grudnia 1872 r.

A. E. Odyńiec.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski, wydał August Bielowski. Tom drugi, Lwów, nakładem własnym 1872 roku, w drukarni Zakładu narod. Im. Ossolińskich, w 8-ce wielkiej XXVI i 998 stron i 7 tablic podobizn.

Zasłużony badacz na polu historycznym p. August Bielowski, od lat blisko trzydziestu zajmuje się zbieraniem pomników dziejowych Polski. Praca to przechodząca siły jednego człowieka, a jednak przy żelaznej swój woli i niezmiernych zabiegach dokonał dzieła, na jakie u postronnych narodów podobne przedsięwzięcia zwykle w samych rządach silne znajdują poparcie. Tam tworzą się towarzystwa, a członkowie ich wspólnie dopomagają sobie do zgromadzenia otwartych wszędzie źródeł po przystępnych dla siebie bibliotekach i archiwach. U nas dzieje się zwykle przeciwnie, utworzyć towarzystwo to niepodobna dla różnych niekoniecznych od siebie zależnych powodów; do takiej więc pracy zabięra się u nas zazwyczaj jeden człowiek z mrówczą zabiegliwością i z niezachwianą siłą woli, który starannie musi szperać i śledzić za ukrytymi po niewiadomych miejscach rękopismami, a częstokroć nie przystępnymi dla mało znanych nazwisk. Po wielu dopięro zachodach i staraniach zdoła coś zdobyć i wykryć, z czego powoli tworzy się zbiór nieoszacowany, który dla wydawcy stawia pomnik nieśmiertelny. Takiem rzeczywistie dziełem są świeżo wydane pomniki dziejowe, których tom pierwszy wyszedł jeszcze w r. 1864, i treść tegoż znana jest oddawna czytelnikom. Obecnie pragniemy złożyć sprawozdanie z tomu drugiego świeżo wydanego. Główną treść tego tomu stanowią: 1) Krótkie wyciągi tyżące się samęj Polski z Ortlieba i Bertolda kronik klasztoru Zwifalteńskiego z wieku XII-go, krytycznie opracowanych przez H. Fr. Ottona Abła i pomieszczonych w dziele Pertza *Monumenta Germaniae historica* tom XII.

2) Bulle i listy tyżące Polski w ilości sztuk 31, z tych najdawniejszy jest list Bolesława Krzywoustego do Ś-go Ottona biskupa bamberskiego z roku 1123, a najpóźniejszy jest list Władysława Jagiełły do żony, pisany dnia 16 lipca 1410 roku.

3) z trzech żywociarzów Ś-go Ottona biskupa bamberskiego, żyjących w XII-m wieku, a mianowicie z Ebbona i z bezimiennika

prieflingańskiego przedrukowane z dzieła Pertza Monumenta Germaniae tom XIV z objaśnieniami i dodatkami wydawcy polskiego, i z Herborda, którego przepisał z nowo odkrytego rękopisu, obecnie w bibliotece królewskiej w Monachium będącego.

4) Kronika Mierzwy albo Miorsza, tak przez wydawcę nazwanego z wieku XI-go, wydana z rękopisu.

5) Kronika polska mistrza Wincentego i jej skrócenie przez bezimiennego dopełniacza Kroniki Mierzwy w wieku XIII-ym, wydane z porównania wszystkich znanych dotąd rękopisów i dzieł drukowanych osobno.

6) Kronika Boguchwała i Godysława Paska z wieku XIII-go, którą opracował uczony nasz badacz p. Wacław Aleksander Maciejowski, także wydana świeżo z rękopisów.

7) Kronika Jana z Czarukowa archidyakona gnieźnieńskiego z wieku XIV, którą opracował zgasły niedawno a nieodżałowanej pamięci Dr. Jan Szlachtowski, wydrukowana z porównania znanych rękopisów.

8) Wypisy z rozmaitych (19-u) roczników polskich i z dwóch niemieckich, w których krótkimi słowami są podane pojedyncze zdarzenia notowane zwykle porywczo na brzegach lub okładzinach ksiąg zupełnie na inne przeznaczonych cele. Niemieckie roczniki są z wieku X i XI-go przedrukowane z dzieła Pertza Monumenta Germaniae, polskie zaś są po większej części wydane z rękopisów i pochodzą z wieku X do XV-go włącznie.

Gdy niepodobna choć w najkrótszym zarysie zdać sprawę z odczytania wszystkich źródeł tym tomem objętych, poprzestaniemy tylko na kronice według zdania p. Bielowskiego najdawniejszej, którą znamy nie jak wyszła od autora, lecz w wyciągach późniejszego kompilatora (str. 158).

Kronikę tę miał na zasadzie bardzo dawnych roczników lechickich, również zaginionych, ułożyć niejakiś Miorsz Niemiec, Mierzwą od Krzysztofa Warszewickiego nazwany, a który miał przybyć do Polski wraz z Ryksą żoną Mieczysława II-go. Z niego to mieli wiele korzystać wszyscy kronikarze nasi począwszy od Marcina Galla. Zdanie to przez p. Bielowskiego ogłoszone drukiem w jego *Wstępie krytycznym*, przeczytawszy w roku 1851, Lelewel powiedział: że wszystko, co na usprawiedliwienie swojego mniemania przywiódł autor, nie przekonywa, ażeby tak Mateusz jak i wszelki inny kronikarz polski miał być powtarzaczem lub (mówiąc słowy Lelewela) wyciągaczem Miorszowego pisma. Poniżej dodał, że nie wiele przewiduje środków, jakby słowa późniejszych kronikarzy można w echo starego Miorsza przemienić ¹⁾. Przy wydaniu drugiego tomu pommników dziejowych pan Bielowski odpowiadając (na str. 158 i nast.) na tę uwagę, lubo nie przeczy, iż w tém co

¹⁾ Lelewela Polska wieków średnich tom IX str. 491—500.

Miorsz i wypisujący go kronikarze podali, wiele jest do odrzucenia, i że jego wykład dziejów jest lichy i niezdarny, widać przecież jak na dłoni, że tłem owych powieści jest zadunajska kraina. Że jest, o tém nikt nie wątpi, ale temu jak zaprzeczał Lelewel, tak imy zaprzeczamy, ażeby to, co się działo za Karpatami, miało się stosować i do Polski.

Na drugi zarzut Lelewela: że pan Bielowski obrócił swą usilność na to, aby okazać, że wszelkie podanie przez kronikarzy polskich, lub czeskich zapisane, są latoroślami z ziem obcych sprowadzonemi, a dla dziejów miejscowych pasożytnemi; na takie upośledzenie miejscowości przyzwalać niepodobna. A w przypisie dodaje: „otworzył przez to p. Maciejowskiemu szerokie do badań pole.“ Pan Bielowski odpowiadając na to przyznał: że wyobrażenia, jakie miał na zasadzie podań o pochodzeniu swoim nasz naród w pierwszym swém wystąpieniu na scenę dziejów, nie są do odrzucenia, i że oparte na tych podaniach pierwotne dzieje Polski, będąc od IX-tego wieku powtarzane przez jeografów, a w XI i XII przez kronikarzy, uwieńczone zostały świadectwem, że ludy, które w wieku przed Narodzeniem Chrystusa ostatnio ubiegłym wiodły bój z największym swego czasu wojownikiem Juliuszem Cezarem, nie inne być mogły jak te, o których Dytmar i żywociarze Ś-go Ottona opowiedzieli. Były to jak uczony nasz badacz p. Maciejowski dowodzi ¹⁾ ludy Sławskie czyli Słowiańskie, to jest, jak ich nazwisko wymawiali Niemcy Swawskie, Swewskie. O ich dzieje zahacza się pierwsze wystąpienie Polski na widowni historii.

W końcu dodać pragniemy, że czcigodny wydawca pomników polskich przyjął formę niemiecką w wydawaniu swego dzieła, przez co zmuszeni jesteśmy przez lat ośm wyczekiwać na wyjście tomu następnego. Byłoby do życzenia, iż w szczuplejszym wydając je pokroju, pozyskalibyśmy o wiele wcześniej ukazanie się tomu trzeciego. W każdym razie prawdziwą wynurzyć winniśmy wdzięczność szanownemu wydawcy, który nie szczędząc własnego nakładu przysłużył się krajowi wydaniem najdawniejszych pamiątek naszego istnienia w świecie politycznym.

C. H.

¹⁾ Maciejowskiego w dopełnieniach Historii prawodawstw słowiańskich artykuł pierwszy wydany w Warszawie 1872 r. na str. 161 i nast. porównane z tém, co wyrzekł Bielowski w Monumentach tom II-gi na str. 158 i 159.

Przegląd powieściowy.

„Pałac i folwark“ J. I. Kraszewskiego. Poznań 1871, t. I.
 „Mogilna“ J. I. Kraszewskiego. Warszawa 1871, t. I. „*Obrazy z natury — Gwał Szada*“ powieść wschodnia Berlicza Sasa, t. I. „*Wojewodzie*“ powieść oryginalna w 2-ch tomach napisał Gryzoń (nakł. wydawnictwa Bibl. Pow. i Rom. we Lwowie) 1872.

Zdać sprawę z powieści, w takim ogromie drukujących się rok rocznie w tylu czasopismach i w obec liczby czytających, z których każdy mniej więcej uważa się za sędziego, byłoby rzeczą nie łatwą, gdyby tu chodziło o wyznaczenie każdemu z powieściopisarzy wybitnego, a przynajmniej odrębnieszego jakiego stanowiska, ale na nieszczęście praca ta wydaje się nam dziś jeszcze zbyt ciężką. Nie chcemy przeto powiedzieć idąc za nowomodnym prądem pesymistycznym, iż i w tej dziedzinie literatury nie postąpiliśmy na krok naprzód od lat trzydziestu; przeciwnie kilka młodych talentów porwało się do pióra z zaprzeczyć się nie dającą zdolnością, z samowiedzą celu dla którego piszą, i z wyjawieniem szczerych swych przekonań w rzeczy społeczności lub obyczaju. Lecz właśnie raz dlatego, że przekonania te często nastrojone były zbyt tendencyjnie, dla wyrażenia potrzeb jednej chwili, i że skutkiem tej i innych przyczyn, może lekceważenia ogólnych zasad sztuki, dzieło stworzone nie odskoczyło od innych oryginalnością myśli lub formy; nie widzimy konieczności zaprowadzenia pewnego systemu w ocenie, lub odszczególnienia utworów jednego powieściopisarza z pomiędzy innych. Tyczy się to mianowicie pisarzy młodszych. Starsi a wśród nich najstarszy i najpierwszy J. I. Kraszewski, prym zawsze wiodą w powieści, której dzienniki na wzór wielkich fabryk, ogromną pochłaniają ilość. Jeszcześmy sobie dobrze nie zdali sprawy z jednej powieści tego pisarza, a już widzimy drugą, trzecią i czwartą drukującą się w tém lub inném czasopiśmie, więc zdziwieni, osłupiali prawie tą niesłychaną płodnością, szukamy w myśli tego sumiennego pracownika, któryby kiedyś był w stanie osądzić krytycznie kilkaset tomów dzieł tego pisarza. Zaiste praca to będzie wielką i godną uznania, ale i wdzięczną. Kraszewski, ten potężny szermierz pióra od lat trzydziestu, stoi na wyłomie niezwalczony, z nadstawioną dzielnie piersią. Czuwa on i walczy doświadczoneń piórem, niepospolitą odwagą cywilną, własnym spokojem, nie wahając się narazić na tysiące zjadliwych pocisków całych stronnictw, nieprzebiegających często w środkach, ażeby tylko obalić niebezpiecznego a występującego w imię prawdy wroga. Przyjdzie czas, kiedy wielu otrzasnąwszy się z lęklivosti, narzuconej dziś brutalnym najeźdźcą nowomodnych haseł, nauczy się więcej szanować przeszłość, a wtedy nazwisko Kraszewskiego zajaśnieje opromienione niezmierną dla kraju zasługą. Wszakże on nauczył jedną lub dwie generacje czy-

tać i myśleć, on rozbudził zamiłowanie w swojskiej literaturze, wtedy, gdy wszystko było albo obumarłem, albo na sprawy domowe obojętnem. A i dziś po latach tyłu, po trudach nieustannych a nadzwyczajnych, nie złamał pióra, pozując na wielkiego męża, który już spełnił swój obowiązek i dla niewdzięcznych rodaków pracować nie myśli, ale bada choroby i błędy nasze, leczy je i karcą bez wytechnienia, ostrzega i ratuje przed zgubą. Niema prawie takiej powieści tego pisarza, zwłaszcza z ostatniego lat dziesiątka, któraby jednego z tych celów nie położyła sobie za zadanie, któraby zachowując formę artystyczną, nie odsłaniała prawdy bolesnej w całej jej nagości, ale z najczystsza intencją, mająca swoje źródło w prawdziwej miłości spółziomków.

Takie nam przedewszystkiem nasunęły myśli dwie jego powieści: jedna dawniejsza, druga nowsza, *Pałac i folwark*, i *Mogilna*. Nie od dzisiaj znana wszystkim, podziemna, zrzeczna, wytrwała a systematyczna robota Niemców, zgermanizowania Słowian wszelkimi sposobami, narzuceniem języka i instytucji z jednej, a wydziedziczeniem z posiadłości gruntowej z drugiej strony. Robocie tej energiczniej dopomagają: niezaprzeczona inteligencja, siła organizacyjna, kapitały ogromne a zawsze do tej usługi gotowe, a co najsmutniejsza, słaby opór, nie systematyczna a raczej niedość całości obrona. Jedni idą zuchwale, pewną nogą naprzód z jasnym celem przed oczyma, drudzy albo celów tych przeciw sobie wymierzonych wcale nie widzą, albo zatopieni w tradycyjnej miękości, w niedbałym lenistwie i nieoglądaniu się na jutro, dają się zwolna opłatać, osidlić i wydziedziczyć, zdumieni i przerażeni dopiero wtedy swym upadkiem, gdy już ratunek niepodobny. W ks. Poznańskiem, Prusach Zachodnich, systematyczne to wydziedziczenie ocknęło nareszcie ze zgubnego letargu zagrożonych; rzucono się do stowarzyszeń ekonomicznych, spółek pomocniczych, ufundowano nawet towarzystwo ochronne pod nazwą: *Tellus*, mające zapobiegać skupom ziemi przez Niemców, lecz jak dotąd ani spółki nie wiele pomogły, ani *Tellus* nie rozwinęło należytej energii i przeciwwagi. Zapewne że siły zbiorowe skierowane odpowiednio, potężną stanowią dźwignię ratunku, lecz przedewszystkiem siły jednostek, baczność każdego pojedynczego właściciela ziemi na swoje obowiązki, od których odstąpienie na krok cofa go na trzydzieści w tył, główną w tej walce rolę odgrywać powinny. Niestety! inaczey się dzieje. Co dzień prawie czytamy o nowych nabytkach ziemi krajowców, chrzczonej częm prędzej nazwą niemiecką, o nowym uszczupleniu granic swojskich, o ciągłym usuwaniu gruntu z pod stóp tych, którzy tamby umrzeć powinni, gdzie się zrodzili, tam żyć i chować przyszłe pokolenie, gdzie usłane mogiły ich przodków.

Taki stan straszliwy, niebezpieczny i zagrażający całej ludności krajowej, nie mógł przejść niepostrzeżenie pod okiem głębokiego badacza chorób społecznych. Kraszewski dostrzegł go, przeraził się nim i bronią sobie właściwą, kilka już powieści w tym duchu ku przestrodze ogółu wydał. Z pomiędzy innych rozpatrzmy się w dwóch, których tytuły umieściliśmy powyżej.

Staroświecki wiejski dwór w *Mogilnie*, wyglądał jeszcze w dobie zczęcia powieści niby odświeżony wiosną i szczęściem, pełen był kwiatów i woni i owego cichego spokoju sielskiego, jakim oddycha wieś polska nie oszpecona symetrycznym pałacem i wysokimi kominami przerożonych fabryk. Widok na kościół i cmentarz otoczony kwiatami i wspomnieniami, nie osmuczał nikogo. Na ganku siedziała zgromadzona rodzina, stary pan Roman Mogilski, żona jego pani Anna, nadobne dziewczę córka Kazia, i syn Witold, świeżo przybyły z uniwersytetu berlińskiego. Ojciec rodziny kochany i szanowany przez wszystkich, był typem człowieka w którym górowała chrześcijańska miłość ludzi; był to człowiek, który radby był uszczęśliwić cały świat, a twarz jego malowała wyraźnie czystą jego duszę. Lecz jako nieumiarkowanie dobry, stawał się często ofiarą oszustwa złych ludzi, ale to go nie wstrzymywało od czynów dobrych, tém więcej, że pomimo dobroci był człowiekiem wysoko ukształconym. Tradycyjna też dobroć rodziny Mogilskich, uszczupliła majątek tak, że dziś p. Roman został przy jednej wsi mogilskiej i to jeszcze ze sporemi długami; lecz przyszłości się nie bał, pewny będąc że dla syna Mogilna wystarczy a dla Kazi przeznaczony posażek. Żyli też swobodnie, dostatnio, choć bez świecących liberyi i ekwipażów. Tego dnia wszyscy byli nadzwyczaj szczęśliwi, bo przybył dopióroco ukochany Witold. Błogi spokój, rozmowa pełna wdzięku płynącego z serc powiązanych ścisłym węzłem rodzinnym, zdawała się zapowiadać przyszłość równie błogą i spokojną. W tém dał się słyszeć turkot, a wkrótce potem otwarły się drzwi i ukazał się średniego wieku jegomość.

Na pierwszy rzut oka poznać można w nim było potomka obcego plemienia, germanina, kolonizatora, który swe namioty rozbija po całym świecie, i „powolnie zdobywa ziemię bez kropli krwi, bez walki nawet, cichym bojem zabiegliwości i samolubstwa zimnego.“ Był to Niemiec, ale tak przyzwoity, tak grzeczny, iż obejście jego widać można było za dowód uczucia. Zwał się Gotlieb Amadeusz von Larisch, był posiadaczem sąsiedniego wielkiego majątku z przechrzczoną nazwą Christianhofu.

Pierwsza wizyta jaką autor opisuje, zrobiła mimo instynktowych podejrzeń i nieufności, skutkiem niezmierniej zręczności p. Larischa tak dobre wrażenie na całej rodzinie, a głównie na panu Romanie, że się mimowoli związały bliższe stosunki. Niedługo też pospieszył do p. Larischa z odwiedzinami p. Roman, i tam był świadkiem przykrego zajścia. Jakiś człowiek, którego nie chciano wpuścić, stał u furty groźnie przeklinając i pięścią wygrażając właścicielowi. Tenże zmieszany, zaczął się przed panem Mogilskim tłumaczyć, mówiąc, że od poprzednika swego nabywszy majątek, przyjął i ciężące na nim należności, z których jedna tytułem schedy, być może że należy się temu wyklinającemu jegomości, ale brak formalności prawnych kwestyonuje należność. P. Roman nie mile tknięty odjechał, po drodze wstąpiwszy na popas do karczmy. Tam ujrzał tego samego człowieka co tak kłął Niemca, siedzącego przy kieliszku i desperacko zapijającego sprawę. Zwał on się Marcinem Tygłem. Powoli związał z nim rozmowę, z której dowiedział się, że

Larisch nie chcąc wypłacić biédakowi należnej mu summy tysiąca talarów, popchnął go do pijaństwa z rozpaczcy. Bo Tygiel rozpaczął, gdyż kochał córkę jedyną Marynkę nad życie, a teraz musiał się z nią poniewiać w nędznej chałupie i mrzecz z głodu. Wzruszony Mogilski każe mu nazajutrz przyjechać z papierami, obiecując radę i pomoc.

Żona i Kazia rozciekawione, pragną poznać koniecznie córkę p. Tygla, która ma być nadzwyczaj piękną i niepospolicie wykształconą. Skończyła bowiem edukację w pensyonacie, na co ubóstwiający ją ojciec nie szczędził pieniędzy. Tak się zawiązuje stosunek między tymi ludźmi, który już odtąd idzie po jednej drodze, chociaż ku różnym celom.

Marynka istotnie tak jest piękną, wykształconą, ujmującą wdziękiem obejścia i skromnością, że Kazia ofiaruje jej swą przyjaźń, Witold uczuwa w sercu swoim nieznanę dotąd wzruszenie, ...i wszyscy zachwyceni są niepospolitem zjawiskiem, nawet... zimny, sztywny, wyrachowany pan Larisz. Zaczyna on wprost starać się o jej rękę, zrazu nieśmiało, potem otwarciej, aż nareszcie wręcz i wprost prosi ją, by została jego żoną. Marynka przyjmuje wiadomość tę apatycznie, chłodno, w ostatniej chwili, gdy ojciec prostak zlakomiony majątkiem Niemca, na nią nalega, z wybuchem niewypowiedzianego żalu, bo niegdyś, gdy była jeszcze na pensyi, pokochała syna profesora niejakiego Antosia na życie całe i wieczność, i on ją tak samo, a gdy rodzice przeszkadzali, zdesperowany chłopiec puścił się w świat do Ameryki, i już od pięciu lat przepadł bez wieści. Wszystko jej więc jedno, czy ten czy ów, skoro tamten pewnie już nie żyje. Wypowiada otwarcie panu Larischowi, któremu to nic a nic nie przeszkadza.

Kiedy się Mogilscy o tój dowiadują nowinie, wierzyć nie chcą, posądzając biédną o brudną rachubę; ale wnet osobiste troski zwracają ich w inną stronę. Któryś z wierzycieli p. Mogilskiego, wypowiedział summe 10,000 talarów. Trzeba ją było zapłacić. Stroskany p. Mogilski wygnany ze swego nad wszystko mu drogiego zacisza, jedzie za pieniędzmi do Torunia. W drodze nawija mu się szatan, którego jednak p. Mogilski bierze za anioła, to jest pan Larisch i po krótkiej rozmowie ofiaruje mu się dać całe 40,000 talarów, czyli tyle, ile wynosi kilka sum umieszczonych na *piérwszej* hipotece. Nierozważny p. Mogilski przyjmuje w zadatku 5,000 talarów, i jedzie dla załatwienia formalności do swego adwokata i przyjaciela D-ra. Wollera, zacnego człowieka. Ten, piérwszy ostrzega go o niebezpieczeństwie radząc, że łatwiej zapłacić trzem wierzycielom nie wypowiadającym kapitału odrazu, aniżeli jednemu z tak wielką summą. Poparł ten argument krewny p. Mogilskiego, pan Jacek, oryginał z najszlachetniejszą duszą, przywiązany gorąco do rodziny p. Romana.

Tu się zaczyna szereg zamachów systematycznie wymierzonych na własność p. Mogilskiego, a z taką szatańską i zdradziecką prowadzonych zrecznością, że tylko jeden miękki p. Roman do ostatniego się łudzi. Larisch, gdy mu Mogilski natychmiast oddać chce zadatek i zrzucić się z umowy, powiada, że tego uczynić nie może, bo już hipotekę na rzecz

innych rozporządził, ale mu przyrzeka solennie, że go bynajmniej niepokoić nie będzie. Wszyscy przerażeni wiedząc co to za szczywany lis, czekają rychło piorun wypadnie z pogodnego dotąd nieba. I rzeczywiście niedługo wypadł, powalivszy szczęśliwych dotąd i ufających wślachetność obcego przywłoki. A rzecz tak się miała.

Marynka żyła ani szczęśliwie, ani nieszczęśliwie z mężem. Była obojętną i martwą, poświęciła się dla dobra ojca, który jednak po jej zamążpójściu na nowo pić zaczął. Pewnego dnia przywłókł się jakiś obdarty Niemiec do p. Larischa, który zrazu przestraszony i niespokojny, przyjął go potem w gościu, ugaszczając wódką od rana do nocy, tak, że w kilka tygodni ów obdartus po krótkiej chorobie umarł. Był on niegdyś towarzyszem tajemniczój młodości pana Larischa, i wyswobodził go od kryminału w jakiejś równie tajemniczój sprawie. Tułał się długi czas po Ameryce, próbując w rozmaity sposób szczęścia, aż oburzony niewdzięcznością Larischa, przybył do niego zażądać rachunku i połowy majątku. Zdradziecki Niemiec uspił jego plan zemsty pozorną serdecznością i wódką, i niezawiódł się na rachubie. Nieboszczyk zostawił dziennik swego życia, był bowiem z usposobienia literat. Otóż raz znużona Marynka przerzucając go, zajęła się zrazu opowieścią pociągającą, aż nagle z jękiem rozpaczy porwała się z miejsca. Przeczytała bowiem historią towarzysza, owego Niemca wracającego z nim z Ameryki. Była to historia dramatyczna, a co ważniejsza historia owego zaginionego Antosia. Marynka jak szalona pobiegła do ojca błagając go, aby jój ułatwił widzenie się z Antosiem, który w Toruniu przychodził właśnie do zdrowia po ciężkiej chorobie. Ojciec wysłuchał prośby córki, i kiedy raz w jego domku Antoś trzymał rękę Marynki, dla której tyle przebył trudów i cierpień—wszedł dobrze o wszystkim wiedzący... małżonek. Lecz czytelniku, nie obawiaj się krwawej awantury! Wszystko, a i to pozorne przeniewienie się żony, było dobrze uplanowane i obliczone. Pan Larisch bowiem w poufnej rozmowie ze swym synem z piérwszego małżeństwa, oburzonym na nowe związki ślubne ojca, wytłumaczył mu wszystko: najprzód całą machinację na zagrabienie Mogilny, polegającą w dalszym ciągu na tém, że teraz on, to jest syn wystąpi jako właściciel owych 40,000, czemu się niby na pozór sprzeciwić będzie p. Larisch. Ocali przeto dobrą swoją sławę, i tém zręczniejsz spłacze do reszty łatwowiernego Mogilskiego. P. Larisch, jako człowiek narodu lubiącego systemata filozoficzne, i ten swój systemat grabieży w ten sposób objaśnia godnemu synowi:... „Człowiek stworzony jest, aby wedle siły posiadanej, ludźmi na korzyść swą owałdował a bezwiednie ideę, którą społeczeństwo jak do niej należy, urzeczywistnił. Po za tém są mrzonki tylko. Ideę społeczeństwa, rzecz o której piecza nie do nas należy, wyrabia prawo ogólne. Do nas należy jak największą siłę pozyskać, i jak największą sumę niezawisłości i potęgi; potęgą tą w warunkach bytu społeczeństw dzisiejszych jest: pieniąż, mienie. *Bez niego nie, geniusz redukuje się do talarów i przedstawia kapital tylko...* mienie to panowanie.“ Czyż to nie najpiękniejsza teoria zastosowana w praktyce „walki o byt“?

i jeszcze się dziwimy, że się najlepiej przyjęła w Germanii, tym kraju umiejącym wyzyskiwać każdą obcą ideę.

Potém tłumaczy ojciecsynowi, że wiedział iż się Mogilski młody kochał w Marynce, więc rachował na jego namiętuosć, aby ją w danym razie spieniężyć, a dalej wiedział o owój romantycznej miłości Antosia, powracającego z Ameryki z grubemi pieniędzmi, i na nią niemniej rachował.

Dlatego małżonek wypatrzywszy żonę na schadzce, odrazu na rozwój zezwała, naturalnie pod umówionemi warunkami, z których jeden jest ten, iż mu Antoś odda papiery nieboszczyka, kompromitujące mocno chytrego Niemca.

Tu już dalej powieść toczy się raptownym, może za raptownym i niepowstrzymanym pędem. Termin subhastacyi Mogilny blizki, ratunek niepodobny. Pieniędzy nigdzie dostać nie można, a Antoś, ów szalenie kochający Marynkę, przeistoczył się zupełnie w Ameryce, i mimo zaklęć Marynki chce stanąć do licytacyi z panem Larischem, ale jako interesowany współkonkurent. I rzeczywiście staje do licytacyi i utrzymuje się przy kupnie, ale zawiedziona kiebietà znać go już więcej nie chce.

Mogilscy wylatują z dziedzictwa przodków jak z procy, — starzy nie przeżyli tego bólu; Witold sumną pozostałą gospodarzy na małej wiosce i zeni się później z Marynką. P. Larisch zaś niestety nietylko że gospodaruje dalej na swym rozległym majątku, ale nadto synek jego odkupuje w lat kilka, znowu drogą licytacyi, majątek od Antosia, który prędko zarobił i prędko stracił; i wybudować kazał w pięknej Mogilnie zamek z wieżycami i basztami, jako nowoczesny boron niemieckiego państwa.

Z samėj już bogatej treści, czytelnik widzi o co chodziło autorowi i jaka wartość jego utworu. Jakkolwiek w powieści tój materyału jest na szersze ramy aż nadto, i jakkolwiek dałyby się świetnie niektóre sytuacye szczegółowiej przeprowadzić, przecież i w tym jednym zwięzłym tomiku obrazów zdjętych z życia i najsmutniejszej rzeczywistości pełno, a wszystkie malują doskonale typy i rodzine tradycyjnie dobrą i szlachetną, ale przeto i miękką, wposród dzisiejszych straszliwych prądów materyalizmu zdobywczego najzupełniej słabą, i radzić sobie nieumiejącą. Wobec groźnych napaści w imię prawa i kapitału, nie wolno już dzisiaj pozostawać z założonemi rękami, z prostoduszném spuszczeniem się na wolę Boga, bo ten Bóg pomaga zacnym gdy sobie sami trochę pomagają. Najazd kapitału w połączeniu ze sprytem zdradliwym, przypomina owe dawne wędrowki narodów, rugujące osiadłe plemiona z miejsca i z własności. Potrzeba im przeto oprzeć się równą siłą jeżeli nie agresywną, to przynajmniej obrończą, czujną i na krok nieustępującą. Czujność ta należy dziś do najświętszych obowiązków, którym odpowiednio chować i kształcić należy młode pokolenia.

Podobnie smutny obraz jednéj prowincyi choć z innėj uchwycony strony, przedstawia autor w drugiej powieści p. t. „Pałac i folwark.“

Tu już kara dotyka nie zaczą szlachecką rodzinę, żyjącą według praw bożych i ludzkich, kochającą swój kawał ziemi, ale kochającą nierozumnie i nieopatrnie, lecz rodzinę magnacką, która o tyle tylko wie o swoim kraju, o ile wyczerpawszy pieniądz na zbytki za granicą, potrzebuje go znowu z obszernych majątków wydobyć.

Rodzina hr. Skwirskich składa się z pięćdziesięcioletniej pani hrabiny, która zapomnieć nie może że była piękną, która żyje ciągle osobnym dworem w Paryżu, niewidując ani nie troszcząc się o swego męża i syna a przyjeżdża nagle w chwili zaczęcia powieści do dóbr swoich, jedynie poto żeby jak najprędzj groz jaki się da wycisnąć, i dalej na łono zbytków powrócić. Przyjechała z licznym dworem, piękną damą do towarzystwa, włoską, kamerdynerami i lokajami. W wspaniałym pałacu przyjmuje ją rządcą, plenipotent, alterego, totumfacki i Bóg wie nieco Margocki, w wielkich pozostający łaskach u hrabiostwa, bo nie tylko sprytny ale i gładki i pańskie ma maniery i pięknie po francusku papie.

Hrabina boi się śmiertelnie nudów i radzi się w tój mierze Margockiego. Ten dla przyjemnienia kilkumiesięcznego pobytu, proponuje zaprosić do pałacu pana Ostojkiego, dzierżawcę folwarku hrabstwa wraz z córką urodną, Zosią, księdza kanonika z świeżo z uniwersytetu przybyłym młodym doktorem Julianem, i wikaryusza młodego księdza, który się kształcił w Rzymie i jest światowcem jakich mało.

Hrabina zrazu kwaśno przyjmuje propozycję, ale się zgadza. Cóż robić? trzeba i ze zwykłymi ludźmi niechowanymi w Paryżu obcować, gdy o innych trudno. Popiéra Margockiego właśnie co przybyły ze stolicy młody hrabia, który również nudów boi się jak śmierci.

Pan Ostojki jestto szlachcic pracowity, dumny, kochający jedyną swoją córkę, Zosię, nad wszystko. A ta Zosia zasługuje na to. Ukształcona i utalentowana, swobodna i niezależna w myśleniu jak każdy rozumny człowiek, piękna i zachwycająca wrodzonym wdziękiem, którym czarować umie kogo zechce, lubo z niechęcią, znalazła się odraza w pałacu jak u siebie. Oczarowała i zadziwiła wszystkich, nawet przeżyta hrabinę i zdenerwowanego hrabiczę, który się na seryo kochać zaczyna. Lecz Zosia miała towarzysza lat dziecinnych, owego młodego lekarza Juliana, którego raz pokochawszy, dziś bynajmniej kochać nie przestała. Ale pan Julian, młodzieniec najmłodszej generacji, zajęty studjami, zimny, sztywny trochę i jedynie myślący o zrobieniu jak najprędzj karyery, swoją drogą ma jednak wiele ambicyi, i za nic w świecie nie pojąłby za żonę bogatj dziedziczki. Tak jest, Zosia jest bogatą, ma 12000 talarów posagu. Wié o tóm doskonale młody hrabia, gotów dla jój wdzięków i tego mizernego posagu, porzucić zapleśniałe przesady, i z szlachcianką po prostu się ożenić. Z tym zamiarem jednak występuje trochę późniéj, o czem zaraz powiemy. Tymczasem nadjeżdża i stary hrabia z Londynu. Nie spodziewał się zastać żony i to go dosyć skwaśiło, bo i on przyjechał żeby wycisnąć ile się da pieniędzy. Każde z nich, on, żona i młody hrabia postawili swoje ultimatum Margockiemu, obma-

wiając się nawzajem i posądzając o zbytki, a biedny Margocki odkładający kupony „na czarne chwile“ nie wie co z tym fantem począć. Przynajmniej uprzyjemni im pobyt na wsi, a przytém upiecze własną pieczeń, bo p. Margocki ma także zamiary na Zosię. Atoli stary hrabia, najpyszniejszy ze wszystkich, niepodający ręki jak tylko wysoko urodzonym, niekontent był z gości „folwarcznych.“ A gdy się jeszcze dopatrzył trzepiotania synka około prostej szlachcianki, wzburzony i niezadowolony, zaprosił bez ceremonii na poufną pogadankę pana Ostojskiego. P. Ostojski był jakeśmy rzekli szlachcic prostoduszny, pozornie nawet pokorny, szanował hrabię jako pana i właściciela, ale miał pewne pojęcie o świecie i honorze, których drażnić nie wypadało. Stary hrabia jednak wychowany na sporcie angielskim i w żokejklubie, nic a nic nie znał swoich rodaków. Rzekł mu przeto z kopyta: „Mój panie, ponieważ syn mój kocha się w pańskiej córce, więc ja sobie nie życzę żeby bywała u mnie w pałacu.“ Porwał się wściekły z gniewu pan Ostojski, i nagadawszy jak należy hrabiemu, wyleciał bez pożegnania. Zraniony boleśnie, wyspiewał przed córką swoje oburzenie, postanowiwszy z nią wyjazd za granicę na kilka miesięcy. Już się pakowali w drogę, gdy się zjawił Julian... Ze łzami w oczach żegnała Zosia młodzieńca, który z szlachetnych pobudek wprawdzie, wypowiadał jej uczucie, o jakim lat tyle marzyła. Rzekła mu z powagą i wzruszeniem: „Lękasz się bogatej dziedziczki, lecz wiedz że ta dziedziczka będzie umiała czekać, póki ty nie staniesz się równie bogatym. Znajdziesz ją wierną dawnemu uczuciu... i ufną w to, że dwa serca które czyste połączyło uczucie, nawet po chwilowym odjeździe powrócić do siebie muszą.“

Atoli nagle zmienił się stan rzeczy. Jeden z wierzycieli hrabstwa upomniał się o swoją sumkę, odmówiono mu dosyć gburowato. Rozgniewany posłał pozew i ogłosił hrabiów bankrutami. Wieść rozeszła się piorunem, chmara wierzycieli zjechała się jak kruki. Rozpacz w pałacu i rada, jakiego się chwycić ratunku? Wtedy młody hrabia wpada na genialną myśl, ożenienia się stanowczo z Zosią „bylerodzina jej odsunęła się od niej po ślubie, widując ją tylko prywatnie. Stary hrabia, zważając na 12000 talarów w tak naglącej potrzebie, spuszcza z dumy i zgadza się. Wysłany ambasador do Ostojskiego z tak bezczelną propozycją, zostaje odprowadzonym jak należy, więc co począć, co począć? Rozpisują listy do krewnych, ale bogaci krewni w takich razach stają się głuchymi. Trzeba jechać do stolicy i sprzedać swoje historyczne nazwisko. Jedzie więc młody hrabia do Berlina, i wkrótce pisze list do rodziców, że znalazł sobie siostrzenicę bankiera Sauera Filipinę, za którą weźmie 300000 talarów, a co się tyczy religii, ochrzci się ona, gdyż chowano ją dotąd dla dogodności, bez wyznania, według najnowszej mody. Hrabia skrzywił się, ale pojechał na ślub, gdzie po upokarzających scenach, pił zdrowie państwa młodych. Lecz bynajmniej nie ocalił przez to dla siebie rodzinnego gniazda. Wuj bowiem pani Filipiny wymówił sobie w kontrakcie, iż sam administrować będzie na

rzecz siostrzenicy majątek hrabiowski, hrabia stary zaś dostanie ze 3000 talarów rocznej pensyi, a hrabina matka przytułek w pałacu.

I znów wyleciał jeden majątek odziedziczony z dziada pradziada, tylko że go zabrał żyd-niemiec. Duma hrabiowska polegająca na hulaniu za granicą i pokazywaniu rezonu, a na pogardzaniu obowiązkami jakie nakłada własność ziemska w kraju, została najstraszliwiej upokorzoną. A takich przykładów rzeczywistych coraz więcej, autor brał przykład z życia.

Pan Ostojski tymczasem chcąc nareszcie zbliżyć hardego młodzieńca do ukochanej córki, bierze się na podstęp i udaje, że cały majątek gotówką ulokowany u bankierów w Berlinie, przepadł skutkiem bankructwa. To dopiero zbliża Juliana, który już nie myśli jechać do Ameryki dla kariery, ale postanawia osiąść w kraju, między swoimi i nieść pomoc bliźnim, być pożytecznym tam, gdzie się urodził, bo jak mówi poeta:

„Co nam do tego czy blask naszych zórz,
 Żywego czy trupa oświeci:
 Gdzieś się urodził stój; gdzieś się urodził służ!
 Gdzieś się urodził, tam konać Waszeci!“

Rzecz się naturalnie wydaje w ostatku. Matka Juliana, a mianowicie wuj jego, ksiądz Kanonik, typ kapłana najczystszy, uszczęśliwieni, błogosławią młodej parze.

Pomijamy tu wiele drobnych, zajmujących ale ubocznych urywków, przedstawiając tylko najgłówniejszą treść tak jak się ona rysuje wyraziście w głównych postaciach, a mianowicie w głównem założeniu. Autor dowiódł w dwóch tych powieściach, dwojakich przyczyn upadku rodziny i gruntu obywatelskiego: jednej leżącej w stronie zbyt dodatniej charakteru narodowego, w drugiej, w zastarzałej i niepoprawnej wadzie patrycuszów, mogących mówić znaczeniem i przykładem, a wyrzekających się dobrowolnie tego znaczenia i przykładu. Z dwóch stron wymierzony zamach na dziedzictwo, cóż dziwnego że gdy się przyłączy czynnik trzeci, zuchwały i nielitościwy, własność ta niknie coraz bardziej, a z nią i pierwotny mieszkaniec. Do ziemi zaś przywiązany dawny dobry obyczaj i pielęgnowanie tych cnót.

Autor dotknął i wielu innych stron ujemnych społeczności dzisiejszej, a tém ważniejszych że dotyczą prócz własności, religii i wychowania. Wychowanie bowiem tak domowe jak publiczne, każdy to widzi, inni idzie drogami. Czy lepszymi? moralisci doświadczeni ośmielają się wątpić. Przynajmniej wprawdzie większą doniosłość praktyczną wychowaniu naukowemu dzisiejszej młodzieży, większą świadomość celów, do których ona jak najspieszniej dąży, większe wyzyskanie darów przyrodzonych i nabytych, energiczniejsze nareszcie branie się w zapasy z nieubłaganym rzeczą porządkiem, z konkurencją obcych pierwiastków, ale mniemają, że brak tego, co stanowi prawdziwie duchową i nieodzowną

spójnię każdego społeczeństwa. Być może że się mylą, że jestto tylko epoka przejściowa, epoka przesilen, która raz mniej lub więcej szczęśliwie przebyta, odłoni szerokie widnokregi dla myśli i ducha, dla wiedzy i serca; być może, lecz „*quis scit* co za górami!“

W powieści „Pałac i folwark“ najniejaśniej narysowany charakter Juljana. Właściwie nie wiemy jakim jest, czego chce i czego nie chce. Kiedy ksiądz Kanonik powiada do niego: „Taka to była owa młodość nieco dzika, ale gorąca, żywa, chciwa wszystkiego... chciwa życia i nauki, książki i kwiatków, koni, polowania, widoków niezwyčajnych, badań wielkich... Wy moi drodzy, w piętnastu latach jesteście odczarowani, wyżyci, niczego nie ciekawi, sceptycy... *ani łzy z was, ani uśmiechu...*“ to zdawałoby się, że Julian należy do owego gatunku młodzieży, która nie doznawszy nigdy żadnych szlachetnych uniesień, żadnych porywów do czynu cechującego młodość wzbijającą się duchem w niebiosy, patrzy z wystygłem przedwcześnie sercem, z niedowierzaniem i ironią na świat i ludzi, i na wszystko czego matematycznie obliczyć nie zdoła. Ale tak nie jest, bo Julian jest tylko ambitny, nie chce się narzucać bogatej dziedzicze, i kiedy Zosia zubożała (skutkiem podstępny p. Ostojkiego) oddaje jej swe przywiązanie i gotów pracować w skromnym zakresie, nie goniąc za szybkim nabyciem majątku. Nie stosuje się więc do niego i ten zarzut księdza Kanonika: „*Doskwiera ci niepomiernie mierność, ubóstwo, bo chcesz dostojniejszego chleba. Grzechem to nie jest, gdy bez krzywdy cudzej a w pracy własnej się go zdobywa... ale moje dziecko! na to krótkie życie człowieka, dlaczego koniecznie potrzeba wam tak wiele?*“ Sądziłismy zrazu że autor przedstawi inny typ młodego człowieka, istniejący dziś rzeczywiście, typ wstrętny, ostręczający chłodem serca, niżkością dążeń, a szerzący coraz zaraźliwiej przykład zgubny dla takich zwłaszcza społeczności, którym nic nie zostało, prócz świętego ogniska rodzinnego; ale się stało inaczej, Julian poszedł na plan drugi, poświęcony dla głównego założenia powieści.

Co się tyczy innych charakterów w dwóch tych powieściach, wszystkie prawie, nawet te, które są z lekka i jakby od niechcenia naszkicowane, wychodzą jasno i wyraziście, i przedstawiają człowieka z odpowiedniami jego stanowisku wadami i przymiotami. W ten na przykład sposób naszkicowany ks. Wikary „w Pałacu i folwarku“ mało kiedy osobiście działa i mówi, a przecież to czego się o nim dowiadujemy z opowiadania innych, z postępów jego dwuznacznych, daje nam dokładny obraz człowieka nieogładającego się na środki, nie robiącego sobie skrupułu z podeptanych po drodze bez litości zasad i osób, byle dojść do celu. Również naszkicowany za ledwie pan Jacek i Antoś w Mogilnie, a przecież czytelnik zna obydwóch jak swych starych znajomych.

Prześlicznie też znakomity autor kreśli postacie szlacheckie, i naszcchowane zacnością charakteru, a zarazem słabościami odziedziczonymi krwią po przodkach.

Taki p. Roman Mogilski, szlachetna i czysta dusza, zatopiona w miękkości i w odwiecznym rasowym zaufaniu na „jakoś to będzie“ i wprost przeciwny jemu, bo energiczny, zabiegły i gospodarny, choć równie skromny i szlachetny pan Ostojski, w „Pałac i folwark,“ są postaciami wyrwanymi żywcem z rzeczywistego świata, odkrytego dla oka psychologa badającego z miłością. Niemniej charakterystycznie skreślone, ujemne postacie hrabstwa Skwirskich i Niemca Larischa.

Z galerii zaś kobięcych, Zosia Ostojka pozostanie typem wiecznie świeżym dziewczęcą z wykształconą główką i z rozwiniętym sercem, tak oddmienna od niewiniątek niesmacznych i nienaturalnych, opisywanych niezręcznie przez tylu poczynających pisarzy, którzy sądzą że cnota i wdzięk dziewiczy powinny być koniecznie wyrażone naiwnością niezmierną, i słupem granicznym ostrzegającym co krok wielkimi głoskami: „Tego a tego mówić nie wolno.“

Dzisiejszy ruch emancypacji między kobietami, tyle przynajmniej sprawił dobrego, że wolno kobietom kształcić wszechstronnie swój umysł nie ograniczając go jak dotąd, na powierzchownem przyswojeniu sobie encyklopedycznych wiadomości. Dla tego Zosia, dziewczę samodzielnie myślące, pojmujące po swojemu i świat i ludzi, z zachowaniem przytem całej czystości serca, które przez wiedzę tylko wzmacniać i podnieść się musiało, nęci oryginalnością a niemniej najszczerzą prawdą.

Od dwóch tych utworów ulubionego i znakomitego pisarza, przejdźmy do nieznanego i nowego, występującego o ile wiemy, pod pseudonimem *Berlicz-Sasa*. Książka jego nosi tytuł: „Obrazy z natury.“ „Giul-Szada powieść wschodnia. Jak czytamy w nagłówku jest to zarazem autor: „Ukrainy.“ „Wspomnień Kaukazu“ „Pani kasztelanowej Trockiej“, „Pani starościny Horodelskiej“, a więc autor kilku już powieści, mających o ile sądzićby można, charakter pamiętnika historyczno-obyczajowego.

Z góry już oznajmiamy czytelnikom, że mamy do czynienia z talentem niepospolitym, umiejącym wypadki żywo, nadobnie i obrazowo łączyć z wymysłem poetycznym, umiejącym nadać tok dramatyczny opowiadaniu podtrzymywanemu językiem poetycznym, czasem wzniosłym a zawsze dosadnie i prawdziwie rzecz malującym. (Nie mogą tu bowiem zaważyć drobne usterki językowe, nieszczęśliwie zapożyczone z obcych języków, lub z obcej składni gramatycznej). Mamy przed sobą dwie tylko nowelle, a przecież obie, szczególnież zaś pierwsza, którejby tytuł dać można. „Graziella,“ przedstawia obrazek w sobie harmonijnie zamknięty, dramatycznie zaokrąglony, nawet w najdrobniejszych szczegółach charakteryzujący główną postać bohatera. Ciekawość nie opuszcza czytelnika ani na jednej kartce; autor wątek powieściowy zręcznie i ponętnie przeplata opisem krajobrazu, starożytnych pamiątek miasta, często refleksją filozoficzną pomieszczoną w dyalogu, ale to przeplatanie odbywa się naturalnie, bez naciągania i przesady, owszem zdaje się należeć do właściwości osób działających. Obie powiastki mają za tło zemstę, z tą różnicą, że w pierwszej bohater spełnia zemstę i jest zato ukarany, w drugiej zaś żręka się jej, i jest zato wynagrodzony. Treść,

miejsce działalności i fabuła jednej i drugiej wręcz odmienne, ale myśl filozoficzna autora, odsłania się w obydwóch, niby teza i antiteza.

Pierwsza zaczyna się od osobistych wspomnień autora, od opisu miasteczka Łohojska i jego właściciela Piusa Tyszkiewicza (ojca Konstantego i Eustachego). Między wieloma znanymi osobistościami spotkał się tu z Sewerynem Rzewuskim, stryjem Henryka Rzewuskiego, wydawcy *Soplicy i Listopada*. Zastanawiając się nad oryginalną jego postacią, złożoną z kontrastów, z której jednak wypada konkluzja: że był, jak go zwała pani Tyszkiewiczowa *un esprit maudit, le génie du mal*, powiada, że styl jego polski posiadał tło właściwe i tok czysto narodowy, szlachecki, kontuszowy, i że te znakomite utwory, uporządkowane w późniejszym czasie i wydane przez jego synowca (Henryka Rzewuskiego) wyszły z pod pióra Seweryna, który mieszkał długo w Nieświeżu *titulo* blizkiego krewnego księcia *Panie kochanku*, i był *eo ipso* spółnikiem bytu ówczesnego społeczeństwa Litwy. Autor tak mówi dalej: „Wiele mi Seweryn o tym peryodzie życia swego opowiadał; czytał całe ustępy z notat i pamiętników, z któremi jak ze starymi znajomemu spotkałem się później w pismach, pod firmą Henryka Rzewuskiego wyłożonych. Jeżeliby twierdzenie moje nie miało siły przekonywającej, dość byłoby poddać styl powyższych utworów analitycznemu rozbirowi ze stylem *Mieszanin* Jarosza Bejły, i reszty pism słusznie imieniowi *Henryka Rzewuskiego* przynależnych. Bądź co bądź winniśmy temu ostatniemu wdzięczność, bo gdyby nie on, to kosztowne płody pióra Seweryna Rzewuskiego, zaginęłyby w chaosie jego bezładnego życia.“ A na dalsze poparcie swego twierdzenia, przytacza autor, że ostatni raz widział Henryka Rzewuskiego w roku 1859 w Berdyczowie: „Spotkaliśmy się w zajezdnym domu, i całą noc przegawędziliśmy, bo w dyalogu jego było tyle werwy i życia, że sen i na myśl nie przychodził. Zalecał mi swoje *Pamiętniki Michałowskiego*. Cóż w nich znajdę? zapytałem. — Wiele prawd — odpowiedział śmiejąc się — za które będą mnie lajać; mais je m'en moque. Les rieurs seront de mon côté! A propos czy to prawda co mi mówiono, że mi odmawiasz autorstwa *Soplicy, Listopada i Zamku krakowskiego*?

— Prawda! — rzekłem i wytłumaczyłem powody. Zaśmiał się i rzekł: „N'est-ce pas la même chose? C'est toujours un Rzewuski qui'a écrit cela. Le nom de baptême n'yfait rien.“ Jakkolwiek zarzut ten uczyniony pobieżnie i bez bliższych jakichbądź krytycznych dowodów, ciężki on jednak i niesłuszny. Wprawdzie Rzewuski napisał później wiele słabszych utworów, ale zawsze taki „Adam Smigelski“ a choćby nawet te same „Pamiętniki Michałowskiego“, uważane jako utwór artystyczny bez względu na ich tendencje, chlubnie świadczą o ogromnym powieściopisar skim talencie Henryka Rzewuskiego.

Wracając do powieści, autor opisując uroczystości balowe Łohojska napomyka, że ujrzał nazajutrz w salonie jakiegoś barona Emanuela von K... który zrobił na nim dziwne wrażenie. Miał on w sobie coś z *gellatora*, kiedy mówił, głos jego wyrażał coś jakby rozpacz gwałtownie

tlumioną. Przedstawiono go jako wielkiego turystę, który na morzu i ładzie wielkich doświadczył przygód. Tajemniczość jakaś otaczała go i podniecała ogólne zajęcia. Nikt o nim nie dokładnie nie wiedział, a każdy rozmaite puszczał domysły i wnioski. Autor jednak uczył się doń sympatycznie pociągnięty, i zauważył, że baron chętniej z nim rozmawia niż z innymi. Na pożegnanie podali sobie ręce, kiedy się mieli ujrzeć nie wiedzieli obydwa. Po wielu dopiero latach, na Kaukazie, dostrzegł znów na balu 50 letniego jakiegoś mężczyznę, ponurego twarzą i wejrzeniem, z którym znów zawiązał przyjazne stosunki. Był to baron Emanuel. Pewnego razu wsiedli obaj na koń i popędzili za miasto. W ustroniu na pół dzikiem, okoloném skałami i gęstemi krzewy, zasiedli do pogawędki, której treścią miało być życie barona Emanuela. Opowiemy je jak najkrócej.

Baron Emanuel był synem zamożnych rodziców, których zamek starożytny wznosił się w pobliżu Rewla pośród obszernych włości. Ojciec, pan feudalny, był popędliwój i despotycznej natury, wszyscy bali się go jak ognia, i syn jedynak w jego obecności ust otworzyć nie śmiał. Przez całą jesień polował stary baron, napieniając wrzawą i okrzykami spółbiesiadników, ogromne komnaty zamkowe. Biesiady były huczne, pan zamku mimo pedogry wychylał rześiste puhary rheinweinu. W zamku żyła jeszcze jedna cicha istota, wypróbowana cierpieniem, czystością ducha święta. Studzy czcili ją, a wszyscy litowali się nad niewinną gołąbką mdlejącą bez skargi i wyrzutu w szponach sępa. Biędna matka przelała całą swą miłość na jedynaka, który również odwdzięczał jej miłością bez granic. Razu jednego kazał ojciec zawołać syna przez starego swego sługę Fritza. Kiedy przyszedł, nalał mu ogromny puhar, wychylił do dna, znuwu napelnił i podając mu go, rzekł rozkazująco: Pij. Chłopiec nieśmiał. Wahanie oburzyło ojca. Tupnął nogą i grożąc mu kulakami, krzyknął: Pij, albo cię w miazgę rozgniotę! Zaczął więc pić walcząc ze wstrętem, nareszcie zawołał: „Nie moge ojcze! przebac! Co? śmiesz się sprzeciwiać mojej woli? —syn barona Wolfgang nie jest w stanie wypróżnić puhara? Wydziedziczę cię, przeknę, pij!“ Chłopiec podniósł puhar do ust pałających, pił dławiąc się, czując że śmierć wlewa w siebie, że płyn rozsadza jego wnętrze. We wrzasku tym: „pij!“ była jakaś szatańska ironia, jakaś piekielna radość z odniesionego tryumfu. Skronie płonęły, w oczach wszystko się zmaciło, nagle zdawało się biędnemu, że postać matki błagalnie coś mówiła; potem ktoś cisnął czémś ciężkiém gwałtownie, ktoś jęknął, upadł.

Kiedy po kilku dobach Emanuel przyszedł do siebie, czuł się straszliwie chory. Wierny sługa Fritz czuwał nad nim, ale na wszelkie zapytania gdzie jest matka, wymijająco odpowiadał. Nareszcie dowiedział się okropnej prawdy; gdy bowiem matka przyszła błagać za nim, ojciec uderzył ją tak silnie, że padła bez zmysłów, lecz i sam zrozumiawszy całą ohydę owego czynu, padł pod ciężarem własnej zbrodni, dostawszy obłąkania. Fritz kończąc wyznanie, zaklina swego młodego pana ażeby

pomścił tę katastrofę na tym, który starego ojca do zbrodniczych czynów podzegał, na baronie Arnoldzie N.

Odtąd zaczyna się pielgrzymka Emanuela po świecie, celem odszukania sprawcy okrutnego jego losu. Zwiedził Prusy, Austryę, Anglię i Francję, nie było teatru, bulwaru, kawiarni, któreby nie uległy badaniu. Nadaremnie, aż nareszcie w Medyolanie zetknął się z baronem Arnoldem. Wyzywa go na bój śmiertelny, baron odmawia, Emanuel znieważa go czynnie, a nazajutrz stawia się z przyjacielem swoim Figeac'iem na placu, oczekując nadaremnie przeciwnika, który téj jeszcze nocy z Medyolanu wyjechał. Z przyjacielem układa nowy plan kampanii, zemsta nie pozwala cieszyć mu się młodością i tysiącznemi pokusami świata. Pod zmienioném nazwiskiem zjawia się w Wenecyi, tém mieście miłości, pocałunków i pieśni. Figeac szperał pilnie po wszystkich kątach i zaułkach, aż raz (znał barona Arnolda tylko z dokładnego opisu) dał znać że jest na śladzie. Wybrali się do jakiegoś domku, którego okienko było otwarte. Przy okienku siedziała dziewczina, i śpiewała pełną piersią sławną modlitwę Desdemony. Śpiew zatrząśł, rozrzewnił i porwał Emanuela. Kto ona?—zapytał—Nazywa się *Graziella*—odrzekł Figeac.—Odtąd Emanuel drżał z obawy, ażeby się w serce jego nie wkrađło uczucie, któreby osłabiło cel zemsty. Dusza wkraczała mimowoli w czarowane księgi nieznanych jój dotąd pociągów, więc walczył dzielnie z urokiem. Unikał samotności, żeby nie myśleć o Grazielli, unikał wybrzeża na którém stał jój domek.

Nareszcie odkryli barona Arnolda, który lubo przerażony widokiem swego prześladowcy—rzekł: uciekłem z Medyolanu, bo chodziło mi o istotę, której jedynym jestem opiekunem, lecz dziś mam prawo umrzeć.

Baron Arnold padł w pojedynku. Emanuela poczyna dręczyć sumienie, smutek nie opuszcza go ani na chwilę. Nadto miłość gorąca której dłużej powstrzymać nie był w stanie, wybucha całym płomieniem. Zapragnął widzieć Graziellę. Pod zręcznym pozorem dostali się do domku, gdzie ich przyjęła zrozpaczona o los córki matka. Graziella bowiem była chorą niebezpiecznie. Ogarnęła ją jakaś apatya od czasu nieszczęścia zaszłego w rodzinie, tak że po całych dniach siedziała nieruchomie z wlepionemi w śłup oczyma. Emanuel leczy ją czarem muzyki; dosyć że po upływie jakiegoś czasu, miłość zobopólna zdawała się łączyć ich ze sobą na wieki; aż raz Graziella, której poetyczna dusza rządziła się przecuciami, zaprosiła kochanka na stanowczą rozmowę. Uboga nie chciała zawiązywać mu losu, lecz on uniesiony najwyższém uczuciem, słuchać nie chce jój przedstawień, a na świadectwo szczerych swych uczuć wzywa ducha ojca Grazielli, którego portret odkryty żalobną zasłoną wisiał na ścianie. Zdzięra zasłonę, i... nagle krzyk przerażenia wydzięra mu się z piersi. Ojcem Grazielli był zabity przez niego w pojedynku, baron Arnold. „Przebacz!—woła w obłąkaniu—jam twój zabójca, lecz srogo śmierć twoją odpokutowałem! Jam twój zabójca!“ Krzyk zgrozy rozległ się wkóło niego wołaniem: *Maledetto, Maledetto!*

I zdawało mu się że ktoś goni za nim z groźbą i szyderstwem; i biegł, biegł coraz dalej, bez myśli, bez celu, aż się rzucił w ciemną, otchłąń kanału.

Dalszy ciąg opowieści prowadzi nie sam bohater, ale jeden z jego kolegów. Wyratował nieszczęsnego przyjaciel jego Figeac, Graziella umarła na pęknięcie serca. Biedny Emanuel wyzdrowiawszy po ciężkiej chorobie, stał się ponury i nienawidzący ludzi. Walczył na Kaukazie szukając śmierci. Słyszał z nieustraszonego męstwa, aż w jednej potyczce zginął. Kozacy pochowali jego ciało nad rozłożystym *Czimarem*.

Rozszerzyliśmy się umyślnie nad treścią, żeby naprowadzić czytelnika na poetyczność samego opowiadania, zalecającego się niezaprzeczoną oryginalnością. Niektóre epizody traktowane z ogniem i uczuciem, znać że je autor jednym tchem napisał.

Druga powieść „*Giul-Szada*“ mniej zawiera w sobie treści. Autor opowiada jedną przygodę z pobytu swego na Kaukazie, gdy raz jechał konno z Larsu do Tyflisu. Zachwycony zachodem słońca, tak go opisuje: „Owiany uroczystością chwili, dumalem przy szumnej napływie potoków, gdy się nagle słońce schylać zaczęło ku zachodowi. Bogate barwy jego zaświeciły połyskiem złota i przeistoczono w ognisty ocean czerwieni, załały purpurową falą niebo i obłoki, skały i lody odwieczne *Mhinwara* (góry Kazbek w Gruzji) spływając coraz głębiej w załomy wąwozów cienistych, gdzie szumiał wicher swą modlitwę wieczorną, gdzie srebrną nutą brzmiał pacierz potoku, gdzie szumiał *oczinar* swym liściem hymn dziękczynny Bogu, gdzie i ja zlewał się duchem z tym cudnym, olbrzymim, uroczystym akordem natury.“ Prawdziwy to obraz natury, a takich wiele w tej powiastce. W drodze spotyka się z poważnym starcem, potomkiem rodu książęcego Agamirów. On to opowiada mu bolesną przygodę swego życia. Był bogatym, miał dzielne hufce, miał kobietę którą ubóstwiał: *Giul-Szadę*. Podły naczelnik jednego z plemion *Kyzył-Kusz*, złoty jastrząb, pozazdrościł mu i bogactw i miłości ludu i cudnej *Giul-Szady*. Kiedy wracał z igrzyska wraz z bratem swym dzielnym rycerzem, napadł ich złoty jastrząb w lesie ze swą szajką rabusiów, wymordował wiernych żołnierzy, i zabił mu brata i nad świat cały ukochaną *Giul-Szadę*, jego zaś ciężko ranionego wyratował *Mullah-Hadzi* słynny lekarz duszy i ciała. W pierwszej chwili gdy przyszedł do przytomności poprzysiągł zemstę, lecz starzec powstrzymuje go opowieścią własnego życia równie nieszczęśliwego, a przecież podźwigniętego z rozpaczczą miłością Boga i ludzi.

Na kurbanie *Giul-Szady*, miał nieszczęsny różne widzenia nadziemskie, w których zawsze ukazywała mu się najukochańsza, krzepiąc go w upadku ducha. „Kiedy wejdzie moje słońce ostatnie? kończy starzec swą opowieść—nie wiem. Znając nikczemność rzeczy ziemskich, chwały ziemskiej nie szukam, w mądrość ziemską nie wierzę. Chwałę znajduję w świadectwie sumienia, mądrość wyczytuję nie w księgach ludzkiego rozumu, lecz w księdze natury... Chcesz-li być mądrym?... czytaj w naturze; chcesz ukoić boleść sercową lub zwalczyć rozpacz,

którą ci świat rzucił w łono, czytaj, czytaj w naturze!... W niej pokój, zbawienie i szczęście!“

I znów autor, zachwycając się nad wschodem słońca, a we wspólnej z muzulmaninem modlitwie, woła: „pewny jestem, że ten sojusz chrześciana z czcicielem Mahometa, dopełniony pod wpływem najczystszych wrażeń hołdu i pokory, nie był nieprzyjemnym Bogu, który nakazał ludziom miłość i braterstwo.“

Powtarzamy, oryginalność niezaprzeczona, świeżość uczucia i dar uplastyczniania jakoteż dramatyzowania, połączone z obrazowym językiem odznaczają te dwa utwory, niepretensjonalnego zakroju i rozmiaru. Kończymy oceną powieści dwutomowej, która jako oryginalnie napisana, również przez nieznanego, bo niepodającego swego nazwiska autora, zdawała się nam zasługiwać na szersze sprawozdanie. I rzeczywiście powieść p. t.: *Wojewodzic*, po najuważniejszym nawet jój przeczytaniu, pozostawia czytelnika w wątpliwości, i w niejakim wahaniu co do wyrzeczenia o jój wartości ostatecznego wyroku. Nasuwa ona mimowoli porównanie z człowiekiem, którego zdaje się że dobrze znamy, który raz zadziwia nas i pociąga ku sobie jakimś czynem dzielnym, lub słowem rozumnym: to znowu odstręcza płytkością zdania lub dziwacznym postępowaniem. Nie wiemy nigdy dokładnie jaki on jest, czego się po nim spodziewać można i czy warto z nim pogawędzić dłużej.

Pierwszy tom *Wojewodzica* ani tak dalece nie zaciekawia, ani nie odstręcza; ani nie uderza oryginalnością pomysłu dramatycznego opowiadania, pięknym, niezwykłym językiem, głębokością myśli, ani narazie tém o czém autor na wstępie wspomina: że „dziś wolno nam mówić wszystko, *byle rozumnie*.“ Skończywszy tom pierwszy, nie bardzo pragnie czytelnik wiaś się do drugiego; lecz nagłe i niespodziewanie zajęcie rośnie, miejscami nawet uwaga napręża i trzyma na wodzy, miejscami pozwala wróżyć autorowi, że gdyby nie to i owo albo téż: gdyby to i owo, byłby w stanie rozwinąć powieść do tego stopnia, w jakim staje się ona czemś więcej aniżeli luźną, tuzinkową robotą. Jest dużo w téj powieści ruchu, dużo śmiałości w pociągu pędzla, ale reminiscencye wielu francuzkich romansów, szafujących szczerze jaskrawym kolorytem, a zarazem reminiscencye charakterów swojskiej nawet powieści, sprawiają w czytaniu efekt spotkania się z dawnymi znajomymi. Tło wprawdzie rodzinne, o ile nazwy miejsc i alluzye do lokalnych stosunków rodzinnymi zwać się mogą, ale reszta jest jakby zupełnie obcą, przyczepioną do polskich definicyj. Takie np. książkę Skirgiełło, niczém: ani charakterem, ani postępowaniem nie przypomina polskiego pana, chyba dumą o której zaznaczenie usilnie autor się stara, ale dumą jest z natury swój kosmopolityczną i jest udziałem całej arystokracji rodowej Europy. Wyjątek tylko stanowi arystokracja angielska w stosunkach politycznych. Bohatér téż sam, mógłby doskonale być Francuzem lub Włochem; nie mu nie nadaje piętna ziemi, na której się urodził, równie jak bohaterka, której jako heroiny nie wyparłby się żaden z francuzkich belletrystów. Jeden tylko Paweł Gieryski,

stryj bohatera, chociaż się tuła po obczyźnie jako szarlatan, największą się zaleca oryginalnością.

A i pomysł sam główny, a będący osiłą intrygi powieści i podstawą charakteru księcia Skirgiełły, przypomina na nieszczęście bardzo natrętnie pomysł powieści Dumasa syna p. t.: „Dama w perłach“ z tą jedynie różnicą przefabrykowaną na nasze stosunki, że gdy tam chodzi księciu o potomka choćby nie swojej krwi jedynie dlatego, że inaczej minęłaby go snkessya po stryju, nakładająca konieczny warunek postarania się o następcę; tutaj księciu Skirgiełle chodzi o potomka, dla podtrzymania i przedłużenia tym kaczym sposobem historycznego swego rodu. Każdy przyzna, że tamtego księcia spryt i łotrostwo prędzej wytłumaczyć się dają, ale księżę Skirgiełło uciekający się do takiego brudnego środka dla przedłużenia swój dynastyi, daje tylko dowód mandaryństwa chińskiego i braku honoru. Wprawdzie przed śmiercią sam się do tego przyznaje, ale to go bynajmniej nie ochrania, ani jego, ani nieracjonalnej inwencji autora. Podobieństwo zaś między romansem rzezonym francuzkim w tej mierze a tym, uderza rażąco w scenie uprowadzenia księżnej przez męża, po dokonanych fakcie zdrady małżeńskiej. Trudno o wierniejszą kopię, szkoda tylko że taka wierność na pochwałę naszego autora wyjść nie może.

Z tém wszystkim i niewiedząc czy autor jest młodym czy starym, czy jest to pierwszy jego utwór, czy też spisanie rzeczy posłyszanych, przeczytanych a może i w części doświadczonych, zachęcamy go szczerze do dalszego pisania. Z wielu wad, przy pracy i studyach, otrząsnąć się łatwo, a o treść nie trudno w takim kraju jak Galicya, który znajdując się w stanie przejścia, trochę chaotycznym i trochę postępowym, niemało oryginałów i scen dramatycznych jako i komicznych a rzeczywistych, dostarczyć jest w stanie. Potrzeba tylko patrzeć głębiej, nie z wierzchu, sądzić surowo gdy rzecz warta naganą, a pobłażać gdy rzecz zdolna poprawy. W ten sposób unika się przesady, a nabiera się wprawy oka i doświadczenia w wyrokach. Społeczeństwo galicyjskie nie jest o wiele lepszem od innych, ale z pewnością nie jest gorszem, a w wielu razach jeszczeby mogło innym posłużyć za przykład. Nie można zaprzeczyć, że autor pisał nie wypierając się miłości dla swych współziomków, chociaż szkoda że mając tyle sposobności rozwinięcia stosunków miejscowych, przeniósł opowiadanie w tomie drugim na ziemię obcą. Naturalnie nie myślimy przez to kępować fantazyi autorskiej, lecz powieść sama traci na tém, bo ukazuje już osoby i powikłania jak przez kalejdoskop, szkodząc przez to jedności i energii akcji.

Lecz rozprawivszy się temi kilkoma słowy z autorem, winniśmy zdać jak najkrócej treść, z której wynuliśmy nasze wnioski.

A więc bohater nazywa się Artur Gedymski, jest wojewodziecm i potomkiem starożytnej rodziny, osiedlonój w Galicyi. Młody Artur chowa się czy kształci w Dreźnie (czy w uniwersytecie? nie wiemy) pod okiem starego Jana, będącego typem wiernego sługi, typem coraz rzedszym. Ma lat 24, serce tkliwe, pamięć zapruszoną smutnie wspomnie-

niami lat dziecięcych. Ojciec jego bowiem pan Ksawery, dumny, pyszny hrabia, źle się obchodził z poddanymi i sługami, i jedną z takich scen prześladowania dobrze pamięta syn jego, wówczas mający lat *cztery!* Wiek trochę za młody na spisanie w pamiętniku tak dokładnie wrażeń psychicznych! A nadto ojciec źle się obchodził z jego ś. p. matką, która raz po przemówieniu się gwałtowném z ojcem, dostała krwotoku i zgasła. Syn czuje pewien żal do ojca, gdy wtém dostaje telegram, donoszący mu o umierającym ojcu. Rozrzewniony i poruszony do żywego, zastaje jeszcze umierającego ojca, który poraz pierwszy może w życiu rozczulony widokiem syna, chce uczynić przed nim jakieś ważne ostateczne zeznanie. Ale śmierć przerywa opowiadanie, syn mimo swego do ojca przywiązania, domyśla się tylko, niezbyt czystej i szlachetnej jego przeszłości. Boli go to i martwi; pragnie się rozerwać w sąsiedztwie u państwa Koszyckich, córka których nadobna Helena, była towarzyszką jego pierwszych lat młodości, i... pierwszém marzeniem. Ojciec panny, kasztelan, z duszy radby przycisnąć Artura do serca jako zięcia, i matka przed kilku jeszcze laty tego tylko pragnęła; lecz teraz hrabia Ksawery stracił majątek, syn stał się złą partyą, a na jego miejsce począł się starać usilnie o rękę Heluni książe Skirgiełło. Artur cierpi srodze, ale się zdecydować nie może po rozmowie z Helunią, na otwarte wystąpienie celem pozyskania jej ręki.

Książę Skirgiełło zaślubia Helunię, ale zaraz po ślubie otacza nie wiedzieć dlaczego, siecią przyjacielskich zabiegów Artura, tak dalece, że ten opierając się zrazu potężnie, ulega w końcu i w Dreźnie, gdzie księżta bawią, staje się ich nieodstępny domownikiem i przyjacielem.

Książę zostawia ich ciągle samych umyślnie, przyjmuje Artura z najśłodszym zawsze uśmiechem, wyjeżdża na całe tygodnie za granicę; aż raz, nagle i w chwili gdy oboje w czułym uścisku przysięgają sobie wieczną miłość, zwłaszcza że Helena ma zostać matką, zjawia się z poza kotary książę, i obrzuca obelgami przerażonych. Następuje pojedynek niekrwawy, książę znika bez śladu wraz z żoną, posławszy przedtém list do Artura, list sfałszowany, bo napisany niby od Heleny, a zawiadamiający kochanka, że wszystko było z góry ułożone między nią i mężem. Zgnębiony bohater z resztką fortuny, puszcza się w podróż bez celu—zajeżdża do Rzymu. Tutaj po różnych dziwacznych, a bardzo ponętnie opisanych przygodach, kończy się cała intryga. Tu odnajduje stryja swego Pawła hr. Gedymskiego, którego ojciec nieboszczyk skrzywdził, zmusiwszy go zdradziecko do tularczyki za granicą i do zostawienia mu całego ogromnego majątku, odnajduje na to ażeby go zaraz stracić, zamordowano go bowiem podstępnie; tu się dowiaduje o zbrodni swego ojca; tu nareszcie zjeżdża umierający książę Skirgiełło z żoną i wkrótce umiera, nietylko przebaczywszy żonie i Arturowi, ale nadto zostawiwszy jej ogromny swój majątek. Do Artura zaś pisze list, wyjaśniający zagadkę swego postępowania i stawiający prośbę, ażeby przez wzgląd na jego ród historyczny, dla utrzymania którego właśnie tak się splamił, synowi Heleny nie odbierał nazwiska książąt Skirgiełłów.

Naturalnie, że młodzi kochający się zawsze z równą siłą, łączą się nareszcie węzłem ślubnym. Powtarzamy, powieść mimo wielu błędów w kompozycyi, w wykończeniu charakterów, mimo niejakiego plagiatu w głównym pomysle, a często mimo trywialności w wyrażaniu myśli, nie jest bez zalet, będąc zadatkem, że autor w przyszłości, coś istotnie lepszego napisać jest w stanie.

E. Lubowski.

Biblioteka filozofii pozytywnej. Wstęp i pogląd ogólny na filozofią pozytywną p. Juliana Ochorowicza,

Zapowiedzianej przez redakcyę dzienników tutejszych: *Niwa* i *Opiekun domowy* publikacyi, pod napisem *Biblioteka Filozofii Pozytywnej* uka-zało się już kilka zeszytów, z tych zaś pierwszy mający napis: *Wstęp i Pogląd na Filozofię Pozytywną* obejmuje oryginalną pracę p. Juliana Ochorowicza. P. Ochorowicz dał się już poznać literaturze krajowej wydaniem kilku oryginalnych dziełek treści psychologicznej ¹⁾; w obecnej pracy wyznaje iż jest wielbicielem i zwolennikiem stanowczym spółczesnej nam szkoły pozytywnej i w kreślonym pokrótce przebiegu pojęć filozoficznych od Talesa do czasów naszych, jak stanowisko i istotę téj szkoły tak i wyższość jej nad wszystkie dotychczasowe inne uzasadnić się stara. O pracy téj oryginalnej chcemy tu uczynić kilka bliższych uwag, wszakże z góry wyznać musimy iż przykro nam, że po raz pierwszy donosząc w obecém piśmie o pracy zdolnego zkądnąd pisarza, o treści jej nie możemy się przychylnie wyrazić i owszem co chwila w naszym rozbiore przyjdzie nam się potykać już nie tylko o mylne pojmowania przedmiotu, ale o błędy faktyczne. Tak zaraz na pierwszój stronie spotyka tu nas szczególnie wiadomość, iż *Parmenides* (jeden z pierwszych nauczycieli „ułudy zmysłów“) wprowadzał wszystko z powietrza, iż *Leucypp* (pierwszy z atomistów) wszystko z ognia i t. p. Następnie zaś uczyniwszy autor założenie że badania filozoficzne muszą koniecznie odznaczać spółczesne przeciwnie prądy i z nich powstający eklektyzm, do formułki téj naciąga fakta i zamiast przedstawić tak różne kierunki filozofii, iżby czytelnik z niemi rzeczywiście mógł się zapoznać, *rezonuje* tylko o historii filozofii. O *Anaxagorasie* np. autor mówi, że on jest pierwszym jednostronnym idealistą (str. 4), choć wiadomo, że przyjmując dwie zasady wszechrzeczy: (*νοῦς*) i materyalne pierwiastki (*σπερματαυ χρηματα*) jest zupełnym dualistą; filozofią *Sofistów* nazywa eklektyzmem mate-

¹⁾ Jak należy badać duszę etc. r. 1869. Miłość, zbrodnia, wiara i moralność etc. r. 1870. O wolności woli r. 1871. Duch i mózg r. 1872.

ryalizmu *Demokryta* i idealizmu *Anaxagorasa*, chociaż nie mają nic wspólnego, ani z jednym, ani z drugim. Ale i wybitniejsze postacie starożytniej filozofii, jak *Sokratesa* i *Platona* osądzone tu zupełnie fałszywie. Autor utrzymuje, że „sofiści nadużywszy kombinacji wyrazowych znużyli umysł badawczy (czy?), nie dając mu zaspokojenia“ i że „ta okoliczność wywołała reakcją na rzecz praktyczności“ (str 5), której wyrazem miała być filozofia *Sokratesa*. Pogląd taki jest najzupełniej błędnym. *Sokrates* w stosunku do *sofistów* zajmuje stanowisko wprost przeciwne temu, jakie autor mu nazaczył i jeśli już koniecznie trzymać się formułek, to należało filozofią *Sokratesa* nazwać *konsekwencyą*, a nie *przeciwstawieniem* filozofii *sofistów*; gdyż tak jedna jak i druga nie zajmują się objaśnieniem powstania wszechrzeczy, ale działaniem i refleksją ludzką. Różnica zaś między *Sofistami* i *Sokratesem* jest ta, że gdy pierwsi nie przyznają ani poznania mającego powszechne, ogólne znaczenie, ani ogólnych praw postępowania ludzkiego, drugi przeciwnie broni jednego i drugiego i to właśnie stanowi najważniejszą stronę jego filozofii ¹⁾. Ślusniej daleko uważa autor filozofią *Platona* za „całkowite rozwinięcie Sokratesowego idealizmu“ (str. 5). Ale na nieszczęście autor czuje jakąś osobistą urazę do wszystkich idealistów, i wydaje sąd o nich zawsze ze stanowiska pozytywisty naszych czasów. Nie troszczy się autor wcale o to, że *Platon* żył prawie półtrzecia tysiąca lat przed *Mill'em*, *Litrém* etc. i gniewa się na niego za to, „że nawet w dziele *fiyki* napróbnoby kto dopatrywał najmniejszej doświadczałnej zasady.“ Wprawdzie usprawiedliwia autor *Platona*, że nie jest pozytywistą, ponieważ dla osiągnięcia tego wysokiego naukowego stanowiska potrzeba było połączenia empiryi i filozofii, a na połączenie takie „musiano czekać dwadzieścia kilka wieków“ (str. 7), ale to mu nie przeszkadza gromić *Platona*, że „wszystko rozstrzyga się w głowie filozofa, przy zamkniętych oczach (że) co odpowiada jego umysłowym upodobaniom, jego przywidzeniom, co wydaje się miłem wyobraźni, (że) wszystko to uważa za *prawdę*, za *odkrycie* filozoficzne“ (str. 5 i 6). Zapomina tylko przytém autor o tój ważnej okoliczności, że *Platon* to uważał za *prawdę* co udowodnił na mocy krytycznego rozbioru poglądów swych poprzedników, na mocy ścisłego określania pojęć, analogii, dedukcyi, a nawet i indukcyi. Że jednakże z rezultatami filozofii *Platona* obecnie zgodzić się nie możemy, to nie robi żadnego uszczerbku jego naukowemu badaniu. Autor nazywa filozofią *Platona* „opowiadaniem niedorzeczności,“ „majaczeniem chorąg fantazyi“ (str. 6). Dziwna rzeczywiście młodzieńcza odwaga odzywać się w ten sposób o mędrca, którego dotychczas wszyscy poważni uczeni szanują i czczą! Spodziewałyby się należało, że wy-

¹⁾ Cf. *Ueberweg: Grundriss der geschichte des philosophie* T. I str. 75 i nas. i str. 83 i nas.

powiadając tak śmiało swe zdanie o *Platonie*, autor postara się naukowo i poważnie wyprowadzić wszystkich z dotychczasowego błędnego mniemania o tym filozofie starożytności. Wszakże nie uważa autor tego za swój obowiązek, chociaż sam łaje *Platona* za to, że „nie poczuwa się on do obowiązku *dowodzenia*“ (str. 6). Otóż co się tyczy tego ostatniego twierdzenia, to albo autor sam jest w błędzie, albo umyślnie czytelników w błąd wprowadza. Nie odważamy się rozstrzygnąć téj alternatywy. Gdyż z jednej strony przytacza autor i wyjątek z *Phaedra* (choć zamiast § 250 podaje fałszywie str. 250) ¹⁾ i *Thaeteta* (choć tu znów sąd prof. Struve o *Logice Platona* wydaje za oryginalne słowa Platona) ²⁾, a z drugiej strony tak się odzywa o *Platonie* jakby go wcale nie czytał. *Platon bowiem o niczym nie mówi czego by nie popierał dowodami*. Nawet i teorię złożoną w *Thaetecie* na którą tak się zżyma autor (str. 7) uzasadnia ten „Hegel starożytności.“ *Platon*, według naszego autora, pozbawiony jest w ogóle nawet i względnej naukowej wartości, ponieważ nawet „w sferze duchowych objawów“, która powinna być dobrze znaną „mędrcom idealizmu“ ma się wyrażać nie ściśle. Na poparcie tego przytacza autor wyjątek z *Phaedra* o duszy. Gdyby autor zechciał być trochę więcej poźnać z przytoczonego przez siebie dialogu *Platona* i przeczytać to, co *Platon* o dwa paragrafy wyżej od przytoczonego mówi, przekonałby się, że nie słusznie mu brak ścisłości zarzuca. Zabierając się bowiem do określenia nieśmiertelnej natury duszy, *Platon* dosłownie mówi: „Aby zrozumieć czém ona (t. j. nieśmiertelna natura) jest, należałoby mieć boską wiedzę i potrzebaby było rozprawiać bez końca; lecz żeby dać o niej pojęcie zapomocą porównania wystarczy wiedza ludzka ³⁾.“ Ustęp zaś przez autora przytoczony należy również brać w znaczeniu metaforycznym, ponieważ jest tylko dalszym ciągiem tego, który dopiero co przytoczyliśmy. Mamy więc najstuszniejsze prawo słowa autora wyrzeczzone przeciwko *Platonowi*, obrócić przeciwko niemu samemu: „co o tém wszystkiém myśleć? Zdawałoby się, że sam sposób opowiadania tych nedorzeczności, brak wszelkiej krytycznej ścisłości, brak wszelkiego poczucia potrzeby *dowodów*“ (str. 6), dostatecznie charakteryzuje naukową wartość historycznej części dziełka autora. I w samej rzeczy o żadnym filozofie z wyjątkiem *Comte'a*, autor nie wydaje sądu, którego trafność i prawdziwość czytelnik sam mógłby ocenić; ponieważ oprócz ogólnych frazesów nie prawie od autora dowiedzieć się nie można o potępianych przez niego teoriach filozoficznych.

¹⁾ Tu pozwoli sobie autor zrobić małą metodologiczną uwagę: przy cytowaniu ustępów starożytnych filozofów, podaje się zawsze §, nie stronę, ponieważ istnieje tysiące wydań tych filozofów i strony nie zawsze z sobą się zgadzają.

²⁾ Cf. *Struve*: Wykład systematyczny Logiki T. I str. 33 i 34.

³⁾ *Phaedrus* § 248.

Arystoteles znajduje w oczach autora więcej łąski jak *Platon*. Nikt tego za złe wziąć mu nie może i nikt, ktokolwiek zna historią filozofii, nie zaprzeczy, żeby gust autora był nieusprawiedliwiony. Z tém wszystkiém czytelnik chciałby i ma przecież prawo wiedzieć, dlaczego to filozofia *Arystoteles* „o całą przepaść odskakuje od swój poprzedniczki“ (str. 9) Ale zamiast usprawiedliwić swe zdanie o téj niezmiernéj wyższości *Arystoteles* nad *Platonem*, autor nasz pisze tylko same komunały, jak: że *Arystoteles* jest ojcem Logiki, że zbijają teorię *Platona* o wrodzonych niezależnie od bytu zewnętrznego istniejących idei, że „*Arystoteles* jest z jednej strony dalszym ciągiem, z drugieję przeciwieństwem *Platona*“ (sic!); że w metodzie i punkcie wyjścia nie może być nawet żadnego porównania między jednym a drugim etc. Ogólniki takie o czém autor nasz jako pozytywista najlepiej wiedzieć powinien, tém bardziej, że sam z taką pochwałą godną gorliwości karci w *Platonie*, *Fichte'em*, *Heglu* etc. wszelką frazeologię, takie ogólniki powtarzamy, nikogo nie obznajmia ani z kierunkiem filozofii *Arystoteles*, ani z teorią *Platona*, ani nareszcie nie określa stosunku w jakim oba te systemy do siebie zostają. Ale musimy autorowi naszemu zrobić jeszcze jeden ważniejszy zarzut a mianowicie ten, że ogólniki jego nie zawsze są z upętnie prawdziwe. I tak myli się autor, że w metodzie i punkcie wyjścia filozofia *Arystoteles* najzupełniej się różni od filozofii *Platona*. Przeciwnie, jeden i drugi zaczynają od zmysłowego doświadczenia, jeden i drugi dowodzą, że doświadczenie nie może dać prawdziwej wiedzy, jeden i drugi nareszcie posilkują się tak indukcją, jak i dedukcją. Różnica między filozofią *Platona* i filozofią *Arystoteles* leży głównie w pojęciach ich o sposobie istnienia tego, co stanowi istotę każdej rzeczy. Podług *Platona* bowiem idee ogólne istnieją zewnątrz realnego bytu, gdy tymczasem podług *Arystoteles* spoczywają one li tylko w konkretnych przedmiotach, choć podobnie jak i u *Platona* nie są tylko ogólnymi pojęciami, ale stanowią *realną substancję* rzeczy ¹⁾. Autor zaręcza nam, że dzieła *Arystoteles* wywołują w nim uwielbienie dla tego wielkiego męża. Chętnie wierzymy temu i cieszymy się, że ze skromnością cechującą prawdziwego uczonego tak chętnie uznaje zasługi drugich. Żałujemy tylko, że nie chciał się z nami podzielić tém, co wyczytał w dziełach *Arystoteles*, żebyśmy się trochę dokładniej mogli obeznać z nauką tego mistrza.

Wady któreśmy wytknęli autorowi w jego przedstawieniu rozwoju filozofii do *Arystoteles* włącznie, powtarzają się wciąż i dalej. Zamiast *pozytywnie* przedstawić czytelnikowi różne teorie filozoficzne,

¹⁾ Cf. *H. Cohen*: die Platonische Ideenlehre psychologisch entwickelt, w czasopiśmie Lazarusa i Steinthala, T. IV z r. 1866 str. 403 i n. i *Brandis*: Gesch. der griech-röm. phil. T. III cz. I.

zajmuje się autor tylko rezonowaniem o historii filozofii, wszędzie widzi tylko *fakt ciągłości, fakt przeciwstawności* i nareszcie zmieszanie przeciwstawności—*eklektyzm*. Zjawisko to autor jak się zdaje uważa za nadzwyczaj ważne, bodaj czy nie za prawo rządzące tak samo historią filozofii jak prawa fizyczne przyrodą, gdyż wciąż się na nie powołuje z widoczną obawą żeby czytelnik czasem o niem nie zapomniał. Podobne przedstawienie rozwoju filozofii mogłoby mieć naukową wartość, gdyby było oparte na takim rozbiorze systemów filozoficznych, z którego byśmy się o ich treści coś dowiedzieć mogli. Autor wszakże nigdzie takiej krytyki nie daje. Tu i owdzie przytacza zdanie jednego lub drugiego filozofa, ale albo zdanie to nie stoi w żadnym związku z sądem przez autora wydanym, albo też co gorsza nie jest prawdziwem. Nic więc dziwnego, że w całej niemal historycznej części dziełka przez nas rozbieganego jeden frazes goni drugi. Cała np. charakterystyka filozofii *Stoików, Epikurejczyków, Sceptyków*, cała charakterystyka filozofii wieków średnich, oprócz wyliczenia wielu nazwisk z samych prawie składa się ogólników.

Przechodząc do nowej filozofii, autor obstaje za tém, żeby nie *Kartezjusza*, lecz *Bakona* uważać za reformatora (str. 12). Nie będziemy się o to spierać. Ale co nam pomogą do zrozumienia filozofii *Kartezjusza* następujące „wyrażenia: „Przeciwstawność dwu prądów (których symbolami są *Bakon i Böhme*) wydała w jednej osobie *Kartezyański dualizm*. Dualizm ten, jako prąd wypadkowy, przetrwał wieki całe, unosząc w sobie i *Bakonów i Böhme*“ (str. 12); lub to, że: „w umyśle *Dekarta* po jednej stronie usadowił się realizm, po drugiej idealizm, oba oddzielone przepaścią“ (str. 13). Sądy te można tylko uważać za frazy bez znaczenia, ponieważ nie są rezultatem krytyki filozofii *Kartezjusza*, ale orzeczeniem wypowiedzianem bez przytoczenia *pozytywnych* dowodów. Bo przecież za dowód nie można uważać wzmianki o kartezyańskim „*cogito ergo sum*“ i o pojęciu *Kartezjusza*, że dusza i ciało są substancje zupełnie odmienne. Opowiada nam potém autor, zwykłym swym sposobem, jak z dualizmu *Kartezjusza* rozwinęły się znów dwa prądy: jeden empiryczny, drugi idealistyczny, i ubolewa, że myśl połączenia empiryi ze spekulacją, wypowiedziana przez *Arystotelesa* nie dojrzała jeszcze; ale balsam na swe rany znajduje na szczęście autor w następującej tyradzie: „Odszczepieństwo takie w oczach historyka (!?) ma jednak wielką zasługę. Myśl ludzka, rzucona w labirynt istnienia bez niczyjej pomocy, z tą jedną nitką fałszywej *Aryadny*, którą wlecze za sobą, przyczepiwszy ją do punktu wyjścia, błąka się, ale zwiedza wszystkie zakątki ducha, poznaje wszystkie kryjówki fantazyi, ażeby poznać niemożliwość zadania i własną nieudolność wrócić tam, *z kąd wyszła; ale wrócić z bogactwem całym tym zasobem wiedzy, jaką daje własne doświadczenie. Przyjdzie czas, w którym na drzwiach labiryntu położy napis ostrzegający przechodniów i sama go ominie, dążąc do prawdy jasnój, prostą drogą nauki“.

(str. 14). Jestto jedna próbka ścisłości pozytywizmu naszego autora! A próbek tych znalazłoby się bardzo wiele. W ogóle cała charakterystyka filozofii XVII i XVIII wieku w niczém nie jest lepszą od przedstawienia filozofii poarystotelowskiéj: kilka ogólnych nie zawsze usprawiedliwionych sądów, i oto wszystko. Gorzej wszakże, że i tu autor popełnia *faktyczne* błędy. O *Leibnitz'u* autor nasz wydaje sąd, że filozof ten tak już daleko zabrnął w idealizm, że nawet to uważał za prawdę, co jest możliwe (str. 15), i powołuje się w tym względzie na ustęp z dzieła *Leibnitza* p. t., „Nouveaux Essais sur l'entendement humain“. Professor Struve w *Logice* swéj, przytacza ten sam ustęp; ale streszcza go dokładniéj; gdyby autor nasz zechciał być iść za przykładem profesora Struve, nie popadłby był w grzech przekroczenia myśli *Leibnitz'a*. Ten ostatni bowiem, wyraźnie mówi, że to tylko jest możliwe, co nie jest sprzeczne samo w sobie (principe de la contradiction), i co ma dostarczającą przyczynę (principe de la ration suffisante) ¹⁾. W całości więc wypowiedziana myśl *Leibnitz'a* nie przedstawia się tak nierozsądną, żeby samo jéj przytoczenie mogło już wydać na nią wyrok potępiający. Przeciwnie zasady możliwości, wykazane przez *Leibnitz'a* są do dziś dnia, i pozostaną na zawsze, podstawami naukowych hipotez, które przecież i autor za niezbędne uważa (str. 53 i 93). Podobniéż i sąd autora określający stosunek *Spinozy* do *Dekarta* jest błędny. Nigdy bowiem nie można uważać filozofii *Spinozy*, jak to czyni autor, za „reakcją praktyczną przeciw teoretyczności *Dekarta*“. Wprawdzie najważniejsze dzieło *Spinozy* nosi tytuł „*Ethica*“, ale w niéj traktują się nietylko kwestye etyczne, ale i kwestye metafizyczne, i logiczne i psychologiczne. Etyką zaś tylko dlatego *Spinoza* nazwał swe dzieło, że on, jak się słusznie wyraża professor Struve, poczytuje w ogóle całą filozofią za naukę o cnocie dążącą do przyswojenia sobie *prawdy*; dla niego bowiem *myślenie* i *wola* stanowią *jedną* władzę duszy ²⁾. I w tym więc wypadku filozof-pozytywista pozwolił sobie nagiąć fakt do swéj ulubionéj teoryi o prawie przeciwstawności w rozwoju filozofii. Musimy tu jeszcze nadmienić, że wyrażenie takie, iż *Spinoza* „*przedrzeźnia*“ (str. 16) metodę geometryi nie godzi się używać w pismach, mających pretensyę mówić poważnie o rzeczach poważnych. Wyrażeniami podobnemi, zresztą, autor dość często grzeszy.

Po wyliczeniu różnych prądów, jakie się rozwinęły po Dekarcie, Leibnitz'u i Spinozie, przyczém autor tylko względem empiryków i mistyków zachowuje się „sine ira et studio“, gdy tymczasem nie może przenieść na siebie, żeby nie dociąć subiektywnym racjonalistom, odzywając się o nich, że dopóty rozwijali pojęcia *Dekarta*, „do-

¹⁾ *Struve*: Wykład systemat. Logiki tom I str. 95. Květ: Leibnitzen's Logik § 23.

²⁾ *Struve*: Wykład systemat. Logiki tom I str. 92.

póki im starczyło konceptu“ (sic! str. 17); po wyliczeniu tych prądów więc, przechodzi autor do historii nowszej filozofii to jest do *Kanta*.

Ponieważ w peryodzie od *Deharta* do *Kanta* rozwinęły się wszystkie krańcowe poglądy i doszły swego zenitu, przeto „wiemy już, mówi autor, co mogło nastąpić, po wyosobnieniu się prądów krańcowych—*eklektyzm*“ (str. 19). Takie to już jest według naszego autora nieubłagane prawo dziejów filozofii. I z miłości dla tego prawa nazywa autor *Kanta* eklektykiem! Według przyjętego zwyczaju eklektykiem nazywają tego, który będąc pozbawiony oryginalnych poglądów, wybiera z cudzych teorii to, co mu się zdaje prawdziwem, choćby i w zasadzie swęj teorye te były z sobą w zupełnej sprzeczności. Otóż takim to filozofem jest i *Kant*, według pojęć naszego autora. Tak się bowiem o *Kancie* odzywa: „Powstał wielki myśliciel królewiecki *Kant* i podejmuje się wszystkim dogodzić. Zgarnia wszystko razem i uplata w sposób *krytyczny* bicz na wszystkie trzy systemy odrazu. Ażeby zwalczyć *empiryzm* pożyczą broni od idealizmu, *idealizm* zwalcza *empiryzmem*, a jeden i drugi *mistyeyzmem*. Wszyscy zostają pobici, ale każdy pociesza się, że i innych pobito“ (str. 19). Na stronie zaś 20: „*Kant* nazwał eklektyzm swój *krytycznym*. Nazwa ta o tyle może być właściwą, o ile przyswoił sobie sceptycyzm *Hume'a* i o ile krytyka w ogóle może polegać na szlifowaniu ostrych kantów radykalizmu; jest zaś nie właściwą o tyle, o ile polega po prostu na artystycznym ułożeniu bukietu z cudzych kwiatów“. Ogólny ten sąd o *Kancie* chce autor usprawiedliwić trzema kruciotkami ustępami. W pierwszym *Kant* jest nazwany *empirykiem*, ponieważ utrzymuje, „że nasze pojęcia pochodzą ze zmysłów“; w drugim—*racyonalistą*, ponieważ przyjmuje, że rozum nasz posiada wrodzone pojęcia; w trzecim nakoniec—*mistykiem*, gdyż twierdzi, że jakkolwiek „*rozum czysty* powiada, że nie może wierzyć, ale *rozum praktyczny* odpowiada na to: „*możesz, bo... powinienes*“ (str. 19 i 20). Prawdziwie dziecinną wydaje się nam zachcianka autora trzema dorywczeimi ustępami odsądzić *Kanta* od oryginalności i nazwać go eklektykiem wbrew powszechnym pojęciom, według których *Kant* jest twórcą nowożytnych poglądów. Ale mniejsza z tém; można mieć i swe oryginalne rozumienie, byleby się ono na *prawdziwych* opierało faktach. Autor wszakże osądza *Kanta* na podstawie zupełnie fałszywych premissów. Nigdy bowiem *Kant* nie utrzymywał, że „nasze pojęcia pochodzą ze zmysłów“; przeciwnie, dowodził, że pojęcia nasze są rezultatem dwóch czynników: zmysłów i rozumu; pierwsze dają nam materyał dla pojęć, drugi formę ¹⁾, pogląd, który do dziś dnia prawie w niezmiennęj

¹⁾ *Kant*: Kritik der reinen Vernunft, siódme wydanie 1828 str. 3 i n.; specjalnie teorya ta wyłożoną jest w pierwszej części tego dzieła p. t. „Transcendentale Elementarlehre“ aż do rozdziału p. t. „Transcendentale Dialektik“ od str. 25 do 253.

formie przetrwał, i którego *Kant* nie przejął od swych poprzedników, ale do którego doszedł na mocy zupełnie oryginalnej analizy władz poznania. Jak fałszem jest, że *Kant* był empirykiem, tak też i fałszem, że był mistykiem. Autor utrzymuje, że podług *Kanta* musimy wierzyć, że mamy wolną wolę, że dusza jest nieśmiertelną, że Bóg istnieje, dlatego, że rozum praktyczny wbrew oczywistości i rozumowi teoretycznemu głosi: „możesz bo.... powinie- neś“. Tymczasem *Kant* w swojej krytyce czystego rozumu dochodzi tylko do rezultatu, że na podstawie li tylko teoretycznego rozumowania, trzy wyższe przytoczone sądy, równie dobrze dowieść, jak i zaprzeczyć się dają ¹⁾. O wierze i mowy nie ma. Rozum zaś praktyczny, według teorii *Kanta* również nie domaga się od nas żadnej wiary, dlatego, żeśmy „powinni“ wierzyć, jak twierdzi nasz autor, lecz żebyśmy postępowali tak, jakbyśmy chcieli, iżby maxy- ma nasza stała się ogólnym prawem. To jest według *Kanta* jedyny fakt naszego moralnego poczucia. Formuła zaś, przytoczona przez autora: „możesz bo powinie neś“ odnosi się jedynie do wolnej woli, a wcale nie do wiary. Pod tym względem nie może być żadnego sporu; autor po prostu zmieszał tak nazwany „kategoryczny Impe- ratyw“ *Kanta* z formułą, w której on wyraża wolną wolę.

To co autor nazywa zasadami wiary: wolna wola, nieśmiertelność duszy i istnienie Boga nie są podług *Kanta* żadnymi teoretycznymi dogma- tami, uzupełniającymi nasze poznanie, ale tylko *postulatami*, które ściśle są połączone z ogólnym prawem naszego postępowania. Mistycyzmu w tém żadnego nie ma. Ustępowanie, że *Kant* jest *racyonalistą*, ponieważ wykazuje, że doświadczenie nie może być znaczący bez pojęć apriorycznych, których rozum nie czerpie z doświadczenia, lecz które znajduje gotowe w samym sobie, jest jedynym, gdzie autor w sądzie swym o *Kancie* nie rozminął się z prawdą. Ale wła- śnie dlatego, że jest prawdziwy, stoi sąd ten w sprzeczności z inne- mi. I tak przedewszystkiem dowodząc, że pojęcia nasze pochodzą ze zmysłów, nie mógł *Kant* utrzymywać, że nasze doświadczenie zmysłowe nie ma znaczenia bez pojęć apriorycznych. Tylko jedno albo drugie mogło być prawdą. Ponieważ prawdą jest drugie, przeto ustępowanie, że *Kant* był empirykiem jest fałszem. Sąd swój zatem, że *Kant* był eklektykiem, ponieważ był nietylko racyonalistą ale i empirykiem i mistykiem, autor nie uzasadnia tak, jak przystało po- zytywiście, gdyż go nie opiera na *prawdziwych faktach*.

Autor łąje nareszcie *Kanta* za to, że pozwolił sobie swój eklektyzm nazwać krytycznym; gdyż właściwie filozofia *Kanta* jest „artystycznym ułożeniem bukietu z cudzych kwiatów“, a krytyczna jej strona polega jedynie na przyswojeniu sobie sceptycyzmu *Hume'a* i „wyszlifowaniu

¹⁾ Pogląd ten rozwija *Kant* w rozdziale przytoczonego dzieła, zatytu- łowanym: „die transcendentale Dialektik str. 253 do 540.

ostrzych kantów radykalizmu“ (str. 20). Pierwszą część tego sądu dopiero co rozbieraliśmy; co się zaś tyczy dwóch ostatnich części, to odpowiemy na nie słowami samego *Kanta*. Z następującego ustępu przekona się sam autor, że *Kant* nie dlatego nazwał swą filozofią krytyczną, że się *wdawał w polemikę z radykalnymi poglądami*, że je krytykował, że je „złifował“; krytycznych bowiem exkursów wcale nie wiele znajduje się w głównych jego dziełach, ale dlatego, że władze poznania poddaje krytyce. „Rozum, mówi *Kant*, jest władzą, która nam daje *zasady* poznania a'priori. Dlatego czysty rozum jest ten, który zawiera w sobie zasady poznać cośkolwiek a'priori.... Umiejętność oceniającą tylko czysty rozum, wskazującą źródło i granice jego, możemy uważać za *propedeutykę* czystego rozumu. Umiejętność taką nie *nauczą* (Doctrin), lecz *krytyką* czystego rozumu nazwaćby należało; a korzyść z niej ze względu na spekulację byłaby rzeczywiscie tylko negatywną; ponieważ umiejętność taka nie służyłaby ku wzbogaceniu, lecz ku rozjaśnieniu naszego rozumu i powstrzymaniu go od błędów“¹⁾. Stosunek swój do *Hume'a*, którego teorią *Kant*, podług naszego autora, poprostu miał sobie tylko przyswoić, sam *Kant* jak najściślej oznacza nie ukrywając bynajmniej, co skorzystał z *Hume'a*; ale też i wyraźnie określając, w czym się jego własna filozofia od filozofii *Hume'a* różni. Różnica ta zaś jest tak wielką, że o prostém przyswojeniu poglądów *Hume'a* wcale mowy być nie może. „Przyznaję otwarcie, mówi *Kant*, że przypomnienie *Dawida Hume'a*, było właśnie tą okolicznością, która przed wielu laty po raz pierwszy zbudziła mię z dogmatycznego drzemia, i badaniom mym na polu filozofii spekulatywnej zupełnie inny nadała kierunek. Daleki byłem od tego, żeby z wnioskami jego się zgadzać, które tylko z tego powodu powstały, że sobie zadania swego nie postawił w zupełności, lecz na jednej jego części się ograniczył...

...Badałem więc, czy zarzut (przeciwko obiektywnemu znaczeniu pojęcia przyczyny) *Hume'a* nie da się sformułować ogólniej i prędko przekonałem się, że pojęcie przyczyny i skutku bynajmniej nie jest jedyném, na mocy którego rozum nasz a priori przedstawia sobie połączenie rzeczy; przeciwnie, że cała metafizyka wyłącznie tylko z tego (t. j. apriorystycznych pojęć o stosunkach między rzeczami) się składa. Starąłem się odkryć ich (t. j. pojęć tych) liczbę, a że to mi się stosownie do mego życzenia t. j. na podstawie jednej zasady udało, przeto zająłem się dedukcją tych pojęć o których przekonany byłem, że *nie pochodzą jak Hume sądził z doświadczenia, lecz z czystego rozumu*²⁾“.

¹⁾ *Kant*: Critic der reinen Vernunft. Wydanie siódme str. 19.

²⁾ *Kant*: Prolegomena zu jeder künftigen Metaphysik rok 1783 str. 13 i n. Podobnie mniejwięcej odzywa się *Kant* i w swój krytyce czystego rozumu str. 15.

programu filozofii *Kanta*, lecz rezultat usiłowań tego uczonego, rezultat osiągnięty dopiero po przeszło trzydziestoletniej pracy naukowej ¹⁾. Tylko nieznamość prac *Hume'a* i *Kanta*, tylko bardzo powierzchowne obznajmienie się z historią filozofii do *Kanta*, mogły spowodować sąd jaki autor nasz wydał o *Kancie*.

Jeśli przedstawienie rozwoju filozofii do *Kanta*, jakie nam autor w rozbieżaném przez nas dziełku daje, niema żadnej wartości naukowej, to przedstawienie filozofii pokantowskiej a zwłaszcza jej kierunku idealnego, jest tego rodzaju, że nawet możność wszelkiej krytyki ustaje. Autor jest jak się zdaje, zdania, że systemy starszego *Fichte'go*, *Schelling'a* i *Hegla* niewarte nawet poważnej krytyki, że ludzie ci potrafili się zdobyć tylko na oczywiste nonsensa, które na ustach naukowego pozytywisty mogą wywołać tylko uśmiech politowania. Nie robi sobie autor zatem ani z *Fichte'm*, ani z *Schellingiem*, ani z *Heglem* żadnej ceremonii; karykaturuje ich poglądy i sądzi że przytoczeniem kilku oderwanych myśli tych filozofów (podobnie jak to zrobił z teorią *Leibniz'a*) dostatecznie już usprawiedliwił ten, w jakim się o idealistach pokantowskich odzywa. Krytykowi niechy tu nie pozostało jak tylko przytoczyć sądy naszego autora; wszakże wolimy oszczędzić sobie tej nie miłej pracy i odesłać czytelnika do samego dzieła. Zrobimy tylko uwagę autorowi, że studenckie drwinki nie zastąpią attyki soli której mu brak, i że zabierając się do krytyki *Fichte'go*, *Schellinga* i *Hegla* trzeba było sobie przypomnieć stare przysłowie: „*ne sutor ultra crepidam*.“

Obok tego kierunku idealnego, który się rozwinął z filozofii *Kanta* i kierunku mistycznego, którego przedstawicielem był *Jakobi*, empirya robiła coraz większe zdobycze na polu nauk ścisłych, ale żyła w zupełnym rozbracie z filozofią. *Herbart* był pierwszym z filozofów epoki pokantowskiej, który usiłował połączyć filozofią z empiryą. O filozofie tym autor nie odzywa się z takim lekceważeniem jak o poprzednich, ale i tu przebija się ta sama nieznamość rzeczy, i ten sam brak naukowej krytyki. Autor podaje trzy dorywcze zdania o filozofii *Herbarta*, w których streszcza jego teorię o *realnostkach* będących zasadą wszechrzeczy i nie poddawszy jej żadnemu rozbirowi z prawdziwą naiwnością wypowiada następujący wniosek: „Powyższe cytaty (nie są to wcale cytaty, lecz zdania autora) wystarczą do przekonania czytelnika, że *Herbart* pomimo swego zresztą bardzo podejrzanego empiryzmu, pomimo gruntownej znajomości matematyki, którą nawet do psychologii pierwszy raz zastosował, zanadto był przesiąknięty *monadami*, *jaźniami* i t. p. *umidlami*, ażeby mógł dokonać reformy“ (str. 30). Autor wyobraża sobie widocznie, że czytelnik przyzwyczajony jest „*jurare in verba magistri*“; skoro sądzi, że to, co powiedział o *Herbarcie* wystarczy dla przekonania

¹⁾ Pierwsze dzieło p. t. „Gedanken von der wahren Schätzung der lebendigen Kräfte etc. napisał Kant roku 1746.

niania go o prawdziwości sądu przez nas tylko co przytoczonego. I rzeczywiście autor poprostu ślepiej wiary od swego czytelnika wymaga. Bo oprócz tego, że *Herbart* chciał połączyć empiryą z filozofią, i że za ostateczną zasadę wszech rzeczy przyjmował realności, nic więcej od autora o *Herbarte* dowiedzieć się nie można, a to zaiste zamało, żeby ostateczny wyrok jego o tym filozofie uważać za uzasadniony. Jak zaś mało autor obznajomiony jest z filozofią *Herbarta*, to najlepiej pokazuje się z tego, że nawet dokładnie nie wie, co *Herbart* za przedmiot filozofii poczytywał. „Co przechodzi zakres doświadczenia, mówi autor, nie może być przedmiotem filozofii“ (podług *Herbarta* str. 29). Na to odpowiem słowami samego *Herbarta*: „W połączeniu, a więc w formach empirycznie danego materiału (des Gegebenen), tak jak się nam one pierwotnie w pojęciach przedstawiają, muszą być sprzeczności. Spekulacya uchwyci te sprzeczności i rozwiąże je przez uzupełnienie tych form, to jest przez to, że do pojęć formalnych danych nam z doświadczenia *doda te pojęcia*, które z pierwszymi zostają w związku konieczności“¹⁾. Spekulacya zatem, podług *Herbarta*, *przechodzi zakres doświadczenia*, ponieważ do pojęć z doświadczenia branych *dodaje* inne. Nic więc dziwnego, że określiwszy fałszywie zadanie, jakie *Herbart* filozofii postawił, autor gromi go za to, że „choć się wyrzekął wszelkiej nadzmysłowości, przeszedł granice doświadczenia, ulegając nałogom metafizycznym“ (str. 29).

Po *Herbarte* autor rozbiera filozofią pozytywną, której twórcą u nas był *Jan Śniadecki*, a we Francyi *August Comte*. Jestto jedyny kierunek filozofii, który rzeczywiście autorowi jest znany. To téż przedstawienie jego jest tego rodzaju, że czytelnik z nim zapoznać się może. Autor téj części swój pracy poświęcił stronic dwadzieścia trzy, to jest prawie tyle, ile zajmuje cały rys historyczny filozofii poczynszy od *Talesa* aż do *Herbarta*. Ten brak wszelkiej proporcji między jedną częścią a drugą tłumaczy nam ta okoliczność, że autor sam przyznaje się do *pozytywizmu*, i że w dziełku swém chciał dać ogólny pogląd na ten kierunek filozofii. Lecz jedno i drugie nie mogło upoważniać autora do tak nierównego rozdziału swój pracy. Indywidualny filozoficzny gust swój autor wtedy tylko mógłby był uwzględnić, gdyby i inne kierunki filozoficzne, tak był przedstawił, żeby czytelnik mógł rzeczywiście z niemi się zapoznać; a wtedy i zadanie swe autor lepiejby był rozwiązał, bo tym sposobem historyczne znaczenie *pozytywizmu* jasno by się wydatniło. Naturalnie, że nikt nie ma prawa narzucać autorowi ani zadań, ani planu jego pracy; ale każdy z czytelników jest w prawie żądać od niego, aby zadanie, które sobie postawił, o tyle rozwiązał, o ile współczesna nauka podaje mu do tego środków. Autor nasz chciał przez krytyczny rozbiór historyi filozofii wykazać, że tylko

¹⁾ *Herbart*: Hauptpunkte der Metaphysik, rok 1808, str. 15.

pozytywizm jest uprawnionym kierunkiem filozoficznym. Ale cały ten krytyczny rozbiór w istocie redukuje się poprostu do *zapewnienia* czytelnika, że cała filozofia, z wyjątkiem pozytywizmu, znajduje się na fałszywej drodze. Taka metoda zaś nie może ani oświecić czytelnika, ani też naukowo przyczynić się w czémkolwiek bądź do wykazania wartości pozytywizmu. Lecz i samo przedstawienie pozytywizmu *Comte'a* takie, jakie autor nasz daje, raczej wątpliwość o jego wartości naukowej wzbudzić może, niż ustalić pewność, że tylko od tego kierunku filozofii zależy jej zbawienie. Autor wylicza trzy znane myśli *Comte'a*, jako najważniejszą zdobycz jego filozofii: 1) *prawo trzech stanów*, 2) *klasyfikacją nauk*, i 3) *socjologią* (str. 41), i poddaje je krytyce. Przyjrzyjmy się rezultatom tej krytyki. O pierwszej myśli *Comte'a*, wyrażającej, że tak pojedynczy człowiek jak i cała ludzkość w rozwoju swym przechodzi trzy fazy: teologiczną, metafizyczną i pozytywną, autor nasz się odzywa, że jest to spostrzeżenie płodne w następstwa, gdyż nam ułatwia orientowanie się w historii rozwoju licznych zjawisk, że wszakże nie można go uważać za *powszechne prawo*, ponieważ nie da się ściśle przeprowadzić (str. 41). Gdyby autor chciał sam sobie jasno zdać sprawę z tego sądu, toby przekonał się, że druga jego połowa znosi pierwszą. Bo jeśli myśl *Comte'a* nie da się ściśle przeprowadzić, to, zamiast być pomocną do zorientowania się w rozwoju licznych zjawisk, może się tylko przyczynić albo do zagmatwania ich, albo do sfałszowania historii podług ustalonej formułki. Pierwszy zatem pomysł *Comte'a*, według krytyki samego autora, nie ma żadnej naukowej wartości. O drugim pomysle *Comte'a*: klasyfikacji nauk, sąd autora nie wypada pomyślniej. Klasyfikacja nauk *Comte'a* znalazła w innych pozytywistach jak: Huxley'u, Mill'u, Spencerze ostrych krytyków, którzy na miejsce jej stawili inne. Zarzuty pozytywistów tych uważa autor po większej części za słuszne; jednakże i na ich klasyfikacją się nie zgadza. „Naszem zdaniem, wszystkie te podziały, mało przynoszą pożytku“ (str. 49), mówi nasz autor, i proponuje inny (str. 65 i n.). Nie zaprzeczamy, iż klasyfikacja nauk podana przez autora, jest wogóle uzasadniona, choć i w niej znajdują się niedokładności. Autor zalicza np. psychologią mowy (umiejętność zresztą, która dotychczas prawie nie istnieje, gdyż oprócz kilku artykułów Lazarus'a i dwóch dzieł Steinthal'a nie w tym względzie godnego wzmiarki literatura uczona nie posiada) do nauk zajmujących się objawami duchowymi niespókoćznymi, gdy tymczasem mowa jest duchowym produktem społeczności ¹⁾, i jako taka stanowić może tylko przedmiot jednej z nauk rozpatrujących „naturę

¹⁾ *Lazarus*: Das Leben der Seele t. II art. p. t. „Geist u. Sprache“. *Lazarus u Steinthal*: „Zeitschrift für Völker-Psychologie u Sprachwissenschaft“ t. I wstęp. *Steinthal*: „Abriss des Sprachwissenschaft“ t. I zawierający wstęp do psychologii i językoznawstwa.

organiczną ze względu na jej zjawiska społeczne“. Ale przypuścmy, że klasyfikacja nauk podana przez *Comte'a* jest bezwzględnie dobrą; przypuścmy, że pomysł swój *Comte* urzeczywistnił tak, iż nie może podlegać żadnemu zarzutowi, to zachodzi jeszcze ważne pytanie, jaką rzeczywiście naukową doniosłość może mieć klasyfikacja nauk? Zdanie, w którym autor wyraził swój sąd o klasyfikacjach przeciwników *Comte'a*, według naszego rozumienia, można uogólnić i wyrzec, że wszystkie podziały nauk mało przynoszą pożytku. Żadnego bowiem, nowego punktu widzenia, żadnego nowego światła dla lepszego zrozumienia zjawisk świata, klasyfikacja nauk, choćby i najlepsza, dać nam nie może; niczém bowiem inném nie jest, jak tylko ugrupowaniem naszych znajomości zjawisk, stosownie do ich natury. Korzyść więc, jaką nam daje klasyfikacja nauk jest czysto formalną i jako taka w niczém do wzbogacenia naszej wiedzy przyczynić się nie może. I pod tym zatém względem, naukowe znaczenie pozytywizmu *Comte'a* jest nieskończenie małe.

Co się nakoniec tyczy ostatniego pomysłu *Comte'a*, jego socyologii, to autor jest zdania, że choć uczony ten rozwijał i starał się udowodnić płodne w następstwa zdanie, że czyny społeczne, podobnie jak wszelkie inne zjawiska, podlegają stałym prawom“ (str. 50), z tém wszystkiém „ulegając błędowi wszystkich prawie historyzozofów“ dzielił „historją na pojedyncze i całkiem odrębne epoki“ (tamże), nie bacząc na to, że „wszelkie takie narzucanie historjy subiektywnych formułek, musi prowadzić do naciągania i błędów“. (Szkoda, że autor o tém bardzo słuszném zdaniu zapomniał w swym historycznym rysie rozwoju filozofii!). Jednóm słowem, „jakkolwiek, zdaniem autora, prawa *Comte'a* nie są czysto subiektywnym wymysłem, i mają pewne obiektywne podstawy, to jednak w żaden sposób z prawami fizycznymi porównać się nie dadzą“ (str. 51). Zasługą zatém *Comte'a* byłby tylko pomysł o stałych prawach rządzących rozwojem ludzkości. Pomysł bez wątpienia wielki, ale nie można za twórcę jego uważać *Comte'a*; Hegel to był bowiem, który pierwszy ideę tę wygłosił. Jeśli więc z trzech idei, na których, według zdania autora, ma polegać przeważnie znaczenie pozytywizmu *Comte'a*, pierwsza, o prawie trzech stanów, jest nieuzasadnioną, druga, klasyfikacja nauk, ma tylko podrzędne znaczenie dla nauki, i trzecia nareszcie, stałe prawa rządzące rozwojem ludzkości, została pierwotnie do nauki wprowadzona przez system absolutnego idealizmu; jeśli nadto, autor *zgola niczém* nie udowodnił, że cała niepozytywna filozofia znajdowała i znajduje się na fałszywej drodze: to pytamy się, jakim prawem filozofii *Comte'a* przyznaje reformatorską doniosłość? Być może, że autorowi tak się zdaje, być też może, że mu się i słuszenie tak zdaje, ale na więcęj, jak na wypowiedzenie swego *widzimisię* autor się nie zdobył.

Podczas gdy we Francji reforma filozofii przygotowaną została przez *Comte'a*, w Niemczech, według zdania autora, wystąpił do walki z idealizmem *Hegla*, materyalizm, którego pierwszym apostołem był

Feuerbach; jednakże ubolewa autor „wstrząśnienie wywołane walką krańcowych systemów, nie pozwoliło dotychczas ustalić się (w Niemczech) prawidłowemu, spokojnemu prądowi postępu, który nie znając krańcowych obłądów, w jednym tylko *pozytywizmie* znaleźć może prawdziwy swój wyraz. Do chwili obecnej w całej literaturze niemieckiej niema ani jednej książki oryginalnej streszczającej i głoszącej zasady pozytywizmu“ (str. 40). Co do tego ostatniego, autor nasz ma słuszność; oryginalnej niemieckiej pracy streszczającej zasady takiego pozytywizmu, którego ostatecznym kryterjum poznania byłaby *oczywistość* (str. 37) dotychczas nie ma, i spodziewamy się, że jej nie będzie; mamy bowiem zanadto dobre mniemanie o uczonych niemieckich, żebyśmy nawet przypuszczać mogli, iż wejdą na drogę, którą autor im wskazuje. Gdyby autor był obeznany nie tylko z *nazwiskami* obecnych niemieckich filozofów, ale z ich *pracami*, nie wyrzekłby był tak absolutnie zdania, że w filozofii niemieckiej nie ma dążności pozytywnej; prawda że pozytywizm niemiecki nie opiera się na tak nienaukowej myśli, jak *oczywistość*, ale zato na połączeniu empiryi z filozofią, o ile to w danej chwili jest możliwe, co przecież i autor za najważniejszy cel pozytywnej nauki uważa. Podług zdania autora, kierunek filozofii niemieckiej znany pod nazwiskiem *idealnego realizmu*, zamiast starać się o połączenie empiryi z filozofią, zadaje sobie daremny trud godzenia sprzeczności (str. 54). Zapomina tylko autor przytém, że kierunek ten nie godzi innych sprzeczności, jak te, o połączenie których i pozytywizm się stara: empiryją i filozofią (str. 62). Błędnym bowiem jest mniemanie autora, że *idealny realizm* rozwinął się dopiero w skutek walki dwóch krańcowych poglądów: idealizmu *Hegla* i materyalizmu. Nie materyalizm bowiem pierwszy wystąpił przeciwko systemowi *Hegla*, lecz filozofia pesymizmu *Schopenhauera*, żądającego również zjednoczenia empiryi ze spekulacją. Filozofia ta, która w obecnej chwili w Niemczech najwięcej zaprzęta umysły, zdaje się jest nawet z nazwiska nie znaną autorowi, bo wnosząc ze skłonności jego, przytaczać o ile możności jak najwięcej nazwisk, przypuszczamy, że byłby i *Schopenhauera* wyliczył, gdyby coś o nim był zasłyszał. Otóż powtarzamy, że nie *Feuerbach* pierwszy wystąpił ze swym materyalizmem przeciwko *Heglowi*, lecz *Schopenhauer*, który już w swjej pierwszej pracy („Über die vierfache Wurzel des Satzes vom zureichenden Grunde“) ogłoszonej w roku 1813 wygłosił pogląd wprost przeciwny zasadam *Hegla*. Po nim wystąpił *Benneke* z teorią opierającą całą filozofią na psychologii, a w dziewięć lat później t. j. w roku 1829 zjawił się pierwszy zwiastun *idealnego realizmu*, mianowicie: „Przyczynki do charakterystyki nowszej filozofii“, napisane przez młodszego *Fichte'go*. A dopiero w rok potem ukazało się pierwsze dzieło *Feuerbacha*; p. t.: „Myśli o śmierci i o nieśmiertelności“¹⁾).

¹⁾ *Ueberweg*: „Geschichte d. phil.“ T. III str. 287 of. *Honneger*: „Grundsteine einer allgemeiner culturgeschichte“ r. 1871 T. III. Cz. I. str. 408.

Tak więc *idealny realizm* nie został wywołany walką materyalizmu z absolutnym idealizmem, lecz sam przed materyalizmem do tej walki wystąpił, od pierwszej chwili zjednoczenia empiryi i spekulacyi żądając. Czy zadanie to pozytywizm lepiej od niego rozwiązał, tego od autora się nie dowiadujemy. Że „idealnemu realizmowi żal porzucić niedościgłe tajemnice wszechbytu“ (str. 57), a pozytywizmowi nie, to dopóty nie może być ani wadą pierwszego, ani zaletą drugiego, póki się nie udowodni, że badanie „tajemnic bytu“ jest już samo przez się nieuprawnione. Autor zaś i cieniu takiego dowodu nie dał; na to potrzebaby było krytycznie rozebrać wszystkie *możliwe* kierunki myśli ludzkiej—nie tylko ich historyczne objawy—i wykazać, którzy z nich jest uprawniony: jedném słowem, trzeba było dać krytykę poznania. Autor zaś powołuje się tylko na ostrzeżenie, jakie mu daje historia (str. 61). Nie ulega wątpliwości, że „historia jest wielką mistrzynią“ (tamże), ale tylko dla tych, którzy ją znają; dla tak mało znających i tak nieudolnie pojmujących ją, jak autor nasz, żadnej wskazówki dać nie może. Dziwnie zaprawdę, obok najzupełniejszej nieznajomości historii filozofii autora, wydaje się ów patetyczny ustęp: „Zatém drogę, po której stąpał geniusz Platona i Hegla, rzucamy raz na zawsze, ponieważ nie chcemy chodzić wkółko. Ale, odchodząc, oddajmy ostatnią cześć wielkim umysłom, które dźwigały syzyfowy kamień wszechwiedzy. Ludzie ci utrzymywali w ludzkości szlachetny zapas do badań, podnosili myśl badawczą ponad doczesne potrzeby życia, wykształcali nam mowę, rozjaśnili wiele pojęć, wyćwiczyli ducha w walce o najwyższe zasady; zostawili nie jedną nieśmiertelną wskazówkę życiową i metodyczną, nie jedno wysokie prawidło moralne: nareszcie kosztem własnych trudów uchronili nas od nowych błędów“ (!? str. 62). Autor nasz, pochowawszy Platona, jako prawiącego niedorzeczności: i Hegla, w którego głowie „bezwzględna idea wyprawiała idealne piruety“ (str. 22) uczcił ich przynajmniej pogrzebową mówką: *De mortuis aut nihil aut bene!*“

Na tém mógłbym zakończyć rozbiór *Wstępu i poglądu ogólnego na filozofią pozytywną*, ponieważ myśli autora, jaką powinna być filozofia, rozwinięte dość obszernie w końcu dziełka (od str. 64), już dlatego są pozbawione wszelkiego naukowego uzasadnienia, że krytyka innych poglądów filozoficznych, która miała wykazać potrzebę wygłoszenia nowych zasad, przedstawiła się nam w swęj całej nicości. Z tém wszystkiém na zakończenie rozbierzemy w krótkich słowach i tę część pracy autora, żeby się przekonać o ile własny jego pogląd na filozofią, jasnością i trafnością przewyższa te, któremi z wysokości swego naukowego stanowiska pomiatał. Dla wykazania co ma stanowić przedmiot filozofii, autor zastanawia się nad tém, co jest przedmiotem nauk szczegółowych, dostrzegawczych, aby przez to ściśle oznaczyć pole filozofii. Tym sposobem przychodzi autor do przekonania, że nauki specjalne wykrywają szczegółowe prawa rządzące pewną daną grupą faktów, i że „na wykryciu (tych) praw kończy się

teoretyczne zadanie nauk specjalnych“ (str. 71). Pojęcia, do których one dochodzą, muszą być *odosobnione* jedne od drugich. Tu zaczyna się, podług autora, zadanie filozoficzne, gdyż „takie wyosobnienie pojęć odrębnych nie zadawalnia ludzkiego umysłu. Szuka on wszędzie związku jednych zjawisk, jednych pojęć, jednych praw z drugimi, szuka w szczegółach, jedności. Ulegając tym dążnościom racjonalnym czyli filozoficznym, fizyka w dzisiejszym swym rozwoju usiłuje w oderwanych pojęciach ciężenia, głosu, ciepła, światła i t. d. upatrzeć pewien wzajemny związek, pewną jedność sił przyrodzonych... Dążenie to przechodzi zwykły zakres nauk spostrzegawczych: jest dążeniem i zadaniem filozoficznym“ (str. 71 i n.). Przez podobne rozumowanie przychodzi autor do przyjęcia różnych filozofii nauk specjalnych. Pytamy się na jakiej to zasadzie autor tak rozrywa pracę nauk empirycznych na część specjalną i część filozoficzną. Czyż dążenie do wykrycia praw stałych objawów elektryczności, różni się czémkolwiek od dążenia do wykrycia jedności sił przyrodzonych w objawach głosu, światła, ciepła i t. d.? Jedno i drugie niczém więcej przecież nie jest, jak jedném i tém samym dążeniem do uogólniania. Granicy tu żadnej a żadnej naznaczyć niepodobna. Takim samym prawem jakim autor mówi o filozofii fizyki, możnaby téż mówić i o filozofii nauki elektryczności; gdyż w takim samym zupełnie stosunku zostaje pojęcie drgań cząsteczkowych do swych objawów: ciepła, głosu, światła etc. jak i pojęcie siły elektryczności do objawów tejże. Jak niejasne ma autor pojęcia pod tym względem, najlepiej wykazuje jego określenie pracy filozoficznej od empirycznej. Empirykiem nazwiemy tego, mówi autor, który obserwuje i doświadcza; filozofem zaś tego, który systematyzuje i uogólnia“ (str. 79).

Czytając podobne zdanie możnaby sądzić, że autor nie zna żadnej pracy empirycznej (co wszakże miejsca niema, jak tego dowodzi między innymi jego własna książka p. t.: *Duch i mózg*), bo któryż to empiryk nie systematyzuje i nieuogólnia? Podobnież i filozof, nie tylko systematyzuje i uogólnia, ale również i obserwuje. Bezwątpienia między obserwacją empiryka i obserwacją filozofa wielka zachodzi różnica, lecz polega ona tylko na różności obserwowanych przedmiotów. Pierwszy bowiem obserwuje konkretne zjawiska świata, drugi zaś prawdy przez tamtego odkryte; ale każdy z nich ma jeden i ten sam cel, każdy bowiem stara się dokładnie zapoznać z tym przedmiotem, którego rozważanie ma go doprowadzić do ogólnych wniosków. Sam zresztą autor jest tego zdania: „Zadanie filozofii, mówi bowiem, polega na teoretycznym uważaniu prawd, przez inne nauki na drodze praktycznej (?) zdobytych“ (str. 80). Pojęcie zatem autora o różnicy pracy empirycznej od filozoficznej, i o rozdziale każdej nauki spostrzegawczej na część specjalną i filozoficzną, jest zupełnie nieuzasadnione. Mówiąc o podziale nauk filozoficznych autor objawia nam, że *metafizyka*, która uczy o *pierwotnych przyczynach, ostatecznych celach, istocie Boga, natury i duszy ludzkiej*: jedném słowem... o tém

wszystkiem, o czémpozytywista nie umie nic powiedzieć (str. 83), nie ma żadnego uprawnienia. Autor bardzo słusznie twierdzi, że kwestya *takięj* metafizyki musi być rozstrzygniętą przez krytykę naszego poznania. Ale to mu nie przeszkadza dać zamiast krytyki poznania, krytykę jednego ustępu z dzieła Libelta p. t.: *Filozofia i krytyka*. Rzeczywiście tanim kosztem zbywa autor czytelnika. Ale przypuśćmy nawet, że autor wykazał nicość nauki o ostatecznych przyczynach i celach, to pytamy się, czémżeż inném jest, jeśli nie dawną metafizyką, owa przez autora proponowana nauka filozoficzna, mająca za przedmiot analizę pojęć: *sily, materyi, ducha, czasu, przeszerzeni* etc. (str. 68) i mająca wykazać „jakimi są zasady bytu“ (str. 74). Co sądzić o takiem rozumowaniu, które, raz to udrzuca, co drugi raz przyjmuje? Zapomniał autor widocznie o zdaniu Bakona: *cilius emergit veritas ex errore quam ex confusione*. Podobnie jak niejasne są pojęcia autora o metafizyce i stosunku filozofii do empiryi, podobnie i niejasne jego poglądy na *logikę, etykę i estetykę*. Podstawą dla trzech tych filozoficznych umiejętności ma być według autora, *psychologia*. Stosunek zaś tój ostatniej umiejętności do trzech pierwszych ma być taki sam jak fizyki do teoryi drgań cząsteczkowych, którą autor uważa za filozofią fizyki (str. 72). Jednym słowem: *logika, etyka i estetyka* mają być częściami *Filozofii psychologii* (str. 88). Gdyby pogląd ten autora był słusznym, tobyśmy przez samo wykrycie praw, rządzących myśleniem, wolą i uczuciem, mającemi stanowić przedmioty *logiki, etyki i estetyki* już urzeczywistnili i zadanie tych umiejętności. Wszakże tak nie jest. Wykrycie takich praw doprowadziłoby nas tylko do umiejętnej psychologii. Autor nasz pojmuje to bardzo dobrze, gdy od logiki wymaga wykrycia „prawideł, wedle których umysł ludzki postępować powinien, jeżeli chce pewnie zdobyć prawdę“ od etyki, prawideł, „jak należy pojmować dobro,“ a nareszcie od estetyki, prawideł, „jak należy pojmować piękno“ (str. 89). Widzimy więc, że nie chodzi autorowi w umiejętnościach tych o to, żeby za pomocą obserwacyi objawów życia psychicznego, wykryć po prostu tylko prawa, które nim rządzą, ale o krytykę tych objawów i tych praw, i to o krytykę na podstawie idei prawdy, dobra i piękna. Z tego wypada, że stosunek logiki, etyki i estetyki do psychologii jest inny, jak któręjkolwiekbydz filozofii umiejętności specjalnej do tęjże umiejętności. Żadna bowiem taka filozofia materiału, który otrzymuje z właściwych sobie nauk specjalnych, nie poddaje krytyce wychodzącej z punktu widzenia, jakimi zrawa tych umiejętności być mają, aby dojść do pewnego celu, lecz zajmuje się tylko uogólnieniem praw, wykrytych przez specjalne nauki. Z tego ostatniego względu autor nazywa też trzy wspomniane umiejętności stosowaniami, zapominając, że przez to nadaje im zupełnie inne stanowisko względem psychologii, jak swęj filozofii fizyki względem fizyki.

Ale mniejsza o to, jak nazwiemy te umiejętności, czy po prostu *filozofią psychologii*, czy też *stosowaną (?) filozofią*; w każdym razie najważniejszym warunkiem logiki, etyki i estetyki musi być ustalenie pojęć

o tém, co jest prawda, dobro i piękno, i z tego powodu pojęcia te nie powinny być traktowane w *Logice*, jak to autor chce, a mianowicie, w tej części, którą nazywa *analizą pojęć* (str. 90), lecz prawda w logice, dobro w etyce, a piękno w estetyce, tem bardziej, że pojęcia te przedstawiają zupełnie odrębne sfery życia psychicznego, i nadto są tak złożone, że przez nominalną tylko definicyą ich, o którą autorowi jedynie chodzi (str. 68), rozjaśnić ich niepodobna.

Streszczając nasz rozbiór *Wstępu i poglądu ogólnego na filozofią pozytywną*, musimy powiedzieć, że dziełko to, ze względu na prawdziwie zastraszającą, jak na swą objętość, ilość faktycznych błędów, ze względu na niejasność myśli autora, stoi właściwie niżej wszelkiej krytyki. Wszakże, z uwagi, że filozofia w kraju naszym mało jest znaną, i że interes filozoficzny właśnie w obecnej chwili się budzi, musieliśmy się podjąć przykrą pracę, ocenienia wartości dziełka, mającego na celu zorientować publiczność w dziedzinie filozofii, i występującego z taką stanowczością sądu, dziwnie zaprawdę odbijającego, w obec wad, któreśmy wykazali. Rozumie się, że to cośmy o „Wstępie i poglądzie ogólnym etc.“ wypowiedzieli, jedynie do tego pierwszego tomu zapowiadanej biblioteki się odnosi, i nie o wartości dalszych jej tomów nie stanowi. Przeciwnie, wnosząc z drugiego tomu, zawierającego tłumaczenie dziełka Huxley'a, traktującego o naszej znajomości przyczyn zjawisk organicznych, sądzić możemy, że *Biblioteka Filozofii Pozytywnej* poda nam rzeczy prawdziwie naukowej wartości.

Dr. Henryk Goldberg.

O prawach budowy zgłosek. Napisał Fab. Ferd. Sławiński.
Warszawa 1873, w 8-ce str. 197.

Autor powyższej arcy-specyalnej monografii zajmuje się badaniami lingwistycznymi od lat dwudziestu kilku, a to co wydał obecnie jest częścią tylko w porównaniu z innymi ukończonemi lub kończącemi się jego pracami. Żaden badacz języka bez znajomości „*Praw budowy zgłosek*“ obyć się już nie może; nowe prawa przez autora odkryte, u obcych nawet nie spotykane, wywołać muszą specyalne krytyki i rozstrząsania.

Monografia ta jest z zakresu fonologii. Oto jak autor zcieśnia zakres etymologii i jakie punkta stawia do rozstrzygnięcia w swém dziele; „Etymologia wdzierając się w niewłaściwą sobie dziedzinę fonologii, przewodzi dziś w nauce języka, wysnuła bezzasadną teorią jotacyzmu, na hipotezach subtelných opartą, narzuciła ją fonologii i przepisała nie stosowne prawidła pisowni. Czyż to nie hipoteza, że *j* jest spółgłoską. Czyż to nie hipoteza, że *j* z grubemi samogłoskami za wyjątkiem *y* tworzy samogłoski jotowane? Czy badali zwolennicy jotacyzmu, jak brzmią

samogłoski *a, o, e, u*, w jotowanych *ja, jo, je, ju*? Czyż to nie hipoteza, że miękkie spółgłoski powstają przez zlanie się twardych *z, j*? Czyż to nie dowolny wniosek, że miękkie spółgłoski są pochodne, a twarde pierwotne? Czyż dowiedziono że spółgłoski *c, cz, dz, dź, rz, sz, ż* są miękkie. Czyż nie dowolne jest twierdzenie, że polski język nie lubi roziewu czyli hiatu? Odpowiedź na powyższe pytania znajdzie czytelnik w ciągu podjętej przezemnie pracy“ (str. 28 i 29).

Autor bada samogłoski i zgłoski na podstawie fizjologii i akustyki, obala teorią jotacyzmu, samogłoski jotowane nazywa cienkimi (*ja, ja', jo, jo', je, je', ju*) i dowodzi istnienia tych samogłosek cienkich w naszym języku, słowiańskich i indoeuropejskich. Ponieważ samogłoska jest podstawą zgłoski, a przy budowie zgłoski zachodzą stałe prawa jakiegłoski na jakich samogłoskach opierać się mogą, przy uznaniu przeto stanowczej różnicy pomiędzy samogłoskami grubymi i cienkimi wysnują się nowe prawa o budowie zgłosek, podział spółgłosek, prawa zamiany głosek, których systemat dotychczasowy jest zbyt zawiły, sztuczny i nieograniczający całości. Z systematem zamiany zgłosek (który autor posiada już opracowany) ściśle się łączą odmiany deklinacyjne i konjugacyjne, zostające dotąd w zagmatwaniu. Zastosowanie praw budowy zgłosek do dzisiejszego stanu graficznego w pisowni, pociągnęłoby ujednostajnienie, a następstwa z tego byłyby prawdziwym postępem, gdyż dotąd panuje wielka niedokładność i niejednostajność, skutkiem czterech używanych systematów graficznych.

Dzieło, o którym wspominamy zadziwia specjalnością, ogromem dowiadczeń i dochodzeń; pracy niestrudzonej, popartej wtajemniczaniem się współczesne specjalne dzieła u obcych, pracy pożerającej lata. Wywoła ono wszechstronne, sumienne i gruntowne rozstrząsania, a my poczytywaliśmy sobie nateraz za obowiązek podać niezwłocznie o tém do wiadomości.

Wł. N.

Obliczenie wyrazów zawartych w trzech słownikach: 1) Lindego, 2) w Wileńskim i 3) Rykaczewskiego, p. Fab. Ferd. Sławińskiego. Warszawa 1873 str. 36.

Pracy jaką powyższy tytuł pokazuje, nikt u nas jeszcze nie podjął. Lubo że jest to rzecz więcej mechaniczna, niemniej przeto ma swoje znaczenie. Dowiadujemy się że Słownik Lindego posiada 58,739 wyrazów, Słownik Wileński więcej bez porównania, bo 108,513, najmniej Słownik Rykaczewskiego, 49,545. Na dziesięciu tablicach mamy szczegółowe cyfry wypadłe z obliczenia „inwentarza językowego“ na rozmaite sposoby. Dowiadujemy się ile jest w każdym słowniku wyrazów zaczynających się od samogłosek (Linde 7,284, słown. Wileński 15,666, Ryka-

czewski 8,789), ile od spółgłosek (Linde 51,455, słown. Wileń. 92,847, Rykaczew. 42,756), ile od każdej litery po szczególe. Inna tablica wykazuje porządek liter stopniowy od maximum do minimum; inne wykazują ilość części mowy: pokazuje się, że rzeczowników jest więcej niż wszystkich innych części mowy, po rzeczownikach idą słowa, dalej przymiotniki. Inne tablice są ułożone według ilości znaczeń każdego wyrazu.

Najpierwsza korzyść z takiego obliczenia wyrazów jest ta, że można się przekonać przez porównanie cyfr odnośnych, które części którego słownika są słabiej, a które lepiej opracowane, które kategorie wyrazów są dokładniej, a które mniej dokładnie zebrane.

Wł. N.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— Warszawa. Styczeń 1873 r. Zarząd Towarzystwa Osad rolnych i Przytułców Rzemieślniczych, mając na uwadze § 36 ustawy swojej postanowił zająć się przygotowaniem materiału dla ułożenia instrukcyi i przepisów dla utworzyć się mającej kolonii rolniej dla małoletnich przestępców, oraz wypracowaniem samych instrukcyj. Nie chcąc zaś zamykać się w ścieśnionych ramach swego składu, postanowił każdą zdecydowaną kwestyę podawać do wiadomości publicznej za pośrednictwem pism, w celu otrzymywania opinii ogółu o każdym przedmiocie.

Na posiedzeniach zatem swoich rozważył pytania:

1. Jaki ma być cel wykonywania kary na małoletnich przestępcach w zakładach Towarzystwa Osad rolnych?
2. Jakich należy użyć środków dla osiągnięcia powyższego celu?
3. Jaki przeto system wykonania kary ma znaleźć zastosowanie w urzędzić się mającej kolonii rolniej?

W odpowiedzi na pytanie 1-e i 2-e.

Zarząd uznał za cel swój działalności *poprawę przez pracę i kształcenie*, a więc poczytał za niezbędne użycie wszelkich znanych środków poprawczych, o ile te dadzą się zastosować w Zakładach Towarzystwa; uznano więc za konieczne dzielić wychowalców na grupy czyli oddziały, o 15 małoletnich każdy w osobnym domku pod nadzorem *Ojca* oddziału. Oddziały te tylko przy pracy rolniej,

w warsztatach, w kościele lub wspólnej zabawie mogą być łączone. Wychowawcy zajmowani będą gospodarstwem rolném, ogrodnictwem i rzemiosłami, gdzie szukać będą najwyższego możliwego dochodu z pracy swój na to, aby po opuszczeniu Zakładu mogli sobie zapewnić uczciwy sposób do życia.

Jednocześnie więc wykształcić się tu mogą na włóдарzy, pisarzów prowentowych, zdolnych czeladników i t. p. przy obznajmianiu się oprócz moralności z dogmatami wiary i obrzędami wyznawanej religii; nadto oprócz czytania i pisania po polsku i po rosyjsku, rachunków. Zarząd troszczyć się będzie o udzielanie wychowawcom swoich osad, ogólnych pożytecznych wiadomości z jeometrii w zastosowaniu do rzemiosł, z historyi, jeografi krajowej, gospodarstwa wiejskiego i t. p.

W przeświadczeniu, że nadzieja odzyskania swobody, może się stać silną pobudką poprawy, postanowił udzielać ją stopniowo i pod warunkami przepisane.

Co do pytania 3-go.

Zarząd uznał za niezbędne nadać zakładowi charakterystykę karną, a z zasady, że pobyt w kolonii rolnéj ma być przygotowaniem do życia uczciwego na wolności, przyszedł do wniosku, że wykonywać karę należy tak, aby małoletni uznawszy cały ciężar repressyi karnéj, przygotował się do prawidłowego użycia odzyskać się mającój wolności. Musi więc stopniowo przejść 5 klas i nie tylko poprawić się, ale złożyć dowody, że będzie prawidłowo używał wolności, pod takimi warunkami może być uwolniony na pozostały termin wyrokiem zakreślony, który nie będzie przewyższał $\frac{1}{3}$ części terminu kary ogólnéj.

Za złe sprawowanie się wychowawiec, powraca do zakładu.

Nadestania uwag co do projektu tak ogłoszonego, zarząd oczekuje za pośrednictwem druku, lub téż składania ich piśmieniem wprost w kancelaryi jego. Ulica Królewska Nr. 29.

— Pism Kazimierza Brodzińskiego, w wydaniu zupełném przez J. I. Kraszewskiego, wyszedł w Poznaniu tom drugi i obejmuje same przekłady i naśladowania; elegie Jana Kochanowskiego i epigramata z łacińskiego, ze wstępem obejmującym najpiękniejszy życiorys śpiewaka z Czarnolesja; z Antologii greckiej; Myśli wschodnie; dramata: *Templaryusze*, *Abufar*, *Wolny mularz*, *Marya Stuart*, *Safo*. (w 8 ce. str. 563).

— Z drukarni Józefa Bergera wyszła broszura: „*Kongres antropologii i archeologii przedhistorycznej w Brukselli 1872 roku, opisał Jan Zawisza*“ (Warszawa 1873 roku w 8-ce. str. 27).

— *Gazeta Warszawska* zamieściła po śmierci Wincentego Pola, mało znany wiersz następny, z pamiętnika osoby przyjaznej zgasłego poety:

„Jest przysłowie dawne,
 W całej Polsce sławne:
 Karczma bez podsienia,
 Człowiek bez sumienia,
 Bez kozery karta,
 Bez klinów koszula,
 I diabła nie warta...
 Gdyby dzisiaj ożył
 Ten co wiersze złożył,
 Pewnieby dołożył:
 Niechaj diabeł bierze
 Przyjaźń na papierze.’

— Do ostatnich utworów zmarłego twórcy *Mohorta*, który improwizował z powodu swęj ślepoty, należy poemat myśliwski p. n. *Pan starosta Kisielecki*, który drukuje I. K. Żupański; z niego podajemy mały ustęp:

„Któż myślą w te knieje dziś pójdzie za nami
 I wyrwa wraz z nami w rycerskiej ochocie?
 Aż w końcu już padnie tam wszystko przed psami,
 Co było w objędzie, co szczwane w tym miocie?
 I lasy gździeś szumią—i puszcza się mroczy...
 Lecz trąbki myśliwęj nie chwyci już ucho,
 I złai łowieckiej nie ujrzysz na oczy,
 I pusto jak gdyby w pustyni i głucho...
 A przecież tak samo trop znaczy zwierz wszelki,
 I ptastwo wszelakie tak samo się wabi,
 Tak samo się sklepi nad głową las wielki....
 I łąka tak samo się w oczach jedwabi....
 Tak samo się zorza myśliwska ozłaca,
 I z cieplic tak samo to ptastwo powraca....
 Tak samo jelenie czemchają te rogi,
 I dziki tak samo zaległy barłogi,
 I niedźwiedź tak samo na owsy wychodzi,
 Tak samo na sarny ukryty ryś godzi...
 Tak samo przez bagna łoś jeszcze pomyka...
 Tak samo wśród puszczy żubr starv poryka!
 A kiedy śnieg spadnie i świat się ubieli,
 A bory tam staną w srebrzystej kądzieli...
 Tak samo zajączek wędruje po śniegu,
 I szuka gździeś żeru, i grzeje się w biegu,
 By liszkę omylił, i wilka, i cztekal...
 I wszystko tak samo jak działo się z wieka,
 Tak samo i dzisiaj bez zmiany się dzieje:
 Lecz tylko już łowów nie znają te knieje!....

— *Mostk. Wiadomości* podają korespondencją z Konstantynopola, że d. 6 (18) grudnia 1872 roku wypłynął z tego miasta do Rosyi, na parostatku Ruskiego Towarzystwa Żeglugi i Handlu, znany emigrant i pisarz Michał Czajkowski. Pod przezwiskiem Sadyka baszy, według tegoż korespondenta, Czajkowski mieszkał w Turcyi przeszło 25 lat. Ostatniemi czasy wszedł w stosunki z posłem rosyjskim w Konstantynopolu, a w końcu wynurzył pragnienie powrotu do Rosyi; wąpiąc jednak o możności otrzymania amnestyi, wysłał najprzód do Rosyi swego syna, a potem dopiéro odważył się prosić dla siebie przebaczenia, którego mu nie odmówiono.

W *Petersburgskich Wiadomościach* korespondent z Odessy pisze. „Sadyk basza (Michał Czajkowski) otrzymał przebaczenie i wrócił do Rosyi. Na miejsce pobytu przeznaczono mu Kijów. W drodze z Konstantynopola przeszło tydzień przemieszkał w Odesie. Towarzyszą mu dwie młode damy. Człowiek to jeszcze dziarski i mówi po rosyjsku dość zrozumiale z akcentem polskim.“

— Dotychczasowy prezes Towarzystwa Naukowego Krakowskiego Dr. Józef Mayer Krakowianin, mianowanym został przez cesarza austriackiego prezesem Akademii Krakowskiej, a Józef Szujski professorem historii, generalnym sekretarzem.

— W W. Ks. Poznańskiem wychodzi oprócz „Prawdy“ i „Szlązaka“, uważanych przez resztę prasy miejscowej za pisma niemieckie w języku polskim wydawane, 14-cie pism polskich; z nich 8 treści politycznej, 2 religijnej, 2 rolniczej i 2 literacko-pedagogicznej. Z liczby pism politycznych, cztery wychodzą w samym Poznaniu: „Dziennik Poznański“, „Kuryer Poznański“, „Orędownik“ i nowopowstały „Wiarus.“ W Prusach Zachodnich dwa czasopisma polityczne polskie wychodzą: „Gazeta Toruńska“ i „Przyjaciel ludu;“ na Szląsku Górnym pisma klerykałne: „Katolik“ i „Zwiastun“, oraz „Tygodnik katolicki“, a nadto w Prusach Zach. „Pielgrzym.“ Żadne z wzmiankowanych pism, mówi Gazeta Szląska, nie posiada więcej nad 1000—1500 abonentów.

— Karol Hoffman, mąż zasłużonej Klementyny z Tańskich, redaktorki „Rozrywek dla dzieci“, zmarłej w roku 1845, oddał do zbiorów Akademii Nauk w Krakowie, pamiątki po niej: pierścień ofiarowany jej przed wyjazdem za granicę, przez związek dobroczynności Warszawianek, którego była opiekunką i kałamarz jej; stary egzemplarz „Żywotów Świętych Skargi“ własność familijną; listy niektórych osób zostających z nią w stosunkach, jak arcybiskupa Woronicza, J. U. Niemcewicza, K. Brodzińskiego, Antoniego Góreckiego, Stefana Witwickiego, Mezofantego (po polsku), Kniaziewicz a w. i. Serce Klementyny Hoffmanowej złożone jest w katedrze krakowskiej.

— Nakładem księgarni w Poznaniu I. K. Żupańskiego, zeszytami zaczęto wychodzić dzieło s. p. Bronisława Trętowskiego p. n. *Panteon wiedzy ludzkiej lub Pantologia*, Encyklopedia wszech nauk i umiejętności, propedeutyka powszechna i wielki system filozofii.

Dzieło zalecone przez Karola Libelta, jako jedno z najznakomitszych dzieł filozoficznych, jakiego nawet literatura niemiecka nie posiada. Podług prospektu, Panteon składać się będzie z 30 poszytów pięcio-arkuszowych, mających wychodzić co dni piętnaście.

— Teofila Lenartowicza poemat „*Spartak*“, jeden z obszerniejszych jego lirycznych utworów, tłumaczy na język włoski Hektor Marcucci, i drukiem ma ogłosić.

— Biblioteka Jagiellońska w Krakowie nabyła rzadkość nieznaną bibliografom naszym: „Hymny Bartłomieja Zimorowicza, 1640 roku“.

— Ze spisu statystycznego o wychodzących dziennikach w państwie Austryo-Węgierskiem, dowiadujemy się, że w roku 1872 wychodziło czasopismów w języku polskim tak politycznych jak literackich pięćdziesiąt ośm.

— Korrespondent z Rzymu do Gazety Warszawskiej pisze: Włochy są dziś niejako zbornym punktem poetów polskich. W roku 1871 Kornel Ujejski część lata spędził w Rzymie. Przed kilku tygodniami bawili jednocześnie we Florencji: Teofil Lenartowicz, Władysław Tarnowski i Asnyk, tak znany w naszym piśmiennictwie pod pseudonimem El-y. Obecnie znakomity ten piewca przybył do Rzymu i resztę zimy zapewne tu przepędzi. Chciał lepiej poznać miejscowość, która była historyczną widownią postaci, jaką on dziś na teatralną widownię przynosi. Na wzór Słowackiego, który z dziejów tutejszych wziął osnowę pysznego swego dramatu *Beatrice Cenci*, Asnyk wyprowadza z cieniów średniowieczności wspaniałą osobowość Mikołaja Rienzego, który usiłował odbudować starożytną rzeczpospolitą rzymską na gruzach świeckiej władzy Stolicy Świętej i padł ofiarą swój przedwczesnej zachcianki. Poeta nasz pisze swój dramat nie wierszem, jak może się nie jeden spodziewał, ale niewiązaną mową.

Natchnień oryginalnych nie zabraknie mu tutaj: nad Tybrem bowiem przechowuje się po dziś dzień rodzinny dom Rienzego, poczerniały, ponury, zdobny tu i owdzie na zewnątrz powprawianemi w jego ściany odłamkami starożytnych płaskorzeźb i członkami rozbitych posągów, tak jak wielka dusza średniowiecznego trybuna piastowała w sobie urywki myśli starorzymyjskiej, klasyczne utopie wszczępione beładnie w tę dziką namiętną pierś, na podobieństwo okrucich dawnego świata, dorywczo pozbieranych. Tyber płowy jak grzbiet starego lwa, przeciąga za tym samotnym domkiem i zdaje się łąsić swe kudły czy fale o jego zębaty zarys. Tu się wylęgła nieubłagana zemsta przeciwko doczesnemu papieżstwu, co jak nasienie w ciągu czasów rzucona dojrzała dopiero w Mazzinim i Garibaldiim. Po tylu wiekach, część utopii Mikołaja stała się rzeczywistością: świecka władza papieża runęła, ale druga część jego marzeń unosi się dotąd jak cień lub mgła w powietrzu nad tą włoską ziemią: jest to nieurzeczywistniona dotychczas mara rzeczypospolitej. Wolę za-

pewne treść rodzinną w utworach naszych poetów i pisarzy, ale winniśmy im także wdzięczność, ilekroć o obce kraje zawadzają w polocie swój myśli i natchnień, już dlatego, iż dziedzina idei i fantazyi nie jest ograniczoną i nie zna geograficznych podziałów, a duch wieszcz i twórczy przyswaja własnej narodowości wszystko, czegokolwiek się dotyka; już dlatego, że utwory obcej treści bywają niejako duchowymi łącznikami, obrączkami zaręczającymi nas z innymi narody do których poeta lub myśliciel jak wędrowny ptak zawitał w gościnę i u których uronił jedno ze swoich złotych piór. Utwory takie łatwiej mogące się tłumaczyć na obce języki i jaśniej uwydatniające w oczach obcych ludów twórczość jednych, stają się zadatkami przyjaźni, braterstwa i wzajemnej pamięci drugich.

— Księgarnia Józefa Zawadzkiego, prawdziwą przystęgę oddała miłośnikom literatury krajowej, przez wydanie nowe pism *Ignacego Chodźki* w XI tomach. Pierwsze VI tomów obejmują: *Obrazy Litewskie*. Od VII do IX, *Podania Litewskie*: X *Dwie konwersacje z przeszłości*, a ostatni: „*Próby nowego dykcjonarza*“.

— W *Toruniu*, w dniu 19 lutego r. b. przygotowuje się uroczystość na pamiątkę czterechsetnej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. Oto projekt programu.

Dnia tego o godzinie 9 $\frac{1}{2}$ uroczyste nabożeństwo w kościele Farynym Ś-go Jana, celebrowane przez księdza biskupa *Jeschke* z Pelplina, dyecezyi Chełmińskiej, przyczém wystąpi i wymowny kaznodzieja, ażeby z ambony wypowiedzieć zasługi wielkiego astronoma. O godzinie 12 odsłonięcie obrazu Jana Matejki, przedstawiającego Kopernika; w obserwatorium oświetlenie obrazu księżycowe. O godzinie pierwszej, odczyt o Koperniku naukowy. O godzinie 2 $\frac{1}{2}$ obiad wspólny w sali parterowej *Trzech Koron*. Nakrycie bez wina dwa tałary. O godzinie szóstej illuminacja. O godzinie ósmiej przedstawienie amatorskie w *teatrze miejskim*: 1) Odczytanie poematu *Deotymy*. 2) Komedia salonowa przez amatorów. 3) Ostatnie chwile z życia Kopernika (przez artystów dramatycznych). Przy obiedzie szereg toastów, będzie poprzednio ułożony. Nikomu bez pozwolenia Komitetu przemawiać głośno nie wolno. Komitet zastrzega sobie prawo, udzielić to pozwolenie, dopiéro po odczytaniu toastu na piśmie mu podanego.

Z Krakowa otrzymujemy wiadomość, że w wigilię jubileuszu Kopernikowego, to jest 18 lutego r. b. odbędzie się publiczne posiedzenie *akademii umiejętności*; nazajutrz o godzinie dziesiątej rano ma być odprawione nabożeństwo w kościele N. P. Maryi, na którym znajdują się mają wszystkie władze, instytuty, zakłady naukowe i kongregacye. Po nabożeństwie profesor Dr. Karliński będzie miał w sali Collegium juridicum, naprzeciw kościoła Ś-go Piotra odczyt o Koperniku. Komitet obchodowy porozumie się z dyrekcją teatru względem widowiska z obrazem żywym, odno-

szącym się do uroczystości. Proszono Matejkę, aby obraz jego, wyobrażający Kopernika, mógł być podczas tego obchodu wystawiony na widok publiczny. Prócz tego jest propozycja, aby gmina miasta Krakowa przeznaczyła kapitał 2000 zlr., od którego procent co lat pięć przeznaczany będzie na uwiecznienie rozprawy astromicznej; nadto, pierwszy dom szkolny miejski, jaki stanie, ma nosić imię „szkoły Kopernika“. Co do obrazu J. Matejki, wątpliwe należy czy go w Krakowie zobaczą, albowiem w tymże dniu ma być odsłonięty poraz pierwszy w Toruniu.

Niemcy się pospieszyli w Toruniu i już ogłosili drukiem swój *Festprogramm na cześć Kopernika*.

— Na wystawę starożytności w Krakowie, przybyły jeszcze *antikaglia*, czyli szczątki mieszkań nawodnych (palaftów) czesewskich, odkrytych w r. 1865 przez profesora Żepkowskiego, i kości zwierząt przedpotopowych, nadstane przez hr. Franciszka Mycielskiego z Chyrowa, gdzie wykopane zostały.

— W Lipsku firma Duncker i Humblot zapowiedziała drugie wydanie *Dziel Rankęgo!* w 40-tu tomach. Prace znakomitego historyka obejmują cały prawie obszar dziejów szczepgermańsko-romańskiego od Reformacyi aż do Rewolucyi francuzkiej XVIII wieku, a dotyczą wszystkich kwestyj, najżywiej poruszających nasze pokolenie. Cena prenumeracyjna wynosi $1\frac{2}{3}$ talara za każdy tom.

— Wyszedł 5-ty tom *Historyi Politycznej czasów obecnych*, przez *Wilhelma Müllera*, doprowadzony do końca 1871 roku. Dzieło odznacza się jasnością, zwięzłością i wytwornością wykładu.

— Znakomity romansopisarz niemiecki *Gustaw Freytag* rozpoczął całą seryą romansów historycznych, z których się złożył ma wielki epos historyczno-romantyczny, p. t.: „*Przodkowie*“ (Die Ahnen). Będzie to zorganizowany szereg obrazów z życia Niemiec w rozmaitych epokach dziejowych. Autor przygotował się do tego wielkiego zadania pracą naukową, studyował źródłowe dzieła historyczne, zabytki archeologiczne, sprzęty, zbroje i t. p. Obecnie ukazały się już dwa obrazy. Pierwszy p. t.: *Ingo* odtwarza Germanów w IV wieku po nar. Chr. Ingo jest to król Wandalów, protoplasta rodu książęcego, którego losy będą przedmiotem wszystkich dalszych romansów, aż do ostatniego, osnutego na współczesnym nam życiu. Przybywszy do Turygii, Wandal wchodzi w stosunki przyjaźni z królami tamecznymi, a spójnią pomiędzy nimi jest spólna ku Rzymowi nienawiść. Ale nie długo kobięty, wprowadzone do opowieści, stają się przyczyną zerwania przyjaźni, a następnie walki zaciętej, w której ginie Ingo wraz z żoną swoją Irmgardą. Mały syn ich został jednak ocalony przez wierną służebnicę, a potomek tego syna jest bohaterem drugiego romansu: „*Ingraban*.“ Ten żyje już w IX wieku, w tym czasie, kiedy biskup Winfryd (Ś. Bonifacyusz) głosi Niemcom wiarę chrześcijańską i walczy z pogaństwem. Rozwija się nadto walka Niemców ze Słowianami, w której oczywiście, jak przewidywać należało, wystę-

pujący na obszerniejszą widownię kulturträgerowie odnoszą tryumf nad „barbarzyństwem słowiańskim.“

Do literatury romansowo-histerycznej należy téż dzieło Georga Ebers'a p. t.: „*Egipska królowa*“ (Eine ägyptische Königstochter), tomów 3, wychodzące już w 3-ém wydaniu, tłumaczone na język angielski i z upodobaniem czytane przez publiczność Wielkiej Brytanii. Przy każdym nowém wydaniu autor uwzględnił starannie postępy, osiągnięte przez uczonych egiptologów i rysy do swego obrazu czerpał ze skarbnicy naukowej. Gdy nasza publiczność tak rzadko spotyka się z pracami dotyczącymi Historii Powszechnej, gdy Wschód jest dla niej krainą zupełnie prawie nieznaną i niepojętą, radzibyśmy byli zachęcić redakcyę pism belletrystycznych do tłumaczenia tak znakomych romansów historycznych, zamiast denerwujących utworów erotycznych, lub kryminalnych, czerpanych z akt sądowych. Przypominamy zresztą, że niegdyś romans p. t.: „*Ostatnie Dni Pompei i Bulwera*“ „*Salambo*“ Flaubert'a cieszyły się powodzeniem w obszernych kołach, nawet u naszych pięknych czytelniczek.

— Wyjątek z listu:

Florencya d. 25 stycznia 1873 r.

...Lenartowicza widuję często. Słabość go ciągle męczy. Cierpi boleśnie. Zdaniem mojem, talent jego wiele zyskał. Pozbył się idylicznej cikliwości, która czasem przebijała się w pierwszych jego utworach. Niektóre rzeczy w Album włoskiem prześliczne, a jeszcze piękniejsze takie wiersze jak *List z Paryża* albo *Koniec Epoki* — zamieszczone w inném album. Oto np. wyjątek z *Listu*.

...I spojrzałem w górę,

Ku gwiazdom co się w ciężką przysłoniły chmurę
I nie ujrzałem żadnej; tylko tam w oddali,
Gdzie szczątki staréj armii, snią w przytułku domu,
Nad dachami pałaców, z nad miasta ogromu
Elektrycznego światła ognisko się pali,
Jakby gwiazda z otchłani wybiegła złowroga,
Iskrząca przeraźliwie jak rozum bez Boga.

albo

We wiecznej ciszy, wieczna próżnia głucha,
A wieczna prawda w wiecznych burzach ducha.

Już prawie ukończony dramat fantastyczny, o którym u nas tyły gazety rozpisywały się. Tytuł jego nie będzie *Złoty Cielec*, lecz inny. Dla Biblioteki pragnie przysłać legendę o Wandzie, pod tytułem: *Biały Bóg*.

— Na album Kopernika zapisali się w Redakcyi Biblioteki Warszawskiej i prenumeratę po rubli srebrem 6 kop. 75 złożyli:

1. Benni Herman.
2. Cyprysiński Antoni.
3. Dynowski Franciszek.
4. Fiudeisen Gustaw.
5. Gruszecki Władysław.
6. Jabłonowska z Nosarzewskich Antonina.
7. Kokeli Józef.
8. Majewski Wincenty.
9. Moldenhawer Aleksander.
10. Pepłowski Adolf.
11. Pawiński Adolf.
12. Sobolewska Helena.
13. Spasowicz Włodzimierz.
14. Stawiski Edmund.
15. Stummer Edward.
16. Szabrański Antoni J.
17. Szyszko Wincenty Dr.
18. Wiszniewska Konstancya.
19. Wójcicki Kazimierz Wł.
20. Zbyszewska Paulina.

† Dnia 20 grudnia 1872 r. umarł w Warszawie **Henryk Dolega Cieszkowski**, znany pisarz, w sędziwym wieku, bo liczył blisko 70 rok życia. Urodzony w *Bortnowie* Wołyńskim, w młodości służył w Banku polskim za ministerstwa księgi a Lubeckiego, na kilka lat przed zgonem pracował przy b. Bibliotece Głównej. Zaczawszy od *Dziennika Wileńskiego* prawie wszystkie pisma literackie zasilał swemi pracami tak prozą jak wierszem. Utwory jego zalecają się tak zacną dążnością, jak wytworną formą artystyczną i pięknym a czystym językiem. Szczególniej forma ta odbija w poezjach zmarłego. Zbiór ich wydał p. n. *Wianek cierniowy* doznawszy w ciągu długiego życia mało dni pogodnych, a więcej bolesnych. Szlachetny w życiu, prawy w charakterze, przymioty te zacne przeniósł do utworów swego pióra. Z prac ogłosił oddzielnie drukiem: „*Okruszyny z teki*“ 1852. „*Postępowi*“ powieść. *Gielda*, komedia Pousarda. Część jój drukowaliśmy w naszym piśmie, reszta pozostała w rękopiśmie. Tłumaczył z francuskiego Feliksa Czackiego „*Studia historyczne nad rewolucyą francuską*“ w trzech tomach, które wyszły z pod prassy w Warszawie.

Pozostawił po sobie w rękopiśmie pamiętniki pod skromnym napisem: „*Notatek z życia*“ które ważnym są materiałem dla badacza dziejów społeczności naszego stulecia, jak i literatury krajowej, zbliżony był bowiem do najznakomitszych pisarzy tego okresu. Zwłoki pochowano na Cmentarzu Powązkowskim.

† Dnia 7 stycznia r. b. umarł w *Luczycach* w powiecie *Sokalskim* w Galicyi, *Kajetan Sufczyński* znany pod pseudonimem *Badzantowicza*, jeden z pierwszorzędných powieściopisarzy historycznych. Dawny żołnierz i obywatel ziemski w gubernii Lubelskiej, przeniósł się od wielu lat do Galicyi. Wiązały go ścisłe stosunki przyjaźni ze zgasłym Wincentym Polem, które umacniały bratni duch i zamiłowanie tradycyjn narodowych. Z ogłoszonych drukiem utworów jego pióra, najznakomitszym jest opowiadanie „*Rodzina Konfederatów*“, która śmiało obok „*Soplicy*“ i „*Listopada*“ Henryka Rzewuskiego stać może. Zahartowany w młodych latach dożył sędziwego wieku nie tracąc zapału i uczuć młodzieńczych. Znał dawne czasy i postaci należące do zeszłego stulecia i po mistrzowsku umiał je malować. Pozostawił w rękopiśmie obszerną powieść historyczną z lat, ostatnich XVIII wieku, z której tylko drobne ustępy znamy. Śmierć druha tak serdecznego jakim był śpiewak *Mohorta*, przyspieszyła zgon ś. p. K. Sufczyńskiego: przeżył tylko swego przyjaciela zaledwie jeden miesiąc.

† Dnia 8 stycznia r. b. umarł w Warszawie *Leon Kunicki* w młodym wieku, bo liczył rok czterdziesty czwarty życia. Równocześnie na pole literatury wystąpił z J. K. Gregorowiczem, i głównie poświęcił się jako pisarz ludowy, malowaniu postaci z tej warstwy społeczności naszej. *Obrazy wiejskie i Zarysy* Gregorowicza, są szerokich rozmiarów, gdy Kunickiego były wiecej miniaturami; ale te drobne utwory zalecają się wiernością swych rysów i charakteru, a jaśnieją szczególnie powabem, gdyż każde ogrzewa ciepło serdeczne zacnego ich autora. Główną treścią obrazków Kunickiego są jego strony rodzinne dawnego Podlasia nad Bugiem, których uroczę krajobrazy umiał pochwyć ze smakiem artystycznym. Był współpracownikiem wielu pism czasowych a w ilustrowanych pomieszczał *typy charakterystyczne* własnego ołówka. Z wielu prac jego oddzielnie wydanych wspomniemy ważniejsze: *Krajowe Obrazki i Zarysy* 1851 r., *Nad-Byżne obrazy i powieści* w 3 t.; *Iwancko* pow. ludowa.—*Kłosy* oddały hołd należny pamięci zgasłego pisarza i zacnego obywatela, dołączając wierny jego portret.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger*.

FILOZOFIA

ZASADY BEZWIEDNÉJ

(Nowy filozoficzny pesymizm).

PRZEDSTAWIĆ

Dr. fil. Henr. Goldberg.

Pytanie, co jest zasadą wszechbytu, które dało początek wszystkim umiejętnościom, do dziś dnia zaprzęta umysły ludzkie. Kiedy z postępem czasu z jednego tego pytania zrodziły się tysiące innych, i ta niezliczona wielość zagadnień wywołała potrzebę podziału pracy umiejętności, pytanie to pierwotne zatrzymała dla siebie i pierwotna nauka—filozofia. Lecz choć już 25 wieków sił swych próbowało nad rozwiązaniem tego pytania, zadawałnającą odpowiedź nikt jeszcze nie znalazł. Smutny ten rezultat tak często powtarzanych usiłowań, musiał naturalnie wywoływać od czasu do czasu wątpliwość o możliwości dojścia do zamierzonego celu. Z tém wszystkiém usiłowania te absolutnie bezowocnem nie pozostały, i jeśli dziś pytanie o zasadzie wszechbytu rozwiązane nie jest, jeśli nawet wielu zaprzecza, aby można dać na nie kiedykolwiek umiejętną odpowiedź, to przynajmniej wskazane są kierunki możliwego rozwiązania tej kwestyi.

W pierwszych dwóch dziesiątkach naszego stulecia, trzech wielkich filozofów prawie jednocześnie dało trzy różne odpowiedzi, na pytanie o ostatecznej zasadzie wszechbytu. *Hegel* utrzymywał, że wszystko jest tylko przejawem absolutnego rozumu, intelligencji; *Schopenhauer* starał się dowieść, że istotą wszechrzeczy jest nierozumna wola; a nareszcie *Herbart*, przyjmował wielość niematerialnych pierwiastków za zasadę wszechbytu. Każdy z tych trzech poglądów i dziś jeszcze ma licznych zwolenników. W najnowszych czasach obok tych trzech kierunków w dziedzinie badań filozoficznych zjawiły się jeszcze dwa. Jeden z nich wyprowadza wszystko z materyi; drugi zaś stara się pogodzić jednostronności wszystkich wymienionych czterech systemów. Filozofia, którą w krótkich rysach zamierzam tu przedstawić, jest właśnie jednym i to najnowszym z tych systemów godzących, pojednawczych.

Zabierając się do tej pracy, postawiłem sobie za zadanie *zaznaczyć* czytelników z *Filozofią zasadą bezwiednej*. Dlatego starałem



się nie tylko o wierne nakreślenie ogólnego poglądu autora, ale o dokładne, o ile to w mej mocy było, przedstawienie fundamentów, na których ta filozoficzna budowa się wznosi. Ztąd też, *idąc za biegiem myśli* autora, nie przerywałem rzeczy własnymi uwagami *krytycznymi* i gdzie tego dla dobitniejszej charakterystyki potrzeba było, przytaczałem słowa samego autora; wszakże w szczegóły służące dla wypełnienia ram tego systemu nigdzie się nie wdawałem. Z tego wynikało, że i w rozkładzie treści Fil. zas. bezw. o tyle tylko od oryginału odstąpiłem, o ile mi się to wydawało niezbędnem, dla ściślejszego powiązania dowodów i systematyczniejszego rozwoju myśli. Sam autor bowiem, jakkolwiek daje skończony w sobie pogład na świat, odstępuje od zwykłej formy systemów filozoficznych i traktuje rzecz swą aforystycznie, tak, że często trudno znaleźć związek między jednym rozdziałem i drugim. Tym sposobem spodziewam się, że czytelnik zapozna się z całą treścią Fil. zas. bezw. i sam będzie w stanie ocenić jej dobre i słabe strony.

Edward Hartmann twórca tej nowej teorii filozoficznej, przed kilku jeszcze laty tylko specjalnie zajmującym się filozofią, i to bez wątpienia nie wszystkim, znany z kilku artykułów, pomieszczonych w filozoficznym czasopiśmie J. Bergmanna (*Philosophische Monatschriften*) zajął po ukazaniu się swego zasadniczego dzieła pod tytułem: „*Philosophie des Unbewussten*“ (Filozofia zasady bezwiednej) ¹⁾ na raz pierwszorzędnę stanowisko między uczonymi naszego czasu. Książka ta po raz pierwszy w 1868 roku wyszła na widok publiczny. Dziś mamy już czwarte jej wydanie. Jeśli zwrócimy na to uwagę, że filozofia dziś nie szczególną cieszy się wziętością u *wykształconej publiczności*, że w najnowszym czasie rzadko które dzieło treści czysto filozoficznej doczekało się, i to zaledwie po latach dziesięciu, drugiego wydania, to z góry należy wnosić, że niepospolite przymioty zalecają „Fi-

¹⁾ Ed. v. Hartmann syn generała Rob. v. H. urodził się w Berlinie w 1842 r. Po ukończeniu gimnazjum w r. 1858 wstąpił do gwardyi artylerji. W ciągu trzech lat 1859—1862 uczęszczał na wykłady w szkole artyleryjsko-inżynierskiej i w r. 1860 został oficerem. Wkrótce zapadł na zdrowiu, co go ostatecznie w 1865 r. zmusiło uwolnić się ze służby w stopniu porucznika. Wcześniej już poświęcał się naukom przyrodniczym i filozofii. Owoc tych prac złożył w swém dziele, które stanowi przedmiot naszego rozbiur. Prócz tego drobniejsze ogłaszał prace: *Ueber die dialektische Methode*. Berl. 1868.—*Schellings Positive Philosophie als Einheit von Hegel und Schopenhauer*. Berl. 1869.—*Das Ding an sich*. Berl. 1871.—*Gesammelte philosophischen Abhandlungen*. Berl. 1872. Prócz tego Hartmann próbował swych sił także w dramacie, teoretycznie i praktycznie, jak o tém świadczą jego:

Aphorismen über das Drama, 1870. i jego dramatyczne utwory ogłoszone pod pseudonimem Karola Roberta: *Dramatische Dichtungen* r. 1871; obie *tragödy* w tym zbiorku ogłoszone: *Tristan und Isolde*, *David und Batseba*, odznaczają się patetycznym tonem i nieco przesadną lyryką.

lozofią zasady bezwiednej.“ Wszyscy też prawie bez wyjątku reconzenci i krytycy naukowci, a liczba tych ostatnich jest tak znaczną, że w Niemczech powstała bodaj czy nie cała literatura, odnosząca się do tego dzieła, jednozgodnie oddają wielkie pochwały *Hartmannowi* tak za jego wykład jasny i ożywiony, tak za obszernie wiadomości z filozofii i nauk przyrodzonych, jakoteż narazcie za jego głębokie i oryginalne poglądy.

Nazwa, którą *Hartmann* dał swój filozofii, wskazuje, że zasadniczym pojęciem jego teorii jest *bezwiedność* (das Unbewusste). Pojęcie to w filozofii dotychczas bardzo ograniczone tylko miało znaczenie. Wprawdzie już *Leibnitz* i *Kant* używają go i utrzymują, że istnieją wyobrażenia bezwiedne, ale dopiero od czasów *Herbarta* zastosowywano to pojęcie jako zasadę poznania. Znaczenia wszakże ogólnego mu nie przyznawano, lecz ograniczano je do dziedziny tylko życia psychicznego. Wyjątek stanowią tylko poprzednik *Herbarta: Schelling* i współczesny pierwszemu *Schopenhauer*. Obaj oni przyznają pojęciu zasady bezwiednej znaczenie metafizyczne, z tą różnicą, że pierwszy z nich zasadę wszechbytu widzi w bezwiednej inteligencji, drugi zaś w bezwiednej woli. Stosunek swój do *Schellinga* i *Schopenhauera* *Hartmann* w ten sposób określa, że w jednym rzędzie z bezwiedną wolą stawia i bezwiedne wyobrażenie jako *równouprawnioną zasadę metafizyczną* (Ph. d. Unb. 2 ed. str. 19). Wyśledzeniu działalności dwóch tych pierwiastków w konkretnych zjawiskach, udowodnieniu, że wszystko jest tylko objawem bezwiednej woli i bezwiednego wyobrażenia, wykazaniu wzajemnego ich stosunku, jest właśnie poświęcona *Filozofia zasady bezwiednej*.

I.

W przeciwstawieniu do panujących i dziś jeszcze w filozofii metody dyalektycznej i deduktywnej, trzyma się *Hartmann* metody induktywnej. Nie wyłącza on wszakże i spekulacji filozoficznej, to jest logicznej analizy pojęć; przeciwnie, jest zdania, że tylko przy pomocy spekulacji i indukcji można dojść do jednolitego systemu umiejętności (str. 10 i nas.); czyli innymi słowy: że tylko na tej drodze możliwe jest osiągnięcie jednolitego poglądu na świat, co nie tylko jest zadaniem filozofii, ale i wspólnym celem wszystkich umiejętności. Zresztą nie jeden tylko *Hartmann* żąda połączenia spekulacji i indukcji; owszem, żądanie to dziś jest powszechnem. Wszakże, między „*Filozofią zasady bezwiednej*“ a innymi jej współczesnymi, zgodnymi z nią w kwestyi metody filozoficznej, ta ważna zachodzi różnica, że w tych ostatnich tak dalece przeważa spekulacja, iż indukcja redukuje się prawie tylko do ilustracji ich poglądów konkretnymi przykładami, gdy tymczasem „*Filozofia zasady bezwiednej*“, na wzór metody prakty-

kowanęj w naukach przyrodzonych, za pomocą rozbioru i porównania konkretnych zjawisk świata dochodzi do swych zasadniczych pojęć. Z tém wszystkiem, wierna swemu pogładowi na metodę, Filozofia zasady bezwiednej, kieruje się w tém badaniu wskazówką metodologiczną, będącą logicznym wynikiem spekulacji i wyrażającą się w pewniku, że celowość nie tylko stoi w sprzeczności z prawem *powszechnej przyczynowości*, lecz przeciwnie na niem się opiera (str. 29 i nas.). Do wyniku tego dochodzimy za pomocą następującej reflexyi: Pojęcie celu łączy się zawsze z pojęciem środka; są to pojęcia nawzajem się wywołujące, korrelatywne: gdzie jest cel, tam musi być i środek, i odwrotnie: gdzie jest środek, tam musi być i cel. Tym sposobem chcenie celu jest przyczyną wywołującą chcenie środka; to ostatnie z swojej strony jest znów przyczyną urzeczywistnienia środka, a to wreszcie przyczyną urzeczywistnienia celu. Pojęcie celowości więc rozkłada się, jak widzimy, na potrójną przyczynowość. Nie ulega wątpliwości, że do pojęcia tego dochodzimy pierwotnie w skutek wewnętrznego doświadczenia własnych duchowych czynności. Jeśli zatem wyżej określony stosunek celowości do przyczynowości, ma być metodologiczną wskazówką przy badaniu opartem na metodzie induktywnej, postępującej od konkretnych zjawisk, jako *skutków* do ich *przyczyn*, to koniecznie należy oznaczyć granice zastosowania pojęcia *celu*. Granice te w sposób następujący oznacza *Hartmann*. Jeśli przypuścimy że M jest przyczyną Z , i że n, n wyraża wszystkie materialne warunki, przy których następuje działanie M ; to przyczyna wywołująca M , czyli jego wystarczająca przyczyna może leżeć albo wyłącznie w materialnych warunkach oznaczonych przez n, n , albo też n, n , nie może być wystarczającą przyczyną M , i w takim razie wypada jęj szukać w warunkach niematerialnych, duchowych. Jeden albo drugi wypadek musi mieć koniecznie miejsce. Summa zatem prawdopodobieństwa obu wypadków jest pewnością, wyrażającą się matematycznie przez 1. Przypuściwszy, że prawdopodobieństwo pierwszego wypadku równa się $\frac{1}{X}$ to prawdopodobieństwo drugiego, t. j. że M ma przyczynę duchową $= 1 - \frac{1}{X} = \frac{X-1}{X}$. Im $\frac{1}{X}$ będzie mniejsze, tém bardziej $\frac{X-1}{X}$ będzie się zbliżać do 1, to jest pewności. Jeśli więc w danym konkretnym wypadku znaczna część materialnych warunków n, n da się wyłączyć, to prawdopodobieństwo, że M ma przyczynę duchową, wzrośnie i wzrastać będzie tém więcej, im więcej z n, n da się usunąć. Ze wszystkimi materialnymi warunkami (n, n) nigdy uczynić tego niepodobna, ponieważ każda czynność duchowa wymaga materialnego punktu, na któryby mogła wyrzucić swoje działanie; ale prawdopodobieństwo wypadku oznaczonego wyżej przez $\frac{1}{X}$ możemy często doprowadzić do tak małej warto-

ści, że $\frac{X-1}{X}$ dojdzie do takiego *maximum*, jakie w ogóle da się osiągnąć na drodze indukcji.

Ogólny ten rachunek, *Hartmann* wyjaśnia na następującym przykładzie. Przyczyną wyklucia się ptaka jest zalegnięcie jajka. Materialne warunki (*n. n.*) zalegnięcia (*M*) są: jajko i jego skład chemiczny, ptak i jego konstytucja i nareszcie temperatura miejsca, w którym się jajko znajduje. Prawdopodobieństwo, żeby wszystkie te warunki same mogły zniewolić ptaka do długiego nieczynnego siedzenia, jest już bardzo małe. Prawdopodobieństwo to jeszcze w skutek tego się zmniejsza, że znane nam są wypadki, w których ptak i jajko są te same, a jednakże zalegnięcie miejsca nie ma. I tak ptaki, mające swe gniazda w cieplarniach, jajek swych nie wysiadają; struś siedzi tylko nocą na jajkach, a w Nigrycyi wcale ich nawet nie wylęga. Warunki zatem materialne, poprzedzające wysiadanie ptaka redukują się do temperatury gniazda, którą przecież nikt za przyczynę wywołującą je nie poczyta. Możemy więc jako pewność przyjąć, że przyczyna zalegnięcia jest natury duchowej. W podobny sposób da się i na innych przykładach wykazać współdziałanie przyczyny duchowej w processach materialnych (np. prawdopodobieństwo działania przyczyny duchowej w spowodowaniu processów materialnych warunkujących widzenie oblicza *Hartmann* na 0,9997, Ph. d. U. str. 35). Ponieważ zaś wszelką czynnością duchową spowodującą zmiany w świecie zewnętrznym jest wola, przeto dla wszystkich processów materialnych, nie wynikających z warunków materialnych, trzeba jako przyczynę przyjąć wolę; a zatem w objaśnieniu ich nie opierać się tylko na prawie przyczynowości, lecz zarazem i celowości. Naturalnie, że objaśnienie podobne wtedy nas tylko zadowolnić może, jeśli cel, będący pierwotną przyczyną danego materialnego processu, sam przez się istnieje swe usprawiedliwiał; w przeciwnym zaś razie musimy odszukać cel wyższy, któryby nam przedstawiał dostateczną rękojmię istnienia celu pierwszego. Kierując się taką metodologiczną wskazówką, dochodzi *Hartmann* na drodze induktywnej stopniowo nareszcie do ostatecznego celu, mającego uzasadnić istnienie świata i konkretnych jego zjawisk.

Po takim przedstawieniu formalnej strony teorii *Hartmanna*, przechodzimy do wytuszczenia jej treści.

II.

O bezwiednej woli i bezwiednym wyobrażeniu, które mają, według Filozofii zasady bezwiednej, stanowić metafizyczne pierwiastki wszechbytu, z doświadczenia bezpośrednio nic nie wiemy. Przeciwnie, wola i wyobrażenie znane nam są powszechnie tylko w związku z świa-

domością, i przywykliśmy poczytywać je tylko za objawy téj ostatniej. Wypada zatem na konkretnych przykładach wykazać istnienie bezwiednej woli i bezwiednego wyobrażenia.

Gdyby wola była tylko czynnością świadomą, tobyśmy ruchy regulowane przez samodzielne centra systemu zwojowego (ganglije) musieli uważać za proste reflexa, to jest za objawy czysto mechaniczne. Tymczasem w ruchach tych dają się dostrzegać charakterystyczne znamiona woli, a mianowicie: affekt i konsekwentne dążenie do osiągnięcia zamierzonego celu. Obie np. części przepołowionej australijskiej mrówki napadają wzajemnie na siebie i z całą zażartością walczą; modliszki (*mantis religiosa*) pozbawione głów, znajdują swe samiczki i dopełniają aktu zapłodnienia; żaby, którym odjęto głowy, drażnione po odbytej operacji, chronią się przed swymi prześladowcami; podobnie i gołębie pozbawione wielkiego mózgu. Te i wiele innych tym podobnych faktów (Ph. d. Un. str. 44 i nn.) w niczém się nie różnią od objawów woli zwierzęcia w jego stanie normalnym. Ponieważ jednakże, czynności wymienione odbywają się zupełnie bez współdziałania mózgu, od normalnego funkcjonowania którego, zależy i normalny stan świadomości, przeto musimy według powszechnego rozumienia przyjąć, że czynności te są wynikami *bezwiednej woli*. Z tém wszystkiém nie mamy prawa, na podstawie przytoczonych faktów mówić o bezwzględnie bezwiednej woli, ponieważ wiadomo, że i zwierzęta nie mające mózgu, a nawet nie mające nerwów mają świadomość. Być więc zatem może, i jest nawet bardzo prawdopodobném, że czynności, których źródłem jest wola mleczaka pacierzowego i pojedynczych centrów systemu zwojowego, nie są wprawdzie przedmiotem świadomości mózgu, ale za to są świadome dla tych miejscowości organizmu, z których wzięły swój początek. Istnienie zaś woli bezwzględnie bezwiednej, wtedy tylko należałoby przyjąć za fakt niezaprzeczony, gdyby się dało wykazać, że wola bywa i dla tych organów bezwiedną, które są jój siedliskiem. O woli mleczaka pacierzowego i innych podrzędnych centralnych organów dowieść tego niepodobna, ponieważ ich świadomość nie jest naszą świadomością. Wypada zatem zbadać, czy i mózg który jest organem *naszej* świadomości, może być siedliskiem bezwiednej woli.

Wiadomo, że wszelki ruch, który z świadomym zamiarem, a więc samowolnie wykonywamy, nie może przyjść do skutku bez udziału nerwów ruchowych. Wola nasza nie ma bezpośredniej władzy nad mięśniami, lecz czynność jój ogranicza się jedynie na udzieleniu stosownego impulsu właściwym, centralnym kończynom nerwów ruchowych. Pytanie zatem zachodzi, na czém polega ów związek przyczynowy między wyobrażeniem zamierzonego ruchu i wykonaniem jego. Samo wyobrażenie ruchu bezpośrednio nie może oddziaływać na centralne kończyny nerwów; tylko wola bowiem może spowodować ruch. Wszakże i wola sama bez pomocy wyobrażenia nie jest w stanie udzielić impulsu właściwym centralnym kończynom nerwów, ponieważ nie

ma wiedzy o ich położeniu. Przyzwyczajenie i wprawa, wprawdzie ułatwiają wykonanie zamierzonego ruchu, ale nie mogą objaśnić, jakim sposobem ruch ten się uskuteczniał, przed osiągnięciem odpowiedniej wprawy i przyzwyczajenia. Pytanie, jakim sposobem wyobrażenie zamierzonego ruchu przenosi się jako impuls na odpowiednie centralne kończyny nerwów, nie da się również objaśnić przypuszczeniem mechanicznego między nimi związku. Jeślibyśmy bowiem przypuścili, że oscylłacye substancyi mózgowój bezpośrednio udzielają się centralnym kończynom nerwów, to nie byłoby powodu, dla czegoby impuls miał się udzielić właśnie tym kończynom, które wywołują zamierzony ruch a nie wszystkim innym. Nadto hipoteza mechanicznego związku między wyobrażeniami zamierzonego ruchu i odpowiedniami kończynami nerwów, stoi w sprzeczności ze znanym powszechnie faktem, mimowolnego wykonania zupełnie innych ruchów, jak te, któreśmy sobie zamierzili uskutecznić. Process zatem przenoszący wyobrażenie zamierzonego ruchu jako impuls na odpowiednie centralne kończyny nerwów ruchowych, musi być natury duchowej. Ponieważ zaś wyżej wykazane było, że wyobrażenie samo, żadnego impulsu w ogóle udzielić nie może, wola zaś sama nie ma środka odszukać właściwej centralnej kończyny nerwów; przeto musimy przyjąć, że przy wykonaniu ruchów samowolnych tak wola jak i wyobrażenie wspólnie działają. Ponieważ wszakże, ani wyobrażenie ruchu zamierzonego, ani wola wykonania jego nie odnoszą się bynajmniej do centralnych kończyn nerwów; a jednakże bez udzielenia impulsu tym kończynom i bez znajomości ich położenia w mózgu, zamierzonego ruchu nie byłibyśmy w stanie uskutecznić: przeto i wola poruszająca kończyny nerwów i wyobrażenie kierujące nią, muszą być bezwiedne. Process więc, zapomocą którego urzeczywistniają się zamierzone ruchy, składa się z następujących momentów: 1) świadome wyobrażenie zamierzonego ruchu; 2) świadoma wola urzeczywistnienia go; 3) *bezwiedna wola* udzielenia impulsu odpowiednim kończynom nerwów i 4) *bezwiedne wyobrażenie* miejscowości tych kończyn.

Tym sposobem usprawiedliwia Filozofia zasady bezwiednej przyjęcie istnienia bezwzględnie bezwiednego wyobrażenia i bezwzględnie bezwiednej woli; gdyż mimo to, że siedliskiem ich jest mózg, to jest organ *naszej* świadomości, oba te processa duchowe pozostają dla *nas* bezwiedne.

Jak ważną rolę pojęcie bezwiednego wyobrażenia i bezwiednej woli grają w naszym poznaniu, to pokazuje się w instynkcie. „*Instynkt jest celowem działaniem, bez świadomości celu*“ (Ph. d. U. str. 58). Trafności określenia tego nikt zaprzeczyć nie może. Sprzeczność, leżąca w instynktowem działaniu, która właśnie stanowi zagadkę tego objawu życia zwierzęcego, wychodzi w powyższej definicyi jak najwyraźniej na jaw. Kto instynkt nie uważa za rezultat świadomej duchowej czynności, a więc kto nie zaprzecza istnienia instynktu, i kto nie przyznaje bezwiednej woli i bezwiednego wyobrażenia, ten ma przed sobą tylko następującą alternatywę: albo zgodzić

się na to, że instynkt jest skutkiem fizycznej organizacyi; albo też przyjąć dla wytłumaczenia instynktu stały psychiczny mechanizm, którym natura zwierzę obdarzyła.

Dwie ważne okoliczności nie pozwalają przyjąć piérwszej hipotezy, a mianowicie: 1) rozmaitość instynktów przy tożsamości fizycznej organizacyi i 2) tożsamość instynktów przy różnych fizycznych organizacyach. Nie ulega wątpliwości, że w pewnym stopniu forma, w której się instynkt objawia zależy od organizacyi cielesnej, ale sama organizacya cielesna nie może być nigdy dostatecznym powodem dla działania instynktu. Należałoby raczej przyjąć, że zwierzę w czasie instynktowego funkcyonowania swych organów, uczuwa pewnego rodzaju przyjemność, i że to uczucie właśnie staje się pobudką podniecającą działanie instynktu. Przypuszczenie to wszakże jest fałszywém. Prawda, że po największej części z funkcyonowaniem instynktu łączy się i uczucie przyjemności; z tém wszystkiém, ponieważ bardzo często uczucie przyjemności, wywołane przez instynktowe działanie organu, wcale nie zależy od *formy* instynktu a jedynie od samego funkcyonowania organu; ponieważ nadto, zwierzę często staje się ofiarą swego instynktu: przeto przypuścić należy, że nie chęć przyjemności, ale inny powód jest pobudką dla instynktu. Filozofia zasady bezwiednej zawiera dość liczne przykłady, które popierają powyższe twierdzenie. Przytoczę tu tylko dwa najwybitniejsze. Ptaki znoszą zawsze tylko pewną, stale oznaczoną liczbę jajek; osiągnąwszy zaś swój cel, zaprzestają dopełniać aktu zapłodnienia, chyba, że przez wyjęcie kilku jajek z gniazda zmniejszymy pierwotną ich liczbę; w takim razie akt zapłodnienia znowu się powtarza i samiczka akurat tyle jajek znosi, ile się jój wyjęło. Samiczka *inyx torquilla* ¹⁾ (krętogłów), której każde nowo zniesione jajko odbiera no, dwadzieścia dziewięć razy starała się powetować wyrządzoną jój szkodę, aż nareszcie przy zniesieniu ostatniego jajka z wycieńczenia wyzionęła ducha.

Jak tylko co przedstawioną hipotezę, tak też i drugą, objaśniającą instynktowe działanie, jako skutek stałego psychicznego mechanizmu, odrzuca Filozofia zasady bezwiednej. Do rezultatu tego prowadzi ją następująca analiza. Jeśli instynkt jest tylko mechanizmem psychicznym, którym natura czy też Opatrzność obdarzyła zwierzę dla osiągnięcia swoich, sobie właściwych, a dla zwierzęcia obojętnych celów, to należy zarazem przyjąć, że mechanizm ten jest rodzajem utajonej siły, którą tylko zewnętrzne motywa do działania pobudzają; wiadomo bowiem, że instynkt nie wciąż, lecz tylko przy pewnych warunkach funkcyonuje. Otóż dostrzeżenie tych warunków, w których instynkt cel swój osiągnąć może, przedstawiające się w formie myślowych wyobrażeń, jest motywem dla działania instynktu.

¹⁾ Ph. d. U. str. 61 zam. *inyx* wydrukowano mylnie *ignex*.

Psychiczny ten mechanizm należałoby sobie zatem przedstawić jako klawiaturę, której klawisze byłyby zmysłowe wyobrażenia, a odpowiadające tony—funkcyonowanie instynktów. Ponieważ zaś mimo tożsamości celu każdego pojedynczego instynktu, objawy działalności jego ulegają nieprzeliczonym modyfikacyom, stosownie do zewnętrznych okoliczności, przeto dla każdej podobnej modyfikacji należałoby przyjąć oddzielny przyrząd w mechanizmie psychicznym, sprawadzający zgodnie z modyfikacją okoliczności i odpowiednią modyfikacją funkcyonowania instynktu, (Ph. d. U. str. 62 i nn. przytoczone są liczne przykłady modyfikacji instynktów). Teorya ta prowadzi zatem do komplikacji mechanizmu psychicznego, posuniętej aż do nieprawdopodobieństwa. Moznaby wszakże zgodzić się i na tę teorię, gdyby, przynajmniej w nagrodę za swą monstrialność, wytłumaczyła rzeczywiście działanie instynktu; a to właśnie miejsca nie ma. Teorya powyższa, jak to się wykazało, musi przyjąć, że na skutek pewnego wyobrażenia następuje świadoma wola uskutecznienia pewnej czynności. Ponieważ jednak nie pierwsze lepsze wyobrażenie, jak to z wewnętrznego doświadczenia wiadomo, pociąga za sobą wolę, lecz tylko wyobrażenia przyjemności i nieprzyjemności; przeto i dla instynktowego działania wypadaloby przyjąć tę samą motywacyę. Lecz wyobrażenie przyjemności i nieprzyjemności możliwe jest tylko wtedy, jeśli się ich już doznawało; zkądżeż się zatem wzięła wola do działania instynktowego przed doznaniem przyjemności, co przecież faktycznie ma miejsce? Jeśli zatem tylko na skutek pewnych wyobrażeń zmysłowych występują czynności instynktowe, i jeśli nie ulega wątpliwości, że między pierwszymi, a ostatniemi zachodzi związek przyczynowy, to teoriya psychicznego mechanizmu, opierając się wyłącznie na motywacyi instynktów przez zmysłowe wyobrażenia, konstatuje tylko goły fakt zachodzącej między niemi przyczynowości, ale bynajmniej jój nie wyjaśnia; albowiem przeocza, że między temi dwoma skrajnemi momentami instynktowego działania musi się odbywać jakiś pośredniczący process. Ponieważ zaś process ten łączący wyobrażenie zmysłowe z funkcyonowaniem instynktu odbywa się bezwiednie, a w psychicznym mechanizmie połączenie to może mieć miejsce tylko w formie wyobrażenia i woli; przeto teoriya psychicznego mechanizmu, dla wyjaśnienia motywacyi instynktowego działania musi przyjąć bezwiedne wyobrażenie o celu instynktu i bezwiedną wolę osiągnięcia takowego, i tym sposobem sama się znosi, gdyż konsekwentnie musi przyjść do uznania, że *instynkt jest aktem woli, świadomym swych środków, lecz nieświadomym swych celów* (Ph. d. U. str. 66).

Wykazawszy nicosić hipotezy objaśniającej instynkt jako skutek psychicznego mechanizmu, zwraca się Filozofia zasady bezwiednej do poglądu, według którego działanie instynktowe nie jest niczem innem, jak tylko rezultatem świadomej refleksyi; czyli innymi słowy:

do poglądu zaprzeczającego istnienie instynktu. Ci, którzy takiemu pogładowi hołdują, odwołują się do tój okoliczności, że im ciaśniejszy jest zakres działalności pewnego stworzenia, tём ono *stosunkowo do swego ogólnego umysłowego uzdolnienia*, większą w tym zakresie wykazuje doskonałość.

Okoliczność ta, którą codziennie prawie doświadczenie stwierdza, nie może wszakże służyć za dowód, że instynktowe działanie jest rezultatem świadomej refleksyi. Jeśli bowiem działalność stworzenia w skutek jednostajności kierunku, w którym się objawia, dochodzi do pewnego stopnia doskonałości, to nigdy nie może przekroczyć granic ogólnego uzdolnienia stworzenia, i zawsze musi być do niego proporcjonalną. Gdyby zatem instynkt niczём innym nie był, jak tylko pewną przez wprawę nabytą biegłością, tobyśmy u rozmaitych stworzeń, stosownie do mniejszej lub większej ich inteligencji, musieli tём dostrzegać mniejszą lub większą doskonałość i ich instynktowej działalności. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie. Bez względu na stopień ogólnego umysłowego uzdolnienia, instynkta wszystkich zwierząt odznaczają się zawsze i wszędzie tą samą doskonałością, tą samą zadziwiającą nieomylnością. (Filozofia zasady bezwiednej przytacza znaczną ilość faktów na poparcie tego twierdzenia cf. Ph. d. U. str. 69 i nn.). Jedną prócz tego jest okoliczność, dająca pozytywne dowody przeciwko twierdzeniu, które instynkta ze świadomej refleksyi wyprowadza. Wszelka świadoma refleksya kierująca działalnością zwierzęcia musi się koniecznie opierać na znajomości tych okoliczności i tych warunków, wśród których życie zwierzęce się obraca. Znajomość tę może zwierzę czerpać tylko z nabytego doświadczenia. We wszystkich zaś wypadkach, w których działalność instynktu skierowaną i zastosowaną jest do takich okoliczności, o których zwierzę ze swój przeszłości nic wiedzieć nie jest w stanie lub o których z obecnych danych żadnego wniosku wyprowadzić nie może, tam nie świadoma refleksya lecz *bezwiedna intuicya* może być tylko źródłem wiedzy zwierzęcia. Jelonki samice np. wykopują sobie dołki, w których ma się odbyć ich przemiana w poczwarki, takiej wielkości jak one same; gdy tymczasem samce wykopują dołki dwa razy od siebie większe, a to dlatego żeby mające im wyrosnąć rogi, które długością swą wyrównywają ich tułowowi, mogły się wygodnie pomieścić. Myszołowy chwytają padalców i innych niejadowitych wężów, tak jak się im zdarzy, nie zachowując żadnych środków ostrożności; ale na żmije napadają tak, aby im przedewszystkiem mogły zdruzgotać głowy i tym sposobem zabezpieczyć się od ich jadowitego ukąszenia i t. p. (wiele innych podobnych przykładów znajdzie czytelnik Ph. d. U. str. 73 i nn.). Upada zatem i pogląd, który odrzuca wszelką istotną różnicę między instynktowem a świadomem działaniem i nie pozostaje nic innego, jak uznać w instynkcie działanie bezwiednego wyobrażenia i bezwiednej woli zwierzęcia.

W trzech wielkich gruppach zwierzęcego życia: w ruchach refleksyjnych ¹⁾, w ruchach własnowolnych i w instynktowej działalności, wysłedziła tym sposobem Filozofia zasady bezwiednej działanie dwóch tych samych pierwiastków: bezwiednego wyobrażenia i bezwiednej woli. We wszystkich tych trzech gruppach zwierzęcego życia ma bezwiedne wyobrażenie i bezwiedna wola, według przedstawionego tu w streszczeniu badania Filozofii zasady bezwiednej, znaczenie nie częściowej lecz zasadniczej przyczyny, znaczenie ich podstawy i właściwego źródła. Wszakże filozofia ta zakreśla daleko obszerniejsze granice działalności bezwiednej woli i bezwiednego wyobrażenia w życiu zwierzęcém. Dwa te bowiem czynniki psychiczne, stanowiące jakoby „indywidualną opatrność“ zwierzęcia, kierującą jego czynnościami w świecie zewnętrznym, sprowadzają, według poglądu Filozofii zasady bezwiednej nawet i te funkcyje organizmu, które równoważą i usuwają wszelkie zachodzące w nim wstrząśnienia i uszkodzenia. Jedném słowem *siła lecznicza natury* (Naturheilkraft) ma być również tylko objawem bezwiednej woli i bezwiednego wyobrażenia.

Do poglądu tego przychodzi Filozofia zasady bezwiednej na mocy obserwacyi i rozbioru processów leczniczych. Processa lecznicze już z tego względu wykazują podobieństwo z czynnościami instynktowymi, że również jak i one sprowadzają bezwiednie i celowo te warunki, które są niezbędne dla istnienia zwierzęcia. Że instynkt skierowany jest ku zewnętrznym warunkom, wśród których stworzenie żyje, a processa lecznicze ku samemu organizmowi, to nie może być dostateczną przyczyną, żeby zaprzeczyć tożsamość instynktu i siły leczniczej; ponieważ bardzo często trudno oznaczyć ścisłą granicę między organizmem a jego zewnętrzném otoczeniem. I tak np. gniazdo w którym ptak żyje jest jego zewnętrzném otoczeniem; podobnież siatka pajęczna stanowiąca mieszkanie pająka. Ale za co uważać skorupę ślimaka lub kokon gąsienicy? Jeśli w pierwszych dwóch przykładach instynktowi przypisujemy naprawę wszelkich uszkodzeń zrzędzonych w siedzibie stworzenia, to nie mamy powodu nie przypuszczać, żeby i w dwóch ostatnich przykładach, uszkodzenia nie usuwała ta sama instynktowa czynność. Podobnież i ta okoliczność nie może stanowić zarzutu przeciwko tożsamości czynności instynktowych i processów leczniczych, że w pierwszych stworzenie świadome jest środków,

¹⁾ Ruchom refleksyjnym poświęca Hartmann cały i bardzo obszerny rozdział w swoim dziele. cf. P. d. U. Cap. V Abth. A. str. 96—110. Ponieważ na samym początku Cap. I Abth. A. a mianowicie tam gdzie chodziło o wykazanie, że w organizmie istnieje wola bezwiedna, Hartmann twierdzenie swe starał się udowodnić przez rozbiór objawów refleksyjnych, i rozumowanie to jego w streszczeniu już podaliśmy: cf. wyżej str. 382; przeto uważamy za zażyteczną jeszcze raz nad tą kwestyą się rozwozić.

za pomocą których instynkt cel swój osiąga, a w ostatnich i tój świadomości stworzenie jest pozbawione; gdyż niepodobna wątpić, po tém co powiedziano wyżej, że processa lecznicze dla pewnych centrów nerwowych są świadome, np. dla celek zwojowych, z których wychodzą włókna nerwu sympatycznego, regulującego processa odżywiania! Jeżeli więc processa lecznicze nie dadzą się wytłumaczyć czysto mechanicznie, to należy przyjąć, że i w nich objawia się podobnie jak i w instynkcie, działanie bezwiednej woli i bezwiednego wyobrażenia. W samej rzeczy już w najprostszych objawach leczniczych widoczna jest działalność siły duchowej ku pewnemu oznaczonemu celowi skierowanej. I tak przyptyw krwi modyfikuje się stosownie do potrzeby różnych organów, chociaż mechanizm serca we wszystkich kierunkach z jedną siłą działa; np. w miejscowych zapaleniach tam gdzie ma powstać nowotwór, napływ krwi jest silniejszy, jak w stanie normalnym.

Najwybitniej udział przyczyny psychicznej w processach leczniczych wykazuje się u zwierząt niższych rzędów, którym zniszczone organa na nowo odrastają. Wiadomo np. że dżdżownicom (glistom) pozbawionym umyślnie głów i ogonów, organa te na nowo odrastają. Mechanicznie, a mianowicie ze składu chemicznego materji wydzielającej się w miejscach, gdzie przecięto dżdżownicę, i z wpływu sąsiednich części na mające powstać nowotwory, wytłumaczyć tego faktu niepodobna; ponieważ skład chemiczny wydzielin i budowa morfologiczna tułowu dżdżownicy są wszędzie te same. Jeśli więc mimo tożsamości materialnych warunków w jednem miejscu wyrasta głowa, a w drugiem ogon, to należy przypuścić, że jakaś siła duchowa tak dane materialne warunki reguluje, jak tego typ dżdżownicy wymaga. Wyjaśnienie takie znajduje swe potwierdzenie w tój okoliczności, że te organa stworzeniu najprzód wyrastają, które są dla jego egzystencji ważniejsze: i tak robakom odrasta wprzód głowa niż ogon; ryby pozbawione płetw, te najprzód odzyskują, które im dla wykonywania ruchów są potrzebniejsze: najprzód odrastają płetwy przy ogonie, potem płetwy brzuszne i piersiowe, a dopiero na końcu płetwy na grzbiecie. U zwierząt wyższych rzędów siła lecznicza coraz bardziej słabnie, i nareszcie w organizmie ludzkim do swego *minimum* dochodzi, chociaż nigdzie nie ustaje. W obrażonych np. częściach ciała ludzkiego wydziela się neoplasma, w którym najprzód powstają naczynia krwiowe i dopiero potem przez coraz większe rozmnażanie i rozrastanie łączą się z sąsiednimi naczyniami części zdrowych. Ponieważ te zdrowe części pierwotnie nie stykają się z nowotworzącymi się, przeto i żadnego kształtującego wpływu na nie wywierać nie mogą. Dla wytłumaczenia zatem tego faktu, że z zupełnie jednostajnej wszędzie tkanki neoplasmy, tylko pewna jej część przemienia się w naczynia krwiowe, trzeba przyjąć działanie celowe przyczyny niematerialnej. Podobnie działanie takiej przyczyny widoczne jest w tych wypadkach, gdzie pewne kanały służące dla wydalenia pewnych wydzielin zaprzestają funkcyonować, i miejsce ich zastępują inne kanały; wszystkie wydzieliny bowiem

w tym składzie chemicznym, jaki im jest właściwy w chwili ich wydalenia z organizmu, tworzą się dopiero we właściwych im kanałach sekrecyjnych; jeśli zatem jaki kanał zastępczo wydała wydzielinę innego kanału, to musi nastąpić odpowiednia modyfikacja jego wewnętrznego ustroju, co tylko celowo działająca, a więc niematerialną siłą, może być spowodowane. Inne przykłady, z których Filozofia zasady bezwiednej wnosi o udziale siły psychicznej w processach leczniczych znajdują się zebrane w rozdziale VI części A. Że owa siła psychiczna działająca w processach leczniczych jest bezwiedną, tego niepotrzeba dopiero dowodzić. Tak więc i w processach leczniczych wykrywa Fil. zas. bezwiednej nieświadomą, lecz celową czynność psychiczną, a więc bezwiedną wolę i bezwiedne wyobrażenie. Zarzut że organizm nie zawsze działa celowo, i że nie zawsze sprowadza zupełne wyleczenie odpiera Fil. zas. bezwiednej uwagę, że wola organizmu, jest indywidualną, a więc ograniczoną, w skutek czego wiele uszkodzeń może przehodzić zakres jej działalności.

Siła lecznicza przyrody i niektóre zwierzęce instynkta, a mianowicie budowlane, zostają w tak ścisłym związku z siłą kształtującą organizm (*organische Bildungsthätigkeit*), że niepodobna dla wszystkich tych objawów czynności zwierzęcej nie przyjąć tej samej ostatecznej zasady. Charakterystyczną cechą siły kształtującej organizm, jest urzeczywistnienie typowej jego idei we wszystkich fazach jej rozwoju. Siła zaś lecznicza skierowaną jest ku zachowaniu i utrzymaniu urzeczywistnionej już idei. Ale jak każdy akt siły leczniczej jest zarazem i twórczym, gdyż polega na zastąpieniu wydalonych części organizmu innymi lub też wytworzeniu nowych organów na miejsce uszkodzonych albo też zupełnie zniszczonych; tak znów urzeczywistnienie pewnej nowej fazy rozwoju typowej idei organizmu, możliwe jest tylko wskutek wielu aktów zachowawczych. Jednym słowem siła kształtująca organizm jest tylko spotęgowaną jego siłą leczniczą, i na odwrót. Z drugiej strony siła kształtująca organizm niczem innym nie jest, jak tylko pewnym objawem instynktu budowlanego; gdyż podobnie jak i ten ostatni jest ona pracą realizującą pewien stały idealny plan, i łatwo na konkretnych przykładach wykazać, że między instynktami budowlanymi a w mowie będącą siłą niepodobna oznaczyć ściślej granicy; np. między zbudowaniem gniazda a uprzedzeniem kokonu gąsienicy lub też sformowaniem skorupy ślimaczej. Jeśli pierwszy przykład przyjmiemy za rezultat instynktu budowlanego, to musimy i dwa ostatnie podciągnąć pod tę samą kategorię; jeśli zaś dwa ostatnie przykłady nazwiemy objawami siły kształtującej organizm, to te same znaczenie musimy przypisać i pierwszemu. (Inne przykłady znajdują się Ph. d. Unb. str. 154 i nas.) Ta analogia między siłą kształtującą organizm z jednej strony a instynktem i siłą leczniczą z drugiej strony dowodzi, że we wszystkich tych trzech objawach życia zwierzęcego przejawia się jedna i ta sama zasada t. j. bezwiednie lecz celowo działająca siła psychiczna. Zarzuty przeciwko celowości organizmu

z dwóch pochodzą źródeł: 1° z fałszywego określenia celów organizmu, wskutek czego popada się w błąd narzucania organizmowi *takich* celów, urzeczywistnienie których stałoby na przeszkodzie wypełnieniu *innych* ważniejszych zadań organizmu (jeśliby np. kto czasce ludzkiej zarzucił dla tego brak celowości w jej ustroju, że nie może wytrzymać uderzenia gradu wielkości pięści), 2°. Jednostajność zasadniczych morfologicznych typów daje również powód do zarzutów przeciwko celowości w ustroju organizmów. Wskutek tej jednostajności bowiem, w której jednolitość całego planu stworzenia wyraźnie się przejawia, spotykamy często w różnych organizmach części zupełnie nie funkcjonujące i pozbawione wszelkiego znaczenia: takimi właśnie są wszystkie morfologiczne rudimenta. Te odstępstwa od celowości są tylko wpływem najwybitniejszego prawa rządzącego w całej przyrodzie, a mianowicie prawa oszczędności (*lex parsimoniae*). „Łatwiej bowiem naturze przychodzi, tu i owdzie pozostawić rzeczy niepotrzebne, lecz nieszkodliwe, niż wciąż przemieniać i nowe przeprowadzać idee; przeciwnie przyroda trzyma się, o ile możliwości jednej idei, i o tyle tylko ją modyfikuje, o ile tego wymaga nieodzowna potrzeba“ (Ph. d. Unb. 2-ie wyd. str. 153). Co się tyczy celu świata uorganizowanego, za takowy tylko powstanie i rozwinięcie świadomości można uważać (niżej będzie wykazane dla czego i dla jakich powodów uorganizowana materia jest warunkiem *sine qua non* powstania świadomości). Ta okoliczność wyjaśnia nam przedewszystkiem podział świata uorganizowanego na państwo roślinne i zwierzęce. Dla przetworzenia bowiem materii nieorganicznej w organiczną i niższych związków organicznych w wyższe, potrzeba takiego zasobu bezwiednej działalności psychicznej, że jedno i to samo stworzenie, wypełniwszy to zadanie, nie byłoby już w stanie skierować swęj psychicznej czynności ku sobie samęj. Tylko takie organizmy, których egzystencya wymaga jedynie zachowania istniejących już związków organicznych, lub też wydalenia tych, które same przez rozkład pierwszych powstają, mogą zaoszczędzić tyle energii psychicznej, ile potrzeba dla sformowania z danego im materiału kunsztownych organów świadomości. Wszakże mogą być i takie organizmy, których jedna połowa tworzy wyższe związki organiczne, druga zaś zużywając je wykształca organa świadomości. Podobne połączenie zwierzęcej produkcji i konsumpcji spotykamy w formach przejściowych od roślin do zwierząt, w tak przez *Häckla* nazwanem państwie *Protistów*. Łatwo pojąć że podobne organizmy przywiązane stale do pewnej miejscowości, wskutek braku obszerniejszego doświadczenia wyższego rozwoju świadomości osiągnąć nie mogą. Ponieważ zaś te substancye, z których się wytwarza uorganizowana materia znajdują się przeważnie w wodzie, którą jest przesiąknięta skorupa ziemna i dla wydobycia ich potrzeba dość znacznego rozszerzenia powierzchni organizmu pod powierzchnią ziemi; przeto widoczném jest, że istoty obdarzone wyższą świadomością nie mogą bezpośrednio powstać z materii nieorganicznej. Z tych to właśnie

powodów powstaje rozdział świata uorganizowanego na roślinny i zwierzęcy. Z celu uorganizowanai materii: powstania i rozwinięcia świadomości, wykazała się dla zwierząt potrzeba narzędzi ruchu. Co się tyczy reszty systemów organów zwierzęcych: jak zmysłów, systemu krążenia krwi, przyrządów trawienia, systemów nerwowych i t. d., to łatwo wykazać, iż stanowią one niezbędne środki służące ku zachowaniu jednostki i jej gatunku. (Ph. d. Unb. str. 152 i nas.). Tak więc jeśli się tylko właściwie oznaczy cel organizmów, jeśli się zwróci na to uwagę, że skutek jednolitości planu całego stworzenia w pewnych organizmach często powstają niektóre typowe części nie mające znaczenia dla nich, to nie można zaprzeczyć prawa celowości w budowie organizmów. Ponieważ zaś siła kształtująca organizm, jak wykazano, niczem innym nie jest jak tylko spotęgowaną siłą leczniczą, a jedna i druga nie tylko że przedstawiają najzupełniejszą analogią z instynktem, lecz nadto z nim tak ściśle się wiążą, że ich za co innego niż instynkt uważać niepodobna; przeto jako ostateczne przyczyny powstania i funkcjonowania materii uorganizowanej, należy przyjąć te same czynniki psychiczne, które się na instynkt składają, a mianowicie: bezwiedną wolą i bezwiedne wyobrażenie. Dodawszy do tego że nie tylko ruchy samowolne, ale i reflexyjne ostatecznie na dwóch tych psychicznych czynnikach polegają, należy przyznać że ostatecznymi przyczynami świata uorganizowanego i jego przejawów są: *bezwiedna wola i bezwiedne wyobrażenie*.

III.

Powszechnie panuje rozumienie, że czynności instynktu skierowane są tylko do potrzeb życia cielesnego, i że nasze świadome życie duchowe niema nic wspólnego z instynktem. Pogląd Filozofii zasady bezwiednej jest wprost przeciwny powyższemu mniemaniu. Nietylko że filozofia ta przypisuje instynktowi znaczny udział w świadomych sprawach naszego ducha, ale co ważniejsza, uważa go za ostateczną ich zasadę. Dla dokładnego zrozumienia doniosłości tego twierdzenia, wypada przypomnieć czytelnikowi, że podług analizy Fil. zas. bezw. instynkt jest bezwiedną lecz celowo działającą siłą psychiczną, a raczej połączeniem bezwiednej woli i bezwiednego wyobrażenia. Cały zatem świadomy świat naszego ducha jest również tylko produktem dwóch tych czynników. W celu zaznajomienia czytelników z tą częścią Fil. zas. bezw. zajmiemy się tylko przedstawieniem analizy tych ogólnych kierunków życia duchowego, pod które dadzą się podciągnąć jego najprzeróżniejsze objawy, aby tym sposobem wykazać, jak Fil. zas. bezw. usprawiedliwia swą teorią, że te same dwa czynniki: bezwiedne wyobrażenie wraz z bezwiedną wolą, nie tylko są ostatecznymi zasadami świata uorganizowanej materii, ale zarazem i całego świata świa-

domego ducha. Pominiemy zatem rozbiór szczegółowych instynktów jak: wstydlivości, sympaty, antypaty, miłości macierzyńskiej i t. d. a przejdziemy do uczucia, myślenia, zmysłowego dostrzegania, świadomości etc. Wszakże co się tyczy owych szczegółowych objawów życia duchowego, to nie możemy zupełnie pokryć milczeniem analizy miłości płciowej, raz dla tego że przedmiot ten przedstawia bardzo wiele interesu, a powtóre dla tego że pogląd *Hartmanna* na ten objaw życia duchowego jest nadzwyczaj śmiały ¹⁾ i wiele światła na jego etykę rzuca.

Miłość płciowa jest w najściślejszym związku z popędem płciowym i tём się najwybitniej od tego instynktu różni, że przedmiot w którym szuka swego zaspokojenia nie jest jój obojętnym, nie jest to lub owo indywiduum, lecz pewne umyślnie z wielu innych *wybrane*; miłość zatem płciowa jest popędem płciowym *indywidualizującym*. Zachodzi więc pytanie, czy indywidualizacja ta jest dziełem świadomości, czy też podobnie jak sam popęd jest tylko instynktową. U niektórych zwierząt, np. gołębi, bocianów, sarn etc. popęd płciowy, podobnie jak u człowieka, ogranicza się tylko do pewnego indywiduum, wskutek czego żyją one monogamicznie; wszakże nie tylko tego rodzaju zwierząt popęd płciowy indywidualizuje, nawet i zwierzęta u których panuje polygamia *wybierają* sobie indywidua, z którymi chcą dopełnić aktu zapłodnienia; znane np. są w tym względzie częste walki między psami. Tu wybór, ze względu na niski stopień świadomego duchowego życia zwierząt, przypisują powszechnie instynktowi. Inaczej w człowieku. Jego silnie rozwinięta świadomość, wielkie znaczenie jakie ta strona duchowa ma w jego życiu, zdaje się stać w sprzeczności z tём żeby tak ważna sprawa jak wybór indywiduum, którego posiadanie ma go doprowadzić do najwyższej szczęśliwości, była dziełem ślepego instynktu. Dla tego to powszechnie miłość płciową tylko za przywilój człowieka się uważa.

Dwie tylko mogą być okoliczności warunkujące świadomy wybór: 1) piękność pewnego indywiduum i 2) duchowe jego przymioty. Ze piérwszej okoliczności nie można uważać za dostateczną, dla wytłumaczenia wyboru płciowego, to wynika już z tego, że pięknych indywiduów jest bardzo wiele, i że nie zawsze to indywiduum największy ma powab we względzie płciowym, które jest najpiękniejszym. Co się zaś tyczy duchowych przymiotów, to z tego względu tylko można je uważać za zasadniczą przyczynę płciowego wyboru, że pewna harmonia duchowego usposobienia dwóch indywiduów zbliża je do siebie, i że świadomość tój harmonii staje się im rękomią szczęścia w zobopólném pożyciu. Łatwo każdy pojmie, że to może być tylko podstawą *przyjaźni*, nie zaś *miłości*. W prawdzie w takim *przyjacielskiem* zbliżaniu dwóch indywiduów wywiązuje się i miłość, ale albo miłość ta w tym razie jest tylko poprostu obudzeniem się *ogólnego* popędu płcio-

¹⁾ W gruncie rzeczy pogląd *Hartmanna* na miłość, zgodny jest z poglądem *Schopenhauera*.

wego, albo téż powstałoby i bez poprzedniej przyjaźni. Że przyjaźń nie jest przyczyną miłości, że ta ostatnia z zupełnie innego źródła wypływa, to widać najlepiej z tak często zdarzających się wypadków prawdziwej przyjaźni między osobami różnej płci, gdzie przynajmniej ze strony mężczyzny nawet i myśl miłości nie powstaje. Jeśli zaś w sercach kobiet przyjaźń taka rzeczywiście nie może powstać, to przyczyny tego zjawiska należałoby szukać w tej okoliczności „że one (kobiety) w ogóle do czystej i prawdziwej przyjaźni, tak z mężczyznami jak i między sobą nie są zdolne, ponieważ przyjaźń jest produktem świadomego ducha, one zaś do wielkich czynów są tam tylko zdolne, gdzie się do nich z nieświadomego duchowego życia czerpią“ (Ph. d. U. str. 188). „I dwaj prawdziwi przyjaciele, mówi dalej *Hartmann*, nie mogą żyć bez siebie, i jak dwaj kochankowie zdolni są zobopólnie robić największe poświęcenia; ale cóż za różnica między przyjaźnią a miłością! Pierwsza to piękny, łagodny jesienny wieczór z nasyconym kolorytem, druga straszna i zarazem w zachwytyt wprawiająca burza wiosenna; pierwsza—spokojni bogowie olimpijscy, druga—tytany wdzierający się do nieba; pierwsza—pewna siebie i zadowolona, druga—pożądająca i tęskniąca w niepewnej trwodze; pierwsza—jasna i świadoma siebie w swjej skończoności, druga—wciąż do nieskończoności dążąca, w ciągłej tęsknocie, radości i boleści, w śmiertelnym smutku ku niebu wołająca; pierwsza—jasna czysta harmonia, druga—nadziemski dźwięk i szmer harfy eolskiej, wiecznie nieujęta, niewystłowiona, gdyż zawsze dla świadomości niedostępna, tajemniczy odgłos z dalekiej, dalekiej brzmiący ojczyzny; pierwsza—jasna świątynia, druga—wiecznie zakryte misterium. Rok nie przejdzie, w którymby w Europie z nieszczęśliwej miłości nie zdarzyło się mnóstwo samobójstw, wzajemnych zabójstw i wiele wypadków pomieszczenia zmysłów; ani jednego, jednakże nie znam zdarzenia, żeby kto w skutek doznania zawodu w przyjaźni zabił się lub rozum stracił. Ta okoliczność i znaczna ilość miłością złamanych istot (a zwłaszcza kobiet, choćby na kilka tygodni lub miesięcy tylko), dostatecznie dowodzą że w miłości nie mamy do czynienia z komedią, z romantyczną farsą, ale z najzupełniej realną potęgą, demonem, który wciąż nowych żąda ofiar.“ (Ph. d. U. str. 188). Czemżeż jest właściwie owa potęga? co jej celem? Nic innego w miłości widzicie niepodobna jak tylko objaw popędu płciowego, a w celu do którego dąży zaspokojenie tego instynktu. Wzajemna miłość tylko nie daje żadnego zaspokojenia. „I już nie jeden zabił się“ chociaż miłość jego odplacono wzajemnością, jeśli przekonał się o niemożności posiadania ukochanej istoty. Natomiast zaś, ileżto ofiar nie ponoszą ludzie, żeby tylko osiągnąć przedmiot swjej miłości, choćby i bez wzajemności! Wiadomo téż jak zaspokojenie namiętności miłość oziębła, i jak miejsce jej jeśli już nie obojętność, to w najlepszym razie chłodna przyjaźń zajmuje. Ze cel ten, zaspokojenie popędu płciowego miłości nie jest świadomym, jest jeszcze jeden dowód więcej, że miłość w gruncie rzeczy jest tylko instynktem. Gdyż, jak wiadomo, instynkt

jest wolą nieświadomą swego celu, lecz świadomą środków służących dla osiągnięcia jego ¹⁾. I takie to właśnie połączenie woli świadomej z wolą nieświadomą widzimy i w miłości. Powiedziano że celem miłości jest zaspokojenie popędu płciowego; lecz jakież jest cel popędu tego? Boć przecież nie dla tego istnieje, żeby istnieć. Również i nie dla tego żeby dostarczyć człowiekowi zadowolenie płciowe; gdyż zadowolenie to nietylko że można osiągnąć przez posiadanie pierwszego lepszego indywiduum, ale nawet bez pomocy drugiej osoby; nadto przyjemność, jaką dostarcza zadowolenie popędu płciowego nie stoi w żadnym stosunku ani do tej wymarzonej szczęśliwości, jaką się zakochany spodziewa znaleźć na łonie przedmiotu swej miłości, ani do tych ofiar, które gotów ponieść by tylko osiągnąć kochankę. Ponieważ popęd płciowy dla indywiduum nie może mieć innego znaczenia, jak tylko dostarczenie mu przyjemności, a to celem jego nie jest, przeto miłość nie ma na celu zaspokojenia indywidualnych potrzeb człowieka, lecz przeciwnie znaczenia owego instynktu miłości, bezwiednie wybierającego odpowiednie sobie indywidua, należy szukać w tych skutkach, które on w ogólném gospodarstwie natury wywołuje; a skutkami temi są utrzymanie gatunku ludzkiego, i te cielesne i duchowe zmiany w nim, które przez wybór płciowo łączących się indywiduów powstają. Jednym słowem „instynkt miłości stara się o uposażenie następującego pokolenia takimi przymiotami, któreby o ile możności najwięcej odpowiadały idei gatunku ludzkiego, szczęśliwość zaś o jakiejś zakochany marzy, jest tylko złudnym wabikiem (Köder), za pomocą którego *Zusada bezwiedna* (das Unbewusste), świadomy *Egoizm* oszukuje i do ofiar na korzyść następującego pokolenia zmusza” (Ph. d. U. str. 192). Przechodzimy do analizy ogólnych kierunków życia duchowego, i zaczynamy trzymając się porządku, w jakim te rzeczy są rozbiegane w Fil. zas. bezw. od uczucia.

Powszechnie przyjmują psychologowie trzy zasadnicze kierunki, w których się psychiczne życie objawia: myślenie, uczucie i wola. Filozofia zasady bezwiednej, podobnie jak w objawach uorganizowanej materji, tak też i w duchowém życiu, dwie tylko przyjmuje zasadnicze czynności: myślenie, będące tylko pewną kombinacją wyobrażeń i wolą; uczucie zaś nie jest zasadniczą czynnością duchową, lecz pochodną, polegającą na połączeniu wyobrażenia z pewnym stanem woli. Do poglądu takiego dochodzi Filozofia zasady bezwiednej w sposób następujący. Niéma uczucia, któreby nie odnosiło się do pewnego przedmiotu, czyto rzeczywiście zmysłowo dostrzeganego, czy też tylko w wyobrażeniu istniejącego; pierwsze są to uczucia zmysłowe, drugie duchowe. Od tego przedmiotu uczucia zależy jego właściwy koloryt. Wszakże takie połączenie dostrzegania zmysłowego, lub też wyobrażenia z uczuciem nie zawsze ma miejsce; przeci-

¹⁾ Cf. wyżej str. 335.

wnie, jakkolwiek uczucie samo nigdy w naszym duchowym życiu się nie zjawia, to zato dostrzeganie zmysłowe i wyobrażenia bardzo często powstają bez wszelkiej przymieszki uczucia; tylko przy pewnych warunkach łączy się z nimi przyjemność lub nieprzyjemność. Ten to właśnie psychiczny dodatek przyjemności i nieprzyjemności, przemienia dopiero obojętne przed tem dla nas dostrzeganie lub wyobrażenie, w taki stan duchowy, którego wartość dla nas bezpośrednio ujmujemy; czyli innemi słowy, tylko przez ten dodatek staje się wyobrażenie lub dostrzeganie *uczuciem*. Pytanie zatem zachodzi, czy ów koloryt uczucia, o którym wyżej wspomniano udziela się i owemu psychicznemu dodatkowi, przemieniającemu wyobrażenie i dostrzeganie zmysłowe w uczucie, czy też nie. Gdyby ten ostatni wypadek miał miejsce, toby należało przyjąć, że uczucie może być tylko uczuciem przyjemności lub nieprzyjemności, że innym jakościowym zmianom podlegać nie może, i że to co oprócz przyjemności lub nieprzyjemności zdaje się być jakością uczucia, nie jest wcale uczuciem, lecz owém dostrzeganiem lub wyobrażeniem, które z uczuciem się łączy. W samej rzeczy, podług Filozofii zasady bezwiednej, uczucie może być tylko przyjemnością lub nieprzyjemnością, a to z dwóch powodów: 1) między dwoma *pojedynczemi*, niezłożonymi uczuciami przyjemności lub nieprzyjemności żadnej jakościowej różnicy nie ma, choćby i te wrażenia zmysłowe, które je spowodowały zupełnie się od siebie różniły; np. uczucie przyjemności, jakiej doznajemy słysząc zupełnie czysty ton *C*, niczem się nie różni od przyjemności, jaką w nas obudza również czysty ton *D*; jeśli zatem pojedyncze uczucia przyjemności lub nieprzyjemności nie różnią się między sobą jakościowo, to i uczucia skomplikowane również jakościowych różnic nie mają. 2) Wszystkie uczucia przyjemności lub nieprzyjemności tak zmysłowe jak i umysłowe można między sobą porównywać, i na mocy tego porównania, jedno nad drugie przekładać. I tak np. jeśli za pewną summę pieniędzy możemy sobie dostarczyć różnych zmysłowych przyjemności, to rozważamy, którą z nich mamy wybrać, czy wypić butelkę wina, czy zjeść ciastek i lodów, czy też porcyą bifszytku i butelkę piwa; również można porównywać, co mniej będzie dolegać: czy np. znosić ból zębów przez cały dzień, czy też kazać sobie zbolały ząb natychmiast wyrwać? W zupełnie ten sam sposób dadzą się między sobą i umysłowe uczucia porównywać: jeden woli znosić upokorzenia, byle nie utracić łański tych, przy pomocy których może dojść do wysokich godności, inny przeciwnie; jeden woli stracić majątek, byle zadość uczynić swoim zobowiązaniom, inny przeciwnie i t. d. Ta możność porównywania różnych uczuć przyjemności lub nieprzyjemności między sobą dowodzi, że przyjemności i nieprzyjemności wszędzie są te same, gdyż tylko jakościowo identyczne rzeczy można porównywać; „wszak tylko równe równem da się mierzyć, a nie siano słomą, albo kwarty funtami“ (Ph. d. U. str. 203). Jakość zatem uczucia przyjemności i nieprzy-

jemności nie leży w samym uczuciu, lecz w towarzyszących mu dostrzeganiach zmysłowych i wyobrażeniach. Cóż więc jest owo uczucie przyjemności i nieprzyjemności? Dwa główne poglądy w tym względzie istnieją. Jedni utrzymują, że przyjemność jest zaspokojeniem pewnego aktu woli, a nieprzyjemność niezaspokojeniem. Podług drugich zaś nie wola jest pierwotnym stanem, lecz uczucie, i dopiero wyobrażenie przyszłej przyjemności lub nieprzyjemności ma wywoływać akt woli. Filozofia zasady bezwiednej odrzuca ten ostatni pogląd, z tego powodu, że istnieją akty woli bez poprzedniego wyobrażenia przyjemności i nieprzyjemności, jak to ma miejsce w instynktach i że wyobrażenie przyjemności lub nieprzyjemności nie objaśnia najważniejszej strony woli, a mianowicie tego, że ona jest ową siłą, sprawiającą wewnętrzne i zewnętrzne zmiany. Przeciwnie pogląd pierwszy, podług którego uczucie przyjemności jest zaspokojeniem pewnego aktu woli, nie tylko nie stoi w sprzeczności z faktem instynktu, ale nadto najzupełniej wyjaśnia nam najcharakterystyczniejszą cechę uczucia—jego bierność.

Przyjemność zatem i nieprzyjemność, owe jedyne dwie formy tego stanu psychicznego, który nazywamy uczuciem, nie są niczem innym, jak tylko dwoma objawami woli: przyjemność jest wolą zaspokojoną, nieprzyjemność, wolą niezaspokojoną. Z tego wypada, że „*gdzie nie jesteśmy świadomi aktu woli, któryby był przyczyną świadomej przyjemności lub nieprzyjemności, tam akt woli jest bezwiedny*“ (Ph. d. U. str. 205). Nie ulega wątpliwości, że po największej części akty woli, które są podstawą naszych uczuć, do świadomości naszej nie dochodzą, np. wszystkie uczucia zmysłowe w niczem nie zdradzają swego pochodzenia z woli, wszakże ponieważ, według poprzedniego rozbioru świata uorganizowanego, wszystkie funkcje organiczne są objawami woli, przeto niepodobna wątpić, że i te uczucia polegają na zaspokojeniu lub niezaspokojeniu woli, tém bardziej, że bardzo często nawet w tych wypadkach, w których nam się zdaje, iż świadomi jesteśmy naszej woli, z uczucia, które się potem w duszy naszej zrodziło, przekonywamy się, żeśmy zupełnie co innego pożąдали, jak to, cośmy sobie wyobrażali. „Często mianowicie zdaje się nam, że pożądamy tego, co uważamy za dobre i godne pochwały, np. żeby chory krewny, po którym mamy dziedziczyć, nie umarł albo żeby w wypadkach kollizji naszej indywidualnej korzyści z dobrem publicznem, ostatniemu oddano pierwszeństwo, albo żeby zobowiązanie, któremuśmy się poddali, pozostało w swej sile, albo żeby wymagania naszego rozumu, a nie skłonności i namiętności były zaspokojone“ (Ph. d. U. str. 206)—gdy tymczasem, z radości która nas opanowała, gdy nastąpiła decyzja wprost przeciwna naszym życzeniom, przekonywamy się, żeśmy zupełnie co innego pożąдали, jak to cośmy sobie wyobrażali; bo z każdą miałyby powstać uczucie przyjemności, jeśliby rzeczywiste nasze oczekiwania były zawiędzone? Streszczając to wszystko, co się tu o uczuciu powiedziało, widzimy, że podług Fil. zas. bezw. uczucie nie jest zasadniczą czynnością

psychiczną, lecz tylko komplikacją wyobrażenia i woli, i że znaczna sfera uczuć polega na bezwiednej woli, a więc i na bezwiednym wyobrażeniu, gdyż tylko ten akt woli jest świadomym, którego cel ujęty jest w wyobrażeniu świadomym. Dodawszy do tego, że żadne uczucie nie da się zupełnie ująć w świadome wyobrażenie, że mimo najściślej-szej analizy w każdym objawie uczucia, pozostaje zawsze pewna część jego niewystowiona, ciemna, i że właśnie ta jego strona nieujęta, stanowi właściwą treść uczucia, gdyż reszta jest tylko świadomym wyobrażeniem, dodawszy to, Fil. zas. bezw. wnosi ostatecznie, że i uczucie jest tylko produktem znanéj już *Zasady bezwiednej*. Pogląd ten znajduje poparcie w analizie myślenia i woli.

Że znaczna część czynności myślenia odbywa się bezwiednie, i że tylko rezultaty téj bezwiednej czynności dochodzą do naszej świadomości, to już od czasów Herbart'a za fakt uznano. Pamięć, przypomnienie, polegają na bezwiednym myśleniu naszej duszy; wszystkie kategorie metafizyczne są tylko świadomemi rezultatami bezwiednego myślenia. Ale Fil. zas. bezw. zakreśla bezwiednemu myśleniu daleko obszerniejsze granice. Zdaniem *Hartmanna* bowiem, zasada bezwiedna, nietylko bierze udział w *każdym* procesie świadomego myślenia, ale co ważniejsza, jest ona owym motorem, sprawiającym łączenie się świadomych wyobrażeń. Jeśli jedno wyobrażenie łączymy z drugim w celu poetycznej koncepcyi, lub téż w celu poznania, to cały ten proces asocjacyi wyobrażeń odbywa się bezwiednie, i tylko rezultat już gotowy dochodzi do naszej świadomości. Połączenie bowiem wyobrażeń nie dokonywa się nieumyślnie, przypadkowo, gdyż w takim razie o prawidłowym rozwoju myśli nie mogłoby być i mowy, lecz celowo, t. j. tak, jak wymaga tego zadanie, które w danej chwili mamy rozwiązać. Każde wyobrażenie stoi w związku z tysiącem innych; zkażdeż zatem pochodzi, że z całego tego materiału chroniącego się w bezwiednym państwie duszy, właśnie to wyobrażenie, albo przynajmniej ta grupa wyobrażeń, staje do dyspozycyi naszej świadomości, która najlepiej odpowiada potrzebom danej chwili. Oczywiście dokonywa się tu wybór. Sprzecznością byłoby wybór ten przypisywać świadomości. „Gdyby świadomość, mówi *Hartmann* (Ph. d. U. str. 234), wybór ten uskuteczniła, to musiałaby być w stanie, przy własnym świetle, ujrzyć to z czego wybiera, czego, jak wiadomo, uczynić nie może, gdyż tylko to wychyla się z naszej bezwiedności, co *już jest* wybrane. Jeśli by więc, świadomość wybierać *musiała*, toby przyszło się jęj macać w absolutnej ciemności, nie mogłaby zatem *wybierać celowo*, lecz tylko *chwycić* to, co jęj się *przypadkiem* nawinęło.“ Z tego wynika, że świadomy rozwój naszych myśli, nie jest bynajmniej aktem świadomości. Świadomość odgrywa tu tylko rolę spektatora przyglądającego się gotowemu już rezultatowi. Rezultat zatem, do jakiego Fil. zas. bezw. przez analizę myślenia, dochodzi, jest ten, że w *każdym* akcie świadomego myślenia, czynną jest bezwiedna psychiczna siła celowo działająca, a więc ta sama siła, która jest podstawą instynktu i wszystkich organicznych funkcji.

Co się tyczy ostatniego kierunku, w którym duchowe życie się objawia—woli, to takowa według Fil. zas. bezw., jest zawsze bezwiedną. Świadomość rekonstruuje tylko *wyobrażenie o woli* na podstawie pojęcia przyczynowości, nigdy zaś *bezpośrednio* nie ujmuje woli, jako psychicznego aktu. Jestto jedno z wielu psychologicznych złudzeń i to największe, że pożądanie bezpośrednio świadomości się ukazuje. Pogląd ten opiera się na dwóch faktach: 1. Wiadomo, że wszystkie, nawet samowolne ruchy naszego organizmu, odbywają się na podstawie praw mechanicznych organizmu; wola nasza może tylko dać impuls temu mechanizmowi, a wykonanie zamierzonego ruchu już nie jest jój dziełem. Czynności i udziału woli w wykonywaniu tych ruchów bezpośrednio wcale nie dostrzegamy; owo natężenie woli, owo wylanie się woli w członki, które w ruch wprawiamy, nie jest bynajmniej aktem woli, lecz aktem uczucia, powstającego w skutek cielesnych zmian, wywołanych ruchami naszego organizmu. Nie wolą zatem tu bezpośrednio dostrzegamy, lecz cielesne uczucia łączące się z każdym naszym ruchem. 2. Rzadko kto, rzeczywiście wie, czego chce. Tylko kto swój charakter dokładnie zna, to jest komu wszystkie w każdej chwili jego życia krzyżujące się pożądanía i ich natężenia są świadome, tylko ten może naprzód obliczyć jak wypadnie rezultat tój walki; to jest tylko ten rzeczywiście wie, czego chce. Ludzie, którzy tój świadomości nie mają, tak często myślą się co do rzeczywistego kierunku swój woli, że inni, prędkiej niż oni sami mogą odgadnąć, czego rzeczywiście pożądanía. Błędów takich człowiekby nie mógł popełniać, gdyby świadomość kierunku woli nie zapomocą rachunku i refleksyi poznawała, lecz bezpośrednio go dostrzegała; gdyż to co do świadomości bezpośrednio dochodzi, jak przyjemność, nieprzyjemność, wyobrażenie, nie podlega żadnym złudzeniom. Psychologiczne to złudzenie, że świadomość wolą bezpośrednio ujmuje, wywołują następujące okoliczności: 1. Wyobrażenie świadome, połączone z wolą i stanowiące treść jój, jest przyczyną, że świadomy stan jego przenosimy i na sam akt woli. 2. Uczucia towarzyszące każdemu processowi woli, lub też powstające po nim, mimowoli, jak to wykazano, bierzemy za sam akt woli. 3. Powstaje złudzenie bezpośrednio dostrzeganój woli przez to, że pewne nasze czynności odbywają się bez przyczyn zewnętrznych, wskutek czego, na podstawie pojęcia przyczynowości przypisujemy je woli. 4. Nareszcie, okoliczność, że między siłą uczucia przyjemności i nieprzyjemności a gwałtownością i trwaniem powstających ztąd ruchów, zachodzi pewien stały stosunek, wywołuje złudzenie, że nawet *natężenie* woli bezpośrednio nam jest świadome. „Jeśli z początku sądzimy, mówi *Hartmann* (str. 376 i nas.), że jesteśmy świadomi woli, to po dokładnej obserwacji łatwo przyjdziemy do przekonania, że mamy tylko *świadome wyobrażenie*: „*ja chce*“, a zarazem wyobrażenie, które stanowi treść naszój woli, i..... mimo najstaranniejszój analizy *nie* więcej w świadomości nie znajdziemy. Jedna jeszcze okoliczność godna jest uwagi, a mianowicie ta, że jeśli gniewamy się o to (a ka-

zdy to robi), że dotychczasowy nasz pogląd mamy porzucić, i jeśli mówimy sobie: „cóż u diabła, przecież mogę chcieć tego, czego chcę i kiedy chcę, i wiem, że mogę chcieć, i teraz np. chcę,“ to to, co uważamy za bezpośrednio dostrzeżoną wolę, nic innego nie jest, jak tylko *reflektoryczne cielesne uczucia* bez ściśle oznaczonej lokalizacji, a mianowicie uczucia uporu, albo tylko stałego zamiaru; w tym więc wypadku złudzenie świadomości woli powstaje w skutek uczuć towarzyszących jój.“ Ponieważ więc wola jest zawsze bezwiedną, rozwój zaś myśli naszych odbywa się bezwiednie lecz celowo, a uczucie nareszcie jest tylko kombinacją wyobrażenia i woli; przeto i cały świat życia duchowego jest, podobnie jak i świat życia cielesnego, tylko objawem jednej i tej samej *Zasady bezwiednej*. Zkądżeż jednakże pochodzi ta wielka różnica między jednym światem a drugim, i na czém właściwie polega?

Dwie rzeczy stanowią, według Fil. zas. bezw. ową zasadniczą cechę życia duchowego, tak wybitnie rozgraniczającą je od życia cielesnego: *świadomość i wyobrażenie niezależne od woli*. Pierwszą każdy zna; drugie zaś nie jest dla każdego zrozumiałe, gdyż pojęcie to po raz pierwszy zostało wprowadzone do filozofii przez *Hartmanna*, i dlatego należy je rozjaśnić.

Wola jest dążeniem do przemienienia pewnego istniejącego stanu w stan inny. W każdym zatem akcie woli, trzeba rozróżnić punkt wyjścia i cel jego. Pierwszy istnieje rzeczywiście, realnie, drugi zaś choć w akcie woli zawartym być *musi*, wszakże nie jest jeszcze rzeczywistym, istnieje więc tylko *idealnie*, to jest jako *wyobrażenie*. *Nie ma więc woli bez wyobrażenia*; wyobrażenie bowiem nadaje dopiero treść woli; bez takiej treści reprezentowanej przez wyobrażenie zawarte w woli, wola byłaby tylko ogólną formą dążenia, a więcby realnie istnieć nie mogła. Wyobrażenie przeciwnie może istnieć bez woli i właśnie w takim stanie swobodnym, istnieje wyobrażenie w świadomym życiu duchowym; gdy tymczasem w życiu cielesnym, jakto się wykazuje z tego co wyżej o uorganizowanej materii i instynktach powiedziano, wyobrażenia samodzielnie istniejącego nie ma; w tej dziedzinie wszechświata tylko takie wyobrażenia istnieją, jakich wymaga interes a więc wola jednostki albo gatunku. Dla ostatecznego zatem wyjaśnienia świadomego duchowego życia wypada wykazać jak powstaje świadomość i wskutek czego rozumowy czynnik (wyobrażenie) zasady bezwiednej odrywa się od woli i osiąga samodzielny byt?

Dwie te cechy świadomego duchowego życia: świadomość i niezależność wyobrażenia, stoją z sobą w najściślejszym związku: bez świadomości nie ma niezależnego wyobrażenia i na odwrót bez niezależności wyobrażenia, nie ma świadomości. Jeśli się do tego doda, że cały postęp w rozwoju istot organicznych i w historii, polega na rozszerzeniu i wzbogaceniu świadomości, że potęga świadomości tém bardziej rośnie, im bardziej słabnie panowanie afektu, a więc woli,

a natomiast wzmaga się siła świadomego rozumu (jednej z form wyobrażenia); że nadto, zbawienie świata, jak to się niżej wykaże, na wyswobodzeniu rozumu z więzów woli polega, co tylko możliwe jest w dziedzinie świadomego życia: to przyznać trzeba, że między świadomością i niezależnością wyobrażenia, nietylko ścisły związek ale identyczność zachodzi. „Świadomość jest w istocie, mówi *Hartmann*, (Ph. d. U. str. 366) oderwaniem się wyobrażenia od jego macierzystego gruntu, woli, w celu własnego urzeczywistnienia, i opozycya woli przeciwko tej emancypacyi“. Zkąd zatem powstaje owo rozszczepienie się bezwiednej zasady, iż jeden z jej czynników: wyobrażenie staje się niezależną potęgą? Ani wola, ani wyobrażenie nie mogą być przyczyną tego zjawiska, gdyż wola nie zna innego wyobrażenia, jak to, którego jej interes wymaga, wyobrażenie zaś jako zupełnie pozbawione wszelkiego dążenia, jako absolutnie obojętne, nie może mieć samo przez się żadnego powodu do zmienienia swego stanu niewoli, jaki jest jej udziałem w bezwiedności, w stan swobody, niezależności. Zewnętrzne zatem tylko pobudki mogą wywołać wyswobodzenie się wyobrażenia z więzów woli, to jest świadomość. Nie może ulegać wątpliwości, że tym warunkiem *sine qua non* świadomości jest mózg lub zastępujące go w zwierzętach niższych rzędów zwoje. Dowodzą tego następujące fakta: 1. Wszelkie uszkodzenia mózgu odzywają się szkodliwie w świadomym duchowym życiu; 2. nie znamy żadnych objawów świadomości, po za funkcjonowaniem mózgu; 3. świadome myślenie podobnie wzmacnia mózg, jak inne funkcje właściwe sobie organy; 4. im bardziej rozwinięty jest mózg, tém téż i wyższe jest duchowe uzdolnienie stworzenia; podczas gdy cielesne funkcje wszystkie zwierzęta z równą doskonałością, odbywają bez względu na to, czy są rozumne czy też głupie; 5. doświadczenia *Flourens'a* wykazały, że mózg nie ma bezpośredniego znaczenia dla funkcji organicznych. Ze względu więc na cztery pierwsze fakta, przyjąć należy, że mózg służy dla celów świadomego duchowego życia. Jeśli więc z jednej strony dla powstania świadomości nieodzowne są funkcje materialne, a z drugiej analiza świadomego duchowego życia wykazała zasadnicze dla niego znaczenie *Zasady bezwiednej*, to widocznem jest że świadomość powstaje z *Zasady bezwiednej*, wskutek oddziaływania na nią czynności materialnych. Skombinowawszy więc to, co się tu o znaczeniu funkcji materialnych dla powstania świadomości powiedziało, z wyżej podanem określeniem istoty świadomości, przychodzi się do wniosku, iż temu co subiektywnie jako świadomość się przedstawia, obiektywnie następujący proces odpowiada: przed powstaniem świadomości w *Zasadzie bezwiednej* nie ma innego wyobrażenia, jak to, którego chce jej wola, w tém uorganizowana materya narzuca jej nowe wyobrażenie, wyobrażenie jej obce, albowiem takie, które nie jest treścią jej woli; „*Zasada bezwiedna*, mówi *Hartmann*, (Ph. d. U. str. 367) dziwi się temu niezwykłemu zdarzeniu, że istnieje wyobrażenie,

którego ona nie chciała“. Ztąd wola zasady bezwiednej staje w opozycji z narzuconém jej wyobrażeniem i „neguje“ je. „Każdy zatem proces powstawania świadomości, mówi dalej *Hartmann* (Ph. d. U. str. 367 i nn.), jest *eo ipso* z pewną nieprzyjemnością połączony; jest to gniew zasady bezwiednej na tego natręta, na owo wyobrażenie, które musi znosić, i które nie może usunąć; jest to gorzkie lekarstwo, bez którego wyzdrowieć nie można, tylko lekarstwo to połykamy w tak małych dozach, że goryczy jego nie czujemy“.

Filozofia zasady bezwiednej teorią swą powstania świadomości stara się stwierdzić, wykazaniem zgodności konsekwencji jej z doświadczeniem. Pierwsza konsekwencja teorii tej tyczy się woli. I tak, ponieważ żaden akt woli sam z sobą w sprzeczności stać nie może, sam siebie nie może negować, zatem każdy akt woli musi być bezwiednym; wyżej przytoczona analiza woli wykazała prawdziwość tego wniosku. Dalej z teorii tej wynika, że tylko uczucie nieprzyjemności jest bezpośrednio nam świadome, ponieważ polega na niezaspokojeniu woli; uczucie przyjemności zaś jako polegające na zadosyćczynieniu dążności woli, nie może bezpośrednio dojść do naszej świadomości. Doświadczenie stwierdza ten wniosek: dzieci, których zakres świadomego życia jest bardzo mały, dają tylko oznaki bólu, i dopiero po dość długim przeciągu czasu, to jest gdy już mają świadomą znajomość tych zewnętrznych okoliczności, które stają na zawadzie zaspokojeniu ich woli, okazują oznaki radości; do świadomości zatem przyjemności dochodzą nie bezpośrednio, lecz za pomocą porównania. Potwierdza się to również na dorosłych i dzieciach, których wszelkie zachcianki natychmiast bywają zaspokojone. Jednym i drugim, jak wiadomo z doświadczenia, nic nie sprawia zadowolenia, jak skoro tylko doszli do przekonania, że wszystko w ich życiu tak być musi, jak się im zachce. Nareszcie z teorii świadomości Filozofii zasady bezwiednej wynika, że świadomość nie może się stopniować, że jest tylko albo nie jest, nie może być zaś słabszą albo silniejszą, albowiem i negacja nie podlega żadnemu stopniowaniu. Jeśli zaś w wielu razach wydaje nam się, że mamy większą lub mniejszą świadomość, to powstaje złąd, że w wypadkach tych, błędnie uwagę bierzemy za świadomość. Uwaga polega na innewraci nerwów naszych, wychodzącej z ich centrów, wskutek czego zmysły nasze przejmują *więcej treści* ze świata zewnętrznego niż w stanie normalnym; rozmaite zatem stopnie świadomości w istocie odnoszą się tylko do *treści* świadomości, a nie do jej *natężenia*. Tak więc ostatecznie Filozofia zasady bezwiednej sprowadza życie duchowe podobnie jak i cielesne do jednej i tej samej *Zasady bezwiednej* (das Unbewusste). Wszakże jak w świecie duchowym wszystkie objawy świadome są rezultatem dwóch czynników: *Zasady bezwiednej* i *materii*, tak i w świecie cielesnym *Zasada bezwiedna* tylko organizuje *materję* i reguluje funkcje organiczne. W jednym i w drugim świe-

cie więc mamy do czynienia nie tylko z „wyobrażeniem i wolą“, ale i z *materyą*. Zachodzi zatem pytanie, czy materya jest samodzielnym pierwiastkiem w świecie, czy też również objawem *Zasady bezwiednej* (wyobrażenia i woli).

(Dokończenie nastąpi).

MARCIN KROMER.

PRZEZ

Cypryana Walewskiego.

ŹRÓDŁA.

Historyk nasz Kromer jeszcze nie doczekał się swego pisarza, któryby nam skrzętnie zobrawszy szczegóły jego żywota i zasług dla kraju położonych, skreślił odpowiednią tymże biografię. Wprawdzie rzecz to nie łatwa. Kromer przedstawia się nam bowiem jakby w trzech osobach, to jest: jako duchowny, jako polityk i jako pisarz dzieł teologicznych i historycznych. To wszystko, chcąc razem streścić i w właściwem przedstawić świetle, należy zbadać wszelkie źródła, ku temu służyć mogące, i do jednych z nich nie tylko przystęp niepodobny, a o wielu jeszcze dokładnych nie mamy wiadomości.

Wysoka należy się wdzięczność zmarłemu niedawno ks. Antoniemu Eichhornowi ¹⁾ kanonikowi katedry warmińskiej, pierwszy bowiem, co skreślił osobny żywot zasłużonego biskupa. Posługując się bogatemi zbiorami, jakie posiada kapituła warmińska w Frauenburgu, podług nich starał się opisać nam żywot Marcina Kromera biskupa i takowy wydał p. t: *Der ermländische Bischof Martin Kromer als Schriftsteller, Staatsmann und Kirchenfürst. Braunsberg 1868, w 8-cc 4 k. wiel. i 470 stron* ²⁾.

Dzieło jego wzięwszy za podstawę do naszej pracy, staraliśmy się ją dopełnić z kądymad znanymi źródłami polskimi, a które ks. Eichhorn w swęj pracy zupełnie pomiął, i utworzyć pewną jednolitą całość wyświetlającą dokładniej obraz naszego historyka. Przebiegnijmy najprzód pokrótce źródła, z jakich Eichhorn korzystał, przyjął on w swęj pracy za zasadę oprzeć się głównie na społecznych źródłach. Kromer jednak nie znalazł dla siebie społecznego biografu. Zamyslał wprawdzie ks. Stanisław Reszka opat jędrzejowski napisać żywot Kromera, w ożem miał mu dopomóc ks. Tomasz Płaza; lecz dla niewiadomych nam powodów, spełzło to na niczém. Pobieżne więc tylko doszły nas

¹⁾ Umarł dnia 27 lutego 1869 roku.

²⁾ Uwagi nad tęp dziełem napisał Ludwik Powidaj i umieścił w *Prze-gładzie polskim*. Kraków 1869 r. tom III str. 124, 308 i 413.

rysy charakteru Kromera skreślone przez Jana Kreczmera, Tomasza Tretera i Jana Leona.

Jan Kreczmer będąc od 1573 roku przez lat 16 nieodstępnym towarzyszem Kromera w zarządzie dyecezyi, najdokładniejszą mógłbył nam zostawić wiadomość o sprawach biskupa. Kreczmer kresząc w języku niemieckim dzieje Warmii, dotknął w nich rządów Kromera, mieszcząc w nader szczupłych ramkach i żywot jego. Dzieło to Kreczmera Tomasz Treter przełożył na język łaciński i pozostawił w rękopisie p. t: *Liber de Episcopatu et episcopis ecclesiae Varmiensis*, i takowe ukończył już w roku 1594. W przedmowie do swego dzieła wyraźnie mówi, że przyjaciel jego Jan Kreczmer udzielił mu swego rękopisu niemieckiego, a uznawszy za dokładny opis dziejów biskupstwa Warmińskiego, nie ośmiał już szperać po archiwach, tylko przełożył dzieło Kreczmera na język łaciński, barwiąc go więcej wyszukanemi wyrażeniami. Przedmowa ta podpisana dnia 1 maja 1595 roku. Krótki ten życiorys biskupa w zupełności zasługuje na wiarę. Obszerniejszy zaś życiorys umieszczony w drukowanem dziele Tretera od str. 115 do 121 jest pióra Macieja z Lubomierza Tretera, i czytać już go należy z pewną oględnością.

Jan Leon w napisanej przez siebie *Historii Prus* podał i krótki życiorys Kromera, zasługujący również na wiarogodność, jako społeczny i ułożony podług naocznych spostrzeżeń i dokładnych źródeł. W przedmowie do swjej *historii* mówi Leon, że napisał ją podczas pobytu swego przez lat trzy w Polsce i zastawiwszy ją w Archiwum kapituły, takową dopiero kanonicy Gutsztadcy drukiem ogłosili w Brunsberdze 1725 roku.

Najbogatszym źródłem do żywota Kromera są listy częścią przez niego samego, a częścią do niego pisane. Jedne z nich są drukowane, drugie niedrukowane oczekują na swego nakładcę. Listy drukowane są dotąd w małej liczbie, jednak bardzo ważne:

a). Ks. Stanisław Karnkowski wówczas biskup Kujawski wydał zbiór listów p. t: *Epistolae Illustrum virorum in tres libros digestae Cracoviae A. 1578. w 4-ce 47 arkuszy.*

Jest tu 16 listów Kromera pisanych do ks. Karnkowskiego (lib. I epist. 59—74) i 3 listy Karnkowskiego do Kromera (lib. III epist. 66—68).

b). Stanisław Reszka w wpodanym przez siebie zbiorze listów p. t: *St. Rescii epistolarum liber unus. Neapoli 1594 r. 8-o*, umieścił dwa swoje listy pisane do Kromera (epist. 5 i 21).

c). W dziele Ernesta Sal. Cypriana *tabularium ecclesiae Romanae saeculi XVI. Francof. et Lipsiae 1743 r. 4-ce*, znajdują się dwa listy Kromera, a 4 listy do Kromera pisane (Part. III p. 554—58, 576—78 i 580—82), jest mowa i w innych listach o Kromerze.

d). W ciekawym zbiorze wydanym przez O. Lagomarsini jezuitę p. t: *Julii Pogiani Senensis epistolae et orationes Romae 1756—62, w 4-ce, 4 tomy*, znajduje się 26 listów kardynała Ottona Truchacessa pisanych do Kromera i Hozjusza.

e). Niektóre z jego listów są i po jego dziełach rozrzucone. Na przykładzie w *Polonia edit. Colon. 1589 fol.* są dwa listy przypisane do Stefana I i do Zygmunta Augusta. Jeden list Robertolla do Kromera. Przed *oratio fune-*

bris (str. 459) list Kromera do Zygmunta Augusta 1548 roku pisany i dalej od str. 618 do 627, jest list tegoż do króla i Stanów Rzeczypospolitej. W jego Monachus (ed. Colon. 1568) jest list Piusa IV-go Papieża do Kromera 1565 r. pisany, i list tegoż przypisany z r. 1566 do Piusa IV-go, a na końcu list jego pisany w roku 1568 do swego brata Mikołaja.

f). Trzy listy Kromera pisane do Alberta Bolognietus Nuncjusza Apostolskiego, jeden w kwietniu 1582 r. a dwa w grudniu 1583 roku, znajdują się w Theinera Annales ecclesiastici Romae 1856 folio. T. III us. p. 343 i 422.

g). Wyciągi z niektórych listów Kromera znajdujących się w archiwum króla szwedzkiego porobił Dr. Prowe i takowe zamieścił w swych: Mittheilungen aus den Schwedischen Archiven. Berlin 1853. w 8-ce str. 28 i 9. Prócz tego nadmienia i o innych Kromera listach przechowywanych po szwedzkich archiwach, które pozabierali Szwedzi za Gustawa Adolfa po różnych miejscach i mówi o nich tamże str. 31, 34, 51, 57 i 8.

h). List polski Kromera do Zygmunta Augusta, pisany dnia 19 grudnia bez roku (około 1560 r.) z Wiednia podczas poselstwa swego do cesarza Ferdynanda, umieszczony w Przyjacielu ludu, Łesno roku 4-go str. 277 i 8.

i). W Zbiorze Pamiętników wydanych przez Platera, Warszawa 1858 r. w 8-ce w T. I-ym od str. 195 do 213 znajdują się 4 listy Kromera pisane w roku 1562 i 3 do Zygmunta Augusta króla.

k). List Kromera pisany dnia 3 października 1573 roku, stanowiący odpowiedź na poselstwo Stanisława Głuchowskiego od Iohnciów Panów Rad i innych Stanów ziem Pruskich w Grudziądzu na Sejmie zebranych, jest umieszczony w Dzienniku Wileńskim r. 1815. T. II str. 10—16. Także ciekawe są listy różnych osób, osobliwie ks. Tomasza Płazy plebana krakowskiego pisane do Kromera, i umieszczone tamże rok 1816 i 1817 w tomie III do VI-go włącznie.

l). Ambroży Grabowski w swych Starożytnościach historycznych Polskich, Kraków 1840 roku, druk J. Czecha w 8-ce, w tomie drugim pomieścił krótkie wyciągi z 10-ciu listów Kromera do Hozyusza pisanych, także 16 listów ks. Tomasza Płazy proboszcza parafii Ś-go Szczepana w Krakowie do Kromera pisanych, i 3 listy różnych osob również do Kromera pisanych. Wszystkie mieszczą w sobie niektóre szczegóły do życia Kromera.

m). List Kromera pisany z Bononii 1539 r. do Jana Dantyszka biskupa, wydrukował Wiśniewski Hist. lit. pol. T. VII str. 386 i 7.

Ciekawe bardzo do życiorysu Kromera jest dziełko p. t.: Sprawa z poselstwa Marcina Kromera do Ferdynanda cesarza w latach 1558 do 1563 przez Aleksandra Batowskiego (wyjątek z Dziennika literackiego z dodaniem pism polskich), we Lwowie w drukarni Zakładu narod. im. Ossolińskich 1853. w 8-ce 59 str.

Niedrukowane listy. a). W archiwum biskupim w Frauenburgu znajduje się około 4000 listów oryginalnych Kromera i do niego pisanych. Wszystkie porządkiem lat ułożone, policzbowane i zeszyte. Oryginalne są w zeszytach D. 2, 6, 9, 10, 12, 19, 22, do 39, 62—64, 66, 71—76, 87, 101, 103, 107, 113, 115, 116, 120, 122—24, 126, i H. 17, str. 132. Odpisy około 150 listów do Kromera są w D. 121. Niektóre z nich, osobliwie

listy pasterskie są w Jana Nepomucena Augustyna Katenbringka proboszcza w Roggenhausen *Miscellanea Warmiensia* tomy dwa in folio. Rękopis.

b). Zaś w archiwum kapituły w Frauenburgu listy oryginalne pisane do Kromera są w Zeszytach Ab. 2, 4, 5, w Zeszycie Ab 3 są listy Stanisława Reszki do Suchorzewskiego, w których jest wiele szczegółów o Kromerze. W témże archiwum jest jeszcze foliant obejmujący 170 str. p. t: *Litterae variae regiae* i umieszczony pod Ab. la. W nim są odpisy wielu listów odnoszących się do poselstwa Kromera na dworze cesarskim poczynając od marca 1558, do maja 1562 roku. Szkoda tylko że ten ciekawy foliant jest zniszczony od początku i końca, gdyż mógłby stanowić najdokładniejszy obraz poselstwa Kromera do cesarza Ferdynanda I-go i niewątpliwie byłby wiarogodnym źródłem.

c). W tajnym Królewieckim archiwum w Schiebl. A. Nr. 402, znajduje się około 100 listów Kromera pisanych po większej części do kapituły Warmińskiej i dotyczących się spraw zarządu; prócz tego wiele jest jeszcze listów Kromera pisanych do Margrabiego Alberta Fryderyka i do innych osób.

Znaczna jest także liczba dokumentów wydanych za zarządu diecezji przez Kromera, w archiwum kapitulnym w Frauenburgu starannie ułożone w alfabetycznie poznaczonych szufladach. Przywileje także zawierają w sobie wiele szczegółów, lecz oryginały ich znajdują się w rękach tych, co je otrzymali; jednak po większej części są one wciągnięte do starój księgi przywilejów, przechowywanój w archiwum biskupiem oznaczonej C. III. Tu także należą wizyty diecezji od 1572—1581 roku, akta kapituły od 1533 roku i akta processu od 1575 do 1577 r. znajdujące się w archiwach kapituły i biskupiem.

d). Listy Kromera pisane w imieniu Zygmunta Augusta króla, kiedy był jego sekretarzem, wraz z listami kardynała Hozjusza, razem w jeden tom zebrane, znajdowały się niegdyś w księżnicy Załuskich, przytém był list Kromera pisany do Jana Kostki kasztelana gdańskiego, o cém wspominają Janociana T. III str. XXXIX.

e). Listy ks. Tomasza Płazy oryginalne, pisane do ks. Kromera po polsku, mianowicie od 1569 do 1577 roku, znajdują się w archiwum biskupiem we Frauenburgu D. 32 folio kart 163. Wiadomo bowiem, że przez lat dwadzieścia pisywali do siebie nawzajem listy ks. Płaza z Kromerem i korespondencya ta stanowiła dwa grube tomy w rękopisie zebrane przez ks. Albertrando, a niektóre z niój wypisy pomieścił Żukowski w *Dzienniku Wileńskim* 1816 i 1817 roku.

f). Cztery listy Kromera, z tych dwa pisane do króla Zygmunta Augusta, jeden pisany z Pragi Czeskiej dnia 30 stycznia 1562 r.; drugi dnia 12 lutego 1572 roku, trzeci do Krasińskiego podkancl. kor. dnia 2 czerwca 1571 r., czwarty niewiadomój daty, znajdują się w księgozbiornie pozostałym po znanym historyku Michale Balińskim w Jaszunach pod Wilnem, tak wspomina Kondratowicz w dziele *Polska Kromera* ksiąg 2. Wilno 1853 r. na str. XXXII i XXXV.

g). W bibliotece Osolińskich we Lwowie mają się znajdować następane rękopisma: a): *Martini Cromeri juris utr. Dr. Visliciensis et Varmiensis Canonici occasione legationis ad imperatorem Romanorum diversae litterae ex originalibus bibliothecae Castri Heilsberg Ign. Krasioki Ep. Warmiens, transump-*

tae A. 1780. Mowa tu o sukcesyji po Bonie, listy o pożyczenie pieniędzy w Augsburgu i sprawy świeżo wszczęte przez Zygmunta Augusta względem objęcia Inflant i handlu ze Szlązkiem. Listy idą od 1555 do 1560 r. b). Summa relacyi ks. Marcina Kromera koadjutora warmińskiego i J. Dym. Solikowskiego posłów Jego Król. Mości na jednanie króla duńskiego i szwedzkiego posłanych do Szczecina przed królem w Warszawie dnia 12 stycznia sprawowana folio 12 kart. c). Acta legationis M. Cromeri 1558—1562 roku. Zawierają ważne wiadomości odnoszące się do sprawy o spadek po królowej Bonie i stosunki z domem Rakuskim, których treść ogłosił drukiem A. Batowski w Lwowie 1853 roku w 8-ce.

I.

Potomek mało znanéj rodziny mieszczańskéj w Bieczu pozostałby również w zapomnieniu, gdyby własne jego zdolności i zasługi nie postawiły go na tak wysokim stopniu. W zakrystyi starożytnego kościoła farnego w Bieczu jest portret naszego biskupa, a w samym kościele podługowata bronzowa tablica wystawiona 1557 r. przez Kromera dla swojéj rodziny. Z niéj wyczytujemy, że dziadowi Marcina było na imię Bartłomiej, babce Anna z Binarowy ¹⁾, ojcu Grzegórz i matce Agnieszka Czermneńska herbu Jastrzębiec ²⁾. Urodzony 1512 r. w miasteczku Bieczu nad rzeczką Ropą położoném, wówczas do dyecezyi krakowskiéj należącém ³⁾. Dzień jego urodzenia dotąd niewiadomy. Z pięciorga rodzeństwa Marcin był najstarszy, po nim szedł Jędrzej, który z wielkim żalem całej rodziny zbyt młodo umarł. Mikołaj, który był także księdzem, siostra Natalia zamężna z Janem Aurifaber mieszczańinem Bieckim, także młodo zmarła, i Bartłomiej, który jak się zdaje, objął cały majątek po rodzicach. Syn jego Sebastian po ukończeniu nauk w Rzymie został także kanonikiem frauenburskim i umarł 1605 r.

Początkowe nauki Marcin pobierał w szkółce kościoła farnego w Bieczu i mając lat 16, dobrze już będąc usposobiony, zapisany został między uczniów akademii krakowskiéj. Tu kształcąc się pod słynnym naówczas professorem Janem z Kazimierza, tak znakomicie wydoskonalił się w językach starożytnych, iż już w 3-im kwartale 1530 r. otrzymał stopień *bakalarza nauk wyzwolonych i filozofii* ⁴⁾

¹⁾ Była szlachcianka herbu Osmoróg.

²⁾ Kromer Polonia lib. I p. 498.

³⁾ Niegdyś należało do stołu biskupów krakowskich, leoz za udział biskupa Muskaty w spisku wójta Alberta przeciwko Władysławowi Łokietkowi zostało na skarb zabrane.

⁴⁾ Obacz Muczkowski. Statuta promotionum str. 183.

i niedługo potem wydał swój przekład z greckiego na język łaciński ksiąg Arystotelesa *o młodości i starości*. Częścią z własnego popędu, częścią za pośrednictwem przyjaciół wyjednał sobie względy u Jana Chojeńskiego podkanclerzego kor. i zarazem biskupa przemyskiego, któremu i swój przekład ofiarował.

Chojeński szczególnie wielbiciel zdolnej młodzieży i prawdziwy mecenas uczonych, chętnie przygarnął go do siebie, a odgadłszy w nim wielkie zdolności pomieścił go w kancelaryi królewskiej. Tu obznajmiając się z biegiem spraw publicznych, w wolnych chwilach oddawał się nauce dla gruntowniejszego obznajmienia się z literaturą klasyczną. Najzawołani wówczas dyplomaci i statyści rozpoczęli zwykle swój zawód od jakichś drobnych prac literackich i z niejakiem już znaczeniem przynosili się w świat polityczny. Utwory też jego poetyczne, jako zbyt małej wartości poszły w zapomnienie i znajdzie je czytelnik wymienione w Spisie bibliograficznym. Już w roku 1533 Zygmunta I król wziął go z sobą do Wilna i niebawem przydzielił do dworu koronowanego już wtedy Zygmunta Augusta na króla polskiego. Jak długo bawił w Wilnie trudno oznaczyć, jednak bawił tamże w marcu i października 1536 r., o czém się przekonywamy z podpisania przedmowy do pism swoich nr. 7 i 8. Wówczas władze państwa używały języka łacińskiego zamiast polskiego do pism urzędowych i korespondencji, ubiegając się ile możności o wytworność klasycznych wyrażen, do czego wcale nie usposabiały wykładane humaniora w Uniwersytecie Krakowskim. Wszystka więc znakomitsza i zdolniejsza młodzież wybiegała do Włoch i Niemiec dla biegłego wydoskonalenia się w naukach, a wzbogacona nauką i doświadczeniem, częstokroć z obfitym powracała zasobem swych wiadomości. Tak samo przemysliwał i Kromer, tém bardziej czując, że mieszczańskie jego urodzenie zatamuje mu drogę do wyższych dostojenstw, a z pozyskaniem stopnia Dra. kanonów kościelnych zastąpi mu dyplom szlachecki i otworzy wstęp do każdej kapituły. Hojnego znalazł dla siebie dobroczyńcę w osobie biskupa Chojeńskiego, który wysłał go swoim kosztem do Włoch i Niemiec. Znajdując się 1538 r. na uniwersytecie bolońskim słuchał wykładu prawa cywilnego i kościelnego; tu otrzymał nader smutną dla siebie wiadomość o śmierci ks. Chojeńskiego. Ciężko zmartwiony tak stratą swego opiekuna, jak i koniecznością przerwania dalszych swych nauk, nie porzucił jednak swych studyów i wkrótce zdołał otrzymać stopień Dra. obojga prawa. Poczém mimo chęci z żałością w sercu wracać musiał w strony rodzinne. Ze śmiercią najlepszego swego dobroczyńcy nie spodziewał się wcale znaleźć podobnego temuż. Obrawszy sobie stan duchowny i po dopełnieniu zwykłych święceń umyślił zbliżyć się do pasterza swój diecezji. Wówczas katedrę krakowską zajmował Piotr Gamrat podejrzanego pochodzenia, chociaż pieczętował się herbem Sulimą. Umiął sobie pozyskać wysokie łaski królowej Bony, która w krótkim bowiem czasie przenosząc go z biskup-

stwa na biskupstwo, zrobiła go po śmierci ks. Chojęńskiego biskupem krakowskim.

Gamrat mimo swój przebiegłości i zbytniego uniżania się, był to mąż wysoko wykształcony, uprzejmy, chętny i wiele mogący dla swych wpływów jakie u królowej Bony posiadał. Jemu to przedstawił się Kromer, odkrył mu swe zawiedzione nadzieje jakie przez śmierć ks. Chojęńskiego utracił, dopraszając się o radę i ojcowską opiekę. Gamrat już uprzedzony o wielkich zdolnościach młodego Kromera, mile go przyjął i zapewnił, że wstępując w ślady poprzednika, szczerze zajmie się jego losem w sposób mu odpowiedni. Na wstępie mianował go Gamrat swoim sekretarzem.

Gamrat po śmierci ks. Latańskiego (1540 r.) zostaje arcybiskupem gnieźnieńskim i jednocześnie zarządza dwiema dyecezyami. Jako prymas najwyższą posiadał godność po królu, co nieraz i dla samego Kromera okazało się z wielką korzyścią. Wkrótce bogatą pozyskał prebendę w dyecezyi krakowskiej, z której dochody zapewniały mu dostatnie utrzymanie. Już 1542 r. otrzymał probostwo w rodzinném swém mieście Bieczu i prawie jednocześnie został kanonikiem krakowskim. Przypnać należy, że Kromer tak się umiał zastugiwać Gamratowi, iż ten niemal przy każdej danej sposobności nagradzał jego zasługi. Prymas zmuszony do zwołania synodu prowincjonalnego dla zapobieżenia rozszerzającym się nowościom religijnym, również dla zastąpienia praw i przepisów kościoła od wszelkich nadużyć, zagnienia do surowszego wypełniania dawniejszych ustaw synodalnych i zarządzenia grożącemu od Turków napadowi, naznaczył dzień 17 kwietnia 1542 r. na odprawienie synodu w Piotrkowie. Zjechali się nań biskupi, opaci, prowincyały i po dwóch delegatów z każdej kapituły. Przybył i sam prymas, a z nim i Kromer, który zaledwie mając lat 30 mianowany został kaznodzieją synodalnym. Nader to było trudne dlań zadanie, należało bowiem zdobyć się na wiele odwagi i zarozumienia o sobie, aby w obec tylu świątłych mężów ze stanu duchownego chcieć publicznie miewać kazania. Jednak Kromer nie zawiódł oczekiwania prymasa, mówił o godności kapłana z taką swobodą, zręcznością i zapałem, i tak nadspodziane wywarł na słuchaczach wrażenie, że jednogłośnie uznali w nim wysokie zdolności dobrego kaznodziei. Następnie prymas przeznaczył go do odprawiania missyi, na których nietylko znakomite odnosił korzyści dla swego wykształcenia się, lecz zarazem ułatwiał mu się przystęp do najznakomitszych domów. Kromer nie ustawał jednak w pracy i jednocześnie zajmował się przekładem mów Ś. Jana Chryzostoma, które pojedynczo wydawał.

Gamrat zostawszy (1540 r.) arcybiskupem gnieźnieńskim za zezwoleniem papieża Pawła III-o i na prośby króla, zatrzymał sobie również i zarząd dyecezyi krakowskiej przez rok jeden. Następnie dnia 28 maja 1541 r. przedłużył mu papież na rok drugi. Na szczególne zaś prośby królowej Bony i jej syna Zygmunta Augusta nadeszło

przedłużenie i na rok trzeci ¹⁾. Po upływie tego czasu nie zaniedbał Gamrat starać się o nowy indult papieski, chcąc do śmierci zatrzymać przy sobie zarząd dyecezyi krakowskiej. W lecie 1543 r. wysłał Gamrat Kromera jako swego sekretarza do Rzymu, opatrzywszy go w listy od królewicza i królowej Bony, która przy tój sposobności przesała nader bogate dla papieża podarunki. Kromer jednak przywiózł tylko dla prymasa prolongatę na następne trzy lata. Z czego niezadowolniony musiał znowu Kromer na rozkaz królewski jechać w marcu 1544 r. do Rzymu dla wyjednania indultu na dożywocie. W jaki sposób przedstawiał Kromer potrzebę utrzymania Gamrata na obudwóch stolicach biskupich dotąd nie odkryto. Jedyna bowiem zasługa z doprowadzenia do skutku synodu piotrkowskiego byłaby mało znaczącą. Domyślać się należy, że wysłannik więcej postrachem wymógł na papieżu przedstawiając jakieby złe skutki wpłynęły w obecnej chwiejniści umysłów na losy kościoła w Polsce, gdyby Gamrat uczuł się obrażonym. Przychylenie się zaś do jego prośby nie tylko zapobieży złemu, lecz zachęci prymasa do większej gorliwości w służbie kościoła i do zupełnej dla Ojca Św. uległości. Powrócił więc Kromer z żądanym indultem ²⁾.

Przy tych wszystkich zajęciach, o ile mu tylko czasu zostawało z całą zarliwością oddawał się pracom teologicznym aby w razie potrzeby godnie stawić czoło w obronie kościoła. Jak w Niemczech tak i w Polsce świeżo powstające nowinki religijne poczęły zajmować umysły wszystkich. Z jednej strony katolicy obstając z zapałem i z przekonaniem przy dawniej wierze swych ojców zastaniali swe kościoły od napaści dyssydentów, z drugiej zaś strony reformiści usiłowali mową i czynem zachwiać jój zasady. Środki jakich używali, były częstokroć tak podstępne, że niebaczni łatwo w nie popadali. Zręcznie i napozór zasadniczo umieli wykrzywiać wiarę katolicką niczego nie szczędząc i rzucając się na jój świętość. Dla ohydzenia zaś księży, wyszydzała ich błędy i przewinienia, przedstawiali ich jako ciemnoczów ludu, oświadczając się sami, że chcą zrzucić to hańiebne jarzmo i wprowadzić powszechną wolność religijną. Nowość ta otoczona blaskiem i zapałem jaki się wszędzie objawiał, rozbudzała gorącą wymowę przez opowiadaczy nowej wiary, tak silnie podziałała na umysły wielu, że oszołomieni chwilowo przyglęni do niej nie mając nawet czasu na gruntowne poznanie nowych zasad, tylko wprost bez rozważenia szli za drugimi. Na razie spostrzegłszy Kromer taki upadek kościoła, postanowił otworzyć oczy zbłąkanym, odkrywając fałszywość zasad jakich się chwycili i naprowadzić ich wczesniej na prawą drogę nim nie zabrną głębiej. Lecz jakżeż tego dokazać? Temi samemi walczyć środkami jakich używali przeciw-

¹⁾ Theiner Vet. Monum. Pol. T. II str. 535—545.

²⁾ Theiner tamże.

nicy, uważał za niegodne siebie i za nieodpowiedne w obronie kościoła. Każde złe rozlewa się jak lawa i obcesowo wdziera się wszędzie, kiedy zaś prawda nigdy się tak nie pyszni jak kłamstwo, lecz spokojnie i z wolna wnika na drodze przekonań do serca ludzkiego. Kromer wyjednuawszy sobie za pośrednictwem Gamrata pozwolenie w Rzymie 1543 r. na czytanie ksiąg zakazanych, przytém dokładnie obeznany z ówczesną literaturą teologiczną, wystąpił do walki z przeciwnikami kościoła katolickiego na drodze nauki i własną starał się pobijać ich bronią. Pilnie więc rozczytywał się we wszystkie pisma swych przeciwników śledząc za ich fałszywemi i błędnemi zdaniami dla zaopatrzenia się w bogaty materiał do wyniknąć mającej walki. Ze zaś przeciwnicy dla łatwiejszego obalamucenia ludu i wynalezienia większej liczby zwolenników w massie narodu poczęli pisać w języku ojczystym, Kromer także nie zawahał się ani na chwilę i również swe dyalogi o religii prawdziwej i fałszywej kreślił mową ojczystą. Są to rozmowy mnicha z dworzaninem w czterech traktatach osobno wydanych. Mnich występuje jako obrońca kościoła, dworzanin zaś broni swych zdań ze względu światowego i protestanckiego.

Z niemniejszym zapałem i pilnością oddawał się badaniom historycznym. Od samej młodości najwięcej wabiła go do siebie ta gałąź nauki; wiedział bowiem dobrze, że dzieje starożytne rzeczywisty przedstawiają mu pogląd na stosunki czasów obecnych, gdyż ostatnie tworzą się z pierwszych, a kto chce pojąć nowsze dzieje, musi zacząć od najdawniejszych. Wczytywał się więc w stare kroniki śledząc za wypadkami odnoszącemi się głównie do historii rodzinnj. Wszelkie wolne chwile poświęcał na obznajmienie się z wewnętrznymi stosunkami państwa, aby w najtrudniejszych razach umieć sobie radzić odpowiednio do ducha czasu. Życie dworskie niejednokrotnie stawało mu na przeszkodzie w zajęciach jego naukowych, ale za to wyrabiało w nim ducha i kształciło rozum jego wszechstronnie.

Zygmunt I król posiadając roczniki Bernarda Wapowskiego dochodzące do 1535 r. zapragnął ich dopełnienia, gdyż niespodziana śmierć autora przerwała dzieło. Zygmunt żądał nowego ich przejrzania i głębszego poglądu na sprawy historyczne dla wypełnienia miejsc niedokładnie skreślonych i poparcia odpowiedniami dowodami. Za najodpowiedniejszego do téj pracy uważał król Stanisława Hozjusza swego sekretarza. Jemu więc polecił zając się uzupełnieniem tych roczników. Hozyusz jednak umiał się wymówić od tego, zastaniając się ogromem spraw politycznych, od których zwolnionym być nie mógł; przytém uważał, iż daleko łatwiej coś własnego napisać, jak przerabiać i dopełniać obcą pracę. Wówczas na dworze młodego króla (1544 r.) w Wilnie przebywał Kromer. Zygmunt August poznawszy jego zdolności i naukę, w poufnych z nim rozmowach namawiał do napisania dziejów ojczystych odpowiednio

treścią i wykładem do ówczesnego pojmowania tychże. Kromer wymawiał się początkowo t \acute{e} m, że Zygmunt I polecił ju \acute{z} uczonemu Hozyuszowi zająć się tą pracą, jednak dał do zrozumienia, że gdyby Hozyusz odmówił, wówczas gotów przyjąć na siebie ten cię \acute{z} zar. Uwiadomiony o odmowie Hozyusza zabrał się z ca \acute{t} em zamikowaniem do bada \acute{n} historycznych ¹⁾, ku czemu znakomity zebrał materia \acute{l} wyjaśniający wiele miejsc wa \acute{z} nych, a dotąd b \acute{t} ędnie przedstawianych.

Po kr \acute{o} tkim swym pobycie w Wilnie wezwany przez prymasa powrócił na dw \acute{o} r jego, nie spodziewając się że wkr \acute{o} tce nag \acute{l} a śmierć Gamrata nastąpiła w sierpniu 1545 r. na nowo dotknie go utratą swego dobroczyńcy. Cię $\acute{z$ ko strapiony czuł się początkowo osieroconym, jednak bogate probostwo jakie posiadał, zapewniało mu dostatnie utrzymanie.

Po śmierci Gamrata zasiadł na Stolicy krakowskiej Samuel Maciejowski biskup p \acute{o} cki, w pa \acute{z} dzierniku 1545 r., prawdziwy m \acute{a} ż aposto \acute{l} ski. Do niego znowu zbliżył się Kromer i ściślejsze zawiązał stosunki. Biskup oddawna znając zdolności Kromera, chętnie przygarnął go do siebie, opatrzył nowemi dochodami kościelnemi i wyrobił mu miejsce w kancelaryi kr \acute{o} lewskiej. Z tytu \acute{t} em sekretarza kr \acute{o} lewskiego pozyskiwał równie \acute{z} prawo do najwy $\acute{z$ szych godności w pa \acute{n} stwie i kościele. Chlebem duchownym często by \acute{l} obdarzany b \acute{a} dczo z łaski kr \acute{o} lewskiej, b \acute{a} dczo za po \acute{s} rednictwem swych przyjaci \acute{o} ł, a osobliwie Hozyusza. Chocia \acute{z} Gamrat opatrzył Kromera kanonią krakowską, wi \acute{s} licką i kielecką, jednak z nominacyi kr \acute{o} lewskiej otrzymał prezentę 1549 r. na kanonią warmińską. Wprawdzie kapituła w Frauenburgu wysoko ju \acute{z} ceniła sobie Kromera dla jego nauki i poważania u dworu i przyrzekała przy pierwszym wakansie wybrać go na kanonika. Jednak na spe \acute{k} nienie t \acute{e} j obietnicy d \acute{l} ugo bardzo wyczekiwał. R $\acute{o$ z \acute{n} e wyrodziły się spory i kł \acute{o} tnie, g $\acute{l$ ównie z dziekanem kapituły ks. v. Kempen, który ubiegał się równie \acute{z} o t \acute{e} samą kanonią dla ma \acute{l} oletniego wt \acute{e} dy Wojciecha Gise. Hozyusz dopi \acute{e} ro zasiadłszy na stolicy biskupiej, po d \acute{l} ugich staraniach wyrobił dla niego 1552 r. kantoryą i kanonią warmińską. Za po \acute{s} rednictwem tak $\acute{z$ e Hozyusza otrzymał 1562 r. prócz posiadanych jeszcze nową kustodyę kollegiaty sandomierskiej, nale $\acute{z$ ącej w \acute{o} wczas do dyecezyi krakowskiej ²⁾. B \acute{e} dąc w posiadaniu

¹⁾ Obacz przedmowę Kromera do Zygmunta Augusta kr \acute{o} la umieszczoną w wydaniu hist. pol. z r. 1568.

²⁾ Ze do otrzymania t \acute{e} j prebendy 1562 r. dopom \acute{o} gł mu Hozyusz, widzimy to z listu kardynała Ottona Truchsess, pisanego d. 21 listopada 1562 r. do Hozyusza (umieszcz. w Jul. Pogiani epist. et orat. vol. III p. 178) w te s \acute{l} owa: cieszę się z kustodyi Kromera i winszuję mu (t. j. Hozyuszowi), chocia \acute{z} to tylko zbyt drobne wynadgrodenie. Nie mogła to by \acute{c} inna kustodya, jak tylko san-

tylu prebend zapewniających mu nader wygodne utrzymanie, nie umieli określić jakie były jego obowiązki i w jaki je sposób spełniał dla brakujących dotychczas dowodów. Jednym z głównych zajęć sekretarzy królewskich, w miarę okazywanych zdolności było odprawianie poselstw do dworów zagranicznych. Młodzi byli przydawani zwykle w pomoc jakiemu senatorowi, zdolniejsi zaś sami odprawiali. Na jesieni 1547 r. Zygmunt I król wysłał Mikołaja Radziwiłła wojewodę do Ferdynanda I króla czeskiego. Sprawa to była nader drażliwa i należało ją tak zręcznie poprowadzić, iżby wyjść z całą godnością. Zygmunt August ożenił się 1543 r. z najstarszą córką Ferdynanda Elżbietą, zmarłą 1545 r. Prócz posagu bowiem wniosła mężowi wiele bardzo kosztowności, które ojciec chciał odebrać, a król polski pragnął je zatrzymać. Wynikłe ztąd spory wielce oziębily blizkie stosunki obudwóch dworów i te wypadło zgodnie ukończyć. Wyprawiony Mikołaj Radziwiłł oddawna zażyły z domem austriackim pojechał do Augsburga, gdzie odprawiał się właśnie sejm, na którym znajdowali się Karol V cesarz i Ferdynand I król czeski. Na doradcę przydany mu był Kromer. Już w późnej jesieni 1547 r. przybyli do Augsburga i wnet zajęli się spełnieniem swego zlecenia. Uprosilili cesarza na pośrednika z bratem tegoż. Ferdynand przystał na podawane mu warunki i zgodził się na wynagrodzenie w sumie 30,000 joachimowskich talarów. Po załatwieniu więc sprawy w styczniu 1548 r., natychmiast obadwaj powrócili do Krakowa, jakby przeczuwali blizką śmierć Zygmuta. Umięra Zygmunt I d. 1 kwietnia 1548 r., a po nim obejmuje rządy syn jego Zygmunt August.

Śmierć Zygmuta Starego otworzyła mu pole do nowego popisu. Wypowiedziana przez niego mowa postawiła go u współczesnych w rzędzie najlepszych krasomówców. Styl poważny i obfity, dobrze utrzymany odznacza się wytwornością, składnym szykiem, doborem wyrazów i zgodną budową okresów. Lecz brak w niej tej sprężystości mezkiej siły i porywczej wymowy, którą tu Kromer zastępuje pożyczanemi od starożytnych mówców ozdobami. Cały wstęp mowy jest wymuszony, ciężki i za rozwlekły, tylko całość jako streszczająca najważniejsze wypadki w ciągu 42 letniego panowania zmarłego króla stanowi nie jako dalszy ciąg jego dziejów Polski.

Wkrótce potem Zygmunt August wyprawił go w poselstwie do papieża Pawła III i do całego kolegium kardynałów z oznajmieniem o śmierci ukochanego ojca, wstąpieniu jego na tron i o złożeniu przy-

domirska, gdyż nigdy przedtém nie tytułował się kustoszem. Rzeczywiście objął ją dopiero w posiadanie 1564 r., gdyż sam w liście do Hozyusza z d. 5 października 1564 r. nazywa Świerze swoją wioską, która prawdziwie należała do kustody sandomirskiej, i ztąd wniosek, że był kustoszem sandomirskim.

należnego hołdu posłuszeństwa jako głowie kościoła ¹⁾. Był to pierwszy jego krok na drodze dyplomatycznej. Mowę jaką wypowiedział w Rzymie i odpowiedź na nią Blosyusza wypisał z bibliotek włoskich A. Przedziecki, jak sam o tém wspomina w swój: Wiadom. bibliogr. Warsz. 1850 w 8-ce, str. 127. Uroczyste posłuchanie odbyło się d. 24 sierpnia 1548 r. w obec całego kolegium kardynałów, a Kromer w te słowa przemówił: „Najświętobliwszy Ojczel! aczkolwiek król mój nie powątpiewa, że Wasza Świątobliwość dostatecznie już powiadomiona została o śmierci ukochanego ojca, jednak uważał to za obowiązek uwiadomić o tém osobno przez swego posła dla podzielenia się w smutku niepowetowaną stratą. Niepodobna, aby i tu głębokiej nie wywołała żałości śmierć monarchy, który przez lat 41 zasłaniał chrześcijaństwo od napadu Turków i Tatarów, a rządząc w swém państwie mądrze i dobrotliwie umiał w niem utrzymać błogą spokoju, i jako niejednokrotny rozjemca godził spory obcych książąt. Nikt jednak nie dorównywał mu w wierności i uległości dla Stolicy apostolskiej i zawsze z niezachwianą gorliwością bronił prawych zasad religii katolickiej. Wiadome to jest powszechnie całemu światu, a jeżeli śmierć Zygmunta I ogólną wywołała żałobę, to jednak najboleśniejszą jest dla mego króla. Z całą pokorą przyjął wyroki boskie, w tém zaufaniu, że ukochany jego ojciec do lepszego tylko przeniósł się żywota. Sam objąwszy ster rządu wedle przyjętego zwyczaju kazał mi jako wierny syn i król chrześcijański wyrazić swe winne uszanowanie Waszjej Świątobliwości i Stolicy apostolskiej, zdając swe państwo w opiekę Jezusowi Chrystusowi naszemu Bogu, którego jesteś Wasza Świątobliwość Namiestnikiem na ziemi. Przyrzeka bowiem przezemnie postępować torem swego mądrego ojca i swych poprzedników, podlegać zawsze z całym narodem Stolicy apostolskiej i nie odstępować nigdy od wiary katolickiej.“ Na mowę powyższą w imieniu papieża odpowiedział biskup Błażej z Folino (Eppus Fulginensis) w te słowa: „Śmierć Zygmunta króla polskiego gorzką wywołała żałobę w sercu Ojca Św. i jego dostojnego senatu, jak się sam o tém przekonywasz. Waleczny i dzielny ten monarcha wysoko był poważany od Stolicy apostolskiej, jako obrońca wiary katolickiej i pokoju. Gdy jednak syt wieku i chwały do lepszego przeniósł się żywota, zostawiając w synu swym następcy Zygmuncie Auguście prawdziwego swych zasług dziedzica, to Jego Świątobliwość zgodnie z wolą bożą folguje swój żałości w tém przekonaniu, że twój król jako godna takiego ojca latorośl, równie bronić będzie wiary katolickiej i nie zachwieje się w przywiązaniu ku Stolicy apostolskiej. Ztąd i Jego Świątobliwość dla udzielenia królowi słów pociechy i złożenia życzeń przy wstąpieniu na tron, wyszle ze swego ojcow-

¹⁾ Dana mu instrukcja ma datę 24 kwietnia 1548 r. Obacz Kromer w liście do Zygmunta Augusta z d. 17 listopada 1548 r.

skiego przywiązania nuncjusza. Zarazem pozdrawia go serdecznie, jako swego najmilszego syna w Chrystusie, przyjmując z najpełniejszym sercem złożoną przez ciebie w jego imieniu czołobitność i gotów zawsze okazać jego królowi swą powolność we wszystkich możliwych sprawach“¹⁾). Papież ujęty wymową i trafnym poglądem na stosunki Stolicy apostolskiej z Polską Kromera, pragnął go czemciś wynagrodzić, wręcz zapytał go się czegoby żądał? Kromer na to odrzekł z powagą: „z łaski pana i króla mego miłościwego tyle posiadam, iż nie mam prawa żądać czegokolwiek.“ Po dopełnieniu swego zlecenia wracając przez Wiedeń, dokąd, jak się zdaje, osobne miał zlecenie, prawdopodobnie jeszcze 1548 r. przybył do Krakowa, będąc zadowolniony z porobienia wielu znajomości w Rzymie, które w późniejszym życiu stały się dlań prawdziwą osłoda. Treter w żywotach biskupów (str. 117) wspomina, że Kromer posłował do Pawła IV papieża, lecz to prosta pomyłka i być winno Paweł III.

Za powrotem do ojczyzny Zygmunt August polecił Kromerowi z porady kanclerza Ocieskiego uporządkować i spisać starożytne archiwum krakowskie zostające dotąd w wielkim nieładzie i nieporządku, a stąd i nie przystępne dla ludzi naukowych. Chętnie podjął się tój pracy Kromer w nadziei odkrycia bogatych plonów do swój pracy. Rzeczywiście odkrył wiele rzeczy wyjaśniających dokładnie ważne wypadki. Owocem tój pracy pozostał najprzód rękopis p. t. *Specimen codicis diplomatici folio*, w którym streszcza wszystkie będące w archiwum najdawniejsze pergaminowe i papierowe dyplomata; lecz godne to uwagi, że najstarszy wymieniony u niego dokument jest z roku 1250. Rękopism znajduje się w bibliotece Ossolińskich we Lwowie²⁾ i możnaby go uważać za autograf, gdyż nigdzie niema śladu o drugim egzemplarzu ani w spisach metryk koronnych, ani też w późniejszych inwentarzach. Kromer w przedmowie do króla Zygmunta Augusta mówi, że pracę tę uskutecznia z jego rozkazu, a z polecenia kanclerza Ocieskiego. Dzieli je na narody, z którymi Polska w stosunkach oddawna zostawała i przydał spis szczegółowy dla łatwiejszego przejrzenia. Wiele z tych dyplomatów zaledwie dziś z treści w tym spisie objętój, są nam znane. Obowiązki publiczne jako sekretarza królewskiego częstokroć odrywały go od wszelkich zajęć naukowych. Jednak szedł ciągle drogą wytkniętą sobie przez przyjaciela Hozyusza i głównie zajmował się sprawami pruskimi. Tak o nim kanclerz Ocieski w liście z dnia 19 czerwca 1551 r. pisze do Hozyusza: „*Prutenicis causis doctor Cromerus profuit semper.*“ Zbliżeni do siebie urzędem tak ściśłą zawarli z sobą przyjaźń, iż jeden za drugim obstawiał jakby we własnej sprawie.

¹⁾ Tak mowę jak i odpowiedź Błażeja biskupa przechował nam J. N. Katenbringk. Miscell. Warmien. T. II str 751—754.

²⁾ Biblioteka Ossolińskich 1843. T. 8-o str. 115 i nast.

Kiedy Hozyusz jako poseł królewski przebywał w Niemczech i we Flandryi, Kromer zajmował się sprawami jego na dworze królewskim i donosił o wszystkiém co tylko tyczyło się jego poselstwa. Zajął się interesami siostry i innych krewnych Hozyusza, poręczył wypłacenie przynależnych w Rzymie kosztów od nominacyi jego, jak niemniej dopomagał mu najusilniej w sporze jaki wiódł z Ignącym do protestantyzmu starostą Działyńskim, będąc biskupem chełmińskim i warmińskim ¹⁾. Głównie myśl religijna łączyła ich z sobą: gorąco przywiązani do kościoła katolickiego silnie powstawali na wszelkie odszczepieństwa niszcząc je w zarodzie. Hozyusz często szukał rady i pociechy w sercu przyjaciela i niejednokrotnie dopraszał się o uzyskanie przychylnéj opinii przez swe wpływy u dworu. Kromer chętnie mu dopomagał z przyjaźni ceniąc wysoko prawdziwą pobożność swego nauczyciela, a nieraz odgadując jego myśli, spełniał je piérwój nim mu swoje życzenie objawił. I tak 1552 r. starał się Kromer u znajomego sobie kardynała Bernarda Maffaus w Rzymie, iżby za jego pośrednictwem wynaleźć ludzi odpowiednich do niektórych wydziałów szkoły przez Hozyusza zakładanej. Następnie chąc Hozyusz sprowadzić 1554 r. OO. Jezuitów do Warmii, wnet Kromer za pośrednictwem O. Canisiusa którego poznał w Wiedniu, starał się być pomocnym swemu przyjacielowi ²⁾. Pośredniczył także w sprowadzeniu 1555 r. słynnego naówczas Fryderyka Staphylus na rektora szkoły wyższéj w Chełmnie.

Nie tylko świadczył dobrze swemu przyjacielowi, lecz i innym gdy potém nadarzyła mu się sposobność, służąc im bądź dobrą radą, bądź czynną pomocą. I tak ks. Lubodziejski biskup chełmiński pokłóciwszy się ze Stanami pruskimi o Hoppego rektora w Chełmnie, odniósł się do Kromera prosząc o radę. Kromer najchętniej go poparł, dodał mu odwagi i nauczył jak ma sobie postąpić dla postawienia na swoim ³⁾. Największe téż zaufanie pokładali w nim jego współziemianie. Wiedzieli o względach jakie posiadał u króla, udawali się do niego we wszystkich sprawach wymagających pomocy dworu. Rozszerzając się coraz bardziej dyssydenci, to podstępem lub gwałtem szkodzili religii katolickiéj. Nauka kościoła opuszczona, poniżona i najwięcej była wyszydzana przez oddawaną część Świętym i przez niewłaściwe używanie Sakramentów. Przeszraszeni katolicy takim niesforsném działaniem przewodzców protestantyzmu i przeko-

¹⁾ Obacz listy Hozyusza pisane w sierpniu i wrześniu 1551 r. do Kromera, w archiwum frauenburskiem. Z tych dwa pisane w sierpniu, obacz w dodatkach nr. 5 i 6.

²⁾ Obacz list ks. Canisiusa pisany do Kromera d. 6 listopada 1554 r., wydrukowany w dziele: *Cypriani Tab. eccles. Roman.* p. 576.

³⁾ Obacz listy Lubodziejskiego pisane do Hozyusza d. 26 sierpnia i 5 września 1555 r.

nani, że tylko energiczne środki rządu zapobiegną takim nadużyciom, udali się z prośbą do Kromera, iżby skłonił króla do wystąpienia w obronie kościoła. Ze zaś wszędzie bronił z zapałem spraw kościoła, stał się przez to powiernikiem nuncyuszów apostolskich. Jak wysoce poważał go Marek Antoni Maffaeus arcybiskup tineński najlepiej przekonywa o tém własnoręczny list jego do Kromera, pisany d. 30 października 1553 r. Przez niego zapewne poznał się z kardynałem Bernardem Mafflus, z którym już korrespondował 1552 r. w sprawach kościoła polskiego. Szczególne także względy posiadał u nuncjusza Alojzego Lippomana. Z tym prawdziwie apostolskim mężem wiele rozprawiał o potrzebach naszego kościoła i nieraz udzielał mu na piśmie rozsądne swe uwagi. Nuncyusz podziwiał sposób ich przedstawiania, tę szczególną roztropność w jego radach, tę myśl szlachetną zwróconą tylko ku dobru kościoła i ową delikatność z jaką się odznaczał w swych postępkach, które razem wzięte znamionowały umysł wyższy mogący przynieść chlubę krajowi.

O różnych jego mniejszych poselstwach, jakie między 1549 a 1557 r. spełnił, nigdzie pewnych nie można było odkryć wyjaśnień, w jakich osobiście sprawach i w jakim czasie jeździł. Jakób Mstowski w liście swym z dnia 1 stycznia 1550 roku pisany, wspomina o poselstwie Kromera na sejm do Prezburga, zkądinań nam nieznane.

Obowiązki sekretarza koronnego zmuszały go stosować się do pobytu dworu królewskiego. Ztąd też znajdujemy go w Krakowie, wkrótce w Wilnie, to znowu w Warszawie, zresztą tam gdzie mu jego urząd nakazywał. W 1549 roku bawił w Krakowie, jak świadczą ówczesne listy Hozyusza, Ticiniusza i Jerzego Albinus do niego pisane. Tamże przebywał w roku 1550 i jeszcze w czerwcu i lipcu 1551 roku. Zygmunt wyjechał w lecie 1551 roku do Wilna a z nim i Kromer i aż do jesieni tamże pozostał. Poczém wrócił do Krakowa, gdzie i święta Wielkanocne 1552 roku przepędził. Król wystąpił do Gdańska, dokąd i sam wybierał się w lecie 1552 roku dla uporządkowania spraw tegoż miasta. Jednocześnie wyprawił król kommissyą do Gdańska dla odebrania od mieszczan przysięgi wierności i wprowadzenia porządku w zarządzie miasta. Kromer wiele tu swoim wpływem dopomógł do ułożenia stałych zasad, na jakich zarząd miasta miał się opierać. Przytém miał zwiedzić tameczne kościoły, zająć od magistratu miasta zwrotu zajętych dóbr kościelnych i załatwić wynikające ztąd spory. Wszystko to spełnił z przynależną godnością w myśl danych instrukcyj. Bawił w Gdańsku aż do września, i kiedy król wyjechał do Litwy, skorzystał z tego Kromer i pobiegł odwiedzić Hozyusza w Heilsbergu, a ztamąd ruszył za królem do Wilna. Jeszcze w kwietniu 1553 roku przebywał na dworze królewskim w Wilnie, lecz na jesieni tegoż roku miał jeździć do Wiednia, i powtórnie tamże na wiosnę 1554 roku, o czém dowiadujemy się z powyżej przytoczonego listu O. Canisiusa do Krome-

ra pisanego. Ostatniego marca 1555 r. przewoził się ze swym orszakiem przez Wisłę na Mazurach, o czém sam wspomina ¹⁾; lecz niewiadomo nam gdzie jeździł i w jakich sprawach. Na jesieni tegoż roku podkanclerzy koronny wyprawił go do Hozyusza, bawiącego w Heilsbergu dla zasiągnięcia rady w nader ważnym interesie. Szło o koadyturyą gnieźnieńską. Stary arcybiskup Dzierzgowski osłabiony wiekiem, pragnął przybrać za swego koadytora księdza Jana Przerębskiego podkanclerzego koronnego. Przerębski, podejrzany od drugich biskupów o wątpliwą gorliwość kościoła, dla zapobieżenia ich nieukontentowaniu, wysłał Kromera do Hozyusza po radę, w którym wielkie pokładał zaufanie. Obadwaj wzięli pod ścisłą rozwagę kogoby rzeczywiście koadytora naznaczyć. Przeszli z kolei wszystkich biskupów i sekretarzy królewskich, jako przypuszczalnych na podobnyż urząd kandydatów i mimo najskrupulatniejszego ich sądu za najodpowiedniejszego uznali podkanclerzego koronnego. Hozyusz więc w liście swym do niego pisanym, radził przyjąć koadyturyą i nie zwlekać jój wykonania. Kromer wrócił z tém do Warszawy, gdzie i święta Bożego Narodzenia przepędził. Król na jesieni 1555 roku polecił Kromerowi towarzyszyć królowej Bonie, wyjeżdżającej do swych dóbr w Neapolitańskiem. Prawdziwie Bona wyjechała w zimie 1556 roku, lecz czy znajdował się w jój orszaku, nie ma na to dowodu. To tylko pewne, że w kwietniu 1556 roku bawił w Wilnie, w czerwcu był już w Krakowie i jeszcze tegoż roku jeździł do Rzymu, o czém wspomina Fryderyk Staphylus w liście swym z dnia 18 września 1556 roku do Hozyusza pisanym. Z tego przekonywamy się, iż nigdzie stale nie mieszkał, zmuszony do odbywania licznych poselstw i dalekich podróży, będąc uważany w kancelaryi za najczynniejszego z sekretarzy królewskich. Pewny swego wpływu nie jednokrotnie wypowiadał otwarcie swe zdanie, nie obawiał się ani majestatu królewskiego, ani powagi senatorów i panów rady. Zajmując takie stanowisko, poczytywał sobie za obowiązek spełniać je jak najsumienniej. Gdzie zaś groziło jakie niebezpieczeństwo dobru ogólnemu, to nie zawahał się wzburzać odwagę i wyjawiać światu bezwstydnę działania owych politycznych i religijnych burzycieli. Najlepszym tego dowodem jest jego list do króla, senatorów i szlachty polskiej zgromadzonej na sejm 1556 roku do Warszawy.

Wówczas położenie religijne całego narodu zbyt było opłakane. Król wahający się i słaby, biskupi i kler z małym tylko wyjątkiem, bez powołania i przykładowego życia przeczuwali konieczność

¹⁾ Polonia lib. I. p. 484.

zapobieżenia złym zdrożnościom, lecz nie myśleli o ich tępieniu: zbyt mało było prawdziwych katolików i to jeszcze trwożliwych. Przeciwnie zaś z drugiej strony ruchliwi dyssydenci umyśleli wszystko, na czém kościół i państwo polega, zniszczyć zupełnie i nowy zarząd wprowadzić. Odbyty w maju 1555 r. sejm w Piotrkowie był nadzwyczaj burzliwy, lecz i niekorzystny dla dyssydentów. Przygotowywano się do nowój walki na mający się odbyć w początkach 1556 roku sejm w Warszawie. Strony wystąpiły zbrojnie z zamiarem stoczenia krwawej bitwy. Odniesienie zwycięstwa przez dyssydentów groziło upadkiem Rzeczypospolitej. Religia katolicka byłaby z korzeniem wytepiena, a tron chwilowo zostawiony, z ustaleniem się ich władzy nie ochybnie byłby obalony. Dostrzegłszy tak silnie grożące niebezpieczeństwo, wnet odezwały się głosy do wszystkich prawych katolików aby połączonemi stanąć siłami w obronie tronu i ołtarza i zapewnić na przyszłość tyle upragniony spokój religijny i polityczny. W owych tych chwilach napisał Kromer wyżej wspomniany list do zgromadzonych na sejm Warszawski.

„Przypomina im naprzód, z jakim to zapalem przodkowie ich bronili religii katolickiej przeciw pogańskim Prusakom, Litwinom i Pomorzanom, jak niemniej przeciw Turkom i Tatarom. A czy wy to jesteście ich wyrodni synowie? Temu uwierzyć nie mogę. Przygotujcie się do obrony przeciw zjadliwyszemu nieprzyjacielowi. Tamci niszczą tylko ciało, ci zaś kłamstwem i oszukaństwem zatracają duszę. Następnie wykazawszy różnice między katolikiem i dyssydemtem, objaśnia dowodami z pism ich wyjętami niczém niezaprzeczoną chęć wytepienia religii katolickiej ku pociesze Żydów i Turków. Ztąd utworzone źródło rozdziwienia w Polsce sprawiło, że sami obywatele spokrewnieni z sobą nawzajem się prześladują, i jeżeli Pan Bóg ich nie oświeci, a naród nie wypełni swych obowiązków, to kraj upaść musi. Cóż wam robić wypada? Oto z przywiązania i miłości do mojej ojczyzny to wam doradzam: Wypadnie naprzód spór o ustawy i urzędzenia kraju, zajmijcie się sami szczerze ich ułożeniem a nie składajcie na statystów; bo wasz układ daleko będzie zgodniejszy z dawnemi zwyczajami i więcj korzystniejszy dla was samych i waszych potomków, a postanowienia wasze niczém niezachwiane zostaną. Każdy stawiający opór ulegnie karze, jako nieprzyjaciel ojczyzny. Toż samo, lecz tylko w wyższym stopniu rozumie się o kościele i religii. Państwo przez cywilnych urządzone, powinno temż rządzić się prawami. Kościół zaś jako urządzenie Boskie, ma nie wzruszone prawa, których nikt naruszyć nie może. Zapytasz się, czyż tego nie mogą zrobić papieże i biskupi? Wiedz, że gdzie jest prawda, tam rozstrzyga tylko Słowo Boże. Wprawdzie wykład Pisma Świętego nie zawsze bywa jasny i wyrazisty, bo już sam Piotr Śty pisze o listach Pawła, że wiele jest w nich miejsc nie zro-

zumiałych i mylnie przez nieuków wykładanych. Lecz i ja nie zabraniam rozprawiać, i w tej myśli zwracam się do Ciebie królu i do was senatorowie i rycerstwo. Należy wam wprawdzie unikać rozdwojenia religijnego, lecz nie stanówcie tego co jest sprzeczne ze Słowem Bożem. Czyż mniemacie, że wam samym będzie Słowo Boże objawione? Cóżby powiedzieli na to nieobecni obywatele nie wyjmując i kobiet, co mieszczenie, chłopci i pasterze będący jedną z wami wiary. Nie uznaliby waszego zdania, a tém mniej Niemcy, Anglicy i inne narody. Strzeżcie się w czémkolwiek zrobić ustępstwo dysydentom, gdyż to wnet wywoła zamieszanie. Cóż pomogło, kiedy sobór bazylejski zezwolił hussytom czeskim na używanie kielicha? To samo powtórzy się u nas, jeżeli zezwolicie na coś nowego. Przyślaniecie na język ojczysty przy Mszy Św. Wielu już z nich odrzuca odprawianie ofiary. Na małżeństwo księży? Oni sami uchylili kapłaństwo i porobili się księżmi. Cóż za korzyść przyniosło prawo tymczasowe (interim) w Niemczech? czyż uspokoiło? czyż nie chcieli zarówno zadosyćuczynić żądaniom sprzymierzeńców Stankara, Osiandra, Kalwina, Serweta, Pikardystów, Aryanów i Luterańców? Wzdrygniecie się na to i słusznie, obawiając się upadku narodu. Wszak oni wszyscy powołują się na Słowo Boże, jak i owi, co domagają się kielicha, mowy ojczystej i małżeństwa księży. Zgódźcie się na to, to wnet wystąpią z większemi żądaniami i utworzy się wówczas istna wieża Babel w państwie. Także i Marcin Luter począł od przygany odpustu papieżkiego, jak daleko to zaszało, macie przykład na Carlstademie, Münzerze i Zwiunglim. Także kazania Hussa zdawały się początkowo słuszne i rozsądne, do czegoż z czasem doszły? Nie ganię wcale owych trzech rzeczy, lecz wy nie macie prawa o nich wyrokować, tylko kościół z upoważnienia Bożego. Odpowiedzcie mi, że nim zbierze się kościół i to roztrygnie, tymczasem kraj wewnątrzniem dręczony niezgodami upadnie. Nie wiercie temu, Wszchemocny Pan dopomoże do utrzymania, jeśli spełnicie waszą powinność, wymierzycie sprawiedliwość, zapobiegniecie gwałtom i ukarzący występnych. Kiedy przed stu laty wcisnął się do Polski hussytyzm, to wasi dziadowie nie spierali się o dogmata i obrządek, nie zezwolili na żaden sobór narodowy i o żadnych układach słyszyć nie chcieli. Czesi oddawali swój kraj pod ich zarząd; oni odrzucili ich prośbę, a nawet zagrozili wojną, jeżeli nie powrócą na łono kościoła katolickiego. Tak to postąpili wasi dziadowie z Czechami. Kto błędy religijne przechowuje i pielęgnuje, to postanowione jest w ustawie, że niema być od nikogo broniony, lecz od wszystkich prześladowany. To było mądrze i bogobojnie. Wiedzieli bowiem iż religia stanowi zasadę dobrobytu narodu, i ztąd zasłaniali ją od gwałtów. Może sądzicie, że położenie kraju było mniej niebezpieczne: to nie. Czesi z bronią w rękę rzucali postrach na wszystkich, lecz wasi przodkowie stawili zbrojny opór. Odważcie się także stawić opór obecnym rozruchom.

Ja uproszę Pana Zastępów, jako obrońcę naszego kraju, aby natchnął was tą zbawienną myślą, a niezbędną dla ocalenia waszej sławy i dobra narodu. Bądźcie stateczni a będzie dobrze; wrzeciwnym zaś razie zniesiemy cierpliwie: tylko wiedźcie, iż przez to nie tylko upadnie kościół, lecz i kraj oddacie na pastwę motłochu. Jakie niegdyś panowały krwawe rozterki w Czechach, niedawno w Niemczech, to z łatwością powtórzyłyby się w Polsce. Nowinki religijne jak kiedyś w Grecyi, tak i nas doprowadzić mogą do barbarzyńskiej bezbożności....!"¹⁾ Dotąd Kromer. Rzeczywiście list jego wyjaśniający podstępne działania dyssydentów, wywarł postrach niesłychany. Z przytoczonej najważniejszej treści tegoż listu, każde słowo było jakby dźwiękiem głosu wołającego na puszczy, które rozbudziło uczucie obowiązku.

Przy tych wszystkich różnorodnych swych zajęciach, Kromer nie ustawał i w pracach historycznych, a osobliwie w kreśleniu historii swego narodu. Przeczuwał jednak, że do napisania podobnego dzieła potrzeba obszernych wiadomości, nader zręcznego na ubiegłe czasy poglądu i wielkich zdolności ku jasnemu ich zestawieniu. Nieraz powątpiewał, czy podoła tak trudnemu zadaniu. Gdy jednak nie słyszał o nikim, co by podjął się téj pracy, szczerze się nią zajął w téj myśli, że zadość uczyni żądaniu króla i swych współziomków. Nie zamierzał on skreślić swój historii z samych źródeł, lecz ograniczał się na przerobieniu znanych wówczas kronik. Zaczął od kroniki Wincentego Kadłubka, poczem przejrzał kronikę przed trzystu laty napisaną przez mnicha Francuza ¹⁾, Jana Długosza, Macieja z Miechowa, Justa Ludwika Decjusza i Bernarda Wapowskiego. Po bliższem ich rozpatrzeniu przekonał się, że nie odpowiadają one ścisłym wymaganiom naukowym, traktując rzecz niedokładnie i za rozwlekle. Ułożył sobie pewien plan, rozgatunkował pozbierane zewsząd materyały i zabrał się do pisania około 1552 r. Na razie uczuł brak pewnego przewodnika w dziejach tylu wieków. Wapowski, Miechowita i Decjusz, szli powiększój części wytkniętym przez Długosza torem, a jemu także wiele niedostawało. Wczytawszy się w Kadłubka dostrzegł, że Kadłubek zupełnie nie znał obcych kronik, przez co wykrył w nim wiele rzeczy błędnych, sprzecznych i z chronologią nie zgodnych. Dla uniknienia tych błędów, przecierał roczniki ludów sąsiednich i wszelkie archiwa, do których przystęp mógł mieć ułatwiony. Wspierali go nieraz i przyjaciele prze-

¹⁾ Nazwisko jego było wtedy niewiadome, napisał kronikę polską w 3 księgach, sięgającą do XI wieku. Cromer de orig. et reb. gest. Polon. l. III, p. 46.

syłając mu ważne, a zkładając nie znane akta dyplomatyczne ¹⁾). Najszacowniejsze jednak materiały znalazł w archiwum koronnem w Krakowie. Przejrzenie ich znacznie opóźniło pracę, lecz wynagrodziło wzbogaceniem tych nowych skarbów, które zachęcały go do głębszych badań. Na podstawie takich źródeł skreślił dzieje Polski od pierwszych jej początków aż do śmierci Aleksandra w roku 1506 przypadłej. Żądano wprawdzie od niego i napisania dziejów Zygmunta I, lecz nie chciał kreślić dziejów obecnych, bądźto obawiając się przewagi magnatów srodze prześladowujących za wykrycie prawdy o jakim hańbiącym członku rodziny, bądź też że obowiązki służbowe przeszkadzały mu ku ich wykonaniu. Wolny od osobistych względów, nikogo nazbyt nie wywyższał, ani też niewinnie nie poniżał; daleki od pochlebstw i prześladowań, opisywał wypadki jak najsumienniejsz i z wszelką dokładnością. Dzieło swe napisał w języku łacińskim, aby było dostępne dla uczonych wszystkich narodów, starając się o wykład jasny, zwięzły i zrozumiały. Pisząc umiejętniejsz jak jego poprzednicy, których jednak barbarzyzmy nieraz dosadniejsz odmalowują epokę, niż jego styl głównie na zaokrąglonych polegający okresach, pragnął tym sposobem uczynić ją dostępnejsz dla ogółu. W każdym razie odniosło ono swój skutek, gdyż w samym narodzie rozbudził ducha i zaciekał do czytania własnych dziejów. Dzieło jego wyszło po raz pierwszy w Bazylei 1555 roku z drukarni uczonego Jana Oporina. Przypisał je królowi Zygmunto- wi Augustowi, częścią przez wyrażenie swęj wdzięczności, częścią przez pokazanie światu, jakie monarcha jego posiada zamiowanie do badań naukowych. Wyjście dzieła zwróciło uwagę wszystkich i wysoko było cenione od prawdziwych znawców. Ze szczerą radością odczytywał je Zygmunt, a jeszcze z większą Hozyusz, który w liście przesłał autorowi krytyczne swe spostrzeżenia ²⁾). Także kardynał Jakób Puteusz unosił się nad uczonością Kromera, nad jego badawczą skrętnością i wybornem odmalowaniem czasów ³⁾, niemniejsz i Franciszek Robortellus słynny professor wymowy i filozofii moralnej w Padwie. Wówczas 1555 roku słuchali u niego nauk dwaj Polacy: Łukasz Podoski i Jędrzej Patrycy Nidecki, odznaczający się zdolnościami i nauką. Obadwaj żyli w ścisłych stosunkach ze swoim nauczycielem i Podoski ⁴⁾ podarował mu egzemplarz no-

¹⁾ Tak otrzymał od Hozyusza, wówczas biskupa chełmińskiego odpis znajdującego się w zamku Löbau układu zawartego między Konradem z Mazowaza, a zakonem krzyżackim. Obacz Cromer de orig. et reb. gest. Polon. I. VII, p. 134.

²⁾ List Hozyusza do Kromera z dnia 14 marca 1556 roku, będący w archiwum biskupim w Franenburgu D. 19 Ep. 114.

³⁾ List Puteusza do Kromera pisany d. 19 lutego 1557 roku.

⁴⁾ List Podoskiego do Hozyusza pisany z Padwy d. 16 stycznia 1555 r.

wo-wydanej historii polskiej Kromera. Robortellus odczytując ją, uwielbiał styl klasyczny i zręczne obrobienie dzieła, a nadto winszował młodzieńcom takiego ziomka i własnoręczny napisał list do autora. W liście tym ¹⁾ wyraża: że Kromer prześcignął wszystkich dotychczasowych historyków, pochwała jego zręczne złączenie nazwisk słowiańskich, jasny wykład i rozsądny podział całego dzieła. Jednak pochwały te wszystkie były zbyt przesadzone, nie wiele korzystał z dokumentów archiwalnych, jakie miał pod ręką, nie wzbogacił dziejów nowymi czynami, a główną istotną jego zasługę stanowi styl wytworny, jasny i potoczny.

Zygmunt August król, pragnąc wynagrodzić Kromera za tyle położonych zasług i obecnie za napisanie historii, postanowił wynieść go i wszystkich jego braci wraz z potomstwem do stanu szlachty. Wprawdzie Kromer rodził się z matki szlachcianki, lecz ojciec jego należał do mieszczan; chcąc więc korzystać z przywilejów szlachty, należało otrzymać osobny dyplom od monarchy ²⁾. Otrzymał takowy w roku 1552, jak się dowiadujemy z aktu nobilitacji, przechowywanego w archiwum koronnym Królestwa w Warszawie.

Im więcej Kromer rósł w sławę europejską, tém większa mnożyła się liczba zazdrosnych daleko niżej od niego stojących pod względem rozumu, pracy i postug dla kraju, i starała się pokryjomu uwłaczać jako świeżo uszlachconemu. Rozgłaszali między rycerstwem polskim, że Kromer występuje w swój historii jako nieprzyjaciel szlachty i ubliża ich godności. Chociaż to było tylko proste oszczerstwo, jednak oburzyło wiele szlachty na niego i wywołało głośne krzyki w narodzie. Nadto sam Hozysz groził mu niełaską Prusaków i Litwinów, że nie wspomniat o nich w swój historii ³⁾. Mocno zgryziony Kromer tém powszechném oburzeniem w narodzie, napisał własną swą obronę i rozesał ją przyjaciotom z prośbą udzielania jój wszędzie, gdzie tylko wrzało podejrzenie ze złego zrozumienia samój rzeczy. W obronie ⁴⁾ swój mówi: „ani mi nie przyszło na myśl ubliżać bez żadnego powodu szlachcie, będąc sam urodzony z matki szlachcianki i kilkakrotnie jestem spokrewniony ze szlachtą. Od samego dzieciństwa więcej z nią przestając jak z mieszczactwem, a nawet teraz z łaski mego monarchy sam zostałem szlachcicem.“ Po takich rozrzucanych na piśmie oświadczeniach uspokoiły się nieco umysły i uciechły zarazem nieprzychylnne zdania o jego historii. Dzieło jednak taki znalazło pokup, iż w trzy lata wyszło

¹⁾ Umieszczony przy wydaniu drugiem i przy nast. Kroniki Kromera.

²⁾ Cromer Polonia lib. I, p. 497. Na wierzchniej połowie herbu w czerwonym polu jest pół orła z rozwiniętymi skrzydłami, a na szyi wieniec laurowy.

³⁾ List Hozysza do Kromera z d. 14 marca 1556 r.

⁴⁾ Jest ona z roku 1556.

nowe wydanie niczém nie różniące się od pierwszego, w Bazylei 1558 roku u Jana Oporina. O następnych wydaniach powiemy niżej.

Kromer pozyskawszy zupełne zaufanie króla Zygmunta za spełnianie rozmaitych poselstw z wszelką zręcznością i jako roztropny polityk będąc wtajemniczony w domowe stosunki, został znowu wysłany na dwór Ferdynanda I cesarza, któremu umiał się przypodobać. Wedle panującego już wówczas zwyczaju, Zygmunt August wyprawił go w 1558 roku na czas dłuższy dla załatwienia wielu różnorodnych spraw ważnych, które wymagały czasu, cierpliwości, a osobliwie sprytu i przebiegłości. Czy Kromer odpowiedział w zupełności danemu zaufaniu, przekonamy się o tém z dalszego ciągu wypadków. Liczba spraw jego na dworze Ferdynanda była dosyć znaczna. Przedewszystkiém winien był pośredniczyć we wszystkich interesach urzędowych, jakie w miarę różnych okoliczności wynikały między rządem polskim a cesarskim. Jak np. o niesłuszne blokowanie miast Elbląga i Gdańska, o cło graniczne szkodliwe dla handlu polskiego, o napaść wojsk cesarskich na ziemię Korony, o wyjednanie ulgi i wynagrodzenia za doznane szkody i uciski obustronnych poddanych. Nadto odbierał od króla wiele innych zleceń częścią prywatnych, częścią publicznych, lecz najważniejsze jakie mu król w wszelkiém zaufaniem powierzył i dla których głównie na tak długo został wysłany, były: odebranie spadku po matce w Barze i pojednanie cesarza z pretendentem do korony węgierskiej.

Stan sprawy spadkowej po królowej Bonie należy nam streścić pokrótce dla dopełnienia ogólnego rysu politycznego działania Kromera. Bona Sforcya matka Zygmunta Augusta wyjechała w zimie 1556 roku do swoich posiadłości w Neapolitańskim, gdzie w listopadzie 1557 roku umarła, zostawiając w spadku dwa księztwa Baru i Rossano. Naturalnym spadkobiercą z prawa był jój syn Zygmunt August. Na dwa dni przed śmiercią, Bona niemogąc już mówić i będąc bezprzytomna, miała zrobić testament i w nim obadwa te księztwa przeznaczyć na własność Filipowi II, królowi hiszpańskiemu. Wszyscy uczciwi ludzie uważali ten testament za sfałszowany i wymieniali nawet jego autora twórcę, domownika Bony Papagode, który wcale nie zapomniał o sobie w testamentcie i dla innych bogate także porobił zapisy, osobliwie dla fiskusa neapolitańskiego, aby przeto zasłonić się od kary. Filip zaś uznał testament za ważny i natychmiast zajął obadwa księztwa w swe posiadanie. Zygmunt August pragnąc uniknąć sporu z Filipem i aby przed czasem księstw nie zabrał, wyprawił swego sekretarza Kromera do Wiednia z uproszeniem cesarza na pośrednika w tak drażliwej sprawie. Cesarz znajdował się na sejmie frankfurckim, gdzie po abdykacji Karola V, obrany został cesarzem. Tam podążył więc Kromer i w marcu 1558 roku na udzieloném mu posłuchaniu złożył listy królewskie, uwiadomił o śmierci królowej Bony i nadmienił o jój testamentcie, uważając go za podrobiony i sfałszowany. Zygmunt Au-

gust zanadto szanował swą matkę i nigdy jęj na siebie nie obrażał, ztąd i miłość macierzyńska matki nie miała powodu wydziedziczać swe dzieci. Bo cöz zresztą zawinity i siostry królewskie, które z prawdziwem poświęceniem spełniały swe obowiązki względem matki, aby również były wydziedziczone. Wszelką posiadała wolność napisania testamentu bądź w Polsce, bądź téż we Włoszech i niepotrzebowała tém się trudzić na dwa dni przed śmiercią, kiedy już utraciła mowę i przytomność. Król polski zatęm spodziewa się, że napisany podobnie testament i podpisany przez świadków z główną dla króla hiszpańskiego korzyścią, celem rzetelniejszego go wykonania, nie zechce Filip II zatwierdzić i korzystać z takiego zapisu. Pomię tego jednak upraszał Kromer cesarza, iżby polecił oświadczyć przez swego posła Filipowi II swemu synowcowi, aby nie zabierał synowi spadku po matce.

Spadek ten składał się z 400,000 dukatów danych na hipotekę jeszcze za życia Bony, do téj summy przybyło 86,000 z dwóch rat przychodu z komory Foggia i trzeciej raty 43,000 właśnie przypadającej, z dochodów obudwóch księztw od dnia jęj zgonu przez skarb neapolitański zabrane na królowi nieoddane, z pieniędzy ze sprzedaży oliwy, win, zboża i innych zapasów, z procentów i dochodów z zamków dziedzicznych.

Na dniu 13 marca Ferdynand cesarz odpowiedział Kromerowi: że wielce ubolewa nad śmiercią królowej Bony, przesyła mu swe wyrazy współczucia jako godnemu jęj synowi i nieomieszka przedstawić słuszne żądania króla polskiego Filipowi II. Prawie jednocześnie wysłany był w poselstwie do Hiszpanii Wojciech Kryski z żądaniem oddania spadku po matce na rzecz syna, i dochodzenia sądownie ważności testamentu. Gdyby zaś okazał się prawu przeciwny przez wydziedziczenie syna od spadku, to nimby ważność testamentu udowodnioną została, iżby Filip II ustanowił się ogólnym spadkobiercą dla rozpatrzenia poczynionych zapisów. Nadto objęcie księztw przez Filipa II utrudni śledztwo, gdyż ani sędzia sądzić, ani téż świadek świadczyć nie będzie przeciw własnemu królowi. Królowi polskiemu o wiele uprości się sposobność w udowodnieniu swych praw do spadku.

Kromer na dniu 3 kwietnia uwiadamiając cesarza o tém poselstwie upraszał go zarazem, iżby swoim wpływem wymógł na Filipie II zgodnego ustąpienia praw w tak słusznęm żądaniu króla polskiego. Cesarz dał mu i tą razą przychylną odpowiedź, jak zwykle czynił. Kromer zanadto ufając obietnicom cesarza, łudził niemi i króla Zygmunta, kiedy jak się zdaje, cesarz był już przeświadczony, że Filip wcale nie myśli oddać tego co zagrabił.

Ztąd wszelkie zabiegi były nadaremne, a w Neapolu władza miejscowa zajęła na swą własność księztwo Baru z należącemi doń dobrami, przytem wszelkie ruchomości i sprzęty domowe, które naj-słuszniej należały do króla polskiego. Prócz tego zabrała wszelkie

dokumenta i korespondencye tyczące się obudwóch księztw, aby tym sposobem umożliwić królowi polskiemu dochodzenie swych praw do spadku. Do spełnienia tych wszystkich łotrstw i kradzieży, najwięcej dopomagała rodzina Papagody, będąc sama stroną interesowaną. Całe to postępowanie srodze oburzyło Zygmunta. Polecił więc Kryskiemu swemu posłowi uskarżyć się o to przed Filipem II, zażądać zwrotu wszystkich rzeczy, dowodów i całej korespondencyi i wymóżyć na królu uwięzienie obudwóch Papagodów, to jest ojca i syna, dla ścisłego wysledzenia tych szachrajstw ¹⁾.

Kryski wykonał rozkaz króla, lecz został bez skutku. Wprzód nim mu udzielono odpowiedź, rozeszła się wieść, że Papagoda ów zręczny fakszerz testamentu odebrał swe zapisy, a w nagrodę otrzymał godność markiza i zarząd nad księstwem Baru. Na dniu 15 maja Filip II zbyt oschłą dawszy odpowiedź posłowi, wskazał mu drogę sądową, jako najwłaściwszą do dochodzenia praw swego pana. Odpowiedź ta ohydnie zabrzmiała w uszach polskich i boleśnie dobodła.

Kromer dotknięty tem do żywego, sądząc że cesarz chętnie w tém dopomoże, uprasza go na dniu 4 czerwca o przyjście z pomocą i radą tak srodze skrzywdzonemu jego królowi. Cesarz zbyt go obojętnie mówiąc, że robił ze swój strony przedstawienia swemu synowcowi, a na daną przez niego odpowiedź nie umiė radzić, jednak nie omieszka mu jėj zganić i zmusić do zgody. Pod ten czas przybył do Wiednia Hozyusz biskup warmiński, jadący do Rzymu i jednocześnie upoważniony od króla Zygmunta do powinszowania Ferdynandowi I wstąpienia na tron cesarski. Dnia 23 czerwca otrzymał posłuchanie Hozyusz, na które przybył z Kromerem dla wyrozumienia sprawy o spadku. Uskarżał się głównie o to, że Filip II kazał wypłacić zapisy Papagodom, a króla polskiego uwodzi i na drogę sądową odsyła. W końcu dodał, iż przy dobrej chęci cesarza mógłby dopomóc tak ohydnie zelżonemu monarsze. Po pięciu dniach cesarz ubolewając nad biegiem sprawy, obiecywał znowu wszelką pomoc i gotowość w pośredniczeniu pojednania stron zwaśnionych.

Zygmunt August postanowił urzędową zanieść skargę do cesarza na haniebne działania władz neapolitańskich i upraszać go o pomoc w odebraniu wszelkich papierów po królowej Bonie pozostałych. Kromer dnia 6 lipca z polecenia królewskiego przedstawił cesarzowi żądanie, aby Filip II zwrócił wszystkie papiery i dokumen-

¹⁾ List królewski pisany do Kryskiego dnia 17 i 20 kwietnia 1558 r. z Wilna, znajduje się w odpisie w archiwum kapituły warmińskiej. O całym tém postępowaniu wiedział książę Alby vicekról Neapolu, tylko Kryski miał zlecenie wywieźć się o nieprzyjaciółach księcia na dworze, aby przez nich więcej wpłynąć na zdanie Filipa II króla.

ta odnoszące się do spadku, usunął Papagodę z urzędu dla uproszczenia sprawy testamentowej, gdyż król Zygmunt nigdy nie przystanie na układ pozorny i wolałby wszystko utracić, niż na drodze sądowej, gdzie od dobrej woli króla Filipa zależy, miał tylko jakąś część odzyskać.

Po niejakim czasie cesarz uwiadomił strony, iż pragnie je dobrowolnie pogodzić. W imieniu Zygmunta stawał Kromer, a ze strony Filipa II sam cesarz. Obiedwie jednak strony przyjęły go warunkowo, a Zygmunt oświadczył swą gotowość, byle król hiszpański sumienniejszą chciał postępować. Filip II chcąc uniewinnić się ze swego działania, położył nader uciążliwe warunki i tak napisał do cesarza: „Po śmierci Bony stawili się ajenci polscy przed władzami Neapolu i zażądali wydania całego spadku. Te jednak uznały, iż podług testamentu mnie należy się księstwo Baru, a obdarowanym zaś poczynione w nim zapisy. W myśl ustaw i rozporządzeń krajowych, ajenci odesłani byli do sądów dla zeznania prawdy pod przysięgą. W wydanym rozkazie najwyraźniej polecono sędziom, jednokowy mieć wzgląd tak na króla polskiego jak i na mnie samego. Zygmunt zaś oskarża mnie, iż on będąc ogólnym spadkobiercą, niesłusznie zająłem wszystkie dobra i dochody z księstw Baru i Rossano. Ja zaś z mojej strony to tylko wzięłem, co uważałem za należące się do mnie, nie przekraczając wcale granic słuszości. Dotąd nic nie zostało rozdane, ani nieodebrane wedle brzmienia sprawiedliwości. Ze považam i nagrodziłem Wawrzeńca Papagodę, to nie dziwnego, gdyż odbierane przezemnie listy jeszcze za życia królowej Bony świadczą, najlepij o jego wiernj i uczciwj służbie; ojciec zaś jego oddawna był rządcą (kastellan) Baru. Przytem jest on tylko urzędnikiem cywilnym i bez żadnego wpływu na sądownictwo. Wcale nie posiada tytułu markiza, tylko za życia jeszcze królowej Bony otrzymał w podarunku dobra Capursi, a których nie ma prawa król polski odbierać. Aczkolwiek jestem w swoim prawie, jednak przystaję na kompromis, kiedy Wasza Cesarska Mość chcesz pośredniczyć z warunkiem rozstrzygnięcia sprawy tak co do rzeczy ruchomych, jak i nieruchomości. Do tych ostatnich należą i obdarowani, dla których wyznaczyć trzeba terminu prawnie w obrębie zamieszkania ich sądowego. Rozkazałem oddać królowi polskiemu należące doń ruchomości. Jeżeli za zasadę kompromisu ma być wyrok sądowy oparty na prawie krajowem, lub téż zeznanie wiarogodnych osób świadczących to tylko, coby było wymagalne; to wybieram pierwsze i żądam odrazu rozstrzygnięcia praw używania i własności. Z samej istoty prawa feudalnego w Neapolu radziłbym takich wybrać z sędziów włoskich, co są naukowj, praktycznie wykształceni i nieposzlakowanej wiary. Dla przekonania króla polskiego o mojej bezstronności, zezwalam na wybór obcych sędziów, pomimo że ustawy krajowe zalecają rozstrzygnięcie takich spraw sędziom miejscowym.“

W sprawie tój choiano zainteresować i Maksymiliana syna cesarskiego i postowie obiecywali mu imieniem Zygmunta Augusta oddanie w dożywocie księstwa Baru. Prawdziwie Maksymilian okazał się przychylnym sprawie króla polskiego i nawet w prywatnej rozmowie z Kromerem oświadczył, że sam uważa testament Bony za podrobiony, przyczém ostrzegł o zabiegach Pawła IV-go papieża z księciem Alby vice-królem Neapolu pracujących nad zniszczeniem dokumentów. Filip II-gi dla zupełnego zabezpieczenia się w sprawie testamentu królowej Bony, gndzie mu rzeczywwiście grozić mogło niebezpieczeństwo, obdarował Karaffę synowca papieżkiego Księstwem Rossano, wciągając go tém samém do uczestniczenia w popełnioném łotróstwie. Papież nie przychylny domowi Habsburgów sprzeciwiał się nawet objęciu korony cesarskiej przez Ferdynanda I-go, jednak przemogła w nim chciwość i spowodowała zatracenie wszelkich dokumentów do Baru. Największym właśnie błędem dyplomatyki polskiej było niedbałe pominięcie osoby papieża, aby go pozyskać dla sprawy Zygmunta. Połączony teraz wspólnością interesów stanął po stronie Filipa II-go. Należało obecnie przez przedstawienie większych korzyści papieżowi zerwać ów szkodliwy sojusz dla interesów króla polskiego. Nikt jednak tego królowi nie doradzał, a tém mniej Kromer, który nie śmiał kompromitować osoby papieża. Wówczas słowa papieża były gromkie i wiele znaczyły, których nawet i Filip II-gi nie odważyłby się lekceważyć.

Zygmunt August miarkując, że poselstwo Kryskiego żadnego nie odbiera skutku, odwołał go na początku jesieni z Hiszpanii. Przy pożegnaniu Filip II-gi usprawiedliwiając się z całą naiwnością, ubolewał bardzo, że nie może zadosyć uczynić żądaniom króla polskiego, będąc obowiązany pod przysięgą bronić praw krajowych; jednak jeżeli mu przynajm oba księstwa na własność, to pragnie je oddać. Sekretarz jego Vargasa dodał, iż nie chcą zrywać z Polską, tylko przypodobać się cesarzowi. Poufne to zeznanie będące istnym fałszem wzięto za prawdę i ztąd Zygmunt August ubiegał się ciągle o pośredniczenie cesarza. Podług praw neapolitańskich spadek nie uregulowany w ciągu roku przechodził pod nadzór fiskusa miejscowego. Opóźnienie tój sprawy nie pochodziło z winy króla polskiego, żądał więc, ażeby Filip II-gi odpowiednią do spadku stawil kaucyą i na czas trwania układow usunął od zarządu Papagodę, który groźbą i więzieniem straszyl nieprzychylnych sobie świadków.

Na jesieni cesarz wyjechał do Pragi dla ogłoszenia się królem czeskim i tamże podążył za nim Kromer. Tu przedstawił mu na dniu 14 listopada owe żądanie Zygmunta, domagając się wydania wszelkich ruchomości nie należących do sporu, lub też stawienia kaucyi do chwili wyjaśnienia sprawy testamentowej. Cesarz napisał list ¹⁾

¹⁾ Dnia 20 grudnia 1558 roku pisany.

do Filipa II-go przedstawiając mu warunki Zygmunta Augusta, przytém namawiał go do pojednania się na drodze polubownej odstępując od drogi sądowej. Chiwość Filipa była niepohamowana, i tą razą obiecywał oddać ruchomości, a nie poprzestając na dobrowolnej umowie, usilnie obstawał za drogą sądową i za spieszném wybraniem sędziów gruntownie obznajmionych z prawem krajowém. Co zaś do Papagody, tego król obawiać się nie potrzebuje, a o zawieszeniu terminu spadkowego nie zapomni. Wyrok bowiem sądowy wysoką przynosił korzyść Filipowi II-mu pod wielu względami, a kompromis przynawałby milcząco podrobienie testamentu, prócz tego na drodze kompromissu należało zrobić pewne ustępstwo. Droga sądowa, której Filip II gi żądał miała i złą stronę, gdyż wyjawiałaby przed całym światem wyraźną kradzież wszelkich dokumentów. Dumny Filip II-gi unikając podobnego rozgłosu przystał na kompromis, czyniąc to ni by na wyraźne żądanie swego stryja.

Cesarz pojechał z Pragi w styczniu 1559 roku na sejm do Angsburga, a z nim i Kromer. Tu otrzymał list Filipa II-go do odczytania i cała treść jego była sprzeczna z podanemi przez króla polskiego warunkami. Odrzucenie drogi polubownej, a domaganie się wyroku sądowego było haniebne. Kromer domagał się kaucyi na pewność i to w formie dowodu opatrzonego podpisem i pieczęcią Filipa II-go, nie prostego rozkazu, lecz chętnego oddania ruchomości, gotowizny i wszelkich papierów potrzebnych do udowodnienia spadku. Przedstawiając to Kromer cesarzowi oświadczył że podobna odmowa, to znaczy naigrawać się z przeciwnika odebrawszy mu poprzednio wszystkie środki obrony: jeżeli zaś Papagoda pozostanie w Barze, to na pewno zebrał już sobie świadków, a wydalil nie przychylnych sobie. Pomimo listu Filipa II go, cesarz jeszcze raz przez posła jego hr. de Luna nakłaniał do przyjęcia drogi polubownej; lecz Filip II-gi uporczywie obstawał przy swoim. Wówczas zapytał się cesarz Kromera, czy ma upoważnienie do działania na drodze sądowej. Na to odpowiedział, że wprawdzie niema zlecenia, jednak jest przekonany, iż Zygmunt chętnie przystanie, skoro tylko odbierze prawnie mu przyznane ruchomości i papiery. W każdym razie żąda od swego króla dalszych instrukcyj.

Pokazało się w końcu, że dopóki trwała wojna z Francją, to Filip II-gi i cesarz zbywali wykrętami Kromera, używając coraz innych wybiegów. Od chwili zaś zawartego pokoju ¹⁾ odpowiedzi stawały się coraz bardziej szorstkie i docinkowe mszcząc się za czynione różne pogróżki. Zniecierpliwiony tém Zygmunt, że sprawa wleceze się od roku i dotąd bez skutku, pragnął odwołać Kromera z Wiednia i na inną drogę dochodzić praw swoich. Rzeczywiście był to

¹⁾ Na dniu 3 kwietnia 1559 roku w Chateau Cambresis.

krok najodpowiedniejszy godności króla polskiego. Widocznie Kromerowi nie chciało się opuszczać Wiednia, łudził więc Zygmunta zwozniczemi nadziejami, opierając je na poufnych gawędach z Maksymilianem, a nie mających żadnego wpływu na bieg wypadków. Na mocy takich listów uspokoił się nieco Zygmunt, polecił Kromerowi pozostać i zgodzić się na wyrok sądowy przez cesarza wydany; lecz unikać wszelkiego urzędowego sporu prawnego, raz dla braku dowodów do legitymacji spadku po matce potrzebnych, powtóre, iż dostawieni zewsząd świadkowie będą albo przekupieni, lub też zagrożeni karą.

Otrzymałą tę odpowiedź Kromer dnia 2 czerwca złożył cesarzowi i nalegał o zmuszenie Filipa II-go do koniecznego oddania ruchomości i papierów. Po pięciu dniach namysłu Ferdynand I-szy zawiadomił Kromera o przesłaniu owych żądań królowi Filipowi z nadmienieniem spiesznego przychylenia się do zgody. Nadto chciał tylko objaśnić się, czy Zygmunt poprzestanie na samym wyroku cesarskim, opartym na zasadach sprawiedliwości, bez prawnego rozglądania obustronnych pretensyj i bez zwoływania obcych sędziów. Kromer wahał się sam stanowczo odpowiedzieć, znowu zapytywał się Zygmunta o instrukcję, król przyzwolił na ścisłe śledztwo sądowe dochodzące rzetelnej prawdy, aby tylko nie wywoływało wrzawliwego processu.

Tymczasem na dniu 19 lipca Kromer wyjednał sobie posłuchanie u Maksymiliana, któremu z całą otwartością przedstawił obecny stan sprawy spadkowej i doniósł o zupełnym zniszczeniu dokumentów. Na to Maksymilian odrzekł: hiszpański to fortel, jednak jestem pewien, że nie Filip, lecz zausznicy jego chcą się obłowić. Kromer dodał: Kto cudzego dotyka się palcem, to naraża swoje na garście i czyż podobna ścierpieć popelniony gwałt na własności króla Zygmunta, przez zabranie wszelkich ruchomości, gotowizny i papierów; testamentu nikt nie roztrząsał, a na dochodzenie spadku wskazują drogę processu w sądach neapolitańskich, z pod których wyjęty jest Papagoda. Niema nic dziwnego, odpowiedział Maksymilian, on to najwięcej przysłużył się swemu panu napisaniem testamentu; jednak przyrzekł wstawić się do ojca o nakłonienie Filipa do dobrowolnej zgody z Zygmuntem i o oddalenie z urzędu Papagody ¹⁾.

Cesarz pozornie udając rozjemcę, przestał w dniu 15 sierpnia formę odbyć się mającego kompromisu królowi Filipowi i nazaczył zaraz termin układow na dzień 11 listopada. Atoli opóźniła się sprawa. Filip II-gi polecił wprawdzie wydanie ruchomości i pieniędzy i zezwolił na ich wywóz; lecz rząd Neapolu nie usłuchał rozkazu

¹⁾ Obacz sprawa z poselstwa Kromera do Ferdynanda cesarza przez A. Batowskiego. Lwów 1853 roku w 8-oo.

i jeszcze założył pretensje do Baru z powodu wygaśnięcia linii prostej i przelania praw przez księcia Franciszka Sforza na cesarza Karola V-go. Nadto chciał wyjąć z pod kompromisu wszystkich legatariuszów, sądząc, że tenże albo odsądzi ich od spadku, albo też dochodzić będzie autentyczności testamentu. Wskutek tego mianował kuratora do całej masy spadkowej z prawem zaspokojenia wszystkich legataryuszów, a przeto kompromis uległ dalszej zwłoce. Naznaczony termin (d. 11 listopada) był również zawczesny i dla króla polskiego i wywołał zwłokę. Zygmunt natychmiast wyznaczył ze swjej strony dwóch pełnomocników: Jana Ocieskiego kanclerza W. Kor. i Piotra Myszkowskiego sekretarza W. Kor. Ocieski nie mogąc żadną miarą kraju opuścić dla spraw ważnych, zastąpił go ks. Jan Przerębski prymas, a na drugiego naznaczony był Kromer.

W październiku już powrócił Kromer z cesarzem do Wiednia, gdzie oczekiwał na przyjazd prymasa. Przerębski przybył dnia 20 stycznia 1560 roku, a naradziwszy się z Kromerem, w naznaczonym dniu stanęli przed cesarzem. Prymas na urzędowym posłuchaniu obojętnie nadmienił o rzeczywistym celu swjej podróży i upraszał o prywatną audyencyą. Dnia 26 stycznia zaproszony przez cesarza Przerębski oświadczył, iż król Zygmunt najmniejszego niema żalu do Filipa II-go, tylko jest rozgniewany na jego niepostulusznych doradców i urzędników działających wbrew rozkazowi swego króla. Upraszał więc cesarza, aby swą powagą, skłonił do koniecznego oddania ruchomości, gotowizny i papierów. Cesarz i tą razą ubolewając pozornie nad rozdrażnionym stosunkiem dwóch spokrewnionych z sobą monarchów zapewniał, że wszelkich próbował środków do przełamania uporu króla Filipa dążąc do zobopólnej ich zgody; lecz od chwili wyjazdu Filipa z Flandryi do Hiszpanii, żadnego nie odebrał listu i gotów jest umyślnego wyprawić doń posłańca. Zdaje się że spełnił obietnicę, a odpowiedzi nie było. Zniecierpliwiony tém prymas na posłuchaniu mianém dnia 9 marca z goryczą uskażał się przed cesarzem nad niechętném wydaniem ruchomości i mimo dziewięć miesięcy wyczekiwania na odpowiedź, dotąd żadna nie nadeszła. Jaką dał odpowiedź cesarz, nie wiadomo, prawdopodobnie radził poczekać na spodziewane co chwila listy z Hiszpanii, tłumacząc króla Filipa zbyt niem przeciążeniem się różnorodnemi sprawami, którym wystarczyć nie może. Obadwaj posłowie nie tając obawy, aby ich starania około interesów królewskich nie spełzły na niczém, otrzymawszy dnia 26 marca posłuchanie u cesarza oświadczyli mu, że dopóty tu pozostaną, dopóki król Zygmunt sam nie uzna za dobre. Atoli nie chcąc bezczynnie wyczekiwać na odwołanie wspomnieli o doniesieniach agentów włoskich, wręczając na piśmie nowe postulata, jako rząd neapolitański pomimo przyrzeczeń i rozkazów Filipa nie tylko nic oddać nie chce, lecz rości jeszcze pewne pretensje, wypłaca legata i długi w sporze będące, nie czekając ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy, o co głównie idzie. Dodali i to, że król hiszpań-

ski, gdyby rzeczywiście miało mu się co należeć, ma w ręku 400,000 czerw. złotych zaciągnionych na hypotekę za życia królowej Bony, do których przybyła summa 86,000 czerw. złotych z dwóch rat jedynie Komory Foggia niesłusznie zabranych królowi, i nadchodzi jeszcze trzecia rata, o którą chcą prosić króla Filipa, aby wprost wypłaconą była na rzecz króla Zygmunta. Wkońcu spodziewają się że cesarz powagą swą wyjedna nie tylko wypłatę tych rat, lecz skłoni Filipa aby nie kazał nic wypłacić legataryuszom i mniemanym wierzycielom i oddać zaraz rzeczy ruchome i kosztowności ¹⁾.

W tém oczekiwaniu upłynęły marzec i kwiecień, dopiero w maju nadeszły listy jeden do cesarza, drugi do hr. de Luna. Cesarza uwiadomił, jakoby wyznaczony przez niego prawnik do kompromisu ciężko zachorował i innego naznaczyć musi. Posłowi zaś donosik: że dla chwilowego braku monety w Neapolu wypłata gotowizny królowi polskiemu była wstrzymana, lecz obecnie vice-król wypłaci i wyszle zdolnego prawnika do Wiednia.

Dobrodusznie uwierzywszy temu prymas z Kromerem, listem swym z dnia 19 maja upraszał vice-króla o spieszne wykonanie rozkazu Filipa II-go i wydanie ruchomości będących po za obrębem poprzednich układów. Nadto wyjednali list od cesarza do vice-króla popierający we wszystkim ich żądania, czyniąc to jako pośrednik obudwóch monarchów. Cesarz oddając swe pismo prymasowi, nadmieniał tylko, iż on nie może tamować wypłaty zapisów dla osób prywatnych, lecz ajenci polscy w Neapolu powinni zabezpieczyć się przeciw szkodliwym działaniom sądów miejscowych. Tém utudzeni obadwaj przesłali swe listy Adamowi Konarskiemu posłowi w Rzymie i Ludwikowi Monti agentowi w Neapolu umocowanemu przez Zygmunta Augusta, zwracając ich uwagę na wielką przezorność przy żądaniu i odbieraniu ruchomości, a usilnie przeszkadzać wypłacie legatów.

Przerębski z rozkazu króla, nie doczekawszy się końca pozor- nie tylko istniejących układów, zdał wszystko na Kromera, sądząc że niemniej gorliwie je dopełni. W lipcu 1560 roku wyjechał prymas z Wiednia i jednocześnie wyprawił ks. Adama Konarskiego proboszcza poznańskiego do Neapolu, dokąd go vice-król wzywał. Wyznaczony przez Filipa II-go do kompromisu Fryderyk Longus adwokat umarł w Wenecyi, należało wybrać innego, a ztąd powstała nowa zwłoka. Korzystając z tego Kromer upraszał króla Zygmunta o pozwolenie na wyjazd do Krakowa. Chętnie zezwolił na to król, gdyż bawiący podówczas w Wiedniu Hozyusz biskup warmiński podjął się go zastępować. Na pożegnalném posłuchaniu u cesarza dowiedział się o dobrém nihy usposobieniu Filipa II-go dla króla polskiego i wy-

¹⁾ Obacz Sprawa z poselstwa Kromera przez Batowskiego. Lwów 1858. str. 35.

jechał w sierpniu do Krakowa. Za powrotem w końcu września do Wiednia odebranych listów wyczytał, iż sprawa w Neapolu ani drgnęła na jotę. Agenci polscy wciąż byli uwodzeni prózными obietnicami i odsyłani od jednej do drugiej władzy. O wydaniu ruchomości i papierów nie było wcale mowy, a całą korespondencję Bony tak starannie przejrano, jakby przebijano się w tém myśl usunięcia wszelkich dowodów przydatnych dla jęj syna. Użalał się o to Kromer przed cesarzem i przed posłem hiszpańskim oświadcżając, że król jęgo po wydaniu dopięro wyroku, zażąda zwrotu wszelkich ruchomości i wstrzymania spłaty legatów.

W końcu października przybył nadspodzianie z Neapolu Adam Konarski i uwiadomił Kromera o odebraniu jakiejś małej bardzo cząstki ruchomości i papierów i o wyznaczeniu innego adwokata do kompromisu. Nadto w miejsce księcia Alby mianowanym zostaje Farneze książę parmeński vice-królem Neapolu. Ucieszony Kromer polecił listownie Jerzemu (Ticinius) Tyczyńskiemu agentowi polskiemu w Rzymie wyjednanie u papieża koniecznego w takich sprawach rozkazu, któryby groził ekskomuniką tym wszystkim, coby się okazali nieprawymi przywłaszczycielami własności królewskiej, mniemając bowiem tym sposobem zmusić Papagodę i innych do zwrotu skradzionych ze spadku rzeczy. Przytęm w napisanym do Filipa II-go liście przedstawiał Kromer żądania swęgo króla, które komunikował d. 9 listopada cesarzowi i uskarżał się na niepomamowaną, chciwość króla hiszpańskiego w zagrabieniu całego spadku po królowej Bonie; prosząc raz jeszcze o wstawiennictwo i udzielenie ojcowskiego napomnienia, iżby pan tak bogaty nie robił sobie wstydu tym haniebnym postępkiem. Cesarz zbył go ladającą odpowiedzią, na jeden temat oddawna ułożoną.

Kromer na dniu 2 grudnia nader ostro powstał przed hrabią de Luna posłem hiszpańskim na złą wolę urzędników neapolitańskich starających się zastaniać wszelkie łotrstwa Papagody; lecz te wszelkie jęgo wysiłki były bezskuteczne. Następnie zajął się z Antonim Latertianus prawnikiem neapolitańskim przejrzeniem pozostałego po śmierci Bony testamentu. Porobił nad nim swe uwagi, przejrzał niektóre dowody objaśniające sprawę i pisał do króla o wyszukanie układow słubnych z Boną, o wyjaśnienie jakie istniały stosunki z domami Gliwicz i Strus, które zajmowały się przesyłką złotych i srebrnych sprzętów do Włoch, wkońcu jaka była ich waga i czas wywozu.

Kromer uwiadomiony w styczniu 1561 roku, że Filip II-gi miał polecić vice-królowi spełnić żądania Polaków i przytęm wyprawić adwokata do Wiednia, dla przyspieszenia tego wymógł na cesarzu nowy list do Neapolu. Jednocześnie polecił cesarz ułożyć punkta do kompromisu dla stron zwaśnionych i zakomunikował im takowe dla przyjęcia i podpisania. Zygmunt usilnie pragnał ukończenia tęg sprawy. Z namowy więc Kromera nowego wysłał posła do Hisz-

panii dla wybadania rzeczy na miejscu, i użył do tego Piotra Dunina Wolskiego dziekana kujawskiego. Rzeczywiście był to mąż pełen nauki, zręczny i wykształcony. W połowie lutego przyjechał do Pragi dla narady i ułożenia dalszego planu w poprowadzeniu sprawy i czego głównie domagać się należy od króla hiszpańskiego. Na późnej bowiem jesieni 1561 roku pojechał cesarz na sejm do Pragi i tam blisko rok cały przepędził, a z nim jako nieodstępny towarzysz i Kromer. W marcu 1562 roku wyjechał Wolski do Madrytu. Jednocześnie wyjechał w poselstwie do Rzymu ks. Adam Konarski proboszcz poznański dla robienia ztamtąd nacisku na Neapol. Tak obsadzone posterunki przedstawiały się z wielką dla Zygmunta korzyścią, tém więcej że po jego stronie stawać mieli najzdolniejsi prawnicy neapolitańscy jak Palumbus, Latertianus i Maxilla. Wszelkie jednak nadzieje zostały zawiedzione i w miarę pozornego zbliżania się do końca, coraz większe tworzyły się przeszkody. Między innymi rozmaicie rozbierano zasadę wyroku sądowego. Zygmunt z namowy swych prawników żądał wyroku na podstawie prawa pospolitego; Filip zaś uważając te księstwa za dobra lenne w swém państwie domagał się wyroku wedle praw neapolitańskich. Po długich sporach pragnący zgody Zygmunt i na to zezwolił, przeczco nowe powstały trudności, ponieważ prawa przez wykład sędziego wyzyskują swą stronę praktyczną, ztąd nowe wynikiło pytanie: kto w razie wytworzenia się wątpliwości w wytkumaczeniu jakiego artykułu prawnego, będzie wyjaśniał takową prawomocnie? Znowu sprawa się odwlekła. Zygmunt naznaczał do tego cesarza, zaś Filip sędziów neapolitańskich jako tłumaczy praw i ustaw Neapolu. Wprawdzie Filip miał za sobą pewną słuszność, o ile ówczesna praktyka sądowa równoważyła zasadę w stosowaniu artykułów prawa; lecz Zygmunt podejrzewając o stronność sędziów neapolitańskich nie chciał zezwolić, aby wszystkiego nie stracić i napróżno nie narazić się na koszt. Codziennie coraz bardziej upadał na duchu Zygmunt; zamyslał nawet swą skargę przestać na sobór Trydencki, coby było większą wytworzyć jeszcze niedorzeczność. Podejrzewał nawet Kromera o jakieś sympatyje niemieckie, zwłaszcza po rozejściu się wiadomości w Polsce, jakoby cesarz przyobiecował mu pierwsze wakuujące w swych krajach biskupstwo. Rzeczywiście Ferdynand dawał mu biskupstwo wiedeńskie, lecz Kromer nie przyjął nie chcąc ubliżyć swęj godności i przytém nie wystawiać się na krzyki sobie niechętnych. W takich okolicznościach stanowisko jego w Wiedniu stawało się coraz drażliwsze i teraz dopiero się przekonywał, że przy wytworzeniu rozmaitych w podobny sposób przeszkód, interes spadkowy i za lat kilka nie dojdzie do końca; jak to nam z wszelką dokładnością opisuje Eichhorn w żywocie Hozyusza ¹⁾. Jaki był rzeczywiście skutek kilkoletniego

¹⁾ Stanislaus Hosius T. II str. 266 i 407—411.

poselstwa Kromera w Wiedniu, da się w krótkich zamknąć słowach: że oba księztwa pozostały przy Filipie, a summy neapolitańskie, o które napróżno upominali się Wazowie, zostały dopiero umorzone rozbiorem Polski.

Nie lepiej i druga powiodła mu się sprawa w pojednaniu cesarza Ferdynanda I-go z Izabellą siostrą króla polskiego i pretendentką do korony węgierskiej. Kromer użyty został za pośrednika w sprawie tak trudnej i drażliwej dla obydwóch stron, gdzie chciwość i łakomstwo głównie przeważały.

Jan Zapolya książę siedmiogrodzki, rywal Ferdynanda w Węgrzech umierając 1540 roku zostawił wdowę i małoletniego syna Jana Zygmunta. Opiekunowie jego idąc wbrew traktatu waradyńskiego pragnęli utrzymać go na tronie węgierskim. Przeciwko niemu wystąpił cesarz. Wynikły ztąd krwawe wojny i okropne spustoszenia, tém więcej, że Izabella wraz z synem oddała się pod opiekę sultana tureckiego, który chętnie ich przyjmawszy wypowiedział wojnę Austrii. Odtąd bezwłasnowolnóm będąc Izabella narzędziem w rękach Turków, jeszcze w gorsze popadła po wypędzeniu jój z Węgier (1551 roku).

Tak smutne położenie siostry ciężko dobodło jój brata. Wy-mawiał jój wprawdzie, że jako księżniczka katolicka oddała się w ręce śmiertelnego nieprzyjaciela chrześcijaństwa, a jako jego siostra była główną sprawczynią krwawych wojen przeciw swemu teściowi. Przytém dostrzegł, iż Turcy własnych tylko dopatrują się korzyści. Po dwakroć więc wysyłał ¹⁾ ks. Jędrzeja Przecławskiego dziekana poznańskiego do Izabelli w nakłonieniu jój do zgody i zdaniu się w całej sprawie na rozsądek cesarza. Początkowo Izabella unikała zgody, lecz później zmieniawszy swój zamiar napisała list do Jana Ocieskiego kanclerza W. Kor., żądając zgody i pośredniczenia w niej samego brata. Ocieski zdał całą tę sprawę Kromerowi dla bliższego wybadania zamiarów Ferdynanda, a nadto tak poprowadził sprawę, jakoby cesarz, a nie Izabella domagała się pokoju. Na wyjednaném dnia 20 maja 1558 roku posłuchaniu cesarz mu odpowiedział: iż chętnie przychyli się do zawarcia koniecznego dla siebie pokoju, skoro tylko Izabella korzystne przedstawi mu przez swego brata warunki, w niczém nienaruszając zawartego z sultanem zawieszenia broni.

Zadowolniony tém Zygmunt uważał swą siostrę za więcej upe-nioną w swych zamiarach ²⁾ przez zawieszenie broni, które już nie długo się kończyło. Pragnęła je więc na wiosnę 1559 roku przedłu-

¹⁾ W roku 1556 i 1557.

²⁾ Jeżeli to prawda, że Zygmunt traktował o połączenie związkiem małżeńskim Izabelli z arcyksięciem Karolem, obacz Hurter Geschichte kaisers Ferdinand's. II Bd I s. 47, to właśnie wówczasby się działo.

żyć do jesieni, na co cesarz chętnie przystał; lecz Izabella nie doczekała się końca oznaczonego terminu i umarła w lecie tegoż roku.

Zygmunt August dowiedziawszy się o śmierci siostry, nakłaniał jej syna Jana Zygmunta do zawarcia pokoju. Ten pragnął początkowo pokoju i wysłał postów do Wiednia; również i Zygmunt polecił Kromerowi skłonić cesarza do stawienia łagodnych warunków. Zebrałi się we wrześniu 1560 roku z obu stron kommissarze i rozpoczęli układy o pokój. Na pośrednika ze strony króla polskiego był wyznaczony Jan Lutomirski. Żądania obustronne były wielkie i po długich naradach nie przyszło do zgody i komissarze rozjechali się. Zerwano zawieszenie broni i na nowo wojna zaważała. Wprawdzie pojedyncze tylko oddziały siedmiogrodzkie dopuściły się gwałtu, lecz austriackie z większą odplaciły się wściekłością. Tak przeszło pół roku bez widocznych obustronnych korzyści. Na wiosnę 1561 roku zdawało się że przyjdzie znowu do jakiegoś zbliżenia i obie strony szukały pośrednictwa u króla polskiego. Książę Jan Zygmunt dał nawet do zrozumienia, iż chętnie zostałby zięciem cesarza, byle tylko zawrzeć pokój. Król polski przyjąwszy pośrednictwo zlecił Kromerowi pilnie zająć się pogodzeniem dwóch ksiąząt chrześcijańskich dla uniknięcia zbyt wojowniczej postawy Turków będących w Węgrzech. Król polski koniecznie pragnął ożenić swego siostrzeńca z córką cesarza ¹⁾ i w tym celu pisał listy do młodego księcia i do cesarza; a nawet osobnego wyprawił posła do Wiednia ks. Wojciecha Starzrzebskiego biskupa chełmskiego. Wszystkie te zabiegi okazały się na próżno. Zbyt były obiedwie strony rozdrażnione i ku sobie zawzięte, tak że w kwietniu 1563 roku zwątpiono zupełnie o ich pogodzeniu. Wszelkie rady nawet Kromera były bezskuteczne i z lekceważeniem przyjmowane. Pobyt przeto Kromera na dworze cesarskim stawał się coraz przykrzejszym i dla osoby jego dokuczliwszym. Tracił na kredycie u Zygmunta Augusta, a najgorzej jeszcze stanął, kiedy król prawdziwie zażądał rozwodu z Katarzyną arcyksiężniczką Austriacką. Wprawdzie biedna królowa nie cieszyła się wielkiem przywiązaniem swego męża, lecz od chwili niepomysłnych wypadków sprawy spadkowej zupełnie ją sobie znienawidził.

Kromer zaś osobiście był przeciwny rozwodowi, a zapytany o zdanie utrzymywał, że rozwód jest grzeszny inieвозмоny. Jednak musiał popierać tę sprawę i nieraz być narażonym na ostre przycinki cesarza. Raz zagabnięty zapytał się go cesarz: czy to wasza teologia uczy porzucać żony? Na co odrzekł: nasza nie, lecz królowie

¹⁾ Obacz listy te z roku 1562 i 1563 w Menckenii Sigismundi Aug. epistolae, legationes, etc. Lipsiae 1703. w 8-ce, listy: 13, 14, 22, 43—45, 51, 56, 57, 77, 92, 99, 227 i 228. 2) Tamże Menckenii listy 45, 57, 77 i 229.

innę zwykle trzymają się teologii. Cesarz znów go zapytał: co to będzie, jeżeli król nie przestanie zaniedbywać królowej? będąc dzieci, ale nie z prawego łoża. Kromer na to: ja tylko dziennym jestem mego króla sekretarzem.

Odtąd Kromer starał się tylko przez przychylnych sobie o powrót do Krakowa. Okrzyczane bowiem zdolności jego dyplomatyczne zupełnie zawiodły. Głównie brak decyzji w kwestjach spornych naraził Kromera na wiele nieprzyjemności, gdyż nikogo nie zadawałniał i nigdy prawie powierzonych sobie w zaufaniu interesów ani przeprowadzić, ani załatwić nie umiał. A jednak niepodobna go oskarżać o niechęć i niedbalstwo. Słabego charakteru, lecz nader wrażliwego i ruchliwego umysłu nie potrafił wyrabiać w sobie tego hartu i stałości w zdaniu jakie znamionują człowieka wyższego, a zdanie ostatniego, choćby najgorsze uważał za najstuszniesze. Nie chciał narazić się nikomu, stąd w kwestjach spornych albo się usuwał ze swém zdaniem, lub też chwycił się drogi pośredniej potakując dobrodusznie wszystkim, przeczco ich zwykle na siebie obruszał. Kromer nie pojmował korzyści jaką byłby przyniósł swemu królowi przez opuszczenie Wiednia, lub nawet przez dobrowolne zrzeczenie się spadku po królowej Bonie. Raz byłby uniknął tych wielorakich upokorzeń, szyderstw i natrzasań, jakie wywołały się w opinii publicznej, o czém mógł nieraz miarkować z okazywanej mu przez cesarza niecierpliwości i przygryzków; powtóre stanąłby w postawie odpornej jakoby przepowiadającej dochodzenie swych praw mocą oręża. Wprawdzie nie radny stan ówczesnego państwa i ta zależność króla od Stanów Rzeczypospolitej wielce utrudniały czynności posła. Jednak mąż obrotny, przebiegły i korzystający z najmniejszej okoliczności, mógłby nie jedno wytargować z wyższym daleko zaszczytem i lepszym dla króla pożytkiem wszystkie poruczone sobie sprawy załatwić. Najwięcej tém błądził Kromer, że obawiając się odpowiedzialności w najdrobniejszych rzeczach domagał się od króla instrukcyi, czém poddawał się w podejrzenie, jakoby więcej sprzyjał Austrii jak swemu panu. Kromer pod okiem zręcznego i mądrego przewodcy byłby wielką oddał przysługę kościołowi i ojczyźnie, lecz sam zwykle wahał się i cofał, schodząc z drogi której trzymać się był powinien. Ztąd i wszelkie jego prace i usiłowania stały się bezowocnemi.

Ostatnie chwile jego pobytu w Wiedniu osładzali mu głównie jego przyjaciele, przebywający również na dworze cesarskim. Między nimi odznaczał się Antoni Brus urodzony w Müglitz na Morawach i od 1558 r. mianowany biskupem wiedeńskim. Mąż uczony i rozumny, na ktorego usługach był Mikołaj brat rodzony Marcina i zapewne przez niego samego mu zalecony. Drugim był Jerzy Draszkowic biskup pięciokościelny, również uczony i pobożny prałat. Był on biskupem węgierskim i prawdopodobnie zawiązała się między nimi ta ścisła przyjaźń, kiedy Kromer zajmował się pojednaniem księcia Jana Zygmunta z cesarzem, a jak była serdeczną, to opisuje

nam kardynał Otto Truchsess pocieszając listownie Kromera po odejździe Draszkwica do Trydentu ¹⁾. Zawarta przyjaźń dotrwała późnych lat kiedy Draszkwic w r. 1586 został kardynałem a Kromer serdeczne przesyłał mu życzenia. Zaprzyjaźnił się także z Juliuszem Pflug biskupem naumburskim, obadwaj jako uczeni wzajemnie przesyłali sobie swe pisma do opinii, które wówczas w obronie kościoła wydawali. Również w ścisłych żył stosunkach z trzema kardynałami: Hozyuszem, Jakubem Puteus i Ottonem Truchsess; prawdziwie braterską pałał miłością dla Hozyusza, którego dobro więcej go obchodziło jak swe własne. Najwięcej tego doznawał, kiedy straszna wybuchła zawiść w Rzymie przeciwko Hozyuszowi, którego papież mianował na wiosnę 1560 r. nuncyuszem w Wiedniu. Wówczas zawiść i zabiegi jego przeciwników nie chciały do tego dopuścić, Kromer w listach swych do kardynałów Truchsessa i Puteusza wynurzając się ze swemi żgryzotami, błaga ich o wstawienie się za przyjacielem. Obadwaj ujęci tém jego współczuciem odpisali mu w marcu tegoż roku w te niemal słowa: „bądź spokojny, zasługi i zalety Hozyusza tak są powszechnie znane, iż im szkodzić niepodobna, a gdyby cokolwiek się pokazało, natychmiast wystąpimy dla odparcia jakiegóż ukrytej napaści ²⁾. Uradował się bardzo odebrawszy wiadomość od Hozyusza, żeby wyszukał dlań odpowiedniego mieszkania w Wiedniu. Już w kwietniu 1560 r. przybył Hozyusz do Wiednia i odtąd nawzajem porozumiewali się z sobą i naradzali tak w sprawach politycznych, jak i kościoła. Obadwaj przyjaciele jasno pojmowali w jakim niebezpieczeństwie znajdowały się rządy i kościół, znali błędy i występki czasu, ztąd szczerze pragnęli zapobiedz złemu, które coraz więcej rozkrzewiało się między ludźmi. Wspólnie dzielali między sobą radość i smutek, co jednego dotknęło, to drugiego zabolowało. Za przykład niech nam to posłuży. Obrażony został Hozyusz przyjazdem nuncyusza Delfini do Wiednia, który podejrzewał go o brak ufności w jego zdolnościach i usposobieniu dla papieża. Wynikły ztąd nieporozumienia w lecie 1560 r. tak, iż Hozyusz w liście pisanym do Rzymu chciał upraszać Ojca Św. o uwolnienie mówiąc, że wielość nuncyuszów więcej szkodzi jak pomagają dobrej sprawie. Kromer boleśnie tém zmartwiony ze zboląłem sercem przelał całą swą żalność w listach do obudwóch kardynałów. Wnet obadwaj pocieszając go w owym smutku zapewnili, że niepotrzebnie trwoży się Hozyusz tak wysoko przez papieża poważany, poselstwo zaś Delfiniego ma zupełnie cel wyłączny; upraszając w końcu, iżby uspo-

¹⁾ *Jul. Pogiani epistolae et orationes, Romae vol. II p. 303.*

²⁾ *Tamże v. II p. 22.*

koń swego przyjaciela i usunął wszelkie podejrzenie ¹⁾. Niedługo potem w październiku 1560 r. kardynał Truchsess doniósł poufnie pod sekretem o zamiarze ofiarowania purpury Hozyuszowi, co się sprawdziło na dniu 26 lutego 1561 r. Nie tyle jednak ta wiadomość rozradowała serce Kromera, ile mianowanie Hozyusza legatem papieskim na sobór Trydencki. Nie długo trwała radość. Kardynałstwo Hozyusza wywołało w Polsce wielkie wzburzenie i nieprzyjaciele jego domagali się ukarania go przez odebranie biskupstwa ²⁾. Drepczyły wielce Kromera te wszystkie hałasy i spodziewał się, że za przesłaniem listów papieża i kardynałów pisanych do króla i Stanów Rzeczypospolitej, które przyszły na jego ręce, uspokoją się nieco umysły. Już w sierpniu 1561 wyjechał Hozyusz do Trydentu i wówczas uczuł prawdziwą swą samotność po jego odjeździe.

Z kardynałem Ottonem Truchsess prawdopodobnie poznał się 1559 r. w Augsburgu i ta ich znajomość zamieniła się później w gorącą przyjaźń, czego dowodzą ich listy w r. 1560 i 1561 do siebie pisywane i w nich są skreślone najważniejsze ówczesne wypadki. Znane nam są tylko listy Truchsessa, które ks. Pogiani zebrał a jezuita Lagomarsini w r. 1756 wydał, lecz odpowiedzi Kromera pozostały dotąd w rękopismie i mało bardzo są znane. Kromer w opowiadaniu ważnych ówczesnych wypadków odkrywał swą głęboką naukę i zadziwiającą bystrość dowcipu; umiał wracze potrzeby dać zdrową radę, okazać wielki rozum, szczególną wymowę i z równą śmiałością karcić złe, jak i dobre pochwalić.

Dawniejszą była jego zażyłość z kardynałem Jakóbem Puteuszem. Gdzie i kiedy z nim się zapoznał dotąd nam nie wiadomo, lecz już w r. 1556 przesyłając mu egzemplarz swój Kroniki, przyłączył i list z wielkiem dlań uwielbieniem. Listy obydwoh tyczące się głównie soboru Trydenckiego są drukowane w dziele Cypriana ³⁾.

Sobór ten zarówno był upragnionym przedmiotem dla wszystkich przyjaciół kościoła, jak i dla Kromera. Będąc posłem świeckim na dworze cesarskim miał sposobność wywierania swego wpływu, zaś jako ksiądz musiał być dbałym o dobro kościoła. Hozyusz właśnie przedłużał swój pobyt w Wiedniu dla silniejszego poparcia sprawy soboru, a w czem usilnie dopomagał Kromer swemu przyjacielowi. Zdawało się, iż w ówczesnych zamieszaniach religijnych tylko sobór powszechny zdoła tamę położyć, lecz przedewszystkiem nale-

¹⁾ *Jul. Pogiani epistolae* vol. II p. 85, 90, 107 i 138. *Cypriani Tab. eccles. Roman.* p. 106 list z d. 7 września 1560. r. Obszernie opisał to Eichhorn w żywocie Hozyusza T. I str. 338—341.

²⁾ *Eichhorn Hosius* T. II str. 1—14.

³⁾ *Cypriani Tab. eccles. Rom.* p. 555 i nast.

żało w protestantach wyrobić doń zaufanie. Dla nichto bowiem wyszukiwano lekarstwa, ażeby jako chorych i zbłąkanych nakłonić do powrotu na prawą drogę. Z tego względu jak najdelikatniej postępowano z nimi, jednak zamiast upragnionej zgody, daleko silniejsze wybuchło rozjątrzenie. Cesarz nawet był przeciwny przedłużeniu soboru w Trydencie, o co usilnie ubiegał się papież, sądząc, że oburzeni protestanci w żadne już nie wejdą układy mimo najłagodniejszych warunków; lecz pragnął zwołać nowy sobór do Kolonii lub Konstancyi, do Regensburgu lub do Inszpruka. Nuncyusz Delfni wszelkich używał środków do skłonienia cesarza, lecz napróżno; następnie miał zasięgnąć zdania króla polskiego. Dowiedziawszy się o tém Kromer, na posłuchaniu otrzymaném d. 4 października 1560 r. u cesarza, pragnął wy badać w tym względzie jego zamiary dla powiadomienia o nich swego króla. W rozmowie swęj przedstawił swe myśli, utrzymując, iż sobór jest nader potrzebny i nie należy go odwlekać. Dla pośpiechu większość pragnie przedłużenia go w Trydencie, gdyż zwołanie drugiego w inne miejsce, zbyt wiele zabierze czasu i wywoła nowe niespodziane trudności. Na to cesarz odpowiedział: „Wprawdzie daną ks. biskupowi warmińskiemu odpowiedź uważają niektórzy za opór stawiony soborowi. Nikt jednak nade mnie bardziej go nie pragnie, tak dla wewnętrznej spokojności kraju i swego domu, jak i dla obrony granic od napaści Turków, lecz rozumiem co jest możliwe a co nie. Wychowany w katolicyzmie żyję jak katolik i chcę nim umrzeć. Przez 40 lat prawienic ważniejszego bez mojej wiedzy nie zaszło, znam więc doskonale Niemcy i jestem przekonany, że protestanci nie przystaną na dłuższe trwanie soboru w Trydencie i już nie jedne odrzucili jego warunki. Należy nowy zwołać synod nie wspominając wcale o poprzednich układach i postanowieniach w Trydencie, zażądawszy poprzednio przyzwolenia protestantów. Zbyteczném jest zwoływać sejm, papież sam może natychmiast inny ogłosić sobór. Takie jest jego zdanie i oczekuje tylko na odpowiedź Delfniego.“ Kromer dosłownie zakomunikował całą tę rozmowę Zygmuntowi Augustowi i zgodnie z jego myślą król przystał na zdanie cesarza. Uważał bowiem Kromer, że protestanci po ustaleniu się soboru nie tylko nań przyzwolą, ale i przysłuchiwać się będą, gdyby coś stanowczego było przedstawiane. Należy więc z wszelką łagodnością uczyć i na drogę prawdy naprowadzać bez zrobienia uszczerbku poprzednim ustawom, a choćby całość nie mogła być stanowczo przejrzaną dla małej liczby znajdujących się tamże biskupów, to zawsze potrzebuje sankcyi papieża. W tym duchu napisał Kromer w końcu lata 1560 r. do kardynała Puteusza utrzymując, że daremne będą wszelkie usiłowania papieża, jeżeli nie zgodzi się na zwołanie nowego Soboru, lub też gdy protestanci przy przedłużeniu dawnego zmuszeni będą do wysłuchania tego, co dawniej było posta-

nowione ¹⁾. Puteusz zgadzał się na niektóre uwagi Kromera i odpisał mu d. 9 listopada 1560 r. w te niemal słowa: „Ojciec Św. to tylko postanowi, co uzna koniecznym za poradą kardynałów. Nie pojmuje wyrażenia jego w liście o małej liczbie biskupów w Trydencie, któryzy mimo to nie zawiodą, zaufania całego ogółu soboru, tylko nie stawiający winni przelać na nich swe głosy w tém przekonaniu, że utrzymają ważność już ułożonych postanowień.“ Jednocześnie prawie pisał Kromer do Juliusza Pfluga (donosząc mu o chęci zwołania nowego soboru i że w tój myśli pisał nawet do Rzymu ²⁾). Biskup naumburski mieszkając między protestantami i doskonale poznawszy ich usposobienia, niezmiernie się ucieszył ze zgodności swych myśli z Kromerem, a w odpowiedzi swój przydał, że przedewszystkiém należy wysłuchać protestantów, wymierzyć im wszelką sprawiedliwość wedle danego słowa i tegoż nie cofać. Wprawdzie mogą protestanci odrzucić lub zniweczyć dawniej ułożone ustawy w Trydencie, czemu łatwo zapobiedz oświadczeniem się papieża, że nie idzie o naganę postanowień dawnych soborów, lecz o przekonanie protestantów w błędzie zostających i wysłuchania z całą gotowością wszystkich ich spornych zarzutów.

Kromer po otrzymaniu listu od kardynała Puteusza, dla okazania swych gorliwych usiłowań w sprawie soboru odpisał zaraz w listopadzie 1560 r. kardynałowi, iż byłoby z jego strony nierozsądnym, gdy najwyżsi dygnitarze kościoła radzą na Soborze, aby i on nie dokładał się swemi myślami i nie dopomagał do ogólnego dobra kościoła. Jest również tego zdania, że liczba biskupów wcale nie wpływa na ważność postanowień w Trydencie, gdyż wie dobrze, że uchwały 200 biskupów w Efezie, lub 150 w Konstantynopolu to samo znaczą, co ustawy 630 ojców zgromadzonych w Chalcedonie. Wcale nie pragnę osłabienia dekretów trydenckich na korzyść reformacyi, sądzę tylko, iż kiedy sobór zwołany nie tylko dla prawowiernych katolików, lecz i na wyleczenie chwiejących się i odpadłych; to winien działać jak roztropany doktor i z największą łagodnością a dobrocią łagodzić surowość ustaw kościelnych. Nie domagam się usunięcia dawnych ustaw, tylko pragnę nowego przesłuchania protestantów dla zamknięcia im gęby, że zostali osądzeni bez wysłuchania. Można wysłuchać ich żądania, takowe rozważyć, zbadać i w ten sposób odeprzeć, by sami przekonali się o słuszności i prawdzie rzechonych ustaw, przez to pozyszcze się chwiejących i odkryje zapamiętałość uwodzących. Tom bowiem rozumiał przez małą liczbę biskupów, gdyż o tyle łatwiejsze było wykonanie, nimby nie nastąpiło za-

¹⁾ List Kromera do Puteusza, dotąd nie znany; treść jego znana tylko z odpowiedzi kardynała.

²⁾ List ten również nieznan, tylko z odpowiedzi ks. Pfluga treść tegoż.

twierdzenie papieskie owych dekretów. Uczony biskup Naumburga przydawał jeszcze i drugi powód, to jest obietnicę, którą dotrzymać trzeba. Tego przekonania byli w Niemczech, jednak Rzym miał prawo o tém wyrokować i traktować wedle swego sądu.

Z równą gorliwością i w roku następnym zajmował się sprawą soboru, uwiadamiając o wszystkim co się działo w Polsce i Wiedniu kardynała Truchsessa. Donosił o objawianej nieufności w szlachetne zamiary papieża, czém zagrzewał do istotnego czynnego działania. Mniemano bowiem w Wiedniu, iż z uspokojeniem się rozruchów we Francyi ostygnie zapał dla soboru; wówczas rozgłosiliby protestanci a za nimi i katolicy, że zwoływanie tegoż ubliżyłoby powadze papieża. Kardynał Truchsess w odpowiedziach swych upewniał Kromera o bezzasadności tych wieści, i że papież najwięcej zajmuje się sprawami soboru, popierając to niezbitemi dowodami.

Kromer na częstych posłuchaniach miewanych u Maksymiliana króla czeskiego prowadził z nim rozmowy religijne jak niegdyś czynił to przyjaciel jego Hozyusz. Raz w lutym 1561 r. Maksymilian mówiąc wiele o synodzie naumburskim, naciągnął umyślnie rozmowę na sobór trydencki. Kromer chętnie się do niej przychylił mówiąc że jego król również jak i cesarz pragną raczej zwołania nowego soboru, jak jego przedłużenia; co na jedno wyjdzie, zwłaszcza gdy papież cofnięcie poprzednio ułożonych ustaw Trydentu zostawi do woli soborowi. W końcu dodał: rzecz dziwna, że niektórzy domagają się uchylenia dawniejszych dekretów trydenckich przez papieża nie pojmując tego, iż tém samém podnoszą jego władzę, ale nie niweczą, jakby pragnęli.

Kromer baczenie śledząc wszelkie stawiane przeszkody soborowi tak na dworze cesarskim jak i innych książąt, oraz na rosnącą nienawiść protestantów w Naumburgu przeciw papieżowi, potrzebował na nowo ulżyć swym troskom i w tej myśli napisał do kardynała Truchsessa: wątpię o uratowaniu kościoła, jeżeli Wszchemocny nie wesprze i nie dopomoże. W takim razie uciec się należy do modłów, aby Pan Bóg ulitował się nad swymi. Truchsess poznawszy bystrość rozumu Kromera w sądzeniu o rzeczach, za pełnym porozumieniem się z papieżem i kardynałami uspokajał rozstrojony umysł swego przyjaciela, utrzymując, że takie filary jakie obecny posiada kościół, zastaniają go od najgwałtowniejszych nawałnic ¹⁾. Rzeczywiście do tego nie doszło, jak sobie Kromer wystawiał. Niezmordowana czynność kardynała Hozyusza przezwyciężyła wszelkie trudności opóźniające otwarcie soboru i z ukończeniem swój missyi w Wiedniu już na początku sierpnia 1561 r. wyjechał do Trydentu dla zajęcia swego urzędu jako legat papieski. Kromer i tą razą nie zaniedbał listownie

¹⁾ *Jul. Pogiani epistolae* vol. II str. 248 i 277.

skłonić Zygmunta Augusta i prymasa do jaknajśpieszniejszego wyprawienia posłów na sobór, dla dania dobrego przykładu innym książętom i biskupom. Dowiedziawszy się o tém Truchsess dziękujeł mu za jego poświęcenie żałując tylko, iż on przy takiej swjéj nauce i rozsądku, nie może dopomagać swą radą zgromadzonym na soborze ¹⁾. Zygmunt August nakłoniony listami Kromera i Hozyusza, wnet wyprawił Uchańskiego biskupa kujawskiego z dwoma towarzyszami, tak iż ks. Fałęcki opat sulejowski już w miesiącu listopadzie 1561 r. znalazł się w Trydencie jako zastępca duchowieństwa polskiego ²⁾. Z wielką uwagą śledząc Kromer początki otwarcia soboru ucieszył się odebraną od kardynała Truchsessa wiadomością o wyjeździe biskupów włoskich i hiszpańskich do Trydentu, jednak niepokoily go rozchodzące wciąż wieści o zaprzeczeniu ważności ustaw dawniejszych, jak niemniej władzy papieża i soboru. Pisał więc d. 22 grudnia 1561 r. do Hozyusza swego przyjaciela, iż chociaż synod szczęśliwie się rozpoczął, jednak powątpiewa o jego dobrych skutkach. Odebrane później listy nie zaspokajały wcale czynnego umysłu Kromera. Między innymi donosił mu Jędrzej Dudycz biskup węgierski o zaproszeniu protestantów na sobór, a nim ci przyjadą, radzą nad pewnemi zmianami i pomimo wywołania burzy rozpoczną rzecz o papieżu. Nadto określił mu wyraźnie wnioski jakieby mogły dotknąć samego papieża, kardynałów, biskupów i zebrane tamże duchowieństwo. Poniekąd zatrwożył się tém Kromer, jednak mimo wszelkiej żywości przy roztrząsaniu ustaw kościoła, kiedy szło o ostateczne postanowienie, jednomyślna następowała zgoda na uznaną prawdę. W sprawach tylko karnych większe wynikały spory i zdawały się wywoływać blizkie rozwiązanie soboru, o czém nawet szeroko rozchodziły się wieści w lecie 1562 r. i zdaje się że tylko ręka Wszchemocnego obroniła i ocaliła kościół, ale nie rozum ludzki.

Na jesieni tegoż roku towarzyszył cesarzowi do Frankfurtu nad Menem dla obioru nowego króla rzymskiego. Obrany nim został d. 24 listopada arcyksiążę Maksymilian. W połowie już grudnia wyjechał cesarz Ferdynand z Frankfurtu, a przez Spirę, Strasburg i Kolmar udał się do Freiburga. Zkąd w styczniu 1563 r. pośpieszył przez Konstancją do Inszpruka aby się bliżej znaleźć soboru. W całej téj podróży towarzyszył mu Kromer i w lutym t. r. zatrzymał się przez czas jakiś w Trydencie, zkąd podążył za cesarzem do Inszpruka, gdzie był już w kwietniu. Bawiąc w Trydencie przekonał się dowodnie o szczęśliwie kończącym się soborze. Wprawdzie Kromer nie należał osobiście do synodu, jednak wspierał przewodników swą

¹⁾ Tamże vol. II str 297 i 303.

²⁾ Eichhorn Hosius Bd. II p. 48.

mądrą radą, a przez gorące swe modły upraszał dla nich o błogosławieństwo Boże ¹⁾. Z ukończeniem się synodu uważał Kromer i swe posłannictwo na dworze cesarskim za skończone. Już na początku 1560 r. upraszał się o odwołanie dla swych niepowodzeń, jednak musiał zostać, odebrawszy list od króla polskiego, który pochwała jego pilność i poświęcenie się, a w końcu przyrzeka mu nawet nagrodę. Znowu na jesieni 1561 r. w sposób najdelikatniejszy dopraszał się o zamianowanie w swe miejsce następcy; lecz i tą razą próśby jego nie wysłuchano, nie mogąc wynaleźć odpowiedniego do zastąpienia go na tak ważnym poselstwie. Po upływie roku starał się na nowo o swe odwołanie i spodziewał się najpóźniej takowe na jesieni 1562 r. otrzymać ²⁾. Jednak zawiódł się i musiał towarzyszyć cesarzowi do Inszpruka, a następnie do Wiednia, gdzie go w lecie 1563 r. spotykamy. Niedługo potem pojechał do Presburga aby być obecnym koronacji Maksymiliana II na króla węgierskiego, a która odbyła się d. 8 września. Ztamtąd powrócił znowu do Wiednia, gdzie już był w styczniu 1564 r. Na wiosnę tegoż roku zabłysła mu pewniejsza nadzieja powrotu do ojczyzny, po odebraniu wiadomości, że ks. Karnkowski mianowany został posłem na dworze Maksymiliana króla rzymskiego. Jak długo bawił jeszcze w Wiedniu i czy aż do śmierci cesarza przypadł d. 25 lipca 1564 r. tamże pozostawał ³⁾, niewiadomo. Zdaje się, iż przed tym czasem opuścił Wiedeń; na początku bowiem października 1564 r. przebywał już Kromer w swym majątku Dekanowice i ztamtąd pisał list do Hozyusza.

Kromer był wielce lubiony i poważany przez cesarza Ferdynanda I dla jego stosunków politycznych i religijnych ⁴⁾. Zręcznym swym postępowaniem tak umiał pozyskać sobie względy cesarza, iż ten chciał go na zawsze w swym państwie zatrzymać. Sądził bowiem, iż chętnie przyjmie jaką godność zagraniczną, kiedy w swej ojczyźnie mimo tak wielkich zalet i zasług, dotąd żadnego nie otrzymał biskupstwa. Nadto mniemał, że jako Polak z łatwością nawyknął do zwyczajów i obyczajów niemieckich, gdyż żaden naród nie odznacza się tak szybkim nawyknieniem do obczyzny, ku czemu nawet wielka nastęrczała się sposobność Kromerowi. Cesarz ofiaro-

¹⁾ Jak wysoko był poważany Kromer od legatów papieskich, pokazuje się to z listu kardynała Moroni, pisanego d. 26 września 1566 r. mówiąc, że oddawna wiele o nim słyszał dobrego i dopiero w Inszpruku (w kwiet. 1568r.) poznawszy go osobiście, przekonał się o prawdziwym jego rozsądku i nauce.

²⁾ *Jul. Pogiani epistolae* T. III str. 175.

³⁾ Wszystkie te szczegóły o jego podróżach i pobycie w Wiedniu są poczerpnięte z listów różnych osób, przechowywanych w archiwum kapituły warmińskiej.

⁴⁾ Obacz Joh. Kretzmer *Monum. hist. warmien.* T. III p. 136.

wał mu biskupstwo wiedeńskie pragnąc go zatrzymać przy sobie, aby mu służył za doradcę w sprawach politycznych i kościoła. Prawdopodobnie chciał go mianować Ferdynand 1562 r., kiedy ks. Antoni Bruss biskup wiedeński przeniósł się na stolicę arcybiskupią w Pradze. W pierwszej chwili Kromer zamierzał przyjąć, lecz gdy kilka biskupstw polskich razem zawakowało, obawiał się postąpić przeciw woli swego króla, rachując, że mu jakie przeznaczy ¹⁾. Tą razą zawiodła go nadzieja, wszystkie zostały obsadzone innymi biskupami. Mimo to stanowczo odmówił cesarzowi, więcej ceniąc swe przywiązanie do kraju, jak najwyższe zaszczyty osiągnięte na obczyźnie. Podobne odmówienie Kromera zdawało się że obrazi cesarza, owszém przeciwnie się stało. Cesarz oceniając te jego cnoty i chcąc okazać światu jak wysoce szanuje męża, którego więcej uważał za swego doradcę, jak za posła obcego monarchy, przypuścił go do swego stołu i do swęj kolasy. Nadto zatwierdził nadane mu przez króla polskiego szlachectwo na całe swe państwo i przydał do jego herbu ozdoby rodziny cesarskiej, to jest: czerwoną wstęgę poprzeczną na białém polu, a na hełmie orzeł czarny dwugłowy cesarstwa ²⁾.

Spełniając przez lat kilka tak trudny urząd królewskiego posła w Wiedniu i uwolnwszy się od niego, pragnął poświęcić się spokojnemu życiu kapłańskiemu, a w chwilach wolnych pokończyć rozpoczęte swe prace naukowe. O ile był zadowolniony z jednéj strony, o tyle znów martwił się niechęcią dworu okazywaną mu przez złe poprowadzenie sprawy spadkowej Baru. Jednak przy swym rozumie uważał całą tę sprawę za zbyt zawikłaną i prawie za przepadłą, co głównie go powodowało do uwolnienia się od niej raz na zawsze. Pomimo to Piotr Dunin Wolski agent polski na dworze Filipa II ciągle namawiał go, aby przybył w poselstwie do Hiszpanii ³⁾. Przeciwnie podjął się Kromer w towarzystwie Jana Kostki kasztelana gdańskiego poselstwa do miast Hanzy, Lubeki i Rostoka dla zgodnego pojednania zaprzyjaźnionych oddawna z Polakami Lubeczanów z królami Danii i Szwecyi, z którymi tyloletnie prowadzili krwawe wojny ⁴⁾. Zlecenie to królewskie jak najsumienniejsz wykonał. Wprawdzie nie zdołał nakłonić stron do zawarcia pokoju, gdyż walczący zanadto się roz-

1) *Cypriani Tabul. eccles. Rom.* p. 233.

2) Tak sam opisuje Kromer *Polonia lib.* I p. 498.

3) List Wolskiego do Kromera pisany z Madrytu dnia 23 września 1564 r.

4) Sam Kromer mówi w przedmowie do swęj historii w lipcu 1566 r. Niepodobna dokładnie oznaczyć czasu tego poselstwa. Kromer również go nie oznacza i mówi tylko że wkrótce po powrocie z Wiednia. Było to więc albo w lecie 1564 r., lub na początku 1565 r., gdyż już w maju 1566 r. wspomina o niem Andrzej Patrycy Nidecki w liście Kromera, jako o rzeczy dawno odbytej.

zarli ze sobą, aby mogli poprzestawać na jego gołosłownych przedstawieniach; lecz jednak swą powagą i rozumem powszechnie zjednał sobie poważanie i zostawił niezatartą o sobie pamięć w Lubece.

Na tém kończyły się jego polityczne zajęcia. Wprawdzie domagano się aby zjechał 1565 r. na sejm piotrkowski, na który usilnie zapraszali go prymas Uchański i podkanclerzy Myszkowski; lecz jednak nań nie pojechał. Koniecznie pragnął się usunąć od spraw krajowych aby oddać się zupełnie dla kościoła i nauki. Nigdzie nie napotykały śladu do 1569 r. o jego pobycie na dworze królewskim. Głównie przebywał jako dziekan w Krakowie, a czasami jeździł do Warmii, częścią dla spełnienia tam swych obowiązków, częścią dla służenia radą i czynem swemu przyjacielowi Hozyuszowi. Wiedzano zawsze o jego pobycie, gdy w ciężkiej jakiejś sprawie było potrzeba światłej jego rady. Żadne ważniejsze traktowanie nie obyło się bez jego zdania, gdy je chciano stanowczo załatwić. W wielkiem był poszanowaniem u kapituły krakowskiej. Niewiadomo wprawdzie jakie tam posiadał urzędy, na których mógł się odznaczyć jako mąż uczony i zdolny. Że zaś szczególnie był poważany od członków kapituły dowodzą tego rozliczne pisywane listy do niego, a w nich nieustanne zasiąganie jego rady i pomocy.

Prymas Uchański zwołał na dzień 17 grudnia 1564 r. synod prowincjonalny do Piotrkowa, na który listem swym zaprosił wszystkich biskupów i kapituły, przytém uwiadił że przybędą na synod kardynał Hozyusz i nuncyusz Commendoni. Kapituły pospieszyły z wysłaniem swych delegatów. Krakowska wyznaczyła dwóch: Marcina Kromera dziekana i Stanisława Dambrowskiego archidyakona. Kromerowi nie podobał się ani czas ani wybór miejsca na synod, i pomimo że obiecywał, nie pojechał jednak. Król dla panującej zarazy w Piotrkowie chciał przenieść zebranie do Łęczycy lub Sieradza, gdy zaś na razie nie dało się wykonać, samo przez się upadło. Uchański chcąc koniecznie na swoim postawić, wezwał niby na żądanie powszechnie, na nowy sobór naznaczając dzień zjazdu 14 października 1565 r. Niecierpliwie wyglądał każdy owę chwilę zebrania, na które przybyć mieli niezawodnie Hozyusz i Commendoni. Uradowani tém członkowie pospieszyli na czas oznaczony, nawet i Kromer ze swym towarzyszem Dambrowskim przybył do Piotrkowa, lecz rozchwiał się i to zebranie. Pomimo najusilniejszych i zasadniczych przedstawień prymasa, król zażądał odroczenia synodu, pomimo że miał wiele dobrego zdziałać dla kraju i kościoła. Przy tak rozerwanych stosunkach państwa i sam Kromer pragnął zebrania się synodu dla utrwalenia pewnych zasad jakieby się nań ułożyć dały.

Do wielu spornych rzeczy przyłączył się jeszcze i rozwód królewski. Zygmunt August ożeniony d. 23 czerwca 1553 r. z Katarzyną córką Ferdynanda I cesarza rzymskiego i Anny Jagiellonki, tak sobie ją sprzykrzył, iż 1564 r. postanowił się z nią rozłączyć. Początkowo przeznaczył ję na mieszkanie miasto Radom. Zygmunt

jako katolik nie chciał samowładnie postąpić. Uważał tylko unieważnienie swego małżeństwa za możliwe, będąc spokrewniony z żoną w trzecim stopniu, a jako powinowaty (szwagier) w pierwszym stopniu. Dysydenci przebywający na dworze królewskim przejęci tém gorącym życzeniem oderwania Polski od kościoła, rozgłaszali ów rozwód aż nadto za usprawiedliwiony. Jednak Zygmunt więcej posiadał w sobie zasad religijnych i nie chciał iść torem Henryka VIII króla angielskiego. Żądał przedewszystkiém rozvodu kościelnego i pragnął wiedzieć, czy takowy otrzyma. Z tego więc względu chciał zasięgnąć zdania od swych słynnych duchownych, czy małżeństwo jego z Katarzyną dla stopnia pokrewieństwa i powinowactwa jest ważne i czy rozwód jest dozwolony. Znając także Kromera jako biegłego kanonistę, zażądał i jego zdania.

Trudne to było zadanie. Wiedzano powszechnie że król żąda rozvodu. Lękliwi i nadszkakujący swemu monarsze zdawali się podzielać życzenie swego pana, uważając je jako rozkaz dla siebie, lecz Kromer inaczej to pojmował. On wyżej cenił prawdę jak wolę swego pana, więcej obawiał się Boga jak władzy ludzkiej. Własnym rządząc się zdaniem czystą wypowiedział prawdę, mogącą się podobać lub nie i wyraził swe myśli w formie usuwającej wszelkie wątpliwości z zupełnym wyjaśnieniem rzeczy. Na dniu 2 lutego 1565 r. przelał je na papier i takie postawił na czele pytania: czy małżeństwo Zygmunta Augusta z Katarzyną jest ważne i czy takowe może, lub winno być rozwiązane. Na co oświadczył: że chociaż niema czasu ani ksiąg pod ręką, jednak na obadwa pytania odpowie bez ogródek i wykrętów, i jak jest przekonany, tak wypowiada swe myśli.

„Małżeństwo zdaje się nie ważne dla pokrewieństwa w trzecim stopniu i dla powinowactwa w pierwszym. Już jedna z tych przeszkód unieważniałaby małżeństwo, tém więcej obiedwie. Nie wpływają one z prawa Boskiego, lecz z prawa stanowionego, zatem dozwolone. Że pokrewieństwo nie płynie z prawa Boskiego, to nam wyjaśnia, iż w Nowym Testamencie nie wspominają o tém Chrystus i apostołowie; w Starym zaś jest dozwolone małżeństwo między krewnymi w drugim i trzecim stopniu linii bocznej. Nie sprzeciwia się ono wcale prawu natury, gdyż po potopie Noe poženił ze sobą synowców z synowicami. To samo zrobił Adam i Ewa z Izaakiem i Rebeką. Żadnej niema także wzmianki w Nowym Testamencie o drugiej przeszkodzie, a w Starym widzimy Jakóba, który miał dwie siostry za żony; również i zwykłe małżeństwa Lewitów nie pochodziły ani z prawa Boskiego, ani z prawa natury. Ztąd wynika, że obiedwie należą do praw papieskich. Wprawdzie łączą się z sobą wszyscy chrześciance, lecz papież może je rozwiązać wedle słów Jezusa Chrystusa: co tu rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie. Któż zaprzecza papieżowi prawa rozwiązania lub nadania praw. Kto bowiem posiada władzę związania, ten ma i władzę rozwiązania. Z tém zaparciem się upadają przeszkody i z niem każda zasada do unieważnienia mał-

żeństwa. Ztąd albo niema żadnych przeszkód i małżeństwo jest ważne, lub jeżeli są jakie, to i od tych służy uwolnienie. Zaś wedle urzędzenia Boskiego są ważne i nierozwiązalne. Kto przeżywszy lat kilka z żoną odmawia jej obowiązków małżeńskich, ten grzeszy i daje zgorzenie. Kto zaś dogadza swym namiętnościom, dopuszcza się cudzołóstwa i ściąga na siebie i swych poddanych karę Bożą, jak zrobili Dawid, Saul i inni królowie, których grzechy strąciły lud do ubóstwa.

„Drugie pytanie dzieli się na dwie części: czy takie małżeństwo może i powinien rozwiązać papież mający władzę związania i rozwiązania? Są słowa Jezusa Chrystusa: „Co Pan Bóg związał, tego człowiek nierozdziela“¹⁾, które najlepiej dowodzą; że (ważnego) małżeństwa nie może rozwiązać człowiek. Ztąd każdy rozwód jest grzechem, choćby nawet był zrobiony dla słusznego powodu. Jak *np.* że król przez nowe ożenie nie się pozyszcze potomka. Niema żadnego następcy, to znajdzie przewidziany wybór w prawach krajowych. Także nie broni żadna choroba lub też nieczułość; gdyż w małżeństwie wszelkie znieść należy cierpienia, bowiem wedle słów Boskich mąż i żona stanowią jedno ciało. Cierpi żona na jaką zaraźliwą chorobę, to możliwy jest rozdział co do stołu i łoża, lecz związek małżeński pozostaje nierozwiązalny, a rozdzielający go staje się cudzołożnikiem, jeżeli z inną przestanie osobą. Czy epilepsya jest zaraźliwa, to należy do medyków. Nieczułość (apatya) zaś bywa zwykle nie trwała, gdyż dawniej była prawie nieznaną.“ Oto pokrótce moje zdanie o sprawie małżeństwa²⁾.

Jaki ono rzeczywiście wpływ wywarło, trudno było nam się dobadć, zdaje się że zostało bez użytku. Odtąd król przestał wspominać o rozwodzie i zdawał się wyczekiwać chwili rozwiązania małżeństwa przez śmierć żony, która dopiero 1572 r. umarła. Kromer przewidywał to i poznał tę fałszywą myśl monarchy. Ciężko ubolewał nad smutnym stanem ojczyzny, a przy swym otwartym i prostym charakterze szczerze chciał się przyłączyć do dworu³⁾. Jednak zdaleka od niego pozostawał, dopóki sam król nie zawezwał go do siebie. Kromer przemieszkując na ustroniu gorliwie zajął się pracami naukowemi.

Bawiąc jeszcze na dworze cesarskim, w chwilach wolnych od zatrudnień politycznych zajmował się przerobieniem owych rozmów dworzaniina z mnichem, które początkowo nie miały ogólnego tytułu, lecz każda rozmowa miała swój właściwy. Dopiero gdy i zagranicą poczęło się rozchodzić, zwyczaj nadał mu tytuł Mnicha, i ten przyjęty

1) Ś. Mateusz rozd. 19 w. 6.

2) Odpis tego zdania jest umieszczony na końcu w dodatkach nr. 19.

3) List Kromera do Hozjusza z d. 6 kwietnia 1565 r.

został w druku trzeciego wydania. Kromer napisał to dzieło bezmiennie podczas szerzenia się reformacyi w Polsce, chcąc lud w dawniej utrzymać wierze. W pierwszej rozmowie dowiódł, że nowa nauka jest fałszywa, przeciwna słowu Bożemu i bezzasadna. W drugiej pokazał z kąd należy czerpać prawdziwą naukę chrześcijańską. W trzeciej mówi o kościele Bożym albo Chrystusowym. W czwartej nakoniec wykłada naukę kościoła powszechnego. Rozmowę prowadzą między sobą mnich z dworzaninem, i mnich po mistrzowsku broni religii katolickiej przeciw zarzutom dworzanina. W całym swém dziele nie broni osób, lecz religii rzymsko-katolickiej i głównych jej zasad, a w rozumowaniu opiera się na Piśmie Ś. i podaniach kościoła. Prztém zgromadza dowody jakich mu dostarcza życie potoczne, historia i filozofia. W przerobieniu łacińskiem zachował tylko pierwotne główne rysy, nie tłumaczył ich z oryginału polskiego, lecz kreślił dowolnie stylem prostym, jasnym i zastosowanym do przedmiotu. Praca ta zbyt wolno postępowała, a tymczasem kardynałowie Otto Truchsess i Jakób Puteusz zachęcali go ciągle w interesie wiary, iżby rozpoczęte dzieło jak najspieszniej kończył i drukiem ogłosił. Urzędowaniem zajęty nie mógł wszystkich czterech rozmów razem wypracować, lecz zadosyć czyując prośbie swych drogich przyjaciół, przesłał 1559 r. do Rzymu pierwsze trzy rozmowy do przejrzenia i ocenienia tychże przez kardynała Truchsesssa. Teologowie rzymscy nie zupełnie zgadzali się na pojedyncze jego wyrażenia ¹⁾, jednak całość uznali za tak wyborną, że kardynał Truchsess polecił wydrukować je w Dillingen. Wszły najprzód tegoż roku pierwsze dwie rozmowy i wnet zostały przełożone na język niemiecki. Druk trzeciej rozmowy rozpoczął się na jesieni 1560 r. i wyszedł w zimie roku następnego. Całe to wydanie rozmów ²⁾ było z wielką chęcią rozerwane i nader pilnie czytane, które nadspodzianie zadowolniły czytających. Powszechnie uwielbiano jasny i gruntowny wykład dogmatów katolickich, zręczne zwroty w rozmowach, jak niemniej ostrą i ucinkową polemikę z heretykami, czém zjednał sobie niepospolity rozgłos między wyznawcami kościoła ³⁾.

Ciągłe podróże w latach 1562 i 1563 z cesarzem Ferdynandem i jego synem Maksymilianem stawały mu na przeszkodzie do zajęcia

¹⁾ List Hozyusza do Kromera z d. 3 lutego 1560 r. Obacz w dodatku nr. 15.

²⁾ Już w marcu 1561 r. znajdowały się egzemplarze tych rozmów w rękach kardynałów Truchsesssa i Puteusza w Rzymie. O czém przekonywamy się z listu Puteusza do Kromera pisanego d. 29 marca 1561 r., a wydrukowanego w dziele *Jul. Pogiani epist. et orat.* vol. II p. 298 n. c.

³⁾ List kardynała Truchsesssa do Kromera z d. 2 sierpnia 1561 r. Obacz dzieło *Jul. Pogiani* vol. II p. 298.

się przerobieniem czwartej rozmowy. Poniekąd nie spieszył się, pragnął bowiem ukończenia soboru trydenckiego, który właśnie zajmował się dokładnym wyjaśnieniem spornych artykułów wiary. Wstrzymywał się więc z ukończeniem pracy dla skorzystania jednocześnie z układanych na soborze postanowień. Zbierał tylko materyały, odczytywał świeżo wyszłe dzieła teologów protestanckich, przysłuchiwał się skwapliwie każdej rozmowie religijnej, jakie się odbywały między ludźmi różnych stanów na dworze cesarskim, a tak zgromadzony bogaty materiał odpowiadający przedmiotowi znakomicie powiększył rzecz całą. Z czterech rozmów zamienionych na księgi, pozostało ośm rozmów. Na późnej jesieni 1566 r. przesłał swe dzieło do druku Maternowi Cholinus drukarzowi w Kolonii: początkowo nie mógł się zdecydować, komu takowe ofiarować. Teraźniejszego papieża Piusa V nie znając dobrze, obawiał się na siebie obrazić. Zachęcili go dopióro przyjaciele, jak opat Juliusz Ruggieri nuncyusz apostolski w Polsce i kardynałowie Jan Morone, Aleksander Farnese, Commendoni i Hozyusz. Polegając na zdaniu tylu światłych mężów przypisał swe dzieło Piusowi V papieżowi, datując z Heilsberga d. 18 grudnia 1566 r. Pragnął tylko iżby to dzieło nad którym tak długo i chętnie pracował przyniosło obfite pożytki, umocniło katolików w miłości do ich kościoła, a protestantów natchnęło zbawienną do powrotu myślą. Wprawdzie na końcu ósmej rozmowy, dworzaniu zamieścił niektóre sporne kwestye do rozwiązania. Kromer chciał zdać to na swego brata Mikołaja i w liście do niego pisanym a na końcu dzieła zamieszczonym tak się wyraża: że czwartą księgę swych rozmów zamknął tylko, lecz nie ukończył; czując się bowiem schorzałym i starym niema już siły do wykończenia, wymaga więc po nim, jako młodszym i rzemiejszym iżby w myśl zasad przez niego położonych rzeczzone dzieło dopełnił. Jednak brat żądaniu brata zadosyć nie uczynił. Kromer po wydrukowaniu czwartej księgi swego Mnicha, przesłał egzemplarz dedykacyjny kardynałowi Truchsessowi z prośbą doręczenia go papieżowi. Chętnie dopełnił zlecenia kardynał i zarazem był świadkiem szczególnego zadowolenia, z jakim papież ów dar przyjął, i również pochwał jakich dla autora nie szczędził ¹⁾. Książka ta wielki pozyskała poklask w Rzymie. Niektórzy tylko kardynałowie zarzucali niedokładność pewnych wyrażen i domagali się odmian tu i owdzie, jednak z wielkiem odczytywali ją zajęciem ²⁾.

¹⁾ Obacz list kardynała Truchsessa pisany dnia 24 września 1569 r. do Kromera (w archiw. biskup. D. 24 fol. 86). Kardynał Morone doręczył papieżowi trzy pierwsze księgi, obacz Theiner Vet. Monum. Polon. T. II p. 738, gdzie jest umieszczone i podziękowanie papieża z d. 18 lutego 1569 r.

²⁾ Właściwie uczony kardynał z Clairvaux Hieronim de Soubier żądał, aby w księdze IV rozmów (p. 18) wykład nauki o ofierze Mszy Ś. był także

Szczególnie unosili się uczeni katolicy nad dowcipnie obmyślaną polemiką między mnichem a dworzaninem. W ogóle książka ta znakomitą przyniosła korzyść dla nauki katolickiej i wielu w niej gruntownie umocniła ¹⁾.

W owym także czasie powstał ów głośny spór Kromera z Orzechowskim, który na czas jakiś zakłócił spokój jego domowy i o nim nadmienić nam wypada. Stanisław Orzechowski mąż uczony, będący jedną z ozdób swego wieku, po ukończeniu swych nauk w Wittemberdze i Wenecyi został księdzem, a następnie był mianowany kanonikiem przemyskim. Porwany wirem ówczesnych wyobrażeń wyrodziła się w nim chęć ożenienia się, a tém samém silnie począł powstawać na bezżeństwo księży. Przekonawszy się że z doprowadzeniem swych zamiarów postrada dochody kościelne, umyślił zrzec się kanonii. Na uczynione zapytania Jana Dziaduskiego biskupa, jako człek otwarty, wręcz oświadczył szczerę swe chęci żenienia. Biskup zagroził mu klątwą kościelną; pomimo tego Orzechowski upodobał sobie panienkę zostającą w służbie u Piotra Knity i z nią chciał się ożenić. Po zanieśionej przez biskupa skardze, Orzechowski przetożył swą sprawę postom z rycerstwa jadącym nasejm piotrkowski 1550 r. prosząc o poparcie. Ci hołdując już częścią nowinkom religijnym przyrzekli mu swą pomoc i po przedstawieniu prośby jego królowi, domagali się wysłuchania jego obrony. Zygmunt August dla zapobieżenia wynikłym rozruchom dozwolił Orzechowskiemu bronić się publicznie. Orzechowski wynownie i z całym zapałem począł powstawać przeciw bezżeństwu księży; mowa ta wywołała nadspodziane zamieszanie, podnieśli się ze swych krzesel biskupi i zażądali od monarchy iżby mówcy głos odebrał. Szlachta zaś żądała przeciwnie. Król dla pojednania stron dozwolił bronić się Orzechowskiemu z zastrzeżeniem nie tykania duchowieństwa. Zrażony tém Orzechowski wnet zakończył swą mowę prośbą o uchylenie wyroku biskupa przemyskiego. Zygmunt August strapiiony wybuchłą niezgodą szlachty z duchowieństwem, przemysłował nad ich pojednaniem. Biskupi chętnie zgodzili się na odbycie dysputy religijnej z Orzechowskim i pozwolili mu nawet przybrać do siebie sześciu towarzyszy. Wnet przyłączyło się do niego czterech

oparty na Piśmie Ś. Obacz listy Pawła Zajęczkowskiego do Hozjusza z dnia 11 marca i do Kromera z dnia 2 kwietnia i 24 września 1569 r. Te wszystkie listy znajdują się w archiw. bisk. D. 27 fol. 73, 76 i 86.

¹⁾ Tak Konarski biskup poznański posłał 1570 r. księciu Siedmiogrodzkiemu obok dzieł Hozjusza i rozmowy Kromera. Obacz list Konarskiego do Kromera z d. 2 grudnia 1570 r. (w archiw. bisk. D. 29 fol. 139). Także ks. Stanisław Warszewicki zażądał 1579 r. z Upsali od Kromera egzemplarza jego rozmów dla pokazania szwedzkim uczonym. List tegoż z dnia 8 sierpnia 1579 r. w archiw. bisk. D. 39 fol. 43.

województw, wraz z Jędrzejem Górką i jego synami głównymi naczelnikami dyssydentów, i wraz z nim poszli do mieszkania prymasa z zamiarem bronięcia swego ulubieńca. Pod taką groźbą nie przyszło do rozmowy, tém bardziej że rycerstwo chciało siłą poprzeć sprawę Orzechowskiego. Jan z Tarnowa zapobiegając wybuchowi otwartej niezgody wymógł na biskupie Dziaduskim pojednanie się ze swoim kanonikiem pod warunkiem, że Orzechowski nie wprzód się ożeni, dopóki nie nadejdzie zezwolenie papieżkie. Biskupi sądząc że z utratą ulubionego mu przedmiotu utraci i chęć do żeniactwa, podmawiali Kmitę aby ociągał się z daniem przyzwolenia garderobianie swęj żony; lecz Orzechowski podburzany ciągle przez Jędrzeja Górkę i Marcina Zborowskiego przewodców dyssydenckich, trwał ciągle w swym zamiarze i upatrzawszy sobie inną, ożenił się z córką Chełmskiego szlachcica polskiego w same zapusty 1551 r. Podczas wesela występowali goście z cierpkimi mowami przeciw bezżeństwu, przedstawiali papieża jako groźnego niszczyciela najszlacheńszych popędów i twórcę sprośnego żywota, a okrzyknawszy wszystkich księży jako tajnych grzeszników, uwielbiali bohaterski czyn Orzechowskiego.

Po takich wypadkach biskup przemyski uznał za konieczne wystąpić przeciw Orzechowskiemu i zavezwał go przed swój sąd jako księdza zapominającego o swych obowiązkach. Orzechowski stawiał się wraz z liczną czeredą uzbrojonej szlachty chcąc siłą bronić oskarżonego; lecz biskup nie przypuścił go do siebie, tylko rzucił nań klątwę kościelną. Orzechowski odwołał się do zebranego wówczas synodu prowincjonalnego w Piotrkowie, lecz został oddalony z tém oświadczeniem, że postąpienie z nim biskupa jest bardzo słuszne. Jednocześnie zażądano od króla, iżby wydalik Orzechowskiego z kraju jako będącego pod klątwą. Bez wahania się wydał Zygmunt August rozkaz na wydalenie go z kraju; jednak Kmita marszałek w. k. obawiając się wzburzonej szlachty nie spieszył się z wykonaniem wyroku. Ośmielony tém Orzechowski przybył 1552 r. na sejm do Piotrkowa, gdzie wielu znakomitych katolików przemawiało za nim, a od biskupów był serdecznie witany i nawet uwolniony od cenzury kościelnej po przeczytaniu katolickiego jego wyznania wiary i zdania swęj sprawy o małżeństwie pod rozstrzygnięcie papieża. Gdy całą tę rzecz uznano za prostą sprawę dyscyplinarną, a Orzechowskiego za przywiązanego do katolicyzmu, poprzestali więc wszyscy czas jakiś go niepokoić. Tak spędził spokojnie lat kilka, jako ksiądz ożeniony i ojciec rodziny wyczekując na przychylną z Rzymu odpowiedź. Ta jednak w innym ukazała się duchu i prymas obłożył go na nowo 1557 r. cenzurą kościelną. Orzechowski tém zgryziony odgrażał się że porzuci kościół ¹⁾. Groźby jednak nie spełnił brzydząc się postępo-

¹⁾ Obacz list Pawła Głogowskiego archidyakona plockiego do Hozjusza z d. 4 stycznia 1558 r. Obacz w dodatkach nr. 12.

waniem protestantów i zanadto był wierny katolik, aby ją porzucił. Pozostawał więc w klątwie wielce poważany jako uczonej i wyborny mówca, a powszechnie żalowany dla swego postępku. Nie znosząc się wcale z dyssydentami, w sprawach kościoła zawsze przywiązany do katolicyzmu, bronił go ciągle z całą mocą i zrećnością w swych pismach uczonych ¹⁾. Zapał jego religijny wzrastał z latami a dla lepszego rozumienia u ludzi odwoływał się do szacunku kardynała Hozjusza bawiącego naówczas w Trydencie polecając mu listownie swą sprawę ²⁾. Na pośrednika w swój sprawie użył Kromera, jako ściśle za- przyjaźnionego z Hozyuszem i mającego liczne stosunki z kardynałami rzymskimi. Dla zjednania ich sobie Orzechowski jął się do pochlebstwa i w piśmie swém: *Rozmowa albo dyalog około egzekucyi polskiej korony i t. d. 1563 r. 4-o* w rozmowie 6-jej obsypawszy wielkimi pochwałami Hozjusza, przechodzi następnie do Kromera i w te o nim mówi słowa: „I możecież mi w Polsce pokazać uczeniem i pisanem jemu większego. Napisał nam kroniki jako Ksenofon albo Cezar drugi, objawił nas światu, co za lud jesteśmy ludziom obcym ukazał. Mniemali przedtém postronni ludzie, aby Polonia było miasto jakieś, tak jako jest Bononia we Włoszech miasto jedno: czegośmy się po świecie jeżdżąc nasłuchawali dosyć. Oświecił nas Pan Bóg Kromerowem piórem, zalecił nas obcym krajom, tak że nas dziś ludzie nie mają za sprosne i niewyćwiczone jako przedtém nas mieli, ale nas kładą między ludźmi wybornymi rozumy, obyczajmi i naukami w kościele bożym, który kościół jako przeciwko kacerstwu bronił i broni tak w Polsce jako i w Niemczech dziś Kromer. A to tu widzicie, a to tu macie rozmowy Mnicha z Dworzaninem po polsku i po łacinie, które téż Niemcy na swój język wyłożyli i inne księgi jego. A nie tylko z pisma Kromerowego wielką cześć i chwałę korona polska ma, ale téż i z postąg jego. Sprawuje teraz Kromer u cesarza rzeczy króla swego wiernie i poważnie, w osobie jego tak uczczon i uważan jest król i naród polski od cesarza chrześciańskiego, że o jednym stole Kromer z cesarzem siada i na jednym wozie z nim jeżdża, o co u Ferdynanda i książętom wielkim trudno.“ Poniżej to jeszcze dodaje: „Jednak wiedz to, a toć prawdziwie o sobie powiem, że ja nie jest godzien w ten czas świeczki ku czytaniu dzierżéć kiedy Hosius czyta, albo Kromerus pisze: a jeśliże mię Hosiusowi albo Kromerusowi za towarzysza dać chcesz, tedy podobno na to przygodzić się im mogę, abym za Hosiusem księgi, a za Kromerem kałamarz nosił, a za nimi a nie przed nimi chodził, a tego mię mówić i czynić to nie wstyd, chociaż je wy za plebejusze macie, a ja jestem Okszyc i szlachcic polski, czém ja

¹⁾ Jakiemi były: Chimaera, Fricius, Epistola, Dialogi i Quincunx.

²⁾ Obacz list Orzechowskiego do Hozjusza z d. 29 maja 1563 r. umieszczony w Hosii Opera Venetiis 1573, folio, karta 332 i 3.

jestem Hosiusowi i Kromerusowi nierowien: bo ja ludźmi innymi, a oni sami sobą szlachectwa swego dowodzą i to nieherbem w Norembergu rytym, ale rozumem oświeconym i téż dzielnością swą sławną przed Bogiem i ludźmi ukazują.“

W każdym razie spodziewał się Orzechowski, że Hozyusz przychylną wyrobi dla niego odpowiedź, a sobór trydencki jeżeli nie uchyli bezzeństwa, to udzieli wyłączną dla niego dyspensę, na czém zawiódł się mocno. Orzechowski im bliżej stał nad grobem, tém łatwiejszy był do nawrócenia. Należało tylko wpłynąć rozsądnie na niego i natchnąć duchem gruntownych zasad kościoła, aby odstąpił od związku i zastosował się do przepisów naszej wiary. Podjął się téj pracy Kromer z namowy Hozyusza i wkrótce wystąpił w otwartym liście drukowanym 1564 r. w Kolonii przeciwko Orzechowskiemu.

Wstęp jego serdeczny dowodzi prawdziwój przyjaźni i szczerogo szacunku, jakiemi pałał Kromer dla Orzechowskiego. Dowody w tém piśmie są zwięzłe, jasne i przekonywające, poparte wyjątkami z Pisma Św., z Ojców kościoła i ustaw synodalnych. Na samym zaś końcu dobitnie napomina Orzechowskiego i namawia do zerwania związków małżeńskich, bo niemi obraził Boga i kościół i szkodzi swemu zbawieniu. Była to praca niezmiernie ważna i gruntowna. Jako list publiczny rozszedł się po wszystkich rękach i nie jednego nauczył, jaki jest cel i myśl duchownego bezzeństwa. Wydany na czasie nader korzystnie wpłynął na pojęcia tych, którzy go sobie dokładnie wytłumaczyć nie umieli. Współziomkowie Kromera tak byli tém piśmie ucieszeni, że przezwali je złotą książką¹⁾. Papież Pius IV, któremu ofiarował swe pismo, tak niém został zachwycony, iż wyraził autorowi w osobném breve z dnia 9 marca 1565 r. następną pochwałę: „Pismo twoje o bezzeństwie kapłanów z przyjemnością odebraliśmy. Z niego nie tylko poznaliśmy twe zdolności i naukę, ale również i twą troskliwość o dobro religii katolickiej.“

Orzechowski odczytawszy ten list Kromera wybuchnął nań z całym gniewem i z wściekłością i napisał paszkwil przeciw Kromerowi. Jednak w sporze tym Kromer zachował się z całą godnością i powagą, nie odpowiadał na krzyki Orzechowskiego; tylko w tém zbłądził Kromer, że niepotrzebnie użył formy otwartego listu wymierzonego wprost do Orzechowskiego. Należało mu nie stosując do nikogo, rzecz całą ogólnie przedstawić, a przeto nie podrażniłby wyniosłości i pychy Orzechowskiego. Nie poprzestając na tém Orzechowski rozpiisał się ze skargą na Kromera przed jego przyjacielem Jędrzejem Dudyczem, w liście mówiąc: „że człowiek to podłego stanu, nie wart by się z nim mierzył, nawet wedle praw krajowych w sądzie świad-

¹⁾ Obacz list Jana Wielickiego do Kromera z d. 26 ozerwca 1570 r. w archiwum biskup. D. 29, fol. 90.

czyć przeciw niemu by nie mógł, a choćby prawdę zeznawał wiaryby mu nie dano.“ Odpisał mu na to Dudycz i ujmując się za Kromerem mówi w te słowa: „Strapiła mnie najdotkliwiej, mój Orzechowski ta część twego listu, w której największego mego przyjaciela nie tylko srodze szczypiesz, ale ciężko kaleczysz, czegom się wcale po tobie nie spodziewałem. Przecież ten Kromer tak przez ciebie zelżony, już z cnoty, już z rzadkiej i rozległej nauki, z dowcipu, pobożności, zasług, nie mały waszjej ojczyźnie przynosi zaszczyt. Umieją go cenić obce narody, a wybyście na własnych rękach pod obłoki wynosić powinni. Gdybyście go tak czcili, jak go w całym poważają świecie, pewnieby z was każdy pierwszeństwa mu chętnie ustąpił i żadenby się nie śmiał wynosić nad niego godnością i urzędem, które w porządnym rzeczpospolitym oddają w nagrodę samą cnotę jedynie. Jeżeli uswych ziomek nie odnosi należnego sobie uszanowania, nie jego to, lecz wasza wina. Wiercie mi, potomność wam nagani, żeście nie umieli się na nim poznać. On pewnie przy swój wrodzonej skromności spokojnie los swój znosi, dobrze świadom: że po wszystkie wieki najwięksi ludzie podobnego od współczesnych i rodaków doznawali, i nie tylko na los swój nie narzeka, który go nie postawił na wysokim stopniu, lecz owszem cieszy się w sercu, że wolny jest od trudów idących zwykle za okazami dostojności; wolny od kłopotów i zabięć dworskiego życia, które są niebezpieczne dla cnoty a przeciwne nauce. Nasz Kromer opływa w dobra nie równie doskonałe, wiecziotrwałe i nie skażone: wysoką napojony myślą, pogardza blaskiem znikomych dostatków, czczych tytułów i próżną chlubą, za którymi my uganiamy się jak dzieci. Są to tylko mamidła i błaha cacka, łudzące nas swym zwodnym połyskiem. On lepiej widzi z górnego szczytu, że nie są nawet cieniem jakiegokolwiek rzeczywistości. Im lepiej zaś je poznał, tym więcej ceni u siebie spokojną mierność i tym bardziej lubuje się w poznawaniu prawdy. Przypuśćmy jak utrzymujesz: że nie zaszczyca się naszym szlachectwem z przodków; przypuśćmy: że pochodzi z ojca i matki chłopskiego urodzenia. Wszakże pozwól sobie mój Orzechowski powiedzieć prawdę: tobiez to wywiczonemu w szkole filozofii, gdzie powinieneś się być nauczyć odróżnić pozór od rzeczywistości i wznieść się rozumem nad przesady, tobiez to przystało z takim odzywać się zarzutem? pomijam cię, ale i najlichszy uczeń filozofii nie powinienby przywiązywać wielkiej wartości do takiej płonnej błahostki. Dajmy wreszcie, że jest zaletą urodzić się szlachcicem; jednakże jestże to winą lub podłością, gdy kto nie urodził się szlachcicem? Czyż godzi się o to winować Kromera? W jegoz to mocy było począć się, w jakimby chciał żywocie? Zaiste natura, a raczej jój samowładny Stwórca nie zasięga niczyjej rady, kogo gdzie ma umieścić. Któż Go o to pozowie? kto z nim pójdzie do sądu? Doskonale wiesz na czym zasadza się prawdziwe szlachectwo, całkiem odmienne od tego, z którego się lekkomyślnie nadymamy. Nie znam rodu Kromera, pozwalam, że nie równa się naszemu: ale

kiedyż to było, aby filozofia poczytywała zacne urodzenie za najwyższe szczęście? Kromer prawdziwą posiada szlachetność, jaką cnota nadaje i która go wyżej stawia nad wszelkie krzesła i trony. Oto jakbym go widział na obłocznym szczycie w najwyższym gwiazd orszaku, gdzie własnem błyszczą światłem, którego promień wpadając w mą żrenicę mile wzrok mój ku niemu kieruje niecąc w mem sercu pociechę, nie zazdrość. Chlub się, jeżeli ci się podoba krwi świetnością, rachuj na palcach całe rotyswych przodków, wynoś ze wszystkich kątów okopcone i zabutwiałe obrazy przodków; jeżeli cnót ich nie dziedziczysz, powiem ci otwarcie: oto mniej masz w sobie szlachectwa, jak ten co twój ród rozpoczął. Gdy temu bynajmniej nie przeszkadzało niskie urodzenie, czemuż Kromerowi ma to ubliżać? Zdobią go zaszczyty, pomimo których żaden choćby jasnie oświecony, nie zjednał sobie sławy pocziwego wielkiego człowieka, godne abyś się sam poczuwał w obowiązku do oddania im winnego hołdu. O mój Orzechowski, serceby mi pękło z rozpacz, gdyby w twém mniemaniu szkodziło to Kromerowi, czego ani ty, ani nikt tobie podobny, nie liczyłby za wadę żadnemu mądrymu, a z siebie własną zasługą wywyższonemu; lecz raczej byłoby pobudką do wyższego szacunku. Niechajby wreszcie był jak my szlachcicem, z jakimiż to musiałby podzielać ten zaszczyt? Oto z motłochem niedołęgów, wyrodków, zbrodniarzy, zaledwie z twarzy i postaci podobnych do ludzi? Szlachetność zaś duszy i obyczajów umieściła go w orszaku przebranym owych, o których śmiało godzi się wyrzec: to mi ludzie !“

Przy tych różnorodnych zajęciach nie zaniedbywał i swych prac historycznych. Ciągłe przerabiał i poprawiał swą historję. Najbardziej uczuł się zmuszonym do pracy otrzymawszy przekład niemiecki swego dzieła dokonany i wydany 1562 roku w Bazylei przez Henryka Pantaleona. Korzystał skrzętnie z udzielanych mu rad i sprostowań przez dobrych jego przyjaciół, którzy mu chętnie pomagali²⁾ przez dostarczanie różnych ku temu materyałów. Na nowém tém obrobieńiu wiele zyskało dzieło i nie tylko podobało się katolikom, lecz i protestantom. Kto z tych ostatnich godnie umiał oceniać prace litera-

1) Ossoliński, Żywot Orzechowskiego w Wiad. histor. krytycznych Tom III, Część I, str. 165 i nast., a za nim powtórzył Wiszniewski Hist. liter. pol. Tom VII, str. 392.

2) Prymas Uchański udzielił mu wiele dowodów do użytku, ob. Cromer de orig. et rebus gestis Polon. Colon. 1589, lib. VIII, p. 147. Podobnie Jan Franc. Commendon biskup Zantu, kazał przepisać dla Kromera kodeks pism historycznych przez jakiegoś kanonika bremeńskiego zebrany, a znajdujący się w bibliotece watykańskiej w Rzymie. Obacz list księdza Kuczborskiego do Kromera z d. 31 sierpnia 1562 r. w archiwum biskup. w Frauenburgu D. 10, fol. 11.

ckie, ten przynależną oddawał im pochwałę. Szczególnie uwielbiali wszyscy prawdę dziejową, czystość i kwiecistość stylu łacińskiego, oraz dojrzałość sądu i szczęśliwą łatwość wyrażań ¹⁾. Dopiero z powrotem do Polski głównie oddał się uporządkowaniu swój pracy i w roku 1566 wygotował pierwszą księgę ²⁾. W tymże czasie odebrał list z dnia 8 kwietnia 1566 roku od Jana Oporina, w którym donosi mu, że wybuchły w Frankfurcie pożar spalił wiele egzemplarzy jego historii, ztąd nowe zrobićby należało wydanie. Pośpieszył się więc Kromer i już w lipcu t. r. przesłał je nakładcy, a wyszło dopiero w sierpniu 1568 roku w Bazylei.

Jednocześnie z trzecim wydaniem pojawił się w rękopisie i przekład polski Jędrzeja Pograbiusa, jak o tém donosi w liście Hozyuszowi Paweł Wadt. Przekład ten polski Pograbiusa jest nam nieznan. Natomiast znany przekład polski Marcina Błażowskiego drukowany 1611 roku w Krakowie. Tłumacz dopełnił swego przekładu podług wydania kolońskiego i wytknął dwie pomyłki Kromera: o małżeństwie Władysława Jagiełły z Elżbietą Pilecką i o pochodzeniu Krupków, opierając się na zdaniu Orzechowskiego i własnym domyśle. Jednak przekład jego nie zawsze szczęśliwy i rozwlekły, za to polszczyzna czysta i dość gładko się czyta.

Kromer jako dziekan katedralny najwięcej przemieszkował w Krakowie w kole swych dobrych przyjaciół, którym nigdy nie odmawiał swych rad zdrowych i pełnych rozsądku. Najbardziej zażył się z ks. Stanisławem Karnkowskim, którego szczerze polubił i stosunek ich był zbyt ścisły, czego najlepiej dowodzi następna okoliczność. Gdy Kromer 1567 roku pragnął podług swego zdania, aby biskupstwo kujawskie otrzymał nie Karnkowski, lecz Walenty Herburt biskup przemyski, godny przedstawiciel majestatu polskiego na soborze Trydenckim, mniemając że dla tamtego jest dostateczno mniejsze biskupstwo przemyskie. Król zamianował Karnkowskiego. Zaraz Kromer pisze do niego, iż wedle swego zdania dawał pierwszeństwo przed nim Herburtowi, jednak godząc się z wolą Bożą, winszuje dyecezyi kujawskiej pozyskania tak zdolnego pasterza. Nowy biskup przeświadczony o prawości charakteru Kromera i ucieszony tém jego otwartém wyznaniem, serdeczniej go jeszcze pokochał. Umyślił w swych listach z Kromerem wyjawić mu najtajniejsze sprawy swego kościoła dla zasiągnięcia jego rady, nie umiając niekiedy sam sobie radzić. Kromer pochwalał swemu przyjacielowi niezmor-

¹⁾ O takim zdaniu protestantów w Lipsku uwiadomia Wojciech Porębski w liście pisanym do Kromera z Lipska d. 19 listopada 1570 r. w arch. biskup. D. 74, fol. 154.

²⁾ Sam Kromer wspomina o tém w przedmowie z lipca 1566 r. i obacz na końcu księgi IX w wydaniu kolońskim.

dowaną czynność w sprawach kościoła, lecz przypominał zarazem pamięć o ojczyźnie i słuzeniu jej wedle możności ¹⁾.

Karnkowski odebrał dycęczyę nader skołataną, gdyż poprzednik jego Mikołaj Wolski mało troszcząc się o duchownych, nie stawił żadnego oporu nowinkom religijnym, zostawał w przyjaznych stosunkach z dyssydentami i niemal codziennie siadywał do jego stołu przewodca ich Jędrzej Frycz Modrzewski, jako wójt zamku biskupiego w Wolborzu. Niezwłocznie usunął to wszystko Karnkowski, zaprowadził karność reguły po klasztorach w dycęczy i urządził seminaryum dla kształcenia zdatnego kleru. Ku wprowadzeniu jednak tego napotkał wiele trudności. Frycz Modrzewski był wójtem dziedzicznym, przezco trudno go było od urzędu odsunąć; opaci zaś klasztorów wyjęci byli z pod bezpośredniego wpływu biskupa. Karnkowski dla stanowczego przeprowadzenia swych zamiarów zwrócił się po radę do Kromera, jak ma dalej działać. Kromer doradzał ostrożnie i rozważnie postępować z Fryczem. Wprawdzie pisał mu, że Hozyusz usunął z urzędu swego Preucka, lecz to daleko trudniej z urzędnikiem dziedzicznym. Przeciw niemu wystąpić należy jako ojciec lub jako pan; do czego okaże się pochopniejszy i zwolna dolewać mu oleju albo wina do ran, a nie dopuszczać do żadnych rozpraw; bez dania urazy nie przyjmować go do swego stołu. Co zaś tyczy się seminaryum i opatów niema potrzeby odnosić się do władzy papieża, albowiem podług ustaw soboru Trydenckiego, każdy biskup ma władzę delegata apostolskiego na wyjętych z pod prawa, a na pierwszym synodzie odpowiednio zaprowadzić zmiany ²⁾. Poszedł za tą radą Karnkowski i wielce na niej skorzystał. Frycz złożył swój urząd poprzestając na pensyi dożywotniej i ograniczył się w rozszerzaniu swych zasad. Karnkowski przeprowadził i inne sprawy rozroztownie i wkrótce doświadczył skutków swych starań. W październiku 1568 roku wysłany na czele komissyi królewskiej do Elbląga, nie omieszkał zasięgnąć u bawiącego podówczas w Warmii Kromera zdania i rady w załatwieniu spraw miasta.

Również dopomagał Kromer i kardynałowi Hozyuszowi, częścią z przyjaźni, częścią z obowiązku jako kantor kapituły warmińskiej: dlatego chętnie tam jeździł i sam załatwiał wszelkie sprawy ważniejsze. Na jesieni 1566 roku powołał go Hozyusz raz dla pojednania dwóch książąt kościoła, oddawna i zawzięcie kłócących się z sobą o dobra ziemskie, a powtóre wyprowadzić śledztwo z dwóch kanoników warmińskich, którzy bezzasadnym sprzeciwianiem się mocno

¹⁾ Obacz listy Kromera do Karnkowskiego z dnia 5 lipca i 21 listopada 1567 roku, umieszcz. w Carnocvii epist. illustr. vir. lib. I ep. 59 i 60.

²⁾ List Kromera do Karnkowskiego z dnia 14 stycznia 1568 roku, obacz Carnocvii Epist. illustr. vir. lib. I, ep. 61.

obrazili na siebie kardynała. Pierwsza ta sprawa 'obszernie jest opisana w życiu Hozyusza, przez Eichhorna skreślonym¹⁾. Uchański arcybiskup gnieźnieński, przedtém biskup kujawski zażądał od swego następcy Mikołaja Wolskiego zwrotu niektórych należności pieniężnych, a Wolski stanowczo je odmówił. Dwór rzymski rozstrzygnął sprawę na korzyść Uchańskiego, lecz mimo to Wolski nie chciał oddać: przyszło więc do kar kościelnych, które jeszcze bardziej spór rozjątrzyły. Pius V papież upoważnił kardynała Hozyusza i nuncyusza Ruggieri do rozsądzenia wynikłego sporu. Wnet zajęli się tą sprawą na jesieni 1566 roku. Wystuchano obustronne zażalenia, rozpatrzono je szczegółowo dla ścisłego wymierzenia sprawiedliwości i ułożenia zgody na słusznym i prawnym zasadach. Kardynał zawiadzał biegłych prawników, a między nimi i swego przyjaciela Kromera. Jednak musiał on mieć tylko głos doradczy, gdyż nigdzie niema wzmianki o nim przy rokowaniach.

Druga sprawa była daleko drażliwsza i w niej Kromer występował jako sędzia przeciw swym konfratrom duchownym. Kapituła warmińska wiodąc ciągłe spory z Hozyuszem, tak się rozzuchwaliła, że dwóch z niej kanoników uchybiło kardynałowi po grubiańsku, mimo należnego dla stopnia uszanowania. Byli to Eckhard von Kempen i Kacper Hannow. Gdy kary kościelne nie skutkowały, biskup wytoczył im process kanoniczny, naznaczając na sędziów Marcina Kromera kantora i Jana Grodzieckiego kanonika, jako mężów biegłych i zdolnych. Przykry to był obowiązek dla Kromera, lecz podjął go się dla przyjaźni z Hozyuszem. Namietności oskarżonych wywoływały coraz zawiłsze trudności w przeprowadzeniu processu, a Kromer również oddawna zaprzyjaźniony z Hannowem dążył do zgody. Obowiązek jednak bezstronnego wymiaru sprawiedliwości zmuszał go do surowego z nimi postąpienia. Obadwaj kanonicy obawiając się groźnej kary, upokorzyli się i przeprosili publicznie kardynała, poczem nastąpiła zgoda²⁾. Po załatwieniu obudwóch tych spraw Kromer powrócił do Krakowa i już dnia 30 stycznia 1567 roku znajdował się tamże.

Hozyusz wzywał znowu Kromera na dzień 1 listopada 1567 roku do Frauenburga, jak również i innych nieobecnych członków kapituły dla naradzenia się, czyby nie można powierzyć zarządu seminarjum dyecezyjalnego OO. Jezuitom. Kromer nie pojechał i zgadzał się na postanowienie wyrzeczone przez większość kapituły³⁾. Do

¹⁾ Eichhorn's Hosius T. II, str. 252—254.

²⁾ Obacz Eichhorn's Hosius T. II, str. 380.

³⁾ Ze w listopadzie był w Krakowie, dowodzi tego list jego pisany do Karnkowskiego z Krakowa d. 21 listopada 1567 roku. Carnovii epist. ill. vir. T. I. ep. 60.

września 1568 roku nie opuszczał Kromer Krakowa, poczem wyjechał znowu do Warmii, wysłany jako delegat od kapituły krakowskiej. Za przybyciem upraszał Hozyusza, iżby jako legat papieżki nie występował przeciwko obdarowanym posiadaczom dziesięcinami kościelnymi, lecz przeciwnie, aby wyjednał dla kapituły krakowskiej dyspensę u stolicy apostolskiej¹⁾. Kardynał korzystając z obecności Kromera wyprawił go do Elbląga dla rozstrzygnięcia ważnej sprawy kościelnej. Magistrat miejski z powodu kilkoletniej nieobecności biskupa nie tylko przesłałował religię katolicką, lecz rozdzielił między siebie dobra kościelne i dowolnie niemi rozporządził. Hozyusz wyjednał u króla Zygmunta Augusta rozkaz do natychmiastowego ich oddania, lecz magistrat nawykły już do samowoli ociągał się z wykonaniem rozkazu królewskiego, a tём samém żeby kardynałowi żadnych nie składać rachunków²⁾. Tylko następna okoliczność dopomogła skutecznie. Nieukarani burmistrze za poczynione nadużycia w majątkach kościelnych przewinili także i politycznie, obrażając majestat królewski. Przybyła więc w październiku 1568 roku do Elbląga komissya królewska dla wysłedzenia i ukarania podżegaczy i wkrótce przyprowadziła wszystko do porządku. Hozyusz korzystając z tego wyprawił do Elbląga dwóch kanoników: Marcina Kromera i Jana Lehmana dla sporządzenia szczegółowego opisu majątków i dochodów probostw, wszelkich posiadłości duchownych, szpitali, bractw, klasztorów i innych domów modlitwy znajdujących się tak w mieście, jak i po za obrębem tegoż. Obadwaj przybyli do Elbląga dnia 16 listopada. Nazajutrz oświadczyli powód swego przybycia, a po naradzeniu się od 17 do 19 listopada z radą i mieszczanami nad sposobem ułożenia inwentarza i oznaczenia niektórych członków na świadków, niezwłocznie zajęli się swą czynnością. Robota szła zwolna, chociaż mieszczanie żadnych nie stawiali przeszkód i dopiero w styczniu 1569 roku ukończoną została. Za powrotem złożyli do własnych rąk kardynała opis wszystkich majątków kościelnych, który znajduje się w archiwum kapituły warmińskiej³⁾. Nie długo potem wyjechał Kromer do Krakowa i tak długo tam pozostawał, dopóki Zygmunt August nie powołał do siebie naznaczając go na administratora dyecezyi warmińskiej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

1) Eichhorn's Hosius T. II, str. 292.

2) Tamże, str. 194 i 329.

3) Acta de episcopatu Varmiensis T. I, folio LXIII—CL.

HRABINA KOSEL.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom I.

I.

Na królewskim zamku w stolicy saskiej, jakby wszystko wymarło, cicho było, ponuro i smutno. Noc była jesienna, ale w końcu sierpnia zaledwie gdzieniegdzie liść żółknie na drzewach i rzadko więcej wiatry chłodne i dni bywają weselsze jeszcze, i nocy jasne i ciepłe...

Tego wieczora jednak dęło z północy i chmury czarne, poszarpane, długie wlokły się jedna za drugą, a na ołowianém tle jeśli mignęła gdzie gwiazdka na chwilę, gasła wnet w gęstych obłokach. U Georgenthor, w bramach zamkowych, na dziedzińcach przechadzały się strażnicy milczące. Zwykle jasne okna królewskich mieszkań, z których światła i muzyka buchały ochoczo, stały czarne i zamknięte. A była to rzecz niezwykła za panowania Augusta zwanego Mocnym, bo pan to był mocen do wszystkiego: łamał podkowy i ludzi, smutek i złą

fortunę, a jego nic złamać nie mogło. W całych Niemczech, ba w całej Europie słynął świetny dwór królewski, przy którym gasły wszystkie inne; nikt go wspaniałością, smakiem wytwornym i rozrzutnością pańską nie przeszedł, nikt mu nawet nie dorównał.

W tym roku wszakże August doznał klęski. Szwed mu wydarł elekcyjną polską koronę; król zrzucony niemal z tronu, wygnany z Królestwa wrócił na kurfirstowskie gniazdo, opłakiwać swe straty... wysypane próżno miliony i srogą niewdzięczność Polaków... Sasi nie mogli pojąć by tak szlachetnego i miłego pana można było nie uwielbiać i nie dać się zań zabijać.

August mniej to jeszcze od nich rozumiał. Wyraz niewdzięczność, nieodstępnie towarzyszył każdemu Polski wspomnieniu; wreszcie unikano już nawet mowy o niej, o królu Szwecyi i o tych wypadkach, które August Mocny poprawić kiedyś obiecywał sobie.

Dreźnie po powrocie Augusta już się nawet bawić zaczynało, ażeby swego pana rozweselić; tylko tego wieczora tak dziwna cisza zapanowała w zamku: dlaczego? nikt nie wiedział? Król przecież do żadnego ze swych zamków nie odjechał, w Lipsku jeszcze się jarmark nie rozpoczął; mówiono nawet w mieście i na dworze, że na przekór Szwedowi, August nakaże bale, karuzele i maskarady, aby mu dowieść że swęj chwilowój przegranej nie brał tak bardzo do serca...

Rzadcy przechodnie przesuwający się około zamku ulicami, spoglądali na okna i dziwili się iż tak wcześniej cisza i ciemność zapanowały u króla. Ktoby był wszakże minąwszy bramę wielką i pierwsze podwórze, mógł się wcisnąć na drugie, przekonałby się iż zamek spał tylko jednym bokiem, a we wnętrzu jego wrzało jeszcze życie...

Straże tu nie wpuszczały nikogo...

Na pierwszym piętrze, mimo wichru, okna były szeroko podmykane, z za obsłon, któremi napół tylko były okryte, rześiste światło jarzące migało, odbite mnóstwem zwierciadeł, a chwilami dobywał się śmiech homeryczny z wnętrza sali, leciał w dziedziniec, przestraszając chodzącą wartę, która słu-

chać go stawiała, i obiwszy się o szare mury... powoli słabem obumierał echem...

Śmiechom tym towarzyszyły gwary to słabsze, to silniejsze, rosnące, przechodzące w mruczenie i milczenie... Nagle jakby po przebrzmiałej mowie zrywały się znowu oklaski i znowu huczał śmiech homeryczny, królewski, rozłożysty, purpurowy, śmiech istoty, która się nie lęka by ją kto posłyszał i drugim szyderczym odpowiedział śmiechem... Za każdym wybuchem straż która z halabardą chodziła pod oknami stawiała, żołnierz podnosił oczy do góry, wzdychał i spuszczał je na ziemię...

Strasznego coś było w tej uczcie nocnej, wśród zamku śpiącego, wśród burzliwego wichru i milczącej stolicy.....

Tam król się weselił.....

Od powrotu z Polski, takie uczyły wieczorne, nie tłumne, w gronie kilku poufających ludzi—nazwijmy ich przyjaciółmi—bywały częstsze niż dawniej; August Mocny, zwyciężony przez dziwacznego, półgłówkiem zwanego Karola XII, wstydził się oczów pokazywać w licznych zebraniach, zabawy i roztargnienia potrzebował, zbierał więc około siebie ulubieńców kilku... Naówczas przynoszono węgryzna złocistego, po którego umyślnie słano na Węgry co roku, ustawiano puhary i pili tak aż do dnia, aż do snu, aż do chwili gdy wszyscy z krzesel pospadali, a króla Hoffmann, pod rękę, śmiejącego się do łoża odprowadzał.

Do tego grona wybranych kapłanów Bachusa magiar-skiego, niewiele osób było przypuszczonych, poufali tylko i zaufani a ulubieni Augustowi, gdyż król po kilku puharach dla tych których nie cierpiał, mówiono, był niebezpiecznym. Siłę miał Herkulesową... gniew olympijski a władzę nieograniczoną... W dniu powszednie, zrana gdy się pogniewał, oblicze mu tylko zaszło jakby krwawą łuną na chwilę i oczy błysły i wargi zadrżały, i odwracał się nie patrząc na tego co go tak rozpłomienił; ale po kielichu... nie jeden wyleciał oknem i na kamieniach dziedzińca padł by nie wstać..

Tak ludzie mówili. Gniew jego był rzadki ale jak piorun straszny. W zwykłym życiu nie było łagodniejszego pana ani słodszeo, ani łaskawszego dla wszystkich. Uważano

nawet że im kogo mniej znosił, tém dlań uśmiech miał miłszy, a w przededniu zaprowadzenia na Königstein, gdzie często dziesiątkami lat faworyci siadywali, August ścisnął ich jeszcze jak najlepszych przyjaciół. Tak szlachetna to była natura, pragnąca ludziom los ich osłodzić.

A bawić się toć przecie panu potrzeba było koniecznie... cóż dziwnego że czasem do zabaw sprowadzano dwa głodne niedźwiedzie żeby się jadły, lub podpajano dwóch zawziętych nieprzyjaciół żeby się z sobą gryźli.. Ten rodzaj rozrywki najmiłszym był panu... a gdy się dwóch Vitzthumów, Friesenów lub Hoymów zawzięło jeść z sobą po kielichach, śmiał się do rozpuku... Niewinneć to było roztargnienie.

Królowi poróżnić ich z sobą przychodziło bardzo łatwo, bo wiedział wszystko... kto się w kim kochał, kto kogo nienawidził; ile mu z kassy wzięto niedozwolonym sposobem, nawet co zamyślał który z dworaków; jeśli nie wiedział to odgadł... Kto mu to szeptał, donosił, kto zdradzał, próżno sobie łamano głowy; kończyło się na tém że nikt tu już nikomu nie wierzył, że się brat obawiał brata, że mąż się krył przed żoną, że ojciec lękał się syna... a król August Mocny śmiał się z tego motłochu!

Patrzył z góry na komedya życia, nie gardząc w niej olympijską rolą Jowisza, Herkulesa i Apolina... wieczorami zaś Bachusa.

Tego wieczora właśnie król się tak czuł smutnym i znużdzonym, iż wszystkich ministrów, ulubieńców i dworzan postanowił poić i spowiadać, aby się choć trochę rozchmurzyć.

W pośrodku oświeconej sali, której jedną ścianę zajmował srebrem i puharami jaśniejący bufet, z królującą srebrną o złotych obręczach baryłą; długi stół obsiedli towarzysze wybrani królewskich zabaw: przybyli właśnie z Rzymu hrabia Taparel Lagnasco, z Wiednia Wackerbarth, wreszcie domowi Watzdorf, którego zwano chłopem z Mansfeldu, Fürstemberg, Imhoff, Friesen, Vitzthum i Hoym, i niezrównany w żartach, niewyczerpanego dowcipu, zawsze surowy i poważny a umiejący rozśmieszyć choćby się na płacz zbierało, Fryderyk Wilhelm baron Kyan...

Król siedział z rozpiętą na piersiach suknią i kamizelą, podparty na łokciu i smutny. Piękna jego twarz, zwykle ja-

sną oblekała jakby mgła nadchodzącego smutku. Wypróżniony kielich stał przed nim... Kilka flasz próżnych świadczyły że biesiadować nie teraz dopiero poczęto, przecież na twarzy króla nie widać było skutku boskiego napoju... Bursztynowy płyn nie rozżłocił mu ponurych myśli.

Dworzanie baraszkowali między sobą, harcując słowy aby pana rozbawić; nie to nie pomagało: August siedział zamysłony, jakby nie słuchał. A był to stan rzadki u niego... bo chciał roztargnienia i szukał rozrywki. Z ukosa spoglądali nań niespokojni towarzysze...

W drugim końcu stołu siedział nie pozorny, posępny Kyan i jakby króla prześladować chciał, także się na łokciu sparkł, nogi wyciągnął i w sufit patrząc, wzdychał.

Był tak smutny że się wydawał śmiesznym...

— Słuchaj—szepnął Fürstemberg trącając łokciem Wackerbartha (oba już byli dobrze podchmieleni)—widzisz ty Najjaśniejszego Pana? Żle jest, nie może go dziś nic rozweselić... jedenasta godzina... do tej pory powinienby już być w różowym humorze... Nasza wina...

— Jam tu gość—odparł Wackerbarth ruszając ramionami—to nie moja rzecz: wyście znając go lepiej, środki skuteczniejsze obmyślcie powinni.

— Znudził się Lubomirską... oczywista rzecz...—dodał z boku Taparel.

— Nie, bo przyznam ci się że i tych Szwedów strawić trudno—szepnął pocichuteńku Wackerbarth. Ja mu się nie dziwię.

— Eh! eh! Szwedów! zapomnieliśmy tymczasem, pobije ich tam za nas kto inny, mamy pewność, my przyjedziem tylko zbierać owoce...—począł trącając w kielich Fürstemberg—nie Szwedy go gryzą... ale już Lubomirskiej ma dosyć... trzeba mu inną znaleźć.

— Czyż o to trudno?—szepnął, ramionami ruszając, Wackerbarth...

— A! no, trzeba wam było znowu w Wiedniu drugą Esterkę wyszukać...—rozśmiał się Lagnasco...

I poczęli szeptać tak cicho, że ich już słyszać nie było, bo król zdawał się przebudzać jakby ze snu i wodził oczyma

po swych towarzyszach, aż wzrok jego padł na tragicznie rozpartego barona Kyan i król parsknął homerycznym śmiechem.

Niepotrzeba było więcéj ażeby cała sala za nim powtórzyła śmiech echem, choć połowa z współbiesiadników wcale nie wiedziała z czego Najjaśniejszy Pan rozśmiać się raczył.

Jeden Kyan się nie ruszył, nie drgnął.

— Kyan!—krzyknął król—co ci jest? czy cię kochanka zdradziła? czyś goły, czy ci nieprzyjaciel wpił się do boku? Wyglądasz jak Prometeusz, któremu niewidzialny sęp szarpie wątrobę!

Kyan odwrócił się jak drewniana lalka i westchnął straszliwie. Stojący koło niego kandelabr o sześciu świecach do połowy zgasł od tego westchnienia i dym świec rozszedł się po sali.

— Kyan, co ci jest?—zapytał król.

— Najjaśniejszy Panie—odparł baron—osobiście nie jest mi nic. Nie jestem ani głodny, ani zakochany, ani dłużny, ani zazdrosny, ale rozpacz mnie morduje.

— Cóż się stało? mów!—począł król.

— Nad nieszczęśliwym losem najukochańszego naszego monarchy boleję!—odparł poważnie Kyan—tak jest! Urodzony do szczęścia, z bożém obliczem, z herkulesową siłą, z sercem wspaniałém, z mężstwem niezłomném, stworzony aby świat ci u stóp leżąc służył... nie masz nic.

— Tak, to prawda—rzekł August chmurząc brew.

— Piętnastu nas tu siedzi i rozbawić cię nie umiemy; kochanki cię zdradzają i starzeją się, wino kwaśniej, pieniądze ci kradną, a gdy wieczorem radbyś odetchnąć w wesołym kółku, przynoszą ci wierni poddani twarze grobowe. Nie powinnaś mnie co cię kocham, rozpacz porywać!

August się uśmiechnął, ręką drżącą pochwycił puhar i stuknął nim o stół. Z za kredensu wybiegły dwa karły... jak jeden i stanęły przed królem.

— Słuchaj Tramm—zawołał August—każ podać gąsior ambrozji! Kyan'a robię podczaszym. Wino któreśmy pili, podprawione było wodą.

Ambrozyą zwał się węgryz królewski, który Zichy sam dla Augusta z najlepszych winogron nie wyciskanych robić ka-

zał; było to wino nad wina, niby syrop ciągnące się, zdradziecko słodkie i łagodne, a mogące powalić olbrzymia.

Tramm z towarzyszem znikli, a po chwili ukazał się czarny Murzyn we wschodniej odzieży, na srebrnej tacy niosący gąsior ogromny. Wszyscy wstali i witali go pokłonem, król spoglądał.

— Kyan gospodaruj—zawołał.

Kyan wstał.. karły niosły na drugiej tacy kieliszki, ale te się nie podobały podczaszemu; - szepnął im coś i małemi kroczkami za bufet pobiegli, a po chwilce zjawili się z nowym szkłem różnego kalibru.

Z powagą urzędnika, który zna ważność zleconych sobie obowiązków, Kyan jął się ustawiać kielichy.

W środku stał piękny, smukły, przyzwoitej objętości królewski; dokoła wieńcem otaczały go nieco mniejsze ministeryalne kielichy, po za nimi drobniejszych rozmiarów jak na żart, niby naparstki w znacznej liczbie cisnęły się kieliszeczki.. śmieszne.

Wszystcy patrzeli ciekawie.

Kyan powoli ujął gąsior ogromny, aby w nim nie poruszyć osadów i ostrożnie nalewać zaczął. Napełnił najprzód wszystkie drobne. Nie wiele one napozór brały, ale ich był lik tak znaczny, że nim wszystkie ponalewał, gąsior się bardzo opróżnił. Kolój szła na ministeryalne. Wśród powszechnego milczenia, podczaszy sumiennie i te wszystkie nalał spełna. W gąsiorze ubywało, ubywało i gdy przyszło nalać kielich królewski—wina zabrakło. Kilka kropel z mętami wlał Kyan do niego, stanął i spojrzął na Augusta.

— A! dobry z waćpana podczaszy! - rozśmiał się król— dla ciebie ja jestem ostatnim. Cóż to ma znaczyć?

Śmieli się otaczający.

— Najjaśniejszy Panie—odezwał się stawiając opróżniony gąsior na stole Kyan, który wcale nie stracił przytomności i humoru—jest to przecie nie nowina, ale rzecz powszednia: com ja tu zrobił z winem, twoi ministrowie robią co dzień z dochodami państwa. Najprzód sobie każdy mały urzędniczek swoją kieszonkę nalewa, potem starszyzna o sobie pamięta, a gdy przyjdzie królewski puhar—tylko męty pozostały.

Król uderzył w dłonie, patrząc szydersko po przytomnych.
— Kyan! twoje zdrowie! Przypowieść Ezopa godna. Ale niechże dla mnie drugi gąsior podadzą.

Murzyn niósł już na tacy ambrozyą. Śmieli się wszyscy, bo król się śmiał, ale jakoś kwaśno; z ukosa spoglądano na Kyan'a, który najmniejszy kieliszeczek wziął i zdrowie Herkulesa saskiego okrzyknął.

Padli wszyscy podchmieleni na kolana... hałas powstał ogromny, kielichy podniosły się do góry.

Król swój kielich ku baronowi wypił i postawił.

— Mówmy o czém inném!—zawołał.—Fürstemberg wstał.

— Najjaśniejszy Panie—rzekł—godzina nadchodzi, w której o niczém inném mówić się nie godzi, tylko o tém co dniowi i nocy króluje... o kobietach.

— Doskonale—poparł król—każdy niech swoją kochankę opisze... Fürstemberg zaczyna.

Szydersko uśmiechając się—wymówił król te słowa—po twarzy Fürstemberga przebiegł grymas dziwny.

— Dane mi pierwszeństwo—odezwał się młody towarzysz króla i ulubieniec—dowodzi tylko że przed okiem argusowém naszego najmiłościwszego pana nic się ukryć nie zdoła. Zna mnie, kłamać mu nie potrafię i wystawia na upokorzenie. Najjaśniejszy Panie!—dodał ręce składając Fürstemberg—proszę o uwolnienie mnie od wizerunku kochanki.

— Nie! nie! poczęto dokoła. Portret być może bez podpisu... jeśli osoba ukrytą być musi, ale rozkaz Pana święty i nieodwołalny. Maluj Fürstemberg.

Wszyscy potrosze wiedzieli, dlaczego tak nieochoczo brał się do opisu młodzieniec. Była to chwila krytyczna w jego życiu, udawał bowiem wielką miłość dla przeszło czterdziestoletniej wdowy po jednym z Friesenów, która słyneła z tego, że z pod rózu i bielidła twarzy jój widać nie było. Wdowa była bogata, Fürstemberg właśnie grosza potrzebny, wszyscy wiedzieli że się z nią nie ożeni, a jednak na balach dworskich, na maskaradach, w przejażdżkach ciągnęła go za swym wozem.

Gdy się Fürstemberg ociągał, naglić tak i tupać poczęto, iż król nakazać musiał milczenie i wskazując na Fürstemberga powtórzył:

— Niema litości, maluj tę malowaną kochankę, której palisz ofiary.

Dla nabrania odwagi młody roztrzępaniec wychylił swój kielich do dna.

— Kochanka moja jest najpiękniejszą w świecie—zawołał—możesz mi kto zaprzeczyć, znaż kto co się ukrywa pod tą maską, którą dla śmiertelników oczu nakłada? Moja kochanka należy do bóstwa... bo jęj jednęj nie zagraża to, co wszystkim innym... piękność jęj dojrzała, jaką jest pozostanie na zawsze. Ząb czasu skruszy się o marmurowe jęj kształty...

Śmiech mu przerwał.

Obok niego siedział Adolf Hoym. Mężczyzna był pięknie zbudowany, ale twarzy nie miłego wyrazu. Małe jego oczki świdrujące gdy się w człowieka wpatrywał, cechowała przenikliwość jakaś trwożna. Zbladły i wyżółkły... w tęg chwili dopiero po ambrozji nieco rumieńca nabierał. Hoym słynął z donzuaństwa, ale jego miłostki od lat kilku były tak tajemnicze i skryte, że już myślano że się ustatkował. Chodziły wieści iż się ożenił, ale żona jego nie pokazywała się nigdzie, nie widział jęj nikt... siedziała podobno na wsi.

Hoym, który miał słabszą od innych głowę, a był już zmęczony przez dni kilka, dotrzymując królowi w nocnych jego biesiadach, widocznie był mocno napiły. Poznać to było łatwo po mimowolnych głowy jego ruchach, po wysileniach z jakimi dźwigał ręce ociężające, po uśmiechu ust krzywym, po przymykających się powiekach i całej postawie zdradzającej, że sobą władać przestał.

Była to najmilsza gratka dla krola i jego towarzyszków, ministra od akcyzy schwytać w takim stanie ubłogosławionym, gdy rozum języka powstrzymać nie może.

— Kolej na Hoyma!—rzekł król.—Hoym—dodał—znasz mnie, niema wymówki. Wiemy wszyscy żeś wielkim znawcą i wielbicielem wdzięków niewieścich, że bez miłości żyć nie możesz; poza te ściany nie wychodzi nic. Spowiadaj się!

Hoym głowę na wszystkie strony wykręcał, a ręką z próżnym bawił się kielichem.

— He! he!, zaśmiał się.

Z cicha nalał mu wina Kyan.

Minister machinalnie poniósł kielich do ust i wypił z tą bezrozumną chciwością właściwą już napiłym, których szatańskie pali pragnienie.

Lice mu zaszło purpurą.

— Hej hej! — począł bełkocząc — chcecie wiedzieć jak wygląda moja kochanka... ale ja mili panowie ni mam i nie potrzebuję mieć kochanki, bo mam za żonę boginię!

Rozśmieli się wszyscy chórem, król tylko ciekawie, poważnie wpatrując się w niego, słuchał.

— Śmiejcie się — mówił Hoym — kto jej nie widział, ten nie widział Wenery, a myślę że i Wenus obok niej wydałaby się przczką z przedmieścia. Mogęz ja ją opisać? W jedném jej oku czarném jest tyle potęgi i wdzięku, iż żaden śmiertelny oprzecz mu się nie potrafi. Postać jej Praxytelesa dłułoby zawstydziła... na jej uśmiech niema wyrazu, ale to bóstwo surowe i straszne i ten uśmiech nie rozkwita co dzień.

Kiwali głowami przytomni niedowierzająco, Hoym chciał przerwać, król uderzył o stół. — Opiszże ją lepiej: to są westchnienia nie obrazy.

— Któż opisz doskonałość — dodał Hoym z podniesionymi w sufit oczyma...

Wszystkie piękności ma, a żadnej wady.

— Gotowem uwierzyć że piękna — zawołał Lagnasco — jeśli niestały Hoym od trzech lat się w niej kocha i po cudzych kniejach nie poluje.

— Przesadza! pijany jest! — przerwał Fürstemberg. Jakto? piękniejsza od księżnej Teschen?

Hoym ruszył ramionami, trwożliwém okiem mierząc króla; ale król rzekł spokojnie:

— Tu niema innych względów nad prawdę... piękniejsza od Lubomirskiej?

— Najjaśniejszy Panie — krzyknął unosząc się Hoym — księżna jest kobietą piękną, a moja żona jest boginią. Na całym dworze, w całym mieście, w całej Saksonii, w Europie drugiej takiej niema.

Śmiechem ogromnym, olbrzymim, szalonym zabrzmiała sala.

— Jaki zabawny Hoym pijany!

— Jaka pocieszna akcyza pijana!

— Co za nieoszacowany człowiek...

Król się nie śmiał, Hoym widocznie był pod wpływem ambrozyi i zapominał się gdzie był i przed kim to mówił.

— Śmieście się—zawołał—znacie mnie przecie wszyscy: sami mnie Don Żuanem nazywacie: oddajecie mi tę sprawiedliwość że na piękności niewieściej nikt się lepiej nie zna nade mnie. Dlaczegożbym miał kłamać?... to bóstwo nie kobieta; dość jednego jój oka, aby w najzimniejszym łonie pożar zapaliło; jój uśmiech... To mówiąc spojrział mimowolnie na króla... Wyraz twarzy Augusta chciwie słuchającego wykrzykników i śledzącego każde jego słowo, przeraził go tak, że niemal się z trwogi wytrzeźwił. Radby był się cofnąć... lecz nie mógł sobie zadać kłamu, i jak stężały, zamilkł poblądłszy...

Próżno śmiechami i wywoływaniem starano się go zmusić by szedł dalej: Hoym ze strachu oprzytomniał, ręka jego machinalnie obejmowała kielich, ale oczy trzymał wlepione w ziemię i zamyślił się dziwnie.

Na znak króla Kyan nalał mu ambrozyi, stuknięto w kielichy.

— Piliśmy boskiego naszego Herkulesa zdrowie!—zawołał Fürstemberg—teraz zdrowie Najjaśniejszego Apollina naszego...

Niektórzy pili na klęczkach, inni stojąc; Hoym wstał chwiejąc się i musiał oprzeć się o stół. Skutek wina, który na chwilę trwoga zawiesiła, powracał. W głowie mu się kręciło: wypił duszkiem.

Poza krzesłem królewskim stał Fürstemberg, którego król Fürstchen przez pieszczotę nazywał i w swych miłosnych wycieczkach zwykle za towarzysza miewał. Apollo odwrócił się ku niemu:

— Fürstchen—rzekł cicho—akcyza nie kłamie; od lat kilku zamyka i tai się ze swym skarbem: trzeba go zmusić aby nam ją pokazał... Użyj takich środków jakich chcesz, niech kosztuje najdrożej, ale ją trzeba widzieć.

Fürst się uśmiechnął, szło to bardzo i jemu i innym na rękę. Pannująca dotąd królewska kochanka *en titre*, księżna Teschen, miała przeciwko sobie wszystkich przyjaciół obalo-

nego przez nią wielkiego kanclerza Beichlinga, po którego upadku pałac na Pirnajskiej ulicy odziedziczyła... a Fürstemberg choć w swoim czasie służył Lubomirskiej przeciwko innym paniom dobijającym się serca króla, gotów był Augustowi służyć przeciw wszystkim w świecie. Piękność Lubomirskiej nie zbyt świetna, nieco przekwitająca, jej pańskie obejście się i ton, zaczynały nudzić króla, który wołał rezolutniejsze, śmielsze, żywsze charaktery w kochankach... Fürstemberg odgadł to wszystko z wejrzenia i mowy króla. W jednej chwili odskoczył od jego krzesła i znalazł się poufale sparty o poręcz Hoyma, nachylony do jego ucha...

— Kochana akcyzo!—zawołał głośno—wstyd mi za ciebie, kłamałaś bezwstydnie i to w obec króla jegomości, żartowałaś sobie z nas i z niego. Przypuszczam chętnie, że żona takiego łotra jak ty i kobieciarza, nie może być koczko-danem, ale do Wenery i bogini, a nawet do księżnej Teschen ją porównywać, to były żarty!

Hoymowi znowu wino grało w głowie.

— Com mówił—rzekł z gniewem—to była prawda! *Tausend donner-wetter! Potz und Blitz!*

Śmiano się z rubasznego wykrzyku, ale przy biesiadzie poufałej król wszystko przebaczał.. po pijanemu prości śmiertelnicy chwyтали go za szyję i całowali, nie lękając się by ich Goliat zdusił w objęciach...

— Stawię tysiąc dukatów w zakład—o!—krzyknął Fürstemberg—że żona twoja od innych dam dworu piękniejszą być nie może...

Hoymowi dolewano wina... akcyza piła z rozpaczy...

— Trzymam zakład!—zgrzytnął zębami błady i pijany—trzymam...

— Sędzią.. ja będę sędzią! wyciągając rękę dodał August.

— A sądu zwlekać się nie godzi—dodał August.—Hoym natychmiast sprowadzi tu żonę i na pierwszym balu u królowej ją przedstawi..

— Hoym! pisz! Kuryer królewski powiezie list do Laubegast...—dodał ktoś z boku.

— Pisz list.. natychmiast!—zaczęto znowu wołać ze wszystkich stron..

W jednej chwili podsunęto mu papier, Fürstemberg gwałtem wcisnął pióro, król wzrokiem naglił do wykonania. Nie szczęśliwy Hoym w którym chwilami odzywała się trwoga mężowska i pamięć zalotności królewskiej, sam nie wiedział jak dyktowany mu rozkaz przybycia do Drezna żonie napisał, i w mgnieniu oka wyrwano mu go z rąk... ktoś po wschodach zbiegł w dziedzińce, aby królewski posłaniec natychmiast z nim do Laubegast wyruszył.

— Fürstemberg—szepnął August—ja widzę po Hoymie że jeśli się wytrzeźwi dziś, rozkaz odwoła; trzeba go spojść na śmierć, by nogą ani ręką nie ruszył...

— Jest już tak pijany, że się o życie jego lękam —dodał książę.

— A ja nie—spokojnie rzekł król—czyżby już Hoyma nikt w świecie zastąpić nie był w stanie? A takibyśmy mu pyszny z mnóstwem palm i wieńców pogrzeb sprawili...

Uśmiezek króla tak podziałał, iż koło Hoyma kółko się skupiło z kielichami; wyzywano go, wymyślano toasty, doléwano ambrozyę różnemi z flaszek podstawianych kryjomo dobywanemi płynami, i w pół godziny... Hoym bład jak trup, z głową zwieszoną, z usty okropnie otwartemi spał leżąc na stole... Hajducy królewscy na dany znak ponieśli go do łóżka. Dla ostrożności wszakże, raczej niż z troskliwości o zdrowie, zamiast w lektyce odnieść go do domu na Pirnajską ulicę, położono go w jednym z gabinetów królewskich i dodano na wartę Cojanusa olbrzyma, który miał rozkaz nie puszczać go do domu, gdyby się obudził. Hoym jednak wcale się nieprzebudziwszy i stękając tylko przez sen ciężko, bezprzytomny przeleżał do rana. Na sali po wyniesieniu tego trupa rozpoczęła się dopiero bachanalia przy zamkniętych drzwiach, w ciasniejszym kółku, której świadkami były tylko zwierciadła sali.

Król był w najpiękniejszym humorze, a promienistość tego oblicza odbijała się na twarzach dworzan jego. Już się miało dobrze na brzask, gdy dwaj hajducy nareszcie ostatniego ze wszystkich i Augusta Mocnego jak dziecię do łóżka zanieśli.

Zarzucicie mi przesadę w obrazie! Niestety! wszystkie jego rysy aż do najdrobniejszego są prawdziwe...

Fürstemberg został sam na ruinach, prawie zupełnie trzeźwy, zdjął perukę tylko aby ochłodzić głowę i zamyślił się głęboko... mówiąc do siebie:

— Będziemy tedy mieli nowe panowanie... Lubomirska nadto się też wdawała w politykę... mogła opanować króla... na co mu rozumna kochanka? niech go tylko bawi i kocha! to jój powołanie...

Zobaczymy Hoymowę...

II.

Laubegast leży nad samym Elby brzegiem, o dobrych parę godzin od Drezna. Mała wioseczka już naówczas miała kilka domków, widocznie przez możniejszych postawionych i panujących okolicy. Kryły się one w starych lipach i bukach i czarnych sosen i jodeł gałęziach.

Pałacyk Hoyma do którego on się czasami z domu swojego wykradał, aby tu spędzać wieczory i część dnia, a czasem nawet całe pod niebytność króla tygodnie, wyglądał jak wszystkie owego czasu z wysokim dachem i poddaszami na sposób francuzki z wyginanemi ozdoby i floresami po murach. Sprowadzeni ze stolicy murarze ukrasili go jak najstaranniej i o ile znieść mogły skromne pałacyku rozmiary. Znać było wielką troskliwość pana o upiększenie miejsca tego. Mały dziedzińczyk opasywała krata żelazna w słupach murowanych, na których stały piękne wazonny kamienne, na wznioślejszych nieco, przy bramie grupy aniołków trzymały latarnie. Wchód do domu z galerią kamienną przybraną w wazonny i figurki, okrywały piękne kwiaty. Dom wyglądał pańsko z za drzew, ale smutnie jak klasztor, jak pustkowie.

Nie było tu życia, ani licznych sług, ni ruchomego dworu. Dwóch starych kamerdynerów, kilkoro czeladzi pokazywało się czasem około pałacyku, a nad wieczorem niekiedy z książką w ręku wychodziła z niego postać, której cała ludność Laubegastu z za płotów i krzaków z trwogą i podziwem się przypatrywała. Było to w istocie dziwne w tym zapadłym kącie zjawisko, któremu właściwszym pobytom zdawała się sama stolica.

Nikt nie widział tu nic podobnego, ani mógł marzyć o takiej piękności. Młodziuchna kobieta wysokiej i szlachetnej postawy, biała jak marmur, z czarnymi, jasnymi, bystremi oczyma, gdy szła ulicą w majestacie swjej młodości, piękności i dumy... mimowolnie trwoga ogarniała patrzących na nią nawet ukradkiem, takiego coś w sobie miała królewskiego i rozkazującego. Chciało się na twarz padać przed nią.

A była smutną przy tej powadze jak żałobny posąg zdjęty z grobowca... nigdy się nie uśmiechnęło jej oko ni usta, nigdy nie spojrzała weselęj w niebo... Spoglądała na ziemię czarną, na szare Elby wody, na kwiatki których ani zrywała, ani się poila ich wonią. Zdawała się nieszczęśliwą, może była tylko znudzona. Wiedziano że od lat kilku siedziała tu tak zamknięta nie widując prawie nikogo oprócz siostry Hoyma Vitzthumowej, której brat też rzadko przystępu do żony dozwalał. Wiedział zapewne że i ona chwilowo miała szczęście być w łaskach u króla a nadzieję pozostania w nich dłużej, która się nie ziściła. Strzegąc żony od wpływu dworu i intryg jego, własną nawet siostrę od niej odsuwał. Vitzthumowa ruszała ramionami pogardliwie i wszystko było jej jedno.

Ale bratowa śmiertelnie się nudziła. Całą jej zabawą były książki pobożne marzycieli protestanckich, które czytała skwapliwie i ustronne przechadzki pod nadzorem starego kamerdynera.

Życie to było jednostajne i ciche jak grób, ale za to namiętności w niem nie wywoływały burzy. Hoym zrazu bardzo czuły, z natury bałamut i bałamuctwem dworu podżegany, znudził się żoną i zapomniał już o niej. Kochał ją jednak po swojemu, zazdrośnie i chciał ten skarb mieć zatajonym przed oczyma ludzkiemi. Tylko gdy króla i dworu nie było w Dreźnie, pani Hoym miała pozwolenie na krótko przybyć się rozerwać w stolicy, która naówczas śmiertelnie nudną była.

To kilkoletnie zamknięcie napoiło ją dumą, zólcia, goryczą, smutnemi myślami, pogardą dla świata i ascetyzmem dziwnym. Wystawiała sobie życie swe jako skończone, zamknięte... jako wyczekiwanie równie samotnego zgonu, a była jak anioł piękną i nie miała jeszcze skończonych lat dwudziestu

czterech i ci co ją zdala widzieli, nie daliby ję z twarzy dziecinnęj niemal, ani ósmnastu, tak dziwnie wyglądała młodo.

Panią Vitzthum, która w gorętszém życiu postradała świeżość i część młodego wdzięku, ta nieśmiertelna dziewiczość bratowej gniewała. Gniewały ją i inne jeszcze w nięj przymioty: szlachetna duma cnoty, oburzenie na zepsucie, pogarda, intrygi i kłamstwa, królewski majestat z jakim z góry swęj potęgi spoglądała na ruchliwą, śmiejącą się, pełną fałszu bratową. Gdyby nie była bratową, możeby jęj nawet życzyła upadku i upokorzenia. Hoymowa nie lubiła jęj wzajemnie, wstręt ku nięj czując instynktowy. Dla męża okazywała teraz niemal chłodną pogardę... przez samą panią Vitzthum, pocichu szepezącą nieraz tajemne skandaliki, wiedziała Anna Hoym że mąż nie był jęj wiernym. Mogła go łatwo jedném czulszém wejrzeniem u stóp swych położyć, znała swą potęgę, była jęj pewną: nie chciała. Wydał się jęj już zbyt nikczemną istotą, aby się o niego starać było warto. Przyjmowała go zimno, odprawiała obojętnie; Hoym się burzył, ale z żoną gdy przyszło do otwartęj kłótni czuł się tak słabym, że zwycięztwa szukał w ucieczce.

Tak płynęły smutne a długie dnie w Laubegast... Nieraz Annie przychodziły myśli słomianą wdową powrócić nazad do Holsztynu, do Brockdorf, do rodziny. Lecz rodzina nie była jęj bardzo przychylną, ojca i matki nie miała od dawna, a księżna Brunswicka z domu Holsztein Plön, czyby ją znowu na dwór przyjęła? Głośne tam było i pamiętne znalezienie się szesnastoletnięj jeszcze Anny, którą książę Ludwik Rudolf w zapale uwielbienia dla jęj piękności cudnęj, chciał pocałować i—dostał publicznie prawie policzek...

Nie miała się więc gdzie podziać biędna a piękna Anna.

Pomimo zepsucia dworu i sąsiedztwa Drezna, w którém trudno było ukryć przed oczyma ludzi taką gwiazdę piérwszęj piękności, kilka lat przechadzając się po nad brzegami Elby, nad którými nieustannie krzyżowały się dworskie powozy, kawalerowie konni, wojskowi i cała próźniacza czereda otaczająca panującego, Anna tak się umiała przysłonić w tém swém ustroju, że ją żadne niemal nie postrzegło oko.

Oprócz jednego...

Tym jednym był młody Polak, który raczej wisiał niż trzymał się na dworze króla Augusta, a dostał się nań prawie mimowoli i mimowoli tu dość nudne wiódł życie.

Gdy August Mocny po raz pierwszy jechał do Polski i przy biesiadzie w oczach zdumionych panów co na jego wyruszyli spotkanie, srebrne gniótl w ręku puhary, łamał talary i kruszył podkowy; przy obiedzie w Piekarach po odbytej ceremonii przed cudownym obrazem, na widok tych popisów siły pańskiej, źle jakoś wróżyć się zdającej przyszłości Rzeczypospolitej, ozwał się z niechcenia pono ksiądz biskup kujawski, iż jednego młodego chłopaka znał, który niemal tak samo mógł dokazywać. Piknęło to króla jegomości, zarumienił się, acz tego po sobie nie dał znać, zwłaszcza że to były dopiero początki jego w Polsce i rzekł tylko iż ciekawy był widzieć współzawodnika w siłę, bo go jako żywo nigdy w życiu jeszcze nie spotkał. Obiecał ksiądz kujawski ubogiego onego szlachetkę pochodzącego bodaj z wielkiej a niegdyś bardzo możnej rodziny Zaklików, królowi, gdy przybędą do Krakowa po koronacyi przedstawić. Ale rzecz, przy tylu innych ważniejszych poszła w zapomnienie i biskup by jej nie wznawiał, postrzegłszy się iż niezręcznie z tą paralellą wystąpił, gdyby sam król nie naparł się i nie przypomniał, a nie wymagał natarczywie, aby mu owego p. Rajmunda Zaklikę koniecznie na oczy pokazano.

Chłopak tylko co był szkoły jako tako u Jezuitów dokończył, wałęsał się sam nie wiedząc co począc z sobą. Do wojska by był rad szedł ale pocztu sobie za co kupić nie miał, a inaczej staremu szlachcicowi nie wypadało. Po długich więc poszukiwaniach w mieście udało się Zaklikę odkopać gdzieś po niewoli pasującego się z piórem przy kancelaryi. Gdy przyszło go stawić przed królem jegomością, nie było ani przyodziewku dostatecznego, ani szabelki, ani pasika. Biskup go marszałkowi dworu rad nie rad musiał kazać oporządzić od stóp do głów i dopiero sam obejrzawszy że mu wstydu nie zrobi, trzymał pogotowiu. Król najczęściej z tą siłą przy ucztowaniu występował, gdy był dobrej myśli. Znowu tedy dnia jednego dzbany miętosił i podkowy sobie przynosić kazał, które dworscy zawsze na ten experyment w pogotowiu trzymali. Siedział

biskup cicho aż król do niego znowu: „a gdzież wasz siłacz mój ojczyste”? Począł nalegać: sprowadzono Zaklikę.

Chłopak był wyrosły jak dębeczak, smukły, rumiany, hoży, skromny jak dziewczyna i nie wydawał się wcale takim herkulesem. August spojrzawszy nań począł się uśmiechać. Że był szlachcic przypuszczono go do ucałowania ręki pańskiej. Rozmówić się z nim inaczej jak po łacinie było trudno, bo po niemiecku ani po francuzku słowa jeszcze wówczas nie rozumiał. Szczęściem tu słów nie było potrzeba. Stało dwa puhary srebrne jednakowiusieńkie przed królem, wziął August jeden w szeroką dłoń, palcami objął, pocisnął i jak liść zgiął i zdusił. Było na dnie wino: trysnęło wierzchem.

Szydersko się uśmiechając podsunął sam drugi Zaklice i rzekł—Probuje: jeśli puhar zgnieciesz, twój będzie.

Nieśmiało zbliżył się chłopak do pańskiego stołu i garść nastawił i objął blachę twardą; chwilę niby się ważyło co będzie, krew mu uderzyła do głowy... i puhar poszedł w kawałki. Na twarzy królewskiej odmalowało się niezmierne zdumienie, ale żywsze jeszcze nieukontentowanie, które i we wzroku na biskupa rzuconém znać było. Panowie przytomni jeli dowodzić że puhar z cieńszej był blachy, albo nadkruszony...

Wziął król podkowy łamać jak obwarzanki, kazano Zaklice i kruszył je leciuchno nie wysilając się. Dobył August talara bitego, zmocował we dwóch rękach i złamał też. . Dano Zaklice bodaj grubszego hiszpańskiego, trochę się chłopak namyślał; ale już się też i rozpałił, a to mu się dodało: przepołowił i talara.

Chmura popłynęła królowi po czole i markotny się stał dwór pański, że, do takich nieprzyzwoitych zapasów przyszło. Kazał król Zaklikę nagrodzić, oba puhary mu darował, a potem namyśliwszy się powiedział żeby go do dworu wzięto. Dano mu jakiś urzędnik przy dworze, ale nazajutrz na ucho szepnął ochmistrz aby się nigdy nie ważył z siłą popisywać ni chwalić, aby z nim nie było źle, bo to rzecz zakazana.

Uwisł tak przy dworze ów ubożatko Zaklika, dano mu kilkaset talarów pensyi, barwę co się zowie wspaniałą, żadnej roboty, wiele swobody, ale za królem gdzie się on ruszył jeździć musiał. A że to było jak mówi przysłowie pokorne ciele, do-

brze mu było. Król wprawdzie słowa nigdy doń nie przemówił, ale o nim pamiętał, pytał i nakazywał by mu na niczém nie zbywało. Swobody miał chłopiec dosyć, a że wśród tego szwargotu niemieckiego wciąż musiał siedzieć lub francuzczyzny słuchać, jął się obojga języków uczyć bystro i we dwa lata już niemi dobrze w gębie obracał. A no z tego próżnowania i że żyć nie bardzo z szołdrami lubił, bo tak ich zwał *salva reverentia* dla króla jegomości, gdy pora była po temu, około Drezna pieszo schodził wszystkie wioski i laski. Natura była ciekawa, drapał się i po górach na drugim brzegu Elby tak urwistych, że z nich spojrzawszy... *abyssus vocat*. Nigdy jednak szwanku nie poniósł.

W jednéjto z tych przechadzek trafił Rajmuś Zaklika do Laubegastu i znalazłszy pod bezpańską lipą chłodek, rozłożył się tam obozem na swoje nieszczęście... właśnie o téj godzinie wyszła Anna hr. Hoym na swą samotną przechadzkę. Gdy ją chłopak ujrzał, odrazu zamarł z admiracyi: tchu mu w piersi zabrakło. Oczy tarł myśląc że mu się śni i że taka istota chyba istnieć nie może. Siedział w miejscu biedaczysko do nocy patrząc a patrząc... i napatrzeć się nie mogąc. Zdawało mu się że się oczyma napasie do syta, a im dłużej patrzył, tém więcej widzieć pragnął. Zrodziła się w duszy tęsknota... czy szął, dosyć że do Laubegastu jak opętany latać zaczął, w głowie mu się wszystko przewróciło.

A że się nikomu nie zwierzał, nie było mu téż komu poradzić, iż na taką chorobę jedno jest tylko lekarstwo: w ogień samemu nie iść, ale z ognia uciekać.

Tak się chłopaczysko rozmyślało: że wychudło i zgłupiało. Kobiety służące u dworu u pani Hoymowej, które wyspiegowały go a domyśliły się pewno co mu jest, jęły w śmiechy z niego, powiedziały o tém i pani. Śmiała się i ona i zobaczyła go niewidziana, a może się jęj go i żal zrobiło, ale kazała do siebie przywołać i surowo go zgromiła, że się tu niepotrzebnie włóczył, a zakazała aby więcéj nogą około dworu nie postać.

Że przy téj rozmowie nikogo nie było a chłopca głupota jego znać ośmielała, odpowiedział na to, że przecież patrząc nie grzeszy i że oprócz widzenia pani nic nie żąda, a dodał iż choć-

by go tam i ukamienować miano, musi przyjść, gdyż mu srodze tęskno.

Nagniewała się tupiąc nóżką pani Hoymowa, grożąc iż go mężowi przeskarży, a nie go to nie nastraszyło. Potem się kilka tygodni z téj strony z której ją widzieć mógł nie pokazywała. Chodziła od Elby, póki raz nie postrzegła, że Zaklika po szyję w wodę się schowawszy, mimo zimnej rzeki, stał tak ukryty aby tylko ją zobaczyć. Rozgniewała się tedy strasznie i poczęła wołać na ludzi, aż Rajmuś nurka dał i zniknął. O mało naówczas nie utonął, bo go kurcze porwały i odzież mu namokła ciężyła, ale się wyratował. I jakoś go nie było widać, a no nie prawda, bo sobie inną obrawszy kryjówkę, oczy trucizną téj piękności pasł i pasł. Już czy jejmość o tém wiedziała czy nie, nie było słychu, a nie mówiono więcéj o Zaklice. Że zaś we dworze mało się o niego troszczono i królby był może nawet rad żeby gdzie karku nadkręcił, nikt o chłopcu nie słyszał. Robił i chodził jak chciał.

Raz tylko zawezwano go do dworu, bo król był dużemu koniowi z wielkiego gniewu w jaki wpadł, głowę jedném ciężciem odrąbał. Chciał tedy okazać August Mocny, iż tego ów nawet sławny Zaklika nie dokaze. Przyprawiono szkapę starą z pod dragona i twardo-kościstą. Dawano pocichu do zrozumienia Zaklice zawczasu, aby jeśli mu łaska pańska miła, koniowi dał pokój, lub nie tak bardzo się zamachiwał. Temu było już wszystko jedno, a gdy raz na siłę szło i pot poczuł—jak to mówiono—nikt go nie pohamował. W obec tedy króla, panów i wielkiej ciżby osób, poprobowawszy tylko żelaza i dobrawszy klingi, koniowi łeb zwałił jak brzytwą... Mówił że go potem tydzień ręka bolała w ramieniu—ale nic—król słowa nie rzekłszy, ramionami ruszył tylko i zapito konfuzyą. Na Zaklikę nikt i nie spojrział już, a dworscy słudzy których miał przyjaźniejszych, szeptali mu że mógłby się wynosić gdzie cichaczem, bo go przy łada małym czém, spotka ciupa na Koenigsteinie.

Rajmuś ramionami ruszył a wcale się tego nie zląkł... Królewskiego tyle było zwycięstwa, że koniecznie chciał go jeszcze próbować wiele wina strzyma; ten zaś czystą wodę tylko pijał, czasem szklanekę piwa, wina kieliszek—dalej niemogąc.

Więc próżne było przykazywanie królewskie, pij a pij. Gwałtem prawie wleli mu puchar węgryna, od którego jak padł, tydzień odchorował, i o mało go z tego świata nie wzięła gorączka. A no potem do siebie przyszedł i bodaj do ogromniejszej jeszcze siły, na którą się z nim nikt próbować już nie śmiał.

I znów chodził na wyglądanie owo dziecinne pod ogród w Laubegaście. A miłość ta uczyniła go innym człowiekiem: spoważniał bardzo, uczyć się począł i powierzchownie nawet odmienił... Anna hr. Hoykowa która o wszystkim mówiła mężowi i jego siostrze, o nim nigdy nie wspomniała, zdając się go już niewidzieć, ani wiedzieć o nim...

W Laubegaście kończył się dzień zawczasu, z mrokiem zamykano bramy i drzwi na klucze i drągi, jak było we zwyczaju naówczas; psy spuszczano na podwórza z łańcuchów, słudzy szli z kurami spać, a pani choćby dłużej przy świetle czas nudny spędziła nad książką, nikt o tém nie wiedział..

Téj nocy właśnie gdy rozpustowano na zamku, a w odkrytych polach jesienny wiaterek bujał, w Laubegast tak go słytać było, łamiącego drzew gałęzie i miotającego lipami, iż o śnie ani było myśleć.

Piękna Anna rozebrawszy się, czytała w biblii, bo to jéj było czytanie najulubieńsze, zwłaszcza Apokalipsa i listy Ś-go Pawła... Toż myślała a rozmyślała nad niemi, często płacząc nawet.

Było już późno w noc i druga świeca jarząca dopalała się w jéj pokoju, gdy tętent się dał słyszeć za domem, a potem jakby kto bramę żelazną targał i psy ujadać zaczęły tak straszliwie, iż nieuleknionego ducha pani, poczuła się strwożoną. Rzadkie były już wówczas napaści na dwory, zwłaszcza pod stolicą, ale się przecie trafiały. Rozpuszczone żołdactwo, połapani gwałtem żołnierze, którzy później zbiegali i po górach się kryli tułając, dopuszczali się czasem gwałtów, choć je szyją później płacić im przyszło, gdy na nich oblawy zwołano.

Poczęła więc dzwonić Anna i cały dwór się pobudził, ale mimo to, brama nie przestała dźwięczeć ani psy ujadać... Poszli tedy ludzie z bronią w dziedziniec i dopiero zobaczyli że tam się ze dworu królewskiego posłaniec miotał a krzyczał

i tuż za nim sześciokonny powóz stał z lokajami i służbą. Psy wzięto na łańcuchy, wrota otwarto, posłaniec list oddał...

Gdy go jęj przyniesiono wśród nocy, sądziła zrazu Anna, iż coś złego stać się musiało... pobladła nieco... poznawszy jednak rękę męża, choć zmienioną na liście, uspokoiła się. Przyszedł jęj tylko na myśl los kanclerza Beichlinga, który nagle ze szczytu łaski poszedł jednę noc do Koenigsteinu i zabrano mu wszystko co miał. Sam Hoym nieraz pocichu spowiadał się jęj z tego, iż królowi nie wierzy i nie będzie się nigdy czuł bezpiecznym, dopóki majątku i głowy zagranicę nie wyniesie.

Dowiedziona to było rzeczą, iż król gdy najczulszym się okazywał, najwięcej się go obawiać było potrzeba, uspić bowiem pragnął, nim ofiarę swą strącił ze szczytu i lubował się patrząc na tragiczną fortuny zmianę. Myślała więc Anna, ażali los kanclerza nie spotkał jęj męża, którego kraj cały nienawidził za wprowadzenie akcyzy, i nieprzyjaciele nań szczuli ze wszech stron.

Zdziwiła się niezmiernie postrzegłszy na bilecie męża, ręką acz widocznie zmienioną i pośpieszną kreślonym, rozkaz, aby natychmiast przybyła... posłanym po nią powozem. Ani się było podobna opierać dla oczu ludzkich... a i ciekawość téż wiodła... Kazała więc slugom czynić natychmiast przygotowania do podróży... i nie upłynęła godzina, gdy już w powozie siedziała i wrota cichego dworu w Laubegast na zawsze się za nią zamknęły...

Myśli dziwne w drodze ją opanowały... Czowała się przejętą jakimś strachem i smutną tak, że się jęj na łzy zbierało. Nie wiedziała co jęj groziło i czy jęj co zagrażało, trwożyła się wszakże. O powrocie króla i dworu po kilkoletniej niebytności, wiedziano wszędzie. Z niemi razem powracały do Drezna intrygi, podstępny, wyścigi o łaski i znaczenie, w których się różnemi środkami posługiwano. Działy się tam rzeczy napozór lekkie i wesołe, a w istocie tragiczne...

W chwili gdy ofiary z jękiem padały w lochy i ciemne przepaści, bałowa muzyka przygrywała weselu tych co zwyciężyli... Nieraz z dala patrzyła Anna na siną górę Koenigsteinu, pełną tajemnic i ofiar...

Noc była ciemna bardzo, lecz powóz poprzedały pocho-
dnie dworskie i konie pędziły... ani opatrzone się jak stanęła
kareta na bruku u domu przy Pirnajskiej ulicy. To też choć
ministra oczekiwano, ludzie się pospali i nierychło się ich było
można dobudzić. W domu tym w którym Hoym zajmował pierwsze
piętro, pokojów nawet swoich Anna nie miała. Były tylko dla
przyjęcia klientów naznaczone i sypialnia pańska, która wstę-
t wzbudzała w Annie... Zresztą kancelarye i całe izby papie-
rów... Gabinet ministra przytykał do ogromnej sali, ozdobnej
wprawdzie, ale ciemnej, ponurzej i smutnej. Nie zastawszy mę-
ża w domu, tém więcej się zdziwiła hrabina Anna; ale słudzy
ją upewnili iż to była *noc królewska*, i że przy tej zabawie zwy-
kle przeciągał się pobyt na zamku do dnia białego i dłużej.
Zmuszona szukać przytułku i odpoczynku, hrabina musiała dziś
poraż pierwszy w tym domu męża, w którym nigdy prawie nie
bywała, znaleźć sobie jakiś kątek. Obrąła gabinet z drugiej
strony kancelaryi ministra położony, oddzielony od innych po-
koiów i tu sobie prawdziwe łóżeczko obozowe usłać kazawszy,
zaryglowawszy się ze służą, próbowała usnąć nieco. Ale sen
nie spłynął na powieki znużone, drzemała tylko chorobliwie,
budząc się i zrywając za najmniejszym szelestem...

Dzień już był biały, gdy usnąwszy głęboko na chwilę,
przebudziła się słysząc w gabinecie otwierające się drzwi i stą-
panie. Sądziła zrazu iż to był chód męża i w cichości co naj-
prędzej poczęła się z pomocą sługi ubierać...

Ubiór to był poranny, zaniedbany, który jej jeszcze wdzię-
ku dodawał. Znużenie podróżą, niepokój, gorączka podniosły
królewski wdzięk i blask urody zachwycającej. Z niecierpli-
wością odryglowała drzwi które ją dzieliły od gabinetu, otwar-
ła je, i stanęła w progu.

Naprzeciw niej zamiast męża stał człowiek zupełnie jej
nieznajomy, którego postawa i twarz wielkie na niej uczyniły
wrażenie.

Był to mężczyzna w czarnej, długiej sukni protestanckie-
go duchownego, nie młody, z głową wypełzłą i błyszczącą,
około której nieco siwych włosów rozwianych jakby aureolę
wiązało. Żółkła skóra przylegała do kości jego czoła, tak iż
żyły rysowały się wszędzie wypukło... Siwe oczy głęboko

wpadłe, usta uśmiechnięte goryczą, spokojna pogarda świata, pogoda i powaga przytém, nadawały téj twarzy ani pięknej zresztą, ani znaczącej, coś tak wybitnego i zatrzymującego oczy zdumione, iż mimowoli oderwać ich od niéj nie było można.

Patrzała nań Anna, ale i on jakby zjawiskiem téj kobiety przerażony, stał nieruchomy z wlepionemi w nią oczyma, w których mimowolne malowało się uwielbienie dla cudownego boskiego tworu, podobnego aniołom...

Stał i usta mu drżały i ręce się podniosły zdumieniem napół, napół jakimś ruchem niezrozumiałym, który i odpychać mógł i błogosławić...

Dwie te istoty zupełnie sobie nieznane... badały się tak chwilę oczyma... Duchowny cofał się zwolna... Anna oglądała się szukając oczyma męża... Już miała nazad wstąpić za próg gabinetu, gdy duchowny spojrzawszy na nią wzrokiem litości pełnym, zapytał...

— Kto ty jesteś?

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

NAUKOWA, LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Nowe wydanie dzieł Rabelais'go z ilustracją Gustawa Doré.—Rabelais i Rej z Nagłowio.—Pantagruel i Żywot poczciwego człowieka.—Odszukanie Livingstona.—Amerykanin Stanley.—Nowe odkrycia archeologiczne Schlimana.—Żywe zaprzeczenie przysłowiu: Nec locus ubi Troja fuit.—Zwrot francuskich poetów do klasycyzmu greckiego.—Les Erynnies tragedia pana Leconte de Lisle, naśladowana z Eschyleasa.—Król Thule, opera pana Diaz.—Żona Klau-diusza, dramat Aleksandra Dumasa.—Moja żona i ja, powieść amerykańska pani Beecher Stowe.—Edward Lytton Bulwer.—Przekład dzieła panny Bader: Kobieta grecka na język nowo-grecki.—Muzeum Moliera.

Mamy przed sobą najwspanialszą, może z noworocznych francuzkich publikacyj; jestto pyszne wydanie Rabelais'go, ilustrowane przez sławnego rysownika Gustawa Doré.

Kilka miesięcy temu wspominaliśmy o pomniku wzniesionym dla poety Ronsarda, w jego rodzinném mieście Vendome; obecne wydanie dzieł wielkiego humorysty francuzkiego, ważniejszym jest hołdem w oczach naszych; księga bowiem lepiej niżli kamienny pomnik upowszechnia zasługi pisarza.

Jak pomnik Ronsarda przypomniat nam imię naszego Jana z Ozarnolasu, tak znów dzieło Rabelais'go stawia na myśl, naszego sławnego humorystę Reja z Nagłowio. Mickiewicz poświęcając dwie prelekcye w kolegium francuzkiem Rejowi, porównywa go z filozofem i moralistą XVI wieku Montaignem; podobieństwo opiera na tém, iż obaj wskazywali prawidła postępowania szlachcie, według idealnych typów, jakie stworzyli w myśli własnej. Owe typy podobne w gruncie, różnią się jednak o tyle, o ile szlachta francuzka różniła się od polskiej.

Mickiewicz mówiąc o Reju, nie wspomniat imienia Rabelais'go, zbliżenie przecież tych dwóch wielkich pisarzy, wypływa samo z siebie w preleceyi genialnego profesora; Rabelais bowiem według krytyków francuzkich, utworował drogę Montaignowi, i był dla niego wzorem. Strona zaś humorystyczna, tak wydatna w naszym

Reju, zbliża go więcęj do krotochwilnego autora Pantagruela, aniżeli do klasyycznego Montaigna.

Jak Rebelais'emu tak i Rejowi częstokroć zarzucano rubasznosc, cynizm i swawole. W Gargantui i Pantagruelu, zarowno jak w figlikach Rejowskich, widzimy mnostwo ustępow, obrazajacych delikatny smak salonowych diletantow literatury. Przewidujac podobne zarzuty, Rabelais wybornie na nie odpowiada we wstepie do Gargantui: przytaczamy jego slowa.

„Przypuscivszy ze pod wzgledem literackim znajduja sie tu pocieszne rzeczy, nie trzeba zatrzymywac sie na nich, jak i na pieśni syren, ale potrzeba w wyzszymsensie tłumaczyc to, co powiedzianem bylo przypadkiem w wesołości serca.

„Azali widzial kto psa, kiedy znalazl kosc pełną szpiku? Jest to jak mowi Platon (w rzeczypospolitej) bestya najfilozoficzniesza w świecie. Kto to widzial, wie jak pilnie czatuje na ową kosc, jak starannie ja chowa, jak zarliwie trzyma ja w pysku, jak roztropnie ja ogryza, jak pracowicie wsysa sie do glebi. Coz go wiedzie do tego? I czegoz sie spodziewa? co zdobędzie? odrobine szpiku... nie więcęj!...

„Za przykladem tego psa, wypada nam roztropnie zwietrzyć, przeczuc i ocenic te ksiazki przerosle tkustoscia, lekkie napozor, razące przy pierwszym spotkaniu; a potem z ciekawoscia i glęboką rozwaga, wypada roztracic kosc i wysaac pożywny szpik, z pełną otucha, iż czytanie ukrzepi naszą dzielność“.

To co powiedzial Rabelais, moznaby zarowno zastosowac do Reja.

Trzeciecki w biografii mowi ze Rej byl samoukiem, ze pod wasem dopiero, przebywajac na dworze Tenczyńskiego, zabral sie pilnie do ksiazek, aby powetowac czas stracony. Swiadczy to o potędze geniuszu mlodziana, lecz bynajmniej nie o jego nieuctwie. Wprawdzie Rej nie podrózowal nigdy po obcych krajach obyczajem ówczesnym, ale za zycia jego, brzask Zygmunrowskiej zorzy switajacy juz nad narodem, dosc zaprawde dostarczal swiatla dla cheiwiej nauki mlodzięzy. Za erudycją Reja wymownie swiadcza liczne cytaty w *Żywocie człowieka poczciwego*. Umial on na palcach Pismo Swięte. znal dokladnie dzieje Persow, Grekow i Rzymian, znal nawet poetyckie fabuly „jako Cyrce glowy odcinala, jak Ulyses plywal po morzach, jak Helenka broila w Troi“. Znal to wszystko Rej powtarzamy, a co więcęj umial ozywic nauke silą twórczą, która w nim spoczywala. Cokolwiek zaczerpnal z zewnatrz, wszystko to przerabial na własną modłę, i czynil jakoby szpikiem swych kosci, którym wieki karmic sie mialy.

Ztąd slusnie Rej uwazany za najoryginalniejszego z pisarzy naszych. Jego *Żywot człowieka poczciwego*, to wierne zwierciadlo polski XVI wieku, to dzieło w soislém znaczeniu *historyczne*, bo maluje, wprawdzie nie wojny i przymierza, ale co więcęj zuaczy,

życie narodu wielkie, pełne, jakim było za Jagiellonów. Dlatego to Mickiewicz, który wyssał szpik kości Reja, wyrzekł z katedry, że „księgi jego tłumaczone dla cudzoziemców, więcejby im dały poznać dzieje narodu, niżeli prace, zwłaszcza późniejsze, tak zwanych historyków“.

Czém pozostał Rej dla nas, tém samém dla Francuzów pozostał do dziś dnia Rabelais: zwierciadłem społeczeństwa swego czasu. Kiedy czytamy Rabelais'go, myśl nasza zwraca się mimowoli do Reja, a jednak, powinowactwo to leży więcej jeszcze w duchu niżeli w formie. Rej nie lubił—jak mówi—poetycznych fabuł, malował też po prostu swe ideały. Rabelais przeciwnie, przybierał swoje w fantastyczne kształty niestworzonych dziwadeł. W tych przecież Gargantuah, Pantagruelach i t. p. drga życie Francuzów XVI wieku.

Rabelais dawniejszym jest nieco od Reja, urodził się bowiem roku 1483 w okolicach Tours, w tym jak mówi: „ogrodzie Francyi.“ Pięć lat przeżył pod wpływem karczemnego zgiefku, ojciec bowiem trzymał oberżę w mieście Chinou. Oddany do szkół, uczył się wybornie. Pragnienie nauki popchnęło go do stanu duchownego. Został nasamprzód Bernardynem: zwolniony przez papieża wstąpił do Benedyktynów. Później przebywał jako sekretarz na dworze biskupim; gdzie zawiązał liczne stosunki z uczonymi. W Mendon gdzie przemieszkował jako proboszcz, pokazują dom ozdobiony kamienném jego popiersiem.

Był to jeden z najuczestniejszych mężów swego czasu. Znał dokładnie języki: hebrajski, łaciński, grecki, arabski, jak niemniej wielką część europejskich języków. Biegły lekarz wykładał medycynę w Montpellier, w Lyonie wykonał najpierwszą dyssekcję anatomiczną. Sława jego lekarska przebrzmiała dziś, wiedzą tylko o niej sami specjaliści. Nie miała za to przebrzmieć sława Rabelais'go jako *dyssektatora* umysłów i serc ludzkich.

Nieśmiertelność swoją zawdzięcza on wielkiej epopei prozą w pięciu częściach. Pierwsza z nich nosi tytuł: *Gargantua*, cztery ostatnie *Pantagruel*. Rzecz odbywa się w kraju fantastycznym, którego napróżnoby szukać na mapie świata. Osoby zarówno fantastyczne: *Grandgoussier*, *Gargantua*, *Pantagruel*, dziad, ojciec i syn, są to królowie olbrzymów, władający kolejno w kraju *Utopii*. Tym krajem widocznie Francya, a szczególnie dwie jej prowincye: *Tours* i *Poitou*, w których Rabelais przebył największą część życia.

Wątek powieści nadzwyczaj poszarpany i mało znaczący. Autor wprowadza nas w życie bohaterów swoich; opowiada ich dziecinne lata, sztydzi z ówczesnego wychowania młodzieży. W pierwszej księdze maluje dowcipnie postacie *Grandgoussiera* i *Gargantui*. Obłoszcze surowo żądę podbojów, nadużycia stanu rycerskiego i sądownictwa, nie przebacza nawet duchowienstwu. Ta część przypomina bardzo *Worek Judaszowy* Klonowicza, z tą różnicą, że w satyrach na-

szego Acerna, więcej nierównie gorzkiej zółci, w pociskach zaś Rabelais'go przeważa strona humorystyczna. Francuz śmieje się na głos, jakby chciał zagłuszyć śmiechem łkanie wydzierające się z piersi, na widok nieszczęśliwego ludu.

Cztery następne księgi, poświęca autor *Pantagruelowi*. Jest to idealny typ stworzony w myśli Rabelais'go jak *Pocziwy człowiek* w myśli Reja. Młodzian wychowany według wskazanych zasad, staje się księciem sprawiedliwym, dobroczynnym, pełnym prawdziwie ludzkich uczuć. Pragnie pozyskać sobie wszystkie serca, przebywa najchętniej wśród ubogich prostaczków, unika zaś blasku i przepychu dworskiego. Przedsiębierze daleką podróż. W tej pielgrzymce napotyka co krok najsmutniejsze obrazy, oddane śmiałym i pełnym życia pędzlem. Każdy dzień rozszerza koło wiedzy Pantagruela, a gdy nadchodzi wieczór, młodzian przebiega w pamięci wszystko co widział, czytał, słyszał, czego się nauczył. I ukorzony przed Bogiem, dziękuje Stwórcy za odebrane dary, błaga o łaskę i o światło, albowiem „wiedza bez sumienia, (science sans conscience) jest niechybną zgubą duszy ludzkiej!”

Takiemu to pisarzowi, ojcu humorystów francuzkich, protoplaście Moliera i Lesage'a, Francuzi zbudowali dziś piękny pomnik, wydaniem jego nieśmiertelnej epopei. Przepyszne rysunki Gustawa Doré, wzbogacają to dzieło, zarówno jak przedmowa i komentarze uczonego Ludwika Moland.

I kiedyż to nasz Rej z Nagłowic doczeka się podobnego tryumfu!

Wszystkie przeglądy i gazety ucywilizowanego świata, zajmują się sławnym Liwingstonem. Obok tego imienia brzmi inne również sympatyczne, amerykańnina Stanleya, który odkrył wielkiego podróżnika angielskiego.

Opis podróży Stanleya po środkowej Afryce: *How I found Liwingstone*, porusza dziś wszystkie umysły. Tłumaczą go na mnóstwo języków, drukują po ilustrowanych dziennikach, w całości, wyjątkach lub streszczeniu. Za kilka tygodni dzieło Stanleya, będzie w ręku wszystkich, nie myślimy też rozbierać go szczegółowo. Zwrócimy tylko uwagę, na tę niesłychaną działalność, na tę gotowość do spełnienia najtrudniejszych przedsięwzięć, która stanowi charakterystykę Jankesów.

Henryk Stanley przebywał w Madrycie jako korespondent *New-York Herald*. W dniu 16 października 1869 roku odbiera depeszę telegraficzną w tych słowach:

„Przybywaj pan do Paryża, sprawa wielkiej wagi.“

James Bennet, syn właściciela, wielkiego dziennika Nowo-Yorskiego, podpisany pod telegramem.

We dwie godziny potém, Stanley zapakował się do drogi, podawał wizyty pożegnalne i wyruszył spiesznym pociągami do Francji. Nazajutrz wieczorem zapukał we drzwi pana Bennet.

- Kto pan jesteś?
- Stanley.
- Ha! dobrze. Proszę spocząć. Gdzie może być Liwingstone?
- Ja nie wiem.
- Czy myślisz pan że umarł?
- Może umarł, może zresztą i żyje.
- Co do mnie—rzecze Bennet—pewien jestem że żyje, że odszukać go można. Chciałbym wystać pana w tym celu.
- Co? w głąb Afryki?
- Chcę abys pan tam jechał, wynalazł go, przywiózł mi o nim wiadomości, a zresztą wsparł w razie potrzeby zasłużonego podróżnika. Zostawiam panu wszelką wolność, masz rozwiązane ręce. Czyń jak chcesz ale odszukaj Liwingstona!
- Czy pan pomyślał, na jakie koszta naraza taka podróż?
- Ileżby naprzykład?...
- Burke i Speke wydali 5000 funtów, mnie jak sędzę potrzeba co najmniej 2500 (62,500 franków).
- Weźże pan z sobą 1000 funt., na drugą i trzecią taką kwotę otrzymasz akredytywę, ale odszukaj Liwingstona!
- Mamże popłynąć najprostszą drogą?
- Wcale nie. Będziesz pan na otwarciu kanału Suezkiego. Ztamąd puścisz się w górę Nilem. Słyszałem że Backer zamierza wyprawę do wyższego Egiptu. Dowiedz się o tém najspieszniej. Płynąc ułożysz panu przewodnik dla turystów, z wyszczególnieniem miejsc zasługujących na uwagę.

„Potém możesz pan wstąpić do Jerozolimy. Kapitan Warren porobił tam ważne odkrycia, w Konstantynopolu zbadasz powody sporów Kedyfa Egiptu z sultanem. Przejedziesz przez Krym, zwiedzisz tam pola bitwy. Ztamąd przez Kaukaz dotrzesz do morza Kaspijskiego; następnie przez Persyę udasz się do Indyi. Możesz napisać zajmujący list z Persopolis. Bagdad będzie po drodze. Donieś nam o kolei żelaznej na dolinie Eufratu. Z Indyi popłyniesz do Liwingstona. A teraz dobranoc panu... Bóg z tobą.“

Veni, vidi, vinci, powtórzył za Cezarem śmiały amerykańanin. Stanley popłynął, odszukał Liwingstona, przywiózł od niego listy.

Tak energiczny pośpiech, właściwy młodemu Jankesom, lecz niepraktykowany w starszej i poważniejszej Europie, spowodował zrazu niewiarę, na usta wielu uczonych przywołał nawet uśmiech powątpiewania. Quatrefage oświadczył na zebraniu Towarzystwa Jeograficznego, że wiadomości amerykańanina Stanleya potrzeba przyjmować z niejakim zastrzeżeniem. Inni dalej jeszcze posuwali nieufność. W całej podróży Stanleya widzieli tylko kaczkę, a raczej bombę dziennikarską ogromnego kalibru, puszczoną przez Nowo-Yorkskiego

Herolda, w łatwych do odgadnięcia celach. Byłby to nie pierwszy i nie ostatni tuman rzucony w oczy Europie, przez rakiетników amerykańskich.

Na ten raz jednak, podejrzenia okazały się, jak mówią, niesłuszne. Tak przynajmniej zdecydowało poważne ciało naukowe: Towarzystwo Jeograficzne w Paryżu. Na posiedzeniu 8 listopada, sekretarz tegoż Towarzystwa Ryszard Cortembert, odczytał ustęp z listu Liwingstona do córki, z daty 1 lipca 1872 r., w którym sławny podróżnik wyraża się najpochlebniej o młodym amerykaninie. Oto są jego słowa: „Pan Stanley był dla mnie *dobrym Samarytaninem*, w mym rozpaczliwym stanie, wdzięczny mu jestem za to. Pisałem do redakcyi New-York Herold. Chciałem zachować dla siebie większą część notat, ale względ na wielkie koszty, jakie p. Bennetłożył, przysyłając mi tu pana Stanley, spowodował żem mu udzielił materiałow do napisania dzieła. W takie ręce mogę powierzyć je bez obawy, amerykanie bowiem umieją być dobrymi i szlachetnymi przyjaciółmi.

„Nie można wątpić o autentyczności tego listu, poznajemy w nim styl Liwingstona,“ dodaje pan Cortembert; p. Babinet (syn zmarłego astronoma) silniej to jeszcze popiera, stawiając jako dowód inne listy do Lorda Granville. Pan Quatrefage tylko milczy, co do nas czekamy niecierpliwie, aż on wyrzeknie słow!

W listopadowym bulletynie tegoż Towarzystwa, czytamy ważną rozprawę p. Henryka Duveyrier, o tej sławnej Wschodnio-Afrykańskiej wyprawie, przedsięwziętej w roku 1866, którą Liwingstone zamierza dociągnąć do roku 1874. Dowiadujemy się z niej ile trudności zwalczył niezmiordowany ten podróżnik, jak złożony ciężką chorobą w r. 1869, zawdzięcza tylko życie opiece mużulmana Ben-Ghareb; jak przyszedłszy do sił przechodził przez dziewicze lasy Monyouema, pełne goryłów i słoni, jeszcze nigdy nie tknięte ludzką stopą; jak w tychże lasach napotkał osadę ludożerców, jak uszedłszy ich pasczy, musiał ustąpić przed Murzynami, którzy nie rozumiejąc naukowego celu podróży, widzieli w nim poprostu kupca handlującego ludzkim ciałem! Jak nakoniec doprowadzony do rozpacz, wyczerpany z sił, złamany fizycznie i moralnie, spotkał w Oudjidji, w grudniu roku 1871 amerykanina Stanleya, który zjawił się jego oczom, jak widomy zesłaniec Opatrzności.

Co do naukowych wyników z eksploatacyi Liwingstona, najważniejsze są te, które dotyczą systematu wodnego licznych jezior afrykańskich. Jakakolwiek może być doniosłość tych odkryć, więcej jeszcze znaczy popęd, jaki dał ten nieustraszony podróżnik całemu światu ucywilizowanemu, do przedsiębrania nowych wypraw. Już oto Towarzystwo Jeograficzne berlińskie czyni ogromne przygotowania w tym celu na rok bieżący. Anglicy nie chcą dać się wyprzedzić Niemcom. „Spieszmy się, zawołał niedawno Young, bo Niemcy zabiorą nam Afrykę!“ i zwyczajem angielskim, na głos jego sypnęły

się ogromne summy. Francuzi najwięcej interesowani, mając tak obszerne posiadłości w Afryce, nie pozostaną w tyle. Jakoż dwóch młodych podróżników, dobrze przygotowanych naukowo, których nazwisko dotąd jest tajemnicą, postanowiło zapuścić się wkrótce w głąb Afryki podróznikowej. Tymi tajemniczymi, a cheiwyimi sławy podróżnikami, mogą być książęta Orleańscy. Jest to poprostu nasz domysł oparty na niedawnej podróży księcia Penthierre syna księcia Joinville do Chin i Japonii.

Patrzmy więc na ogromne usiłowania w celu odkrycia dwóch stref jeograficznych, które są dotąd zagadką. Przedsiębrane dziś w tyłu miejscach wyprawy podbiegunowe, niemniej ważny mają cel naukowy i praktyczny, jak i wyprawy afrykańskie.

Z innego zupełnie świata, ze świata starożytnych walk Greków z Trojany, przynosi nam wieści archeolog Schlieman. Wieści to pewniejsze dla wielu, aniżeli świadectwa Stanleya o Liwingstonie, gdyż poparte fotograficzną reprodukcją licznych wykopalisk. Dzięki p. Schliemanowi, słowa starożytnych: *Nec locus ubi Troia fuit*, nie mają dziś znaczenia. Schlieman odkrył pierwotną Troję, przywaloną gruzami tak zwaną *nową Troję*, która niemniej była od wieków zagrzebaną pod górą piasku. Odkrycie to ważne, nie tylko dla archeologii, ale niemniej dla etnografii i historii.

Dziwny to, nadzwyczajny człowiek ten Schlieman! Mały niegdys chłopczyzna wzięty z litości do sklepowych posług, przez ubogiego kupca w Hamburgu, żelazną wolą, miłością nauki i wytrwałą pracą, nie tylko że się wydobywa z biedy i ciemnoty, ale zostaje panem milionów, a co ważniejsza przyczynia się potężnie do postępu nauki, i dziś zwraca na siebie uwagę całego ucywilizowanego świata!

Przed trzema laty pisaliśmy już o Schliemanie, z powodu dokonanych przezeń wykopalisk pałacu Ulysessowego na Itace. Skreśliliśmy wtedy krótki jego życiorys, wspomnieliśmy też o pierwszych jego pomysłach dotyczących się miejscowości Troi. Idąc trop w trop za Homerem, Schlieman wystąpił silnie przeciw archeologom i podróżnikom, którzy pod wsią Bonnar-Baschi domyślali się istnienia grodu Pryamowego. Przeczające dowody opierał głównie na tém, że Hektor nie byłby mógł obiedz dokoła murów, zatrzymany głęboką przepaścią. Świadectwo Homera było dla archeologa matematycznym pewnikiem.

Aby tém lepiej przekonać antagonistów, Schlieman rozkopał wielką przestrzeń w Bonnar-Baschi: pokazało się że żadne miasto nie istniało tu nigdy.

Wówczas to zniósłszy się z władzami tureckimi rozpoczął poszukiwania w inném miejscu, które więcej odpowiadało skazówkom ślepego poety.

Cała Trojada jest dziś jak wiadomo szeroką płaszczyzną, przeciętą mnóstwem rzeczułek i strumieni. Rzeka Skamander wypływająca ze stoków góry Idy, przerywa kraj z południa na północ. Ludność tu uboga i nie liczna, dziesiątkowana żółtą febrą.

Na wschód, w niewielkiej odległości od Helespontu i morza Egejskiego istnieją szczątki ogromnego miasta, znane jako zwaliska Nowej Troi, (*Illium novum*). To miasto kwitnęło niegdyś za czasów Xerxesa i Aleksandra, dziś na gruzach jego leży turecka wieś His-sarlick. Nazwa jej świadczy o dawnej świetności, znaczy bowiem *miasto pałaców*.

W owymto miejscu rozpoczął Schlieman prawdziwie herkulesowe prace w październiku r. 1871; wkrótce jednak z powodu ślot zimowych zmuszony był odłożyć je do wiosny.

Od kwietnia do czerwca roku następnego podjęte znów prace drogocenne wydały plony.

Niepodobna wyliczyć tysięcznych przedmiotów z marmuru, kamienia, metalu i gliny palonej jakie Schlieman wydobył z ziemi. Jedne z nich odnoszą się do późniejszych czasów Nowego Illionu, jak na przykład płaskorzeźba Apolina w niewieściej odzieży z tarczą słoneczną, na wozie uprzężonym w cztery rumaki. Inne za to noszą piętno nierównie głębszej starożytności. Do tych należą wazy z czarnej terrakoty w rodzaju starożytnych etrusków. Na wielu z nich widać postać niewiasty z sówią głową. W takiej postaci Pallas Atene, była, jak świadczy Homer, bóstwem opiekuńczem Illionu.

Wszystko to niezem w obec olbrzymich złomów tego muru, który opasywał starożytny gród Pryamowy. Wysokie wieże przecinają go w odstępach. Zjakąż to radością i chluba odkrył Schlieman ową przestawną wieżę, z której Andromaka spostrzegła ciało Hektora męża ukochanego, wleczone obelżywie za wozem mściwego Pelledy!

Uczony archeolog wpadł na ślad pierwotnej świątyni Minery. Wkrótce zapewne otrzymamy wieść o tej nowej zdobyczy naukowej. Wykopaliska żywo postępują; czciciel Homera pełną ręką sypie złoto, sto pięćdziesięciu robotników pracuje bez ustanku i pracować ma jeszcze pięć miesięcy. Z końcem roku 1873 Schlieman ogłosił ma drukiem szczegółowy opis dokonanych prac, ozdobiony dwustu przeszło fotografiami; donosi o tém w liście do paryskiej akademii napisów.

Na posiedzeniu tejże akademii 17 stycznia, sławny grekofil Egger odczytał ów list, i okazał zdjęte na miejscu fotografie. Uczni przyklasnęli z nie mniejszym zapalem jak podziwem. Przed kilku laty wielu z nich uważało Schliemana za maniaka. Nie pojmowano jakim sposobem ślepy wieszak może służyć za przewodnika w poszukiwaniach ściśle naukowych. Dziś wszyscy musieli pochylić głowę przed żelazną wolą uwieńczoną najwspanialszym tryumfem. Niemiecka nawet narodowość archeologa nie ostudziła zapalu francuzkich uczo-

nych. Schlieman też nie jest ani Niemcem ani Francuzem; fanatyzm archeologiczny nie pozwala mu zajmować się polityką: to król Troi, rodzony syn Hekuby i Pryama!

Zwrot do klasycyzmu greckiego daje się dziś widocznie spostrzegać we Francyi. Niedawno znakomity poeta Wiktor Laprade napisał na wzór mistrzów greckich wspaniałą tragedję z chórami p. t. *Harmodius*; obecnie inny wielki poeta Leconte de Lisle wystąpił z tragedją przerobioną żywcem z Eschylesa p. t. *Erinnies* (furye). Tragedję tę przedstawia Odeon, a pomimo, że tego rodzaju utwór na dzisiejszych deskach teatralnych jest niejako anachronizmem, przepyszny jednak wiersz pana de Lisle odpowiedni dramatycznym zaletom Eschylosowego arcydzieła, sprawia że tragedia przypadła do smaku poważniejszej publiczności. Zdania krytyków bardzo podzielone: jedni utrzymują że teatr powinien być odbiciem żywego społeczeństwa, że szaleństwem jest wkrzeszać świat zamarli i pogrzebiony; inni wołają znów, że sztuka nieśmiertelna, że prawdziwe piękno wszędzie i zawsze piękne. Wszyscy jednakże zgadzają się na to, że p. Leconte de Lisle niepospolitym jest poetą, że gdyby nawet tragedia jego nie miała się ostać w Odeonie, otworzy mu niewątpliwie progi akademii francuzkiej.

Kiedy trzy miesiące temu mówiąc o Kobięcie greckiej panny Bader, dawaliśmy treść Orestiady Eschylesa, nie przyszło nam wtedy na myśl, że w krótkim czasie zmuszeni będziemy powrócić do tego przedmiotu. Dziś pominąć go niepodobna. O takich utworach jak tragedia p. de Lisle, kronika zamilczeć nie może.

Autor obznajmiony doskonale z duchem literatury greckiej, jako tłumacz Homera i innych klasyków, kierował sam wystawą sztuki, nie pomijając drobiazgowych szczegółów nawet w ubraniu bohaterów i bohatererek. Duch starożytny wieje z tych wszystkich postaci, zacząwszy od Agamemnona w klamydzie purpurowej, od Kassandry w peplum czarnem jak noc, jak zropanczona jej dusza, aż do piekielnych Eumenid w białych całunach z włosom puszczoneym na twarz i ramiona, a naśladowującym węzowe uploty.

Trilogię Eschylesa poeta francuzki sprowadził do dwóch aktów, przez co nadał jej tém więcej siły. Usunął zupełnie Egisthesa i Pyłada, a tém samem odebrał jej dwa bodźce: uczucie miłości i przyjaźni. Mściwa nienawiść oto jedyna oś, na której obraca się cały dramat. W pierwszym akcie Klitemnestra wiedziona zemstą stacza krew Agamemnona w okup za niewinną krew Iphigenii poświęconej bogom przed laty dziesięciu; w drugim, syn Orestes mściciel ojca, morduje własną matkę. Groza panuje w każdej scenie dramatu; uosobieniem jej są tu owe straszne jędze Erinnye, snujące się milcząco i tajemniczo, niby piekielne widma.

Rzecz rozpoczyna się tak samo jak w greckiej tragedyi, o pierwszym brzasku dziennym przed pałacem Agamemnona w Argos. Starcy oplakują dziesięcioletnią niedolę i krew mężnych ściekłą pod murami Illionu. Nadzieja wygasła w ich piersi. Nagle stróż nocny zstępuje z wieży, wbiega pomiędzy starców.

- STRÓŻ. To on! widzę go wreszcie... ogień święty płonie!
 Ręka bogów na groźnym ciąży Illionie,
 To on! hasło zwycięstwa czerwono migocze;
 Opoka je w pomroku przesyła opoce.
 Witaj ogniu! zbyt długo śledziłem ja ciebie,
 Wśród gwiazd promienistych na szerokiem niebie.
 Ojczyzno! twoje syny w pomście krwi niesytéj,
 W gardziel Frygów spizowe utkwiły dziury:
 Z murów i wieżyc Troi sterczą rumowiska:
 Do powrotu zwycięzcom brzask dzienny połyska!
- STARZEC I. Co wyrzekłeś szalony? sen oko twe mam:
 Proch wodza w barbarzyńskiej ziemi za morzami,
 Pogrzeban już oddawna: w ich powrót nie wierzę!
- STARZEC II. Śnać ognisko na górach roztili pasterze,
 Lub Kronid błyskawicę zasiał w świat daleko.
- STRÓŻ. O nie! jam stał na czatach z rozwartą powieką;
 Niel oto stos ostatni tam na stroméj skale,
 Słupem ognia ku niebu uderza wspaniale;
 To hasło ze zgliszcz Troi płonących wybucha:
 Ilion łupem naszym! nie płonna otucha,
 Agamemnon zwycięzcą!

Wybiega Klitemnestra z orszakiem, potwierdza myśl szczęśliwą.

- KLITEMNESTRA. Chwalcie bogów! tak... Ilion zdobyli Argowie,
 Niech się wszystek lud w Argos o tryumfach dowiedź;
 Niech od brzasku rannego aż do nocy czarnej,
 Z żył stu ryczących byków płynie źródł ofiaruy!

Po chwili przybywa Agamemnon w orszaku rycerzy i majtków, wiedzie tłum jeńców i brank trojańskich okutych w pęta. W grocie brank po błędem licu i żalobnej szacie, po szkarłatnej opasce nad czołem i złotém berle, darze wieszczego Apolina, snadno poznać córę Priamową, Kasandrę.

Klitemnestra z udaną radością wita małżonka w progach królewskiego pałacu, rozkazuje pod stopy zwycięzcy rozesać drogocenną purpurę.

Agamemnon obojętnie słucha obłudnych pochlebstw żony, z uniesieniem wita ojczyste gniazdo.

AGAMEMNON. Witaj mi gródzie Argos, memu sercu drogi,
Witaj wierny mój ludu, witajcie mi bogi!
Wy coście rzuczyli waszych tarcz zasłonę,
Na to gniazdo przezemnie zdawna opuszczone;
Coście dach mego domu strzegły od zakały,
Zeusie, Apolinie z ognistemi strzały,
Pokłon wam, o! Atrydów boscy przyjaciele!

Król wzbrania się stąpać po purpurze: taki zaszczyt należy tylko nieśmiertelnym.

Niewiaśtol słuchaj prawdy ukrytej w mém słowie,
Purpurę sami tylko niech deptają bogowie;
Miléj mi po ojczystej deptać twardej ziemi:
Ona do celu wiedzie szlaki pewniejszemi.
Siłaz ja z woli bogów dzwigam już na grzbiecie
Dni i trosk, ale ciężar moich bark nie gnecie,
Dziś, gdy chwały powrotu niebo mi użycza,
Nad pochlebne okrzyki, nad korne oblicza,
Wolę serca przyjazne.

(ukazuje *Kasandrę*).

Spojrzyj Ledy córo
Na tę brankę: ojcowie jęj chadzali górą!
Lecz bogów nieśmiertelnych tajemne wyroki,
Rychło ją pogrążyły w przepaści głębokiej;
Bo droga od tryumfów do upadku blizka:
Lekkim uczyn ten łańcuch co barki jęj ścisła.
Ze pnia to królewskiego wyrosły szczep świeży,
Krew wielkich bohaterów uczcié w nięj należy.

I Agamemnon wchodzi do pałacu. Klytemnestra zatrzymuje się, wzywa *Kasandrę* z sobą, ale córa *Priama* stoi jak słup, wieszczce natchnienie porywa ją: płomień bucha z jęj oczu, lica jęj płoną zarem.

Królowa przestępuje straszny próg w ślady męża, *Kassandra* zostaje w pośród starców. Stoi chwilę martwa i nieruchoma, wreszcie kipiącym potokiem z ust jęj wybiega wieszczce słowo! Miota klątwy na progi *Atrydów*, widzi topór, który w mguieniu oka upadnie jęj na głowę. Ogarnia myślą przeszłość, oplakuje niedolę rodu swego i klęski *Ilionu*.

KASSANDRA. Oni szydziłi ze mnie, gdy głos mój proroczy,
Obraz przyszłej niedoli rzucił im przed oczy!
A ja nocą w boleści błąkam się w pół żywa,
Słyszę jak głucho wzbiera ta powódź straszliwa,
Co spiętrzoném klęsk morzem na *Ilion* spłynie!
I tyżes łzom urągał moim *Apolinie*?
Tyżes mi zmor tysiące nasyłał w noc głucho?
Zaślepił lud mój wszystkim, tyś mu zawał ucho,

Gdy ja wieszczemi słowy wciąż do serc kołając?
 Widzę gród starych królów, mury i pałace,
 Widzę włos siwy ojca i drogiej macierzy,
 I widzę żółty piasek rodzinnych wybrzeży,
 I rzeki, bóstwa bratnie i znużone woły,
 Wyprężone od pługa z rogatemi czoły,
 Pławiące się w południe i w wieczorną ciszę;
 Widzę jak się rój dziewic na falach kołysze:
 Ich śmiech roztrąca echo o skał nagie szczyty.
 Dziś nie tak! fala niesie helmy i dziury ty,
 Ztrząskane wozy, tarcze i walecznych trupy,
 Krwawe, z martwą żrenicą zwalone na kupy.
 Skamandrze! Priamitów drogi niegdyś sercul
 Doliny utulone w murawy kobiercu!
 Ojczyzno! Ilionie okryty żalobą!
 Nie ocalę już ciebie, ach umrzeć mi z tobą,
 Gdy potęga tajemna moją duszę miota,
 Pomknę w kraj wiecznej nocy, kędy zorza złota,
 Nie przyświeca dla żywych: moje wieszczę słowo,
 Niech brzmi w czarnej otchłani umarłym nad głową;
 Błada z twém berłem w dłoni, z twém godłem u czoła,
 Pójdę tam Apolinie... straszny głos mnie woła!
 Oto dzień i godzina, mój duch technieniem bożem,
 Owian z pęt się wyrывał

(Zrzuca berło i opaski purpurowe z czoła).

Pod morderczym nożem
 Wnet zadrży moje ciało i praoców cienie,
 Ponure mi Hadesu rozemkną sklepienie!
 Lecz dzień odwetu przyjdzie i będę pomszczona,
 Ten co ssał Klitemnestro, mleko twego łona,
 Włóczęga wykarmiony nienawiści jadem,
 Potwór nie ludzkich plemion pójdzie krwawym śladem.
 Okrutny matkobójca bogów chłostą wściekłą,
 Pędzony w płomieniste własnej duszy piekło!...
 Związać mnie! wnet cios jeden skoczy te katusze
 Czas mi zasnąć nakoniec...

(Chee wniósł do pałacu i cofa się nagle).

Mrok padł mi na duszę...

Spiz schwyli mnie za gardło, z drgającego łona,
 Wnet gorącym potokiem spłynie krew czerwona!
 Ja drzęł.. ratunku, starcy! ciemno mi, o biada!...
 Pot zimnemi kroplami po licu mi spada!
 Nieszczęsna zbiegaj z Argos, w daleką bież drogę,
 Będziem milczéć jak skały... uciekaj!

STARZEC.

KASSANDRA.

Nie mogę!

Mnie tam isć—niech ta suka zbrodnią pokalana
 Powali mnie u boku zwalonego pana!

To rozkosz—tehórz jój tylko nie zazna obrzydły—
 Patrząc w śmierć, gdy czarnemi szeleści nam skrzydły...
 Idźmy! a ty... przeklęty bądź przybytku zbrodni,
 Skrwawi cię syn, jak ojca skrwawili wyrodni,
 Przezawe gniazdo sępów o szponach zjeżonych,
 Przez ten wiekowy szereg przysiąg pogwałconych;
 Przez te ohydne niegdy z ciał ludzkich biesiady,
 Przez te chytre podstępny i piekielne zdrady;
 Przez Ereb waszą ręką zapchan drapieżniki,
 Przez czarny pomrok nocy, przez wichrów poryki;
 Przez jęk pomordowanych tu ręką zbrodniczą,
 Przez bogów zagniewanych, co te zbrodnie liczą;
 Przez Troję pogorzałą, przez krwi ściekłe rzeki,
 Bądź na wieki przeklęty!—przeklęty na wieki!

I Cassandra wchodzi w straszne progi. Starcy ubolewają nad jój losem; nagle daje się słyszeć przeraźliwy okrzyk z pałacu:

— Stój kobioto! umiśram—woła ugodzony Agamemnon.

Starcy osłupieli z trwogi, i oto Klitemnestra wbiega na scenę: biała tunika jój pobryzgana krwią, w ręku trzyma topór jeszcze z krwi nie ociekły.

— Jam go zabiła—meczce z uczuciem piekielnej rozkoszy.

Nigdy żaden zapewne poeta nie wyraził z większą potęgą nienawiści w sercu kobiccem, jak Leconte de Lisle, przez usta Klitemnestry.

Ja go nienawidzę.

Wstrętne mi, co ukochał ten król—ten trup bładny—
 Wstrętne mi samo imię Argos i Hellady
 Słońce, bo mu świeciło promieni koroną,
 Powietrze, bo je wziewał piersią splugawioną;
 Te mury, bo je wała jego kadłub krwawy,
 Te progi, bo je deptał: te trofea sławy;
 Te niecze z rąk Trojanom wypadłe w dzień skonu,
 Te skarby odgrzebane z pod zgliszcz Ilionu,
 I syn jego przezemnie zrodzony w boleści:
 Wszystko mi nienawistne!

Krew ofiary nie zaspakaja okrutnego serca. Klitemnestra od-
 mawia małżonkowi czci pogrzebowej.

Nie legnął mu górą,

Na stosie przysłoniętym żalobną purpurą;
 Niech czaszy ofiarniczej nikt nie dotknie usty,
 Niech żadna iza nie ściecze do łzawnicy pustej;
 Niech psy nad dwoma ciały w ostre kły zadzwonią,
 Niech orły przynęcone świeżą trupów wonią,
 Zlecają z gniazd i radośnie zatrzepocą w skrzydła!
 Pogromca Ilionu i branka obrzydła,
 Ona wieszczka prorocza, on król co świat burzy,
 Najdą łóże godowe w cuchnącej kałuży!

Usta Agamemnona nie stało się pastwą drapieżnych orłów. Głos ludu uchronił je od zniewagi. Drugi akt rozpoczyna się z innej strony tegoż pałacu. W pośrodku serezy nagi karchan, za nim rozpostarta piękna dolina Argos. W kurchanie tym leżą kości Agamemnona. Khoefori, branki trojańskie, niosą czasze ofiarne i wieńce z kwiatów, przewodniczy im Elektra. Idą na grób z rozkazu Klitemnestry. Mężobójczyni zaślubiona z Egistesem chce odegnać ofiarą dręczące ją nocne widziadła.

Elektra po trzykroć wylewa na grób ofiarną czaszę. Dwie liba-cye poświęca bogom, ostatnią ceniom ojca. Sierota żali się nad smutnym swoim losem.

ELEKTRA. Ta, co topór morderczy utkwiała w twém łonie,
Odziera twoje dzieci; obok niej w koronie,
Egistes tron Atrydów z wyrodną podziela...
Drogi cieniu, ty powstań! zeslij nam mściciela!

Zaledwie wyrzekła zaklęcie, a oto z pośród skał występuje Orestes. Siostra nie pamięta jego rysów. Wygnany przez nie-ludzką matkę, dzieckiem opuścił Argos; młodzian daje się poznać siostrze.

ORESTES. To ja! brat twój Elektro! sercu twemu drogi!
Wygnał z myśli wątpliwość, z piersi dreszcze trwogi,
Poznał mnie! światło prawdy odbija w mém słowie;
Jam twój brat, jam krew twoja: zaświadczyć bogowie!
Zawierz łzom, co z mych powiek toczą się w tój chwili,
Posłuchaj serca głosu, ten głos nie owyli!
Jam twój brat, twoja radość, o ja kocham ciebie?
Przemówcie do niej bogi, wy, których czczę w niebie!
I ty przemów, o grobie ojca ukochany,
I wy przemówcie stare mego domu ściany;
Wy drzewa, coście w drżące tuliły ramiona
Moją głowę dziecięcą; ty błogosławiona
Oczysta moja ziemio, którą wzrokiem pieścisz,
Poświadczenie, jam nie skłamał: Orestes żyw jeszcze!

Elektra nie wątpi dłużej. Po gorącym powitaniu syn podejmuje w rękę pełną czaszę i przystępuje z wolna do kurhanu.

ORESTES. Ojeż! w glinianém łożu, zlaném łzami sieroty
Posłuchaj głosu mego! Nie dziurów grot
W boju pierś twą przeszyły, jak dzielnym przystało;
Tyś nie padł z czołem dumnym, uwieczniony chwałą
W obec tłumów, acz godzien bohatera zgonu!
Na stosie pogrzebowym z świerczyny i klonu

Nie zgorzał proch twych kości hołdu ludów syty,
 Mogiła twoja czołem nie sięga w błękity.
 Jako buhaj i nienacka ujęty za rogi,
 Co gdy topór na karku poczuje złowrogi,
 Trwoży się, ryczy, tarza w potoku krwi śliskim,
 Tyś padł królu morderczym ugodzon pociskiem,
 Ojczy, będziesz pomszczony!

I Orestes wylewa czaszę ofiarną na grób Agamemnona. Myśl pomsty dojrzuwa w jego sercu. Stawion przed Klytemnestrą jako zwiastun śmierci Orestesa, widzi błyszczące radością oko wyrodnej matki na wieść, że orle z Atrydów rodu nie wróci już do gniazda. Pochwyca oręż, Egisthes pada pierwszy. Następuje okropne poznanie syna z matką. Syn gotów już przebaczyć tej, która karmiła go własnym mlekiem, do której uśmiechał się z kokłyski; lecz widok ojcowskiego grobu podsycił jego wściekłość.

Klytemnestra korzy się zrazu, błaga, w końcu podnosi pyszną głowę.

KLYTEMNESTRA. Jam zabiła Atrydę! jam w pomście szarpała
 Krwawą ręką drgające kęsy jego ciała!
 Czemuż syn pod morderczym tęp uszedł żelazem,
 Czemuż ten grób dwóch trupów nie pochłoniął razem?!

ORESTES. *(rzucając się z orężem na matkę)*
 Śmierć tobie!... za krew ojca wypłacam dług święty!
(Przebija matkę).

KLYTEMNESTRA. *(padając)* Stało się... ja umieram... przeklęty... przeklęty!

Przybiega Elektra; na widok trupa krew ścina się w jej żyłach.
 — Czemuż nie przebaczył bracie? woła ze zgrozą. Biada tobie, biada nam! to była matka twoja... Zastania oczy i ucieka.

ORESTES. *(pozostaje sam z trupem; wlepia oczy w umarłą).*
 I czemuż to rozwarłe twoje martwe oko?
 Czogo chcesz zimny trupie? moja pierś opoką!
 Ona twój wrók ohydny bez twogi wytrzyma.
 Dość! dość! nie patrz tak na mnie krwawemi oczyma!
 Ja ciebie i ból wszystek żywota przy tobie
 Pogrzebię w wiekuistym niepamięci grobie.
 Moje kroki i czyny co śledzisz daremno?
 Nie patrz na mnie, w Hadesu patrz otchłań podziemną!

(Nasuwa peplum na głowę trupa, a potem wyciąga obie ręce do ojcowskiego kurhanu).

A ty powalon ciosem tój rąkiszalanej,
 Ojce, wypłyn z odmetu nocy nieskończonój!
 Przed synem, co cię pomścił, ukaż się w milczeniu,
 On cię woła, on błaga; poświadcz drogi cieniu,
 Że w obec jasnych niebios i czarnej otchłani,
 Jam czysty, mego czynu żaden bóg nie zgani...

(Dwie Erinnye ukazują się nagle po dwóch stronach kurhanu).

Co to jest?... kto te zmory?... jak patrzą złowrogo!
 Niewiasty gdzie idziecie? zkał? po co? do kogo?

(Trzy nowe Erynnie otaczają trupa Klytemestry).

Jeszcze nowel... nie słyszę ni jęku, ni skargi...
 Jak trupie ich oblicza... drgnęły sine wargi...
 Mileczą, tylko zgrzyt zębów przeraża mi ucho...
 Precz ztąd!

(Erynnie ukazują się ze wszystkich stron).

Ćma widzę nowa... obiegly mnie głucho,
 Jak za tropem jelenia mkną żartkie ogary.
 Strach mnie chwytą za gardło. Nie senne to mary!
 Ja nie śpię... pot mi strugą wytryska na lice...
 Wiem... wiem... to owe straszne Hadesu wilczyce,
 One matkę do zemsty podzegały wścieklej.
 Przystąpście!... jam ją zabił... Oto z żył jej ścięły
 Strumień krwi, co wytrysła pod ostrzem mój stali.
 Ta krew parzy mi stopy, i ręce mi pali...
 Wiecie, czemu nóż w krwawe pochwytem dłońie?
 Jam mściciel! niech ją przepaś na wieki pochłonie?
 Niech przepadnie z nią razem nienawiść i zdrada;
 Ha, milczycie potwory!

(Erynnie rzucają się na niego).

Biada!

(Ucieka, inne zastępują mu drogę).

Biada! biada!

W miarę powtarzających się przedstawień zajęcie publiczności wzmagą się coraz bardziej. Upředzenia znikają. Poważni krytycy przyklasnęli autorowi, nazwali go wielkim poetą; zachęcają go, aby próbował dalej sił na polu dramatycznym. Leconte de Lisle odniósł w końcu zupełny tryumf. Paryż liczy na czynny jego udział w odrodzeniu upadłego teatru.

Powiedzmy jeszcze słówko o samym autorze, którego imię przebiega dziś z ust do ust. Leconte de Lisle jest Kreolem. Urodził się w roku 1820 na wyspie Bourbon, gdzie ojciec jego posiadał wielkie plantacje i był panem licznych niewolników. Młody poeta przybył do Paryża w roku 1847 i stale tu zamieszkał. Przywiózł z sobą ob-

szerny poemat złożony z 6000 wierszy p. t. *Ytapis*. Czy pierwsza próba nie miała wartości poetycznej, czy też umysły skierowane winną stroną nie smakowały w utworach tego rodzaju? nie umiemy powiedzieć. Wiemy tylko że poeta spalił *Ytapis* i z gorącym sercem rzucił się w polityczne zapasy. Został wtedy sekretarzem *Lamenaig'o*.

Po wypadkach 1848 r. *Leconte de Lisle* podał do izby petycyą domagając się zniesienia niewolnictwa w koloniach francuzkich. Okoliczność ta, jeśli nie zaraz rozstrzygnęła losy murzynów, zato stanowczo wpłynęła na losy poety. Ojciec przysyłał mu do owej pory znaczną pensyą roczną. Petycyą podkopująca przyszłość plantatorów, obudziła w nim zacięty gniew na syna. Odtąd młodzian zadnego nie pobierał zasiłku.

Zostawiony sam sobie w czasach, kiedy poezya tak była nieopłatną, *Leconte de Lisle* przyszedł do ostatecznej prawie nędzy. Przez sześć lat żył dziennie za 30 centimów. Cesarz *Napoleon* dopiero posłyszawszy o nim wyprowadził go z ciężkiego położenia ofiarując mu 3000 fr. rocznej pensyi. Obecnie poeta zajmuje miejsce konserwatora przy bibliotece *Inksemburskiej*.

Mimo polepszonego bytu *Leconte de Lisle* od roku 1848 żyje zupełnie usunięty od świata; stosunki jego ograniczają się na małym kółku młodych poetów, dla których słowo jego jest wyrocznią. Uważają go powszechnie za twórcę i naczelnika szkoły tak zwanych *Par-nasistów*. Zadaniem tej szkoły jest przestrzegać ściśle w poezyi formy klasycznej, nie zrywając dla tego z romantyzmem.

Leconte de Lisle wzbogacił literaturę francuzką wzorowemi przekładami klasyków greckich. Przekłady te wykonane prozą odznaczają się nadzwyczajną wiernością. Tłumacz pozwala sobie tylko zmieniać miejsce wyrazów stosownie do wymagań języka, lecz ani jednego nie osmiela się dodać ani też ująć. Podobny przekład wierszem, choćby tylko miarowym byłby zupełnym niepodobieństwem. W taki to sposób *Leconte* przetłumaczył *Iliadę*, *Odysseę*, *Batraktonomachią* *Homera*, hymny orficzne *Hesioda*; poezye *Teokryta*, *Biona*, *Tyrteusza*, ody *Anakreona*; teatr kompletny *Eschylesa*, ody i satyry *Horacego*. Wkrótce wyjdzie zbiór przełożonych tragedyi *Sofoklesa* i *Eurypidesa*.

Z oryginalnych utworów znany wielki tom p. t. *Poemes barbares*, drugi tom *Poemes antiques*. Przygotowany do druku trzeci tom p. t. *Poemes tragiques: Croisades Jacqueries*.

Dowiadujemy się w tej chwili, że p. *Leconte de Lisle* pisze dla teatru nowy dramat p. t. *Fredgunda*.

Z tych wyżyn parnasowych, przeniesiemy się teraz na szerokie morze czystego romantyzmu. Wprowadzi nas tam świeżo przedstawiona w Paryżu opera p. t: Król Thule. Jeśli kompozytorka muzyczna p. Diaz nie zupełnie zadowolili znawców paryzkich, za to poeta i kłamiący za *libretto*, wywołał poklask powszechny. To nas zachęciło do przejrzenia go bliżej i przytoczenia w treści. Rzecz zaczerpnięta z Sagi Duńskiej.

Król Thule umiera, smutna wieść rozchodzi się po mieście, zebrani panowie dworscy udają gwałtowną rozpacz.

Król umiera z miłości i zgryzoty, zdradzony przez kobietę i ulubienca. Kochanką królewską jest Myrrha, ulubieńcem Angus.

Trefniś Paddock siedzi na wschodach wiodących do sypialni królewskiej. Z szyderczym na ustach uśmiechem, przysłuchuje się kłamiwym skargom panów dworskich. Jest to głęboki filozof, pod osłoną żartu rzuca wszystkim w oczy gorzką prawdę.

Dobrze, moi panowie, dramat odegrany,
Umiecie pięknie jęczyć i modlić się panie!
Kto śmie mówić że serca nie mają dworzanie?
Inaczej niech poświadczą te pałacu ściany!

Paddock sam jeden pozostał wiernym panu swemu. Konający król przyzywa go do siebie. Dworzanie tém zgorzeleni.

Jak dziwaczny pomysł pana,
Chorobliwym znać wybrykiem,
Błazna czyni powiernikiem:
To rzecz w świecie niesłychana!

Król umiera. Paddock wraca pomiędzy panów. Trzyma w ręku puhar, tajemnicze godło władzy. Król Thule przekazuje go temu, kogo trefniś uzna najgodniejszym panowania.

Paddock z puharem w rękę śpiewa starą balladę:

Lew umiera, kłami błyska,
Groźnym rykiem woła strażę;
Do ciemnego legowiska
Przyprowadzić małą kaze.
— Weź koronę tę z méj głowy,
Sąd twój—ręczę—mam w powadze;
Z rąk twych weźmie ją król nowy,
I odzierzy moją władzę.

Gorączkowa nagle pycha
Wstrząsa rodem zwierząt całym,
Wilk łagodnie się uśmiecha,
Zajac staje się zuchwałym.

Osiół rozum swój wystawia,
Świat mu wiedzy pozazdrości;
Lis powstaje na bezprawia:
Tygrys mówi o ludzkości.

Ci co małpie urągali,
Chyłą karki, grą kolana;
Sławią małpę, wieley, mali,
Bo w jej mocy wybór pana.
Cóż uczyni małpa? oto
Parsknie śmiechem, złość w jej oku,
W lot koronę chwyta złotą,
I pograży w głąb potoku!

Rzekłszy to Paddock, rzuca czasę w głąb morza. Zaklęta czasza była darem jasnowłosej wodnicy Klaribdeli. Niechaj powróci do niej.

Piękna Myrrha marzyła o koronie. Pragnieniem jej podzielić tron z Angusem. Zawiedziona w nadziejach, przyrzeka serce temu, kto jej wróci cudowną czaszę.

I oto z pośród tłumów występuje rybak, młody Yorrick. Kocha on Myrrhę, rzuca się bez namysłu w głąb fali. Próżno Paddock chce go powstrzymać. Pieśń rybaka rozlega się po brzegu:

Myrrho! burza dmie szalona,
Jeży wód obszary,
Gdy powrócę tu z fal łona
Dochowaj mi wiary.

Dworzanie z gniewem rzucają się na Paddocka. Ten laseczką z dzwonekami, toruje sobie drogę w pośród tłumów. Zastłona spada.

Drugi akt przenosi nas w świat czysto fantastyczny. Teatr przedstawia rozległe akwaryum: to zaklęty pałac wodnicy Klaribdeli.

Królowa spoczywa na tronie, otoczona orszakiem Ondin. Uroczę dziewice unoszą nad nią wieńce z pereł i koralu.

I czemuż tęsknota moczy lica królowej? Piękna Klaribdela zakochana w śmiertelnym, marzy o rybaku Yorricku.

Ondiny oddalają się, aby nie przerywać smętnych marzeń swęj pani. Wracają po chwili, niosą zaklętą czaszę. Królowa poznaje talizman.

Królowi Thule jam tę czaszę dała,
Długo szczęśliwy dziedziczył ją ród;
Przekleństwo temu czyja dłoń zuchwała,
Dar mój zaklęty rzuca w łono wód.

I w teje chwili ukazuje się młodzian walczący z rozhułkaną falą. Sposztrzeża go królowa, wysyła Ondiuy w pomoc śmiałemu rybakowi. Posłuszne morze ucisza się na jej rozkaz. Klaribdella wzywa pieśnią Yorricka.

Rybaka piękny, rybaku młody,
Spiesz gdzie tajemny iść każe los;
Tu czeka miłość, czekają gody:
Ucho i serce skłoń na mój głos.

Ale słodkie zaklęcia królowej rozbijają się jak o skałę o serce Yorricka, bijące miłością dla śmiertelnej. Wspomnienie Myrrhy dręczy go bezustannie. Klaribdella postanawia uleczyć go z oblędu. Na znak jej rozmyka się łono wód, i występuje na widnokręgu pałac Thule oświecony blaskiem księżyca. Łódź pomyka po fali. Na łodzi Angus i Myrrha śpiewają pieśń miłosną.

Widzenie znika. Niestety królowa morza zawiodła się w nadziejach. Nieśmiertelnej nie dano pojąć słabości serc śmiertelnych. Widok niewiernej Myrrhy tém silniej zapalił wyobraźnię Yorricka. Zakochany młodzian błaga królowę aby mu oddała zaklęty puhar i powróciła wolność.

Jeśli mary pierzchną złote,
By ukoić serca żal,
Ukołyszę mą tęsknotę,
Wśród błękitnych twoich fal.

Na to odpowie Klaribdela:

Gdy pierś twą zawód piolunem napoi,
I żądza zemsty zrodzi się w twój duszy;
Kiedy kłamliwa złuda co cię poi,
Jak wiotką płonkę twoje serce skruszy:
Trzykroć zbliż usta do czary zaklętej,
Trzykroć mnie wezwij, a pełna wesela,
Na pomoc tobie przez morskie odmęty
Przyjdzie rybaku wierna Klaribdela.

W trzecim akcie trefniś Paddock, troszczy się o los przyjaciela Yorricka, który przepadł bez wieści i śladu.

Lud zbiera się na placu miejskim, woła na gwałt o króla. Powtarza się słowo w słowo ballada Yorricka o zwierzętach. Każdy z panów dworskich wysławia swe zalety; każdy gotów uszczęśliwić lud: słowem każdy godzien podjąć koronę. Angus patrzy z trwogą na tyłu współzawodników, drży ażali spodziewane berło nie usunie się z jego ręki. Myrrha trwoży się z nim razem.

Nagle kobiéta zadrzała, słyszy opodal pieśń Yorricka.

O wodnico, huczają burze,
Kipią wód obszary;
Gdy w głębi fali się zanurzę:
Dochowaj mi wiary.

Myrrha przyjmuje z radością czaszę, którą Yorrick składa u jej stóp. I cóż z nią uczyni? Złożyż ją w ręce biednego rybaka? wynagrodziż jego ofiarę? Bynajmniej: dumna Myrrha podaje czarę Angusowi.

Yorrick w rozpaczy. Paddock podżega do zemsty przyjaciela. Czasza zwykłym obyczajem krąży z rąk do rąk, panowie przykładają do niej usta. Yorrick domaga się tegoż zaszczytu. Odwagą i poświęceniem nabył do niego prawo.

I rybak podejmuje czaszę, wymawia potrzykroć imię Klaribdelli, i oto czarodziejski talizman kruszy się w jego ręku. Powstaje gwałtowna burza, piorun uderza w Angusa i Myrrhę. Pękają wrzęby gmachu, pałac zapada się w głąb ziemi.

Tu z łona wód wypływa piękna Klaribdela. Na jej hasło uci-sza się morze, wichry zwijają skrzydła. Yorrick wyciąga ręce do czarodziejki.

O nieśmiertelna! pomnij twe słowo.
Dość mi na ziemi kłamliwych złud,
Wracam do ciebie w toń kryształową,
Piękna królowo przezczystych wód.

Paddock ciężko boleje nad stratą przyjaciela. Królowa wodnio uzaliła się nad nim, przepowiada mu że zostanie królem Danii, że pokocha cudną Ofelią i zabije Poloniusa.

Czy eteryczny poemacik nie miał w sobie dosyć żywiołów dramatycznych, czy też młody jeszcze kompozytor Diaz, nie umiał wy-dobyć z niego scenicznych efektów, jakie doświadczeńszy mistrz mógł być wydobyć; rzeczą jest pewną, że opera nie odpowiedziała wy-maganiom publiczności. Przed laty kilku partytura muzyczna uwieńczoną była na konkursie; taż sama nagroda spotkała i libretto. I otóż te dwa wieńce splecione razem, nie wydały złotego plonu. Dyrekcyja opery żałuje ogromnych kosztów złożonych na wystawę, które wynoszą podobno 800,000 franków! Nie brak tu wprawdzie pięknych melodyj; wywołał gorące oklaski finał drugiego aktu, i prześliczna pieśń wodnic, całość jednak okazała się słabą. Krytyk Royer dowcipnie się wyraził, że pan Diaz uczynił tak samo jak Yorrick. Podniósł już do ust czaszę tryumfu, lecz ta rozpadła się i wy-slizgnęła z niedoświadczonej ręki.

Piękność libretta nie okupiła niedostatków kompozycyi. Trudno zaprzeczyć, że libretto wielkie ma znaczenie w operze, jego urok poetyczny, podnieca niewątpliwie zapał kompozytora. Zrozumiał to Rossini i dlatego zapisał 100,000 franków (a podobno i więcej) muzycznej akademii w Paryżu, aby procent od téj summy, przeznaczony był na konkursową nagrodę dla poety za najlepszy utwór. Panowie Gallet i Blan, autorowie poematu *Król Thule*, otrzymali tę nagrodę najśluszniej, według uznania powszechnego. Nikt im téż nie czyni zarzutu. Ogół dziwi się tylko jakim sposobem sędziowie konkursowi mogli uwieńczyć kompozytora, a tém samém narazić na zawód dyrekcją opery francuzkiej?

Skoro już jesteśmy na polu dramatyczném, niepodobna pominąć nam jednego jeszcze utworu, który upadł z niemniejszym łoskotem, przy łunie błyskawic i huku piorunów, jak ów zaklęty pałac zdruzgotany słowem czarodziejki. Mówimy tu o komedyi Dumasa: *Żona Klaudyusza*. Upadek téj potwornej sztuki, uważamy jako sążówkę pomysłnego zwrotu w smaku publicznym, jako tryumf zdrowych pojęć, nad gorączkowym gonieniem za efektami. Struna zbyt wytężona, musiała w końcu pęknąć.

Dumas wścieka się na publiczność paryżką. Z listu jego do Pawła St. Victor, powtórzonego przez dzienniki, dowiadujemy się, że zrywa zupełnie z teatrem. Wątpimy aby to w rzeczy samej nastąpiło, to jednak pewna, że w twórczym umyśle swoim, musi poszukać nowych dróg, stanął bowiem na niebezpiecznej pochyłości, wiodącej prosto w przepaść.

Fiasko Dumasa przypomniało nam wyborne zdanie jednego z krytyków, o znakomitym malarzu Carolus Durand, równie gorączkowo goniącym za efektami: „Durand—rzekł krytyk—przed trzema laty, dał ognia z pistoletu, i zwrócił powszechną uwagę. Dwa lata temu strzelił z iglicówki i wywołał okrzyk cheiwoj wrażeń gawiedzi. Dziś ryknął z działa, i przestraszył wszystkich. Cóż mu pozostaje na potém?” Tak samo i Dumas przyłożył lont do mitraillezy, i z paszczy jój wybiegł potwór: *Żona Klaudyusza*, nowoczesna Messalina.

Porównanie to nasze: dziwimy się ze krytycy nie wpadli na ten pomysł, témbardziej że działa i w ogólności broń palna, ważną odgrywa rolę w sztuce, że stanowi główny jój węzeł, a nawet ostatnie rozwiązanie.

Jeśli żona Klaudyusza nie różni się w niczém od rzymskiej Messaliny, za to sam Klaudyusz nie przypomina w niczém starożytnego imiennika. Jest to poprostu chemik, fabrykant broni palnej, a dotego marzyciel, filantrop, spirytualista. Zawiedziony w uczuciu, nieszczęśliwy w związkach małżeńskich, całą duszą zakochał się

w nauce, umiłowal ludzkość! Wiedziony tą szlachetną pobudką wynalazł—co? oto mitralięzę potworniejszą od wszystkich znanych Krupów, mitralięzę, która w ciągu dwunastu minut, zmiecie ze świata 100,000 ludzi! Cudowny ten wynalazek położy kres wszystkim na świecie wojnom. Bóg sam natchnął myśl genialnemu miłośnikowi ludzkości. Klaudyusz wdzięczny za natchnienie, wzywa też ciągle imienia Boga, podczas gdy mięsza w kotle chemiczne materyały. Ma on wiernego współpracownika w Antoninie, młodym krewnym i wychowanku. Chłopiec to pełen zdolności, on także wynalazł nową strzelbę, jakiej dotąd oko ludzkie nie widziało. Dusza młodziana pełna szlachetnych uczuć. Uwiedziony czarami Cezaryny, żony Klaudyusza, wyznaje niebezpieczeństwo pryncypałowi swemu, błaga aby mu pozwolił oddalić się z domu, a tém samém uchronić się pokusy. Klaudyusz ani chce o tém słyszeć; nalega by pozostał, na dowód zaufania powierza mu klucz od skrzyni, w której złożona tajemnica wynalazku.

Cezaryna powraca do domu po długiej niebytności. Pielęgnowała, jak mówi, chorą babkę, która w nagrodę zapisała jej umierając 200,000 franków. Summę tę oddaje do schowania Antoninowi, który zamyka ją pod klucz, do teje samej skrzyni, gdzie spoczywa sławny wynalazek, mający zbawić ludzkość!

Klaudyusz z chłodną obojętnością przyjmuje żonę, nie pyta nawet, kędy przebywała tak długo. Powrót jej do domu budzi w nim jakiś przestach.

— Słuchaj mnie—rzecze—zważ dobrze każde słowo: możesz mnie krzywdzić jak chcesz, wszystko ci z góry przebaczam, ale gdybyś poważyła się wikłać w piekielne sieci Antonina, moje przybrane dziecko, jedyną istotę drogą mi na ziemi, gdybyś śmiała przeszkadzać mi w pracy, która łączy mnie z krajem i ludzkością, gdybyś stanęła mi kamieniem na drodze, w tém co Bóg czynić mi nakazuje, przysięgam w imie Boga, zamorduję cię nikczemnico!

Cezaryna zawiedziona w nadziejach, nie składa jednak broni. Wracając do domu postanowiła zniewolić sobie serce męża, który ją nigdyś kochał. Koniecznym to było do jej planów. Zobowiązała się w obec niejakiego Kantaniaka, ajenta potajemnej kompanii, wydać mu tajemnicę sławnego wynalazku. Z jego to rąk otrzymała owe 200,000 franków, mniemany legat babki.

Koniec łatwy do przewidzenia. Kobieta zmusza zakochanego w niej Antonina, do otworenia kassy. Dobywa z niej swój depozyt, a z nim razem papiery męża zawierające tajemny wynalazek. Kantaniak czeka za oknem. W chwili kiedy Cezaryna rzuca papiery w ręce ajenta, przybiega Klaudyusz, pochwyca strzelbę; huk strzału rozlega się: żona—potwór pada, ugodzona kulą w samo serce.

— A teraz chodźmy do pracy—rzecze spokojnie Klaudyusz do Antonina.

Dramat Dumasa obudził powszechną grozę przy pierwszym zaraz przedstawieniu. Starsza publiczność gotową już była kapitulować, przez wzgląd na mistrzowską grę artystów, młodzież za to okazała się nieprzebieganą. Głośne protestacye dawały się słyszeć bezustanku: krytycy krzyknęli chórem w dziennikach, na niemoralność sztuki. Jeden z nich Gaucher, wybornego uzył porównania, które tu przytoczymy.

„Ozas przyjsz autorowi do rozwagi. Niechaj pamięta że wszyscy poskramiacze drapieżnych zwierząt, pożarci bywają naostattek. Aby wprawić w zdumienie widzów, podciują oni swoje lwy i pantery najprzód pięciakiem lub szpierzgą, potem walą żelaznemi drągami. Z początku kładą palce w paszczę tygrysa, następnie rękę po łokieć i po ramię. Takie *crescendo* doprowadza zwykle do tragicznego rozwiązania. Tak samo postępuje Dumas ze swoją menażeryą, to jest z publicznością. Najprzód igrał z nią swobodnie, potem rozdrażnił ją, później zranił boleśnie i doprowadził do szału. Dziś rozpalonem żelazem okłada ryczącego niedźwiedzia. Niech się strzeże: niedźwiedź pokazał już kły i pazury, może go łatwo pożreć“.

Co do nas nie posądzamy bynajmniej Dumasa o ochotę rozszerzania zasad niemoralnych; przeciwnie, uganiania on cel wzniosły, lecz mylną obrał do tego drogę. Ukazując złe w całej szkaradzie, chciałby potwornym jego obrazem uderzyć społeczeństwo, zmusić je do poprawy. Onto sam występuje w osobie Klaudyusza; jegoto pomysłu owa straszna armata, co ma ofiarą stutysięcy ludzi, położyć koniec złemu.

Naiwna tylko część słuchaczów i krytyków widzi w dramacie Dumasa, realizacją położonej przezeń zasady ¹⁾, jakoby mąż miał prawo zabić zbrodniczą żonę. Nie mąż to i żona występują w Klaudyuszu i nowój Messalinie, ale występują tu dwie idee: spirytualizm w śmiertelnej walce z grubym materyalizmem!

Podniesione dziś w całym świecie pytanie, dotyczące się wzajemnych stosunków mężczyzny i kobiety, żony i męża, wywołało już ogromny oddział literatury w każdym kraju. Między najnowszemi publikacyami w tym przedmiocie, powieść pani Beccher Stowe: *My wife and I*. (moja żona i ja) stoi na pierwszym miejscu. Samo imię autorki: *Uncle Tom's Cabin*, już zaleca tę powieść. Któż nie pamięta, że z pomiędzy pisarzów, pani Stowe najwięcej przyczyniła się do emancypacyi tyłu milionów czarnej ludności amerykańskiej. Zadne zapewne dzieło nie stało się tak popularnem na dwóch półkulach świata. Same cyfry najwymowniej tu mówią. W Ameryce,

¹⁾ Broszura Dumasa: l'homme femme.

w ciągu pierwszego roku (1852), odbito 305,000 egzemplarzy, owęj powieści tak wysoko humanitarnej, a przytém oddanej tak poetycznie.

W nowym utworze; *Moja żona i ja*, autorka wzięła sobie za cel okazać, w najprostszych sytuacjach życia, czém jest małżeństwo, z jaką myślą zawiązywać je należy. Powieść pisana umyślnie do odcinku: *The Christian union*. Zobaczmy jak ją określa autorka we wstępie.

„Zapyta nas kto, dlaczego drukujemy nasze dziełko w *Jedności chrześcijańskiej*? my na to odpowiemy:

„Nasz cel nie jestże widocznym? Ten dom spółki handlowej, który pojawia się nam pod firmą: *Moja żona i ja*, nie jestże najdawniejszą i najzacniejszą formą jedności chrześcijańskiej? Gdzież pytam znaleźć lepszą, mędrszą, mocniejszą, słodszą i powszechniejszą?

Były prawda czasy, kiedy ten szanowny dom uważany był za rudere; kiedy chciano odbudować go stosownie do nowych potrzeb. Mówiono, że *Moja żona i ja*, to wyraz najsamolubniejszej korporacji, sprzeczny z ideą ogólnęj miłości bliźniego; że *Moja żona i ja*, w społeczeństwie niebieskiém tracą do siebie wszelkie prawa. Mówiono także iż *Moja żona i ja*, zamiast stanowić nierozzerwalną jedność, tworzą tylko związek czasowy, który rozwiązać można za wzajemnym porozumieniem.

„My—dodaje autorka—nie tak przecie tę rzecz uważamy. *Moja żona i ja*, według nas, to symbol jedności, tak święty jak religia, nierozdzielny jak duch, nieskończony jak wieczność. To symbol wybrany przez Boga jako znak Jego wiekuistej jedności z duszą stworzonych istot.

Zródło wiecznie świeży wytryska w progach każdego domu. Każde kochające się stadło, miało swój roman, swoją poezję! Odrzucam też z powieści mojęj wszelkie inne pobudki; nie ma tu ani tajemniczych zasadzek, ani domów nawiedzanych przez upiory, ani spisków, ani też morderstw: jest tu poprostu historia Adama strapionego, głupowatego, samotnego, dopóki nie znalazł swojej Ewy.

Nie jestże to koniec końcem treść wszystkich romansów jakie napisano? Otóż dopóki będą Adamy i Ewy w rodzie ludzkim, nie zabraknie nam zycziwych czytelników!“

Pani Beecher Stowe nie przemawia od siebie, ale przez usta fikcyjnych postaci Henryka Hendersona. Ten Yankes rodem z gór New-Hamshire, dziś obywatel Nowego Yorku, opowiada dzieje swego życia.

„Moje życie—mówi Henderson—dzieli się na trzy odrębne fazy:

- 1) *Moja żona dziecko*, czyli próby młodości.
- 2) *Moja żona cień*, czyli marzenia na przyszłość.
- 3) *Moja żona rzeczywistość*, czyli sposób w jaki ją poznałem, jak starałem się o nią, jak rozpoczęliśmy wspólne życie.

„W ciągu opowieści rozprawiać będziemy o różnych przedmiotach będących dziś na porządku dziennym, aby stać o ile można na równi z wiekiem naszym, który mniema że zbadał wszelkie rzezozy.“

Po takim wstępie Henryk Henderson opowiada jak przeczytał w Biblii że źle człowiekowi być samemu, tak mocno wziął do serca te słowa, że mając lat siedm obrał sobie żonę i prosił rodziców o pozwolenie na te związki.

Dziwnie to poetyczny ten obrazek życia małego chłopczyńy. Ojciec jego był pastorem wiejskim. Henryk dziesiąte i ostatnie dziecko przyszedł na świat wtedy, gdy najstarsi bracia kończyli już nauki w uniwersytecie, kiedy starsze siostry już zamężne opuściły domowe progi, kiedy młodsze dorosłe panny rej wodziły w domu rodzicielskim, kiedy najmłodszy pięcioletni braciszek znał już litery na elementarzu. Wszyscy też oprócz dobrej matki obojętném okiem poglądali na nowego przybysza i w miarę jak wzrastał, dawali mu to uczuć w coraz dotkliwszy sposób.

Chłopiec musiał wysługiwać się wszystkim, od piątego roku służył siostrze na popychadło. Jeżeli przybył gość, onto z rozkazu starszych ustępował mu miejsca przystole i przy ognisku. W tym domu tak pełnym życia, tak wesołym, on jeden czuł się smutny i upośledzony.

Spostrzegła to matka, zlitowała się nad nim i po naradzie z ojcem umyśliła wysyłać go na cały dzień do szkółki.

Opowiada Henryk jak ubrany w sukienkę połataną na łokciach i kolanach, w gruby płócienny fartuszek, z obiadem w koszyczku wszedł po raz pierwszy z matką do sali, gdzie było pełno chłopców i dziewcząt. Znalazł tam równie niczkę matę Zuzię.

Stała we drzwiach—mówi—kiedyś przestępował próg z matką. Nie zapomnę jej nigdy. Szyjkę miała bieluchną jak utoczoną z wosku, oczęta modre jak bławatki, włoski płowe, buzię rumianą jak jabłuszko, przeciętą dołeczkami. W różowej perkalikowej sukience i bieluchnym fartuszu, śliczna była, istny aniołek.

„Taka to małańka Ewa pojawiła się niezgrabnemu i bojaźliwemu Adamowi; przy niej szkoła stała się dla mnie rajem.“

Mała parka, najmłodsza z dziatwy szkolnej przestawała bezustannie z sobą, siadała na jednej ławie, uczyła się z jednego elementarza. Wkrótce tkliwa przyjaźń zawiązała się pomiędzy dwojgiem dzieci. Chłopczyk odprowadzał dziewczynkę do domu, aby w razie napaści obronić ją od wilka lub niedźwiedzia. W godziny spoczynku biegali razem po łące, zrywali kwiatki i jagody.

— Jak urosnę—ożenię się z Zuzią,—mówił do siebie Henryk, ale to długo czekać, czemużbym ja nie miał zaraz wziąć ją za żonę?

Niecierpliwych chłopczyk upatrzył chwilę kiedy rodzice byli sami.

„Matka—mówi on—robiła pończochę u ogniska, ojciec pisał kazanie na niedzielę. Usiadłem na stołeczku u stóp matki.

— Mamo—zapytałem—czy się dzieci nie żenią?

— Dzieci!—odrzekła matka z uśmiechem—co też tobie w głowie mój Henryczku!

— I dlaczegoż mam nie mógłbym się ożenić z Zuzią? mnie nudno samemu, tak bylibyśmy cały dzień razem.

Ojciec spojrział się na matkę, która śmiała się na głos.

— Ależ moje dziecko—odrzekła—my ubodzy, mamy was dziecięcioro; na wyżywienie jedenastego nie starczyłoby chleba.

Nie było co odpowiedzieć na tak ważny argument.

— Przrzekam ci mamó—rzekłem po chwili namysłu—ja od dziś będę jadł o połowę mniej niżli dotąd. Nie będę brudził ani dał sukienek, żeby mi na dłuższą wystarczyły.

„Matka wzięła mnie na kolana, przytuliła głowę moją do piersi: łzy błyszczały w pięknym jej oku.

— Ucz się chłopczyño—rzekła—a gdy urośniesz, może zostaniesz kiedyś pastorem jak twój ojciec: wtedy będziesz miał własny domek.

— A czy Zuzia będzie w tym domku?

— Kto wie, nie trać nadziei.

— Nie jesteś pewną mamó?

— Bóg tylko zna przyszłość mój synu.

Henryk opisuje niewinną swoją idyllę w dziwnie uroczy i nawiśny sposób. Posłuchajmy go jeszcze.

„Piękny to był ten mój dziecięcy eden! i czemuż nie miał potrwac? Przeszła zima, słońko wróciło z wiosną. Zuzia i ja słuchaliśmy razem świergotania zbudzonych ptasząt, zrywaliśmy białe i modre fijołki. Nagle wiatr przyniósł do wsi zarazę.

„Dnia jednego płasaliśmy jak zwykle po łące, kiedy policzki Zuzi zapłonęły mocno: jęła się żalić na ból głowy.

— Henryczku—prosiła—odprowadź mnie do domu.

„Płakała biedaczka przez drogę. Gdyśmy stanęli u wrót, zarzuciła mi rączkę wkoło szyi. Bądź zdrow—rzekła—wkrótce się zobaczymy.

„Matka podjęła ją na ręce, ja odszedłem i nigdy już ani na łące gdzie kwitły jaskry i stokrotki, ani w kościółku wiejskim, ani w szkółce, nigdy... nigdy... nie miałem już zobaczyć mojej dziewczki złotowłosej, z modremi jak bławatki oczyma. Aniołek poszedł do aniołków!”

Wspomnienie Zuzi nie zatarło się przecież w pamięci Henryka, ale było dlań jakby złotą gwiazdą, bezcielesnym ideałem, który rozpościerał nad nim skrzydła i chronił od upadku. Do miary tego ideału chciał on później dostroić postać młodej czarodziejki, którą poznał w czasach pobytu na uniwersytecie. Ale ułuda rozwiała się niebawem. Piękna czarodziejka poszła za milionowego idiotę. Bożyszcze spadło z piedestału, promienisty ideał pozostał w duszy młodego marzyciela.

Henryk powraca z uniwersytetu napojony nowemi ideami. Po-
dniesiona sprawa emancypacyi kobiet, szczególnie go zajmuje. Roz-
prawa z wujem uczonym rutylistą, określa wybornie postępowe jego
pojęcia.

— Smutne położenie—mówi starzec—pracowaliśmy długo nad
wyrobieniem w sobie niemylnych zasad, a oto przychodzi nowe pokole-
nie i burzy w proch całą budowę naszą.

— Ależ wuju—odrzuca na to Henryk—nowoczesne idee o ko-
bięcie wyrażone były jasno w mythologii greckiej. Ileż to Grecy
utworzyli niewieścich typów. Mieli oni swoją uroczą Afrodytę, mieli
Dianę zimną i czystą z wolnym i niepodległym umysłem, mieli Mi-
nerwę, żywe uosobienie kobiety intelektualnej, która odrzucała miłość
i małżeństwo, mieli Junonę królową domowego ogniska i gospodarną
Cerere. Słowem, Grecy pojmowali różnostronnie powołanie kobiety,
gdy my po tylu wiekach chcemy ją sprowadzić do jednej modły: wi-
dzicie w niej wiotki powój szukający wiecznie oparcia, lub skromny
fiołek ukryty w cieniu trawy.

— Ależ—odpowie starzec—przyroda określa najlepiej wspólne
prawa, ona czyni męczyznę silnym, kobietę zaś uległą.

— Nie zawsze—odpowie młodzian—alboż to lwica i tygryś
nie sroższa od lwa i tygrysa w danej chwili? Mitologia grecka przed-
stawiała najwierniej przyrodę, odziewając kobietę majestatem i potęgą
zarówno jak i wdziękiem. Przypomnijmy sobie te pyszne ustępy
z Homera, w których Minerwa okuta boskim pancerzem wiedzie Gre-
ków do boju. Jakże cudny ten obraz Diany, która gardzi ziemskim
uczuciem i powala śmiertelnika co znieważył próg jej świątyni. Nie
jestże to ideał samodzielnej niewiasty, dość silnej aby wystarczyć
sobie? Grecy nie byłiby zdolni wymyśleć takich bogiń, gdyby od-
powiednie typy nie istniały w ich społeczeństwie. Cywilizacya na-
sza nie postąpiła, przeciwnie cofnęła się, skoro takie typy nie znaj-
dują w niej miejsca.

— Mój kochany — rzecze starzec zironicznym uśmiechem—dzis,
jutro zaczniesz pisać do którego z radykalnych dzienników, alez wy
młodzi co wstępujecie w słoneczny wóz aby go popędzić nowym szla-
kiem, pamiętajcie, że łatwo rozniecić wielki i niebezpieczny pożar!
Co do twojej Diany dziękuję Bogu, że nie jest moją żoną; nie chciał-
bym z nią żyć, równie jak i z twoją Minerwą.

Henryk Henderson obiera zawód dziennikarza. W tym celu
przedsiębiorze podróż po Europie, za powrotem osiada stałe w Nowym
Yorku. Jako obrońca praw kobiety pisze świetne artykuły w prze-
glądzie: *Mleczna Droga*. Artykuły te zwracają uwagę zwolenniczek
emancypacyi. Zapragnęły go poznać. W ich kole młodzian czuł się
zrazu jakby otumaniony. Rozmowa z osobami pełnemi światła, wy-
zwolonemi z zastarzałych *przesądów* miała dlań wielki urok. Nie
na wszystko jednak zgadzał się postępowy młodzieniec. Raziło go

szczególnie zupełne zerwanie z Biblią, wielu zwolenniczek emancypacji.

— Przebaczcie mi panie—rzekł do jednej z nich—lecz ja należę do tych zacofanych, którzy jeszcze wierzą w Biblię.

W kilka dni potem nowa okoliczność bardziej go jeszcze oziębiła. Przytaczamy ten ustęp malujący jeden z dzisiejszych typów społeczeństwa amerykańskiego.

„Pracowałem przy biurku—mówi Henderson—kiedy odgłos kroków dał się słyszeć na wschodach.

— Czy tu pokój pana H.?—zapytano.

„I w tejże chwili młoda panna z uśmiechem na ustach, śmiałym błękitnym okiem i upiętrzoną fryzurą, w małym kapelusiku a pekiem piór kogucich, przechylonym fantastycznie na bakier wpadła bez ceremonii do pokoju i usiadła przy mnie na krześle. Podniosłem głowę zdumiony. Panna rozśmiała się na głos, wzięła mnie za rękę poufale.

— Powiedzże Henderson, czy ty mnie znasz? Jeśli nie, potrzeba nam się poznać. Czytałam twój szumny artykuł w *Mlecznej Drodze*; wiesz, cię wiesz, wiesz...

Patrzałem zdziwiony, ona ciągnęła dalej:

— Mój kochany, przychodzę tu aby cię oświecić. To mówiąc zbliżyła się do mnie, położyła mi rękę na ramieniu i patrzyła mi prosto w oczy. Zdziwienie moje bardzo ją rozśmieszało.

— Ha, ha—rzecze—wiesz o co idzie. Jeszcze się nie wylęgłeś zupełnie mój kureczku; wołasz o emancypacji kobiet, ale sam nie wiesz czego żądasz. Przyznajże mój chłopcze—i poglaskała mnie po faworytach.

— W rzeczy samej wyznaję że nie mam zaszczytu...

— Nie masz zaszczytu znać mnie? idźże sobie z temi banialukami, a więc otrzymałeś ten zaszczyt. Czytałam twój artykuł; powiedziała sobie, ten chłopiec zanurzony w ciemnościach: muszę go oświecić. Masz dobre zamiary Hendersonie, ale przedmiot to bardzo ważny, nie dosyć się zastanawiałeś. Widzisz moje dziecko, ty nie jesteś kobietą, ale ja nią jestem... w tym cała różnica.

„Pytam czytelnika jak uczciwy młodzian wychowany w poszanowaniu kobiety, ma sobie postąpić znalazłszy się w tak trudnym jak ja położeniu? Słyszałem już o pannie Audacyi, jak o dziwnym oryginalnie, nie myślałem jednak, że się z nią spotkam na cztery oczy.

— No, słuchaj chłopcze—zawoła—dowiodę ci w pięć minut, że pisałeś o tym czego nie wiesz. Obstawiałeś w twoim zaślepieniu za prawami kobiet do wolności i równości z mężczyzną. Widzisz przed sobą kobietę, która w całym znaczeniu realizuje te prawa. Czegoż ja się domagam? oto praw do tytoniu i butelki, do odowiedzenia kogo chcę i kiedy chcę, do wyznania bez ogródki żeś mi się podobał i używam tych praw z całą swobodą. I ty postępuj ze mną bez ceremonii, możesz mnie zwać po prostu Audacją; przyjdź do

mnie dziś wieczorem na cygaro i pogawędkę. Mam ładny pokój; i twój nie zły... ile płacisz za niego.. a co, czy przyjdiesz?

— W rzeczy samej pani wyznaję..

— Po co ta pani? nazwij mnie Audacyą! postępuj ze mną *en camarade* i przyznaj sam że uplątany jesteś w te niedorzeczne konwenanse, co nas biedne kobiety gniotą bez litości jarzmem swoim. Bywasz widać w tych sztucznych towarzystwach, gdzie kobieta żyje jak niewolnica, jak ptaszek w klatce, gdzie lękasz się wprowadzić w czyn, wygłoszonych przez siebie zasad. Ja należę do owych kobiet co ośmielają się nie tylko mówić, lecz i działać, bo dlaczegożbym nie miała prawa starać się przypodobać mężczyźnie zamiast czekać w domu na konkurenta? Wiem ja, że wam to nie przypada do smaku, bo jesteście niewolnikami przesądów. No, bądźcież raz konsekwentni sami z sobą, przyznajcież mi równość jako istotie rozumnej.

Oniemiałem z podziwienia. W tej chwili drzwi się otworzyły i John wszedł do pokoju.

— O najpiękniejsza z kobiet!—zawołał z komicznym uniesieniem... Jakimże losom szczęśliwym zawdzięczamy ten zaszczyt?

— Ha, to ty John?

— Tak, to ja—odrzekł—siadając przy niej. Jakże się ma królowa gwiazd, zorza północna? czyż serduszek moje otrzymało prawa do tytoniu i buteleczki?

—Siedźzespokojnie—zawołała dając mu lekki policzek. Dowodziłam tu przyjacielowi twemu, że nie zna kobiety, że nie rozumie przyszłości naszej. Mało kobiet odważy się na to, na co ja się odważam, lecz my otwieramy drogę. Przyjdzie czas że wszystkie żyć będą jak ja, nie skępowane waszemi przesadami.

— Moja droga Audacyo—odparł John—pozwól mi dodać, że i mężczyźni pragną także wolności... a ponieważ przyjaciel mój i ja mamy zajęcia nasze, proszę cię, racz nas uwolnić od blasku twoich pięknych oczu i przenieś gdzieindziej twą uroczą osobę.

To rzekłszy zaprowadził ją do drzwi i pchnął za próg, kłaniając się z udanym poszanowaniem.

— Czekaj—zawołała—ja tak nie odejdę. Musicie obaj zapisać się na prenumeratę *Kobiety Emancypowanej*.

Podpisałem co żywo; John uczynił to samo lubo nie bez oporu. Włożyliśmy jej w rękę po pięć dolarów.

Oko jej rozjaśniło się, skinęła głową, pióra kogucie zadrżały na maleńkim kapelusiku.

Bardziej jeszcze zadrżał Henderson patrząc na ostateczne konsekwencye podjętej przez siebie propagandy. I otrzeźwiał z obłędu jakby obłą zimną wodą.

Wkrótce potem poznał on młodą panienkę, która miała urzeczywistnić w pełni jego ideał. Była nią Ewa, jedna z gwiazd najwytworniejszego społeczeństwa w Nowym-Yorku.

Poznanie nastąpiło w sposób amerykański, tak zwyczajny w nowym świecie, że nie nastęrcza autorce najmniejszego powodu do protestacyi.

Panienka jechała omnibusem, sama, bez towarzyszki, w chwili gdy młodzian zajął naprzeciwko niej próżne miejsce. Konduktor domaga się zapłaty: zakłopotana panienska spostrzega, że ma tylko w portmonetce 100 dolarowy bilet. Trudno go zmienić; młodzian przychodzi w pomoc, pożycza paniencie kilka pensów. Podczas gdy jadą nadciąga chmura, deszczyk zrazu drobny zmienia się w gwałtowną ulewę. Czas wysiadać, panienska nie wzięła parasola, usłużny młodzian rozpościera swój nad jej głową, prowadzi ją do domu, przed progiem składa jej swój bilet. Panna Ewa wyczytawszy znane sobie z dzienników nazwisko Henryka Hendersona, wydobywa także swój bilet, wręcza go młodzianowi. Na rogu nakreślone słowa: „Państwo Arnsdel przyjmują we środę wieczorem“. Bilet panienski służył za zaproszenie.

Tym sposobem zawiązana znajomość, otworzyła Henrykowi dom jednego z najstynniejszych przemysłowców Nowego Yorku. Adam znalazł swoją Ewę, swój Eden; lecz jakaż przepaść dzieliła poczynającego zawód dziennikarza od milionowej panny wychowanej w zbyt-kach i przepychu. Zrazu młodzian nie myślał nawet o podobieństwie związku z Ewą, tembardziej że o rękę jej starał się jakiś Rotszyld nowo-yorski, nieobecny czasowo w mieście.

Nie będziemy tu powtarzać za autorką historyi dwóch młodych sero skreślonej z drobiazgową dokładnością. Powiemy tylko że miłość, która tak samo jak wiara zniża góry, a podnosi doliny, zapełniła wkrótce przepaść między dziennikarzem a gwiazdą Nowego Yorku. Panna Ewa odrzuciła rękę Nababa, a oddała ją kochającemu i kochanemu Henrykowi. Sposób oświadczenia zarówno charakterystyczny jak poznanie. Pan Arnsdel zajęty zewnątrzniemi sprawami, które mimo świetność handlowego domu w oplakany były stanie, mało zajmował się rodziną. Zastępowała go w tém żona, pełniąca w domu obowiązki ministra spraw wewnętrznych. Ona to przewidując rychłą katastrofę pragnęła przyspieszyć związek córki z bogaczem; w tym celu szepnęła Henrykowi aby unikał Ewy, jeśli ocenia jej spokojność.

Henderson przestał bywać w domu państwa Arnsdel; Ewa niepojmowała co to znaczy.

Dnia jednego, kiedy matka z siostrą, kobietą światową i zręczną intrygantką składają domową naradę, kiedy cieszą się z powrotu milionera, z jego codziennych odwiedzin, kiedy oznaczają dzień ślubu, Ewa spotyka w ogrodzie Henryka. Spotkanie to przypadkowe. Panienska zaczyna od wymówek: godził się, aby pan Henryk zaniedbywał dom, w którym przyjmowano go tak życzliwie? Rzecz wyjaśnia się w kilku słowach.

Starsza siostra rysowała w parku, Ewa zbliża się do niej trzymając pod rękę Henryka.

— Ido — rzece — oto mój narzeczony!

Za powrotem do domu nastąpiła rozmowa córki z matką. Przytaczamy tę scenę, maluje bowiem stosunek dzieci do rodziców w *postępowém* społeczeństwie nowego świata.

— Moje dziecię — rzece pani Arnsdel — kredyt ojca bardzo zachwiany; dla tego to pragnęłabym zaspokoić się co do twojego losu.

— Pozwól mi mamó — odrzece Ewa — wypowiedzieć otwarcie moje zdanie. Jeśli bogactwa mają skrzydła i uciekają, pocóż mi iść za człowieka, za którym nic nie przemawia prócz majątku? Gdybym poszła za pana S. który mię ciężko nudzi, i gdyby nie przewidziany wypadek przywiódł go do bankructwa, gdyby zmuszony był sprzedać swoje pałace i parki i przenieść się ze mną do uboższego dworku, powiedz, cóżby wówczas nastąpiło? Żałowałabym gorzko, że nie wybrałam sobie męża miłszego sercu memu. Jeśli pójdę za mąż, to za człowieka, który zastąpi wszystko dla mnie.

— I gdzie go znajdziesz?

— A gdybym go znalazła już, mamó?

— Co chesz przez to powiedzieć?

— To, matko, że znalazłam takiego człowieka, że jesteśmy już zaręczeni.

— Jakto? i nic mi o tém nie mówiłaś?

— Dziś dopiero dowiedziałam się, że mnie kocha i że chce mnie poślubić.

— A wolnoż mi zapytać kto to jest? — zapyta urażona matka.

— To Henryk Henderson, droga mamó.

— Henderson! czyż się godzi? powiedziała mu jaki stosunek łączy nas z panem S.

— Tak jest, a ja wywiódłam go z błędu. Postępowanie jego było co się zowie szlachetne. Po rozmowie z tobą nie bywał w domu naszym; cierpiałam na tém wiele. Dziś spotkałam go przypadkiem w parku; nastąpiło wytłumaczenie. Odtąd nic nas już nie rozłączy.

— Co będzie z nami, biedne dziecko! Ojciec źle w interesach, to okropny cios dla nas.

— Przykro mi mamó, lecz ja nic na to nie poradzę. Byłoby grzechem iść za innego, skoro kocham Henryka. Miłość to nie rękawiczka, którą można zdjąć albo włożyć wedle woli. Z Henrykiem nie lękam się o przyszłość. Uspokój się więc mamó, a mnie pozwól być szczęśliwą na mój sposób.

— Muszę, rada nie rada — odrzekła pani Arnsdel podejmując lampę ze stołu.

— Kiedys zapewne cieszyć się będziesz z mego szczęścia; dobranoc mamó!

Tak córki przemawiają do matek w Ameryce! Ewa w zasadzie miała niezaprzeczoną słuszność, ale czyż miłość dziecięca nie wskazywała mnóstwa środków do złagodzenia matki? Ewa przecież to idealny typ w powieści. Gdzie ideały takie, cóż się dziwić, że w tłumie zwyczajnych kobiet znajdujemy Audacye?

Autorka maluje społeczeństwo, jakim je widzi; nie narzuca nigdzie zdania swego czytelnikowi, wszystko zostawia jego wnioskowi. Widoczna rzecz jednak, że pani Beecher Stowe nie wzięła do serca emancypacyi kobiet, jak niegdyś podjęła sprawę czarnych. W dopominaniu się kobiet o swe prawa wykazuje co chwila stronę śmieszna, a nawet bardzo niebezpieczną. W harmonii tylko serc i umysłów, w szczerzej miłości, w wykształceniu obu stron, widzi rękojmią prawdziwego szczęścia małżonków. Wzajemny stosunek żony i męża określa w kilku słowach: oto rozmowa narzeczonych przed ślubem.

W pokoiku Ewy leżała eteryczna sukienka z iluzji, obok niej para białych atlasowych trzewiczków na wysokich obcasach, strojnych wielkimi kokardami.

„Nie sprzeczniesz się, mówi Henderson, jak obuwie mężczyzny i kobiety. Trzewiczki Ewy miały niepojęty urok. Widziałem w nich podobieństwo do dwóch białych i wesołych koteczków. Wziąłem je w rękę z uśmiechem.

— Moje trzewiczki—rzekła Ewa—przyglądają się twoim butom i pytają co to jest? powiedziałyby kto, że chcą rozmawiać o prawach kobiet.

— A moje stare poczciwe buty—rzekłem—same nie wiedzą jak się znaleźć. Trudno im iść w parze z twojami trzewiczkami, niepodobna zżymać się na nie; bo gdyby chciały tylko, stałyby je na miazgę.

— A jednak—rzecze Ewa—te poczciwe stare buty starczą za czterdzieści par moich trzewiczków. Deszcz i błoto wcale im nie zaszkodzi. Cierpliwe, gotowe do ofiary, nie cofną się przed niczem; one pomogą trzewiczkom moim przebrnąć przez kałuże i rowy. Nie trwóżcie się stare buty, moje trzewiczki godnie was uszanują!

Cóż ztąd wnosić? Oto że szczęście małżonków polega tylko na wzajemnych ustępstwach.

Wdalszej rozmowie myśl ta jaśniej jeszcze wyrażona.

— Mam ci być posłuszną, Henryku—rzekła Ewa—jakże to słowo śmiesznie brzmi między nami! Nie rozumiem go; dotąd ty byłeś mi posłusznym. Do czego powiedz, zobowiązuje się kobieta, przysięgając mężowi posłuszeństwo przed ołtarzem?

— Przyrzeka—odpowiedziałem na to—słuchać go we wszystkim co nie staje wyrażnie w sprzeczności z wolą Bożą.

— A więc to znaczy, że przez całe życie, ile razy pokaże się jakaś różnica w opinii pomiędzy nią a mężem, ona musi ustąpić?

— Jeśli była tak szalona i nieogłędna, że wybrała człowieka bez rozumu i delikatności, musi być mu posłuszną.

— Ależ między ludźmi, jak ty i ja, Henryku?

— Między nami Ewo, to rzecz iuna; niema posłuszeństwa tam gdzie niema rozkazu.

— Tak, lecz nie możemy być zawsze jednego zdania.

— Wtedy będziemy rozmawiać i oświecać się wzajem, a kto stawi lepsze dowody, ten przekona drugiego.

Nim wybiła godzina ślubu dla młodej pary, wprzód jeszcze wybiła godzina ruiny dla handlowego domu pana Arnsdel. Henryk wziął za żonę nie dziedziczkę milionowego posagu, lecz paupienkę ubogą, ufną w przyszłość, gotową na ofiary. Zamieszkał z nią w małym domku, na skromnej ulicy, dalekiej od zgiełku wielkiego świata. Autorka uchyla przed nami niskie drzwi tego domku, którego ściany tchną szczęściem, spokojem i harmonią.

W zapowiedzianej powieści p. t. *Pamiętniki z ubogiego przedmieścia* posłyszemy coś o dalszych losach owęj, jak ją zowie autorka, spółki handlowej pod firmą *Moja żona i ja*. Nie lękamy się bankructwa dla tej spółki; papiery jej bowiem silnie zabezpieczone kapitałem serca i rozumu.

Anglia straciła w tych czasach najznakomitszego ze swoich powieściopisarzy, znanego we wszystkich krajach. Mówimy tu o Edwardzie Bulwerze zmarłym w dniu 18 stycznia w rok po bracie swoim Henryku, mniej głośnym na polu literatury, lecz głośniejszym za to w świecie dyplomatycznym.

Edward Lytton Bulwer urodził się w hrabstwie Norfolk roku 1805. W dziecinnych latach po śmierci ojca wychowywał się pod okiem wysoko ukształconej matki. Od szóstego roku życia pisywał już wiersze; a najmilszą jego książką był zbiór starych legend angielskich. Nauki uniwersyteckie pobierał w Cambridge. Tam utworzył poemat o Rzeźbie, przez co zwrócił na siebie uwagę i pozyskał zaszczytny stopień naukowy. W czasach corocznych wakacji zdeptał piechotą całą Anglią i Szkocją, zebrał na miejscu niezliczone mnóstwo starych podań. Później podróżował konno po Francji. Zawód pisarski rozpoczął od poetycznych utworów: wydał w roku 1826 zbiór wierszy p. t. *Chwasty i kwiaty polne* (Weeds and wild flowers). W następnym roku dwa poemata: O' Neil i Falkland. Były to po prostu naśladownictwa Bajrona.

Publiczność angielska chłodno przyjęła te utwory pióra młodzińczego. Spozrzegł to Bulwer: postanowił zerwać nie z poezją, lecz z rymowaną jej formą. Zabrał się do powieści. *Pelham* romans trzytomowy, wydany w roku 1828 rozgłosił jego imię. Autor schłostał w nim z niezwykłą werwą satyryczną wady i przesady szlachty angielskiej. Z równą zaciętością wystąpił do walki w powieści *The Disowed* (Odrzutek). Te dwa dzieła obudziły gwałtowny

gniew arystokracji i ściągnęły na młodego pisarza mnóstwo dotkliwych obelg i prześladowań. Nie zrażony tém Bulwer spostrzegł, że ugodził w najdrażliwszą stronę serc ludzkich, co dało mu poznać, że wszedł na drogę właściwą twórczym zdolnościom swoim. Następne powieści: *Devereux*, *Paweł Clifford*, *Eugeniusz Aram*, pisane w tymże samym duchu ustaliły sławę jego autorską. W skutek tego w roku 1832 powierzono mu dyrekcją zbiorowego pisma *New monthly magazine*. Drukował tam szereg szkiców humorystycznych wysokiej wartości. Te wyszły w trzytomowym zbiorze p. t. *The Student*. Dzieło *Anglia i Anglicy* pomieściło go w liczbie pierwszorzędných pisarzy kraju swego.

Odtąd Bulwer zajął stanowisko autorskie, z którego nie miał zejść do końca życia. *Ostatnie dni Pompei*, romans historyczny z czasów rzymskich (1834) tłumaczony na wszystkie niemal języki, stanowi rzecz można epokę w powieściopisarstwie literaturze. Równy zapał budziły późniejsze jego utwory: *Pielgrzymi Renu* w trzech tomach (1834); *Rienzi ostatni trybun*, utwór mistrzowski (1835); *Ernest Maltravers* (1837); *Alicya* dalszy ciąg poprzedniego romansu (1838); *Ostatni z baronów*, wyborne studjum historyczne (1843); *Harold Saxon* (1848); *Cacton* (1850); *Moja historia* (1851); *Co z tém uczyni?* (1860); *Dzień i noc* (1865).

Oprócz powieści pisał Bulwer dramata; w tych jednak okazał mniej talentu, zmuszony będąc poświęcać bogactwo wyobraźni dla wymagań scenicznych. Z dramatów jego grane były: *Księżna Lavallière*, *Diana z Lyonu*, *Richelieu*. Napisał także w późniejszych czasach kilka poematów: *Bliźnięta Siamscy* obrazek humorystyczny, *Nowy Timon*, *Król Artur* i t. p. Wydał je bezimiennie. Jako tłumacz Szyllera zapoznał Anglików z literaturą niemiecką.

W rękopismach autora pozostało niedokończone studjum historyczne o Atenach. Studjum to, wysokiej jak mówią wartości, ma być wkrótce ogłoszone drukiem: nie zaniedbamy w swoim czasie zdać sprawę z tego utworu.

W politycznym zawodzie zasłynął Bulwer w kraju własnym jako trybun, mówca i publicysta. Ściągnął na siebie mnóstwo niechęci w skutek nagłego przerwania się z jednego stronnictwa do drugiego. Niegdyś najzagorzalszy z pomiędzy Whigów, później stał się zaciętym Torysem.

Niemniej ciężkie walki przeżył on i w domowym pożyciu. Jako małżonek doświadczył losów Sokratesa i naszego Klonowicza. Żona jego pisywała powieści. W nich czarnymi farbami odmalowała tajemnice swego pożycia małżeńskiego w sposób ubliżający mężowi. Spory domowe skończyły się rozwodem.

Dzieło panny Bader, *Kobięta grecka*, z którego zdaliśmy obszernie sprawę, zaczyna pojawiać się w przekładach na obce języki.

Między innymi pani Emilia Leontias, redaktorka przeglądu *Eurydyki* dołącza je częściowo do pisma poświęconego głównie wychowaniu młodych greczynek. Dzisiejsze Ateny dowiadują się przez obcych o tém, co się odbywało w własnym ich domu!

Miłośnicy sztuki dramatycznej, postanowili urządzić w Paryżu Muzeum Moliera. Zbierają w tym celu najdrobniejsze nawet przedmioty, pozostałe po wielkim komiku, jego listy, autografy i szczątki rękopisów. Wszystkie portrety, ryciny, posągi, popiersia i medalliony wykonane w rozmaitych czasach, zachowane będą w tém muzeum, bądź w oryginalach, bądź też w reprodukcji. Obok wizerunków Moliera znajdą miejsce wizerunki jego krewnych, przyjaciół i kolegów. Zgromadzone zostaną niemniej wszystkie malowidła, miedzioryty, litografie i t. p. do których pobudkę dały sceny z molierowskich komedyj. Biblioteka muzeum składać się będzie najprzód ze wszystkich edycyj teatru Moliera, jakie wyszły w przeciągu dwóch lat, powtóre z życiorysów, rozpraw, komentarzów, pochwał, słowem wszystkiego cokolwiek o nim pisano; potrzecie ze wszystkich sztuk i sztuczek teatralnych, poświęconych jego pamięci i uczczeniu.

Piękna to myśl zaprawdę, godna nieśmiertelnego geniuszu, jakim słusznie ma prawo poszczycić się Francya. Pierwsza inicjatywa wyszła od pana Ballande, dyrektora teatru Gaité.

My dodajemy z naszej strony, że komitet urządzający muzeum przyjmie z wdzięcznością wszelkie dary, udowadniające o ile prace Moliera były rozszerzane i oceniane we wszystkich krajach. Mamy nadzieję że Warszawa i inne miasta nasze, w których centralizują się ogniska literackie, pošlą w czasie właściwym, wydane przekłady Moliera, i to ogólnie co odpowiada celowi komitetu.

W SPRAWIE O NARODOWOŚĆ KOPERNIKA.

Objaśnienia ku uczczeniu 400-niej rocznicy urodzin Kopernika,
w d. 19 lutego 1873, napisane

PRZEZ

A. P.

Gdy tym skromnym dowodem święcić postanowiliśmy pamięć wielkiego męża, co na wsze czasy sławą okrył polską naukę, raczej nas do tego poważny upominał obowiązek, niżeli skłaniało poczucie sił własnych ku godnemu tej powinności sprostaniu. Nie naszym może być zadaniem, coby najtrafniej do zakreślonego tym dniem pamiętnym zmierzało celu, rozważyć prawodawcze w astronomii zasługi Kopernika; szczupłe sił naszych zasoby zaledwie pozwalają nam zastanowić się nad pytaniem, co poniekąd także w związku pozostaje z obecnym obchodem, o ile nieuzasadnione są uroszczenia Niemców, którzy z niestrudzoną pracują usilnością nad wydarciem nam naszej chluby narodowej.

W sprawie o narodowość Kopernika dawniej postępowała strona nam przeciwna sumarycznie, wygłaszając na swoje korzyść wyrok osnuty na dorywczozebranych świadectwach. Ta lub inna okoliczność, bądź nazwisko, bądź miejsce urodzenia, wystarczającą być się zdawały podstawą do stanowczego w tym przedmiocie orzeczenia. W moc takiego samowolnego postępowania zaliczano Kopernika do rzędu niemieckich gieniuszów, stawiano mu jako Niemcowi pomniki i sławą jego zdobiono sobie panteon narodowych znakomitości. Nowsze czasy, gdy z naszej strony skuteczniej odpierano przeciwników roszczenia, zrodziły potrzebę niby przekonującego a gruntownego uzasadnienia doraźnego wyroku.

Uczył ję zadość jeden mianowicie żarliwy w tęg sprawie obrońca p. Leopold Prowe, dziś żyjący nauczyciel gimnazyum w Toruniu ¹⁾.

Ponieważ biograficzne szczegóły z życia Kopernika wbrew woli Niemców nie zupełnie nagiąć się dawały do ulubionego wniosku, sporne więc pytanie na szersze pole wywodów historycznych przez Prowego przeniesione zostało. Jako na obrazie tło służy do uwydatnienia drobniejszych szczegółów lub do wzmocnienia optycznego wrażenia, tak podobnie w tęg sprawie odległa historyczna podstawa służyć miała ku jaskrawszemu uwydatnieniu błędnych zarysów niemieckości Kopernika. Ztąd powołuje Prowe na pomoc historyczne świadectwa, niby posiłkowe oddziały, co chwiejne zwycięztwo na stronę Niemców przechylić mają. Siłę taką przypisuje następnym dowodom:

Że 1) nietylko Toruń nie był polskiem miastem, ale i ziemia, wśród której leży rodzinne miasto Kopernika piewiastkowo przez polskie nie była zamieszkała plemię, bo późniejszą w nię ludność polską za napływowy jakoby należało uważać żywiol; że 2) chociażby nawet z Krakowa a więc z polskiego niezapreczenie miasta pochodziła rodzina Koperników, prawdopodobniejszém ma być jednak ję pochodzenie niemieckie, ile że miasta polskie przeważnie przez ludność niemiecką zamieszkanne były i niemieckięj w życiu publiczném i prywatném używały mowy.

Tym dowodem jako nieuzasadnionym odpór dać należy. Bartoszewicz w życiorysie Kopernika, najdokładniejszym jaki posiadamy, lubo wystawił przekonywająco te okoliczności, które dają nam niezbite prawo szczyić się Kopernikiem, jako naszym rodakiem, nie miał wszakże na baczeniu powyższych dowodów przytaczanych zwłaszcza w ostatnich latach przez niemieckich pisarzów. Dopiero w przeszłym roku p. R. (omer) przemawiając po niemiecku do niemieckięj publiczności, starał się—powiędzmy także skutecznie—zbić błędne wnioski przeciwników naszych ²⁾. Temu samemu przedmiotowi w podanym wyżej zakresie i my także kilka słów poświęć postanowiwszy, bierzemy pod rozwałę obydwu dowody, któremi się Prowe posiłkuje, dla okazania, że Kopernik był Niemcem.

¹⁾ W następnych mianowicie pracach:

1853. Zur Biographie von Nicolaus Copernicus.

1860. De Nicolai Copernici patria.

1868. Westpreussen in seiner geschichtlichen Stellung zu Deutschland und Polen.

²⁾ Beiträge zur Beantwortung der Frage nach der Nationalität des Nicolaus Copernicus von R. Breslau 1872. Rozbiór tęg pracy umieściliśmy niebawem po ukazaniu się ję, w Bibliotece Warszawskięj w zesz. lipc. 1872.

I.

Przed 40-stą laty Johannes Voigt, autor historyi Prus, stanowiący po dziś dzień powagę w obranym przez się przedmiocie, twierdził jakoby nad brzegami dolnej Wisły pozostały od czasu wędrówki ludów druzyny Gotów ¹⁾. Te niemieckie osady z tak odległych wieków miały niejako uzasadnić historyczne Niemców do téj ziemi prawo, miały usprawiedliwić nazwę odwiecznej Niemców krainy dawana ziemiom nad brzegami dolnej Wisły. Domysły takie żadném nie poparte świadectwem, mogły być tylko płodem rozbujaléj wyobraźni. Z trzeźwiejszym poglądem niemieccy historycy późniejszych czasów nie powtarzają Voigta urojeń, by nie wystawiać się na zbyt ostre pociski poważniejszej krytyki. Omijając odległe i niepewne dzieje, zwracają się ku nowszym już czasom ze swoim śmiałym wnioskiem, w którym że się już jasno pewne uprzedzenie objawia, nadmieniac o tém nie potrzeba. Nie mogąc bowiem bez rażącego skrzywienia prawdy dowieść, że na Powiślu dolném mieszkały ciągle niemieckie ludy, przynajmniej przyznać nie chcą, aby tam kiedykolwiek polskie siedziało plemię. W ziemi nad dolną Wisłą od Drwęcy aż do Gdańska osiedliło się, powiada Prowe, plemię pogańskie Prusów, których część rodzinnej ziemi stanowiła także ziemia Chełmińska i miejsce, na którém wzniósł się późniejszy Toruń.

Nie trudném jest wykazać dowolność i bezzasadność podobnego twierdzenia. Nie sięgamy czasów niepewnych w zmroku ukrytych. Powołujemy się na zdarzenia powszechnie znane a nie zaprzeczone. Już w V i w następnych wiekach siedziby Słowian ciągnęły się od wschodu aż do ujścia niemal Elby. Słowiańskie ludy zajęły przestrzeń między Wisłą, Odrą i Elbą aż do brzegów morza Bałtyckiego. Wczesne bardzo świadectwa wykazują, że Pomorze, co zresztą z nazwy samej jasném być się zdaje, przez słowiańskie t. j. lechickie plemię było zamieszkane. Kiedy Św. Wojciech udawał się w 997 r. jako apostoł do ziemi pogańskich Prusów, przyplynał Wisłą do Gdańska, jak mówi o tém jego żywociarz Kanaparyusz, by z tego miejsca rozpocząć dzieło nawracania. Gdańsk zaś, objaśnia tenże Kanaparyusz piszący w kilka lat po śmierci Św. Wojciecha, leży na kresach rozległego państwa polskiego ²⁾. W Gdańsku przeto ani na lewym brzegu Wisły Prusy nie mieszkali. Wiadomo że główną tego plemienia siedzibą była strona na brzegu Bałtyckiego morza między Niemnem a Wisłą. Niepodobna ściśle oznaczyć, jak daleko na południe sięgały granice pruskie i gdzie się spotykały z osadami Mazurów. Ulegały one zapewne chwilowym zmianom w miarę prze-

¹⁾ Geschichte Preussens T. I. 134.

²⁾ Monum. Pol. Bielow. T. I. str. 180.

wagi wojennój jednego lub drugiego z ościennych ludów — Prusów albo Mazurów. To jednak wątpliwości ulegać się nie zdaje, że zachodnią swą granicą pruski żywioł nie dotykał prawego brzegu Wisły. Rzeka ta na całej przestrzeni dolnego biegu była w posiadaniu polskiego plemienia, z prawej tylko strony może nie w jednakowej wszędzie zajmowana przez szerokości. Ziemia zaś Chełmińska świadczy, że w tém zagięciu rzeki z prawego brzegu, dość daleko na wschód rozsiadła się ludność polska.

Książęta Mazowieccy długie a krwawe staczali boje z sąsiedniemi pogańskimi Prusami. Ziemia Chełmińska, co do mazowieckiej należała dzielnicy, stała się widownią tych ustawicznych zapasów dwóch sąsiednich plemion. Prusy nieraz zburzywszy nadwiślańskie warownie, ztąd w głąb Mazowsza zapuszczali swe zagony. Z różnym szczęściem aż po koniec XII wieku między sobą walczone. Na początku XIII stulecia, powiada Prowe ¹⁾, odzyskali Prusy ziemię Chełmińską i ztąd coraz gwałtowniej na Konrada Mazowieckiego nacięrać zaczęli. W tém właśnie słowie umyślnie przez Prowego użytém, iż Prusy odzyskali ziemię Chełmińską, tkwi błąd i fałsz historyczny. Taki sam dostrzegać się daje i w następném twierdzeniu Niemców, kiedy utrzymują, iż Konrad Mazowiecki odstępując Zakonowi Niemieckiemu, przez siebie na pomoc przywołanemu, ziemię Chełmińską, przypuszczał iż takowa doń należała (*suam putabat*), gdy tymczasem miała to być jakoby część dzielnic pruskich.

Gwałcenie prawdy historycznej dokonywane jest przez niemieckich historyków z całą świadomością. Rozbierają po szczególe znane akta umów między Zakonem a Konradem zawartych ²⁾ (w r. 1228, 1230, 1264), wnikają w najsubtelniejsze drobiazgi, a zamykają oczy na wyraźne określenie granic ziemi pruskiej. Odstępujemy, powiada Konrad w jednym akcie, ziemię Chełmińską od owego miejsca gdzie Drwęca opuszcza granicę pruską i gdzie Ossa tych granic dotyka. Jasną więc jest rzeczą, że dopiero po za Chełmińską ziemią zaczynają się granice polityczne Prus, chociaż pod względem etnograficznym polska miedza mogła jeszcze dalej sięgać. Przy takiém błędném twierdzeniu obsta je nie tylko Prowe, co dotknął tego przedmiotu z powodu Kopernika, ale i Watterich ³⁾ autor specjalnej pracy o Zakonie krzyżackim, oraz Ewald ⁴⁾ w dopiero co wydanej historii podbicia pruskiej ziemi przez rycerzy Zakonu niemieckiego.

¹⁾ De N. Cop. patria str. 6.

²⁾ Wzory pism dawnych 1839 r., nr. 2, 3, 13.

³⁾ Die Gründung des Deutschen Ordensstaates in Preussen. Leipzig 1857.

⁴⁾ Die Eroberung Preussens durch die Deutschen. Halle 1872.

Na szczęście nie wszyscy jednak historycy niemieccy również stronnie w tym przedmiocie wydają sądy. Pomijam zdanie Rethwisch'a ¹⁾, ale powołuję na świadectwo uczonego Toeppena ²⁾, znanego ze swych głębokich studyów nad Mazurami, który w sprawie ziemi Chełmińskiej nie wahał się wygłosić bezstronne zdanie, mieniając ją odwieczną dziedziną polską. Samo miano Chełmińskiej ziemi i warowni pierwotnej Chelмна świadczy dostatecznie o pochodzeniu ludności, która ją zamieszkiwała. A nazwa ta w najdawniejszych już ukazuje się czasach, i nieomylną jest wskazówką w sprawie o ludność w granicach pewnej ziemi mieszkającą. W tych samych aktach, o których dopiero co nadmieniono, ugody między Konradem Mazowieckim a Zakonem wyliczone są miejscowości, które miały przejść pod lenne panowanie Krzyżaków w ziemi Chełmińskiej. Grudziąż, Koprzywno, Wilczylas, Kolno, Ruch, Rysin, Głębokie, Turno, Pin, Plot, Postolsko, Kowalewo, Bełz, Chelмно, Ostrowiec, Niewierz, Bobrowskie, Wiączyń, Miłosna, Orzechów. Piaweczno, Jabłonowo, które wątpić nie pozwalają o tém, iż cała ludność téj ziemi do polskiego należała szczepu.

Sam Toruń z polskiego zresztą wyrosł korzenia. W akcie umowy między Konradem Mazowieckim a Krystyanem biskupem pruskim z r. 1222 wzmianka jest o istniejącej niegdyś w ziemi Chełmińskiej twierdzy Turno, prawdopodobnie wśród napadów pruskich spalonej i zburzonej. Około tego miejsca zbudowali niebawem Krzyżacy swoją twierdzę, która zachowała nazwę istniejącej obok osady polskiej. Dawniejsza osada przyjęła nazwę starego Turna albo Torunia, nowa zaś twierdza wraz z miastem po prostu Toruniem się nazywała. Nazwa Toruń a po niemiecku Thorn jest późniejsza. Znaleźliśmy w tutejszém archiwum głównem najdawniejszy, jaki się tylko do dziejów Torunia zachował dyplom z r. 1262. Jestto akt zamiany pewnych posiadłości i gruntów miejskich uczynionej między radą i mieszczanami miasta Torunia a Zakonem krzyżackim. Należy nań pilniejszą zwrócić uwagę, ile że daje w dotkniętym przez nas przedmiocie wskazówki dość wyraźne ³⁾. Jest w nim najprzód mowa o *starym Toruniu* (alt Thurun), przez który dawną osadę polską rozumieć należy, następnie wzmianka o twierdzy, oczywiście wzniesionej przez Krzyżaków i o samém mieście. Miasto to nie nazywa się Thorn, ale ma brzmienie dwu-zgłoskowe Thurun. Oczywiście pochodzenia jest słowiańskiego i nic nie ma wspólnego z późniejszemi wywodami ⁴⁾, jakoby Thorn pochodził od Thor i bramę czyli twierdzę

1) Die Berufung des Deutschen Ordens gegen die Preussen. Berl. 1868 str. 5.

2) Zeitschr. für prouss. G. und Landeskunde, 1867 w październikowym zeszytzie str. 613.

3) Korzystamy ze sposobności żeby ten ciekawy akt na jaw wyprowadzić, w dodatku końcowym do naszego artykułu.

4) Dziwność jeszcze jessze wywody zob. u Wernicke'go. Geschichte Thorn's. 1842 T. I str. 15.

oznaczać miało. Następnie w akcie jest mowa o tém, że Krzyżacy dali w zamian miastu 60 włók ziemi w przyległym Schribernik, czyli *Srebrniku* i 70 włók „an unser *granzze*” oczywisty polonizm. Świadkowie są rajcy, jeden z Kolna, drugi z Kowala, inny znowu z Gubina. Wszystkie te nazwy czyż nie są jasnym a niezaprzeczonym dowodem, że jak Toruń tak osada toruńska wzniosły się na polskim gruncie, skoro całe otoczenie jest polskie i śladu pruskiego nie widać? Daremnie twierdzi Prowe, że obecnie w ziemi Chełmińskiej utrzymujące się nazwy polskie są z dawniejszych niemieckich przerobione, podczas długiego panowania Polski w Prusach królewskich czyli zachodnich. Świadczą przeciwko niemu takie nazwy jak Srebrnik, Kowal, Kolno, które wbrew twierdzeniu Prowego, raczej z polskich na niemieckie ochrzczone zostały. Że się tak rzecz istotnie miała t. j. że polskie nazwy przekształcano na niemieckie, przekonywa o tém jeden z aktów niewydanych, który w odpisie posiadam z początku XIV wieku, gdzie osada w dycezyi chełmińskiej Niedźwiedź, w ustach Niemców i Krzyżaków nazywała się Bärenwalde, w ustach ludu, który ją zamieszkiwał, nosiła miano Niedźwiedź „*quae vulgariter Mezuec nuncupatur*.” Któż więc był pierwszym na owej ziemi, co ją uprawił, zaludnił, ożywił, co poprowadził drogi i bory wykarczował. Niemiecka czy polska ludność?

Niéma więc Prowe żadnej zasady, kiedy z emfazą woła ¹⁾: któż jest coby wątpił, że Prusy niemiecką zwał się powinny ziemią, jako kraj zdobyty przez niemiecki oręż i przez Niemców w pocie czoła uprawiony. Do jakiegokolwiek części posiadanej przez Zakon krzyżacki zastosowaniem to być może, wątpieniu nie ulega, że przynajmniej nie do ziemi Chełmińskiej, która rodzinnym była zakątkiem Kopernika.

Chełmińska ziemia przesiąknięta była na wskrós żywiołem polskim w chwili, kiedy się w nią osiedlili Krzyżacy, biorąc ją jako podstawę, co do wstępnego z Prusakami służyć miała boju.

Prawda jednak wymaga przyznać, że ziemia ta pod panowaniem Krzyżaków swą postać pod pewnym względem zmieniła. Napłynął żywioł obcy, fala niemiecka; nie dotyla jednak silna i rozległa, by istotnie zalała i wymyła dawniejszy żywioł. Bynajmniej. Ludność niemiecka się rozkrzewiła przywoływana przez Krzyżaków z różnych części świata, zachęcana przywilejami. Ludność ta garnęła się głównie do miast, albo nowe miejskie wznosiła dla siebie osady. Oddawała się rękodzielnemu, zajmowała się przemysłem i handlem. Już w bardzo przedkim czasie (1233 r.) Chełmno i Toruń miały sobie nadane prawo miejskie (chełmińskie), które liczne mieszkańcom zapewniało swobody. W miarę czasu i utrwalającego się pod tarczą Krzyżaków porządku, oraz spokoju, wzrastały te miasta w siłę i bogactwo. Stan ich kwitnący wabił coraz nowych przybyszów. Handel się ożywił na morzu Bałtyckim pod flagą miast hanzeatyckich, do których związku przystąpiły także

¹⁾ De N. Cop. patria str. 9.

i nadwiślańskie miasta Toruń, Chełmno i Gdańsk. W końcu XIV stulecia dosięgły miasta te najwyższego szczybla potęgi i bogactwa. Nie tak licznie wszakże osiadał osadnik niemiecki na wsi, nie garnął się tak skwapliwie do ciężkiej pracy plugu.

W ziemi Chełmińskiej dawny żywioł polski—to jest lud wiejski, o ile w walkach z Prusami nie wyginał, pozostał na swój ziemi. Voigt mówi o nadaniu biskupa chełmińskiego z roku 1255 ¹⁾, gdzie sołtys—scultetus nazwany jest starostą, bo go tak oczywiście polska to jest miejscowa ludność nazywała. Więcej jeszcze przekonywające w tym względzie świadectwo podaje nam przez hrabiego Sierakowskiego odkryty pomnik prawa polskiego w niemieckiej redakcyi, prawa obowiązującego w ziemiach podległych zakonowi. Pomnik ten odnosi się prawdopodobnie do początku XIV wieku ²⁾. Zachowały się w nim bardzo wyraźne ślady, dowodzące, iż nie tylko zwyczaje polskie w sferze prawnej istniały w ziemi Chełmińskiej, ale i mowa polska ludności tej, która się tym prawem rządziła. *Der idilste in dem Dorfe* głosi jeden paragraf, d. h. *der starosta oder vlodir*. Ludność przeto miejscowa wiejska sołtysa swego starostą albo włodarzem nazywała. Te pojedyncze świadectwa o przechowaniu się ludu polskiego w ziemi Chełmińskiej pod panowaniem krzyżackim większej mocy przekonywującej nabierają, jeśli się analogią w tym razie posilkować zechcemy. Trzeba wnikać głębiej w podobne a dokładniej nam znane stosunki zaborcze i etnograficzne. Między Elbą a Odrą ziemia Obotrytów i Weletów po długich i krwawych bojach dostała się pod panowanie Niemców w XII wieku. Niemczenie czyniło tam gwałtowne postępy. Miecz rycerzy niemieckich tępił ludność bez miłosierdzia. A jednak mimo te spustoszenia aż do wojny trzydziestoletniej, Słowianie jeszcze całe wsie zajmowali w Meklenburgii. Wśród długiej trzydziestoletniej zawieruchy, która nad niemieckimi panowała krajami, dużo wyginęło ludności, z tym wszystkim jeszcze nawet pod koniec przeszłego wieku tu i owdzie żyjące Słowiańszczyzny istniały ślady. Podobny przykład przedstawia nam ziemia, na której swe panowanie ugruntował zakon liwońskich krzyżaków. Miasta zaludniły się Niemcami, w całym kraju zbudowane zostały zamki; w których feudalni zakonnicy—rycerze nad okolicznym panowali ludem. Ale ten lud pozostał po dziś dzień, lubo nie w dawniej sile, z tym wszystkim w takiej liczbie, że całej ziemi swój właściwy nadaje charakter. Lotysze, Estoni czyli Czuchny, jak dawniej tak i obecnie ziemię swych praojców uprawiają. Ani zbyt chętnie ani tak licznie nie przenosił się ze swych rodzinnych krajów niemiecki osadnik, skoro wszędzie jednakże czekał go los: ciężkie jarzmo feudalnych panów. Jakież miał widoki porzucić glebę swoją i zamienić ją na pracę również niepewną, z której owoce w każdej chwili stać się mogły łupem jeśli nie obcych najezdników, to okolicznych rycerzy, grabieżników.

¹⁾ T. III 452.

²⁾ Wydany przez Helcla w T. II Star. pr. pol. pommikach.

W miastach panowała większa swoboda i pewniejsze były środki ku jój obronie. Ztąd téż ludność wędrowna tłumniej osiadała w miastach. Ale z tém wszystkim jednak nie miała powodu ustępować ta część mieszkańców z miasta, która już poprzednio w niem się rozsiadła. Szczecin np. miasto, co ściągnęło do siebie tłumy osadników Niemców i do najpierwszych hanzeatyckich miast należało, miało jeszcze w XIV i XV wieku znaczną ludność słowiańską. Były oddzielne ulice, zamieszkane wyłącznie przez Słowian. To samo miało miejsce z Toruniem. Nie przeczymy, że Toruń rządził się od czasu wzniesienia nowego miasta prawem niemieckim, że posiadał znaczną część ludności niemieckiej, że po niemiecku odbywały się sądy, że urzędy miejskie piastowali członkowie rodów niemieckich, że pierwotnie ludność polska podrzędne zajmowała miejsce; ale tém nie mniej nie zamienił się na wyłączną niemiecką osadę. Ziemia Chełmińska była ziemią polską, żywioł polski otaczał miasto, w mieście zachował się dawny pierwiastek, który się zwiększał i wzrastał w miarę, jak się ożywiały stosunki z ościennem Mazowszem i Kujawami. Toruń był miastem pogranicznym, handlowym. Miał ustawiczne stosunki z najbliższymi polskimi miastami Solcem, Nieszawą, Włocławkiem i Płockiem. W archiwum gdańskim przeglądaliśmy nieprzeliczone akta piśmienne umów handlowych zawieranych między Gdańskiem a miastami mazowieckimi. Oileż więc ożywione być musiały stosunki tych samych miast mazowieckich z bliżej położonym Toruniem. Napływała więc i ludność polska do Torunia. Pod koniec XIV wieku jakiś Szymon Szotdorf przeniósł się z Warszawy do Torunia ¹⁾. Napływ się ten powiększył od połowy XV wieku od owego pokoju, kiedy ziemia Chełmińska i dawne nad Wisłą kraje wróciły do korony polskiej. Częste w kronice Zernecke'ego spotykają się wzmianki o kaznodziejach polskich XVI wieku w luterzańskich kościołach w Toruniu, o Polakach nauczycielach szkół, o obywatelach miejskich Polakach i t. d. Z Krakowem jako miastem należącym także do związku miast hanzeatyckich utrzymywał Toruń stosunki bardzo ożywione w XIV i XV wieku. Owóz w liczbie tych, co się z Mazowsza, Wielko i Małopolski przynosili do Torunia jest i Mikołaj Kopernik, ojciec astronoma, przybyły z Krakowa.

Ostatecznie więc i ten drugorzędny dowód, na pomoc przez Niemców powoływany, jakoby ziemia Chełmińska nie była polską ziemią a Toruń wyłącznie niemieckim miastem mocy przekonywającej nie posiada, bo Toruń wyrósł z korzenia polskiego na łonie polskiej ziemi a samo miasto polskiego nie było pozbawione żywiołu tak przed przyjęciem na świat Kopernika jak po jego zgonie w następnych wiekach.

¹⁾ Thornische chronicke v. Zernecke 1711 str. 31.

II.

Drugie twierdzenie, z którego Niemcy wnoszą pośrednio o niemieckim pochodzeniu Kopernika, opiera się istotnie tylko na bezzasadnym przypuszczeniu, które pod piórem niemieckich quasi-historyków przybiera formę twierdzenia stanowczego, apodyktycznego. Prowe tak powiada ¹⁾: „Powszechnie jest wiadomém, że w miastach polskich prawie wyłącznie przez Niemców zamieszkałych, prawo niemieckie było w ciągu wieków średnich ogólnie panującym. Mniej jednak znaniem jest to, że w dawniejszych aktach obok łacińskiego języka, tylko niemiecki był używany.“

Więc wniosek zdaniem Prowego, bardzo prosty. Skoro tylko Niemcy mieszkali w polskich miastach, przeto i rodzina Koperników musi być czysto niemiecka.

Bezzasadność powyższego twierdzenia jest jawną dla każdego, co bliżej z naszymi wewnętrznymi dziejami się obeznał. Prowe od czasu swych pierwszych prób na polu polskiej historii (1853) uczynił istotnie już pewne postępy i pozbył się poniekąd błędnych zapatrywań, z którychby się otrząsł niewątpliwie zupełnie, gdyby nieszczęśliwie trudu około dalszej nad sobą w tym kierunku pracy. Przed kilku miesiącami w odpowiedzi na pracę p. R. w tym samym co wyżej przedmiocie, już nieco zmieniony a więc do prawdy zbliżający się spotykamy pogląd.

Oto najświeższe Prowego zapatrywanie na ludność niemiecką w miastach polskich ²⁾:

„Mieszkańcy Krakowa w owym czasie (XV stulecie), o ile należeli do stanu kupieckiego lub wyższych rzemieślników, byli to prawie wyłącznie Niemcy. Niższa zaś miejska ludność przeważnie do polskiego należała żywiołu. Mikołaj Kopernik (ojciec) należał do znamienitszych rodzin kupieckich, które z niemieckiego pochodziły narodu“.

Spostrzegamy już zatem pewne ze strony Prowego ustępstwo co do ludności zamieszkującej dawne nasze miasta. Według zdania wcześniej wygłoszonego, Niemcy wyłącznie stanowili stan miejski u nas, według zdania późniejszego tylko do połowy, stanowiąc stan wyższy mieszczkański, do niższych zaś warstw polski miejscowy należał żywioł.

Mamy nadzieję, że i to zdanie nie będzie ostatecznym w tym przedmiocie zdaniem Prowego. Owszem spodziewać się należy, że powoli doczekamy się i dalszych ustępstw oraz usunięcia z tego pola tych nieco śmiałych zdań świadczących nie zawsze pochylnie o przygotowaniu naukowym autora.

¹⁾ Zur Biographie von N. Copernicus Thorn 183 str. 337.

²⁾ Sybel's Historische Zeitschrift 1872 IV Heft 367—372.

Prawo niemieckie i kolonizacya niemiecka, nie są to bynajmniej jednoznaczne wyrazy. Kolonia niemiecka prowadziła za sobą w następstwie prawo niemieckie, ale tak samo rzecz bynajmniej nie miała się w odwrotnym stosunku. Nieprzeliczone bowiem wsie polskie otrzymywały nadania prawa niemieckiego, tam gdzie nigdzie nie powstała stopa niemiecka. Toż samo udzielano także prawo, wyłączające je z pod prawa pospolitego-polskiego, miastom, które wyłącznie przez ludność polską były zaludnione. Zresztą wiadomo, że wszystkie nasze miasta aż do ostatnich czasów Rzeczypospolitej rządziły się niemieckiem prawem czyli po prostu swoim właściwem t. j. miejskiem. Któżby tak rażącego chciał się dopuszczać błędu, iżby twierdził na tej podstawie, że ponieważ obowiązywało prawo niemieckie, więc ludność w polskich miastach była niemiecka. Jeszcze to nie tak dawne czasy. Nie o wiele się zmieniły te miasta. Gdzież w nich jest ta ludność niemiecka?

W XIII i XIV jako też i w następnych wiekach napływała wistocie do miast polskich ludność niemiecka, osiadali także osadnicy na wsiach. W miastach szczególniej gromadził się ten żywioł i w nich najprzyjaźniejsze dla swego rozwoju znajdował warunki. Zlewanie się z żywiołem miejscowym odbywało się tylko o tyle, o ile do tego zniewalały ustawiczne stosunki w życiu codziennem. W mniejszych miastach, gdzie przeważał stanowczo element miejscowy, prędko zacierała swoje cechy narodowe napływowa ludność. W większych zaś miastach, gdzie się tłumniej gromadzili Niemcy, dłużej mogli przechowywać swoją wyłączność i odrębność narodową, język swój i obyczaje. W ogóle wszyscy przybysze osadnicy znajdowali w polskich miastach przyjazne warunki podtrzymywania swojej wyłączności narodowej. Przytulek dla tej odrębności dawała mianowicie sfera stosunków prawnych i cudzoziemski kształt rządów polityczno-miejskich.

Zastanawia to nie mało, jakim sposobem prawo niemieckie czyli miejskie, tak łatwy u nas wstęp znalazło?

W XIII i XIV wieku, kiedy pojęcie narodowości nie było doprowadzone jak dziś do tego drażliwego kształtu, o ile chętnie przyjmowano ludność niemiecką, o tyle obojętnie też patrzano na wprowadzenie obcego prawa. Jak niegdyś prawo rzymskie szczytło swoje podboje między ludami germańskimi, tak przechodziło prawo niemieckie do Polski. Brano z prawa rzymskiego gotowe już kształty, brano je w podobny sposób w Polsce z wyrobionego już prawa niemieckiego. Przyносиło ono z sobą dojrzałe pojęcia i formy określone dla stosunków, które się zawiązywać dopiero co zaczynały. Tej okoliczności między innymi przypisywać należy rozkrzewienie się obcych zasad i zwyczajów prawnych w Polsce. Wraz z prawem rzymskiem, np. u Longobardów zaczął się wciskać język łaciński, język samego prawa; więc w nim spisywano akta według już utartych form z zastosowaniem się do przepisów tegoż prawa: podobnież i u nas wcisnął się do życia miejskiego prawnego język niemiecki. Źródło prawa było niemieckie, więc też i formy ztąd powstałe w tym języku wyrażano. Jak język prawa rzymskiego wzbudzał w lu-

dach germańskich pewien szacunek, poważanie, tak też podobnego poważania używał i język niemiecki w pierwotnych czasach naszego życia miejskiego.

W mieście przeważnie polskiem urząd wójta czyli sędziego stawał się nie rzadko dziedzicznym, a urząd ten często niemiecka piastowała rodzina. Na urząd ławników wybierała ludność polska Niemców lub z niemieckim językiem obeznanych, którzy łatwiej w pisanem prawie niemieckiem posiadali już biegłość, lub jej łatwiej nabrać mogli. Ztąd też poszło to uprzywilejowane niemców stanowisko w miastach polskich. Magdeburg lub Hala, które słynęły ze swych przysiężników, biegłych w prawie miejskiem, długi czas uważane były jako najwyższy w sporach prawnych trybunał nawet i wtedy, kiedy już podobny sąd z prawników deputatów ustanowiony był w Krakowie.

Ztąd też poszło, że w ciągu trzech niemal wieków, język niemiecki obok łacińskiego istotnie był niejako urzędowym językiem w sferze prawnych stosunków i życia miast polskich. Ale i w tym względzie znaczne zaszły zmiany i ograniczenia. Dochowały się w rzeczy samej akta wójtowskie pisane po niemiecku, Krakowa, w części Olkusza może i innych. Posiadamy w rękopisie kilka zeszytów akt wójtowskich Olkusza w XV wieku, wszystkie są wyłącznie po łacinie pisane z wyjątkiem tylko kilku kartek z roku 1450, gdzie obok łacińskiego użyty jest także niemiecki. Część Olkusza miała swoje oddzielne prawo górnicze (jus montanum) a Niemców górników jako w sztuce wydobywania i spławiania kruszców biegłych, było zapewne dość wielu, lubo w tychże aktach i polskich nazwisk spotykamy nie mało, świadczących, iż Niemcy bynajmniej nie stanowili wyłącznie wyższej w miastach naszych warstwy. Tak np. w roku 1450 w sądzie górniczego miasta (bo drugie miasto było na zwykłym prawie niemieckiem) zasiadało siedmiu ławników: Maciej Radoska, Lorenz Christwald, Jakób Marschal, Klos von Heger, Hanse Swarz i Piotr Stanisław, z których pierwszy i ostatni czysto polskiego pochodzenia być się zdają.

Z tém wszystkim język niemiecki nie był tyle powszechny jak się niemieckim podoba sądzić historykom. W pewnych miastach, gdzie silniej był obcy żywioł reprezentowany, tam się obca mowa w aktach urzędowych dłużej przechowywała. Rozumiano dobrze w późniejszych czasach, ile niewłaściwym jest w sądach obcy język dla pospolitego człowieka niezrozumiały. Ztąd pięknie powiada: „Porządek sądów i spraw miejskich:“ Przetoby przystało wyrozumnyim wszem językiem to sprawować, jako u Niemców po niemiecku, tak u Polaków po polsku, dla pospolitego człowieka a nie wstydzic się swego języka i owszem go ozdabiać im najwięcej być może.

Miasto wydawać sądy stanowcze o rzeczach nieznanach, nie również właściwiej byłoby ze strony niemieckich historyków, by się dokładniej z przedmiotem obeznali. Przeglądaliśmy akta wójtowskie, gdzie-niegdzie i radzieckie z XV wieku: Olkusza, Opatowa, Piotrkowa, Sieradza, Nieszawy, Włocławka, Kowala i w ogóle tych, co z XV wieku do

naszych doszły czasów. W niektórych jak np. w Olkuskich aktach przechowały się listy imienne mieszczan płacących podatki miejskie, albo korzystających z pewnych przywilejów; w innych znowu zawsze określony jest stan i zajęcie osób w sądzie występujących. Spotykamy w istocie tu i owdzie niemieckie nazwiska, ale mamy też całe szeregi polskich mieszczan w aktach z miast powyższych z XV wieku. Nie tylko niższe tam spotykają się warstwy, ale sami przysiężnicy z miejscowej ludności pochodzą; są kupcy i rzemieślnicy polskiego pochodzenia. Mamy u siebie własnoręczne notatki kupca krakowskiego z drugiej połowy XV wieku, Jakóba Płatnerza, który po łacinie i po polsku swe rachunki prowadzi. Utrzymuje ten (niewątpliwie) polski kupiec stosunki rozległe nie tylko z okolicznymi miastami polskimi, ale ma także stosunki z zagranicznymi np. z Pesztem. Przymiotne summy towarów przezeń wysyłanych, zaciągnięte do powyższej książki rachunkowej, świadczą że należał do znakomitszych kupców krakowskich. Jeśli więc ludność nawet wyższych warst w miastach naszych do miejscowego należała żywiołu, to wniosek śmiały niemieckich historyków traci już po części swą podstawę. Skoro byli w Krakowie i innych miastach kupcy polscy, dość wskazać ich nazwisko, by o narodowości ich sąd wydać. Jan Slepkočil (którego notatki były przez nas umieszczone w Bibliotece Warszawskiej 1872 r. m. czer.) był niemieckiego pochodzenia. Ale Mikołaj Kopernik (ojciec) zapewnie jak świadczy nazwisko, był Polakiem. Dawniej stanowczo twierdził p. Prowe: że nazwisko Kopernik jest według swego brzmienia, pierwiastkiem czysto niemieckim. Przed nie bardzo dawnym czasem (1872 paźdz.), tenże autor (367—372) znowu odwołuje swoje poprzednie twierdzenie, oświadczając już, że nazwisko wprawdzie słowiańskiego zdaje się być pochodzenia, kształt jego jednak widoczne nosi ślady zniemczenia. Spodziewać się należy, że z czasem Niemcy i przytém mniemaniu obstawać nie będą i świadectwo prawdziwe oraz słuszności dać nie omieszkają.

D O D A T E K.

Dołączamy tu akt umowy między radą i miastem Toruniem a zakonem krzyżackim, z r. 1262. Ten najdawniejszy pomnik z przeszłości miasta Torunia przechowuje tutejsze archiwum główne pod Nr. 740.

I 2 6 2.

De ratlute unde alle die burgere von *thurun*, allen die disen brif ane sehn ir truwe dienest zo allen citen. Wir thun allen den kundich die nu lebint unde nach uns lebinde sint, daz wir uns mit unsen herren

den bruderen von deme diudiscen huse also vir ebint haben umme den zins von der mulen under der burch ze thurun siben mark, unde umme die viheweide ze alten *thurun*, unde umme die wachte und umme hundred huve, da wider haben uns die selben brudere unse herren gegeben ze *schribernic* seszik huve, unde an *unser granizze* sibenzik huve ze so getanem rechte als ander unse gut daz zu der stat gehoret. Wir ratlute unde burgere von thurun haben mit guten willen daz wazzer die bostolz und die *ulize*, die dar zo vlizint gegeben unde ge lazen den bruderen unsen herren daz si daran buwen mugen eine mulen unde wir decheme. Doch sula wir burgere ungehindert sin ob wir anders unsis nuzzis unde unsis gemachis dar, an icht mugen ge schaffen, also bescheidenliche daz iz uns an ander unsime rechte nicht in schade daz wir an unsir hantveste haben, das wir nicht verzigen habin. Daz aber diz stete belibe wnde ewich so habe wir bi sigelet disen brif mit unsime ingesigele. Des sint ge zuge. Her herman die scultheize. H. iohau pado. H. heinrich von gnben, h. tiderich colne, h. arnolt von legeniz, h. heinzo vome goitberch, h. siurith werkman, h. lemniekin, h. albrecht vome conal die burgere von thurun die do ratlute waren dise hantveste ist gegeben thusint zuei hundred unde zuei und seszik iar nach gotis geburte in deme merze dri tage nach sente gregorien tach, ze thurun in der burch

Format tego dyplomaty kwadratowy, pergamin dobrze zachowany. Pismo bardzo staranne. Na zielonym jedwabnym sznurku wisi pieczęć woskowa trzy cale średnicy mająca. Na niej wycisk przedstawiający herb miasta Torunia. Między dwiema wieżami siedzi na tronie ukoronowana Najświętsza Panna Marya i trzyma Dziecię na ręku. W otoku, po części odkruszonym napis: *Sigillum (civitatis To) run.*

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Scriptores rerum polonicarum. Dyaryusze sejmowe r. 1548, 1553 i 1570. Wydawnictwo komisyyi historycznej Towarzystwa nauk. Krak. Tom I (Kraków 1872).

Komisyya historyczna zawiązana w 1870 roku przy oddziale nauk moralnych b. Towarzystwa naukowego krakowskiego, w celu zbierania i wydawania materyałów odnoszących się do dziejów polskich, rozpoczęła obecnie cały szereg publikacyj zgromadzonych dotąd materyałów. Pierwszy tom który mamy pod ręką obejmuje dyaryusze sejmowe z lat 1548, 1553 i 1570. Ważność podobnych publikacyj dla nauki dziejów dawno jest uznana, mimo to jednak w historii naszej znajdują się całe epoki, nie mówiąc już o pojedynczych faktach lub osobach, które dla braku źródeł nie są jeszcze dokładnie ani poznane, ani zbadane; z prawdziwem zatem uznaniem witamy każdą pracę w tym zakresie podjętą.

Wymienione powyżej dyaryusze opracowane były i przygotowane do druku przez profesora J. Szujskiego, dyrektora wydawnictwa a znanego już zaszczytnie ze swych prac historycznych. I tutaj także wydawca nie poskąpił pracy i trudu, opracowanie bowiem owych materyałów nie do życzenia nie zostawia, i może być wzorem innych tego rodzaju wydawnictw. Po tekście każdego z dyaryuszów porównywanym najskrupulatniej z pierwój już znanymi wyjątkami ich, znajdują się przypisy i dodatki wyjaśniające różne ustępy tekstu, również téż nieznanne dotąd akta, listy i inne dokumenta odnoszące się do tegoż przedmiotu, tak że z zebranych tu źródeł najzupełniejsza złożyć się może historia tych trzech sejmów. Te zaś materyaty zamieszczone w dodatkach pochodzą z Archiwum tajnego w Wiedniu, ze zbiorów Kórnickich hr. Działyńskiego, z bibl. Jagiellońskiej w Krakowie, hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego we Lwowie, i wreszcie z Metryk koronnych (dostarczone przez Dra. Zakrzewskiego). Tu szczególniej zwracamy uwagę na następujące wielkiej wartości materyaty, jako to: Artykuły piotrkowskie podane J. K. M. w 1550 r. od wszego stanu ryckiego (str. 38—48). Materyaty do historii kościoła i religii

w Polsce od 1548 do 1555 (91—110), stosunki dworu polskiego z Ferdynandem i Karolem V (284—288). Recess królewski wydany po sejmie 1648 roku ze współczesnymi uwagami politycznymi (258—274). Negocjacje dyplomatyczne w sprawie poselstwa moskiewskiego do cesarza i papieża 1553 roku (63—77), i wreszcie nader ważne wypisy z „*Polonica*“ z C. K. Archiwum w Wiedniu (134—144). Oprócz tego w pomienionych dodatkach znajdujemy mnóstwo luźnych notatek, po większej części ze źródeł rękopiśmiennych zebranych, przytém nieznanne dotąd szczegóły o współczesnych znakomitościach takich jak: Hieronim Ossoliński, Mikołaj Sienicki i Stanisław Szafraniec, którzy ważną odegrali rolę w dziejach parlamentaryzmu polskiego, i nazwani być mogą koryfeuszami sejmowemi z czasów Zygmunta Augusta.

Taką jest treść całej publikacji, jak widzimy nader bogata i bardzo starannie złożona; przypatrzmy się teraz bliżej, jakiej wartości naukowej są podane w tym pierwszym tomie materiały historyczne.

Dzieje Polski za panowania ostatnich dwóch Jagiellonów, w szczególności zaś okres 1548—1572 niezmiernego są znaczenia, z tego mianowicie względu, iż była to epoka, w której Polska zmieniwszy powoli wszystkie warunki swoich społecznych i państwowych urządzeń, wyniosła do szczytu potęgę ideę swobody szlacheckiej, wydarłszy władzy monarszej wszystkie niemal jej atrybucye. To zaś dokonaniem zostało na drodze burzliwej nieraz i gwałtownej walki parlamentarnej. Historia tedy sejmowania w ciągu panowań obu Zygmunatów wysledzona na podstawie źródeł, wielkie rzuciłaby światło na ową walkę dwóch zasad, dwóch wręcz przeciwnych sobie kierunków, na wzajemne stanowisko stronniectw i obozów, na indywidualne wreszcie dążności i dumne zachcianki, takich Kmitów, Zborowskich, Górków i t. d. Epoka to w której indywidualizm najważniejszą z całych dziejów naszych odgrywa rolę, a odkrywa się właśnie wśród obrad sejmowych, w tych zuchwałych, nieraz i groźnych, choć znakomicie pięknych mowach dygnitarzy państwa lub posłów, nigdy zaś z oka nie spuściwszy zamierzonego celu, z godną podziwu wytrwałością ku niemu zmierza i z tryumfem wreszcie doń dochodzi. Reforma religijna wywołująca w innych krajach krwawe walki i boje, wnika także do Polski; lecz tutaj nie znajduje sprzyjających warunków dla trwałego wkorzenia się i służy tylko jako środek do wywalczenia swobody sumienia, uzupełniającej wszystkie inne pierwój już pozyskane.

Wewnętrzne zatem dzieje Polski owej epoki stanowią przedmiot wielce ciekawy a pouczający, a który dotąd dla zupełnego braku źródeł opracowanym nie był przez żadnego z naszych historyków; teraz dopiero wydawane dyaryusze wprowadzając nas na sale obrad sejmowych, nowe rzucają światło na całą epokę i główne jej cechy. To bowiem co pozostawili nam współcześni historycy, nazwać się nawet nie może materiałem do dziejów parlamentaryzmu polskiego owej epoki, albowiem o sejmach za czasów Zygmunta Augusta zaledwie wzmianki tylko znajdujemy w rocznikach Orzechowskiego, w dziejach Górnic-

kiego i w kilku innych pisarzach. Ale jak powiadamy, małoznaczące tylko wzmianki, nie mogące bynajmniej wyczerpać przedmiotu. I zresztą przez większą połowę XVI wieku, dziwne widzimy w Polsce zaniedbanie dziejopisarstwa. Rok śmierci Zygmunta Augusta jest jakby wybitną linią demarkacyjną, oddzielającą historyków poprzedzających rok ten od późniejszych. O ile bowiem pisarze bezkrólewia i późniejsi w pismach swoich podali nam charakterystyczne cechy swęj epoki; jak to gdzieindziej już wykazaliśmy; o ile przedstawiali w dokładném świetle stanowisko stronictw, ich dążności, kierunek wreszcie politycznych pojęć narodu: o tyle znów poprzednicy ich piszący w okresie 1506—1570, bardzo małoznaczące zostawili nam podania, szczególniej co się tyczy spraw wewnętrznych Rzeczypospolitej. Już Górnicki użala się iż nikt nie spisał dziejów Zygmunta I ¹⁾, a co jeszcze bardziej jest zadziwiającém, to, że od wydania kroniki Miechowity, aż do wydania kroniki Gwagnina (1521—1570), ani jedno dzieło historyczne drukowaném w Polsce nie było. Polemiki religijne które wszechwładnie zapanowały w piśmiennictwie naszym XVI wieku, zużywały siły wielu zdolnych pisarzy, a aczkolwiek inne gałęzie literatury świetnie się rozwijały, historia przecież odłogowała. Wyjąwszy Miechowitę który dociągnął swe dzieje tylko do 1506 r., wyjąwszy takich pisarzy jak Decjusz, Wapowski, chociażby nawet Orzechowski i Górnicki, którzy pobieżnie kreślili niektóre ustępy dziejów współczesnych, od czasu Długosza aż po rok 1572, to jest do czasu zjawienia się genialnych historyków takich jak Heidenstein i Orzelski, lub nawet Solikowski i inni, zupełnie jałową była niwa historyczna w Polsce, bo kronikarzy lub kompilatorów stawić nie możemy na równi z historykami wyczerpującymi swój przedmiot, nie tylko co do faktów zachodzących, lecz w zakresie krytycznego rozpatrzenia tychże faktów i kierunku pojęć politycznych i społecznych narodu. Ztąd więc dotkliwy brak czuć się daje, chcąc bliżej rozpatrzyć dzieje parlamentaryzmu polskiego owęj epoki.

Szczęśliwym jednakże zbiegiem okoliczności zachowały się bardzo ważne surowe materiały historyczne z owych czasów. Są to wszelkiego rodzaju dokumenta, dyplomy, dzienniki, korespondencye znakomitych mężów i t. d., a nad których wydawaniem w ostatnich czasach nader pilnie się krzątają. Nie mówiąc już o wielu innych publikacjach, dość tylko wspomnieć *akta Tomiciana*, mające objąć epokę od 1506 do 1548 roku, wydawane przez hr. T. Działyńskiego. Publikacja to niezmiernie wysokiej wartości; dotąd wyszło tylko 8 tomów (1506—1527), zawierają one nieocenione materiały zebrane

¹⁾ . . . którego żywot iż wypisany dostatecznie nie jest, od tych którzy od niego dobrodziejstwa odnieśli, jest czego zaprawdę żalować. (*Ed. Mostows. str. 282*).

przez Stanisława Górskiego, kanonika krakowskiego i sekretarza biskupa Tomickiego, a które będąc niegdyś własnością biskupa Karnkowskiego, potem rozproszone były po różnych bibliotekach. Olbrzymie to wydawnictwo którego dalszego ciągu z upragnieniem oczekujemy, stanowi najważniejszy materiał do dziejów Zygmunta Starego. Inne znów publikacje także w ostatnich czasach wydane wyświecają rządy Zygmunta Augusta: tu szczególnie bogatą już mamy kolekcję dzienników sejmowych, dyaryusze bowiem z lat 1554/5, 1558/9, 1562/3, 1563/4, 1565 i 1569, są już wydane staraniem hr. Działyńskiego, hr. Wł. Krasieńskiego i ks. Lubomirskich, do czego przybył drugi jeszcze dyaryusz Unii wydania Kojałowicza. Obecna zaś publikacja Towarzystwa naukowego krakowskiego, wypełnia ten szereg jednym obszerniejszym dyaryuszem z r. 1548 i dwoma uboższymi co do treści i wyczerpania przedmiotu z lat 1553 i 1570. „Pozostałyby tedy — powiada wydawca w przedmowie — do odszukania i wydania dzienniki sejmów 1550, 1552, 1555/6, 1564, 1566, 1567, 1572, aby zyskać zupełny obraz sejmowania, w czasach gdzie ono tykało fundamentów społeczeństwa i państwa, zapowiadało przetworzenie Rzeczypospolitej a kończyło nakształt rwiącej rzeki gwałtowném ujściem w zgromadzenia elekcyjne po śmierci ostatniego Jagiellona, z których wyszło w zmienionej znacznie postaci z duchem niesforności i bezładu.“

Przy wydaniu owych trzech dyaryuszów dla przyczyn niezależnych od wydawcy, nie zachowano porządku chronologicznego: najprzód podany jest dyaryusz z 1553 r., następnie z 1570, a nakoniec dopiero z 1548. Ten ostatni jednak jest najważniejszym. Zestawiony zaś został ze społecznego rękopismu będącego własnością p. Łaskiego w Warszawie, kopii XVII wieku przechowanej w bibliotece kórnickiej hr. Działyńskiego, oraz wyjątków drukowanych w Pamiętniku Sandomirskim i Zbiorze pamiętników o dawniej Polsce Niemcewicza.

Sejm 1548 roku, pierwszy po objęciu rządów przez Zygmunta Augusta, z tego względu wielkiego jest znaczenia w dziejach ówczesnych, iż na sejmie tym groźna toczyła się walka między królem a szlachtą, walka, która jednak zakończyła się zupełnym tryumfem króla. Już w pierwszej witańczej króla przemowie Sierakowskiego, obranego marszałkiem izby poselskiej, widzimy zapowiedź zachwytów domagań się szlachty na dalszych posiedzeniach. Zygmunt August, ze zwykłą swego charakteru przezornością, usiłował usunąć widoczną burzę, podając stanom propozycję sejmową o obronie Rzeczypospolitej. Na nic się jednak nie zdał ten zręczny wybieg. Żywiły opozycyjne na sejmikach jeszcze przedsejmowych przygotowywały się do walki, a intrzygi Bony ważną tu odgrywały rolę. Naczelnikami opozycji byli przedstawiciele dwóch potężnych wówczas domów: generał starosta wielkopolski Andrzej Górka i Piotr Kmita wojewoda krakowski, obaj dumni, chciwi władzy, znaczenia i popularności, najdoskonalsze typy ówczesnych magnatów polskich, narzucających prawa królom, albo raczej wydzierających im je, a któ-

rych w sto lat później Chmielnicki najdokładniej określił „królikami“ mianując. Przedstawicielami zaś izby poselskiej byli: Piotr Boratyński, Lupa Podlodowski i Jan Sierakowski, najzuchwalsi mówcy opozycji, kreatury Kmity i jego narzędzia.

Żądano tedy od króla, aby zerwał małżeństwo swe z Barbarą, które drażniło właśnie owych magnatów, obawiających się przewagi i tak już potężnego domu Radziwiłłów; dalej domagano się przedewszystkiem *egzekucyi praw* — „słowo, powiada wydawca — zrazu określające mnóstwo chaotycznych żądań poprawy istniejącego złego stanu, wywołujące następnie systemizowanie ich w pewien ład logiczny, w końcu pokrywające jako popularny napis, dążenia nowatorskie na polu politycznym i religijnym“. To wołanie o *egzekucye*, powtarzało się ciągle na wszystkich sejmach od 1535 roku, chciano przejrzeć i rozpatrzyć wszystkie przywileje królów, a te które były przeciwne prawu powszechnemu, skasować. Na kilku też sejmach spisywano artykuły egzekucyjne, król jednakże tak umiejętnie poprowadził sprawę *egzekucyi*, iż nie długo potem (w 1550 roku), niechęć dopuścić izby opozycya ją podnosiła, sam ją zapowiada w instrukcyjach sejmikowych; panowie jednak, w obawie utracenia dóbr nieprawnie posiadanych, odłożyli na czas dalszy jej wykonania.

Sprawa jednak o małżeństwo króla, najwięcej wrzawy narobiła na sejmie Piotrkowskim, a mówcy nasuwali nawet myśl o bezkrólewiu w razie odmownej odpowiedzi króla. Do znanych już nam przewodców opozycji dołączył się w tej sprawie prymas Dzierżgowski, naglący także króla, aby porzucił Barbarę. Nic jednak nie pomogły wszystkie groźby, które w oczy rzucano królowi: Zygmunt August był niewzruszony i stałością swą zwycięstwo odniósł, a obok tronu, jako główne filary jego stali Jan Tarnowski i Maciejowski, którzy mimo zawiści Kmity i innych, o wiele się przyczynili do utrzymania nie już małżeństwa króla, ale władzy jego, którą pod koniec sejmu zawiesić chciano. Gdy wreszcie król, aby położyć koniec tym sporom za poradą Tarnowskiego, obwołał sądy, Kmita złożył łaskę marszałkowską, a z nim wielka liczba senatorów i postów rozjechała się. Król z pozostałymi odprawował sądy, a w *Recesie* wydanym niedługo później, odwołując się do opinii narodu, wykazał cały przebieg sejmu i burzliwe knowania nieprzyjaciół spokoju publicznego (str. 258—274).

Takie to były sprawy na sejmie 1548 roku; buta i zuchwałość szlachecka doszły tu do najwyższego stopnia, ostateczny jednak rezultat walki rozstrzygnięty został na korzyść króla, którego stałość, silny smac wpływ wywarła, kiedy nawet owi koryfeusze opozycji uchylili czoła. Sam Kmita, najdumniejszy ze wszystkich współczesnych magnatów „opusciwszy stateczne wota swe, powiada nasz dyaryusz, począł królowi pochlebować, a u królowej Barbary, małżonki jego łaski szukać“, a Andrzej Górka „w majątnościach

pan na ten czas przedniejszy w Koronie, sposobem wszelakim łaski szukał i zabiegał z dary wielkimi“. Król téż czuł położenie swe wzmocnioném, gdy bowiem w 1550 roku, za radą Tarnowskiego nowy sejm zwoływał do Piotrkowa, w instrukcyach swoich nie wahał się powiedzieć, iż tylko w skutek łaskawości swojej takowy zwoływał po doświadczeniu 1548 roku. To jednak wzmocnienie przewagi władzy królewskiej, będące rezultatem pierwszego sejmu Piotrkowskiego, nie było trwałém, a choć kilka jeszcze sejmów odbywało się pod wpływem owéj przewagi, rychła jednak potem opozycja znów czoło podniosła, z wielkiém powodzeniem walcząc przeciwko królowi.

Drugie dwa dyaryusze, które pochodzą z C. K. tajnego archiwum w Wiedniu, mniej są wyczerpujące; sejmy téż 1553 roku i 1570 mniejsze już przedstawiają zajęcie.

Na pierwszym z nich (1553), mimo silnego oporu niektórych posłów, którzy wreszcie wyjechali, uchwalono przecieź żądany pobór; przytém nalegano na króla, aby unia Polski z Litwą i Prusami, oraz inne przyrzeczenia króla dopełnione były. W dyaryuszu tym znajdujemy piękne mowy Hieronima Ossolińskiego, Mikołaja Sienickiego i innych, a jakkolwiek dyaryusz ten dość jest lakoniczny, uzupełniony jest za to bardzo ważnemi przypiskami, między któremi znajdujemy akta sejmu Piotrkowskiego roku 1552.

Ostatni wreszcie dyaryusz z 1570 roku, nie zawiera także nic bardziej ważnego, sejm ten bowiem nie przedstawia żadnych donioslejszych faktów, fakcye tylko religijne znów głowę podnoszą. Stanowisko zaś króla znacznie już jest zmienioném od czasu pierwszego sejmu Piotrkowskiego, ustawicznie tylko myśli o następstwie tronu, niezajdując najmniejszej pomocy w stanach sejmowych, a gdy żądał „opatrzenia sukcesyi“ w razie przyjścia na świat potomstwa, postawie z szyderstwem i urąganiem uchylają tę kwestyę. „Potomka chwała Bogu w tym roku nie widzimy—powiadali—nic o nim nie słyszymy, zwłaszcza że królowa sto mil od króla: o tém mało albo nic nie trzeba mówić i przestrzegać; aby o tém najmniej nie mówiono“.

W przypisach do tego dyaryusza znajdują się niezmiernie ciekawe relacye poselskie opata Cyrusa (str. 134—144), oraz kilka listów Zygmunta Augusta do Jana Chodkiewicza z 1570 roku.

W ogóle i cała publikacya, o której pobeżne podaliśmy tutaj sprawozdanie, na najwyższe zasługuje uznanie; ogłoszenie tych trzech dyaryuszów dotąd nie znanych, wielkie rzuca światło na historię parlamentaryzmu polskiego w XVI wieku, i wielce pożadanémby było, aby komisyja historyczna dalej swe prace prowadziła tak, jak obiecuje w przedmowie. Tamże uprasza wszystkich miłujących dzieje

ojczyste o pomoc w jéj pracach, a w szczególności o dostarczanie zabytków rękopiśmiennych historycznych lub przynajmniej o wiadomość o podobnych zabytkach.

K. P.

Rad Jugoslavenske Akademije znanosti i umjetnosti. (Knjiga XVII—XX. U Zagrebu 1872. U Knjižarnici Fr. Župana na Prodaju).

W ostatnim lat dziesiątku piśmiennictwo chorwackie ogromny postęp uczyniło, szczególnież od czasu założenia akademii południowo-Słowiańskiej w Zagrzebiu (1866). Z pomiędzy dzieł, wydawanych przez tęż akademię, pierwsze miejsce zajmuje powyższa publikacja, zawierająca uczone rozprawy we wszystkich gałęziach nauk, głównie zaś w zakresie historyi, etnografii i filologii słowiańskich. Mając pod ręką ostatnie tomy „Rada“ (XVII—XX), podajemy tutaj pobieżne choć sprawozdanie; i zwracamy uwagę światłych czytelników na piśmiennictwo zupełnie u nas nieznanne, a z wielu względów godne bliższego poznania.

Dział historyczny jest najbogatszy, znajdujemy tu bowiem wyczerpujące rozprawy i studia historyczne S. Ljubića, Dra. Raczki, Masica i innych, dotyczące po większej części Słowian południowych. Tu najprzód zwraca naszą uwagę studjum p. Ljubića: O stosunkach między Dubrowczanami i Wenecyanami, podczas węgiersko-chorwackich rządów w Dubrowniku od 1358 do 1526 roku (XVII)¹⁾.

Dubrownik (Raguza), wcześniej już zasłynął w dziejach południowych Słowian, jako niezależna a potężna przez swe siły morskie i bogactwo Rzeczpospolita słowiańska. Już w IX wieku Konstanty Porfirogenita wspomina o statkach dubrownickich, przewożących z nacne siły do Apulii. Odtąd często znajdujemy w dziejach wspomnienia o Dubrowniku, nazywanym Atenami Słowiańskimi. Rywalka Wenecyi na morzu Adryatyckim, Rzeczpospolita Dubrownicka zasłynęła rychło bogactwem, handlem i piśmiennictwem, które rozwijała pod wpływem świetnej literatury italskiej. Handel Dubrowczan rozszerzał się po wszystkich morzach południowych, na półwyspie włoskim, po sąsiednich krajach słowiańskich i w dalszych nawet stronach, jak w Turcyi, z którą w cią-

¹⁾ Tenże sam autor wydał przed kilku laty: „Listine o odnošajich izmedju južnoga Slavensta i mletačke Republice“ Tomów dwa. W Zagrzebiu 1868 i 1870.

głych była stosunkach i w Afryce nawet, a statki dubrownickie ważną nieraz odgrywały rolę wśród ciągłych wojen miast włoskich. Bogactwo zaś miasta ściągało tłumy osiedleńców, po większej części Słowian. Epoka od 1358 do 1526 roku, jest jedną z najświetniejszych dla Rzeczypospolitej dubrownickiej i w tym czasie zostawała pod protektorem węgierskim aż do śmierci Ludwika II, który zginął w słynnej klęsce pod Mohaczem (1526). W tej więc epoce przedstawił autor stosunki Dubrowczan z Wenecją, a rozprawa ta jest dalszym ciągiem podobnychże studyów, drukowanych w poprzednich tomach „Prac Akademii“ a doprowadzonych do 1358 roku. Tutaj z wielką znajomością rzeczy, po większej części na podstawie źródeł archiwalnych, p. Ljubić w najdrobniejszych szczegółach przedstawia stosunki Dubrownika z tą królową miast włoskich, bogatą i wspaniałą stolicą dożów. Stosunki te dotyczyły po większej części kwestyj handlowych, czasem obie Rzeczypospolite wzajemnie pomoc sobie dawały, a wzajemne spory i nieporozumienia godziły zawsze: obawa Turcyi i zawsze groźne względem nich jej stanowisko. Wenecya z łatwością mogła być zająć Dubrownik, nigdy jednak nie pożądała tej zdobyczy, bo Rzeczpospolita Dubrownicka osłaniała ją zawsze od tureckich napaści i szczęśliwym zbiegiem okoliczności umiała pomyślnie się utrzymać na tém stanowisku.

Nie mniej ciekawe są uzone rozprawy D-ra Fr. Raczkii, prezesa akademii a pierwszego historyka chorwackiego. W pierwszej z nich (XVII), rozpatruje on kiedy i jak przeobraziła się u Chorwatów godność książęca w królewską. Na podstawie swych badań dowodzi on, iż mylném jest dotychczasowe przekonanie, iżby dopiero Drzysław (około 970 roku) pierwszy tytułował się królem chorwackim, kiedy na początku już X wieku Tomisław nazywanym był „rex Croatorum“ w dyplomatycznych pismach papieży, głównie zaś Jana X (914—928); odtąd już stale naczelnicy Chorwatów zmienili tytuł *kneza* na *królja*. Przytém dowodzi autor, iż tytuł ten, jak téż sam wyraz *król* nie jest bynajmniej słowiańskiego pochodzenia i etymologią jego wywodzi od niemieckiego *Karl*, to jest od imienia cesarza Karola Wielkiego, zmienionego w appellativum. Ten zaś swój wniosek tém jeszcze udowadnia, iż tytuł królewski przyjęty został przez te z plemion słowiańskich, które w bezpośredniem były zetknięciu z Niemcami, jak np. u Czechów, Polaków, Chorwatów i Serbów, u dawnych zaś Rossyan i Bulgarów, tytuł: „*Cesar car*“ pochodzi od greckiego *καῖσαρ*, a przyjęty został od bizantyńskich Greków. W ten sam mniej więcej sposób zapatrywali się na tę kwestyę Szafarzyk, Grimm i kilku innych pisarzy, jeden tylko nasz Czacki dowodził, iż słowo *król* jest prawdziwie słowiańskie, choć nie udowodnił tego orzeczenia.

W innym znów artykule, będącym dopełnieniem powyższej rozprawy, Dr. Raczkii zestawia w chronologicznym porządku cały szereg pierwszych królów Chorwackich i podaje ich rodowody, a także parę ustępów z ich dziejów, o królach Sławiczu i Dymitrze Swinimirze (XIX). Porządek tych królów podług autora był następujący: Tomisław

(914—926), Krzesimir I, Drżysław (994—1000), Swetosław Sarynja, Krzesimir II z bratem Gojsławem (1019). Krzesimir II sam (1024—1031+1035), Szczepan I (1035). Krzesimir Piotr (1057—1073), Sławicz (1074—1075), Swinimir Dymitr (1076—1089), Szczepan II (1089—1091), Piotr (1091—1101), poczem robi autor uwagę, że co się tyczy imion tych królów, były one czysto słowiańskie, co leż udowadnia pracowitą etymologią takowych. Z Piotrem kończy się szereg narodowych królów chorwackich, którzy począwszy od Tomisława, to jest od początku X wieku, panowali bez przerwy aż do początku XII wieku, to jest przez lat 180. Na podstawie zaś podanych rodowodów Dr. Raczki twierdzi, iż u Chorwatów dziedziczność w rodzie panującym zachowywaną była, a po wygaśnięciu takowego, naród posiadał zupełne prawo wyboru króla. I tak np. ban Dymitr Swinimir wybrany został królem „*synodalī et concordī totius cleri et populi electione*.” To orzeczenie udowadnia autor innemi jeszcze przykładami. U niektórych ludów słowiańskich, po wygaśnięciu linii męzkiej, prawa dynastyczne przechodziły po kądzieli, jak np. u Czechów po rodzie Przemysliczów. U Chorwatów zaś ani jednego podobnego przykładu nie było. Z zestawionych tu rodowodów królów i ich następstwa, autor wysledza inny jeszcze zwyczaj albo raczej prawo, dotyczące dziedziczności. Po Krzesimirze wstępują na tron chorwacki synowie jego w następującym porządku: Drżysław, Śwetosław, Krzesimir z Gojsławem, i Krzesimir sam, a Szczepan syn Swetosława wstępuje na tron nie po śmierci ojca, lecz dopiero po stryju. Z drugiej znów strony, widzimy iż po śmierci rzezonego Krzesimira, wybuchły spory i kłótnie między Drżysławem a Swetosławem i że pierwszy podstępem przywłaszczył sobie prawa Swetosława. Na tych tedy danych opierając się, widocznem jest, iż w Chorwacyi mniej więcej od końca X wieku był zwyczaj lub prawo, przyznający władzę królewską najstarszemu z rodziny. U Czechów także samo prawo wprowadził Brzetysław I (1037—1055), współczesny Szczepanowi Chorwackiemu, przedtem zaś każdy z książąt za żywota wyznaczał następcę po sobie. Prawo starszeństwa utrzymało się w Czechach przez XI i XII stulecia, i było powodem ciągłych sporów i waśni.

W tém porównawczym poglądzie, autor nie wspomina o Polsce i prawach dziedziczności Piastów, tymczasem zestawienie jednych z drugimi wyświeciłoby nam pierwiastki takowych. I tak w Polsce Piastowskiej, władza królewska była dziedziczną w rodzie, a obieralną co do osoby. Na to zgadzają się wszyscy niemal historycy. Ogromna tedy zachodzi różnica od praw czeskich i chorwackich dotyczących dziedziczności królów. To zaś tém się tłumaczy daje, iż Czechy i Chorwacya, jako najdalej wysunięte pikiety świata słowiańskiego, prędzej przyjęły silnie oddziaływający na nich wpływ feodalnego Zachodu, wpływ zaś bizańtyński jeszcze wybitniej się uwydatnia w formach państwowych Słowian Wschodnich. Polska tymczasem najdłużej zachowała zasady gminy słowiańskiej i wieców, ba! nawet na ich podstawie

wysnuwała cały szereg swych urzędzeń, instytucyj i form bytu państwowego. Ztąd tedy owa uderzająca różnica, ztąd ów potrójny kierunek w dziejowym rozwoju ludów słowiańskich.

Oprócz powyższych rozpraw Dra Raczki, znajdujemy tu jeszcze tegoż autora prace: *Rękopisma dotyczące dziejów Słowiańskich w archiwach włoskich* (XVIII). Tutaj autor rozbiera najprzód dzieła Makuszewa i Drinowa ¹⁾, następnie z własnych poszukiwań podaje spis rękopismów, tyczących się dziejów słowiańskich, a przechowywanych w bibliotekach rzymskich. Między innymi znajdujemy tutaj wiadomość o rękopismach, zawierających rzeczy polskie, po większej części z XVII wieku.

W dziale historycznym zwracamy jeszcze uwagę na rozprawę sędziwego autora „Historji prawodawstw słowiańskich“ p. W. A. Maciejowskiego honorowego członka akademii, w której dowodzi jak bardzo plemię słowiańskie Polanów za pomocą rolnictwa wpłynęło na podniesienie się cywilizacyi w Europie (XVIII). W tymże samym tomie M. Mesić zamieścił nieukończoną jeszcze pracę, obejmującą ustęp z dziejów chorwackich od śmierci bana Berislawica aż do bitwy pod Mohaczem, i wreszcie Harjon Ruwarcow podał studjum: O pierwszym roku panowania Duszana w zakresie chronologicznym.

W dziale filologicznym nie mniej ciekawe i pouczające są prace, z tych najważniejsze: O włoskich wyrazach w języku chorwackim przez Fr. Kurelca i o akcentacyi chorwackiej i serbskiej przez Daniczića (XX), wreszcie w dziale przyrodniczym znajdujemy rozprawy I. Torbara (O północnej zorzy), Sekulića (Polorna zorza), dalej prace botaniczne Szlosera i Vukotinowicza, Szubića, Mechaniczna teoria o ciepłe i kilka innych. Jednym słowem ważna to niezmiernie publikacya, a dająca chlubne świadectwo o gorliwości akademii południowo-Słowiańskiej w rozbudzeniu i podniesieniu narodowego piśmiennictwa.

K. P.

O przyczynach zjawisk w naturze organicznej. Przez prof. T. H. Huxley'a, według niemieckiego przekładu Karola Vogta przetłumaczył A. Wrześniowski, 1873 r.

Drugi zeszyt „*Biblioteki filozofii pozytywnej*“ zawiera sześć odczytów prof. Huxley'a „O przyczynach zjawisk w naturze orga-

¹⁾ Italijskie archiwy i obroniaszozije się w nich materyaly dla słowiańskiej istorij. Zapiski Imp. Akademii nauk Tom XVI kn. II tom XIX kn. 2. Petersburg 1870 i 1871. Nowi pametnici za istorja-ta na Bielgare-sie i na tiechnitie ssiedi. Ot M. Drinowa. Wydawnictwo peryodyczne Braiła 1870 I str. 36—60 I, 2 str. 52—66.

nicznej," wypowiedzianych w muzeum praktycznej geologii w Londynie. Ze względu na ważność kwestyj traktowanych w tych odczytach, postanowiliśmy podać naszym czytelnikom, krótki ich rozbiór. Dziełko to, powiada Vogt, może służyć za wzór, jak należy traktować przedmiot naukowy, aby go uczynić jasnym i zrozumiałym dla liczniejszej publiczności, której brak wielu wstępnych wiadomości.

Prof. Huxley należy do rzędu tych niewielu przyrodników, którzy na kwestye naukowe zapatrują się wszechstronnie i bez żadnego uprzedzenia. Jest on otwartym i stanowczym zwolennikiem teoryi Darwina, (którą od lat kilku stara się popularyzować bądź w odczytach publicznych, bądź przez pisma swoje), wszelako badawczy umysł angielskiego pozytywisty, otoczony subtelniemi wątpliwościami, nie odrazu pochwycił nową naukę, ani się stał jej bezwzględny wyznawcą. „Jestto lutnia, mówi on, która już wydaje pewne tony, lecz brak jej jeszcze zupełnego dostrojenia.“ Nie od rzeczy tu będzie nadmienić, że do tego dostrojenia znacznie się już przyczynił sam prof. Huxley przez swe znakomite prace na polu porównawczej embiologii i morfologii dokonane.

Odczyt pierwszy traktuje o *obecnym stanie przyrody organicznej*. Chcąc dać ogólne pojęcie, mówi prof. Huxley, o naszych wiadomościach dotyczących obecnego stanu świata organicznego, musimy sięgnąć do wnętrza natury ożywionej i wykryć zasady, będące podstawą jej spraw najtajniejszych“ (2). W tym celu poczyną swój wykład od określenia różnicy, jaka zachodzi pomiędzy naturą organiczną a nieorganiczną; następnie tłumaczy związek tych dwóch na pozór sprzecznych światów. Przyroda bowiem mineralna jest podstawą życia roślinnego, tak jak rośliny swoją kolejną są podstawą życia zwierzęcego. Rośliny, z ciał zupełnie obojętnych do tlenu (jak: kwas węglany, woda, amoniak i sole), wytwarzają produkta organiczne, (a mianowicie: proteinę, mączkę, tłuszczce) mające silną własność utleniania się. Process ten wtórny dokonywa się właśnie w organizmie zwierząt, które wracają napowrót naturze jej ciała, w tym samym stanie, w jakim je rośliny pobierały. Wykazawszy w ten sposób identyczność materji żyjącej i martwej, prof. Huxley stawia śmiałą konkluzję, iż *siły istot organicznych, pomimo że są tak dalece zadziwiający, jednakowoż nie różnią się od sił świata nieorganicznego; czyli że siły istot organicznych można zamienić na siły właściwe istotom martwym!* (10). Stawiając podobną konkluzję prof. Huxley staje się podobnym do wielkiego wodza Macedończyków, który rozwiązał węzeł Gordyjski przez rozcięcie. Wszakże co było dozwoloném wodzowi, nie może być tolerowaném pozytywnemu filozofowi. Walka jest odmienna, przeto i broń musi być różną!

Nie ulega wątpliwości, że ciała organiczne są złożone wyłącznie z pierwiastków natury nieorganicznej i pod tym względem niczém się z sobą nie różnią; lecz nie idzie za tém, by istoty mające jednostajny skład chemiczny, posiadały jednostajny stopień i rodzaj siły. Człowiek przed chwilą zmarły nie jestże w swoim składzie chemicznym, podobnym do tegoż człowieka żyjącego? a jakże różne tych dwóch sytuacji ma-

wisko? Rośliny w składzie swoim chemicznym niczém się nie różnią od zwierząt, wszelako brak im zupełny myśli. W istotach bowiem organicznych różnorodność objawów życiowych nie tyle zależy od ich składu chemicznego, ile od samego ugrupowania pierwiastków w celu utworzenia pewnego mechanizmu, od téj nam nieznanéj przyczyny powodującej organizacją w oznaczonym kierunku, która od prostéj komórki roślinnéj dochodzi wielce skomplikowanych kształtów człowieka. Na tę stronę medalu należało prof. Huxley'owi głównie zwrócić uwagę, już dlatego samego, żeby nie być w sprzeczności z sobą w dalszych swych odczytach, gdzie stanowczo oświadcza się przeciw samoródtwu. Gdyby wszakże w istotach organicznych nie było całkiem innych sił krom fizyczno-chemicznych, nie pojmujemy wtedy dlaczegooby nie miało dziś istnieć samoródtwo?

W ogóle ten pierwszy odczyt należy do najsłabszych z całego dziełka. Czytelnik nie obezuaný z naukami przyrodoznictwami nie będzie w stanie zdać sobie sprawy z wielu dorywczo potrąconych kwestyj, jak np. że najwyższy objaw siły żywotnéj, tak zwana siła nerwowa, znajduje się w ścisłej zależności od natężenia strumieni elektrycznych; albo w innym miejscu, że „*substancje proteinowe posiadają wyłączną własność siły żywotnéj*“, to jest własność podtrzymywania życia zwierzęcego“ (8). Widzimy tu dziwne pomieszanie pojęć w identyfikacji siły żywotnéj jużto z elektrycznością, jużto z materją proteinową. Jeśliby substancje białkowe (proteinowe) posiadały *wyłączną własność siły żywotnéj*, w takim razie jakżeby mogły wzrastać rośliny przy pokarmie z przyrody mineralnéj czerpanym? Tymczasem okazuje się że rośliny nie tylko wzrastają bez tego pokarmu, lecz przeciwnie, same go w komórkach swych wytwarzają. Z tego jasno wynika, że materje proteinowe są prostym produktem (jak każdy inny) działalności komórek roślinnych.

Szczególna zaś własność tych ciał zależy wyłącznie od zdolności ich łatwego utleniania się czyli ich przeobrażenia się, jak to sama nazwa (protein) okazuje. Wszystkie związki chemiczne azotowe są w ogóle niestałe, témbardziejźię to ma miejsce w ciałach proteinowych, gdzie pojedyncze atomy tych ciał są wielce złożone a ztąd bardziej od innych nieczyste. Według poszukiwań słynnego chemika Mulderá, złożony atom białka zawiera w sobie około 900 pierwiastkowych atomów ($10 C^{10} H^{31} N^5 O^{12}$) + $S^2 P$, przynajmniej w tym stosunku białko łączy się z siarką i fosforem.

Tak agregowane atomy mają ruch cząsteczkowy znacznie powolniejszy, albowiem ruch atomów znniejsza się stosunkowo do ich masy. Według praw mechaniki, bezwładności ciężar powiększają się w stosunku do sześcianów z objętości, spójność zaś wzrasta proporcjonalnie do kwadratów tejże objętości. Prostym wypadkiem tego, powiada Herbert Spencer (Princip. of Biology) będzie stosunkowe zmniejszanie się siły zachowawczéj w miarę powiększania się objętości ciał. Zastosowując mechaniczne to prawo do atomów oddzielnych, otrzymamy ten sam wykładnik: że złożone atomy stają się bardziej indferentnemi, ztąd ruch

cząsteczkowy tych atomów słabnie, stają się one mniej czynnymi i to daje powód do ich dalszej przemiany lub rozkładu, ponieważ nadal w tym stanie pozostać nie mogą. Ta jest najbliższa przyczyna ciągłej metamorfozy tych ciał.

Nie wieleby też zrozumiał czytelnik, jakim sposobem powstał świat roślinny—z proteiny, mączki, tłuszczów, wody i soli? Żadne bowiem rośliny, choćby najniższe wodorosty, z produktów tych utworzyłyby się nie dały. Owoż pominięcie prof. Huxley'a najistotniejszej części roślin drzewnika ¹⁾, (bez którego żadna roślina istnieć nie może) stanowi niczem nie zapełnioną lukę.

Nie umiemy również pojąć, z jakiego tytułu prof. Huxley zaprzeczył istnieniu kopalnych koni w Ameryce (14). Wiadomo przecież z poszukiwań Darwina, że przejściowy gatunek koni pierwotnych istniał w Ameryce. W formacjach eoceńskiej i miocenińskiej znajdujemy dawno wymarłe *pierwołconie* (*Anchitherida*) stanowiące przejście, jak powiada Haeckel (tom II str. 211) od pierwonieparzystych (*Polaeotherida*) i sapiarów, do hiparionów, z którymi dzisiejsze nasze konie znajdują się w jak najbliższem pokrewieństwie. Dotąd w Ameryce wynalezione zostały skielety kopalnych hiparionów czterech oddzielnych odmian, a mianowicie: *Hipparion protohippus*, *merihippus*, *hipohippus*, *porahippus*.

Tyle o pierwszym wykładzie prof. Huxley'a. Wykład ten jakieśmy powiedzieli nie stoi na wysokości następujących odczytów, gdzie prof. Huxley przechodząc na pole metody induktywnej rozwiązał cały swój bogaty zasób wiadomości i postrzeżeń. Częstokroć się zdarza ścisłym badaczom przyrody, że ich indukcya rozwija się kosztem dedukcyi; prof. Huxley zdaniem mojem nie jest wolnym od tego zarzutu.

Kwestya istoty życia przechodzi zakres dzisiejszej pozytywnej filozofii, nie przeto dziwne, że pozytywista angielski nie mogąc jęj rozwiązać, usiłował ją rozciąć.

Odczyt drugi ma za przedmiot *dawniejszy stan natury organicznej*. W wykładzie tym prof. Huxley treściwie i zwięźle opowiada historję tworzenia się ziemi, mówi o trudnościach geologicznych poszukiwań, o niedokładnych naszych wiadomościach w tęg mierze. Zbadaliśmy, powiada, zaledwie jedną dziesięciotysięczną część dostępnych okolic ziemi, a tymczasem znajdują się geologowie, którzy ośmielają się twierdzić co w dawnym czasie działo się w pewnym punkcie ziemi, jakie warstwy są sobie współczesne i t. p. tak, iż z dziejów miejscowych zmian na ograniczonej przestrzeni ziemi, zbudowali powszechną historję kuli ziemskiej, pełną bajek, na równi z jakąbądź inną historją dziejów

¹⁾ Nic również nie wspomina prof. Huxley o ciałach cukrowych, gumowych, kwasach i zasadach organicznych; a przecież to są wszystko produkty powstające w organizmach roślin.

starożytnych (29). W tém miejscu prof. Huxley używa niewłaściwego i bardzo trywialnego porównania, wypowiadając następujące zdanie: Mężowie nauki podobnie jak młode żrebięta mają skłonność weselić się na nowém polu poszukiwań, przebiez je galopem, nie troszcząc się o płoty i rowy (29). Wszakże dodaje, z tego nie wynika, aby nasze chronologiczne wyliczenie starożytności pokładów geologicznych nie miało naukowej podstawy. Błąd polega na tém, że zasadę dającą się w zupełności zastosować do warstw poziomo ułożonych, stosowano do osadów, nie okazujących takiego stosunku.

Po tym rozbiórce wykazującym niedokładność naszych dokumentów chronologii geologicznej, prof. Huxley przechodzi do treści samego dzieła natury do pisma i zgłosek tój powszechnej historii ziemi. Pismo i zgłoski, powiada, składają się ze szczątków zaginionych zwierząt i roślin. Badania ostatniego stulecia w każdej skale wykryły w rzeczy samej zadziwiające bogactwo życia organicznego. Dotąd odkryto niezawodnie niemniej, jak trzydzieści do czterdziestu tysięcy rozmaitych gatunków skamieniałości (36). Następnie prof. Huxley, zwraca uwagę swoich słuchaczy na podobieństwo form zaginionych do dziś żyjących istot w tych samych miejscowościach. Pewne rodzaje zwierząt zaginęły na zawsze, lecz w ogóle stosunek istot zaginionych do dziś żyjących jest nieznaczącym. Gdybyśmy państwo zwierząt podzielili na rzędy, mówi Huxley, przekonalibyśmy się, że rzędów jest przeszło sto dwadzieścia. Jestto mniej więcej średnia suma rzędów wszystkich obecnie znanych zwierząt, o których wiemy, że kiedyś żyły i pozostawiły swe szczątki (37). Z tój liczby studwudziestu rzędów wygasło dotąd, nie więcej nad dziesięć do dwunastu rzędów, tak że ze wszystkich zwierząt, po których pozostały szczątki nie więcej jak dziesięć lub dwanaście rzędów, nie da się pomieścić w żyjących rzędach. Różnica zatem wynosi zaledwie 10%, a stosunek wygasłych rzędów roślinnych, okazuje się jeszcze mniejszym (39).

Odczyt trzeci. O metodach, za pomocą których można wykryć przyczyny obecnego i dawniejszego stanu natury organicznej. O powstawaniu istot żyjących. Od czasów Bacona i Des Cartes'a dwie są powszechnie przyjęte drogi w poszukiwaniach naukowych: droga dedukcyi i indukcyi, czyli wnioskowania a priori lub a posteriori. Professor Huxley zwraca uwagę swych słuchaczy na silnie wkorzeniony ten przesąd u publiczności, jakoby twórcą tego naukowego poszukiwania był Bacon lub ktokolwiek bądź. Metody poszukiwania naukowego, mówi on, są poprostu wyrażeniem tego sposobu postępowania, według którego rozum ludzki z konieczności pracuje (44). Przykładami bardzo pospolitemi prelegent udowodnił, że wszyscy ludzie w życiu prywatném kierują się i myślą podług zasad tych wyżej wzmiankowanych metod, częstokroć niewiedząc całkiem o ich istnieniu.

Następnie prof. Huxley stawia pytanie jakim sposobem powstał i utrzymuje się obecny stan materji organicznej? W celu rozwiązania tego pytania prelegent zastanawia się nad możliwością wytwarzania ma-

tery organicznej w naszych laboratoryach, wszelako przyznaje, że wytworzone tym sposobem organiczne produkta nie mogą jeszcze na istoty żyjące przemienić. W koniecznym następstwie musiał prelegent potrącić o teorię samoródtwa, z czego wywiązał się w sposób łatwy przedstawiając słuchaczom znaną powszechnie i wielce ciekawą polemikę Pasteur'a. Idąc za Pasteur'em również jak on stanowczo się oświadcza przeciwko samoródtwu. Nauka o samoródtwie, powiada, otrzymała tym sposobem ostatni cios (64). W kwestyi początku istot organicznych prof. Huxley nie wywiązał się należycie ze swego zadania. I w tym razie dla braku danych indukcyjnych spotykamy niejasny i zawły sposób rozumowania, jak nie mniej wyprowadzanie wniosków całkiem dowolnych.

Odczyt czwarty. Rozmnażanie się istot organicznych, dziedziczność i zбочenie. Jestto popularny wykład teoryi Darwina dokonany w sposób prawdziwie mistrzowski. Ciekawych czytelników odsyłamy do samego dzieła.

Odczyt piąty. O warunkach bytu ze względu na rozmnożenie się istot organicznych. Z kolei w dalszym ciągu rozwijając teorię Darwina, prof. Huxley stawia pytanie: czy stopień zбочenia od pierwotnego typu jaki można osiągnąć drogą wyboru, ma swoje granice tak ze względu na budowę, jak ze względu na cechy fizyologiczne? (84). Po długich bardzo subtelnym wywodach prof. Huxley streszcza swe zdanie w następujący sposób: znane dotychczas dowody mówią przeciwko ograniczeniu zбочen, o ile zбочenia te dotyczą budowy; mówią zaś za ograniczeniem zбочen pod względem fizyologicznym. Drogą wyboru możemy spowodować w budowie różnice takiej doniosłości, jak różnice odmiennych gatunków, lecz nie możemy osiągnąć równie znacznych różnic fizyologicznych (91).

Odczyt szósty. Krytyczny rozbiór zasadniczej myśli przedstawionej w dziele Darwina: „O pochodzeniu gatunków“ ze względu na zupełną teorię o faktach zjawisk w naturze organicznej. Streszczając hipotezę Darwina w sposób sobie właściwy, prof. Huxley określa ją jak następuje: że wszystkie zjawiska natury organicznej tak dawniejszej, jako też obecnej, spowodowane zostały wzajemnym działaniem tych własności materyi organicznej, które nazwalismy *dziedzicznością* i *zmiennością* (zdolnością do zбочen), w połączeniu z *w warunkami bytu* (109). Przebiegając następnie kolejno rozmaite zarzuty czynione teoryi Darwina, wykazuje ich niedostateczność i brak w nich wszelkiej krytyki. Mówiąc o różnicy inteligencji małpy i człowieka, Prof. Huxley w tym razie używa niezupełnie szczęśliwego porównania, — stawiając za przykład dwa, zgodnie idące z sobą zegarki. Gdy w jednym z nich, powiada, zrobimy nieznaczne uszkodzenie, wywołamy przez to znaczne różnice w dalszym ich biegu. Przykład ten, zdaniem mojem, nie objaśnia rzeczy; będziemy tu mieli anomalię wywołaną sztuką, wówczas gdy w naturze spotykamy, (tak u małpy, jak i u człowieka) normalny przyrodzony rozwój ich mózgowia. Różnica ta bowiem zależy od jakości samych tkanek, jak niemniej od powstającego w nich, nieznanego nam, ruchu cząsteczkowego.

W jednym punkcie wszelako sam prof. Huxley ma pewne wątpliwości, a mianowicie co się tyczy nieplodności mieszańców (hybrydów) pochodzących z dwóch oddzielnych gatunków, gdyby można było dowieść, że i pomiędzy różnemi rassami (jednego i tegoż samego gatunku) z sobą skrzyżowanemi, następuje potomstwo nieplodne lub że takie połączenie nie wydaje żadnych rezultatów, wówczas, mówi prof. Huxley, z całą ścisłością naukową teoria ewolucyjna przyjętą być musi. Znaczenie tego zarzutu prof. Huxley niezmiernie przecenił. Wiadomo bowiem, że pomiędzy bliższymi rassami są już podobne wyjątki trudnych połączeń, tak np. byk europejski z krową bizona amerykańskiego albo się łączą z wielką trudnością, albo co najczęściej wcale się nie dają z sobą połączyć. Darwin słusznie zauważył, że bezplodność jest bardzo grymaśna i nie wiemy od czego zależy. Tak samo nie wiemy dlaczego zwierzęta w niewoli stają się bezplodnymi i przez nią tracą jedną z najważniejszych funkcyj (118). Z tém wszystkiém, powiada prof. Huxley, jestem zdania, że pozostaje do wyboru albo *darwinizm*, albo *nie*; nie znam bowiem żadnego rozumnego pojęcia czyli teoryi o świecie organicznym, któraby mogła zajmować jakie naukowe stanowisko obok teoryi Darwina. Nie znam żadnego naukowego twierdzenia, mającego tłumaczyć zjawiska natury organicznej, któreby miało za sobą tysiączną część tych dowodów, jakie przytoczyć można na korzyść poglądów Darwina (120). Należy zatem albo przyjąć pogląd Darwina, albo całą naturę uważać jako zagadkę (121). Pozwólcie mi na zakończenie, mówi prof. Huxley powiedzieć wam jeszcze, że moje dojrzałe przeświadczenie jest następujące: od czasu ogłoszenia przez Cuvier'a „*Régne Animal*“ i po historyi Baër'a, dzieło Darwina jest największym przyczynkiem dla nauk biologicznych. Sądzę, że obrawszy je z teoretycznej części, za zawsze jeszcze pozostanie ono jedną z największych encyklopedyj nauk biologicznych, jaką kiedykolwiek zebrał pojedynczy człowiek (126).

W ogóle trzy ostatnie odczyty mogą służyć za wzór prelekcij głęboko pomyślanych i prawdziwie po mistrzowsku wypowiedzianych. Jeżeli przytém zwrócimy uwagę na trudność przedmiotu obranego, tém bardziej zdolamy wówczas ocenić talent professorski Huxley'a. Nie można wyznać, mówi K. Vogt, trudniejszego i bardziej zawilego zadania, nad przedstawienie publiczności pozbawionej wstępnych wiadomości, jasnego i zwięzłego obrazu nauki Darwina o przeobrażeniu gatunków i początku różnaitości form zwierzęcych i roślinnych, jeżeli to jest możebném (jak dowiódł tego prof. Huxley w niniejszych wykładach), w takim razie należy przyznać, że niema zagadnienia tak wysokiego i trudnego, którego by nie można uczynić powszechnie zrozumiałém.

Takie jest znaczenie odczytów Huxley'a, których przyswojenie naszemu piśmiennictwu uważamy za korzystny nabytek.

Dr. S.

Fizjologia duszy i instynktu w odróżnieniu od materyalizmu z dodatkowém udowodnieniem Boskiego Objawienia w opowieści o stworzeniu świata i o potopie przez Dra. Marcina Pena (*Physiology of the soul and insticnt as distinguished from materialism.. by Martyn Paine. New-York 1872 str. 707 in 4-to*).

Nie jeden z przeciwników materyalizmu, spenceryzmu, darwinizmu i t. p. kierunków filozofii spółczesnej z ciekawością otworzy księgę przepysznie wydaną, wytwornie oprawioną, rozsyłaną do uniwersytetów europejskich, na której tytule umieszczone jest nazwisko profesora wydziału medycznego w Nowym Yorku. Z pomiędzy czterestu dzieł, których Dr. Paine jest autorem, jedno (*Institutes of Medicine*) doczekało dziewiątego wydania (1870), rozprawa „O geologii teoretycznej“ zalecona przez Guizota, znalazła niegdyś znaczny odbyt w Europie; czasopisma angielskie z przeciwnych obozów przyznawały autorowi zasługę odsłaniania odwrotnej strony medalu w pracach badacza przyrody. Ciekawość budzi się w czytelniku już po odczytaniu karty tytułowej, a wzrasta w ciągu czytania, kiedy autor, rozwijając ogromne zasoby wiedzy, przemawia *en puissance* do wszystkich niemal znakomitości naukowych na polu filozofii przyrodniczej.

Badając naturę pierwiastku instynktowego i duszy, autor twierdzi, że w królestwie zwierzęcém czasem jeden węzeł nerwowy, u człowieka zaś mózg cały jest ich sługą, ale tylko sługą. Działanie mózgu następuje z woli samodzielnego intelligentnego czynnika, a tym jest dusza. Istnieją wprawdzie w organizmie czynności mimowolne, istnieje cały system nerwów i zwojów sympatycznych, „główny kanał namiętności“, zdarzają się konwulsje, wymioty i rozmaite objawy chorobliwe bez udziału woli; lecz cały ten system działa tylko w zakresie spraw czysto fizycznych, wiąże mózg z mechanizmem zwierzęcym, który służy mu za siedlisko, nie biorąc żadnego udziału w procesach umysłowych, abstrakcyjnych.

Tezy tej dowodzi autor, wyliczając szereg zjawisk w organizmie, wywołanych albo drogą działania fizycznego na pewne mięśnie lub nerwy, albo też drogą kojarzenia *idei*. Spazmy, wymioty, działanie sphinctora, kichanie, poziewanie, śmiech, nawet objawy choleryczne mogą zarówno pochodzić z wzruszeń umysłu, jak z działania leków, mieszczących się w szafie aptekarza, lub z przyczyn fizycznych. Choroby leczą się czasem skutecznie przez czary, zamawianie, gdyż obudzają w chorym wielką wiarę i pobudzają samodzielność ducha. Roztrząsając dwie sprzeczne teorie snu, z których jedna (Dra. Hartley'a) upatruje przyczynę tego zjawiska fizjologicznego w rozszerzeniu naczyń krwionośnych i nacisku ich na mózg; druga przeciwnie w zmniejszeniu ilości krwi w mózgu i w uszczupleniu materiału, odbieranego w stanie czynnym umysłu; autor oświadcza się za ostatnią, dodając że przyczyną pierwotną, najgłębszą jest pewne usposobienie umysłu, „który cofa swe działanie od mięśni dowolnych i zmysłów, a przedewszystkiem kładzie kres wszystkim sprawom umysłowym“, tłumii pobudzające na-

miętności i pozostawia je w stanie spoczynku. Przy wzburzeniu umysłowóm lub oporze woli, człowiek nie zasypia nawet w położeniu leżącym; gdy przeciwnie szmer strumyka, stosowna muzyka, nudne kazanie, czytanie o przedmiotach poważnych, nużąc i uspakajając umysł, spowodują sennność. Tak więc chociaż położenie ciała leżące powinno by spowodować przepływ krwi do głowy, lecz działalność umysłu w czasie czuwania działa silniej, niż prawo fizyczne rządzące cieciami.

Po takiej argumentacji autor wnioskuje, że dusza nie jest wytworem przyrody organicznej, że istoty żyjące nie mogły same przez się wyłonić się z „komórki“ lub „z formy pierwotnej. Zasada ta prowadzi go do starcia z rozmaitemi teoryami naturalistów, pozytywistów i materialistów; przyjmuje też walkę ze wszystkimi znakomitościami nowocześnie; na dalszych kartach jego książki ukazują się Tyndall, Liebig, Howard, Carpenter, Büchner, Vogt, Virchow, Moleschott, H. Spencer, Hooker, Maudsley, Darwin, Lyell i wielu innych. Nie podejmując się zdawania sprawy ze wszystkich obrotów tej długiej walki, przytoczymy tu kilka tylko najbardziej uderzających argumentów i wniosków.

Występując przeciwko teorii działań chemicznych czyli molekularnych, z których ma powstawać wszelka myśl, wszelki akt woli, autor przytacza wyznanie Tyndalla, że sam nie zna żadnego organu, ani nawet widzialnego związku organu, za pomocą którego mógłby odróżnić zjawiska umysłowe drogą rozumowania. „Ukazują się one razem, ale nie wiemy dla czego? Przypuśćmy, że poczucie *miłości* da się powiązać np. z ruchem spiralnym cząsteczek mózgowych ku ręce prawej, uczucie zaś nienawiści z ruchem spiralnym ku ręce lewej; wiedzielibyśmy więc, że gdy kochamy, wtedy ruch odbywa się w jednym kierunku, gdy zaś nienawidzimy, ruch rozwija się w innym kierunku, ale pytanie: *dla czego?* zawsze pozostaje bez odpowiedzi“. Otóż autor stawia jeszcze jedno, szczegółowe pytanie: czy materialista potrafi zastosować swą teorią „dokładnej molekularnej działalności mózgu“ do mnożenia arytmetycznego osmnastu cyfr przez osmnastcie, i za przykład przytacza nadzwyczajną szybkość kombinacji w umyśle Trumana Henryka Safforda, obecnie (1870 r.) astronoma przy obserwatorium w Chicago. Odebrawszy bardzo powierzchowne wychowanie w szkole prowincjonalnej w Vermont, mając wieku zaledwo lat dziewięć i miesięcy sześć, ułożył on „Almanach dla młodzieży na rok 1846“, w którym bez czyjejkolwiek pomocy sam wykonał wszystkie obliczenia zaćmień, wschodu i zachodu słońca etc.; następnie w trzynastym roku życia obliczył tak samo orbitę komety, widzianej przez teleskopy w listopadzie 1848 roku z dokładnością, którą stwierdzili najznakomitsi astronomowie. Gdy miał lat dziesięć, egzaminował go pastor Adams z algebry, trygonometrii, geometrii, stereometrii piramidalnej i sferycznej i t. d. Wszystkie zadania, częstokroć bardzo trudne, chłopak rozwiązywał z pamięci zwykle bardzo szybko. Nareszcie kazano mu rozmnożyć w pamięci liczbę 365,365,365,365,365,365 przez siebie samą. Usłysawszy ją, zaczął biegać po pokoju, szarpał sobie spodnie, gryzł rękę, przewracał oczyma, aż nareszcie po upływie nie więcej jak jednej minuty

zaczął wymawiać 13,349,185,020,856,692,501,665,829,941,583,225; liczbę tę zapisał w chwili kiedy ją wygłaszał. Co większa, robił mnożenie od ręki prawej ku lewej, odpowiedź zaś dyktował od lewej ku prawej, a to przecież jest sprzeczne z działaniem ruchów spiralnych“. A ten wczesny rozwój umysłu nie ograniczał się do samej matematyki; owszem w równej prawie mierze objawiał się w każdej gałęzi nauk; jeżeli zaś przedmiot badania ściągał się do wyższych gałęzi matematyki, wtedy otwierał zwykle książkę w połowie i odgadywał odrazu przesłanki poprzednie, na których opierały się wywody.

Przeciwko Spencerowi i Darwinowi Dr. Pen argumentuje w ten sposób: gdyby nawet „komórka“ czy też „jednostka pierwotna“ z której miały wyjść wszystkie zwierzęta, cała przyroda organiczna była zupełnie sformowanem jajkiem (ovum perfectum), to należałoby jeszcze zastosować do niej prawa rozwoju fizyologicznego i dać jej „warunki właściwe“. Ale jaja zwierząt ssących muszą dojrzeć w łonie matki, z krwi matki pochodzi cały proces ich rozwoju. Jaki byłby ich stan, gdyby je pozostawiono na opiece groźnych czynników fizycznych przyrody nieorganicznej? Żądaby otrzymało żywność organiczną? bo żaden organizm zwierzęcy, nawet najniższego rzędu, nie może się karmić materią nieorganiczną. Naprzykład protozoon, jakkolwiek pozbawiony gęby, żołądka, kiszek, wciąga przecież stałe cząstki materii organicznej do swego ciała i tam je przerabia, ale nie jest w stanie przyswoić sobie materii nieorganicznej. Dowodzi, że zakres krzyżowania się ras jest bardzo szczupły, że przeciwnie każdy gatunek jest obdarzony szczególnym instynktem, który go powstrzymuje od wszelkiego stosunku płciowego z innymi gatunkami, że pan Gould „najwyższa powaga“ w dziedzinie badań nad „Trochilidami“, zbadawszy 430 gatunków, po dwunastoletniej nieustannej pracy nie dostrzegł ani jednej odmiany, któraby nasunęła mu przypuszczenie iż powstała z połączenia dwóch gatunków. Ze wszystkich jednak dowodów za najważniejszy, za „największy cios“ poczytuje autor taki argument, iż nie istnieje w przyrodzie żadne zwierzę, któreby chociaż na chwilę zdolnem było zaopiekować się istotą tak całkowicie pozbawioną zasobów rozumowych, instynktowych i fizycznych do utrzymania istnienia swego, jaką jest człowiek zaraz po urodzeniu. „Wyobraźmy sobie że zwierzęta ssące i człowiek zostali stworzeni w stanie tak małego rozwoju jak np. niemowlęctwo. Któż, pytam, byłby wykarmił te niemowlęta, jeśli nie indywidua dojrzałe, posiadające mléko? Również ptakom, których pisklęta nie mają piór, tym najzupełniej niezaradnym stworzeniom, któżby dostarczył potrzebnego pożywienia, jeśli nie rodzice dojrzały, obdarzeni cudownym instynktem?“ A do każdego rodzaju żywności potrzebnym jest inny aparat fizyologiczny, do zaopatrywania w tę żywność potrzebnym jest przywiązanie macierzyńskie. Mamyż wrócić do bajki o wilezycy, karmiącej Romulusa i Rema? Czyżby Darwin powierzył swe dziecię chociażby na chwilę kosmatym objęciom i troskliwej opiece babona, albo goryla? Zastrzegłszy jeszcze, iż żądana przez Spencera i Darwina niezmierna długość czasu nie zmienia

istoty rzeczy, gdyż prawo nie może nabyć odmiennego działania przez wpływ niezliczonych wieków, Dr. Pen wnioskuje, że człowiek musiał być pierwotnie stworzony w stanie „*zupelnej dojrzałości*“ i rozciągając tę zasadę do wszystkich gatunków świata organicznego, protestując przeciwko pewnym pisarzom teologicznym, którzy bronią stworzenia człowieka podług Genezy Mojżesza, ale gotowi są odstąpić zwierzęta Darwinowi.

Następnie walczy autor z filozofami, wyznającymi teorią panowania praw, teorią prawa twórczego, samorodztwa, panteistami, materialistami, a szczególnie z geologami. Odrzuca podawane przez tych ostatnich chwiejne daty ukazania się człowieka na ziemi (80,000, 160,000, 224,000 lat) i godzi się na wniosek Dra. Pfaffa (w dziele: *Ziemia przedhistoryczna*), który nie przekracza okresu biblijnego 7,000 lat. Powołuje się też na historyków, którzy dla najstarożytniejszych społeczeństw ludzkich: Babilonu, Niniwy, Egiptu podają cyfry, zaledwo przekraczające okres 6,000 lat.

Ale sędziwy professor nie poprzestaje na zwalczeniu wniosków „*Nowej Filozofii*“. Będąc gorliwym protestantem (wyznawcą kościoła anglikańskiego), poświęca jeszcze kilkaset stron w swoim dziele na udowodnienie wiarygodności podania Mojżeszowego i to w dosłownym brzmieniu wyrazów. Odrzuca ustępstwa tych teologów, którzy chcieli sześciu dniom stworzenia nadać obszerniejsze rozmiary. Zapuszcza się w polemikę filologiczną, wypisuje wyrazy hebrajskie i dowodzi że „*yom*“ czyli dzień Mojżeszowej Genezy, według ścisłego znaczenia, może obejmować tylko dobę czyli dwadzieścia cztery godzin. Obszerny też ustęp z osobnym dodatkiem poświęca na uzasadnienie potopu powszechnego i twierdzi, że wszystkie zwierzęta rzeczywiście były zniszczone, prócz tych, które Noe uratował w swój arce. Ztąd znów musiał przekonywać, że arka mogła dostarczyć miejsca na wszystkie gatunki. Jakoż, spisawszy je w osobnej tablicy od małp aż do węzów, wyrachował, iż 8596 gatunków czyli 16,060 osobników (po parze) potrzebowało 46,531 stóp kwadratowych miejsca; tym czasem, podług obliczeń Dra Kitto, arka zawierała: 547 stóp długości, 91 szerokości, 54 wysokości, podzielonej na trzy piętra, a więc obejmowała 149,331 stóp kwadratowych, ładunek zaś jej wynosił 68,269 tonn!

Swoje „*teorią potopu*“ uzasadnia autor geologicznie na rozległości i jednakowym poziomie formacji węglowej i podejmuje się wyjaśnić „*zagadki geologiczne i największą z nich, mianowicie: obecność pokładów kopalnych z wody słonej obok pokładów z wody słodkiej*“.

Uważaliśmy za obowiązek zdać sprawę z niniejszego dzieła, ponieważ szanowny autor złożył dowód uprzejmej pamięci o mieszczącym się w murach naszych uniwersytecie, przesłając je w darze do tutejszej biblioteki wraz z innym bardzo kosztownym dziełem „*Institutes of Medicine*“, które w specjalnej literaturze medycznej używa zaszczytnej wziętości (szczególnie patologia), a więc pożądanym zapewne i pożytecznym będzie dla naszych młodych adeptów nauki lekarskiej.

T. K.

„*Mikołaj Zebrzydowski*,“ dramat w pięciu aktach prozą, przez Ludwika Orpiszewskiego. Poznań, 1872 r., nakład księg. Konst. Żupańskiego.

Jedną z niezmiernie ciekawych epok historycznych polskich, jest w ogóle całe panowanie Zygmunta III. Wielkie wypadki, brzemienne nieobliczonymi skutki w przyszłości, wielcy mężowie będący chlubą i podporą państwa, stwarzają obraz wspaniały, pobudzający do myślenia, a zarazem niezwykle dramatyczny. Epizodów takich rozgrywających się wewnątrz i na zewnątrz Rzeczypospolitej, było kilka; nas dzisiaj obchodzi jeden z tych, co do którego dawniejsi i nowsi pisarze, wręcz przeciwne sobie objawiają poglądy, a raczej w ocenieniu którego, z wręcz przeciwnych wychodzą zasad. Chcemy tu mówić o *rokoszu Zebrzydowskiego*, o tyle o ile posłużył on za tło autorowi dramatycznemu Ludwikowi Orpiszewskiemu, do dramatu 5-o aktowego pod takimże tytułem. I rzeczywiście, jedni historycy, jak Koronowicz w *Słowie dziejów polskich*, całą winę przypisują Zygmuntowi III i partyi monarchicznej; inni usprawiedliwiają a nawet czasami podnoszą rokosz, do aktu legalnej i zbawienną opozycji; inni znowu sławią Zebrzydowskiego samego (H. Schmitt) jako podejmującego się obrony praw gminowładztwa szlacheckiego i ustalenia drogi reformy na sprawy Rzeczypospolitej: a nareszcie ostatni, jak Józef Szujski, broniąc władzy królewskiej, jako ze wszelkich miar ograniczonej i nawet przeto ograniczenie, ubezwładnionej, zwalają całą winę anarchii na możnowładców, a jak w tym razie na dumnego i ogromną lubo nie dalekonośną ambycją obdarzonego Zebrzydowskiego. Nie do nas należy rozstrzygać; możeby jednak najsprawiedliwiej przyznać trzeba, że prawda leży w pośrodku, że wina nie ciąży tak dalece ani po stronie króla, ani po stronie raz podżegniętej a w obawie o dobro Rzeczypospolitej zostającej większości rokoszan. Najwinniejszym zaiste okazał się Zebrzydowski, jako pierwszy sprawca, i ten który wszczął ruch cały.

Przypatrzmy się jednym rzutem oka tej sprawie w jej przebiegu historycznym, który dajemy w możliwym streszczeniu. Jan Zamojski, ów duchowy przedstawiciel światłego żywiołu szlacheckiego z czasów Zygmunta Augusta, umarł nagłą śmiercią w roku 1605. Geniuszem swoim i patryotyzmem podniosłszy naród na szczyt potęgi, szerząc w nim oświatę, broniąc godzielnie na zewnątrz, umiał powstrzymać fale burzliwego szlacheckiego żywiołu, którego był bożyszczem. Póki też żył, chociaż w rozterce ze słabym, a chciwym władzy Zygmuntem III, chociaż w wyraźnej z nim kilkakrotnie opozycji, nie wyrządził jednak nigdy szkody krajowi, bo gdy o kraj chodziło, osobiste obrazy poświęcał na ołtarzu publicznego dobra. Atoli tak być nie miało po jego śmierci. Zły przykład raz był dany, a o naśladowców nie trudno. Zły przykład dał Zamojski zwołując zjazdy celem poparcia sejmu inkwizycyjnego, i wykazywania tajemnych knoń króla z dworem austriackim. Stawszy się bowiem przedstawicielem ogólnego niezadowolenia, otworzył śluzę wszelkim

mamiętnościom od dawna burzącym się w Rzeczypospolitej. Wszakże już wtedy byli tacy, którzy chcieli podnieść otwarty rokosz, lecz ich powstrzymał Zamojski mówiąc: „Wiem ja dobrze jak łatwo mnóstwo poburzyć, lecz znam oraz, jak trudno niezmiernie raz *poruszone* utrzymać, by się do szkodliwych ostateczności nie zapędziło.“

Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski, możnowładzca, jak go zwiąd niektórzy, „ze szkoły Zamojskiego,“ a wistocie mąż gwałtowny i namiętny, na króla srodze rozgniewany, ogłosił się wykonawcą testamentu niby politycznego Zamojskiego; właściwie zaś powodował się dumą, potem zemstą, a nareszcie koniecznością utrzymania się w prądzie, który raz przezeń wywołany, ze sobą go porwał. W tym celu, gdy na sejmie Warszawskim naprawione być miały uszczerbione wolności stanu szlacheckiego, zgromadziła się szlachta pod Stężycą, co poradził Smogulecki szlachcic z Wielkopolski, któremu Zebrzydowski dla pozyskania wpływów jego u Wielkopolan, córkę w zamęcie oddał. Wiele wprawdzie i król zawinił, jako: w rozdawaniu ulubieńcom wakansów, w odpychaniu dyssydentów. Ale większość *grawaminów* rokoszan, przesadzoną była i niesprawiedliwą, chociaż były między nimi i wielce poważne, tyczące się istotnej naprawy Rzeczypospolitej, może jednak nie tak dalece jak twierdzi Koronowicz, mówiąc że „cała sprawa rokoszu Zebrzydowskiego była czynem prawnym, narodowym, nie w widokach samej li prywatnej zemsty, ale i w przeszkodzeniu Zygmuntovi do samowładztwa podjętym,“ i nie tak jak konkluduje w tomowem swém dziele H. Schmitt, mówiąc: „Rokoszan nazwano buntownikami dla tego że się chwyćli nadzwyczajnych środków do ratowania zachwianej potęgi narodu; lecz jakże dziś nazwać tych, co przeszkodzili zbawiennęj naprawie w żądaniach rokoszan ciągle wyrażanej, który między innemi i tego domagał się, aby spisać ustawy obowiązujące w czasie bezkrólewia i przy wyborze króla? Jak dziś sądzić tych, co nie dopuścili i wielu innych zbawiennych odmian w urządzeniu Rzeczypospolitej, jak np. ażeby sejmy porządnie się odprawowały i nie zjazdem tylko, gdzie prywatnicy popierali korzyści własne? Tak jak — dodaje autor z naciskiem, — *magnaci pokonali rokosz, zbezwdadnili usiłowania prwoch obywateli*, których w dodatku jeszcze mianem buntowników napiętnowali, a podkopawszy potęgę narodu, zawładnęli Rzeczypospolitą, którą najprzód w odmet nierządu a potem do upadku przywiedli. Na nich przeto niewątpliwie klątwa potomności ciążyć powinna, *a nie na rokoszan i Zebrzydowskim*, który chciał kraj ratować.“ Wojewoda krakowski pamiętając ową groźbę że „ustąpi z kamienicy ale król ustąpi z tronu!“! stawił się na sejmie. Wtedy stronnicy króla przestraszeni, rozpoczęli układy; król wysłał do Zebrzydowskiego Skargę, (który widział może w rokoszu początek sprawdzających się swych prorocत्व), z poselstwem, lecz nadaremnie, bo wojewoda ślaniał się mówiąc: „że stanął na czele szlachty dla ocalenia Rzeczypospolitej od zamachów samowładczych króla.“ Była to wymówka niezawodnie i przyjęta rola, chociaż go wprost jak to czyni Szujski, obłudnikiem nazwać nie można, prędjéj może słowami Koronowicza „*uczciwym Katyliną*.“

Do Zebrzydowskiego przyłączyli się inni panowie, i teraz z najosobistszych przyczyn, z tak zwanéj „prywaty.“ Tak np. Janusz Radziwiłł urażony na króla za to, że się nie jemu ale Chodkiewiczowi dostało starostwo Dudzińskie. Ten egoizmu możnowładców tych, wybornie uwydatniony w jednéj ze scen dramatu, w którój każdy z naczelników ruchu, z przyczyną swéj opozycji naiwnie się zdradza.

Sejm rozszedł się na niczem, i naznaczono powtórny zjazd do Lublina. Rozruch był powszechny, jakkolwiek szlachta różniła się w swych poglądach na tę sprawę; część nawet zjechała się po prostu z ciekawości, o jakich to praktykach tajemnych królewskich Zebrzydowski mówić będzie. Rozdrażnienie zwiększyło się tylko, nie prowadząc do żadnego załatwienia; Zebrzydowski wahający bawi się w dyplomate; burzyciele sprzymierzeńcy jak Stadnioki, Herbert Szczesny, wprost krzyczą o rokosz, bo pod Łowiczem „tłusty chleb Chrystusa.“ Znow przeto rokoszanie obwołali rokosz pod Sędomierz, wzywając króla ażeby się stawił w ich kole bez ludu cudzoziemskiego, na co król odpowiedział uniwersałem przeciw zjazdowi Sandomierskiemu, dawszy zarazem łagodną ale odmowną odpowiedź posłom z Lubelskiego zjazdu. Zebrzydowskiego dyplomatyżowanie tłumaczą niektórzy tém, że uległ przedstawieniom szwagra swego Żółkiewskiego, który go przestraszył wzrostem potęgi stanu szlacheckiego, wynikającej koniecznie z szerzenia się rokoszu.

Szlachta mocno niezadowolona ze zjazdu lubelskiego, zebrała się jednak między Sandomierzem a Pokrzywnicą w liczbie 100,000. Nie można sobie tak licznego zjazdu inaczej wytłumaczyć, jak rzeczywistą obawą szlachty że jéj wolności grozi niebezpieczeństwo, dalej chęcią naprawy ogólnego stanu Rzeczypospolitéj, a po części i ciekawością dowiedzenia się tego *coś*, które ciągle zapowiadał Zebrzydowski że przed narodem odkryje. Król widząc coraz groźniejsze niebezpieczeństwo, a zarazem unfy w liczny zastęp swych stronników, nazaczył Stanom zjazd do Wiślicy. Zrozumiał Zebrzydowski że król poczyna sobie zρέcznie, gdyż nie tak jak poprzednio z nim traktować pragnie, ale z konfederacją, jego zaś przez to samo ubezwładniając. Wielu téż odłączyło się od rokoszan, zraniły ich bowiem zbyt ostre odgróźki na króla, żądające wprost jego detronizacji, i coraz bardziej nie jasna postawa Zebrzydowskiego. Układy nie prowadziły do niczego, mimo że ich *Kolo wiślickie*, nie zaprzestawało. Rokoszanie podali nowe artykuły królowi, których było 68. Były one tak zuchwałe, że obraziły króla do najwyższego stopnia; król téż oświadczył że będzie co do nich traktował w pełném zebraniu sonatu i rycerstwa, gdyby się zaś na to niezgodzono, użyje innych środków, skutkiem czego rokoszanie gotowali się do obrony. Zebrzydowski lubo tracił coraz bardziej wiarę w skuteczność swoich machinacji, widząc najwyraźniejsze rozdwojenie między swymi stronnikami, stał jednak zawsze jeszcze nieugięty na czele związku, i niepokonany. Lecz król nie mogąc już czekać dłużej, a może i niechcąc, boć widział osłabienie rokoszan, kazał Żółkiewskiemu ściągnąć pułki, a sam na czele 20,000 doborowego żołnierza, ruszył z pod Wiślicy na spotkanie z Zebrzydowskim. Zebrzydow-

ski unikał boju, bo mu się zostało wszystkiego wojska 3000, a może chciał zyskać na czasie, ażeby przeprowadzić ogłoszone już przedtem popolite ruszenie. Cofającemu się zabiegło wojsko królewskie drogę pod Janowcem. Stadnicki przepawił się poprzednio przez Wisłę, tak że garszka rokoszian zmuszoną była prosić o zgodę, na którą król przystał wysyłając do obozu Zbaraskiego wojewodę braclawskiego, który umiał nakłonić Zebrzydowskiego i Radziwiłła, do stawienia się przed królem z przeprosinami. Dumnemu wojewodzie z trudnością zdołano wytłumaczyć, że musi zsiąść z konia w obecności króla. Przeprosiny odbyły się w nocy, przy pochodniach. Król był na koniu, gdy zuchwały wojewoda zbliżył się w pozornój pokorze. Układy ciągnące się przez noc całą, pozwoliły konfederatom przeprowadzić się za Wisłę, z kądem już później rozkazu królewskiego złożenia broni, słuchać nie chcieli. Zebrzydowski wezwany na zgromadzenie senatu, które zbyt natarczywie żądało od niego rachunku, nic nowego powiedzieć nie chciał i nie umiał, ostatecznie jednak w d. 7 października (1606) Zebrzydowski i Radziwiłł odwołali rokosz i popolite ruszenie, oświadczając, że przyjmują artykuły wiślickie i przyrzeczenia królewskie. Przymuszenie Zebrzydowski chętnie się pogodził, już w tém tryumf mając w dumie swój i zemstę, że z nim traktowano jak z naczelnikiem rokoshu, zdawałoby się prawdopodobnem ze względu na jego charakter, lecz nie z dalszego przebiegu rokoshu. Ugoda albowiem Janowiecka była nijaką i skleconą pod naciskiem okoliczności, nic więcéj, tém bardziéj że jéj zaraz na sejmie eksekucynie dano, gdyż Zygmunt powolny i otoczony dworakami pojechał do Krakowa, a tymczasem oba stronnictwa drażniły się i jątrzyły pismami publicznemi bezustanku. Zebrzydowski usunął się do Zamościa, był bowiem opiekunem ordynata, tam wyszukując dalszego toku sprawy, a jak twierdzą inni, teraz zdecydowany działać stanowczo na rzecz szlachty, którą zrazu użył tylko za narzędzie.

Szlachta niezadowolona z uniwersałów odwołujących, Zebrzydowskiego i Radziwiłła, każących oczekiwać wyroku sejmu, złożonego rzeczywście po większój części z regalistów, postanowiła zebrać się pod Jędrzejów, miejsce uświęcone cechą zjazdów prawdziwie narodowych. Ruszyła się szlachta krakowska, sandomierska i wielkopolska, agitowana przez Piotra Łaszcza, sławnego ztąd że się chełpił, jakoby miał płaszcz cały podszyty wyrokami bannicyi; tylko województwa sieradzkie i ruskie stały za królem. Zebranych pod Jędrzejowem było 60,000. Liczba nie mała, będąca w pewnej mierze dowodem, że się i ogół interesował wspólném dobrem, które zdawało się zagrożone przez dynastyczne zachcianki Zygmunta, i przez knowania możnowładców, usiłujących wyjść z ruchu jako ciało samowładnie krajem trzęsące. Wszakże uniwersał rokoshowy wydany znowu teraz a wzywający naród do gromadzenia wojska przed zebraniem się sejmu, przekraczał granice legalności i umowy janowieckiej. Rozpoczął się sejm warszawski 7 maja 1607. Król nadciągnął z niezwykłą siłą zbrojną, toż i rokoshanie posunęli się pod Warszawę. Zebrzydowski jednak nie na sejm, ale do Steżycy się udał, na co król odpowiedział wezwaniem, iżby każdy ktokolwiek wie co o „praktykach królewskich,

te jawnie przed sejmem wygłosił. Rokoszanie uprzedzili, że widzą w tém „żałosny gwałt wolnościom“ i wezwali sejmujących ażeby się połączyli z rokoszem. Król w dniu 13 czerwca, w mowie którą mu głośne tamowało łkanie, przy otwartych podwojach aby był słyszany od ludu, protestował, że w niczém formy rządu ani wolnej elekcji gwałcić nie chce, które to oświadczenie do akt sejmowych wpisane zostało. Niewinność króla ostentacyjnie i teatralnie okazano. Nie wchodząc tu w szczegółowe potwierdzenie żądań rokoszan, faktem jest, że sejm starał się uspokoić Rzeczpospolitę; lecz to nie zaspokoilo rokoszan, owszem d. 24 czerwca pod Jeziorną, wypowiedzieli w solennym akcie posłuszeństwo królowi. Wielom ze szlachty, mianowicie Stanisławowi Stadnickiemu, krok ten wydał się zbyt energiczny i niebezpieczny, opuścił przeto związek. Z wypowiedzeniem posłuszeństwa szła w parze nowa elekcya. Miał tu na myśli Zebrzydowski i Herbert Gabryela Batorego, krewnego króla Stefana i w tym celu podsuwał się pod granicę węgierską. Hetmani Żółkiewski i Chodkiewicz, radzili królowi natychmiast uderzyć zbrojnie na rokoszan; pod Warką miało przyjść do spotkania, ale Zebrzydowski ociągał się rachując na namowy swoje w wojsku królewskim, skutkiem których wojsko przeszłoby kupą bez bitwy, na jego stronę. Polegał w tym względzie na kilku swoich agentach, Leśnickim niejakiem, lecz się zawiódł, bo Żółkiewski agitatorów śmiercią pokarał i karność w szeregach poprawił. Teraz już regaliści stanowczo boju chcieli. Rokoszanie zaś poczęli umykać, lecz dopędzeni zostali pod Guzowem, gdzie przyszło do bitwy w d. 7 sierpnia 1607 r. Zwycięstwo zrazu przechylało się na stronę rokoszan, lecz wkrótce Łaszcz okrzykiem „zginęliśmy“ narobiwszy popłochu, a Chodkiewicz i Żółkiewski dzielnym natarciem, zapewnili zwycięstwo, położywszy na placu 1200 trupa.

Po bitwie guzowskiej, Zebrzydowski zamknął się w klasztorze Bernardynów w Opatowie, Radziwiłł z Lublina wydał uniwersał wyznaczający dzień 5 sierpnia, na dzień elekcji pod Warszawą, lecz po zdobyciu Lanckorony przez Potockich, sprawa rokoszan znacznie osłabła. Król chciał ukarać śmiercią wziętych do niewoli Herberta i Pękosławskiego. Wiadomość o tém wygoniła Zebrzydowskiego z kryjówek, który też wnet począł sprzągać rozproszonych i w 2000 znów stanął pod Warką. Lecz teraz już widoczném było, że mu nie szło o sprawę ogólną ani o wykonanie żądań szlachty, ale o zadowolenie swojej zemsty. Atoli miłujący kraj senatorowie, a mianowicie dzielny i szlachetny Żółkiewski zniewolili króla do zgody, który też w końcu chcąc nie chcąc, na nią przystać musiał. W maju 1608 r. przeprosił Zebrzydowski króla siedzącego na tronie, powtarzając złożoną *ad hoc* formułkę. J. Radziwiłł przypuszczony został do łaski.

Sławny ten rokosz żadnej stronie nie dał zupełnego zwycięstwa. Poprawa jakiej żądali rokoszanie nie doszła do skutku, król również nie był w stanie przeprowadzić zamiarów swych absolutnych, jedynie możnowładcy wzrosli w potęgę lubo nie w taką, o jakiej marzyli. Według Lelewela, szlachecka polityczna potęga odtąd upadła: jedna jej

część poszła służyć rycersko Rzeczypospolitej, lub w prywatnych zaciągach panów; druga po dworach, trzecia zasiadła u ognisk domowych uprawiając rolę, zostawując Rzeczypospolitą jej królowi, jej przemożnym obywatelom, jej w końcu losom. Duch zaś burzliwości przeniósł się z tłumnych zebrań szlachty w szeregi wojska, ilekroć żołdu nie odbierało.

Zebrzydowski, ten człowiek z ogromną i nienasyconą dumą a nawet ambycją, niemający tylko odpowiedniego duchowego zasobu ażeby ją w czyn świetny wprowadzić, umarł zapomniany na dewocyi, usunąwszy się na zawsze od spraw publicznych.

*

*

*

Dziwna rzecz, że kiedy nietylko starsi ale i najnowsi historycy opisując rokosz Zebrzydowskiego, z góry zastrzegają iżby nań nie patrzeć okiem współczesnym, przez pryzmat dzisiejszych zasad republikańsko-demokratycznych, lub ultra-monarchicznych, sami przecie dają się ować wpływowi zasad, w jakich się wychowali lub wzrosli. Nie wyrzeczemy żadnej zuchwałości twierdząc, że prawie każdy z nowszych historyków, za mało wniosków czyni z porównania samych faktów i dokumentów, a zanadto bawi się w poglądy, podyktowane niby duchem ówczesnym, rzeczywiście zaś własnym. I może też sprawiedliwem będzie do pewnego stopnia oskarżenie Koronowicza, że „ubieranie przeszłości republikańskiej w monarchiczną płachtę, wynaturzyło naszą historję“ lubo z drugiey strony zastanawiając się nad legalnością władzy królewskiej, choćby najbardziej ograniczoney konstytucjami i pak-tami, i na opór przeciw niej, powstający z poduszczania jednego stronnictwa lub jednego agitatora-możnowładzcy, oporu tego ubierać w piękne słowa nie można, ale godzi się wprost nazwać go tępem czem był, to jest wicherzycielstwem. Chodziłoby tylko o to, iżby nowocześni historycy dla przeprowadzenia swojej idei, nie sądzili dziejów które mimo pozornęj dzisiaj nielogiczności, miały przecież wówczas swoją logikę opartą na prawach lub zwyczajach, zbyt jednostronnie, jak to czyni np. H. Szmít, nietylko uniewinniając ale nawet pochwalając Zebrzydowskiego, w wyborném zresztą dziele swém o rokoszu.

Łubieński, Piasecki, Kobierzycki, Naruszewicz, Niemcewicz i Siarczyński ganią rokosz, toż Moraczewski, lubo Zebrzydowskiego zwie prawym i szlachetnym, tak jak Koronowicz zwiąca go „uczciwym Katyliną.“

*

*

*

Dramat pięcioaktowy L. Orpiszewskiego, nastęrczył nam sposobność przypomnienia pokrótce czytelnikom faktu dziejowego, wielce cie-

kawego i pamiętnego. Nastreczyłby on ją wreszcie koniecznie, tak jest ściśle ujęty w ramy historyczne, i tak oświetlony promienną, bijącą z nich prawdą. Autor doskonale umiał uwydatnić postać głównego bohatera, związać ją z prywatnym jego charakterem i ze stanowiskiem jego rodzinnym, ażeby go w końcu ukazać oczom widza w karze i cierpieniu, cierpieniu strasznym, bo nie tylko odczuwającym zniweczoną pracę przeszłości, ale nadto szkodliwość jej w dalekiej przyszłości. Zebrzydowski dla osiągnięcia swych ambitnych celów, dla dogodzenia swój namiętnej zemście, oddaje córkę swą Elżbietę Smoguleckiemu, staroście bydgoskiemu, (osoba historyczna) intrygantowi i co do rodu daleko niżej stojącemu od rodu wojewody krakowskiego. Elżbieta miłująca oddawna przyrzeczonego starościca Krotowskiego, z najwyższą boleścią i sromem widzi się oddaną na targ, i to w miarę powodzenia lub upadania sprawy ojcowskiej. Wojewoda bowiem dopóki może, dopóki nie ma noża na gardle, odwleka oddanie ręki córki staroście, aż zmuszony po ugodzie Janowieckiej, bez wahania córkę poświęca. Elżbieta, nieodrodna dziewica chowana w czci rodzicielskiej i w rezygnacyi, zostaje żoną człowieka, który ją zrazu poślubił, powodowany jedynie dumą że się łączy z magnatem; lecz później tknięty zacnością i wyższym charakterem swój żony, uczuwa dla niej miłość potężną i prawdziwą. Piękną jest scena i pełną życia w akcie IV-tym, gdy hardy niegdyś zięć Zebrzydowski, staje w skruszeniu i wielkim bólu nieodwzajemnionego uczucia, przed spokojną a jednak tak nad nim górującą powagą ducha, małżonką. Pierwszy raz uczuwa, że prawo a serce, to dwa wręcz przeciwne sobie czynniki; z boleścią przeto, ironią i z żalem podniesionym przeczcieniem rychłej śmierci (w następnym Guzowskiem spotkaniu) prosi ją o litość, o „drgnienie serca, „nie dla męża! o nie! takie szczęście nie dla mnie, ale... przynajmniej dla człowieka!“

Tyle też romansu w całym tym dramacie; resztę nazwaćby można rycerskim dramatem, rozgrywającym się wespół szeregów oręża i wypadków politycznych. Doskonale więc przedstawiony obraz zatargów w obozie samych rokoszan, a właściwie zatargów między głównymi przewodzącymi. Janusza Radziwiła i Stadnickiego, gniewa pierwszeństwo wojewody, a wszyscy wzajem oskarżają się ciągle, łącząc i opuszczając narzeczian. Radziwił radby najprzód przytrzeć rogów królowi, a potem Zebrzydowskiemu i Chodkiewiczowi, swemu osobitemu wrogowi; Stadnicki żnowa miota się, że pan wojewoda zbyt rządzi szlachtą a przez to jemu imponuje. Smutny, a jakże prawdziwy obraz niezgody i anarchii! Wśród tych postaci tak w historii jak w tym dramacie, orzeźwiający sprawiają wrażenie: hetman Żółkiewski, ten prawy obywatel i dzielny żołnierz, i ksiądz Skarga, ten wieszcz-kapłan. Pierwszy broniący praw majestatu, a jak w tym razie legalnego rządu, boi się tego zaburzenia, które podniosło kraj cały; traktując z Zebrzydowskim swym szwagrem, mówi mu otwarcie: „Taisz przyczynę twych furyj, toć ci ją muszę powiedzieć. Oto myślisz wojewodo, że jesteś w Rzeczypospolitej... jakby to wyrazić... *Zamojskim!* a że nim nie jesteś, przeto się sierdzisz, kraj burzysz, a krew szlachecką i cześć imienia twego narażasz.“ Tak mówi

obywatel, który gdy trzeba, wnet się przedzierzgnie w zwyczajnego wo-
dza, niedbającego o związki rodzinne, tam gdzie o ogół chodzi. Drugi,
grzmiąc sądem na bratobójców, nie mogąc powstrzymać wojewody, do-
brego katolika ale zapamiętałego w zemście, w świętém oburzeniu kreśli
mu proroczo przysły obraz zguby, i upadek nędzny własnych jego zamy-
słów. Proctwo ciąży na schorzałym wojewodzie, który w straszliwych
wizjach (w V akcie) czuje nad sobą karę Boga, i wzdryga się przed roz-
snutém raz jego ręką pasmem nieszczęść i niedoli.

Ideowo przeprowadził autor założenie swego historycznego dra-
matu, pomieściwszy w nim charaktery w takiej istotnej dziejowej i ży-
ciowej prawdzie, że słusznie powtórzyć tu można wiersz przypominający
J. Kochanowskiego, a poświęcony mu przez T. Lenartowicza:

„Jeżeli tobie szlachta cała się spowiada,
Jeśli milcząca дума grzechy swoje gada;
To przyzwij w pomoc Skargę, i swojemu wieku
Mów prawdę, jak przystoi swobodnemu człeku“.

Autor usłuchał, i powiedział prawdę.

Inna rzecz, czy dramat ten wystawiony na scenie,—a jakież być
może inne przeznaczenie dramatu?—zrobi odpowiednie wrażenie? Nam
się zdaje że nie, a to dlatego, że zamało jest psychologicznych momen-
tów, takich, któreby poznajomwszy widza z duszą bohatera i osób
działających, pozwoliły mu tём wyborniej ocenić wagę przedsiębra-
nego przez nich czynu, pozwoliły mu przylgnąć całą do nich sympatją
lub natężoném zajęciem. Autorowi więcej chodziło o przeprowadzenie
idei historycznej, i raz tylko w scenach Elżbiety z mężem, i o tym ko-
niecznym warunku dramatu pomyślał. A jednak dla czegoż nas tak
żywo zajmują tak zwane: „historye“ Szekspira, albo tégż jego dramata
osnute na tle historyczném; dlaczego potwór, Ryszard III, tak nas
nęci i pociąga? Bo znamy duszę tych wielkich tégż świata, ich naj-
tajniejsze pobudki, ich sumienie! W tym dramacie, wiemy wprawdzie
dlaczego Zebrzydowski poświęca córkę, dlaczego brnie naprzód i pada,
bo historyczny motyw mamy ciągle przed oczyma; ale tégż światła,
którego jednym promyczkiem poeta oświeca nieraz tak przekonywująco,
tégż intuicyi przelévającej się z duszy poety w duszę widzów, a jak tutaj
czytelników, brak zupełny.

Z tём wszystkiém, niezaprzeczona wyższość tégż utworu choćby
w tégż formie dyalogu dramatycznego, tak pod względem treści i myśli,
jako i jédnego języka, zalecają go ze wszęch miar czytelnikom.

E. Lubowski.

JUBILEUSZ CZTERECHSETNEJ ROCZNICY URODZIN

MIKOŁAJA KOPERNIKA,

obchodzony w Warszawie dnia 19 lutego 1873 roku.

Piąty dzień gdy to piszemy ubiega, od chwili uroczystego obchodu, co wskrzeszał nam pamięć wielkiego rodaka. Śnieg pokrył ulice i dachy domów Warszawy, a na skroniach bronzowych posągu Kopernika zieleni się wieniec wawrzynowy, którym go uwieńczono i wiszą jeszcze sploty laurowych liści u stóp jego. Głowę szron zimowy ubielił i wrzawa miejska po staremu lueczy na całym okolicznym placu.

Czwarte stulecie już upłynęło od chwili, gdy w starym grodzie Mazowsza, ujrzał dzienne światło nieśmiertelny astronom. Jest to pierwsza gwiazda geniuszów, co zaświtała na horyzoncie naszym, i żadna obok niej nie pojawiła się w tym wieku. W późniejszych dopiero latach zajaśniały równém niemal światłem gwiazdy na innych drogach świata duchowego, potężnych myślicieli, wielkich poetów i malarzy. Żadne stulecie nie było przecież zubożone, bo każde promienieje chociaż jednym wybrańcem Bożym.

Oczekiwany od dawna program uroczystego obchodu, ukazał się w dniu 17 lutego r. b. w pismach codziennych. Z niego dowiedzieliśmy się o szczegółach takowego, a zarazem o możliwości zbierania ofiar dobrowolnych na stypendyum imienia Kopernika przez obywateli Warszawy, kierujących obrzędem, pod przewodnictwem prezydenta miasta generała-lejtnanta generalnego sztabu Kaliksta Witkowskiego.

Obywatelami kierownikami byli: *Brun Stanisław, Dücker Artur, Gebethner Gustaw, Halpert Feliks, Ignatowski Ju-*

lian, *Jasiński Stanisław, Kowalczyk Jan, Krausse Jan, Lesser Stanisław, Majewski Wincenty, Minter Karol, Dr. Natanson Ludwik, Piotrowski Teofil, Potkański Kalikst, Przysański Stanisław, Radgowski Antoni, Rentel Józef, Skoryna Cezary, Unger Józef, Wójcicki Kazimierz Władysław, Zawisza Jan, hr. Zamoycki Józef, Zell Józef.*

O godzinie dziesiątej, z przed wspaniałego gmachu Ratusza m. Warszawy, zebrane cechy podniósłszy swoje chorągwie, wyruszyły z placu w dwóch szeregach.

Na czele postępował prezydent miasta, a za nim obywatele wyznaczeni, nieśli na przemian, na aksamitnej poduszce wieniec wawrzynowy.

Cały liczny orszak, w prędkim pochodzie doszedł wkrótce przed kościół *Świętego Krzyża*.

Cechy stanęły przy pomniku Kopernika. Wieniec laurowy wniesiono do świątyni Pańskiej, i złożono na przygotowanym stole, po lewej stronie wielkiego ołtarza.

Posąg Kopernika był ozdobiony we flagi trójkolorowe i wiązanki zielone. Cztery tarcze z herbem miasta *Syreny*, oparte o kratę pomnika, przemawiać zdawały się, że to miasto Warszawa i jej obywatele składają hołd należny wielkiemu swemu współziomkowi, urodzonemu nad brzegami tej samej rzeki, co przepływa pod jej murami.

Ksiądz prałat *Zwoliński* administrator archidiecezyi odprawił mszę żałobną w licznej assistencji. Podczas nabożeństwa artyści opery teatrów Warszawskich na organ i głosy odśpiewali *mszę żałobną* utworu *Józefa Steffaniego*.

Po nabożeństwie *J. ks. Jakubowski* wyszedł dla poświęcenia przygotowanego wienca, po czém delegaci wraz z duchowieństwem i obecnymi w kościele udali się przed posąg Kopernika.

Tłum wielotysięczny przepełniał plac cały i ulice poboczne, stojąc w głębokim milczeniu. Po poświęceniu pomnika, z rąk delegacyi odebrał wieniec *Stanisław Przysański* b. dziekan w Szkole głównej wydziału matematyczno fizycznego, i wszedłszy po urządzonych ku temu schodach, złożył takowy na głowie Kopernika.

W tej dobie, orkiestra *Teatru Wielkiego* wykonała hymn *Karola Kurpińskiego*, napisany w roku 1830 na uroczystość odkrycia tego pomnika, przed czterdziestą trzema laty.

Gdy umilkły tony muzyki, chorągwie cechowe w tym samym porządku wracały do Ratusza, wraz z prezydentem i obywatelami kierującymi tą uroczystością.

Wielka sala Ratuszowa napełniła się wprędce: galerye zajęły damy.

Pierwszy przemówił *K. Wł. Wójcicki*, przedstawiając w krótkim zarysie żywot wielkiego astronoma i mniej znane szczegóły jego życia domowego.

Jan Kowalczyk adjunkt obserwatorium astronomicznego w Warszawie, objaśnił starożytny system świata Ptolomeusza i nowy Kopernika, okazując ich różnicę na dwóch tablicach do tego przygotowanych, i zwracając uwagę na wielkie znaczenie odkryć ostatniego.

Wreszcie b. dziekan *Stanisław Przysławski*, określając stanowisko naszego myśliciela, wykazał wpływ odrodzonej przez niego astronomii na nauki i oświatę.

Zamknął wspaniały ten obchód, hymn: „Boże Cesarza chroń!” wykonany przez muzykę wojskową.

Gdy noc zapadła, posąg Kopernika rzesisto został iluminowany.

W dniu tym w bocznej sali Ratusza Warszawy, stał obraz olejny *Aleksandra Lessera*, licznie odwiedzany, a przedstawiający ostatnie chwile życia Kopernika, gdy w obecności słynnego biskupa *Dantyszka*, przynoszą naszemu astronomowi jego nieśmiertelne dzieło „*O obrotach ciał niebieskich*,” wydrukowane. Kopernik tęsknym i rzewnym wzrokiem spogląda na pracę całego żywota i obumierającą ręką dotyka okładek tej książki.

Zamknęło ten dzień widowisko w *Teatrze Wielkim*, złożone z następnych utworów dramatycznych:

Uwertury z *Halki Moniuszki* i pierwszego aktu tej opery,

Z obrazka dramatycznego: „*Ostatnie chwile Kopernika*” przez *Wacława Szymanowskiego*. Rolę Kopernika przedstawił znakomity artysta *Jan Królikowski*;

I zjednego aktu opery *Ernani*, wykonanego przez towarzystwo artystów włoskich.

Na zakończenie dano trzy obrazy z żywych osób, poprzedzone uwerturą Ignacego Dobrzyńskiego.

Pierwszy, przedstawiał Kopernika jak obserwuje zaćmienie księżycy w Bolonii w dniu 9 marca 1497 roku, w towarzystwie uczonego *Doninika Maryo z Ferrary*, z którym go łączyły związki przyjaźni.

Drugi, wyobrażał pożegnanie naszego astronoma na podwórzu kanonii Frauenburgskiej, z młodym matematykiem niemieckim Jerzym Retykiem, który zbadawszy cały system Kopernika, odjeżdżał ażeby genialne odkrycia jego rozgłosił uczonemu światu.

Trzeci, odtwarzał olejny obraz A. Lessera, którego treść już znamy.

Dwa pisma nasze illustrowane, poświęciły jeden numer wyłącznie pamięci Kopernika.

Kłosa wyszły z pod prasy na dwa dni przed dniem Jubileuszowym, dlatego tak w Krakowie jak Toruniu w wigilię Jubileuszu d. 18 lutego r. b. były oglądane. W nich mieści się następujący *Hymn A. E. Odyńca*:

Światło stań się! rzekł Bóg.
I stało się słońce na niebie;
Lecz tajnie jego dróg,
Panie! kto zgadnie bez Ciebie?
Kto pojmie dzieło stworzenia
Bez Tego, który je stworzył?

*

*

*

Lecz wartość jego natchnienia
Duch, co się przed Nim nie korzył?
„Chcecie być jako Bóg“
Rzekł pierwszy ludzi wróg,
„Wyłamcie się z woli Pana“
Wyłamali się—i biada!
Ród ludzki spadł i zapada
W ślepotę pychy szatana.
I świat Boży, świat przyrody,
Świat piękności, ładu, zgody,

Odwrócił się od człowieka,
 Jak anielskie, jak dziewicze,
 Jak niewinności oblicze;
 Gdy nie z miłością, nie z cichą
 Cześcią jój świętości—lecz z pychą
 Wzrok z jój lic myśli docieka.

*

*

*

O słońce! ty żywe godło
 Stwórcy w stworzeniu! ty źródło
 Życia i światła! Na ciebie,
 Jak przeciw *Niemu* na niebie,
 Zarazem ślepe w swój dumie,
 Ludzkie targnęło się plemię.
Jemu, chcąc zrównać w rozumie,
 Nad ciebie wzniosło swą ziemię,
 I jak duch w sobie pod ciało,
 Ciebie pod rząd jój poddało!
 I z wieków w wieki trwał zamęt
 W myślach i wprawdzie stworzenia,
 Aż oto spojrzął w firmament,
 Mędrzec wart z góry natchnienia.

*

*

*

Koperniku! twoja chwała,
 Jako słońce nie wzruszona,
 Na świat cały słońcem pała;
 W niej strop i szczyt i korona,
 Owój wieży tajemniczój,
 Co już z dolin Babilonu,
 Jako Tytan budowniczy,
 Rozum ludzki, choiwy tronu
 Dźwigać zaczął: by z jój szczytu,
 W sferach światła i błękitu,
 Zajrzeć w niebo—i samemu
 Stać się równym Najwyższemu.

*

*

*

Ale czemuż z mędrców tylu,
 Z tylu plemion, z tylu wieków,
 Od proroczych magów Nilu,
 Do badawczój myśli Greków,

Nikt z nich nie zgadł, nie przeniknął,
 Własną myślą, okiem własném,
 Co po tobie świat nawyknął,
 Zwać tak prostém i tak jasném?
 Czemu żaden żeglarz śmiały,
 Od Jazona lub Ikara,
 Nie dokonał, co zdziałały
 Kolumbowa myśl i wiara?
 O! bo do tajemnic nieba,
 Jak do nowych ziem odkrycia,
 Geniomom jeszcze trzeba,
 Rozpromieniéc w świętość życia!

Koperniku! w twym żywocie
 Świętość pierwsze miejsce bierze;
 Nieskażony w ludzkiej cnocie,
 Niezachwiany w Boskiej wierze!
 Tyś nad laury w grodzie Romy,
 Nad italski strop gwiazdzisty,
 Przeniósł ojców dach poziomy,
 Przeniósł mroczny kraj ojczysty.
 I w tym kraju tyś nie pychy,
 Nie potęgi szukał pańskiej:
 Chrystusowy sługa cichy,
 Mąż pokory chrześcijańskiej.
 Pracą ducha, prawdy Boga,
 Pracą serca służąc bratu,
 U mogiły ledwo progny,
 Tyś twą sławę zwierzył światu.
 Kresem prac twych i nagrodą,
 Był zgon święty. Dziś narody
 O kolébkę twą spór wiodą...
 Lecz co martwe rodowody?
 Mąż téj wiary i miłości,
 Z duszą taką, z sercem takim,
 Kim być musiał z krwi i kości?
 Mów, kto znasz dzieje przeszłości!
 Mógł-że on być nie Polakiem?

W tymże numerze Kłósów mieści się *Deotymy: Słoneczna Kantata na czterechsetletni Jubileusz urodzin Kopernika*, w której poetka opowiada dzieje życia tego astronoma. Z kantaty téj przytaczamy *Chór pierwszy Słowian*:

W Rzymie za wozem tryumfatora,
 Stąpała jego rodzina:
 Przyszła na światło tryumfu pora,
 I lud nasz pochód zaczyna.

Lud to na ziemi w siłę ubogi,
 Ale w niebieszech bogaty.
 Z drogi! narody zawistne, z drogi!
 Niesiem łzawice i kwiaty;
 Nasza to ziemia dała mu życie,
 Pogrzebion w ziemi tej samój.
 Puśćcie nas piérwszych, wy go wielbicie,
 A my w nim brata Kochamy.

Obszerny życiorys Kopernika (przez *K. Wł. Wójcickiego*), opis pomników i uroczystości na cześć tegoż astronoma. Rozprawa *Stanisława Kramsztyka* p. n. „*Astronomia przed Kopernikiem i po Koperniku*“ wraz z objaśnieniem załączonych rycin, stanowi całość. Ilustracją stanowią: wierny portret Kopernika, kościół w Frauenburgu i baszta narożna; druga baszta frauenburska i dwa pomniki Kopernika: w Warszawie i Toruniu. Wśród nich zwraca uwagę przepyszna kompozycja *Michała Andriollego* przedstawiająca Kopernika w gronie swych poprzedników i następców, wykładającego swój system układu świata. Zajmuje ona cztery całe kolumny (cały kwadratowy 450), a której pięknnością, ani rozmiarem równój, dotąd drzeworytnictwo polskie ukazać nie jest w stanie.

Tygodnik Ilustrowany w zwykłym czasie, w trzy dni po uroczystości jubileuszowej wydanym został: obejmuje życiorys Kopernika, dwa odczyty miane w Sali Ratusza Warszawy *S. Przysiańskiego* i *Jana Kowalczyka*, wiersz *Deotymy* i urywek z poematu *Kopernik: Ludwika Niemojowskiego*.

Wiersz *Deotymy* p. n. *Nasze gwiazdy*, wzniosłą i prawdziwie poetyczną myślą jest natchniony. Mały ustęp da wyobrażenie o całości tego pięknego utworu.

Nasza północ ziemią grozy,
 Pod lodami róże grzebie:
 Za to gwiazdy w nocne urozy,
 Mocniej błyszczą na jej niebie.
 Zebrać same z gwiazd korony,
 Jakie noszą wkoło głowy
 Nasi święci i patrony,
 Hymn to będzie stu-strofowy.

Zgarnąc z hełmów i pancerzy
 Gwiazdy, jakimi z kolei
 Błyśli nasi bohaterzy,
 To już wątek epopei.
 A wyjąć z pod lnu i kwiatów
 Tysiąc gwiazd, co jak w zwierciadło,
 W serce niewiast naszych padło:
 To osnowa stu dramatów!

Do tej poezyi jest ilustracya z podpisem: „*Geniusze nauki i sztuki*“ złożona z wizerunków: *Ciotka, Kopernika, Jędrzeja Śniadeckiego, Fryderyka Szopena i Adama Mickiewicza*, układu i rysunku F. Tegazzy. Część artystyczną *Tygodnika* składają ryciny w udatnych drzeworytach: *Pomnik Mikołaja Kopernika w Warszawie, Mikołaj Kopernik wykładający swą naukę w obec uczonych krakowskich w roku 1509*. Kompozycya F. Sypniewskiego. *Kopernik w Norymberdze*, będący świadkiem spalenia swego dzieła. Kompozycya F. Tegazzy. Popiersie Kopernika podług portretu współczesnego malarza włoskiego *Ghirlandaja*, otoczone jest pamiątkami czerpanemi z *Albumu Kopernikowego*. Mieszczą się medale bite na cześć jego: dwa widoki *Frauenburga* i dwa pomniki grobowe *Kopernika* we *Frauenburgu* i w *Toruniu*. Zamyka ilustracye *Tygodnika* popiersie *Mikołaja Kopernika*, ojca nieśmiertelnego astronoma. Rysy twarzy i wyraz oblicza są typowe, czysto polskie.

W pierwotnym programie dozwołoném zostało zbieranie dobrowolnych ofiar dla ustanowienia przy uniwersytecie Warszawskim stypendyum imienia *Mikołaja Kopernika* drogą składek publicznych. Obywatele kierujący obchodem wskutek tego przedstawili do zatwierdzenia odpowiedni projekt, następującej osnowy.

„Stypendyum ma istnieć wieczyście przy wydziale nauk matematyczno-fizycznym. Fundusz jaki się zbierze, zabezpieczonym będzie na hipotece domów murowanych, mieszkalnych, w środku miasta położonych. Stypendyum udzielane będzie jednemu, albo kilku studentom drogą konkursu, ogłoszonego przez wydział pomieniony z dziedziny astronomii, matematyki i fizyki. Stypendyum ma mieć kuratora swego w osobie prezydenta miasta, lub osoby stojącej na czele zarządu miejskiego. Przyzna-

wanie stypendyumu przez wydział nauk matematyczno-fizycznych odbywać się będzie corocznie w dniu 19 lutego, jako w rocznicę urodzin Kopernika. Wreszcie gdyby dla jakichkolwiek powodów nie wydano całej summy przeznaczonej na roczne stypendyumu, wówczas stosownie do oznaczenia *Kwatora* stypendyumu, pozostawająca summa może być albo przyłączona do ogólnego funduszu, albo zwiększenia summy stypendyalnej, wypłacić się mającej w roku następnym.“

Na pierwszy zawiązek *stypendyumu Kopernika*, wydawca *Kłosów Salomon Lewental*, ofiarował dwieście egzemplarzy oddzielnie odbitej na pięknym papierze wielkiej kompozycji *M. Anulriollego*, a będącej w numerze pamiątkowym tegoż pisma „*Kopernik, jego poprzednicy i następcy*.“ Odbitki te już są rozesełane po księgarniach, a sprzedają się po rublu za egzemplarz. Fundusz zebrany z tego, złożonym zostanie w kassie miejskiej.

Warszawa, 25 lutego 1873 r.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Luty 1873.* Wdowa po zasłużonym pisarzu Mścisławie Kamińskim, który przybywszy z Wilna, w Warszawie w kwiecie wieku zakończył życie, ogłosiła prospekt na jego dzieło p. n. „*Kobięta, miłość i małżeństwo*“. W nim czytamy. „Między pozostałemi po ś. p. mężu moim rękopismami niedrukowanemi, znajduje się najobszerniejszy, nie mało go mozołów kosztujący, a w zupełności do druku przygotowany p. t. „*Kobięta, miłość i małżeństwo, czyli Zbiór zdań, myśli i epigramatów najslawniejszych pisarzy, poetów i filozofów o kobiecie, dziewicy, mężatce i przyjaciółce, oraz miłości i małżeństwie*“. Rękopism opatrzony jest podwójnym spisem: jednym podług treści, drugim podług autorów.

Tę pracę ś. p. męża mojego, co do pomysłu całkiem dotąd oryginalną w naszym piśmiennictwie, postanowiłam obecnie puścić między czytelników jedynie możliwą dla mnie drogą przedpłaty. Pan Maurycy Orgelbrand, księgarz tutejszy, podjął się pośrednictwa między

mną a publicznością; tym sposobem ułatwiają mi przedsięwzięcie, dając zarazem publiczności rękojmię dokonania go w czasie właściwym.

Jakkolwiek trudno być sędzią we własnej sprawie, niemam jednak, iż nie ubliżę słuszności, gdy powiem, że przedsięwzięte przezemnie wydawnictwo nie będzie zbyt cenne w literaturze polskiej. Dziś, kiedy kwestya stanowiska społecznego niewiasty zaprzęta i roznamiętnia umysły, nie zaszkodzi się dowiedzieć, co dawniej, co jeszcze niedawno myślano o kobietach, o których Boufflers powiedział: „*że gdyby tylko jedna z nich pozostała na ziemi, zawszeby o nich było coś nowego do powiedzenia*“.

Warto się doprawdy dowiedzieć, co trzymał o całej połowie rodzaju ludzkiego *Arystofanes, Plaut, Owidyusz, Diderot, Rousseau, Byron* lub *Richter*; co trzymał *Rej, Kochanowski, Bielski, Górnicki, Modrzewski, Birkowski, Opaliński, Szymonowicz, Klonowicz, Trembecki, Mickiewicz, Zaleski, Fredro, Trętowski, Libelt* lub *Kremer*; co trzymały same kobiety *d'Arcenville, Candelle, Gay, Ancelet, Marya Leszczyńska* lub *Hoffmanowa*, i tyle a tyle innych; co wreszcie trzyma lud w swoich przysłowiach i pieśniach przechodzących z pokolenia w pokolenie. Są to tylko wprowadzie zdania oderwane, nie rozumowania, lecz maksymy, wypowiedane w formie dosadnej lub dowcipnej; ale te zdania były summa długiego postrzegania i namysłu, cały się człowiek malował w nich ze swoją mądrością lub słabością. Poznając wynurzone przezeń zdanie o kobiecie, jego też samego poznajemy.

Sądzę tedy, że czyniąc com winna pamięci nieboszczyka męża mojego, uczynię też wydaniem jego pracy niejaką przysługę sprawie naszej umysłowości. Publiczność polska, której Kamiński służył cnotliwie do ostatniego tchnienia, nie wątpię, iż sercem życzliwem ten trud jego pogrobowy powita.

Sabina Kamińska.

— Na pamiątkę 400-jej rocznicy urodzin Kopernika, wyszło obecnie w Paryżu nakładem biblioteki Kornickiej znakomite dzieło pod tyt.: „Wykład hydrauliki wraz z teorią budowy machin wodnych“, ozdobione mnóstwem drzeworytów, obejmujące 72 arkuszy ścisłego druku, a napisane przez *Feliksa Kucharzewskiego* i *Władysława Klugiera*, inżynierów dyplomowanych przez szkołę dróg i mostów w Paryżu. Jestto bardzo ważna publikacya w naszej literaturze; nie tylko bowiem zaszczepnie wypełnia dotychczasowy niedostatek dzieł o mechanice w ojczystym piśmiennictwie, ale nadto uświęca uroczystą pamiątkę urodzin Kopernika, którą obecnie cały kraj podziela. O ile zasługa za wspomnianą naukową pracę należy się jej autorom pp. Kucharzewskiemu i Klugierowi, z których pierwszy jest profesorem w akademii technicznej we Lwowie, a drugi sekretarzem Towarzystwa matematycznego w Paryżu, nie chcemy przesądzać. Wdzięczne uznanie za ogłoszenie wspomnianego dzieła winniśmy Janowi hr. Działyńskiemu, którego nakładem kosztowne to dzieło wydrukowanem zostało.

— We wstępnym artykule gazety petersburskiej „*Golos*“ z dnia 7 (19) lutego r. b., poświęconym rozbirowi sporu o narodowość Kopernika, czytamy: „Wszyscy zawsze uważali Kopernika za Polaka, w Polsce się urodził, wychował, żył i umarł, i zawsze sam siebie nazywał Polakiem. Kopernik odebrał wychowanie w Uniwersytecie Krakowskim, kwitującym za czasów Jagiellonów. Oprócz Kopernika kształcili się w murach tego uniwersytetu tak znakomici uczeni: jak filozof Grzegorz z Sanoka, frenolog Jan Głogowczyk, dziejopis Jan Długosz. Przybywszy do Uniwersytetu Padewskiego, gdzie się studenci dzielili podług narodowości, Kopernik zapisał się do album Polaków. Francya, Niemcy, Włochy, Anglia, cały świat cywilizowany, przyznaje że Kopernik był Polakiem. Znacomity uczony francuzki Arago, w słowie pochwalnym mianem na cześć Laplace'a, wyrzekł, że wielką stanowi chwałę dla Polski, iż wydała Kopernika. W Niemczech, Wahler, Humbolt, Feuerbach, uważali Kopernika za Polaka: również uczeni włoscy Ghilini, Tiraboschi i inni. Anglik Brennan tłumacz dzieła Jana Śniadeckiego: „O zasługach Kopernika“, napisał do niego wstęp, w którym Kopernika nazywa Polakiem. To samo zawsze czynili Rossyianie“.

— We Lwowie i Krakowie wyszły nowe dzieła poświęcone dziejom literatury polskiej. Adam Kuliczkowski „*Zarys dziejów literatury polskiej, na podstawie badań najnowszycy pracowników, dla użytku szkolnego i podręcznego*“, rozpoczęty w roku 1869, ukończył w całości. Dr. Karol Mecherzyński tyle zasłużony na polu piśmiennictwa krajowego, wydał w Krakowie: „*Historję literatury Polskiej dla młodzieży*“, (nakład J. M. Himmelblaua). Obiedwie prace zasługują na poważne sprawozdanie.

— Fundusz składowy w Galicyi na szkoły ludowe wynosi dotąd około 60,000 zlr., summa to dosyć skromna, lecz na jój utworzenie składała się głównie mniej zamożna część tamecznych mieszkańców. Nie wiadomo jeszcze jak rozporządzi komitet centralny tym funduszem, ale dzienniki podają takie projekta: 1) utworzenie funduszu emerytalnego dla nauczycieli szkół ludowych; 2) ustanowienie stypendyów; 3) wspieranie wydawnictw książek pisanych dla ludu. Inni znowu są zdania, aby składowych pieniędzy użyć przeważnie na budowę nowych szkół ludowych w Galicyi i tym sposobem przyjsć gminom w pomoc, w celu zwiększenia liczby tych szkół.

— Jeszcze w roku 1871 wyszedł z drukarni *Czasu* w Krakowie: *Statut stowarzyszenia czytelnicy izraelickiej* (w 8-ce, str. 7), który dopiero nam nadesłany został, a to z powodu, jak objaśnia dołączona piśmienna odezwa, że czytelnia ta założona została w miesiącu styczniu roku bieżącego.

— Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu ogłosiło przed paru laty konkurs na dzieło, przedstawiające „historję stosunków włościan polskich.“ Fundusz na nagrodę konkursową naznaczył hr. August Cieszkowski. Praca nadesłana uczonego W. A. Maciejowskiego za najlepszą uznaną została, i księgarz I. K. Zupański druk jój już rozpoczął.

— Ostatni poemat Wincentego Pola, o którym wspominaliśmy już: „*Pan Starosta Książki. Tradycja Myśliwska, przez autora Mohorta*,” już wyszedł z pod prasy w Poznaniu, nakładem J. K. Zupańskiego. (w 8-ce str. 75 z kilku drzeworytami). Do tego utworu ma być dodany wizerunek zgasłego poety.

— Ministeryalne rozporządzenie z 6-go grudnia r. z., odnoszące się do języka polskiego w wyższych zakładach szkolnych Księstwa Poznańskiego brzmi jak następuje: „Niema powodu aby nadal cierpieć istniejące obecnie nieprawidłowości, co do obowiązkowego lub dowolnego udziału w nauce języka polskiego, w wyższych zakładach prowincyi Poznańskiej. Postanawiam przeto, w porozumieniu z prowincjonalnóm szkolnóm kolegium, aby nadal język polski był obowiązującym dla uczni uczęszczających do osobnych oddziałów przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny i szkoły realnej, tudzież do gimnazyum w Ostrowie; dla innych zaś uczeni we wszystkich innych zakładach na prowincyi, o ile wykładany był dotąd język polski, ma być tenże tylko dowolnym przedmiotem. Zbyteczne jest także, aby rodzice uczniów, którzy nie chcą się uczyć polskiego języka, wnosili do dyrektorów odpowiednie podania; język ten ma być traktowany na równi z innymi nadobowiązkowymi przedmiotami, a baczyć na to tylko należy, aby ci, co się zgłosili jako chcący pobierać w takowym nauki, nie wylamywali się samowolnie z przyjętych przez siebie obowiązków.“

— Zbiory *Towarzystwa Poznańskiego Przyjaciół Nauk* znakomicie się powiększają. Lektor przy uniwersytecie Wrocławskim ks. *Krański*, oprócz dzieł już ofiarowanych, przyrzekł oddać całą swoją bibliotekę, wraz z rękopismami swojemi. Konserwator biblioteki miejskiej w Lubecie p. Rudolf, nadsyła do zbiorów tegoż Towarzystwa duplikaty monet, medali i t. p. Kapitan marynarki szwedzkiej Wojciechowski, nadesłał do tych zbiorów kolekcję muszli z oceanu Indyjskiego i inne tym podobne przedmioty, do których należy i bandera marynarki polskiej z czasów Jagiellońskich, sporządzona wedle modelu znajdującego się w szkole marynarki w Lubecie.

— We Lwowie wyszedł pierwszy zeszyt drugiego tomu „*Encyklopedyi do krajoznawstwa Galicyi*“ Antoniego Szejdera. Dzieło to wysokiej wartości nie znajduje poparcia, ażeby drogocenne materiały przez lat wiele mozolną pracą zgromadzone mogły być co rychlej wydane.

— *Poznań*. Dr. Szymański redaktor dziennika „*Orędownik*“ z powodu umieszczenia w piśmie tém artykułu p. n. „*Walka z kościołem Bożym*“ skazany został przez sąd okręgowy poznański na cztery miesiące więzienia za obrazę majestatu.

— *Nowy węgierski komedyopisarz*. Najświeższą nowość dramatyczną stanowi komedia p. t. „*Nowi ludzie*” Stefana Toldy, syna Franciszka założyciela węgierskiej historii literatury. Autor należy do najzdolniejszych i najpłodniejszych pisarzy młodszej generacyi. Pierwsze, po większej części historyczne prace drukował jeszcze przed ukończeniem

swych studyów uniwersyteckich, lecz dopiero większego nabrał rozgłosu ulotném pisemkiem wydaném w r. 1868 o reformie katolickiego kościoła, które doczekało się kilku wydań. Odtąd rzucił się gorliwie do literatury politycznej, a jakkolwiek już pierwój zajmował się belletrystyką, przecie teraz na jakiś czas jój zaniechał. Dopiero w r. b. po dłuższej pauzie, odezwał się z większą komedią p. t. „Dobrzy patryoci” Poczém ukazał się gruby jeden tom powieści p. t. „Anatol” za którym zjawiła się pozornie historyczna lecz rzeczywiście polityczna praca, objaśniająca wydarzenia ostatnich pięciu lat, a napisana w duchu większości sejmowej. Zaledwie zaś ukazała się na scenie komedia „Dobrzy patryoci” już autor oddał teatrowi narodowemu drugą swą komedię p. t. „Nowi ludzie.”

Widzimy ztąd, że młody pisarz wybitnie już zaznaczył drogę swą literacką, pism zaś więcej spodziewać się po nim można, sądząc z rzeczowej komedyi.

Obie sztuki właściwie nie są komediami, lecz politycznemi sztukami tendencyjnemi; w tém tkwi ich słaba strona, ale zarazem i siła.

Osią intrygi w „Dobrych patryotach“ jest budowa kolei żelaznej. Młody przy swoim za granicą bawiącym ojcu, wychowany węgier powraca do ojczyzny i zostaje przez niego wysłany na prowincję, ażeby jako jego pełnomocnik przekonał się naocznie, które z dwóch projektowanych linii kolei żelaznych obraćby należało. Kiedy przybył na miejsce, wszyscy już wiedzieli o celu jego posłannictwa. Oba stronnictwa usiłują go pozyskać dla siebie wszelkimi środkami, za pośrednictwem pięknych oczu kobiécych i innych przeróżnych środków, a jakkolwiek oba stronnictwa tylko egoizmem się rządzą, przecieź nieustannie rozprawiają o swym patryotyzmie. Z obu stron znajdują się nie tylko stronnicy rządu ale i opozycyoniści, którzy teraz mimo odrębnych stronnicych haseł, powodowani chęcią zysku, razem się łączą, gotowi stosownie do rozstrzygnięcia sprawy kolejowej i patryotyzm swój nastroić. Lecz młody pełnomocnik wszystkich umie od siebie odgonić, gdyż się przekonał, że ani jedna ani druga linia, ale trzecia na którą się tylko egoizm mieszkańców nie zgadzał, nastosowniejszym będzie wyborem. Kiedy się o tém oba stronnictwa intrygujące dotąd przeciw sobie dowiadują, łączą się wspólnym interesem, a niby w imieniu zagrożonej ojczyzny. Ale mimo wszelkich ich machinacyi i knowań, zwycięztwo zostaje przy bohaterze komedyi. Kolej przeprowadzoną ma być w wskazanym przez niego kierunku, a nadto żeni się on z niewinném rozkoszném stworzeniem, które go w walce tój jak mogło popierało.

Idea zasadnicza tój sztuki nie jest wprawdzie nowa, bo już się podobném złem posłużył Benedix w komedyi p. t. „Dworzec kolei żelaznej“ atoli opracowanie, intryga i charaktery są tak dalece w obydwóch sztukach różne, jak różnymi są Niemcy i Węgrzy.

W drugiej sztuce p. t. „Nowi ludzie” chodzi o społeczne porównanie mieszczańskich, *respectively* żydowskich elementów, w społeczeństwie węgierskim. Bohatérem sztuki jest znowu młody człowiek szlacheckiego pochodzenia, który jednakże sam należy już do *nowych ludzi*, gdyż wy-

rzekłszy się przesądów swego stanu, czei tylko zasługę pracy. Ukazuje się też dlatego tylko w miejscu kąpielowém, ażeby namówić bogatego izraelskiego kupca do podania się na kandydata w jego okręgu, do czego mu sam wpływem swoim stanowczo pomoże. Większość szlachty wzdraga się zrazu przed tym przez nich nazwanym: „skandalem“ lecz później staje za izraelitą, gdyż tenże ma prześliczną córkę. Tylko jeden starozachowowczy hrabia nie łączy się z innymi, ale owszém sam staje jako kandydat celem unieważnienia wyboru kupca. Wkrótce inni także żalują swego pośpiechu, usiłując odwieść kupca od kandydatury. Ale bohater dodaje ducha izraelicie. Tymczasem zawiązał się miłosny stosunek pomiędzy bohaterem a córką kupca, który jednak skutkiem upornego trzymania się zakochanych, nie prowadzi do celu. Miłostka ta niepokoi arystokratyczną jego siostrę, ażeby przeszkodzić meżaliansowi, zachęca innych do starania się o jej rękę. Zubożały jakiś szlachcic pierwszy występuje jako otwarty konkurent, lecz ojciec panny odrzuca go szorstko, co tak rozdrażnia konkurenta, że się zaczyna z nim kłócić. Wtém zjawia się syn kupca i żąda zadośćuczynienia za obrazę wyrządzoną ojcu. Młody izraelita bije się tak dzielnie, że zachwyca owego starego hrabiego swoją rycerskością, który teraz gotów już poprzec kandydaturę ojca. Ostatecznie i piękna córka zniewala głównego bohatera do wyznania miłości, tak że sztuka kończy się zupełném zwycięstwem „nowych ludzi.“ Tą pobieżną treścią mogliśmy tylko główne rysy sztuki scharakteryzować, lecz i to już dowodzi intrygi pełnej życia i ruchu. A jednak kompozycja jest właśnie najsłabszą stroną utworu. Autor bardzo szczęśliwie stwarza uderzające sytuacje, lecz nie zawsze umie dać sobie rady z nagromadzonym materiałem. Zaniedbuje często, to tak niezbędne w dramacie stopniowanie coraz wyższe akcji i ścisłe jej ujęcie w karby. Lecz w każdym razie widz ma przed sobą niewyczerpany kalejdoskop, przedstawiający coraz nowe obrazy, trzymające uwagę w naprężeniu, a te postacie fantazyi przeplatane są żywym dowcipem i wybornym humorem.

Lecz byłyby to jedynie podrzędne zalety pisarskie tego autora, główną bowiem jest znakomita charakterystyka pojedynczych postaci. Idealne postacie są u niego po większej części mgliste, lecz te w których odwzorowuje błędy społeczne i polityczne, udają mu się doskonale. Nie są to wizerunki Molierowskie, ale arcy szczęśliwie odkradzione typy z rzeczywistego życia, istniejące w każdym społeczeństwie.

Ta np. w „Dobrych patriotach“ wyborym jest Jego Ekscelencya służąca każdemu rządowi, a obecnie bawiąca się w liberała, albo ów opozycjonista będący nim tylko dlatego, że brat jego należy do rządowego stronnictwa, a więc potrzeba utrzymać równowagę.

Również w „Nowych ludziach“ próżniacza szlachta dopominająca się wysokości godności dlatego, że taką dzierżyli jego przodkowie, albo ów starozachowowczy hrabia zeswa teorią krwi i rasy, według której dzielni mężowie i kobiety tylko z szlacheckiej krwi pochodzić mogą, a który dlatego tylko nie dziwi się niepospolitości córki żyda, że matka jej zapewne

stosunek miała z jakimś arystokratą. Podobną teorię mają i w polskiej literaturze niektórzy pisarze, np. L. Starzeński w „Staroście wieluńskim.“ Równie wyborną jest postać kupca, w którym duma dorobkowicza z dobroduszością naturalną, trafnie jest połączona.

Charakterystyce téż tak wybornéj pojedynczych postaci zawdzięcza autor głównie swoje powodzenie. Obie sztuki przedstawiają cząstkę życia społecznego Węgier i dlatego tak długo podobać się muszą, dopóki oryginalne figury nie zaginą.

— Dla miłośników literatury powszechnéj przyda się może wiadomość: 1) o przetłumaczeniu na język niemiecki *Historji literatury Hollenderskiej* przez *Jonekbloeta* (Wilhelm Berg czyli raczej pani Liny Schneider, *Niederländische Literaturgeschichte* von prof. Dr. Jonekbloet. Leipzig Vogel). Pierwszy tom tego dzieła zaczęto odbijać w drugim wydaniu, zanim się ukazał tom drugi. 2) o przetłumaczeniu z języka sanskryckiego na język włoski dramatu *Mrie'ek'af'ika*, (wózek gliniany). Autorem jest król Sudraka (przyjaciół Sudrów t. j. kasty służebniczej), panujący według Lassena w II, a według Wilsona w V wieku ery chrześcijańskiej. Tłumaczenia dokonał Michele Kerbaker (*Rivista, Europea*, 1872). Bohaterka przypomina bardzo Marion Delorme Wiktora Hugo: jestto jawnochrześnica odrodzona moralnie przez wpływ czystéj miłości. Osób wchodzi 24, rzecz dzieje się w Udzein w kraju Malawa, intryga osnuta na zazdrośnej intrydze rozpustnika, należącego do rodziny królewskiej przeciwko bramanowi, w którym się piękna Wesya kocha. Utwór nacechowany jest wysokimi zaletami, właściwemi literaturze indyjskiej złotego wieku Wikramadityi. Podobał się w 1850 roku Paryżanom, przedstawiano go w Odeonie w przeróbce podług wersyi Wilsona.

† Dnia 6 lutego r. b. zakończył życie w Meutone, w kwiecie wieku, bo licząc rok 28, **Władysław hr. Ordynat Krasiński**, syn Zygmunta. Wyższe nauki pobierał w Akademii *Aix de Provence*, w której po napisaniu rozprawy łacińskiej z prawa rzymskiego i francuzkiego z kodeksu Napoleona, otrzymał stopień magistra. W roku 1871, po zawarciu traktatu Francyi z Prusami, przebywając natenczas za granicą, napisał i ogłosił drukiem broszurę po francuzku, o sposobach spłacenia nałożonych miliardów i takową wraz z listem przesłał Thiersowi, jako prezydentowi Rzeczypospolitéj Francuzkiej. Za staraniem zmarłego wydała Ordynacya hr. Krasińskich, pięć tomów zbioru dokumentów historycznych odnoszących się głównie do panowania Zygmunta Augusta. Sam ogłosił własną rozprawę wysokiej wartości p. n. *Przyczynek do historyi dyplomacyi w Polsce* od roku 1566 do 1572 rozjaśniającą stosunki ówczesne Polski z zagranicznymi dworami. Od kil-

ku lat rozpoczął ważne studyum nad dziełami swego ojca, mające służyć za objaśnienie tych wzniosłych utworów poezyi. Drobniejsze prace pomieszczał w różnych pismach czasowych, a głównie w *Kronice Rodzinnej* bezimiennie.

† Dnia 9 lutego r. b. umarł w Petersburgu *Antoni Czajkowski*, syn zasłużonego profesora literatury polskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim. Urodzony w roku 1816 nauki ukończył w tymże Uniwersytecie, otrzymawszy stopień doktora prawa i administracyi. W świecie literackim znalazł chlubny rozgłos jako poeta, niepospolitego talentu. Współpracownik Biblioteki Warszawskiej, wiele poezyi pomieszczał w tem piśmie. Oddzielnie wyszły: 1) *Niektóre poezye*. Warszawa 1841 roku, 2) *Poezye*. Warszawa 1845 roku. Przez wiele lat był professorem prawa w Uniwersytecie Petersburskim. Utwory jego poetyczne odznaczają się zarówno szlachetną i wzniosłą myślą, jak powabem słowa i mistrzowskim językiem.

† Dnia 13 lutego r. b. zakończył życie w wieku lat 74 w dobrach swoich w Poznańskim, w powiecie Krotoszyńskim *Józef Eukaszewicz*, jeden z pierwszych badaczy naszej przeszłości. Wszystkie znakomite pisma jego, odznaczają się sumienną pracą, i obfitością źródeł nieznanych, prawie też wszystkie są tłumaczone na język niemiecki. Szczegółowy życiorys mieści *Encyklopedia Powszechna*.

† We Lwowie umarł w drugiej połowie lutego r. b. *Tomasz Wilhelm Kochański*, Redaktor *Tygodnika Rolniczo-przemysłowego*, w 78 roku życia.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki**.

Wydawca *Józef Berger*.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1873.

Filozofia.

	stron.
Darwinizm i pozytywizm w treści pism naszych, przez A. Tyszyńskiego.	24, 239
Filozofia Zasady Bezwiednój. (Nowy filozoficzny pesymizm). Przedstawił Dr. fil. Henryk Goldberg.	377.

Astronomia.

Teorye powstawania aerolitów, przez Dr. Wincentego Szyszkło.	278.
--	------

Geografia.

Podróże i odkrycia geograficzne w 1872 roku, przez A. P.	98, 255.
--	----------

Monografie historyczne.

Marcin Kromer, przez Cypryana Walewskiego.	402.
W sprawie o narodowość Kopernika, przez A. P.	520.

Literatura polska.

Kawa literacka w Warszawie. (1829—1830 roku), przez K. Wł. Wójcińskiego.	1, 193
Pięć nieznanych, choć drukowanych sonetów Mickiewicza, przez Jana Karłowicza.	323

Literatura Zagraniczna.

Poezye Karola XV Króla Szwedzkiego. Przełożył Wawrzyniec hr. Engeström.	50.
Odczyty francuzkie w Strasburgu.	88.

Powieść.

Hrabina Kosel. Powieść historyczna, przez J. I. Kraszewskiego. . . .	460.
--	------

KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Świat skandynawski. Dom Bernadottów. Królowie uczeni i artyści. Karol Jan: Zbiór listów. Oskar I. Dzieła z wydziału ekono- mii politycznej. Oskar II: Poemat uwieśniony przez akademię Sztokholmską. Karol XV: Serya napp na wystawie paryskiej, obrazy olejne, poemata osnute na mytach skandynawskich. —Poe- mat. Hejde, przekład francuzki p. Lagrèze. —Jakób Babinet. — Teofil Gautier, poeta, powieściopisarz, dramaturg, publicysta. — Historja romantyzmu; obraz Wiktora Hugo, walka z klasyka- mi. —Dwie królowe, dramat wierszem Ernesta Legouvè z akade- mii francuzkiej. — Wspomnienie kronikarzy o Ingerburdze. — Listy Mazziniego do Daniela Sterna. —Dzieło p. About: „Alzacya w 1871—1872 r. —Przekład Hermana i Doroty, przez Edwar- da Delinge.	117
Korrespondenoya Henryka Regnault, wydana przez Artura Duparc. —Ruch dramatyczny w tegoczesnej Grecyi. —Komedye Angelos Wlachos: <i>Córka Episyra, Zasadzka na zięcia, Małżeństwo w skutek deszczu, Kapitan gwardyi narodowej.</i> —Teatr turecki Karagueis. —Przekład Moliera przez Achmed Vefik Effendi. — Protestacya professora Francka przeciw germanizowaniu szkół francuskich. —Nowy kierunek sztuki dramatycznej we Francyi: zdanie p. St. Revi Taillandier. —Odwiedziny w pracowni ma- larza, dramacie Franciszka Coppée	286
Nowe wydanie dzieł Rabelais'go z ilustracyami Gustawa Doré. —Rabe- lais i Rej z Nagłowic. —Pantagruel i Żywot poczciwego czlowie- ka. —Odszukanie Livingstona. —Amerykanin Stanley. —Nowe odkrycia archeologiczne Sohlimana. —Żywe zaprzeczenie przysło- wiu: Nec locus ubi Troja fuit. —Zwrot francuskich poetów do klasycyzmu greckiego. —Les Erynnis tragedya pana Leconte de Lisle, naśladowana z Eschyleasa. —Król Thule, opera pana Diaz. —Żona Klaudiusza, dramat Aleksandra Dumasa. —Moja żona i ja, powieść amerykańska pani Beecher Stowe. —Edward	

	stron.
Lytton Bulwer. — Przekład dzieła panny Bader: Kobieta grecka na język nowo-grecki. — Muzeum Moliera.	484.

Dzieje współczesne.

Jubileusz czterehsetnej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika, obchodzony w Warszawie dnia 19 lutego 1873 roku.	561.
---	------

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

Przegląd najdawniejszych zabytków języka polskiego, sporządził Konstanty Małkowski. Warszawa. 1872. Przez Jana Papłońskiego.	155
O prawach kobiety napisał Edward Prądzyński. Warszawa 1873. Przez S.	169
Życie i obyczaje zwierząt podług Brehma i innych najnowszych źródeł, zebrał Wincenty Niewiadomski. Warszawa 1873.	171
Wakacje na wsi, powieść naukowa dla dzieci przez A. Castillon'a, przełożył J. Chęciński.	172
Systematyczny kurs nauk dla dzieci Augusta Jeske. Przez S.	172
Mikołaj Kopernik i jego układ świata przez J. Kowalczyka. Warszawa 1873. Przez R.	177
Klejnoty poezyi polskiej. Warszawa 1872 r. Przez R.	177
Monumenta Poloniae historica, pomniki dziejowe Polski. Wydał August Bielowski. Lwów 1872 r. Tom drugi. Przez Cypriana Walewskiego.	327
Przegląd powieściowy: „Pałac i folwark“ J. I. Kraszewskiego. „Mogilna“ J. I. Kraszewskiego. Obrazy z natury Giul-Szada: Berlicza Sasa. „Wojewodzie“ powieść oryginalna, napisał Gryzoł. Lwów 1872 r. Przez Edwarda Lubowskiego.	330
Biblioteka filozofii pozytywnej. Wstęp i pogląd ogólny na filozofią pozytywną p. Juliana Ochorowicza. Przez Dra. fil. H. Goldberga.	348
O prawach budowy zgłosek, napisał F. F. Sławiński. Warszawa 1873. Przez W. Nowickiego.	365
Obliczenie wyrazów zawartych w trzech słownikach: 1) Lindego, 2) w Wileńskim, 3) Rykaczewskiego, przez F. F. Sławińskiego. Warszawa 1873. Przez W. Nowickiego.	366
<i>Scriptores rerum polonicarum.</i> Dyaryusze sejmowe r. 1548, 1553 i 1570. Wydawnictwo komissyi historycznej Towarzystwa nauk. Kraków. Tom I (Kraków 1872). Przez K. P.	533
Rad Jugoslawenskie Akademije nowosti i umjetnosti. (Knjiga XVII —XX. U Zagrebu 1872. U Knjižarnici Fr. Župana na Prodanju). Przez K. P.	539

	stron.
O przyczynach zjawisk w naturze organicznej. Przez prof. T. H. Huxley'a, według niemieckiego przekładu Karola Vogta, przetłumaczył A. Wrześniowski 1873 r. Przez W. S.	542
Fizyologia duszy i instynktu w odróżnieniu od materyalizmu z dodatkowym udowodnieniem Boskiego Objawienia w opowieści o stworzeniu świata i o potopie przez Dra. Marcina Pena. (Physiology of the soul and instinct as distinguished from materialism by Martyn Paine New-York 1872 str. 707 in 4-to). Przez T. K. . . .	549
„Mikołaj Zebrzydowski“ dramat w pięciu aktach prozą, przez Ludwika Orpiszewskiego. Poznań, 1872 r. nakład księg. Konst. Żupańskiego. Przez E. Lubowskiego.	553
WIADOMOŚCI LITERACKIE.	178, 367, 569
NEKROLOGIA.	189, 375, 575

